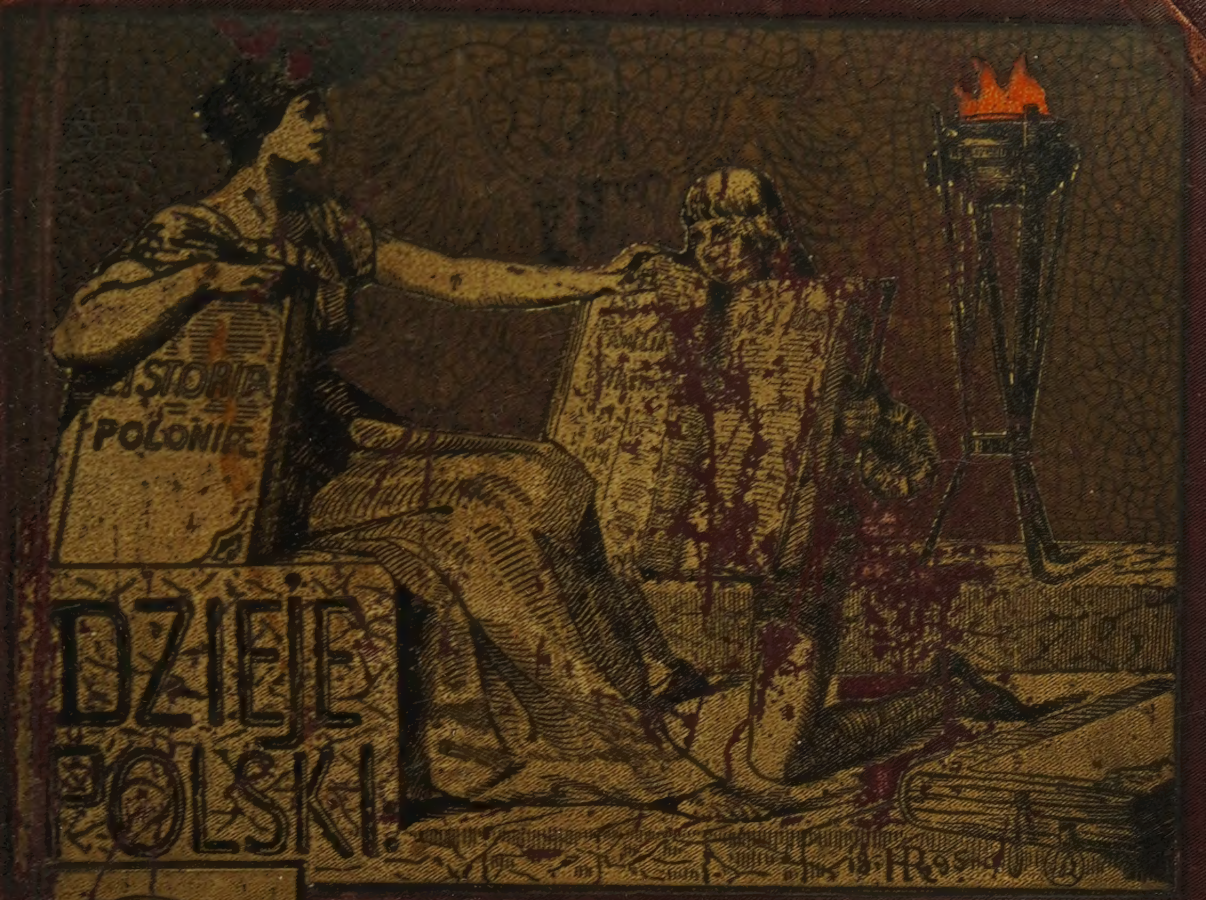

DZIEJE POLSKI

NAPISAŁ: AUG: SOKOŁOWSKI

Z WSPÓŁUDZIAŁEM: AD: INLENDERA

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/dziejepolskiillu0004adol

Ks. Stanisław Jastrzębski
1902 r.

DZIEJE POLSKI ILLUSTROWANE.

Napisał

Profesor Dr. August Sokołowski

z współudziałem

Adolfa Inlendera

z illustracyami

Jana Matejki, Walerego Eljasza, Juliusza Kossaka, Henryka Rauchingera

i innych artystów polskich.

Tom IV.

z 75 illustracyami.

WIEDEŃ.

Nakład Maurycego Perlesa.

1901.

Czcionkami J. N. Vernaya w Wiedniu.

DZIEJE POLSKI ILLUSTROWANE.

Na podstawie najnowszych badań historycznych

napisał

Profesor Dr. August Sokołowski

z współudziałem

Adolfa Inlendera

z illustracyami oraz reprodukcyami z obrazów

Jana Matejki, Walerego Eljasza, Juliusza Kossaka, Henryka Rauchingera

i innych artystów polskich,

planami dawnych miast i podobiznami zabytków historycznych.

Do czytelnika.

Oddając w ręce czytającej publiczności ostatni tom (IV.) moich „Dziejów Polski“, poczuwam się do obowiązku wyjaśnić niektóre szczegóły, odnoszące się do początku i wykonania tej pracy.

Od dawna poświęcałem się badaniom naszej historyi, wydawałem źródła z wieku XV, XVI i XVII, ogłaszałem w publikacyach Akademii Umiejętności i w rozmaitych czasopismach rozprawy naukowe i starałem się obok tego w sposób popularny przedstawić ważniejsze z dziejów narodowych wypadki. Ostatecznym celem moim było jednak przystąpić, na podstawie tych studyów przygotowawczych, do napisania książki, w którejby były zebrane, o ile możności, wyniki rozległych badań nad historyą polską, w ostatnich czasach dokonane, w sposób przystępny i jak najbardziej bezstronny.

Wypadek zrządził, że objąłem po Drze Stanisławie Smolce opracowanie tekstu objaśniającego (od 1492 r.) portrety królów polskich Matejki, wydawane w Wiedniu. Nakładca, zachęcony powodzeniem tej publikacyi, powziął zamiar wydania „Dziejów Polski illustrowanych“ i zgłosił się do mnie z tą propozycyą. Znalazłem się skutkiem tego w położeniu dość trudnem, gdyż, biorąc wtedy czynny udział w życiu publicznem, wątpiłem, czy będę w stanie w czasie, przez wydawcę oznaczonym, wypełnić wszelkie obowiązki autorskie, z układu wynikające. Dla ułatwienia sobie pracy, przyjąłem zatem ofiarowaną mi pomoc p. Adolfa Inlendera, który podjął się prowadzić żmudną korrektę całego dzieła i opracować, pod moim nadzorem, pewne jego części. Dział illustracyj wziął na siebie artysta-malarz p. Walery Eljasz. Rzeczywiście wyszedł z pod pióra p. Inlendera okres podziałów po śmierci Bolesława Krzywoustego, panowanie Władysława Łokietka i Władysława Warneńczyka. Gdy jednakże p. Inlender następnie, inną zajęty pracą, od pierwotnego zamiaru odstąpił, doprowadziłem rzecz rozpoczętą sam do końca, tak że tom II. (z wyjątkiem panowania Władysława III.) i III. mojem wyłącznie jest dziełem a tom IV. na tytule nawet tylko moje nosi nazwisko. Taką była historya „Dziejów Polski illustrowanych“.

O ich wartości wyda oczywiście sąd krytyka. Co do mnie ani na chwilę nie łudzę się, jakoby dzieło moje osiągnęło w całości cel zamierzony. Znając bowiem rozległość przedmiotu, czuję i znam także bardzo dobrze braki i niedostatki mojej książki, i jeżeli cokolwiek mnie usprawiedliwić może, to chyba owa przez starożytnych powtarzana maksyma: *in magnis voluisse sat est.*

Opanowanie wszystkich źródeł i monografij, po tylu pracach umiejętnych i znakomitych, w chwili, gdy każdy rok przynosi nam nowe i obfite plony badań naukowych, jest rzeczą, jeżeli nie niepodobną, to w każdym razie nadzwyczaj trudną. A jednak zdawało mi się, że opracowanie całości dziejów polskich, chociażby w tym ułomnym kształcie, jest w tej chwili potrzebnem i może być pożytecznem. Naród, pozbawiony bytu politycznego, naród, żyjący i mający prawo do życia, winien więcej niż każdy inny czerpać z doświadczeń swojej przeszłości, aby uniknąć błędów popełnionych a w czynach wielkich i rozumnych, jakich dokonali jego przodkowie, znaleźć ulgę, pokrzepienie i otuchę. Dzieje się to niestety u nas bardzo rzadko, może dlatego, że wzięliśmy w puściźnie po praojcach wstręt do czytania rzeczy obszerniejszych i poważniejszych, że zanadto wiele karmimy się strawą lekką, że chwytamy skwapliwie to, co bawi lub podnieca wyobraźnią, a unikamy tego, co wymaga pracy wytężonej i skupienia umysłu, że żyjemy po dawnemu, głównie fantazyą i sercem, za mało rozumem i głową. Ale stąd właśnie wypływa obowiązek dla tych, co czują i myślą inaczej, dokładać wszelkich starań do naprawienia zepsutego smaku i do prostowania nałogowych wyobrażeń przez popularyzowanie umiejętnych badań historycznych, które z natury swojej są dla ogółu mniej przystępne. Działanie historyografii niemieckiej może być dla nas pouczającym w tej mierze przykładem. Bo jeżeli prawdą jest, że bakałarz niemiecki wywalczył jedność Niemiec, to zasługa ta w połowie przypada niemieckiemu dziejopisarstwu. Myliłby się jednak bardzo ten, ktoby wnosił stąd, że historya ma iść w służbę polityki, że nauka tak wzniosła i piękna ma się stać pospolitym środkiem agitacyjnym. Jeżeli gdzie, to u nas w Polsce nie powinien historyk stawiać prawdy dziejowej pod korcem jakichkolwiek uprzedzeń lub naginać ją do przelotnych wymagań chwili. Nie mamy bowiem powodu wstydzić się naszej przeszłości, ukrywać istotnego znaczenia naszych dziejów, poniżać się do wykrętnego tłumaczenia wypadków lub z lekceważeniem wyrażać się o naszych prawach i instytucyach, których zaniedbanie i wypaczenie przywiodło dopiero Rzeczpospolitą do upadku.

Jeden z najznakomitszych historyków i statystów nowoczesnych, Thiers, powiedział, że „prawda jest pierwszym obowiązkiem dziejopisarza.“ Pamiętać o tem winni szczególniej historycy polscy, bo zadaniem ich jest nie tylko

umiejętne badanie przeszłości, ale i prostowanie mylnych a tak pospolitych u nas niestety wyobrażeń o dziejach narodowych.

Odnosi się to w pierwszym rzędzie do epoki porozbiorowej, traktowanej dotąd przeważnie w sposób legendowy na podstawie pamiętników, często podejrzanej wartości. Najświeższe badania w tym kierunku odsłoniły mnóstwo szczegółów nowych i nieznanych, które tę wielce pouczającą część dziejów naszych znacznie rozjaśniły i w odmiennem cokolwiek przedstawiły świetle. Zestawiając wyniki tych poszukiwań mozolnych i ciekawych, zamierzaliśmy z jednej strony podać czytelnikom pełniejszy niż dotąd obraz usiłowań naszych, mających na celu wywalczenie niepodległości, z drugiej zwrócić uwagę uczonych polskich na potrzebę dalszych badań tego zaniedbanego okresu. Wolni od wszelakich uprzedzeń politycznych, szliśmy w opowiadaniu naszem jedynie za głosem prawdy, wierząc niezachwianie w jej siłę ożywczą i zwycięstwo, a jeżeli mimo to nie uniknęliśmy błędów i usterek, to niech nas wytłumaczy przed pobłażliwym czytelnikiem ułomność natury ludzkiej i trudność przedsięwzięcia.

August Sokołowski.

Treść tomu IV

Strona

Okres drugi. — Gwarancya rosyjska aż do czteroletniego Sejmu.

Sejm z roku 1773. — Tadeusz Rejtan. — Delegacya prawodawcza. — Komissya Edukacyjna. — Rada Nieustająca 1069

Powolne dźwiganie się Rzeczypospolitej. — Rozwój ekonomiczny. — Reforma wychowania. — Oświata. — Literatura 1080

Sejm 1776 r. — Opozycya. — Zbiór ustaw Zamoyskiego. — Sprawa Sołtyka. — Wojna turecko-rosyjska. — Proces Dugrumowej 1096

Okres trzeci. — Sejm czteroletni.

Położenie polityczne Europy. — Podróż Stanisława Augusta do Kaniowa. — Zwołanie Wielkiego Sejmu. — Opozycya 1103

Naprawa stosunków społecznych. — Ustawa dla miast. — Kwestya włościańska i żydowska 1120

Stosunki polityczne. — Traktat z Prusami 1132

Ustanowienie konstytucyi 3. maja . . 1142

Dalsze prace ustawodawcze Wielkiego Sejmu. — Malkontenci. — Targowica. — Wojna 1792 r. 1153

Okres czwarty. — Ostatnie rozbiory.

Czynności konfederacyi targowickiej. — Drugi rozbiór. — Sejm grodzieński 1181

Powstanie narodowe w 1794 r. — Emigracya. — Poselstwo Kościuszki. — Ogłoszenie insurrekcyi 1193

Racławice. — Oswobodzenie Warszawy. — Czynności organizacyjne. — Szczekociny. — Oblężenie Warszawy . . 1202

Strona

Kampania litewska. — Klęska pod Maciejowicami. — Wzięcie Warszawy 1220

Ostatni rozbiór Polski w r. 1795 . . 1227

Epoka czwarta.

Dzieje Polski porozbiorowe.

Okres pierwszy, Napoleoński od roku 1795 do 1815.

Stan Galicyi pod rządem austryackim. — Legiony 1238

Dalsze losy legionów aż do pokoju w Lunevillu 1801 r. — Zabór rosyjski 1259

Ks. Adam Czartoryski, jego plany i pożyteczna dla kraju działalność. — Koalicya z r. 1805 1300

Czwarta koalicya. — Jena i Auerstädt. Eylau i Friedland. — Pokój w Tylży. — Księstwo Warszawskie 1317

Czasy Księstwa Warszawskiego (1807 do 1815).

Rozległość. — Zaludnienie. — Konstytucya. — Stan kraju 1328

Początki Księstwa Warszawskiego. — Trudności finansowe. — Wady konstytucyi 1337

Pokój tylżycki. — Wojna hiszpańska. — Zjazd w Erfurcie 1345

Saragosa. — Somosierra 1352

Wojna z Austryą w r. 1809. — Najazd na Księstwo Warszawskie. — Bitwa pod Raszynem. — Zdobycie Galicyi 1356

Konfederacya. — Wojna r 1812 . . . 1375

Stan Księstwa. — Powrót z kampanii moskiewskiej. — Książe Poniatowski w Krakowie. — Układy. — Udział Polaków w dalszej wojnie. — Bitwa pod Lipskiem. — Zajęcie Paryża . 1388

Strona

Powrót do kraju. — Kongres wiedeński w r. 1815 1400

Okres drugi Królestwa kongresowego od r. 1815 do 1832.

Stan prowincyj polskich po kongresie. — Wielki książe Konstanty. — Konstytucya 1414

Zatwierdzenie konstytucyi. — Namiestnik. — Rząd nowy. — Stan umysłów. — Pierwszy sejm r. 1818 . 1421

Wielkie Księstwo Poznańskie 1436

Galicya 1438

Rzeczpospolita Krakowska 1440

Zwrot w polityce i usposobieniu Aleksandra. — Zaprowadzenie cenzury. — Drugi sejm w r. 1820. — Zmiana w ministerstwie oświecenia. — Grabowski. — Szaniawski. — Nowosilców. — Prześladowanie młodzieży. — Sprawa wileńska. — Ustąpienie z kuratoryi uniwersytetu Czartoryskiego 1445

Tajne związki 1470

Trzeci Sejm. — Śmierć Aleksandra I. 1477

Mikołaj I. — Rewolucya w Petersburgu. — Odkrycie spisków. — Sąd sejmowy. — Koronacya. — Sejm r. 1830 . . 1489

Powstanie listopadowe.

Stan umysłów. — Spisek podchorążych. — Noc 29. listopada 1510

Rada administracyjna. — Rząd tymczasowy. — Układy w Wierzbnie. — Dyktatura Chłopickiego 1522

Sejm. — Druga dyktatura. — Układy. — Ustąpienie Chłopickiego. — Detronizacya Mikołaja 1538

Wojna. — Stoczek. — Dobre. — Wawer. — Grochów 1556

Skrzynecki wodzem. — Dyplomacya i układy. — Zwrot Dybicza. — Plan Prądzyńskiego. — Rozbicie Geismara pod Wawrem. — Bitwa pod Dębem Wielkim. — Iganie. — Fabiusz Kunktator 1574

Dyplomacya. — Bezczynność Skrzyneckiego. — Upadek powstania wołyńskiego i podolskiego. — Wyprawa na gwardye. — Bitwa pod Ostrołęką 1586

Wrażenie i skutki bitwy ostrołęckiej. — Zamiar reformy rządu. — Sejm i jego działalność. — Smierć Dybicza 1604

Strona

Wyprawa na Rydygiera. — Spisek. — Przybycie Paskiewicza. — Marsz flankowy armii rosyjskiej. — Przejście Wisły. — Wyprawa na Gołowina . 1613

Powstanie na Litwie. — Wyprawa Chłapowskiego i Giełguda. — Atak na Wilno i Szawle. — Wejście do Prus. — Odwrót Dembińskiego . . 1619

Komissya rozpoznawcza sejmowa. — Upadek ducha. — Rada w Bolimowie. — Złożenie z dowództwa Skrzyneckiego. — Dzień 15. sierpnia. — Zmiana rządu 1630

Rządy Krukowieckiego. — Wyprawa Ramoriny. — Oblężenie Warszawy. Szturm dnia 6. i 7. września. — Kapitulacya 1640

Odwrót wojsk polskich. — Rybiński naczelnym wodzem. — Niezgoda. — Dalsze nieposłuszeństwo Ramoriny, wejście jego do Austryi. — Rybiński składa broń w Prusiech. — Różycki. — Koniec powstania 1655

Okres trzeci, emigracyjny od roku 1832 do 1864.

Mściwa polityka Mikołaja. — Nowy stan rzeczy w Królestwie Polskiem i w prowincyach zabranych. — Statut organiczny. — Prześladowania religijne 1660

Emigracya. — Walka stronnictw. — Wyprawa Zaliwskiego. — Stosunki galicyjskie. — Zjazd w Münchengrätz 1686

Zabiegi dyplomatyczne emigracyi. — Oburzenie przeciw Czartoryskiemu. — Maurycy Mochnacki. — Centralizacya wersalska. — Literatura emigracyjna 1705

Stan kraju. — Wielkopolska. — Rzeczpospolita krakowska. — Galicya. — Spiski. — Szymon Konarski. — Towiański. — Rok 1846 1727

Wrażenie wypadków galicyjskich. — Dyplomacya. — Kapuściński i Teofil Wiśniowski 1780

Rok 1848 1785

Wielkie Księstwo Poznańskie i Galicya 1789

Stan Galicyi po r. 1849. — Gołuchowski. — Dyplom październikowy 1816

Zabór rosyjski. — Wojna krymska. — Ostatnie lata panowania Mikołaja I. 1817

Aleksander II. — Nadzieje i zawody. Kongres paryski. — Stronnictwa. — Towarzystwo rolnicze. — Kwestya włościańska. — Początek manifestacyj 1821

Strona

Projekt adresu. — Dalsze manifestacye. — Dzień 27. lutego 1861 r. — Pięć ofiar. — Delegacya. — Adres. — Wielopolski. — Koncessye. — Dzień 8. kwietnia 1833

Śmierć Gorczakowa. — Suchozanet. — Zgon ks. Adama Czartoryskiego i Lelewela. — Lambert. — Zamknięcie kościołów. — Lüders. — Wielopolski w Petersburgu 1814

Strona

Zwycięstwo Wielopolskiego. — Reformy. — Wielki książe Konstanty namiestnikiem. — Działanie Czerwonych. — — Jarosław Dąbrowski. — Komitet centralny. — Zamach na Lüdersa . 1847

Reformy i błędy Wielopolskiego. — — Ruch wzmaga się i obejmuje kraj cały. — Rząd narodowy. — Granka. — Powstanie. — Zakończenie . . . 1852

Omyłki w druku.

Str. 1359, wiersz 13 i 35 od góry: zamiast Godębski czytaj Godebski.
Str. 1443, wiersz 2 od dołu: zamiast odnaleziono czytaj odnalezione.
Str. 1458, wiersz 3 od dołu: zam. Koźmiona czyt. Koźmiana.
Str. 1466, wiersz 11 od góry: zam. Półajnowskim czyt. Półjanowskim.
Str. 1475, wiersz 2 od góry: zam. Jeuszow czyt. Feuszow.
Str. 1515, wiersz 1 od dołu: zam. Opowiadania Barzykowskiego czyt. Historya powstania; błąd ten kilkakrotnie powtarzający się wszędzie poprawić należy.
Str. 1679, wiersz 15 od góry: zam. Manryky czyt. Makryny.
Str. 1683, wiersz 9 od dołu: zam. Bazyliamek czyt. Bazylianek.
Str. 1683, wiersz 9 od dołu: zam. Siemiaszky czyt. Siemaszki.
Str. 1722, wiersz 10 od góry: zam. władzy czyt. wiedzy.
Str. 1761, wiersz 3 od dołu: zam. Maciszewskiemu czyt. Meciszewskiemu.
Str. 1771, wiersz 23 od góry: zam. Trąmczyński czyt. Trąmpczyński.
Str. 1777, wiersz 7 od dołu: zam. Mazaracki czyt. Mazaraki.
Str. 1781, wiersz 24 od góry: zam. traktawała czyt. traktowała.
Str. 1783, wiersz 17 od dołu: zam. 1864 czyt. 1846.
Str. 1783, wiersz 16 od dołu: zam. bocheński czyt. Bocheński.
Str. 1783, wiersz 15 od dołu: zam. przybylski czyt. Przybylski.
Str. 1804, wiersz 20 od góry: zam. szkodliwą pożyteczną czyt. szkodliwej pożytecznej.

OKRES DRUGI. Gwarancya rosyjska aż do czteroletniego sejmu.

Sejm z roku 1773. — Tadeusz Rejtan. — Delegacya prawodawcza. — Komisya edukacyjna. — Rada Nieustająca. Traktat podziałowy z d. 5. sierpnia roku 1772. zamknął właściwie historyą niezawisłej Polski. Od czasów sejmu niemego poddana pod wpływ rosyjski, zachowała ona zawsze jeszcze i nieuszczuplone państwa granice i pozorną przynajmniej niezależność, usiłowała od czasu do czasu otrząść się z narzuconego sobie jarzma, wchodziła w polityczne kombinacye mocarstw europejskich, miała swobodę ruchów, krępowaną tylko przez nieszczęsne liberum veto. W cztery lata po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta zniknęła i ta pozorna samodzielność Rzeczypospolitej, a pierwszy ruch orężny przeciw bezprzykładnemu w dziejach chrześcijaństwa pogwałceniu praw narodowych, skończył się katastrofą podziału. Zastawała ona kraj wyniszczony kilkuletnią wojną, społeczeństwo częścią zdemoralizowane, częścią zobojętniałe pod wrażeniem klęsk nieustannych, dwory europejskie zgangrenowane zgnilizną zepsucia lub zarażone cynizmem, świat stary znużony i przygotowujący się do strasznych wstrząśnień wielkiej rewolucyi. Toż nic dziwnego, że ta Polska, nieopatrzna i nieoględna wprawdzie, ale wierząca w sprawiedliwość Boską i ludzką, wyobrażająca sobie w politycznej swojej naiwności, że jest niezbędnie potrzebną dla utrzymania równowagi europejskiej, ujrzała się sama, bezbronna, bez przyjaciół, niemal bez współczucia.

Pierwsze kroki dyplomatyczne, dość późno przez dwór polski podjęte, spotkały się z zupełną mocarstw obojętnością. Francya, sama w kłopotliwem dość położeniu pod nieudolnemi rządami Ludwika XV., doradzała porozumienie z Rosyą, a król angielski Jerzy III. — w mowie tronowej przy zagajeniu parlamentu — nie wspomniał ani słowem o Polsce, owszem radował się z tego, że pokój w Europie nie został zakłócony. Nie pozostało zatem nic innego, jak tylko na własnych polegać siłach, a gdy walka orężna była niepodobieństwem, użyć wszelkich środków przynajmniej do ratowania honoru narodowego i odwrócenia dalszych nieszczęść, jakiemi traktat podziałowy Rzeczypospolitej zagrażał.

Deklaracye trzech mocarstw, ogłoszone dnia 5., 11. i 13. września, starały się usprawiedliwić przed światem gwałt dokonany, zwalały winę rozbioru z całym cynizmem na anarchiczne stosunki w Rzeczypospolitej, których utrzymanie było dziełem intryg i przemocy prusko-rosyjskiej, i wysilały się na historyczne wywody w celu uzasadnienia praw swoich do prowincyj okupowanych. Fryderyk II. występował przy tej sposobności jako spadkobierca

„książąt Pomeranii“, którym królowie polscy gwałtownie „wydarli kraj podle lewego brzegu Wisły i Noteci“ (!).

Równocześnie z ogłoszeniem tych dziwolągów stylu i argumentacyi historycznej, zjechali do Warszawy posłowie mocarstw rozbiorowych. Miejsce Salderna, który — jako fałszerz i oszust, na reklamacye dworu berlińskiego — miał być odstawiony w kajdanach do Petersburga, ale z pomocą Panina wczas jeszcze umknąć zdołał, zajął baron Stackelberg, sprawy austryackie prowadził Rewitzky, a chciwość pruską reprezentował godnie dalej stary Benoit. Wszyscy trzej wręczyli ministrom polskim dnia 18. września notę, domagającą się zwołania sejmu, w celu uspokojenia Rzeczypospolitej i uznania pretensyj austryacko-prusko-rosyjskich. Sprawa była niezmiernie ważna, bo układ podziałowy — nieokreśliwszy dokładnie granic zaborów — oddawał Rzeczpospolitą zupełnie na łaskę chciwych sąsiadów. Król pruski nie wahał się też zająć znaczny obszar kraju po lewym brzegu Noteci tak daleko, jak wylewy tej rzeki sięgały, komisarze austryaccy, szukając naprożno nieistniejącej rzeki „Podhorce“, dotarli aż do Zbrucza i wciągali do swego udziału Kaźmierz krakowski, utrzymując, że leżał niegdyś na prawym brzegu Wisły, jednem słowem zaostrzony apetyt zaborców gotował się do dalszego uszczuplenia granic polskich. W takiem położeniu należało jak najprędzej koniec okupacyi położyć i — godząc się z nieuniknioną już katastrofą — przeszkodzić dalszemu rozdrapaniu kraju. Ale jak zwykle w takich wypadkach bywa, tak i teraz niezdołano powziąć stanowczej decyzyi. Na radzie senatu, zebranej nielicznie (27 senatorów), objawiły się zdania rozmaite: kasztelan łęczycki Lipski pragnął zwołać pospolite ruszenie i zginąć przynajmniej z honorem, Młodziejowski doradzał „uległość zaborczym potencyom“, Krasiński — listem ogłoszonym publicznie — przestrzegał przed zwołaniem sejmu i zachęcał do wytrwałości. Rada spełzła na niczem; Stackelberg rozdrażniony kazał porwać biskupa Krasińskiego z Byczyny, gdzie się ukrywał, Katarzyna postawiła ultimatum, w którem domagała się zwołania sejmu na dzień 12. marca i załatwienia wciągu jednego miesiąca wszystkich traktatów podziałowych, grożąc, że w przeciwnym razie mocarstwa i inne prowincye zabiorą.

Gwałtownym tym krokom towarzyszyły łagodniejsze cokolwiek środki dla uspokojenia rozgoryczonych umysłów. Uwolniono więc senatorów, wywiezionych w roku 1767., Stackelberg wypuścił z aresztu Krasińskiego, ale zarazem posuwały się wojska sprzymierzonych ku Warszawie, aby postrachem bagnetów wymusić na królu i senatorach zwołanie sejmu i pacyfikacyą. Pod takim naciskiem odbyła się druga rada senatu i wyszły wreszcie uniwersały królewskie, zwołujące sejm na 19. kwietnia. Brać czy nie brać udziału w tem zgromadzeniu przemocą narzuconem i mającem usankcyonować dzieło zaborcze, oto było pytanie, jakie sobie wtedy powszechnie zadawano.

Krasiński i Sołtyk, o którym umyślnie rozpuszczono wieści, że dostał obłąkania, że działa w porozumieniu z Stackelbergiem, oświadczyli się za abstynencyą, a głos ich był tak potężnym, że po całym kraju rozległy się głośne przeciw podziałowi protesty, że zerwano 32 sejmiki i że dopiero pod grozą bagnetów zdołano zebrać 111 posłów, a więc zaledwie połowę liczby zwy-

czajnej. Jeżeli te objawy oburzenia świadczyły chlubnie o patryotyzmie stanu rycerskiego, jeżeli dziś jeszcze dowodzą nam, że demoralizacya i upadek społeczeństwa nie były tak wielkie ani tak powszechne, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało, to z drugiej strony znowu zaprzeczyć niepodobna, że to usuwanie się dobrych żywiołów od udziału w sejmie wprowadziło do izby poselskiej w roku 1773. szumowiny społeczeństwa i ściągnęło na naród polski niezasłużenie hańbę sprzedajności i niesłychanego upodlenia. Inaczej zapewne wyglądałby sejm ów nieszczęśliwy, gdyby zamiast Ponińskich, Jezierskich i im podobnych, zasiedli w izbie poselskiej ludzie o wyrobionych charakterach, ożywieni prawdziwą miłością ojczyzny. Tymczasem hasło abstynencyi, wydane w najlepszej zresztą myśli, oddało mandaty poselskie najnikczemniejszym i najnieudolniejszym. Wyjątek pod tym względem stanowiło województwo nowogrodzkie, gdzie obrano Tadeusza Rejtana i Korsaka. Rejtan, syn podkomorzego nowogrodzkiego Dominika i Weroniki Wołodkowiczowej, siostrzeniec poczciwego biskupa unickiego Wołodkowicza, brał udział żywy w konfederacyi barskiej, tułał się następnie po Wołoszczyźnie, wreszcie powrócił pod strzechę domową i otrzymał od braci-szlachty mandat poselski wraz z instrukcyą, aby bronił do upadłego całości Rzeczypospolitej.[1]) Zadanie zdawało się niezbyt trudnem, bo każdemu posłowi przysługiwało prawo zerwania sejmu przez liberum veto, obwarowane na żądanie samej Rosyi ustawą z roku 1768. Ale i na to wynalazł środek Stackelberg. Sejm miał się związać w konfederacyą, a wtedy wszystkie sprawy musiały być rozstrzygane większością głosów i liberum veto traciło całe znaczenie. Było to znowu nic innego, jak tylko pogwałcenie praw obowiązujących, bo na wyraźne żądanie Rosyi sejm z r. 1768. zniósł raz na zawsze wszelkie konfederacye, w tym czasie jednak, gdzie rządziły gwałt i przemoc, mało się o to troszczono i ambasador z góry już ułożył cały program działania, mianowicie wyszukał odpowiedniego kandydata na marszałka konfederacyi. A że władza marszałkowska w takich wypadkach była nieograniczona i równała się dyktaturze, więc Stackelberg był pewnym, że — mając po swojej myśli marszałka — wszystkiego zresztą dokaże. Kandydatem jego był Adam Łodzia Poniński, syn starosty wschowskiego Macieja, kuchmistrz wielki koronny i komandor zakonu maltańskiego. Należąc stale do partyi saskiej, brał on udział w konfederacyi radomskiej, wszedł następnie do t. zw. rady patryotycznej i stał odtąd na żołdzie rosyjskim. Człowiek bez zasad i charakteru, cynik, hulaka i szuler, trwoniący miliony tak długo, aż wreszcie umarł w nędzy ostatniej, gotów był Poniński uczynić wszystko dla miłego grosza, dla osiągnięcia władzy i zaszczytów. Jakoż nietylko piął się do laski marszałkowskiej, ale ułożył nadto memoryał niegodziwy o przyszłem urządzeniu Rzeczypospolitej, który następnie stał się podstawą pracy ustawodawczej dla osławionej „delegacyi.“

Osiągnąwszy gwałtownemi środkami i bezprzykładną bezczelnością mandat poselski z ziemi liwskiej, skłonił on przed rozpoczęciem sejmu 75 posłów do podpisania rewersu na przystąpienie do konfederacyi i pewny swego, zwłaszcza

[1]) J. Szujski: „Tadeusz Rejtan na sejmie 1773. roku“. Dzieła, serya II, t. VI, str. 100.

że Warszawa była zajęta przez wojska pruskie, moskiewskie i austryackie, gotował się do objęcia naczelnej nad państwem władzy. Kiedy jednakże po zagajeniu sejmu przez posła krakowskiego Łętowskiego, który zawiadomił izbę o zawiązaniu konfederacyi i wezwał marszałków: Ponińskiego dla Korony, a Michała Radziwiłła dla Litwy do objęcia lasek i urzędów, zaprotestował przeciw temu pogwałceniu praw i wolności najpierw Rejtan, a następnie kolega jego Korsak. Napróżno usiłował bezczelny Poniński — porwawszy laskę marszałkowską — prowadzić dalej obrady, Rejtan usiadł na miejscu drugiego marszałka, nieobecnego Radziwiłła, i — biorąc jego laskę — zawołał do Ponińskiego: „Takim ja marszałek, jak ty!“ Zbity z tropu w ten sposób Poniński odłożył sesyą do dnia jutrzejszego. Nazajutrz jednak o naznaczonej godzinie stanął przy krześle marszałkowskiem Rejtan wraz z opozycyjnymi posłami (było ich jedenastu), aby nie dopuścić do zagajenia sesyi. Poniński zjawia się we drzwiach sali i solwuje posiedzenie znowu do jutra, a sam oblatuje w grodzie warszawskim akt konfederacki i zanosi skargę przeciw Rejtanowi o pogwałcenie laski marszałkowskiej i obelgi, wymierzone przeciw marszałkowi. Na drugi dzień (dnia 21. kwietnia) powtórzyła się tasama scena. Opozycyjni posłowie z Rejtanem na czele przybyli już o godzinie 7-mej z rana do izby, przeciskając się z trudnością przez tłumy arbitrów i gęsto rozstawioną straż marszałkowską, która nikogo oprócz posłów nie wpuszczała. O godzinie 12-tej zjawili się stronnicy Ponińskiego, przyjęci przez publiczność okrzykami: „Nie zdradzajcie ojczyzny!“ Poniński nie przybył; on zwołał tymczasem do mieszkania swego radę konfederacką, złożoną z podobnych sobie kreatur, aby króla zawezwać do przystąpienia do konfederacyi i Rejtana skazać na infamią. Król ustąpił, nie ustąpił Rejtan. Kiedy pod wieczór znany awanturnik Marcin Lubomirski imieniem Ponińskiego solwował znowu sesyą, a posłowie konfederaccy salę opuścić chcieli, stanął we drzwiach Rejtan, zaklinając wychodzących, aby się wstrzymali i przystąpili raczej do wyboru marszałka sejmowego. A gdy słowa jego odbiły się bez skutku o miedziane czoła jurgieltników lub małodusznych, wtedy on — zmęczony całodzienną walką i głodem zmorzony — padł u progu izby sejmowej, powtarzając ochrypłym głosem straszne swoje zaklęcia. W niemem przerażeniu patrzyli na tę scenę tragiczną zbici gęstym tłumem u drzwi arbitrowie, zgrozą przejęci zatrzymali się na chwilę posłowie, ale strach i upodlenie przytłumiły w nich uczucie wstydu i hańby. Więc przeskakując lub obchodząc leżącego cisnęli się do drzwi, aby w cieniach zapadającego wieczoru ukryć czemprędzej rumieniec wstydu, piętnujący ich wyziębłe serca i gorsze od serc dusze.

W sali sejmowej pozostał Rejtan z towarzyszami do godziny 10-tej. Zadanie ich było skończone. Walka, podjęta przeciw zawiązaniu konfederacyi i w obronie wolnego sejmu, miała cel tak długo, dokąd król naleganiom Stackelberga się opierał. Popołudniu dnia 21. kwietnia zgodził się Stanisław August na konfederacyą, dalsza opozycya zatem stała się bezużyteczną. Zrozumiał to Rejtan i opuścił salę sejmową, aby do niej już więcej nie wrócić, opuścił ją jako tryumfator, z wzniosłem uczuciem spełnionego chlubnie obowiązku obywatelskiego w sercu, chociaż zapewne z pogardą dla tych, co tak jak on ani

czuć ani działać nie chcieli. I nie minęła go za to zasłużona nagroda. Z czcią i szacunkiem spoglądali na niego swoi i obcy. Generał Bibikow wyraził się w obecności Stackelberga, że wszystkim należałoby zdjąć ordery, a zawiesić je na piersiach Rejtana, a generał pruski Lentulus dodał mu straż, aby go ochronić przed zemstą Ponińskiego. Ale straszne wysilenie i rozpacz z powodu upadku ojczyzny złamały to serce wielkie i umysł tak czysty i wzniosły. Na wiadomość o przyjęciu traktatu rozbiorowego przez delegacyą sejmową popadł Rejtan w obłąkanie i umarł w Gruszowie dnia 8. sierpnia 1780. roku.

Po ustąpieniu Rejtana z izby sejmowej poszło już wszystko po myśli mocarstw i Ponińskiego. Sprzeciwiał się wprawdzie konfederacyi biskup łucki Turski, nie godził się król i Czartoryscy na oddanie nieograniczonej władzy nad Rzeczpospolitą w ręce marszałka, Stanisław August wystawiał w obszernej mowie niebezpieczeństwa, jakie wyniknąć mogą z ustanowienia Rady Nieustającej i niezwykłego ograniczenia władzy królewskiej, ale na argumenta te odpowiadali reprezentanci mocarstw rozbiorowych coraz to ostrzejszemi deklaracyami. Gwałt następował po gwałcie. Turskiemu postawiono w mieszkaniu 12 huzarów pruskich, w pałacu Czartoryskich miano zakwaterować 60 żołnierzy, wojska pruskie, rosyjskie i austryackie wkroczyły z trzech stron do Warszawy, Stackelberg sypał pieniądzmi, Poniński wydawał wspaniałe obiady, a pocichu głoszono, że król dąży do absolutnej władzy, że należał do traktatu podziałowego. Nowa nota ambasadorów groziła nadto dalszym rozbiorem. Pod takim naciskiem miękły najtwardsze umysły, topniały szeregi i tak nielicznej opozycyi. Jedni z obawy o siebie i o los ojczyzny, drudzy wiedzeni chęcią zysku, inni przez Ponińskiego zupełnie pozyskani, gotowi byli zgodzić się na wszystko. Wobec tego ustąpił i król i dnia 18. maja 1773. roku podpisał akt limity sejmowej do 15. września, ustanawiający zarazem delegacyą sejmową. „Cokolwiek zaś ci panowie delegaci umówią — brzmiały słowa aktu — ustanowią, podpiszą, to wszystko w trzech stanach skonfederowanych na sejmie (15. września reassumować się mającym) ratyfikować przyrzekamy“.

W ten sposób oddano, bez żadnej instrukcyi nawet, losy Rzeczypospolitej i całą władzę w ręce Ponińskiego i delegacyi, złożonej z kreatur zaprzedanych Moskwie lub zawisłych bezwzględnie od marszałka. Zrozumiał Poniński swoje położenie i wyzyskał je z wyrafinowanym cynizmem. Siedem razy za jego staraniem limitowano sejm konfederacki, siedem kadencyi trwała delegacya, od maja roku 1773. do kwietnia 1775. trząsł ten szalbierz całem państwem, dopuszczając się niesłychanych nadużyć, bogacąc siebie i swoich stronników kosztem Rzeczypospolitej, rozdając urzędy i dobra i spełniając wszelkie mocarstw rozbiorowych rozkazy. Dopomagali mu w tej niecnej robocie nikczemni członkowie delegacyi: kanclerz Młodziejowski, podskarbi Wessel, marszałek nadworny litewski Gurowski, biskup kujawski Ostrowski, wileński Massalski, wojewoda gnieźnieński Sułkowski i cała rzesza posłów bądź zaprzedanych, bądź goniących za zyskiem. Opozycya — z lepszych złożona żywiołów, popierana przez kanclerza Czartoryskiego, biskupów Turskiego i Okęckiego, marszałka wielkiego koronnego Lubomirskiego i wojewody poznańskiego Jabłonowskiego — była liczebnie zbyt słaba, aby jawnemu szalbierstwu przeszko-

dzić i ruinę Rzeczypospolitej powstrzymać. Wśród uczt i orgij szalonych, wśród rozpusty, w której tonęła wtedy cała Warszawa, pracowała szajka nikczemników wesoło nad likwidacyą własnej ojczyzny. Dnia 18. września 1773. roku ukończono układy z mocarstwami zaborczemi i przypieczętowano pierwszy rozbiór. „Gdy przyszło do podpisania traktatów — czytamy w liście współczesnym — stanęły łzy niektórym w oczach. Zaprawdę nieliczni to Izraelici“.

Po tym pierwszym akcie nastąpiła nowa limita sejmu pomimo opozycyi królewskiej. Położenie zmieniło się o tyle, że do delegacyi wszedł Ksawery Branicki, świeżo hetmanem polnym mianowany i kasztelan rawski Walicki, obaj stronnicy Stanisława Augusta.

Król uważał to za pewien rodzaj zwycięstwa, ale właściwie wtedy zgotowano mu najboleśniejsze upokorzenie. Lekkomyślny z usposobienia i lubujący się w teatralnych efektach, wytoczył Stanisław August w początkach r. 1773. proces Strawińskiemu, Łukawskiemu, Kuźmie-Kosińskiemu i ich wspólnikom o zamierzone zabójstwo przy znanym nam już zamachu z r. 1771. W istocie było zamiarem króla ułaskawić obwinionych i odegrać przytem rolę wspaniałomyślnego monarchy, bo ani on sam ani nikt zresztą chyba nie wierzył, aby konfederaci na życie jego rzeczywiście godzili. Ale sąd sejmowy — nie wchodząc w intencye królewskie, lecz owszem chcąc Stanisława Augusta, oponującego przeciw Radzie Nieustającej, skompromitować — wziął rzecz bardzo surowo. Instygator pozwał Kazimierza Pułaskiego, jako inicyatora zamachu, uwięziono Łukawskiego, Cybulskiego i Kuźmę i skazano dwóch pierwszych na śmierć, trzeciego na wygnanie. Napróżno bronił król Kuźmy i Łukawskiego, napróżno prosił członków sądu, aby za wyrokiem śmierci nie głosowali, sprawiedliwość była w tym wypadku nieubłagana, a barbarzyństwo posunięto do tego stopnia, że żonę Łukawskiego zmuszono, aby była obecną przy straceniu męża, co nieszczęśliwa kobieta w trzy dni potem życiem przepłaciła.

Tymczasem delegacya, wyznaczywszy, stosownie do życzeń ambasadorów, komisarzy granicznych, zajęła się sprawami prywatnemi. Pierwszą była skarga Komorowskich przeciw Potockim o porwanie i utopienie Gertrudy. Upadła ona za wdaniem się marszałka wielkiego koronnego Lubomirskiego i wskutek śmierci głównego winowajcy Franciszka Salezego Potockiego († 1771). Nie wiele troszczył się zresztą o rzecz tak błahą w jego rozumnieniu Poniński, gdy lepsza do obłowienia nastręczała się sposobność. Oto zakon kawalerów maltańskich wystąpił z prawami swojemi do ordynacyi ostrogskiej, a — poparty przez dwory zaborcze — pozyskał także i Ponińskiego, który — jak zwykle — własną korzyść miał na względzie. Wprawdzie sejm roku 1766. potwierdził transakcyą, jaką zawarł był Sanguszko z rozmaitemi rodzinami o podział ordynacyi, zawarował jednak, że z dochodów ordynackich 300.000 złotych polskich miało wpływać co roku do skarbu. Otóż zakon maltański uczepił się teraz tej reszty i dopiął swego. Urwano ubogiemu skarbowi z owych 300.000 złotych polskich sumę 120.000 i przeznaczono $^3/_4$ części z tego na utrzymanie wielkiego przeora i ośmiu komandoryj zakonnych w Polsce, czwartą część zabierała Malta. Wielkim przeorem został, za dyspenzą papieską, bo był żonatym, Poniński, z roczoną pensyą 42.000 złotych polskich.

Stanisław August Poniatowski zaprzysięga konstytucyą 3-go maja.

Zaledwie załatwiono tę kwestyą, kiedy na porządku dziennym stanęła inna, o wiele ważniejsza. Papież Klemens XIV. zniósł 21. lipca 1773. roku zakon Jezuitów. Zachodziło więc pytanie, na jaki cel mają być obrócone ogromne majątki skasowanego towarzystwa Jezusowego? Młodziejowski, Chreptowicz i Massalski uczynili wniosek, aby posiadłości tych użyto na cele wychowania publicznego. Myśl nie była nowa, bo podnoszono ją już raz podczas rokoszu Zebrzydowskiego, ale nie było z początku zgody na sposób wykonania. Michał Czartoryski radził ustanowić osobną komisyą, któraby zlustrowała i w zarząd objęła majątki jezuickie. Wniosek ten, mający na celu zachowanie bardzo znacznych dochodów w zupełności dla skarbu publicznego, nie podobał się oczywiście Ponińskiemu, przedstawił więc projekt własny, aby dobra jezuickie puścić w dzierżawę emfiteutyczną. Wobec tylu sprzecznych zdań — bo i Chreptowicz miał swój wniosek, żądał mianowicie sprzedania wszystkich dóbr w drodze publicznej licytacyi — nie powzięto narazie żadnej uchwały, lecz uchwalono jedynie ustanowić komisyą edukacyjną i wyznaczyć lustratorów do objęcia dóbr pojezuickich.

W skład komisyi edukacyjnej, oddanej pod prezydencyą biskupa wileńskiego Massalskiego, weszli: biskup płocki Michał Poniatowski, wojewoda gnieźnieński Antoni Sułkowski, podkanclerzy litewski Chreptowicz, pisarz litewski Ignacy Potocki, Adam Czartoryski, były kanclerz Andrzej Zamoyski i starosta kopanicki Poniński, wybór — jak widzimy — z małemi wyjątkami dobry, tak, że dziwić się właściwie należy, że w tych warunkach opłakanych tylu zacnych powołano ludzi do dzieła, dla Rzeczypospolitej i dla przyszłości narodu najważniejszego. Myśl ustanowienia komisyi edukacyjnej i zasada, jaką się przy tem kierowano, nie były także w Polsce nowością. Dawno bardzo, bo przed 200-tu laty, podsuwał projekt podobny Stefanowi Batoremu Krzysztof Warszewicki, w 50 lat po nim doradzał Kasper Siemek[1]), aby Rzeczpospolita sama wychowaniem obywateli się zajęła, bo od dobrej edukacyi szczęście społeczeństwa i państwa zawisło. Czasy następne pełne burz, klęskami brzemienne, niepozwoliły na wykonanie tych zbawiennych zamiarów; spełniały się one teraz zbiegiem niespodziewanym okoliczności i otwierały wśród najstraszniejszego ucisku narodowi drogę wiodącą do lepszej przyszłości. Ujęcie wychowania publicznego w karby państwowego porządku, a — co więcej jeszcze — znakomita działalność komisyi, podniosły w krótkim stosunkowo czasie oświatę z zaniedbania, w jakiem dotąd po większej części się znajdowała i pokryły kraj cały siecią szkół, których wyborna organizacya wprawiała w podziw niechętnych nam cudzoziemców i stała się słusznie chlubą narodu, nawet po jego zupełnym upadku.

Ale tak jak cała praca delegacyjna tak i reforma edukacyi musiała przejść przez dantejskie piekło szalbierstw i oszustw Ponińskiego. Pomimo sprzeciwiania się zacniejszych członków delegacyi uchwalono wniosek marszałka o wydzierżawieniu emfiteutycznem dóbr jezuickich i wybrano w tym celu dwie komisye, które z zadania swego wywiązały się w ten sposób, że

[1]) W dziełku „Civis bonus descriptus a Casparo Siemek“, Cracovie 1632.

majątki — szacowane ogólnie na 32,000.000 złotych polskich — przynosiły w roku 1781. zaledwie 800.000 złotych polskich dochodu. Oczywiście rozebrali pomiędzy siebie członkowie delegacyi jak najkorzystniejsze dzierżawy, a i sam król maczał ręce w tej nieczystej sprawie.

Obłowiwszy się sowicie, zapragnął Poniński zaszczytów i rozpoczął wraz z Massalskim starania o uzyskanie tytułu książęcego. Za ich przykładem poszedł Ksawery Branicki, Lubomirscy, Sułkowscy i Jabłonowscy, a że życzenie — rozdającego dobra i pieniądze — było niemal rozkazem, więc delegacya przyznała bez wahania tytuły książęce Ponińskim i Massalskim; Lubomirskiemu, Jabłonowskiemu i Sułkowskiemu pozwolono używać tytułu książąt rzeszy niemieckiej, żądanie Branickiego odrzucono.

Wśród takich i tym podobnych zajęć, jakoby obmyślanych na zbogacenie i wyniesienie członków delegacyi, a na tem większe poniżenie i zrujnowanie Rzeczypospolitej, upłynął cały rok 1773. i połowa następnego. Katarzyna, zatrudniona jeszcze zawsze wojną turecką, nienalegała bardzo na ukończenie robót delegacyjnych, nie czyniły tego także Austrya i Prusy, posuwające orły graniczne pod rozmaitemi pozorami w głąb krajów polskich. Delegacya bowiem, jakkolwiek zatwierdziła traktaty rozbiorowe, z umysłu czyli też z niedbalstwa nie postarała się wcale o ustalenie nowych granic i dała przez to sposobność — szczególniej drapieżnemu królowi pruskiemu — do coraz to nowych pretensyj i towarzyszących im nieodłącznie zaborów. Kiedy jednakże dnia 21. lipca 1774. roku stanął wreszcie pokój pomiędzy Turcyą a Rosyą w Kuczuk-Kajnardże, zapłacony przez państwo Osmanów odstąpieniem Kabardyi, Kerczu, Jenikala i Kinburnu i zapewniający podobną wolność Tatarom krymskim, jaką z łaski carowej miała Polska, zmieniło się położenie odrazu, ambasadorowie zażądali, aby delegacya w przeciągu ośmiu dni przyjęła projekt o Radzie Nieustającej i o reformie rządu Rzeczypospolitej. Zatrwożona cokolwiek delegacya zabrała się raźniej do dzieła, a chociaż terminu oznaczonego nie dotrzymała, to jednak w krótkim stosunkowo czasie (do kwietnia r. 1775.) załatwiła się z najważniejszą czynnością swoją, z reformą rządu i władzy najwyższej. Nie obeszło się i teraz bez opozycyi lepszych i zacniejszych posłów, bez skrupułów i wahania ze strony króla, który nie chciał zgodzić się na zupełne ograniczenie i tak szczupłego zakresu swojej władzy, ale terroryzm Ponińskiego, nacisk ambasadorów — grożących użyciem siły zbrojnej — i równie skuteczne środki korrupcyjne, złamały wkońcu wszelki opór. Poniński nie wahał się — otoczony lokajami i masztalerzami — napaść na jednego z posłów opozycyjnych, Czetwertyńskiego, znajdującego się w mieszkaniu ks. Woronieckiego, i czynnie go znieważyć, Stackelberg oświadczył królowi, że go osobiście pociągnie do odpowiedzialności za dalszą zwłokę w dokonaniu reformy, a któż zliczy te pokusy i groźby, które w ukryciu — między czterema ścianami — miękczyły lub łamały hartowniejsze serca i tęższe umysły? Sam król, obdłużony, wyciągający niestety nieraz rękę po wsparcie do Petersburga, przyjął z cichą w głębi duszy wdzięcznością projekt, jakby na pocieszenie strapionego obmyślony, a uwalniający go do czasu od trosk uciążliwych. Na wniosek Młodziejowskiego uchwalono 7,000.000 na spłacenie długów kró-

lewskich i tyleż rocznego dlań dochodu i oddano mu na własność dziedziczną cztery starostwa: białocerkiewskie, bohusławskie, kaniowskie i chmielnickie, przynoszące podług najniższego szacunku 216.000 złotych polskich rocznego dochodu. Zaprawdę Rzeczpospolita, kwitnąca siłą i zdrowiem i opływająca w dostatki, nie wynagradzała najznakomitszych monarchów swoich tak szczodrem uposażeniem. Ale w chwili, gdy wszyscy dzielili się bezwstydnie szatami umierającej i ten syn jej najstarszy nie był niestety lepszym od innych, był może gorszym nawet. Królowie polscy nieposiadali nigdy znacznych dochodów w gotówce. Majątek ich stanowiły dobra bardzo rozległe, ale zmniejszające się wskutek znanej hojności Jagiellonów i skromniejszych nadań ich następców, dochody z żup solnych, ceł, poczt, konfiskat i t. p. Nie było to wiele, ale wystarczało zawsze na przyzwoite utrzymanie dworu i osoby królewskiej, zwłaszcza że z ekonomij i dóbr stołowych dostarczano w naturze wszystkiego, czego kuchnia i szpiżarnia potrzebowała. Stanisław August znalazł się więc — po wstąpieniu na tron — w położeniu niezgorszem. Dochody jego wynosiły wciągu pierwszych trzech lat (1764—1767) 18,291.262 złotych polskich,[1]) wydatki zwyczajne w tym okresie nieprzechodziły sumy siedmiu milionów. Można było więc żyć dobrze i dostatnio i z tego nawet co pozostało wydawać wiele na cele publiczne, na dzieła sztuki i przyjemności. Ale Stanisław August, jakkolwiek urodzony i wychowany w skromnych stosunkowo warunkach, zaczął natychmiast naśladować dwór francuski; od Lubomirskich zakupił Łazienki za 1,100.000 złotych polskich, przebudował pałac Ujazdowski i utrzymywał cały zastęp kochanek, które — począwszy od pani Lullié, „uczonej wdowy po tapicerze“ — ogromne pochłaniały sumy, pod zagadkową nazwą pensyj „gratiskowych“. Stąd poszło, że zamiast oszczędzać, zaczął brnąć w długi, pożyczać najpierw u krewnych i przyjaciół na wysoki procent, a następnie — gdy te źródła się wyczerpały — żebrać o zasiłki w Petersburgu i u ambasadorów rosyjskich w Warszawie. Nic nie może być wstrętniejszego i boleśniejszego zarazem, jak widok tego króla, wyciągającego rękę po wsparcie tam, skąd najstraszniejsze ciosy spadały na jego własną ojczyznę, na jego majestat i powagę monarszą. A jednak dokumenta autentyczne stwierdzają, że Stanisław August od 17. września 1764. roku do 1771. pobrał od Rosyi 154.000 czerwonych złotych, że carowa dała mu na urządzenie dworu 100.000 dukatów, że więc wciągu lat siedmiu zasiłki tego rodzaju wyniosły znaczną sumę 4,572.000 złotych polskich, a pomimo tego jeszcze zaciągnął 7,000.000 długów. Że te stosunki pieniężne musiały czynić króla zawisłym od dworu petersburskiego i poniżać go w oczach takiego Repnina lub Salderna, u których brał po 5000 lub nawet po 2000 dukatów, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Nie można się też dziwić, że przy ogólnem rozdrapywaniu majątków Rzeczypospolitej i on także o część swoją się upomniał, wolimy w każdym razie, że żebrał u swoich niż u obcych.

Za przykładem króla szli inni, najbliżsi jemu i dalsi, tak, że mało który z członków delegacyi wrócił do domu z próżnemi rękami. Poniński na własne

[1]) Korzon: „Dzieje wewnętrzne“, t. III, str. 12.

żądanie otrzymał 100.000 złotych polskich rocznej pensyi, 400.000 jednorazowej gratyfikacyi i kilka wiosek w dodatku; Marcin Lubomirski dostał za „znakomite usługi“ dobra barskie; siostra królewska — „pani krakowska“ — Branicka, starostwo i leśnictwo bielskie; Sułkowski starostwo odolanowskie, że o innych mniej znacznych darowiznach przemilczymy. Wszystkie te olbrzymie rachunki zapłaciła Rzeczpospolita tracąc równocześnie — po ostatecznem rozgraniczeniu — przeszło 4000 mil kwadratowych obszaru na rzecz mocarstw rozbiorowych. Austrya wzięła z tego 1710 mil kwadratowych i 2,580.796 ludności, Prusy 629 mil kwadratowych i 860.000 ludności, a Rosya 1586 mil kwadratowych i 1,206.618 głów. W nagrodę za tak znaczne ofiary otrzymała Polska rząd, który — podług najlepszych intencyj państw interesowanych — miał ją ubezwładnić na zawsze.[1]) Prawdopodobnie na wzór konstytucyi szwedzkiej, obalonej wtenczas przez Gustawa III. (w roku 1772.), ułożyli ambasadorowie projekt zreformowania Rzeczypospolitej, po pierwszych objawach oburzenia i opozycyi przyjęty wraz z gwarancyą rosyjską, w głównych zasadach całkowicie przez delegacyą i sejm z roku 1775.

Zatrzymywano więc elekcyjność tronu, ograniczoną tylko do wyboru Piasta, a z wykluczeniem synów i wnuków ostatniego króla, zachowano liberum veto i republikańską formę rządu i ustanowiono Radę Nieustającą, która w rękach swoich całą skupiała władzę. Składała się ona z 36 osób, 18 senatorów z ministrami i 18 reprezentantów stanu rycerskiego, wybieranych na przeciąg dwóch lat przez sejm w tajnem głosowaniu. Członkowie Rady, z wyjątkiem biskupów i ministrów, pobierali po 14.000 złotych polskich pensyi, marszałek 30.000. Tak utworzona Rada dzieliła się na pięć departamentów: 1. interesów cudzoziemskich, pod prezydencyą jednego z kanclerzy; 2. policyi, pod prezydencyą marszałka wielkiego koronnego; 3. wojskowy, pod przewodnictwem hetmana; 4. sprawiedliwości; 5. skarbu, pod prezydencyą podskarbich. Królowi pozostawiono prezesostwo w Radzie, zwoływanie sejmów za uchwałą Rady i prawo mianowania biskupów, ministrów i senatorów, ale tylko z trzech kandydatów, przez Radę przedstawionych. Obrany tak z wszelkiej władzy, bo i rozdawnictwo królewszczyzn miał odjęte, był król niczem innem, jak prezydentem oligarchicznej Rzeczypospolitej. Nie lepszy rezultat dały także reformy skarbowe.

Postawiono wprawdzie bardzo słuszną i korzystną dla państwa zasadę, że wszystkie urzędy miały być odtąd płatne, co mniejsze za sobą pociągało koszta, niż wyposażanie starostwami i królewszczyznami bogatych skądinąd senatorów, ułożono budżet roczny na 32,000.000—33,000.000, obiecywano sobie utrzymywać z tego 30.000 wojska, ale kiedy przyszło do wyszukania nowych źródeł dochodu, okazało się, że pomimo zaprowadzenia stempli, podatku tabacznego i ulepszeń rozmaitych przy pobieraniu innych podatków, dwuletni dochód dał zaledwie 35,000.000 złotych polskich. Odbiło się to oczywiście głównie na sile zbrojnej, bo gdy sejm roku 1675. przeznaczył na utrzymanie wojska 12,000.000, następne musiały wydatek ten ograniczyć do

[1]) Hoffman: „Historya reform politycznych w dawnej Polsce“. Lipsk 1867. Str. 272.

6,290.000 złotych polskich, z czego sam sztab generalny, hetmanie i wyżsi oficerowie pobierali 410.000 złotych polskich.

Powolne dźwiganie się Rzeczypospolitej. — Rozwój ekonomiczny. — Reforma wychowania. — Oświata. — Literatura. Z strasznej katastrofy pierwszego podziału wyszła Polska uszczuplona w granicach swoich i oddana zupełnie niemal na łaskę gwarancyi rosyjskiej, wyszła sponiewierana w oczach Europy, zhańbiona w poczuciu własnem i pozbawiona wreszcie wszelkiej możności zreformowania narzuconego sobie rządu A jednak mimo tego rozpaczliwego położenia nastąpił teraz właśnie 15-letni okres powolnego wprawdzie lecz stałego dźwigania się narodu, jakby na dowód, że żywotność zdrowego organizmu nawet najcięższe zdoła pokonać choroby. Na pochwałę społeczeństwa ówczesnego powiedzieć należy, że — skoro tylko przeminęły pierwsze wrażenia żalu i boleści, jaką uczuwać musiały wszystkie serca zacne z powodu upadku ojczyzny — zaczęto zastanawiać się natychmiast poważnie nad położeniem Rzeczypospolitej i zamiast oddawać się bezmyślnej rozpaczy, chwycono się skutecznych środków do podniesienia kraju pod względem ekonomicznym i społecznym. Pierwsze zadanie, jako bliżej obchodzące bezpośrednio każdego i koniecznością utrzymania i polepszenia bytu wywołane, szybsze też wydało rezultaty.

Polska była krajem wyłącznie niemal — jak dotąd — rolniczym i czerpała zasoby swoje ze sprzedaży płodów surowych. Urodzajność i rozległość ziemi sprawiały jednak, że nasze gospodarstwo rolne i leśne znajdowało się na bardzo niskim stopniu rozwoju. Szlachcic polski, posiadający ogromne obszary ziemi, których uprawa — na pańszczyznach oparta — nic go prawie nie kosztowała, nie płacąc przytem ani ceł ani znacznych jak gdzieindziej podatków, prowadził gospodarstwo niedbale i nie myślał wcale o ulepszeniach, które podnosiły wprawdzie produkcyą, ale wymagały poprzednio znacznych nakładów, doświadczenia i nauki. Gospodarowano więc za czasów Stanisława Augusta podobnie jak niegdyś za Jagiellonów w tem przekonaniu, że zawsze znajdzie się głodny cudzoziemiec, który zboże polskie zakupi, a ziemia, wyjałowiona w jednem miejscu, na innem da znowu plon obfity. Pierwszy rozbiór kraju zmienił to korzystne położenie szlachty polskiej. Produkcya i wywóz zaczęły się zmniejszać. Podczas bowiem gdy w latach 1764—1772 wartość zboża wyprowadzonego do Gdańska wynosiła średnio 18,200.000 złotych polskich, spadła ona w następnych latach do 9,290.000 złotych polskich. Nastąpiło to nietylko wskutek oderwania znacznych prowincyj od Rzeczypospolitej, ale także z powodu przeszkód, jakich dotąd niedoznawano. Zabór pruski bowiem, obejmujący dorzecza dolnej Wisły, utrudnił w wysokim stopniu wywóz płodów surowych do Gdańska. Fryderyk II. ustanowił uciążliwe cła na Wiśle i Warcie i wszelkiemi sposobami starał się handlowi polskiemu przeszkadzać. Z drugiej strony utrata kopalni solnych w Wieliczce i Bochni wywołała znaczne podrożenie soli i ubytek wielki w dochodach skarbowych, który trzeba było w inny sposób wynagrodzić. Tak więc nastąpiło przesilenie ekonomiczne i zaczęto szukać pola zbytu dla płodów surowych w kraju, jakoteż nowych źródeł dochodu.

Jedno i drugie było jednak rzeczą niezmiernie trudną z powodu braku oświeconego mieszczaństwa i zupełnego upadku przemysłu. Szlachta, która do tego czasu wszystkie niemal potrzeby swoje zaopatrywała z zagranicy, ujrzała się nagle odciętą od bezpośrednich z krajami obcemi stosunków i zdaną na łaskę celników i rządu pruskiego. Dom Splittbergerów n. p., mający trzy cukrownie w Berlinie a jedną w Wrocławiu, posiadał monopol dostarczania cukru do Polski, a artykuł V. traktatu z roku 1775. orzekał, że „król pruski pozwoli miastom Memel, Tylsyt, Królewiec, Elbląg, Bydgoszcz, Szczecin, Drezdenek i Wrocławowi mieć u siebie towary jedwabne i sukna przednie, fabrykowane w innych krajach na potrzebę Polaków pod kondycyą, że oni obowiążą się wziąć za połowę ceny kupna swego w każdym gatunku towarów, w kraju fabrykowanych i zapłacić 4% za wprowadzenie tychże towarów". Ten sam cel miała Kompania Morska Pruska, założona przez Fryderyka II. i dostarczająca soli do Polski za 6,925.000 złotych polskich.

Wobec takiego jawnego zdzierstwa trzeba było koniecznie myśleć o podniesieniu przemysłu krajowego i o wyszukaniu nowych źródeł solnych i poprawie środków komunikacyjnych. Pierwsze, nieznaczne kroki na polu przemysłowem sięgają jeszcze ostatnich lat panowania Augusta III. Stanisław August niemałe także położył pod tym względem zasługi, założył bowiem po wstąpieniu na tron dobrą mennicę, w dwa lata potem ludwisarnią, razem z kasztelanem łukowskim Jackiem Jezierskim przyczynił się do wynalezienia źródeł solnych w Busku i Solcy i utworzył Kompanią Manufaktur Wełnianych, która jednak rychło zbankrutowała. Krótko przedtem powstają wielkie fabryki żelazne za staraniem biskupów krakowskich Stanisława Załuskiego i Sołtyka, a szczególniej kanclerza wielkiego koronnego Jana Małachowskiego, który w dobrach swoich założył cztery wielkie piece, a miasteczko Końskie uczynił na długie lata ogniskiem przemysłu żelaznego. Za tym przykładem powstaje Jezierskiego fabryka kos w Sobienicach (pod Warszawą) i zastępuje wyroby styryjskie, wyprowadzające za granice kraju corocznie 2,225.000 złotych polskich. Główna jednak praca w tym kierunku rozpoczyna się właściwie po r. 1772., a jednym z najwybitniejszych acz nieszczęśliwych przedsiębiorców jest Antoni Tyzenhaus, podskarbi wielki litewski. Objąwszy w zarząd ekonomie królewskie na Litwie i pozyskawszy w zupełności zaufanie Stanisława Augusta, zaczął on pracować gorączkowo nad podniesieniem przemysłu i oświaty. Założył w krótkim stosunkowo przeciągu czasu 23 fabryki, które zatrudniały 3000 robotników, urządził szkołę kadetów, buchhalteryi i miernictwa, instytut położniczy, szkołę weterynaryjno-chirurgiczno-medyczną i wreszcie ogród botaniczny, który w roku 1778. posiadał 1500 egzotycznych roślin. Wszystkie te fabryki, zakłady i instytucye, położone głównie w Grodnie i jego okolicach, nosiły jednak na sobie piętno pospiechu i dyletantyzmu Sam podskarbi, nie posiadając znajomości rzeczy ani potrzebnego wykształcenia fachowego, sprowadzał z zagranicy cudzoziemców, którzy za drogie pieniądze pracę swoją i wiadomości sprzedawali i zapewne nieraz pokładane w nich zaufanie zawodzili, wytworzenie zaś miejscowej klasy robotniczej było bardzo trudne z powodu uciążliwych stosunków poddańczych. Chłop, wzięty od pługa, pracował

niechętnie w fabryce, bo wiedział, że wolności tem sobie nie kupi, a znaczniejszy jego zarobek stanie się własnością pana.

Pospiech, z jakim działał Tyzenhaus, różnorodność przedsiębiorstw, które zakładał, a zresztą to, co u nas zwyczajnie się dzieje, brak ścisłości rachunkowej i dozoru, wszystko to — razem wzięte — przyprawiło go o zgubę i stało się przyczyną jego bankructwa. Mimoto przykład jego i króla nie był bezskuteczny i pociągnął za sobą mnóstwo naśladowców. Powstały więc warzelnie soli w Busku i Ciechocinku, wielkie kuźnice żelaza w Suchedniowie i Samsonowie, fabryki fajansów, rozszerzono kopalnie węgla kamiennego w województwie krakowskiem; chłop Piotr Pająk wynalazł „dowcipnie“ sekret robienia stali surowej; słowem... na całym obszarze ziem polskich rozpoczęło się nowe życie, którego skutki i w stosunkach społecznych uczuwać się dały.

Stan mieszczański, pogardzony dotąd, odzyskiwał zwolna znaczenie, szlachta bowiem — potrzebując do przedsiębiorstw ludzi fachowo wykształconych, których pomiędzy sobą nie miała, jakoteż kapitałów — musiała mimowoli łączyć się z mieszczaństwem, zasięgać w niejednej sprawie jego rady, korzystać z jego zasobów pieniężnych. Jakoż widzimy, że w Kompanii Manufaktur Wełnianych zasiadają obok Zamoyskich, Potockich i Poniatowskich ludzie mieszczańskiego stanu, jak Piotr Tepper, Dekert, Rafalowicz lub Ziman i że na nich spada właściwie największe brzemię pracy, ba! Prot Potocki, jeden z bogatszych panów polskich, nie wahał się brać lekcyj buchhalteryi u Krugela, i założył następnie na Krakowskiem przedmieściu sklep z towarami angielskiemi, jakoteż interes bankowy na wielką skalę.

Były to — co prawda — wyjątki, dowodziły jednak, że w narodzie — nawskroś przejętym zasadami arystokratyczno-szlacheckiemi — budzą się nowe, świeże prądy, dążące mimowiednie może do zjednoczenia wszystkich warstw społecznych, chociażby tylko narazie pod hasłem pracy ekonomicznej. Charakterystyczną pod tym względem jest ustawa, uchwalona w roku 1774. na wniosek osławionego zresztą Ponińskiego, że „szlachcic, wszelkiego rodzaju kupiectwem się bawiący, szlachectwa swego utracać nie będzie“, i przywrócenie przez delegacyą cła generalnego, obalające jeden z najważniejszych przywilejów stanu szlacheckiego.

Usiłowania prywatnych osób około rozwoju handlu i przemysłu popierał nietylko król, ale i władze administracyjne, nie szczędząc kosztów i zabiegów. Kiedy wskutek ostatniego pokoju z Turcyą morze Czarne stanęło otworem dla statków rosyjskich i w świeżo założonym Chersonie powstało nowe ognisko handlowe, skierował się wywóz płodów surowych z południowych prowincyj Rzeczypospolitej ku tym stronom. W roku 1782. powstała pod przewodnictwem starosty guzowskiego Prota Potockiego Kompania Czarnomorska, a komisya skarbowa koronna wydawała rok po roku dość znaczne sumy na podtrzymanie czarnomorskiego handlu. W roku 1783. ustanowiono nawet w Chersonie konsula polskiego (był nim Antoni Zabłocki), który miał się opiekować kupcami polskimi. Podobny konsulat był też instalowany w Gdańsku.

Rozwój handlu zależał w znacznej części od stosunków komunikacyjnych. Były one w owym czasie w całej Europie jeszcze opłakane i nie o wiele

Julian Niemcewicz.

lepsze od dróg i gościńców polskich. Już sejm roku 1764. zwrócił uwagę swoją w tym kierunku, ale utrzymanie dróg, grobli i mostów pozostało nadal w rękach prywatnych, interesowanych w tem osób, którym pozwolono w zamian za koszta — na ten cel wyłożone — pobierać stosowne opłaty od przejeżdżających.

I pod tym względem więc zależało wszystko niemal od obywateli, gorliwych o dobro kraju i swoje własne. Jakoż niezawiodła się Rzeczpospolita na nich. Za inicyatywą starosty i miecznika pińskiego Mateusza Butrymowicza zbudowano kosztem dziedziców i posesorów okolicznych (od 1778. do 1784. roku) dwa gościńce przez bagna poleskie, a komisye skarbowe przynagliły obywateli do utrzymywania dróg i mostów w stanie jak najlepszym. O troskliwości rządu w tym kierunku świadczy doskonałe urządzenie poczt polskich, które cudzoziemcy stawiają wyżej pod względem szybkości i dokładności od zagranicznych. Turyści obcy wolą też jeździć przez Polskę niż przez Berlin, Królewiec i Kłajpedę.

W czasie, gdzie nie było kolei żelaznych, szczególniejszą uwagę trzeba było zwrócić na komunikacyą wodną, jako najtańszą i najłatwiejszą. Szukano też w miarę przeszkód, jakie rząd pruski stawiał spławom na Wiśle, na tej drodze połączenia z Czarnem morzem. Hetman wielki litewski Michał Ogiński wykopał z tego powodu kosztem 12,000.000 złotych polskich kanał, stąd „kanałem Ogińskiego“ zwany, a łączący Szczarę z Jasiołdą, na przestrzeni 6½ mili. W roku 1784. przeszedł już tędy statek o 35 łasztach z Chersonu do Królewca. Drugiem dziełem tego rodzaju był kanał królewski, dający także możność komunikacyi pomiędzy morzem Czarnem a Bałtyckiem, wykonany właściwie wciągu lat trzech (od roku 1781. do 1783.). Równocześnie łożyły obie komisye skarbowe — litewska i koronna — znaczne sumy na oczyszczenie Niemna, Warty, Liwca, Biebrzy i t. d., usuwały jazy i młyny, przeszkadzające żegludze, pracowały nad uregulowaniem Wisły i utrzymaniem portów wiślnych w dobrym stanie.

Równolegle z tym prądem ekonomicznym, podnoszącym kraj ze strasznej ruiny, szedł ruch na polu wychowania i oświaty i przyniósł w krótkim stosunkowo czasie niespodziewane owoce. Wiadomo nam, że praca nad reformą szkół i edukacyi rozpoczęła się za staraniem ks. Konarskiego już podczas panowania Augusta III. Usiłowania te jednak, przez ludzi prywatnych i przez jeden zakon podjęte, mogły chyba tylko dostarczyć wskazówek, w jakim kierunku działać należało, aby społeczeństwo wydobyć z ciemnoty i do wykonywania obowiązków obywatelskich przysposobić. Jakoż przykład znakomitego Pijara pobudził niebawem innych do naśladowania. Król Stanisław August założył po koronacyi swojej t. zw. szkołę kadetów w pałacu Kazimierzowskim i przeznaczył na jej utrzymanie 200.000 złotych polskich rocznie, do czego skarb Rzeczypospolitej dodał od siebie 400.000 złotych polskich. Zakład nie liczył nigdy więcej jak 80 uczniów i miał charakter wojskowy, jakkolwiek — z planu nauk wnosząc — nie był w całem tego słowa znaczeniu szkołą rycerską.[1]) Kształcono tam młodzież — wyłącznie szlachecką — na obywateli

[1]) Porówn. Józefa Łukaszewicza „Historyą szkół w Koronie i wielkiem księstwie litewskiem“. Poznań 1850. T. II, str. 81.

zacnych, obznajamiano ją z naukami matematycznemi i fizycznemi, uczono miernictwa wojennego, geografii, historyi, dobrych obyczajów i wszystkiego tego, czego potrzebował młodzieniec dobrze wychowany do karyery wojskowej lub do zawodu publicznego. Za przykładem króla założył Karol książe Radziwiłł szkołę artyleryi w Nieświeżu, podkomorzy koronny Potocki szkołę kadetów w Niemirowie i Tyzenhaus w Grodnie, ale wszystkie te zakłady prywatne nie trwały długo.

Tymczasem ogół szkół krajowych w najnędzniejszym znajdował się stanie. Reforma nauk w kollegiach pijarskich, wprowadzona przez Konarskiego, zmusiła i Jezuitów podobnie do zmian pewnych. I oni mieli swoje collegia nobilium i oni wprowadzili naukę języka francuskiego, cośkolwiek geografii i fizyki, ale metoda dawniejsza pozostała. Tak jak na schyłku XVI. wieku tak i teraz zastanawiano się w szkołach jezuickich nad tem: „Czy na wiosnę czy w jesieni świat ten stworzony?“ „Kto był Melchizedech?“ lub „Czy manna na puszczy smakowała równo dobrym i złym Izraelitom?“ [1]) Gorzej jeszcze przedstawiała się starożytna Alma mater, akademia krakowska. I ona także — broniąc się uporczywie od wszelkiego postępu w naukach — trwała niezachwianie przy dawnym systemie, nowych filozofów, jak n. p. Kartezyusza, pogardliwem zbywała milczeniem, język grecki — jako szkodliwy prawowierności — wyrugowała zupełnie, historyi nie uczyła wcale, nieprzyjęła nawet systemu Kopernika, chociaż był niegdyś jej najsławniejszym uczniem. Fundusze — znaczne bardzo — zmarnowano bądź przez złą administracyę, bądź skutkiem olbrzymich wydatków na kanonizacyą św. Jana Kantego (kosztowała ona 1,000.000 złotych polskich), a w naukach zaniedbano się do tego stopnia, że ks. Putanowicz, „pisma św. doktor i profesor“, opisując życie Świętego, nie wahał się nazwać królowę Jadwigę córką Kazimierza Wielkiego, a Polskę jednem z najmocniejszych królestw Europy. Niepomogły na to usiłowania światłych biskupów krakowskich Załuskiego i Sołtyka, zmierzające do zreformowania uniwersytetu. Kiedy Załuski własnym kosztem chciał sprowadzić do Krakowa słynnego natenczas matematyka i fizyka Krystyana Wolfa, przeszkodzili temu akademicy; ks. Świątkowskiego, którego biskup wysłał na nauki do Halli, aby się wydoskonalił tam na profesora nauk matematycznych, wygryźli, a wizytacyą — przez biskupa Sołtyka z wielkim trudem podjętą — udaremnili. Niezdolni do jakiegokolwiek postępu, strzegli akademicy krakowscy z zazdrością swoich przywilejów, kłócili się bezustannie z Jezuitami, procesowali ich o założenie akademii we Lwowie i — uważając oświatę za swój monopol — starali się skrzętnie gasić wszelkie inne światła, któreby ciemnotę, panującą w uniwersytecie, jaskrawo uwydatnić mogły. W podobnym stanie znajdowała się także i akademia zamoyska; i ona nie dała się zreformować w roku 1746. ks. infułatowi Laskarysowi i o niej niewiedzianoby wcale, gdyby nie wzmianka w kalendarzyku Duńczewskiego, jak się dowcipnie i złośliwie Jezuici wyrażali.

---

[1]) Podobne dysputy prowadzono podczas kanonizacyi św. Jacka w Krakowie w r. 1594. Kronika Bielskiego. Str. 1711.

Tak wyglądały szkoły publiczne i wychowanie młodzieży w Polsce w chwili ustanowienia komisyi edukacyjnej. Miała ona więc przed sobą olbrzymie zadanie, miała — jak się wydawało przynajmniej — i odpowiednie do tego środki materyalne w rękach. Nieszczęściem jednak stanął z początku na czele pożytecznej tej instytucyi godny towarzysz Ponińskiego, biskup wileński Ignacy Massalski, który w znacznej części fundusze i dobra jezuickie zmarnował, lub na potrzeby własne i rodziny swojej roztrwonił. Sejm z roku 1776., chcąc temu o ile możności zapobiedz, odebrał więc zarząd funduszami komisyom rozdawniczym, ustanowionym przez delegacyą i oddał je pod opiekę komisyi edukacyjnej. Józef Wybicki, wysłany do Wilna na wizytacyą szkół litewskich, odkrył tam ogromne przeniewierstwa, znalazł mianowicie, że Massalski 300.000 złotych polskich zabrał z funduszu szkolnego, że Poniński otrzymywał tytułem darowizny place i domy po Jezuitach i rozdawał je Żydom, co wszystko — pomimo że było dowiedzionem i stwierdzonem — przepadło później niepowrotnie.

Komisya edukacyjna wprowadziła więc naprzód ład i porządek w administracyi funduszów, następnie rozpoczęła pracę swoją od wykształcenia nauczycieli i ułożenia odpowiednich książek szkolnych. W tym celu utworzono na wniosek Ignacego Potockiego Towarzystwo elementarne, które wyznaczyło znaczne nagrody za napisanie dobrych książek, szkoły podzieliła na sześć wydziałów w Koronie i cztery w Litwie, aby nadzór ułatwić i postanowiła zreformować akademię krakowską, gdzie młodzież szczególniej do zawodu nauczycielskiego sposobić się miała. W tym celu wysłano sławnego tyle później ks. Hugona Kołłątaja, jako wizytatora akademii. Nadspodziewanie zastał on u profesorów wszelką powolność i uległość dla rozkazów komisyi, tak, że — zreformowawszy to, co uważał w tej chwili za najpotrzebniejsze — mógł od roku 1778. wprowadzić wykłady na wydziale filozoficznym podług nowego systemu. Dzieło, rozpoczęte w ten sposób, ukończono jednak dopiero w roku 1780. i dnia 1. października t. r. odbyło się uroczyste odnowienie nauk uniwersyteckich. Na katedrach zasiedli uczeni i zdolni Polacy, jak: Jan Śniadecki, Czerwiakowski, bracia Szasterowie i Szeidt, urządzono należycie wydział medyczny, ale — kładąc widocznie główny nacisk na nauki matematyczne i przyrodnicze — zaniedbano n. p. pomiędzy innemi zupełnie historyą, a do wykładów prawa krajowego brakowało przez cały rok profesora. Po akademii krakowskiej przyszła kolej na wileńską, która jednak nie we wszystkiem poddała się reformie. I tam utworzono także wydział lekarski, powołano na ten cel z Grodna profesorów, z zniesionej wtedy już szkoły medycznej Tyzenhauza, założono ogród botaniczny i klinikę, do Anglii i Francyi wysłano ks. Strzeckiego po zakupno narzędzi astronomicznych, słowem . . . uczyniono wszystko, co tylko narazie uczynić się dało, aby oba uniwersytety krajowe postawić na wysokości ówczesnych wymagań naukowych. Dla wykształcenia nauczycieli powstały dwa seminarya w Krakowie i Wilnie. Uczniowie otrzymywali tam całe utrzymanie i obowiązani byli za to pracować w zawodzie nauczycielskim przez lat sześć, czas służby aż do emerytury wynosił lat 20. Wszystkie szkoły połączono w ścisły związek z uniwersytetami, czyli szkołami głównemi. Miały

one obowiązek wizytowania zakładów niższych i składania szczegółowych raportów komisyi edukacyjnej. Nie mogąc się zbyt rozszerzać nad przepisami komisyi i nad całą organizacyą ówczesnego wychowania publicznego, powiemy tylko tyle, że postanowienia tej magistratury były tak rozumne i trafne zarówno pod względem pedagogicznym jak i obywatelskim, że dziś jeszcze — mimo postępu nauk i doświadczenia — administracyi szkolnej za wzór służyć mogą, a Niemiec, radca pruski Klewitz, prezydent departamentu Prus południowych w roku 1805., nie powiedział za wiele, kiedy urządzenia komisyi edukacyjnej nazwał w raporcie swoim „przedziwnemi prawami rządu polskiego“. Skutek ich był też niepospolity; w roku 1783. znajdowało się w Koronie szkół wyższych 38 i 9816 uczniów, w ziemi wieluńskiej szkół elementarnych 43 i 1368 uczniów i uczennic, na 40.000 ludności, zaprawdę stan, na który dziś z zadowoleniem ale i z zazdrością spoglądać możemy.

Usiłowania rządu doznawały na każdym kroku poparcia ze strony osób prywatnych, a nawet i zgromadzeń zakonnych. Obok szkół publicznych powstawały prywatne, co chwila słyszymy o hojnych darach i zapisach na cele naukowe. Biskup unicki Rylło założył pierwsze seminaryum dla duchownych unickich w Chełmie w roku 1759., ks. Michał Prymowicz, oficyał generalny kijowski obrządku wschodniego, ofiarował na utworzenie podobnego zakładu w Żytomierzu 200.000 złotych polskich. Za staraniem Potockich powstały szkoły bazyliańskie w Humaniu i Buczaczu, Elżbieta z Ogińskich Puzynina przeznaczyła 6000 dukatów na utrzymanie obserwatoryum w Wilnie, ale wszystkie te ofiary przewyższył biskup kijowski Józef Załuski, oddając ogromną bibliotekę swoją na użytek publiczny w roku 1775. Sejm powierzył opiekę nad tą instytucyą komisyi edukacyjnej i postanowił w dowód wdzięczności, aby odtąd zawsze jeden z Załuskich był uprzywilejowanym od królów polskich kuratorem biblioteki.

Usiłowania około reformy edukacyi publicznej i moralnego podźwignięcia społeczeństwa nie mogły pozostać bez wpływu na stan oświaty i rozwój piśmiennictwa krajowego. Zwolna zaczęły się też otrząsać umysły z pleśni odwiecznej i z ciemnoty, w jaką je pogrążyły wieki ostatnie i przyswajać sobie zdobycze cywilizacyi zachodniej. A że prąd ten dostawał się do nas przeważnie z Francyi, na którą w tej chwili zwrócona była uwaga całej Europy, więc i cały przewrót umysłowy — dokonany w Polsce w drugiej połowie XVIII. wieku — nosił na sobie wyraźne cechy kierunków, panujących w otoczeniu Woltera, Roussa, d'Alemberta, Diderota i Mablyego. Przyczyniał się do tego niemało Stanisław August, szukający na wzór Fryderyka II. i Katarzyny stosunków z koryfeuszami literatury francuskiej i prowadzący przez lat kilkanaście obszerną korespondencyą z panią Geoffrin, bogatą fabrykantką luster, którą czule „mamą drogą“ tytułował i wspaniale u siebie w Warszawie gościł. Ale niepotrzeba było nawet tej zachęty króla-parweniusza. Stosunki z Francyą, nawiązane od czasów przybycia do Polski Maryi Ludwiki, ustalone i zacieśnione za panowania króla Michała i Jana III., wzmocnione przez Leszczyńskiego, były dla serc i usposobień polskich zbyt pociągające, aby ich miano zaniechać teraz, gdy Francuzi — mimo politycznego upadku swego —

dzierżyli jeszcze zawsze w swoich rękach berło w dziedzinie mody, literatury i ogłady towarzyskiej. Toż kto mógł tylko, ten spieszył do Paryża, aby się otrzeć o Woltera lub d'Alemberta, zajaśnieć na salonach pani Geoffrin i — zgrawszy się w karty w Club polonais, będący w Palais Royal — skończyć peregrynacyą swoją w więzieniu za długi (Fort l'Evêque). Obok tej rzeszy wojażerów polskich, których scharakteryzował świetnie Krasicki w „Przypadkach Doświadczyńskiego“, jeździli do stolicy francuskiej i inni czasem po rozum i wykształcenie, więcej w sprawach politycznych. Jan Śniadecki przysłuchiwał się z zapałem wykładom Lalande'a i Cousina w kollegium francuskiem, książe Adam Czartoryski, zostający pod opieką pułkownika Ciesielskiego, miał za mentora ks. Piatolego, Niemcewicz nawiązywał stosunki z Alfierim, sławnym tragikiem włoskim i Jeffersonem,[1]) posłem amerykańskim, poseł generalności barskiej Michał Wielhorski szukał u Mably'ego rady na nieszczęścia Rzeczypospolitej. Wszyscy więc zwracali się do Francyi i stamtąd przywozili lub brali wzory godne naśladowania. Że było w tem więcej tandetnych towarów i szychu niż szczerego złota i zasad, dających się zastosować z pożytkiem w Polsce, to rzecz niewątpliwa, ale w gorączce reformatorskiej mało o to, kto pytał. Dawne, poważne obyczaje rugował więc zwolna lekki ton francuskich towarzystw, strój narodowy i język ulegały przeistoczeniu, ateizm i niedowiarstwo wypędzały staropolską gorliwość w rzeczach wiary, wybujałą do fanatyzmu w epoce Sasów. Społeczeństwo, przyzwyczajone tak długo do opieki duchowieństwa, zaczęło się wyzwalać z pod jego przewagi, interesa świeckie, podniesienie handlu i przemysłu więcej znajdowały zwolenników niż nauki moralne głoszone z kazalnicy, wyobrażenia i pojęcia o wolności nabierały innego znaczenia i odbijały się głośnem echem w obradach sejmowych, pragnienie oświaty stawało się hasłem całego stronnictwa postępowego w kraju. „Edukacya, światło — pisał eksjezuita ks. Świtkowski w „Pamiętniku politycznym i historycznym“ — oto jedyny środek wytępienia wszelkiego zabobonu i z nim trujących szczęśliwość publiczną występków“.[2])

Wszystkie te prądy musiały się odbić i w obyczajach i szczególniej w literaturze, zawisłej tak bardzo od stanu i usposobienia społeczeństwa. Po szczęśliwych jeszcze względnie czasach Zygmunta III. i Władysława IV. jest ona wiernym obrazem powolnego lecz statecznego upadku Rzeczypospolitej. Wojny, powstania, doniosłe a nieszczęśliwe wypadki polityczne z jednej, zepsucie obyczajów i charakterów z drugiej strony, odejmują poezyi wszelką siłę natchnienia i polotu. Samuel z Skrzypny Twardowski daje rymowany obraz dziejowych zdarzeń w „Przeważnej legacyi Krzysztofa Zbaraskiego do Mustafy“ (1622), w „Moskiewskiej wyprawie króla Władysława IV.“ (1649) i w „Wojnie kozackiej“ (1660); znany Krzysztof Opaliński przedstawia w „Satyrach“ straszny obraz społecznego upadku, tem wierniejszy, gdy sam w sobie i w czynach swoich znajdywał nieprześcigniony wzór przewrotności, buty wielkopańskiej i anarchii. On wie doskonale, czego

[1]) Czartoryski: „Żywot Niemcewicza“, str. 29.

[2]) Smoleński Władysław: „Przewrót umysłowy w Polsce w XVIII. wieku“. Kraków—Petersburg 1891. Str. 343.

Rzeczypospolitej brakuje i jakie toczą ją choroby. On rozumie, że Bóg Polski za nic nie karze

Więcej, jak za poddanych srogą oppressyą
I gorzej niż niewolą.

On wie, że żaden nigdy naszym

Polskim król nie wygodzi humorom, choćby on
Z nieba zstąpił i choćby lepszego nie było
Nigdy pana na świecie;

bo jako król komu

Odmówi czego, zaraz buty mu szyć trzeba,
Zaraz szlachtę buntować i na rokosz wołać,

ale wiedząc o tem, nie waha się bunty takie wszczynać, animusze szlacheckie burzyć i ojczyznę własną i króla zdradzać dla tego, który o nas potężnie myśleć będzie i o zgubie wolności naszych".[1]) Ta świadomość dobrego, a skłonność stateczna ku złemu, to charakterystyczna cecha ówczesnego społeczeństwa, to jedna z tajemnic upadku. Francuski obyczaj, przyniesiony do Polski przez Maryą Ludwikę i jej otoczenie, wywołuje naśladowanie francuszczyzny. Poeci i pisarze XVI. wieku trzymali się wzorów włoskich, Twardowski jeszcze naśladował Mariniego (Dafnis), ale w każdym z nich odzywała się struna polska, tętniało polskie uczucie. Gładki i układny Andrzej Morsztyn, nastroiwszy lutnię swoją na sposób francuski, ma charakter wyłącznie niemal kosmopolityczny i jeżeli zwraca czasami uwagę na potrzebę rządu w Polsce, jeżeli wielbi opiekunkę swoją Maryą Gonzagę, co „sarmacką stroną włada", to czyni to raczej z usposobieniem statysty i dworaka niż obywatela i patryoty.

Czasy Jana III. — opromienione ostatniemi tryumfami oręża polskiego — wprowadziły i poezyą na szlachetniejsze drogi. Wespazyan z Kochowa Kochowski — nadworny historyograf Sobieskiego — wzniósł się w „Psalmodii" swojej do wysokiego nastroju poetycznego, w „Nieprożnującem próżnowaniu" uderzał na błędy społeczne, karcąc je jednak z miłością i umiarkowaniem, w „Epigramatach" potępiał surowo liberum veto i chciwość prywatną, a w „Chrystusie cierpiącym" i „Ogrodzie panieńskim" dał wyraz ascetycznym swoim uczuciom.

Wyższy niewątpliwie od Kochowskiego polotem myśli i zakrojem dzieł prawdziwie poetycznych — chociaż niezupełnie wolnych od nawyknień współczesnej sztuki rymotwórczej — był Wacław Potocki, mieszkający na podgórzu karpackiem we wsi Łużna, niedaleko Biecza. Urodzony na schyłku panowania Zygmunta III. (umarł około roku 1697.),[2]) świadek burzliwych czasów Jana Kazimierza i Michała, jakoteż tryumfów Sobieskiego, próbował on wcześnie poetyckich sił swoich i napisał obszerny poemat „Argenida", będący przerobieniem słynnej natenczas powieści Barklajusza. Za „Argenidą" poszły: „Sylwan", „Zaciąg", „Fraszki", wreszcie najwspanialszy z utworów Po-

[1]) Krzysztof Opaliński: „Satyry". Kraków 1874. Str. 104.
[2]) Szajnocha: Wacław Potocki. „Szkice", t. I.

tockiego, dopiero w naszych czasach na widok publiczny wydany: „Wojna chocimska“. Działalność poetycką autora zamknął „Poczet herbów“, wydany tuż przed śmiercią Potockiego w roku 1696.

Na Potockim urywa się wątek poezyi polskiej i dopiero czasy Stanisława Augusta przedstawiają nam ją w odmiennej szacie, służącą nowym prądom i naginającą się do ówczesnych wyobrażeń.

Podobnie jak Opaliński w „Satyrach“, tak kanonik krakowski Szymon Starowolski, „nauk wyzwolonych i filozofii bakałarz“, znany z odpowiedzi, jaką dał Karolowi Gustawowi przy grobowcu Władysława Łokietka w katedrze, uderza w licznych dziełach swoich na zepsucie obyczajów, upadek ducha rycerskiego i niezgodę wewnętrzną, a różni się tem od wojewody poznańskiego, że czyni to z przekonania i zamiłowania w cnocie, że pisze tonem może zbyt kaznodziejskim, ale płynącym wprost z serca, przepełnionego miłością dla tych, których karci i gani. Posiadając wiele wiadomości, lecz niewykształcony gruntownie w żadnym kierunku, jest Starowolski skrzętnym zbieraczem i encyklopedystą.

Opisuje dwór cesarza tureckiego i rezydencyą jego, zbiera napisy (Monumenta Sarmatorum), podaje radę na zniesienie Tatarów („Pobudka“), „Votum o naprawie Rzeczypospolitej“, wykłada historyą Zygmunta I., żywoty biskupów krakowskich, w „Lamencie utrapionej matki, korony polskiej, już konającej“, wypowiada gorżkie prawdy całemu społeczeństwu, moralizuje je w „Reformacyi obyczajów“, słowem ... w każdym kierunku czynny, należy do najpłodniejszych pisarzy polskich w drugiej połowie XVI. wieku.

Inaczej zupełnie pojmuje zadanie swoje i położenie Rzeczypospolitej senator Andrzej Maksymilian Fredro, mąż uczony niewątpliwie i jeżeli nie statysta prawdziwy, to przynajmniej na statystę pozujący. Z zasady republikanin o czysto szlacheckiej barwie, widzi on zbawienie Polski w zachowaniu równości (pomiędzy szlachtą), w utrzymaniu jednomyślności, liberi veto i wolnej elekcyi. Tym duchem przejęte są wszystkie jego dzieła i „Gesta populi poloni sub Henrico Valesio“, apoteozujące właściwie zasadę obieralności i „Monita politico — moralia“ i wiele innych. Po polsku napisał „Przysłowia mów potocznych.“

O wiele szerszem korytem płyną prące historyczne, chociaż ograniczają się głównie do pamiętników, podczas gdy dzieje Polski piszą obcy: Puffendorf (wojny szwedzkie), Pastorius (wojny kozackie), Grondzki i kanonik ołomuniecki Rudawski, ten ostatni z austryackiego stanowiska. Pierwsze miejsce pomiędzy autorami pamiętników zajmuje klasyczny w całem tego słowa znaczeniu Pasek, a za nim idą: Maszkiewicz, Łoś, Jerlicz, Jemiołowski, Stanisław Olbracht Radziwiłł, typowy oligarcha, wreszcie za naszych czasów już wydani: „Medeksza“ i Moskorzowskiego „Dyaryusz wojny moskiewskiej 1633. roku“.[1]) Ks. Augustyn Kordecki († 1673) opisał obronę Częstochowy po łacinie („Nova Gigantomachia“); Kochowski — oprócz poetycznych utworów

[1]) Wydał Rembowski. „Biblioteka ordynacyi Krasińskich“. T. XIII. Warszawa 1895.

Kościuszko przysięga na Rynku w Krakowie 24. marca roku 1794

— zostawił dzieło historyczne „Annales Poloniae“, podzielone na księgi (Klimaktery) i stąd zwykle „Klimakterami“ zwane. Obejmuje ono czasy Jana Kazimierza, Michała i Jana III.

Dziejami Jana III. zajmowali się więcej cudzoziemcy niż swoi, główną uwagę na nie zwracali Francuzi. Znany nam już Beauplan wydał „Opis Ukrainy“, ważniejszemi wypadkami zajmowali się Gabryel Coyer, Bizardiére i Labourer; Krzysztof Hartknoch wydał dziełko „De republica Polonica“, a Schultz „De Polonia nunquam tributaria“; z Polaków wspomnieć należy Zawadzkiego „Historia arcana“ i Rubinkowskiego panegiryk „Janina“. Andrzej Chryzostom Załuski zostawił ważny bardzo zbiór materyałów historycznych w formie listów („Epistolae historica familiares“). Ciekawym i wielce oryginalnym zabytkiem ówczesnych wyobrażeń i pojęć naukowych jest Haura „Oekonomika ziemiańska generalna“, wydana w roku 1675., gruby foliant, ozdobiony drzeworytami (pomiędzy niemi konterfekt dyabła), pełen wiadomości rozmaitego rodzaju, należących przeważnie jednak do zakresu gospodarstwa.

Okres Sasów, tak jak był upadkiem politycznego znaczenia Rzeczypospolitej i obyczajów, tak też i na polu piśmiennictwa nie stworzył — z wyjątkiem dzieł politycznej treści, o których poprzednio już mówiliśmy — nic uwagi godnego. Styl owego czasu wymanierowany i makaronizmami przeplatany, jest niejako wiernem odbiciem społeczeństwa, którego całe wykształcenie zasadzało się na wiedzy encyklopedycznej i używaniu łacińskich frazesów, będących dowodem pozornej erudycyi. Typowem dziełem w tym kierunku są „Nowe Ateny, czyli Akademia wszelkiej scyencyej pełna“, zbiór najróżnorodniejszych wiadomości w czterech tomach, ułożony przez ks. Benedykta Chmielowskiego, proboszcza firlejowskiego. Godnie obok niego — jako poeta — stoi Jezuita ks. Józef Baka (urodzony w roku 1706., † 1783), słynny autor dziwacznych wierszy: „Uwagi o śmierci niechybnej, wszystkim pospolitej. W zakresie heraldyki, uprawianej wtedy z szczególnem zamiłowaniem, tworzy ogromne dzieło ks. Kasper Niesiecki („Korona polska“), podobnie jak i poprzednicy jego na tem polu Bartosz Paprocki i Okólski, naginający zdanie swoje i prawdę historyczną do względów możnych rodów, stąd często niedokładny i panegiryczny.

W dziedzinie historyi pierwsze i jedyne miejsce zajmują pamiętniki: Otwinowskiego, ks. Kitowicza, Pstrokońskiego, Wawrzyńca Rakowskiego, Zawiszy i t. d. Z obcych zasługuje na szczególną uwagę Braun Dawid („De scriptorum Poloniae“, wydane w Elblągu w roku 1723.), jako bystry i bezstronny krytyk. Do wyjątkowych zjawisk lepszego stylu i prawdziwego — chociaż niezbyt wysokiego — nastroju i uzdolnienia poetycznego, należy Elżbieta z Kowalskich Drużbacka († 1760), w utworach swoich traktująca życie kobiece, czasami nie bez satyrycznego zacięcia. Wymowa kaznodziejska tonie w wodnistych i napuszonych panegirykach o dziwacznych tytułach i jeszcze dziwaczniejszym sposobie wyrażania myśli.

Na tem tle ciemnem, na tem polu — zachwaszczonem makaronizmami, nastrzępionem dziwolągami stylu — miała się rozwijać literatura Stanisławo-

wskiej epoki. Tak jak w zakresie edukacyi publicznej i oświaty trzeba było i tu nowe wyrębywać szlaki, naprawiać język i smak zepsuty, torować drogę zdrowym pojęciom do umysłów spaczonych pozorną erudycyą, budzić trzeźwy rozsądek, przyćmiony odwiecznemi przesądami. Zadanie było olbrzymie; wymagało nietylko usilnej pracy ale i oparcia się o wzory, które uważano natenczas za szczyt doskonałości, za ostatni wyraz odradzającej się cywilizacyi. Wynikło z tego naśladowanie francuszczyzny, objawiające się w tłumaczeniach, w powrocie do wzorów klasycznych, w przejmowaniu nowych poglądów filozoficznych, reprezentowanych nad Sekwaną przez szkołę encyklopedystów. Nie mały wpływ i niepospolitą zasługą w tym kierunku miał król, człowiek — przy wszystkich ułomnościach i wadach charakteru — wielce wykształcony, obdarzony smakiem wytwornym, bądź rzeczywiście zamiłowany w sztukach, bądź też pragnący naśladować dwór francuski i głośnych na zachodzie mecenasów literatury. Piśmiennictwo, które powstało w takich warunkach, było podobne cokolwiek do egzotycznej rośliny, przejmowało pod względem politycznym i naukowym dość wyraźnie kierunek, jaki mu wskazały wzory francuskie, usposobienie osobiste Stanisława Augusta, ale — nie opuszczając gruntu narodowego — położyło fundamenta do przyszłego świetnego rozwoju literatury porozbiorowej.

Więc jeżeli Naruszewicz w odach swoich przedstawia skończony typ dworskiego poety, jeżeli nie szczędzi kadzideł królowi, wielbi możnych panów i panie, a nawet układa dziękczynne wiersze dla Katarzyny II., jeżeli Trembecki jest rzeczywiście „pierwszym polskim panslawistą“, podziwiającym potęgę Rosyi i rozpływającym się w braterskich dla Moskali uczuciach, to współczesny im Kniaźnin dorównuje głębokością i siłą uczuć patryotycznych najlepszym wzorom przeszłości, a nawet z kosmopolitycznego cokolwiek serca Ignacego Krasickiego wydobywa się znana i piękna apostrofa: „Święta miłość kochanej ojczyzny“.

Wszyscy zaś, do jakiegokolwiek należą obozu i jakim hołdują przekonaniom politycznym, mają tę niezaprzeczoną zasługę, że wprowadzają do utworów swoich dawno zapomnianą czystość języka i że — naśladując obcych — tworzą literaturę polską. A i o ich uczuciach patryotycznych wątpić tak dalece nie można, kiedy upadek ojczyzny jednych zapędził do celi klasztornej (Zabłocki), a innym rychłą śmierć zgotował (Naruszewicz), nie mówiąc o Kniaźninie, który podobnie jak Rejtan w obłąkaniu życie dokonał. Ma ten okres literatury jeszcze i tę wyższość nad poprzedniemi, że daje początek umiejętnym badaniom w rozmaitych gałęziach nauk.

Naczelne miejsce zajmuje pod tym względem historya, mimo żywego zajęcia się nią w czasach dawniejszych, nietraktowana krytycznie. Pierwsze prace tego rodzaju u nas są niestety zasługą cudzoziemców. Gotfryd Lengnich, profesor gdański, wydaje w roku 1718. swoją „Polnische Bibliothek“, pismo peryodyczne, w którem rozbiera krytycznie „Klimaktery“ Kochowskiego, żywot Załuskiego i Olszowskiego, w roku 1742. ogłasza pożyteczne bardzo „Jus publicum Regni Poloniae“, Ringeltaube pisze traktat o bibliach polskich po niemiecku, tajny konsyliarz Piotra Wielkiego Henryk Huyssen przygotowuje

(w roku 1710 i 1711.) edycyą Długosza. Za tym przykładem idą i Polacy: uczony biskup Załuski, bibliotekarz jego Janocki, pojawia się zbiór dokumentów Dogiela. Wszystko to jednak są materyały, przeznaczone dla uczonych, niedostępne dla ogółu, który czerpał po staremu poglądy swoje na przeszłość narodu z rozmów, z tradycyi lub z niedokładnych i pełnych często uprzedzeń podań kronikarskich.

Napisanie więc historyi polskiej — na podstawie badań krytycznych — przedstawiającej dzieje Rzeczypospolitej w świetle rzeczywistem, było już ze względów politycznych rzeczą konieczną. Pojął to Stanisław August i — poznawszy zdolności Naruszewicza — powierzył mu w roku 1775. ogromne zadanie. Eksjezuita, pochodzący z niezamożnej rodziny litewskiej, był do zawodu historycznego lepiej od innych przygotowanym. Jako zdolny tłumacz Tacyta, przejął się Naruszewicz wzniosłemi zasadami tego dziejopisarza, przyswoił sobie — prawda, że nie z wielkiem dla stylu swego pożytkiem — jego sposób i układ pisania, a że był bardzo pracowitym, więc w poleskiem swojem probostwie poświęcił lat cztery dla przełamania pierwszych trudności, jakie mu nowy zawód zgotował. Tak w roku 1780. wydał pierwszy tom swojej historyi, w następnym drugi, w roku 1783. „Żywot J. K. Chodkiewicza“ i t. d. W celu zebrania potrzebnych materyałów wyprawiono Albertrandego do Szwecyi i żelaznej prawdziwie[1]) pracowitości tego człowieka powiodło się zebrać mnóstwo dokumentów historycznych, relacyj etc. Z tych i podobnych im odpisów w Rzymie i Berlinie (Zabłocki) powstały ogromne „Teki Naruszewicza“, dotąd jeszcze niewyczerpane źródło dla badań historycznych. Od tych zajęć oderwała chwilowo Naruszewicza „Tauryka“, napisana — po podróży do Kaniowa z królem — dla carowej Katarzyny, i prace poetyckie, którym się z równym niemal zapałem — ale z o wiele mniej pomyślnym skutkiem — oddawał. Wyjątek może stanowią satyry, nie wolne od goryczy, ale pełne dowcipu i dosadnych wyrażeń.

Jako historyk jest Naruszewicz monarchistą, wrogiem anarchii i swawoli, tak, że dzieła jego uzupełniają poniekąd i uzasadniają umiejętnie poglądy postępowych publicystów, dążących do wykorzenienia dawnych nałogów społeczeństwa, pracujących nad zniesieniem liberi veto i nad wzmocnieniem władzy królewskiej. Pod względem naukowym rozpoczął on pierwszy krytyczne badania nad przeszłością Polski, sprostował wiele błędów kronikarskich i położył podwaliny do umiejętnego traktowania historyi.

W rzędzie poetów zajaśnieli niepospolitą sławą i wzięciem w tym okresie: Ignacy Krasicki, Trembecki, Węgierski, Kniaźnin, Karpiński i Zabłocki. Ignacy Krasiński, autor znakomitych „Bajek i przypowieści“, „Monachomachii“, „Myszejdy“, „Pana podstolego“ i „Doświadczyńskiego“ i całego zbioru wybornych „Satyr“, nie licząc wierszy drobnych, okolicznościowych, słabej „Wojny chocimskiej“, będącej naśladowaniem „Henryady Wolterowskiej“ i mniej znacznych utworów prozaicznych. Główną cechą zdolności Krasickiego jest dowcip niepospolity, ujęty w formę lekką i wykwintną.

[1]) Jana Albertrandego listy do Piusa Kicińskiego. „Archiwum domowe“ K. Wł. Wójcickiego. W Warszawie 1856.

Pod względem czystości języka i poprawności stylu ustępuje on chyba Trembeckiemu, twórcy niezrównanej w swoim rodzaju „Zofijówki“. Pełen ambicyi zdolny satyryk Węgierski, wypędzony za paszkwil na carowę Katarzynę z Warszawy, wydał w roku 1784. najznaczniejsze dzieło swoje p. t. „Organy“. Umarł młodo za granicą, dokąd wyjechał był razem z Ignacym Potockim.

Innego zupełnie rodzaju była poezya Kniaźnina, który stale bawił na wielkim dworze Czartoryskich. Z natury tkliwy i skłonny do zadumy, przytem prawdziwie pobożny i gorąco patryotyczny, pisze on pieśni erotycznej treści, układa ody o sarmackim zakroju, wylewa gorzkie żale z powodu upadku ojczyzny, wreszcie popada w roku 1796. w obłąkanie. Podobny do niego uzdolnieniem Franciszek Karpiński, z powodu prostoty swojej i staropolskich obyczajów nie nadający się do salonów warszawskich, słynie jako poeta religijny i autor tkliwych wielce sielanek o „Justynie, Filonie i Laurze“, pełnych sentymentalizmu i rażących smak dzisiejszy nieprawdopodobieństwem stosunków i sytuacyi.

Ostatnim w tem gronie jest Franciszek Zabłocki, nadworny niejako dramaturg Stanisława Augusta, autor znanego „Fircyka w zalotach“, najlepszemi ożywiony chęciami i zasadami, ale nieposiadający dosyć dowcipu do wyzyskania śmieszności społecznych.

Dla większej części tych pisarzy — wyjątek stanowią Kniaźnin i Karpiński — był dwór królewski ogniskiem, a Stanisław August słońcem, około którego wszyscy się obracali, bądźto z wdzięczności za doznane łaski, bądź w celu zaskarbienia sobie względów i nagrody. Król rad przebywał w kole literatów i uczonych, spraszał ich na słynne „czwartkowe obiady“, nie szczędził zachęty, wsparcia i promocyi. Stworzywszy teatr, którego dotąd nie było, łożył znaczne sumy na jego utrzymanie i na balet; ks. Bohomolca i Zabłockiego używał do pisania sztuk polskich. W tej szkole wychował się słynny później Wojciech Bogusławski, pomiędzy innymi także uczestnik „czwartkowych obiadów“.

Obok literatury kwitła także i sztuka. Stanisław August sprowadził znakomitych malarzy Baccierellego i Canalettego, na własny koszt wykształcił Smuglewicza i w ten sposób przyczynił się do rozwoju malarstwa, u nas zupełnie zaniedbanego.

Obraz tego ruchu umysłowego — ożywiającego ówczesne towarzystwo warszawskie, a pod pewnym względem i kraj cały — nie byłby zupełnym, gdybyśmy nie wspomnieli o równie może pożytecznych pracach geograficznych Łubieńskiego, Bielskiego, Wyrwicza i H. Karpińskiego, o kompilacyach historycznych Teodora Wagi, Skrzetuskiego i Albertrandego, i o Strojnowskim Waleryanie jako ekonomiście. Działalność tych wszystkich ludzi budziła społeczeństwo z uspienia, rzucała nowe myśli, krzepiła siły umysłowe, pracowała z wiedzą lub bezwiednie nad rozszerzeniem postępu, nad uzdrowieniem narodu, dotkniętego ciężką niemocą. Że król Stanisław August żywy w tem brał udział, że usiłowania te popierał, to jest jedna — bodaj czy nie jedyna — jego zasługa, którą też z całem uznaniem podnieść i ocenić należy.

Sejm roku 1776. — Opozycya. — Zbiór ustaw Zamoyskiego. — Sprawa Sołtyka. — Wojna turecko-rosyjska. — Proces Dugrumowej. Gdy tak gorliwi o dobro kraju obywatele — i sam król nawet prądem ogólnym porwany — pracowali nad rozpędzeniem ciemnoty i wytępieniem dawnych przesądów, gdy cały zastęp politycznych pisarzy, o których następnie mówić będziemy, wskazywał zaśniedziałemu społeczeństwu nowe drogi, do lepszej wiodące przyszłości, szło życie codzienne zwyczajnym na pozór torem. Naród cały zostawał pod wrażeniem katastrofy podziałowej i niesumiennej gospodarki delegacyjnej, ucisk wojsk obcych i ruina ekonomiczna przygniatały kraj ciężkiem swojem brzemieniem, najlepsi i najzacniejsi popadali w stan odrętwienia i rozpaczy, niezadowolenie było powszechne, obejmowało wszystkie warstwy społeczne. zarówno niższe jak i wyższe, lud i mieszczaństwo, szlachtę i magnatów, postępowych patryotów i staro-republikańskie stronnictwo. Powstał stąd jakiś — trudno dający się określić — zamęt pojęć, łączący najsprzeczniejsze nieraz ze sobą żywioły w celu obalenia narzuconego przemocą porządku rzeczy. Chwila była tem krytyczniejsza, gdy na widownią życia publicznego nowe wchodziły osobistości, gdy śmierć zabierała jednego po drugim z dawnych, doświadczonych i rozumnych kierowników. W roku 1771. umarł stary hetman Branicki, w pięć lat po nim zakończył niecny swój żywot Podoski w Paryżu, zstąpił do grobu najzdolniejszy z Czartoryskich kanclerz wielki litewski Michał, Sołtyk popadł w melancholią, a książe „Panie kochanku“ bawił dotąd zagranicą. Miejsce ich zajęli inni ludzie: Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, „najbardziej dystyngowany kawaler czterech części świata“, człowiek w istocie wszechstronnie wykształcony, zasłużony jako kierownik szkoły kadeckiej, ale przy tych wszystkich zaletach lekkomyślny i politycznie niewyrobiony; Seweryn Rzewuski, Ksawery Branicki i wypływający wtedy właśnie na powierzchnią życia publicznego Ignacy Potocki. Przyszli uczestnicy Targowicy byli szczególniej niezadowoleni z nowego porządku rzeczy. Hetmanowi Branickiemu niepodobała się zawisłość od Rady Nieustającej, Rzewuski widział w rządzie — jakikolwiek on był — zamach na wolność i republikańskie swobody. Zaczęto więc intrygować w Petersburgu, używać tam wpływów Potemkina, nowego a niebawem wszechwładnego faworyta carowej, wciągnięto w całą tę kabałę księcia Adama Czartoryskiego, łudząc go nadzieją uzyskania korony, i doprowadzono rzeczy do tego stopnia, że dopiero podróż Stackelberga do stolicy rosyjskiej położyła koniec tym niefasnym, a w gruncie szkodliwym dla kraju zamiarom. Mimoto oba stronnictwa wystąpiły do walki zaciętej na najbliższym sejmie (w roku 1776.), oba ufne w pomoc i poparcie rosyjskich bagnetów! Król pragnął utrzymania Rady Nieustającej, Branicki uwolnienia władzy hetmańskiej od niewygodnej kontroli, aby — uzyskawszy niezawisłość — zająć w Rzeczypospolitej stanowisko równe królowi, a silniejsze nawet, bo oparte na sile zbrojnej. Jakkolwiek Rada Nieustająca — związana gwarancyą moskiewską — nie była w stanie wywalczyć niezależności kraju, to jednak tworzyła ona władzę rządową, która mogła zdziałać wiele dobrego w zakresie administracyi, powściągnąć przy dobrej woli nadużycia, pracować skutecznie nad podniesieniem ekonomicznem państwa, przygotować lub nawet w życie

wprowadzić pewne reformy społeczne. Dla żywiołów postępowych, prawdziwie patryotycznych, otwierało się więc w ten sposób rozległe pole do pożytecznego działania, do zagojenia ran, zadanych Rzeczypospolitej przez pierwszy rozbiór i delegacyą. Tak też — a nie inaczej — pojmowali położenie wszyscy ludzie głębsi i kiedy król, chcąc ratować sejm od zerwania w porozumieniu z Stackelbergiem, postanowił zawiązać konfederacyą i laskę marszałkowską ofiarował Mokronowskiemu, nie wahał się zacny ten człowiek przyjąć godność tak ważną i wesprzeć króla całym swoim wpływem i popularnością.

Wbrew usiłowaniom opozycyi, pomimo agitacyi, jaką rozwinęła na sejmikach, zwyciężyło stronnictwo rządowe i stanęła konfederacya, chociaż nie bez użycia gwałtownych środków. Rozprawy sejmowe rozpoczęły się od mowy Mokronowskiego, pełnej ostrych, lecz niestety uzasadnionych wyrzutów. „Rozerwani w każdej radzie — wołał on — chwiejący się w rezolucyach, sami walcząc między sobą, niszczymy się, nieposłuszni prawom, nie chcąc rządu, cudze rozkazy wykonywać musimy“. Opozycya — zamiast programu politycznego, kierująca się obrażoną dumą kilku oligarchów — uderzyła w strunę staro-republikańskiej wolności. Rzewuski patetyczną mowę swoją zakończył apostrofą do króla, jakby żywcem wyjętą z aktów wojny kokoszej. „Panie! — wołał on w teatralnem uniesieniu — wolno-ć mi wziąć tę buławę! Zostanie przy mnie cnota i będę w potrzebie i za rozkazem obywateli hetmanił obywatelom bez buławy, jak dziś hetmanię wojsku przy buławie!“ Tak śmiał przemawiać człowiek, złączony jak najściślej z Branickim, zbroczonym krwią konfederatów barskich, tych obywateli właśnie, którym cnota Rzewuskiego bez buławy hetmanić chciała. Słusznie też zupełnie odpowiedział hetmanowi poseł starodubowski Bouffał: „Kraj rozerwany, czemuż go te gorliwości sentymenta nie broniły?“

Nic dziwnego, że nad taką opozycyą przeszedł sejm do porządku dziennego, że niedał się obałamucić czczym frazesom i uchwalił cały szereg pożytecznych wniosków. Naprożno wzywał Rzewuski cienie Oleśnickich i Górków, zaklęcia jego nie odniosły żadnego skutku, władzę nad wojskiem powierzono departamentowi wojskowemu Rady Nieustającej i postanowiono, aby żołnierze nie hetmanowi lecz Rzeczypospolitej przysięgę na wierność składali, przyznając równocześnie królowi prawo nominacyi na wszystkie stopnie wojskowe aż do „najmniejszych oficerów i subalternów“. Przełamawszy tak największą trudność, poszedł sejm dalej utorowaną już drogą. Zniósł więc „komisyą w celu przyspieszenia sprawiedliwości“, źródło niesłychanych zdzierstw Ponińskiego i „komisyą rozdawniczą dóbr pojezuickich“, przekazał tę czynność „komisyi edukacyjnej“, a Andrzejowi Zamoyskiemu polecił opracowanie projektu do nowego kodeksu praw cywilnych i karnych, nazwanego „zbiorem ustaw sądowych“. Na tem złamała się jednak energia Izby. Kiedy pod obrady przyszła kwestya podatkowa, kiedy rachunki komisyi skarbowej znaczny wykazały niedobór i kiedy skutkiem tego zachodziła potrzeba podwyższenia podatków, mianowicie na utrzymanie 30-tysięcznej armii, wtedy ustały wszelkie niechęci stronnictw, opozycya zarówno jak i partya rządowa zjednoczyły się pod jednem hasłem: niepodwyższenia podatków i ci sami — co uniesieni republi-

kańskim zapałem niedawno jeszcze kruszyli kopię w obronie pognębionej wolności — teraz z lekkiem sercem obcinali budżet wojskowy, aby Rzeczypospolitej pozbawić nawet tej marnej obrony, na jaką zezwalały mocarstwa rozbiorowe i „najjaśniejsza gwarantka“, carowa. Armia stopniała więc z 30-tu do 18-tu tysięcy.

Zniesienie tortur przy śledztwach i amnestya dla Karola Radziwiłła — uchwalone na wniosek królewski — zakończyły ustawodawczą pracę sejmu; wybory do Rady Nieustającej wypadły po myśli Stanisława Augusta, mimoto pozostał tam Poniński, a zaledwie otrzymał potrzebną ilość głosów Adam Czartoryski.

Zwycięstwo króla nie było ani zupełne ani trwałe, jak tego dowiodła historya następnych lat dziesięciu. Opozycya — zawiedziona w swoich nadziejach, pokładanych w pomocy z Petersburga — zmieniła taktykę i zamiast uderzać wprost na Stanisława Augusta, walczyła zapamiętale z Radą Nieustającą i nie pominęła żadnej sposobności szkodzenia królowi. Znając w znacznej części pobudki tego działania i ludzi, którzy się narzucali na przywódców narodowi, a potem haniebnie go zdradzili, nie możemy — pomimo słabych stron charakteru Stanisława Augusta i popełnionych już przez niego nikczemności — uwierzyć w szczerość patryotycznych sentymentów opozycyi, narzekającej w Warszawie na despotyzm moskiewski, a płaszczącej się w Petersburgu przed Potemkinem. Cała też działalność jej skończyła się na ujemnych rezultatach, dodatniego nic stworzyć nie umiała, czy nie chciała. Sejm roku 1780. obalił Tyzenhauza i zrujnował z gruntu wszelkie jego usiłowania i prace, podjęte w celu podniesienia przemysłu krajowego, a jakby i tego nie było dosyć, uchylił raz na zawsze projekt „zbioru praw sądowych“, ułożony przez Zamoyskiego, owoc czteroletniej pracy ekskanclerza i zacnego jego pomocnika Wybickiego. Zaśniedziała w wyobrażeniach średniowiecznych szlachta, podburzona przez zelantów wolności, nie mogła przebaczyć autorowi kodeksu, że w projekcie swoim pomieścił przepisy, łagodzące smutną dolę włościan i nadające pewne przywileje mieszczaństwu. „Oto ten jegomość, coby chciał chłopów w szlachtę obrócić, a nas w chłopów“, wołała na Wybickiego ciemna szlachta wielkopolska, kiedy na sejmik do Środy przyjechał,[1]) a na sejmie nie dopuszczono do dyskusyi nad projektem, którego nikt nawet nie czytał, lecz — rzucając z oburzeniem książkę o ziemię — uchwalono konstytucyą, zakończoną słowami: „zbiór praw wyż wspomniony na zawsze uchylamy i na żadnym sejmie aby nie był wskrzeszony, mieć chcemy“. Nie posiadamy wprawdzie dowodów na to, aby odrzucenie i potępienie pożytecznego dzieła Zamoyskiego było owocem zabiegów i agitacyi opozycyjnej, gdy jednak z drugiej strony wiadomo, że król sprawę kodeksu żywo popierał, Zamoyskiego i Wybickiego na „obiady czwartkowe“ zapraszał, gdzie Wybicki niektóre projekty nowych ustaw odczytywał, że wreszcie Stanisław Poniatowski na sejmie sam jeden „zbioru“ bronił, to wątpić chyba nie można, że uchwała sejmowa była aktem zemsty, wywartej na królu, że godzono nią nie tyle w Zamoyskiego, co w Stanisława Augusta. Wypadki następnego sejmu (z roku 1782.)

[1]) „Pamiętniki Wybickiego“, str. 120.

zdają się to przypuszczenie potwierdzać. Wywleczono tam sprawę nieszczęśliwego biskupa krakowskiego Sołtyka, który po roku 1773. - pogrążony w melancholii — przez 8 lat w pałacu swoim zamknięty, prowadził życie samotne, wkońcu, z naprawy kilku prałatów krakowskich, obrażonych na Kołłątaja,

Tadeusz Kościuszko.

przeciw niemu wystąpił, przed sąd swój go powołał, od beneficyów odsądził i na więzienie skazał. Za tem jednem nadużyciem poszły wnet inne, świadczące już wyraźnie o obłąkaniu biskupa, tak, że kapituła sama — prześladowana przez niego — udała się do Rady Nieustającej z prośbą o ratunek. Rada rozkazała biskupa, jako chorego na umyśle, wywieźć do Kielc i tam

trzymać pod strażą. Prawdziwość tych zajść smutnych potwierdza niepodejrzany świadek naoczny Jan Śniadecki.[1]) Ale opozycya była innego zdania. Dla niej wystarczało, że uwięzienie Sołtyka nastąpiło na rozkaz Rady Nieustającej i że brat królewski (koadjutor krakowski Michał Poniatowski) objął administracyą dyecezyi, aby wystąpić gwałtownie w obronie biskupa, uznać go za zdrowego na umyśle i przedstawić jako ofiarę chciwości i brzydkiej intrygi. Po długiej i drażliwej wielce dyskusyi w Izbie, przyczem pijany Branicki groził królowi, że go w przeciągu sześciu miesięcy z tronu zrzuci, spełzł sejm na niczem, pozostawiając po sobie tylko niesmak i jeszcze większe rozdrażnienie umysłów, które w cztery lata później miało jasnym wybuchnąć płomieniem z okazyi skandalicznego procesu Dugrumowej. Stara ta awanturnica — Francuska rodem, wdowa po jakimś majorze, prawdopodobnie rosyjskim, utrzymująca poufałe stosunki z kołami arystokratycznemi w Warszawie — uknuła dość niezgrabną intrygę, mianowicie zwierzyła się przed starostą Ryksem, kamerdynerem królewskim i generałem Komarzewskim, że książe Adam Czartoryski razem z Tyzenhauzem układają zamach na życie królewskie, z drugiej strony zaś przez zbankrutowanego kupca — Anglika Taylora — doniosła księciu Adamowi, że Ryks i Komarzewski namawiają ją, aby księcia zgładziła. Obie strony były dość naiwne, aby tym plotkom uwierzyć. Szczególniej wziął do serca sobie rzecz całą książe Adam; Ryksa i Komarzewskiego, których Dugrumowa podstępnie do swego mieszkania zwabiła i wciągnęła w kompromitującą pozornie rozmowę, pochwycono i oddano sądom marszałkowskim. Proces, jaki powstał skutkiem tej awantury, poruszył kraj cały i obce sfery dyplomatyczne, skończył się jednak zasądzeniem Dugrumowej na piętnowanie i dożywotnie więzienie, Taylora na sześć miesięcy wieży, księcia Adama Czartoryskiego na grzywny. Raz jeszcze — na sejmie roku 1786. — podniosła opozycya wstrętną tę sprawę, srożył się wielce Branicki, ale interwencya Stackelberga uśmierzyła łatwo zapalającego się hetmana, tak, że poprzestał tylko na przycinkach, wymierzonych w Izbie przeciw Komarzewskiemu. W ten sposób zmarnowano całych lat dziesięć na zawziętą walkę z królem i Radą Nieustającą, walkę bez celu i programu, poniżającą wprawdzie Stanisława Augusta, ale nieprzynoszącą najmniejszego Rzeczypospolitej pożytku. Czem był ten król — o słabym charakterze, rozrzutny, wiecznie potrzebujący pieniędzy, żebrzący na sejmie wśród najzawziętszych ataków opozycyi o zapłatę swoich długów — o tem wiedziano bardzo dobrze i w kraju i zagranicą. Gdy jednakże zmiana panującego w tych warunkach była niemożliwą, wypadało raczej gorliwość republikańską zwrócić ku ulepszeniu administracyi i zorganizowaniu siły zbrojnej, niż wywlekaniem brudów domowych na widok publiczny do reszty poniżać własny naród wobec Europy. Rozumieli to dobrze rozsądniejsi i z wstrętem odwracali się od tego gniazda os i szerszeni. „Nikomu z panów — pisał Staszyc[2]) — tego dzieła ofiarować nie będę. Te samoistne dusze, jeszcze po tem ostatniem doświadczonem nieszczęściu równie podłe, jak za panowania Sasów, tak za rządu Stanisława Augusta, chowają między

[1]) Śniadecki Jan: „Żywot literacki Hugona Kołłątaja“, str. 41 (wyd. Turowski).

[2]) Przedmowa do „Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego“. W Heilsbergu w r. 1785.

sobą zawziętości i kłótnie. Ta jedna tylko w ich niezgodzie różność: że przedtem jawnie, teraz, bojąc się przemożnych opiekunów, skrycie gryzą się. Panowie swojej osobistości i dumie poświęcić resztę Polaków gotowi.“ Ci, co tak czuli i myśleli, oceniając trafnie stosunki, szukali zbawienia ojczyzny nie u góry ale u dołu, w masach szlacheckich, w mieszczaństwie, odsuniętem od życia publicznego i w chłopstwie, pogardzonem i w ciężkiej pogrążonem niewoli. Już J. J. Rousseau, który — tak jak Mably — na prośbę Wielhorskiego napisał dziełko o reformie Rzeczypospolitej,[1]) pomimo dziwacznych pomysłów swoich radził, aby mieszczan i chłopów zrównać stopniowo z szlachtą, a przedewszystkiem rozciągnąć nad nimi natychmiast ścisłą opiekę prawną i przygotować ich w ten sposób do uzyskania równości i wolności. Podobna myśl przyświecała Zamoyskiemu przy układaniu „Zbioru praw“, a goręts — nie czekając na uchwały sejmowe — wprowadzili odrazu w życie reformę włościańską, przez usamowolnienie i oczynszowanie chłopów w swoich dobrach. Tak postąpił Zamoyski, Chreptowicz, Brzostowski, książe Stanisław Poniatowski, a nawet smutnej pamięci biskup wileński Massalski. Skok tego rodzaju był jednak za gwałtowny. Kto znał społeczeństwo polskie, dumę i egoizm magnatów i ciemnotę szlachty, ten nie mógł się łudzić ani na chwilę, że tak nagła zmiana stosunków społecznych może być wprowadzona natychmiast, bez poprzedniej reformy rządu i sejmów.

Najznamienitsi statyści współcześni zatem, jak Konarski, Czartoryscy i mętny cokolwiek i niepraktyczny w swoich projektach Wielhorski, domagali się przedewszystkiem zniesienia liberi veto. Dalej od nich poszedł Staszyc. Syn mieszczański, urodzony w Pile (w Wielkopolsce) z niezamożnych rodziców, kształcił się we Francyi w naukach przyrodniczych, w fizyce i geologii, po powrocie do kraju w roku 1773. został nauczycielem domowym u Andrzeja Zamoyskiego i przyjął święcenia kapłańskie. Bystry z natury, pełen gorącej miłości ojczyzny, obracając się w kołach przejętych myślą reformy, śledził on pilnie wypadki współczesne i po dłuższym namyśle wystąpił z dziełem, które pomimo skromnego i mało obiecującego tytułu („Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“) powszechną na siebie, a później i na autora — niewymienionego — zwróciło uwagę. Był to bowiem pierwszy projekt zupełnego zreformowania Rzeczypospolitej, wypracowany szczegółowo. Żądał więc Staszyc — z rzadką natenczas odwagą — zaprowadzenia dziedziczności tronu, sejmu nieustającego, któryby rozstrzygał większością głosów, podwyższenia dochodów przez opodatkowanie szlachty i powiększenia siły zbrojnej. W zakresie reform społecznych domagał się reprezentacyi miejskiej w sejmie, zniesienia pańszczyzny i wolności dla ludu wiejskiego. „Gdy tak w narodzie — kończył swoje wywody — powstanie nienaruszona jedność i zgoda, gdy Rzeczpospolita już nie co dwa lata tylko przez sześć niedziel, ale zawsze czynną trwać zacznie, prawo wezwie równo cudzoziemców jak Polaków, tak chłopa jak szlachcica, katolika, lutra, kalwina, Żyda, Greka i Turczyna, zgoła wszystkich ludzi do sadowienia się, do objęcia gruntownej własności i obywatelstwa w Polsce.

[1]) Consideration sur le gouvernement de Pologne.

Z drugiej strony sejm nieustanny nada im wszystkim równą obywatelską wolność, zniszczy szczególne przywileje jednych szkodzące drugim, znienawidzi próżniaki, potłumi stany nieużyteczne i z cudzej pracy żyjące, zachęci rolnictwo i rękodzielnie, zamieni dzienne pańszczyzny w wymiar roboty, określi powinności chłopa dla dziedzica i dziedzica dla chłopa, uwolni od poddaństwa chłopskie dzieci, a na to miejsce zapewni dla Rzeczypospolitej jednego syna na służbę wojskową, przymusi Żydów do rolnictwa i rzemiosł, zamknie wszystkich zakonów nowicyaty, tę przepaść niezliczonych rodzaju ludzkiego pokoleń do wszystkich urzędów cywilnych sam tylko jeden stan szlachecki zdatnym, uczyni, do urzędów wojskowych i inne stany przypuści, lecz szlachcic próżniak, równie jak każdego innego stanu próżniak, prześladowanym zostanie. Szlachcic zaś rolnik, kupiec, rzemieślnik, szlachectwa nie traci.“ [1])

Tak sobie wyobrażał ów mądry plebejusz przekształcenie Rzeczypospolitej w państwo rządne i rozumnie uorganizowane, a że nie żądał zbyt wiele i myślał tak, jak myśleli wszyscy ludzie szlachetni, rozsądni i prawdziwie ojczyznę miłujący, tego dowiodły reformy czteroletniego sejmu, wprowadzające niemal wszystkie zmiany, zawarte w projekcie Staszycowym.

---

[1]) „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“, str. 137 (wyd. Turowski).

OKRES TRZECI. Sejm czteroletni.

Położenie polityczne Europy. — Podróż Stanisława Augusta do Kaniowa. — Zwołanie wielkiego sejmu. — Opozycya. Dzieło Staszyca zjawiło się w chwili, gdy zmiany polityczne otwierały dla Polski korzystniejsze na przyszłość widoki. Naprężone stosunki pomiędzy Turcyą a Rosyą zapowiadały nieuchronną wojnę. Porta ottomańska, która od pokoju karłowickiego względem Rzeczypospolitej święcie zachowywała traktaty, czuła się bezpośrednio zagrożona zaborczą polityką caratu i po dwakroć chwytała za oręż, aby powstrzymać wzrost niebezpiecznej dla siebie potęgi i niedopuścić do zupełnego niemal zhołdowania osłabionej Polski przez Rosyą. Raz — za czasów Karola XII. — skończyły się te zapasy dwóch współzawodniczących ze sobą mocarstw dość pomyślnie dla Porty, druga wojna — podczas konfederacyi barskiej rozpoczęta — ściągnęła wskutek nieudolności i sprzedajności baszów dotkliwe klęski na Turcyą. Ośmielona tem powodzeniem Katarzyna II. i ubezpieczona od strony Polski panującą w tym kraju anarchią, jakoteż przymierzem pruskiem, zamarzyła o dalszych na półwyspie bałkańskim tryumfach. Niebawnie powiodło się zabiegom dyplomacyi rosyjskiej uzyskać u Porty niezawisłość Tatarów krymskich po to, aby w kilka lat później Krym cały poddać pod władzę caratu. Ostatni han tatarski Szahin Giraj — otrzymawszy 100.000 rubli dożywotniej pensyi — zrzekł się godności swojej na rzecz carowej, Potemkin w strumieniach krwi stłumił powstanie Tatarów i został gubernatorem wyludnionego i zniszczonego Krymu. Dla zamiarów rosyjskich otwierały się w ten sposób nowe widoki: zupełne panowanie nad Czarnem morzem i wreszcie owładnięcie Konstantynopola.

Carowa chwytała się skwapliwie tej myśli, młodszemu wnukowi swemu przeznaczała już tron Paleologów w Carogrodzie i na chrzcie kazała mu dać znaczące imię Konstantyna, przypominające ostatnich cesarzy bizantyńskich, ale do wykonania tak rozległych planów potrzebowała koniecznie potężnego sprzymierzeńca. Nie nadawał się do tej roli Fryderyk II., wiekiem pochylony i własne tylko korzyści mający na celu, odpowiedniejszym był niewątpliwie Józef II., który po śmierci Maryi Teresy (1780. roku) objął rządy w krajach austryackich i pałał żądzą odznaczenia się i rozszerzenia granic swojego państwa. Podczas pierwszej swojej podróży w roku 1780. poznał on Katarzynę w Mohylowie nad Dniestrem i nie dał się olśnić jej dowcipem i pochlebstwami, jakich mu przebiegła ta kobieta nie szczędziła. Z tem wszystkiem jednak niechęć ku Prusom, które politycznym zamiarom jego w Niemczech stale prze-

szkadzały, wywołała w nim myśl ścisłego sojuszu z Rosyą, dotychczas wierną aliantką Fryderyka II. Ponieważ zaś równocześnie niemal w Petersburgu ustąpił z urzędu kanclerskiego Panin — wypróbowany przyjaciel Prus — i dla Katarzyny przymierze austryackie wydawało się o wiele korzystniejszem ze względu na plany wschodnie, więc porozumienie przyszło dość łatwo do skutku. Już w roku 1782. zaczęły się pierwsze układy pomiędzy Wiedniem a Petersburgiem, oczywiście kosztem Turcyi, która miała odstąpić Rosyi posiadłości u dolnego Dniestru wraz z Oczekowem i kilkoma wyspami na Archipelagu greckim, Austryi zaś zapłacić oddaniem Belgradu, do czego miano dołączyć także posiadłości weneckie, położone na stałym lądzie. Na takich warunkach przyszło do skutku przymierze austryacko-rosyjskie, ale wojna odwlokła się z obawy przed Francyą, która nie mogła i nie chciała zezwolić na zupełne pognębienie Porty ottomańskiej. Tem chwilowem niepowodzeniem nie dała się odstraszyć Katarzyna, lecz postanowiła zmusić Turków do wypowiedzenia wojny, aby tem łatwiej uzyskać pomoc Austryi. Tymczasem wybrała się w podróż na południe, aby zwiedzić nowo zdobyty Krym i zjechać się z cesarzem Józefem II. w Chersonie.

Wszystkie te knowania dyplomatyczne, jakkolwiek głęboką pokryte tajemnicą, zwróciły na siebie uwagę dworów europejskich, a naturalnie nie mogły ujść także baczności Stanisława Augusta. Jeżeli dla kogo — to szczególniej dla Polski — było to starcie wielkich potęg europejskich tuż u granic Rzeczypospolitej rzeczą wcale nie obojętną. Nic dziwnego zatem, że i król — przewidując zbliżającą się wojnę — pragnął korzystać z niej i dla siebie i dla państwa, którym rządził dotychczas tak nieszczęśliwie. W tym celu ułożył on projekt aliansu Rzeczypospolitej z Rosyą.

Polska miała wziąć udział w wojnie z Turkami, miała dostarczyć Katarzynie 25.000—30.000 wojska pod warunkiem jednak, że Rosya zezwoli na taką zmianę konstytucyi, któraby pomnożenie zbrojnych sił polskich umożliwiała, czyli innemi słowy, pragnął Stanisław August — mięszając się czynnie w zawikłania wschodnie — wzmocnić władzę królewską w Polsce, utworzyć poważną armię i uzyskać nawet wrazie pomyślnym pewne wynagrodzenia terytoryalne w zamian za kraje, utracone przy pierwszym rozbiorze. A że dla Rosyi pomoc polska w tym wypadku była dość pożądaną, więc imperatorowa nie sprzeciwiała się w zasadzie projektowi królewskiemu i zgodziła się na zjazd z Stanisławem Augustem w Kaniowie, którędy miała przejeżdżać w podróży do do Chersonu i Krymu.

Celem zjazdu, tak gorąco upragnionego przez króla, był jednak nietylko ów alians rosyjski. Szarpany i poniewierany na każdym kroku przez opozycyą, szukającą oparcia w Petersburgu, jechał on do Kaniowa z zamiarem, aby za pośrednictwem Katarzyny butnych oligarchów powściągnąć i odwieść od dalszych na władzę królewską zamachów. Ale i oni także, ufni w swoje stosunki, ruszyli tłumnie do Kijowa, do stóp imperatorowej, chcąc Stanisława Augusta uprzedzić i łaskę wszechwładnej monarchini sobie pozyskać. Więc kiedy król polski — otoczony nielicznym dworem — na Wiśniowiec i Chwastów zdążał do Kaniowa, gdzie sześć tygodni miał czekać na przybycie Katarzyny w upo-

karzającej roli petenta, oni, magnaci polscy, z dumą głoszący swoje republikańskie zasady, korzyli się tymczasem przed majestatem carowej w Kijowie i w przedpokojach Potemkinów i Mamonowów żebrali poparcia przeciw własnemu królowi i rządom Rady Nieustającej, która — jakkolwiek przez obcych narzucona — polską być nieprzestała. Nic wstrętniejszego też i boleśniejszego nad ten widok króla, oczekującego w Kaniowie z tygodnia na tydzień przybycia Katarzyny i tych magnatów, zaszczyconych wysokiemi godnościami w Rzeczypospolitej, a pełzających u stóp dygnitarzy rosyjskich. Był tam oczywiście jednym z pierwszych wojewoda ruski Szczęsny Potocki, był hetman wielki koronny Ksawery Branicki, był generał artyleryi litewskiej Kazimierz Nestor-Sapieha, marszałek nadworny litewski Ignacy Potocki, należący wtedy jeszcze do opozycyi, jakiś Bniński, awanturnik z Wielkopolski, starający się przez protekcyą rosyjską o buławę polną koronną, wszyscy nietylko z pominięciem własnego monarchy, ale i z wyraźnem dla niego lekceważeniem. Ale przewrót i zamieszki nowe w Polsce nie zgadzały się w tej chwili z zamiarami polityki rosyjskiej. W przededniu wojny nie chciała imperatorowa rozniecać na tyłach swojej armii pożaru, któryby siły jej rozrywał i niepokoił mocarstwa zachodnie obawą dalszych zaborów rosyjskich, wskrzeszając widmo pierwszego rozbioru. Zajęta wyłącznie planami tureckimi, pragnęła ona spokoju w Polsce, a zapatrywania jej zgadzały się w tym względzie z osobistemi widokami wszechwładnego natenczas Potemkina. Nabywszy Śmilańszczyznę, zamierzał on — podług zapewnień Stackelberga — utworzyć z swoich posiadłości ukraińskich rodzaj lennego księstwa i potrzebował na to zezwolenia króla polskiego. Stąd uprzejmość, jaką okazywał Stanisławowi Augustowi i usilne starania, aby Branickiego odłączyć od związków z Szczęsnym Potockim i skłonić do zgody z królem. Więc chociaż Branicki ani przywitał Stanisława Augusta, ani mu się ukłonił, chociaż imperatorowę zapewniał, że jest Moskalem,[1]) przyjmował dwór rosyjski umizgi te obojętnie. Potemkin złajał go mocno i „przykładał mu pięści do twarzy“, a Katarzyna wołała w rozdrażnieniu: „Już ja mu zmyję głowę dobrze i nauczę go, że nie dość jest mówić jestem Rosyaninem, ale trzeba także czynić to, co ja sobie życzę“. Ale na tem też skończyła się interwencya rosyjska, polityczne projekta Stanisława Augusta odłożyła Katarzyna na czas spokojniejszy, kiedy — powróciwszy do Petersburga — będzie mogła rozpatrzeć się w nich dokładniej i stanowczą powziąć decyzyą. Nieodbierano królowi wprawdzie wszelkiej nadziei, zgadzano się w zasadzie na to, aby przyszły sejm odbył się pod węzłem konfederacyi, czyniono ustępstwa handlowe, metropolicie kijowskiemu Sadkowskiemu, który burzył całą ludność dyzunicką, kazano złożyć przysięgę na wierność królowi i Rzeczypospolitej, słowem... głaskano Polaków przewidując, że się na wielkie zanosi wypadki i że Polska — jakkolwiek bezsilna i zależna — może w nich pewną odegrać rolę.

Krótko trwające osobiste spotkanie króla z carową na pokładzie statku pod Kaniowem nie zmieniło w niczem sytuacyi. Imperatorowa, acz uprzejma,

[1]) Podług listów króla do Kicińskiego u Kalinki: „Dokumenta do historyi drugiego i trzeciego podziału Polski“. Poznań 1868.

była widocznie zakłopotana; nudził ją prawdopodobnie i kompromitował cokolwiek wobec Mamonowa i Potemkina ów amant dawny, który — pomimo śniegiem przypruszonych włosów — o starych sentymentach zdawał się niezapominać i na nich pewne budował nadzieje, więc pragnęła o ile możności czas zjazdu ukrócić i chociaż nazajutrz wypadały imieniny króla, nie przyjęła zaproszenia na obiad, tłumacząc się, że „na wodzie Ichmościów komendantów morskich słuchać musi“. Jakoż tego samego dnia jeszcze popłynęła flotylla carowej dalej ku południowi, gdzie w Chersonie oczekiwał jej przybycia Józef II., podczas gdy Stanisław August na Korsuń podążył do Tulczyna, dokąd go zaprosił Szczęsny Potocki.

Wkrótce po tych zjazdach, które w całej Europie wielki wznieciły niepokój, Turcy — drażnieni wyzywającem postępowaniem posła rosyjskiego Bułhakowa — zaczęli wojnę z Moskwą i z Austryą. Nagły ten zwrot rzeczy w związku z układami, poprzedzającemi wojnę, nie mógł być obojętnym dla tych mocarstw europejskich, które z zawiścią spoglądały na wzrost potęgi rosyjskiej i nie chciały dopuścić żadną miarą do zdobycia Konstantynopola przez Rosyą. Przedewszystkiem zaniepokoiła się Anglia i Prusy, gdzie po śmierci Fryderyka II. zasiadł na tronie Fryderyk Wilhelm II., ociężały i zmysłowy, ale przytem mający wysokie wyobrażenie o własnej godności i o posłannictwie Prus w Europie. Można było przewidzieć z góry, że oba te mocarstwa — dotknięte tak bardzo w najżywotniejszych swoich interesach — wytężą wszystkie siły w celu sparaliżowania zaborczej polityki rosyjskiej i austryackiej na wschodzie. Z drugiej strony zaś zatrudnienie Rosyi wojną, na tak wielkie rozmiary zaczętą, nastręczało Polsce dogodną sposobność do otrząśnięcia się z jarzma rosyjskiego i do odzyskania w części przynajmniej dawniejszego stanowiska na północnym wschodzie Europy. Nic dziwnego przeto, że kiedy w roku 1788. miał się zebrać sejm walny w Warszawie, wszystkie światlejsze umysły czuły, że zbliża się stanowcza dla Rzeczypospolitej chwila. „Czas to jest — mówił król przy zagajeniu sesyi sejmowej — daj Boże, żeby nie ostatni, z którego najusilniej korzystać należy, ażeby siły narodu pomnożyć, pomnożone należytem opatrzeniem trwale utrzymać, utrzymane dla bezpieczeństwa osób, wolności, majątków i dla sławy i powagi tego królestwa używać i urządzić“.

A nietylko u nas w kraju, ale także i zagranicą, uważano sejm, w roku 1788. zebrać się mający, za miarę sił i dojrzałości narodu polskiego. „Przyszły sejm pokaże — pisał Kaunitz do posła austryackiego w Warszawie de Caché — czego Rzeczpospolita po sobie samej spodziewać się może. Jeżeli prywatne zawiści wezmą znów górę nad interesem publicznym, jeżeli chęć wzajemnego dokuczania zagłuszy potrzebę zgody, Rzeczpospolita postawi się sama nad przepaścią, od której jej pewno niezasłonią patryotyczne uczucia, pięknemi wypowiedziane słowy“.

Ani król ani stary kanclerz nie powiedzieli w istocie za wiele. Rzeczpospolita potrzebowała gwałtownie ratunku, w przeciwnym bowiem razie czekała ją nieuchronna zguba pomimo zapewnień, jakie niedawno w Kaniowie usłyszał Stanisław August od Katarzyny i od Józefa II., że żadne z tych mo-

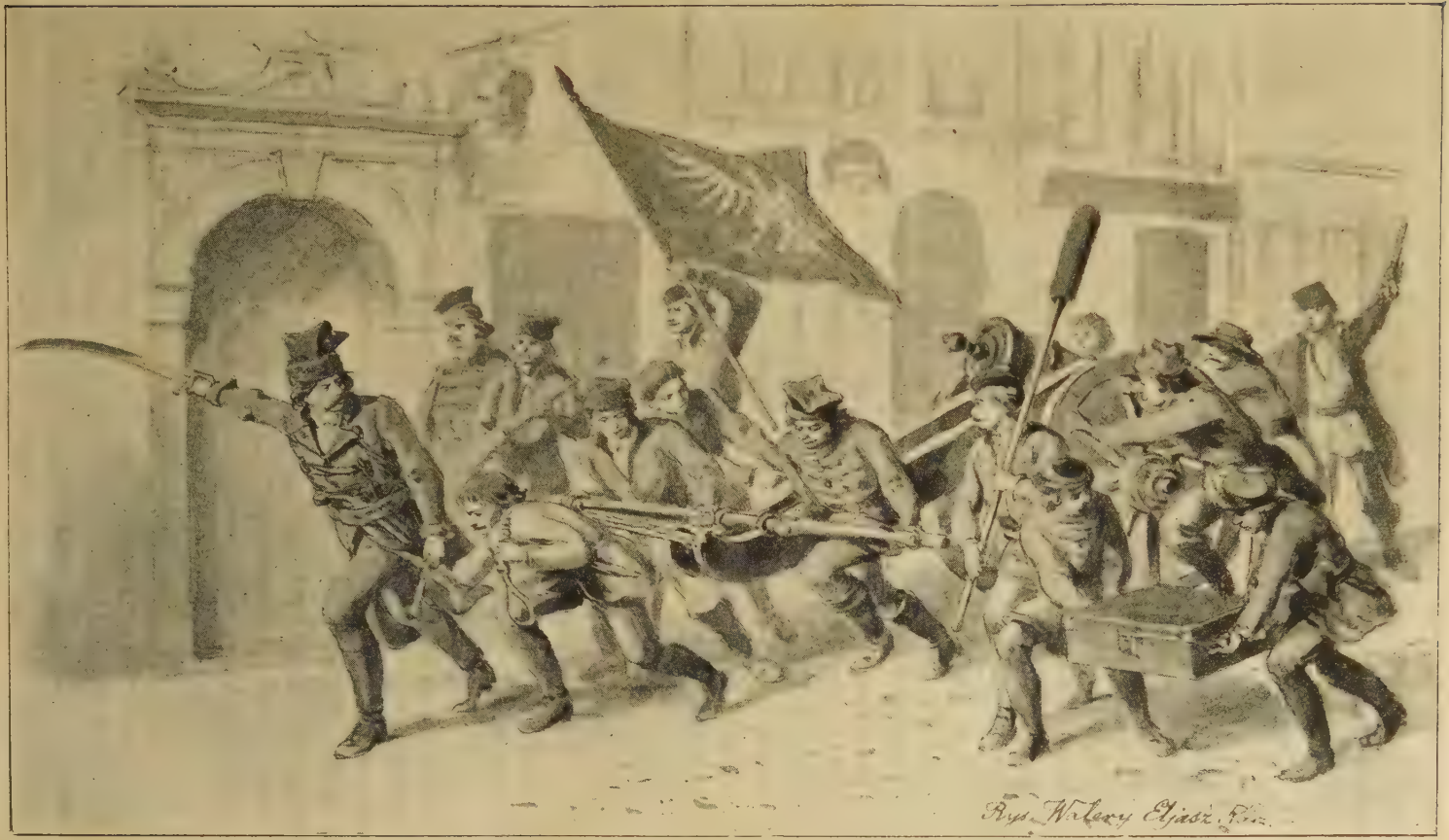

Kiliński w czasie oswobodzenia Warszawy. 1794.

carstw o dalszych zaborach w Polsce nie myśli. Pod takiem hasłem odbywały się wybory do sejmu, a jak dalece ogół społeczeństwa polskiego był przejęty ważnością chwili i potrzebą reformy, świadczą lauda sejmikowe, które wszystkie z rzadką w dziejach naszych jednomyślnością domagały się pomnożenia wojska, a miejscami nawet, jak to się stało w województwie podolskiem i bracławskiem, uchwaliły z własnej inicyatywy na ten cel podatki. Wprawdzie duch ofiarności obywatelskiej nie objawiał się wszędzie w równej mierze. Po staremu uczuwały go silniej województwa pograniczne, jako częściej wystawione na najazdy nieprzyjacielskie, podczas gdy inne — bezpieczniejsze — zastrzegały się wyraźnie, aby pomnożenie sił zbrojnych „obywatelom dosyć już uciążonym żadnej nie przynosiło ciężkości“, z tem wszystkiem jednak można było z góry przewidzieć, że i to nałogowe sobkostwo szlacheckie ulegnie na sejmie ogólnemu prądowi i spełni wkońcu obowiązek swój względem ojczyzny. Poczuwał się do tego ogół dobrze myślących obywateli, a duch reformatorski — przebiegający wtedy całą Europę — i korzystne położenie polityczne zachęcały i ośmielały do działania. Było ono jednak możliwe tylko w takim razie, jeżeli w obradach sejmowych będzie uchylona zgubna zasada jednomyślności, jeżeli sejm zawiąże się w konfederacyą, na co zresztą król uzyskał zasadniczo przyzwolenie Katarzyny II. i zgodę Stackelberga. A że i pomiędzy posłami panowała pod tym względem niezwykła jednomyślność, świadcząca chlubnie o rozwijającej się dojrzałości narodu, więc natychmiast po zebraniu się sejmu (dnia 6. października 1788. roku, t. j. w pierwszy poniedziałek po św. Michale) zawiązano akt konfederacyi i zgodnie obrano marszałkiem Izby poselskiej Stanisława Małachowskiego, referendarza koronnego i posła sandomierskiego. Wybór był ze wszech miar trafny. Marszałek pochodził z rodziny bardzo zamożnej, lecz nie należał pod względem przekonań swoich i nałogów do arystokracyi polskiej. Odznaczając się niezwykłym na owe czasy patryotyzmem, słynął z prawości charakteru i bezstronności, tak, że go „Arystydesem polskim“ nazywano, a jakkolwiek łączył się z szlachtą i zasady szlacheckie wyznawał, był skłonnym do ustępstw na rzecz postępowych idei, skoro widział w tem dobro ojczyzny. W kierowaniu obradami sejmowemi okazał przez cały czas wiele taktu i zręczności, chociaż dla zbytniej bezstronności bywał czasami zanadto może pobłażliwym i względnym na wybryki opozycyi. Izba, której Małachowski miał przewodniczyć, różniła się znacznie i korzystnie od sejmów poprzednich. Wybrana pod wrażeniem niezwykłych wypadków i w nadziei niezbędnej dla państwa reformy, nosiła ona na sobie piętno ducha czasu. Na ławach poselskich zasiadali więc po wielkiej części ludzie młodzi i zdolni, w nowej wychowani szkole, nowemi ożywieni zasadami, przejęci gorącem uczuciem patryotycznem, gotowi do poświęceń i czynów bohaterskich. Wszystko, co tylko Polska ówczesna posiadała lepszego i szlachetnego, wszystko, co później zasłynęło w epoce porozbiorowej, co w chwilach największego upadku nie straciło ducha i energii, co wytrwało pod sztandarem narodowym usque ad finem, to wszystko znalazło się w Izbie poselskiej wielkiego sejmu, ugrupowane głównie około księcia Adama Czartoryskiego i Ignacego Potockiego. Obaj nie należeli z początku sejmu do stronnictwa królewskiego, obaj byli

rozżaleni na Stanisława Augusta i w zapamiętałości swojej posunęli się tak daleko, że utrzymywali — jak wspomniano już — najściślejsze stosunki z Ksawerym Branickim i Szczęsnym Potockim, najwybitniejszymi reprezentantami oligarchiczno-arystokratycznego stronnictwa, ale rozsądniejsi od nich, szczerze patryotyczni i uczciwsi, upamiętali się dość wcześnie jeszcze i w chwili stanowczej wrócili na drogę obowiązku względem ojczyzny. Może być, że na tę nagłą zmianę w ich usposobieniu i polityce wpłynął ostatni krok Branickiego i Potockiego w Petersburgu, mianowicie ów potworny projekt[1]) konfederacyi, przedstawiony carowej na początku roku 1788., projekt, który urzeczywistniła w kilka lat później „Targowica“. W takiej robocie nie mógł brać chyba udziału ani Czartoryski ani Ignacy Potocki i tem może się tłumaczyć ich stanowisko w sejmie i następne zbliżenie się do króla. Na czele opozycyi pozostali więc w chwili obecnej tylko Branicki i Szczęsny Potocki, jawni już stronnicy Rosyi. Pierwszy z nich — wątpliwego pochodzenia, stąd przez współczesnych pisarzy także Braneckim zwany — zawdzięczał całą swoją karyerę Stanisławowi Augustowi. W młodości wieszał się u boku księcia Karola saskiego, odbył z nim razem jako ochotnik dwie kampanie w armii austryackiej i towarzyszył mu następnie w podróży do Petersburga. Tam zetknął się z młodym stolnikiem Poniatowskim i służył mu z takiem poświęceniem przy awanturach miłosnych z wielką księżną Katarzyną, że zaskarbił sobie przez to na zawsze względy przyszłego króla polskiego. Skoro więc tylko Stanisław August wstąpił na tron, zaczął Branicki zaraz rość w kredyt i znaczenie u dworu. Mianowany łowczym koronnym, otrzymał podczas konfederacyi barskiej dowództwo nad wojskiem królewskiem, a jakkolwiek sprawiał się tu nieszczególnie, to jednak po pierwszym rozbiorze obdarował go król starostwem białocerkiewskiem, przynoszącem 516.633 złotych polskich rocznego dochodu i po śmierci Jana Klemensa Branickiego buławą wielką koronną.

W ten sposób doszedł Ksawery Branicki do magnackiej fortuny i został pierwszym w Rzeczypospolitej dygnitarzem. Wszystko to jednak nie zdołało nasycić jego ambicyi i chciwości. Obrażony wskutek ograniczenia władzy hetmańskiej przez Radę Nieustającą, szukał dawnym obyczajem magnatów naszych pomocy w Petersburgu, wieszał się tam u boku Potemkina i ożenił się z siostrzenicą jego Engelhardtówną. Odtąd stał on się więcej Moskalem niż Polakiem i przyznawał się — jak wiemy — publicznie do tego. Gdy wojna turecka w roku 1787. wybuchnęła, Branicki — niepomnąc, jaką godność piastuje — pobiegł jako ochotnik do armii Potemkina i tam pod Oczakowem harcował z Turkami lub uganiał wśród szeregów kozackich podczas przeglądów wojskowych. Dziwić się nie można, że to postępowanie podało go w lekceważenie u obcych, a wkońcu w pogardę u swoich. Potemkim rozgniewany „przykładał mu pięści do twarzy“, poseł sandomierski Skórkowski żalił się słusznie w Izbie sejmowej, że Branicki poniewiera dostojność rangi hetmańskiej służbą woluntaryusza i poniża wojsko buławie jego podległe, nawet

[1]) Ogłosił go ks. Kalinka w „Dokumentach“ (str. 100) wraz z uwagami Katarzyny II.

hetman polny koronny Rzewuski mniemał, że za to, „co tam Branicki wyrabia, należałoby go przed sąd sejmowy postawić“. Nie przyszło jednak do tego. Branicki, chociaż nikczemny hetman, miał licznych przyjaciół. Hulaka, nieszczędzący grosza, imponujący przytem nietylko majątkiem wielkiem ale zarazem pewną butą junacką, wyrobił on sobie znaczną popularność wśród ciemnej masy szlacheckiej, a nawet potrafił pozyskać teraz jeszcze na czas pewien dla siebie Ignacego Potockiego i Adama Czartoryskiego, którzy go przed sejmem zasłaniali i bronili, dokąd się nie przekonali wreszcie dowodnie o jego nikczemności.

Podobnym do Branickiego z wielu względów był Szczęsny Potocki, drugi syn Franciszka Salezego, wojewody kijowskiego i Potockiej, wojewodzianki poznańskiej, słynnej zarówno z bogactw jak i z wielkiej złośliwości. Wygórowana duma rodziców nie mogła pozwolić na to, aby młody Szczęsny wychowywał się w kollegium pijarskiem w Warszawie, chociaż tam inni znajdowali się już Potoccy. Kształcono więc wojewodzica w domu podług swojej metody i swoich wyobrażeń. Nauczycielem jego był Pijar, dozorcą jakiś Bernardyn, a właściwym instruktorem i powiernikiem kamerdyner Francuz, który pozyskał sobie zupełnie zaufanie młodego panicza. Wśród takich stosunków o nauce na seryo nie mogło być mowy. Księża skracali sobie czas grą w maryasza, a Szczęsny ze swym kamerdynerem bawił się w garderobie. Rodzice mało zwracali na to uwagi, obyczajem francuskim syna nie widywali wcale, chyba na osobnych audyencyach, z których odchodził zwyczajnie połajany lub pobity.[1]) Dorósłszy, poznał on w domu swoich rodziców kasztelankę sandomierską Gertrudę Komorowską, zakochał się w niej i pojął ją bez wiedzy ojca w małżeństwo. Pośrednikiem w tej sprawie byli kamerdyner i Bernardyn. Skoro się o tem dowiedziała wojewodzina, zawrzała strasznym gniewem. Obu księży wypędzono, Szczęsny wziął sto rózg, kamerdyner tyleż batogów, a nieszczęsna Gertruda została utopiona. Po tej tragicznej katastrofie wyprawiono wojewodzica zagranicę, gdzie także niczego się nie nauczył, spisując w dzienniku podróżnym tylko stacye pocztowe i miejsca, gdzie jadał obiady. Ożeniony powtórnie z Mniszchówną, żył z nią jak najgorzej, wreszcie pojął trzecią żonę, piękną Greczynkę, Zofią, którą Boskamp przywiózł z Konstantynopola i sprzedał był synowi komendanta kamienieckiego Witta. Pani ta, znana zresztą dobrze w kołach wyższych oficerów rosyjskich, została więc towarzyszką życia przyszłego twórcy konfederacyi targowickiej.

Całe to życie Szczęsnego, pełne skandalów i awantur, nie przeszkadzało mu do pozyskania wielkiej pomiędzy szlachtą popularności. Odziedziczywszy po ojcu olbrzymi majątek, obejmujący trzy miliony morgów ukraińskiej ziemi i założywszy wspaniałą rezydencyą w Tulczynie, stał się on niebawem królikiem ukraińskim i pomimo tępego umysłu i braku wykształcenia piastował w Rzeczypospolitej dygnitarstwa, został bowiem wojewodą ruskim, a następnie kupił od Stempkowskiego regimentarstwo ukraińskie, przyczem — chcąc sobie naturalnie pozyskać popularność — ofiarował (na sejmie w roku 1784.) Rze-

[1]) Te ciekawe szczegóły o wychowaniu Szczęsnego przytacza ks. Kołłątaj. „Stan oświecenia w Polsce etc.“, na str. 19.

czypospolitej 24 trzyfuntowych armat i przyrzekł uzbroić i utrzymywać własnym kosztem 400 piechoty. Ofiarę tę stawiano wtedy jako akt niesłychanej szczodrobliwości, chociaż w istocie nieprzenosiła ona 100.000 złotych polskich, co wobec olbrzymiej fortuny Szczęsnego było drobnostką. W podobnem świetle przedstawia się także drugi dar wojewody podczas czteroletniego sejmu, nazwany szumnie „regimentem imienia Potockich“. Dość powiedzieć bowiem, że o tym regimencie jeszcze w roku 1790. nie miała żadnych wiadomości komisya wojskowa i że Szczęsny wreszcie ofiarę swoją odwołał.

Jako obywatel był pan wojewoda ruski typem magnata w najgorszym gatunku. Schlebiający szlachcie dla pozyskania popularności, wobec równych sobie nad miarę dumny, gotów był mimo tej pychy płaszczyć się przed obcymi aż do upodlenia. Kiedy się zaczęła wojna turecka, a Szczęsny otrzymał rozkaz osłaniać granice Rzeczypospolitej od strony tureckiej, sprawował on ten urząd z wielką skrupulatnością, ale i z niemniejszą dla siebie korzyścią. Poza kordonem wojska polskiego mogli Rosyanie bezpiecznie gromadzić magazyny i uzbrajać swoje armie. Nic dziwnego przeto, że Rumiańcow i Potemkin obsyłali Szczęsnego dziękczynnemi listami i że imperatorowa obdarzyła go w styczniu roku 1788. szpadą i epoletami, które były wysadzone brylantami i niemałą przedstawiały wartość. Równocześnie zrobił wojewoda świetny interes, sprzedał bowiem dla wojska rosyjskiego 50.000 czetwierti zboża za cenę 1,300.000 złotych polskich, a są dowody, że oprócz tego otrzymał w podarunku za niewymienione usługi od rządu rosyjskiego 20.000 dukatów.[1]) Wobec takich korzyści i zysków mógł on łatwo poświęcić z własnej szkatuły 180.000 złotych polskich na zakupno żywności dla wojska polskiego, co podniesiono natychmiast do wysokości niepraktykowanej ofiary obywatelskiej. Tak zaufany w łasce imperatorowej i w stosunkach ścisłych z Stackelbergiem i Potemkinem, snuł on coraz zuchwalsze plany, pragnął Rzeczpospolitą przemienić na republikę oligarchiczną z wybieralnym prezydentem na czele, ba! marzył nawet sam o koronie i wyznawał przytem otwarcie, że jedyną pobudką działania jego było „przywiązanie do imperatorowej i chęć służenia wielkiej monarchini“.

Na sejm czteroletni wybrany posłem z województwa bracławskiego, zażywał Szczęsny wielkiej popularności, później jednak utracił ją zupełnie, gdy oświadczył się za utrzymaniem departamentu wojskowego. Urażony nieprzyjemnemi dla siebie manifestacyami w Warszawie, wyjechał do Tulczyna, tam jawnie już buntował się przeciw rozkazom komisyi wojskowej, której podlegał jako generał-lejtnant, wybierał się do Włoch, wreszcie opuścił kraj i udał się do Wiednia.

Tacy byli naczelnicy opozycyi na sejmie czteroletnim, a z ich charakteru łatwo można sobie wysnuć wniosek o pobudkach i celach ich działania. Nazywano obóz ich już wtedy „partyą rosyjską“, a historya może trafność tej nazwy bez wahania potwierdzić.

Obok tych zdeklarowanych przyjaciół imperatorowej i Stackelberga, obok stronnictwa postępowego, które oznaczono mianem ogólnem patryotów, stała

[1]) „Pamiętniki ks. Kitowicza“, t. II, str. 29. (Wyd. lwowskie.)

na początku sejmu silna i zwarta falanga posłów, należących do partyi królewskiej. Program Stanisława Augusta opierał się — jak wiemy — na projektowanym aliansie rosyjskim i zawierał zarazem bliżej nieokreśloną reformę rządu, naturalnie w kierunku wzmocnienia władzy królewskiej. Ale właśnie projekt przymierza rosyjsko-polskiego, na którym zasadzały się dalsze plany Stanisława Augusta, napotkał na zaciętą opozycyą. Wyszła ona najpierw z Berlina, gdzie wiadomość o aliansie polsko-rosyjskim wywołała wielkie obawy.

Prusy, zaniepokojone już dawniej zaborczą polityką Austryi i Rosyi na wschodzie, zwróciły teraz baczniejszą uwagę na Polskę, postanowiły wciągnąć ją w sferę swoich kombinacyj politycznych i uzyskać dominujący wpływ w Warszawie. Ażeby tego dokonać, należało uprzedzić i sparaliżować zabiegi stronnictwa królewskiego i przyjaciół Rosyi. W tym celu zapowiedział Buchholtz, poseł pruski w Warszawie, jeszcze przed rozpoczęciem sejmu, uroczyście deklaracyą swego dworu. Jakoż rzeczywiście dnia 13. października odczytał sekretarz sejmowy Jan Łuszczewski notę, podpisaną przez Buchholtza, w której gabinet berliński stanowczo protestuje przeciw przymierzu polsko-rosyjskiemu, alians ten uważa za szkodliwy, bo wymierzony przeciw Prusom, a wreszcie ofiaruje Rzeczypospolitej ze swej strony przymierze i „zaprasza wszystkich prawdziwych patryotów i dobrych obywatelów Polski do łączenia się z królem pruskim, a to końcem odwrócenia mądremi i spólnemi środkami owych wielkich nieszczęść i klęsk, któremi ich ojczyzna zagrożoną zostaje“.

Nota ta sprawiła ogromne wrażenie nietylko w kołach sejmowych, ale i w całym kraju; wielbiono powszechnie króla pruskiego jako bezinteresownego przyjaciela Rzeczypospolitej, posłowie gromadnie składali wizyty Buchholtzowi, a myśl o aliansie pruskim zaprzątała głowy do tego stopnia, że przeciwników tej polityki pomawiano o nieudolność i brak zdrowego rozsądku. I rzeczywiście — jeżeli się rozważy położenie narodu polskiego w owej chwili — trzeba przyznać, że zapał ten był całkiem naturalny i nieunikniony. Rzeczpospolita miała niespodziewanie wybierać pomiędzy dwoma aliantami, czyhającymi w gruncie na jej zgubę; wybór ten w ówczesnych stosunkach nie wydawał się trudnym. Z trzech mocarstw rozbiorowych ściągnęła na siebie Rosya niewątpliwie największą i słuszną nienawiść Polaków. Stuletnie krzywdy, jakich Rzeczpospolita od Moskwy doznawała, okrucieństwa Piotra Wielkiego i wojsk „auksyliarnych“ rosyjskich za Augusta II., prześladowania srogie stronników Leszczyńskiego, osadzenie na tronie polskim Augusta III., a wreszcie Stanisława Augusta, niesłychany gwałt popełniony przed 20-tu laty na osobach najpoważniejszych senatorów polskich, nakoniec w świeżej pamięci będące znęcanie się Drewicza i jemu podobnych dowódzców rosyjskich nad konfederatami barskimi, jakoteż brutalność Repnina, wszystko to — razem wzięte — podało imię Rosyi w nienawiść i ohydę u narodu polskiego. Żadne z mocarstw rozbiorowych nie dało Polakom uczuć tak dotkliwie swojej przewagi i przemocy jak Rosya.

Inicyatywa do pierwszego podziału Rzeczypospolitej wyszła wprawdzie z Berlina, ale okoliczność ta — mało znana wtedy — nie mogła zatrzeć sil-

niejszych o wiele wrażeń, ani też zmniejszyć nienawiści ku Moskwie. Chytry i przebiegły Prusak umiał przytem zachować przynajmniej pozory cywilizowanego nieprzyjaciela, podczas gdy Moskal używał przewagi swojej w sposób barbarzyński i upokarzający na każdym kroku uczucie dumy narodowej. Co do Austryi wreszcie, to dwór habsburski — zostający oddawna w rozlicznych stosunkach z Polską i spokrewniony kilkakrotnie z panującemi w Polsce rodzinami — jakkolwiek nie posiadał ogólnej u nas sympatyi, to jednak liczył wielu stronników i zażywał niemałej powagi, jako dzierżący od wieków koronę „imperium rzymskiego“. Zachowanie się dworu wiedeńskiego w czasie pierwszego rozbioru, jakoteż gospodarka urzędników austryackich w świeżo nabytej Galicyi, ochłodziła wprawdzie znacznie te habsburskie sympatye, ale nie zdołała wzbudzić tak gruntownej nienawiści ku Austryi jak ku Moskwie.

Nic naturalniejszego więc nad to, że, skoro tylko Polska znalazła się w możności wybierania pomiędzy przymierzem pruskiem a dalszą — chociażby złagodzoną cokolwiek — od Rosyi zależnością, opinia publiczna jednomyślnie niemal oświadczyła się przeciw wszelkiemu z Moskwą porozumieniu. W narodzie — wyrobionym więcej pod względem politycznym i posiadającym rząd, używający popularności i zaufania — można było myśleć o wyzyskaniu tak korzystnej sytuacyi, można było zająć do czasu stanowisko wyczekujące i wytargować wzamian za neutralność lub przymierze dogodne dla siebie warunki. Polacy znajdowali się niestety w wyjątkowem położeniu. Nie prowadząc właściwie polityki zagranicznej i nie troszcząc się wiele o sprawy ogólno-europejskie, nie mieliśmy ani znajomości stosunków, ani tej biegłości w traktowaniu interesów, której nabywa się jedynie przez długoletnie doświadczenie i wytrwałą pracę. Nadto ci, co stać byli powinni na straży interesów narodowych, nie posiadali wcale zaufania narodu i stanowczego wpływu na jego postanowienia wywierać nie mogli.

Król, podejrzany o sprzyjanie Moskwie, mógł liczyć tylko na poparcie najbliższych krewnych i przyjaciół. Rada Nieustająca zaś — jako magistratura, przez obcą gwarancyę narzucona — była instytucyą powszechnie nienawidzoną.

Wśród takich stosunków nie mogło być mowy o jasno określonym programie politycznym ani o jego wykonaniu, bo nawet stronnictwo patryotyczne — jakkolwiek reprezentowało najlepszą i najzdrowszą część społeczeństwa — nie miało na początku sejmu organizacyi, nie miało planu szczegółowo obmyślanego. Naród szedł więc za głosem instynktu, a instynkt ten mówił mu, że głównym wrogiem Polski jest Rosya. Przeciw Rosyi zatem i przeciw temu wszystkiemu, co rosyjski wpływ w Polsce stworzył, skierowała się cała akcya patryotów w sejmie i poza sejmem. Prąd ten nie uszedł bacznej uwagi berlińskiego dworu i zachęcił go do wytrwania w tej polityce, jaką wdrożyła nota z dnia 13. października.

Zamiary rządu pruskiego popierał i ułatwiał niezmiernie Stackelberg dumnem swojem i szorstkiem postępowaniem. Nota jego z dnia 5. listopada, gdzie mówił o „rozkazach najjaśniejszej imperatorowej, noszących doskonałą cechę sentymentów przyjaźni dla narodu polskiego“ i potępiał kategorycznie

wszelkie odmiany konstytucyi z roku 1775., wywołała wielkie rozdrażnienie i oburzenie i podnieciła jeszcze bardziej nienawiść ku Moskwie.

Ażeby jednak uwolnić się od przemocy rosyjskiej i zabezpieczyć przed dalszem uszczupleniem granic, potrzeba było nietylko reformy rządu, ale także — co najważniejsza — odpowiedniej siły zbrojnej. Pojmowali to wszyscy dobrze i dlatego już w pierwszych dniach sejmu wniósł wojewoda sieradzki Walewski projekt powiększenia armii narodowej do 100.000 żołnierzy. Kiedy na sesyi w dniu 20. października odczytano wniosek Walewskiego, powstał niesłychany zapał w Izbie i na galeryach i ze wszystkich piersi zabrzmiał okrzyk: Zgoda! zgoda! Nadaremnie niektórzy posłowie i sam marszałek pragnęli zastanowić się nad tem, czy tak znaczne pomnożenie sił zbrojnych w obecnem położeniu kraju da się wykonać, ogół nie chciał słyszeć o żadnych zwłokach i naradach, czuł bowiem instynktowo, że los ojczyzny jest od siły orężnej zawisłym. Jakkolwiekbądź uchwała o stutysięcznej armii, podyktowana zarówno potrzebą jak i gorącem uczuciem patryotycznem, nieprzechodziła wcale sił narodu polskiego. Ludność na całym obszarze ówczesnym Rzeczypospolitej wynosiła 8,800.000 dusz, między tem 725.000 szlachty. Cyfra ta, jakkolwiek niewielka w stosunku do rozległości kraju, wystarczała zupełnie na wystawienie 100.000 żołnierzy. Przed 150 laty pod Beresteczkiem mieliśmy tyle, chociaż województwa południowe zalane były najazdem kozackim, a obecnie Prusy — o wiele mniej ludne — utrzymywały dwa razy tyle wojska. Trudność cała leżała w braku pieniędzy i wszelkiego przygotowania. Widzieliśmy, jak w r. 1776. — z powodu deficytu w skarbie — odstąpiono od zamiaru postawienia 30-tysięcznej armii i ograniczono się do reorganizacyi tej siły, jaką uchwalił sejm niemy w roku 1717. I to postanowienie, wykonane ściśle, byłoby stworzyło przynajmniej kadry gotowe. Mając 24.000 dobrze wyćwiczonych żołnierzy i zdolnych oficerów, można było daleko łatwiej podnieść tę siłę do stu tysięcy, aniżeli teraz, gdy cała armia polska liczyła 10.335 piechoty i 8200 jazdy, gdy brakowało nadto doświadczonych generałów, broni i artyleryi, gdy jeden tylko generał Komarzewski z trudnością i stopniowo nad przeistoczeniem armii pracował. Niemała była w tem wina narodu, który natenczas nie poczuwał się jeszcze do obowiązku skupienia wszystkich sił swoich, ale nie mniejsza i króla, który — zostając na najwyższem, kierującem stanowisku — mógł i powinien był nawet daleko więcej zdziałać dla obrony ojczyzny. Jego to winą przedewszystkiem było, że na czele armii koronnej postawiono takiego warchoła i nieuka, jak Ksawery Branicki. Hetman zdolny, fachowo wykształcony — a co najważniejsza — pojmujący dobrze obowiązki swoje względem kraju, byłby potrafił podnieść wojsko i natchnąć żołnierza innym duchem. Brak pieniędzy można było w znacznej części zastąpić roztropną oszczędnością. Pieniądze, których król używał na budowę pałacu Łazienkowskiego, na wyposażenie baletniczek i artystek wątpliwej sławy, wreszcie na utrzymanie wystawnego dworu, byłyby wystarczyły przynajmniej na zaopatrzenie arsenałów Rzeczypospolitej i przygotowanie rynsztunku dla liczniejszej armii.

Wszak kancelarya wojskowa królewska kosztowała rocznie zaledwie 25.000 złotych polskich, kiedy Ryks na utrzymanie baletu i teatru publicznego

pobierał po 90.000 złotych polskich, na posagi dla baletniczek po 1000 złotych polskich, oprócz podarunków rozmaitego rodzaju.

Równie większym jest etat biblioteki królewskiej, wynosi bowiem 40.000 złotych polskich.[1]) Zamiast wydawać tyle pieniędzy na rzeczy mniej natenczas potrzebne, zamiast obdarowywać takiego nikczemnika jak Branicki starostwem białocerkiewskiem, należało przynajmniej dochody z tego olbrzymiego majątku obrócić na cele wojskowe. Dałyby one wciągu lat 12-tu przeszło 6,000.000 złotych polskich, a więc sumę trzy razy większą od tej, jaką sejm czteroletni zapłacił za broń. O ileż łatwiej byłaby wykonana ustawa o stutysięcznej armii, gdyby nie trzeba było wtedy dopiero sprowadzać z trudem i mozołem po kilka tysięcy sztuk lichej broni z zagranicy! Ale o tem nie pomyślał nikt, a najmniej już król, zaciągający olbrzymie długi dla dogodzenia swoim fantazyom. Również nie postarano się o wykształcenie zdolnych oficerów.

Orzeł ze sztandaru za Kościuszki.

Szkoła rycerska, jakkolwiek zasłużona niewątpliwie dla kraju, nie mogła wyrobić ludzi praktycznych, ale rzeczą rządu było ściągać do służby wojskowej oficerów, którzy praktykę zagranicą odbyli i złożyli dowody swego uzdolnienia. Był przecież Kościuszko, był Jan Henryk Dąbrowski, obaj — jak się później pokazało — znakomici organizatorowie, a jednak nikt o nich nie pomyślał, nikt nie użył ich zdolności i wykształcenia dla dobra kraju. Powołano

[1]) Korzon. T. IV, str. 283.

ich dopiero w okresie czteroletniego sejmu, a więc prawie w przededniu wojny, kiedy na pracę organizatorską czasu już nie było. Wskutek tego zaniedbania i karygodnej opieszałości znalazł się sejm w bardzo trudnem położeniu, kiedy miał wykonać uchwałę o stutysięcznej armii. Musiał on bowiem nietylko werbować żołnierzy i wyszukiwać oficerów, ale także kupować broń, napełniać prochownie i przygotowywać rynsztunek i opatrzenie dla armii na wypadek wojny, która z każdym dniem niemal stawała się prawdopodobniejszą.

Ażeby temu wszystkiemu podołać, wypadało przedewszystkiem dochody skarbu powiększyć. Z początku mniemano, że wystarczy na to ofiarność publiczna. Jakoż rzeczywiście wobec powszechnego zapału można się było łudzić tą nadzieją. Ofiary płynęły z początku dość obficie. Na ołtarzu ojczyzny składali grosz swój wszyscy, bez różnicy stanów i wyznania, nawet kobiety i dzieci, ale gdy przystąpiono do obliczenia pokazało się ostatecznie, że wciągu dwóch lat zebrano w ten sposób zaledwie 500.000 złotych polskich. Co prawda, w bogatszej od nas Francyi wyniosły datki patryotyczne w tym samym czasie tylko 361.587 franków, bo ofiarnością — chociażby największą — stałych podatków zastąpić nie można. Pozostawała więc dla sejmu jedna droga, t. j. podwyższenie ciężarów podatkowych. Ale tu znowu wystąpił jaskrawo egoizm szlachecki i gadulstwo sejmowe, a oprócz tego także brak zdolnych finansistów, którzyby odpowiednie projekta opodatkowania obmyśleć i wobec Izby — niechętnej nowym ciężarom — zwycięsko przeprowadzić zdołali. Najzdolniejsi z naszych statystów ówczesnych (Staszyc i ks. Hugo Kołłątaj) nie zasiadali wtedy wcale w sejmie i mogli tylko drukiem ogłaszać swoje pomysły w tej ważnej kwestyi. W istocie tak Staszyc w „Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego“ jak i Kołłątaj w „Listach anonyma do marszałka Małachowskiego“, podawali trafne rady narodowi także pod względem finansowym, ale wykonanie tych projektów wymagało innego przygotowania posłów i inicyatywy samych autorów w Izbie.

Tymczasem posłowie, zasiadający w sejmie roku 1788., nie mieli należytego wyobrażenia o skarbowości, a wadliwy regulamin sejmowy sprawiał nadto, że w toku najważniejszych dyskusyj występowali nagle posłowie z wnioskami w innej zupełnie materyi i przeszkadzali przez to najpilniejszym i najzbawienniejszym dla kraju uchwałom. Najwalniejszą jednak przeszkodą może był egoizm szlachty, która — nie płacąc dotąd żadnego prawie podatku i zwalając wszystkie niemal ciężary na swoich poddanych — długo nie chciała oswoić się z myślą, że do ratowania zagrożonej ojczyzny nie wystarczają patryotyczne frazesy.

Pierwszy Stanisław Potocki wystąpił z projektem „podatku czasowego“, czyli t. zw. podymnem „protunkowem“ (od słowa pro tunc, tylko na teraz), ale dochód ten — jako jednorazowy — wystarczyć nie mógł. Uchwalono więc inne podatki: od urzędów, orderów i papier stemplowy, wszystko razem niedostateczne, gdyż — podług obliczeń podskarbiego Moszyńskiego — budżet Rzeczypospolitej miał wynosić 48,531.411 złotych polskich, z czego na utrzymanie wojska na stopie pokojowej przypadało blisko 40,000.000. Radził wobec tego zatem nałożyć podatek generalny z dóbr ziemskich i rada jego odniosła skutek pomyślny.

Dnia 26. marca 1789. roku uchwaliła Izba pomyślnie „Ofiarę wieczystą stanu rycerskiego obojga narodów na wojsko“, wynoszącą 10% od dochodów „stałych i pewnych“ z dóbr ziemskich, a 20% z dóbr duchownych. Ale i ten podatek — z powodu niedokładnego oznaczania dochodów — nie zaspokoił potrzeb państwa. „Ofiara“ przyniosła 9,000.000 złotych polskich, tak, że suma — jaką skarb rozporządzał — wynosiła razem tylko 29,000.000. Wobec tego musiał sejm odroczyć wykonanie uchwały o stutysięcznej armii i zalecił komisyi wojskowej dnia 3. marca 1790. roku, aby zmniejszyła liczbę wojska do 64.074.

Ale i taka ilość żołnierzy wymagała podwyższenia dochodów. Zajęto więc na fundusz wojskowy dobra biskupstwa krakowskiego, wydzielając z nich dla nowego biskupa Turskiego tylko tyle, ile potrzeba było na 100.000 złotych polskich intraty.

W ten sposób dostały się rządowi ważne kuźnice Suchedniowskie, gdzie wyrabiano amunicyą i broń dla armii, a do skarbu publicznego wpływało nadto corocznie 574.861 złotych polskich czystego dochodu.

Najdonioślejszą jednak była uchwała sejmowa, zapadła na posiedzeniu dnia 19. grudnia 1791. roku., mocą której postanowiono sprzedać wszystkie starostwa. Wartość tych olbrzymich dóbr oceniano na 30.000.000 złotych polskich. Wrazie sprzedaży można było przeto — procentując kapitał po 4½% — uzyskać 9,000.000 rocznego dochodu, bo 100,000.000 złotych polskich przeznaczono na spłacenie dotychczasowych dzierżawców i rozmaitych ciężarów.

Jeżeli się zważy, że starostowie opłacali do skarbu t. zw. kwartę, wynoszącą nie więcej jak 2,500.000 złotych polskich, to Rzeczpospolita zyskiwała na tej operacyi około 7,000.000 rocznego dochodu. Projekt sprzedaży królewszczyzn opracował z wielką znajomością rzeczy ks. Ossowski, a w memoryale swoim doradzał nadto założenie banku narodowego. Myśl tę poparł wprawdzie całym swoim wpływem uczeń i przyjaciel wnioskodawcy, wojewoda ruski Prot Potocki, ale następujące szybko po sobie wypadki niedozwoliły wykonać pożytecznego zamiaru.

Mimoto reformy skarbowe, przeprowadzone na sejmie czteroletnim, były nadzwyczaj doniosłe i stawiały dopiero Polskę w rzędzie państw nowożytnych, łamiąc zaś przywileje stanu szlacheckiego przez opodatkowanie powszechne dochodów ziemskich, wprowadzały zasadę równouprawnienia wszystkich warstw społecznych pod względem ich stosunku do państwa.

Jak dalece skuteczną była ta działalność sejmu świadczy to, że dochód czysty Rzeczypospolitej wynosił w roku 1791. około 40,000.000, a więc dwa razy tyle co przedtem.

Jeżeli zważymy nadto, że Polska była natenczas jedynem państwem w Europie, niemającem długów, to trzeba przyznać, że położenie nasze pod względem finansowem było w całem tego słowa znaczeniu świetnem. Tak też — a nie inaczej — sądzili o Polsce finansiści zagraniczni, kiedy — pomimo intryg rosyjskich — udało się w bardzo trudnych okolicznościach nietylko zaciągnąć pożyczkę 10,000.000 w Hollandyi, ale nadto pozyskać zaufanie ban-

kierów do tego stopnia, że gotowi byli — już wśród toczącej się wojny — dalszemi pożyczkami skarb polski zasilać.

Wszystkie ofiary pieniężne, jakie pokolenie ówczesne składało na ołtarzu ojczyzny i cała gorliwa praca sejmu czteroletniego, miała źródło swoje w tem gorącem uczuciu patryotycznem, które bądź co bądź ożywiało w tej chwili wszystkie więcej oświecone warstwy społeczne. „Skarb i wojsko“, powtarzał na każdem niemal posiedzeniu sejmowem zacny Korsak, poseł wileński, skarb i wojsko to było hasło, które skupiało wszystkie stronnictwa sejmowe z wyjątkiem duchów moskiewskich i dlatego z takim zapałem przyjęła Izba wniosek Walewskiego o stutysięcznej armii, dla tego uchwaliła tak znaczne — w porównaniu z dawniejszemi — na ten cel podatki. Ale obok pieniędzy — tak bardzo potrzebnych — trzeba było jeszcze znaleść lub stworzyć instytucyą, któraby ustawę sejmową w czyn zamienić zdołała. I w tem leżała trudność wielka.

Istniał wprawdzie departament wojskowy, zajmujący się dotąd sprawami sejmowemi, a zostający pod kierownictwem generała Komarzewskiego, ulubieńca Stanisława Augusta, ale magistratura nie posiadała zaufania sejmu już dlatego, że była zupełnie od króla zawisłą, już też i ze względu na Komarzewskiego, który brał udział w sprawie Dugrumowej i naraził się przez to wybitnym członkom opozycyi sejmowej, księciu Czartoryskiemu i Ignacemu Potockiemu. Zresztą departament — powiedzieć trzeba otwarcie — nie spełniał należycie swojego zadania. Od roku 1773. do 1788., a więc w ciągu lat 15-tu, zreorganizował on wprawdzie armią cokolwiek, ale doprowadził ją zaledwie do liczby 18.000 żołnierzy. Zresztą przy całej zapobiegliwości i staranności nie umiał Komarzewski dobierać ludzi, ani wykształcić oficerów. Wojna z r. 1792. dowiodła, że z całego wojska polskiego ci oficerowie tylko odznaczyli się większemi zdolnościami, którzy w obcem wojsku służyli. Nie można się dziwić przeto, że sejm uderzył z całą siłą na departament i — po zaciętej walce — instytucyą tę zniósł, a na jej miejsce ustanowił „komisyą wojskową“. Nieszczęściem skład komisyi był tego rodzaju, że nie mogła ona podołać trudnemu swemu zadaniu. Prezydentami bywali kolejno wciągu roku jednego czterej hetmani, ale żaden z nich nie posiadał wykształcenia wojskowego, a nadto Branicki — jak się sam wyrażał — był Rosyaninem. Koledzy jego w urzędzie nie żywili zapewne tak gorących uczuć dla imperatorowej, ale niedbalstwem i nieudolnością przewyższali prawie Branickiego. Hetman polny koronny Rzewuski nie był ani razu na posiedzeniach komisyi, wskutek czego zatrzymano mu pensyą od marca roku 1790.; podobny wypadek wydarzył się także hetmanowi wielkiemu litewskiemu „z racyi niezasiadania“; hetman polny litewski Tyszkiewicz pojawiał się dorywczo na posiedzeniach, w pracach komisyjnych jednak udziału nie brał i wnet potem zamienił buławę na urząd podskarbiego.[1])

W ten sposób cała odpowiedzialność spadała na członków komisyi, których znaczna większość — bo $^2/_3$ — należała do stanu cywilnego. Wojskowi, biorący udział w naradach, byli to albo ludzie niepewni, jak n. p. pułkownik Fabian Ojrzyński, przyjaciel Szczęsnego Potockiego, albo też oficerowie, nie-

[1]) Korzon, l. c., t. IV, str. 32.

odznaczający się zdolnościami organizatorskiemi. Skład komisyi był więc w całem tego słowa znaczeniu fatalnym, i w tem właściwie upatrywać należy przyczyny niedbalstwa i opieszałości, z jaką wykonywano uchwały sejmowe o pomnożeniu wojska i jego uzbrojeniu. Wprawdzie komisya musiała walczyć z pewnemi trudnościami — przedewszystkiem z brakiem funduszów — ale wobec gorliwości sejmu i patryotycznego zapału, jaki ożywiał społeczeństwo, można było przy jakiej takiej energii przeszkody te przełamać. Nie okazała jej niestety komisya ani w przysposobieniu broni ani amunicyi, ani przy tworzeniu zaciągów. Broni zakupiono tylko tyle, ile potrzeba było dla 65-tysięcznej armii, co do amunicyi zaś, to książe Józef Poniatowski skarżył się, że po bitwie pod Zieleńcami zostało mu zaledwie po 12 nabojów na działo i że w Ostrogu musiał wytrzymać kanonadę rosyjską, nieodpowiadając na nią z braku amunicyi.

Równie opieszałą była komisya w sprawie nowych zaciągów. Dnia 19. listopada 1790. roku domagał się w Izbie poseł poznański Zakrzewski sądu na komisyą, iż nie dopełniła zlecenia Stanów, a poseł nurski Zieliński — popierając ten wniosek — żądał, aby „odrzuciwszy wszelką delikatność na stronę, wnijść w poznanie, kto przyczyną nieegzekucyi nakazu Stanów“.

Komisya tłumaczyła się wprawdzie brakiem funduszów, ale uczyniła to tak późno, że sejm właściwie — pomimo najlepszej woli — złego naprawić nie mógł. Jakoż okazało się w rezultacie, że komisya wojskowa nie wykonała uchwał sejmowych, bo w chwili rozpoczęcia wojny armia polska wynosiła nie 65.000, lecz tylko 56.000 ludzi.

Tak więc nie umiano zużytkować patryotycznego zapału i obfitych zasobów kraju na obronę zagrożonej ojczyzny i ratowano się półśrodkami lub nadzieją pomocy pruskiej, zapominając o tem, co słusznie powiedział Suchodolski, poseł chełmski: „Nikt nas nie będzie kochać dla nas, ale dla interesu swego“. Nieudolność ta występuje szczególniej jaskrawo przy nominacyi wyższych oficerów. Dość powiedzieć bowiem, że Kościuszko, którego przecież kongres amerykański w roku 1783. mianował generałem „w nagrodę ciągłych wiernych i chwalebnych usług“ i ozdobił republikańskim orderem Cyncynata, sam musiał się zgłosić o przyjęcie do wojska narodowego bo nikt nie umiał go wyszukać. A jednak znaleziono i powołano do służby takiego żarłoka niedołężnego jak Michał Zabiełło, takiego nieudolnego oficera jak Suffczyński, takiego zdrajcę wreszcie jak książe Ludwik Wirtemberski! Wszyscy oni zostali mianowani generał-lejtnantami przed Kościuszką, towarzysz Waszyngtona i Lafayetta był dopiero dziewiątym z kolei. Nieszczęśliwy nałóg protekcyjny i wzgląd na stosunki familijne rozstrzygał i w tym wypadku nawet najważniejsze sprawy z oczywistą szkodą dobra publicznego. Wskutek tego najwyższe stopnie w armii narodowej zajęli ludzie albo wprost niezdolni, albo nowemu porządkowi rzeczy zupełnie nieprzychylni, a jednak nawet wtedy, gdy dali dowody lekceważenia władzy i najświętszych względem kraju obowiązków, jeszcze osłaniała ich potężna protekcya familii i przyjaciół i ubezwładniała ramię spóźnionej sprawiedliwości.

I tak generał książe Michał Lubomirski nie zgłosił się wcale po pieniądze, przywiezione dla brygady Dzierżka i żołd wypłacił żołnierzom tego

oddziału w maju. Kiedy z tego powodu weszło zażalenie do sejmu, komisya wojskowa wydała 16. lipca 1790. roku rozkaz, „aby książe Lubomirski niezwłocznie w Warszawie się stawił i odniósł karę 24 godzin aresztu“. Ale nieposłuszny generał lekceważył sobie nawet tak łagodny wyrok i dopiero dnia 17. września nadesłał jakieś tłumaczenie, którem komisya naturalnie zadowolniła się, oświadczając, że „skutek decyzyi swej zastanawia i nadal punktualność zaleca“.

O wiele karygodniejszą i bardziej gorszącą była niesubordynacya Szczęsnego Potockiego. W roku 1789. otrzymał on — jako generał-lejtnant, dowodzący partyą ukraińską — rozkaz nieprzepuszczenia wojsk rosyjskich przez granicę. Uniżony sługa imperatorowej zasmucił się oczywiście tak kategorycznym ordynansem komisyi i napisał natychmiast list do generała rosyjskiego Müllera, w którym donosi mu o rozkazach, jakie odebrał z Warszawy i dodaje przytem, że jego osobiste zasady i uczucia dla imperatorowej pozostaną niezmienne, pomimo zmian zaszłych w Warszawie. Nie poprzestając zaś na tym kroku zarówno nikczemnym jak i niewłaściwym Szczęsny w poczuciu magnackiej swej pychy był na tyle bezczelnym, że kopią listu swego przesłał komisyi wojskowej.

Rzecz taka nie mogła się ukryć. Suchodolski publicznie — w Izbie sejmowej — oskarżał Potockiego o zdradę kraju, ale dumny magnat znalazł potężnych obrońców pomiędzy przyjaciółmi swymi i krewnymi i na wniosek samego króla przyszło do tego, że marszałkowie imieniem sejmu mieli generałowi wyrazić zaufanie i pochwałę roztropności![1])

Wobec tak rozluźnionej subordynacyi u góry, wobec braku żelaznej ręki, któraby całą machinę w należyte karby ująć potrafiła, musiało uzbrojenie i pomnożenie sił wojskowych prawdziwie żółwim postępować krokiem, tak, że w chwili stanowczej znaleźliśmy się wobec przemożnych sił nieprzyjacielskich, sami, pozbawieni wodzów zdolnych i zostawieni na łaskę komisyi, która układała w Warszawie plany dla armii, działającej na Ukrainie, Wołyniu i Litwie! Śmiało więc powiedzieć można, że akcya wojenna była najsłabszą częścią działalności patryotycznej czteroletniego sejmu.

Naprawa stosunków społecznych. — Ustawa dla miast. — Kwestya włościańska i żydowska. Jakkolwiek głównym celem reform, podjętych na sejmie czteroletnim, była odmiana rządu i podniesienie sił zbrojnych kraju, to obok tego wszystkim światlejszym umysłom musiała się nasuwać potrzeba uregulowania stosunków społecznych w sposób właściwszy i odpowiadający wymaganiom czasu. Wzgląd na bezpieczeństwo ojczyzny, której nie mogło już obronić pospolite ruszenie szlacheckie, poczucie sprawiedliwości, które słusznie nie mogło się pogodzić z wyłącznem panowaniem jednej uprzywilejowanej klasy społecznej, a wreszcie wpływ rewolucyi francuskiej, wszystko to — razem wzięte — musiało pobudzić obywateli, szczerze kraj miłujących, do energicznego działania w kierunku reformy społecznej. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Polska — zagrożona przez zaborcze potęgi sąsiednie — wtedy tylko

[1]) Ks. Kalinka: „Sejm czteroletni“. Kraków 1880. T. I, str. 359. — Korzon: „Dzieje wewnętrzne“. T. IV, str. 79.

może zwycięsko wyjść z nierównej walki, jeżeli wszystkie warstwy społeczne ożywiać będzie jeden duch obywatelski i jednaka dla sprawy publicznej ofiarność. Jak długo jednak mieszczaństwo i lud wiejski stanowiły odrębną część narodu, jak długo jedni byli pozbawieni praw obywatelskich, a drudzy jęczeli w ciężkiej niewoli, tak długo nie można było myśleć o potężnym ruchu narodowym, któryby zdołał ojczyznę z upadku wydźwignąć.

Pojęli to dobrze wszyscy patryoci z epoki czteroletniego sejmu i dlatego kwestya mieszczańska i włościańska stała się wnet przedmiotem, traktowanym gorliwie zarówno w literaturze jak i w kołach poselskich.

Historya miast i mieszczaństwa znaną nam jest już w ogólnych zarysach z poprzedniego opowiadania. Zamożne i potężne niegdyś, w XVI. wieku jeszcze jaśniejące polorem cywilizacyi, biorące udział w obradach sejmowych, popadły miasta polskie skutkiem nieopatrznej polityki szlacheckiej w ruinę ekonomiczną i poniżenie. Wolny niegdyś i bogaty mieszczanin stał się „zacnym niewolnikiem“ i jakkolwiek — za pośrednictwem delegatów swoich — podpisywał jeszcze zawsze akta elekcyjne, to na tej czczej formalności kończyła się jego rola polityczna. Srogie spustoszenia podczas wojen szwedzkich, kozackich i moskiewskich w XVI. i XVII. wieku przyspieszyły i przypieczętowały ostateczny upadek mieszczaństwa.

W najczarniejszych barwach — a jak sądzimy bez przesady — kreśli też prymas (na sejmie konwokacyjnym w roku 1764.) położenie i stan miast naszych. „Ozdoba królestwa — mówi on — miasta bez obywatelów i ci, którzy są, bez handlu, handel bez korzyści, bo w rękach żydowskich; jednem słowem... w miastach miast szukać potrzeba; co ulica to pole, co rynek to pustki“. Skarga i upomnienie prymasa nie odniosły żadnego skutku, a cały szereg ustaw sejmowych w latach następnych świadczy o niewygasłej animozyi ziemian przeciw pognębionemu i tak już mieszczaństwu.

Konstytucya z roku 1768. oświadcza z naciskiem, że Rzeczpospolita ma się składać tylko z trzech stanów, a to: 1. z króla, 2. z senatu i 3. ze stanu rycerskiego, usuwa więc reprezentacyą miejską stanowczo. Sejm z roku 1776. idzie jeszcze dalej, znosi bowiem t. zw. magdeburgie — czyli prawo miejskie — w 150 miastach i miasteczkach, zostawiając samorząd tylko w 11 stołecznych i grodowych; sejm zaś z roku 1786. zamyka dla mieszczan awans w wojsku i odrzuca wniosek królewski o pozwolenie mieszczanom koronnym kupowania dóbr ziemskich.

Cóż naturalniejszego więc, jak, że wobec takich stosunków, gdy nadto z nad brzegów Sekwany coraz to częściej dochodziły wieści o zdobyczach stanu trzeciego i pomiędzy naszem mieszczaństwem także wszczął się ruch podobny i powstało pragnienie wywalczenia sobie praw należnych i z postępem czasu zgodnych. Na chlubę narodu polskiego powiedzieć trzeba, że potrzebę reformy społecznej odczuwano u nas — w kołach szlacheckich — żywiej może niż we Francyi. Najzacniejsi obywatele i posłowie czteroletniego sejmu, jak marszałek Małachowski, Czartoryski, Niemcewicz, Kołłątaj, Staszyc i król sam wreszcie nietylko sprzyjali mieszczaństwu, ale nawet sprawę miast popierali.

Z tem wszystkiem inicyatywa musiała wyjść od stanu miejskiego, a na szczęście znalazł się w łonie mieszczaństwa człowiek majątkowo niezawisły i dosyć wykształcony i posiadający na tyle odwagi cywilnej, aby rzecz rozpocząć i na legalne wprowadzić tory.

Mężem tym był Jan Dekert, prezydent miasta Warszawy. Syn kupca i sam także kupieckiemu oddany zawodowi, ukrywał on pod układną powierzchownością — jednającą mu względy możnych — charakter niezłomny i ową ambicyą szlachetną, która go do prawdziwie obywatelskich natchnęła czynów. Ożeniony z słynną z piękności panną Marcinkowską, po której w posagu znaczny otrzymał majątek, zakupił Dekert, za szczególnem pozwoleniem, dobra ziemskie w województwie rawskiem, zbudował sobie w Warszawie letnie mieszkanie, z francuska Sans-gêne zwane i tem wszystkiem imponował niemało nietylko braciom mieszczanom ale nawet samej szlachcie.

To też taki człowiek nadawał się wybornie na reprezentanta stanu miejskiego i inicyatora w sprawach mieszczaństwa dotyczących.

Wyszło było właśnie niedawno (w roku 1788.) pismo Kołłątaja, p. t. „Listy anonyma do Stanisława Małachowskiego“, w którem autor wyraźnie osobnej izby miejskiej w sejmie się domagał. Z większą nieśmiałością, ale także w duchu dla miast przechylnym odezwały się „Myśli polityczne dla Polski“ (1789), wydane — jak twierdzą niektórzy — z inicyatywy króla Stanisława Augusta.

Obie te książeczki, wyróżniające się wśród powodzi ówczesnych pism ulotnych trzeźwością polityczną i trafnością sądów, musiały w wykształceńszej warstwie mieszczaństwa sprawić wrażenie niemałe. Wpłynęły one zapewne na postanowienia Dekerta, a ręka ks. Kołłątaja dokonała reszty.

Dekert powziął myśl, jak na owe czasy bardzo śmiałą, a nawet hazardowną, mianowicie zwołał reprezentantów miast z Korony i Litwy na zgromadzenie do stolicy. Wezwania tego usłuchało 141 miast, które wysłały do Warszawy 269 delegatów. Manifestacya udała się niespodziewanie. Zjazd posłów miejskich był liczny, po wszystkich kościołach warszawskich odprawiano z namowy prezydenta nabożeństwa uroczyste za pomyślność sprawy miejskiej, a 24. listopada 1789. roku podpisali deputaci miejscy na ratuszu „Akt zjednoczenia miast“, w którym pomiędzy innemi tak się odzywali do narodu: „My, obywatele miast koronnych i wielkiego księstwa Litewskiego, aktowi niniejszemu przytomni, imieniem naszem i całej powszechności miast, które nas do tej stolicy Królestwa polskiego wysłały, z zupełną mocą łączenia wspólnych starań o zjednanie u Najjaśniejszego króla JMci i u Najjaśniejszych Stanów Rzeczypospolitej tych względów, któreby stan nasz do tego stopnia pomyślności przyprowadzić mogły, w jakimbyśmy tak dzielnie do pomnożenia sił, potęgi i wzmocnienia tej kochanej ojczyzny naszej przyczynić się mogli, jak tego sobie najtroskliwiej życzymy“. Po tym wstępie szły żądania miast wcale skromne i rozumne.

Domagały się one mianowicie: Bezpieczeństwa osobistego dla ludzi prawom miejskim podległych, w myśl ustawy neminem captivabimus; wolności zakupywania dóbr ziemskich i dosługiwania się zaszczytów i stopni

w stanie duchownym i w wojsku; prawa wysyłania reprezentantów swoich na sejm i udziału przy zawieraniu traktatów handlowych. Tak ułożony memoryał poniosła do stóp tronu królewskiego deputacya mieszczańska. Był to dla Warszawy dzień niezwykle uroczysty, kiedy delegaci miast, w czarne przybrani suknie, ze szpadami u boku, prowadzeni przez Dekerta, stanęli — wśród niezmiernego zbiegowiska ludu — przed bramą zamkową. Ciekawość i oczekiwanie z jednej, niechęć i przerażenie z drugiej strony, towarzyszyły tej niezwykłej u nas, a spokojem imponującej manifestacyi.

W kołach staroszlacheckich, dokąd nie doszedł jeszcze promień oświaty i postępu, widziano w tem upomnieniu się miast o prawa im należne jawny bunt przeciw władzy i zapowiedź socyalnej rewolucyi. Na ucho szeptano sobie, że sprawcą ruchu mieszczańskiego był król Stanisław August, który w ten sposób toruje sobie drogę do nieograniczonej władzy i do potłumienia wolności szlacheckiej. Inni widzieli w tem rękę Kołłątaja i uważali zjazd delegatów miejskich jako jeden z gromów, wykutych w „kuźnicy Kołłątajowskiej“. Trwoga była tak wielka, widmo rewolucyi francuskiej tak żywo wszystkim stawało przed oczyma, że Ksawery Branicki spędził cały wieczór 25. listopada wraz z Kurdwanowskim u siebie, uzbrojony nabitemi pistoletami, a to ze strachu przed urojoną rewolucyą mieszczańską, która w rocznicę koronacyi króla wybuchnąć miała.

Król tymczasem, jakkolwiek miastom przychylny, nie myślał o zamachu stanu. Delegatów miejskich przyjął łaskawie, zapewnił ich o swej życzliwości, ale przestrzegał zarazem przed „zbyt śmiałą elokwencyą w mowach i pismach“. Taką samą niemal odpowiedź otrzymała „czarna procesya mieszczańska“ od marszałka Małachowskiego. Przeciwnie brat marszałka, kanclerz Jacek Małachowski, przyjął deputowanych szorstko, mówiąc: „Jam kanclerzem przy tronie, tu sędzią (zasiadał bowiem właśnie na sądach), a w domu Małachowskim“. Była to aluzya do tego, że Dekert zwołał delegatów z pominięciem kanclerza, jako pieczętarza koronnego.

Jeszcze gorzej wyrażali się wobec poselstwa mieszczańskiego inni ministrowie i dygnitarze, nazywając zjazd „zuchwalstwem“. Jedni Krakowianie, którzy z „przyzwoitą skromnością“ złożyli memoryał swój na ręce kanclerza, byli przedmiotem szczególniejszej troskliwości całego staroszlacheckiego stron-

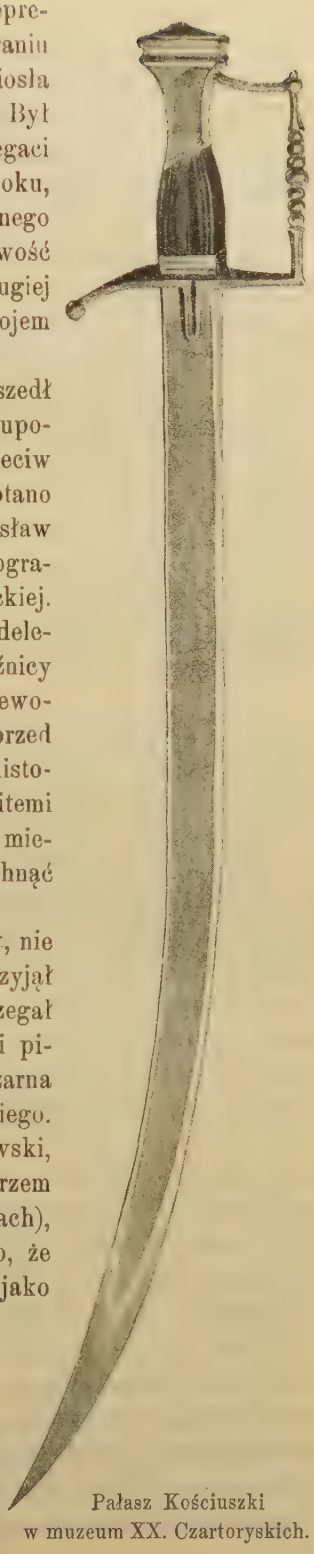

Pałasz Kościuszki
w muzeum XX. Czartoryskich.

nictwa, które zapewne nie tyle z życzliwości dla Krakowa, co z animozyi ku innym miastom mniej skromnym i mniej uległym, postępek ten Krakowian za wzór naśladowania godny podawało.

Pomimo tego wszystkiego jednak pokazało się wnet, że akcya — przez Dekerta rozpoczęta — nie była — podług zdania światłych ludzi — ani buntem ani rewolucyą. Bo gdy na sesyi sejmowej w dniu 15. grudnia sprawa miejska stała się przedmiotem rozpraw, z powodu wniosku o nowem opodatkowaniu Warszawy, wystąpili ze zdaniem — dla miast nieprzychylnem — tylko tacy posłowie, którzy znani byli z wstecznych dążności i ograniczonego umysłu, podczas gdy najdzielniejsi i najroztropniejsi, jak: Kublicki, Matuszewicz, Chreptowicz, wreszcie król i marszałek stawali życzliwie po stronie mieszczaństwa, a zacny podkanclerzy ks. Garnysz nietylko nie czuł się obrażonym w urzędzie swoim tak jak jego kolega Jacek Małachowski, lecz stanowczo poparł żądania miast wyrażeniem, że „mieszczanie warszawscy nie mieli innego celu, jak poprawienie biednego losu swego i że ich sama miłość kraju na to sprowadziła miejsce, ale nie żadna krnąbrność“.

Skutek tej zajmującej dyskusyi był taki, że sejm uchwalił jednomyślnie wybrać osobną deputacyą dla spraw miejskich, co też natychmiast uczyniono, przeznaczając do niej członków, życzliwie dla żądań mieszczaństwa usposobionych.

Teraz dopiero rozpoczęła się właściwa walka na całej linii, bo i w deputacyi i w literaturze politycznej. W deputacyi pilnowali spraw miejskich delegaci mieszczaństwa. Bywali oni na posiedzeniach w towarzystwie trzech prawników: Mądrzeckiego, Barsa i Grabowskiego, i przedkładali memoryały — gruntownie opracowane — na poparcie postulatów stanu mieszczańskiego.

W literaturze wystąpił przeciw miastom kasztelan łukowski Jacek Jezierski, podczas gdy imiennik jego ks. Jezierski, filar „kuźnicy Kołłątajowskiej“, należał do najżarliwszych, najzdolniejszych i najpracowitszych obrońców mieszczaństwa. W wybornych „Uwagach Jarosza Kudasińskiego“ dowodził on, że „tylko uprzedzenia, przesądy i nieświadomość tamują dostąpienie prawdy i pojęcie tego poznania, jakie uszczęśliwienie wynika dla Polski z przyjęcia do władzy prawodawczej i wykonawczej w rządzie republikańskim stanu miejskiego“, w „Katechizmie“ zaś chłostał nielitościwie dotychczasowe stosunki społeczne. „Szlachcic — pisał tam — jest w Polsce temsamem, co jedynowładny monarcha na tronie. Ma nad sobą prawo, które sam stanowi i którego nie słucha. Nakazuje podatki, wypłaca je zaś chłop, mieszczanin, Żyd i ksiądz. Miasta składają się z nazwisk swoich i z gruzów, a mieszkańcy ich są okryci zaszczytami praw dawnych, pogardą ustawiczną od szlachty i uciskiem od starostów“.

Ta gryząca ironia, uzasadniona istniejącemi stosunkami, doprowadzała przeciwników do rozpaczy. Odpowiadali więc coraz to ostrzej i — w braku argumentów — używali wyrazów obelżywych. „I tego jeszcze brakowało — woła autor „Listu do przyjaciela“ — aby w Izbie prawodawczej bałwanów przewrósłem lub krajką opasanych posadzić“.

Inni, zacietrzewieni w polemice, tracili do tego stopnia rozwagę, że radzili „zmniejszać raczej miasta, one wyludniać, albo przynajmniej zaludnienie i wzrost onych zbyteczny tamować, niż je przez zaszczyty i przywileje zapomagać i podnosić“. Pośrednie stanowisko pomiędzy temi dwoma skrajnemi obozami zajmowali ci, co — jakkolwiek miastom przychylni — wątpili w skuteczność reprezentacyi miejskiej na sejmach i mało dobrego spodziewali się po „motłochu, nędzą i niewolą znikczemnionym“.

Obrońcy stanu mieszczańskiego odpowiadali na to słusznie, że „co do majątku, wygody życia i edukacyi jest mieszczanin ze wszystkiem jak szlachcic, i szlachcic nie różni się od niego w tej mierze, tylko orderami, herbami i mundurami wojewódzkiemi; nawet szlachcic kłania mu się, potrzebując pieniędzy pożyczyć“.

Staszyc, najdalej idący w żądaniach na korzyść stanu mieszczańskiego, dodawał w „Przestrogach dla Polski“ (1790) inne, jeszcze bardziej przekonywujące argumenta. „Gdyby miasta — pisze on — równo ze szlachtą radziły o kraju, nigdyby Moskale nie byli rozzuchwalili się i nigdyby nie potrafili bezkarnie wziąć pierwszych senatorów z pośrodka Warszawy. W jednej godzinie kilkadziesiąt tysięcy przywiązanego do kraju ludu byłoby tych rozbójników na sztuki zatłukło, a tyran Repnin byłby wcześnie z swą głową umykać musiał. Dlatego — tak kończył — niechaj będzie stu reprezentantów szlachty i stu reprezentantów miast“.

Cała ta polemika, żywa, namiętna, może nieraz zbyt gwałtowna, miała ednak tę wielką zasługę, że przyczyniła się niezmiernie do wszechstronnego wyjaśnienia tak ważnej dla kraju i państwa kwestyi. Powoli zaczęły pękać lody uprzedzenia i źle zrozumianego konserwatyzmu, a najżarliwsi obrońcy wyłączności szlacheckiej przekonywali się coraz dowodniej, że praca ich jest daremna. Sprawa mieszczańska zyskiwała przeciwnie z każdym dniem niemal coraz gorliwszych rzeczników w sejmie i do reszty zjednała sobie opinią publiczną, kiedy na posiedzeniu dnia 3. marca 1790. roku odczytano oświadczenie miast koronnych i wielkiego księstwa Litewskiego tej treści, że „gdy stan rycerski i król JMć przykładem przodkują, miałyby się za najnieszczęśliwsze (miasta), gdyby się ze swej strony do dobra Rzeczypospolitej nie przyłożyły i dlatego uczynioną dawniej ofiarę do skarbu zapłacą i nową chętnie przyjmują“.

Odtąd opozycya przeciw równouprawnieniu stanu miejskiego traciła coraz więcej na fantazyi i na znaczeniu i doczekała się przy końcu roku 1790. gromadnej nobilitacyi mieszczan. Dopuszczono wtedy do godności szlacheckiej 422 członków stanu mieszczańskiego, a była to rzecz tak niespodziewana po tem wszystkiem, co się dotychczas działo, że obudziła obawy i podejrzenia w tych, co sprawie miejskiej szczerze sprzyjali. „Kuźnica Kołłątajowska“ mianowicie mniemała, że sejm — nobilitując takich ludzi jak: Bars, Mądrzecki, Kapostas, Tepper i Kabryt — zamierza pozyskać sobie najżarliwszych obrońców mieszczaństwa i następnie żądania miast nieznacznemi zbyć ustępstwami. Z tego zapatrywania wychodząc, ogłosił też ks. Franciszek Jezierski piorunujący „Głos naprędce do stanu mieszczańskiego“, w którym zwracał

uwagę mieszczan na niebezpieczeństwo, wynikające z tego „dobrodziejstwa arystokratów“. Namiętne odpowiedzi przeciwników dowiodły, że dzielny kanonik oceniał trafnie sytuacyą. Niestety niedoczekał on się już ostatecznego sprawy miejskiej załatwienia, umarł bowiem w lutym roku 1791., właśnie w chwili, kiedy w sejmie stanowcza dla miast zbliżała się dyskusya. Jego miejsce zajął niemniej żarliwy obrońca wolności i postępu poseł inflancki Trębicki, którego działanie mogło być tem skuteczniejsze, gdyż sam zasiadał w sejmie i liczył na poparcie całego zastępu wolnomyślnych i rozumnych obywateli.

Na sesyi 28. marca, kiedy już uchwalono prawo o sejmikach, zażądał Trębicki dyskusyi nad sprawą miejską. Deputacya sejmowa ułożyła wprawdzie projekt do nowej ustawy dla miast, ale tak niedostateczny i wadliwy, że nie mógł się podobać tym, którzy z taką wytrwałością w obronie praw miejskich walczyli. To też umiarkowany i życzliwy mieszczaństwu podkanclerzy litewski Chreptowicz wniósł od siebie odmienną propozycyą, a za jego przykładem poszedł także Trębicki i podał do laski swój projekt, zbliżony do wniosku Chreptowicza. Dyskusya rozpoczęła się natychmiast. Już 29. marca przemawiał za miastami Niemcewicz, a w kilka dni później (5. kwietnia) odezwał się z zapałem poseł krakowski Sołtyk. „Podnoszę głos — mówił on — za milionowym ludem miejskim z rozkazu szlachty województwa mego, które ten ma zaszczyt, iż nazwane było kolebką wolności polskiej. Nie wstydzili się Chodkiewicz, Zamoyski i Czarniecki na jednej z mieszczanami zasiadać ławie, a myż się wstydzić będziemy?“

Pomimo jednak, że głos Sołtyka wielkie sprawił w Izbie wrażenie i że go natychmiast poparli posłowie Zboiński i Bronikowski, a nareszcie i sam król, nie poszły sprawy tak gładko, jakby się tego spodziewać należało. Rozstrzygające sesye odbyły się dopiero 14., 18. i 21. kwietnia; 14. kwietnia uratował sprawę miejską zręcznem zachowaniem się w Izbie sejmowej poseł kaliski Suchorzewski, za co otrzymał od króla order św. Stanisława, a od Trębickiego dedykacyą drugiego tomu „Zbioru praw politycznych i sądowych“. W ten sposób uchwalono wreszcie prawo o miastach, zapewniające mieszczaństwu udział w reprezentacyi sejmowej, możność awansu w wojsku, wolność zakupywania dóbr ziemskich i wkońcu stopniowe zrównanie z szlachtą przez nobilitacye.

Ustawa, nie różniąca się wiele od projektu Trębickiego, była tryumfem Kołłątajowskiego stronnictwa, tryumfem tem piękniejszym, gdy cieszyli się z niego wszyscy ludzie dobrej woli, wszyscy patryoci i gdy rząd pruski walną w nim dla siebie upatrywał porażkę.

„Chroniąc się jawnego wystąpienia — tak pisał Lucchesini do Berlina — staram się pocichu przeszkadzać mieszczanom. Ucisk, w którym szlachta polska utrzymywała dotąd klasę miejską (a w niej najwięcej jest Niemców), nie zachęcał nikogo do przybywania tutaj z zagranicy i wstrzymywał zakładanie fabryk. Lecz gdyby ta klasa przyszła do udziału w administracyi kraju, mogłoby to wielu mieszczan z zagranicy sprowadzić do Polski, a nadto przykład ten stałby się zaraźliwym dla państw sąsiednich“.

Zdanie swego ministra podzielał w zupełności król pruski, jak to widać z odpowiedzi na powyższą depeszę. „Dobrze robisz — są słowa Fryderyka Wilhelma — że nieznacznie i pokryjomu przeszkadzasz, bo, w rzeczy samej, jeśliby się udało miastom polskim odzyskać dawne przywileje, toby fabrykanci z moich państw zaczęli się przenosić do Polski".

Zbawienna działalność Dekerta, Kołłątaja i całego stronnictwa patryotycznego zniweczyła te machinacye pruskie i zapewniła wreszcie mieszczaństwu polskiemu swobodny rozwój i poważne w społeczeństwie stanowisko. Słusznie tedy uważać należy prawo o miastach jako jedno z najpożyteczniejszych i najlepszych dzieł czteroletniego sejmu, a skutek okazał, że było ono i popularnem i dla sprawy narodowej zbawiennem.

Już 29. kwietnia wpisał się na ratuszu warszawskim do księgi miejskiej marszałek sejmowy Stanisław Małachowski; za jego przykładem poszli: Stanisław Potocki, dwaj Działyńscy, Kołłątaj, ogółem około czterdzieści osób stanu szlacheckiego. To samo działo się w Wilnie, Żytomierzu, Międzybożu i Krakowie.

Ale i mieszczanie okazali, że umieją być wdzięczni i że uprzedzeniami kierować się nie myślą. Prezydentem Warszawy — po śmierci Dekerta — został obrany poseł poznański Zakrzewski, prezydentem wileńskim chorąży wileński Antoni Tyzenhauz, krakowskim marszałek Wielopolski,[1]) a kiedy przyszło do wykonania nowej ustawy, powierzyli mieszczanie w znacznej części mandaty poselskie szlachcie.

Pomiędzy tymi posłami miejskimi znajdował się także znany Józef Wybicki, i on to przy rozpoczęciu ponownem sesyj sejmowych w dniu 15. września 1791. roku składał na czele posłów miejskich podziękowanie Stanom Rzeczypospolitej, przyczem w następujące odezwał się słowa: „Krocie rąk naszych i piersi staną na obronę wolności narodu. Rząd kraju nowy, konstytucye sejmu teraźniejszego w każdym z nas posłuszeństwo i obronę aż do wylania krwi znajdą". Na poparcie tego twierdzenia ofiarował imieniem miast 12 armat i tyleż wozów wojennych.

Nie do tego jednak ograniczyła się ofiarność nowych obywateli. Bankierzy warszawscy składali w przededniu wojny rosyjskiej znaczne sumy na ołtarzu ojczyzny. Tepper oddał niemałe usługi skarbowi przy zaciąganiu pożyczki zagranicznej, a gorliwość w służeniu Rzeczypospolitej ogarnęła najniższe warstwy ludności miejskiej, do niedawna jeszcze obojętnej na klęski ojczyzny.

Najpiękniejsze pod tym względem świadectwo wystawił mieszczaństwu polskiemu poseł rosyjski Bułhaków, kiedy w dzienniku swoim opisywał stan umysłów po wypowiedzeniu wojny ze strony Rosyi. „W ogrodach Saskim i Krasińskich — powiada on — gromadzą się tłumy i robią nadużycia. Mielżyńskiego ledwie nie zabito za słowa, że Polacy nie mogą prowadzić wojny z Rosyą. Boskampa chcą koniecznie obwiesić, tak, że opuścił Warszawę. Mieszczaństwo okazuje gotowość do wszelkich gwałtów daleko bardziej aniżeli szlachta, ta ostatnia bowiem boi się o ziemskie majątki".

[1]) Smoleński Władysław: „Ostatni rok sejmu wielkiego". Kraków 1896. Str. 346.

Takie były owoce „zuchwalstwa Dekertowskiego“, taki był skutek obywatelskiej działalności Kołłątaja i jego towarzyszy, których nazywano rewolucyonistami, a niebawem insurekcya Kościuszkowska miała dowieść szlachcie, że nowi obywatele kraju pod względem poświęcenia dla ojczyzny i bohaterskiego ducha, w niczem nie ustępują potomkom najstarożytniejszych rodzin.

O wiele trudniejszem było zadanie patryotów w kwestyi włościańskiej. Jeżeli bowiem stronnictwo staroszlacheckie w częściowem równouprawnieniu mieszczan i wyzwoleniu ich z pod władzy starościńskiej widziało ubliżenie swojej powadze i uszczuplenie swoich przywilejów, to o ileż więcej musiało ono oburzać się na myśl usamowolnienia włościan i zniesienia pańszczyzny.

W pierwszym wypadku cierpiała tylko buta szlachecka, w drugim była także narażona na uszczuplenie nieograniczona władza pana nad poddanym i — podług ówczesnych wyobrażeń — dochody, płynące z pańszczyzny i danin rozmaitego gatunku. Na jednym i drugim punkcie szlachcic polski — zarówno jak i każdy i inny, bez względu na narodowość — był niezmiernie drażliwym. Z biegiem czasu umiał on sobie wyrobić nieograniczoną władzę nad chłopem, umiał puścić w niepamięć konstytucyą z czasów Jana Olbrachta, dozwalającą, aby jeden syn kmiecy poświęcał się rzemiosłu lub innemu nierolniczemu zajęciu, umiał narzucić poddanym swoim pańszczyznę, którą później dowolnie podwyższał, a wreszcie przywłaszczył sobie — na mocy wykrętnego tłumaczenia aktu konfederacyi warszawskiej z roku 1573. — prawo życia i śmierci nad chłopem. Osiągnąwszy taką władzę, nic dziwnego, że czuł on się nieograniczonym panem w obrębie swego majątku, że znosił niechętnie zwierzchność królewską i że każdy zamach na swoje przywileje uważał za zbrodnię majestatu przeciw Rzeczypospolitej, której majestat w pewnej części na jego spoczywał barkach.

Szczęściem było wśród takich stosunków, że łagodny charakter narodu polskiego wogóle, a szlachty w szczególności, czynił tę samowolę szlachecką mniej srogą i uciążliwą dla ludu niż gdzieindziej. Cokolwiek bowiem mówiono i pisano o stosunku panów do poddanych w Polsce, to jedno zdaje się być pewnem, że nie było u nas tego znęcania się nad ludem i uciemiężania go, jak w innych krajach europejskich. Najgorzej — co prawda — działo się tam, gdzie właściciel nie przemieszkiwał, lecz zdawał władzę swoją na urzędników, podstarościch lub rządców. Dlatego to szczególnie był opłakanym los chłopów w prowincyach wschodnich, tam bowiem znajdowały się olbrzymie majątki magnatów, zarządzane przez pełnomocników, którzy z urzędu swego znaczne ciągnęli korzyści, naturalnie z krzywdą pana i poddanych. Za to w dobrach królewskich i duchownych było położenie włościan o wiele lepsze, a ciężary — jakie ponosili — mniej uciążliwe.

Wszystko to nie uszło bacznej uwagi ludzi światłych i miłujących ojczyznę. Już Skarga w kazaniach sejmowych karcił szlachtę surowo za uciemiężanie ludu wiejskiego. „Jako ziarna pod młyńskim kamieniem — mówił on — tak ci kmiotkowie pod pany swoimi“. Ale upomnienia jego nie mogły wzruszyć serc zatwardziałych i nastąpiły potem straszne wojny kozackie, wywołane w znacznej części ową niewolą kmiotków. Zapaliły się i gorzały srogim

ogniem buntu chłopskiego najżyźniejsze prowincye Rzeczypospolitej. Płomień wojny domowej obejmował coraz to większe obszary, sięgał do serca niemal Rzeczypospolitej. Siła żywotna narodu i patryotyzm gorący ocaliły wtedy Polskę od ostatecznej zguby, ale zbudziły zarazem w sercach szlacheckich poczucie winy i obowiązku względem upośledzonych warstw społeczeństwa.

Głośno i otwarcie mówiono wtedy i pisano o potrzebie polepszenia doli ludu, myślał o tem Jan Kazimierz, myśleli wszyscy zacniejsi i światlejsi obywatele. Projekt reformy pozostał mimoto projektem tylko, a pomyślniejszy cokolwiek obrót spraw publicznych przygłuszył wnet głos sumienia. Odtąd nie było już ani czasu ani sposobności do podjęcia i wykonania reform społecznych i dopiero panowanie Stanisława Augusta wywołało — jak w wielu innych kierunkach, tak i w sprawie włościańskiej — pewną zmianę w zapatrywaniach ogółu, a przyznać trzeba, że i sam król wpłynął na to niemało. Łagodny z usposobienia, obeznany z stosunkami zagranicznemi, widział on jasno opłakany stan społeczeństwa polskiego i pojmował potrzebę reformy. Już w pięć dni po koronacyi swojej — dnia 1. grudnia 1764. roku — pisał więc do kanclerza Zamoyskiego: „Póki dziedzic przywłaszcza (sobie) moc życia i śmierci nad poddanym, póki trochę pieniądzmi odkupić można zabójstwo chłopa, póty niemam w duszy mojej spokojności, póty nieśmiem słyszeć od cudzoziemców o naszym narodzie, któremu bezczelne kupno bezkarności wyrzucać można.“

Dobra wola królewska nie mogła jednak wiele zdziałać przy znanej słabości rządu i zatwardziałości szlachty. Reforma stosunków poddańczych musiała wnikać powoli w duszę narodu i iść ręka w rękę z oświatą i cywilizacyą. Jakoż zaświadcza Staszyc, że „trzpiotowate peregrynanty przynajmniej nieludzkie i dzikie okrucieństwo w litującą ludzkość przemienili, tak, iż pod tymi zfrancuziałymi paniczami poddaństwo już daleko łagodniej traktowane było“; a i gdzieindziej czytamy także, że szlachta kontuszowa o wiele srożej obchodziła się z chłopami, aniżeli ci panowie, którzy cudzoziemski przyjęli obyczaj.

Wobec takich stosunków natrafiała sprawa włościańska na wielkie trudności, ale mimoto nie schodziła z porządku dziennego, zajmowała umysły i stawała się przedmiotem ogólnej dyskusyi.

Pierwszy krok pod względem polepszenia doli ludu uczynił sejm z roku 1768., odejmując panom prawo życia i śmierci nad poddanymi. Ustawa była wprawdzie niedostateczna i niejasna, oznaczała jednak zawsze pewien zwrot w opinii publicznej, która dotychczas tak energicznie sprzeciwiała się wszelkiej reformie. Skorzystał z tego natychmiast Stanisław August i ustanowił przy sądach assesorskich i referendarskich „patrona ludzi ubogich“, który — pobierając pensyą ze skarbu królewskiego — miał opiekować się sprawami ludzi ubogich w sądach, bez żadnego z ich strony wynagrodzenia. Zachęcony tym pomyślnym obrotem rzeczy Andrzej Zamoyski, wsunął do swego kodeksu ustawy, łagodzące znacznie jarzmo poddaństwa, ale właśnie te prawa, ograniczające cokolwiek samowolę dziedziców, wywołały ogólne oburzenie szlachty i stały się przyczyną odrzucenia całego projektu. A jednak opozycya słabła najwidoczniej,

kiedy sejm z r. 1784. wydał konstytucyą, która nakazywała grodom, z urzędu pozywać zabójcę kmiecia.

Na ten zwrot opinii publicznej wpłynęła zapewne niemało obywatelska działalność kilku zacnych właścicieli i ożywiony ruch na polu umysłowem.

Już w roku 1769. usunął referendarz królewski ks. Paweł Brzostowski w dobrach swoich Pawłowie (czyli Mereczu) stopniowo pańszczyznę, wprowadzając natomiast czynsze i pewne stałe daniny w pieniądzach. Podobną reformę przedsięwziął u siebie Andrzej Zamoyski, a przykłady musiały naturalnym rzeczy porządkiem poruszyć umysły i obudzić ogólne zainteresowanie się sprawą włościańską.

Jakoż wnet podjął się obrony chłopów ks. Karpowicz w kazaniach jubileuszowych, które miewał w Wilnie w roku 1773., a w rok później ukazała się książka profesora akademii krakowskiej ks. A. Popławskiego, żądająca wprost polepszenia stosunków włościańskich. „Trzeba koniecznie — pisał ten autor — najprzód niektóre prawa ogólne odmienić, powtóre, dla ich (włościan) zabezpieczenia, sądy sprawiedliwości wyznaczyć, niepomiarkowane pańszczyzny i arendy Żydom usunąć“.

W drugiej rozprawie podał ks. Popławski projekt rozpowszechnienia oświaty pomiędzy ludem.

W tymsamym duchu odezwał się także zacny Józef Wybicki w „Listach patryotycznych“ do Andrzeja Zamoyskiego, a nawoływania te nie szły widocznie na marne, kiedy w delegacyi — obradującej pod prezydencyą smutnej pamięci Adama Ponińskiego — pojawił się wniosek wyzwolenia włościan. Snadź katastrofa podziału przywiodła do upamiętania najzatwardzialsze umysły i wskazała im drogę najzbawienniejszej dla ojczyzny reformy. Wniosek, popierany przez Chreptowicza, biskupa Łuckiego Turskiego, a nawet biskupa wileńskiego Massalskiego, spotkał się wprawdzie z silną opozycyą i został usunięty z pod głosowania, ale już w latach następnych mnożą się wypadki uwolnienia i oczynszowania włościan. W roku 1774. urządza tak Massalski dobra swoje (Ihumeń), w roku 1777. zaprowadza czynsz generalny w kluczu korsuńskim synowiec króla książe Stanisław Poniatowski, wreszcie znosi poddaństwo w województwie nowogrodzkiem (w Szczorsach i Wiszniewie) Joachim Chreptowicz.

Tak stały rzeczy przed sejmem czteroletnim. Ogólny ruch w narodzie w roku 1788. i podczas całego trwania sejmu musiał przyczynić się także do wyjaśnienia kwestyi włościańskiej. Jako główni szermierze w tej sprawie wystąpili Staszyc i ks. Kołłątaj.

Pierwszy z nich w „Uwagach nad życiem J. Zamoyskiego“ przedstawiał społeczeństwu polskiemu w wymownych słowach opłakaną dolę ludu wiejskiego i domagał się oczynszowania włościan i wolności przemysłu; drugi żądał ubezpieczenia wolności i nietykalności osobistej włościanina, uregulowania stosunków włościańskich przez dobrowolne umowy dziedziców z poddanymi, wreszcie trzech obrońców dla stanu wiejskiego w Izbie sejmowej. Poruszona w ten sposób sprawa włościańska nie schodziła już z porządku dziennego. Co chwila pojawiały się pisma ulotne w obronie ludu wiejskiego, ba... nawet na sejmie odzywały się głosy, przychylne dla włościan.

Pomiędzy innymi przemawiał poseł inflancki Niemcewicz w ten sposób: „Ja w tem miejscu mówić za chłopami mam za największą chlubę, bo nie mają oni reprezentantów, którzyby się o nich domówili. Do kogo ma się udać chłopek, jeśli pan narzuci mu podatek?“ I słowa te trafiły do przekonania posłów, bo gdy zapadła uchwała o podatku protunkowym, dodano do niej warunek, ważny w ówczesnych stosunkach, że „ten podatek na dwory, nie na rolników jest nałożony“. Jakoż sejm w kilku wypadkach ujmował się za włościanami i polecał karać niesumiennych dziedziców, którzy podatki — wbrew ustawie — na poddanych swoich rozkładali.

Na nieszczęście jednak była Izba sejmowa zanadto zajęta sprawami politycznemi, wojskowemi i zmianą konstytucyi, aby mogła poświęcić uwagę swoją i pracę tak ważnej reformie, jak była reforma włościańska. Nic dziwnego przeto, że — kiedy przyszło do ułożenia konstytucyi — artykuł o „Włościanach“ nieodpowiedział żądaniom i życzeniom patryotów postępowych. Jakkolwiekbądź była i ta ustawa znacznym postępem. Włościanin, przyjęty pod opiekę rządu i prawa, miał możność zawierania umowy z dziedzicem, a umowa taka obowiązywała obie strony i nie mogła być wskutek fantazyi pańskiej zmieniona. Zapewnienie wolności dla przybywających do Polski i dla powracających wychodźców włościańskich miało na celu wprawdzie pomnożenie ludności, ale wykonane w praktyce musiało zmienić koniecznie także stosunek poddanych do panów.

W ten sposób dola włościan polepszyła się znacznie, a nie ulega wątpliwości, że działanie rządu i światłych obywateli byłoby niebawnie sprawę włościańską rozstrzygnęło pomyślnie, gdyby nie katastrofa drugiego rozbioru i świętokradzka ręka Targowicy.

Z sprawą mieszczańską i włościańską była związana ściśle kwestya żydowska. Wiadomo, jakie stanowisko w społeczeństwie polskiem wywalczyli sobie od dłuższego czasu już Żydzi. Zapobiegliwi, sprytni i nieprzebierający w środkach, trudnili się oni z początku wypożyczaniem pieniędzy na zastawy, następnie owładnęli zwolna drobny handel po miasteczkach, arendy karczem i myt i na tych stanowiskach umieli pozyskać sobie względy możnych i łaski panujących. Narzekano na to głośno, na sejmach XVI. wieku odzywały się liczne głosy przeciw Żydom, w roku 1538. zakazano im dzierżawić cła i nadano osobne odznaki (biret żółty),[1]) ostatecznie jednak hałas skończył się na niczem, bo Żydzi — znalazłszy sobie możnych opiekunów i obrońców — nie stracili ani przywilejów dawniejszych ani też możności dorabiania się wielkich majątków. Obecnie, gdy sejm potrącił o sprawę miejską, nie mógł żadną miarą pominąć żydowskiej, artykuł bowiem I. ustawy — dopuszczający do prawa obywatelstwa miejskiego tylko ludność chrześcijańską — kwestyonował temsamem prawo Żydów do osiedlania się po miastach.

Nadto zwolennicy reformy włościańskiej domagali się wyrugowania Żydów z karczem. Słusznie zatem żądał poseł piński Butrymowicz i kasztelan łukowski Jezierski uregulowania kwestyi żydowskiej. Pierwszy z nich ułożył

[1]) Vol. leg., t. I, 259.

nawet stosowny do tego projekt, a na wniosek drugiego wybrano osobną komisyą do roztrząśnięcia wniosków i opinii, które zebrać miano od obywateli i Żydów oświeceńszych.[1]) Tak, jak w sprawie miejskiej i włościańskiej, tak i tu wywiązała się obszerna dyskusya. Mieszczaństwo — warszawskie mianowicie — żądało usunięcia Żydów od swobód i wolności miejskich, szlachta województwa sieradzkiego — powołując się na swoje laudum sejmikowe z r. 1768. — mniemała, że należy zabronić Żydom utrzymywania szynków po wsiach, Żyd Abraham Hirszowicz, „faktor JKMci“, przedłożył królowi memoryał, w którym domagał się: dopuszczenia Żydów do wszelkich rzemiosł, rozdania im stepów ukraińskich, gdzieby na roli pracować mogli, urządzenia przy kahałach szpitalów, oznaczenia lat dla wstępujących w związki małżeńskie i t. p. Zarzucona mnóstwem projektów podobnego rodzaju nie była wstanie deputacya dość szybko załatwić tak ważnej i zawiłej sprawy. Ułożony przez nią projekt reformy Żydów[2]) nie przyszedł już pod obrady Izby sejmowej.

Stosunki polityczne. — Traktat z Prusami. Wszystkie te sprawy, jakkolwiek bardzo ważne, były traktowane przez sejm więcej w sposób przygodny niż zasadniczy. Całą uwagę stanów sejmujących pochłaniała bowiem polityka zagraniczna, stosunek Rzeczypospolitej do mocarstw rozbiorowych, a szczególniej pragnienie wyswobodzenia się z pod uciążliwej i upokarzającej zależności względem Rosyi. Do tego potrzeba było jednak przedewszystkiem dwóch rzeczy: silnego rządu i potężnej armii. Jakoż przyznać trzeba, że sejm pojmował tak a nie inaczej swoje działanie, ale — spotkawszy się następnie z nieprzełamanemi trudnościami — poszedł drogą inną, mniej bezpieczną i mniej korzystną. Przyczyny tego postępowania były dwojakie: powikłanie wewnętrznych stosunków i przewrotna, nawskroś egoistyczna polityka pruska. Polityczną czynność swoją rozpoczął sejm od obalenia tego, co gwarancya rosyjska na szkodę Polski stworzyła, od zniesienia wreszcie samej gwarancyi, jako źródła wszystkiego złego. Była to niewątpliwie gra hazardowna, ale wrazie pomyślnego skutku lecząca radykalnie niemoc Rzeczypospolitej. Zdawało się, że wobec zawikłań i trudności, w jakich znajdowała się wtedy Rosya, dopięcie tego celu było nietylko możliwe, ale niemal pewne, jeżeli sejm zdoła zachować takt potrzebny, krew zimną i rozwagę.

Niestety takie rozważne, stopniowe dźwiganie się Rzeczypospolitej nie odpowiadało widokom i zamiarom berlińskiego gabinetu. Fryderyk Wilhelm II. i minister jego Hertzberg, podrażnieni aliansem austryacko-rosyjskim i zaborczą polityką tych mocarstw na wschodzie, pragnęli wyrugować wpływ rosyjski z Polski i uzyskać dla siebie wynagrodzenie kosztem tej Rzeczypospolitej właśnie, której najszczerszymi mienili się przyjaciółmi. Ażeby te przewrotne plany pruskie przeniknąć i należycie ocenić, na to trzeba było mieć więcej doświadczenia i znajomości spraw gabinetowych, niż je mieli nasi politycy, a już najmniej można się było tego spodziewać po narodzie, który — instynktowo nienawidząc Rosyi — umizgi pruskie brał za dobrą monetę i dekla-

[1]) Smoleński: „Ostatni rok wielkiego sejmu“. Str. 329. — Deiches E: „Sprawa żydowska w czasie sejmu wielkiego“. Lwów 1891.

[2]) U Smoleńskiego w dodatkach.

racye ministrów Fryderyka Wilhelma uważał za najszczersze objawy sąsiedzkiej przyjaźni.

Widzieliśmy już, jakie usiłowania czynił gabinet berliński na początku sejmu wcelu pozyskania sympatyi w Polsce i jak bardzo sprzeciwiał się aliansowi rosyjsko-polskiemu. Jakoż rzeczywiście przymierze nie przyszło do skutku i Prusy mogły odetchnąć swobodniej. Równocześnie jednak owa przyjaźń pruska — tak szumnie głoszona w Warszawie — musiała jeszcze bardziej ośmielić i zapalić opinią publiczną przeciw Rosyi i polityce sejmu nadać więcej stanowczy kierunek. Przyczynił się do tego szczególniej Lucchesini, którego dwór berliński przysłał do pomocy ociężałemu Buchholtzowi.

Zręczny ten i przebiegły człowiek, typowy dyplomata XVIII. wieku, nie przebierający w środkach i oszukujący wszystkich dla własnej korzyści, potrafił wkrótce — po przybyciu do Warszawy — pozorną szczerością zjednać sobie umysły do tego stopnia, że go właściwie organistą sejmowym nazywano.[1]) Już podczas walki o departament wojskowy uknuł on intrygę, celem utworzenia rekonfederacyi i przywołania wojsk pruskich na obronę pogwałconych wolności, a kiedy departament wkońcu upadł wbrew wszelkim oczekiwaniom, podniósł zręcznie drażliwą sprawę wydalenia wojsk rosyjskich z granic Rzeczypospolitej. Słuszne to zupełnie żądanie nieodpowiadało w tej chwili położeniu politycznemu Polski, musiało bowiem podrażnić w wysokim stopniu Rosyą i wyzwać ją do walki w chwili, kiedy Rzeczpospolita nie była jeszcze na wojnę przygotowana. Z tem wszystkiem rząd pruski poparł skwapliwie wniosek stolnika księcia Czartoryskiego, a wyniosła odpowiedź Stackelberga podnieciła jeszcze bardziej nienawiść do Moskwy. Stronnictwo patryotyczne zwróciło się z żądaniem silniejszego poparcia do Prus, i oto niespodziewanie odczytano w Izbie deklaracyą Fryderyka Wilhelma, w której ten monarcha zrzekał się wszelkich praw gwarancyi, zapewnionych mu traktatem z r. 1773. i przyznawał najwyraźniej Rzeczypospolitej prawo czynienia takich zmian w konstytucyi, jakie sejm uważa za stosowne.

Podobne dowody przychylności ze strony tak potężnego monarchy, okryte nadto płaszczem zupełnej bezinteresowności i szczerości, nie mogły pozostać bez wpływu na dalszą działalność i usposobienie sejmu. Rosło mianowicie w siłę stronnictwo patryotyczne, podnosiła śmielej głowę opozycya, w Izbie wnioski królewskie przy tajnem głosowaniu upadały coraz częściej, stanowisko rządu, t. j. Rady Nieustającej, było widocznie zachwiane. Po zniesieniu departamentu wojskowego i po ustanowieniu komisyi do spraw zagranicznych musiała przyjść kolej na ostatnią twierdzę rosyjskich wpływów i gwarancyi. Dnia 19. stycznia 1789. roku zniesiono na wniosek posła trockiego Zaleskiego Radę Nieustającą.

Była to chwila przesilenia w historyi czteroletniego sejmu. Kiedy po skończonem głosowaniu i po stanowczem zwycięstwie opozycyi odezwał się z wieży bernardyńskiego kościoła głos pogrzebowy dzwonów, zwiastujących zgon Rady Nieustającej, jasnem było dla każdego, że odtąd zaczyna się nowa

[1]) Bezimienny (Krasicki): „Opisanie sejmu teraźniejszego“.

epoka tak w działalności sejmu, jak i w dziejach całego narodu, że miejsce znienawidzonej instytucyi musi zająć nowy rząd, którego pierwszem zadaniem będzie ubezpieczenie kraju przed zemstą rosyjską i chciwością sąsiadów.

Nie ulega wątpliwości, że przy energicznem działaniu w jednym i drugim kierunku można było wiele dokonać, ale sejm niestety — wywróciwszy najwalniejsze przeszkody za pierwszym zapędem — nie umiał znaleść w sobie dość siły na postawienie tego, co koniecznie stworzyć należało. Największą może trudnością był tu niezmiernie wadliwy regulamin obrad, zaprowadzony w roku 1768. i imienne głosowanie, przy którem każdemu posłowi dozwolono w osobnej mowie podawać powody swego głosowania. Podobny zwyczaj panował także w konwencie francuskim, ale konwent umiał w stanowczej chwili znaleść dość siły, aby kraj od obcego najazdu obronić, podczas gdy u nas gadatliwość posłów sejmowych topiła w powodzi słów wszelkie energiczniejsze działanie. Nie uszło to oczywiście bacznej uwagi stronników rosyjskich, którzy — korzystając z nieporządnego trybu sejmowania — umyślnie rozprawy przeciągali i stanowczym uchwałom przeszkadzali. Prace sejmowe postępowały więc prawdziwie żółwim krokiem; marnowano bardzo wiele czasu na próżnej gadaninie, lub zajmowano się kwestyami błahemi i przedawnionemi, jak n. p. sprawą Adama Ponińskiego, którego uwięziono i stawiono przed sąd sejmowy. Wprawdzie Poniński zasłużył niewątpliwie na karę bardzo surową, ale proces jego należało załatwić krótko, a zarazem pociągnąć do odpowiedzialności wszystkich tych, co — podobnie jak on — frymarczyli sprawą publiczną. Byłoby to przyczyniło niemało do uzdrowienia społeczeństwa, zdemoralizowanego w najwyższych warstwach i byłoby odstraszyło na przyszłość niejednego od wiązania się z nieprzyjaciółmi ojczyzny. Tymczasem sąd sejmowy, zamiast wydać wyrok doraźny i zdrajcę natychmiast ukarać, pozwolił, aby sprawa Ponińskiego przez rok cały przerywała rozprawy sejmowe, a wreszcie skazał tego zdeklarowanego łotra tylko na infamią.

Wszystkie te okoliczności utrudniały skuteczną działalność sejmu, a jakkolwiek i w tym czasie zapadło kilka uchwał ważniejszych i pożyteczniejszych, jak n. p. o komisyach wojewódzkich cywilno-wojskowych i o uregulowaniu płac biskupich, to jednak sprawy najpilniejsze (poprawa rządu i uzbrojenie wojska) natrafiały co chwila na nieprzełamane przeszkody.

Wobec tego naczelnicy stronnictwa patryotycznego — mianowicie obaj marszałkowie Małachowski i Sapieha, Ignacy Potocki i biskup kujawski Rybiński — postanowili na wspólnej naradzie, aby sejm co rychlej zajął się reformą rządu i następstwem tronu i aby — dla pozyskania silniejszego poparcia mocarstw — Rzeczpospolita zawarła przymierze z Prusami, Anglią i Hollandyą. Pierwsze kroki, jakie uczyniono w tej mierze, nie obiecywały wiele. Nadzwyczajny poseł angielski w Warszawie Hailes, zagadnięty w sprawie przymierza, oświadczył, że dla Anglii największe znaczenie mają stosunki handlowe i że gabinet londyński pragnie przedewszystkiem traktatu handlowego z Polską, poczem przymierze polityczne łatwo przyjdzie do skutku. Ażeby jednak tego dopiąć, potrzeba koniecznie wprzód porozumienia Rzeczypospolitej z Prusami w kwestyach handlowych.

Dla dworu berlińskiego przychodziła propozycya patryotów nie w porę. Fryderyk Wilhelm nie chciał narazie wiązać się przymierzem z Polską, jeszcze niezorganizowaną i nieuzbrojoną należycie, a co najważniejsza może, nie widział w tej chwili możności przeprowadzenia planów swoich względem nowych nabytków w Polsce. Z tego powodu dawał Lucchesini na zapytania patryotów odpowiedzi wymijające co do przymierza, chociaż w zasadzie zgadzał się na oddanie następstwa po Stanisławie Auguście elektorowi saskiemu. Dopiero niepomyślne wieści z teatru wojny, nad Dunajem, zmieniły cokolwiek usposobienie dyplomacyi pruskiej.

Turcy rozpoczęli kampanią w roku 1789. bardzo energicznie. Z rozkazu nowego sułtana, młodego Selima, zgromadzono ogromne siły nad Dunajem, aby za jednym zamachem zgnieść słabą armię austryacką, stojącą w Mołdawii pod dowództwem księcia Koburskiego, a następnie rzucić się na Rosyan i im także podobny los zgotować. Zamiary te rozbiły się jednak o nieudolność wodzów tureckich i energią Suwarowa. Turcy zostali pobici na głowę przez połączoną armią rosyjsko-austryacką pod Martineszti nad Rymnikiem, utracili Bender i równocześnie ponieśli klęskę pod Mehadią, poczem Laudonowi poddał się Belgrad, gdzie Austryacy zdobyli 400 dział i ogromne zapasy żywności i amunicyi.

Wiadomość o tych niepowodzeniach tureckich sprawiła jak najprzykrzejsze w Berlinie wrażenie. Fryderyk Wilhelm i ministrowie jego spostrzegli, że dalsza nieczynność Prus może narazić to mocarstwo na nieobliczone klęski. Postanowiono więc wziąć się energiczniej do dzieła, a mianowicie zawrzeć przymierze zaczepno-odporne z Portą, wejść w ścisłe porozumienie z Polską, i z wiosną roku 1790. wystąpić czynnie przeciw Austryi, jako najbliższemu i najbardziej w Berlinie znienawidzonemu nieprzyjacielowi. Państwo austryackie zresztą przedstawiało dla chciwych zdobyczy Prusaków wszelkie nadzieje łatwych korzyści. Nieoględna polityka Józefa II., który od początku panowania swego z gorączkowym pospiechem zabrał się do reformowania dawnych urządzeń monarchii habsburskiej, naraziła Austryą na wewnętrzne zawikłania i rewolucye. Prowincye belgijskie, najbardziej oddalone, podniosły rokosz formalny, w Węgrzech rosło niezadowolenie, a świeżo przyłączona do dzierżaw austryackich Galicya — uciskana przez lichą biurokracyę i nadmierne podatki — czekała z utęsknieniem chwili wyzwolenia.

Łatwo zrozumieć przeto, dlaczego Prusy w tę stronę właśnie skierowały swoją uwagę, dlaczego podniecały niezadowolenie poddanych austryackich i gotowe były dobyć nawet oręża wcelu ostatecznego pognębienia Habsburgów. Zresztą i ze względu na Polskę wydawał się w Berlinie zatarg z Austryą jako rzecz wielce pożądana. Nie było tajnem nikomu, jak bardzo Galicyanie wzdychali do powrotu pod berło polskie i jak licznych mieli w Warszawie przyjaciół. Sejm i naród cały spoglądali z boleścią na los braci swoich za kordonem, a odzyskanie prowincyi bogatej i od wieków złączonej z Rzeczpospolitą musiało być gorącem życzeniem patryotów. Dwór pruski podzielał te pragnienia w nadziei, że mu się uda Galicyą — oderwaną od Austryi — zapłacić Polakom za województwa zachodnie, albo za Gdańsk i Toruń. W tym

celu rozgłaszał Lucchesini z umysłu w Warszawie wiadomości o rychłem odzyskaniu Galicyi z pomocą pruską, a patryoci galicyjscy przygotowywali się pocichu do powstania, aby — korzystając z słabości sił wojskowych austryackich — wypędzić nieliczne załogi i wezwać wojsko polskie na pomoc. Dwór wiedeński jednakże, uwiadomiony wcześnie o tych zamysłach, ściągnął do Galicyi znaczniejsze siły i udaremnił w ten sposób plany spiskowych.

Tymczasem Prusy, jakkolwiek gotowały się do wojny na wiosnę, nie chciały się wiązać ścisłem przymierzem z Rzeczpospolitą i obudziły tem zwlekaniem słuszne podejrzenia w Warszawie. Przestraszony Lucchesini nieomieszkał donieść natychmiast o wszystkiem swojemu dworowi i w odpowiedzi otrzymał list od króla, wyrażający gotowość do zawarcia odpornego aliansu z Polską, „skoro ona w ogólnych zarysach ułoży swoją konstytucyę i przedstawi szczegółowe punkta przymierza — którego pragnie — choćby to miało stać się w styczniu“. List Fryderyka Wilhelma sprawił jak najlepsze wrażenie. Uchwalono jednomyślnie podziękować królowi pruskiemu za tak życzliwe sentymenta i zarazem zawezwać deputacyą, która była zajęta układaniem nowej konstytucyi, do przedstawienia sejmowi swego projektu.

Stało się to niespodziewanie prędko, bo już 17. grudnia weszły do Izby Zasady do poprawy rządu, ułożone przez Ignacego Potockiego.

Nie była to wprawdzie rzecz opracowana szczegółowo, ale mogła stać się podstawą do zreorganizowania całej machiny rządowej. Na początku projektu postawiono zasadę, że wszyscy mieszkańcy Rzeczypospolitej mają być wolni i równi, dalej skupiono całą władzę w sejmie, który będzie sejmem gotowym (t. j. może być zwołanym każdej chwili); prawo wyborcze przyznano tylko szlachcie osiadłej i postanowiono, że na sejmach sprawy skarbowe, cywilne i kryminalne będą rozstrzygane zwykłą większością głosów, kwestye zaś polityczne $^3/_4$ większością. Jakkolwiek projekt zanadto może ograniczał władzę królewską i zbyt wiele atrybucyi przelewał na sejm, to jednak był niewątpliwie postępowym i mógł położyć tamę dotychczasowej anarchii i samowoli. Z tem wszystkiem odrzucono jednak w Izbie natychmiast jednomyślnie pierwszy punkt o wolności i równości obywatelskiej. Sejm nie chciał więc radykalnej reformy, lecz zamierzał przedsięwziąć jedynie reformę rządu, odkładając uregulowanie stosunków społecznych na później. Ale i pod tym względem różniły się zdania. Stronnictwo hetmańskie, gdzie rej wodził Branicki, oparło się stanowczo nowemu prawu wyborczemu. Dla anarchistów tego rodzaju było bowiem rzeczą bardzo wygodną posługiwać się na sejmikach głosami szlachty nieosiadłej, która za łyżkę strawy i kufel piwa gotowa była popierać każdego kandydata i bronić każdej sprawy. Nic dziwnego więc, że tak Branicki jak i zwolennicy jego stanęli murem w obronie chudopachołków, nic dziwnego, że Suchodolski przez cztery godziny przemawiał w tej materyi i że w końcu przeciwnikom zarzucił zdradę wolności. Niezręczne to i nietaktowne odezwanie się wywołało wielką burzę w Izbie, pisarz Rzewuski zaczął grozić Branickiemu, hetman rwał się do szabli, ale posłowie i publiczność odwrócili się ze wstrętem od anarchistów, a pomiędzy arbitrami odezwały się głosy: „Trzebaby tego hetmana porąbać“.

Wreszcie król uciszył wrzawę i wnioski deputacyi z wyjątkiem pierwszego artykułu — zostały przyjęte. Pamiętna sesya z 23. grudnia skończyła się zupełnem bankructwem stronnictwa hetmańskiego; sejm uczynił zadość żądaniom Prus i teraz można było układać się o alians z gabinetem berlińskim. Niebawem jednak powstały nowe trudności.

Stanisław August, stały przeciwnik Prus, podejrzywający bezinteresowną na pozór politykę Fryderyka Wilhelma, domagał się stanowczo, aby z układami o przymierze połączono także układy o traktat handlowy. Żądanie było o tyle słuszne, że — wskutek naprężonych stosunków z Rosyą — droga handlowa do Czarnego morza zamykała się dla płodów polskich i że wypadało zatem zapewnić sobie jakąkaką komunikacyę z morzem Bałtyckiem. Tymczasem jak długo chodziło o piękne słowa i obietnice, tak długo był gabinet berliński niewyczerpanym w zapewnieniach przyjaźni i bezinteresowności, ale gdy zażądano od niego ustępstw materyalnych, natenczas bez osłony już okazała się pruska chciwość i przewrotność. Gabinet berliński oświadczył gotowość zniżyć cło wiślane z 12% na 6%, jakoteż pozwolić na przewóz towarów przez Szląsk, ale tylko pod warunkiem, że Rzeczpospolita odstąpi Prusom Gdańsk i Toruń wraz z starostwem dybowskim! Wobec takich propozycyj nie mogło być mowy o traktacie handlowym, pozostawało więc tylko przymierze odporne, korzystniejsze w tej chwili dla Prus niż dla Polski.

Wiadomość o negocyacyach z Prusami, toczących się w Warszawie, zaniepokoiła oba dwory cesarskie. Tak w Wiedniu jak i w Petersburgu zaczęto zastanawiać się nad skutkami tej ligi projektowanej, która — obok Anglii, Hollandyi i Prus — miała wprzęgnąć do swego rydwanu także odradzającą się Polskę. Najniebezpieczniejszą wydawała się ta kombinacya dla Austryi, wystawionej bezpośrednio na najazd pruski i możliwą utratę Galicyi. Książe Kaunitz więc, na którego obecnie — podczas choroby cesarza Józefa II. — spadała troska o całość i bezpieczeństwo monarchii, czynił energiczne przedstawienia w Petersburgu w duchu pokojowym, a zarazem przez rezydenta austryackiego w Warszawie p. de Caché podsuwał Rzeczypospolitej myśl przymierza z dworami cesarskiemi.

W Petersburgu natrafiły propozycye Kaunitza na opór nieprzełamany, w Warszawie za to — w kołach dworskich — wydawało się przymierze austryackie przynajmniej równie korzystne jak alians pruski. Uwiadomiony o tem kanclerz austryacki zawezwał do siebie natychmiast rezydenta polskiego Woynę i oświadczył gotowość zawarcia z Rzeczpospolitą takiego traktatu, jaki dwór berliński ofiaruje Polakom.

Prusy, przestraszone tym niespodziewanym obrotem rzeczy, zmieniły odrazu swoją taktykę. Ażeby tylko nie dać się uprzedzić Austryi, stawiano złote mosty Polakom. Lucchesini z nakazu Fryderyka Wilhelma cofnął propozycye względem Gdańska i Torunia, a natomiast ofiarował alians odporny, traktaty handlowe odkładając na później. Położenie Rzeczypospolitej było więc bardzo pomyślne. Dwa mocarstwa ubiegały się równocześnie o naszą przyjaźń i oba gotowe były zawrzeć z Polską traktat odporny, ubezpieczający nasze granice i ułatwiający reformę państwa.

Deputacya do spraw zagranicznych nie umiała jednak z tych propozycyj korzystać. Zamiast przedłożyć sejmowi oba projekty — austryacki i pruski — i w ten sposób wywrzeć nacisk na gabinet berliński i wytargować na nim jak najkorzystniejsze warunki, albo — w przeciwnym razie — związać się z uczciwszą i mniej interesowaną Austryą, deputacya przemilczała zupełnie propozycye Kaunitza i przedstawiła przymierze z Prusami jako jedynie możliwą kombinacyą polityczną. Na to postępowanie deputacyi wpłynęła niewątpliwie niepewność rzeczy w Wiedniu, choroba i śmierć cesarza Józefa II. (20. lutego 1790. roku), którego następca, Leopold II., mógł się niepoczuwać zupełnie do zobowiązań lub obietnic swego poprzednika i jego ministrów. W każdym razie jednak wzmianka publiczna i urzędowa o ofiarowanem przez Kaunitza przymierzu odpornem byłaby wywarła nacisk potężny w Berlinie i możeby nawet skłoniła Fryderyka Wilhelma do ustępstw pod względem handlowym.

Wśród takich okoliczności ułożono traktat przymierza z Prusami i podpisano go dnia 29. marca 1790. roku. Warunki były dla Polski niewątpliwie korzystne. Oba mocarstwa poręczały sobie wzajemnie całość posiadłości i obronę wrazie nieprzyjacielskiego najazdu. Artykuł VI. traktatu orzekał nadto, „że gdyby jakie państwo przyznawać sobie chciało prawo mięszania się do interesów wewnętrznych Rzeczypospolitej, król pruski ofiaruje naprzód swe bona officia, a gdyby one nie skutkowały i gdyby z tej przyczyny kroki nieprzyjacielskie zaczęte były przeciw Polsce, wesprze Rzeczpospolitą stosownie do postanowień tego traktatu“.

Umowa była więc jasna i — podług wszelkiej rachuby ludzkiej — zapewniała Polsce obronę potężną i całość granic, a jeżeli dziś stronnicy polityki pruskiej na sejmie wielkim doznają nagany historyków z powodu rzekomej swej łatwowierności, to zapytać się godzi, o jakich warunkach zapomniano w traktacie i jakie gwarancye mogły nas ubezpieczyć przed wiarołomstwem pruskiem? Bo gdy wygórowany cynizm i obmyślona z góry zdrada należały do cech charakterystycznych ówczesnej dyplomacyi, to nie widzimy rękojmii, aby przymierze z Rosyą lub Austryą mogło być dla Polski korzystniejszem od przymierza pruskiego.

Jakkolwiekbądź wiadomość o zawarciu aliansu pomiędzy Polską i Prusami sprawiła wielkie wrażenie. Stackelberg stracił głowę do reszty i postępował tak nietaktownie w Warszawie, że nawet rząd rosyjski uznał za stosowne odwołać go z Polski, wyznaczając na jego miejsce Bułhakowa, który prowadził do niedawna interesa rosyjskie w Konstantynopolu.

W Wiedniu książe Kaunitz uważał traktat z 29. marca za dzieło politycznie niedojrzałe, za krok zbyt pospieszny, który Rzeczypospolitej spodziewanych korzyści nie przyniesie. Z tem wszystkiem ścisłe połączenie się Prus z Polską i Turcyą dawało austryackim mężom stanu wiele do myślenia, a Leopold II., rozważywszy dobrze trudne okoliczności i nie mogąc liczyć bardzo na pomoc rosyjską, okazywał skłonność do pokoju. Wtedy Herzberg przedstawił swój plan zamienny. Podług tego miała Austrya otrzymać od Turków takie granice, jakie jej zapewniał traktat passarowicki, miała Polsce zwrócić Galicyą, jednak bez Spiża, Halicza i Pokucia, a za to Rzeczpospolita powinna

Bitwa pod Racławicami.

była oddać Prusom Gdańsk, Toruń i województwa: poznańskie, gnieźnieńskie i kaliskie.

Wszystkie te negocyacye toczyły sie w wielkiej tajemnicy, a Lucchesini, który głośno rozprawiał w Warszawie o odzyskaniu Galicyi, milczał wytrwale, kiedy go pytano, czem Polska za ten nabytek będzie musiała zapłacić? Ta tajemniczość i sprzeczne wiadomości, rozchodzące się — jak zwyczajnie w takich razach — budziły podejrzliwość Polaków i ustalały w nich przekonanie, że Rzeczpospolita na wypadek wojny powinna się zachować o ile możności neutralnie, a przynajmniej unikać wszelkiej zaczepki, do której Prusy rozmaitemi sposobami starały się nas przynaglić. Że podejrzenia tego rodzaju były zupełnie uzasadnione, okazał niebawem kongres w Reichenbachu, gdzie Herzberg otwarcie już z projektem swoim wystąpił i spotkał się z odporną polityką dworu wiedeńskiego. Za pośrednictwem angielskiem porozumiały się jednak oba mocarstwa: Prusy odstąpiły od swoich planów zamiennych, Austrya zadowolniła się utrzymaniem dawniejszych granic od Turcyi. W ten sposób ominęła Rzeczpospolitą nadzieja odzyskania Galicyi, ale i Prusacy musieli poraz wtóry już zrzec się zaborczych swoich zamiarów względem sprzymierzonej Polski, którą łudzili tylokrotnie zapewnieniami swojej bezinteresowności.

Mimoto alians z Polską był dla nich tak długo potrzebnym, jak długo jeszcze nie pogodziły się z Rosyą i dokąd Fryderyk Wilhelm nie przekonał się, że w drodze dobrowolnej umowy z Rzeczpospolitą nie uzyska ani Turunia ani Gdańska.

Raz jeszcze zdawała się nastręczać ku temu sposobność, kiedy dwór angielski — występując w roli pośrednika pomiędzy Prusami a Rzeczpospolitą — starał się nakłonić Polskę do zadośćuczynienia życzeniom króla pruskiego. Hailes uwiadomił króla i deputacyą dla spraw zagranicznych, że jeżeli Rzeczpospolita zgodzi się na odstąpienie Gdańska i Torunia Prusom, natenczas Anglia i Hollandya są gotowe zagwarantować Polsce zupełnie wolny handel morzem i kupować od niej te wszystkie artykuły okrętowe, które dotąd kupowały w Moskwie.

Nieszczęściem większość sejmowa, przestraszona i rozgoryczona ugodą reichenbachską, nie chciała słyszeć o żadnych ustępstwach terytoryalnych dla sprzymierzeńca, którego szczerość wydawała się w tej chwili nadzwyczajnie podejrzaną, a Świętosławski — przy rozprawach nad kardynalnemi prawami Rzeczypospolitej — uczynił wniosek, aby ani sejm teraźniejszy ani przyszły, ani nikt wogóle, nie miał mocy odstępować lub zamieniać jakiejkolwiek części Rzeczypospolitej.

Nadaremnie Czartoryski, Ignacy Potocki, a wreszcie i sam król dowodzili jasno i logicznie, że uchwała taka nie zabezpieczy Rzeczypospolitej, a narazić ją może na niemałe trudności, Świętosławski ponowił na następnej sesyi swój wniosek i uzyskał dla niego aprobatę Izby. Uchwała ta, w wysokim stopniu niepolityczna, zamykała Polsce wszelką możność zawierania korzystnych traktatów handlowych z Anglią i Prusami, a — odbierając Fryderykowi Wilhelmowi raz na zawsze nadzieję dopięcia upragnionego celu — przygotowała jego odstępstwo i zdradę. Kto przynajmniej powierzchownie z polityką

był obznajomiony, ten powinien był wiedzieć, że za usługi podobne, do jakich Prusy w traktacie z 29. marca się zobowiązały, słabszy sprzymierzeniec sowicie zapłacić musi.

Odstąpienie zaś Gdańska i Torunia było w ówczesnych okolicznościach najlżejszą stratą, na jaką Rzeczpospolita mogła być narażona. Horyzont polityczny bowiem, do niedawna jeszcze tak jasny i różowym blaskiem pruskiej przyjaźni opromieniony, chmurzył się i zaciemniał coraz bardziej. Rosya — zagrożona wojną szwedzką i turecką, jakoteż koalicyą Anglii, Hollandyi, Prus i Polski, a przytem wyczerpana w zasobach — odzyskiwała zwolna otuchę i swobodę działania.

Odkąd Austrya postanowiła wycofać się z wojny wschodniej i przyjęła konwencyą reichenbachską, uspokoiły się znacznie obawy gabinetu angielskiego o los Turcyi, a temsamem znikało i niebezpieczeństwo wojny, której Rosya z tej strony się obawiała. Zapłaciwszy Gustawowi III. odczepnego 4,000.000 talarów, zawarła Katarzyna również z Szwecyą pokój w Wereli (14. sierpnia 1790. roku), tak, że ze wszystkich nieprzyjaciół caratu pozostawała tylko słaba Turcya, niezorganizowana jeszcze i nieuzbrojona Polska, a wreszcie Prusy, gotowe za pewne korzyści przefrymarczyć wszystkich swoich sprzymierzeńców. Odrzucenie więc propozycyj prusko-angielskich w takiej chwili było podwójnym błędem ze strony sejmu i stawiało Rzeczpospolitę nad brzegiem przepaści, z której tylko własna siła i energia narodu mogły ją wydźwignąć. Jakoż rzeczywiście wśród matactw i zabiegów dyplomatycznych, które głuchem echem odbiły się po Warszawie i budziły raz przedwczesną radość, to znów zupełne pogrążenie, przekonywali się patryoci coraz dowodniej, że Polska na obcą pomoc wiele liczyć nie może i że przyszłość jej zawisła od zreformowania machiny rządowej i wzmocnienia sił własnych. Myśl tę podzielał w zupełności Stanisław August. „Czy wojna, czy pokój — twierdził on słusznie — zawsze dla nas źle, jeśli będziemy bez rządu“. Chwila obecna wydawała się do wykonania tych planów jeszcze dogodną. Jak długo bowiem trwały trwogi wojenne, a gabinety zachodnie zazdrosnem okiem spoglądały na zaborczą politykę rosyjską, tak długo Rzeczpospolita mogła się czuć bezpieczną. Nie ulegało jednak wątpliwości, że — wrazie zawarcia pokoju — nieomieszka imperatorowa pomścić się na Polsce za wszystkie upokorzenia, jakich w ostatnim czasie doznała. „Na teraz — pisała ona do Bułhakowa — nic innego ci nie polecam, jak tylko żebyś przez łagodne, ostrożne i przyjacielskie postępowanie zjednywał nam umysły, dopóki nie stanie pokój z Turkami“.

Polecenie to wypełniał ambasador z niepospolitą zręcznością, był uprzejmym w obejściu, gościnnym w swoim domu i hojnym dla przyjaciół swego dworu, do których w karty znaczne przegrywał pieniądze. Bystrzejsi i doświadczeńsi — a między nimi i król sam — wiedzieli, co sądzić o tej moskiewskiej grzeczności, i im układniejszym był Bułhakow, tem niebezpieczniejsze wydawały im się zamiary petersburskiego gabinetu. Trzeba więc było korzystać ze sposobności, trzeba było jąć się dzieła reformy całemi siłami, aby uprzedzić zamachy nieprzyjaciół i przygotować siłę odporną w rządzie i narodzie.

Ustanowienie konstytucyi 3-go maja. Jakkolwiek sejm czteroletni zbierał się pod hasłem gruntownej reformy, to w pierwszym roku był tak dalece zajętym sprawami administracyjnemi i obaleniem tego, co gwarancya rosyjska na szkodę narodu stworzyła, że nad właściwem zadaniem swojem nie mógł się zastanawiać. Dopiero przy końcu sierpnia roku 1789. ustanowiono na wniosek biskupa Krasińskiego osobną deputacyą do ustalenia rządu, złożoną z czterech ministrów i sześciu osób ze stanu rycerskiego. Przewodniczącym został Krasiński. Widzieliśmy już, jak deputacya ta po dwakroć wnosiła w Izbie Zasady do poprawy rządu i jak każdym razem spotykała się z zaciętą opozycyą zwolenników dawnego porządku. Jakoż wnioski przechodziły tylko częściowo i nie można było przewidzieć, kiedy właściwie sejm zezwoli na to, co — podług zdania światlejszych obywateli — było nieodzownym warunkiem dalszego istnienia Rzeczypospolitej. Niemałą rolę w tych trudnościach odgrywał także skład Izby poselskiej. Pomimo niezaprzeczonego postępu, jaki od dłuższego czasu już w kraju się objawiał, większość szlachty nie pojmowała jeszcze należycie potrzeby reformy. Ciasny horyzont wykształcenia politycznego, a co najwięcej może nałóg, wiekową tradycyą uświęcony i intrygi moskiewskie utrzymywały ogół w mniemaniu, że zniesienie t. zw. wolności szlacheckiej będzie ostateczną Rzeczypospolitej ruiną. Dotychczasowe prace sejmu wpłynęły cokolwiek na zmianę tego fatalnego usposobienia. Jeden z najzawziętszych przeciwników konstytucyi 3-go maja przyznaje, że „początkowe dzieła sejmu tego ogólna zwierzchność narodu przyjmowała z najczulszem wdzięczności i aprobacyi uczuciem“; można się więc było spodziewać, że po dwuletniem trwaniu sejmu opinia publiczna innym ożywiona jest duchem. To też kiedy się skończył czas sejmowej kadencyi i miał być zwołany nowy sejm zwyczajny, stronnictwo patryotyczne postanowiło odwołać się do narodu w tym duchu, aby dotychczasowa Izba była zatwierdzona i nowymi posłami wzmocniona. W ten sposób można było utrzymać i konfederacyą i tych posłów, którzy w traktowaniu spraw publicznych nabrali już rutyny i doświadczenia, a zarazem wzmocnić szeregi patryotów zwolennikami reformy. Wniosek ten uchwalono pomimo opozycyi i zwołano sejmiki na dzień 16. listopada 1790. roku. Miały one nietylko obrać nowych posłów, ale zarazem rozstrzygnąć, czy za życia Stanisława Augusta ma być następca jego obrany lub wolna elekcya utrzymana?

Do tej akcyi wyborczej przywiązywało stronnictwo patryotyczne wielką wagę, a położenie współczesne charakteryzuje najlepiej rodzaj odezwy do wyborców, wydany pod tytułem: „Ostrzeżenie od arbitra“, gdzie następujące znajdujemy słowa: „Nie obierajcie starych dziwaków, którzy zestarzeli w przesądach, których zdania: batogi, niewola, rabunki, furaże, egzekucya, ani żadne ucisków rodzaje odmienić nie mogły i których cały rozum twardo stoi przy uporczywem przysłowiu: niech tak będzie jak bywało, bo oni dawnym zwyczajom i nałogom poświęcą całość kraju i publiczne bezpieczeństwo“.[1])

[1]) „Zbiór mów i pism niektórych w czasie sejmu stanów skonfederowanych.“ 1790. W Wilnie, t. XII, str. 349.

Odwołanie się do patryotyzmu i poczucia obywatelskiego szlachty odniosło w znacznej części skutek pożądany. Do Izby poselskiej bowiem weszło bardzo wielu posłów przychylnych reformie, a za wyborem następcy tronu już za życia Stanisława Augusta oświadczyła się przeważna część sejmików, przeznaczając koronę w przyszłości elektorowi saskiemu Fryderykowi Augustowi. Pod względem elekcyi kilka tylko litewskich i trzy koronne sejmiki odstąpiły od utartego zwyczaju i zalecały tron sukcesyjny, inne trzymały się wolnego wyboru.

Nowy sejm więc, który w zdwojonym składzie posłów rozpoczął obrady dnia 16. grudnia 1790. roku, pod tymi samymi marszałkami i — podobnie jak dawniejszy — pod węzłem konfederacyi, miał zadanie o wiele łatwiejsze. Wprawdzie i teraz jeszcze znajdowała się w łonie skonfederowanych stanów silna falanga wstecznikow, zarazem jednak nastąpiło pewne zbliżenie pomiędzy stronnictwem patryotycznem a partyą królewską. Było to nietylko naturalnym skutkiem dotychczasowego ścierania się zdań i wyrabiania się opinii w kołach sejmowych, lecz także skutkiem widocznej zmiany w usposobieniu Stanisława Augusta. Niedawno jeszcze oddany bezwzględnie niemal Rosyi i upatrujący jedyne zbawienie Rzeczypospolitej w sojuszu z caratem, uległ on zwolna ogólnemu prądowi, zgodził się — jakkolwiek z niedowierzaniem — na przymierze pruskie, pragnął zreformowania i wzmocnienia rządu i w ten sposób zbliżył się do stronnictwa patryotycznego. Zbliżenie to nie było jednak jeszcze połączeniem. Jak wiadomo, panowały pomiędzy członkami stronnictwa patryotycznego a królem bardzo naprężone stosunki, nietylko z powodu różnicy w zapatrywaniach politycznych, ale także ze względów osobistych i familijnych. Nieporozumienia pomiędzy księciem generałem ziem podolskich i Stanisławem Augustem, niechęć wrodzona, jaką czuli Potoccy, a szczególniej Ignacy Potocki do całej rodziny Poniatowskich, wszystko to — razem wzięte — tworzyło kwasy i antagonizmy, szkodliwe dla sprawy publicznej i w wysokim stopniu nieprzyjemne dla króla. Ludzie światlejsi wiedzieli dobrze, jak dalece niebezpiecznem było to rozdwojenie w tej chwili i dlatego nie przestali pracować nad pogodzeniem stron zwaśnionych.

Czynił w tej mierze mianowicie wiele Deboli, rezydent polski w Petersburgu, nakłaniając listownie do zgody tak króla jak i marszałka sejmowego, ale prawdopodobnie zawdzięczać trzeba porozumienie Stanisława Augusta z patryotami głównie zabiegom i usiłowaniom Piattolego.

Zręczny ten i rozumny ksiądz włoski, który — przybywszy do Polski i zostawszy lektorem królewskim — stał się gorącym patryotą polskim i do końca życia przybranej swej ojczyźnie nie sprzeniewierzył się, posiadał w równej mierze tak zaufanie królewskie jak i przyjaźń Ignacego Potockiego. Ceniono go wielce dla jego zdolności i bezinteresowności, a on — biorąc żywy udział w tem wszystkiem, co się wtedy w Warszawie działo i wolny od wszelkich uprzedzeń — był jakby stworzonym na pośrednika pomiędzy tymi, którzy wyznawali wprawdzie podobne zasady, ale nie mogli zapomnieć dawnych uraz i antagonizmów.

Dzięki zabiegom więc królewskiego lektora, zbliżył się pod koniec roku 1790. Ignacy Potocki do Stanisława Augusta i miał z nim dwie konferencye,

z których każda trwała po cztery godziny. O czem tak długo rozmawiano, nie wiemy, faktem jest jednak, że odtąd król stanowczo przechyla się na stronę patryotów i w najściślejsze z nimi wchodzi stosunki. Bezpośrednio po tem, w styczniu roku 1791., zaczęły się w łonie stronnictwa patryotycznego tajne zebrania i narady. Brali w nich udział: marszałek sejmowy Stanisław Małachowski, Ignacy Potocki, Kołłątaj, Linowski, Lanckoroński i kilku innych, których nazwiska nie znamy.[1]) Tu prawdopodobnie zapadło postanowienie, aby się ostatecznie porozumieć z królem, czego też dokonano za pośrednictwem ks. Piattolego.

Odtąd odbywały się bardzo regularnie w wielkiej tajemnicy zebrania spiskowych, na które i król zazwyczaj przychodził. Przedmiotem dyskusyi był naturalnie projekt nowej ustawy. „Narady — pisze Niemcewicz w swoich pamiętnikach — około dzieła tego zaczęły się najprzód w skromnem mieszkaniu l'abbé Piattoli w zamku królewskim. Wieczorami zawsze byłem przypuszczany na nie. Król — jak tylko można — incognito wymykał się ze swoich pokojów i bocznymi kurytarzami spuszczał się do Piattolego; towarzyszył mu tylko dworzanin jego głuchy i niemy Wilczewski, kasztelanic wiski, dwie zapalone świece schylony ku ziemi niosąc przed nim. Tam już sprzysiężonych swoich zebranych zastawał.“

Wśród tych prac i przygotowań powstawały w gronie spiskowych niemałe wątpliwości i obawy. Proszono Stanisława Augusta, aby — znając dokładnie charakter narodu — ułożył sam zasady nowego rządu. Mniemano zapewne, że w ten sposób da się najprędzej załatwić drażliwa kwestya sukcesyi, dotykająca całą rodzinę Poniatowskich. Król okazał się nadspodziewanie chętnym i — wziąwszy sobie na wzór konstytucyą angielską, którą wtedy powszechnie za najdoskonalszą uważano — napisał projekt w języku francuskim. Pismo królewskie, odczytane na zebraniu spiskowych, podobało się ogólnie; uchwalono więc, aby Kołłątaj przetłumaczył je na język polski i poczynił niektóre poprawki. Ustawa, opracowana w ten sposób wspólnie przez Stanisława Augusta i Kołłątaja, była podstawą dalszej dyskusyi. Narady trwały dość długo, a król pierwszy zaczął się obawiać i trwożyć. „Lepiej ja od was znam naród mój — mówił — to nie przejdzie“. Spiskowi jednak umieli dodać mu otuchy, wskazując na zmianę w opinii publicznej i na zabiegi swoje w pracach przygotowawczych. Powoli nabierał Stanisław August odwagi. Z usposobienia nieskory do pracy, ulegający tylko chwilowym natchnieniom i wrażeniom, a stąd łatwo zniechęcający się, potrzebował on w każdej ważniejszej sprawie zarówno rady jak i hamulca. Znalazłszy się w towarzystwie ludzi rozumnych, wykształconych i pełnych zapału dla sprawy publicznej, przejął on się — tak jak każdy miękki charakter — łatwo ich wyobrażeniami, a ułożywszy sam projekt ustawy, uważał za punkt honoru przeprowadzić ją na sejmie jak najrychlej i najskuteczniej. Nagliły do tego sto-

[1]) Niemcewicz w „Pamiętnikach“ (str. 114) wylicza tylko: Ignacego Potockiego, Małachowskiego, Kołłątaja i „kilku innych“. — Ks. Kalinka („Sejm czteroletni“, t. III, str. 52) dodaje jeszcze Linowskiego i Lanckorońskiego, nie powołując się zresztą na źródła.

sunki polityczne, widoczne oziębienie przyjaźni pruskiej, spodziewany pokój Rosyi z Turkami i głuche wieści o nowych zamachach sąsiadów na całość Rzeczypospolitej.

W miarę więc jak zachmurzał się horyzont, jak stanowcza dla Polski zbliżała się chwila, rosła energia i gorliwość spiskowych. Przypuszczać należy — bo wiadomości dokładnych nie mamy — że w początkach kwietnia ułożono program działania. Ustawa, której przyjęcie w sejmie było zawsze jeszcze wątpliwe, miała być wprowadzona przez zamach stanu. Przykład Gustawa III., który w Szwecyi bez krwi rozlewu obalił rządy arystokratyczne i podniósł władzę królewską, działanie wreszcie Zgromadzenia narodowego we Francyi, gdzie mieszczaństwo także drogą rewolucyjną zdobyło sobie udział w rządach i administracyi, wszystko to dodawało sprzysiężonym otuchy i utwierdzało ich w raz powziętych zamiarach. Ażeby sobie pozyskać ludność stolicy i wypróbować siły stronnictwa w sejmie, wprowadzono na porządek dzienny „prawo o miastach“. Przyjęcie ustawy dnia 18. kwietnia wywołało niezmierny zapał pomiędzy mieszczaństwem i pozyskało je zupełnie dla sprawy spiskowych, a niemało dopomogło do tego także uroczyste i ostentacyjne przyjęcie prawa miejskiego przez najwybitniejszych dygnitarzy Rzeczypospolitej. Entuzyazm mieszczaństwa z tego powodu był tak wielki, że kiedy marszałek Małachowski po odbytej ceremonii w ratuszu miał wsiadać do karety, lud wyprzągł konie i chciał go — obyczajem angielskim — zawieść do mieszkania.

Wśród tych przygotowań postępowały prace tajnego komitetu dalej. Zwolna i ostrożnie wciągano do spisku coraz liczniejsze koła patryotów, tak, że przy końcu kwietnia liczba wtajemniczonych urosła do 60 osób. Należało teraz jeszcze obmyśleć środki, któremi możnaby skłonić większość sejmową do bezzwłocznego przyjęcia projektowanej ustawy i oznaczyć czas najodpowiedniejszy do wykonania zamachu.

Co do pierwszego punktu, to posłużyły spiskowym wybornie relacye posłów polskich z zagranicy. Wspomnieliśmy już, że od pewnego czasu dolatywały coraz częściej do Warszawy wieści o nowych zamachach na całość Rzeczypospolitej. Powód do tego dały niewątpliwie konszachty dworu berlińskiego o pozyskanie Gdańska i Torunia, jakoteż nota ministra duńskiego Bernstorffa, który — odpowiadając na żądanie gabinetu angielskiego, aby Dania na wypadek wojny zachowała ścisłą neutralność — doradzał porozumienie z Rosyą i wyszukanie dla innych mocarstw wynagrodzenia w ziemiach, „niemających związku z teatrem wojny“.

Jakkolwiek rozmaicie możnaby tłumaczyć niejasne wyrażenia noty duńskiej, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Bernstorff nie inny kraj — jak Polskę — miał na myśli, i dziwić się nie można, że wiadomość ta wywołała w Warszawie niepokój i obawę i dała powód do uzasadnionych podejrzeń względem polityki sąsiednich dworów. Doświadczenie zresztą uczyło, że na przyjaźń bezinteresowną i pomoc mocarstw — nawet nieprzychylnie dla Rosyi usposobionych — liczyć wiele nie można. Konwencya w Reichenbachu podała słusznie w podejrzenie szczerość przyjaźni pruskiej, a sprzedajność Szwecyi

dowodziła aż nadto jasno, czego Polska może się spodziewać wrazie, gdyby zemsta moskiewska i chciwość pruska o nowem uszczupleniu granic Rzeczypospolitej zamyślały.

Fatalne niebezpieczeństwo zagrażało przeto Polsce, a obowiązkiem króla i większości sejmowej było przedstawić narodowi całą grozę położenia i podać mu środki ratunku. Gdy jednak niewtajemniczeni w zakulisowe intrygi dyplomatyczne, a przytem obrobieni przez ambasadę pruską i moskiewską, z niedowierzaniem przyjmowali relacye posłów polskich z zagranicy, wypadało nadać tym raportom barwę o tyle jaskrawą, aby mogły przekonać nawet tych, którzy ufali bezwzględnie pokojowym zapewnieniom dyplomacyi rosyjskiej i pruskiej.

W tym celu dał król stosowne wskazówki posłom polskim, a spiskowi ułożyli cały plan zamachu. Obrali oni do tego najdogodniejszą porę, a mianowicie pierwszą sesyą po świętach wielkanocnych, które w tym roku przypadały na 24. kwietnia. Wiedziano dobrze, że większa część posłów rozjedzie się w tym czasie z Warszawy, aby uroczystość Zmartwychwstania spędzić na łonie rodziny. Posiedzenia miały się rozpocząć 3. maja, a że regulamin sejmowy przepisywał, aby pierwsze dwa tygodnie każdego miesiąca poświęcano sprawom skarbowym, można więc było z góry przewidzieć, że na pierwszych sesyach majowych wielu posłów będzie nieobecnych i że skutkiem tego opozycya znajdzie się w mniejszości. Obliczywszy w ten sposób wszystko skrupulatnie, postanowili spiskowi wykonać zamach stanu dnia 5. maja i wybrali w tym celu komitet z siedmiu, który miał obmyśleć i przedsięwziąć środki, potrzebne do przeprowadzenia tak wielkiego dzieła. Zastanawiającem jest w naszych stosunkach to, że pomimo tych przygotowań, pomimo że do spisku wciągnięto kilkadziesiąt osób, rzecz cała do ostatniej niemal chwili najgłębszą była pokryta tajemnicą. Dopiero w ostatnich dniach kwietnia uważał król za stosowne zwołać na radę ministrów i przedstawić im projekt spiskowych. Jaki był przebieg tej konferencyi, nie wiemy, to pewna jednak, że w tej chwili zamach stanu przestał być tajemnicą, a jest silne podejrzenie, że kanclérz wielki koronny Jacek Małachowski, brat rodzony marszałka i znany jurgieltnik moskiewski, uwiadomił stronników Rosyi o wszystkiem. Jakoż anarchiści chwycili się nadzwyczajnych środków. Rozesłano natychmiast gońców z wezwaniem do posłów, aby niewątpliwie na dzień 5. maja stawili się w Warszawie, a hetman Branicki sprowadził nawet swoich sejmikowych rębaczy, aby na ich czele gwalt — jak się wyrażał — gwałtem odeprzeć.

Zabiegi te i krzątania nie uszły bacznej uwagi spiskowych. W nocy z 28 na 29. kwietnia zebrali się oni na nadzwyczajne posiedzenie i tu ułożyli środki ostrożności, uchwalając zarazem zamach przyspieszyć i projekt ustawy wnieść na sesyą dnia 3. maja. W ten sposób miano zaskoczyć przeciwników i ubezwładnić ich knowania. Aby zaś poruszyć i pozyskać zupełnie ludność miejską, wpisał się — jak to wspomnieliśmy — marszałek sejmowy w księgi miejskie, a Kołłątaj przez agentów swoich Dembowskiego i Konopkę wezwał mieszczaństwo do udziału w wielkiem dziele odrodzenia ojczyzny.

Wśród takich przygotowań nadszedł nareszcie dzień 2. maja. Wieczorem dnia tego odbywała się — jak zwyczajnie — w pałacu radziwiłłowskim sesya posłów sejmowych wszystkich trzech prowincyj i tu już jasno i otwarcie wystąpili spiskowi z projektem nowej ustawy. Ogólnie przyjęto ją przychylnie,

Książe Józef Poniatowski.

tylko najzawziętsi zwolennicy dawnej anarchii i stronnicy rosyjscy trwali w opozycyi, liczba ich jednak była tak szczupła, że nie odważyli się wystąpić otwarcie, narzekali tylko i gniewali się pocichu. Ale kiedy sesya miała się ku końcowi, napełniły się salony Bułhakowa duchami moskiewskimi i tu pod przewodnictwem ambasadora „wspaniałomyślnej monarchini“ radzono długo w noc nad powstrzymaniem znienawidzonego dzieła. Wreszcie postanowiono

obronę zagrożonej „wolności“ powierzyć Suchorzewskiemu, posłowi kaliskiemu. Człowiek ten, miałkiego rozumu, ujęty pieniądzmi przez Bułhakowa, który go gościnnie w domu swoim podejmował i znaczne sumy w wista do niego przegrywał, nadawał się wybornie do odegrania smutnej roli skarykaturowanego Rejtana anarchii. Gwałtowność charakteru i znajomość spraw publicznych uczyniły go dogodnem narzędziem w rękach moskiewskiego ambasadora i jego politycznych przyjaciół.

Takie było usposobienie umysłów w wilią 3. maja. Nazajutrz wcześnie już zaroiły się ulice, wiodące do zamku, tłumnie zebraną publicznością. Mieszczaństwo zajęło gromadnie plac przed zamkiem królewskim, wykrzykując co chwila: Wiwat konstytucya!

Wzdłuż krakowskiego przedmieścia, po obu stronach ulicy, ustawiła się piechota pod naczelnem dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego, na terasie zamkowej umieszczono działa. Przygotowania te mogły przekonać przeciwników konstytucyi, że wszelki opór ich jest daremny i że kwestya reformy rządu stała się sprawą narodową w całem tego słowa znaczeniu. Polska przestała być w tej chwili Polską szlachecką, anarchiczna republika przeobrażała się w państwo nowożytne, opierające potęgę swoją na współdziałaniu wszystkich warstw społecznych.

Zwolna zaczęli się gromadzić posłowie w sali sejmowej. Tu już były galerye szczelnie zapełnione publicznością, wśród której przeważały kobiety, w Izbie pomiędzy posłami zajęli miejsca — podług ówczesnego zwyczaju — arbitrowie w liczbie około tysiąca; przed krzesłem marszałkowskiem stał książe Józef Poniatowski z adjutantem królewskim, generałem Gółkowskim, oba otoczeni ułanami gwardyi królewskiej; na drugiej stronie, około tronu, liczny zastęp oficerów gwardyjskich, a wśród nich brygadyerowie Wielhorski i Jan Potocki. Opozycyjni posłowie przybyli wprawdzie wcześnie na posiedzenie, ale spiskowi umieli zręcznie otoczyć ich swoimi arbitrami i utrudnić przez to wszelkie porozumienie.

Nawet Branicki wśród rębaczy swoich stracił dawniejszą odwagę i fantazyą i kiedy jeden z nich zapytał go: „A cóż, panie Ksawery, machniemy?“ hetman zmięszany odpowiedział: „Wara!“

Tymczasem po godzinie 11-tej wszedł król do sali w licznym orszaku dworzan i dygnitarzy i zajął miejsce na tronie, powitany zewsząd sympatycznemi okrzykami. Wnet zagaił marszałek sesyą i oświadczył, że deputacya do spraw zagranicznych ma ważne poczynić przedstawienia o niebezpieczeństwach, zagrażających obecnie Rzeczypospolitej. Na te słowa powstał wielki gwar, zewsząd domagano się głosu; wreszcie — podług zwyczaju przyjętego — otrzymał głos poseł małopolski, Sołtyk. W krótkich, ale jędrnych słowach, potwierdził on obawy, wyrażone przez marszałka i zakończył mowę swoją apostrofą do króla i zgromadzonych stanów: „Ja z miejsca mego — mówił — proszę Ciebie, Najjaśniejszy Panie, proszę Was, Prześwietne Stany, aby wiadomości, jakie ma deputacya, zaraz nam doniesione były. Wtenczas przyjdzie moment zapału, który okaże, kto z nas szczerze kocha ojczyznę“. Słowa te sprawiły głębokie wrażenie, powitano je grzmotem oklasków i wołaniem:

„Prosimy, prosimy!“ Ale wśród gwaru arbitrów i posłów, wśród ogólnego zamięszania, domagał się głosu także Suchorzewski, krzycząc z całego gardła: „Proszę o głos, mam wyjawić wielkie i okropne rzeczy!“

Nadaremnie starano się go uciszyć, nadaremnie król — zabrawszy głos — potwierdził obawy marszałka i polecił, aby deputacya do spraw zagranicznych odczytała swoje sprawozdanie, Suchorzewski nietylko nie przestawał domagać się głosu, ale kiedy spostrzegł, że Izba nad jego żądaniem przechodzi do porządku, wybiegł na środek sali i — rzuciwszy się na posadzkę przed tronem królewskim — krzykiem rozpaczliwym usiłował zagłuszyć mówiących, tak, że wreszcie marszałek głosu mu udzielił. Wtedy poseł ten, zdyszany i rozogniony, zaczął gwałtownym i urywanym głosem rozpowiadać obszernie o zamachu, na wolność przygotowanym, wołając: „Jeśli fałszywe rzeczy mówię, niech śmiercią ukarany zostanę“.

W mowie Suchorzewskiego było jednak tyle niekonsekwencyj i sprzeczności, tyle nieprawdziwych doniesień, postać mowcy zresztą sprawiała tak komiczne wrażenie, że mowę jego przyjęto ogólnie śmiechem. Opozycya zatem zamiast dopiąć zamierzonego celu, skompromitowała się gruntownie niezręcznem wystąpieniem kaliskiego posła i ułatwiła wielce działanie przeciwników. Jakoż na powtórne i natarczywe żądanie większości sejmowej odczytał wreszcie Matuszewicz, poseł brzesko-litewski, członek deputacyi do spraw zagranicznych, sprawozdanie, ułożone na podstawie relacyj posłów polskich zagranicą. Nie zawierało ono nic nadzwyczajnego. Były tam wiadomości o prawdopodobieństwie nowych zamachów na całość Rzeczypospolitej, z szczególnym naciskiem wyrażone w depeszach Debolego z Petersburga, były pogłoski, potwierdzające te domysły także i z innych stron, jak n. p. z Haagi, ale co najważniejsza i o co zapewne spiskowym najbardziej chodziło, był położony nacisk na potrzebę zreformowania rządu polskiego.

Zaledwie skończył rzecz swoją Matuszewicz, kiedy Ignacy Potocki ze zwykłą sobie wymową — odpierając z lekka nieuzasadnione zarzuty Suchorzewskiego — zwrócił się do króla z prośbą, aby wskazał narodowi środki ratunku.

Wśród natężonej uwagi sejmu opowiedział więc Stanisław August w treściwych słowach genezę projektu konstytucyi i zawezwał marszałka, aby odczytać go kazał. Poleceniu królewskiemu stało się zadość; Siarczyński, sekretarz sejmowy, odczytał projekt konstytucyi, z jedenastu złożony artykułów, a zaledwie skończył, natychmiast odezwały się głosy: „Zgoda, zgoda!“ Z tem wszystkiem niepodobna było uniknąć dyskusyi już dlatego, że rzecz tak ważna, jak zmiana ustawy, wymagała dojrzałej rozprawy, już też i z tego powodu, że spiskowi pragnęli zachować pozory legalnego postępowania i uniknąć zarzutów, jakoby używali gwałtu i przemocy. Zresztą byli oni tak pewni zwycięstwa, że wszelkie zabiegi przeciwników z góry mogli uważać jako bezowocne wysilenia.

Zaczęły się więc, obyczajem ówczesnym, długie i nużące rozprawy. Przeciwnicy konstytucyi uderzali przedewszystkiem na artykuł VII., ustanawiający dziedziczność tronu, rzeczywiście bardzo niepopularny. Oświadczyły się przeciw

niemu sejmiki, zgodnie zresztą przyjmujące na następcę Stanisława Augusta elektora saskiego; usilnie odradzał zaprowadzenią sukcesyi Ignacemu Potockiemu uczony Jan Potocki, a w roku 1790. poseł miński Pawlikowski ostrzegał sejm przed tem hazardownem przedsięwzięciem, trafne podając przyczyny. „Wyniknie stąd — mówił on — rozdwojenie narodu, z tego wojna domowa; strona, która wojsko ogarnie, da pobudki przeciwnej, słabszej, szukania pomocy obcej; wróci się wpływ zagraniczny, a zamięszanie powszechne niewolę całego narodu ugruntuje.“

Nie można się wobec tego dziwić, że najzacniejsi ludzie, jak: Czetwertyński, kasztelan przemyski i Korsak, poseł wileński, znaleźli się dnia 3. maja w opozycyi i uznając zbawienne zamiary spiskowych, godząc się na zniesienie liberi veto i konfederacyj, protestowali jednak przeciw sukcesyjności tronu.

Z tem wszystkiem siły opozycyi były za słabe, a argumenta, przez nią przytoczone, nie mogły przekonać nikogo. Zresztą spiskowi mieli na swoje zawołanie najdzielniejszych mowców i opinią publiczną, która w ustanowieniu nowej formy rządu upatrywała słusznie możność ratowania ojczyzny. Posłowie patryotycznego stronnictwa umieli też po mistrzowsku użyć tych korzystnych warunków dla dopięcia zamierzonego celu. „Długo, aż nazbyt długo — mówił Linowski, poseł krakowski — i cnotę i światło Polaka tłumił duch obcy i duch wewnętrznego możnowładztwa. Czem był przez dwa wieki Polak? Narzędziem nikczemnem, którego używano pod hasłem niezrozumianej wolności, na posługę lub dla interesu sąsiada lub przemożnego pana. Zmamiony, służył dumie swoich zwodzicielów; spodlony, nie czuł prawa obrony, bo nie od niego, ale od możnowładzców nad prawo wyższych, los jego i bezpieczeństwo jego zawisły.“ A Potocki, poseł lubelski, długą mowę swoją zakończył temi słowy: „A teraz klękam przed Wami, bóstwa szczęścia narodu. Zaklinam Was na to wszystko, cokolwiek świętego i miłego w nazwisku ojczyzny serce poczciwe czuje, abyście, odrzuciwszy wszelkie zawady, uwieńczyli dzień dzisiejszy zgodą i jednomyślnością powszechną.“

Naturalnie, że te mowy, najczystszym tchnące patryotyzmem i wypowiedziane z siłą przekonania, zapaliły i porywały nietylko arbitrów, ale i chwiejnych jeszcze posłów, tak, że gdy wreszcie Stanisław August — po mowie posła podolskiego, Rzewuskiego — polecił marszałkowi, aby zarządził głosowanie, w całej Izbie i na galeryach rozległ się okrzyk przeciągły: „Wszyscy, wszyscy, trzymamy z marszałkiem. Niech żyje król! Niech żyje konstytucya!“

Wprawdzie próbowała jeszcze opozycya odwlec sprawę i domagała się szczegółowej nad projektem dyskusyi, ale poseł inflancki Zabiełło, który po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia sejmu głos zabierał, a dotąd stale milczał, zażądał przyjęcia projektu i — zwracając się do króla — prosił go, aby pierwszy wykonał konstytucyjną przysięgę. Radośne okrzyki, któremi mowę tę powitano, zagrzały Suchorzewskiego do nowych wysileń. Nagle wypada on na środek sali, przeciska się do tronu, rzuca się rozkrzyżowany na ziemię i tragicznym głosem woła, że tylko po trupie jego przejdą posłowie,

aby u stóp tronu wykonać przysięgę. Patetyczna ta scena wywołała w Izbie śmiech i żarty. Nie uważano na leżącego tak dalece, że zachodziło niebezpieczeństwo, aby go nie podeptano. Wtedy znany z olbrzymiej siły poseł inflancki Kublicki, podniósł Suchorzewskiego z ziemi i uprowadził go na bok.

Po usunięciu tej ostatniej przeszkody można już było przystąpić do wykonania wniosku Zabiełły. Na zapytanie marszałka odpowiedziała cała Izba wołaniem: „Zgoda! zgoda!“ a bliżej tronu stojący błagali króla, aby położył koniec niepewności i wykonał przysięgę na konstytucyą. Widząc tę jednomyślność i zapał powszechny, Stanisław August wezwał biskupa krakowskiego Turskiego do tronu, dla odebrania przysięgi. Czcigodny kapłan powstał z miejsca swego, biskup smoleński Górzeński rozłożył ewangelią, a król — położywszy rękę na księdze — powtarzał słowa przysięgi za biskupem, wśród uroczystej ciszy i głębokiego wzruszenia obecnych. Ukończywszy wreszcie rotę przysięgi, odezwał się głosem poważnym: Juravi Domino, non me poenitebit (przysiągłem Bogu i żałować tego nie będę), a zwracając się do wszystkich, dodał: „Wzywam teraz kochających ojczyznę, niech idą za mną do kościoła na złożenie Bogu wspólnej przysięgi i dziękczynienia, że nam dozwolił tak uroczystego i zbawiennego dokonać dzieła.“

Wypowiedziawszy te słowa, udał się król przez kurytarze zamkowe do kościoła św. Jana, przyjmując u wyjścia z sali hołdy i dziękczynienia kobiet, które z galeryi śledziły pilnie przebieg obrad sejmowych. Była to niewątpliwie najpiękniejsza chwila w życiu Stanisława Augusta, jedyny uroczysty moment wciągu długiego i nieszczęśliwego jego panowania. Zdawało się, że tym jednym czynem król — dotąd przez obcych poniżany, od swoich poddanych nielubiany i lekceważony — zmazał winy całego żywota, że stał się ojcem narodu, zbawcą ojczyzny i jednym z bohaterów przeszłości. Niestety, złudzenie to miało trwać krótko!

Tymczasem na znak, dany przez króla, ruszyły tłumy z sali sejmowej na ulicę. Pora była już spóźniona, słońce miało się ku zachodowi; przez osiem godzin, bez przerwy trwało pamiętne posiedzenie, a jednak przed zamkiem stała gromadą publiczność, oczekując ukończenia sesyi. Wiadomość o uchwaleniu konstytucyi i o przysiędze królewskiej rozbiegła się lotem błyskawicy po mieście i wzbudziła radość i zapał niesłychany. Wychodzących z sali posłów witano okrzykami: „Wiwat król! Wiwat sejm! Wiwat konstytucya rządowa!“ Marszałków sejmowych na rękach niesiono do kościoła. Takiej chwili nie pamiętała Warszawa, chociaż widziała carów moskiewskich, uprowadzonych do niewoli przez Żółkiewskiego i Jana III., powracającego z wiedeńskiej wyprawy.

Wśród okrzyków i zapału ogólnego płynęły tłumy, otaczające posłów, do kościoła św. Jana. Tu wspaniały przedstawiał się widok. Starożytna świątynia była przepełniona ciekawą publicznością; wśrodku stała municypalność warszawska, cechy i bractwa z rozwiniętemi chorągwiami, wszyscy w świątecznym nastroju, ze łzami radości w oczach.

Oczekiwano króla. Wszedł wreszcie Stanisław August, widocznie głęboko wzruszony i stanął u stopni wielkiego ołtarza. Obaj marszałkowie powitali go

stosowną przemową, poczem nastąpił uroczysty akt przysięgi, a biskup Górzeński zaintonował Te Deum laudamus wśród grzmotu dział, ustawionych pod zamkiem.

W chwili, kiedy ta wspaniała uroczystość odbywała się w nawach starożytnej świątyni, w sali sejmowej radziła opozycya nad dalszem swojem działaniem. Pomimo niesłychanego zapału, który ogarnął w tym dniu pamiętnym wszystkie niemal warstwy ludności, pomimo że z 354 posłów zaledwie 20-tu uchyliło się od udziału w uroczystym akcie, trwali oponenci w uporze i — powołując się na instrukcye sejmikowe, które niepozwalały na sukcesyjność tronu — układali na wniosek Suchorzewskiego w Izbie sejmowej protestacyą i manifest przeciw wprowadzeniu poprzysiężonej co tylko przez cały naród konstytucyi. Ale zanim jeszcze ohydny ten akt spisano, powrócili posłowie do sali i tu — na wniosek króla — postanowiono, aby wojsko złożyło przysięgę na nową ustawę i aby marszałkowie akt konstytucyi podpisali, poczem sesya odroczono do czwartku, t. j. do 5. maja.

Tak skończył się dzień 3. maja w Warszawie. Powracających do domu marszałków odprowadziły cechy miejskie i tłum ludu, który następnie udał się na dziedziniec saskiego pałacu, wznosząc okrzyki na cześć elektora saskiego, jako następcy tronu.

W dniu 5. maja wreszcie odbyła się zapowiedziana sesya sejmowa, na której załatwiono ostatecznie formalności, z ogłoszeniem konstytucyi połączone, i polecono marszałkom napisanie stosownej odezwy do narodu. Posiedzenie odznaczało się dziwną harmonią i powagą. Bardzo wielu posłów, nieobecnych w dniu 3. maja, składało akces swój do konstytucyi, przystępowali do niej także ci, którzy przed dwoma dniami trwali w opozycyi, przystąpił i biskup inflancki Kossakowski, ów prałat „z lamparcią twarzą“, interes osobisty tylko mający na celu. Mowa jego przy tej sposobności, podstępnie i chytrze ułożona, była przeładowana pochlebstwami dla króla, a wniosek, aby pamiątkę ustanowienia konstytucyi obchodzono uroczyście w dniu 8. maja, jako w dzień imienin królewskich, miał na celu pozyskanie opinii publicznej. Poza tem wszystkiem jednak ukrywało się biskupstwo wileńskie, upragniony cel marzeń Kossakowskiego. Podobnie jak Kossakowski złożył i hetman Branicki z lekkiem sercem przysięgę na konstytucyą po to, aby ją w kilka miesięcy później złamać najhaniebniej.

Tymczasem tak w kraju jak i zagranicą powitano ogłoszenie konstytucyi z radością i uwielbieniem. Ze wszystkich stron Polski spieszyły do Warszawy deputacye z akcesami, po wszystkich miastach niemal odbywały się uroczyste, dziękczynne nabożeństwa. Zagranicą podobnie oddawano nowej ustawie hołd i uwielbienie. Tacy wytrawni politycy i mężowie stanu, jak: Burke, Foks, Makintosch, ks. Siéyes, Volney, a nawet minister pruski Hertzberg, sławili konstytucyę 3-go maja jako dzieło wielkie, jako „wspaniałą, spokojną reformę, którą mądrość rządu polskiego uskuteczniła“. Rzeczpospolita holenderska kazała wybić medal na pamiątkę tej rewolucyi, którą Burke sławił jako bezkrwawą. Z monarchów europejskich największym zwolennikiem konstytucyi okazał się król pruski, Fryderyk Wilhelm II. On to pierwszy po-

spieszył z uznaniem nowej ustawy, „uwielbiając z poklaskiem krok wolny“, po to, aby w rok potem oświadczyć, że nigdy nie myślał popierać konstytucyi, bez jego wiedzy ustanowionej.

Jakkolwiek u nas, w Polsce, szczególniej po rozbiorze kraju konstytucyą 3-go maja surowej poddawano krytyce, to nie ulega wątpliwości, że stwierdzała ona żywotność narodu i dźwigając Rzeczpospolitę z zamętu anarchii, dawała jej możność prawidłowego rozwoju. Jeżeli zaś była niedokładną i niezupełnie radykalną, jak n. p. w kwestyi włościańskiej, to zaznaczyć trzeba, że i sami twórcy konstytucyi nie uważali dzieła swego za skończone i doskonałe, skoro — co lat 25 — naznaczyli porę i czas rewizyi i poprawy konstytucyi, ustanawiając na ten cel sejm konstytucyjny, ekstraordynaryjny. W tych warunkach, w jakich wówczas Polska i Europa cała się znajdowały, w chwili, gdy przeobrażenie rządu i stosunków społecznych odbywało się we Francyi wśród niesłychanego krwi rozlewu, była rzeczywiście konstytucya 3-go maja dziełem „podziwienia godnem“, a wina za klęski późniejsze spada na te „brudne ręce, które ten czysty czyn skalały, na potwarców, którzy go oskarżali i na zbrodniarzy, którzy go zniszczyli“.

Dalsze prace ustawodawcze wielkiego sejmu. — Malkontenci. — Targowica. — Wojna w roku 1792. Konstytucya, uchwalona w dniu 3. i 5. maja, jakoteż cała ustawodawcza działalność czteroletniego sejmu, położyła właściwie dopiero podwaliny, na których miał wznieść się nowy gmach rządnej i silnej Rzeczypospolitej. Zmierzali do tego z podziwienia godną wytrwałością inicyatorowie reformy od początku panowania Stanisława Augusta, ale usiłowania ich — spotykając się na każdym niemal kroku z złą wolą obcych mocarstw i ciemnotą mas szlacheckich — nieznaczne tylko mogły wydać owoce.

Zmiany, zaprowadzone na sejmie roku 1764., podcięły najpierw znaczenie i przemożny wpływ sejmików wojewódzkich. Odjęto im mianowicie władzę nakładania podatków, zniesiono skarb wojewódzki i t. zw. izby skarbowe, szafujące szelężnem i czopowem, i usunięto tym sposobem raz na zawsze źródło nieustających sporów i kłótni o podział pieniędzy i wybory komisarskie. Zabór kopalni wielickich i bocheńskich przez Austryą w roku 1772. ograniczył jeszcze bardziej zakres czynności sejmikowych, ustało bowiem rozdawnictwo soli, odgrywające tak ważną rolę w życiu publicznem ziemiańskiego świata i zjazdy szlacheckie zajmowały się odtąd tylko wyborami posłów i urzędników, albo słuchały sprawozdań poselskich na sejmikach relacyjnych. Razem z tem ograniczeniem wybujałej zanadto władzy wciskały się do gwarnej, hałaśliwej izby sejmikowej nowe prądy i wyobrażenia. Ustała zasada jednomyślności przy elekcyach dygnitarskich i poselskich, ustał zwyczaj zrywania sejmików, porządek obrad i głosowania ujęty w karby przyzwoite położył wreszcie tamę przysłowiowej polskiej anarchii. Zaczęło się też odtąd więcej prawidłowe i skuteczniejsze działanie sejmikowe. Od swarów politycznych zwrócono się ku celom praktyczniejszym, ku zakładaniu szkół, ku naprawie zrujnowanych kościołów, ku pracy nad podniesieniem ekonomicznem podupadłych miast i miasteczek. Sejmik stawał się tem, czem być powinien,

t. j. organem autonomii wojewódzkiej. Na tej podstawie prowadził sejm czteroletni swoją reformatorską pracę. W roku 1789. (d. 15. grudnia) ustanowiono komisye porządkowe cywilno-wojskowe, którym przekazano odbieranie i przechowywanie pieniędzy podatkowych, układanie spisów ludności, administracyą dróg, szpitali, szkół i t. p. zakładów, wreszcie pod względem wojskowym zakładanie magazynów, żywienie i kwaterunek żołnierzy, w zakresie policyjnym pieczę o bezpieczeństwie publicznem, wydawanie paszportów, kontrolę przejezdnych i t. d.[1])

Podobnie jak reforma sejmików nie mogła być i reforma rządu dziełem jednej chwili. Ustawa z dnia 3. maja stawiała kardynalne zasady: znosiła liberum veto i konfederacye, zaprowadziła tron sukcesyjny familiami, odpowiedzialne ministerstwo, strażą zwane, podział władzy na prawodawczą, wykonawczą i sądowniczą, przyjmowała uchwałę o miastach i zapewniała prawną opiekę ludności wiejskiej. Wszystkie te artykuły jednak, ujęte w ogólną formę, wymagały jeszcze ścisłego określenia i szczegółowej w niejednym względzie kodyfikacyi. W położeniu, w jakiem się Polska wtedy znajdowała, należało wykończenie pracy ustawodawczej odłożyć na czas spokojniejszy i — zadawalniając się uchwaleniem konstytucyi — zwrócić całą uwagę na uzbrojenie wojska i przygotowanie do odparcia najazdu. Na nieszczęście jednak, sfery rządowe od króla począwszy, a na ministrach i posłach skończywszy, ulegały dziwnemu jakiemuś złudzeniu. Mniemano, że byle tylko zapewnić konstytucyi ogólne uznanie w kraju, można będzie burzę od strony rosyjskiej zażegnać zupełnie, spodziewano się, że imperatorowa, jakkolwiek osobiście dotknięta wypadkami polskimi, do wojny się nie zerwie. Król pocieszał się, że „z Petersburga żadnego kwaśnego wyrzeczenia względem naszej rewolucyi“ nie było,[2]) a 3. grudnia 1791. roku, już po podpisaniu punktów przedugodnych pokoju pomiędzy Rosyą i Turcyą, twierdził jeszcze, „że Moskwa zbrojno i otwarcie przeciwko nam nie pójdzie“.[3])

Wychodząc z takiego założenia, chwycono się w Warszawie najniefortunniejszej polityki. Aby nie drażnić Rosyi, głaskano najgorętszych jej zwolenników; hetmana Branickiego zaproszono do straży, kanclerza Jacka Małachowskiego, gdy złożył pieczęć, ubłagano, aby ją przyjął nanowo, a knowania rewolucyjne Szczęsnego Potockiego i hetmana Rzewuskiego przedstawiano jako „bałamuctwa, które podobno na niczem się skończą“. Skutek tej polityki słabej i nieopatrznej był łatwy do przewidzenia. Ambasador rosyjski uorganizował system szpiegowski na wielką skalę, opłacał grubo dygnitarzy polskich,[4]) przekupił sekretarza Ignacego Potockiego, Francuza Parendiera[5]) i za pośrednictwem tych nikczemników otrzymywał najdokładniejsze informacye o wszystkich zamiarach i postanowieniach rządu polskiego i patryotycznego stronnictwa. Klasycznym dowodem na to jest jego dziennik, zawierający bardzo cenne

[1]) Pawiński: „Rządy sejmikowe etc.“, str. 405.
[2]) Kalinka: „Dokumenta“. List do Bukatego, str. 191.
[3]) Kalinka: „Dokumenta“. List do Bukatego, str. 199.
[4]) Smoleński: „Ostatni rok wielkiego sejmu“, str. 170.
[5]) Kalinka: „Dokumenta“, str. 270.

szczegóły o stosunkach warszawskich. Nadto duchy moskiewskie, głaskane przez króla i protegowane przez krewniaków i przyjaciół swoich w sejmie, zaczęły występować coraz zuchwalej i przeszkadzać pracom sejmowym. Gdy marszałkowie sejmowi w uniwersale dnia 7. maja ogłaszali narodowi, że „oj-

Generał Jan Henryk Dąbrowski.

czyzna jest już ocalona, swobody nasze zabezpieczone, jesteśmy odtąd narodem wolnym i niepodległym, opadły pęta niewoli i nierządu“, chwycili się anarchiści najgwałtowniejszych środków do podkopania i obalenia uchwalonej co tylko konstytucyi. Hulewicz, Orłowski, Złotnicki, Aksak, Świejkowski, Olizar i wielu innych biegali z manifestami przeciw majowej ustawie do Włodzimierza, Łucka, Kamieńca, Lublina i Brześcia litewskiego, w Izbie poselskiej opo-

nował zawzięcie poseł sandomierski Skórkowski, a Suchorzewski ogłaszał swoją „Odezwę do narodu“, gdzie z rzadką w takich razach otwartością odsłaniał nie zamiary wprawdzie, ale usposobienie malkontentów. „Przyznam to — pisał — że, na nieszczęście, nie widzę w sobie tych talentów, któreby dwór jakiś obcy dla osobistości mojej zniewoliły do podania ręki zgubionej ojczyźnie; lecz przyznam się zarazem, że gdyby kto do powrócenia wolności mej ojczyźnie skłonił się, trzymałbym z nim.“

Nie tęgi w piórze i mowie, a do awantur skłonny Branicki, poszedł jeszcze dalej, ułożył bowiem plan porwania króla, rozpędzenia sejmu i obalenia konstytucyi. Szalony zamiar, odkryty wcześnie, nieudał się wprawdzie, ale łagodny Stanisław August zadowolnił się upokorzeniem butnego hetmana, a rząd nieznalazł w sobie dość siły i energii, aby te wybryki swawoli i jawnej zdrady przykładnie ukarać. Przyjaciele Bułhakowa i jurgieltnicy moskiewscy chodzili swobodnie po ulicach Warszawy, poniżali i bezcześcili konstytucyą, a gdy Sołtyk, poseł krakowski, ostrzegał na sesyi dnia 7. czerwca, że w sejmie są „duchy“ przedajne i żądał śledztwa, zapewnił król Izbę, że w istnienie narzędzi, służących obcym, nie wierzy.

Całe jego usiłowanie zresztą było zwrócone ku temu, aby konstytucyi w całym kraju jak najrozleglejsze zapewnić uznanie. Rzecz poszła dość łatwo. Z 70 posłów — tak obliczali malkontenci — przeciwnych ustawie w dniu 3. maja, protestowało nazajutrz w grodzie warszawskim zaledwie 27, a gdy manifestacya się niepowiodła, pięciu z nich oświadczyło natychmiast, że „dogodziwszy instrukcyi adherent woli powszechnej“. Opozycya topniała widocznie; w kraju mnożyły się objawy sympatyi dla dzieła reformy, przyczem prym trzymało mieszczaństwo, pełne zapału i wdzięczności. W Krakowie, Żytomierzu, Międzyrzeczu, Bracławiu, Wilnie i Kownie obchodzono zaprowadzenie konstytucyi wspaniałemi festynami, ulice gorzały od illuminacyi, szlachta wpisywała się gromadnie do ksiąg miejskich. W odległej Skwirze, położonej nad granicą rosyjską, obywatele tamtejsi zaczęli mówić po polsku i uprosili parocha swego, aby polskie miewał w cerkwi kazania.

Z szlachtą było cokolwiek trudniej, bo tu posiadali malkontenci wpływy znaczne i koneksye, któremi zachęcali łatwowiernych ziemian do opozycyi i protestów. I tam jednak odniosły ostatecznie zwycięstwo starania króla i zabiegi patryotów. Ordery, gęsto rozdawane, urzędy ziemskie, perswazye przyjaciół wreszcie miękczyły umysły, więcej zacietrzewione i uparte, niż zasadniczo przeciwne konstytucyi. Burza, grożąca zrazu piorunami, kończyła się nieszkodliwie na grzmotach i kapuśniaczku wymowy sejmikowej.

Sejm tymczasem zajął się pracą ustawodawczą. Trwała ona przez cały maj i czerwiec i wydała dzieło pod każdym względem ułomne. Republikańska gorliwość uszczupliła władzę króla, pozbawiając go prawa mianowania senatorów i ograniczając prawo ułaskawiania skazanych na śmierć przestępców; zagarnęła dla sejmu władzę usuwania ministrów większością $^2/_3$ głosów i po długiej walce dopiero zgodziła się na ustanowienie wspólnych komisyj dla Korony i Litwy. Ostatecznie d. 28. czerwca zalimitowano sejm do 15. września, aby „zmordowanym siłom naszym trzechletnią sejmową pracą dać odpoczynek“.

Czas limity sejmowej przyniósł rządowi nowe zajęcia i nowe kłopoty. Postanowiono wreszcie uregulować stosunki cerkwi dyzunickiej w granicach Rzeczypospolitej. Sejm czteroletni zajął w kwestyi wyznaniowej stanowisko zgodne z tradycyą narodową. Konstytucya 3-go maja uznawała religią katolicką jako panującą, ale zapewniała zarazem wolność i opiekę prawa wszystkim innym wyznaniom. Obok tego uczyniono krok ważny w sprawie równouprawnienia unitów, wyznaczono bowiem biskupom unickim po 50.000 złotych polskich rocznej pensyi i dano miejsce w senacie arcybiskupowi Roztockiemu, który następnie — wskutek protestu, jaki zaniósł przeciw gwałtownemu nawracaniu unitów na schyzmę przez rząd rosyjski — został wywieziony do Petersburga i tam życia dokonał, stwierdzając czynem wierność swoją dla kościoła i Rzeczypospolitej.

Po unitach przyszła kolej na prawosławnych. Oddani wraz z dyssydentami pod opiekę Rosyi, uważali się oni coraz więcej za poddanych carowej, a podburzani przez agitatorów, stawali się przy swojej ciemnocie niebezpiecznem narzędziem w rękach północnego sąsiada. Rzeczpospolita niezdobyła się nigdy na tyle odwagi, aby stosunki cerkwi dyzunickiej u siebie uregulować, aby stworzyć w granicach polskich hierarchią odrębną, od Moskwy niezależną, aby kler schyzmatycki ująć w karby krajowej i państwowej organizacyi. Z dziwną lekkomyślnością i pobłażliwością przypatrywano się moskiewskiej propagandzie na wschodnich kresach tak długo, aż bunt Chmielnickiego straszną zakończył się katastrofą, a nawet wtedy — nienauczeni doświadczeniem — nieumieliśmy ani dyzunitów pozyskać ani też wypełnić warunków ugody hadziackiej, która zawichrzoną Ukrainę stale uspokoić i do Polski przywiązać mogła. Gorżkie owoce tej niebacznej polityki zbierała Rzeczpospolita za czasów saskich i świeżo podczas rządów Stanisława Augusta, gdy Hajdamaczyzna — z Zadnieprza na Ukrainę przerzucona — krwią polską poraz setny obficie bezbrzeżne skropiła stepy. Sprawą tych buntów i rzezi, powtarzających się bezustannie, zajął się sejm czteroletni i komisya indagacyjna, wyznaczona na ten cel, przedstawiła stanom jako jedyny środek zwrócenie nieunitów do pierwszej ich stolicy, do Konstantynopola. Nawiązano też natychmiast za pośrednictwem poselstwa polskiego w Stambule stosunki z patryarchą i uzyskano od niego list z upomnieniem do dyzunitów polskich, aby byli posłuszni władzy prawnie panującej i nie wzniecali zamieszek w własnej ojczyźnie. Otrzymawszy takie pismo i dowiedziawszy się nadto, że w Petersburgu rzeczywiście istnieje zamiar podburzenia dyzunitów przeciw Polsce, postanowił sejm zwołać na dzień 15. maja 1791. roku, do Pińska kongregacyą generalną grecko-oryentalną dla zorganizowania konsystorza, podlegającego władzy krajowej i zarządzającego sprawami duchownemi dyzunitów. Wezwany do udziału w kongregacyi poseł trocki Zaleski, niechętny konstytucyi 3-go maja, wymówił się wprawdzie chorobą, ale, trafnie oceniając stosunki, zbawienne podawał królowi rady. „Wszystko przyszłe — pisał — względem nieunitów zależy od tego, ażeby im dać obietnicę w miarę dotrzymania i dotrzymać, co przyrzeczone mieć będą. Wyjęci z potrzeby udawania się zagranicę, staną się istotnie krajowymi i przestaną być podejrzanymi krajowi.“

Kongregacya, otwarta przez wysłanego do Pińska posła sandomierskiego Kochanowskiego, w obecności generała-inspektora wojsk litewskich Grabowskiego i komisarzy cywilno-wojskowych powiatu pińskiego, spełniła zadanie swoje zarówno ku zadowoleniu sejmu i rządu, jak i na pożytek dyzunickiej cerkwi. Urządzono konsystorz generalny, jako zwierzchnią władzę dla schyzmatyków polskich, utworzono trzy konsystorze dyecezyalne i postanowiono przy każdej cerkwi parochialnej założyć szkołę dla dzieci szlacheckich, miejskich i włościańskich. „Wszystko na tym kongresie — pisał Butrymowicz do króla — odbyło się spokojnie, pięknie, przykładnie, z największą całej publiczności aprobatą i z ukontentowaniem zupełnem obrządku dyzunickiego“.

Równocześnie jednak powstały niepokoje pomiędzy ludnością miejską i włościańską. Prawo miejskie, uchwalone dnia 18. kwietnia 1791. roku, odnosiło się do miast królewskich, odtąd miastami wolnemi zwanych, a nie do tych, które były własnością prywatną osób świeckich lub duchownych, albo też nie posiadały przywilejów lokacyjnych. Znaczne swobody, przyznane z mocy ustawy miastom wolnym, obudziły oczywiście podobne pragnienia w całym stanie mieszczańskim. Posypały się więc zewsząd — najpierw od miast duchownych, jak Łowicz, Skierniewice, Włocławek i t. d. — podania do sejmu z prośbą o przyznanie im przywilejów, uzyskanych przez miasta wolne. Za przykładem duchownych poszły prywatne, które zaczęły już wprost odmawiać zwykłych powinności starostom i dziedzicom, a starać się o przywileje lokacyjne. Pragnienie uzyskania wolności było tak powszechne i gorące, że miasto Rawicz ofiarowało dziedzicowi swemu 3,000.000 złotych polskich za wystawienie lokacyjnego instrumentu i nadanie na własność gruntów miejskich, okoliczność, świadcząca zarazem wymownie o zamożności tamtejszego mieszczaństwa. Właściciele postępowali sobie rozmaicie. Jedni, jak wojewoda kijowski Prot Potocki i marszałek Małachowski, gotowi byli miasteczka swoje zrównać z miastami wolnemi, większość jednak — a szczególniej starostowie — z obawy utracenia dochodów opierali się jak najenergiczniej nowym przywilejom miejskim. Powstawały z tego powodu nieuniknione zatargi, miejscami nawet bijatyki, aż wreszcie król wydał uniwersał, w którym zobowiązywał miasta, nieposiadające przywilejów, do uiszczania opłat i danin zwyczajnych tak długo, dokąd nie będą uchylone wyrokiem sądowym lub dobrowolną umową stron obu.

Sroższą o wiele burzę wywołała sprawa włościańska, uregulowana doryweczo i niedostatecznie przez sejm czteroletni. Prawo o włościanach nie zadowolniło zwolenników reformy, nie mogło też zadowolnić i ludu wiejskiego. Głuche wieści o rewolucyi francuskiej, przykład mieszczaństwa, wyposażonego świeżo przywilejami, liczne zresztą przykłady usamowolnienia i oczynszowania chłopów, dokonane przez zacnych i światłych obywateli w ostatnich czasach, musiały podziałać na wyobraźnią i usposobienie ludu, gnębionego pańszczyzną i pogrążonego w ciemnocie i niedoli. Toż nic dziwnego, że na wiadomość o wypadkach warszawskich, o królu i sejmie, ograniczającym samowolę i butę możnowładztwa, poruszyły się masy chłopskie i zapragnęły podobnej swobody, jaką o miedzę od nich posiadali wieśniacy z łaski ludzkich dziedziców, którą

się cieszyli mieszczanie z mocy konstytucyjnych ustaw. Na pochwałę społeczeństwa polskiego w owych czasach powiedzieć trzeba, że słuszne żądania ludu wiejskiego znalazły licznych i wymownych rzeczników tak pomiędzy szlachtą jak i duchowieństwem. Ks. Witoszyński, kaznodzieja królewski, w mowie, wypowiedzianej dnia 8. maja 1791. roku w kościele św. Krzyża w Warszawie, upomniał się gorąco o prawa ludu wiejskiego. „Obróć jeszcze oczy Twoje — mówił on do króla — na jedną, ukrytą wprawdzie w lichych i ubogich lepiankach, ale najpotrzebniejszą, najpracowitszą i zapewne najliczniejszą część ludu, żyjącego pod panowaniem Twojem, równie Twoich poddanych i dzieci. Użyj ku temu ważnemu celowi wrodzonego Ci daru i przenikającej wymowy i zachęcając panów ich do niezwłocznego użycia tej wolności, zmierzającej do szczęścia ich poddanych, której im konstytucya dozwala tylko ale nie nakazuje, przemów z tronu: Narodzie! dopełniaj jak najrychlej sławy twojej i temu biednemu ludowi, z którego potu i krwawej rąk pracy jedynie żyjesz i utrzymujesz się, ścisłą wymierzaj sprawiedliwość“.

W podobny sposób wyrażał się kasztelan witebski Adam Rzewuski, który uważał „prawo za chłopami, w nowej konstytucyi umieszczone, za niedość jasne i zabezpieczające wolność i własność nędznego kmiotka od wysilonej na zgubę jego dumnej chciwości“, Kublicki, poseł inflancki, a wreszcie znany referendarz litewski ks. Paweł Brzostowski. „Imieniem wszystkich chłopów — tak pisał do króla — zanaszam pokorną prośbę: Nie przyćmisz, Najjaśniejszy Panie, chwały sobie i narodowi, gdy ulżysz jarzmo tym, którym słusznie (ulżyć) przynależy.

Niemniej gorliwie i życzliwie zajmowała się sprawą chłopską publicystyka. Jakiś szlachcic ziemi łukowskiej w pisemku „List odpowiedni“ mniemał, że artykuł IV. o chłopach-włościanach jest prawdziwą plamą w ustawie 3-go maja: inny autor, ks. Trzciński, żądał dla chłopów wolności osobistej i zamiany robocizny na czynsz, a pułkownik Józef Ciołek Komorowski przedstawił królowi obszerny projekt swój względem umów dziedziców z chłopami.[1]) Jakoż nawoływania tego rodzaju nie pozostały bez skutku. Znaleźli się wnet obywatele, którzy naśladując znane nam już przykłady, przystąpili bezzwłocznie do układów z włościanami. Tak uczynił Stanisław Worcell, podstoli litewski i maszałek sejmowy Małachowski; Garliński na Wołyniu uwolnił chłopów swoich od pańszczyzny na dwa lata, a książe Sanguszko zmniejszył ciężary poddanym starostwa czerkaskiego. Były to przykłady nieliczne wprawdzie, ale świadczące zawsze o postępie i o wielkiej zmianie wyobrażeń, która w krótkim czasie byłaby niewątpliwie stanowcze zwycięstwo zgotowała reformie, podobnie jak i w kwestyi mieszczańskiej. Jak zbawienne owoce wydawało łagodne i ludzkie obchodzenie się z chłopami, dowodzi fakt, niestety odosobniony, w Pawłowie, gdzie wieśniacy — na ręce dziedzica swego ks. Brzostowskiego — złożyli 4000 złotych polskich na kupno dwóch armat dla Rzeczypospolitej.

Narazie jednak i w tych stosunkach naprężonych, w jakich natenczas Polska się znajdowała, niepodobna było myśleć o przeprowadzeniu reformy, wymagającej i należytego przygotowania i długiego do dyskusyi czasu. Toż

[1]) Porówn. ciekawy rozdział IV. u Smoleńskiego: „Ostatni rok wielkiego sejmu“.

nic dziwnego, że zaczęło się najpierw zbiegostwo włościan zagranicę, a następnie sporadyczne bunty, które dopiero siłą zbrojną uśmierzać było trzeba. Za to wybory miejskie odbyły się w wzorowym porządku i niezwykłej harmonii pomiędzy mieszczaństwem a szlachtą.

Na tem upłynął czas limity sejmowej. Izba zebrała się ponownie dnia 15. września i obradowała przez 4½ miesięcy, bez wielkiego jednak dla kraju pożytku. Malkontenci mianowicie starali się ubocznemi kwestyami zatrudniać uwagę sejmu i przeszkodzić w ten sposób energicznemu działaniu nad uzbrojeniem wojska i zaopatrzeniem skarbu. Po długich sporach uchwalono opis komisyi skarbowej dopiero dnia 27. października; listopad i grudzień zeszły głównie na dyskusyi nad „sprzedażą wieczystą królewszczyzn“. Znaczny niedobór w skarbie, spowodowany nadzwyczajnemi wydatkami na wojsko, skłonił sejm do szukania nowych źródeł dochodu. Same przez się nastręczały się starostwa, reprezentujące jeszcze zawsze wartość 300,000.000 złotych polskich. Służyły one na wynagrodzenie ludzi zasłużonych w Rzeczypospolitej, ale z biegiem czasu stały się głównem źródłem demoralizacyi i jednym z środków bogacenia rodzin możnowładnych. Rozdawnictwo królewszczyzn przysparzało królom polskim niezliczone przykrości i utrapienia, było powodem nieustannych zatargów pomiędzy rodzinami możnemi, narażało Rzeczpospolitą na zrywanie sejmów i wojny domowe, paraliżowało najlepsze nieraz zamiary rządu, ubezwładniało państwo w czasach największych niebezpieczeństw i wychodziło ostatecznie tylko na korzyść kliki oligarchicznej, która dzierżyła monopol tego „chleba“, przeznaczonego dla „dobrze zasłużonych“, a zjadanego niestety przez tych, co po większej części w pogoni za groszem zatracili poczucie obywatelskich względem ojczyzny obowiązków. Nie było zatem nic słuszniejszego, jak w chwili gwałtownej potrzeby ogromne te dobra obrócić na zaopatrzenie skarbu publicznego. Jakoż poseł Wojczyński, a za nim Byszewski uczynili w tej mierze wniosek, ks. Michał Ossowski zaś opracował projekt finansowy, wykazujący — po odtrąceniu stu milionów na spłacenie dożywotnich posiadaczy starostw — jeszcze 7,000.000 rocznego dochodu, t. j. mniej więcej tyle, ile wynosił obecny niedobór. Ale zagrożona w swoich przywilejach oligarchia znalazła w Izbie wymownych rzeczników. Sprzeciwił się sprzedaży starostw prymas Poniatowski i biskup Skarszewski, sam król obawiał się, „aby kilka tysięcy osób nie uczynić nieszczęśliwymi“. Z drugiej strony dowodzono słusznie, że „starostwa były często nagrodą za zdradę ojczyzny“, że „prowadziły do upodlenia“, że „sąsiedzi nasi za tę ziemię u nas samych, jej właścicielów, zakupowali naszą zgubę i hańbę.“ Ostatecznie dnia 19. grudnia 1791. roku uchwalono „zasady do urządzenia na przedaż wieczystą królewczyzn“ w drodze licytacyi, przeznaczając zarazem pewne wynagrodzenie dla dotychczasowych dożywotników i dzierżawców. Śmiałe to postanowienie sejmu — szkoda, że cokolwiek spóźnione — wywołało wprawdzie niezadowolenie w kołach interesowanych, ale podnosiło dochody skarbowe i dawało możność zagwarantowania pożyczki zagranicznej w wysokości 30,000.000 złotych polskich.

Dalszą pracę sejmową przerwały sejmiki deputackie i gospodarskie, zwołane na dzień 14. lutego 1792. roku. Wybory, jakie tam przedsięwziąć miano,

nie były wprawdzie zbyt wielkiego znaczenia, ale dawały sposobność szlachcie poraz pierwszy do wyrażenia opinii swojej o działaniu sejmu i o uchwalonej niedawno konstytucyi. Oba stronnictwa zatem przykładały niepospolitą wagę do tych zgromadzeń i oba rozwinęły gorączkową agitacyę, aby sejmikami lutowemi po swojej myśli pokierować. W kołach rządowych mniemano, że pomyślny rezultat sejmików zniweczy knowania Rzewuskiego i Szczęsnego Potockiego, ochłodzi wojenne zapały imperatorowej i skłoni wreszcie wahającego się elektora saskiego do przyjęcia ofiarowanej mu korony.

Toż nic dziwnego, że z jednej i z drugiej strony użyto wszelkich środków, poruszono wszystkie sprężyny i wpływy do dopięcia zamierzonego celu. Wynik był nadspodziewanie pomyślny; 35 sejmików zaprzysięgło konstytucyą, 30 wyraziło królowi i sejmowi podziękowanie, trzy tylko zachowały się milcząco, nieobjawiając jednak ani nagany ani zapału. Obrady ogólnie przedstawiały niezwykły w Polsce obraz ładu i porządku, odbywały się poważnie i spokojnie, bez krzyków, hałasów, burd i pijatyki, przypominających dawne, anarchiczne czasy.

Pod wrażeniem radośnem tych wypadków rozpoczął sejm ostatnią sesyą swoją dnia 15. czerwca od pracy nad ułożeniem nowych kodeksów kryminalnych i wojskowych, ale niebawem już nadeszły z Petersburga i z Drezna wiadomości tak niepokojące, że trzeba było całą uwagę zwrócić na sprawy polityczne i na obronę zagrożonej w istnieniu swojem Rzeczypospolitej.

Polityka rosyjska względem Polski była od początku wielkiego sejmu wyczekująca. Imperatorowa, zajęta wojną szwedzką i turecką, nie mogła myśleć w tej chwili o mięszaniu się w sprawy polskie. Przyjmowała więc z pozorną obojętnością wyłamywanie się Rzeczypospolitej z pod wpływów rosyjskich, Bułhakowowi kazała postępować ostrożnie i łudzić Polaków nieokreślonemi ściśle obietnicami, a w głębi duszy układała plany o oderwaniu reszty Białej Rusi i o nowych w Polsce zaborach. Niecierpliwszy od niej Potemkin innego był zdania, a — wciągnąwszy w tajemnicze knowania swoje Bezborodkę — zamierzał zrobić na Ukrainie konfederacyą dyzunicką, „na wzór tej, którą uorganizował hetman Chmielnicki“ i zagarnąć w ten sposób południowe województwa z twierdzami Berdyczowem i Kamieńcem. Utraciwszy te najżyźniejsze prowincye — tak argumentował dalej — nie będzie Rzeczpospolita wstanie utrzymać nawet 30.000 wojska. Ażeby zaś tymczasem uspić czujność Polaków, radził i on także łudzić ich nadziejami i obiecywać Mołdawią, wrazie gdyby się z Rosyą połączyli.

Wśród tego nadeszła do Petersburga wiadomość o ustanowieniu konstytucyi 3-go maja i wywołała w kołach rządowych wielkie zaniepokojenie. Imperatorowa, umiejąca zwyczajnie panować nad sobą, nie mogła tym razem ukryć swego wzruszenia i zapytała obcesowo posła austryackiego de Caché, czy może liczyć na poparcie wiedeńskiego dworu? Obawy i konsternacyą Katarzyny podzielał Osterman, upatrujący w rewolucyi polskiej działanie berlińskiego gabinetu, podzielała je także i Rada państwa, która — zapytana o opinią swoją w sprawie polskiej — uważała przeistoczenie Rzeczypospolitej w państwo rządne za rzecz wielce szkodliwą dla sąsiadów, szczególniej zaś

groźną dla Rosyi, mniemała jednak, że ze względu na wojnę turecką wypada się wstrzymać z ostateczną decyzyą i wybadać naprzód zapatrywania i usposobienie wiedeńskiego dworu.

Imperatorowa nie powzięła narazie żadnego postanowienia. Plan Potemkina podobał się jej, mianowała go więc „wielkim hetmanem wojsk kozackich ekaterynosławskich i czarnomorskich“, aby pociągnąć ludność ukraińską tradycyami Chmielnicczyzny, obok tego jednak gotowa była — dla uniknięcia wojny — zgodzić się nawet na sukcesyą saską w Polsce, jeżeli elektor z Prusami wiązać się nie będzie i pokój z sąsiadami zachowa, a w ostatecznym razie przystąpić do nowego podziału Polski, w porozumieniu z gabinetem berlińskim. Tymczasem należało Polaków głaskać, uspokajać i od Prus odciągać obietnicą przyłączenia Mołdawii, gdyby zaś te środki chybiły, uciec się do zawiązania konfederacyi i robotę tę powierzyć Branickiemu, Szczęsnemu Potockiemu, Kossakowskiemu i Antoniemu Pułaskiemu, przyrzekając im jak najsilniejsze z Petersburga poparcie.

Plan Katarzyny był — jak widzimy — bardzo prosty i polegał na dokładnej znajomości stosunków polskich. Od czasu swojej podróży krymskiej wiedziała ona, że może liczyć każdej chwili na pomoc malkontentów, oddanych bezwzględnie Rosyi. Ograniczony i wyniosły umysł Szczęsnego Potockiego dawał jej w tej mierze zupełną rękojmię. „Cnotliwy obywatel“ — jak go nazywała — gotów był każdej chwili poświęcić mienie swoje i wpływ potężny na usługi wspaniałomyślnej imperatorowej. Skompromitowany w Warszawie, złożył on niebawnie dowództwo dywizyi ukraińskiej i wyjechał do Włoch. W jesieni roku 1790 był w Wiedniu i stąd na współkę z hetmanem Rzewuskim zaprotestował przeciw sukcesyi tronu. Następnie po uchwaleniu konstytucyi 3-go maja szukał pomocy u austryackich mężów stanu, a gdy to się niepowiodło, uderzył wprost do Potemkina, a przez niego do imperatorowej. Katarzyna, w reskrypcie tajnym, wystosowanym dnia 29. lipca 1791. roku do Potemkina, zgadzała się na poparcie zamiarów Szczęsnego i Rzewuskiego, żądała jednak, żeby „sami rozpoczęli akcyą od uorganizowania stronnictwa pewnego a licznego, i od zwrócenia się do niej, jako gwarantki dawnej konstytucyi, z prośbą o formalną protekcyą i pomoc“. Koniecznem jest — pisała dalej — uformowanie z niezadowolonych konfederacyi, najlepiej przed wkroczeniem wojsk rosyjskich do Polski, iżby wejście ich upozorować się dało wezwaniem pomocy przez naród. Ponieważ jednak wykonanie planu takiego było zawisłem od zachowania się Prus, przewidywała imperatorowa już teraz nowy rozbiór krajów Rzeczypospolitej dla nasycenia niepohamowanej chciwości Fryderyka Wilhelma II.

Taką była geneza Targowicy. Los Polski, rozstrzygnięty w Petersburgu na dziesięć miesięcy przed wypowiedzeniem wojny, zależał teraz od gotowości obronnej Polaków, od stałości Stanisława Augusta, od energii sejmu i zdolności polskich generałów. Wszystkie te czynniki jednak były albo niedostateczne, albo w działaniu swojem nieobliczalne. Sejm, od którego wiele — wszystko prawie — zawisło, tracił czas na pożytecznej wprawdzie, ale nie zbyt pilnej w tej chwili pracy ustawodawczej i dawał się nadto bałamucić

malkontentom, usiłującym umyślnie przewlekać obrady. Zrozumieli podstęp przeciwników bystrzejsi posłowie. Niemcewicz, na sesyi dnia 20. września 1791. roku, upominał stany do pospiechu. „Nie trafim nigdy do celu — mówił — kiedy uboczne materye mięszać będziemy. Myśleć nam należy o potrzebach Rzeczypospolitej, o skarbie i wojsku, nie zaś czas tracić na sporach“. Upomnienie to sprawiło skutek chwilowy tylko i Izba wróciła znowu do dawniejszego toku dyskusyi, ubezwładniającej wszelkie energiczniejsze działanie.

Tymczasem opozycya pracowała usilnie nad zgubą ojczyzny. Nawiązawszy stosunki z Petersburgiem, czekał Szczęsny Potocki na dalsze stamtąd wskazówki. Imperatorowa zwlekała ze stanowczą odpowiedzią tak długo, dokąd miała związane ręce wojną turecką. Podpisanie preliminaryów pokojowych z Portą w Maczynie dało jej wreszcie upragnioną tyle sposobność do wywarcia zemsty na znienawidzonej Polsce. Natychmiast też wezwał Potemkin Szczęsnego do Jass, gdzie przebywał, wracając z wojny tureckiej. „Chyłkiem“, w towarzystwie jednego sługi, przebierał się generał artyleryi koronnej na Jarosław i Sambor ku mołdawskiej granicy, za nim podążał hetman polny Rzewuski i generał-lejtnant w służbie rosyjskiej Szymon Kossakowski. Nie zastali oni już Potemkina w Jassach. Chory, kazał on się powieść do Mikołajewa, w drodze jednak zakończył życie (dnia 5. października 1791. r.) na rękach siostrzenicy swojej, hetmanowej Branickiej. Śmierć wszechwładnego faworyta, która — podług mniemania króla Stanisława Augusta — miała pozbawić malkontentów polskich najsilniejszego w Petersburgu poparcia, niezmieniła w istocie wcale położenia. Pośrednictwa u carowej podjął się natychmiast generał Popow, zaufany Potemkina, a niebawnie nadjechał do Jass Bezborodko, któremu Katarzyna poleciła ukończyć traktaty z Turcyą i rokowania z malkontentami polskimi. Oni tymczasem, spłoszeni śmiercią Potemkina, opuścili Jassy i schronili się na terytoryum austryackie do Jazłowca, gdzie zamknęli się „jak ślimaki, aby na wiosnę myśl swoją otworzyć“. Do pomocy przybył im także hetman Branicki, który — pod pozorem windykowania spadku po Potemkinie — wyjechał z Warszawy.

Wobec tych zdradzieckich knowań zuchwałych magnatów zachowywał się rząd polski miękko i pobłażliwie. Stanisław August w przekonaniu, że Szczęsnego Rzewuski podburza i „nalewa mu głowę antirewolucyjnemi myślami“, próbował czułemi listami zmiękczyć serce generała artyleryi, zapewniając równocześnie o niezmiennych swoich sentymentach. „Co do mnie — pisał on — zasmucić mnie JWPan niejednomyślnością swoją możesz, odwrócić serca od siebie nigdy nie zdołasz“.

W podobnym duchu, z natchnienia króla, odzywali się do Szczęsnego marszałek Małachowski, Ignacy i Seweryn Potoccy. Ale im większa czułość wiała z tych korespondencyj, tem twardszym stawał się umysł obrażonego magnata. Na listy odpowiadał chłodno, zgryźliwie, z pewnem rodzajem lekceważenia, a kończył patetycznie, że „dzieciom swoim szczęśliwszej szukać będzie ojczyzny, bo nowa monarchia jest to stan najnieznośniejszy“. W ten sposób wyrastał Szczęsny w własnej swojej opinii na potęgę i stawał się widomą

głową opozycyi, która coraz tłumniej garnęła się pod jego skrzydła, ośmielona pobłażliwością sejmu i króla. To też jeden po drugim wymykali się z kraju malkontenci, zazwyczaj pod pozorem kuracyi w Karlsbadzie i spieszyli do Wiednia, do stóp butnego magnata, z zapewnieniami uległości i ze zbrodniczemi przeciw własnej ojczyźnie radami.

Pojechał tak Hulewicz, Czacki, Borzęcki, Dębiński, Komorowski, Świejkowski i inni; na współkę układano odezwy, redagowano pisma ulotne i — zasypując niemi województwa ruskie — przygotowywano umysły do rewolucyi. „Rewolucya, choćby najkrwawsza — pisał Borzęcki — wzdrygać nas nie powinna. Wojna domowa nie nieszczęściem, ale dobrem jest dla ojczyzny. U Moskwy szukać wsparcia i z nią się łączyć powinniśmy.“ Niepojęte, lękliwe zachowanie się sejmu i rządu rozzuchwalało coraz bardziej zdrajców i utwierdzało Szczęsnego w przekonaniu, że na wszystko odważyć się może. Z tem usposobieniem pojechał on do Jass na traktaty z Potemkinem. Wiadomość o tej podróży skłoniła wreszcie sejm do stanowczego kroku. Dnia 24. października zażądał poseł inflancki Zabiełło, aby wezwano Szczęsnego Potockiego i Rzewuskiego do złożenia przysięgi na konstytucyą i do usprawiedliwienia się w opinii całego narodu. Król — jak zwykle — zalecał umiarkowanie, Czartoryski zwłokę, wreszcie po mowach Weyssenhofa i Linowskiego postanowiono, aby komisya wojskowa — osobom, w służbie wojskowej zostającym — wydała rozkaz najrychlejszego złożenia przysięgi na konstytucyą i wrócenia z zagranicy do obowiązków swoich w przeciągu trzech miesięcy.

Wezwanie, wyprawione przez osobnego kuryera, nie odniosło żadnego skutku. Szczęsny i Rzewuski układali się wtedy właśnie z Bezborodką, który jako następca Potemkina miał ukończyć traktaty pokojowe z Turkami i dobić targu z opozycyą polską. Szczwany dyplomata omotał też bardzo łatwo naiwne umysły generała artyleryi i polnego hetmana. Zapewniając ich o życzliwości imperatorowej dla narodu polskiego, wyprawiając dla nich wspaniałe uczty i bale, pozyskał on do tego stopnia względy butnych magnatów, że gotowi oni byli na oślep rzucić się w otchłań zdrady i odstępstwa. Zabiegi Bezborodki popierał gorliwie Branicki, który — jakkolwiek zaprzysiągł konstytucyą — nie przestał być wiernym sługą Katarzyny. Podły umysł hetmana, teraz właśnie, gdy mu zależało na objęciu spadku po Potemkinie, gotów był poświęcić wiarę i cnotę dla „wspaniałomyślnej monarchini“. Gwałtowny z usposobienia, pijak i zawadyaka, tam, gdzie mu żadne nie groziło niebezpieczeństwo, okazał się on w tej chwili równie przewrotnym, jak i nikczemnym. Siostrę uspokajał, pisząc: „Są-ć tam w Jassach hetman Rzewuski i generał artyleryi Potocki, ale te bałamuctwa na niczem prawie się skończą“. Królowi donosił z Tulczyna, że do obowiązków urzędu swego powróci, żonę wysłał do Warszawy, a wśród tego ułożył się z Bezborodką, że na współkę z Szymonem Kossakowskim obejmie kierownictwo powstania na Litwie, podczas gdy Potocki i Rzewuski poruszą Ukrainę.

Nic dziwnego zatem, że żaden ze spiskowców nie myślał powracać do kraju lub odpowiadać na wezwanie komisyi wojskowej; pewni poparcia Ro-

syi, czekali oni tylko na chwilę sposobną do wykonania zdradzieckich swoich zamiarów. Nie pomogła nowa uchwała sejmowa i wysłanie majora Krasickiego do Jass. Potocki w odpowiedzi swojej żądał, aby go „poczytano za posła protestującego i uwolniono od obowiązków służbowych do czasu“, Rzewuski w obszernem pismie oświadczał, że na konstytucyą przysięgi nie złoży, a sukcesya tronu jest grobem wolności polskiej i że nikt niema prawa wkładać kajdan na niego. „A jeśliby — kończył — komu włożyć je na mnie udało się, zostaje mi zawsze prawo zrzucenia ich, ilekroć sposobność zrzucenia ich otworzy się“.

Zanim jeszcze nadeszła ta odpowiedź wyniosła i pełna lekceważenia, przyjechał do Warszawy Branicki, aby uspokoić wzburzone umysły. Zapytany o zamiary Potockiego i Rzewuskiego odpowiedział, że „nie zrobią nic, byle na nich nie następowano“, zresztą tłómaczył się niewiadomością ich projektów, co mu nie przeszkadzało wcale z drogi, z Zasławia pisać Szczęsnemu: „Jadę, Mości Dobrodzieju, do miejsca zdzierstwa i prześladowania; wszędzie dobrego i przywiązanego znajdziesz we mnie przyjaciela i ten sentyment, któren mu raz poświęciłem, aż do śmierci niezmazanym będzie“.[1])

W takim składzie rzeczy nie pomógł nic nowy ordynans komisyi wojskowej, przesłany Potockiemu przez majora Krasickiego, nie miała skutku podróż Stanisława Potockiego do Jass. Przyjechał on tam w trzy dni po podpisaniu pokoju z Turkami i zastał — podobnie jak i Kniaziewicz — Szczęsnego „w humorze wesołym dosyć“, przyjmującego powinszowania noworoczne generałów rosyjskich i biesiadującego z Wołkońskim i Bezborodką. Ten ostatni wzbił się do tego stopnia w pychę, że Stanisławowi Potockiemu i Kniaziewiczowi kazał natychmiast z Jass wyjechać. Widocznie Rosya, mając ręce wolne, gotowała się do stanowczego działania.

List Rewuskiego i wiadomości z Jass, przesyłane przez kasztelanową Kossakowską, poruszyły umysły w Warszawie. Na sesyi dnia 26. stycznia 1792. roku przypomniał Zabiełło, że termin trzymiesięczny, udzielony Potockiemu i Rzewuskiemu, upływa; po nim powstał Niemcewicz i w mowie ostrej uderzył na Szczęsnego i hetmana polnego. „Wołał Kato na Rzymian — były jego słowa — delenda est Carthago, ale sam w obozach kartagińskich nie siedział i nie pobudzał ich przeciw własnej ojczyźnie. Postępek pana Rzewuskiego i pana generała artyleryi ośmieli drugich; ujdzie wodzom niesłuchać ordynansów, ujdzie i subalternom; poszle komisya ordynans pułkownikowi lub majorowi, żeby się stawił na jej rozkazy, on odpisze: nie chcę się stawić i przyszle dwuarkuszowy list czyli deklaracyą o elekcyi i sukcesyi i skończy oświadczeniem, iż woli podział, jak konstytucyą i że rząd nasz niedogodny jest sąsiadom. Powróci najokropniejsza anarchia, a za anarchią zguba imienia polskiego. I pókiż będą w Polsce te uprzywilejowane rody, którym wszystko bezkarnie czynić wolno? Czas obalić te bałwany zabobonności waszej, a wznieść na ich miejsce święte wolności i równości bóstwo“. Zakończył wnioskiem, aby

[1]) Smoleński: „Ostatni rok wielkiego sejmu“, podług rękopisu Muzeum Czartoryskich; strona 212.

obie buławy polne znieść i Rzewuskiemu i Potockiemu stopnie wojskowe odebrać. Pomimo opozycyi Sapiehy, marszałka litewskiego, który w nieposłuszeństwie Szczęsnego i hetmana polnego zbrodni nie upatrywał, pomimo łagodzących głosów prymasa i króla i obrony Zagórskiego, Kossakowskiego i Czetwertyńskiego, przyjęła Izba wniosek Niemcewicza w tajnem głosowaniu, 51 przeciw 43 głosom. Potoccy usunęli się od głosowania.

Spóźnioną uchwałę sejmową przyjęli obaj zdrajcy obojętnie, niemal z lekceważeniem i niebawem potem wyjechali do Petersburga, aby wspólnie z „wspaniałomyślną monarchinią“ ułożyć plan pognębienia ostatecznego własnej ojczyzny.

Podburzanie malkontentów polskich i spisek z nimi na zgubę Rzeczypospolitej miał ukoronować działanie dyplomacyi rosyjskiej, prowadzone od dłuższego czasu już z rzadką przebiegłością i wytrwałością.

Los Polski i utrzymanie konstytucyi 3-go maja zależało w wielkiej części od zachowania się i polityki mocarstw rozbiorowych, które w chwili, gdy nad Sekwaną szalała burza rewolucyjna, trzęsły właściwie całą Europą. Narazie zdawało się, że stosunki pod tym względem układają się dla Rzeczypospolitej pomyślnie. Najbliższy i najserdeczniejszy z pozoru sprzymierzeniec nasz — król pruski — okazywał wbrew opinii swoich ministrów wielką dla zmiany rządu w Polsce przychylność. „Z ukontentowaniem — tak mówił do posła polskiego w Berlinie, księcia Jabłonowskiego — patrzę na pomyślność Polski; powodzeniem jej cieszyć się będę; znajdzie ona zawsze we mnie sprzymierzeńca szczerego“. Wkońcu dodawał: „Wybór elektora saskiego jest mi niezmiernie przyjemny“.

W Wiedniu tak cesarz Leopold II. jak i Kaunitz ucieszyli się szczerze zmianą rządu w Polsce. Rzeczpospolita bowiem rządna a niedość silna, aby się pokusić o odzyskanie Galicyi, była dla Austryi o wiele dogodniejszą sąsiadką niż carat północny, sięgający po Konstantynopol i rozpierający się coraz groźniej w kierunku zachodnim. W tym duchu też wystosował kanclerz austryacki natychmiast notę do Petersburga, w której pochwalał zmiany, w Polsce zaprowadzone i wyrażał nadzieję, że Rzeczpospolita — ze względu na zaborcze zamiary Prus — stanie się wierną sojuszniczką obu dworów cesarskich.

Stanowisko Austryi i Prus ucieszyło wielce Stanisława Augusta i uspokoiło w znacznej części jego obawy. Pozostawała jeszcze Rosya milcząca i tem milczeniem swojem groźna. I tam jednak, tak mniemał przynajmniej król, układały się rzeczy pomyślnie. „Po minie i zachowywaniu się Bułhakowa supponował“ Stanisław August, że Moskwa nam wojny nie wypowie za rewolucyę, jak niewypowiedziała przez 19 lat królowi szwedzkiemu. W tej nadziei więc starał się imperatorowej nie drażnić, powołał do Straży znanych stronników rosyjskich, jak Jacka Małachowskiego, Branickiego i Chreptowicza, nawet dla podejrzanych oficerów moskiewskich, przejeżdżających się po Polsce, był niezmiernie grzecznym i wyrozumiałym.

Wśród tego nadchodziły pomyślniejsze wiadomości z Wiednia. W sierpniu roku 1791. stanął traktat w Pillnitz pomiędzy cesarzem a królem pruskim,

warujący całość Rzeczypospolitej i utrzymanie konstytucyi, pozostawała jedna tylko troska: przyjęcie korony polskiej przez elektora saskiego.

Fryderyk August przyjął wiadomość o uchwale czteroletniego sejmu z zadowoleniem i wdzięcznością, nie spieszył się jednak wcale z stanowczą odpowiedzią. Znając dobrze stosunki polityczne, troskliwy o los dziedzicznej Saksonii, skołatanej tylu wojnami, czekał on decyzyi mocarstw rozbiorowych i pomimo przychylnej odpowiedzi z Wiednia i Berlina, pomimo nacisku posłów polskich i cesarza Leopolda II., niedał się nakłonić do przyjęcia korony, wreszcie — odkrywając właściwą myśl swoją — oświadczył dnia 14. lutego 1792. roku, że musi czekać na przyzwolenie Rosyi.

Nie mamy wprawdzie pod tym względem wyraźnych wskazówek, ale sam zbieg okoliczności każe się domyślać, że dyplomacya rosyjska i na postanowienia elektora wpływ pewien wywierać umiała. Celem jej było Polskę odosobnić zupełnie, odebrać jej nadzieję wszelkiej z zewnątrz pomocy i osamotnioną pod swoje zagarnąć panowanie. Obrażona duma imperatorowej, chęć zemsty na Stanisławie Auguście, którego nazywała najniewdzięczniejszym człowiekiem w Polsce, wreszcie pragnienie rozszerzenia granic państwa i łatwość zdobyczy, wszystko to — razem wzięte — parło Katarzynę do stanowczej decyzyi, do wojny, rozstrzygającej losy carstwa i Rzeczypospolitej. Zaufana w przewagę sił swoich i zasobów, spoglądała ona mimoto z pewną obawą na Austryą i Prusy. Leopold II., szczerze przychylny Polsce, nie szczędził i w Petersburgu i w Berlinie zabiegów, aby Rzeczpospolitą ubezpieczyć. Zamiary jego nie odniosły żadnego skutku. Gabinet rosyjski zbywał noty wiedeńskiego dworu milczeniem, Fryderyk Wilhelm II., niedawno jeszcze wielbiący dzieło 3-go maja, zmienił nagle swoje zapatrywania. „Nie mogę — tak pisał do posła swego w Warszawie dnia 9. stycznia 1792. roku — mięszać się ani do konstytucyi, ani do utrzymania jej, są to bowiem sprawy Rzeczypospolitej wewnętrze, do których układu nie należałem i należeć nie będę“. Równocześnie prawie zaczął Lucchesini przebąkiwać znowu o odstąpieniu Gdańska. „Jeżeli Polacy — mówił — nie oddadzą nam dobrowolnie tego miasta, weźmiemy je siłą i porozumiemy się z Rosyą, dając jej możność przywrócenia dawniejszych wpływów w Polsce i pomszczenia doznanej zniewagi“.[1]) Wiadomość o tych nowych konszachtach pruskich doszła oczywiście natychmiast do Petersburga i oto dnia 3. lutego 1792. roku udało się hr. Goltzowi przejąć bilecik Katarzyny do Zubowa tej treści: „Skoro skończymy z Turkami, Repnin uda się do armii i 130.000 wojska wkroczy do Polski. Gdyby Austrya i Prusy chciały się temu sprzeciwić, zaproponujemy im podział“. Rzecz stanęła nagle jasno. Fryderyk Wilhelm II. nieposiadał się z radości, cel marzeń jego był bliskim urzeczywistnienia. Pozostawała jeszcze Austrya, przychylna Polsce i kandydaturze saskiej; ale i na to znalazł się sposób.

Groźne postępy rewolucyi francuskiej, niefortunna ucieczka Ludwika XVI. i dalsze ograniczenie jego władzy przez Zgromadzenie ustawodawcze, poruszyły żywo gabinet wiedeński, interesowany najbardziej w tej sprawie ze

[1]) Dziennik Bułhakowa u Kalinki. „Dokumenta“, str. 288.

względów familijnych. Oburzenie jego podzielała cała monarchiczna Europa, szczególniej zaś Katarzyna. Leopold II., szczerze bolejący nad smutnym losem siostry, Maryi Antoniny, porozumiewał się z Prusami, popierał emigrantów francuskich nad Renem, Gustaw III., król szwedzki, układał plan wielki krucyaty monarchicznej przeciw rewolucyi, a imperatorowa — patrząc z zadowoleniem na te przygotowania — nie szczędziła podniety i zachęty. Niecierpliwiła ją powolność dyplomacyi austryackiej, gniewała się na Kaunitza, Spielmanna podejrzywała, że jest przekupiony przez „buntowników francuskich“, łamała sobie głowę nad tem, aby dwory wiedeński i berliński popchnąć do wojny z Francyą. „Są powody — zwierzała się Chrapowickiemu — o których się nie mówi głośno; chcę ich wciągnąć w sprawy francuskie, żeby samej mieć ręce wolne. Mam wiele przedsięwzięć na ukończeniu, trzeba więc, żeby byli zajęci i mnie nie zawadzali“. Jakoż stało się to, czego tak gorąco pragnęła. Dnia 9. listopada 1791. roku uchwaliło Zgromadzenie narodowe francuskie dekret przeciw emigrantom, u steru rządów stanęło ministerstwo Żyrondystów z Rolandem i Dumouriezem na czele, które zażądało od Kaunitza wyjaśnień co do przymierza z Prusami i wojsk nagromadzonych nad Renem. Odpowiedź wypadła szorstko, gabinet wiedeński postawił twarde warunki, wojna była nieunikniona. Wśród tego umarł Leopold II. (dnia 1. marca 1792. roku), na tron austryacki i niemiecki wstąpił syn jego, młody i niedoświadczony Franciszek II., wychowaniec stryja Józefa II., ster polityki pozostał jeszcze (do 20. sierpnia) narazie w rękach Kaunitza, którego zastąpił wkrótce Kobenzl. Śmierć Leopolda była przedewszystkiem fatalną dla Polski. Ani następca jego, ani stary kanclerz nieumieli już wybrnąć z trudnego położenia. Wojna francuska, gdzie łatwych spodziewano się tryumfów, zajęła do tego stopnia ich umysły, że na sprawę polską mało już zwracali uwagi. Z drugiej strony Żyrondyści, pragnący zatrudnić burzliwe żywioły wojną zewnętrzną, pochwycili skwapliwie dogodną sposobność i dnia 21. kwietnia 1792. roku wypowiedziała Francya wojnę „królowi węgierskiemu i czeskiemu“. Na tydzień przedtem otrzymał Kreczetników dowództwo nad korpusami, stojącemi w Białej Rusi, a Kachowski nad armią ukraińską.

Gdy tak nieprzyjaciele Rzeczypospolitej otaczali ją siecią intryg, zdrady i przemocy, gdy Szczęsny Potocki z Rzewuskim szukali u stóp Katarzyny w Petersburgu opieki dla zbrodniczych swoich zamiarów i w spółce z ministrami rosyjskimi układali akt konfederacyi, mającej zniweczyć wiekopomne dzieło 3-go maja, gdy zbierające się zewsząd chmury najsroższą zapowiadały burzę, panował w Warszawie spokój głęboki.

Król, ulegając niewytłómaczonemu dziś zaślepieniu, nie wierzył w wojnę. Obałamucony przez Branickiego, pozwolił mu wyjechać do Petersburga, aby nie drażnić imperatorowej, wieści o bliskiem wtargnieniu wojsk rosyjskich zbijał gołosłownemi zapewnieniami Bułhakowa i całą nadzieję swoją pokładał w sejmikach lutowych, które — jeżeli wypadną w duchu patryotycznym — „wstrzymają wszelkie zamysły sąsiadki, zmierzające do wywrotu“ konstytucyi.[1])

[1]) List do Bukatego u Kalinki. „Dokumenta“, str. 205.

Dziecinne te złudzenia trwały u niego do ostatniej chwili, podsycane błahemi i nic nieznaczącemi wiadomościami. Dnia 14. marca dowiaduje się, że elektor saski obiecał przysłać do Warszawy nadzwyczajnego komisarza, w celu ostatecznych układów o następstwo tronu, i widzi w tem zupełne uspokojenie co do obaw wojennych, a w miesiąc później (dnia 11. kwietnia) twierdzi kategorycznie, że wrazie „zaczepnej wojny ze strony Moskwy, król pruski rad nie rad musiałby nas po staremu bronić, bo podług aliansu jest obowiązany bronić naszej independencyi, którąby gwałcono“.[1])

Przykład króla naśladował sejm. Obradując spokojnie o księdze ziemiańskiej i trybunałach, zadowolnił się uchwaleniem zasad do przedaży wieczystej królewszczyzn i odroczył się następnie na sześć tygodni z powodu sejmików. Dalsze obrady przerwały znowu Święta Wielkanocne, tak, że dopiero dnia 16. kwietnia ocknęły się Stany z długiego letargu i przyjęły prawo: „Gotowość do obrony pospolitej“, a w pięć dni później uchwaliły dokompletowanie armii do stu tysięcy. Prawda, że sejm złożył starania o uzbrojenie kraju w ręce komisyi wojskowej, ale pozostawała mu zawsze kontrola, wykonywana miękko i cokolwiek niedbale. Rezultat dotychczasowych usiłowań nie był zatem pomyślnym. Komisya nie zdołała stworzyć nawet 65-tysięcznej armii, chociaż uchwałą sejmu była do tego zobowiązana; liczba wojska dochodziła w przededniu wojny do 56.921 głów, z czego — odtrąciwszy garnizony w Kamieńcu, Częstochowie, Krakowie i Warszawie — pozostawało do użycia w polu zaledwie 49 000 ludzi. Żołnierz był niejednolicie wyćwiczony, niezawsze dobrze ubrany i nakarmiony, a zbyt wielka liczba jazdy w stosunku do ilości piechoty nieodpowiadała wymaganiom nowszej taktyki wojskowej.

Mimo tych wszystkich braków i niedostatków mogła i ta armia, najlepszym ożywiona duchem, stawić skutecznie czoło nieprzyjacielowi, gdyby nią dowodzili oficerowie doświadczeni, zdolni i z wojną obznajomieni. Niedopuścił do tego nieszczęsny system protekcyjny. Komisya wojskowa nie miała żadnego wpływu na mianowania generałów, brygadyerów i wicebrygadyerów, stopnie te rozdawał król na rekomendacye i instancye posłów i wpływowych osób. Rozstrzygało więc nie uzdolnienie, lecz stosunki towarzyskie, familijne koneksye, słowem... protekcya.

W ten sposób został generał-lejtnantem książe Wirtemberski, od roku 1784. zięć księżny Czartoryskiej, Suffczyński, Michał Zabiełło, ludzie — jak się później pokazało — bądź zupełnie niezdolni, bądź też sprawie narodowej niechętni i do zdrady skłonni. Jednym z ostatnich i to tylko z stopniem generał-majora był Kościuszko, popierany przez znaną Ludwikę z Sosnowskich Lubomirską,[2]) a za jej wpływem przez Radziwiłłowę, starościnę małogóską Dembińską, Stanisława i Ignacego Potockiego i posła inflanckiego Kublickiego. Z służby cudzoziemskiej przyjęto także 28-letniego księcia Józefa Poniatowskiego, który przez jedenaście lat służył w wojsku austryackiem i przyjaciela jego Michała Wielhorskiego.

---

[1]) List do Bukatego u Kalinki. „Dokumenta“, str. 208.

[2]) Korzon: „Kościuszko“. Biografia etc. Kraków 1894. Str. 200.

Nominacye, jeżeli odliczymy Kościuszkę i księcia Józefa, wypadły najfatalniej, chociaż oficerów zdolnych nie brakło. Był Wodzicki, Jan Henryk Dąbrowski, podpułkownik Grochowski, major Wedelstett, ci jednak musieli się zadowolnić niższemi stopniami, gdy wszechwładna protekcya na naczelnych miejscach swoje umieściła kreatury.

Skutkom tej błędnej i krótkowidzącej polityki przypisać trzeba wszystkie niepowodzenia w roku 1792. i ostateczną zgubę Rzeczypospolitej. W chwili, gdy należało tworzyć armią, ćwiczyć żołnierza, napełniać magazyny, wprowadzić karność i porządek, powierzono to wielkie zadanie ludziom, na losy ojczyzny obojętnym, fachowo niezdolnym i niepojmującym ważności swoich obowiązków. A jeżeli mimoto doprowadzono piechotę do znacznej doskonałości, jeżeli znawcy[1]) podziwiają dzielność artyleryi polskiej i postępy w wykształceniu kawaleryi narodowej, to było to niewątpliwie zasługą tych „subalternów“, co swoją gorliwością i zdolnościami pokrywali niedbalstwo i nieuctwo naczelnie dowodzących generałów. Niewidział tego sejm, owszem — popełniając błąd jeden po drugim — oddał główne dowództwo nad wojskiem królowi, chociaż Stanisław August niemiał żadnego wyobrażenia o wojskowości, a rady zasięgał tylko u generała Arnolda Byszewskiego, słynnego z nieuctwa i robienia długów i u Gorzeńskiego, który, będąc do niedawna podkomorzym, zakupił sobie rangę generalską. Ta trójca więc wzięła z lekkiem sercem na siebie ciężki obowiązek obrony kraju przed obcym najazdem. Siedząc w Warszawie, miała ona kierować działaniem i obrotami wojsk na Ukrainie i u granic Białej Rusi; sędzia graniczny na współkę z królem, znającym się na sztuce i literaturze i generałem, zaledwie umiejącym się podpisać, układali plany wojenne, od których zależało ocalenie ojczyzny i byt Rzeczypospolitej! Toż nic dziwnego, że los wojny musiał być dla Polski niepomyślnym. W chwili wypowiedzenia wojny przez Rosyę (dnia 18. maja 1792. roku) stały u granic polskich dwie potężne armie, złożone z starego i w wojnie tureckiej wypróbowanego żołnierza, pod dowództwem doświadczonych generałów, gotowe na pierwsze skinienie do najazdu. Jakoż 19. maja wkroczył Kachowski czterema korpusami w sile 64.000 ludzi na Ukrainę, a Kreczetników w 32 000 na Białą Ruś. Zastali oni wojsko polskie słabe, rozrzucone bezładnie po ogromnej przestrzeni, dowódzców bez planu i przygotowania.

Armia ukraińska, pod naczelnem dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego, liczyła 17.086 ludzi, a litewska, którą komenderował książe Wirtemberski, 10.087 ludzi. Nie zdołano zatem na teatrze wojennym skupić nawet tych sił, jakie do boju były gotowe, a co gorsza, rozprószono dywizye tak jak w czasie najgłębszego pokoju, dla strzeżenia granicznego kordonu. Był czas na wszystko, były i środki zorganizowania obrony; chęć i zapał zarówno w wojsku jak i w obywatelach, ofiarność, broń nawet i pieniądze, brakowało tylko człowieka czynnego i energicznego, któryby z tego skorzystać umiał.

Jeszcze w listopadzie roku 1791. przysyłał Kościuszko, pod nieobecność Poniatowskiego dowodzący dywizyą bracławsko-kijowską, raporty „o pułkach

[1]) Górski Konstanty: „Historya piechoty polskiej i historya jazdy polskiej“. Str. 194 i 261.

Kopiec Kościuszki po ukończeniu.

moskiewskich nad granicą rozpościerających się“, miano zatem pięć miesięcy czasu, aby gotowe pułki posunąć ku granicy, milicye nadworne pańskie wcielić do armii, magazyny w miejscach stosownych umieścić, rekrutów pobrać i punkta strategicznie ważne obwarować. Zamiast tego poleciła komisya wojskowa (3. lutego 1792. roku) ogólnikowo Kościuszce: „Komendy z luk ściągnąć i — korpus uformowawszy — granice Rzeczypospolitej ocalić, spokojność utrzymać, zamiary nieprzyjacielskie zniszczyć“. Jak tego miał dokonać generał zastępujący tylko naczelnego wodza i niewtajemniczony w jego plany, o tem nie wspomniała komisya ani słowa. Odpowiedzialność spada oczywiście na króla i Straż. Ale Stanisław August, zajęty przygotowaniami do uroczystego obchodu rocznicy 3-go maja, powątpiewał jeszcze 25. kwietnia o wojnie, księcia Józefa zatrzymał do 7. maja w Warszawie, a od Wirtemberga wziął „słowo“ 9. maja, że za tydzień do armii litewskiej wyjedzie.[1]) Tymczasem książe Wirtemberski, pomimo danego zapewnienia, siedział jeszcze dni dziesięć w Warszawie i dopiero na wyraźny rozkaz komisyi wojskowej podążył na Litwę po to, aby w Wołczynie udawać chorobę. Była to już oczywista zdrada. Jakoż przejęto list jego, pisany do króla pruskiego, w którym donosi, iż podług zleceń jego pozostaje bezczynnym, że nie ściąga nigdzie korpusów polskich, owszem trzyma je rozprószone, aby tem łatwiej stały się łupem wojsk rosyjskich. Wiadomość ta spadła jak grom na Czartoryskich. Stara księżna była w rozpaczy, córka posłała natychmiast list rozwodowy zdrajcy i zamknęła się w klasztorze Sakramentek, a król zdecydował się wreszcie odebrać mu dowództwo „z uwagi na słabość zdrowia“ dnia 1. czerwca. Spóźniona energia — jeżeli miękkie postępowanie Stanisława Augusta w tym wypadku można nazwać energicznem — nie zdołała naprawić popełnionych błędów i nikczemnej zdrady Wirtemberga. Moskale, wkroczywszy trzema korpusami, wypierali z łatwością rozpierzchnięte i samopas chodzące oddziały polskie, a Szymon Kossakowski, mianujący się regimentarzem generalnym konfederacyi litewskiej, organizował w powiatach, zajętych przez wojska rosyjskie, związki konfederackie pod hasłem Targowicy. Tak dostał się bez wystrzału w moc moskiewską Połock i Bobrujsk, trwoga padła na Wilno; prezydent miasta Antoni Tyzenhauz słał do króla listy rozpaczliwe, prosząc o pomoc i zaręczając za wierność obywateli, którzy do ostatka bronić się gotowi. Stanisław August, po oddaleniu Wirtemberga, powierzył naczelne dowództwo nad wojskiem litewskiem generałowi Judyckiemu. Wybór był najnieszczęśliwszy, bo Judycki dumny i nielubiany, pomimo rangi generał-lejtnanta nie umiał nawet dowodzić kompanią, a cóż dopiero całą armią, w tak trudnych będącą warunkach. To też Moskale zajęli bez oporu Mińsk, a dnia 14. czerwca opanowali bez wystrzału Wilno. Judycki zebrał w Świerzniu 6000 ludzi i — cofnąwszy się pod Mir — stoczył tam bitwę nieszczęśliwą, „zaczętą i skończoną bez planu“.

Na skargi generałów litewskich oddał król komendę naczelną, trzymając się zawsze starszeństwa, Michałowi Zabielle. Był on niegdyś kapitanem w wojsku francuskiem, miał dobre chęci, ale zdolności małe i żadnego daru oryen-

[1]) Kalinka: „Dokumenta“, str. 209.

tacyjnego. Zastał wprawdzie wszystko w nieładzie, lecz żywności podostatkiem i wojsko „pełne ducha śmiałości“. Zmiana w dowództwie naczelnem ożywiła nadzieje obywateli. Spodziewano się, że Zabiełło — z pomocą dzielnych oficerów, jak: generał-majora Wodzickiego, Wedelstetta i Kleista — naprawi błędy poprzedników i ocali przynajmniej honor armii. Ale złudzenia te trwały krótko. Zabiełło oddał bez walki Grodno Moskalom, stoczył dwie potyczki pod Zelwą i Brześciem, które skończyły się „bardzo piękną retyradą“, pod Grannem wypuścił z rąk korpus rosyjski Denisowa i — stosownie do rozkazów królewskich — wycofał się wreszcie ku Warszawie, aby osłaniać stolicę. W drodze wsparł go Byszewski swoim korpusem gwardyi konnej i pieszej, liczącym 5824 ludzi. Cokolwiek pomyślniej, a przynajmniej nie tak sromotnie jak na Litwie, toczyła się wojna na ukraińskim teatrze.

Były i tu pewne widoki powodzenia. Wódz zdolny i doświadczony mógł — zebrawszy wszystkie swoje siły — uderzyć na jedną z kolumn nieprzyjacielskich, oddzielnie wkraczających w granice polskie, znieść ją i tem samem wojnie zupełnie inny nadać obrót. Tak działał Bonaparte we Włoszech, w gorszych o wiele warunkach. Ale książe Józef, osobiście dzielny i pełen rycerskiego ducha, nieposiadał przymiotów na wielkiego wodza. Przybywszy późno do głównej kwatery swojej w Tulczynie, nie mógł on już skupić rozprószonych korpusów i cofnął się do Pikowa, gdzie spotkał dywizye Kościuszki i Wielhorskiego. Manewr ten był spóźniony, bo nieprzyjaciel tymczasem — przeszedłszy Dniestr pod Mohylowem i Soroką, a granicę suchą około Olwiopola i od Kijowa — skoncentrował pod Litynem przeważne siły (41.000), którym Poniatowski czoła stawić nie śmiał. Armia polska ruszyła więc do Lubaru i tu spędziła bezczynnie dwa tygodnie; książe Józef wyznawał sam, że „nie wie dokąd się obrócić“. Z bezradności wodza polskiego skorzystał nieprzyjaciel, aby szczupłe siły polskie zewsząd ogarnąć. Zamiar niepowiódł mu się wprawdzie; Poniatowski, spostrzegłszy wcześnie podejrzany ruch korpusu Lewanidowa, wysłał przeciw niemu Kościuszkę i miał czas wycofać się z trudnej pozycyi, ale kolumna Wielhorskiego, idąca w tylnej straży, poniosła klęskę na grobli boruszkowieckiej skutkiem załamania się mostu i straciła kilka dział wraz z kasą 13. pułku. Mimoto weszło wojsko polskie spokojnie już do Połonnego, które od pierwszych dni czerwca umacniał fortyfikacyami pułkownik inżynieryi Sierakowski. Gdy jednakże krótkość czasu niepozwoliła wykończyć obwarowania, postanowiono na radzie wojennej opuścić i tę pozycyą. Spaliwszy zatem magazyny, nagromadzone w Połonnem i zagwoździwszy armaty, których nie można było uprowadzić, ruszyła armia do Szepetówki, gdzie zetknęła się z dywizyą księcia Michała Lubomirskiego, stojącą w Zasławiu. W tej chwili ukazał się 8-tysięczny korpus Markowa i uderzył na aryergardę polską pod Zieleńcami (19. czerwca). W ten sposób wywiązała się niespodzianie bitwa, zakończona porażką Moskali. Książe Józef nie umiał jednak wyzyskać zwycięstwa, wypuścił Markowa, który mógł być wziętym do niewoli i — pobawiwszy przez dwie godziny na pobojowisku — wykonał dalszy odwrót do Ostroga, gdzie stał znowu bezczynnie przez dziesięć dni, jak gdyby czekając na to, aby Kachowski rozprószone korpusy swoje zebrał

i z przeważającemi siłami na wojsko polskie uderzył. Brak inicyatywy i doświadczenia u naczelnego wodza polskiego występował coraz jaskrawiej, jakkolwiek zarzutu z tego czynić mu niepodobna. On sam czuł to najlepiej, kiedy jeszcze w roku 1790. pisał do króla: „Uczyłem się przez 11 lat służby obcej, być posłusznym i wykonywać szybko i dokładnie rozkazy, dawane mi przez starszych; może doszedłem do tego, że potrafię z dobrą wolą i rozumnie prowadzić pułk w ogień, ale nie miałem czasu dojrzeć na generała komenderującego i pozyskać dość wiadomości i talentów na zapełnienie tak ważnego miejsca“.[1])

Nie ulega wątpliwości, że pod innym kierunkiem byłby książe Józef, pomimo braku doświadczenia, zdziałał więcej, ale wobec rozkazów — nadchodzących z Warszawy — musiał ostygnąć zapał najgorętszy. W chwili, gdy pod Zieleńcami oręż polski pierwsze swoje święcił tryumfy i gdy — korzystając z zapału żołnierza i z połączenia się z dywizyą Lubomirskiego — można było odważyć się na jakiś krok zaczepny, biegli adjutanci królewscy z Warszawy do księcia Józefa z poleceniem, aby Kachowskiego prosił o zawieszenie broni[2]). Zdziwić się musiał niemało generał rosyjski tą propozycyą Poniatowskiego. Człowiek miernych zdolności, „chwiejący się w opinii, trudności znajdujący w każdej rzeczy“, otoczony oficerami, o których Kościuszko — po pierwszej z nimi rozmowie — z pogardą się wyrażał[3]), nie wiedział Kachowski co ma wodzowi polskiemu odpowiedzieć i dopiero po naradzie z dyplomatycznym reprezentantem imperatorowej (Bühlerem) odrzucił zawieszenie broni, zabierając się równocześnie do ataku na obóz polski. Silne położenie Ostroga jednak i dzielność artyleryi polskiej udaremniły w pierwszym dniu usiłowania Moskali. Nazajutrz zmienił Kachowski taktykę i zamiast od frontu starał się ruchami flankowemi obejść stanowisko polskie. Kanonada trwała do 12-tej w nocy, poczem książe Józef dla braku amunicyi cofać się zaczął, chociaż — stojąc prawie dziesięć dni pod Ostrogiem — mógł i powinien był przygotować się na przyjęcie nieprzyjaciela. Tasama niemal historya powtórzyła się w kilka dni później pod Dubnem, naczelny wódz polski, nie widząc dogodnej już dla siebie pozycyi, postanowił udać się na linią Bugu i bronić przez tę rzekę przeprawy nieprzyjacielowi.

Pomimo olbrzymich błędów, jakie dotąd popełniono, pomimo nieszczęsnego systemu ciągłego cofania się, które żołnierza demoralizować musiało, nie było położenie armii polskiej rozpaczliwem. Po lewym brzegu Bugu podawały sobie rękę wojska litewskie i koronne, razem z dywizyą rezerwową Byszewskiego, liczące 35.000 ludzi. Siła ta, skupiona w jednem miejscu, mogła śmiało stawić czoło każdemu z wojsk nieprzyjacielskich z osobna, oparta wreszcie o stolicę i patryotyczne mieszczaństwo warszawskie, mogła się bronić długo i skutecznie. Nie myślano o tem niestety w Warszawie, a i wódz polski niepojmował należycie swojego zadania. Rozciągnąwszy nieliczne siły swoje na 8-milowej przestrzeni, zamierzał on bronić nieprzyjacie-

[1]) Fr. Paszkowski: „Książe Józef Poniatowski“. Kraków 1898, str. 27.
[2]) „Dziennik Bułhakowa“, str. 397.
[3]) Por. list Kościuszki u Korzona, str. 247.

lowi przejścia przez rzekę, która, przy niskim stanie wody, wszędzie prawie zbrodzić się dawała. W tym celu sam zajął stanowisko w Świrżu, dywizyą Wielhorskiego wysłał na północ, gdzie zetknęła się z wojskiem litewskiem, na prawym skrzydle zaś — pod Dubienką — postawił Kościuszkę. Kościuszko, jakkolwiek nie pochwalał planu naczelnego wodza, zajął się pilnie wypełnieniem poleconych sobie rozkazów. Przewidując, że główny atak nieprzyjaciela będzie skierowany na Dubienkę, skąd łatwo mogli Moskale oskrzydlić i ogarnąć całe wojsko polskie, obwarował on stanowisko swoje jak tylko można było najlepiej. Część 4-tysięcznej dywizyi, prawe jej skrzydło, oparł o terytoryum austryackie, pokryte lasem i — podług jego mniemania — zupełnie zabezpieczone od nieprzyjaciela, lewe rozciągnął ku Kulemczycom, sam stanął pod Uchanką, a front wzmocnił bateryami i fleszami.

Kachowski dnia 18. lipca o świcie wysłał 9-tysięczny korpus Kutuzowa na zrobienie dywersyi ku Dorohuskowi, sam zaś z resztą armii (29.000) uderzył na Kościuszkę. Tormasów, podkomendny Kutuzowa, znalazłszy brody na Bugu, przeszedł rzekę, spędził słabe oddziały pułkownika Grochowskiego i majora Krasickiego, zapalił Dorohusk, ustawił most pontonowy i zanim Poniatowski nadbiegł z posiłkami, przeprowadził cały korpus na drugą stronę Bugu, poczem wódz polski dał rozkaz Wielhorskiemu cofania się na Chełm. Popołudniu rozpoczęła się walka zawzięta na prawem skrzydle. Korpus Dunina, przywitany zrazu silnym ogniem artyleryi polskiej, rozwinął się wkrótce pod osłoną 56 armat generała Brežnikowa, którym 10 dział Kościuszki sprostać oczywiście nie mogło, i uderzył na Uchankę i na prawe skrzydło polskie, został jednak po trzykroć odparty.

Wtedy wysłał Kachowski kawaleryą, na czele pułk elizawetgradzki konnych strzelców pod dowództwem Palmenbacha, przez terytoryum austryackie, dla obejścia i zdobycia bateryj polskich. Atak nie powiódł się, Palmenbach zginął, z komendy jego mało wróciło, a reszta, rozbita przez jazdę Wielowiejskiego, szukała w ucieczce ocalenia. Pomimo tak dzielnej obrony jednak położenie Kościuszki, wobec przeważających sił nieprzyjacielskich i zgwałcenia neutralnej granicy galicyjskiej, pogorszyło się znacznie. Pozostawiony sam sobie, bez nadziei posiłków, narażony na zupełne odcięcie od głównej armii i niechybną zgubę, nie miał on innego ratunku, jak odwrót do Krasnego stawu. Jakoż uskutecznił go „z najzimniejszą krwią i w największym porządku, z nieustannym ogniem karabinowym i użyciem armat“, zadając ścigającemu nieprzyjacielowi bardzo dotkliwe straty. Tak skończyło się pamiętne spotkanie pod Dubienką. Okryło ono chwałą Kościuszkę i młodego żołnierza polskiego i dowiodło, czego z tem wojskiem mógł dokonać wódz zdolny, przezorny i na wszystko zdeterminowany. Nie był nim niestety ani Stanisław August, ani zacny książe Józef. Pierwszy znał wprawdzie zasługi „wyśmienitego naszego Kościuszki“, mianował go generał-lejtnantem i szefem 4. pułku buławy polnej koronnej, ale równocześnie donosił Bukatemu, że wojnę skończyć musi w przyszłym miesiącu dla braku magazynów i pieniędzy. Drugi gotów był przenieść teatr wojny nad Wisłę i bronić się ile możności, spotkał się jednak niebawem z wyraźnym rozkazem króla, polecającym zaniechanie kroków nieprzyjacielskich.

Stanisław August od samego początku wojny nie miał zaufania ani do sił narodu, ani do dzielności wojska. Otrzymawszy naczelne dowództwo od sejmu, który natychmiast się odroczył, zapewniał on wprawdzie Stany Rzeczypospolitej, że „osobiście tam się stawi i wystawi, gdziekolwiek przytomność jego przydatna będzie do zachęcania w niebezpieczeństwach“, ale zarazem nadmieniał niedwuznacznie, że „gdyby się dały znaleść jeszcze i inne drogi, przez któreby otworzyć się mógł wstęp do traktowania raczej piórem niż orężem, żadnegoby odrzucać, żadnegoby zaniedbywać nie należało“. Jakoż przyszłość niedaleka dowiodła, że myślał o piórze, a nie o orężu, bo ani „stawił się“ ani nie „wystawił“ nigdzie z obawy, że „kuchni przyzwoitej“ mieć nie będzie, a co do starań i zabiegów o uzbrojenie i obronę kraju, to niedbalstwem swojem i niedołęstwem zmarnował i zapał i ofiarność obywateli.

Dziś z dokładnych badań[1]) nad tą epoką wiemy, że wszelkie narzekania na brak żywności, amunicyi, broni i pieniędzy były nieuzasadnione i że niedostatek, jaki wojsko chwilowo cierpiało, wynikał z nieudolności naczelnego kierownictwa, z lenistwa lub zdrady intendantów, zupełnego braku energii i przezorności u góry. Nieumiano skorzystać ani z zapału obywateli ani z olbrzymich środków obrony, które same z siebie się nastręczały. Nie ściągnięto wcześnie rekrutów z południowych województw, nie wcielono nadwornych milicyj panów ukraińskich do wojska, nie zabrano armat z Nieświeża i innych rezydencyj magnackich, nie zdołano wreszcie użyć tych sił, jakiemi Rzeczpospolita w istocie rozporządzała. Ilość wojska na końcu kampanii wynosiła 70.000 ludzi, w arsenale warszawskim znalazło się po wojnie 300 armat, a jednak na linii bojowej skupiono zaledwie 35.000 żołnierza i skarżono się bezustannie na brak artyleryi. Rejteradę swoją uzasadniał książe Józef niedostatkiem żywności wtedy, gdy Moskale z Połonnego wywieźli 6000 worów mąki, a w Dubnie zebrali ogromne zapasy, których zniszczyć wojsko polskie nie mogło. Najmniej zasobnym może był skarb, ale i tu z zamknięcia rachunków okazuje się, że dnia 16. sierpnia pozostał w kasie generalnej korpusu wojska koronnego remanent, wynoszący 681.000 złotych polskich. Słusznie też pisał pod świeżem wrażeniem Kościuszko: „Były jeszcze sposoby zbicia wojska rosyjskiego. Zgromadziwszy wojsko całe za Wisłą, z woluntaryuszami i mieszczanami z miast Warszawy i Krakowa, wynosiłoby 60.000, a na czele króla mając, bijąc się za swój kraj i dependencyą, jaka moc zwyciężyłaby go, pytam się?“

Stanisław August nie był zdolnym do takiego bohaterstwa. W przededniu wojny (dnia 25. kwietnia) trapi on się głównie tem, że król angielski mógł porównywać rewolucyę polską z francuską, wysila się na dowody, świadczące o konserwatywnych zasadach, jakie w Polsce panują i pociesza się wiadomością z Wiednia i Berlina, że „Moskwa hostilitates przeciwko Polsce nie rozpocznie, ponieważ poczyniła kwestye o nas do tych dworów“[2]). Nawet po nocie Lucchesiniego z dnia 4. maja, gdzie poseł pruski oświadczył, że król jego w rozpoznawanie uchwał Rzeczypospolitej wchodzić nie może, albo-

[1]) Korzon: „Wewnętrzne dzieje etc.“, t. V.

[2]) Kalinka: „Dokumenta“, str. 209.

wiem obce mu są zupełnie, a od siebie ustnie dodał: „Nie powinna się Polska żadnej, ani od Prus, ani od innych mocarstw sąsiednich spodziewać pomocy w usiłowaniach zbrojnych ku utrzymaniu sukcesyi tronu i nowej konstytucyi, nawet wtedy — powtarzamy — twierdził, że król pruski musi się stać tej wojny uczestnikiem, ponieważ, gdyby nas Moskwa do ostatka zawojowała, przez to samo dla niego odrodziłoby się niebezpieczeństwo groźnej bliskości moskiewskiej“.

Lekkomyślny w życiu codziennem był on równie lekkomyślnym politykiem i zakładał nadzieje swoje na obcej pomocy tam, gdzie jedynie w własnej sile ufność mieć należało.

Przewidując z góry konieczność traktowania z Petersburgiem, przesadzał w grzecznościach dla imperatorowej nawet po wypowiedzeniu wojny. Bułhakowowi pozwolił siedzieć i szpiegować w Warszawie, generałom polskim, na granicy stojącym, przykazywał najściślejszą neutralność i cieszył się, że „jeśli bójka zajdzie nad granicą, wina agresyi zostanie przy Moskwie“.

Taki człowiek nie mógł chyba spełnić należycie obowiązku naczelnego wodza i nie spełnił go też wcale. Przeciwnie, skoro tylko spostrzegł obojętność Austryi — zajętej wojną francuską — na sprawy polskie i skoro się dowiedział o zupełnej zdradzie króla pruskiego, o czem już z deklaracyi Lucchesiniego przekonać się był powinien, nie miał nic pilniejszego, jak dnia 22. czerwca zgłosić się listownie do imperatorowej z prośbą o zawieszenie broni i traktaty pokojowe. „Gdy nas król pruski — pisał w cztery dni po bitwie pod Zieleńcami do Bukatego — przez swoje postępki uwalnia od związków z sobą, ja wprost odzywam się do imperatorowej...“.[1]) Widocznie kamień spadł mu z serca i zadowolonym był z tego, że może oręż na pióro zamienić. Ale nadzieje zawiodły go. Mijał dzień po dniu i tydzień po tygodniu, a odpowiedzi z Petersburga nie było; Bułhakow i Lucchesini straszyli go, że jeżeli z Warszawy się ruszy, to już do niej nie wróci.[2]) Siedział więc jak na żarzących węglach i — zamiast myśleć o obronie kraju — kazał odradzać oficerom angielskim, aby do służby polskiej nie wstępowali[3]). Nareszcie dnia 21. lipca przywiózł kuryer z Peterburga „respons najtwardszy“. Imperatorowa odrzucała propozycye królewskie, zadawała mu złamanie paktów konwentów i żądała nieodwłocznego przystąpienia do konfederacyi targowickiej; Bułhaków nie chciał nawet pisać do generałów rosyjskich przedtem o zastanowienie wojny. To wystarczało dla niedołężnego sybaryty, aby go skłonić do haniebnego kroku, do ostatecznego upokorzenia. Dnia 23. lipca podpisał Stanisław August akces swój do konfederacyi targowickiej.

Czas więc i nam oglądnąć się za tymi, co przyjęli na siebie dobrowolnie wstrętną rolę grabarzy własnej ojczyzny.

Zostawiliśmy Potockiego i Rzewuskiego w Jassach, na wyjezdnem do Petersburga. Przybyli oni tam około połowy marca, a niebawnie nadciągnął także i Branicki, uzyskawszy na podróż podejrzaną pozwolenie królewskie

[1]) Kalinka: „Dokumenta“, str. 215.
[2]) Kalinka: „Dokumenta“, str. 223.
[3]) Kalinka: „Dokumenta“, str. 224.

i ubezpieczywszy Stanisława Augusta słowem honoru, że „niema innego celu, prócz dobra swoich dzieci i że wróci nazad nieskazitelnie wiernym JKMci i konstytucyi“.

Słowo honoru, dane w Warszawie, nieprzeszkadzało mu jednakże nad Newą do knowań zdradzieckich i przeciw królowi i przeciw tej konstytucyi, którą bezczelnie niedawno zaprzysiągł. Zastał on rzeczy przez przyjaciół swoich już przygotowane. Na posłuchaniu prywatnem u imperatorowej, w obecności jednego tylko Zubowa, wszechwładnego w tej chwili faworyta Katarzyny, postanowiono, że malkontenci zawiążą konfederacyą dla obalenia konstytucyi i wezwą pomocy rosyjskiej. Akt konfederacki ułożyli Potocki i Rzewuski razem z Popowem, poczem podali słynną suplikę imperatorowej, gdzie — przedstawiwszy dzieło 3-go maja, jako zamach na wolność narodu — w te nakoniec odzywali się słowa: „Wielka Katarzyno! podobna bogom bardziej jeszcze przez chęć czynienia dobrze, niż przez posiadaną od nich władzę nieograniczoną, Tobie jednej przystało być bogiem, przyjaznym wolności polskiej. Naród polski skonfederowany, wzywa Cię, jak Boga, przyjaznego wolności i błaga o jej obronę. Wielka dusza Twoja nie odmówi nam pomocy; przyjaźń, którą zawsze żywiłaś dla Rzeczypospolitej polskiej, uświęcona zresztą traktatami uroczystemi, wkłada na Cię obowiązek dokonania tego, co Tobie sławę, nam zaś zapewni szczęście. Wszyscy w Tobie tylko pokładają nadzieję, od Ciebie tylko wyczekujemy ratunku. Zawsze taż sama, zawsze wielka, najwspanialszym opromieniasz się blaskiem, wysłuchując skarg uciśnionego narodu. Wielka monarchini! liczne narody, podległe berłu Twemu, uszczęśliwiłaś; spraw także, aby Polak, sąsiad Twój i sprzymierzeniec, winien Ci był wolność swoją; spraw, żeby wielkie imię Twoje w najodleglejsze czasy wzbudzało w najpóźniejszej potomności Polaków uczucie nieograniczonej wdzięczności“.

Na akcie tym, pełnym niesmacznych pochlebstw i rzadkiej w dziejach podłości, podpisali się „z najgłębszym respektem, najniżsi słudzy“: Szczęsny Potocki, hetmani Branicki i Rzewuski, kasztelan przemyski Czetwertyński, Szymon Kossakowski, Jerzy Wielhorski, Adam Moszczeński, Antoni Złotnicki, Jan Suchorzewski, Jan Zagórski, Jan Świejkowski, Michał Kobyłecki, Fryderyk Wolski i Dyzma Bończa Tomaszewski, zaiste imiona, godne wiecznej hańby i wzgardy u potomności polskiej.

Akt konfederacki, ułożony w tym samym duchu i stylu co suplika w Petersburgu, nosił datę dnia 14. maja i miał być rzekomo spisany w Targowicy, chociaż inicyatorowie tej niecnej roboty zgromadzili się dopiero dnia 19. maja — po wkroczeniu wojsk rosyjskich na Ukrainę — w pomienionem wyżej miasteczku i przystąpili do zawiązania konfederacyi, mianując marszałkiem Szczęsnego Potockiego, hetmanami Branickiego i Rzewuskiego, sekretarzem Tomaszewskiego, konsyliarzami kreatury Szczęsnego, podpisane na suplice. Na Litwie reprezentował Targowicę Szymon Kossakowski, generał rosyjski, niebawem przez brata swego biskupa ogłoszony hetmanem polnym litewskim.

Na chlubę narodu polskiego powiedzieć należy, że Targowiczanie nie znaleźli ani zwolenników w kraju, ani podstawy do działania. Z wyjątkiem jednego zbiega z armii koronnej (Józefa Rudnickiego), który w nagrodę na-

tychmiast otrzymał stopień generała i komendę dywizyi ukraińskiej i podolskiej, wszyscy oficerowie i żołnierze polscy, a nawet jeńcy, pozostali wierni ojczyźnie i przysiędze, złożonej na konstytucyą. To też czynność konfederacyi rozpoczęła się dopiero po ustąpieniu wojsk polskich, pod osłoną rosyjskich bagnetów, z pomocą nahajek kozackich, srogich kontrybucyj i ucisku wszelakiego rodzaju. Akces Stanisława Augusta udzielił sankcyi przewrotnym i zdradzieckim

Grobowiec Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego w katedrze na Wawelu.

zamiarom, ale oburzył zarazem wszystkich dobrze myślących obywateli. W głównej kwaterze polskiej (w Kurowie) przyszło do scen gwałtownych. Znaczna liczba oficerów „marszczyła brew i okazywała rozpacz dziką“, sam książe Józef, niewierząc jeszcze wieści, która wyprzedziła kuryera królewskiego, napisał do stryja raport z zaklęciem, aby do Targowicy nieprzystępywał. „Wola WKMci — były słowa listu — służyła nam dotąd za prawidło i zawsze służyć będzie, lecz ta wola być nie może i nie jest, aby wojsko niepobite, żeby

naród szlachetny, żeby król roztropny miał się poddać pod jarzmo kilku wyrodnych obywateli, którzy chcą na nas kłaść kajdany i okryć nas cechą wiecznej niesławy. Podłość zniżenia się aż do zdrajców ojczyzny byłaby grobem naszym". Tak myślał i wyrażał się ukochany przez Stanisława Augusta „Pepi", ale ani rozpacz, przebijająca się z listu, ani przedstawienia Wielhorskiego i Mokronowskiego, którzy z raportem do Warszawy pojechali, nie mogły oczywiście zmienić faktu już dokonanego. Nadszedł też tymczasem rozkaz króla do wstrzymania kroków wojennych, wojsko polskie cofnęło się za Wisłę, książe Józef stanął kwaterą w Sieciechowie, gdzie rozpacz oficerów — długo tajona — jasnym wybuchnęła płomieniem. Ofiarowali oni Poniatowskiemu nieograniczoną władzę nad wojskiem, z gotowością służenia dalej ojczyźnie. Książe ofiary nie przyjął, żale ich uśmierzyć się starał, wreszcie sam, z całym korpusem oficerskim, zażądał dymisyi. Pomimo zabiegów króla, który szczególniej Kościuszkę zatrzymać usiłował, opuściło bardzo wielu służbę wojskową, niechcąc kolegować z Szczęsnym Potockim, Branickim i Rzewuskim; pomiędzy nimi znajdował się także i książe Józef, a jakie uczucia nim wtedy miotały, okazuje najlepiej odezwa, wydana do wojska po otrzymaniu dymisyi (dnia 16. sierpnia). „Była to wojna święta — pisał on — bo żołnierz nie walczył za dumę swojego króla, lecz za swobody ojców swoich i całość ziemi, w której się urodził. Okoliczności utruły (tak!) nadzieje nasze; obca przemoc, duma kilku obywateli, którzy w osobach swoich przywykli uważać szczęście lub nieszczęście kraju, przyprowadziły rzeczy do dawnej postaci. Zatem lubo nie podbici, lubo niezwyciężeni, błąkać się musimy i szukać obcej ziemi".[1])

W cztery dni później odbył się wjazd naczelnego wodza armii rosyjskiej do Warszawy i o godzinie 11-tej król Stanisław August „został prezentowany JW. Kachowskiemu przez Bułhakowa".

---

[1]) Druk współczesny w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego.

OKRES CZWARTY. Ostatnie rozbiory.

Czynności konfederacyi targowickiej. — Drugi rozbiór. — Sejm grodzieński. Akces swój do konfederacyi targowickiej przedstawiał król jako ofiarę, uczynioną dla konstytucyi i całości państwa. „Jabym o zagrożone bezkrólewie mniej dbał — tak pisał do Bukatego — gdybym moją zgubą mógł ocalić konstytucyę. Lecz gdy to być nie może, a moje usunięcie się przyspieszyłoby tylko ruinę kraju, więc mniej źle, że zostanę przy koronie na to, aby wcielając się w konfederacyę i stając się jej głową, cokolwiek przecie mam nadzieję uratować z dobrych dzieł naszego sejmu“. To trzymanie się oburącz korony, to złudzenie, że — ratując siebie — ratuje kraj, wiodło Stanisława Augusta od jednej nikczemności do drugiej. Upokorzywszy się przed zdrajcami, nie wahał on się następnie złożyć pierwszy wizyty Kachowskiemu, zapominając, że tem niegodnem postępowaniem poniewiera więcej majestat monarszy, niż związkami z rewolucyjną Francyą, o które go posądzano, że traci do reszty szacunek u swoich i u obcych i że powagą swoją i interwencyą ani kraju ani konstytucyi ocalić nie może. Ukoronowana lalka, pozbawiona woli, energii i szacunku, stawała się powolnem narzędziem w rękach dyplomacyi rosyjskiej, doznawała coraz to sroższych upokorzeń, spotykała się codzień z wrastającem u wszystkich stronnictw lekceważeniem.

W zamku zaciągnięto natychmiast warty rosyjskie z poleceniem, aby nikogo niewpuszczały, kanclerzowi Małachowskiemu zakazano pieczętować listów królewskich bez aprobaty Bułhakowa. „Najjaśniejsza konfederacya“ — bo taki tytuł niepraktykowany nadał Szczęsny zdradzieckiej swojej robocie — odpisała w ostrych wyrazach na pokorny list Stanisława Augusta i omijała odtąd statecznie nazwisko królewskie. Nadzieja uratowania konstytucyi była więc w takich okolicznościach złudzeniem. Miałkie głowy Targowiczan rozpoczęły działanie swoje od zniszczenia najzbawienniejszych ustaw czteroletniego sejmu.

Wymusiwszy na królu nowy akces do Targowicy, w którym Stanisław August niewstydził się nazwać całej konstytucyi „zgubną nowością, zaprowadzającą rząd monarchiczno - demokratyczny“, a konfederacyą mienił „rękojmią trwałości i bezpieczeństwa Polski“, zebrali się reprezentanci konfederacyi koronnej i litewskiej w Brześciu dnia 11. września, gdzie — pod osłoną rosyjskich bagnetów, wśród toastów na wolność i niepodległość — dokonywano dzieła podłości, głupoty i hańby. Najpierw więc wyprawiono poselstwo do imperatorowej z podziękowaniem, „że do podźwignięcia swobód, do skruszenia zamachów monarchicznych, do powrócenia jestestwa staropolskiego wspaniała

i wielkomyślna jej dusza szczególnie i skutecznie pomoc dać raczyła“, następnie zniesiono komisye cywilno-wojskowe i komisyę policyi, zabroniono królowi rozdawania wakansów i rang wojskowych, odebrano przywileje, miastom nadane i prawa polityczne tym, co się w księgi miejskie wpisali, wydalono z Warszawy rezydenta francuskiego Descorches i przypieczętowano tę wolność staropolską zaprowadzeniem cenzury, którą co do dzieł teatralnych, książek polskich i pism patryotycznych poruczono Stanisławowi Trembeckiemu, szambelanowi JKMci.

Obostrzenia dotknęły przedewszystkiem dziennikarstwo. Zakazano wydawać „Gazetę Narodową i Obcą“ za to, że „głosy gorliwych posłów taiła, przemieniała i wcale przeciwnie umieszczała“, stłumiono „Pamiętnik Historyczno-Polityczny“, jako „chytre i buntownicze zawierający wyrazy“, wkroczono nawet w zakres władzy duchownej, poruczając biskupom, iżby „zalecili JXX. kaznodziejom niemięszanie z prostotą religii politycznych uwag i pochwał osobistych, ażeby drukarnie bez cenzury duchownej drukować, a księgarnie przedawać i rozwozić dzieł nieważyli się, aby JXX. plebani o burzycielach spokojności donosili, przytem obligując tychże biskupów, iż ojczyzna więcej pożytku odniesie z cnotliwych obywateli, jak obiecywać sobie może po matematykach, astronomach i t. d, a przytem oświadczając narodowi użycia wszelkich sposobów do przywrócenia zakonu XX. Jezuitów“.

Wszystkie te rozporządzenia, powstające w ciasnej głowie Szczęsnego i otaczających go, a równie jak on ograniczonych konsyliarzy, wywracały ład i porządek, zaprowadzony w kraju przez rozumne ustawy wielkiego sejmu, a natomiast tworzyły zamęt i chaos, z którego przebieglejsi skorzystać nieomieszkali. Mistrzami pod tym względem byli Kossakowscy na Litwie, naśladujący przykład Ponińskiego i całej jego szajki. Szymonowi kazała konfederacya wypłacić trzechletnią pensyą generał-lejtnanta w kwocie 42.000 złotych polskich i roczną płacę hetmańską 40.000 złotych polskich. Nie poprzestając na tem zabrał on Kazimierzowi Sapieże dobra Geranony i Lipniszki, które posiadał jako generał artyleryi litewskiej i wymusił na Michale Ogińskim, sekwestracyą majątków jego, sumę 200.000 złotych polskich. Brat Szymona, biskup, postarał się o podzielenie komisyi edukacyjnej na koronną i litewską, aby „być prezesem nie edukacyi, ale dóbr edukacyjnych w Litwie i rządzić niemi“, czemu przeszkodziła insurrekcya Kościuszkowska.

Pomimo akcesu Stanisława Augusta, pomimo że cała władza Rzeczypospolitej spoczęła w rękach „najjaśniejszej konfederacyi“, a raczej hersztów jej, Szczęsnego Potockiego i Kossakowskich, pomimo opieki wojsk rosyjskich wreszcie, napotykało zawiązywanie konfederacyj miejscowych na niemałe trudności. Ziemianie usuwali się pod rozmaitemi pozorami od udziału w zdradzieckiej robocie, powoływano więc na naczelne posady pieczeniarzy, lub oficyalistów najniższego rzędu. Konfederacya ziem kijowskich obradowała pod prezydencyą pisarza grodzkiego żytomierskiego Kaleńskiego, wielkopolska zawiązała się w obecności zaledwie 12 osób i wybrała marszałkiem Łukasza Bnińskiego, który ograniczył się w działaniu swojem do powtórzenia kilku uniwersałów Szczęsnego, mazowiecka znalazła aż pięciu uczestników. Na

Wołyniu marszałkował znany karciarz, w służbie rosyjskiej zostający, Antoni Pułaski, w Bracławiu Złotnicki, w Czernichowie Kurdwanowski, kreatura Branickiego.

Wobec takiej obojętności i niechęci ogółu użyła „najjaśniejsza konfederacya“, opiekunka staropolskiej wolności, pomocy „przyjacielskiego“ wojska, które biciem, więzieniem, wywożeniem ludzi zagranicę, paletowaniem i furażowaniem uczyły szlachtę oporną posłuszeństwa i uległości. Charakterystycznem jest, że nawet Żydom stawiano egzekucyą, aby zmusić ich do „spokojności i posłuszeństwa“.[1])

Jakich zaś ludzi stawiano na naczelnych stanowiskach, mianowicie we wznowionej teraz Radzie Nieustającej, świadczy interwencya Igelströma, który — ujmując się za przyjacielem swoim Załuskim — pisał do Sieversa: „Taki Załuski nie może chodzić w jednym jarzmie (w Radzie Nieustającej) z Witkowskim, Raczyńskim, Walickim lub dwoma innymi, jeszcze niższego urodzenia szulerami, krętaczami i łotrami publicznymi“.

Burząc tak cały porządek w Rzeczypospolitej nieoszczędzała Targowica także i wojska, owszem wywarła na niem głównie zemstę swoją, jakby chciała z umysłu pozbawić kraj obrony i tem łatwiej wydać go na pastwę nieprzyjaciół. Młody żołnierz polski, pomimo błędów i niedbalstwa władz administracyjnych i naczelnego wodza sił zbrojnych, spełnił wciągu wojny obowiązek swój względem ojczyzny z chlubą i zaszczytem. Armia polska, ożywiona gorącym patryotyzmem, wytrwała do końca w wierności dla konstytucyi, a kiedy król, niepomny przysięgi swojej, przystąpił do Targowicy, wniósł — jak wspomnieliśmy — cały korpus oficerski podanie o dymisyą. Prośbom i naleganiom Stanisława Augusta powiodło się zatrzymać część niezadowolonych, najznakomitsi jednak i najdzielniejsi wytrwali w raz powziętem postanowieniu i opuścili szeregi narodowe. Tak uczynił książe Józef Poniatowski, Kościuszko, Zabiełło, Wielhorski, Zajączek, Mokronowski i pułkownicy Hanicki, Poniatowski i Strzałkowski i podpułkownik Wągrowski, dyrektor ludwisarni.

Dymisya tylu zdolnych oficerów, ludzi nieposzlakowanego charakteru, jakkolwiek zupełnie uzasadniona i zaszczyt im przynosząca, była dla Targowiczan wielce pożądana, ułatwiała bowiem do pewnego stopnia hersztom konfederackim owładnięcie armii, pozbawionej przywódców. Nieomieszkał też Szczęsny natychmiast zapełnić luk powstałych swojemi kreaturami. Wojsko litewskie oddano pod komendę Szymona Kossakowskiego, który awansował na hetmana wielkiego, dodając mu do pomocy — jako hetmana polnego — Józefa Zabiełłę. Nad armią koronną, gdy Branicki był nieobecnym i niebawnie potem przyjął poddaństwo rosyjskie, a Rzewuski wyjechał w kwietniu roku 1793. zagranicę, objął naczelne dowództwo generał-lejtnant Ożarowski, mianowany wnet hetmanem koronnym. Brygadę ukraińską poruczono znanemu posłowi Suchorzewskiemu, dotąd wojskiemu kaliskiemu, dywizyą wielkopolską Byszewskiemu, a komendę w Kamieńcu podolskim — po usunięciu Orło-

[1]) Korzon: „Wewnętrzne dzieje etc.“, t. V, str. 254.

wskiego — Złotnickiemu, pieczeniarzowi z Tulczyna, a później generałowi rosyjskiemu.

Równocześnie wcieliła Moskwa do swojej armii pułki, stojące na Wołyniu i Podolu, razem 18.000—20.000 ludzi. Skutkiem tego zmniejszyła się liczba wojska do 36 000, w chwili, kiedy Rzeczpospolita w najgroźniejszem znajdowała się niebezpieczeństwie, tuż przed dokonaniem drugiego rozbioru.

Pierwsze wskazówki, jakie otrzymał Fryderyk Wilhelm II. od Goltza z Petersburga, o zamierzonym przez Katarzynę nowym rozbiorze Polski w spółce z Prusami, wyjaśniły mu odrazu całe położenie i zdecydowały politykę gabinetu berlińskiego względem Rzeczypospolitej.

Nie troszcząc się wcale o przymierze, zawarte z Polską dnia 29. marca 1790. roku, a bacząc tylko na własne korzyści, mniemał król pruski, że stosowniej będzie w porozumieniu z Rosyą zagarnąć bez kosztu i hazardu Wielkopolskę i Gdańsk, niż pomagać Polsce w wojnie z najazdem moskiewskim bez widoków żadnego dla siebie wynagrodzenia. Wzgląd na uczciwość, słowo królewskie i zobowiązania, zaciągnięte uroczyście wobec naiwnego sprzymierzeńca, nie mogły naturalnie przytłumić chciwości pruskiej, ani zwrócić szalbierskiej polityki na drogę cnoty i poświęcenia się dla obrony sprawiedliwości.

Wspomniona wyżej deklaracya i oświadczenie Lucchesiniego wyjaśniało dostatecznie stanowisko gabinetu berlińskiego i podróż Ignacego Potockiego do Berlina (dnia 31. maja) była już zupełnie zbyteczną. Fryderyk Wilhelm wyparł się wszelkiego udziału w konstytucyi 3-go maja z tym dodatkiem, że „obecne położenie nie obowiązuje go bynajmniej do dotrzymania warunków traktatu. Może tylko, gdyby król konstytucyą opuścił, porozumieć się z carową i z Wiedniem względem uspokojenia Polski“.

Jakoż na dwa tygodnie przed tą klasyczną odpowiedzią odbyły się pierwsze próby takiego „porozumienia“. Minister pruski hr. Schulenburg podał — za pośrednictwem posła austryackiego w Berlinie Reussa — gabinetowi wiedeńskiemu projekt, aby Prusacy i Austryacy wkroczyli do Polski „dla obrony zagrożonych swych interesów“, poczem Rosya mogłaby sobie zabrać Ukrainę, Prusy uzyskać kompensatę za szkody poniesione w wojnie francuskiej, Austrya zaś otrzymałaby wynagrodzenie nad Renem. Zastępujący wtedy Kaunitza tajny radca Spielmann był wielce zbudowany tą „uczciwością i otwartością“ pruską i godził się na nowy rozbiór Polski, jeżeli Austrya uzyska część Bawaryi. Innego zdania był Kaunitz. Stały przeciwnik Prus i przychylnie dla Polski usposobiony, chociaż sympatye te na nieszczęście ukrywający w poufnych depeszach do ambasadorów austryackich, uważał stary kanclerz projekt Schulenburga jako „obelżywy“ dla wiedeńskiego dworu, wobec Polski zaś „niegodny“.[1]) Z opinią Kaunitza zgodził się zupełnie prawie cesarz Franciszek II. i nawet Filip Cobenzl, który — po ustąpieniu kanclerza — objął kierownictwo spraw zagranicznych i projektom pruskim dość sprzyjał, nie mógł na konferencyi ministeryalnej planów swoich przeprowadzić.

[1]) Vivenot und Zeissberg: „Quellen zur deutschen Kaiserpolitik Oesterreichs, während der französischen Revolutionskriege 1790—1801“. 5 Bände. Wien 1873—1890.

Pozostało więc wszystko przez pewien czas w tym stanie, jak było poprzednio. Rosya zgodziła się na płacenie subsydyów na wojnę francuską, lecz o nowym rozbiorze Polski słyszeć nie chciała, aby nie dopuścić do udziału w nim Prus i Austryi, gabinet wiedeński groził, że wrazie, gdyby mu nie dano wynagrodzenia w Bawaryi, zajmie pograniczne województwa polskie. Tymczasem wzięła wojna francuska dla sprzymierzonych obrót wcale niepomyślny. Prusacy, którym się wydawało, że z największą łatwością pokonają nieprzyjaciela, zdobyli wprawdzie Verdun, ale po kanonadzie pod Valmy uznali za stosowne wycofać się z trudnego położenia. Wojsko ich trapione niepogodą i znękane głodem znalazło się przy końcu października znowu na prawym brzegu Renu, Fryderyk Wilhelm II., zawiedziony w swoich nadziejach, chory i zgryziony, zatrzymał się na zamku Merl pod Luksemburgiem i jął tam przemyśliwać nad sposobami wynagrodzenia Prus za doznane zawody i koszta. Oczywiście powrócił on natychmiast do ulubionej swojej myśli, do zaboru Gdańska i Wielkopolski. Ministrowie pruscy Haugwitz i Schulenburg oświadczyli Spielmannowi, który przybył właśnie do głównej kwatery pruskiej, że „wszelka słuszność wymaga, aby inne sprzymierzone mocarstwa — w pierwszym rzędzie Austrya — zgodziły się na wynagrodzenie Prus za szkody, poniesione w kampanii francuskiej. Indemnizacyi tej mogą Prusy szukać sobie jedynie w Polsce“.

Oburzyła się na tę propozycyą mocno dyplomacya austryacka; Cobenzl twierdził, że straciłby wszelki kredyt u cesarza, gdyby popierał zabory pruskie w Polsce bez równoczesnego zajęcia Bawaryi i Górnego Palatynatu na rzecz Austryi, ale Prusacy mieli na to argument bardzo prosty a skuteczny, t. j. zaczęli grozić opuszczeniem koalicyi w wojnie francuskiej. Pod takim naciskiem prawdopodobnie zgodzono się i w Petersburgu na oddanie Prusom Wielkopolski i Gdańska. W dniu 5. listopada zawiadomił o tem Goltz Fryderyka Wilhelma II., Austrya znalazła się wobec faktu dokonanego, nie mogąc już ani przeszkodzić rozbiorowi, ani też wymusić dla siebie jakiegokolwiek w nim udziału.

Zrywano się wprawdzie w Wiedniu do jakiegoś nieokreślonego bliżej działania; gromadzono wojsko w Galicyi, feldmarszałek Lacy przedłożył plan zajęcia Krakowa i Kamieńca, ale zanim decyzya stanowcza zapadła, zawarła Rosya z Prusami (dnia 13. stycznia 1793. roku) konwencyą w sprawie polskiej bez zawiadomienia Austryi i w dwa tygodnie później zajęli już Prusacy Poznań i Toruń i zaczęli blokować Gdańsk.

Oburzenie z tego powodu było w Wiedniu wielkie; cesarz Franciszek II. odebrał Cobenzlowi ster polityki zagranicznej i powołał na jego miejsce Thuguta, ten jednak — mimo najlepszych chęci — nie mógł już złemu zapobiedz. Nieudolność austryackich mężów stanu zgotowała monarchii klęskę znaczną i niemałe upokorzenie. Austrya wychodziła z całej tej sprawy, wskutek chwiejnej polityki Cobenzla, bez korzyści, a z nadwerężeniem własnego honoru, którego bronił stary Kaunitz zaszczytnie względem opuszczonej Polski i zachłannych Prus. Jedna tylko konfederacya targowicka mogła w tej chwili iść w zawody z niezręcznością dyplomatów wiedeńskich. Ufna w wspaniałomyślne za-

miary imperatorowej, była ona głucha i ślepa na wszystko, co się około niej działo. Kiedy Byszewski dnia 5. grudnia donosił o przygotowaniach do okupacyi pruskiej, pochwalił Szczęsny generałowi „czułość w doniesieniu wieści“, pozwolił mu nawet odpierać wojska pruskie, pogłoskom jednak nie dawał wiary, o ile, że „Rzeczpospolita jest w nierozerwanej przyjaźni i związkach z sąsiedniemi potencyami, a w kilka tygodni później wydał odezwę do wojska, pełną jak najlepszej na przyszłość otuchy. „Rok się zaczyna z nadzieją — tak pisał — że Rzeczpospolita, ojczyzna nasza, na trwałych pozostanie fundamentach“. Jaskrawą illustracyą tych zapewnień był ukaz Katarzyny II. z dnia 19. grudnia 1792. roku, mówiący obszernie o nowym rozbiorze i polecający zabrać artyleryą polską, zostawioną bez assekuracyi w Bracławiu, Krasnem i około Kamieńca, jakoteż nota Buchholtza (z dnia 16. stycznia 1793. r.), w której poseł pruski donosił kanclerzowi Małachowskiemu o wkroczeniu Möllendorfa z siłą „przyzwoitą“ do Wielkopolski, w celu zahamowania „ducha demokratyzmu francuskiego“.

Wiadomość o tym nowym gwałcie poruszyła cokolwiek Targowiczan. Kossakowski powołał wszystkich oficerów, aby się stawili do swoich korpusów, Szczęsny powtórzył ten rozkaz, polecił zakupywać konie dla wojska i wyprawić z warszawskiego arsenału 20 armat do dywizyi wielkopolskiej, wreszcie — umywając ręce od wszystkiego — zdał komendę nad wojskiem hetmanowi Rzewuskiemu. Rzewuski wziął się także z początku energicznie do dzieła i przysłał rozkaz Ożarowskiemu, aby wyprawił do Łowicza pułk Działyńskiego z artyleryą, ale spóźnionym tym zabiegom położyła kres interwencya rosyjska. Imperatorowa, rozrządzając się już w Polsce jak w własnym kraju, powierzyła naczelne dowództwo w województwach ruskich Kreczetnikowowi, na Litwie, w Wielkopolsce i Małopolsce Igelströmowi. Równocześnie miejsce Bułhakowa miał zająć Sievers, wtajemniczony najzupełniej w plany petersburskiego dworu, udający jednak, że nic nie wie o konwencyi z Prusami. W Grodnie, dokąd przybył w pierwszych dniach lutego, zastał on takie oburzenie na Prusaków, że obawiał się ogólnej konfederacyi i — aby temu przeszkodzić — łudził Polaków nadziejami pomocy z Petersburga. Bałamuctwo to wykryło się jednak natychmiast, gdy Igelström oświadczył Ożarowskiemu, że siłą powstrzyma marsz pułku Działyńskich do Łowicza. Mimoto oddawano się ciągle jeszcze złudzeniom. Król oczekiwał przybycia Sieversa, który tę „enigmę“ miał rozwiązać i wyglądał odpowiedzi na list swój do imperatorowej, wysłany dnia 25. stycznia.

Tak jak przed przystąpieniem swojem do Targowicy, kiedy w uniżonych wyrazach błagał Katarzynę o zawieszenie broni i podsuwał jej projekt wyniesienia na tron polski carewicza Konstantego, tak i obecnie — po deklaracyi pruskiej — przemawiał za przyłączeniem całej Polski do Rosyi i gotów był złożyć koronę pod warunkiem, że długi jego będą zapłacone i że wraz z rodziną i służbą swoją przyzwoite otrzyma zaopatrzenie. Wszystkie te nadzieje rozwiały się jak mgła. Prusacy zajęli dnia 24. stycznia Toruń, następnie Poznań i Wschowę, otoczyli wreszcie Gdańsk, broniący do ostatniej chwili swojej niezależności. Nawet ograniczone głowy Targowiczan pojęły wkońcu grozę po-

łożenia i konfederacya ogłosiła dnia 11. lutego uniwersał, zwołujący pospolite ruszenie; ostra nota Sieversa powstrzymała jednak te niewczesne zapały. Odwoławszy więc akt rozpaczliwy i złożywszy całą nadzieję swoją i Rzeczypospolitej w „wielkomyślności Katarzyny“, uznał Szczęsny, że rola jego skończona i na pierwsze wezwanie carowej, która chciała go wyratować z przy-

Generał Karol Kniaziewicz.

krego położenia, pojechał do Petersburga i — mianowany generałem rosyjskim — powrócił stamtąd dopiero po ostatnim rozbiorze kraju. Godny wspólnik jego, Ksawery Branicki, złożył na rozkaz imperatorowej buławę (dnia 21. lutego) i przyjął poddaństwo moskiewskie. Rzewuski napisał list z wyrzutami do Katarzyny i wyjechał także zagranicę, zostawiając komendę nad wojskiem Ożarowskiemu.

Tak w chwili stanowczej Rzeczpospolita, pozbawiona obrońców, była wydana na łup chciwych sąsiadów. Przywódzcy patryotycznego stronnictwa, jak: Małachowski Stanisław, Potocki Ignacy, Kościuszko, książe Józef, nawet Kołłątaj, mimo akcesu swego do konfederacyi targowickiej, prześladowani sancitami Targowiczan, lub oburzeni na to, co się w kraju działo, szukali schronienia zagranicą, a król, długami obarczony, pełen troski o los własny i swojej rodziny, pisał listy rozpaczliwe do króla angielskiego, lub silił się na odparcie zarzutów jakobinizmu, sądząc naiwnie, że ten argument rzeczywiście był jednym z powodów okupacyi pruskiej.

Wypadki tymczasem rozwijały się szybko; Prusacy oblęgli Częstochowę, zmusili Gdańsk do kapitulacyi i dnia 25. marca ukazał się patent okupacyjny pruski, w kilka dni później „publikacya“ Kreczetnikowa. Na złożenie przysięgi wiernopoddańczej, czyli t. zw. „homagium“, wyznaczyli zaborcy dzień 3. maja. W ten sposób przechodziły pod panowanie pruskie: Gdańsk z Toruniem, województwo poznańskie, gnieźnieńskie kaliskie, sieradzkie, Częstochowa z ziemią wieluńską, województwo łęczyckie, kujawskie, ziemia dobrzyńska, województwo rawskie i płockie; Rosya zabierała: Inflanty, województwo mińskie, Polesie, większą część Wołynia, Podole i Ukrainę.

Wypadało teraz tylko zabory te usankcyonować i — tak jak przy pierwszym rozbiorze — uzyskać zatwierdzenie sejmu i króla.

W tym celu postanowiono zwołać sejm nie do patryotycznej i jakobinizmem rzekomo podminowanej Warszawy, lecz do potulnego Grodna, gdzie pod bagnetami rosyjskiemi łatwiej można było dokonać gwałtu na zdeptanym i skrępowanym narodzie. Stanisław August po pewnym oporze, naciśnięty przez Sieversa i imperatorową, która mu przyrzekła zabezpieczyć przyzwoite utrzymanie i tron,[1]) zdecydował się nareszcie na krok stanowczy i dnia 4. kwietnia wyjechał do Grodna pod eskortą rosyjską, otrzymawszy od Sieversa pieniądze na podróż. Mniej powolną okazała się konfederacya targowicka, gdzie po odjeździe Szczęsnego piastował laskę marszałkowską znany z wielkiego sejmu Michał Walewski, wojewoda sieradzki. Tak on, jak i Kossakowscy, którzy dalej na Litwie chcieli gospodarować, sprzeciwili się zwołaniu sejmu, ale wola Sieversa zwyciężyła. Walewski, protestując przeciw przywróceniu Rady Nieustającej i instytucyj z roku 1772., ustąpił marszałkowstwa Antoniemu Pułaskiemu, nikczemnemu służalcowi Rosyi, Rada Nieustająca, złożona z najpodlejszych kreatur, zajęła miejsce u boku króla, który podpisał uniwersał, zwołujący sejm na dzień 17. czerwca do Grodna.

Zbierał się ten ostatni sejm polski wśród podobnych warunków, jak w roku 1773. Od udziału w nim usunęły się wszystkie lepsze żywioły; z biskupów koronnych przybył tylko jeden świeżo mianowany biskup chełmski Skarszewski. Nawet ministrowie, Rosyi przychylni, nie chcieli spełniać roli grabarzów ojczyzny. Chreptowicz wyjechał do wód zagranicznych, kanclerz Jacek Małachowski złożył pieczęć, którą zaledwie przyjął książe Antoni Sułkowski. Mniszech, marszałek wielki koronny, jakkolwiek powolny wszelkim

[1]) Kalinka: „Dokumenta etc.“, str. 78.

rozkazom Targowicy, musiał na życzenie Katarzyny oddać laskę Fryderykowi Moszyńskiemu, marszałkiem litewskim — po proskrybowanym Ignacym Potockim — został Ludwik Tyszkiewicz. Wybory odbyły się z pogwałceniem jawnem wolności i form prawnych. „Posłowie — tak pisał Stanisław August — wszyscy pod bagnetami, a wielu też za pieniądze moskiewskie było obranych. Ledwie dziesiątą część ich znam, do żadnego nie gadam, ani posyłam. Cudem właśnie widzę w nich stałość, odwagę, a nawet roztropność i mowę". I rzeczywiście wśród gromady zaprzedańców znalazła się w tem opłakanem położeniu garstka nieustraszonych niczem obrońców wolności.

Pomimo, że Grodno było otoczone wojskiem rosyjskiem, rozłożonem w czterech obozach, pomimo, że Sievers nie szczędził gróźb i gwałtów, a większość Izby — bezwzględnie mu oddana — wypełniała pokornie wszelkie rozkazy ambasadora, przyszło już na pierwszej sesyi do ostrego starcia, kiedy wybrany marszałkiem Stanisław Bieliński usunął arbitrów z sali sejmowej. Wtedy kazał Sievers aresztować kilku śmielszych mowców, ale nie złamał tem wcale opozycyi. Podniosła ona głos swój nanowo przeciw wyborowi delegacyi do traktowania z mocarstwami rozbiorowemi, a i sam król — dotąd potulny — oświadczył: „Trwam w zamiarze nieprzykładania się w żaden sposób do ustąpienia kraju nam zabranego w ufności, że sejmujące stany w równem ze mną w tej mierze zostawać będą przedsięwzięciu".

Ale jeżeli protestacya poselska z szczerych pochodziła pobudek i miała na celu obronę całości kraju, to polityka królewska innemi kierowała się względami. Łudził się Stanisław August, a z nim razem i większość sejmowa, że czyniąc zadość żądaniom Rosyi i uciekając się pod opiekę Katarzyny, będzie można albo uniknąć zaboru pruskiego, albo też ograniczyć go do znacznie mniejszych rozmiarów. Przekonanie o przychylności imperatorowej dla Polski zawróciło do tego stopnia głowy wszystkim, że Kossakowscy czynili starania w Petersburgu o unią Rzeczypospolitej z Moskwą, a król gotów był do złożenia korony, aby połączenie to ułatwić. W tym duchu też postawił Bieliński w Izbie wniosek, aby wybrać delegacyą tylko do traktowania z Rosyą, co za zgodą królewską przyjął sejm większością 107 głosów (przeciw 24). Opozycya, jakkolwiek pobita, nie dała jednak za wygraną, i kiedy Izba miała układać instrukcyą dla delegacyi, zażądała, aby wykluczyć z niej wszelkie rozprawy nad odstąpieniem krajów polskich. Następują potem nowe aresztowania posłów; Sievers nakłada sekwestr na dobra Tyszkiewicza i Ogińskiego, wstrzymuje wypłatę dochodów królewskich i temi gwałtami wyciska na sejmie uchwałę instrukcyi nieograniczonej, większością 74 głosów (przeciw 59).

Delegacya, do której wchodzą ludzie tacy, jak biskupi: Kossakowski i Massalski, Ożarowski, Pułaski, Miączyński i znany sekretarz delegacyjny z czasów Ponińskiego Drewnowski, przedkłada dnia 15. lipca sejmowi traktat podziałowy z Rosyą.

W Izbie zrywa się straszna burza, ale Łobarzewski, poseł czernichowski, czyni wniosek, aby delegacyą upoważnić do podpisania układu. Dalsze aresztowania opozycyjnych posłów i szczelne zamknięcie Grodna przez wojska rosyjskie zmusza wreszcie Izbę do przyjęcia wniosku Łobarzewskiego. Delegacya

podpisuje traktat z Rosyą dnia 22. lipca, ale zarazem uchwala sejm, wezwać „wspaniałomyślną imperatorowę“ o zaopiekowanie się Polską przeciw wiarołomnym Prusom i wyprawia z tem żądaniem Szymona Kossakowskiego do Petersburga.

Nowe to złudzenie pomocy rosyjskiej podtrzymują przez czas pewien łagodniejsze noty Sieversa, zadowolonego z podpisania traktatu, misya Kossakowskiego atoli wydaje się trzeźwiejszym z góry już daremną; król mniema, że Sievers „przyprze ostatnim gwałtem sejm do cesyi dla Prusaka“. Jakoż stało się tak, jak przewidywał. Pod naciskiem rosyjskim upoważnia Izba delegacyą do układów z Buchholtzem o traktat handlowy, z wyłączeniem wszelkiej cesyi terytoryalnej lub miast portowych, a gdy Buchholtz na pierwszem miejscu stawia uznanie nowych zaborów, odwołuje się delegacya do sejmu. Opozycya, pochwalając oczywiście postąpienie delegacyi, żąda zerwania układów z posłem pruskim, ale w łonie sejmu znajduje się poseł gostyński Włodek, który wnosi pominięcie formalności tego rodzaju, a popiera go groźną notą Sievers i obszerną mową sam król. Wniosek Włodka przechodzi 63 głosami (przeciw 26).

Tymczasem odbiera Sievers z Petersburga ratyfikowany tam traktat podziałowy rosyjski i przedkłada go do zatwierdzenia sejmowi. Napróżno występują przeciw ratyfikacyi posłowie: Szydłowski, Karski, Kimbar, Mikorski i Krasnodębski, napróżno woła pierwszy z nich: „Niech przynajmniej cnota przy nas zostanie, niech ten głos da się słyszeć w Europie, że Polacy bezsilni, uciśnieni, ale cnotliwi i nieustraszeni, nie chcieli ziomków swych obcemu poddać panowaniu“, Izba przyjmuje wniosek Ankwicza o ratyfikacyi i rozwiązuje temsamem ręce zupełnie Sieversowi, który teraz — mając już traktat gotowy w zanadrzu — może całą siłą popierać pretensye pruskie.

W dziesięć dni potem przedstawia delegacya sejmowi projekt układu z Prusami. Wywołuje on najgwałtowniejszą w Izbie opozycyą. Nienawiść do Prus jest tak powszechna, że wniosek Szydłowskiego — aby zerwać układy z Buchholtzem — przyjmuje sejm jednomyślnie, a wszelkie groźby Sieversa żadnego nie odnoszą skutku. Wtedy decyduje on się (2. września) na krok stanowczy. Dwa bataliony z armatami otaczają zamek, nie wypuszczając nikogo, nawet służby królewskiej, do sali sejmowej wchodzi kilkunastu oficerów rosyjskich, obok tronu zasiada generał Rautenfeld, ambasador oświadcza w groźnej nocie, którą odczytano na początku sesyi w Izbie, że nikt z posłów oddalić się nie może, dokąd nie zostanie uchwalonem zlecenie deputacyi, do traktowania z Buchholtzem wyznaczonej, aby podpisała podziałowy traktat z Prusami. Dla upozorowania gwałtu zaś donosi, że istnieje spisek na życie królewskie i że oficerowie skutkiem tego mają rozkaz rewidować każdego posła, wchodzącego do sali.

Na takie bezprzykładne w dziejach pogwałcenie praw i wolności podnoszą się w Izbie krzyki oburzenia; Szydłowski wzywa króla, aby zaprzeczył kłamliwym wieściom o zamachu, inni domagają się solwowania sesyi. Król wysyła delegacyą do Sieversa z oświadczeniem, że sesyi tak długo zagajać nie będzie, dokąd „asystencya obca, o którą i myśli nie miał prosić, nie odej-

dzie“. Ambasador godzi się wprawdzie na oddalenie oficerów z Izby, z wyjątkiem Rautenfelda, ale powtarza raz jeszcze, że żadnego z posłów nie wypuści, ani królowi z tronu ruszyć się nie pozwoli.

Odbywa się następnie sesya, trwająca od 8-mej godziny wieczorem do 3-ciej zrana i wkońcu sejm uchwala na wniosek posła wołyńskiego Podhorskiego, podpisanie traktatu podziałowego z Prusami z tą tylko zmianą, że układ ma poprzedzić umowa handlowa, a cały akt będzie poddany pod gwarancyę Rosyi. Za tem oświadcza się 59 głosów (przeciw 26).

Drugi rozbiór Polski, dokonany przemocą, urągającą wszelkim pojęciom sprawiedliwości, staje się więc faktem. Ci sami, co z takiem oburzeniem wyrażają się o teroryzmie Jakobinów i nie mają dość słów na potępienie morderców Ludwika XVI., depcą z najzimniejszą krwią naród pokonany dla nasycenia swojej chciwości, zrywają samowolnie własne zobowiązania, gwarantujące całość Rzeczypospolitej i z niezrównaną bezczelnością usiłują przedstawić akt gwałtu jako dzieło, mające na celu uszczęśliwienie Polaków. „Co najbardziej — tak brzmi okupacyjny patent pruski, urągający wszelkim zasadom gramatyki i stylu polskiego — bojaźń mocarstw graniczących wzbudzać musiało, to ów duch buntowny (!), coraz bardziej w Polsce się rozszerzający, a widoczna influencya, którą owe straszliwe zamyślenie otrzymało (!), przez któreby wszystkie związki cywilne, polityczne i religii rozerwane, obywatele polscy wszystkim strasznym anarchii konsekwencyom wystawieni i w nędzę bez końca wrzuceni byli“.

Zdawało się, że po tak ciężkich przejściach, po wyczerpaniu wszelkich środków, jakie mocarstwom rozbiorowym przemoc dawała, będzie mógł sejm odetchnąć swobodniej i zająć się ułożeniem ustawy dla uszczuplonego w granicach swoich państwa. Żądano tego wyraźnie w Petersburgu i już od dłuższego czasu pracował Sievers z oboma marszałkami (Moszyńskim i Tyszkiewiczem) nad nową organizacyą Rzeczypospolitej, zasięgając co chwila zdania carowej i rosyjskich ministrów. Wybór deputacyi ustawodawczej był zatem tylko czczą formą i słusznie pytał Mikorski: „Po co nas trzymacie? Po co te deputacye? Niech poda ambasador, co jeszcze zatwierdzić mamy, większość podła zatwierdzi i rozjedziemy się“.

W istocie jednak miała się rzecz inaczej, bo za kulisami toczyła się walka pomiędzy królem i jego stronnictwem, a wegetującą dotąd jeszcze Targowicą. A że tak jak we wszystkiem zresztą tak i tu roztrzygała wola imperatorowej, więc obie partye szukały poparcia w Petersburgu. Kossakowscy, którym najwięcej na utrzymaniu konfederacyi zależało, bo z jej upadkiem ustać musiały ich zdzierstwa i wyzyski, uciekli się pod protekcyę wszechwładnego Zubowa, zamierzonego celu jednak dopiąć nie mogli. Katarzyna, uspokoiwszy Polskę po swojemu, nie potrzebowała pomocy Targowiczan, przeciwnie, pragnąc naród ujarzmiony zupełnie zjednoczyć z Rosyą, uważała za stosowne poświęcić swoich przyjaciół słusznemu oburzeniu Polaków. Dnia 15. września więc rozwiązano konfederacyą targowicką i ustanowiono natomiast konfederacyą grodzieńską, wiążącą się przy religii katolickiej, wolności i bezpieczeństwie „uszczuplonej posesyi aktualnej“.

Ale nadzieje, jakie przywiązywano do tego pozornego ustępstwa ze strony Rosyi, były tylko nowem złudzeniem. Dopuszczono do ustanowienia deputacyi, która badała nadużycia i przeniewierstwa Targowiczan, król sam zaskarżył kilkaset t. zw. sancitów konfederackich, poseł sandomierski Gosławski wypowiedział w Izbie mowę, potępiającą dosadnie całe działanie Szczęsnego i jego towarzyszy, wśród tego jednak spadło jak grom żądanie Buchholtza, aby sejm ratyfikował traktat podziałowy z Prusami, nie czekając na ukończenie negocyacyj handlowych i gwarancyą rosyjską. Notę pruską poparł Sievers, a kiedy pomiędzy posłami na ten nowy gwałt słuszne powstało oburzenie, aresztowano i wywieziono z Grodna najwybitniejszych członków opozycyi sejmowej: Szydłowskiego, Krasnodębskiego, Mikorskiego i Skarzyńskiego. Było to przygotowanie do stanowczego zamachu w dniu 23. września. Tak jak przed trzema tygodniami otoczyło wojsko rosyjskie salę sejmową, generał Rautenfeld zasiadł przy królu, a ambasador silił się w bezczelnej nocie usprawiedliwić gwałt dokonany na posłach zarzutami jakobinizmu i najpospolitszemi plotkami. Gdy dwa poselstwa, wysłane przez Izbę z żądaniem uwolnienia posłów, żadnego nie odniosły skutku, uczynił Raczyński wniosek, aby sejm wysłuchał projektu ratyfikacyi bez głosowania i bez dyskusyi. Po czterech godzinach strasznego oczekiwania i po groźbie Rautenfelda, że wojsko wtargnie do Izby, odczytano projekt, a ponieważ nikt głosu nie zabierał, uznano go jako przyjęty.

Po tym ostatnim i najjaskrawszym gwałcie nastąpiły dwa miesiące względnego spokoju i nadzwyczajnej ze strony Sieversa łaskawości. Sejm, zgnębiony i steroryzowany, załatwiał machinalnie niemal projekta, jakie mu przedkładano. Dnia 25. września podpisała delegacya traktat z Prusami, dnia 14. października przymierze z Rosyą. Było ono w tych warunkach oczywiście niczem innem, jak tylko poddaniem Rzeczypospolitej pod władzę tryumfującego caratu.

Polska nie mogła zawierać traktatów lub przymierza bez wiadomości i zezwolenia Rosyi; oba państwa gwarantowały sobie wzajemnie swoje posiadłości i miały ich bronić całą swoją potęgą; szlachta polska i rosyjska używały równych praw tak w carstwie jak i w królestwie. Słusznie wołała opozycya, że to pactum subiectionis, ale Sievers mówił: „Trzeba, żebyście podpisali ten (traktat), inaczej nie będziecie mieli żadnego; a gdy nie będziecie mieli aliansu z nami, my was zasłaniać nie będziemy od wszelkich weks i wiarołomstw, które tylko będzie się Prusakom podobało z wami wyrabiać“.

Ostatni dzień sesyi sejmowej przeznaczono na roztrząsanie projektu nowej ustawy rządowej, a że niepodobna było tak ogromnego materyału przedyskutować wciągu kilku godzin, więc przyjęto go bez rozpraw 87 głosami (przeciw 8). Nie wdając się w szczegółowy rozbiór tej pracy kodyfikacyjnej, która zaledwie przez kilka miesięcy obowiązywała, zaznaczyć należy, że opierała się ona w znacznej części na ustawach czteroletniego sejmu, tylokrotnie potępionego przez Targowiczan i Katarzynę. Rozciągnięto więc na mieszczan prawo, szlachcie tylko przysługujące: neminem captivabimus, odjęto dziedzicom

prawo życia i śmierci nad chłopem, przyznano królowi veto w ważnych wypadkach, zaprowadzono system większości przy głosowaniu w sejmach, wykluczono szlachtę nieosiadłą od udziału w sejmikach i przywrócono komisye porządkowe wojewódzkie. Wobec tego dziwnie cokolwiek brzmi wstępna deklaracya, znosząca reformy sejmu wielkiego.

Z nowem uszczupleniem granic Rzeczypospolitej zmniejszyć się musiały także i dochody skarbowe, niewystarczające już teraz na utrzymanie 65-tysięcznej armii. Ustanowiono więc budżet wspólny w wysokości 18,000.000 złotych polskich i zredukowano — na wniosek Łobarzewskiego — ilość wojska do 15.449 głów.

Wybór Rady Nieustającej, gdzie marszałkiem stanu rycerskiego został Józef Ankwicz, poseł krakowski, znany z uległości swojej dla Sieversa, zakończył czynności pamiętnego sejmu grodzieńskiego.

Powstanie narodowe w roku 1794. — Emigracya. — Poselstwo Kościuszki. — Ogłoszenie insurrekcyi. Klęska drugiego podziału była dla społeczeństwa polskiego sroższym o wiele ciosem, niż katastrofa z roku 1773. Po 20-tu latach spokoju, powolnego lecz statecznego dźwigania się na polu ekonomicznem i umysłowem, po dokonaniu reform doniosłych, po tylu ofiarach, które nieprzewykłemu do nich narodowi wydawały się szczytem poświęcenia, spadał na Rzeczpospolitę grom, niweczący wszystkie nadzieje, druzgocący za jednym zamachem całowiekową pracę cywilizacyjną piastowskiej i jagiellońskiej epoki, niepozostawiający Polsce nic więcej oprócz czczego imienia i pozorów niezawisłej egzystencyi. Nastąpił zatem niebywały jeszcze upadek ducha w narodzie, objawiający się u jednych bezgraniczem upodleniem, u drugich rozpaczą i zupełnem zwątpieniem. Naiwni politycy szlacheccy, zdradzeni przez „pomazańca boskiego“ z nad Sprei i zawiedzeni przez „wspaniałomyślną monarchinią“, spoglądali w osłupieniu na tryumf gwałtu, przemocy i cynizmu, tracili wiarę w siebie, w ludzi i w Boga. Jednym więc pękały serca z nadmiaru boleści i kładli się do grobu, drudzy, w czarnej pogrążeni melancholii, kończyli dni swoje w obłąkaniu, inni w kielichu szukając zapomnienia, pijanemi usty bluźnili Opatrzności, a większość, tłum pospolity i bezmyślny, bił czołem przed nowymi panami, gdy Bóg o nim zdawał się zapominać, zapalał świeczkę dyabłu, wznosił toasta na cześć Katarzyny, obok toastów dla „najmiłościwiej“ panującego Stanisława Augusta.

Zdala od tych orgij szalonych, wzbudzających wstręt i obrzydzenie, na obcej ziemi, w niedoli i niedostatku, gromadzili się tymczasem twórcy konstytucyi 3-go maja i patryoci, dotknięci proskrypcyą Targowiczan. Schronieniem ich był Lipsk, niezbyt oddalony od granic polskich i jako ognisko handlowe ułatwiający stosunki z krajem. Znaleźli się tu niebawem: Ignacy, Jan i Stanisław Potoccy, Piattoli, Weyssenhof, Sołtan, Michał Zabiełło, nadjechał wreszcie na początku października Kołłątaj, który z początku wraz z królem przystąpił do Targowicy, łudząc się nadzieją uratowania w ten sposób ojczyzny od drugiego rozbioru, a następnie, gdy spostrzegł błąd swój i gdy go Targowiczanie prześladować zaczęli, umknął zagranicę i teraz wraz z innymi rozbitkami przemyśliwał nad ocaleniem Rzeczypospolitej od zupełnego upadku.

Do tej kolonii tułaczej przyłączył się jeden z ostatnich Kościuszko. Opuściliśmy go wtedy, kiedy wraz z innymi oficerami podał się do dymisyi, kiedy — idąc za głosem serca i przekonania — gotów był złożyć rangę generał-lejtnanta i szefostwo 4. pułku buławy polnej, przynoszące razem około 50.000 złotych polskich rocznego dochodu. Dla ubogiego i obdłużonego właściciela małych Siechnowicz była to oczywiście ofiara bardzo znaczna, stokroć znaczniejsza niż owe szumnie niegdyś głoszone i tysiącznemi pochwałami na sejmie obsypywane dary Szczęsnego Potockiego. Narazie jednak nie przyszło do dymisyi. Wstrzymał się z nią sam Kościuszko, aby wyjednać zasłużonym oficerom swoim awanse i nagrody. Dopiero, kiedy Targowica, kierując się uczuciem niskiej zemsty, wydała zakaz noszenia krzyżów wojskowych z napisem Virtuti militari, a Kachowski zaczął rozdzielać armię polską pomiędzy oddziały rosyjskie, aby ją zupełnie ubezwładnić, napisał Kościuszko list do Szczęsnego i niebawnie potem — zebrawszy wszelkie fundusze, jakie mógł mieć (około 34.000 złotych polskich) — wyjechał do zaboru austryackiego, do Sieniawy, do Lwowa, a wkońcu do Zamościa.

Poprzedzony sławą czynów wojennych, która imię jego już po całym rozniosła świecie, był on przedmiotem nieskończonych owacyj i festynów. W Wysocku, w domu Czartoryskich, obchodzono wspaniale jego imieniny, we Lwowie, gdzie złożył wizyty gubernatorowi hr. Brygido i naczelnie komenderującemu generałowi, przesadzano się w głośnych owacyach, swatano go z rozmaitemi damami wielkiego świata, Kossakowska ofiarowała mu dobra swoje w Koronie, przynoszące 20 000 złotych polskich dochodu, od czego jednak skromnie się wymówił, księżna Wirtemberska wreszcie nakreśliła znaną jego sylwetkę z podpisem: „Tadeusz Kościuszko dobry y waleczny, lecz nieszczęśliwy“.

Ta popularność bohatera z pod Dubienki nie mogła się podobać oczywiście ani władzom rosyjskim ani austryackim i niebawnie też nadszedł do Zamościa rozkaz od komenderującego w Galicyi generała Wurmsera, polecający Kościuszce, aby w przeciągu 12-tu godzin opuścił kraje cesarskie. Z ciężkiem sercem wyjechał on więc pod przybranem nazwiskiem „barona Biedy“ na Kraków do Wrocławia i w ostatnich dniach roku 1792. stanął w Lipsku, gdzie zastał całą kolonię polską, przygnębioną srodze wiadomościami o rozpaczliwem położeniu Rzeczypospolitej. Kołłątaj, który do niedawna jeszcze łudził się nadzieją, że Targowica będzie się starała kraj od klęski rozbioru uratować, widział już teraz jasno, że oddała ona Polskę w jarzmo moskiewskie, aby za to zyskać „moc rządzenia krajem, zdzierania, zbogacenia siebie i łotrów adherentów swoich“. W takim składzie rzeczy nie było nic naturalniejszego, jak szukać pomocy tam, gdzie największa ku mocarstwom rozbiorowym panowała nienawiść, skąd dochodziły wzniosłe hasła o wolności i bohaterstwie ludów.

Zdradzeni i rozdarci przez „pomazańców Bożych“ zwracali więc twórcy konstytucyi 3-go maja oczy swoje z ufnością ku tej republikańskiej Francyi, która w śmiertelnych zapasach z monarchiczną Europą i pozbawiona sprzymierzeńców, powinna była w własnym interesie — jak się zdawało — ratowca

od ostatecznej zguby naród polski, gnębiony przez tych samych wrogów, co i francuskiej zagrażali wolności. Myśl tę nasuwały i dawniejsze przyjazne związki Francyi z Polską i świeże oddziaływanie rewolucyi francuskiej na rozwój wypadków w Warszawie, niepokojące tak bardzo dwór petersburski i berliński. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że i ruch mieszczański w Warszawie, kierowany przez Dekerta i inne tego rodzaju objawy przypisać należy poczęści przykładom, wziętym z Wersalu i z Paryża, które dzienniki współczesne, jak „Pamiętnik“ Świtkowskiego, „Gazeta narodowa i obca“ i „Gazette de Varsovie“ skwapliwie do publicznej podawały wiadomości. Ci, co przyjmowali tak łatwo zasady Roussa, co z zamiłowaniem rozczytywali się w dziełach Voltaire'a, nie mogli być przecież obojętni na nowe objawy ruchu umysłowego i społecznego nad Sekwaną.

Stanisław Potocki więc zachwycał się w broszurce alegorycznej nad zwycięstwami rewolucyi francuskiej, posłowie czteroletniego sejmu i obywatele warszawscy założyli klub polityczny, który odbywał posiedzenia swoje w pałacu radziwiłłowskim, nawet służący z domów zamożniejszych wnieśli prośbę, aby im wolno było uorganizować „regestr przyjaźni“ wcelu zbierania składek na zapomogi dla niemających zajęcia, na szpital dla chorych i grzebanie zmarłych ubogich.

Jeżeli Stanisław August, widząc na memoryale podpisy lokajów Bułhakowa, wietrzył w tej robocie intrygę moskiewską i klub ów rozwiązać kazał, to przeciwnicy nowej ustawy upatrywali w każdym śmielszym ruchu społecznym widmo strasznej rewolucyi, która „jednych wymorduje, a drugich wyżenie haniebnie“.

Obawy tego rodzaju głosili w pismach ulotnych późniejsi Targowiczanie, wypowiedział je publicznie w Izbie sejmowej prymas, zgorszony prześladowaniem Kościoła we Francyi, podawał do wiadomości dworu swego Bułhaków, aby działanie patryotów w oczach imperatorowej tem bardziej zohydzić i jako zgubny owoc zasad rewolucyjnych przedstawić. Rozdrażnienie, panujące w kołach ultra-konserwatywnych, powiększył jeszcze znacznie Descorches, nowy poseł francuski, który prymasowi wizyty nie złożył i tytułu „Altesse“ przyznać nie chciał, i Włoch Mazzei, były rezydent polski w Paryżu, popierający sprawę włościańską w sejmie.

Nic dziwnego zatem, że Targowica od pierwszej chwili swojego istnienia uderzyła zapamiętale na całą reformę czteroletniego sejmu, jako na dzieło rewolucyjne, że z szczególniejszą zawziętością prześladowała t. zw. „klopistów“, obwiniając bezczelnie patryotów o zamiar wywrócenia ołtarza i tronu.

Wszystkie te zarzuty odbiły się w kilka miesięcy później w manifestach pruskich i moskiewskich, które — dla usprawiedliwienia gwałtów w Polsce dokonanych — pomawiały twórców konstytucyi o jakobińskie zasady i przedstawiały akt rozbioru jako ocalenie ładu i porządku w kraju, podminowanym przewrotnemi zasadami.

Nie potrzebujemy dowodzić chyba, jak przewrotne i kłamliwe były podejrzenia tego rodzaju, gdy sejm czteroletni nie do wywrócenia, lecz do umocnienia tronu i władzy królewskiej zmierzał, a w kwestyach religijnych trzymał

się wiernie tradycyi narodowej. Z tego powodu też nie znalazła konstytucya 3-go maja zupełnego w Paryżu uznania, jako dzieło zanadto duchem konserwatywnym i monarchicznym przejęte, ale interes polityczny skłaniał republikanów francuskich do zajęcia życzliwego względem Polski stanowiska. W Paryżu wiedziano dobrze, jak gorliwie pracowała Katarzyna nad utworzeniem koalicyi i jaką nienawiścią pałała przeciw republice. Wydalenie Descorches'a z Warszawy, ściganie domniemanych lub rzeczywistych ajentów francuskich w Polsce, nowe ustawy, nakazujące wszystkim Francuzom, przebywającym w krajach polskich, składać przysięgę na wierność Ludwikowi XVIII., wszystko to miało początek i źródło swoje w Petersburgu. Instynkt zachowawczy zalecał więc Francuzom politykę przyjazną względem mocarstw, przez Rosyą pokonanych i pokrzywdzonych.

W tym duchu działał Descorches, przeniesiony do Konstantynopola, opiekując się emigrantami polskimi i podburzając Turków do wojny z Rosyą; z drugiej strony robiono sobie także pewne nadzieje co do Szwecyi, chociaż wszystkie te kombinacye były — jak się pokazało później — tylko złudzeniem. Ale na początku roku 1793. wierzono jeszcze w powodzenie dyplomatycznych zabiegów i w Paryżu i w Lipsku, Kołłątaj — najbystrzejszy z polityków polskich — przewidywał nadto zwycięstwo Francuzów i mniemał, że natenczas „wszystek lud wygra i przerwane zostaną więzy w całej Europie".

Trzymając się tej myśli należało przeto zwrócić się przedewszystkiem — mimo wstrętu do Jakobinów i całego ich okrucieństwa — tam, skąd jedynie pomocy można się było spodziewać, należało wysłać do Paryża kogoś, kto stanowiskiem swojem i przeszłością mógł budzić pewne zaufanie w republikanach francuskich. Nadawał się do tego właśnie Kościuszko, obrońca wolności amerykańskiej, towarzysz broni Lafayetta, świeżo przez Narodowe Zgromadzenie Prawodawcze — na wniosek Żyrondysty Guadeta — zaszczycony tytułem „obywatela Francyi", razem z Washingtonem, Szyllerem, i Pestalozzim, i znany w kołach rządzących w Paryżu z wielce pochlebnych dla niego relacyj posła Descorches'a.[1])

Dwa tygodnie trwały narady w Lipsku nad tą ważną misyą, wreszcie około połowy stycznia roku 1793. wyjechał Kościuszko do Paryża w towarzystwie Eustachego Kołłątaja, bratanka podkanclerzego, poprzedzony listem agenta francuskiego Perandier'a i zaopatrzony w dwa memoryały, z których jeden wyjaśniał stan Polski, drugi jej stosunek do Rosyi i Prus.

Podług niezupełnie dokładnych wiadomości, jakie posiadamy, miał Kościuszko zasięgnąć u ministra spraw zagranicznych informacyj co do stanu rokowań z Turcyą i Szwecyą, względem wypowiedzenia wojny Rosyi, żądać — na wypadek, gdyby wojna pewną była — pomocy dla Polaków, którzy pragną podnieść powstanie, wrazie zaś przeciwnym domagać się, aby Konwencya ogłosiła deklaracyą przeciw wydaleniu Descorches'a z Warszawy, piętnując ten

[1]) Dembiński Br.: „Materyały do życia Kościuszki". Kwartalnik historyczny z r. 1897. Str. 793.

krok jako pogwałcenie praw międzynarodowych i oświadczając zarazem, że uzna i uznawać będzie tylko Polskę wolną i niezawisłą, a nie konfederacyą targowicką i uzurpatorów władzy naczelnej Szczęsnego Potockiego i Sapiehę. Ponieważ zaś rzeczpospolita francuska wypowiedziała wojnę tyranom, słusznem więc byłoby, aby żądała od nich niepodległości i całości Polski, która w takim razie gotową byłaby nadać sobie konstytucyą zupełnie republikańską i zbliżoną — o ile stosunki odmienne na to pozwalają — do francuskiej.

Poselstwo Kościuszki miało więc — jak widzimy — charakter głównie informacyjny. Instrukcya, jaką mu dano, niezawierała wskazówek wyraźnych i jasno określonych, emigranci lipscy nie wiedzieli widocznie nic jeszcze o układach prusko-rosyjskich względem drugiego rozbioru, pragnęli więc potępienia Targowicy i nadzieje swoje budowali zresztą na zatargu pomiędzy Szwecyą i Turcyą z jednej, a Rosyą z drugiej strony.

Właściwa akcya dyplomatyczna w Paryżu była oddana zupełnie Kościuszce; miał on wybadać zamiary gabinetu francuskiego i na tem oprzeć całe swoje dalsze działanie i w tem tkwił błąd kardynalny. Zacny, wzniosły i czysty charakter przyszłego Naczelnika nie nadawał się wcale do intryg dyplomatycznych; obce mu były kręte drogi gabinetowej polityki. Nie znając ani stosunków, ani ogólnego położenia Europy, nie był on w stanie spełnić swojej misyi w sprawie tak zawikłanej, wymagającej nietylko poświęcenia, ale i niepospolitych zdolności politycznych.

Chwila zresztą, w której przybywał do stolicy francuskiej, była najniepomyślniejsza dla układów dyplomatycznych. Stracenie Ludwika XVI., przy którem Kościuszko mógł być nawet obecnym (21. stycznia 1793. roku), zrywało ostatnie mosty pomiędzy republikańską Francyą a monarchiczną Europą, wzniecało w samej republice pożar wojny domowej i czyniło ją przedmiotem nieubłaganej nienawiści wszystkich dworów europejskich. Wiązanie zatem sprawy polskiej ze sprawą Francyi, wydanej na łup terorystów i zagrożonej monarchiczną krucyatą, przedstawiało narazie więcej szkody niż korzyści. Francuscy dyplomaci także, głoszący na zewnątrz wzniosłe hasła wolności ludów, pilnowali przedewszystkiem własnych swoich interesów i nieokazywali wcale skłonności do poświęceń dla narodu, w którym panowały zasady szlachecko-republikańskie, który dając jedną ręką prawa obywatelskie mieszczaństwu, drugą wznosił tron sukcesyjny i umacniał zachwianą władzę królewską. Głównym ich celem narazie było rozerwanie koalicyi, a mianowicie odłączenie od niej Prus, rozporządzających potężną i dobrze zorganizowaną armią, pod dowództwem generałów ze słynnej szkoły Fryderyka II. Dla dopięcia tego zamiaru gotowi byli dyplomaci republikańscy poświęcić wiele, nawet sprawę opuszczonej Polski. W październiku roku 1792. wiedzieli oni już o zaborczych projektach Fryderyka Wilhelma II., ale nie myśleli im się wcale sprzeciwiać; owszem zwycięsca z pod Valmy, Kellerman, w rozmowie z pruskim generałem Lindenauem oświadczył wyraźnie, że rząd francuski „z przyjemnością będzie widział zwiększenie tą drogą sił tego mocarstwa, które musi wcześniej lub później stać się jego sprzymierzeńcem“. Wprawdzie od tego czasu zmieniło się położenie o tyle, że kierownictwo polityki za-

granicznej objął Lebrun, dziennikarz belgijski, ale i on nie okazywał większej przychylności dla Polski od poprzednika swego - Dumouriera. Ograniczony w zapatrywaniach swoich, powierzchownie sądzący rzeczy i ludzi, zachwycał on się więcej pustą frazeologią takiego Wojciecha Turskiego, który pod imieniem Alberta Sarmaty wypowiedział piorunującą mowę przeciw tyranom przed kratkami Konwencyi, niż poświęceniem i cnotą republikańską Kościuszki. Więc jakkolwiek gotów był przyjąć zwycięscę z pod Dubienki w randze generała do armii francuskiej, to na tem kończyły się sympatye jego dla Polski.[1]) A że Kościuszko nie myślał wcale o służbie obcej, gdy własna ojczyzna każdej chwili ramienia jego potrzebować mogła, więc i układy z ministrami francuskimi urwały się prędko. Wszystko, co poseł polski zdziałał, było przyrzeczenie Lebrun'a, że udzieli zasiłków pieniężnych na cele powstania, gdyby ono w Polsce wybuchło. Miał wprawdzie Kościuszko zamiar i polecenie od przyjaciół swoich udać się z Paryża do Londynu i do Szwecyi, gdy jednakże tymczasem Prusy zawarły konwencyą podziałową z Rosyą, gdy Anglia — troszcząc się więcej o los Belgii niż Polski — mocarstw północnych zrażać sobie nie chciała, a o jakimś poruszeniu Szwecyi i Turcyi mowy nie było, więc zamiast za morze pojechał do Brukselli, a stamtąd powrócił (w sierpniu) do Lipska. Nie zastawszy tu Kołłątaja, który od czerwca leczył się na podagrę w Karlsbadzie, Chebie i Cieplicach czeskich, oczekiwał on powrotu jego razem z Ignacym Potockim, kiedy nagle w pierwszych dniach września stanęli jako wysłańcy z kraju Aloe i Walichnowski, ofiarując Kościuszce naczelne dowództwo w przygotowującem się powstaniu.

Wypadki roku 1792. odbiły się boleśnie na całym obszarze ziem polskich, a haniebne rządy Targowiczan i ucisk wojsk „przyjacielskich“ spotęgowały oburzenie do najwyższego stopnia. Burzył się przedewszystkiem żołnierz polski, skazany na rozbrojenie i wcielenie do pułków rosyjskich, burzyła się szlachta drobna, gorącym ożywiona patryotyzmem, sarkało mieszczaństwo, pozbawione praw świeżo nabytych, lud wiejski nawet — na wiadomość o drugim rozbiorze — uchodził gromadnie[2]) z pod zaboru rosyjskiego, aby uniknąć ciężkiego jarzma niewoli i pod łagodniejszym rządem polskim korzystać z opieki, jaką konstytucya majowa włościaństwu zapewniała. Niezadowolenie objawiało się najpierw w sporadycznych wybuchach. Wojsko nie chciało składać przysięgi na wierność konfederacyi targowickiej, w styczniu roku 1793. ukazała się „Odpowiedź żołnierzy polskich do JW. Szczęsnego Potockiego“ (z pod Zieleniec datowana), z wypowiedzeniem posłuszeństwa konfederacyi i z ostrem potępieniem tych, „których imiona niedawno oglądaliśmy na szubienicy“, pułkownik Dobraczyński, wezwany do złożenia przysięgi na wierność imperatorowej, rzucił się z szablą na generała Lubowidzkiego. Po tem nastąpiła rzecz w takich wypadkach nieunikniona, t. j. spisek. Rozpoczął go — o ile się zdaje — Ignacy Działyński, szef pułku, przemieszkujący w Trojanowie, dobrach swojej żony Woroniczówny, o kilka mil od Żytomierza, a poparty przez

[1]) Porówn. list Lebrun'a do ministra wojny u Dembińskiego l. c.

[2]) Dubiecki M.: „Karol Prozor, obożny w wielkiem Księstwie litewskiem“. Monografia opracowana na podstawie nowych źródeł archiwalnych. W Krakowie 1897. Str. 173.

Karola Prozora, obożnego wielkiego Księstwa litewskiego, pana możnego i gorącego patryotę, wciągnął do swoich zamiarów na kontraktach w Dubnie i na t. zw. „onufryjewskim“ jarmarku w Berdyczowie cały zastęp szlachty z województwa wołyńskiego i kijowskiego. Należeli więc do tej konspiracyi: Ochoccy, opat i bratanek jego Jan Duklan, autor pamiętników, strażnik Oskierko, Niemirycz i Bohusz, wszystko ludzie zamożni i wpływowi, a obok tego i szlachta uboższa, ale ruchliwa, jak: dzierżawca Bogucki, Kruszewski, Przybora i wielu innych. Z Dubna pospieszył Działyński do Warszawy i tu w pałacyku woim na Lesznie, „pod sfinksami“, gromadził goretszych kolegów, Madalińskiego, Czapskiego, szefa Niesiołowskiego, i porozumiewał się z rękodzielnikami i mieszczaństwem, wśród których znowu w podobnym kierunku — a z wielką gorliwością — działał bankier Kapostas. Równolegle z tym ruchem prowadził robotę spiskową na Litwie niezmiernie oględnie i systematycznie pułkownik Jakób Jasiński. Ułożywszy dla uczestników konspiracyi katechizm pod tytułem: „Wyjątki z dzieł chińskiego filozofa Good“ i klucz tajemny do znoszenia się pisemnego, omylił on czujność władz rosyjskich i uniknął katastrófy, która spotkała niebawem spisek polesko-kijowski.

Narazie jednak nie groziło jeszcze żadne niebezpieczeństwo. Roboty postępowały raźnie. Do Prozora wysłano z Warszawy kapitana Amilkara Kosińskiego, Ochockiemu dodano do boku kapitana Kaczanowskiego; obaj mieli pilnować przygotowań do rewolucyi pod względem wojskowym. Jakoż gromadzono fundusze, zakupywano konie i broń, a na jarmarku berdyczowskim w czerwcu i na zjeździe u Prozora w Chojnikach rozszerzano sieć spisku na coraz większe koła i układano termin wybuchu. Miał on nastąpić dnia 19. listopada 1793. roku. Przedtem pojechali — jak wyżej wspomniano — owi wysłannicy do Lipska, aby Kościuszce ofiarować naczelne dowództwo. Generał przyjął je bez wahania, niewątpliwie za zgodą swoich przyjaciół emigracyjnych, Ignacego Potockiego i Kołłątaja. Pragnęli oni, jakkolwiek z zamiarami spiskowców niezupełnie się zgadzali, zatrzymać w swojem ręku kierownictwo ruchu, aby kraju nie wydać na pastwę niewczesnego jakiego powstania. Kołłątaj mianowicie żywił niemałe obawy, aby się „jaka licha Barszczyzna na ostatnie kraju nieszczęście nie zrobiła“. Stając na czele przygotowań rozpoczętych i trzymając wszystkie nici spisku, można było takiej katastrofy uniknąć, insurrekcyą należycie zorganizować i w chwili najodpowiedniejszej powstanie rozpocząć. Na to, że naczelnikiem powstania nie może być nikt inny, jak tylko Kościuszko, zgadzali się wszyscy, i spiskowi w kraju i emigranci w Saksonii, ale właśnie ta okoliczność wymagała dłuższego przygotowania. Kościuszko bowiem, chociaż gotów był do poświęceń wszelkich dla ojczyzny, nie zgadzał się na przyspieszenie powstania i kiedy nań napierano, odpowiadał: „Jeżeli mam wojnę prowadzić, to regularną, a bynajmniej nie puszczę się na jakąś kozaczyznę“. Podobnego zdania był także Kołłątaj. Mimoto jednak odbyły się narady w Lipsku, gdzie ułożono główne zasady organizacyi powstańczej. Zgodzono się, że „insurrekcya powinna być pod dyktaturą jednego człowieka, któryby pozyskał powszechne zaufanie“. Jako takiego wskazywano Kościuszkę; ten zaś ze swojej strony podał za warunek: zupełnie wojskową

organizacyę powstania i podobne urządzenie władz wojewódzkich, jakie widział w Ameryce podczas wojny o niepodległość. Ułożywszy to wszystko, wysłał Kościuszko natychmiast emissaryuszów z odpowiedniemi instrukcyami do kraju, sam zaś wyjechał w okolice Krakowa i wyprawił stamtąd Zajączka do Warszawy dla zbadania stosunków i przygotowań.

Sprawozdanie, jakie po sześciu dniach złożył Naczelnikowi Zajączek, nie było wcale pomyślne. Twierdził on, „że przedsiębrane środki nie były dostatecznemi i bardzo źle ułożonemi, żeby z ich pomocą można się było tak śmiało porywać przeciw nieprzyjacielowi, którego korpusy, w różnych miejscach obozujące, czuwały na każde Polaków poruszenie; ale zaręczył zarazem, że pracy i trochę pieniędzy używszy, można go było niepomału zatrudnić“.

Nie inaczej zapatrywał się na powstanie Kołłątaj; sądząc rzeczy z politycznego stanowiska, widział on jedyną nadzieję w „zakłóceniu Moskwy“ przez wojnę turecką, w poruszenie jakiekolwiek „niedołężnej Szwecyi“ nie wierzył, wkońcu podawał rady następujące: „Nie dadzą się Polacy strawić, jeżeli nie zapomną o wolności, jeżeli jej ducha między sobą rozszerzać będą, jeżeli się oświecać wzajemnie nie przestaną, jeżeli interes ludu, dobrze zrozumiany, przeciwko despotyzmowi rozszerzać będą, jeżeli na płoche i lekkie nie wystawiając się, nie przestaną być gotowymi na wypadki, które czas i okoliczności przynieść mogą. Próżne gadaniny, lekkomyślny i przemijający zapał, oglądanie się na kogoś trzeciego na nic się nie zdadzą. Zapał powinien być stały. Oglądać się nie można tylko na siebie samych. Okoliczności nie opuszczać, gdy się okaże. Bez przyjaznych okoliczności nic płocho nie przedsiębrać, przedsiębranych układów — bez rozsądnego wyrachowania — do skutku nie przywodzić“.

Pomimo takich przekonań jednak nie uchylał się ani Kościuszko ani Kołłątaj od udziału w przedsięwzięciu, przygotowywanem przez spiskowych w kraju. Pierwszy z nich nawet, bawiąc w okolicach Krakowa, porozumiewał się z generałem Józefem Wodzickim i wskutek tego Wodzicki — jako szef 2. regimentu — nie zredukował pułku swego w myśl uchwał grodzieńskiego sejmu, lecz zatrzymał żołnierzy dymisyonowanych, płacąc im żołd z własnej szkatuły. Kiedy atoli wszystkie te krzątania zaczęły budzić czujność władz rosyjskich, postanowił Kościuszko — dla zmylenia nieprzyjaciół — usunąć się z kraju i wyjechał do Włoch.

Rozważne i wyczekujące stanowisko emigracyi lipskiej nie podobało się spiskowym. Śledzeni przez szpiegów Igelströma w Warszawie i przez władze wojskowe rosyjskie na prowincyi, wojskowi zagrożeni nadto mogącem co chwila nastąpić rozbrojeniem, niecierpliwili się i oczekiwali z upragnieniem hasła do powstania, a gdy minął termin 19. listopada bezowocnie, gotowi byli innego sobie wyszukać dowódzcę. Udawano się w tym celu do Wodzickiego, który odmówił, wreszcie wybrano na naczelnika Prozora.[1])

[1]) Dubiecki M.: „Karol Prozor, obożny w wielkiem Księstwie litewskiem“. Monografia opracowana na podstawie nowych źródeł archiwalnych. W Krakowie 1897. Str. 205.

Zacny i patryotyczny umysł obożnego nie dał się jednak obałamucić i porwać ambicyi. Przekonany, że tylko skupienie wszystkich sił narodowych pod wodzą Kościuszki może rokować powodzenie powstaniu, postarał on się już przedtem o wysłanie Jelskiego do Włoch, aby skłonić do powrotu Naczelnika, obecnie zaś — wiedząc, że na rozpoczęcie walki brakuje pieniędzy — zastawił całą swoją ojcowiznę (dobra poniemuńskie) i zebrawszy w ten sposób około 1,000.000 złotych polskich, popędził — pod przybranem nazwiskiem Dąbrowskiego — do Drezna, dokąd niebawem nadjechał także i Kościuszko, zwrócony z Włoch przez Jelskiego. W Dreźnie w „hotelu polskim“ (Hôtel de Pologne) odbyła się stanowcza konferencya. Prozor, ks. Dmochowski i Jelski padli do nóg Naczelnikowi, zaklinając go na wszystkie świętości, aby powstanie rozpoczął, równocześnie zaś nadszedł od Madalińskiego raport, że — chcąc uniknąć rozbrojenia — rusza ze swoją brygadą na nieprzyjaciela, z Warszawy wiadomość o aresztowaniu Działyńskiego i o ucieczce Kapostasa do Krakowa.

Wobec takiego nacisku i tak nagłych wypadków niepodobieństwem było zwlekać dłużej. Jakoż Kościuszko, nieczekając już na raporta wysłanych do kraju emissaryuszów, wyjechał niezwłocznie do Krakowa, aby poraz ostatni w obronie niepodległości ojczyzny dobyć oręża. I sprzyjało szczęście wielkiemu przedsięwzięciu. Dnia 12. lutego wyruszył Madaliński z Ostrołęki ze swoją brygadą, liczącą 700 ludzi, wzdłuż granicy pruskiej do Mławy, stamtąd zwrócił się nagle ku południowi i — unikając zręcznie pogoni rosyjskiej — zdążał do Krakowa. Na wiadomość o tem nakazał Igelström koncentracyą rozprószonych oddziałów rosyjskich w Radomiu, aby przeciąć drogę zuchwałemu partyzantowi. Rzeczywiście podążył tam niebawnie generał Denisow z Łucka, Rachmanow z Lublina, podpułkownik Ekespart z Opatowa i Łykoszyn z Krakowa. Ten ostatni wyruszył zrana dnia 23. marca do Pińczowa, a w kilka godzin później zjawił się w opuszczonej przez Rosyan stolicy jagiellońskiej Kościuszko i zajął mieszkanie w pałacyku Wodzickich, położonym u wylotu ulicy św. Anny.

Nazajutrz — dnia 24. marca — boczną furtką, nieistniejącą już dziś, udał on się wraz z generałem Wodzickim do sąsiedniego kościoła Kapucynów, gdzie po wysłuchaniu mszy św. w kaplicy loretańskiej gwardyan Zakonu dawnym obyczajem poświęcił oręż Naczelnika, jakby na dowód, że wierny tradycyom narodowym, wódz z woli ludu obrany, rozpoczyna dzieło oswobodzenia ojczyzny Bogiem i od Boga, że niema nic wspólnego z zasadami jakobińskiemi, które — wywróciwszy tron — zabierały się właśnie do obalenia ołtarzy. Po tym prostym i w cichości odbytym akcie wyznania wiary ruszył Kościuszko, otoczony orszakiem przyjaciół, ulicą św. Anny na Rynek, gdzie przed ratuszem zastał już uszykowany 2. batalion pułku, którego szefem był Wodzicki.

Miejsce wolne przed ratuszem, schody wiodące do niego, sala posiedzeń i okna były nabite tłumem ciekawych i radców miejskich, których wystraszony prezydent Lichocki — stosownie do rozkazu Naczelnika — zwołał na nadzwyczajne posiedzenie. Wśród ciszy głębokiej, zalegającej Rynek, stanąwszy w miejscu, gdzie jest dziś kamień pamiątkowy, wykonał Kościuszko,

a za nim wojsko, przysięgę na wierność narodowi i walkę z wrogiem ojczyzny.

Powołany przez wojsko i całe patryotyczne stronnictwo w kraju, przyrzekał Naczelnik, że władzy, powierzonej sobie, „na niczyj prywatny ucisk nie użyje, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania samowładności narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będzie“, przysięgał żołnierz, że „będzie wierny narodowi i posłuszny Naczelnikowi najwyższemu Tadeuszowi Kościuszce, wezwanemu od tegoż narodu do bronienia wolności, swobód i niepodległości ojczyzny“. Po przysiędze nastąpiło odczytanie aktu powstania w sali ratuszowej wśród nieustających wcale wiwatów i okrzyków radości.

Stało się to, czego od tak dawna oczekiwały serca, bijące żywą miłością kraju, stało się wśród okoliczności niezwykłych i niepamiętnego zapału, obejmującego już wszystkie warstwy narodu. Brakowało tych tylko, których niewidziała u zawiązku swego konfederacya barska. Na akcie powstania, dnia 24. marca, nie znajdujemy imion wielkich i głośnych w Rzeczypospolitej; białe arkusze pokryły podpisy szarego tłumu, drobnej szlachty i mieszczaństwa, zwiastujące udziałem i obecnością swoją nową epokę w życiu narodu. Gdy możnowładztwo polskie, wytuczone chlebem publicznym, zapełniało przedpokoje faworytów carowej i oczekiwało zbawienia od „wspaniałomyślnej monarchini“, kupili się około sztandaru narodowego zapomniani i wydziedziczeni, a silni tylko miłością i poświęceniem, aby sprawę ojczyzny, pogrążonej w przepaści przez uprzywilejowaną anarchię, własnemi siłami podźwignąć, aby ocalić przynajmniej honor narodu i chwilę upadku jego opromienić aureolą bohaterskich czynów, na które nie mogli się zdobyć potomkowie Chodkiewiczów, Tarnowskich i Żółkiewskich.

Racławice. — Oswobodzenie Warszawy. — Czynności organizacyjne. — Szczekociny. — Oblężenie Warszawy. Tydzień następny od 24. marca do 1. kwietnia upłynął Kościuszce na pracy biurowej i organizacyjnej. Z „szarej“ kamienicy, należącej wtedy do kasztelana bieckiego Żeleńskiego, wychodziły co chwila odezwy do wojska polskiego i litewskiego, do „obywatelów“ całego kraju, do duchowieństwa polskiego, do kobiet polskich, „ozdób rodzaju ludzkiego“ i t. d. W redakcyi pomagali Naczelnikowi Aleksander Linowski, znany poseł sejmu wielkiego i Kołłątaj, który — pomimo trapiącej go choroby — podążył natychmiast do Krakowa i zajmował się głównie sprawami skarbowemi i urządzeniem sądu kryminalnego, co prezydent Lichocki „straszeniem“ ludzi nazywał. Za odezwami szły listy do zaufanych osób na prowincyi; urządzono „komisyę porządkową“ dla województwa krakowskiego, ułożono zasady organizacyi wojskowej, czyli system rekrutacyjny, wreszcie do wykonania poleceń powstańczego rządu wydano patenta na oficerów, którym przypadło zaszczytne lecz trudne zadanie zbierania sił zbrojnych, furażu i rynsztunku dla wojska.

Najbliższą troską Naczelnika obok tego wszystkiego musiało być jednak ubezpieczenie Krakowa, jako ogniska ruchu powstańczego, przed napadem wojsk nieprzyjacielskich. Wywabieni rozkazem Igelströma Moskale usiłowali

teraz błąd popełniony naprawić. Denisow, nieczekając na swój korpus, przybiegł do Skalmierza, zebrał tu przeszło 5000 ludzi i dział 30 i tą siłą zamierzał zgnieść insurrekcyą w zawiązku. Aby temu przeszkodzić wyruszył Kościuszko z Krakowa dnia 1. kwietnia. Oddział jego składał się z brygad

Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego pod Lipskiem.

Madalińskiego i Mangeta, które już poprzednio z Denisowem z rozmaitem szczęściem się ucierały, z trzech niezupełnych pułków piechoty i dziesięciu lichych armat, wziętych z krakowskiego zamku; ogółem nie miał więcej, jak około 4000 ludzi. W ostatniej chwili (dnia 3. kwietnia) przyprowadził mu

Jan Ślaski, członek komisyi porządkowej krakowskiego województwa, 2000 chłopów, uzbrojonych pikami i kosami, wbitemi na sztorc.

Na czele tych sił, dorywczo zebranych i niewyćwiczonych należycie, spotkał się Naczelnik dnia 4. kwietnia koło Racławic, z generałem Tormasowem, który mając z sobą 1 batalion grenadyerów, 1½ bataliona jegrów, 6 szwadronów regularnej jazdy, pułk Kozaków i 12 armat, nie czekał na nadciągającego z posiłkami Denisowa, lecz o godzinie 3-ciej popołudniu uderzył na Polaków. Kościuszko powierzył dowództwo lewego skrzydła Zajączkowi, na prawem postawił Madalińskiego, a sam pozostał wśrodku, koło mogiły, nad drogą, wiodącą do Działoszyc.

Pierwszy impet swój skierował nieprzyjaciel na lewe skrzydło polskie. Pułkownik Pustowałów — ten sam, co się odznaczył pod Zieleńcami — wsparty przez Kozaków majora Denisowa i huzarów pułkownika Muromcewa, uderzył potężnie na Zajączka i odparty po trzykroć utrzymał się na swojem stanowisku tak, że Naczelnik z prawego skrzydła musiał posłać w posiłek lewemu Madalińskiego. W tej chwili Tormasów — przebywszy parów, który go od armii polskiej oddzielał — zaczął na przeciwległym brzegu rozwijać swój oddział, a równocześnie (była już godzina 6-ta) ukazała się na lewem jego skrzydle kolumna generała Denisowa. Moment był krytyczny; Denisow, tak jak w 21 lat później Blücher pod Waterloo, mógł rozstrzygnąć los bitwy. Spostrzegł to Kościuszko i — rzuciwszy jedną kompanię piechoty i jazdę Zajączkowi — rozkazał Mangetowi z dwiema kompaniami uderzyć bagnetem na rozwijający się oddział Tormasowa, sam zaś poskoczył do ustawionych za pagórkiem kosynierów i zawołał, wskazując na działa rosyjskie: „Zabrać mi chłopcy te armaty! Bóg i ojczyzna! Naprzód wiara!“ Na ten rozkaz ruszyli chłopi ławą „z krzykiem przerażającym“, wśród nich Kościuszko na koniu, za nimi kapitan Nidecki z dwoma kompaniami 6-go pułku. Natarcie było tak gwałtowne i niespodziewane, że nieprzyjaciel — ufny w swoją przewagę — dał się zaskoczyć, a zaskoczony — spotkawszy się z niezwykłem rodzajem broni, z kosami — poniósł zupełną klęskę. Batalion grenadyerów rosyjskich, broniący armat, został prawie do nogi wycięty, jedenaście dział dostało się w ręce zwycięzców.

Zniósłszy tak za jednym zamachem główną siłę Tormasowa, pospieszył Kościuszko natychmiast z piechotą, jaka była pod ręką, na lewe skrzydło, gdzie Pustowałów — lasem zasłonięty i nie wiedzący, co się wśrodku działo — toczył zażarty bój z Zajączkiem. I tu, podobnie jak przed chwilą, nie bawiąc się w strzelaninę, poprowadził Naczelnik piechotę na bagnety i razem z dzielnym majorem Lukke złamał nieprzyjaciela. Zniesiono ze szczętem batalion Pustowałowa, on sam poległ okryty ranami, zdobyto ostatnią (dwunastą) armatę rosyjską i w ten sposób zwycięstwa dokonano. Denisow, widząc pogrom swoich, umknął czemprędzej, po krótkiej kanonadzie na prawe skrzydło polskie, ku Kaźmierzy.

O zmroku, około godziny 8-mej, skończyła się bitwa. Na pobojowisku, zasłanem gęsto trupami moskiewskimi, witała wiara głośnemi okrzykami dzielnego Naczelnika. Wiwat naród! Wiwat wolność! Wiwat Kościuszko! brzmiało

na przemiany po wzgórzach racławickich, a szczęk kos i gromkie nawoływania Krakusów zwiastowały nową epokę w dziejach Polski. Budził się do życia politycznego naród w najniższych warstwach swoich, obok karmazynów i „sławetnego“ mieszczaństwa stawał do boju o wolność i niepodległość Rzeczypospolitej lud siermiężny pod wodzą ubogiego szaraczka litewskiego, hetmana z woli Boga i narodu. Zrozumiał doniosłość tej chwili Naczelnik i — przywdziawszy sukmanę krakowską — nadał kosynierom tytuł „regimentu grenadyerów krakowskich“, a gospodarza Wojtka Bartosa, włościanina ze wsi Rzędowic, który pierwszy dobiegł do bateryi nieprzyjacielskiej i zapał armaty czapką swoją przykrył, mianował chorążym, zmieniając nazwisko jego na Głowacki.

Zwycięstwo racławickie miało znaczenie nietyle strategiczne, co moralne. Ubezpieczając Kraków od nagłego napadu nieprzyjaciela, podnosiło ono zarazem ducha i wiarę w powodzenie powstania, wzmacniało zaufanie do wodza, okrytego chwałą świeżego zwycięstwa, pociągało chwiejnych i trwożliwych pod sztandary narodowe, dawało rozpaczliwemu niemal przedsięwzięciu warunki dalszego rozwoju i możność niespodziewanego z początku powodzenia. Jakoż natychmiast przystąpiły do powstania wszystkie pułki polskie, rozłożone pomiędzy Wisłą i Bugiem, pod dowództwem podpułkownika Jana Grochowskiego, którego Kościuszko na generał-majora awansował, obywatele powiatu krasnostawskiego i Ziemi chełmskiej, jakoteż województwa lubelskiego, cokolwiek później Sandomierzanie. Ruch powstańczy objął tak południową część uszczuplonej Polski, a niebawem miało mu zawtórować Mazowsze i Litwa.

Na nieszczęście była insurrekcya w zasadzie już zwichnięta. Kościuszko odkładał — jak wiemy — powstanie na czas późniejszy; skłonił go do tego zapewne raport Zajączka i brak dokładnych informacyj z kraju. Tymczasem przyspieszony ruch Madalińskiego popsuł wszystkie plany i zmusił Naczelnika do rozpoczęcia działania. Skutkiem tego organizacye powstańcze w oddalonych częściach kraju, nieuwiadomione wcześnie o chwili wybuchu, zwlekały z powstaniem tak długo, aż władze rosyjskie — poinformowane dokładnie o tem, co się w Krakowie działo i wietrzące spisek oddawna — miały czas z przerażenia ochłonąć i ruch przygotowany stłumić w zarodzie. Stało się to przedewszystkiem na Polesiu, gdzie Prozor, powróciwszy z Drezna z nominacyą na naczelnika powstania ukraińskiego, oczekiwał wraz z swoim szefem sztabu (Amilkarem Kosińskim) napróżno rozkazu do rozpoczęcia walki i doczekał się wreszcie... Moskali, którzy we wtorek wielkanocny napadli na dwór w Chojnikach i omal obożnego nie schwytali. Uwięzienie kapitana Olszewskiego, wiozącego z Warszawy ważne papiery na Polesie, odsłoniło władzom rosyjskim wszystkie tajemnice spisku. Nastąpiły więc natychmiast gromadne aresztowania; ujęto Oskierkę, starostę Bohusza, Ochockich, Niemirycza, prezydenta miasta Żytomierza Lewandowskiego i ks. Pałuskiego, oficyała kapituły kijowskiej i wywieziono wszystkich do Smoleńska, gdzie niebawnie komisya śledcza pod przewodnictwem generała Osipowa rozpoczęła pierwsze swoje na ziemiach polskich działanie, skazując „buntowników“ na wygnanie do od-

ległych gubernii rosyjskich, lub w mroźne stepy sybirskie.[1]) Równocześnie otrzymały pułki polskie — w tych okolicach rozłożone — rozkaz udania się do Krymu.

W ten sposób stłumiono odrazu cały ruch powstańczy na Ukrainie i Polesiu i tylko energiczniejsi dowódzcy oddziałów wojskowych polskich zdołali się uratować z ogólnego pogromu. Pierwszy wyruszył ze swoich kwater w ziemi owruckiej brygadyer Kopeć (dnia 22. kwietnia) i pobłogosławiony w Uszomierzu przez ks. Marka — znanego Karmelitę z wojen barskich — słowami: „Idźcie w imię Boga i wynidziecie“, utorował sobie orężem drogę do Bugu. W kilka dni potem poszedł za jego przykładem Wyszkowski, który w pięciogodzinnej walce pod Pohoryłą pobił Rosyan, zastępujących mu drogę i — zdobywszy siedem dział i kasę wojskową (365.000 złotych polskich) — przedostał się szczęśliwie do swoich. Ostatni z tych „straceńców“, Łaźniński, przebył z jedenastoma szwadronami daleką drogę przez Wołoszczyznę i Galicyą.

Tak zamiast zatrudnić, zniszczyć lub ubezwładnić przynajmniej siły rosyjskie w województwach ruskich, zmarnowano tam całą organizacyą powstańczą i wydano żywioły patryotyczne na łup srogich prześladowań. Z tych samych powodów — o ile przypuszczać wolno — opóźnił się ruch litewski i oswobodzenie Warszawy, która dopiero dnia 17. kwietnia zrzuciła jarzmo moskiewskie.

W podobnych okolicznościach musiał Naczelnik działać bardzo oględnie. Nie ścigał więc po bitwie racławickiej nieprzyjaciela, który dość pospiesznie z pola walki uchodził, lecz — cofnąwszy się pod Kraków do Bosutowa — stał tam, niezaczepiany od 7. do 24. kwietnia, następnie ruszył w Sandomierskie i dopiero w pierwszych dniach czerwca, a więc po dwumiesięcznej przerwie, postanowił uderzyć na Denisowa, wzmocnionego już znacznemi posiłkami. Jakkolwiek powolność ta i wyczekiwanie może się wydawać cokolwiek dziwnem i niewytłumaczonem, to jeżeli zważymy, że przez cały kwiecień wszystkie nadzieje powstania polegały na owych kilku zwycięskich batalionach Kościuszki, że do uformowania wojska regularnego brakowało i pieniędzy i broni i zdolnych oficerów, to zrozumiemy łatwo już, dlaczego Naczelnik wszelkie prawie działanie wojenne zawiesił.

„Wojna nasza — pisał do Franciszka Sapiehy — ma swój szczególny charakter, jej pomyślność zasadza się najwięcej na upowszechnieniu zapału i na uzbrojeniu generalnem wszystkich ziemi naszej mieszkańców. Do tego wzbudzić potrzeba miłość kraju w tych, którzy dotąd nie wiedzieli nawet, że ojczyznę mają. Postawić do razu sto tysięcy wojska liniowego jest trudno w naszych okolicznościach, lecz postawić masę 300-tysięczną łatwo“. Pragnął więc wojny ludowej, pragnął poruszyć wszystkie prowincye, a w tych prowincyach masy włościańskie i z tych pobudek wypłynęły najważniejsze jego rozporządzenia. Na Litwę zatem słał generała Morawskiego z poleceniem, aby formował „powstanie województw, ziem i powiatów, oraz uzbrojenie ludu, z którym łaskawie postępować należy“, usiłował poruszyć Wołyń niestety za

[1]) Dubiecki: „Karol Prozor etc.“. Rozdział XIV.

późno, wydał odezwę do duchowieństwa nieunickiego, zapewniając mu wolność obrządku i przyzwoite opatrzenie księży, jakoteż utrzymanie w mocy dawniejszej uchwały kongregacyi pińskiej, dnia 2. maja z obozu pod Winiarami polecił, aby każdemu kantoniście — do wojska idącemu — przynajmniej dzień jeden w tygodniu pańszczyzny był darowany i aby gromady — do pospolitego ruszenia użyte — uwolnione były od robocizny przez czas bytności swojej w obozie, wreszcie dnia 7. maja z obozu pod Połańcem ogłosił pamiętny „uniwersał, urządzający powinności gruntowe włościan i zapewniający dla nich skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo własności i sprawiedliwości“.

Włościanin, podług tego rozporządzenia, był wolnym zupełnie i mógł przenosić się swobodnie z miejsca na miejsce, skoro tylko opłacił podatki i długi swoje; przyznano mu na własność grunt pod warunkiem uiszczenia pewnych obowiązków względem pana i zmniejszono pańszczyznę o dwa dni lub o jeden dzień, stosownie do ilości robocizny dotąd odbywanej. Wprowadzenie i dopilnowanie wykonania tych nowych rozporządzeń poruczono komisyom porządkowym, które zarazem miały ustanowić dozorców do odbierania skarg i zażaleń tak od ludności wiejskiej, jak i od dworów. Nie była to reforma gruntowna, w szerokim stylu pojęta, a tem mniej rozwiązanie stanowcze kwestyi włościańskiej, bo wśród szczęku oręża i grożącego z dwóch stron najazdu, niepodobna było zajmować się przeobrażeniem tak zawikłanych stosunków społecznych. Kościuszko czynił to, na co okoliczności i czas pozwalały; szedł drogą wskazaną przez sejm czteroletni, drogą stopniowej reformy. Przynosiła ona włościanom wolność osobistą, zmniejszała znacznie ciężary, jakie ponosili i stawiała ich pod opiekę władz rządowych. W stosunku do dawniejszego położenia tej klasy społecznej był to krok olbrzymi, po którym niebawnie musiało nastąpić zupełne usamowolnienie ludu wiejskiego, gdyby Polska mogła się była normalnie rozwijać i nie utraciła bytu politycznego. Zrozumieli to doskonale sami chłopi, kiedy nietylko w Krakowskiem, ale i w odległej Litwie gotowi byli chwytać za broń przeciw najezdnikom, kiedy gubernator wileński Tutolmin w liście do Zubowa uskarżał się na buntownicze usposobienie ludu wiejskiego i pragnął mieć pod ręką „10.000 Baszkirów, aby knutami pozbawić (chłopów) ochoty wojowania“.

Trudniejszą może od sprawy włościańskiej była kwestya pieniężna. W kraju, od dwóch lat już trapionym wojną, pożogą i rabunkiem wszelkiego rodzaju, panowały opłakane stosunki ekonomiczne. Ziemianin, obdzierany przez hersztów Targowicy i przez „przyjacielskie“ wojska imperatorowej, bliskim był zupełnej ruiny, mieszczanin z powodu upadku handlu i przemysłu, jakoteż licznych bankructw warszawskich, utracił dawniejszą swoją zamożność, chłop, najnędzniejszy ze wszystkich, oprócz rąk na obronę kraju żadnych innych nie mógł dostarczyć środków. Nawet utrzymanie wojska w województwach objedzonych przez swoich i obcych było tak trudne, że Kościuszko mięso i żywność otrzymywał z Galicyi.

Z początku łudzono się jeszcze nadzieją pomocy pieniężnej z zagranicy, mianowicie z Paryża, ale „komitet ocalenia“, sprawujący natenczas najwyższą

władzę w republikańskiej Francyi, a złożony z ludzi o ciasnych poglądach politycznych, nie był wstanie zdobyć się na krok stanowczy i dla wytłómaczenia swojej obojętności względem powstania polskiego używał podobnych argumentów, jak mocarstwa rozbiorowe dla usprawiedliwienia swoich zaborów. Gdy rząd pruski rozwodził się szeroko nad zarazą jakobińską, szerzącą się w Polsce i zabierał jedno województwo po drugiem, Jakobini paryscy odmówili wszelkiej pomocy Kościuszce, ponieważ „powstanie było zrobione przez szlachtę“.

Ograniczony zatem do zasobów, jakie własna ojczyzna dać mu mogła, chwycił się Naczelnik nadzwyczajnych środków i rozporządzeniem, wydanem pod Winiarami dnia 30. kwietnia polecił, aby „wszelkie bogactwa w kościołach tak świeckiego jak i zakonnego duchowieństwa będące, na teraźniejszą Rzeczypospolitej potrzebę pod regestrem i szacunkiem oddane były do rąk komisyi porządkowej województwa krakowskiego, a to z zaprzysiężeniem, że nic nie ukryto i że wszystko wiernie oddano“. Wykonaniem tego rozkazu zajęli się gorliwie Eustachy Sanguszko i Stanisław Wodzicki; srebra kościelne z województwa krakowskiego i sandomierskiego, a nawet z Galicyi przywieziono do obozu pod Pińczowem, a że tymczasem Warszawa zrzuciła jarzmo moskiewskie, więc — wskutek dalszego polecenia Kościuszki — zabrano na użytek Rzeczypospolitej także i mennicę, założoną przez Stanisława Augusta, i zaczęto tam wybijać monetę z opuszczeniem portretu i herbu królewskiego, a z napisem: „Wolność, całość i niepodległość Rzeczypospolitej 1794“.

Obok tych zajęć, administracyjnej głównie natury, pochłaniały całą uwagę Naczelnika starania o pomnożenie i zorganizowanie sił wojskowych. I tu właśnie największe nastręczały się trudności. Powstanie rozpoczęto bez należytego przygotowania, bez planu i bez zasobów, licząc na usposobienie patryotyczne wojska, na zapał obywateli i na rozerwanie sił nieprzyjacielskich wojną francuską. Nadzieje te zawiodły po większej części. Armia polska, rozrzucona na ogromnej przestrzeni i otoczona wojskiem nieprzyjacielskiem, nie mogła w chwili stanowczej ani sił swoich skupić, ani nagłym napadem wroga ubezwładnić. Drobnemi oddziałami, z trudem i niebezpieczeństwem wielkiem, trzeba było sobie orężem torować drogę za Bug i ku Wiśle. Dokonał tego szczęśliwie na początku Madaliński, dokonał Manget; patryotyzm i ofiarność Wodzickiego uratowały dla powstania garstkę piechoty. Z temi siłami odniósł Kościuszko zwycięstwo racławickie, przestraszył Moskali, uwolnił szmat kraju od najazdu i zyskał podstawę do dalszego działania. Ale położenie powstania mimoto nie polepszyło się wiele. Żołnierz, acz zwycięski i ożywiony zapałem, był nieliczny i niewyćwiczony, do uzbrojenia rekrutów, do stworzenia armii silnej brakowało czasu, a przedewszystkiem broni, amunicyi i artyleryi. Polska, otoczona zewsząd granicami mocarstw zaborczych, nie miała drogi do sprowadzenia karabinów i rynsztunku wojennego; cała artylerya pod Racławicami składała się zaledwie z dziesięciu armat. Z tego powodu zalecał Kościuszko uzbrojenie mas; kosy i piki miały zastąpić bagnet, przewaga liczebna miała zgnieść nieprzyjaciela, lepiej wyćwiczonego i uzbrojonego.

Taką postawiwszy zasadę, wydał Naczelnik rozkaz uzupełnienia wojska do stu tysięcy, tworzył trzecie bataliony bez mundurów i karabinów i —

przenosząc się z miejsca na miejsce — w obozach, wzorowo urządzonych i obwarowanych, ćwiczył rekrutów, a wśród tego wysyłał na wszystkie strony emissaryuszów, aby poruszyć województwa, powołał pospolite ruszenie (dnia 14. kwietnia) nie szlachty tylko, ale całego ludu i — uczyniwszy tak, co się w podobnych okolicznościach uczynić dało — czekał dalszych wypadków.

Jakoż niebawem zaczęły nadchodzić pomyślniejsze cokolwiek wiadomości z Warszawy i z Wilna.

W stolicy sprawował rządy prokonsularne wszechwładny Igelström. Urządziwszy na współkę z marszałkiem wielkim koronnym Moszyńskim system szpiegowski, ufny w pomoc hetmana Ożarowskiego i licznych jurgieltników moskiewskich, jakoteż w bezwzględną powolność niedołężnego i do reszty złamanego Stanisława Augusta, zamierzał on dokonać dzieła, rozpoczętego na sejmie grodzieńskim, Rzeczpospolitę rozbroić, ruch patryotyczny stłumić i uczynić z Polski to, czem istotnie już była, t. j. prowincyę rosyjską, zawiadywaną nominalnie przez króla. Jedyną przeszkodą w wykonaniu tych planów mogło być mieszczaństwo warszawskie i garstka wojska polskiego, pełne zapału, wierne konstytucyi 3-go maja i wrogo dla najazdu usposobione. Ale i na to miał środki Igelström. Rada Nieustająca i król byli powolnemi w jego rękach narzędziami, czujna policya śledziła pilnie patryotów, a komisya wojskowa trzymała na wodzy wojsko. Pomimo tego jednak ruch, wszczęty przez Działyńskiego i Kapostasa, nie ustał wcale. Pierwszego uwięziono, drugi uciekł, ale miejsca ich zajęli inni, związek krzepił i odradzał się, sięgając aż do najbliższego otoczenia ambasadora. W komisyi wojskowej obok kreatur królewskich i rosyjskich, obok Miączyńskiego, Byszewskiego i Łobarzewskiego zasiadali dzielni patryoci: Jan August Cichocki, „generał-major ampliowany w wojsku koronnem“ i Jan Dąbrowski, „wicebrygadyer kawaleryi narodowej“, którzy — chodząc pilnie na sesye w pałacu Krasińskich — posiadali dokładne informacye o wszelkich zamysłach Igelströma i Ożarowskiego. Cichocki, mianowany nadto komendantem garnizonu warszawskiego, układał razem z generałem Apraksinem dyslokacyą wojska, na wypadek powstania w stolicy. Ducha pomiędzy mieszczaństwem utrzymywał Jan Kiliński, majster szewski z Poznania, pod względem determinacyi i gorliwości w niczem nieustępujący Kapostasowi.

W takich warunkach spotykały Igelströma co chwila niespodzianki, które on napróżno siłą i brutalnością łamać się starał, więżąc podejrzanych w pałacu swoim na Miodowej ulicy lub wysyłając ich za pośrednictwem gubernatora litewskiego Tutolmina w głąb Rosyi. Pomimo tych surowych środków wrzało widocznie w Warszawie; w miejscach publicznych odgrażano się głośno na Moskali i zdrajców narodu, na murach ulic pojawiały się coraz częściej podburzające odezwy, niewidzialną jakąś przylepiane ręką. Wśród tego spadła nagle wieść o powstaniu krakowskiem. Przerażony ambasador poleciał natychmiast do króla i skłonił go do wydania uniwersału „przeciwko ukazującym się w kraju rozruchom“, wywołanym jakoby przez „intrygę obcą“. Odezwa, ogłoszona dnia 2. kwietnia, skompromitowała do reszty Stanisława Augusta, ale nieprzekonała ani nienawróciła nikogo, przeciwnie dodała otuchy

związkowym i utwierdziła ich w raz powziętym zamiarze. Spisek szerzył się pomiędzy wojskowymi i rękodzielnikami, obejmował coraz to rozleglejsze koła, a był utrzymywany w takiej tajemnicy, że chociaż około stu osób brało udział w naradach kierującego komitetu, Igelström o planach związku żadnych nie miał wiadomości. Mimoto nie uszło jego uwagi wzburzenie, panujące pomiędzy ludem, i dlatego — idąc za radą kwatermistrza swego Pistora — postanowił w Wielką Sobotę (dnia 18. kwietnia) opanować nagle arsenał i rozbroić wojsko polskie.

Przedsięwzięcie wydawało się łatwem, bo garnizon rosyjski, wynoszący przeszło 6000 ludzi, mógł i powinien był pokonać 2000 żołnierzy polskich. Ale spiskowi, uwiadomieni wcześnie o zamiarach ambasadora i zagrożeni co chwila utratą wolności lub wywiezieniem, uprzedzili zamach rosyjski.

Dnia 17. kwietnia o godzinie 4-tej z rana powstała Warszawa. Hasło dał strzał armatni pod arsenałem; w ślad za nim odezwały się dzwony kościelne, zawarczały bębny, jazda z koszar Mirowskich rozbiła posterunek rosyjski koło Żelaznej bramy, żagwoździła dwie armaty, lud popłynął falą ku arsenałowi i walka zawrzała w całem mieście. Moskale, zaskoczeni z nienacka, zajęli wprawdzie natychmiast wskazane sobie stanowiska, ale rażeni ogniem z okien i piwnic i odcięci zręcznie przez powstańców, którzy kuryerów i adjutantów Igelströma po drodze chwytali, bili się bez planu i komendy. Trwało to tak do godziny 10-tej z rana. Wtedy zawrzał bój zacięty około kościoła św. Krzyża, gdzie pułk Działyńskich pod wodzą Haumana stanął się z przeważającą liczbą Moskali i stanowcze odniósł zwycięstwo. Wiadomość o tej potyczce rozbiegła się lotem błyskawicy po mieście i napełniła otuchą powstańców, a spóźniony rozkaz Kościuszki, przywieziony właśnie teraz przez porucznika Biegańskiego, zagrzał wojsko do nowych wysileń. Komendę naczelną nad wojskiem polskiem i powstańcami objął generał Stanisław Mokronowski, którego umiejętnemu kierownictwu zawdzięczać należy właściwie ostateczne zwycięstwo. Nad wieczorem los walki był już rozstrzygnięty, chociaż bój nie ustawał. „Noc — pisze naoczny świadek oficer rosyjski, Niemiec Seume — była przecudnie straszna. Daleki i bliski grzmot dział, który ponuro łamał się wśród ulic, huk ręcznej broni, głuchy odgłos alarmowych kotłów, dźwięk śmiertelny bijących na gwałt dzwonów, świst kul, wycie psów i okrzyki „hurra“ rokoszan, szczęk pałaszów, ciche rannych i konających jęki, to wszystko na tle jasnej, wspaniałej nocy szczególne i okropne zarazem sprawiało wrażenie“.

Sam Igelström zwątpił wreszcie o możliwości utrzymania się w Warszawie; jeżeli walczył jeszcze przez Wielki Piątek aż do południa, to chodziło mu tylko o własne ocalenie. Opór dalszy był zresztą niepodobnym, generał Nowicki bowiem z niedobitkami rosyjskimi opuścił Warszawę, a pomoc pruska, pod dowództwem generała Wolcky'ego została przez powstańców odpartą. W takich warunkach nie pozostawało ambasadorowi nic innego, jak kapitulacya lub odwrót. Niepewny życia chwycił się on ostatniego środka i na czele 400 ludzi uszedł ku Powązkom.

Dzwony rezurekcyjne zwiastowały ujarzmionej stolicy wolność, święto Zmartwychwstania Pańskiego zdawało się być w tym roku prawdziwem świętem

wyzwolenia narodu. Obchodzono je też uroczyście wśród łez radości; serca tajały pod wrażeniem wiosny i wiosennych nadziei, a wieści z za Niemna, z głębi borów litewskich, utwierdzały umysły w przekonaniu, że chwila Zmartwychwstania z ciężkiej niewoli rzeczywiście nadeszła.

Książe Adam Czartoryski.

Jeszcze nie zaschły kałuże krwi na ulicach Warszawy, kiedy w nocy z dnia 22. na 23. kwietnia wybuchło powstanie w Wilnie. „Jakób Jasiński, patryota pełen ognia i fanatyk“, jak go nazywają pisarze rosyjscy, ukrywając zręcznie zamiary swoje przed czujnem okiem policyi moskiewskiej i wciągnąwszy do spisku generała Chlewińskiego i pułkowników Niesiołowskiego i Giedrojcia, opanował nagłym napadem stolicę litewską, zabrał do niewoli

generała Arseniewa wraz z całą załogą i uwięził hetmana Kossakowskiego. Na tydzień przedtem przyłączyła się do powstania Żmudź za sprawą Antoniego Prozora, Zawiszy i wspólników Jasińskiego. Tak z wyjątkiem Ukrainy, Wołynia i Podola, gdzie zmarniał niestety ruch, przygotowany przez Karola Prozora, powstały wszystkie prowincye Rzeczypospolitej i wzięły się raźno do dzieła. Nazajutrz — po ustąpieniu Igelströma — wybrano w Warszawie rząd powstańczy, Radę Zastępczą Tymczasową, o trzech wydziałach, w kilka dni potem ustanowiono sąd kryminalny i komisyą porządkową. Do Rady weszli: prezydent miasta Zakrzewski, Józef Wybicki, Kiliński, Wulfers i inni; komenda nad wojskiem pozostała w rękach Mokronowskiego.

Podobnie i w Wilnie utworzyła się Najwyższa Rada Zastępcza i t. zw. Deputacya Bezpieczeństwa, ale Jasiński, gorętszy od innych, nie czekając na działanie sądów rewolucyjnych, kazał natychmiast — na mocy wyroku sądu wojennego — powiesić hetmana Kossakowskiego. Krok ten, usprawiedliwiony zresztą zupełnie zdradzieckiem postępowaniem Kossakowskich i udziałem ich w Targowicy, nie mógł pozostać bez wpływu na umysły w Warszawie. I tam także aresztowano cały zastęp dygnitarzy, bądź o zdradę przekonanych, bądź pod zarzutem jej będących; papiery, zabrane w pałacu Igelströma, dostarczały wyraźnych zbrodni dowodów, ale tak Kościuszko, jak i ci, co w jego imieniu działali, nie byli skłonni do krwawych wyroków i doraźnych sądów. Zostawiono więc sprawę tę drażliwą i przykrą zwykłemu działaniu sądów, które znowu w tak krótkim i burzliwym czasie ani aktów dokładnie zbadać, ani jasnego zdania o winie uwięzionych wyrobić sobie nie zdołały. Wśród tego nadeszła wiadomość o powieszeniu hetmana Kossakowskiego i zelektryzowała umysły tem bardziej, gdy brat straconego, biskup, „Inflantczykiem“ zwany, znajdował się pomiędzy obwinionymi i siedział w więzieniu. Powstało wskutek tego wzburzenie; Konopka, kopista w kancelaryi ks. Kołłątaja i nieznany jakiś ks. Majer, jęli podburzać pospólstwo i rozpuszczać wieści nieprawdziwe o ucieczce Stanisława Augusta, który właśnie 9. maja wyjechał był przypadkowo na Pragę. Nagle kilka tysięcy ludzi oblęgło zamek, po rozmaitych miejscach wzniesiono szubienice, a tłum uzbrojony — zebrawszy się przed ratuszem, gdzie Rada Tymczasowa odbywała posiedzenia — domagał się głośno i zuchwale ukarania zdrajców.

Usiłowaniom członków rady powiodło się burzę narazie zażegnać i przynajmniej powagę władzy uratować o tyle, że sąd kryminalny, zebrany natychmiast, wydał wyrok śmierci na obwinionych. Powieszono też natychmiast hetmana Ożarowskiego, biskupa Kossakowskiego, marszałka Rady Nieustającej Ankwicza i Zabiełłę.

Łatwo sobie wyobrazić przerażenie Stanisława Augusta i otaczających go dworaków. Widział on, jak niedawno, bo przed tygodniem zaledwo, zabrano z zamku — wbrew gorącym protestacyom królewskim — hetmana Ożarowskiego i biskupa Massalskiego, widział, jak go pilnowali dozorcy, z polecenia Rady Tymczasowej wysłani, na każdym kroku, jak lud omal nie rozszarpał Wybickiego za to, że w dzień imienin składał królowi życzenia, widział to wszystko i — drżąc o życie swoje — udał się z pokorną prośbą

do Kościuszki o opiekę. Naczelnik dowiedział się o wypadkach warszawskich, z powodu utrudnionej komunikacyi, dopiero dnia 25. kwietnia, w pełnym toku pracy organizacyjnej. Królowi odpisał grzecznie, z szacunkiem, ale nie bez pewnego odcienia cierpkości. Nawiasowo wspomniał o Targowicy, która zwątliła zaufanie do osoby królewskiej, wkońcu nadmienił, że polecił Radzie Najwyższej, aby zdawała sprawę „z celnych“ swych czynów królowi i o jego potrzebach pamiętała. Do utworzenia Rady, będącej właściwie rządem powstańczym, wysłał dnia 21. maja Ignacego Potockiego i Kołłątaja. Obok ministrów, generałów i dawnych posłów sejmowych zasiedli w tej magistraturze dwaj reprezentanci duchowieństwa katolickiego, prezes konsystorza grecko-orientalnego ks. Sawa Palmowski, Kapostas i Kiliński. Podobną Radę ustanowiono także w Wilnie dla Litwy, znosząc równocześnie Rady Tymczasowe, jakie się potworzyły w początkach powstania. Od tego czasu rozpoczyna się właściwie legalny okres insurrekcyi, rozpoczynają się i kroki wojenne, przerwane po racławickiem zwycięstwie.

Nieczynność Kościuszki i brak wszelkiego zaczepnego działania z jego strony dawały w tym czasie już powód do szemrania i ujemnej krytyki. Niecierpliwił się mianowicie Mokronowski, wtórowali mu inni,[1]) chociaż w istocie powodów takich do niezadowolenia nie było. W tym stanie, w jakim się znajdowały siły polskie aż do połowy maja, trudno było rozpocząć cośkolwiek przeciw nieprzyjacielowi, rozporządzającemu znacznem wojskiem i liczną artyleryą. Dopiero kiedy generał-major Grochowski, omyliwszy czujność Bagrajewa, przeprawił się na lewy brzeg Wisły i przyprowadził do obozu naczelnika 6408 ludzi regularnego żołnierza, można było pomyśleć o jakiemś poważniejszym przedsięwzięciu. Prawda, że Kościuszko musiał natychmiast wysłać 1000 ludzi pod Wedelstettem przeciw Derfeldenowi, który z Podola dążył ze swoim korpusem nad Wisłę, ale mimoto pozostawało mu jeszcze zawsze 14.000, z tego około 10.000 regularnego wojska. Z temi siłami postanowił on uderzyć na Denisowa, który po racławickiej porażce — acz wzmocniony oddziałem generała Chruszczewa — raz tylko odważył się (pod Połańcem) zaatakować obóz polski, a odparty skutecznie, czekał odtąd cierpliwie — jak później się pokazało — na pomoc pruską.

Prusy i Austrya zajmowały dotąd względem powstania polskiego stanowisko niejasne i niezdecydowane, a Kościuszko starał się widocznie unikać wszystkiego, coby te mocarstwa podrażnić, lub do wojny wyzwać mogło. W odezwie swojej, wydanej do mieszkańców Warszawy dnia 8. maja, zaznaczał wyraźnie, że głównym i jedynym wrogiem, którego zwalczać trzeba, jest Rosya. „Pamiętajcie — tak pisał wtedy — że wojna nasza jest wojną aż do śmierci przeciwko tyranii moskiewskiej“. O Prusakach nie wspominał wcale, a Austryą uważał za mocarstwo, najprzychylniej dla Polski usposobione, może za przyszłego jej sprzymierzeńca. W tej myśli też już od początku powstania usiłował utrzymać jak najlepsze stosunki z pogranicznemi władzami austryackiemi i nawiązać układy z gabinetem wiedeńskim za pośrednictwem

[1]) „Pamiętniki Wybickiego“, str. 138.

Józefa Ossolińskiego, mającego wpływ i poważanie w sferach dworskich. Wezwany umyślnie przez Naczelnika, przyjechał Ossoliński dnia 19. kwietnia do obozu pod Bossutowem, bawił tam dni kilka, konferował z Kościuszką i Ignacym Potockim i wyrozumiawszy dokładnie całe położenie, wyjechał do Wiednia, aby Thugutowi rzecz całą przedstawić.

Naczelnik oświadczył mu szczerze i otwarcie, że przeciw Austryi występować nie myśli, że mniemanie, jakoby insurrekcya polska naśladowała wzory rewolucyi francuskiej, jest mylne, żądał wreszcie pozwolenia na zakupno amunicyi i broni w krajach cesarskich, na wysyłanie kuryerów i listów przez Galicyę i prosił o poparcie cesarza u dworów zagranicznych w drodze poufnej. Niezastawszy Thuguta w Wiedniu, przesłał mu Ossoliński wszystkie te życzenia Naczelnika w obszernym liście, dodając od siebie pogląd na sprawę polską, bardzo zręcznie i przychylnie dla powstania ułożony.[1]) Kroki te były co najmniej spóźnione. Thugut wyjechał do głównej kwatery cesarskiej z zdaniem co do Polski już wyrobionem. Niepomyślny przebieg wojny francuskiej i przykre doświadczenia, jakie gabinet wiedeński zebrał podczas drugiego rozbioru, utwierdzały go w przekonaniu, że Austrya za straty, poniesione w wojnie koalicyjnej, powinna szukać wynagrodzenia w Polsce. Mając przed oczyma przykład Prus i obawiając się nowego upokorzenia, wolał on oczywiście w porozumieniu z gabinetem petersburskim i berlińskim zabrać część ziem polskich, niż popierać powstanie, które, pomimo zapewnień Ossolińskiego, uważał za drugie wydanie rewolucyi francuskiej, za dzieło, jeżeli nie przez Jakobinów poczęte, to duchem jakobińskim przesiąknięte.

Stosownie do tych poglądów ministra zajęły też władze austryackie w Galicyi odrazu nieprzyjazne względem insurrekcyi stanowisko. Nadworna rada wojenna poleciła uwięzić Kościuszkę i Madalińskiego, gdyby się pojawili na terytoryum cesarskiem i rozbrajać oddziały powstańcze; arcyksiąże Leopold wzmocnił siły zbrojne w Galicyi do 10.000, a hr. Gallenberg, wiceprezydent gubernialny we Lwowie, zwracał poufnie uwagę rządu wiedeńskiego, że „Austrya ma w swojej mocy bez armii, tylko zapomocą zarządzeń policyjnych, tak zamknąć Polskę, że będzie jakby odcięta od reszty Europy, a w takim razie przymierza francuskie i tureckie staną się niemożebne“. Łatwo pojąć więc, że Thugut — mając ułożony projekt działania w sprawie polskiej — rzucił list Ossolińskiego do kosza i uchylił się od konferencyj z Ignacym Potockim.

Jeszcze niepomyślniejszy obrót wzięły rzeczy w Berlinie, bo tam — po pewnem wahaniu się — nawrócono natychmiast na tory dawnej, wypróbowanej już polityki z czasów czteroletniego sejmu. Kiedy Lucchesini, posłujący wtedy w Wiedniu, bałamucił poczciwego Sołtyka nieokreślonemi nadziejami pomocy pruskiej, a Buchholz, w Warszawie ciągle przesiadujący, zapewniał Ignacego Potockiego, że dwór berliński zachowa się neutralnie względem powstańców, uległ Fryderyk Wilhelm II. wpływom Mannsteina i dał rozkaz generałowi

[1]) Zeissberg: „Quellen etc.“, t. II, str. 202—208. List w tłumaczeniu u Jarochowskiego („Dyplomacya austryacka względem Polski pod koniec XVIII. wieku“ w Ateneum z r. 1886).

Favratowi do przekroczenia granicy polskiej. Favrat uderzył też dnia 18. maja na pospolite ruszenie, zbierające się w obozie pod Skałą, rozprószył je z łatwością, bez walki prawie, ale bezpośrednio potem wrócił na dawne swoje stanowisko. Spacer ten pruski, łącznie z zapewnieniami Buchholza, utwierdził główną kwaterę polską w mniemaniu o neutralności gabinetu berlińskiego. Bo jeżeli Favrat — tak rozumowano — zabiwszy jednego kosyniera polskiego pod Skałą i straciwszy sam jednego konia, nic ważniejszego zresztą nieprzedsiębrał i po tym łatwym tryumfie wnet się usunął, to musiał chyba działać z polecenia swojego dworu, w myśl zapowiedzi Lucchesiniego: „Będziemy was wspierali tajemnie, żebyście odzyskali to, co inne mocarstwa zabrały“. Argumentacyą tego rodzaju popierały zapewne raporta Ignacego Potockiego, któremu Buchholz miał nawet wystawić formalny dokument, co do zachowania neutralności ze strony Prusaków.[1])

Uspokojony w ten sposób wyruszył Naczelnik dnia 4. czerwca z Jędrzejowa ku Rawce i Szczekocinom w celu rozbicia Denisowa. Wyprawa była stanowczo spóźniona, bo król pruski dniem przedtem już przybył pod Żarnowiec, a szef sztabu Igelströma Pistor porozumiał się z Favratem co do połączenia sił pruskich z korpusem Denisowa. Dnia 5. czerwca więc wczesnym rankiem spotkał się Kościuszko pod Szczekocinami z całą potęgą sprzymierzonych. Miał przeciw swoim 14-tu tysiącom 26.000 Prusaków i Moskali i 124 armat. Rezultat walki nie mógł być chyba wątpliwym; początek wróżył jak najgorzej. Kula działowa urwała głowę generałowi Wodzickiemu i przecięła wpół towarzyszącego mu kapitana Usielskiego, a wnet po tem całe prawe skrzydło nieprzyjacielskie, złożone z Prusaków, ruszyło do ataku. Zapóźno spostrzegł Naczelnik, że ma do czynienia nie — jak mniemał — z jednym batalionem, lecz z całą armią pruską; o cofaniu nie było już mowy. Na uwagi Eustachego Sanguszki i Ponińskiego odpowiedział Kościuszko spokojnie: „Chcę się obeznać z manewrami pruskiemi“.

Nie zastraszyła go przewaga nieprzyjaciół, tak jak nie przeraziła żołnierzy polskich. Z szaloną odwagą uderzył na czele kosynierów pułkownik Krzycki, major Lukke z pułkiem Wodzickiego zmięszał piechotę pruską i zagwoździł jedno działo, sam Fryderyk Wilhelm II. uznał za stosowne obecnością swoją pokrzepić upadającego ducha swoich żołnierzy. Ułatwiła mu to przewaga liczebna i śmierć generała Grochowskiego. Pułk dragonów Bibersteina zaczął oskrzydlać Polaków, od lewego skrzydła ukazała się jazda rosyjska; trzeba było myśleć o odwrocie. Wykonano go porządnie, pod osłoną dzielnej konnicy Madalińskiego i generała Kamieńskiego. Szary zmrok przerwał dalszą walkę; na pobojowisku zostało 1000 trupów polskich i osiem armat, które zdobyli Prusacy. Oprócz Wodzickiego i Grochowskiego poległ Bartosz Głowacki, z sześciu obecnych w bitwie generałów polskich dwóch tylko wyszło cało. Kościuszko, lekko raniony w nogę od kuli armatniej, zawdzięczał ocalenie swoje Sanguszce, który go rozpaczającego z pod gradu kul nieprzyjacielskich uprowadził.

---

[1]) Korzon: „Kościuszko“, str. 363.

Prawie równocześnie, bo tylko o trzy dni później, dnia 8. czerwca, toczyła się w okolicach nadbużańskich inna, dla powstania również niepomyślna bitwa. Zajączek, wysłany przeciw Derfeldenowi, nie mogąc mu przeszkodzić w przejściu Bugu, stawił czoło Rosyanom pod Chełmem i został pobity, a co gorsza, oficerowie wyżsi, zrażeni nieudolnością generała, zbuntowali się przeciw niemu i ofiarowali naczelne dowództwo brygadyerowi Wyszkowskiemu, który w bitwie chlubnie się odznaczył.

Nowe to niepowodzenie i niesnaski, jakie powstały w Warszawie wskutek nominacyi członków Rady Najwyższej, napełniły wprawdzie Kościuszkę żalem i goryczą, ale nie były wstanie złamać jego energii, która teraz właśnie w najpiękniejszym okazała się blasku. Wyleczywszy się gruntownie pod Szczekocinami z iluzyi o neutralności pruskiej, wezwał Wielkopolan do powstania; deputacyi warszawskiej, przybyłej z zażaleniem na Radę Najwyższą, odpowiedział, że Rząd Tymczasowy nie może podpadać w tym momencie odmianom, pierwej wypędźmy nieprzyjaciół, a potem założymy fundamenta niezmienne szczęśliwości naszej; Zajączka, po zbadaniu całej sprawy, utrzymał przy komendzie, a oficerów buntujących się przeniósł do innych dywizyj; na obserwowanie Derfeldena wysłał ku Wiśle Sierakowskiego z trzema tysiącami ludzi, sam zaś — przenikając zamiary Prusaków — zwrócił się na Kielce ku Warszawie, aby miasto to przed nagłym napadem nieprzyjaciół zasłonić.

Tymczasem król pruski, wypocząwszy przez trzy dni na pobojowisku szczekocińskiem, ruszył ku Pińczowu, zatrzymał się tam znowu do 22. czerwca i wysłał generała Elsnera na opanowanie Krakowa. Załogą krakowską, złożoną z mieszczan i pospolitego ruszenia, dowodził pułkownik Wieniawski, któremu Kościuszko zostawił rozkaz zapieczętowany, aby — na wypadek najścia Prusaków — miasto poddał Austryakom. Wieniawski jednak zamiast wziąść się do obrony, opuścił Kraków, a zastępca jego, podpułkownik Kalk, otworzył bez wystrzału bramy miasta Prusakom, którzy złupili natychmiast skarbiec Rzeczypospolitej, przechowywany na zamku. Klejnoty koronne zdołano uratować przy tej sposobności — jak utrzymuje kronika klasztoru kapucyńskiego w Krakowie — i oddano je następnie pod opiekę biskupa Cieciszewskiego.

Katastrofa krakowska poruszyła żywo umysły w całym kraju. Kościuszko wydał z obozu pod Warką odezwę, w której — powołując się na przykłady starożytne — usiłował zatrzeć wrażenia klęski i podnieść ducha w narodzie, ale słowa jego, pełne namaszczenia i wiary w przyszłość, nie zdołały ukoić serc rozżalonych i rozgorączkowanych umysłów. Od dwóch tygodni już nadchodziły z pola walki hiobowe wieści; po szczekocińskiej porażce, połączonej z śmiercią tylu walecznych, po nieszczęśliwej rozprawie pod Chełmem, słabość, czy — jak powszechnie mniemano — zdrada Wieniawskiego, oddawała w ręce znienawidzonych Prusaków stolicę jagiellońską, kolebkę powstania. Zawrzała więc Warszawa, odezwały się głośno narzekania na zdradę i zdrajców, agitatorzy zapaleni (pomiędzy nimi znany nam już Konopka) zaczęli lud burzyć i dnia 28. czerwca powtórzyły się smutne sceny majowe. Tłum, wyciągnąwszy z więzienia zostających pod śledztwem: biskupa Massalskiego, kasztelana przemyskiego Czetwertyńskiego, Boskampa, instygatora Boguskiego,

szpiegów: Piętkę i Grabowskiego, powiesił ich bez sądu i wyroku na wystawionych naprędce szubienicach, a nieznając miary w zemście i wściekłości, zgotował ten sam los także niewinnemu i zacnemu Wulfersowi, jakoteż urzędnikowi Majewskiemu. Z największem wysileniem tylko i narażeniem własnego życia udało się prezydentowi Zakrzewskiemu ocalić od haniebnej śmierci Franciszka Moszyńskiego, marszałka wielkiego koronnego, który był powolnem narzędziem w rękach Igelströma.

Bolesne te, chociaż psychologicznie łatwo dające się wytłumaczyć zajścia, napełniły szlachetne serce Naczelnika goryczą i smutkiem. „Kiedy wszystkie trudy i starania moje — tak pisał on z obozu pod Gołkowem do Warszawy — natężone są ku odparciu nieprzyjaciela, wieść mnie dochodzi, iż straszniejszy nad obce wojsko nieprzyjaciel grozi nam i wnętrzności nasze rozdziera. Zakazuję jak najsurowiej ludowi, dla dobra i zbawienia jego, wszelkich odtąd nieporządnych rozruchów, gwałcenia więzień, imania osób i karania ich śmiercią.... Kto nie idzie do Rządu drogą należytą, jest buntownikiem, burzycielem spokojności publicznej i jako taki karany być powinien.... Wy, których gorąca odwaga chce być czynną dla ojczyzny, przybywajcie do obozu mojego“. Na poparcie tego rozkazu wyruszyło też natychmiast z obozu do stolicy 4000 ludzi, sąd kryminalny warszawski, rozpocząwszy czynności swoje dnia 30. czerwca, skazał siedmiu hersztów rozruchu na szubienicę, a Kiliński wybrał jednej nocy 6000 wałęsających się próżniaków i odesłał ich do obozu. Równocześnie odbywał się tam sąd wojenny na Wieniawskiego i Kalka. Obaj skazani zostali na śmierć i powieszeni in effigie.

Gorsza sprawa jeszcze była z rozterkami, nurtującemi u góry. Niepowodzenia wywołują zwykle niesmak i niezadowolenie, budzą podejrzliwość i zaostrzają uśpione chwilami antagonizmy. Naród polski ma więcej do tego skłonności, aniżeli inne narody. Waśń społeczna, częstokroć z osobistych wynikająca pobudek, zatruwała oddawna ducha narodu, niweczyła nieraz najlepsze zamiary królów i zacnych obywateli, rzucała na pastwę losów kraj cały i byt Rzeczypospolitej. A im straszniejsze było położenie państwa i społeczeństwa, tem wstrętniejszą postać przybierała ta waśń wewnętrzna, podgryzająca albo podwaliny egzystencyi, albo kwiat nadziei narodu. Nie obeszło się bez starć podobnych i teraz, w chwili największego niebezpieczeństwa. W rządzie i w tych sferach, które powstaniu dały początek i natchnęły je życiem, zarysowały się wkrótce dwa stronnictwa: gorętsze, podejrzywane o Jakobinizm, a złożone z ludzi takich, jak Kołłątaj, Jasiński i Zajączek, i więcej zachowawcze, do którego należeli: Mokronowski Stanisław, Wielhorski Michał, po części także Wybicki, wszystko — i jedni i drudzy — ludzie, dla sprawy najlepszemi ożywieni chęciami. Do wzajemnej niechęci dołączyła się jeszcze osobista. Zajączek podejrzywał Mokronowskiego i krzywo spoglądał na księcia Józefa Poniatowskiego, który przybiegł ofiarować usługi swoje powstaniu; Aleksander Linowski, obecnie sekretarz Naczelnika, nienawidził Kołłątaja i nazywał go wraz z innymi polskim Robespierrem. Ażeby wybrnąć z tego chaosu podejrzeń i wzajemnych rekryminacyj, usunął Kościuszko Linowskiego, a przybrał do boku swego na jego miejsce Niemcewicza, Poniatowskiego mianował

generałem, oceniając jego chęć służenia sprawie narodowej i doświadczenie wojskowe, komendę nad załogą warszawską powierzył przyjacielowi swemu Orłowskiemu, a Mokronowskiemu oddał dowództwo dywizyi.

Uspokoiwszy w ten sposób wewnętrzną niezgodę, uprzedził Naczelnik Prusaków i z połączonemi siłami swojemi zajął stanowisko pod Warszawą, tak, że 9. lipca armia prusko-rosyjska natknęła pod Raszynem na gotowè do boju wojsko polskie i stoczyła z niem utarczkę niezbyt dla siebie chlubną i pomyślną. Od tego czasu właściwie rozpoczął się atak na Warszawę, a następnie oblężenie tego miasta, trwające do 6. września.

Siły, jakiemi rozporządzał nieprzyjaciel, były potężne, żołnierz wyćwiczony i wprawny, artylerya liczna i doborowa. Fryderyk Wilhelm II. przyprowadził 25 000 ludzi i 179 dział; Fersen, następca Igelströma, który po wypadkach warszawskich poszedł w odstawkę, 16.000 i 74 armat. Oprócz tego na prawym brzegu Wisły (w Zakroczymiu, Modlinie i Sierocku) stał korpus pruski generała Schönfeldta, liczący 11.000 ludzi. Tej potędze mógł ościuszko przeciwstawić zaledwie 26.000 ludzi, w tem 16.000 regularnego żołnierza i ochotników warszawskich około 9.000, razem nie więcej jak 35.000 udzi. Armat, niedostatecznie zaprzężonych i obsługiwanych, miał do 200. Siły były zatem nierówne, ale po stronie polskiej uzupełniał je silny punkt oparcia, stolica zamieszkała przez stutysięczną, patryotyczną ludność, zdolności inżynierskie Naczelnika, który tu właśnie w swoim znalazł się żywiole, a wreszcie błędy, popełniane przez główną komendę pruską i rosyjską.

Systematyczny i powolny Fryderyk Wilhelm przygotowywał się do oblęgania Warszawy podług wszelkich prawideł ówczesnej sztuki wojennej, sposobił faszyny i czekał na sprowadzenie ciężkich dział z Grudziądza. Zajęło mu to czas do 26. lipca. Powolność pruską wyzyskał znakomicie Kościuszko. Założywszy trzy obozy: swój własny w Mokotowie, Zajączka pod Wolą, a Mokronowskiego (następnie księcia Józefa Poniatowskiego) pod Marymontem, zajął on się energicznie i umiejętnie obwarowaniem Warszawy, co przy żywej i ochoczej pomocy mieszczaństwa nie było rzeczą zbyt trudną. W ten sposób uzupełnił rozpoczęte dawniej fortyfikacye polowe, usypał silną redutę w Rakowcu i oczekiwał spokojnie nieprzyjaciela. Pierwszy swój atak skierowali Prusacy na Wolę, którą rzeczywiście zdobyli dnia 27. lipca, ale bombardowanie miasta niepowiodło się skutkiem mylnych obliczeń kierującego inżyniera. Za to wycieczki polskie, wykonane przez generałów Kamieńskiego, Madalińskiego i Dąbrowskiego zrządziły znaczne szkody Prusakom, a Kościuszko urządził nowe reduty na Górach Szwedzkich i Skalszczyźnie. Nielepiej wiodło się Rosyanom, których nękał Poniński z Rakowca niespodzianemi wycieczkami.

Dnia 26. sierpnia udało się Prusakom nagłym napadem opanować Góry Szwedzkie i Skalszczyznę, gdzie dowodził Poniatowski, skutkiem nieostrożności lub niedbalstwa podpułkownika Wiesiołowskiego i podporucznika Aignera.[1])

[1]) Obwiniano księcia Józefa, że nie był podczas ataku obecnym. Zarzut ten powtarza Korzon („Kościuszko“, str. 396). Tymczasem Wybicki, naoczny świadek, przeczy temu stanowczo („Pamiętniki“, str. 142) i utrzymuje, że „książe na pierwszy wystrzał z pod Woli znalazł się na czele wojska“ i że on sam (Wybicki) stał obok niego w ciągłym ogniu.

Miejsce księcia Józefa, który otrzymał w tem starciu kontuzyą, zajął Dąbrowski i on to ośmielonego poprzedniem powodzeniem nieprzyjaciela odparł

Zdobycie wąwozu Somo-Sierra przez Polaków.
Podług obrazu Jul. Kossaka.

od Powązek i zdobył dwie baterye pruskie. Szturm nie powiódł się, a nowy — układany na dzień 1. września — udaremniła wycieczka polska, która wyrzuciła Prusaków z Wawrzyszewa.

Tymczasem w obozie nieprzyjacielskim dawał się uczuwać brak żywności i paszy dla koni, zawiodła nadzieja pomocy rosyjskiej z Litwy, zawiodły działania Schönfeldta, którego generał Orłowski umiał na wodzy utrzymać, a co ważniejsza, nadeszły niepokojące wiadomości o powstaniu w Wielkopolsce. Rzeczywiście skutkiem odezwy, wydanej po bitwie szczekocińskiej, chwycili Wielkopolanie za broń i zaczęli szczęśliwą dosyć z Prusakami partyzantkę. Odznaczył się szczególniej kasztelan kujawski Mniewski, który ze swoim oddziałem poznosił załogi pruskie w Włocławku i Brześciu kujawskim i zabrał cały transport amunicyi, wyprawionej Wisłą do obozu królewskiego pod Warszawę. Wiadomość o tem zatrwożyła i zniechęciła do reszty Fryderyka Wilhelma II., tak, że gdy układy o poddanie Warszawy żadnego nie odniosły skutku, kazał o zmroku dnia 5. września pościągać z przykopów armaty i nazajutrz zwinął oblężenie, cofając się na Raszyn ku Piasecznu.

Kampania litewska. — Klęska pod Maciejowicami. — Wzięcie Warszawy. Odparcie potężnego nieprzyjaciela od murów stolicy, będącej w tej chwili ogniskiem powstania, było niewątpliwie w pierwszym rzędzie zasługą Kościuszki, dziełem jego zdolności, pilności i niezmordowanej pracy. Cały czas oblężenia spędził on pod namiotem, chociaż w Mokotowie miał do dyspozycyi pałac Lubomirskich, „żył powietrzem“ — jak się wyraża Sanguszko — i przez dwa miesiące wcale się nie rozbierał, zawsze gotów dosiąść konia i stawić się tam, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo. Uwadze i baczności jego nie uszło nic, coby się przyczynić mogło do polepszenia doli wojska i obrony miasta. Jedną ręką więc rysował plany fortyfikacyjne, drugą pisał niezliczone odezwy i rozkazy, troszczył się sam o każdy płaszcz niemal, o każdą parę butów, o każdy nabój, słowem był zarazem naczelnym wodzem, inżynierem i intendantem armii. To też nic dziwnego, że pod tem umiejętnem i starannem kierownictwem szło wszystko dobrze i bardzo często pomyślnie, że rosła odwaga i zaufanie w żołnierzach, siła poświęcenia w mieszczaństwie, budziła się przedsiębiorczość i dzielność w oficerach. Uznał tę zasługę naród cały, uznała Rada Najwyższa, która — wyrażając pisemnie życzenia swoje z powodu odniesionego zwycięstwa Naczelnikowi — zamierzała uczcić go uroczystym obchodem. Kościuszko odpowiedział odmownie. „Zatrudnienia moje — pisał — nie dozwalają mi ukontentowania być z wami, godni mężowie; śmiem ufać, że ten Bóg, który stolicę uwolnił, uwolni i ojczyznę; wtenczas już jako obywatel, nie jako urzędnik, i Bogu dzięki składać i powszechną ze wszystkimi radość dzielić będę“.

I miał słuszność zupełną, że niechciał tryumfów i obchodów, kiedy z tylu stron najniepomyślniejsze dochodziły wiadomości; kiedy w lipcu rozpoczęła się „spokojna“ okupacya austryacka w Sandomierskiem, a w Litwie rzeczy jak najgorszy brały obrót. Oswobodzenie Wilna i poruszenie całej prowincyi litewskiej było dziełem Jasińskiego. Ruchliwy i stanowczy w postępowaniu, pojmował on trafniej niż inni położenie kraju i istotę powstania, wiedział, że działać trzeba szybko i energicznie, nieprzyjaciela niepokoić i nużyć, niepowodzeniem chwilowem się nie zrażać i w potyczkach mniej lub więcej szczęśliwych oswajać ochotników z wojną i na dobrych wyrabiać żołnierzy. Wierny

tej zasadzie uderzył on dnia 26. czerwca na Beningsena pod Sołami, lecz znieść go nie zdołał. To niepowodzenie, jakoteż zbyt rewolucyjne usposobienie Jasińskiego, zraziło do niego umysły pewnych kół i niewiadomo, czy z tej lub z innej przyczyny Kościuszko powierzył naczelne dowództwo na Litwie Michałowi Wielhorskiemu. Wielhorski, który służył poprzednio w armii austryackiej, nie mógł podołać tak trudnemu zadaniu. Systematyczny, powolny w działaniu, zdolności strategicznych nie okazał wcale, przeciwnie jego niedbalstwu lub niedopatrzeniu przypisać trzeba klęskę boruszkowicką w roku 1792. Przybywszy na Litwę, zastał położenie wcale pomyślne. Powstanie objęło Żmudź, Wawrzecki poruszył Kurlandyą i zdobył Libawę, ludność była ożywiona dobrym duchem, ochotnicy napływali do obozów, Sierakowski, wysłany około 20. lipca przez Naczelnika, prowadził posiłki. Wielhorski zmarnował to wszystko. Kiedy Kościuszko upominał w każdym liście niemal Sierakowskiego: „staraj się być czynnym“, kiedy mu sam podsuwał plan zniesienia Derfeldena, naczelny wódz armii litewskiej nieruszał się z obozu pod Weronowem, patrzył obojętnie na to, jak starszyzna wojskowa grała w karty, a żołnierz głodem przymierał, wreszcie dnia 31. lipca przysłał do głównej kwatery uwiadomienie, że jest chorym, że z łóżka wstać nie może i oddał zastępstwo w komendzie generałowi Chlewińskiemu.

Tymczasem Jasiński, dotknięty nominacyą Wielhorskiego i przewidując, co z tego wyniknie, pojechał do Warszawy i przez Kołłątaja oświadczył Naczelnikowi, iż chce wyjść ze służby Rzeczypospolitej. Niedopuścił do tego Kościuszko, lecz wysłał jako pełnomocnika i zastępcę swego na Litwę Karola Prozora, który — będąc w przyjaźnych stosunkach z Jasińskim — miał rozterki wewnętrzne uśmierzyć i podnieść zachwianą sprawę powstania.

Niewiele mógł zdziałać Prozor tam, gdzie wszystko od działań wojennych zależało, gdzie pomiędzy generałami i w łonie Rady Najwyższej brzydkie jakieś nurtuwały intrygi.[1]) Sam Wielhorski prosił usilnie, aby go odwołano. „Nie znam kraju — pisał do księcia Józefa Poniatowskiego — nie znam ludzi, Jasiński ich zna, Jasiński będzie użyteczniejszym, on ich poprowadzi“. Ale przeciw Jasińskiemu panowało widocznie uprzedzenie; Naczelnik powierzył naczelne dowództwo Mokronowskiemu. Na tych sporach i targach upłynął jednak czas najdroższy. Zanim Mokronowski wybrał się z Warszawy i zanim przybył do armii litewskiej (dnia 17. sierpnia) opanowali Moskale Wilno (dnia 12. sierpnia).

Zmiana naczelnego wodza nie przyniosła spodziewanych korzyści. Mokronowski, o którego zdolnościach tyle mówiono, i który rzeczywiście — podczas powstania warszawskiego — dał dowody patryotyzmu, zręczności i poświęcenia, nie był wstanie naprawić błędów swego poprzednika. Co gorsza, Wielhorski, chociaż to niby dowództwo złożył i do Grodna się usunął, wydawał stąd po staremu rozkazy, których Chlewiński wcale nie słuchał. Nastąpiło skutkiem tego ogólne rozprzężenie, brak subordynacyi i upadek zupełny ducha w wojsku i u obywateli. Wawrzecki, wyparty z Libawy, opuścić mu-

[1]) List Chlewińskiego. Dubiecki: „Karol Prozor“, str. 245.

siał Kurlandyę, powstanie żmudzkie, po długiej i uporczywej walce złamane, szukało ocalenia w odwrocie na Litwę, nieprzyjaciel ośmielony bezczynnością generałów polskich zabierał jeden powiat po drugim i czekał przybycia Suwarowa, przeznaczonego na grabarza Polski.

Na chlubę Kościuszki powiedzieć trzeba, że w tem rozpaczliwem niemal położeniu nie stracił on ani odwagi, ani energii, przeciwnie uczynił wszystko, czego mogła dokazać pilność, staranność i osobista dzielność jednego człowieka wśród społeczeństwa upadającego na duchu i w kraju doszczętnie zrujnowanym. Gdy sejm czteroletni, rozporządzający niewyczerpanemi zasobami całego państwa, nie był wstanie uzbroić 65-tysięcznej armii, powołał Kościuszko w przeciągu kilku miesięcy pod broń 149.000 ludzi i odniósł nad zdwojoną potęgą nieprzyjaciół większe korzyści, niż cała armia regularna polska podczas kampanii w roku 1792. Nie mając ani broni palnej, ani pieniędzy, walcząc nawet z brakiem żywności, wynajdywał on jednak środki i źródła do zaspokojenia gwałtownych potrzeb, zużytkował wszelkie zasoby, poruszył wszelkie sprężyny i w walce z przemocą trzech najpotężniejszych mocarstw europejskich złożył dowody nietylko talentów wojskowych, ale i wyjątkowych zdolności organizatorskich.

Nieszczęściem dla niego i dla kraju był brak ludzi, którzyby rozporządzenia Naczelnika ściśle i z powodzeniem wykonać mogli. Najdzielniejsi oficerowie bądź zginęli (Grochowski, Wodzicki), bądź ustąpili z widowni (Wedelstett), ci, co pozostali, nieposiadali zdolności i wiary w powstanie, ani pojęcia o kierowaniu ruchem rewolucyjnym. Z licznej rzeszy generałów kościuszkowskich zabłysnął jeden tylko talentem i energią. Był nim Jan Henryk Dąbrowski, oficer szkoły saskiej, z początku wicebrygadyer, obecnie podczas oblężenia Warszawy posunięty na stopień generał-majora. Jemu też i księciu Józefowi Poniatowskiemu powierzył Kościuszko ważne zadanie trzymania na wodzy Prusaków. Podczas gdy dywizya 8-tysięczna księcia Józefa rozłożyła się w tym celu nad Bzurą, ruszył Dąbrowski z trzema tysiącami do Wielkopolski, połączył się tu z powstańcami Mniewskiego i generała Skórzewskiego i — zabierając po drodze kasy i drobne załogi pruskie — opanował nagłym napadem Bydgoszcz i wziął do niewoli prawie cały garnizon wraz z ciężko rannym, słynnym z okrucieństw swoich, pułkownikiem Szekulim. Niespodziewane to powodzenie przeraziło Prusaków do tego stopnia, że generał Schwerin — chociaż miał 20.000 ludzi — uznał za stosowne cofnąć się z Kalisza do Konina, a w Berlinie o Gdańsk już obawiać się zaczęto. Jakoż rzeczywiście podjął Wybicki podjazdową wyprawę do Prus zachodnich, dotarł aż do Świecia, zaprowadził tam urzędy polskie, ale na wiadomość o klęsce pod Maciejowicami musiał wraz z Dąbrowskim powrócić pod Warszawę. Zasługi Dąbrowskiego wynagrodził Kościuszko awansem na generał-lejtnanta i osobnem podziękowaniem, wyrażającem podziw i uwielbienie.

Nie na wielkopolskim teatrze wojny miały się jednak rozstrzygnąć losy powstania i Polski. Główne niebezpieczeństwo groziło od wschodu. Katarzyna, oburzona na króla pruskiego za odwrót z pod Warszawy, rzuciła nowe siły na linię bojową. Z Niemirowa (nad Bohem) biegł forsownym marszem Su-

warow w 18.000 ludzi, aby — połączywszy się z Fersenem — zgnieść jednym zamachem powstanie. Ku tej stronie więc zwrócił Kościuszko całą swoją uwagę. Siły, jakiemi rozporządzał, nie były wielkie, ale mogły wystarczyć na odparcie nieprzyjaciela. Armia, zgromadzona około Warszawy, wynosiła — okrągło licząc — 26.000 ludzi, litewska pod Mokronowskim, złożona z dwóch dywizyi, 16.000 ludzi, korpus Sierakowskiego 5000—6000, dywizya Ponińskiego, obserwująca Fersena koło Puław, 3500 ludzi, czyli razem przeszło 50.000 ludzi bez milicyi i ruchawek rozmaitego rodzaju, kręcących się wśród głównych korpusów. Siły nieprzyjacielskie, bezpośrednio wchodzące w akcyę, składały się z korpusu Fersena (16.000) i Suwarowa (18.000), oprócz tego z armii litewskiej, o której działaniu jednak w tej chwili mało słyszymy. Położenie nie było zatem rozpaczliwe, a los walki od dzielności i sprawności generałów zależał. Niestety pod tym względem zawiodły najskromniejsze nawet nadzieje.

Sierakowski, słynny ze swojego kunktatorstwa, wysłany na powstrzymanie Suwarowa, nie otrzymał — mimo rozkazu Kościuszki — posiłków od Mokronowskiego, który bezczynnie stał pod Grodnem, i musiał sam stawić czoło przeważającym siłom nieprzyjacielskim. Zająwszy silną pozycyę pod Krupczycami, walczył on od 8-mej zrana do 4-tej popołudniu (17. września), wreszcie — zagrożony oskrzydleniem — cofnął się ku Brześciowi, przeszedł Bug i zatrzymał się w dawnym obozie swoim pod Terespolem. Tu, jakkolwiek przestrzeżony wcześnie przez posterunki swoje o przeprawie Suwarowa przez Bug, dał się zaskoczyć niespodzianie i został zupełnie rozbity. W dwóch bitwach utracił korpus Sierakowskiego 2204 ludzi i — co najdotkliwsza — całą artyleryę, złożoną z 28-miu armat, zaprzężonych w konie z królewskiej stajni.

W Siedlcach, dokąd szczątki rozbitego korpusu się ściągały, otrzymał Kościuszko smutną wiadomość o tej katastrofie i wydał natychmiast rozkaz Mokronowskiemu, aby z dywizyą grodzieńską przysunął się ku Warszawie, sam zaś — wróciwszy do stolicy — wysłał ku Brześciowi w posiłek Sierakowskiemu 1000 piechoty z 26-ma armatami. Wszystko zależało teraz od tego, aby przeszkodzić połączeniu się Fersena z Suwarowem. Rzecz nie wydawała się zbyt trudną. Suwarow stał w okolicach Białej, był oddzielony od Fersena Wisłą, miał na prawem skrzydle swojem Mokronowskiego, przed sobą rozbity wprawdzie, lecz nanowo formujący się korpus Sierakowskiego; Fersena pilnował Poniński. Kościuszko użył wszystkich sił swoich do wzmocnienia Sierakowskiego; oprócz Kniaziewicza (1000 piechoty) posłał mu brygadę Kopcia, następnie generała Kamieńskiego i Hamana, kazał zabierać po drodze armaty i żywność z okolic Węgrowa i Sokołowa i cofać się ku Warszawie, wreszcie — zmieniając poprzednie rozporządzenia — polecił korpusowi zająć stanowisko pod Kockiem, a Mokronowskiego pchnął ku Bielskowi na Suwarowa.

Wśród tego stała się rzecz niespodziewana: Fersen przeprawił się dnia 4. października na prawy brzeg Wisły. Niepozostawało zatem nic innego, jak uderzyć na jego korpus i wrzucić go do Wisły. W tym celu dnia 6. paździer-

nika o świcie wyjechał Kościuszko w towarzystwie jednego tylko Niemcewicza na rozstawnych koniach z Warszawy i nad wieczorem stanął w głównej kwaterze Sierakowskiego w Okrzei, zastał tu Ponińskiego i złożył natychmiast radę wojenną, której ostatecznym rezultatem nie mogło być nic innego, jak stoczenie bitwy z Fersenem. Natychmiast też ruszyło całe wojsko i 9. października o 4-tej popołudniu stanęło w obliczu nieprzyjaciela pod Maciejowicami, gdzie nadeszły posiłki, wysłane przez Zajączka z Warszawy.

Wzmocniony w ten sposób korpus liczył co najwięcej 7000 ludzi; przeciw niemu stał Fersen z 16-ma tysiącami. Jedyną nadzieją w takich warunkach mogła być więc dywersya ze strony Ponińskiego, oddalonego od pola bitwy o $4^1/_2$ mili. Na tem prawdopodobnie opierał plan swój Kościuszko. Zająwszy pozycyę obronną pomiędzy dzisiejszem Podzamczem a wioską Oronne, oparłszy prawe skrzydło swoje o wyniosły zamek maciejowicki, miał Naczelnik przed sobą nizinę moczarowatą, którą nieprzyjaciel musiał przebywać pod ogniem artyleryi i karabinów polskich. Wytrzymać atak jego sił przeważających przez czas dłuższy wydawało się rzeczą łatwą, niewątpliwą, tymczasem nadciągnie Poniński, a jego uderzenie na tyły armii rosyjskiej rozstrzygnie bitwę. Wykonanie planu zależało — jak widzimy — od wczesnego pojawienia się korpusu Ponińskiego. Czy i jakie pod tym względem wydano polecenia poprzednio, nie wiemy. Wiadomo tylko tyle, że o godzinie $1^1/_2$ po północy, a więc już dnia 10. października, wysłał Kościuszko rozkaz do Ponińskiego, aby przybywał do Tyrzyna i zalecał „największą piluość w marszu“. W kilka godzin później, około 5-tej rano, dano znać, że nieprzyjaciel postępuje w szyku bojowym. Rozpoczął się natychmiast ogień armatni i atak Denisowa na lewe skrzydło polskie. Bitwa przez trzy pierwsze godziny toczyła się pomyślnie dla Polaków. Atak Denisowa odparto bagnetem, pod ogniem artyleryi polskiej chwiały się widocznie bataliony rosyjskie, Tormasow przebierał się z trudnością ku prawemu skrzydłu i ostrzeliwał je bez skutku, Sierakowski mniemał, że „Moskaluszki zabierają się do odwrotu“. Złudzenie to nie trwało długo. Wnet połączyły się dywizye Tormasowa i Chruszczowa do nowego na prawe skrzydło ataku, 60 dział rosyjskich zasypywało gradem kul i granatów linię bojową, w szeregach polskich zaczęło brakować amunicyi. W tej chwili uderzyli grenadyerzy z pułku sybirskiego i piechota z regimentu kurskiego bagnetem na zamek. Niemając już ładunków, rzucił się dzielny pułkownik Krzycki z kosynierami i jednym batalionem na odparcie nieprzyjaciela, ale pod strasznym ogniem artyleryi nieprzyjacielskiej zmięszały się jego szeregi, a w tej chwili uderzyła na skłębioną piechotę jazda rosyjska. Na ten widok pospieszył Kościuszko z lewego skrzydła, aby obecnością swoją ożywić upadającą odwagę żołnierzy. Na jego rozkaz zaczęły się spajać rozluźnione szeregi w czworobok, gdy w tem nagle na tyłach rozległ się okrzyk bojowy i ukazała się jazda Tołstoja.

Paniczny strach ogarnął zachwiane już i z dwóch stron napadnięte pułki polskie, najdzielniejszych odstąpiła odwaga, rzucając broń rozbiegali się na wszystkie strony, ginąc najczęściej pod bagnetami rozjuszonej piechoty moskiewskiej. Ogólny popłoch porwał zapewne i Naczelnika; niesiony falą ucie-

kających, walcząc do ostatniej chwili, padł on ranami okryty o pół mili od Podzamcza, pod wsią Krępą. Ubezwładnionego zupełnie i nieprzytomnego unieśli z pola bitwy na noszach z lanc Kozacy i karabinierzy, pomiędzy którymi miało być zaledwie dwóch lub trzech kornetów, a więc wszystko ludzie prości. Tasama okoliczność już może służyć za dowód, że podanie o owem klasycznem finis Poloniae, jakoby wyrzeczonem wtedy przez Naczelnika, jest wierutną bajką. Wynalazła ją „Südpreussische Zeitung“, powtórzyły inne dzienniki ówczesne, a zaprzeczył — jak wiadomo — stanowczo sam Kościuszko. Około godziny 1-szej w południe ucichły działa, pole bitwy, zasłane gęsto trupami, straszny przedstawiało widok; na lewem skrzydle bataliony pułku Działyńskich, leżące szeregami, dawały chlubne świadectwo o waleczności polskiego żołnierza i o zaciętości walki. Nieustępując ani kroku, padli oni wszyscy jak bohaterowie, godni niewygasłej pamięci i sławy.

Tymczasem do zamku, gdzie wrzał bój najzawziętszy, zwaliła się cała generalicya rosyjska z Fersenem na czele; tam sprowadzono znaczniejszych jeńców polskich, jak: Sierakowskiego, Kniaziewicza, Kamieńskiego, Kopcia, Fiszera, Niemcewicza, a około godziny 5-tej wniesiono wreszcie obficie krwią zbroczonego Naczelnika. Zrana dopiero (dnia 11. października) o wschodzie słońca budząc się jakoby z letargu, zapytał on leżącego obok Niemcewicza: „Co to znaczy? Gdzież jesteśmy?“ Niebawem wszedł Fersen z wyrazami ubolewania, a trzykrotna salwa karabinów rosyjskich objaśniła Kościuszkę lepiej niż słowa Niemcewicza o całej grozie położenia.

Zdala od tego bolesnego widoku, zbierając po drodze uciekających rozbitków, cofał się ze swoim korpusem Poniński. Ostatni rozkaz Naczelnika doszedł go o godzinie 7-mej zrana; w pół godziny potem — jak twierdzi — był już gotowym do marszu, słyszał huk dział, ale dopiero około godziny 1-szej znalazł się w pobliżu pola bitwy. Gdzie otrzymał rozkaz i dlaczego, znając plan Kościuszki, poprzednio już nie posunął się ku Maciejowicom, aby na dany znak podążyć z pomocą, o tem z późniejszych wyjaśnień Ponińskiego wcale się nie dowiadujemy. Niezaprzeczonym za to jest fakt, że Fersen, który o bliskiem sąsiedztwie Ponińskiego wiedział, nie wahał się mimoto wszystkie swoje rezerwy rzucić w ogień, tak jakby się uderzenia na tyły armii swojej wcale nie spodziewał.

Wrażenie klęski maciejowickiej było straszne. Naoczny świadek tej doby (Ogiński) zapewnia, że „w całym ciągu życia nie widział obrazu bardziej wzruszającego i scen bardziej rozdzierających, jak te, które przedstawiała publiczność stolicy podczas kilku dni następnych“. Chorzy ulegali nagle pożerającej gorączce, wielu popadało w stan obłąkania, a mężczyźni i kobiety, załamując ręce na ulicach, uderzali głową o mur i wołali z rozpaczą: „Niema Kościuszki, ojczyzna zgubiona“.[1])

Boleść powszechna i żal objawiały się w wzajemnych zarzutach i rekryminacyach, odżyła przytłumiona cokolwiek waśń społeczna, podniosły głowę stronnictwa, snując najdziwniejsze plany, rojąc najkrwawsze, rozpaczą natchnione pomysły, bez żadnych widoków powodzenia.

[1]) „Pamiętniki Michała Ogińskiego“, t. II, str. 29. Tłum. polskie.

Rada Najwyższa, w której łonie także ścierały się te prądy, pragnąc uniknąć katastrofy i utrzymać jaki taki porządek, przystąpiła natychmiast do wyboru naczelnika. Głosy padły na Tomasza Wawrzeckiego. Najzacniejszy patryota, znany z partyzanckiej wyprawy swojej do Kurlandyi, człowiek niezłomnego charakteru, nie posiadał on jednak ani znajomości sztuki wojennej, ani zaufania żołnierzy. W tym stanie ogólnego rozprzężenia i demoralizacyi, jaka szerzyła się mianowicie w wojsku, nie mógł on uratować powstania, mógł tylko ocalić honor armii i narodu.

Jakoż do tego celu zmierzały jego rozporządzenia. W przewidywaniu oblężenia stolicy, powołał on do Warszawy korpusy Dąbrowskiego, Madalińskiego i Mokronowskiego. Ostatni z nich, demonstrujący dotąd tylko na prawem skrzydle Suwarowa, nie zdołał już wykonać rozkazu bez zetknięcia się z nieprzyjacielem. Napadnięty pod Kobyłką, utracił artyleryę swoją i z szczątkami wojska zaledwie przedarł się do Pragi; Dąbrowski i Madaliński nie zdążyli na czas.

Nieprzyjaciel tymczasem próbował układów. Dnia 14. października doręczył kuryer rosyjski list Fersena Stanisławowi Augustowi. Generał odzywał się do króla jako do prawowitej władzy i żądał w tonie wyniosłym uwolnienia i odesłania wszystkich jeńców rosyjskich „płci obojga“, zresztą wyrażał nadzieję „zbawiennego i trwałego pokoju“. Król, zniósłszy się z Radą Najwyższą, odpowiedział odmownie, godził się jednak na wymianę jeńców. Na tem skończyły się układy. Niepotrzebowali ich zresztą Moskale, bo Suwarów — połączywszy wszystkie siły — stanął dnia 26. października pod Warszawą.

W głównej kwaterze polskiej zamierzano z początku w otwartem polu stawić czoło nieprzyjacielowi, wkońcu jednak postanowiono bronić się w okopach, pragskich. Praga, obwarowana szańcami i bateryami, opatrzona dziesięciotysięczną załogą i artyleryą z stu dział złożoną, miała powstrzymać rozzuchwalonego zwycięstwem maciejowickiem nieprzyjaciela. Naczelne dowództwo objął Zajączek. Po pierwszem starciu dnia 29. października i po kanonadzie dnia 3. listopada, nastąpił nazajutrz szturm. Suwarow, nieprzyzwyczajony do oszczędzania ludzi, pędził pułki swoje w ogień z bezwzględnością azyatyckiego despoty; po trupach towarzyszy darli się następni na wały, padały setki, tysiące, ale przewaga liczebna zwyciężyła wkońcu, chociażby siłą ciężkości. Po kilkugodzinnej walce zdobyli Moskale szańce na lewem skrzydle polskiem i teraz rozpoczął się bój ręczny, straszny i krwawy, z niesłychaną zaciekłością z obu stron. Nie dając i nie żądając pardonu, mordowano się tak bez pamięci, a rozjuszony żołnierz rosyjski, wdarłszy się do wnętrza okopów i nie znajdując już oporu, rzucił się na bezbronną ludność pragską i „hulał“ bez końca. Dwanaście tysięcy spokojnych mieszkańców, bez różnicy płci i wieku, padło pod bagnetami i pikami żołdactwa, wśród scen rozdzierających serce i urągających wszelkim pojęciom cywilizacyi. Ogień, podłożony na czterech rogach, zamienił wkrótce całą Pragę w perzynę i pod szarym płaszczem zgliszczów i popiołu spoczęły snem wiecznym ofiary najdzikszego barbarzyństwa i zwierzęcej zemsty. Historya oburza się słusznie na Tillego za katastrofę magdeburską, ale Tilly

miał przynajmniej pozory na usprawiedliwienie swego okrucieństwa, podczas gdy Suwarow działał pod wrażeniem zwierzęcych instynktów, mordował bez myśli, bez planu i potrzeby.

Okrutny los Pragi, śmierć tylu walecznych, pomiędzy którymi byli generałowie Jerzy Grabowski i Jasiński i zacny Tadeusz Korsak, okryły cały kraj żałobą i przeraziły najśmielsze nawet umysły. Rada Najwyższa więc wyprawiła do głównej kwatery rosyjskiej Ignacego Potockiego w celu układów, a gdy go Suwarow nie przyjął, oświadczając, że z żadnym przywódzcą powstania traktować nie będzie, wziął na siebie smutną rolę negocyanta pokojowego magistrat warszawski w imieniu miasta, zagrożonego bombardowaniem. Dnia 6. listopada podpisano obustronnie warunki kapitulacyi, obejmującej tylko samą Warszawę. Wojsko pod dowództwem Wawrzeckiego opuściło stolicę, a ścigane przez armią rosyjską pod Fersenem i Denisowem złożyło broń dnia 18. listopada pod Radoszycami. Korpusy księcia Józefa Poniatowskiego i Madalińskiego rozbroili Prusacy; grobowa cisza zaległa nad polami krwią nasyconemi i rozpoczęły się targi o puściznę po mocarstwie, które będąc przez tyle wieków przedmurzem chrześcijaństwa i cywilizacyi, stawało się dziś łupem tych, co głosili przed światem, że są obrońcami zdrowych zasad społecznych i zachwianej powagi Kościoła.

Ostatni rozbiór Polski w roku 1795. Los Rzeczypospolitej, okrojonej grodzieńskiemi traktatami, był już w Petersburgu z góry rozstrzygnięty. „Sentymentalna“ i „wspaniałomyślna“ Katarzyna, zapominając o przyrzeczeniach, danych Stanisławowi Augustowi i hersztom Targowicy, nie myślała o dalszem utrzymaniu Polski, chociażby tylko pozornie niezawisłej. Gdy król polecał siebie i kraj „wspaniałomyślnej tryumfatorce“ i pisał: „Polska podobną jest do pustyni. Waszej Imperatorskiej Mości zdaje się być pozostawionem położyć granice innym, skoro sama sobie granice korzyści swego zwycięstwa oznaczysz“, kazano mu — w odpowiedzi na tę submissyą — wyjechać do Grodna. Narzędzie, spełniwszy smutne posłannictwo swoje na tronie polskim, stawało się teraz zawadą i ciężarem w Warszawie. W Grodnie, oddany pod opiekę starego znajomego swego Repnina, spędził Poniatowski rok cały prawie, zanim — w rocznicę koronacyi swojej, dnia 25. listopada roku 1795. — podpisał akt abdykacyjny.

Przez cały ten czas toczyły się ożywione układy w Petersburgu, wrzała zacięta walka pomiędzy Prusami i Austryą o udział w zdobyczy. Prusy, wierne swojej egoistycznej i zachłannej polityce, żądały województwa sandomierskiego i krakowskiego wraz z Krakowem, Warszawą i częścią Mazowsza, położoną na prawym brzegu Wisły. Rosya, zdaniem gabinetu berlińskiego, stłumiła powstanie polskie tylko z pomocą Prus, słusznie też należy się temu mocarstwu stosowne wynagrodzenie za tyle kosztów poniesionych i krwi przelanej. Austrya przeciwnie od samego początku insurrekcyi prowadziła politykę niejasną, następnie — korzystając ze zwycięstw pruskich i rosyjskich — zajęła bez wystrzału kraj pomiędzy Wisłą i Bugiem i usadowiła się na Wołyniu, co najwięcej więc można jej oddać województwo lubelskie i ziemię chełmską, w ostatecznym razie Wołyń. Na ten projekt znowu nie zgadzała się Rosya. Pobożna

Katarzyna pragnęła koniecznie zatrzymać dla siebie Włodzimierz nie dla innego powodu, jak tylko, że stamtąd — podług jej zdania — rozszerzyła się wiara chrześcijańska w Rosyi,[1]) Włodzimierz zaś bez Dubna i Wołynia całego tracił wszelkie znaczenie. Na tem utknęły dalsze układy. Austrya znalazła się w niezmiernie kłopotliwem położeniu. Zawikłana w wojnę francuską i ogołocona z pieniędzy do tego stopnia, że żołnierze w armii nadreńskiej głodem przymierali, a konie z braku paszy padały, była ona zdana zupełnie na łaskę sprzymierzeńców swoich, t. j. Prus i Rosyi; z Petersburga bowiem otrzymywała subsydya pieniężne (400.000 rs.), Berlin zaś wspierał ją potężną armią pod księciem Hohenlohe i Möllendorfem. Z drugiej strony, oszukana raz przez Prusaków i nie zyskawszy nic przy drugim rozbiorze Polski, pragnęła ona teraz błąd popełniony poprzednio naprawić i wykroić dla siebie jak największy udział ze zdobyczy.

W takich warunkach przypadła rola rozjemcza Katarzynie i do niej też zwrócił się gabinet wiedeński ze swojemi żalami na pruską perfidyą i słusznemi — jak mniemał — pretensyami. Carowa nie była dobrze usposobiona dla swego serdecznego przyjaciela z nad Sprei. Gniewał ją ten Fryderyk Wilhelm II., chwiejny i rozmaitym ulegający wpływom, oburzała się na niedołęstwo jego przy oblęganiu Warszawy, a ze względu na własny interes pragnęła chciwości pruskiej w Polsce jak najskromniejsze zakreślić granice.

Wśród tak sprzecznych interesów, podejrzliwej zawiści i wyrafinowanego cynizmu, toczyły się układy w Petersburgu w ostatnich miesiącach roku 1794. Na konferencyach wspólnych i poufnych pogadankach dogryzano sobie nieraz dotkliwie. Wicekanclerz rosyjski (Ostermann) zarzucał Cobenzlowi, że Austrya daje schronienie Polakom, źle usposobionym względem Rosyi. Urażony tą uwagą poseł austryacki odparł trafnie, że gdyby chciano wydalić wszystkich Polaków, nieżyczliwych mocarstwom rozbiorowym, nie pozostałby chyba ani jeden w kraju.[2]) Innym razem Tauentzien, reprezentant pruski, przedłożył kolegom mapę, gdzie udział pruski obejmował nietylko Krakowskie, Sandomierskie i Mazowsze, ale także Żmudź całą i część Inflant aż po Rygę, a na zarzut Ostermanna, że Prusy chcą w ten sposób wbić się klinem w Kurlandyą, zapytał z udanem zdziwieniem: Jakto, czyż cesarzowa zamierzałaby zagarnąć i księstwo kurlandzkie?

Ta bezczelność gabinetu berlińskiego i wzgląd na Austryą, której Rosya potrzebowała dla zrównoważenia potęgi pruskiej i dalszej wojny z republiką francuską, zbliżyły oba dwory cesarskie do siebie i d. 3. stycznia 1795. roku podpisali pełnomocnicy rosyjski i austryacki deklaracyą co do rozbioru Polski. Rosya przyznawała Austryi kraj położony pomiędzy Pilicą, Bugiem i Wisłą, przyrzekała jej pomoc na wypadek wojny z Prusami i w celu uzyskania wynagrodzenia terytoryalnego we Francyi lub Wenecyi, dla siebie zaś zastrzegała możność utworzenia osobnego państwa z księstw naddunajskich pod berłem jednego z wielkich książąt.

---

[1]) Zeissberg: „Quellen etc.“, Bd. III, S. 58.

[2]) Zeissberg: „Quellen etc.“, Bd. III, S. 1.

Tymczasem Prusy, wietrząc może ów układ w tajemnicy chowany, a co najważniejsza nie widząc dla siebie żadnej korzyści w wojnie z Francyą, zawarły poza plecyma swoich sprzymierzeńców pokój z republiką w Bazylei (dnia 5. kwietnia 1795. roku) i wywołały tem niesłychaną burzę w Wiedniu i Petersburgu. Szczególniej Thugut nieposiadał się z gniewu i oburzenia i jeżeli dotąd gabinet berliński był w jego wyobrażeniu uosobieniem chciwości, egoizmu i przewrotności, to od czasu pokoju bazylejskiego podejrzywał on dyplomatów pruskich o niegodziwości wszelkiego rodzaju. „Prawdopodobnem jest bardzo, jak nas z wielu stron zapewniają — pisał do Cobenzla dnia 20. kwietnia — że pomiędzy sekretnemi artykułami bazylejskiego traktatu znajduje się jeden, w którym Prusy zobowiązały się nie uznać zupełnego rozbioru Polski, lecz domagać się utrzymania Rzeczypospolitej w granicach, zakreślonych grodzieńskiemi układami“. Do wykonania tych zamiarów miały — tak mniemał — dopomódz Szwedzi i Turcya. Poruszony do żywego odstępstwem pruskiem obmyślił więc Thugut plan zemsty, szczególny w swoim rodzaju. „Niech imperatorowa — tak pisał do swego ambasadora w Petersburgu — zabierze tę część Polski, którą pragnie wcielić do swoich posiadłości, niech nam wyznaczy udział odpowiedni, z reszty zaś niech utworzy królestwo polskie i pozwoli dołączyć do niego zabory pruskie od roku 1771. Sejm polski zwołany w tym celu odstąpiłby dworom cesarskim ich udziały, wybrałby króla takiego, jakiegoby sobie życzyła imperatorowa i ufny w pomoc Rosyi i Austryi powstałby cały przeciw Prusakom pod wodzą uwolnionego Kościuszki i innych naczelników insurrekcyi“. Było to zatem nie co innego, jak pierwszy znany projekt odbudowania Polski na złość Prusom.

Cobenzl, otrzymawszy takie polecenie, przedstawił plan Thuguta Markowowi, wykreśliwszy z niego jedynie „imię znienawidzonego Kościuszki“, ale minister rosyjski odpowiedział mu wprost, że „gdy raz przyjęto zasadę, że Polska, jako państwo pośrednie pomiędzy Rosyą i Austryą, istnieć nie może i na tej podstawie zawarto układ styczniowy, niepodobna już tworzyć innych kombinacyj. Obawy gabinetu wiedeńskiego co do zachowania się Turcyi i Szwecyi są płonne, nie boimy się ani jednej ani drugiej. Najlepiej uczynicie, jeżeli się będziecie trzymać nas.“

Uspokojony cokolwiek zapewnieniami Markowa, nie przestał jednak Thugut wierzyć w możliwość wojny z Prusami. Utwierdzały go w tem mniemaniu intrygi pruskie w Niemczech, odwodzące drobnych dynastów Rzeszy od koalicyi, przerażał powrót wojsk pruskich, które łatwo mogły najechać bezbronne Czechy i Morawię. Co chwila więc zwracał się do Petersburga i szturmował przez Cobenzla do ministrów rosyjskich, aby mu pomagali i Austryi na łup Prusom nie wydali. Katarzyna atoli, podrażniona okupacyą Wołynia, zbywała posła austryackiego ogólnikowem zapewnieniem przyjaźni, a tymczasem kazała wstrzymać wypłatę subsydyów, jakie dwór wiedeński na wojnę francuską z Petersburga pobierał. W tak przykrem położeniu zdecydowano się nareszcie w Wiedniu na krok stanowczy; wojska austryackie opuściły Wołyń. Wtedy dopiero zmienili ton swój ministrowie rosyjscy. Powiedziano Cobenzlowi, że Suwarow otrzymał naczelne dowództwo na wypadek wojny z Prusami, że

Repnin z drugim korpusem działać będzie od północy i że teraz nadeszła chwila stosowna, aby w Berlinie przedłożyć traktat rosyjsko-austryacki z dnia 3. stycznia 1795. roku.

Fryderyk Wilhelm II. myślał z początku rzeczywiście o wojnie, brak środków pieniężnych jednak i ścisłe porozumienie pomiędzy Rosyą i Austryą odwiodły go od tego zamiaru. Niechętnie godząc się na układy, ustępował on krok za krokiem; Tauentzien targował się do upadłego o każde miasteczko, o każdą piędź polskiej ziemi, tryumfująca Rosya odgrywała rolę arbitra. Ostatecznie dnia 24. października podpisały Prusy traktat rosyjsko - austryacki z dnia 3. stycznia i przystąpiono do rozgraniczenia zaborów, które wlokło się jeszcze przez rok cały, zanim Katarzyna rzecz całą rozstrzygnęła dnia 10 października 1796. roku.

W ten sposób otrzymały Prusy kraj cały pomiędzy Pilicą, Bugiem i Niemnem, a więc Mazowsze i Podlasie, część województwa trockiego i Żmudź, jakoteż kawał województwa krakowskiego, razem 1000 mil kwadratowych, Austryi przypadła reszta województwa krakowskiego z Krakowem, województwa sandomierskie i lubelskie i części województwa mazowieckiego, Podlasia, Litwy i ziemi chełmskiej, na lewym brzegu Bugu położone, czyli 834 mil kwadratowych; Rosya zajęła Kurlandyę, Litwę aż do Niemna, Wołyń i Chełmszczyznę do Bugu, czyli 2000 mil kwadratowych. Ilość mieszkańców w tych trzech zaborach wynosiła 3,153.629.

Epoka IV.

Dzieje Polski porozbiorowe.

Okres pierwszy napoleoński od roku 1795. do 1815.

Rozbiór Polski był aktem gwałtu i przemocy, oczywistem i niewątpliwem podeptaniem traktatów uroczyście poręczonych, sponiewieraniem praw ludzkich i boskich, podkopaniem wszelkich zasad sprawiedliwości i uczciwości politycznej. Cokolwiek tylko urzędowi i półurzędowi historycy rosyjscy i niemieccy starali się przytoczyć na usprawiedliwienie polityki mocarstw rozbiorowych względem Polski, jednemu zaprzeczyć nie mogli, że naród polski pozbawiono bytu samoistnego w tej chwili, gdy się począł dźwigać z długiego letargu, wybujałą anarchią ujmować w kluby należytego porządku, zwalczać szkodliwe wpływy oligarchii i strupieszałe instytucye republikańskie przeistaczać w urządzenia, odpowiadające wymaganiom czasu i odmiennym warunkom egzystencyi narodowej.

Widzieliśmy, jak ta praca, podjęta po pierwszym rozbiorze, niespodziewane i zadziwiające niemal wydawała owoce, jak pod świeżem tchnieniem rozbudzonego życia umysłowego rozwiewały się przestarzałe przesądy, ciemnota i nałogi ustępowały przed światłem prawdziwej i rozumnie pojętej oświaty, jak rozwijał się przemysł i rękodzieła i jak wreszcie, na schyłku tej szczególnej epoki, naród, politycznie dojrzewający, sam sobie nadał ustawę, na ten czas niewątpliwie doskonałą.

Otóż właśnie ten wątek odrodzenia, tę restauracyjną pracę społeczeństwa, które wiele zgrzeszyło, ale ostatecznie z błędów popełnionych wyleczyć się starało, przerwano w sposób brutalny, oświadczając cynicznie, że Polska rządna i silna zbyt niebezpieczną stanie się sąsiadką. I gdy zasada ta w poufnych korespondencyach, sekretnych artykułach traktatowych i konferencyach dyplomatycznych stanowiła podstawę polityki rosyjsko-pruskiej względem Polski, jawnie i otwarcie wynajdywano w Petersburgu i Berlinie coraz to nowe powody w celu upozorowania nowych gwałtów i następujących po tem zaborów. Okłamując na prawo i na lewo nietylko Polaków, ale i opinię całego świata, wyzyskując niedoświadczenie polityczne jednych a łatwowierność drugich, zbudowano nowy system polityczny, którego podstawą była przewrotność, spójnią chciwość, a gwiazdą przewodnią zasada: siła przed prawem.

Stan ówczesny Europy, znękanej tyloma wojnami i zamięszanej rewolucyą francuską, sprzyjał niezmiernie tej robocie zarówno zuchwałej, jak niegodnej mocarstw chrześcijańskich i monarchów panujących „z Bożej łaski“. Gdy oczy wszystkich dworów i ludów zwracały się ku brzegom Sekwany, gdzie gilotyna „ręką machała stalową“, a nowożytni republikanie pławili się w strumieniach krwi bratniej, tam — na północy — zabijano tymczasem naród żyjący i żywotności tej niezbite dający dowody i wtłaczano go gwałtem do grobu za to, że chciał u siebie wykorzenić ten sam anarchizm i tę samą swawolę, przeciw której we Francyi podejmowały krucyatę mocarstwa rozbiorowe.

Przykładów podobnego rodzaju szukaćby trzeba chyba w odległej starożytności, wśród narodów i państw pogańskich, nieoświeconych jeszcze prawdą Ewangelii, pogrążonych w barbarzyństwie i ufających tylko w prawo pięści.

Toż nic dziwnego, że ten gwałt wywołał w zdrowem ciele Rzeczypospolitej konwulsyjne drganie, że w rozebranej Polsce stworzył cały łańcuch spisków i rewolucyj, że całe pokolenie porozbiorowe napoił żółcią i goryczą. Patryotyzm, z długiego uśpienia zbudzony, objął szerokie warstwy społeczne, zapalił zimnych, porwał obojętnych i wszystkim wskazał jeden cel wielki: oswobodzenie ojczyzny.

A jak każda myśl polityczna, zanim w cielesne przyoblecze się kształty, przechodzi rozmaite stopnie rozwoju, tak i ta idea, przyświecająca pokoleniom porozbiorowym, nie odrazu na właściwe weszła tory.

Do najszkodliwszych złudzeń, jakim ulegało społeczeństwo polskie w ostatnich czasach istnienia Rzeczypospolitej, należało przeświadczenie, że Polska jest niezbędnie potrzebną do utrzymania równowagi europejskiej i że zatem państwa sąsiednie i bardziej oddalone nawet nie zezwolą nigdy na rozbiór lub uszczuplenie granic Rzeczypospolitej. Im słabszym był rząd i im mniej wpływu wywierała Polska na sprawy europejskie, tem pewniejszą stawała się — zdaniem tych domorosłych polityków — jej egzystencya. Z tego opacznego i naiwnego pojmowania rzeczy wypłynęła logiczna wprawdzie, lecz dziwaczna zarazem zasada, że „Polska nierządem stoi“. Utrzymywano więc ten nierząd dla wygody jednych, którym się myśleć i pracować dla dobra publicznego nie chciało i dla korzyści drugich, co — wziąwszy raz w monopol dygnitarstwa i starostwa — do udziału w nich nikogo dopuścić nie chcieli, a w bezrządzie i anarchii niczem nieograniczonej zażywali wolności. A jeżeli jakieś niespodziewane wypadki przerwały ten błogi stan nieczynności i używania, jeżeli nad Rzeczpospolitą groźne zawisły chmury, wtedy szukano pomocy u mocarstw przyjaźnych, lub przyjaźń udających i wkładano na nie obowiązek obrony państwa, które samo siebie bronić nie chciało, udawano się o interwencyą do Ojca św., do cesarza rzymskiego, do króla francuskiego lub do sułtana, powołując się przytem na odwieczne pakta, zawarte wśród innych zupełnie warunków i nie mające w tej chwili mocy obowiązującej.

Od czasów Jana Kazimierza pokładała lekkomyślna ta i krótkowidząca polityka nadzieje swoje głównie na Francyi, Czartoryscy, bystrzejsi i więcej doświadczeni, lawirowali pomiędzy Prusami i Rosyą, a przechyliwszy się osta-

tecznie ku Petersburgowi, zwalili, wbrew najlepszym intencyom swoim, gwarancyą i jarzmo rosyjskie na karki narodu. Sejm czteroletni, nauczony doświadczeniem Czartoryskich, widział zbawienie Rzeczypospolitej w ścisłym sojuszu z Prusami, twórcy insurrekcyi kościuszkowskiej szukali pomocy w Paryżu i kokietowali z Austryą, słowem... każde stronnictwo opierało widoki swoje na obcej pomocy i na kruchych, zawsze zawodzących kombinacyach politycznych.

Nic dziwnego zatem, że i po ostatniej katastrofie, kiedy Polska utraciła swój byt polityczny i zniknęła z karty europejskiej, dla tych co pozostali jedyną kotwicą wydawało się odbudowanie Rzeczypospolitej przez mocarstwa obce, z Polską zaprzyjaźnione lub w przywróceniu jej bytu mające interes. Myśl ta plątała się już po głowie Stanisława Augusta, kiedy — przed przystąpieniem swojem do konfederacyi Targowickiej — ofiarował koronę polską imperatorowej dla wnuka jej Konstantego; obecnie nie mogło być mowy wprawdzie o sekundogeniturze rosyjskiej w Polsce, ale za to otwierały się widoki nowe, pozornie ponętne i łatwe do urzeczywistnienia. Pierwszy wpadł na nie Jan Henryk Dąbrowski. Urodzony w roku 1755. w Pierzchowcu (w województwie krakowskiem, niedaleko Bochni), wstąpił on wcześnie do wojska saskiego i tam wykształcił się na dzielnego i z nowożytną taktyką dobrze obznajomionego oficera.

W roku 1789. powołany do ojczyzny, opuścił Dąbrowski, za zezwoleniem elektora, służbę obcą i wszedł w stopniu wicebrygadyera do armii narodowej, gdzie — że użyjemy słów samego króla Stanisława Augusta — „spełnił i przeszedł nawet wszystkie oczekiwania“.

Ścisłe przestrzeganie karności, pewna szorstkość w obejściu i nieoglądanie się na względy towarzyskie i hierarchiczne, narobiły mu wielu nieprzyjaciół. Narzekano na jego pedantyzm niemiecki, nazywano go z przekąsem „Niemcem“, ale pod tą grubą powłoką żołnierskiej surowości i pozornego germanizmu biło serce na wskróś polskie, gorącą dla ojczyzny przejęte miłością, ukrywał się umysł do czynów skory, duch poświęcenia pełen i wolny od wszelkich pobudek egoistycznych.

Nie bawiąc się wiele w politykę, wiedział Dąbrowski tyle tylko, że w chwili upadku Rzeczypospolitej jedna Francya może mieć interes w ratowaniu Polski od ostatecznej zguby i na tem opierając swoje nadzieje, zamierzał po bitwie maciejowickiej a przed szturmem pragskim, zgromadzić wszystkie siły zbrojne, wynoszące jeszcze wtedy 20.000 ludzi i 200 armat, zabrać króla z Warszawy i z całym tym taborem przebić się przez Niemcy do Francyi.

Plan ten, przyjęty początkowo z zapałem, rozbił się o opór Stanisława Augusta, który stolicy dobrowolnie opuścić nie chciał, jakoteż o brak determinacyi nowego Naczelnika (Wawrzeckiego) i otaczającej go rady wojennej.

Zwycięska dywizya Dąbrowskiego złożyła więc broń wraz z całem wojskiem polskiem pod Radoszycami, a generał sam zamieszkał tymczasowo w Warszawie, gdzie — mimo protekcyi Suwarowa — nie mógł uzyskać pozwolenia na wyjazd zagranicę.

Trwało to tak aż do początków roku 1796., t. j. do zajęcia Warszawy przez Prusaków.

Rząd pruski, podobnie jak wszystkie rządy zaborcze, postępował z początku z ludnością miejscową uprzejmie i łagodnie, dla Dąbrowskiego zaś miał szczególniejszy respekt i uważanie. Jego dzielność, okazana przy obronie Warszawy i świetna wyprawa do Wielkopolski, zjednały mu powszechny szacunek generałów rosyjskich i pruskich. Król pruski ofiarował Dąbrowskiemu w swojem wojsku stopień generał-lejtnanta, generałowie moskiewscy „gotowi byli względem niego zrobić całkiem szczegółowy wyjątek“ [1]) ale Dąbrowski — wierny sprawie narodowej — odrzucił świetne te propozycye i — przejęty tylko chęcią służenia ojczyźnie — przemyśliwał nad sposobami odzyskania jej niepodległości. Zmiany w stosunkach europejskich zdawały się sprzyjać tym zamiarom.

Pokój bazylejski, zawarty pomiędzy Prusami a rzeczpospolitą francuską dnia 5. kwietnia 1795. r., wywołał niesłychane oburzenie w Wiedniu i w Petersburgu; Fryderyka Wilhelma uważano tam nietylko za odstępcę koalicyi, ale także za zdrajcę idei monarchicznej, a Thugut, w polityce zagranicznej kierujący się zasadami starego Kaunitza, poruszał niebo i ziemię, aby rosyjskich mężów stanu skłonić do wojny z Prusami.

Odżył więc w całej pełni dawny antagonizm austryacko-pruski, gabinet wiedeński gotów był nawet zgodzić się na odbudowanie Polski i na pokój z Jakobinami, byle tylko upokorzyć i pognębić znienawidzonych Hohenzollernów.

Z drugiej strony i rząd francuski także, przyciśnięty kłopotami wewnętrznemi, a przedewszystkiem brakiem pieniędzy, pragnął gorąco koalicyą rozbić, nowych sprzymierzeńców sobie pozyskać i przynajmniej część ciężarów wojennych na nich zwalić.

Najdogodniejszem i najłatwiejszem wydawało się porozumienie z Prusami. Licząc na znaną chciwość gabinetu berlińskiego i na oziębienie stosunków pomiędzy Fryderykiem Wilhelmem II. a Austryą i Petersburgiem, zaczęli członkowie Komitetu Ocalenia Publicznego kusić pełnomocników pruskich widokami nowych zaborów.

Francya i Prusy — tak mówiono w Paryżu Harnierowi, sekretarzowi poselstwa pruskiego [2]) — mają jednakowy interes. Austrya, rozgoryczona klęskami świeżo poniesionemi, knuje zamachy na ujarzmienie niezawisłych stanów Rzeszy niemieckiej, Rosya dąży do panowania nad światem. Ażeby te zgubne zamiary zniweczyć, należy zatem utworzyć ścisłe przymierze pomiędzy Francyą a Prusami i wciągnąć do niego Szwedów, Duńczyków, Turków i Polaków; gabinet berliński mógłby wtedy otrzymać Hanower, jako wynagrodzenie za posiadłości na lewym brzegu Renu.

Syrenie głosy francuskich dyplomatów nie trafiły wprawdzie do przekonania Fryderyka Wilhelma II. i jego doradzców, bo jakkolwiek uśmiechał im się nabytek Hanoweru, to przemógł tym razem jeszcze wzgląd na opinią mo-

[1]) List Stanisława Augusta do elektora saskiego. „Pamiętnik Dąbrowskiego“, str. 22.

[2]) Sybel Henryk: „Geschichte der Revolutionszeit von 1789—1795“. Dritter Band, Seite 422.

narchicznej Europy. a może i nadzieja uzyskania dogodniejszych dla siebie warunków.

Jakoż rzeczywiście w czerwcu roku 1796. pod wrażeniem zwycięstw Bonapartego we Włoszech zawarł dwór berliński tajny traktat z rzecząpospolitą

Napoleon nadaje konstytucyę utworzonemu przez siebie księstwu Warszawskiemu w Dreźnie dnia 22. lipca 1807. roku.

Podług obrazu Bacciarellego.

francuską, w którym wymówił sobie znaczne wynagrodzenie w mających się sekularyzować biskupstwach rzeskich i natychmiast zajął Norymbergę.[1])

[1]) Sybel Henryk: „Geschichte der Revolutionszeit von 1789—1795“. Vierter Band, Seite 246.

W Paryżu tymczasem, pomimo odmownej odpowiedzi Prus (w styczniu 1795. roku), trzymano się stale raz powziętego zamiaru i spodziewano się niebawnie nietylko gabinet berliński, ale i dwory skandynawskie i Portę ottomańską pozyskać dla swoich planów.

Wojna była zatem w powietrzu i Dąbrowski, jakkolwiek niewtajemniczony w zakulisową grę dyplomacyi, wiedział zapewne o zbierającej się burzy. Spór pomiędzy mocarstwami rozbiorowemi ożywił jego nadzieje. „Waleczny i ze wszech miar godny Polak“ major Forestier wyjechał też natychmiast do Berlina, aby się tam porozumieć z ambasadorem francuskim Caillardem i przedłożył mu notę Dąbrowskiego, w której generał jako środek wyzwolenia Polski podawał zebranie posłów czteroletniego sejmu pod opieką Francyi i utworzenie legionów polskich z dezerterów rosyjskich i austryackich.

Projekt ten nie pochodził od samego Dąbrowskiego, lecz był owocem narad wojskowych polskich i patryotów, którzy gotowi byli każdej chwili podpisami własnemi autentyczność dokumentu stwierdzić. Innemi słowy jest to ślad pierwszego spisku w epoce porozbiorowej w celu odbudowania Polski.

Niebawnie potem, dnia 6. stycznia 1796. roku, zawiązała się w Krakowie konfederacya, będąca dalszym ciągiem roboty warszawskiej. „Nadzieja naszej wolności — tak wyrażali się konfederaci w swoim manifeście — jest opartą na naszej dobrej sprawie, na ufności, jaką nam dają nasza odwaga, wspaniałomyślność narodu francuskiego i prawość mocarstw, które nie miały bezpośredniego udziału w zamachu, wymierzonym przeciw naszemu istnieniu.“ [1])

I tu więc, podobnie jak w Warszawie, zwracano wzrok swój ku Francyi, chociaż równocześnie odwoływano się z całą naiwnością do szlachetnych uczuć państw europejskich, które — jak doświadczenie świeże uczyło — obojętnie na los Polski spoglądały.

Dąbrowski, oceniając rzeczy z praktycznej strony, obrał inną drogę. Otrzymawszy pozwolenie na wyjazd do Berlina, udał on się tam 19. lutego 1796. roku i w miesiąc potem miał pierwsze posłuchanie u Fryderyka Wilhelma II. Ku największemu zdziwieniu ministrów pruskich i reprezentantów obcych mocarstw stanął Dąbrowski przed królem przybrany w mundur generała polskiego, a zapytany o stan umysłów w kraju, odpowiedział z szczerością żołnierską, że Polacy byliby gotowi nietylko stanąć po stronie Prus, ale nawet ofiarować tron swój jednemu z Hohenzollernów, gdyby król dopomógł im do odzyskania niepodległości.

Uprzejme przyjęcie, jakiego doznał u dworu, zachęciło Dąbrowskiego do dalszych kroków w raz powziętym kierunku. Wymówiwszy się grzecznie lecz stanowczo od przyjęcia służby pruskiej, przedłożył generał gabinetowi berlińskiemu memoryał o odbudowaniu Polski z pomocą pruską.

Pismo to, traktujące sprawę całą niemal wyłącznie z wojskowego stanowiska i dające chlubne świadectwo o bystrości i uzdolnieniu autora, zawierało szczegółowy plan kampanii przeciw Austryakom i Moskalom, przedstawiało

[1]) „Pamiętniki Michała Ogińskiego“. Poznań 1870. Tom II. str. 123.

możność łatwego odzyskania Galicyi i wyparcia wojsk rosyjskich ku Białej Rusi i Smoleńskowi. Główną podstawą projektu miało być ścisłe porozumienie pomiędzy Francyą i Prusami, jakoteż wciągnięcie do przymierza Szwecyi, Turcyi i Danii.

Plan Dąbrowskiego tak pojęty nie był zatem niczem innem, jak tylko rozszerzeniem kombinacyj politycznych „komitetu ocalenia publicznego“, a ścisłe stosunki generała z ambasadorem Caillardem każą się domyślać, że Dąbrowski działał w porozumieniu z ministrem francuskim, który tą drogą pragnął wybadać także zamiary gabinetu berlińskiego.

Jakkolwiekbądź memoryał pozostał bez odpowiedzi, a co gorsza, rząd pruski z przejętych listów pisanych do Dąbrowskiego z Warszawy, wpadł na trop spisku, o którym poprzednio wspomnieliśmy. Zaczęły się więc aresztowania i śledztwa w Berlinie i w Warszawie; uwięziono Forestiera, jakiegoś Mardoniusa, Dąbrowski sam, nie czując się bezpiecznym, wyjechał do Drezna, a stamtąd do armii nadreńskiej, do głównej kwatery generała Jourdana.

W przededniu wyjazdu raz jeszcze w liście do Parandiera, agenta francuskiego w Berlinie, poruszył myśl utworzenia legionów polskich w Holandyi, zresztą był zdecydowanym wstąpić w służbę francuską, a nie żądał ani stopni ani pieniędzy, pragnął jedynie „walczyć za Rzeczpospolitę, patrzeć, uczyć się i stać się tym sposobem więcej zdolnym do usług swojej ojczyźnie i ludzkości“.[1])

Kiedy tak Dąbrowski, dzięki zwycięstwom swoim i sławie, jaka go stąd otaczała, mógł swobodnie dosyć przemyśliwać i pracować nad sposobami ratowania ojczyzny, w kraju, naokoło niego, panowała rozpacz i przygnębienie, srożyły się prześladowania, najlepsi i najdzielniejsi jęczeli w więzieniach, lub szli na beznadziejne w kraj obcy tułactwo.

W trzy dni po bitwie maciejowickiej ruszył pierwszy konwój jeńców, pędzonych w śnieżne stepy Sybiru i do kazamat petropawłowskiej twierdzy. Mijając dwutysięczną gromadę skazanych na Sybir żołnierzy polskich i całe tabory wozów, napełnionych zrabowanemi srebrami i kosztownościami, toczył się powolnie drogą ku Włodawie powóz, wiozący ciężko rannego Naczelnika, a za nim telega jedna z Niemcewiczem i Fiszerem, towarzyszami niedoli i niewoli, druga z Kniaziewiczem, Sierakowskim, Kamińskim i brygadyerem Kopciem. Pod strażą naprzód generała Chruszczewa, a następnie majora Titowa, kołując daleko na Kijów, Mohylew, Witebsk, Wielkie Łuki i Psków, dawnym Batorego szlakiem, dotarł ten smutny orszak dnia 10. grudnia 1794. roku do nadnewskiej stolicy, gdzie liczbę więźniów powiększyli niebawnie Kapostas, Kiliński, Wawrzecki i Ignacy Potocki.

Ci, których nie zachwycił jassyr moskiewski i którzy nie zaufali złudnym — jak się pokazało później — obietnicom Suwarowa, szukali ocalenia zagranicą z rozmaitem szczęściem i powodzeniem.

Kołłątaj i Zajączek, uwięzieni w Austryi, dostali się do kazamat w twierdzy josefstadzkiej, inni po licznych przygodach i dziwnych przejściach znaleźli schronienie bezpieczne w Paryżu i w Wenecyi.

[1]) List do Parandiera w „Pamiętnikach“, str. 157.

Wybicki, przebrany za służącego, przedarł się szczęśliwie przez posterunki austryackie do Szwajcaryi, a stamtąd do Francyi; Michał Ogiński wraz z brygadyerem Łaźnińskim przedostał się w podobny sposób do Wenecyi, inni, rozmaitemi drogami i fortelami myląc pościg i straże kordonowe, unosili życie i szczątki mienia pod opiekę republikańskich sztandarów.

Tak zwolna, przy końcu roku 1794. i na początku następnego, zebrała się liczna gromada wychodźców polskich w Wenecyi, gdzie poseł francuski (Lallemand) na rozkaz rządu swego, życzliwą i skuteczną otoczył ich opieką. Był tam Piotr Potocki, ostatni ambasador Rzeczypospolitej w Konstantynopolu, Stanisław Sołtyk, dwóch braci Wyszkowskich, Łaźniński, Franciszek Dmochowski, Kołysko, Tadeusz Wyzgerd, Nagórski, Karol Prozor i Ogiński. Wkrótce jednakże wielu z nich przeniosło się do Paryża, aby być bliżej głównego ogniska ówczesnej polityki i skuteczniej pracować dla ojczyzny.

Z początku grupowali się wszyscy wychodźcy paryscy około Barsa, który był agentem ustanowionym tam jeszcze przez króla Stanisława Augusta i rząd Rzeczypospolitej, wkrótce jednak nastąpiły smutne rozterki i waśń nieubłagana; podzielono się na dwa stronnictwa: gorętsze, bardziej rewolucyjne, z znanym nam kasztelanem Mniewskim na czele i drugie, które — stojąc na uboczu — ubolewało szczerze nad niezgodą, rozrywającą garstkę tułaczy, pozbawionych nietylko ziemi ojczystej, ale nieraz nawet i środków do życia. Do niechęci wzajemnych i rekryminacyj, powtarzających się niestety u nas po każdym wybuchu niepomyślnym, dała pomiędzy innemi powód uraza, jaką czuł Mniewski do generała Dąbrowskiego. Dąbrowski, po wyjeździe swoim z Drezna, zwrócił się ku Renowi, zapoznał się tu z najznakomitszymi generałami francuskimi i pozyskał sobie szczególniejszą sympatyą dzielnego i rycerskiego Klebera, który mu dał listy polecające do dyrektoryatu. Przybywszy do Paryża zastał on tu umysły na siebie rozsrożone; nazywany z przekąsem Niemcem, usunął się więc od udziału w naradach klubowych wraz z Wybickim i zaczął pracować dalej nad urzeczywistnieniem ulubionej swej myśli, t. j. nad utworzeniem legionów.

Grupy wychodźców w Wenecyi i w Paryżu inną tymczasem obrały drogę. Pismem i żywem słowem usiłowano podtrzymać ducha w kraju. Z Wenecyi szły listy za listami, z Paryża, gdzie w hotelu Diesbach emigranci polscy spotykali się z najwybitniejszymi reprezentantami społeczeństwa francuskiego, wysyłano agentów do Warszawy. Pojechał tak de la Roche, pojechał Tremo, obaj przebrani za kupców; zaczęły się schadzki w domu kasztelana Połanieckiego „na Kanonii“, tuż obok zamku, ale głównem ogniskiem robót spiskowych był zabór austryacki, Kraków, gdzie utworzyła się pierwsza konfederacya i Lwów, gdzie — wśród szalonych orgij porozbiorowego karnawału — gorliwi patryoci, jak adwokat Franciszek Węgleński, Nowakowski, Grzymała i Waleryan Dzieduszycki przygotowywali umysły do rychłego — jak mniemano — wybuchu. Galicya była bo też najpodatniejszym gruntem do knowań tego rodzaju.

Stan Galicyi pod rządem austryackim. Rząd austryacki, zająwszy tę część kraju, zraził sobie wkrótce umysły wszystkich warstw społecznych i wywołał powszechne niezadowolenie.

Całą administracyą oddano rzeszy niemieckich urzędników, nieznających ani języka ani kraju, skłonnych do przekupstwa,[1]) bogacących się zarówno kosztem ludności, jak i samego rządu. Język urzędowy, z początku polski lub łaciński, zamieniono od roku 1785. na niemiecki i zalecono urzędnikom, aby w przeciągu lat trzech albo nauczyli się po niemiecku, albo też ustąpili z posad zajmowanych.[2]) Przymus pod tym względem posunięto tak daleko, że rozciągnięto go nawet na deputatów stanowych, oświadczając z góry, „iż żaden o deputata urząd starający się, który niemiecki język (sic!) nie posiada, zgromadzeniu Stanów do elekcyi ani projektowany, ani od tychże obranym być nie może“.[3]) Gdy zaś szkoły nowe, rozpowszechniające znajomość języka niemieckiego, założono dopiero na początku roku 1784., równał się warunek powyższy zupełnemu niemal wykluczeniu Polaków od służby publicznej. Jakoż w ogłoszeniach współczesnych spotykamy tylko wyjątkowo konkursa na jakieś niższe posady urzędowe w Galicyi i Bukowinie, główny zastęp urzędników napływał z Wiednia, gdzie mało troszczono się o wybór ludzi i o ich uzdolnienie.

Administracya, wykonywana przez organa tego rodzaju, miała służyć przedewszystkiem politycznym celom rządu, a nie potrzebom kraju. Społeczeństwo, używające dotąd nieograniczonej prawie swobody i dobrobytu materyalnego, ujęto zwolna w karby nowego biurokratycznego porządku. W pierwszym rzędzie utraciła szlachta swoje przywileje i przemożne w kraju stanowisko. Patentem z d. 16. października 1772. r. zniesiono tytuły wojewodów, kasztelanów i t. p. i zakazano używać ich pod karą 500 czerwonych złotych, zaprowadzając równocześnie nowy podział administracyjny na sześć cyrkułów, podlegających władzy namiestnika we Lwowie. Ustały zatem sejmiki, przycichło gwarne życie publiczne, a „deputacya stanowa“, wybrana po raz pierwszy w roku 1782., miała tylko możność przedkładania próśb najpoddańszych u stóp tronu. Nawet ruch ekonomiczny, skupiający się na t. zw. kontraktach lwowskich, ograniczono w ten sposób, że od roku do roku zezwalano osobnym patentem na zgromadzenia tego rodzaju.

O wiele dotkliwiej jeszcze dał się uczuć system rządowy pod względem materyalnym. W spadku po Rzeczypospolitej objęła Austrya w Galicyi olbrzymie dobra stołowe i królewszczyzny. Liczono 72 starostwa oprócz ekonomii królewskich, z których jedną (samborską) inwentarz z roku 1764. ocenił na 4,173.750 złotych polskich. O rozległości tych majątków możemy powziąć pewne wyobrażenie, jeżeli zważymy, że n. p. w województwie krakowskiem, niezupełnie wcielonem do zaboru austryackiego, było 255 wsi i 37 miasteczek[4]) starościńskich.

Wszystkie te dobra znajdowały się bądź w rękach dożywotników, bądź dzierżawców, którzy do skarbu Rzeczypospolitej płacili kwartę lub niski czynsz

---

[1]) Porównaj uniwersał z roku 1779. (8. maja) w zbiorze „Edicta et mandata universalia in terris Galiciae et Lodomeriae (1773—1818)“.

[2]) Porównaj uniwersał z roku 1785. (1. grudnia) w zbiorze „Edicta et mandata etc.“

[3]) Porównaj cyrkularz z roku 1788. (15. października) w zbiorze „Edicta et mandata etc.“

[4]) Czemeryński Kornel: „O dobrach koronnych byłej Rzeczypospolitej polskiej“. We Lwowie 1870.

dzierżawny. Obecnie patentem z dnia 28. stycznia 1773. roku ogłoszono, że królewszczyzny przechodzą na własność cesarzowej i jej następców i że dotychczasowi posessorowie pozostają wprawdzie w dożywotniem ich posiadaniu, ale mają płacić połowę dochodów do skarbu cesarskiego. Równocześnie dla podniesienia intraty nakazano sporządzić i przedłożyć władzom administracyjnym nowe inwentarze majątków, podług których dzierżawcy obowiązani byli uiszczać opłaty skarbowe. Wyjątek stanowiły dobra, nieprzynoszące więcej jak 1000 złotych polskich dochodu.

Oprócz dóbr koronnych zabrał rząd także majątki pojezuickie, za panowania Józefa II. wcielił do funduszu religijnego posiadłości zniesionych zakonów, skonfiskował dobra należące do fundacyj kościelnych polskich w Galicyi, a niosące z górą 100.000 złotych polskich intraty. W ten sposób, po doliczeniu dochodów z żup wielickich i bocheńskich, stanowiła Galicya dla cesarstwa nabytek nadzwyczajnie cenny, najobfitsze może w tej chwili źródło dochodów, które przy rozumnej gospodarce w przyszłości nieobliczone mogło dawać korzyści. Rząd niepoprzestał jednak na tem, lecz wprowadził w roku 1778. monopol tytoniowy, a skupiwszy żupy od właścicieli prywatnych, w zamian za dobra koronne, urządził stopniowo monopol soli.

Pobór rekruta, nieznany dotąd, ustanowienie ceł i opłat stemplowych dopełniło miary fiskalnego systemu, który zaciężył teraz ołowianem brzemieniem na ludności, wolnej do niedawna jeszcze od podatków podobnego rodzaju, przywykłej do składania groszowych zaledwie poborów na potrzeby Rzeczypospolitej.

Po łagodnych rządach Maryi Teresy († 1780) nastąpiła gorączkowa epoka reform józefińskich. Młody cesarz, od początku t. zw. „rewindykacyi“ królestw Galicyi i Lodomeryi, zajmował się bardzo troskliwie losem nowych prowincyj. W roku 1773. odbył on — wbrew odradzań matki — pierwszą swoją podróż galicyjską; zabawił we Lwowie przez sześć dni, zwiedził wszystkie znaczniejsze miasta, badał stosunki, rozglądał się w administracyi i wywiózł z kraju wrażenia dla ówczesnej biurokracyi bardzo niekorzystne. Niepodobał mu się ani namiestnik (hr. Pergen), ani komenderujący (generał Haddik), którego żona, księżniczka Lichnowska z domu, kobieta zła, skąpa i zalotna, trzymała męża pod pantoflem, ani urządzenie kraju, a już najmniej duchowieństwo i Żydzi.

Natychmiast po powrocie do Wiednia wystosował też do Pergena kwestyonaryusz, obejmujący 154 pytań, na które żądał odpowiedzi. Namiestnik, czyniąc zadość rozkazowi, złożył obszerny raport, gdzie pomiędzy innemi poruszył także sprawę ruską i biskupa lwowskiego Szeptyckiego, jakoteż kler grecko-katolicki w najgorszych przedstawił barwach, nie oszczędzając przytem i duchowieństwa łacińskiego.

„Ruscy proboszczowie — tak pisał — jeszcze mniej gorliwie wypełniają swe obowiązki niż łacińscy, gdyż rzadko kiedy miewają kazania, a tem rzadziej katechizują. Skargi na księży ruskich o przeciążania w jura stolae są bardzo częste. Popi nakładają kontrybucye na chłopów, którym słono płacić każą za udzielenie sakramentów i przy każdej sposobności zdarzonej. Ruskie

duchowieństwo jest wogóle bardzo źle wykształcone, a proboszcze znajdują się w największej ignorancyi i utrzymują lud w takim stanie“.[1])

Dla polepszenia tych smutnych stosunków nie uczynił rząd wiedeński wiele. Ustanowiono osobną kancelaryą galicyjską (kanclerzem został hr. Wrbna), nieudolnego Pergena zastąpił Haddik, a następnie Henryk książe Auersperg; szlachtę i magnatów zaczęto głaskać tytułami i urzędami honorowemi, nadano dyplomy hrabiowskie Sierakowskim i Dzieduszyckim, potwierdzono dawniejsze tytuły tego rodzaju, ustanowiono deputacyą Stanów, która miała rząd o potrzebach kraju informować, utworzono Collegium Nobilium dla młodzieży szlacheckiej w gmachu zbudowanym dla Pijarów przez sufragana Głowińskiego, zresztą pracę nad organizacyą Galicyi powierzono osobnej deputacyi, obradującej w Wiedniu.

Dopiero panowanie Józefa II. (1780—1790) sprowadziło na kraj cały szereg reform, po części pożytecznych, wogóle szkodliwych.

Dążność germanizacyjna, widoczna już za czasów Maryi Teresy, stała się osią nowego systemu. Zorganizowano wprawdzie szkoły ludowe, trywialne, normalne i główne, założono sześć gimnazyów i w roku 1784. uniwersytet we Lwowie, ale językiem wykładowym był obok łacińskiego głównie niemiecki, profesorowie przeważnie Niemcy; bo język polski — zdaniem radcy gubernialnego Korandy — nie nadawał się do wykładów szkolnych.

Obok szkół miał rozpowszechniać znajomość niemczyzny teatr niemiecki we Lwowie, a po wsiach koloniści Niemcy, korzystnemi warunkami zwabieni do kraju. Jak gorliwie cesarz sprawą kolonizacyi niemieckiej się zajmował, świadczy cyrkularz z dnia 17. stycznia 1785. roku, zawierający uznanie dla hr. Zamoyskiego za „czyn patryotyczny“, osadzenia 80 kolonistów niemieckich w dobrach, do ordynacyi należących.

Po szkołach i chłopach przyszła kolej na Żydów. Józef II, pomimo zasad wolnomyślnych, stwierdzonych w t. zw. patencie tolerancyi, wydanym w roku 1781., nie był przyjacielem narodu wybranego. To też rozporządzenia jego, gdyby je ściśle wykonywano, groziły Żydom zupełną prawie ruiną materyalną. Uniwersał z 24. stycznia 1785. roku zabraniał dopuszczać Izraelitów „do arendowania dóbr poddańskich, młynów, intrat jarmarkowych i paśnych, dziesięcin i wywodzenia soli“; inne rozporządzenie tego rodzaju nie pozwalało im posiadać domów drewnianych, trudnić się wyszynkiem wódki i piwa. Tą drogą odejmowano Żydom dotychczasowy sposób zarobkowania, a zarazem nakładano na nich nowe ciężary: pobór rekruta, znaczne opłaty od mięsa koszernego, kazano przyjmować nazwiska stałe, rodzinne — rozumie się niemieckie — i polecono rabinom księgi metrykalne prowadzić w języku niemieckim.

O wiele pożyteczniejszą była działalność Józefa II. w zakresie reformy stosunków włościańskich. Rozpoczęły się one w roku 1781. od ustanowienia osobnych adwokatów chłopskich (Unterthansadvocat), którzy pokrzywdzonym porady prawnej bezpłatnie udzielać mieli. Nie była to instytucya nowa,

[1]) Schnürr-Pepłowski: „Z przeszłości Galicyi“. Lwów 1895. Str. 21.

bo w Polsce wprowadził ją już przedtem Stanisław August, ale dobrze pojęta i działająca bez uprzedzeń mogła rzeczywiście niejedno nadużycie powściągnąć i smutną dolę stanu włościańskiego polepszyć. Przy ogólnym jednak kierunku polityki rządowej i przy nienawistnem dla szlachty polskiej usposobieniu biurokracyi niemieckiej stawało się to rozporządzenie źródłem prześladowań, chłopu zaś pogrążonemu w ciemnocie niewielką przynosiło ulgę.

W rok później (27. marca 1782. roku) ukazał się uniwersał, znoszący niewolnicze poddaństwo (Leibeigenschaft). Poddany mógł skutkiem tego przenosić się z jednej wsi do drugiej, uczyć się rzemiosł i sztuk i żenić się bez pozwolenia dziedzica.

Dalsze patenta z roku 1784. i 1786. zmniejszyły znacznie prestacye pańszczyźniane i określiły dokładnie ilość i czas trwania dni roboczych. Prawo sukcesyjne chłopskie zastrzegało własność gruntu najstarszemu synowi, który młodsze rodzeństwo spłacić był obowiązany.

Dziedzicom pozostało i nadal sądownictwo patrymonialne. Wykonywali je pod kontrolą właścicieli t. zw. justycyaryusze, zatwierdzeni przez władze cyrkularne. Kto się władzy patrymonialnej zrzekał, ten oddawał ją za stosowną opłatą najbliższemu magistratowi.

Inne przepisy, wcale rozumne i dobrze obmyślane, miały na celu podniesienie rolnictwa, chowu bydła, hodowli drzew owocowych i t. p. A jednak mimo tych wszystkich ulepszeń i ustaw postępowych i humanitarnych dola ludu wiejskiego niewielkiej uległa zmianie. Fiskalizm, przygniatający całe społeczeństwo, pobór do wojska i uciążliwa służba wojskowa, nietaktowne postępowanie urzędników, pogarda, jaką okazywali oni na każdym kroku niemal nietylko chłopu i mieszczaninowi, ale w wyższym jeszcze stopniu szlachcie i inteligencyi, budziły w kraju słuszne niezadowolenie.

Włościanin, jakkolwiek od poddaństwa uwolniony, zbiegał gromadnie — pomimo surowych zakazów władzy — zagranicę, do Polski, a szlachcic, posiadający szczególniej majątek za kordonem, w Rzeczypospolitej, ograniczony pod względem zamieszkania swego i wychowania dzieci, a nadto trapiony samowolą urzędników, znosił niecierpliwie ten stan poniżenia i pogardy, w jaki popadł od czasu zaboru; duchowieństwo wreszcie, oburzone zniesieniem zakonów i ostremi przepisami rządowemi, spoglądało z nienawiścią na system rządowy, sprzyjający innowiercom, a bezwzględny dla katolickiego kościoła. Niezadowolenie rosło więc nietylko w społeczeństwie polskiem, ale i pomiędzy tymi, których sprowadzono do Galicyi jako pionierów cywilizacyi. Ignacy Fessler, profesor hermeneutyki i języków wschodnich na uniwersytecie lwowskim, uderzył w sztuce swojej „Sidney“, wystawionej w niemieckim teatrze Toscaniego w roku 1787., na reformy józefińskie tak dobitnie, że czemprędzej ze Lwowa uchodzić musiał. Szczęśliwszym był protest polski, ułożony przez anonima (JO. ZG.) i doręczony cesarzowi w styczniu roku 1790.

„Starzec osiemdziesięcioletni — pisał ów niewymieniony — nigdy nie splamiony kłamstwem, wierny poddany trzeciego z kolei monarchy, ośmielam się zanieść do tronu prawdę, której nie znasz Najj. Panie. Ratuj królestwa

Galicyi i Lodomeryi, gdyż umysły srodze się burzą. Szlachcic i chłop, obaj sarkają przeciw zhańbieniu religii. Świątynie Boże sprofanowane, zakonnicy i duchowieństwo z nich wygnani, religia sama sprofanowana. Dobra szlacheckie są tak obarczone długami, że szlachta galicyjska w trzech czwartych

składa się z krydataryuszów. Obietnice W. Ces. Mości tak obracane bywają w igraszkę, że już nikt nie daje im żadnej wiary.... Handel z dniem każdym upada; kupców mniej niż ich było przed rewindykacyą, towary, z dziedzicznych krajów sprowadzane, są drogie i liche.... Przedstawienia, przesyłane do W. Ces. Mości rzadko doznają rezolucyi, największa ich część pozostaje

bez skutku.... Zapobież Najjaśniejszy Panie tym klęskom, nim rzeczy dojdą do ostateczności, gdyż, jeśli odmówisz cierpliwym Galicyanom sprawiedliwego posłuchu, cierpliwość ich w szał się zamieni.“ [1])

Nie dziw, że Józef II., któremu dobrej woli nikt odmówić nie może, czuł się mocno dotkniętym supliką anonima i że natychmiast zażądał od ówczesnego namiestnika galicyjskiego (hr. Brigido) obszernego sprawozdania o położeniu kraju. Brigido, człowiek prawy, przyznał słuszność skargom anonima i nie taił wcale, że w Galicyi powszechne i groźne panuje niezadowolenie. Utworzono więc czemprędzej osobną komisyą w Wiedniu dla zbadania nadużyć, zgodzono się na zaprowadzenie ulg pewnych, zmniejszenie podatków, na ustępstwa dla Kościoła i kleru, ale wśród tego umarł Józef II. (20. lutego 1790. roku) i na tron wstąpił brat jego, wielki książe toskański Leopold II.

Był to człowiek innej miary i odmiennego zupełnie usposobienia. Polityk trzeźwy i spokojny, liczący się z postępem i wymaganiem czasu, ale w działaniu ostrożny i wolny od gorączkowych porywów swego poprzednika. Jako książe toskański zyskał on już sobie sławę zdolnego administratora, teraz — objąwszy rządy Austryi, zawikłanej w nieszczęśliwą wojnę turecką i podminowanej ogólnem niezadowoleniem — dowiódł niebawem, że i w najtrudniejszych okolicznościach, kierując się rzadkim rozumem politycznym i wrodzonym sobie taktem, potrafi groźną burzę zażegnać i państwo skołatane od niechybnej, jak się zdawało, katastrofy uchronić.

Względem Polski zajął Leopold II. odrazu stanowisko przyjaźne. Nie dając się tak jak brat bałamucić korzyściami przymierza rosyjskiego i dalekiemi widokami na rozbiór Porty ottomańskiej, widział on raczej w Rzeczypospolitej naturalnego sprzymierzeńca Austryi, zagrożonej — podobnie jak Polska — zaborczą polityką caratu i przewrotnością gabinetu berlińskiego. Rzeczpospolita, odradzająca się właśnie przez konstytucyę 3-go maja, mogła w połączeniu z monarchią habsburską powstrzymać zapędy Prus i Rosyi i przywrócić we wschodniej Europie równowagę polityczną, zachwianą przez Fryderyka II. i Katarzynę.

Niepoślednią rolę odgrywała w tej kombinacyi — tak prostej zresztą — kwestya galicyjska. Nic dziwnego, że Polacy, uciskani przez system józefiński, wszystkie nadzieje swoje pokładali w sąsiedniej Polsce, że mianowicie od rozpoczęcia czteroletniego sejmu i zbliżenia się Prus do Rzeczypospolitej, oczekiwali z niecierpliwością chwili wyzwolenia i powrotu na łono ojczyzny. Usposobienie to wyzyskiwał dla swoich celów dwór berliński i jego reprezentant w Warszawie Lucchesini. W październiku r. 1789. pojawił się projekt pruski odzyskania Galicyi, za którą Polska oczywiście miała zapłacić Gdańskiem i Toruniem.

Naczelnicy stronnictwa patryotycznego w sejmie zajęli się gorąco tą myślą; zaczęto się porozumiewać z Galicyanami za pośrednictwem Ignacego Morskiego, w grudniu przybyła deputacya galicyjska do Warszawy, ale gdy

[1]) Łoziński Władysław: „Galiciana“. Str. 99—103.

król Fryderyk Wilhelm na pokątne układy z obcymi poddanymi zgodzić się nie chciał, a co ważniejsza, gdy nadzieja uzyskania tą drogą Gdańska i Torunia okazała się problematyczną, spełzły rokowania na niczem. Co gorsza, Stackelberg, uwiadomiony o wszystkiem, zwrócił uwagę rezydenta austryackiego w Warszawie na działanie deputacyi galicyjskiej, wskutek czego rząd austryacki wzmocnił siły zbrojne w Galicyi i zaczął śledzić pilniej niż dotąd malkontentów.

Niezadowolenie trwało jednak dalej i sprawozdanie hr. Brigido mówiło raczej za mało, niż za wiele. Alians prusko-turecki, zawarty dnia 31. stycznia 1790. roku i grożąca stąd wojna pomiędzy Prusami a Austryą, pokrzepiła na nowo nadzieje patryotów galicyjskich. Za sprawą Lucchesiniego utworzył się komitet tajny, mający na celu przygotowanie powstania w Galicyi, wysłany przez niego Kazimierz Rzewuski zawiązał we Lwowie osobny komitet galicyjski, do którego wchodzili najwybitniejsi przedstawiciele duchowieństwa, szlachty i inteligencyi.

W tej chwili nastąpiła zmiana w rządzie wskutek śmierci Józefa II. i komitet lwowski uznał za stosowne rozpocząć działanie. Do Wiednia wyjechała deputacya na powitanie nowego cesarza. Należeli do niej: Józef Ossoliński, książe Stanisław Jabłonowski, Mikołaj Potocki i Jan Batowski. Leopold II. przyjął deputatów łaskawie, obiecywał wiele, a w istocie niejedną ulgę wprowadzić kazał natychmiast.

Ośmielony tem i zachęcony z Warszawy komitet wystąpił teraz jawnie, ukonstytuował się w domu arcybiskupa Kickiego jako komisya doradcza dla deputacyi wiedeńskiej i doniósł o tem namiestnikowi.

Na tę wiadomość poruszył się kraj cały, zawrzało w całej pełni dawne życie sejmikowe, a wyrazem tego ruchu był adres do tronu, ułożony przez Ossolińskiego dnia 23. kwietnia 1790. roku, a wyrażający skargi i życzenia kraju. Domagano się tam mianowicie: sejmów co dwa lata, rozszerzenia prawa wyborczego tak, aby każdy szlachcic, płacący 75 złr. podatku, w sejmie mógł zasiadać, reprezentacyi miast, niepodwyższania podatków, oddania administracyi skarbowej krajowi, wojska narodowego (40.000 ludzi), osiadłego namiestnika w kraju, zniesienia ustaw emigracyjnych, prawa neminem captivabimus, założenia banku krajowego i przywrócenia praw Kościoła z czasów przedjózefińskich.

Cesarz przyjął adres, zapewnił delegatów tak jak poprzednio o swoje życzliwości, oświadczył, że zamierza Galicyi nadać odpowiednią konstytucyą i memoryał Ossolińskiego powierzył kancelaryi nadwornej do zbadania.

Nie mamy najmniejszego powodu podawać w wątpliwość intencyj i zamiarów Leopolda II. względem galicyjskich poddanych, to pewna jednak, że cesarz znał dokładnie machinacye pruskie, wiedział o działaniu komitetu warszawskiego i dlatego nie spieszył się wcale z załatwieniem sprawy tak ważnej i niebezpiecznej dla całości państwa. Nie można też zaprzeczyć, że żądania, zawarte w memoryale Ossolińskiego, miały znaczenie niezmiernie doniosłe i że — przyznane w tej chwili — równały się oderwaniu Galicyi od państwa.

Z austryackiego zatem stanowiska była taktyka Leopolda II. zrozumiała i trafna.

Puszczono rzecz całą w odwłokę, zażądano od deputacyi galicyjskiej pewnego zmodyfikowania żądań, a tymczasem zakrzątnięto się około rozwikłania zagmatwanej niezmiernie sytuacyi politycznej.

Przedewszystkiem należało wyjaśnić swój stosunek do Prus i uwolnić się od grożącego z tamtej strony niebezpieczeństwa. Stało się to na zjeździe w Reichenbachu, gdzie gabinet berliński zrzekł się swoich planów zamiennych co do Galicyi, a Leopold II. wszelkich zaborów w Turcyi. Na te postanowienia wpłynęła z jednej strony interwencya Anglii, z drugiej stanowcza odmowa Polski odstąpienia Gdańska i Torunia.

Od tej chwili zawisły losy Galicyi i Rzeczypospolitej na ostrzu miecza. W Wiedniu toczyły się wprawdzie dalej narady nad konstytucyjnem urządzeniem Galicyi; w sierpniu roku 1790. przedłożył Ossoliński nowy, zmodyfikowany projekt cesarzowi, nazwany Charta Leopoldina. Żądano tam koronacyi cesarza na króla Galicyi i Lodomeryi, zaprzysiężenia konstytucyi, rządu autonomicznego, wolnego handlu solą, zwrotu zabranych kapitałów kościelnych i publicznych do utworzyć się mającego banku narodowego, wreszcie łacińskiego języka urzędowego.

Ale przeciw projektowi tak sformułowanemu wystąpiła kancelarya czeska, mianowicie hr. Kolowrat, tak, że cesarz oddał memoryał do rozpatrzenia osobnej komisyi, obradującej pod przewodnictwem arcyksięcia Franciszka. Tam dopiero objawiły się właściwe zamiary biurokracyi i kamarylli dworskiej. „Dopóki Galicyanin — takie było zdanie komisyi — uważać się będzie za Polaka, dopóki nie pozbędzie się swego charakteru narodowego, dopóty jątrzyć go i niezadowoleniem przejmować będzie wszelkie porównanie między jego stanem, a stanem tych, którzy żyją pod rządami Rzeczypospolitej.... Prawdziwy zatem interes austryackiej monarchii polega na tem, aby naród ten powoli w ludność niemiecką przekształcić, jego zwyczaje, sposób myślenia i uprzedzenia zmienić, jednem słowem, aby go wynarodowić.“

Wobec takiego usposobienia komisyi były wszelkie usiłowania deputacyi galicyjskiej daremne. Raz jeszcze, po ogłoszeniu konstytucyi 3-go maja, nosił się cesarz z myślą jakiejś reformy dla Galicyi, zasięgał pod tym względem opinii namiestnika hr. Brygido, ale śmierć rozwiała i te marzenia. Leopold II. umarł 28. lutego 1792. roku, a następca jego Franciszek II. rozpoczął panowanie swoje od pozbycia się niewygodnej dla rządu deputacyi galicyjskiej z Wiednia. Prawda, że stało się to dopiero po ukończeniu nieszczęśliwej wojny polsko-rosyjskiej za rządów Targowicy, w chwili, gdy drugi podział Polski był rzeczą postanowioną i gdy Galicya wszelkie utraciła poparcie. Odtąd przez lat 70 blisko kierował się rząd wiedeński względem galicyjskich poddanych swoich przytoczonemi wyżej zasadami komisyi, czyli dążył stale do wynarodowienia zarówno Polaków jak i Rusinów.

Insurrekcya kościuszkowska raz jeszcze nastręczyła Austryi sposobność wmięszania się do spraw polskich z korzyścią dla siebie i dla uciśnionej zewsząd Rzeczypospolitej.

Kościuszko — jak wiemy — trzymał się względem cesarstwa zasady ścisłej neutralności i pokładał pewne nadzieje w życzliwem jakoby usposobieniu gabinetu wiedeńskiego. Rzeczywiście Austrya, zajęta wtedy wojną francuską i obawiając się o ogołoconą z wojska Galicyą, zachowywała się wobec powstania z początku biernie, pozwalała nawet wychodźcom bezbronnym szukać przytułku na terytoryum galicyjskiem, oddziałów zaś powstańczych nie rozzbrajała, lecz wzywała do powrotu zagranicę. Jakoż ośmieleni tem Wyszkowski i Łaźniński przeszli z oddziałami swojemi przez Galicyą nad Wisłę.

Niebawem jednak zmieniły się stosunki. Gabinet wiedeński, oglądając się na pomoc Prus i Rosyi w wojnie francuskiej, nie chciał skompromitować się wobec swoich sprzymierzeńców, wyparł się zatem przez usta swego rezydenta w Warszawie p. de Caché wszelkich związków z powstaniem, a poddanym swoim w Galicyi zalecił, aby się zachowywali spokojnie i w insurrekcyi udziału nie brali. Niezdecydowana ta i bojaźliwa polityka nietylko nie przyniosła Austryi żadnych korzyści, lecz przeciwnie naraziła ją na straty i przykrości.

Zamiast zająć Kraków, tak jak ostatecznie chciał Kościuszko, wpuszczono tam Prusaków, przypatrywano się długo i bezczynnie gospodarce prusko-rosyjskiej w Polsce i dopiero wtedy, gdy los wojny zdawał się nie sprzyjać powstaniu, gdy Kościuszko poniósł klęskę pod Szczekocinami, a Prusacy oblegli Warszawę, ruszyły wojska austryackie w Sandomierskie, wcelu „spokojnej okupacyi“ tego kraju. Gabinet wiedeński, wyłączony od udziału w drugim rozbiorze, chciał w ten sposób błędy dawniejsze naprawić i nie dopuścić do zaboru prowincyj polskich tylko przez Prusy i Rosyą.

Wyniknęły stąd poważne zawikłania pomiędzy mocarstwami, odżył dawny antagonizm prusko-austryacki, Thugut był gotów nawet zgodzić się na odbudowanie Polski, byle tylko Prusakom dokuczyć. Małoduszna ta i drobiazgowa polityka obróciła się na korzyść Rosyi, która — występując w roli arbitra — wprzęgła do swego rydwanu Austryą, przestraszyła Prusy i zajęła dominujące w świecie stanowisko.

Jedynem niebezpieczeństwem dla tej prepotencyi rosyjskiej była rzeczpospolita francuska, dotąd zwycięska i niezwalczona. Zgnieść ją i upokorzyć stawało się więc głównym celem gabinetu petersburskiego; pomagała mu w tem wiernie Anglia, zaniepokojona o los Belgii i Holandyi i o swoją przewagę na morzu. Gdy jednak Rosya, wyczerpana tylu wojnami i niedowierzająca Turcyi, nie była skłonną do podejmowania dalekiej nad Ren wyprawy, a Anglia na lądzie z Francyą mierzyć się nie mogła, używały oba te mocarstwa Austryi jako tarana do rozbicia znienawidzonej republiki. Łudząc gabinet wiedeński widokami na przyłączenie Bawaryi i na zabór rzeczypospolitej weneckiej, pchano go do wojny z Francyą, rzekomo w obronie legitymizmu, w istocie dla ratowania siebie i zagrożonych swoich interesów. Ludy austryackie płaciły więc na ten cel olbrzymie podatki, przelewały krew strumieniami i rujnowały się ekonomicznie, podczas gdy Anglicy zdobywali kolonie francuskie, a Rosya, oddalona od teatru wojny i zasłonięta kordonem austryackim, gospodarowała bezpiecznie w nowo nabytych prowincyach polskich i goiła rany, poniesione w ostatnich wojnach.

Nic dziwnego zatem, że w tem położeniu wszelkie usiłowania republikanów francuskich zwróciły się przeciw Austryi, że w ostatecznem pognębieniu tego mocarstwa upatrywali paryscy dyplomaci możności zawarcia trwałego pokoju i że gotowi byli użyć wszelkich ku temu środków. W pierwszym rzędzie nastręczali się tu Polacy, Galicyanie, gnębieni przez rząd wiedeński.

Doświadczenia ostatnich lat uczyły, że rekrut galicyjski, wzięty w „kamasze“, niechętnie pełnił służbę wojskową i że, pomny krzywd, jakie kraj jego spotykały, przejmował się nienawiścią do rządu i systemu, na wskroś biurokratycznego i niemieckiego. Na tem pomiędzy innemi zasadzała się myśl utworzenia legionów. Podnosił ją już Kościuszko, wysyłając w tym celu do Paryża Wielhorskiego, popierał teraz gorliwie Dąbrowski, ale zamiary rządu francuskiego sięgały dalej.

W Paryżu trzymano się zawsze jeszcze owego planu koalicyi francusko-turecko-szwedzkiej, która — uderzając na Rosyę i Austryę równocześnie — mogła potężną uczynić dywersyą. W tej kombinacyi mieli odegrać Polacy rolę niepoślednią. Dyrektoryat po obaleniu teroryzmu i terorystów, zabierając się do wykonania tego zamiaru, zwrócił też pilniejszą uwagę na sprawę polską i wychodźców polskich bawiących w Paryżu.

Niezmordowany w swojej gorliwości patryotycznej Wybicki umiał nawiązać z dyrektorami stosunki, polecono mu przeglądać nadchodzące do Paryża korespondencye rosyjskie i polskie, przyjmowano od niego memoryały, słowem zmieniono ton obojętny na życzliwy, interesowano się sprawą polską, wreszcie powołano Polaków do czynnego działania.

Nowy ambasador francuski (Verninac), przeznaczony do Konstantynopola, w przejeździe przez Wenecyą oświadczył przebywającym tam wychodźcom, że rząd republikański jest jak najprzychylniej dla Polaków usposobionym i że uważa wysłanie agentów polskich do Turcyi i do Szwecyi jako rzecz niezbędną dla sprawy polskiej.

Łatwo pojąć, że emigranci przypadli chętnie na tę myśl i zaprosili natychmiast Michała Ogińskiego do przyjęcia missyi w Konstantynopolu.

Ogiński, synowiec hetmana wielkiego litewskiego, po upadku konstytucyi 3-go maja wyniesiony na urząd podskarbiego litewskiego, brał żywy udział w insurrekcyi kościuszkowskiej, utracił skutkiem tego milionową fortunę i tak jak wielu innych uszedł przed zemstą Katarzyny zagranicę.[1]) Tu, w gronie patryotów, bawiących w Wenecyi, musiał pozyskać sobie zapewne powszechną sympatyą, kiedy go jednomyślnie na agenta do Konstantynopola przeznaczono, a i deputacya paryska także przyjęła bez różnicy zdań ten wybór i przysłała Ogińskiemu pełnomocnictwo, podpisane zarówno przez Barsa,

[1]) Surowy sąd, jaki wydał o podskarbim Dr. Antoni J. („Niedoszłe legiony“, Lwów 1883, str. 295) nie zdaje się być usprawiedliwionym. Że sprzeciwiał się konstytucyi 3-go maja, a potem stał się gorącym patryotą, to nic dziwnego, takich było wielu. Faktem jest, że mu majątek skonfiskowano i że poszedł na tułaczkę, a to dowodzi chyba, że działał szczerze. Powrót do ojczyzny za Aleksandra I. i godność senatorska, którą piastował, nie uwłacza jego patryotyzmowi, tak jak Czartoryskiemu nie ubliżało, że był ministrem. Na inne zarzuty (awanturniczość, naiwność i t. d.) nie przytoczył Dr. Antoni J. żadnych dowodów.

Prozora i Wybickiego, jak i przez Dmochowskiego, Mniewskiego i Ksawerego Dąbrowskiego, zatem przez wszystkie odcienia emigracyjne.

„Patryoci polscy — tak brzmiała „informacya“ przysłana z Paryża — zgromadzeni w Paryżu w zamiarze pracowania dla dobra ojczyzny, a ożywieni tym samym duchem co ich rodacy, którzy wyznają zasady wolności i niepodległości, będąc przekonanymi o konieczności wysłania jak najprędszego do Porty ottomańskiej jednego ze swych współobywateli, odznaczającego się dobrą sławą, talentami i rozsądkiem, rzucili oczy jednozgodnie na obywatela Michała Ogińskiego.“

Takim zaopatrzony świadectwem miał Ogiński, podług nadesłanej mu instrukcyi, starać się o poparcie Porty ottomańskiej celem odbudowania niepodległej Polski i ofiarować za to Turkom, wrazie powodzenia, traktat handlowy z Rzeczpospolitą.

Tajna część instrukcyi podawała środki do wykonania tych zamiarów służące i program, podług którego poseł działać powinien.

Żądano więc, aby uzyskać od dywanu schronienie dla władzy narodowej „w kilku kantonach Mołdawii“, najlepiej w raji chocimskiej lub botuszańskiej, w kącie między Bukowiną a Podolem. Tam mieli się gromadzić i organizować Polacy, tam miała rzeczpospolita francuska za zezwoleniem Porty nadesłać park artyleryi, dostawić zapas karabinów i amunicyi.

Równocześnie powinien był poseł domagać się, aby Turcya pomnożyła siły zbrojne, aby zaczepnie wystąpiła przeciw Rosyi, a odpornie przeciw Austryi. Ostatecznym celem dyplomatycznych zabiegów było połączenie pięciu państw: Francyi, Turcyi, Szwecyi, Danii i Polski.

Instrukcya, w tym duchu ułożona, dowodziła niepospolitej naiwności autorów. Mniemali oni, że Turcya, upokorzona i pobita w dwóch wojnach, wytęży wszystkie swoje siły, poświęci wszystkie zasoby i postawi na kartę byt swój dla odbudowania Rzeczypospolitej, która za tę pomoc, niepraktykowaną w dziejach świata, zapłaci jej korzystnym traktatem handlowym. Argumentować w ten sposób mógł tylko polityk, żadnego nieposiadający doświadczenia, gorący patryota, ale nie mąż stanu.

Dla usprawiedliwienia swego postępowania i swoich instrukcyj mogła deputacya powołać się na poparcie rządu francuskiego. Jakoż nie ulega wątpliwości, że rząd ten zajmował się gorliwiej niż dotąd sprawą polską, że pragnął przymierza z Turcyą, Szwecyą i Danią, ale celem tych usiłowań nie było odbudowanie Polski, jak sobie wyobrażali członkowie deputacyi, lecz interes republiki, która — zrujnowana pod względem finansowym i zagrożona przez koalicyą — potrzebowała pomocy i skutecznej dywersyi. Otóż zdawało się francuskim dyplomatom, że, biorąc w opiekę swoją naród polski, walczący o niepodległość, działają w myśl wzniosłych haseł rewolucyi i że poruszą tem łatwiej mocarstwa Rosyi nieprzychylne do połączenia się z republiką. Obok tego niezadowolenie, panujące w prowincyach polskich, budziło nadzieję, że uda się tam wywołać ruch zbrojny, zarówno dla Rosyi jak i dla Austryi niebezpieczny.

W tej myśli, a zapewne nie bez porozumienia z Komitetetem Ocalenia Publicznego, pragnęła deputacya polska zgromadzić w Mołdawii wychodźców i uorganizować ich wojskowo. Stąd, jak z konia trojańskiego, można było każdej chwili pokusić się o zajęcie Galicyi, lub wzniecić powstanie w południowych województwach, objętych zaborem rosyjskim. Broni miała dostarczyć Francya, chociaż kto znał ówczesny stan skarbu francuskiego, ten mógł słusznie o szczerości tych obietnic powątpiewać. Cały plan też przedstawia się jako demonstracya, urządzona przez rząd republikański w celu zastraszenia Rosyi i wywarcia nacisku na Austryą. Za narzędzie mieli służyć Polacy, wierzący dobrodusznie w szczerość dyplomacyi francuskiej. Że tak było istotnie, dowodzi ta okoliczność, że na lep obietnic paryskich nie dali się złapać najgorętsi i najpoważniejsi patryoci, mający więcej cokolwiek doświadczenia, że na Wołoszczyznę nie poszedł ani Jan Henryk Dąbrowski, ani Wybicki, ani Prozor, ani Wyszkowski, ani Łaźniński i że dowództwo nad owemi „niedoszłemi legionami“ objął Ksawery Dąbrowski, w podejrzanych „Pamiętnikach“ Kosmowskiego wyniesiony na genialnego wodza i niezrównanego bohatera.[1]) Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Posłuszny wezwaniu ziomków wyruszył Ogiński dnia 4. listopada 1795. roku, w towarzystwie generała Kołyski, z Wenecyi na wschód. Nie będziemy opisywać jego podróży, obfitej w rozmaite przygody i niebezpieczeństwa, dość powiedzieć, że dopiero po pięciu miesiącach błąkania się po dalekich lądach i morzach ujrzał poseł polski szczyty seraju i zawinął wreszcie szczęśliwie do Stambułu.

Znalazł on się tutaj w położeniu trudnem i niebezpiecznem zarazem. Nie mając żadnych zasiłków pieniężnych, bo cały fundusz, jakim rozporządzał, nie przenosił 2000 dukatów, a i te były prywatną jego własnością, szczątkami magnackiej niegdyś fortuny, przyczepiony w roli podrzędnej do ambasady francuskiej, otoczony szpiegami rosyjskimi, niepewny nawet własnej służby, która — przekupiona rublami — co wieczora zdawała sprawę poselstwu moskiewskiemu z czynności swego pana, był Ogiński prawdziwem igrzyskiem losów i dwuznacznej gry dyplomatycznej.

Przyjechawszy do Konstantynopola zastał on znaczną zmianę. Verninac, który w Wenecyi jeszcze najlepszemi był ożywiony nadziejami, skarżył się teraz na obojętność dywanu i na intrygi ambasadorów, podkopujących wpływ francuski u Porty. Rzeczywiście poseł rosyjski (hr. Koczubej) nie szczędził pieniędzy i zabiegów, aby wojnę turecką zażegnać, a i Turcy sami nie mieli wielkiego zaufania do Francyi.

„Jeżeli — mówili oni do Ogińskiego — Francya nie mogła nic uzyskać dla Polski w swych negocyacyach z dworem berlińskim, niepodobną jest rzeczą, aby Turcy sami mogli działać na korzyść Polaków i ściągać na siebie

[1]) „Pamiętniki Kosmowskiego“, wydane po raz drugi w Poznaniu („Pamiętniki wieku XVIII.“, t. VIII) są źródłem wielce podejrzanem. Już sam Dr. Antoni J. wykazał („Niedoszłe legiony“, str. 320), że Kosmowski albo jest źle poinformowany, albo kłamie tendencyjnie w pewnych wypadkach, my to samo moglibyśmy wykazać w innych razach i stąd pochodzi nieufność, jaką do tego „źródła“ mamy.

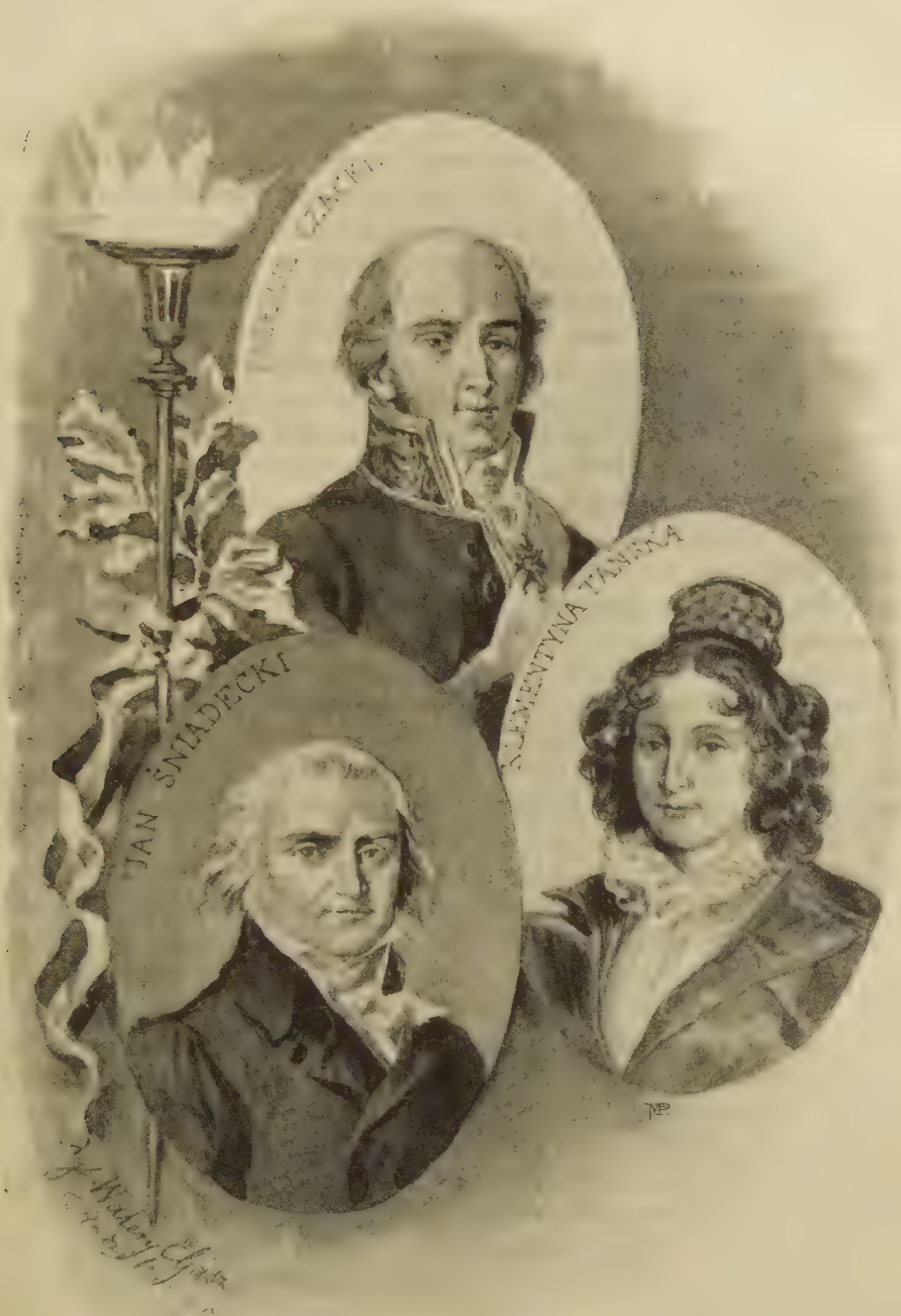
JAN ŚNIADECKI
KLEMENTYNA TAŃSKA

nowego nieprzyjaciela, t. j. króla pruskiego, który połączyłby się z Moskalami, aby utrzymać swe posiadłości, zyskane w Polsce".[1])

Co gorsza w tym czasie właśnie powstała w łonie deputacyi polskiej w Paryżu niezgoda; Bars, Wybicki i Jan Henryk Dąbrowski usunęli się, kierunek naczelny polityki emigracyjnej przeszedł w ręce Mniewskiego i partyi gorętszej, domagającej się energiczniejszego działania.

Pierwszym objawem tej zmiany było wysłanie na Wołoszczyznę w roli agenta Ksawerego Dąbrowskiego. Człowiek ten młody, liczący zaledwie lat 24, niespokojny i znaczenia chciwy, zajął się natychmiast, bez wiedzy i pytania Ogińskiego, którego nominacyą na posła w Konstantynopolu sam podpisał, organizacyą wojskową wychodźców, zgromadzonych na Mołdawii, a że Turcy byli przyzwyczajeni do dawnych form polskich, więc skłonił towarzyszy do zawiązania konfederacyi i sam został jej marszałkiem. Było to działanie w wysokim stopniu lekkomyślne i nierozważne, bo konfederacya podobna istniała już od 6. stycznia 1796. roku w Krakowie i delegaci galicyjscy (Jabłonowski i Rymkiewicz) zawieźli świeżo Ogińskiemu akt konfederacki. Tworzenie zatem nowego związku poza granicami kraju musiało obudzić niechęć u swoich — jak najgorsze wyobrażenie o niezgodzie Polaków u obcych. Ale Ksawery Dąbrowski nie troszczył się o to, przeciwnie jego przyjaciel i wielbiciel, pułkownik Kosmowski, wysłany do Konstantynopola, czernił przed ambasadorem francuskim Ogińskiego, jako stronnika Rosyi,[2]) a on sam, połączywszy się z „hałaśliwym" szlachcicem Denyską, brygadyerem kościuszkowskim, polityko wał na własną rękę, układał się z Paswanem Oglu, baszą widyńskim, i przygotowywał wszystko do wyprawy na Galicyą.

W Galicyi panowało — jak to wiemy — wielkie niezadowolenie, patryoci tamtejsi krzątali się gorliwie i przysposabiali się do powstania na wypadek wojny tureckiej; na Węgrzech wrzały także umysły i eksfranciszkanin, Józef Martinovics, tworzył na wspólkę z Hajnóczym i Laczkovicsem jakieś rozległe sprzysiężenie „jakobińskie".

Rząd rosyjski, nie tyle zapewne z życzliwości dla Austryi, co z obawy o własne bezpieczeństwo, śledził bacznem okiem ów ruch na Węgrzech i w Galicyi, zbierał dokładne dosyć o nim wiadomości i już na początku roku 1795. ostrzegał gabinet wiedeński o grożącem dla państw obu niebezpieczeństwie.[3]) Wskutek tego zażądano natychmiast sprawozdania o stanie Galicyi od tamtejszego gubernatora (hr. Mailatha), ale namiestnik, uspokojony raportem komenderującego, generała Harnoncourta,[4]) nie przywiązywał wielkiej wagi do doniesienia Suwarowa.

W Węgrzech za to wziął się rząd energiczniej do dzieła; spisek Martinovicsa odkryto i uczestników stracono (20. maja 1795. roku).

Tak ocalała organizacya galicyjska i roboty patryotyczne szły swoim torem. Rok 1796. przyniósł nowe nadzieje; zwycięstwa Bonapartego i żywsze

[1]) Ogiński: „Pamiętniki", t. II, str. 100.

[2]) Opowiada to sam Kosmowski w „Pamiętnikach", str. 60.

[3]) Avertissement Suwarowa u Zeissberga „Kaiserpolitik etc.". Seite 117.

[4]) Avertissement Suwarowa u Zeissberga „Kaiserpolitik etc.".

zainteresowanie się Francyi sprawą polską podniosły ducha, a wiadomość o gromadzących się na Wołoszczyźnie wychodźcach podniecała energię spiskowych. Zaczęto więc wyprawiać młodych ludzi do tych legionów, znoszono się z Ogińskim i oczekiwano co chwila powstania.

Tymczasem zabiegi dyplomatyczne brały obrót niepomyślny. Ani Verninac, ani następca jego generał Aubert du Bayet nie zdołali nakłonić Porty do wojny z Rosyą i Austryą, punkt ciężkości politycznej przenosił się zwolna do głównej kwatery młodego Korsykanina, który, rozbiwszy armię austryacko-sardyńską i wystraszywszy na drobnych dynastach włoskich ogromne kontrybucye, nie troszczył się wcale o rozkazy dyrektoryatu i za główny cel działań wojennych położył sobie zdobycie Włoch północnych.

Pełen genialnych pomysłów, niesiony na falach powodzenia, rozbijał on jedną armię cesarską po drugiej, zniósł Wurmsera pod Castiglione, Alvinczyego pod Arcole, Quosdanowitcha pod Rivoli, zdobył Mantuę, wymusił na papieżu Piusie VI. korzystny dla republiki traktat w Tolentino i przeniósłszy teatr wojny w głąb krajów południowych austryackich, zmusił gabinet wiedeński do rozejmu w Leoben dnia 18. kwietnia 1797. roku.

Im większe i bardziej niespodziewane były te zwycięstwa włoskie, tem mniej ważną okazywała się myśl koalicyi, projektowanej przez rząd republikański, mniej potrzebną dywersya dla Galicyi.

Polityka dyrektoryatu zeszła na drugi plan, najpotężniejsi dotąd i najbardziej wpływowi uginali się przed wolą młodego bohatera, który świat zadziwiał olśniewającemi błyskami swego geniuszu i powodzenia, a próżne kasy rządowe zapełniał złotem, wyciśniętem na przerażonych dynastach włoskich.

Nic naturalniejszego więc, jak że i usiłowania patryotów polskich skierowały się ku tej nowej gwiaździe. Sami dyrektorowie, kiedy stawił się przed nimi Dąbrowski z listem polecającem Klebera, odesłali go do Bonapartego. Generał, nie namyślając się wiele, gotów był do podróży, gdy dwie ważne zaszły przeszkody. Oto najpierw Zajączek, urażony osobiście krytyką Dąbrowskiego, zawartą w świeżo wydanem dziełku o wojnie roku 1794.,[1]) wyzwał go na pojedynek, a kiedy usiłowaniom przyjaciół powiodło się zatarg ten uśmierzyć, brakowało pieniędzy na opędzenie kosztów podróży.

Tułacze polscy, pozbawieni wszelkich dochodów, żyli wtedy w największej nędzy; Wybicki jadał na kredyt u jakiegoś poczciwego restauratora, Bars, Wielhorski i Dąbrowski, pogrążeni w niedostatku, żadnych nie mieli funduszów. Z kłopotu tego wybawił ciężko strapionych wypadek. Major Zabłocki, adjutant Dąbrowskiego, przywiózł niespodziewanie dla generała i Wybickiego 1000 czerwonych złotych od generała Dziewanowskiego. Opłacono więc natychmiast długi zaciągnięte, resztę oddano Dąbrowskiemu i Wielhorskiemu, którzy bezzwłocznie ruszyli do Włoch.

Dnia 2. grudnia 1796. roku stanął nareszcie Dąbrowski w głównej kwaterze Bonapartego w Medyolanie. Dla wodza francuskiego imię Polaków nie było już obcem.

[1]) „Beitrag zur Geschichte der polnischen Revolution im Jahre 1794“. Frankfurt und Leipzig 1796.

W najbliższem otoczeniu Napoleona znajdował się wtedy Józef Sułkowski, oficer młody, zdolny i najgorętszym ożywiony patryotyzmem. Na niego to zwróciła dawniej już uwagę swoją deputacya paryska. Polecono Ogińskiemu, aby porozumiał się z Sułkowskim i przez niego starał się pozyskać dla sprawy polskiej Bonapartego.

Ogiński, stosując się do rady Sułkowskiego, napisał list do Napoleona, jako do „ojca uciśnionych“, imieniem piętnastu milionów Polaków. „Jesteś jednym z tych — tak wyrażał się w napuszonym stylu owej epoki — których stanowisko powinno otworzyć Polakom drogę do otrząśnięcia nienawistnego i upokarzającego jarzma. Spiesz się Obywatelu, Generale, objawić całemu światu, że Francya pokłada swą chwałę w opiekowaniu się słabymi i w zapewnieniu szczęścia ludom, które powołują się na jej pomoc“.

Bonaparte, przeczytawszy list, zamyślił się i następnie rzekł do Sułkowskiego: „Cóż mam odpowiedzieć? cóż mogę obiecać? Napisz do twego ziomka, że kocham Polaków i że ich sobie wysoko cenię, że podział Polski jest czynem niesprawiedliwym, który nie może się utrzymać; że po skończeniu wojny we Włoszech pójdę sam na czele Francuzów, aby zmusić Moskali do przywrócenia Polski; lecz powiedz mu także, że Polacy nie powinni się spuszczać na pomoc zagraniczną, że powinni się sami uzbroić, niepokoić Moskali i utrzymywać komunikacyą ze wnętrzem kraju. Wszystkie piękne słowa, jakie im będą prawili, nie doprowadzą do żadnego celu. Znam język dyplomatyczny i niedołężność Turków. Naród, zgniecony przez swych sąsiadów, może się tylko podnieść z bronią w ręku“.

Odpowiedź jędrna i jasna, jakkolwiek zawierała obietnicę, która nigdy spełnić się nie miała, rozstrzygała jednak sprawę legionów zasadniczo. zachęcała bowiem Polaków, za granicą będących, do wojskowej organizacyi i uzbrojenia.

Mimoto na pierwszem posłuchaniu przyjął Bonaparte Dąbrowskiego zimno, niemal niechętnie, może dlatego, że przybywał z poleceniem od dyrektoryatu, i odprawił go krótko słowami: „Kazałem na próbę uformować batalion z Polaków, panowie możecie być w nim umieszczeni jako oficerowie“.

Na szczęście zjawił się w tej chwili w głównej kwaterze Amilkar Kosiński, który — uzyskawszy naturalizacyą — odbył już całą kampanię roku 1796. w stopniu kapitana kwatermistrzowstwa. Jego wpływom i przyjaznym stosunkom z szefem sztabu Berthierem powiodło się usposobić Napoleona przychylniej.

Nagle wezwał Bonaparte do siebie Dąbrowskiego, przyjął go nadzwyczaj uprzejmie, wyrażał się z najwyższem uznaniem o jego czynach wojennych, chwalił waleczność Polaków, a wreszcie polecił generałowi, aby wszedł w układy z rządem lombardzkim, co do formowania legionów. W daleką przyszłość zapatrzony Korsykanin wolał w ten sposób przywiązać Polaków do swej osoby i dzielnego żołnierza polskiego mieć w swojej armii, niż oddawać sprawę polską w ręce bezsilnego dyrektoryatu po to, aby ją niechybnie zmarnować i naród, dobijający się wolności, może w objęcie wrogów republiki i Francyi zapędzić.

Wiedział zresztą Bonaparte, że ustawy republikańskie nie pozwalają na przyjmowanie cudzoziemców do służby wojskowej francuskiej, podczas gdy administracya lombardzka, niezwiązana temi przepisami, mogła postępować całkiem swobodnie i — nieoglądając się na Francyą — tworzyć wojsko odrębne, poddane jednak pod naczelną komendę francuskiego wodza. Polecony jak najlepiej przez Napoleona, ułożył się Dąbrowski bez trudności z Lombardami i dnia 9. stycznia 1797. roku podpisano obustronnie konwencyą. Tak w dwa lata po rozbiorze Polski powstawały u podnóża Alp śnieżystych legiony polskie, wyrastała jak z pod ziemi armia polska, w strój narodowy przybrana, polskiej słuchająca komendy,[1]) ozdobiona kokardą republikańsko-francuską i na epoletach w barwie włoskiej napisem, streszczającym krótko piękne hasło owej epoki: „Gli nomini libri sono fratelli“ („Wolni ludzie są braćmi“).

Odezwa Dąbrowskiego w czterech językach ogłoszona, a wzywająca Polaków do służby w legionach, zwiastowała Europie początek nowego okresu w walce o niepodległość Polski. Podejmowali ją tułacze, głodem przymierający, żołnierze, którym przemoc broń z ręki wydarła, chłopi, mieszczanie i szlachta, z zagród domowych wyrzuceni, pozbawieni wszelkich środków do życia, ale wielcy w celu, potężni duchem, miłością ojczyzny pałający, wiarą silni, w przedsięwzięciach swoich niezachwiani. Nie wiodła ich chęć zdobyczy, nie nęciła żądza sławy; wśród znojów życia obozowego i gromów bitwy szli legioniści na śmierć ze spokojem, jaki daje spełnienie świętych względem ojczyzny obowiązków, a w najśmielszych marzeniach swoich śnili o powrocie pod cichą strzechę rodzinną, o złotem słońcu zmartwychwstania.... Toż nie frazesem były słowa Dąbrowskiego:

> „Polacy! Nadzieja powstaje, Francya zwycięża, ona się bije za sprawę narodów.... Przybywajcie, rzucajcie broń, którą was nosić przymuszono, bijmy się za sprawę wspólną wszystkich narodów, za wolność.. ...
>
> Tryumfy rzeczypospolitej francuskiej są naszą jedyną nadzieją, za jej pomocą i jej aliantów może jeszcze zobaczymy domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili,“

jak nie czczą przechwałką owa pieśń legionów, co światu głosiła, że „Polska[2]) jeszcze nie zginęła“, bo zginąć nie mógł naród, wydający takich synów i do podobnego poświęcenia zdolny.

Natychmiast po podpisaniu umowy z rządem lombardzkim rozpoczęła się praca organizacyjna zarówno szybka jak i skuteczna. Szef batalionu Kosiński, wysłany do Piemontu, a major Eljasz Tremo do Francyi, zbierali ochotników pomiędzy jeńcami austryackimi i odsyłali ich do Medyolanu, gdzie pod bezpośrednim kierunkiem Dąbrowskiego urządzono koszary, szyto mundury, przygotowywano broń i rynsztunek.

---

[1]) Dąbrowski: „Pamiętniki“, str. 28. — Schnürr-Pepłowski: „Dzieje legionów polskich“. Kraków 1897.

[2]) Hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła“ powstał w r. 1797., w lipcu w Reggio; autorem i kompozytorem muzyki był Józef Wybicki.

Wszystko wiodło się pomyślnie; w trzy tygodnie po ogłoszeniu odezwy Dąbrowskiego liczył już legion 1127 żołnierzy, podzielonych na dwa bataliony: grenadyerów i strzelców. Pierwszym dowodził major Strzałkowski, który poprzednio już wstąpił w służbę lombardzką, a obecnie — wziąwszy dymisyą — przeszedł pod sztandary narodowe, drugim Kosiński.

Młodemu wojsku groziły jednak dwa wielkie niebezpieczeństwa; brak oficerów i brak pieniędzy. W pierwszym względzie łatwiej było o radę, bo na odgłos Dąbrowskiego pospieszyli wnet z kraju — pomimo kordonów i przeszkód rozmaitych — dawni wojskowi polscy i uczestnicy kościuszkowskich bojów: Dembowski, Borowski, Konopka, bracia Downarowicze, z Wołoszczyzny brygadyer Liberadzki, tak, że luki zapełniały się szybko i niebawnie można było przystąpić do uformowania pierwszego bataliony fizylierów i dwóch kompanii artyleryi, ubranych w mundur zielony z czarnemi wyłogami. Większą trudność sprawiała kwestya pieniężna, ale i na to znalazł środek w nieograniczonem swojem poświęceniu i niepożytej energii Dąbrowski. Przebrany, pod obcem nazwiskiem, nie zważając na niebezpieczeństwo, jakie mu groziło, pospieszył on w rodzinne swoje strony, sprzedał dziedziczny Pierzchowiec szambelanowi Kępińskiemu i uzyskane ze sprzedaży pieniądze ofiarował wspaniałomyślnie na potrzeby legionów.

Tak poświęceniem i dzielnością gorących miłośników ojczyzny stanęła i rosła zbrojna siła narodowa i po poddaniu się Mantuy poprowadził do tej twierdzy na rozkaz naczelnego wodza Dąbrowski 2000 legionistów, pozostawiając zakład rekrutów pod kierunkiem Konopki w Medyolanie.

Pierwszą sposobność do odznaczenia się znaleźli Polacy podczas zaburzeń ludowych w Romanii. Gdy Bonaparte na papieżu Piusie VI. wymusił odstąpienie tej prowincyi i ogromną kontrybucyę w kwocie 30,000.000 franków, wybuchło powstanie chłopskie w górach i w okolicach Brescyi. Wysłani w te okolice Strzałkowski z Liberadzkim i Kosiński rozpędzili łatwo bandytów i źle uzbrojone włościaństwo, a łagodnem i ludzkiem postępowaniem jakoteż wzorową karnością pozyskali sobie sympatye i przychylność Włochów, zrażonych okrucieństwem i chciwością francuskiego żołnierza.

Nie trzeba nadmieniać, że legioniści, spełniając przykry i trudny swój obowiązek względem nowych sprzymierzeńców, czynili to w nadziei, że danem im będzie rychło na innym teatrze wojny i wśród odmiennych okoliczności złożyć dowody swojego męstwa i poświęcenia. Jakoż wypadki wojenne zdawały się sprzyjać ich zamiarom.

Po nieudałych usiłowaniach oswobodzenia oblężonej Mantuy i po rozgromieniu trzech armii austryackich, powołała rada wojenna wiedeńska — na obronę już nie Włoch, lecz krajów dziedzicznych — zwycięskiego dotąd nad Renem arcyksięcia Karola.

Znamienity zresztą wódz ten, mógł — działając szybko — zebrać znaczne siły i przetrzebioną w bitwach ostatnich armię francuską odtrącić na nowo ku brzegom Mincionu, a nawet pokusić się wrazie powodzenia o odzyskanie Lombardyi. Ale demoralizacya, w jaką popadło wojsko austryackie skutkiem klęsk tylu, wywarła i na naczelnego wodza wpływ przygnębiający. Zamiast skupić

wszystkie swoje siły i całą potęgą uderzyć na nieprzyjaciela, rozrzucił arcyksiąże w drobnych oddziałach wojsko swoje nad Piawą i w Gorycyi, sądząc, że w ten sposób powstrzyma postępy Francuzów.

Tymczasem Bonaparte z właściwą sobie szybkością ruszył całą masą ku północy, rozbił pod Tagliamento słabszego przeciwnika i — opanowawszy twierdzę Palma nuova i Treviso — wtargnął w głąb Karyntyi, zagrażając już samemu Wiedniowi.

Wiadomość o tych powodzeniach Francuzów poruszyła żywo Dąbrowskiego. Mniemał on, że teraz, gdy zwycięska armia francuska posuwa się w głąb krajów austryackich, nadeszła chwila do działania dla Polaków. Legiony, liczące wtedy już 5000 ludzi i zaopatrzone w odpowiednią ilość armat, mogły były zdaniem jego przez Dalmacyą, Bośnią i Serbią przedrzeć się na Wołoszczyznę i stamtąd wkroczyć do Galicyi. Pojawienie się w tych okolicach korpusu polskiego, walczącego pod sztandarami polskiemi, skłoniłoby Turcyą do działania, rozerwałoby siły nieprzyjacielskie i wywołałoby powszechne w zaborze austryackim powstanie.

Zdawało się przez chwilę, że Bonaparte, zadziwiający świat śmiałością swoich pomysłów, przychylnie przyjął przedstawienia Dąbrowskiego. Legiony polskie zostały wezwane na linię bojową; Dąbrowski, wśród ogólnego powstania w Weneckiem, zagrożony przez wieszające się po bokach i tyłach korpusu oddziały wojska weneckiego, oganiając się w prawo i w lewo, szedł na czele grenadyerów swoich pełen najlepszej myśli do Palma nuova, stamtąd zaś udał się bez wytchnienia do głównej kwatery francuskiej, aby od Napoleona uzyskać ostateczne zatwierdzenie swego planu, kiedy w drodze doszła go wiadomość o podpisaniu preliminaryów pokojowych w Leoben. Zawiedziony w swoich nadziejach, niewierząc może tej hiobowej wieści, podążył on do Gracu, gdzie usłyszał z ust Bonapartego najwyższe pochwały dla waleczności Polaków, a zarazem zalecenie cierpliwości i wytrwałości...

Jeżeli zawód i żal legionistów włoskich był wielki i łatwo zrozumiały, to straceńców, przymierających głodem na wołoskiej ziemi, ogarnęło zwątpienie i rozpacz.

Bezczynność i nędza, w jakiej spędzili oni tu rok cały, łudzeni zwodniczemi obietnicami konsulów i ambasadorów francuskich, wywarły wpływ demoralizujący na usposobienie ludzi gorących i rwących się do czynu. Było to też wielką niesumiennością ze strony rządu republikańskiego, wychodźców polskich, ufających w opiekę i pomoc Francyi, używać za narzędzie do skompromitowania Turcyi, lub wciągnięcia jej w wojnę rosyjsko-austryacką. Proste umysły tułaczów nie poznały się na tej grze dyplomatycznej, pierwszy przeniknął ją — prawda, że dość późno — Ogiński i zostawiwszy na swojem miejscu (w Konstantynopolu) generała Rymkiewicza, wyjechał do kraju, aby zbadać stan umysłów w zaborze pruskim i austryackim i uwiadomić później o tem ambasadora Auberta du Bayet.

W towarzystwie Denyski i porucznika Rzodkiewicza przejechał on przez zadżumioną wtedy Rumelią i Bułgaryą szczęśliwie i stanął w Bukareszcie, gdzie generał Carra-Saint-Cyr zaczął się uskarzać na Ksawerego Dąbrowskiego.

Jakoż z rozmowy z Dąbrowskim dowiedział się Ogiński o właściwych jego zamiarach. Ogłosiwszy się naczelnym wodzem wojsk polskich i litewskich chciał on uzbroić wychodźców, zgromadzonych w Mołdawii i wtargnąć z nimi do Galicyi, aby stanąć we Lwowie w dzień Trzech Króli, w czasie kontraktów, odbywających się w tem mieście. Tam miał zabrać wszystkie nagromadzone kapitały, uzbroić pospólstwo i wywołać powstanie w duchu socyalnym. Wysłuchawszy tego wszystkiego podskarbi, zakazał Dąbrowskiemu imieniem Auberta du Bayet podejmować cokolwiek bez zezwolenia ambasadora francuskiego, zgromadził następnie oficerów polskich i zalecił im, aby się zachowali spokojnie i oczekiwali jego powrotu z Galicyi, dokąd jedzie w celu porozumienia się z wpływowymi patryotami tej prowincyi. Rzeczywiście też, uwiadomiwszy jeszcze generała Carra-Saint-Cyr o planach Ksawerego Dąbrowskiego, przeprawił się Ogiński nocą przez granicę galicyjską i znalazł chwilowo schronienie u hr. Waleryana Dzieduszyckiego w Jabłonowie, zanim go władze austryackie z Galicyi wystraszyły.

Tymczasem Ksawery Dąbrowski, łudząc się ciągle obietnicami francuskiego ambasadora i nadzieją pomocy Passwana Oglu, czynił przygotowania do wyprawy galicyjskiej i oczekiwał niecierpliwie rozkazu z Konstantynopola. Tak minęły zimowe miesiące, mijał już i kwiecień, kiedy nagle przywiózł kuryer z Carogrodu wiadomość o zawieszeniu broni w Leoben, a zarazem kategoryczne polecenie od Auberta du Bayet, aby rozwiązano konfederacyą i aby legioniści złożyli trzykolorowe odznaki francuskie. Uderzeni jak gromem nieszczęśliwi tułacze nie wiedzieli, co z sobą począć. Najrozsądniejsi i ci zapewne, co jakieś fundusze posiadali — a takich było niewielu — puścili się do Włoch i wstąpili do legionów, inni, na ich czele Ksawery Dąbrowski, zachęceni łagodnością Pawła I., zgłosili się do konsula rosyjskiego Seweryna z prośbą o pozwolenie powrotu do kraju, czego im też nie odmówiono, reszta z Denyską powzięła zamiar szalony uderzenia na Galicyą.

Dwustu tych desperatów przeprawiło się rzeczywiście dnia 28. czerwca przez Dniestr pod Zaleszczykami, ale — napadnięci natychmiast przez przeważne siły austryackie — polegli jedni w walce nierównej, drudzy — wzięci do niewoli — zostali powieszeni. Denysko w kilkadziesiąt koni uszedł na Wołoszczyznę.

Niedorzeczny i rozpaczliwy czyn Denyski zwrócił baczniejszą uwagę władz na krzątania i zabiegi patryotów galicyjskich, wysyłających młodzież na Wołoszczyznę i do Włoch. Na podstawie papierów, znalezionych u dwóch agentów emigracyjnych (Kochanowskiego i Wojczyńskiego), aresztowano Waleryana Dzieduszyckiego, Raciborskiego, Lewińskiego i Wygońskiego; generał Kniaziewicz i szef Drzewiecki, bawiący podówczas we Lwowie, uniknęli szczęśliwie więzienia i umknęli zagranicę.

Ze wszystkich dotychczasowych usiłowań emigracyjnych i patryotycznych ogółem, ze wszystkich nadziei, któremi się przez dwa lata łudzono, pozostały legiony włoskie, jako widomy znak żywotności narodu, jako zbrojna jego reprezentacya i żywy, nieustający protest przeciw rozbiorowi Polski, pozostało dzieło Jana Henryka Dąbrowskiego i tych, co — odłożywszy na bok jałowe

spory polityczne — spełniali z poświęceniem i miłością obowiązek swój względem ojczyzny.

Dalsze losy legionów aż do pokoju w Lunevillu 1801. roku. — Zabór rosyjski. Ale i ta młoda Polska widziała się zawiedzioną w swoich nadziejach. Korpus Dąbrowskiego, wysunięty na linię bojową, cofnięto pod Wenecyą, którą oblegali wtedy Francuzi; oddział Liberadzkiego wysłano na zdobycie Werony. Bonaparte, zamierzając wynagrodzić Austryą za straty nad Renem poniesione posiadłościami weneckiemi, umiał zręcznie wywołać z republiką zatarg, który skończył się upadkiem zupełnym dumnej niegdyś Signorii. W walkach, jakie z tego powodu wyniknęły, brali żywy udział Polacy; Liberadzki okupił bohaterską śmiercią swoją zdobycie zbuntowanej Werony, bataliony Dąbrowskiego odcinały dowóz wody oblężonej Wenecyi. Po kapitulacyi tego miasta stanęły legiony w Bolonii. Tymczasem na wiadomość o zwycięstwach francuskich i o organizacyi wojska polskiego biegła stara wiara gromadnie pod sztandary narodowe. Białowiejski przyprowadził z Lille 1000 rekrutów; przybył generał Wielhorski, pułkownik Chamand, majorowie Forestier i Zabłocki, z Paryża Wybicki, przedarł się wreszcie przez kordony austryackie Kniaziewicz w towarzystwie Drzewieckiego i czterdziestu oficerów.

Dąbrowski z radością powitał towarzyszy kościuszkowskich bojów, szczególniej Kniaziewicza, którego cenił wysoko dla niepospolitych zdolności i zalet charakteru. W nienajlepszych stosunkach będąc z Józefem Sułkowskim, natenczas adjutantem Bonapartego, umyślił on użyć Kniaziewicza w missyi do Napoleona.

Wódz naczelny przyjął generała w głównej kwaterze swojej w Passignano, wśród tłumu osób, pokornie oczekujących posłuchania i w obecności posłów austryackich. Mistrz w sztuce traktowania ludzi, nawiązał Bonaparte natychmiast głośną z Kniaziewiczem rozmowę, pytając o członków sejmu czteroletniego, o Małachowskiego i Sapiehę, wreszcie dodał, jakby od niechcenia, że rozejm prędko się skończy, a natenczas pójdzie dalej, do Węgier. „Poszlę was w awangardzie — tak kończył — z tą wiadomością wracaj generale do swoich“. Za chwilę zwrócił się do posłów austryackich, odczytał szybko pismo, które mu wręczyli i rzucił im je pod nogi, wołając: „Co to za warunki? Nie masz pokoju, aż go w stolicy waszej podyktuję“.

Łatwo sobie wyobrazić przerażenie pełnomocników cesarskich, świadków i uczestników tej sceny, jakoteż radość Kniaziewicza i Drzewieckiego. Podczas gdy pierwsi, skruszeni i zgnębieni tem co widzieli i czego doświadczyli, podwoili oczywiście zabiegi swoje w celu przebłagania rozgniewanego zwycięzcy, nieśli polscy wysłańcy braciom swoim do Medyolanu wiadomość, zwiastującą rychły powrót do ojczyzny i nadzieję nowej wojny o wolność i niepodległość.

Toż co żywo zakrzątnięto się około dalszej organizacyi legionów, powiększonych transportem Białowiejskiego. Zformowano dwie legie piechoty, każdą po trzy bataliony i trzy kompanie artyleryi; dowództwo pierwszej legii objął Kniaziewicz, Wielhorski został generałem brygady. Siły polskie dochodziły w ten sposób do 8000 ludzi, żołnierz był ożywiony jak najlepszym

duchem i oczekiwał z niecierpliwością hasła do boju. Ale horyzont polityczny zaciemniał się coraz bardziej dla tych polskich nadziei; z głównej kwatery nadchodziły wiadomości o nieustających układach, których koniec łatwo już można było przewidzieć. Zaniepokoiły się więc umysły i Dąbrowski, w porozumieniu z najbliższem swojem otoczeniem, wystosował pismo do Bonapartego, w którem — wyjaśniwszy przyczyny, jakie skłoniły Polaków do utworzenia legionów — żądał reprezentacyi narodowej na nadchodzącym kongresie pokoju. „To są — kończył — życzenia Polaków, składających legiony i wszystkich patryotów, rozsypanych po całej Francyi, wola całego narodu“.[1])

Odpowiedź wypadła — jak można było przewidzieć — uprzejmie, ale odmownie. Pochwaliwszy dzielność i „przyzwoite zachowanie się“ legionów, wspomniał Bonaparte nawiasowo o możności zerwania układów, a co do żądań, wyrażonych w liście Dąbrowskiego, uważał je za niemożliwe do spełnienia. „Życzliwość przyjaciół wolności — takie były jego słowa — jest po stronie walecznych Polaków; lecz zależy to od czasu i przeznaczeń, aby ją w życie wprowadzić“.[2])

Jakoż jeżeli się zważy położenie ówczesne Napoleona, niepodobna zaprzeczyć, że nie mógł on działać inaczej. Śmiałym pochodem dotarłszy w głąb Styryi, zagrożony powstaniem weneckiem na tyłach swojej armii, pozbawiony nadziei rychłego poparcia z Francyi, gdzie wojska republikańskie gotowały się dopiero do przeprawy przez Ren, musiał on pragnąć pokoju i chciał go wystraszyć na dyplomatach austryackich groźbą dalszej wojny, zajęciem Węgier, rzuceniem korpusu polskiego za Karpaty i zrewolucyonizowaniem Galicyi. Widzieliśmy, jak zręcznie wyzyskał w tym celu obecność Kniaziewicza, ściganego przez policyą austryacką, podczas posłuchania w Passignano. Środki tego rodzaju skutkowały i poseł neapolitański Gallo, który właściwie prowadził układy, stosownie do pokojowych intencyj swego dworu, nie miał nic pilniejszego, jak o wrażeniu pamiętnej audyencyi złożyć szczegółową w Wiedniu relacyę, co znacznem było dla pokojowego stronnictwa poparciem. Po pierwszem przerażeniu bowiem, jakie powstało w stolicy naddunajskiej, na wiadomość o zbliżaniu się wojsk francuskich, pokrzepiły się wnet umysły, powróciła chłodna rozwaga, obudziło się przywiązanie do dynastyi i cała ludność — ku wielkiemu niezadowoleniu hr. Colloredo, który widział w tym ruchu początek rewolucyi — chwyciła za broń. Generał Mack, uchodzący wtedy jeszcze za pierwszą powagę wojskową, utrzymywał, że należy zgromadzić wszystkie siły pod Wiedniem i oczekiwać tu nieprzyjaciela, aby go pobić nieochybnie. Jakoż wrazie wykonania tego planu stawało się położenie Bonapartego wielce niewygodnem, a nawet niebezpiecznem. Na szczęście dla niego jednak dwór neapolitański, mianowicie matka cesarzowej (królowa Karolina), acz zawzięta nieprzyjaciółka republiki, pragnęła gorąco pokoju, a cesarz Franciszek, nieskłonny do hazardownych przedsięwzięć, uległ przedstawieniom spokrewnionego dworu i nawiązał układy z hardym Korsykaninem.

[1]) List Dąbrowskiego z 25. Messidora (13. lipca) 1797. r. w „Pamiętnikach“, str. 199.
[2]) „Pamiętniki“, str. 200.

W takiem położeniu Bonaparte, któremu wiele zależało na zawarciu pokoju, nie chciał utrudniać go wysuwaniem drażliwej kwestyi polskiej, chociaż nieomieszkał przy każdej sposobności straszyć gabinet wiedeński widmem powstania galicyjskiego, przerzuceniem pożaru wojny poza Karpaty. Pod takim naciskiem i wobec korzystnych warunków, jakie podawał zwycięsca, zgodził się rząd cesarski wreszcie na podpisanie pokoju w Campo-Formio dnia 17. października 1797. roku. Austrya za Belgią i Lombardyą otrzymywała Wenecyą i posiadłości weneckie we Włoszech, Istryą, Dalmacyą, wyspy na Adryatyku i Cattaro, uznawała rzeczpospolitę cyzalpińską i obowiązywała się wynagrodzić wywłaszczonego księcia Modeny w Niemczech. Francuzi zabierali wyspy jońskie i to, co Wenecyanie posiadali w Albanii. Tak kończył się wiek XVIII. rozbiorem drugiej rzeczypospolitej, której instytucye niegdyś przyświecały jako wzór niedościgniony republikanom polskim; zasada cynizmu i brutalnej siły, wprowadzona do polityki przez Fryderyka II., stawała się podstawą działania dyplomacyi zarówno monarchicznej jak i republikańskiej.

Wiadomość o podpisaniu pokoju w Campo-Formio boleśnie dotknęła Polaków. Dąbrowski zachorował, Wielhorskiemu krew puszczano. Ale ci ludzie, silni duchem i wielką pałający miłością, nie znali zwątpienia i im cięższe spotykały ich zawody, tem usilniejszą i wytrwalszą stawała się ich praca w raz wytkniętym kierunku. Na obcą rzuceni ziemię, przymierając często głodem, bo żołd skąpo ich dochodził, wśród najcięższych warunków, żyli oni jedną nadzieją odrodzenia i odzyskania ojczyzny.

Korzystając więc z chwilowego wytchnienia, jakie pokój nastręczał, zakrzątnęli się około podniesienia ducha w żołnierzu. Założono szkółki wojskowe; Paszkowski i Rymkiewicz wykładali tam matematykę i historyę i uczyli języków; Cypryan Godebski spisywał tak zwaną „Dekadę legii“, rodzaj dziennika, który później, gdy fundusze się znalazły, drukowano czcionkami włoskiemi; Wybicki i Drzewiecki układali piosenki. Tak powstał nowy rodzaj piśmiennictwa narodowego, literatura legionów, streszczająca się w nieśmiertelnym hymnie „Jeszcze Polska nie zginęła“. Utrzymywał się w ten sposób związek ścisły, duchowy, pomiędzy krajem a garstką bezdomnych tułaczy, rosła Polska nowa, która przeniesiona nad Wisłę i Wartę miała stać się podwaliną dalszego życia narodowego.

Obok tej pracy poczciwej i pożytecznej nie zaniedbano żadnej okoliczności do podniesienia sprawy polskiej. Niezmordowany Dąbrowski zabiegł powracającemu z Campo-Formio Napoleonowi drogę w Medyolanie i przedłożywszy adres, podpisany przez wszystkich oficerów legii, prosił go usilnie, aby na kongresie rasztadzkim ujął się za Polską.

Jaka była odpowiedź Bonapartego? nie wiemy, to pewna jednak, że kongres, gdzie miano się zajmować tylko uregulowaniem stosunków niemieckich, nie mógł być miejscem stosownem do traktowania o sprawie tak drażliwej dla mocarstw rozbiorowych. Nastręczała się za to myśl inna. Od chwili zawarcia pokoju ustawał antagonizm pomiędzy Francyą a Austryą, przymierze tych dwóch państw stawało się możliwem i mogło wpłynąć pomyślnie na los Polski. Cesarz austryacki, najmniej interesowany w rozbiorze Rzeczypospolitej,

zdawał się niejako powołanym do odbudowania Polski, która dla Austryi byłaby dogodniejszą sąsiadką, niż podstępne Prusy i zaborcza Rosya. Gdyby zatem Francya zawarła z cesarzem przymierze, gwarantujące pomoc w osadzeniu na tronie konstytucyjnym polskim arcyksięcia Karola, ożenionego z księżniczką saską, natenczas ani Rosya ani Prusy nie byłyby w możności sprzeciwić się tej kombinacyi. W tym celu należałoby zwołać do Medyolanu marszałków i posłów wielkiego sejmu i utworzyć reprezentacyą narodową, któraby — stanąwszy na czele wojska polskiego (legionów) — postarała się wspólnie z mocarstwami zaprzyjaźnionemi oświecić jak najspieszniej cały naród o przywróceniu jego niepodległości.

Taką była treść noty, przesłanej Dąbrowskiemu przez pewnego „znakomitego Polaka“ do Rimini. Generał zakomunikował ją natychmiast posłowi francuskiemu w Wiedniu (generałowi Bernadottemu).

Późniejszy następca na tron szwedzki, z roztropności swojej i umiarkowania tyle sławiony przez pisarzy niemieckich, gdy przystąpił do koalicyi przeciw Napoleonowi, był natenczas żarliwym republikaninem o zakroju jakobińskim. Przybywszy do Wiednia, nie poczuwał się wcale do obowiązku składania wizyt tamtejszej arystokracyi, u arcyksięcia Karola nie przyjął audyencyi, gdy ją oznaczono na dzień inny, niż poprzednio było ułożone, i tem postępowaniem szorstkiem i bezwzględnem zraził sobie koła rządowe i tych, co na kierunek polityki austryackiej wpływ przemożny wywierali.

Memoryał Dąbrowskiego nastręczał młodemu ambasadorowi nową zupełnie kombinacyą polityczną. Rwący się do czynu, w stosunkach z Polakami i dla Polski przychylnie usposobiony, nie wahał się Bernadotte ani na chwilę plan przedłożony sobie przyjąć i w odmiennej cokolwiek postaci gabinetowi wiedeńskiemu przedstawić. Podług tego więc miały Austrya i Prusy posiadłości polskie zatrzymać, z Francyą się sprzymierzyć przeciw Rosyi, mocarstwu temu zabór polski odebrać, Polskę z niego odbudować i na tronie osadzić arcyksięcia Karola. Pomysł tego rodzaju, sam w sobie trudny do wykonania, a podany nadto przez Jakobina czystej wody, za jakiego uważano Bernadotta w Wiedniu, wzbudził w podejrzliwym umyśle Thuguta obawy o los Galicyi, która oczywiście po odbudowaniu Polski długo pod panowaniem austryackiem pozostać nie mogła.[1]) Na zapytanie, wystosowane w tym względzie, odpowiedział Bernadotte ogólnikowo, że dyrektoryat — wrazie powstania Polski — będzie się starał Austryą wynagrodzić w inny sposób. Na tem urwały się rokowania. Bernadotte musiał wkrótce wyjechać z Wiednia, skutkiem znanej awantury z sztandarem republikańskim, ale Thugut nieomieszkał wyzyskać zabiegów ambasadora francuskiego w sprawie polskiej tam, gdzie tego najwięcej potrzebował, t. j. w Petersburgu.

Rosya zajmowała natenczas w wschodniej Europie pierwszorzędne stanowisko, dzięki szczęśliwej i przedsiębiorczej polityce Katarzyny II. Upokorzywszy Turcyą i rozebrawszy Polskę w spółce z Prusami i Austryą, za-

[1]) Sybel („Geschichte der Revolution“, tom V, str. 109) nieznając naturalnie memoryału Dąbrowskiego, podaje w wątpliwość działanie Bernadotta, chociaż z listów Cobenzla wie o układach w kwestyi polskiej.

dzierzgnęła ona tem samem węzeł, łączący na długi czas oba te mocarstwa z polityką caratu, popchnęła je do walki z republikańską Francyą i — korzystając z kłopotów, w jakie wojna ta pogrążyła gabinet berliński i wiedeński — wystąpiła w roli arbitra, godzącego zwaśnionych sprzymierzeńców, regulującego sprawy wewnętrzne Niemiec, dyktującego niemal prawa w Wiedniu zarówno jak i w Berlinie. Gdy z Londynu płynęły pieniądze, zasilające wyczerpane do dna kasy austryackie, wyczekiwał Thugut zbrojnej interwencyi z Petersburga, Berlin oglądał się trwożliwie na wątpliwego swego przyjaciela z nad Newy, nawet potężna Anglia gotowa była przyjąć z zadowoleniem posiłki, jakich dostarczyć jej mogła tworząca się wtedy dopiero marynarka rosyjska, słowem... cała monarchiczna Europa w mniejszym lub większym stopniu ubiegała się o względy imperatorowej, schlebiała jej zamiarom, korzyła się u stóp carskiego tronu. Jedna tylko republikańska Francya, niezłamana w swoim oporze, a nawet zwycięska, stawiła hardo czoło tej monarchicznej koalicyi i — uważając słusznie Rosyą za równie niebezpiecznego jak Anglików nieprzyjaciela, nosiła się z groźnemi wprawdzie, lecz zarazem i cokolwiek fantastycznemi planami o wznieceniu powstania w głębi carstwa, o poruszeniu Turków i Szwedów, o zażegnięciu wielkiego pożaru wojennego nad Dniestrem, nad Czarnem morzem i u granic Finlandyi. Wiemy już, że usiłowania te nie odniosły żadnego skutku. Złoto rosyjskie, zręczność dyplomacyi moskiewskiej obok nieudolności francuskich ambasadorów powstrzymały leniwych i przedajnych baszów od wszelkich zapędów wojennych, a król szwedzki (Gustaw IV), zamiast sprzymierzyć się z republiką, nawiązał rokowania w Petersburgu o małżeństwo z najstarszą wielką księżniczką, słynną z piękności siostrą carewicza Aleksandra.

Układy dojrzały już do tego stopnia, że król jako narzeczony przybył do nadnewskiej stolicy, że wyprawiano dla niego bale i festyny dworskie, kiedy nagle małżeństwo rozbiło się o kwestyę religijną, o żarliwość protestancką młodego monarchy, który żadną miarą nie chciał pozwolić na to, aby małżonka jego miała publiczną kaplicę prawosławną w Sztockholmie. Dotknięta tem do żywego Katarzyna II. dostała ataku apopleksyi i dnia 17. listopada 1796. roku zakończyła życie, nie odzyskawszy wcale przytomności. Na tron carów wstąpił jedyny jej syn Paweł i rozpoczęła się epoka nowa, zupełnie od poprzedniej odmienna.

Paweł, jakkolwiek z urodzenia do tronu przeznaczony, nie brał dotąd żadnego w sprawach publicznych udziału. Katarzyna nie miała dla niego ani uczuć macierzyńskich, ani żadnej ogółem sympatyi, traktowała go z widocznem lekceważeniem, niepozwalała mięszać się do niczego, nawet wychowaniem jego dzieci zajmowała się sama, odbierając rodzicom najważniejsze ich prawa naturalne, naginając wszystko do swojej woli i ukrytych zamiarów. Na mocy dziwacznego postanowienia Piotra Wielkiego mógł każdy car wyznaczać po sobie następcę, bez względu na związki krwi i prawa starszeństwa. Korzystając z tego, zamierzała Katarzyna osadzić na tronie wnuka swego Aleksandra, który jednak — jak przypuszczają — rzecz całą ojcu odkrył i plan babki zniweczył.

Wśród takich stosunków spędzał Paweł życie swoje w zupełnem odosobnieniu; w lecie przebywał w Pawłowsku, o pół mili od Carskiego Sioła, przenosił się następnie do Gatczyny, i w tych miejscach ustronnych stworzył sobie świat odrębny, podług własnej fantazyi i dziwacznych swoich nawyknień. Wielbiciel Fryderyka II. i urządzeń pruskich, które poznał podczas bytności swojej w Berlinie, ćwiczył Paweł — podług tego wzoru — swoją maleńką armią gatczyńską, ubierał żołnierzy w mundury dziwacznego kroju i zaprawiał obu synów (Aleksandra i Konstantego) wcześnie do monotonnej, a fizycznie nużącej służby kapralskiej. Na tem zajęciu upływał mu czas, upływało życie bezbarwne, szare, pozbawione wszelkiego uroku, wszelkiej myśli wyższej, a nawet rozrywki. Zamknięty w sobie, otoczony ludźmi miernych zdolności lub najpospolitszymi dworakami, nie biorąc wcale udziału w przyjęciach i zabawach dworskich, spoglądał wielki książe z niechęcią i z oburzeniem nawet na ten świat, co się około tronu gromadził, na sprawy publiczne wpływ wielki wywierał, a o dworze gatczyńskim i jego władcy z pewnem lekceważeniem i szyderstwem się wyrażał. W ten sposób nabrał Paweł przekonania, że w państwie dzieje się źle, że polityka Katarzyny jest błędna i że to wszystko z gruntu odmienić należy.

„W ostatnich latach panowania nieboszczki cesarzowej — tak mówił, wstąpiwszy na tron — wewnętrzne sprawy państwa doszły do pewnego zaniedbania i opuszczenia. Wskutek niezdrowia monarchini zaufanie jej zdobyły pewne osobistości, nie zasługujące na to pod żadnym względem; one to w swe dłonie ujęły ster państwa i wszystkie gałęzie zarządu, aczkolwiek nie miały po temu ani zdolności, ani nauki. Poszły stąd niesłychane wydatki skarbowe, nieład zaś i nadużycia zakradły się wszędzie; siły zbrojne, tak lądowe jak morskie, wyzbyły się dyscypliny, rozstrój w armii doszedł do tego stopnia, że pułk do pułku nie przystawał, każdy zdawał się należeć do innego narodu, do innej broni.“

Z tem przekonaniem objąwszy władzę, rozpoczął Paweł rządy swoje od ekspiacyi dawnych zbrodni i od usunięcia filarów dotyczasowego systemu. Na jego rozkaz wydobyto z grobów newskiego monasteru zwłoki Piotra III. i ustawiono obok trumny Katarzyny pod strażą tych, których opinia publiczna o udział w zamordowaniu cara oskarżała. Po sześciu tygodniach złożono ciała zmarłych małżonków w wspólnym grobie. Za trumną Piotra III. szli — stosownie do woli Pawła — Aleksy hr. Orłów i umierający ze strachu książe Bariatyński.

Równocześnie gniew carski uderzał gromem w kamarylę dworską. Platon Zubow, wszechwładny dotąd faworyt imperatorowej, zakopał się w dobrach swoich litewskich i wyjechał niebawnie zagranicę. Od gorszych losów uchroniła go przytomność umysłu; na wieść bowiem o ciężkiej chorobie carowej zniszczył on natychmiast kompromitujące siebie papiery i pchnął brata swego Mikołaja do Gatczyny, aby uwiadomić Pawła o niechybnej już katastrofie. Z innych wielkości dworskich jeden tylko Bezborodko, bardzo zdolny i trzymający się zdala od intryg, pozyskał względy carskie. Mianowany księciem, obsypany łaskami, zachował on wpływ swój na politykę. Markow przeciwnie

został wysłany na Sybir, Tutolmin i Bergman, kreatury Zubowów, poszli pod sąd, Suwarow popadł w niełaskę, Passka wywieziono w głąb Rosyi; nowi ludzie z gatczyńskiego otoczenia, przyjaciele niegdyś Piotra III., zajmowali najbardziej wpływowe miejsca i posady. Faworyci Katarzyny, narzędzia jej despotyzmu i fantazyi, znikały pod tchnieniem nowego prądu i nieubłaganej nienawiści Pawła.

Po zmianach osobistych przyszła kolej na zmianę systemu w dwojakim kierunku; w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Despotyzm i absolutyzm carski pozostały wprawdzie i nadal głównemi podstawami rządu i władzy, a nawet przybrały charakter dziwaczny i gwałtowniejszy może niż dotąd, ale w zarządzie administracyjnym powiał duch nowy i pod wielu względami dla poddanych korzystny. „Na prowincyach — pisze książe Adam Czartoryski w swoich pamiętnikach — gubernatorowie cywilni, generał-gubernatorowie i wszyscy wojskowi przejęci strachem, żeby nadużycia, jakich się dopuszczali, nie doszły do wiadomości cesarza i żeby pewnego pięknego poranku nie ujrzeli się bez żadnych formalności sądowych złożeni z urzędów i wygnani do jakiego odległego zakątka Syberyi, stali się uważniejszymi w pełnieniu swych obowiązków, zmienili obejście się z podwładnymi i strzegli się przynajmniej bardzo krzyczących nadużyć“. Szczególniej mieszkańcy polskich prowincyj poczuli tę zmianę.

Polityka Katarzyny względem Rzeczypospolitej i Polaków da się podzielić dość wyraźnie na trzy okresy. Pierwszy, przygotowawczy, sięga do roku 1772. Charakterystyczną cechą jego jest powolny, lecz stały wzrost wpływu rosyjskiego w Warszawie, rozwijające się w tym czasie i do ostatecznych granic dochodzące brutalstwo Repnina, ukoronowane porwaniem senatorów i bohaterską walką konfederatów barskich, po której nastąpił pierwszy rozbiór kraju. Posiadłszy tą drogą część Inflant i Białą Ruś, a nosząc się w myśli z wielkiemi przeciw Turcyi planami, złagodziła cokolwiek imperatorowa postępowanie swoje względem Polski i Polaków.

Objęcie zabranych prowincyj, raczej formalne niż faktyczne, bo wojska rosyjskie stały na Białej Rusi już od lat ośmiu, odbyło się nieznacznie i spokojnie. Kreczetnikow, naczelnie dowodzący w tych okolicach, przygotował się już dawno do roli, jaką miał odegrać; wyuczył się po polsku, z mieszkańcami utrzymywał przyjaźne stosunki, był grzecznym w obejściu, umiarkowanym w wymaganiach i tem pozyskał sobie tak umysły, że — gdy przyszedł we wrześniu roku 1772. z wojskiem do Połocka — witali go uroczyście i biskup unicki Smogorzewski i sufragan biskupa wileńskiego Towiański, nie przeczuwając wcale właściwego celu tej wizyty. Niebawem jednak zażądał pan generał spisu ludności, kazał wbijać słupy o barwach moskiewskich, wreszcie dnia 15. września uderzono w bębny i otoczywszy ludność — zgromadzoną na rynku — bagnetami, odczytano jej ukaz carowej, zwiastujący przyłączenie Białej Rusi do Moskwy i polecający złożenie przysięgi homagialnej do końca września. Powstało na to niezmierne przerażenie, podniósł się krzyk i lament wielki, który Kreczetnikow napróżno uspokoić usiłował, ale pierwsze kroki rządu przyniosły pewien rodzaj ukojenia wylęknionym i zrozpaczonym.

Ukaz carowej zabezpieczał wolność wyznania i prawa własności, władzę administracyjną objął ulubieniec imperatorowej, łagodny zresztą i dość sprawiedliwy generał Czerniszew i przez pewien czas wszystko szło dawnym trybem. Pierwsze nieporozumienia wywołała sprawa złożenia homagimu carowej. Usunął się od tego sufragan Towiański, usunęli się kanonicy wileńscy; reszta duchowieństwa z Jezuitami na czele[1]) wykonała przysięgę poddańczą. Odtąd też zakon Lojoli doznawał szczególniejszych względów carowej i rządu rosyjskiego.

Kiedy w roku następnym papież Klemens XIV. zniósł zakon Jezuitów, oparły się temu wyrokowi Stolicy apostolskiej dwa tyko mocarstwa: protestanckie Prusy i schizmatycka Moskwa, jużto dlatego, aby działać na przekór papieżowi, jużteż z dobrze zrozumianego własnego interesu. Fryderyk II. chciał przez to — o ile się zdaje — wywołać niesnaski pomiędzy katolickimi poddanymi swoimi i uważał zakon skasowany za dogodne do tego narzędzie. „Ten dobry Franciszkanin (Klemens XIV.) — pisał do Voltaire'a w drwiącym tonie — zostawi mi moich kochanych Jezuitów, których prześladują wszędzie. Ja zachowam z nich drogie ziarno, ażeby użyczyć z niego tym, którzyby kiedyś chcieli pielęgnować u siebie tę rzadką plantę".

Katarzyna naśladowała przykład „brata swego" pruskiego z innych cokolwiek pobudek; chodziło jéj bowiem nietylko o sprzeciwienie się rozkazom papieskim, lecz także o zachowanie dóbr, należących do kolegium połockiego, a znajdujących się na Litwie. Uległość Jezuitów zresztą, okazana przy zajęciu Białorusi, dawała carowej rękojmię, że będą oni i młodzież szkolną wychowywać w duchu dla rządu przychylnym. Tak wśród wstrząśnień gwałtownych i prześladowań religijnych, które dotknęły te kresy polskie, zachowali Jezuici w całości przywileje swoje i wolność nauczania, doznawali życzliwej opieki generał-gubernatorów Czerniszewa i Potemkina, mieli wpływy u dworu i łudzili się nawet nadzieją nawrócenia Pawła I. na łono kościoła katolickiego.

Inaczej postąpiła sobie Katarzyna z duchowieństwem świeckiem. Dobra kapituły wileńskiej, której członkowie okazali tyle krnąbrności i zuchwalstwa, zostały skonfiskowane i rozdane Moskalom, cała administracya i hierarchia kościelna popadła w zupełną od rządu zawisłość. Względy polityczne i duma carowej nie pozwalały na to, aby zwierzchnictwo nad katolikami, mieszkającymi na Białej Rusi, sprawowali biskupi polscy, senatorowie Rzeczypospolitej. Ukazem z dnia 14. grudnia 1772. roku ustanowiła ona dla wszystkich swoich poddanych katolickich osobne biskupstwo, które miało być podniesione niebawnie do godności arcybiskupstwa i metropolitalnej, z siedzibą w Mohylewie. Rzym, chcąc uniknąć zatargów i schizmy zgodził się wreszcie[2]) na oderwanie Białej Rusi od istniejących już dyecezyj i tak pierwszym biskupem białoruskim został w roku 1773. zalecony przez biskupa wileńskiego Massalskiego kanonik tamtejszy ks. Stanisław Bohusz Siestrzencewicz, ekskalwin, człowiek wykształ-

[1]) Ks. Stanisław Załęski: „Historya zniesienia Jezuitów w Polsce i ich zachowanie się na Białej Rusi". Lwów 1875. Str. 156.

[2]) Stało się to już po konsekracyi Siestrzencewicza, który objął zarząd dyecezyi z początku jako biskup-sufragan.

cony, w językach biegły i pełen ogłady, ale zarazem giętki i władzy świeckiej zanadto uległy. Równocześnie prawie z instalacyą Siestrzencewicza zakazano katolikom namawiać prawosławnych do zmiany wyznania, a duchowieństwu — bez pozwolenia rządu — ogłaszać bulle papieskie, lub jakiekolwiek inne akta podobnego rodzaju. W ten sposób, zachowując pozornie wolność religijną, poddano kościół katolicki i duchowieństwo pod ścisły nadzór władz rządowych, zaczem mogły i musiały pójść z biegiem czasu dalsze ograniczenia i zwątlenie zupełne węzłów, łączących katolicyzm polski z Rzymem.

Dąbrowski na czele legionów.

Na tych wstępnych robotach upłynęło lat osiem. Przez ten czas wprowadzono administracyjny podział kraju, spisano ludność i opodatkowano ją należycie, nadano całej prowincyi powierzchownie przynajmniej pokost rosyjski i zadecydowano wreszcie, że wszystko jest gotowe na przyjęcie carowej, która wtedy właśnie (w roku 1780.) wybierała się na pierwszy zjazd swój z Józefem II. do Mohylewa. Wistocie zjechała Katarzyna w towarzystwie Potemkina, Czerniszewa i licznego orszaku dygnitarzy do Połocka, gdzie jej wspaniałe zgotowano przyjęcie z illuminacyą i mowami okolicznościowemi. O. Czernie-

wicz, prowincyał Jezuitów, wręczył carowej dwa utwory poetyczne, opiewające wielkość północnej Semiramidy.[1]) Przekonawszy się naocznie o stanie „odzyskanych“ prowincyj, przedsięwzięła carowa dalsze kroki w celu zupełnej ich assymilacyi.

Pierwszem było wygnanie arcybiskupa unickiego Smogorzewskiego za to, że poważył starać się bez wiedzy imperatorowej u króla Stanisława Augusta o metropolię kijowską, osieroconą po śmierci Szeptyckiego w roku 1778. Poza tą przyczyną — jak każdy przyzna, dość błahą — kryły się inne cele. Katarzyna zamierzałą dyecezyę unicką pozbawić pasterza i ułatwić tym sposobem propagandę prawosławną. Jakoż odrzuciła kandydaturę ks. Wagińskiego, którego po Smogorzewskim polecał król polski i zabroniła administratorowi Lisowskiemu mianować proboszczów na opróżnione parafie unickie, wskutek czego unici musieli się udawać do popów i władyków schizmatyckich, co się równało przejściu na prawosławie. Był to zatem pierwszy zamach na unią, wykonany przez legalny rząd rosyjski.

Drugie postanowienie carowej dotyczyło kościoła katolickiego. Kiedy papież Pius VI., zaniepokojony losem unitów białoruskich, nalegał na imperatorowę o obsadzenie arcybiskupstwa połockiego, otrzymał w odpowiedzi list pełen wykrętów, a zakończony żądaniem, aby mianował Siestrzencewicza arcybiskupem Rusi i przeznaczył mu na sufragana kanonika Benisławskiego. Wywiązała się z tego powodu dość drażliwa korespondencya pomiędzy Rzymem a Petersburgiem, przyczem Katarzyna w sposób szorstki i z właściwą sobie dumą żądała zatwierdzenia dokonanej tymczasem przez siebie nominacyi Siestrzencewicza, a wreszcie posunęła się do groźby, odsłaniającej już właściwe jej zamysły. „Papież — tak pisała — nie może nie wiedzieć, że wielka część białoruskich katolików należała do naszej prawosławnej religii, że ich przodkowie przyjęli rzymską wiarę wskutek prześladowań, doznanych od Polaków i wskutek podejść i podstępów rzymskich księży. Ci więc oczekują tylko skinienia, aby powrócili do naszej prawosławnej wiary, którą porzucili wbrew swojej woli, której ślady wyryte głęboko w ich sercu, której dogmata są o tyle droższe dla ludzkości, że nigdy nie zostają w sprzeczności z zasadami rządu i władzą cywilną, z dobrem i policyą państwa“.

Przerażony tą groźbą carowej Pius VI. zgodził się wreszcie na żądania Katarzyny i wysłał do Petersburga nuncyusza Archettiego, który w roku 1784. udzielił kanonicznej instalacyi Siestrzencewiczowi na arcybiskupa mohylewskiego, a Benisławskiego wyświęcił na sufragana. Po tym akcie dopiero pojawił się ukaz, mianujący Bazylianina Lisowskiego arcybiskupem unickim w Połocku. Takiemi ofiarami okupiła Stolica apostolska na czas pewien spokój unitów białoruskich, ale ośmieliła zarazem rząd carski do dalszych nadużyć i do coraz śmielszych uroszczań wobec władzy papieskiej.

Wśród tych wypadków nastąpiła ważna zmiana; Czerniszew, przeniesiony na gubernatora do Moskwy, ustąpił miejsca wszechwładnemu Potemkinowi. Jakie zamiary żywił w głębi duszy ów fantastyczny zdobywca Krymu,

[1]) Ks. Stanisław Załęski: „Historya zniesienia Jezuitów w Polsce i ich zachowanie się na Białej Rusi“. Lwów 1875. Str. 222.

czy zamyślał — jak twierdzą — o koronie polskiej, tego dokładnie określić niepodobna. To pewna, że tu na Białej Rusi odegrał rolę ciekawą, że zakupił znaczne dobra, pomiędzy Smoleńskiem a Orszą położone, że stał się opiekunem gorliwym Jezuitów i że — z jego zapewne inicyatywy — nakazała Katarzyna utworzyć z szlachty zaściankowej białoruskiej sześć chorągwi (cztery w mohylewskiem, a dwie w połockiem namiestnictwie) i jedną ze znakomitszej szlachty, gdzie żołnierze mieli stopnie oficerskie, a dowódzcy stali na równi z generałami. Nieliczny ten zaciąg (1400 ludzi) miał charakter wyłącznie polski, przyjmowano bowiem do niego — jak już wspomnieliśmy — tylko szlachtę białoruską, lub pochodzącą z ościennych prowincyj polskich.[1])

Zanim jednak przyszło do wykonania pomysłów Potemkina, zmieniły się okoliczności, nastąpił sejm czteroletni, wojna i drugi rozbiór Polski i odtąd też poczyna się trzeci okres polityki petersburskiego dworu w sprawach polskich, trwający aż do śmierci Katarzyny.

Rozdrażniona całem działaniem wielkiego sejmu, obrażona srodze osobistemi przeciw niej skierowanemi wycieczkami, słuchając tylko głosu obrażonej próżności kobiecej i dumy niczem niepohamowanej, rozpoczęła imperatorowa na narodzie polskim dzieło zemsty, potęgującej się z biegiem wypadków, strasznej i nieubłaganej. Rzadko kiedy w historyi oddziaływały na losy państw i narodów tak potężnie uczucia osobiste panującego i niskie instynkta najbliższego jego otoczenia, jak w owej chwili, kiedy na zgubę Polski sprzysięgła się nienawiść Katarzyny z chciwością rosyjskich dygnitarzy i nikczemnem usposobieniem Targowiczan. Wiekami nagromadzone dostatki i zasoby Rzeczypospolitej i jej obywateli stały się jedną z najważniejszych przyczyn doszczętnej państwa polskiego zagłady. Zgraja zauszników carskich na współkę z osławioną Targowicą i całym zastępem głodnych junkrów brandenburskich widziała w rozbiorze Polski pożądaną sposobność zbogacenia się i łatwej karyery, podczas gdy rządy — zagrożone zwycięskiemi postępami francuskich republikanów — szukały w granicach Polski terytoryalnych nabytków i środków do dalszego prowadzenia tak niepomyślnie rozpoczętej walki. Każdy zabór staje się też dla nabywcy obfitem źródłem nowych dochodów, skarby skrzętną gospodarką Piastów i Jagiellonów zebrane dostarczają pieniędzy na uzbrojenie flot i wojska, mającego zgnębić hydrę rewolucyjną, dobra skonfiskowane dają zaopatrzenie dostatnie setkom rodzin cudzoziemskich, nieposiadających zazwyczaj ani mienia ani imienia. Proces ten odbywa się najpierw w zaborze rosyjskim na obszarze ogromnych dóbr kościelnych.

W drugim rozbiorze utraciła Polska na rzecz Rosyi całą Ukrainę, po prawym brzegu Dniepru położoną, Podole i część Wołynia, w Litwie krainę począwszy od Drui do Pińska. Pod względem kościelnym należały te prowincye do dyecezyi wileńskiej, kamienieckiej, kijowskiej, łuckiej i żmudzkiej, z których jedna tylko (kijowska) dostała się w całości pod panowanie carskie. Zacny i świątobliwy biskup kijowski ks. Kasper Kolumna Cieciszowski, rezydujący wraz z kapitułą w Żytomierzu, utrzymał też skutkiem tego nienaruszone

[1]) Dr. Antoni J.: „Niedoszłe legiony". Str. 282.

fundusze i stan swojej dyecezyi. Biskup kamieniecki Krasiński i koadjutor jego Dembowski uchylili się od złożenia przysięgi homagialnej, podobnie uczynił biskup łucki i kapituła żmudzka, a rząd rosyjski odpowiedział na to skonfiskowaniem wszystkich majątków biskupich, stołowych, kapitulnych i seminaryjnych na rzecz skarbu. Taki sam los spotkał dobra duchowne, należące do dyecezyi wileńskiej i objęte drugim zaborem.[1])

Za przykładem rządu poszedł arcybiskup Siestrzencewicz i — nie pytając się ani biskupów, ani Stolicy apostolskiej, zagarnął pod swoją władzę nietylko odpadłe od Rzeczypospolitej części dyecezyi wileńskiej, lecz także i powiaty, podległe dotąd biskupowi kijowskiemu. Dalszej uzurpacyi tego rodzaju przeszkodziły ukazy carskie, organizujące administracyą kościelną w ten sposób, że resztę dyecezyi wileńskiej i całą łucką — o ile w kordonie leżała — oddano w zarząd ks. biskupowi Cieciszowskiemu z tytułem biskupa pińskiego, nad dyecezyą kamieniecką zaś przełożono ks. Sierakowskiego, jako biskupa latyczowskiego.

Sroższy los o wiele spotkał unitów. Skutkiem drugiego zaboru dostali się do Rosyi: metropolita unicki Rostocki, biskupi piński i turowski, koadjutor turowskiego biskupa Bułhak i sufragan Butrymowicz, wyświęcony dla części arcybiskupstwa połockiego, a więc ogromna większość dyecezyj unickich. W Petersburgu uważano tę chwilę za najodpowiedniejszą do wykonania zamachu na znienawidzoną unię. Znalazło się gotowe narzędzie w osobie biskupa prawosławnego Wiktora Sadkowskiego, który rezydował jako opat-archimandryta w Słucku, znanym był ze swoich sympatyj moskiewskich i zdradzieckie swoje knowania przeciw Polsce odpokutował już dłuższem więzieniem w Warszawie podczas czteroletniego sejmu. Pragnienie zemsty więc, chęć wyniesienia się i pozyskania względów u nowego rządu, jakoteż fanatyczna nienawiść do unii, wszystko razem wzięte natchnęło go myślą potargania węzłów religijnych, jakie łączyły ludność ruską unicką z narodem polskim i szlachtą. Poparł Sadkowskiego w tem usiłowaniu całym swoim wpływem i znaczeniem u dworu generał-gubernator Tutolmin, zawzięty wróg katolicyzmu, i wspólnym ich zabiegom udało się pozyskać tak zezwolenie carowej, jak i synodu petersburskiego do „nawrócenia“ unitów.

Ukazał się więc manifest imperatorowej, wzywający unitów, aby do kościoła prawosławnego powrócili, a w ślad za nim podobnej treści odezwa Sadkowskiego i episkopa mohylowskiego Jerzego Kunickiego. Utworzono komisye osobne, z protopopów i urzędników gubernialnych złożone, które w asystencyi policyjnej objeżdżały parafie unickie i przeprowadzały dzieło zjednoczenia, oczywiście wśród nadużyć i gwałtów wszelkiego rodzaju, z pomocą nahajki, egzekucyj wojennych i więzienia. A że ówcześni biskupi uniccy nie posiadali ani dość odwagi ani przezorności, aby bronić owczarni swojej przed fanatyzmem prawosławnym i samowolą władz rządowych,[2]) więc skutek tego

[1]) Ks. Szantyr: „Zbiór wiadomości o kościele i religii katolickiej w cesarstwie rosyjskiem, a szczególniej w prowincyach od Polski przyłączonych etc.“ Poznań 1843. Str. 101.

[2]) Ks. Szantyr: „Zbiór wiadomości o kościele i religii katolickiej w cesarstwie rosyjskiem, a szczególniej w prowincyach od Polski przyłączonych etc.“ Poznań 1843. Str. 111.

pierwszego zamachu na unią był taki, że w guberniach kijowskiej i podolskiej ledwo kilka, a w wołyńskiej kilkanaście cerkwi pozostało przy unii; większą wytrwałość okazali unici w mińskiej gubernii i na Białej Rusi, gdzie wielu z nich skutecznie oparło się nawróceniu. Najżarliwsi i na największe wystawieni prześladowania udawali się ze skargami do Rzymu i do Petersburga. Ostatnie żadnego prawie nie odniosły skutku, papież Pius VI. jednak, uwiadomiony przez Bazylianów o ucisku, jakiego doznają unici, zażądał od Katarzyny zachowania wolności religijnej, ubezpieczonej traktatami podziałowemi, a nie poprzestając na tem, mianował legatem swoim w Rosyi (dnia 5. września 1795. roku) arcybiskupa Siestrzencewicza i polecił mu opiekę nad unitami.

Interwencya Stolicy apostolskiej, a zapewne i wzgląd na opinią publiczną, której imperatorowa nigdy zrażać sobie nie chciała, skłoniły Katarzynę do łagodniejszego z unitami postępowania. Metropolicie Rostockiemu dano pensyą dożowotnią i kazano mieszkać w Rzymie lub Petersburgu, podobnie jak i biskupom Horbackiemu, Bułhakowi i Butrymowiczowi; Bazylianów utrzymano przy klasztorach i fundacyach, jakie im jeszcze propaganda prawosławna pozostawiła, a władzę pasterską nad całą unią poruczono arcybiskupowi połockiemu Lisowskiemu. Dla „nawróconych“ unitów ustanowiono biskupstwa: podolskie w Kamieńcu, wołyńskie w Ostrogu i mińskie w Słucku. Ostatecznie jednak rząd dopiął celu i dwa miliony unitów przepędził na schizmę.

Gdy tak zwolna ale konsekwentnie ograniczano swobodę katolickiego kościoła i niszczono owoce wiekowej pracy jego w prowincyach zabranych, spadały na ludność całą, w pierwszym rzędzie zaś na szlachtę, najstraszliwsze prześladowania.

Już wypadki na sejmie grodzieńskim ściągnęły na odważniejszych posłów więzienia i konfiskatę majątków; podskarbiemu Ostrowskiemu — gdy nie chciał złożyć przysięgi homagialnej — zasekwestrowano rozległe dobra ukraińskie, innych obdzierała Targowica z mienia i godności, ale dopiero przygotowania do insurrekcyi kościuszkowskiej i powstanie samo dały hasło do nadużyć i gwałtów wszelkiego rodzaju. Generał Tutolmin, z rezydencyi swojej w Nieświeżu zarządzający nowo utworzonemi guberniami (mińską, zasławską i bracławską), wydawał groźne ukazy przeciw „krzywoprzysięzcom, kuszącym się o zakłócenie pokoju i cichości powszechnej“, przypominał, że te kraje, na mocy rozbioru od Rzeczypospolitej odpadłe, „oddawna do wszechrosyjskiego berła należą“ i nakazywał surowo donosić o buntowniczych zamysłach urzędnikom miejskiej i ziemskiej policyi, obiecując za ten czyn obywatelski hojne nagrody. Za edyktami Tutolmina szły ukazy carskie, tworzące komisyą śledczą pod prezydencyą generał-lejtnanta Ossipowa w Smoleńsku, polecające sekwestracyą majątków i podburzanie ludu wiejskiego przeciw szlachcie i powstaniu, wysyłanie w głąb carstwa „administracyjnym porządkiem“ podejrzanych o polityczne knowania i tych, co sobie „miłość ludu zaskarbili“.

Zaczęły się więc natychmiast gromadne aresztowania, uciążliwe i przykre niezmiernie dla uwięzionych śledztwa w Smoleńsku, wreszcie srogie wyroki

i wywożenie skazanych. Oprócz wspomnianego już dawniej strażnika Oskierki poszli w Sybir lub do wschodnich gubernij: chorąży wileński Tyzenhauz, podstoli nowogrodzki Charzewski, dwaj Pawszowie (Jakób i Tadeusz), Jan Horain, Horodeński, Ochocki, sędzia owrucki Piątkowski i wielu innych. Skonfiskowane dobra wystarczyły na hojne uposażenie 48 generałów rosyjskich. W dwa miesiące po maciejowickiej bitwie wyszedł wreszcie ukaz (3. grudnia 1794. roku), zabraniający Polakom nabywania własności ziemskiej w prowincyach dawniej polskich, ukaz, zniesiony za czasów Pawła, a wznowiony w r. 1865. przez Aleksandra II. Na kraj zrujnowany doszczętnie spadła teraz szarańcza nowych nabywców, którzy łaską carowej dochodzili do ogromnych majątków. Prym pomiędzy nimi trzymał oczywiście faworyt imperatorowej Zubow, Suwarow dostał ekonomią królewską Czarnawczyce, którą później odprzedał Janowi Niemcewiczowi[1]) za 140.000 rubli, Rumiańcow wziął Rudę, Markow starostwo latyczewskie i krzemienieckie, przynoszące 94.000 złotych polskich dochodu, inni brali co było można, lub bogacili się w majątkach, czasowemu tylko podlegających sekwestrowi. Były to posiadłości olbrzymie, jak Czartoryskich, Michała Ogińskiego, Prozorów, dające milionowe dochody, a jednak jeszcze stanowczo na skarb niezabrane.

Katarzyna, nasyciwszy się zemstą, okazywała się teraz cokolwiek łaskawszą i na tej zmianie usposobienia imperatorskiego opierali nieszczęśliwi, z majątków wyrzuceni, pewne nadzieje. Jakoż polityka, zalecająca niejakie względy dla podbitych, czasem fantazya lub instancya jakiegoś faworyta, w ten lub ów sposób okupiona, dawały możność skompromitowanym odzyskania zabranych już lub zaborowi podległych majątków i uniknięcia prześladowań. Książe Eustachy Sanguszko zawdzięczał ocalenie swoje romantycznej swojej przygodzie w Krakowie, dokąd udał się z narażeniem życia, aby widzieć zwłoki ukochanej przez siebie Janowej Potockiej, złożone w grobach kościoła N. P. Maryi;[2]) obożna Prozorowa za staraniem Bukatego i za stawieniem się osobistem w Petersburgu uzyskała zwrot majątku, ale kazano jej synów małoletnich wtenczas przywieść do stolicy na służbę w gwardyi, a córki oddać na wychowanie do petersburskiego instytutu panien. Podobny warunek co do synów postawiono także księciu Czartoryskiemu. Zdobywca chciał mieć zakładników wierności i z młodych serc wyplenić dawne ideały i marzenia o wolnej ojczyźnie.

Prozorów uratowała wreszcie amnestya, udzielona przy wstąpieniu na tron przez cara Aleksandra I., Czartoryscy musieli zastosować się do woli imperatorowej. Dobra bowiem księcia generała ziem podolskich były obciążone długami, wynoszącemi 12,000.000 złotych polskich i wszyscy ci wierzyciele tracili wrazie konfiskaty majątku wszystkie swoje kapitały, zazwyczaj owoce długoletniej pracy i oszczędności.

---

[1]) „Pamiętniki Juliana Ursyna Niemcewicza“. Poznań 1871. Tom I (1809—1813), strona 165.

[2]) „Pamiętnik księcia Eustachego Sanguszki“ (1786—1815) wydał Józef Szujski. Kraków 1876. Strona 48.

Ze względu na tę okoliczność głównie zdecydowali się Czartoryscy acz z ciężkiem sercem na wysłanie synów swoich Adama i Konstantego do Petersburga. Z wiosną roku 1795. przybyli młodzi książęta — zaopatrzeni w listy polecające od Repnina, pilnującego teraz w Grodnie Stanisława Augusta — do stolicy i po niezliczonych wizytach u Zubowów, przedstawieniach u dworu i tym podobnych upokarzających wędrówkach, uzyskali wreszcie przychylny wyrok imperatorowej, która darowała im cały majątek rodziców, liczący — podług szacunku w Rosyi używanego — 43.566 dusz męskich.[1]) Zwracając grabież Czartoryskim, równocześnie w tymsamym ukazie, rozdawała Katarzyna hojne nagrody swoim wiernym sługom. „Zacząwszy od faworyta i ministrów — są słowa księcia Adama Czartoryskiego — rozmaici generałowie, gubernatorowie, dyplomaci, doktorzy, sekretarze, piszczyki, Moskale i niektórzy Polacy, dostali po kawałku zdobyczy“. Królewska puścizna Rzeczypospolitej wystarczyła na zbogacenie całej armii dygnitarzy i czynowników carskich.

Ukaz z 18. sierpnia i następny, regulujący sprawy unickiego kościoła, były to już w tym okresie ostatnie akta polityki, dyszącej zemstą i niosącej zagładę imieniowi polskiemu. Śmierć przecięła dalsze zamachy Katarzyny, a syn i następca jej kierował się zupełnie innemi zasadami.

W dziewięć dni po śmierci matki, zajechał Paweł I. z wielkim księciem Aleksandrem, wspaniałym otoczony orszakiem, przed pałac Orłowa, gdzie się znajdował Kościuszko i wszedłszy do jego pokoju, rzekł: „Przybyłem mój generale, abym Ci wolność przywrócił“. W rozmowie, jaka się następnie pomiędzy nimi wywiązała, wyrażał się car z największą dla Naczelnika sympatyą i z współczuciem dla Polski, która — zdaniem jego — z własnej winy i z winy swoich obywateli upadła. Jeszcze jaśniej przedstawił on zapatrywania swoje na sprawę polską Potockiemu: „Byłem zawsze — mówił — przeciwny podziałowi Polski, uważałem go za równie niesprawiedliwy, jak niepolityczny. Żeby przywrócić Polskę, trzebaby zgody trzech mocarstw? zezwoli na to Austrya? Mniej jeszcze Prusy. Mam-że dla Polski wypowiedzieć im wojnę? Państwo moje, po tak ciągłych, niepotrzebnych wojnach, aż nadto potrzebuje pokoju. Trzeba więc wam poddać się konieczności smutnej.“ Z tego stanowiska wychodząc, czynił Paweł wiele dla polepszenia losu Polaków; uwolnił wszystkich więźniów, trzymanych w Petersburgu i jeńców, wywiezionych na Sybir, zniósł — jak wspomniano — ukaz Katarzyny co do nabywania własności ziemskich, Kościuszkę obdarzył 12.000 rublami i majątkiem o 1000 dusz, przysłał mu karetę wspaniałą, sobolowe futro, kuchnię podróżną i bieliznę stołową, słowem zaopatrzył tak Naczelnika jak i Niemcewicza we wszystkie potrzeby podróżne, żądając w zamian za to przysięgi na wierność, którą Kościuszko złożył rzeczywiście w ręce Jerzego Wielhorskiego, Targowiczanina, Niemcewicz wobec prokuratora Samojłowa.

Chory od dłuższego czasu, chorobą osłabiony, z organizmem zrujnowanym zupełnie, poddał się Naczelnik smutnej konieczności, wiedząc zresztą, że

[1]) Zaleski Bronisław: „Żywot księcia Adama Czartoryskiego“. Poznań 1881. Tom I, strona 333.

tym sposobem wraca wolność towarzyszom niedoli i rodakom, pozbawionym ojczyzny, gotuje los znośniejszy. A i uczucie osobistej wdzięczności musiało także wpłynąć na ten krok stanowczy. Obsypany podarunkami od cara i carowej, przyjmowany z największem u dworu wyszczególnieniem, nie był wstanie Kościuszko oprzeć się tylu dowodom łaski i serdeczności i chociaż duch jego buntował się przeciw narzuconym z góry obowiązkom, to chłodna rozwaga i smutne położenie, w jakiem się znajdował, kazały spełnić kielich goryczy aż do dna.

Dnia 19. grudnia 1796. roku — po pożegnalnej audyencyi u cara — wyjechał Kościuszko z Petersburga do Stockholmu, aby stamtąd udać się do Ameryki. Towarzyszył mu w tej podróży Niemcewicz i młody oficer polski Libiszewski.[1])

Nie poprzestał Paweł na tych dowodach łaskawości względem Kościuszki i jego towarzyszów broni, lecz — chcąc naprawić o ile możności krzywdy, przez matkę wyrządzone — kazał zwrócić wiele majątków skonfiskowanych, obdarzył hojnemi nadaniami kilku oddanych sobie Polaków, jak Ilińskiego i Ludwika Tyszkiewicza; przyjmował do służby wojskowej dawnych oficerów polskich, komendę trzech pułków huzarskich powierzył Polakom i polecił im dobrać sobie oficerów z byłych wojskowych polskich; wstrzymał prześladowanie księży unickich, a Szczęsnemu Potockiemu okazywał najwyraźniejszą niechęć i pogardę.

Wiadomość o uwolnieniu Kościuszki i jeńców polskich, jakoteż o łaskawem usposobieniu cara dla Polaków, rozbiegła się po całym świecie i budziła wszędzie podziw niesłychany i sympatyę dla wszechwładnego, a jednak ludzkiego despoty.

Z szczególniejszem zajęciem słuchali tych wieści wychodźcy, zgromadzeni na Wołoszczyźnie, przez Francyą opuszczeni i na ostatnią skazani nędzę. Naczelnik ich Ksawery Dąbrowski nie wahał się długo i rozpoczął traktaty z Petersburgiem za pośrednictwem konsula rosyjskiego w Bukareszcie Seweryna, prosząc cara o przyjęcie do służby wojskowej. Po dwóch miesiącach nadeszła odpowiedź pomyślna, car ukazem wydanym dnia 28. czerwca 1797. roku oznajmiał, że generał-major polskiej służby Ksawery Dąbrowski w tymże stopniu zostaje przyjęty do kawaleryi i że ma polecenie uformować pułk dragonów z Polaków, zwerbowanych w odebranych Polsce guberniach. Są ślady, że werbunek tego polskiego pułku rozpoczął się rzeczywiście, ale niebawnie urywa się wątek fantastycznego planu; generał-gubernator litewski książe Repnin i sąsiad jego Bekleszew posyłają do Petersburga raport o odkryciu tajnego sprzysiężenia w Wilnie i Łucku. O ile sądzić można z niedokładnych wiadomości, podanych w „Pamiętniku ks. Ciecierskiego“, obwiniano spiskowców o stosunki z Francyą, o wysyłanie ochotników do legionów polskich we Włoszech, o zbieranie składek i tworzenie jakiegoś patryotycznego związku na Litwie.[2])

[1]) Korzon: „Kościuszko“.

[2]) „Pamiętnik ks. Ciecierskiego, przeora Dominikanów wileńskich“. Lwów 1865 (z przedmową A. Bielowskiego), str. 13.

Dla podejrzliwego umysłu Pawła wystarczał donos taki zupełnie, aby zmienić jego sąd o Polakach. Rozpoczęło się więc śledztwo, brutalnie prowadzone przez Repnina, a zakończone srogim wyrokiem, złagodzonym cokolwiek przez cara na instancyą senatu. Niewiadomo, czy z tego powodu, czy z innego, dostał się także do więzienia Ksawery Dąbrowski i przesiedział

tam do roku 1801.; później uwolniony, wstąpił znowu do służby, doszedł do stopnia generał-lejtnanta i podczas powstania w roku 1830. „odznaczał się przeciw rodakom największemi prześladowaniami i gwałtami.[1])

[1]) Tak pisze, wbrew niedokładnym twierdzeniom dra Antoniego J. („Niedoszłe legiony“, str. 322), dobrze o tej epoce poinformowany autor „Żywota Tomasza Ostrowskiego“ (Paryż 1836), str. 192 i 193.

Nagła zmiana frontu względem Polaków była w pewnym związku z polityką zagraniczną. Wstąpiwszy na tron chwycił się Paweł systemu wręcz przeciwnego zamiarom matki. Kanclerz Ostermann wystosował natychmiast z polecenia cara okólnik do mocarstw, w którym oznajmiał, że „wojska, przeciwko Francyi skierowane za poprzedniego panowania, na wojnę nie pociągną, wiele bowiem okoliczności zniewala do ofiarowania ukochanym poddanym niejakiego odpoczynku po tylu i tak długich niepokojach“. Równocześnie wydano odpowiednie do generałów korpuśnych rozkazy i odwołano flotę rosyjską, która z angielską była połączona. Na wiadomość o tej zmianie posypały się żale i wyrzuty z Wiednia i Londynu, ale cesarz nie dał się zachwiać w swojem postanowieniu, reklamacye zbywał krótko i szorstko: „Nie żądam rad“. „Wiem, co się komu należy“. „Liczę się tylko z swoimi interesami“. Interesa te, zdaniem jego, wymagały pokoju; chciał więc pogodzić Austryą z Prusami, zawrzeć pokój z Francyą, uznając nawet republikańską formę rządu i godząc się na granicę Renu. Z takim programem pojechał książe B. N. Repnin do Wiednia i Berlina i w pruskiej stolicy miał nawiązać ubocznie układy z ambasadorem francuskim Caillardem.

Dyplomacya francuska była z usposobienia cara niezmiernie zadowolona, Caillard marzył już o przymierzu francusko-prusko-rosyjskiem, o pognębieniu zupełnem Austryi i odosobnieniu Anglii, zapomniał jednak przytem, że różowe te nadzieje zawisły w znacznej części od dobrej woli i współdziałania Prusaków, którzy w Petersburgu dotąd dawnego nie stracili kredytu, a zaniepokojeni względami, jakie Paweł okazywał Polakom, nie entuzyazmowali się wcale dla francusko-rosyjskiej przyjaźni, rozporządzającej pułkami polskimi nad Niemnem i legionami Dąbrowskiego nad Padem. Nie można zaprzeczyć, że w społeczeństwie polskiem, gnębionem srodze w ostatnich szczególnie latach panowania Katarzyny, pojednawcza polityka Pawła I. obudziła pewne nadzieje. Mówiono wiele o zaszczytnem przyjęciu, jakie zgotował car wezwanemu do Petersburga Stanisławowi Augustowi, wyobrażono sobie, że Poniatowski będzie skutecznym orędownikiem spraw polskich u tronu; szlachta, zgromadzona w Mińsku wcelu wyboru deputatów na uroczystość koronacyjną do Moskwy, ułożyła petycyą do tronu, prosząc o urzędników krajowych, sądownictwo i szkoły polskie, o swobodę religijną,[1]) nawet Dąbrowski, w swoim projekcie wyprawy galicyjskiej, przedstawionym Bonapartemu, mniemał, że „car moskiewski nie jest dziś, wedle swych zasad, zbyt dalekim od ulepszenia losu Polaków, że patryoci mogliby z nim porozumiewać się i pochlebiać sobie nadzieją otrzymania skutku swoich starań, że wreszcie może w zgodzie z Pawłem I. dałoby się przywołać sprawę polską na stół“.[2])

Widoki tego rodzaju nie mogły podobać się w Berlinie. Rząd pruski wiedział doskonale, że odbudowanie Polski w tym lub owym sposobie narazi dynastyę Hohenzollernów na straty terytoryalne, że Prusy będą musiały oddać przynajmniej Warszawę z Mazowszem i Wielkopolskę, że nie utrzymają się długo w posiadaniu dolnej Wisły, niezbędnej dla państwa polskiego i że za

[1]) Dubiecki: „Karol Prozor etc.“, str. 285.

[2]) „Pamiętnik Dąbrowskiego“, str. 191 i 192.

to wszystko mogą otrzymać w najlepszym razie z łaski Francuzów jakieś nieokreślone wynagrodzenie w Niemczech. Toż nic dziwnego, że gabinet berliński, zamiast pomagać Francuzom w porozumieniu z Rosyą, działał wręcz przeciwnie i — korzystając z swojej roli pośredniczącej — starał się budzić w Petersburgu nieufność do Francyi i Polaków. Skutkiem tych zabiegów była zapewne instrukcya, którą otrzymał dnia 5. czerwca 1797. roku hr. Panin, wysłany do Berlina wcelu rokowania z Francyą. Miał on mianowicie żądać takiego traktatu handlowego z republiką, „aby zbytkowne towary francuskie nie pożerały prac i potu rolnika i rękodzielnika rosyjskiego“ i domagać się, aby rząd republikański nie mięszał się do opieki Rosyi nad emigrantami francuskimi i nie popierał Polaków, zmierzających do odbudowania niepodległej Polski.

W trzy miesiące potem wykonano w Paryżu zamach 17. Fructidora (3. września); Augereau, mianowany gubernatorem stolicy, zgniótł siłą zbrojną stronnictwo umiarkowane; Barthélemy został uwięziony, Carnot ratował się ucieczką, ster rządu chwyciła w ręce swoje partya radykalna i przywróciła natychmiast dawne prawa przeciw księżom i szlachcie, skazując niemiłych sobie posłów na deportacyą lub wygnanie.

Ten nowy tryumf Jakobinizmu oburzył do żywego Pawła i zapalił go gniewem przeciw Francyi. W listopadzie też nakazał utworzyć w Rosyi korpus z emigrantów francuskich, Ludwikowi XVIII. dał schronienie w Mitawie, otoczył go ceremoniałem monarszym, gwardyą honorową i wyznaczył mu na utrzymanie 200,000 rubli, a Panina upomniał, aby w rozmowach swoich z Caillardem za daleko się nie posuwał. Równocześnie zwrócono pilniejszą uwagę na dyskretne doniesienia z Wiednia i Berlina, utrzymujące stanowczo, że rząd francuski zamierza Polskę odbudować,[1]) zabroniono wstępu Francuzom do Rosyi i zaczęto śledzić za spiskami w krajach zabranych, gdzie Repnin z Bekleszewem wyszukali wreszcie owo rzekome sprzysiężenie ks. Ciecierskiego i towarzyszy. Na początku roku 1798. nadeszły z Berlina nowe donosy w raporcie od Panina; rozesłano je gubernatorom w prowincyach zabranych, badano, trzęsiono i przyznano wreszcie, że „ludność miejscową na żaden sposób odpowiedzialną za to czynić nie można“. Ale Paweł, raz podrażniony, uspokoić się nie dał. Głuche z początku, a następnie dokładniejsze wieści o wyprawie, gotującej się w porcie tulońskim, wznieciły w nim nowe obawy. Nie przypuszczał on wprawdzie ani na chwilę, aby Bonaparte śmiał kusić się o Egipt, mniemał jednak, że zamiarem jego jest wylądować w Albanii, połączyć się z Ali baszą i Paswanem Oglu i na półwyspie bałkańskim wywołać groźne niepokoje, kto wie, może przez Wołoszczyznę sięgnąć za Dniestr i prowincye polskie wezwać do powstania. Ażeby temu przeszkodzić, zgromadzono znaczne siły na wybrzeżach Czarnego morza, wojenne statki rosyjskie krążyły pomiędzy Odessą a Sebastopolem, w Konstantynopolu zapewniono sułtana, że car całą swoją potęgą wrazie wojny pomagać mu będzie. Równocześnie flota bałtycka połączyła się znowu z angielską i wzięła udział w blokadzie holen-

[1]) Sybel: „Geschichte der Revolutionszeit“, Band V, S. 172.

derskich wybrzeży. Tak bez urzędowego wypowiedzenia wojny Francuzom, rozpoczął właściwie car walkę z republiką; do zawiązania wielkiej koalicyi brakowało jeszcze Prus i nad zjednaniem tego mocarstwa, nad pogodzeniem Habsburgów z Hohenzollernami pracował od maja roku 1798. Repnin razem Paninem w Berlinie.

Tymczasem nastąpiły wypadki, które nietylko utwierdziły cara w nieprzyjaznem dla Francyi usposobieniu, ale popchnęły go nawet do gwałtownych wysileń w celu zwalczenia Jakobinizmu i coraz to groźniejszego ducha rewolucyjnego.

Doszła mianowicie niewątpliwie do Petersburga wiadomość o owym planie odbudowania Polski, przedstawionym przez Bernadotta Thugutowi, w ślad za tem nadesłał komandor de Loras relacyą o zajęciu Malty przez Bonapartego i o wypędzeniu zakonu Johannitów, a w lipcu usłużna ambasada pruska doniosła Paninowi, że Kościuszko powrócił z Ameryki i że odbył nawet konferencyą z Talleyrandem w Paryżu.[1])

Z osobna każde z tych zdarzeń, z wyjątkiem może zdobycia Malty, nie miało wielkiego znaczenia, ale zestawione razem obok siebie i połączone ze zmianami, jakie się dokonywały w środkowej Europie, mogły one i musiały zaniepokoić najwytrawniejszego nawet polityka, a cóż dopiero naturę tak wrażliwą i tak łatwo zapalną, jak Paweł I. Wiedział on, że przy końcu roku 1797. popadła batawska republika w zupełną od Francyi zawisłość, że ten sam los zgotowano rzeczypospolitej cyzalpińskiej, że w Szwajcaryi utworzono republikę helwecką, a teraz świeżo wypędzono papieża z Rzymu i na Kapitolu uroczyście ogłoszono rzeczpospolitę. Nie można było wątpić ani na chwilę, że ten ruch republikański ogarnie cały półwysep apeniński, że strawi jak płomień wszystkie rządy monarchiczne jeszcze tam istniejące i że — obróciwszy się potem za Alpy — po gruzach zgnębionej już Austryi uderzy całą siłą w ostatnią na kontynencie warownią legitymizmu i despotyzmu, w carstwo rosyjskie. Jakoż wszystkie okoliczności zdawały się potwierdzać te przewidywania. W czerwcu roku 1798. obsadzili Francuzi cytadelę turyńską i zawładnęli Piemontem, wielki książe toskański czekał, rychło go republikanie wypędzą z Florencyi, a dwór neapolitański — mimo całej swojej nienawiści do Jakobinów — okupywał wątpliwą przyjaźń republikanów pieniądzmi i upokarzającemi ustępstwami.

Na tem tle — dla patrzącego z Petersburga ponurem i strasznem, zjawiało się nagle widmo niepodległej Polski, przybywał z za oceanu zwycięzony wprawdzie, lecz chwałą okryty Naczelnik ostatniego powstania polskiego, witany z za Alp „ową piosenką, którą po raz pierwszy na ziemi Auzonów wygrały Włochom polskie trąby legionów“.

Wrażenie musiało być wielkie i potężne. Pytano najpierw, co mogło skłonić Kościuszkę do nagłego z Ameryki powrotu?

Panin miał na to odpowiedź gotową: Francya przyzwała „koryfeusza rewolucyonistów polskich“, gdyż knuje „nieprzyjazne zamiary przeciw trzem

[1]) „Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego“ z roku 1866, str. 294: „Kilka dokumentów do historyi Tadeusza Kościuszki“. Paryż 1867.

mocarstwom, posiadającym dzisiaj dawniejszą Polską“.[1]) Pomimo, że takie a nie inne tłumaczenie zgadzało się z intencyami politycznemi rosyjskiego posła i petersburskiego dworu, który pragnął Prusy popchnąć do wojny z republiką, nie mamy najmniejszego powodu powątpiewać o prawdziwości twierdzeń Panina. Owszem wszystkie okoliczności zdają się przemawiać za tem, że Francyi w tej chwili zależało na wysunięciu kwestyi polskiej i to w sposób jak najgłośniejszy. Na początku roku 1798. bowiem stały rzeczy tak, że nikt chyba z poważniejszych dyplomatów francuskich, a już najmniej tak przebiegły minister jak Talleyrand, nie wątpił, że wojny z Rosyą uniknąć nie podobna. Podnieść więc sprawę polską, pogrozić nią Prusom i carowi, to było z jednej strony korzystnem, a z drugiej nie obowiązywało do niczego. I jeżeli Kościuszko — jak się wyraża jego najnowszy biograf — otworzywszy listy, nadeszłe około 26. marca z Europy, „doznał tak silnego wzruszenia, że zeskoczył ze swego łoża aż na środek pokoju, chociaż nie ruszał się bez podtrzymywania“, to przyczyną tego piorunującego wrażenia nie mogła być ani umowa Dąbrowskiego z rzeczpospolitą cyzalpińską, istniejąca tylko na papierze, ani wiadomość o przybyciu do Włoch synów kochanej (siostry) Anny, ale rzecz o wiele ważniejsza, coś, co chory jego organizm odrazu uzdrowić było w stanie, poruszając najżywsze uczucia, sięgając w głąb jego serca i budząc w zbolałej duszy przytłumione klęskami nadzieje. Więc w tych listach mogła być mowa tylko o Polsce, o możliwości jej odbudowania, o pomyślnych dla tego dzieła widokach, a ten, kto je pisał, musiał zajmować zbyt poważne stanowisko, kiedy Kościuszko bez wahania mu uwierzył, kiedy natychmiast (27. marca) przez Jeffersona wystarał się o paszport na imię Kanberga (Niemca), kiedy — nie uwiadomiwszy nawet przyjaciela swego Niemcewicza — nagle opuścił Amerykę, a — przybywszy do Francyi — odbył konferencyą z Talleyrandem i natychmiast wystąpił wobec rządu francuskiego jako opiekun i rzecznik legionów polskich, o które dotąd nie wiele zdawał się troszczyć.

Legioniści tymczasem, jakkolwiek srodze zawiedzeni w swoich nadziejach, spełniali dalej trudne swoje i niewdzięczne zadanie w służbie rzeczypospolitej cyzalpińskiej. Używano ich — jak zwykle — do uśmierzania rozruchów, do rozpędzania band chłopskich, nie troszcząc się zresztą o utrzymanie i wyżywienie polskiego żołnierza. „Wojsko nasze — są słowa Dąbrowskiego — było źle ubrane i niepłatne. Więcej jak czterdziestu oficerów nadliczbowych znajdowało się przy korpusie. Większa ich liczba robiła przez patryotyzm służbę podoficerów, reszta zastępowała oficerów chorych lub nieobecnych. Rząd nie chciał im przyznać nawet żywności w racyach; niektórzy z nich, więcej zamożni, utrzymywali się kosztem własnym, a oficerowie w czynnej służbie odstępowali innym jedną dziesiątą część swego miesięcznego żołdu i dzielili się z nimi swemi racyami i kwaterami. Żołnierze z przyczyny drogości życia byli jak najgorzej żywieni“. Aby tym opłakanym stosunkom koniec położyć, zawarł Dąbrowski z dyrektoryatem rzeczypospolitej cyzalpińskiej dnia 17. listopada 1797. roku konwencyą, mocą której wojsko polskie miało

[1]) „Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego“ z roku 1866: „Panin do cesarza Pawła“. Paryż 1867.

nosić nazwę „Legionów polskich, posiłkujących rzeczpospolitę cyzalpińską“ i pobierać żołd i utrzymanie całe na równi z wojskami cyzalpińskiemi. Ale konwencya nie otrzymała sankcyi ciała prawodawczego i nie polepszyła też wcale smutnego losu legionistów. Owszem rząd cyzalpiński, jak gdyby spełnił wszelkie swoje obowiązki względem Polaków, wymagał od nich coraz to większych i cięższych usług, pchał głodnych i bosych na pierwszy ogień, kazał im zdobywać warowną twierdzę papieską San Leone, odpierać wojsko idące na odsiecz, a wreszcie — po zamordowaniu w Rzymie generała Duphot — użył legionów do stłumienia rozruchów w państwie kościelnem i wysłał je na załogę do wiecznego miasta, ponieważ wojska francuskie, tam rozłożone, miały odpłynąć w znacznej części na wyprawę egipską. Przez Pesaro, Ankonę, wybrzeżem Adryatyku, a następnie przez Spoletto, szli nasi legioniści, wszędzie po drodze — ku wielkiemu zdziwieniu Włochów — dając dowody szczególnej pobożności i uszanowania dla władz kościelnych. W Imoli podejmował u siebie Dąbrowskiego i jego oficerów przez dłuższy czas kardynał Chiaramonte (późniejszy papież Pius VII.), rozmawiał z nimi często i odchodzących błogosławił z rozrzewnieniem; w Pesaro kardynał Saluzzo, ostatni legat papieski w Polsce, witał serdecznie tułaczy i wspominał z przyjemnością gościnność i pobożność polską, którą poznał w Warszawie. W Loretto wreszcie czekała legionistów najmilsza niespodzianka. Oto Dąbrowski odebrał rozkaz, upoważniający go do zabrania stamtąd chorągwi Mahometa, zdobytej pod Wiedniem i przysłanej wraz z szablą przez Jana III. w darze Najśw. P. Maryi Loretańskiej. Akt ten odbył się uroczyście: z kościoła wyniesiono sztandar i miecz, żołnierze, ustawieni w czworobok, padli na kolana i ze łzami w oczach, a z modlitwą rzewną na ustach, przyjęli drogie pamiątki sławy narodowej.[1]) Klingę od szabli, bo rękojeść drogiemi kamieniami wysadzoną sprzedały już przedtem ręce świętokradzkie, otrzymał generał Dąbrowski, chorągiew złożono w głównej kwaterze legii.[2])

W dniu 3. maja weszły nakoniec legiony do Rzymu. Na Kapitolu, pod pod posągiem Marka Aureliusza, przemówił do towarzyszy broni Dąbrowski w te słowa: „Stanęliście na szczycie góry, na której błyszczy sława tylu wieków; pomnijcie, w jakim dniu tu wstępujecie, niech godło sławy i miłość kraju tkwi zawsze w sercach waszych“.

Widok żołnierzy polskich, odmiennych postacią, obchodzących nabożnie miejsca święte, modlących się ze skruchą po kościołach, zadziwił najpierw, a następnie napełnił zaufaniem serca Włochów ku nieznanym przybyszom. Nawiązały się też przyjazne stosunki pomiędzy legionistami a ludnością rzymską, wogóle niezbyt przychylną Francuzom, jeden tylko Stach Świstacki, bohater z pod Racławic, padł przez pomyłkę ofiarą skrytobójczego zamachu. Niebawnie jednak powstały wśród samych Polaków niesnaski i starcia. Stronnictwo, zdawna nieprzychylne Dąbrowskiemu i Kniaziewiczowi, wysłało z Pa-

[1]) Tak opisuje tę chwilę Br. Zaleski, a raczej Teodor Morawski w „Życiorysie Kniaziewicza“ („Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego“ w Paryżu za rok 1866, str. 29) na podstawie relacyi samego generała.

[2]) „Pamiętnik Dąbrowskiego“, str. 47.

ryża deputacyą do Rzymu, której celem było obu generałów usunąć i dowództwo legionów oddać Jerzemu Grabowskiemu, niegdyś inspektorowi wojsk litewskich i Rymkiewiczowi. Niecnej tej roboty podjęli się: Ostrowski, Neuman, sam Grabowski, Władysław Jablonowski i znany z hałaśliwego usposobienia Wojciech Turski. Korzystając z niezadowolenia, jakie panowało pomiędzy legionistami z powodu niedostatku, zaczęli ci agitatorzy pocichu czernić Dąbrowskiego i zbierać przeciw niemu podpisy. Niegodne zamiary i knowania deputatów odkrył jednak wcześnie Kniaziewiczowi Chłopicki, podówczas major w legii pierwszej, a ten ostrzegł Dąbrowskiego, który — porozumiawszy się z naczelnie dowodzącym generałem Championnetem — najburzliwszych delegatów odesłał pod eskortą do Francyi, legionistów zapewnił, że odtąd nominacye oficerów odbywać się będą za ogólną zgodą i porozumieniem, Jabłonowskiemu i Grabowskiemu powierzył organizacyą legii rzymskiej, a sam pospieszył do Medyolanu, aby od rządu cyzalpińskiego wykołatać nareszcie żołd i środki utrzymania dla legionów. Ponieważ zaś krótko przed wyjazdem z Rzymu dowiedział się o przybyciu Kościuszki do Francyi, więc wysłał do niego adjutanta swego majora Tremo, prosząc Naczelnika o interwencyą u rządu francuskiego.

Kościuszko wylądował dnia 28. czerwca 1798. roku w Bayonnie i — przyjęty tu z wielkiem odszczególnieniem — podążył bezzwłocznie do Paryża, gdzie podczas uczty, wydanej przez ministra wojny z powodu zdobycia Malty, był przedmiotem niezwykłej owacyi, składał wizyty ambasadorom i — gotując się do działania politycznego — uczynił krok stanowczy: odesłał mianowicie cesarzowi Pawłowi (dnia 4. sierpnia) owych 12.000 rubli, które od niego otrzymał w podarunku, w zamian za nadany majątek ziemski. Teraz dopiero, czując się zupełnie wolnym od wszelkich zobowiązań względem rządu rosyjskiego, wystąpił Kościuszko w roli politycznej i — zapewne po wysłuchaniu Trema — wystosował do dyrektoryatu obszerną notę w sprawie legionów.[1]) Wspomniawszy o pokoju w Campo-Formio, który zawiódł nadzieje Polaków, walczących o swoją ojczyznę, domaga się Naczelnik z okazyi nowej konwencyi, jaką Dąbrowski zawierał z rzeczpospolitą cyzalpińską, pewnych nadziei co do odbudowania Polski. Legioniści nie mogą się uważać za najemników, bo nie dla interesu osobistego, lecz z patryotyzmu, aby kraj swój uwolnić, opuszczają domy i rodziny i gromadzą się pod sztandarami francuskiemi. Jeżeli teraz nie otrzymają jakich obietnic, gotowi dać posłuch płatnym ajentom mocarstw nam wrogich, którzy przedstawiają im, że bez żadnej dla Polski korzyści przelewają krew swoją za obcą sprawę. Pierwsze to odezwanie się Kościuszki było — jak widzimy — nadzwyczaj łagodne, jakkolwiek nie wolne od lekkiego zarzutu. Naczelnik mówił nie o gwarancyach, lecz o promyku nadziei (quelque lueur d'espérance), a — licząc się z prądami, panującemi wtedy w Paryżu — zapewniał, że Polacy przeciw królowi pruskiemu nic przedsiębrać nie zamierzają, chyba, żeby się powiodło w zamian za na-

[1]) Kraushar Aleksander: „Nieznane listy Tadeusza Kościuszki w sprawie legionów". „Kwartalnik historyczny", rocznik XII, str. 306. Porządek listów jest mylny; list trzeci z 24. Fructidora musi być pierwszym, a pierwszy trzecim.

bytki w Niemczech odzyskać pewne prowincye polskie. Ostrze argumentów zwrócone było przeciw Austryi i Rosyi, jako zdeklarowanym w tej chwili wrogom republikańskiej Francyi. Ale to właśnie wystarczało zupełnie dla dyplomacyi francuskiej. Dzienniki paryskie ogłosiły list Kościuszki do cara, skoro tylko był napisany; na bankiecie z powodu rocznicy 10. sierpnia wniesiono toast: „Za wolność Polski! Niech przybycie Kościuszki na łono wielkiego narodu — wołano — ożywi nadzieje patryotów polskich! Oby naród francuski dopomógł im do pomszczenia i do wyzwolenia ich ojczyzny“, a gdy Kościuszko, wzruszony tą sympatyą, od łez wstrzymać się nie mógł, pito na cześć łez Naczelnika.

Zapał ten, niewątpliwie szczery, musiał obudzić z jednej strony pewne nadzieje w zbolałem sercu Kościuszki, z drugiej zaniepokoić dwór wiedeński i Rosyą. Usłużna dyplomacya pruska dostarczała w tem obfitych materyałów. Z Paryża od tamtejszego ministra pruskiego Sandoz Rollina szedł donos za donosem przez Berlin do Petersburga. W październiku pisano więc, że Kościuszko ma się połączyć z Dąbrowskim we Włoszech, to znów, że na Hamburg udaje się do Polski, aby tam wzniecić powstanie i stanąć na jego czele. W trzy dni później wiedziano już, że wyjechał rzeczywiście z Paryża pod imieniem Dufresnoy, że ma przy sobie weksle na 800.000 franków, płatne w Amsterdamie i w Hamburgu. Wiadomości te przerażały coraz bardziej Panina. Ostrzegał więc osobnym cyrkularzem generałów na Litwie, Wołyniu i Podolu, Murawiewowi kazał czynić poszukiwania w Hamburgu za Dufresnoyem; z Petersburga rozesłano rozkazy do wszystkich gubernatorów w prowincyach polskich, aby szukali i chwytali Kościuszkę, Razumowskiemu, ambasadorowi przy dworze wiedeńskim, polecono uwiadomić Thuguta o grożącem monarchii habsburskiej niebezpieczeństwie, podobne ostrożności zarządził król pruski u siebie, a osobno pisał do Drezna, aby władze saskie miały baczne oko na zuchwałego wichrzyciela.[1]) Jednem słowem mocarstwa rozbiorowe popadły w ostatnich miesiącach roku 1798. w stan niezwykłego rozdrażnienia z powodu przybycia Kościuszki. W Litwie przestraszeni czynownicy zaczęli szukać „awanturnika“. W Borunach znaleziono jakiegoś chłopa, podobnego do Kościuszki i wożono go do Petersburga; władze austryackie, otrzymawszy od Razumowskiego rysopis Naczelnika, rozesłały go do wszystkich urzędów, za radą Repnina rozciągnięto nadzór nad Ignacym Potockim, mieszkającym w Kurowie pod Lublinem, jako nad „najgorszym poddanym, dyszącym tylko zaburzeniami i myślą odbudowania Polski zapomocą jakichbądź środków“. W istocie rzecz nie przedstawiała się tak strasznie; Kościuszko wyjeżdżał jedynie do Brukseli, był z Jourdanem w Moguncyi, zresztą mieszkał stale w Paryżu i zajmował się sprawą legionów, upominał się o żołd zaległy dla nich, a 20. października przedstawił dyrektoryatowi projekt utworzenia nowej legii polskiej przy armii reńskiej,[2]) później cokolwiek nad Dunajem. Ogółem wszystkie

[1]) „Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego“ za rok 1866: „Kilka dokumentów do historyi Tadeusza Kościuszki“.

[2]) Kraushar Aleksander: „Nieznane listy Tadeusza Kościuszki w sprawie legionów“. „Kwartalnik historyczny“, rocznik XII.

MICHAŁ STAL[illegible]
FELIKS PIWARSKI

usiłowania Naczelnika zmierzały ku temu, aby sprawom narodowym inny nadać kierunek. Poświęceniu Dąbrowskiego zawdzięczały byt swój legiony, Kościuszko pragnął z nich stworzyć armią polską, zapewnić jej legalnie możność powrotu do kraju, uzyskać jeżeli nie gwarancyą, to przynajmniej nadzieję, że Francya sprawę odbudowania Polski będzie popierać. W tej myśli domagał się od francuskiego ministra wojny, aby przy utworzeniu legii naddunajskiej zawarto z Polakami podobną konwencyą, jaką ułożyli z Dąbrowskim dyrektorowie cyzalpińskiej republiki, przyznając legionistom wolność powrotu do kraju (artykuł 7) i wyrażając możność odbudowania Polski przy zawarciu powszechnego pokoju (artykuł 8).

Rząd francuski zbywał te przedstawienia i słuszne żądania milczeniem, łudząc się może nadzieją, że postrachem imienia Kościuszki zdoła powstrzymać Rosyą od udziału w grożącej już wojnie. Tymczasem krew polska płynęła strugami na polach bitew włoskich. Przy uśmierzeniu powstania w państwie kościelnem ponieśli Polacy dotkliwe straty, a zaledwie powrócili do Rzymu, wybuchnęła wojna neapolitańska. Królowa Karolina, ufna w pomoc angielską i austryacką, nie chciała czekać na zawiązanie koalicyi, lecz pierwsza dała hasło do walki. Popierał ją całym swoim wpływem Nelson, który — zniszczywszy flotę francuską pod Abukirem — w tryumfie powrócił do Włoch, aby znienawidzonych Jakobinów czemprędzej za Alpy wyrzucić. Słaby król neapolitański (Ferdynand IV.) uległ namowom żony i przedstawieniom angielskiego bohatera i — oddawszy naczelne dowództwo nad wojskiem przysłanemu z Wiednia generałowi Mackowi, który uchodził za gienialnego strategika — kazał mu uderzyć na Rzym, podczas gdy Nelson miał zająć Livorno. Początek wyprawy był bardzo pomyślny. General Championnet, liczebnie słabszy, opuścił wieczne miasto, aby siły swoje skoncentrować, król Ferdynand odbył wjazd tryumfalny do Rzymu i wezwał papieża do powrotu, ale zamiast skorzystać z pierwszego wrażenia i uderzyć na nieprzyjaciela, zaczął oblęgać garstkę Francuzów i republikanów rzymskich, zamkniętych w zamku św. Anioła, podczas gdy żołnierze neapolitańscy rozlali się po mieście, rabując i niszcząc wszystko, jak horda najdzikszych barbarzyńców. Bohaterzy wobec spokojnego i bezbronnego mieszczaństwa okazali się najnikczemniejszymi tchórzami w boju. Bo kiedy Championnet — zgromadziwszy wszystkie oddziały swoje pod Monterose — zwrócił się przeciw najezdzcom, została potężna armia neapolitańska w przeciągu dni kilku ze szczętem rozbita, w czem niemałą zasługę mieli Polacy.

Wypadki te wydarzyły się pod nieobecność Dąbrowskiego. Wyjechał on do Medyolanu, ażeby u naczelnego wodza (generała Brune) uzyskać pomieszczenie dla oficerów nadliczbowych i rząd cyzalpiński skłonić do wypłacenia legionom zaległego żołdu. Jakoż zabiegi generała odniosły pomyślny skutek; major Tremo powiózł do Rzymu potrzebne pieniądze, legioniści otrzymali żołd i nowe mundury.

Nad przyodzianą i pokrzepioną cokolwiek legią objął dowództwo Kniaziewicz i w pierwszej bitwie pod Magliano odznaczył się świetnie, zdobył bowiem szturmem okopy neapolitańskie, zabrał aptekę, wojenne zapasy i znaczną

liczbę jeńców. W dwa dni później, pod Follari, z garstką ludzi pobił korpus księcia de Saxe, wziął 3000 jeńców i 12 dział, za co został mianowany generałem brygady. Pobici na wszystkich punktach, szczególniej pod Nepi i Civita Castellana, zaczęli się Neapolitańczycy cofać ku Gaëcie. Potężna ta warownia, mająca dział 70 i 2000 załogi, mogła powstrzymać przez pewien czas pochód Francuzów, ale poddała się po pierwszych strzałach generałom Dąbrowskiemu i Reyowi, którzy z jednym batalionem polskim i kilkoma działami podstąpili pod mury twierdzy. Zdobyto przy tej sposobności na nieprzyjacielu wiele koni, a pod Mondragone zabrano stadninę królewską. Korzystając z tego, wyjednał Dąbrowski u naczelnego wodza pozwolenie na uformowanie pułku kawaleryi polskiej, który niebawem w sile 300 ludzi stanął na linii bojowej. Szefami szwadronów zostali: Eliasz Tremo, Biernacki i Berek Joselowicz, znany z dzielności oficer z czasów kościuszkowskiej insurrekcyi.

Po takich klęskach upadł nieprzyjaciel zupełnie na duchu, w obozie jego powstało zamięszanie, gromady półnagich lazaronów, wylęgłszy z Neapolu, wygrażały „zdrajcom“, generał Mack, niepewny życia wśród tej zgrai dzikiej, sam oddał się w ręce Francuzów, nazajutrz kapitulował Neapol, a na gruzach burbońskiej monarchii powstała rzeczpospolita partenopejska (w styczniu roku 1799.).

W całej tej kampanii brali udział zaszczytny Polacy. Zawsze w przedniej straży, lub staczając uciążliwe walki z bandytami i ruchawką ludową, znaczyli oni zwycięski pochód armii krwią najwaleczniejszych i najlepszych. Zginęli porucznicy: Gosławski, Zalewski, Krauze, Jałbrzykowski, Varelli padł w miasteczku Traetta, a dzielny Tremo zamordowany został w sposób barbarzyński przez dzikie chłopstwo neapolitańskie, ciężkie rany odnieśli kapitanowie Kosiński i Kochański, nie licząc strat w szeregowcach, pomiędzy którymi śmierć także obfite zbierała żniwo. W nagrodę za tyle poświęceń zlecił generał Championnet Kniaziewiczowi zaszczytną missyą do Paryża, wcelu ofiarowania dyrektoryatowi sztandarów, zdobytych na Neapolitańczykach. Zabrawszy ze sobą adjutantów swoich Drzewieckiego, Dąbrowskiego Jana (syna generała) i Kosseckiego ruszył generał w cywilnem ubraniu przez okolice, zbuntowane już przeciw Francuzom, w niebezpieczną podróż i po licznych przygodach przybył wreszcie szczęśliwie do stolicy. Po złożeniu oficyalnych wizyt udał się natychmiast do Kościuszki, aby w imieniu legionów złożyć mu szablę Sobieskiego, zabraną z Loretto, za co otrzymał w darze pałasz, jaki dał Naczelnikowi król szwedzki w Sztockholmie.

Uroczyste oddanie sztandarów odbyło się na dziedzińcu pałacu luksemburskiego dnia 8. marca 1799. roku w obecności Kościuszki i zaproszonych Polaków, ale mowy, jakie wypowiedzieli przy tej sposobności minister wojny i dyrektor Barras, przyniosły nowe tylko rozczarowania tułaczom. Ostrożność posunięto do tego stopnia, że nawet z przemówienia Kniaziewicza wykreślono ustępy, wyraźniej podnoszące sprawę polską. Próżny Barras, lubujący się w teatralnych effektach, nastrajając mowę swoją na wysoki — jak mu się zdawało — ton polityczny, miał odwagę powiedzieć do generała polskiego: „Powracaj do twych mężnych współbraci, którzy przenieśli wygnanie nad nie-

wolę i powiedz im, że rzeczpospolita przyjęła ich za dzieci swoje, a Francya będzie im ojczyzną". A więc ani słowa o Polsce, ani wzmianki o sprawie, dla której legioniści krew i życie nieśli w ofiarze, i to w chwili, gdy druga koalicya była już faktem dokonanym, gdy Suwarow na czele armii rosyjskiej szedł przywracać porządek na półwyspie apenińskim. Może być i przypuszczać nawet należy, że poza urzędowemi enuncyacyami robiono Polakom pewne obietnice i nadzieje, jak to jest zwyczajem dyplomacyi, inaczej bowiem trudnoby było wytłumaczyć sobie zachowanie Kościuszki, który — jakkolwiek niezadowolony z mowy Barrasa — pozostał w Paryżu i nie zaniechał dalszych swoich starań u rządu, lekceważącego zresztą życzenia Polaków. W głównej kwaterze legionów we Włoszech, gdzie wiedziano o bezskutecznych jak dotąd zabiegach Naczelnika, obudziła wiadomość o nieuniknionej już wojnie z Austryą — nadesłana przez generała Wielhorskiego — nowe nadzieje. Niezmordowany Dąbrowski wrócił do ulubionego planu swego wkroczenia przez Węgry do Polski i wysłał w tym celu do głównodowodzącego natenczas armią włoską generała Scherera adjutanta swego majora Zawadzkiego wraz z Wybickim, prosząc, aby legię i nowo utworzony pułk kawaleryi przyłączono do armii włoskiej. Scherer, który czuł się za słabym do pokonania 60-tysięcznej masy Kraya, przychylił się chętnie do życzenia Dąbrowskiego, ale zanim rozkaz jego doszedł do Serry, gdzie legia stała natenczas, zostali Francuzi pobici pod Weroną i pod Magnano i cofnęli się za rzekę Mincio. Wobec tego nie mogło być mowy o jakimś zwycięskim pochodzie w głąb krajów austryackich, przeciwnie trzeba było gotować się do krwawych zapasów z Austryakami i Moskalami o posiadanie półwyspu włoskiego. Druga koalicya bowiem, przygotowywana oddawna mozolnie, przyszła wreszcie do skutku. Paweł I. połączył się z Austryą i Anglią, aby przywrócić dawny porządek w środkowej Europie, położyć kres propagandzie rewolucyjnej, nowo powstałe republiki oddać prawowitym władcom, a rozzuchwaloną Francyą zamknąć w granicach z roku 1791. Dokonawszy tego dzieła, zamierzał car zabrać dla siebie Maltę, jako własność Zakonu maltańskiego, który go obrał wielkim mistrzem, a resztę zdobyczy rozdzielić pomiędzy sprzymierzeńców, oczywiście tak, jak to uzna za stosowne.

Związek z podobnym programem i na takich oparty podstawach nie mógł ani być trwałym, ani rokować wielkiego powodzenia, ale tak, jak rzeczy stały na początku wojny, przedstawiała koalicya ogromną potęgę, której Francya — osłabiona i ogołocona z najlepszych swoich generałów — zaledwie z trudnością oprzeć się zdoła. Jakoż pomimo pierwszych zwycięstw Maseny w Szwajcaryi okazało się, że ani nieudolny Scherer we Włoszech, ani o połowę od Austryaków słabszy Jourdan nad Renem, nie będą w stanie powstrzymać wojsk sprzymierzonych, któremi dowodził w Niemczech arcyksiąże Karol, a nad Padem Suwarow, niewątpliwie najzdolniejsi z pomiędzy generałów austryackich i rosyjskich. Nic dziwnego zatem, że Wybicki — przewidując nieszczęścia, jakie niebawem nastąpić miały — stracił do reszty nadzieję i zamiast do głównej kwatery Dąbrowskiego pojechał do Paryża, aby się oddać tam pracom naukowym. W roku następnym (1800) spotykamy go w Wrocła-

wiu, gdzie przez dwa lata zajmuje się wychowaniem swoich synów,[1]) a potem osiedla się z nimi na dłuższy czas w Dreźnie. Dąbrowski, wierny obowiązkom żołnierskim, które w tej chwili niebezpiecznej nie pozwalały opuszczać sztandaru, wytrwał na swojem stanowisku, a otrzymawszy od generała Macdonalda — dowodzącego armią neapolitańską — rozkaz połączenia się z Schererem, łudził się jeszcze zawsze nadzieją, że w ten sposób wykona plan pierwotny i przedrze się do Polski. Niestety! złudzenie trwało bardzo krótko. Legioniści zastali całą Toskanię w płomieniach. Ludność wiejska i miejska chwyciła za broń i pod dowództwem austryackich oficerów zagrażała Florencyi, podczas gdy wojska cesarskie, sforsowawszy słabo bronione przejścia w Apeninach, docierały do Spezzyi.

Bagnetami i szablą musieli więc nasi torować sobie drogę na północ; do poważniejszego starcia przyszło pod Arezzo, gdzie zginął dzielny pułkownik Chamant. Legioniści, rozwścieklenі śmiercią ukochanego wodza, wycięli w pień zbuntowaną ludność, a naczelnika ich porąbali w kawałki. Następne dnie minęły już spokojniej, ale od Padu nadbiegły hiobowe wieści o rozbiciu armii włoskiej i o oblężeniu przez Austryaków Mantuy, gdzie się znajdowała druga legia pod dowództwem Wielhorskiego i szef Aksamitowski z artyleryą.

Tymczasem naczelne dowództwo na północy objął po Schererze generał Moreau w chwili, gdy Suwarow z posiłkami rosyjskiemi i armią austryacką, wywracając po drodze niedobitki francuskie, szedł na Turyn i Alessandryą. Wódz francuski powołał więc na pomoc Macdonalda z Neapolu i ułożył plan skombinowany, którego celem ostatecznym było wziąć armię nieprzyjacielską we dwa ognie i znieść ją ze szczętem. Ażeby tego dokonać, miał Macdonald od Apenin a Moreau od Alessandryi równocześnie zaatakować Moskali i Austryaków. Stosownie do tego planu polecono Dąbrowskiemu opanować wyjścia z gór apenińskich, wiodące na dolinę lombardzką. Wsparty dywizyą francuską Merlina, po krwawych walkach pod Borghetto, Ulla i Montelongo, wykonał generał w zupełności rozkaz Macdonalda, zabierając przytem nieprzyjacielowi 6 dział, 600 jeńców i wielkie zapasy żywności w Pontremoli. W ślad za legią polską wysunęła się z wąwozów apenińskich armia Macdonalda od strony Modeny i całe wojsko ruszyło na Placencyą przeciw nieprzyjacielowi, na którego równocześnie miał uderzyć od Alessandryi Moreau. Ale zaledwie dywizya Dąbrowskiego przeprawiła się przez Trebię, kiedy Suwarow — pędząc bez wytchnienia pułki swoje naprzód — zaatakował Polaków całą swoją potęgą.

Plan, obmyślany przez generała Moreau, nie udał się, wódz rosyjski bowiem — nie troszcząc się wcale o to, co na tyłach jego wojska się dzieje — postanowił, zanim Moreau nadciągnie, zetrzeć Macdonalda, a potem rozprawić się z armią włoską. W ten sposób wywiązała się trzydniowa nadzwyczaj krwawa bitwa nad Trebią, skończona ostatecznie porażką Francuzów. Legia polska, w pierwszym walcząca ogniu i zemstą przeciw zdobywcy Pragi zapa-

[1]) Niestety w tem miejscu jest luka w ciekawych „Pamiętnikach Wybickiego“; brakuje mianowicie opisu wypadków od roku 1796. do 1802., chociaż — jak z wzmianki samego autora wnosić można — praca jego obejmowała i ten okres.

lona, dzielnie stawiła czoło nieprzyjacielowi i krwawe zadała mu ciosy, ale i sama też dotkliwe poniosła straty. Dąbrowski lekko ranny miał dwa konie pod sobą skaleczone i ocalenie swoje zawdzięczał walecznym grenadyerom, którzy otoczonego już przez strzelców nieprzyjacielskich odbili. Z szeregów ubyło 1500 ludzi zabitych, rannych lub wziętych do niewoli.

Klęski, jakie wojska republikańskie ponosiły w Niemczech i we Włoszech, wywołały wielkie niezadowolenie w Paryżu. Powszechnie, a nie bez słuszności obwiniano obecnych dyrektorów o nieudolność, o trwonienie pieniędzy, o zaniedbanie spraw wojskowych; stronnictwo radykalne wystąpiło z energiczną przeciw rządowi opozycyą i dokonało wreszcie zmiany dotychczasowego systemu. Jednym z dyrektorów został Siéyes, dotąd ambasador w Berlinie, uchodzący za bardzo zdolnego polityka, tekę ministra wojny objął generał Bernadotte, który natychmiast z wielką skwapliwością zabrał się do pomnożenia sił zbrojnych i do podniesienia ducha w wojsku przygnębionem ostatniemi niepowodzeniami.

Naczelne dowództwo nad armią włoską otrzymał generał Joubert. Polecono mu nieprzyjaciela pobić, Alessandryą i Mantuę od oblężenia uwolnić. Rozkazy były stanowczo spóźnione, bo dnia 23. lipca poddała się Austryakom Alessandrya, a w tydzień potem podpisał nieudolny i nikczemny generał Foissac-Latour kapitulacyę Mantuy, oddając tajemnym artykułem zbiegów z wojska cesarskiego — służących w legii polskiej — wojskowym władzom austryackim. Taki los zgotowano legionistom, którzy po bohatersku bronili twierdzy, a teraz wystawieni byli na najsroższe prześladowania. Szef Aksamitowski odprowadził z całej załogi mantuańskiej zaledwie 150 legionistów do Lyonu; Wielhorskiego i Kosińskiego internowano jako jeńców wojennych w Leoben. Mając teraz do rozporządzenia całą armię Kraya, który oblęgał Mantuę, postanowił Suwarow zgromadzić wszystkie siły, wyprzeć wojsko republikańskie z riwiery genueńskiej i wojnę przenieść do Francyi. W chwili jednak, kiedy zabierał się do wykonania tego planu, gromadził żywność, skupywał muły i ściągał zewsząd swoje korpusy, nadjechał do głównej kwatery francuskiej Joubert i — nie wiedząc nic o upadku Mantuy — zamierzył jak najprędzej twierdzy tej iść na odsiecz i stojącego mu w drodze Suwarowa rozgromić. Zebrawszy więc tyle wojska, ile miał pod ręką w przekonaniu, że nieprzyjaciel z 10-ma zaledwie tysiącami stoi nad Bormidą, ruszył on śmiało naprzód, rozbił przednią straż rosyjską i — utwierdzony tem powodzeniem w swoich domysłach — zajął warowne z natury stanowisko na stokach Apenin, pod Novi. Tu jednak dnia 15. sierpnia uderzył na niego całą swoją potęgą (50.000 ludzi) Suwarow połączony z Krayem. Wywiązała się w ten sposób bitwa niezmiernie krwawa, trwająca godzin 14. Na samym początku walki zginął Joubert, ugodzony śmiertelnie kulą karabinową, dowództwo po nim objął obecny jeszcze w głównej kwaterze Moreau, ale wobec liczebnej przewagi nieprzyjaciela i on długo na pozycyi utrzymać się nie mógł. Nad wieczorem armia francuska złamana cofała się w zupełnym popłochu i tylko usiłowaniom Dąbrowskiego, który nadszedł właśnie ze swoją dywizyą, jakoteż zapadającej nocy mieli republikanie zawdzięczać swoje ocalenie.

Szczęściem dla Francuzów nastąpiło w tej chwili pewne naprężenie stosunków pomiędzy Suwarowem a dworem wiedeńskim z jednej strony i pomiędzy Nelsonem i admirałem rosyjskim Uszakowem, zdobywającym Maltę dla cara Pawła, z drugiej strony i skutkiem tego mógł Moreau, leniwie ścigany, utrzymać się i obwarować należycie w Apeninach i w Genui aż do przybycia Championneta, który objął po Joubercie dowództwo.

Wśród tego legiony, zdziesiątkowane w boju, bose, obdarte i głodne, w opłakanym prawdziwie znajdywały się stanie. Podobnie jak legia pierwsza pod Dąbrowskim, tak i legia druga, którą dowodził Wielhorski, poniosła dotkliwe straty. We wszystkich bitwach, stoczonych przez Suwarowa od Magnano począwszy, Polacy bądź w przedniej straży, bądź zasłaniając odwrót, bili się z podziwienia godną odwagą. Toż nic dziwnego, że z szeregów ubyło 1000 ludzi, że najdzielniejsi oficerowie śmiercią okupili sławę legionów. Zginął nieodżałowany generał Rymkiewicz, szef batalionu Lipczyński, 70-letni starzec pułkownik Darewski, dawny konfederat barski, resztki legionu poszły na załogę do Mantuy, gdzie je czekał los stokroć smutniejszy. Wypadło więc przystąpić do reorganizacyi i uzupełnienia przetrzebionych szeregów. Udawał się w tym celu do dyrektoryatu Kościuszko z prośbą, aby legią z linii bojowej wycofano i dano jej możność wytchnienia i nabrania sił nowych, ale rząd francuski ówczesny okazał się obojętnym na los Polaków; majorowie Konopka i Biernacki, wysłani do Paryża, donosili Dąbrowskiemu, że „nie myślano tam wcale o nas, ani o losie naszym przyszłym“. W jednym tylko względzie stało się zadość życzeniom Naczelnika: dyrektoryat przyjął plan utworzenia nowej legii polskiej nad Renem i powierzył dowództwo nad nią generałowi Kniaziewiczowi. Ale postanowienie to istniało na papierze, do wykonania brakowało środków i dobrej woli ze strony tych, co pogrążywszy w nieszczęście republikę, sami siebie ratować nie umieli. W tej chwili, groźnej dla Francyi zarówno jak i dla legionów, powrócił z Egiptu Bonaparte i wylądował w porcie Frejus dnia 9. października 1799. roku. Poprzedzony sławą odniesionego świeżo pod Abukirem nad Turkami zwycięstwa, otoczony aureolą wielkich czynów wojennych, owiany czarem wschodu, zjawiał on się nagle wśród społeczeństwa rozerwanego i przygnębionego jak zbawca, przez Opatrzność zesłany dla ocalenia Francyi, dla przywrócenia ładu i porządku. O właściwych jego zamiarach nie można było wątpić.

Opuściwszy samowolnie stanowisko, jakie mu w Egipcie powierzono, porzuciwszy wojsko, którem dowodził, bez zapytania władzy najwyższej, przybywał do Francyi jako zdeklarowany przeciwnik rządu, jako buntownik i rewolucyonista przeciw całemu ówczesnemu systemowi. „Coście zrobili z tej Francyi? — mówił — zostawiłem ją zwycięską, zbogaconą milionami, zebranemi we Włoszech, obecnie zastaję ubóstwo i klęski“. Słowa te zawierały surową wprawdzie, ale zupełnie zasłużoną krytykę działalności dyrektoryatu. Tak jak Bonaparte sądziła ogromna większość Francuzów i tem tłumaczy się powodzenie, z jakiem Napoleon wykonał zamach stanu dnia 10. listopada roku 1799. W chwili, kiedy grenadyerzy rozpędzili bagnetami radę pięciuset w St. Cloud, wyrastał na gruzach republiki napoleoński cezaryzm. Kształt nowego

rządu, który powierzono trzem konsulom, miał tylko pozory republikańskie. Po pierwszej sesyi spostrzegł Siéyes, że Francya ma pana i mistrza, bo Bonaparte może i chce rządzić sam. Od początku też zagarnął on całą władzę w swoje ręce i stał się w istocie pierwszym konsulem, zanim mu tę godność na lat dziesięć przyznano.

Nic dziwnego zatem, że tak jak społeczeństwo francuskie i Polacy także widzieli w tym nowym władcy, który legiony powołał do życia i tak życzliwie o sprawie polskiej się wyrażał, swego naturalnego opiekuna. Walcząc bez wytchnienia, dawał żołnierz polski bezustannie dowody niezrównanej odwagi i poświęcenia. Po odejściu Suwarowa do Szwajcaryi toczyła się dalej zawzięta walka o posiadanie nad Włochami. Legioniści brali w niej żywy udział. Pod Bosco i w drugiej bitwie pod Novi męstwu żołnierza polskiego zawdzięczali Francuzi w znacznej części zwycięstwa swoje i tryumfy. W pierwszej z tych bitew wzięli legioniści cztery armaty i 600 jeńców; Dąbrowski, odcinając pałaszem lont kanonierowi austryackiemu, cudem niemal uszedł śmierci, ocaliła go książka, o którą się oparła kula nieprzyjacielska. Pod Novi, po zawziętej walce na bagnety, zabrali legioniści dwa działa i — zmusiwszy piechotę austryacką do ucieczki — odzyskali stracone z początku pozycye.

Wśród tej krwawej pracy topniały coraz bardziej szeregi polskie, dokuczał głód straszliwy, nawalne śniegi i uciążliwe marsze po skalistych górach narażały ludzi na śmierć i niebezpieczeństwa, nędza i niezadowolenie były powszechne. Znękani legioniści wystosowali więc pismo do Dąbrowskiego, w którem — przedstawiwszy opłakane położenie swoje — wzywali go, aby udał się do Paryża i tam u Bonapartego i u ministra wojny Berthiera, przychylnego Polakom, wyjednał pozwolenie i środki na zreorganizowanie legii. Zdawszy dowództwo naczelne generałowi Jabłonowskiemu, wyjechał Dąbrowski natychmiast z Genuy i razem z Kniaziewiczem i Kościuszką przedsięwziął stosowne kroki u rządu.

Wspomnieliśmy już o zabiegach Naczelnika. Dążąc do pomnożenia zbrojnych sił polskich pod sztandarami francuskiemi, uczynił on projekt utworzenia legionów batawskich i helweckich na żołdzie rzeczypospolitej holenderskiej i szwajcarskiej. Kiedy jednakże Holendrzy z obawy przed Rosyą na formacyę tego rodzaju zgodzić się nie chcieli, postanowił dyrektoryat, leniwy w wykonaniu śmielszych planów, ograniczyć się do utworzenia legii naddunajskiej, ale równocześnie wcielić do niej legie włoskie. W ten sposób zamiast powiększyć, zmniejszano właściwie korpusy polskie i wyrządzano nawet szkodę samej Francyi, dając możność nieprzyjacielowi przerzucenia pułków polskich do Włoch, gdzie — po zwinięciu legionów — ustawała obawa dezercyi.

Wszystkie te argumenta przedstawił teraz Kościuszko w obszernem piśmie pierwszemu konsulowi i — wykazawszy korzyści, jakie Francya uzyskać może z pomnożenia legionów — polecił mu gorąco Dąbrowskiego i Kniaziewicza, którzy oczekują stanowczej w tym względzie odpowiedzi.[1]) Interwencya

[1]) Kraushar Aleksander: „Nieznane listy Tadeusza Kościuszki w sprawie legionów“ „Kwartalnik historyczny“, rocznik XII, str. 310.

Naczelnika odniosła skutek pożądany. Napoleon, oceniając należycie usługi, jakie oddali armii francuskiej legioniści we Włoszech, wystosował list pełen uznania do Dąbrowskiego[1]) i przychylił się w zupełności prawie do słusznych żądań Polaków. Legia, zgromadzona w Marsylii, miała się składać odtąd z siedmiu batalionów piechoty i jednego batalionu artyleryi pod nazwą: „Pierwsza legia polska“, miała pobierać żołd ze skarbu rzeczypospolitej francuskiej, ranni żołnierze otrzymywali takie same prawa, jak inwalidzi francuscy. Pułk kawaleryi polskiej przydzielono do armii reńskiej i oddano pod dowództwo Kniaziewicza, oficerów polskich zaś rozesłano do zakładów, gdzie się znajdowali jeńcy austryaccy i rosyjscy wcelu werbunku.[2]) Tak pojechał pułkownik Grabiński, który świeżo wrócił z Egiptu, do Dijon, major Konopka i kapitan Komierowski do Lille.

Dzięki tym postanowieniom pierwszego konsula i zabiegom polskich oficerów postępowała reorganizacya legionów raźnie. Rząd cyzalpiński dostarczał mundurów i broni, skarb francuski wypłacał żołd, ochotników niebrakło, z niewoli austryackiej powracali jeńcy, zabrani przy kapitulacyi Mantuy i w nieszczęśliwych potyczkach włoskich, szeregi zapełniały się i dnia 19. października 1800. roku wyruszył Dąbrowski na linię bojową w 4400 ludzi, z jedną kompanią artyleryi, podczas gdy w Medyolanie pozostał Wielhorski z Kosińskim dla dokompletowania trzech batalionów i trzech kompanij artyleryi.

Z większemi trudnościami musiał walczyć Kniaziewicz, formujący legię naddunajską w Strassburgu. Tak jak niegdyś przeciw Dąbrowskiemu, tak teraz przeciw niemu powstały pokątne intrygi, które — wyzyskując niezadowolenie głodnych i obdartych żołnierzy — zmierzały do usunięcia od dowództwa naczelnego Kniaziewicza.

Niecną tę robotę prowadził Aleksander Różniecki, smutnej pamięci kreatura wielkiego księcia Konstantego w Warszawie w epoce królestwa kongresowego, wówczas szef szwadronu. On to pod pozorem, że Kniaziewicz działa opieszale, zaniósł przeciw niemu do generała Moreau prośbę, podpisaną nieopatrznie przez kilku obałamuconych oficerów polskich. Moreau przesłał to pismo Kniaziewiczowi z poleceniem, aby malkontentów ukarał, ale generał — zgromadziwszy wszystkich oficerów — podarł w ich oczach prośbę, wyrażając jedynie żal, że pomiędzy oskarzycielami znalazł imiona i takich kolegów, na których przyjaźń z ufnością liczył. Dotknięty do żywego temi słowy pułkownik Gawroński, szef sztabu legii, odebrał sobie życie, skoczywszy w fale Renu; Różniecki wyszedł cało.[3])

Wojna tymczasem miała się ku końcowi; koalicya, utworzona z takim trudem i o tak rozległym programie, była rozbita doszczętnie. Nieporozumienia pomiędzy Suwarowem a gabinetem wiedeńskim, egoizm angielski i zaborcze plany Austryi we Włoszech wywołały w Petersburgu niechęć i oburzenie. Car, drażliwy niezmiernie i przerzucający się łatwo z jednej ostateczności do

[1]) „Pamiętniki Dąbrowskiego“, str. 222.

[2]) „Pamiętniki Dąbrowskiego“, str. 123.

[3]) Br. Zalewski: „Życiorys Karola Kniaziewicza“ w „Roczniku Towarzystwa historyczno-literackiego“ w Paryżu za rok 1866., str. 40.

drugiej, był obrażony do najwyższego stopnia postępowaniem swoich sprzymierzeńców. Niedopuszczono go do zajęcia Malty, chociaż był wielkim mistrzem zakonu Joannitów; w Ankonie, którą zdobyły właściwie wojska rosyjskie i tureckie, usunięto sztandar moskiewski, aby zatknąć natomiast austryacki, żołnierzy rosyjskich, biorących udział w nieszczęśliwej wyprawie holenderskiej, odesłano gdzieś na wyspę Jersey i morzono tam głodem, a gabinet wiedeński oświadczał teraz wręcz, że nie myśli wcale o restytucyi króla sardyńskiego, lecz uważa prowincye zdobyte we Włoszech jako przedmiot wynagrodzenia dla siebie za tyle ofiar i kosztów, poniesionych w wojnie francuskiej. Tak na każdym kroku starano się widocznie wpływ rosyjski usunąć i słuszne wymagania gabinetu petersburskiego traktować z lekceważeniem, chociaż wszystkie powodzenia swoje zawdzięczała koalicya posiłkom rosyjskim, dzielności Suwarowa i poświęceniu carskiej armii. Rozgoryczenie, wywołane temi wiadomościami, podniecały co chwila raporta zagniewanego na Austryą Suwarowa, a ostatecznie klęska Korsakowa pod Zürich (dnia 24. września 1799. roku) przyspieszyła katastrofę, od dłuższego czasu już wiszącą niejako w powietrzu. W miesiąc później oznajmił Paweł I. cesarzowi Franciszkowi, że zrywa przymierze z Austryą i odwołał Suwarowa; równocześnie prawie nadszedł do Thuguta telegram, donoszący o powrocie Bonapartego z Egiptu. Przez chwilę zdawało się jeszcze, że car, zmienny w swoich postanowieniach, powróci do dawnych planów. Wojska rosyjskie zatrzymały się w Czechach, Paweł gotów był pozostać w koalicyi, byle tylko cesarz usunął Thuguta, którego uważał za głównego sprawcę wszystkich nieporozumień, kiedy jednakże list jego w tej myśli pisany, w Wiedniu poprostu rzucono do kosza, a Austrya w ściślejszy jeszcze sojusz weszła z Anglikami, zerwały się ostatnie nici, łączące koalicyą i w marcu roku 1800. oświadczył Paweł I., że nie weźmie udziału w dalszej wojnie z Francyą. Taki stan rzeczy zastał Bonaparte, gdy po zamachu dnia 10. listopada stanął u steru rządu. Szczęśliwa gwiazda, która wiodła statek jego przez morze Śródziemne, pokryte angielskiemi okrętami, zdawała się teraz rozpraszać chmury, niedawno jeszcze ciążące nad Francyą.

Zwycięstwo Masseny nad Korsakowem podniosło ducha armii republikańskiej, na miejscu przedsiębiorczego i gwałtownego Suwarowa objął we Włoszech naczelne dowództwo zgrzybiały i powolny Melas, koalicya była rozbita, car Paweł zniechęcony do wojny, zagniewany na Austryą, zawzięty na Anglików, w polityce nieobliczalny, snuł już nowe plany, z Prusami odnowił dawne traktaty z epoki Fryderyka II. i Fryderyka Wilhelma, mocarstwa północne wzywał do związku przeciw wszechwładzy angielskiej na morzu. Niepodobna było, stojąc u góry i wnikając w tajniki gabinetów, zmian tych nie dostrzedz, a dostrzegłszy z pomyślnych okoliczności nieskorzystać. Uczynił to Napoleon zręcznie i skutecznie.

Prusakom, którzy natychmiast po zamachu stanu zgłosili się do niego, ofiarując pośrednictwo swoje w sprawie pogodzenia Francyi z Rosyą, odpowiedział grzecznie lecz stanowczo, że żąda, aby gabinet berliński nie opierał się odstąpieniu posiadłości niemieckich na lewym brzegu Renu, a znając chciwość pruską, natrącił zarazem o wynagrodzeniu, na które Prusy oddawna spe-

kulowały. Tak — zarzuciwszy ponętę w Berlinie — zaczął pracować nad pozyskaniem cara. Uwolnił więc wspaniałomyślnie jeńców rosyjskich, wziętych w bitwie pod Zürich i pod Castricum, ubrał ich i uzbroił i ofiarował Pawłowi Maltę, którą wtenczas blokowali Anglicy. Car był zachwycony. Wyprawił do Francyi jednego z generałów swoich, aby objął dowództwo nad wypuszczonymi z niewoli żołnierzami i poprowadził ich na Maltę, wrazie zaś, gdyby Anglicy zajęciu wyspy się sprzeciwiali, groził wojną.

Wśród tego odbyła się słynna wyprawa włoska Napoleona. Drogą, wskazaną niegdyś przez Hannibala, przeprowadził on wojsko swoje na niziny lombardzkie i dnia 14. czerwca 1800. roku odniósł niespodziewane a świetne nad Austryakami zwycięstwo pod Marengo, wskutek czego całe Włochy północne aż do Mincionu dostały się w ręce Francuzów. Pod świeżem wrażeniem tego niesłychanego powodzenia dojrzewały szybko plany rosyjskie. Prusy, niezdecydowane dotąd, przyjęły w zasadzie projekt konwencyi, proponowany przez Pawła I. i przy końcu roku 1800. stanęło rzeczywiście przymierze pomiędzy Rosyą, Prusami, Danią i Szwecyą w celu obrony państw neutralnych przeciw nadużyciom angielskim. Z całej koalicyi pozostały tak na polu walki tylko Anglia i Austrya, obie osłabione i pragnące pokoju. Nie był mu przeciwnym także Bonaparte. Zwycięstwo pod Marengo i szybkie postępy generała Moreau, który po kilku szczęśliwych potyczkach dotarł aż do Innu, zadowolniły ambicyą osobistą pierwszego konsula i przywróciły sławę oręża francuskiego, zachwianą dawniejszemi niepowodzeniami. Obecnie więc nie miał i Napoleon powodu pragnąć dalszego krwi rozlewu, owszem wiedział dobrze, że Francya potrzebuje pokoju, że od pogodzenia się z Anglią zależy los armii egipskiej i oblężonej w La Valette załogi i dlatego zgadzał się chętnie na kongres w Luneville pod warunkiem, że Anglicy wezmą w nim udział i że tymczasem przyzwolą na zawieszenie broni i na zaopatrzenie w żywność załogi maltańskiej i żołnierzy, pozostałych nad Nilem. Na tem jednakże rozbiły się rokowania. Wysłany do Paryża, a następnie do Luneville, pełnomocnik austryacki Cobenzl nie mógł nic uzyskać i wojna rozpoczęła się na nowo, tym razem w Niemczech. Gabinet wiedeński, korzystając z kilkumiesięcznego rozejmu, pomnożył siły zbrojne nad Innem, naczelne dowództwo objął nominalnie 16-letni arcyksiąże Jan, któremu na szefa sztabu dodano generała Lauera. Po pierwszej szczęśliwej utarczce pod Ampfing ruszyła (dnia 3. grudnia) cała armia austryacką przez lesiste wąwozy pod Hohenlinden, aby nieprzyjaciela — jak mniemano — cofającego się i zdemoralizowanego dopędzić i znieść ze szczętem. Moreau z główną swoją siłą oczekiwał nieprzyjaciela u wyjścia z lasów pod wsią Hohenlinden, a dwie dywizye pod dowództwem generałów Richepense i Decaen wysłał do Mattenbett, aby obeszły armią austryacką i z tyłu na nią uderzyły. Od ruchu tego, któremu największe trudności stały na przeszkodzie, zależał los bitwy i ocalenie wojska francuskiego. Richepense, śmiały i odważny oficer, wykonał wprawdzie rozkaz sobie polecony, ale w drodze napadnięty przez przeważające siły nieprzyjacielskie nie byłby osiągnął zamierzonego celu, gdyby mu w najkrytyczniejszej chwili nie przybył w pomoc z legią polską Kniaziewicz. On to, uderzywszy bez namysłu na nieprzyjaciela,

oswobodził dywizyę Richepensa i — walcząc „z niewzruszoną wytrwałością“ aż do zmierzchu — dał czas Francuzom do wykonania ataku z góry ułożonego. To też Moreau przypisywał słusznie zwycięstwo pod Hohenlinden „najwyższemu męstwu i doświadczonym talentom“ Kniaziewicza i kiedy powracającemu w Strassburgu kobiety ofiarowały wieniec, on — wskazując na obecnego Kniaziewicza — oddał mu połowę, jako jednemu z głównych uczestników sławy i zasługi.

Klęska Austryaków pod Hohenlinden i zwycięskie postępy generała Brune we Włoszech, gdzie nieudolny Bellegarde rychło za Adygę został wyparty, obudziły w Polakach nowe nadzieje. Tak Dąbrowski, zdobywający Peschierę a następnie oblęgający Mantuę, jak i Kniaziewicz, który z przednią strażą dotarł aż w okolice Wiednia, sądzili, że teraz nadeszła chwila ziszczenia ich planów i marzeń dawniejszych. Szczyty Kahlenbergu, majaczące w dali i kamień, wmurowany na pamiątkę zwycięstwa wiedeńskiego w opactwie kremsmünsterskiem, unosiły myśl legionistów ku stronom rodzinnym, Dąbrowski, spoglądając na sine wody Adryatyku, czekał tylko na sposobność wtargnięcia do krajów słowiańskich, aby tamtędy utorować sobie drogę do Galicyi i podać rękę legii naddunajskiej, przez Czechy i Morawią dążącej do kraju. W tej myśli pisał on też do pierwszego konsula w miesiąc po bitwie pod Marengo, wysyłał do Paryża Wybickiego i Zajączka, ale wszystko napróżno! Polityka francuska, pilnując własnych swoich interesów, nie myślała ich narażać dla sprawy polskiej. Kto tak jak Bonaparte potrzebował poparcia Rosyi i Prus, ten nie mógł wzniecać powstania w austryackim zaborze i kończącą się wojnę rozpalać na nowo dla odbudowania niepodległej Polski.

Czekał więc legionistów zawód nowy i bolesny, ale nieunikniony. W trzy tygodnie po bitwie pod Hohenlinden (dnia 25. grudnia) zawarto zawieszenie broni i rozpoczęły się traktaty w Luneville, wśród najpomyślniejszych dla Francyi warunków.

Potęga Austryi była stanowczo złamana, panowanie Anglii na morzu, zagrożone przez związek mocarstw północnych i nienawiść Pawła I., który — rozdrażniony ponownie opanowaniem Malty przez Anglików — kazał skonfiskować wszystkie okręty angielskie, znajdujące się w portach rosyjskich i tem samem wypowiedział wojnę dumnym a bezwzględnym wyspiarzom. Dla Napoleona nastręczała się tak dogodna sposobność do zupełnego pokonania lub przynajmniej do upokorzenia śmiertelnego wroga. Zawrzeć z Austryą pokój, a potem razem z carem i jego sprzymierzeńcami uderzyć na Anglików, to było marzenie zbyt ponętne, aby mu się mógł oprzeć człowiek tak ambitny, jak pierwszy konsul. W takiej kombinacyi jednak nie było miejsca dla Polski i dlatego dziwić się nie można, że traktat lunewillski, podpisany dnia 9. lutego 1801. roku, nie wspominał ani słowa o Polakach i że w kilka miesięcy potem spotkała ich nowa, równie niemiła niespodzianka — ścisłe porozumienie pomiędzy Rosyą a Francyą. Wynikało ono z ogólnego systemu politycznego, jakim się kierował Bonaparte. Skupiwszy władzę naczelną w swojem ręku, okryty sławą świeżo odniesionych zwycięstw, snuł on już w wyniosłej duszy swojej wielkie światowładne zamiary, marzył o koronie cesarskiej, o połą-

czeniu ludów romańskich pod swojem berłem, o rozciągnięciu potężnych wpływów swoich na rozbitą i upokorzoną Rzeszą niemiecką. Do wykonania tych planów, obejmujących niemal całą Europę, potrzebował on kilku lat spokojnych, potrzebował sprzymierzeńca równie potężnego, obdarzonego także pewnym zasobem ambicyi i żądnego zaborów. Takim sprzymierzeńcem mogła być tylko Rosya, gdzie po tragicznym zgonie Pawła I. (23. marca 1801. roku) zasiadł na tronie carów Aleksander I., wychowany pod tchnieniem wielkiej rewolucyi, przejęty jej wzniosłemi hasłami i w młodzieńczem sercu swojem noszący się z mglistemi zamiarami uszczęśliwienia ludzkości w roli Anioła pokoju, jak go rzeczywiście później nazywano. Ten młody i niedoświadczony władca olbrzymiego państwa, nie pragnący wawrzynów wojennych, był jakby stworzonym na wspólnika dla genialnego, przebiegłego i bezwzględnego Korsykanina, a młody świat słowiański, połączony z romańskim zachodem i wykwintną jego cywilizacyą, wydawał się granitową podstawą dla światowładnych zamiarów nowożytnego Cezara. Podział Europy na dwie sfery: francusko-romańską i rosyjsko-słowiańską, to myśl, która powstała w duszy pierwszego konsula, a skonała dopiero na zgliszczach spalonej Moskwy. Na gruncie rasowym oparta, zwracała się ona przeciw germańskiemu żywiołowi, rozbijała Niemcy i Austryą, aby następnie całą potęgą uderzyć na znienawidzoną Anglią i na gruzach tej nowożytnej Kartaginy zatknąć sztandar europejskiego dualizmu, powiewający od stóp Uralu aż po słupy Herkulesa. Wobec tak olbrzymich planów, które jakkolwiek nie występują nigdzie konkretnie, to jednak z toku polityki napoleońskiej snadnie wysnuć się dają, stawała się sprawa polska oczywiście kwestyą podrzędną. Bonaparte cenił Polaków jako dzielnych żołnierzy, ale dla sympatyj polskich nie myślał poświęcać ani wielkich swoich zamiarów, ani — jak mniemał — żywotnych interesów Francyi.

Ścisłe porozumienie i związek z Rosyą były możliwe tylko wtedy, gdy Francya zaniecha polityki swojej, jaką od roku 1794. prowadziła względem Polaków. Bonaparte nie miał w tej mierze zobowiązań, sam ostrzegał niegdyś tułaczy polskich, aby nie dali się bałamucić dyplomatom i na własnej tylko polegali sile; zasady republikańskie były obojętne dla tego, co na gruzach rzeczypospolitej zakładał fundamenta nowożytnego cesarstwa; skrupułów sumienia nie znał i nie uznawał, kierowała nim bowiem ambicya i interes własny, bo rozumiał, że egoizm jest podstawą polityki. Z takiego założenia wychodząc, rozpoczął układy z Aleksandrem I. i ukończył je w krótkim czasie pomyślnie. Dnia 8. i 11. października podpisano dwa traktaty; pierwszy zawierał artykuł następujący:

„Każdy poddany państw kontrahujących, który, bawiąc w granicach jednego państwa, czyni zamachy na bezpieczeństwo drugiego, będzie natychmiast wydalony i odstawiony do granicy, bez możności odwołania się do opieki swojego rządu.“

Zastrzeżenie to było wymierzone z jednej strony przeciw Burbonom i emigrantom francuskim, zostającym pod opieką Rosyi, z drugiej strony przeciw Polakom, walczącym pod sztandarami republikańskiemi. I jedni i drudzy mogli wprawdzie korzystać z praw gościnności, jakiej im udzielono, ale mu-

sieli się powstrzymać nadal od wszelkiego działania politycznego na szkodę Francyi lub Rosyi. Drugi traktat zajmował się przeobrażeniem Niemiec, pogodzeniem republiki z Portą ottomańską i sprawami włoskiemi. Król neapolitański, jako sprzymierzeniec cara, miał odzyskać swoje posiadłości, królowi sardyńskiemu przyrzekano zwrócić część zabranych krajów; car obowiązywał się pośredniczyć przy zawarciu pokoju pomiędzy Francyą a Turkami; z wysp jońskich tworzono osobną republikę.

W ten sposób zamyślano położyć kres dziesięcioletniej prawie krwawej wojnie i na potężnem przymierzu francusko-rosyjskiem ugruntować trwały pokój, obejmujący całą Europę. Okoliczności zdawały się sprzyjać temu zamiarowi. Pitt, najzawziętszy przeciwnik republikańskiej Francyi, poróżnił się z królem Jerzym III. w sprawie zniesienia ustaw, ograniczających prawa polityczne katolików i ustąpił z ministerstwa, z drugiej strony śmierć nagła Pawła I. uwalniała Anglików od niebezpieczeństw, jakie im groziły z północy. Nowy car zrzekł się wszelkich pretensyj do wyspy Malty i na tej podstawie przyszło do porozumienia pomiędzy Rosyą i Wielką Brytanią. Następca Pitta, Addington, człowiek miernych zdolności, nie łaknący sławy wojennej, był od początku pokojowo usposobiony. Wielkie wydatki na flotę, zawikłania w Irlandyi i okupacya Hanoweru przez Prusaków, dokonana pod naciskiem gabinetu petersburskiego za życia Pawła, utrudniały niezmiernie położenie Anglii, zwycięskiej wprawdzie na morzu, ale odczuwającej dotkliwie ciężar długoletniej wojny. Nic naturalniejszego zatem, jak, że gabinet londyński już w marcu roku 1801. zbliżył się do Francyi, a spotkawszy w Paryżu równie pokojowe usposobienie, przystąpił natychmiast do traktatów, które zakończyły się pomyślnie podpisaniem punktów przedugodowych w Londynie (dnia 1. października 1801. roku) i uroczyście zawartym pokojem w Amiens (dnia 27. marca 1802. roku.

Wśród objawów najwyższej radości, z jaką cała Europa przyjęła wiadomość o powszechnej pacyfikacyi, garstka tułaczy polskich, pozbawiona ojczyzny i zawiedziona w nadziejach swoich, tłumiła z trudnością tylko krzyk rozpaczy, z zbolałej wydobywający się piersi. Niewtajemniczeni w zakulisową robotę dyplomatyczną, czuli oni mimoto, że zbliża się chwila rozstrzygająca dla Polski. Na dwa dni przed zawarciem rozejmu z Austryą (dnia 23. grudnia 1800. roku) pisał Kniaziewicz do generała Moreau list, w którym żywo odbija się zaniepokojenie o los legionów i przyszłość ojczyzny. „Gdyby pokój powszechny — tak się wyrażał — nie miał zmienić losu Polski, jakież prawo miałbym szafować krwią współziomków moich w sprawie, któraby nie była sprawą ich ojczyzny? Zaiste, słuszniebym wtenczas zasłużył na nazwę najemnika.“ Odpowiedź mało zawierała nadziei. Moreau oświadczył, że list oddał pierwszemu konsulowi, gdyż on „jeden wśród negocyacyj ogólnych może mówić o sprawie waszej i ją popierać“.

Wypadało zatem udać się do Paryża, aby tam, u źródła, zasięgnąć wiadomości o stanie układów. W Paryżu zastał Kniaziewicz zmianę zupełną. Bonaparte był już w najściślejszych stosunkach z Rosyą, w pokoju lunewillskim nie wspomniano ani słowa o Polsce i Polakach, a senator Garat

w rozmowach z Kościuszką, Kniaziewiczem i Barsem podsuwał myśl wskrzeszenia królestwa polskiego przez cara Pawła, co Naczelnik z oburzeniem odrzucił. Na tem skończyły się właściwie pogadanki o sprawie polskiej, układy poszły swoim torem; w październiku roku 1801. stanęło owo porozumienie francusko-rosyjskie, które było wyrokiem śmierci dla legionów. Zachodziło teraz pytanie, co zrobić z tem wojskiem polskiem, wynoszącem 15.000 ludzi,[1]) pozbawionem możności powrotu do kraju, a jednak zasłużonem, dzielnem i pokładającem dotąd nieograniczone niemal zaufanie we Francuzach? Plan Dąbrowskiego, przedłożony na początku r. 1802. pierwszemu konsulowi w Lyonie, a mający na celu zdobycie przez Polaków wysp jońskich i Morei, był w tych warunkach oczywiście niepodobnym do wykonania i świadczy tylko o tem, jak niedokładnie byli obznajomieni Polacy, nawet wysokie zajmujący stanowiska, z stanem politycznym Europy i z międzynarodowymi układami; pozostawienie legionów w służbie francuskiej sprzeciwiało się wprost warunkom przymierza rosyjskiego. Bonaparte użył więc innego środka. Dla przypodobania się dworowi hiszpańskiemu, z którym Francya w najściślejszych zostawała stosunkach, utworzono wtedy — na mocy traktatu lunewillskiego — królestwo Etruryi z stolicą we Florencyi i przeznaczono je księciu Ludwikowi i infantce Maryi Ludwice. Właściwie podlegało to państewko zupełnie Francuzom i generał Murat, mianowany naczelnym wodzem armii włoskiej, miał także komendę w Etruryi i główną kwaterę we Florencyi. Pod jego rozkazy oddano też legię polską Dąbrowskiego i naddunajską Kniaziewicza i przeznaczono tę ostatnią do służby w garnizonach etruryjskich. Nie można zaprzeczyć, że władze francuskie przy tej sposobności okazywały wiele względów Polakom, że oficerom polskim dawano posady korzystne, na których można było żyć wygodnie i bogacić się kosztem mieszkańców, jak to czynili zwyczajnie Francuzi. Ale jakież znaczenie mogły mieć dostatki i zaszczyty dla tych, co — poświęciwszy życie i mienie sprawie narodowej — widzieli się teraz zawiedzeni w najmilszych swoich nadziejach? Z obrońców wolności i niepodległości ojczyzny stawali się oni nagle prostymi żołdakami, mieli służyć obcej sprawie, podtrzymywać bagnetami swojemi wątły tron hiszpańskiego dynasty, wzniesiony na ziemi włoskiej z pobudek czysto politycznych, nie mających najmniejszego związku z zasadami republikańskiemi i z odrodzeniem Polski. Łatwo pojąć zatem, że pomiędzy starszyzną legionów powstało wielkie oburzenie, że Kniaziewicz — pomimo pochlebnego nadzwyczaj listu ministra wojny Berthiera — wziął dymisyą, że wszyscy oficerowie legii naddunajskiej z Fiszerem na czele postanowili pójść za jego przykładem. Uznając w zupełności szlachetne pobudki, które doświadczonych patryotów do rozpaczliwego tego kroku skłaniały, sądzimy jednak, że obowiązkiem ich było wytrwać na stanowiskach, jakie zajmowali. Wymagała tego poświęcenia zarówno sprawa narodowa jak i względy, które byli winni towarzyszom broni. Wobec niepewnego położenia politycznego można było bowiem każdej chwili nowych oczekiwać

[1]) Taką liczbę podaje Dąbrowski w „Pamiętnikach“. — Schnürr-Pepłowski („Dzieje legionów“, str. 172) podaje 12.725 ludzi.

zawikłań i pomyślniejszych dla Polski widoków, a wtedy legiony, chociażby nawet służące chwilowo królowi Etruryi, stawały się w myśl pierwotnego swego przeznaczenia, zawiązkiem armii polskiej i najwymowniejszą, bo zbrojną reprezentacyą pokrzywdzonego narodu. Opuszczając chwałą okryte sztandary, zrzekali się tem samem najlepsi patryoci możności skutecznego popierania sprawy narodowej i rzucali towarzyszów broni na pastwę niepewnych losów, zdawali ich na łaskę obcej władzy. Tak też — a nie inaczej — zapatrywał się na położenie legionów Kniaziewicz, kiedy odwodząc Fiszera od dymisyi zalecał, aby „tych nieszczęśliwych ofiar cnotliwi oficerowie nie opuszczali“ i nie oddawali zupełnie w ręce jurgieltników.

Rozsądne zdanie generała, znanego z patryotyzmu, odniosło skutek pożądany i jakkolwiek rozkazem z dnia 21. grudnia 1801. roku rozwiązano pierwszą legią polską i utworzono z niej dwie półbrygady piechoty, to reorganizacya ta odbyła się pod kierunkiem Polaków: pułkownika Grabińskiego i podpułkowników Chłopickiego, Małachowskiego, Jasińskiego i Zawadzkiego. Oni to razem z Dąbrowskim wstrzymali legionistów od prawdziwie szalonego zamiaru opierania się z bronią w ręku rozporządzeniom władz francuskich. Jazdę pod dowództwem Różnieckiego przydzielono do wojsk rzeczypospolitej cyzalpińskiej. Smutniejszy los o wiele spotkał legią naddunajską, osieroconą z dowódzcy, skutkiem dymisyi generała Kniaziewicza.

Po zawarciu pokoju w Amiens odzyskała Francya pewną swobodę na morzu i zwróciła uwagę swoją na posiadłości zaatlantyckie, mianowicie na wyspę San Domingo (Haiti), gdzie przebiegły i odważny wódz murzynów Toussaint Louverture, wypędziwszy Anglików i udając przyjaciela republiki, zamierzał utworzyć państwo niezawisłe i tę ważną osadę od Francyi oderwać. Na jego wniosek uchwalił rzeczywiście sejm, zgromadzony w San Domingo w roku 1801., niepodległość wyspy narazie pod protektoratem francuskim. Utrata tak ważnej posiadłości nie mogła być oczywiście obojętną dla Francuzów, których osady zamorskie dostały się po większej części podczas wojny w moc Anglików. Pierwszy konsul zatem, nie dając się łudzić pozorem uległości, jaką mu okazywał „pierwszy z murzynów“, wyprawił natychmiast na San Domingo 27.000 wyborowego wojska pod dowództwem szwagra swego generała Leclerca, w celu przywrócenia zwierzchnictwa francuskiego nad „perłą Antyllów“. Z początku powiodło się Francuzom rzeczywiście stłumić bunt murzynów, Toussaint został wywieziony do Europy i umarł w więzieniu w twierdzy Joux, prawdopodobnie uduszony lub otruty, w roku 1803. Niebawem jednak nadużycia i okrucieństwa generałów francuskich, jakoteż głuche wieści o przywróceniu handlu niewolnikami i niewoli murzynów, wywołały groźne powstanie, którego strasznym sprzymierzeńcem była żółta febra, zmiatająca gromadnie przybyszów. Ażeby zapełnić luki w szeregach powstałe i pozbyć się niewygodnych w tej chwili dla pierwszego konsula Polaków, wysłano na San Domingo większą część legii naddunajskiej. Eskortowani do portów przez wojska francuskie, ruszyli ci straceńcy polscy na bezpowrotną za morze wyprawę, ażeby ujarzmiać murzynów i krew dla ojczyzny poświęconą za obcą przelewać sprawę. Jest to niewątpliwie jedna z smutniejszych kart naszej hi-

storyi porozbiorowej, nie przynosząca zaszczytu ani Napoleonowi, ani Francuzom....

Wysłani na zagładę legioniści padli po większej części ofiarą zabójczego klimatu, lub okrucieństwa murzynów, drobna cząstka zaledwie wróciła w roku 1805. do Europy, 800 jęczało do roku 1809. na pontonach angielskich, niektórzy zaś pozostali na San Domingo, gdzie jeszcze dotąd mają być rodziny, noszące nazwiska polskie.

Napoleon.

Z oficerów, którzy z godnem uznania poświęceniem dzielili losy żołnierzy, nieliczni zaledwie ujrzeli strony rodzinne. Umarł generał Władysław Jabłonowski, towarzysz Napoleona w szkole wojskowej w Brienne, pomarli wkrótce po nim: szef batalionu Bolesta, kapitanowie Osękowski i Rembowski i ofierowie: Sadowski, Krzycki i Wodzinowski; szef Jasiński odebrał sobie życie, inni zginęli od kul nieprzyjacielskich, wszyscy jako wierni synowie Polski, jako obrońcy wolności i niepodległości narodu, który imiona ich na zawsze w wdzięcznej powinien zachować pamięci.

Książe Adam Czartoryski, jego plany i pożyteczna dla kraju działalność. — Czacki. — Koalicya z roku 1805. Kiedy tak w portach włoskich i na skalistych wyspach Atlantyku tragicznie kończyła się jedyna w swoim rodzaju epopeja legionów, odbywał się równocześnie na dalekim wschodzie zwrot dla sprawy polskiej pomyślny, powstawały kombinacye polityczne, rokujące ujarzmionemu narodowi lepszą cokolwiek przyszłość. Dziwnym zbiegiem okoliczności wynikała ta zmiana nie tyle z systemu politycznego, co z przypadkowego zetknięcia się dwóch ludzi młodych, różnych wprawdzie pochodzeniem i stanowiskiem społecznem, lecz przejętych podobnemi zasadami, marzących o uszczęśliwieniu ludzkości i o spełnieniu wielkiego posłannictwa względem swoich narodów. Na szarem tle codziennego życia było to zjawisko niezwykłe. Wielkie hasła rewolucyi francuskiej święciły tryumf niespodziewany w głównej twierdzy despotyzmu i absolutnej władzy; nad brzegami Newy — tam, skąd rozlegały się pierwsze nawoływania do nowożytnej krucyaty przeciw republikanom i Jakobinizmowi — głosił młody „samodzierżca Rosyi“ zasady wolności narodów i w sielankowo nastrojonej duszy snuł marzenia o spokojnem życiu ziemiańskiem, dla którego wtedy gotów był poświęcić koronę najrozleglejszego państwa w Europie.[1]) Towarzyszem i powiernikiem tych młodzieńczych porywów wielkiego księcia i następcy tronu Aleksandra był książe Adam Czartoryski. Przykra i upokarzająca podróż jego do Petersburga i pobyt na dworze Katarzyny, a następnie Pawła I., miały wywrzeć wpływ potężny na losy Polski, a po części i na kierunek polityki rosyjskiej w pierwszych latach XIX. wieku. Po całym szeregu audyencyj u wszechwładnego Zubowa i innych gwiazd dworskich odzyskali nareszcie Czartoryscy zagrabiony rodzicom majątek, ale zarazem musieli wstąpić do służby wojskowej, Adam do gwardyi konnej, a brat jego do gwardyi pieszej, pułku izmaiłowskiego. Na tem stanowisku czekały ich nowe zaszczyty; w roku 1796. podczas noworocznych awansów zostali mianowani kamerjunkrami samej imperatorowej i weszli skutkiem tego w ściślejszy związek z dworem i z całem otoczeniem Katarzyny. Obowiązków nie mieli prawie żadnych. „Być oficerem gwardyi — pisze w pamiętnikach swoich książe Adam — a przytem kawalerem u dworu, t. j. kamerjunkrem albo szambelanem, było to być najzupełniejszym próżniakiem“. Na próżnowaniu schodził im też ten pobyt w Petersburgu. Brali udział w uroczystościach dworskich, bywali na szlichtadach, koncertach, przedstawieniach teatralnych, asystowali carowej, gdy wieczorem grała w karty w sali „dyamentowej“, lub jeździli w święta i niedziele do Carskiego Sioła, aby się pokazać — jak zwyczaj chciał — przy gotowalni Zubowa. Wśród tego jednostajnego i jednostajnością swoją nużącego życia nawiązywały się jednak same z siebie stosunki towarzyskie, tak, że wkrótce obaj młodzi Polacy na salonach petersburskich nadzwyczajne mieli powodzenie. Okoliczność ta, na pozór drobna i błaha, nie była bez znaczenia w świecie, gdzie opinia salonów wywierała wpływ pewien na politykę. Stanowisko Czartoryskich wśród arystokracyi rosyjskiej usposobiło też łagodniej cokolwiek względem nich Katarzynę.

---

[1]) Porów. „Pamiętniki księcia Adama Czartoryskiego“.

Licząc się z temi sympatyami, a przytem — pragnąc może pozyskać sobie potomków tak starożytnej i wpływowej w Polsce rodziny — spoglądała ona coraz łaskawszem okiem na obu braci i wciągała ich do zabaw towarzyskich w gronie rodziny carskiej. W ten sposób zaznajomili się oni bliżej z synami Pawła, Aleksandrem i młodszym bratem jego Konstantym.

Pierwszy z nich, 18-letni natenczas, był szczególniejszem zjawiskiem na dworze carskiem. Wychowany przez Francuza La Harpe'a, człowieka obdarzonego niepospolitym rozumem, energią woli i siłą charakteru, przejął on się zasadami swojego mistrza i — nieposiadając przytem gruntownego wykształcenia w żadnym kierunku, a umysł wrażliwy i skłonny do młodzieńczych porywów — stał się w tym okresie życia idealistą, marzącym o uszczęśliwieniu ludzkości, wielbicielem republiki, wrogiem despotyzmu i wszelkiej niesprawiedliwości. Dziś, kiedy zazwyczaj każdy następca tronu bywa wielce wolnomyślnym, nie byłyby zapatrywania Aleksandra niczem nadzwyczajnem. Na schyłku XVIII. wieku panowały jednak pod tym względem inne stosunki. Legitymizm, oburzony straceniem Ludwika XVI. i wybrykami Jakobinów, uważał za najświętszy swój obowiązek wywrócenie republiki i przykładne ukaranie królobójców, a pomiędzy książętami krwi królewskiej nie znamy w tym czasie ani jednego, któryby się ośmielił inne pod tym względem mieć zdanie. Wnuk Katarzyny i syn Pawła, wychowany w zgniłej atmosferze petersburskiego dworu, należał do wyjątków. „Opinie jego były opiniami studenta z roku 1789., który pragnąłby widzieć wszędzie rzeczypospolite i tę formę rządu uważa za jedynie odpowiadającą pragnieniom i prawom rodzaju ludzkiego“.[1])

Nic dziwnego więc, że ten książe, otoczony bezmyślnemi kreaturami dworskiemi, mając za towarzysza brata o wiele niższego od siebie pod względem umysłowym, a nadto oddanego niskim instynktom, uczuł pociąg i sympatyą do młodego Polaka, którego uważał za ofiarę despotyzmu babki i krzyczącej niesprawiedliwości. Zbliżyć się do niego, uczynić go powiernikiem swoich uczuć, może nawet doradcą w wykonaniu marzycielskich zamiarów, to były powody, skłaniające Aleksandra do ściślejszych z księciem Adamem stosunków. Nawiązał on je na schadzce umówionej w ogrodzie Taurydzkiego pałacu i tam natychmiast bez przygotowań i wstępów obszernych odsłonił przed zdumionym tą szczerością wygnańcem tajniki swych uczuć i przekonań politycznych. „Powiedział mianowicie, że niepodzielał wcale pojęć i doktryn gabinetu i dworu; że dalekim jest od pochwalania polityki swojej babki; że jej zasady potępia; że najlepsze nosił w duszy życzenia dla Polski podczas pełnej chwały jej walki; że ubolewa nad jej upadkiem, że Kościuszko w jego oczach jest wielkim człowiekiem przez swoje czyny i przez sprawę, której bronił, i która jest sprawą ludzkości i sprawiedliwości. Wyznał, iż nienawidzi despotyzmu wszędzie, w jakikolwiek on sposób się objawiał; że miłuje wolność, że ona się wszystkim ludziom zarówno należy; że rewolucya francuska zajmuje go jak najmocniej i że — ubolewając nad jej straszliwemi zboczeniami — życzy powodzenia rzeczypospolitej i z niego się cieszy“.[2])

[1]) „Pamiętniki księcia Adama Czartoryskiego“.

[2]) „Pamiętniki księcia Adama Czartoryskiego“ (u Zaleskiego), str. 351.

Po tem wyznaniu, jak na wiek Aleksandra i towarzyszące stosunkom okoliczności, niewątpliwie szczerem, zaczęła się idylla jedyna może w swoim rodzaju. Na dalekich przechadzkach, lub przy wieczerzy w najściślejszem kółku rozwijał wielki książe przed nowym swoim przyjacielem plany i zamiary, które pragnął wykonać, skoro dojdzie do władzy, a przypuściwszy żonę (wielką księżnę Elżbietę) do tajemnicy, utworzył jakby rodzaj związku wolnomularskiego, mającego przekształcić despotyczne carstwo w państwo o podstawach wolnomyślnych i sprawiedliwych.

Wielki książe Konstanty, naśladując we wszystkiem starszego brata, wciągnął do swego zaufania młodszego Czartoryskiego i tak obaj zakładnicy stali się nieodłącznymi towarzyszami tych, w których rękach spocząć miały losy ujarzmionej Polski.

Książe Adam, jakkolwiek młody jeszcze — miał wtedy lat 27 — czuł jednak dobrze wielką doniosłość owych przyjacielskich z następcą tronu rosyjskiego stosunków. Wychowany w politycznych tradycyach rodziny, która długo na pomocy petersburskiego dworu nadzieje swoje opierała i przejęty gorącą chęcią służenia ojczyźnie, mniemał on, że przez ścisłą przyjaźń z Aleksandrem będzie mógł dla sprawy narodowej wiele zdziałać dobrego, a przynajmniej złagodzić ten system ucisku i prześladowania, który pomimo pewnej przychylności Pawła I. ciężył jeszcze zawsze na ziemiach zabranych. Nie kierowały nim przytem względy osobiste, nie żądał zaszczytów ani godności, nie przyjmował pensyj i orderów, pociągało go jedno tylko: szczere i serdeczne niemal przywiązanie do tego księcia, pełnego zasad wzniosłych, a otoczonego rzeszą służalców, którzy szlachetnych jego zamiarów nie pojmowali i przywykli do absolutnych rządów, zakrzepli w starej rutynie, systemowi nowemu nieprzełamane musieli stawiać przeszkody. To uczucie, naturalne zresztą i zrozumiałe, przetrwało wszystkie późniejsze zawody i rozczarowania. W późnym wieku, spisując swoje pamiętniki, stara się książe Adam usprawiedliwić z zarzutu, jaki mu pod tym względem czyniono nieraz, broni Aleksandra przed strasznem podejrzeniem udziału w spisku na życie ojca i ocenia trafnie usposobienie przyjaciela, gdy mówi: „Aleksander w szlachetnym swoim charakterze miał zawsze coś niewieściego ze wszystkiemi miłemi, dobremi, ale też i ujemnemi tego następstwami“.

Z tego założenia wychodząc i patrząc na świat praktycznie, mniemał Czartoryski, że należy wcześnie zakrzątnąć się około utworzenia stronnictwa postępowego wśród Rosyan i pomyśleć o przysposobieniu ludzi, którzyby młodemu cesarzowi pomagać mogli w urzeczywistnieniu jego niezwykłych zamiarów. Fantastyczne i gwałtowne rządy Pawła wznieciły wśród arystokracyi i sfer urzędniczych rosyjskich jak największe niezadowolenie; wszyscy byli znużeni trwogą i strachem nieustannym, a od czasu, gdy cesarzowa utraciła wpływ dawniejszy na męża, skutkiem intryg kamerdynera a niebawnie hrabiego Kutajsowa, stan ten stał się wprost nieznośnym. W roku 1798. było jeszcze cokolwiek inaczej, ale bystry spostrzegacz mógł już przewidzieć następstwa tych rządów srogich, pozbawionych wytkniętego celu i systemu. Czy książe Adam przenikał te skutki? nie wiemy; to pewna, że wkrótce wtajemni-

czył w zamiary Aleksandra rodzinę Strogonowów, z którą utrzymywał przyjazne stosunki. Hr. Strogonow, liberalny w poglądach i krytykujący surowo nadużycia, popełnione za czasów Katarzyny, miał mimoto szczególniejsze u imperatorowej zachowanie. Syn jego Paweł wychowywał się w Paryżu, przejął się tam zasadami republikańskiemi i należał nawet do klubu Jakobinów. Ojciec, wiedząc na jakie niebezpieczeństwa narażona jest przez to cała rodzina, dołożył wszelkich starań, aby młodego zapaleńca wyrwać z objęć rewolucyonistów. W tym celu użył on młodego Nowosilcowa, który był — jak się wyraża Czartoryski — wychowańcem i protegowanym rodziny, a jak z innej strony wiemy, nieprawym synem Strogonowa.[1]) Wysłany do Paryża, sprowadził on hr. Pawła do Rosyi i tem zjednał sobie jeszcze bardziej względy familii całej, a że był człowiekiem niewątpliwie zdolnym i wielce wykształconym, chociaż zarazem przebiegłym, chciwym władzy i przewrotnym, więc — skoro go przypuszczono do tajemniczych narad — spostrzegł wnet, jakie stąd mogą dla niego wyniknąć korzyści i do tego zastosował swoje postępowania. Kiedy bowiem Czartoryski, w najlepszej działając wierze, zalecił Aleksandrowi obu swoich przyjaciół i podczas uroczystości koronacyjnych w Moskwie pierwsza odbyła się schadzka, wystąpił Nowosilcow z memoryałem, w którym treściwie i zwięźle podawał rady młodemu księciu, mającemu wstąpić na tron i tem przedstawieniem rzeczy jasnem — chociaż treść była zapożyczona z dzieł francuskich — zwrócił na siebie odrazu uwagę wielkiego księcia i zjednał sobie jego przychylność. Od tego dnia młody Strogonow i Nowosilcow zostali przypuszczani do „spółki“; książe Adam mimowolnie stał się przyczyną największych nieszczęść, jakie w niedalekiej przyszłości spaść miały na jego ojczyznę. W owym czasie nikt tego zapewne nieprzewidywał, ale z góry można było przypuścić, że car rosyjski prędzej da się powodować Rosyaninowi czystej krwi, zwłaszcza tak przebiegłemu jak Nowosilcow, niż szlachetnemu wprawdzie, lecz cokolwiek miękkiemu Polakowi, obarczonemu nadto pierworodnym grzechem czynnego protestu przeciw zaborczej polityce caratu. Już pierwsze kroki „spółki“, utworzonej w Moskwie, przyniosły niepospolite korzyści Nowosilcowi. Uznano, że jest on zanadto źle widzianym przez policyą, wystarano się więc dla niego za pośrednictwem hr. Roztopczyna (ministra wojny) o paszport i wysłano go do Anglii, gdzie — przyjęty uprzejmie przez ambasadora rosyjskiego Worońcowa — przebył cały czas panowania Pawła, miał sposobność dokończyć swego wykształcenia i nawiązać stosunki, które później największe oddały mu usługi.

Czartoryscy pozostali w Petersburgu u boku wielkich książąt, z początku traktowani przez cara łaskawie, następnie z coraz to większą nieufnością. Byli oni obecni przy śmierci Stanisława Augusta (2. lutego 1798. roku), przy złożeniu zwłok jego w kościele Dominikanów, gdzie ten król po upokarzającym na dworze rosyjskim pobycie wieczny znalazł spoczynek, brali udział w podróżach carskich, w fantastycznych uroczystościach, które Paweł wyprawiał po przyjęciu godności wielkiego mistrza zakonu maltańskiego, byli świadkami

[1]) „Pamiętniki hr. Anny Potockiej“.

wreszcie tych zmian nagłych, jakie na dworze się wydarzyły skutkiem intryg Kutajsowa i miłosnych stosunków cara z Łopuchinówną. Odtąd horyzont jasny począł się zaciemniać.

Wojna z Francuzami, gdzie i legioniści polscy walczyli, ściągnęła niechęć i podejrzenia na Czartoryskich, a przyjaźń ich z wielkimi książętami obudziła łatwo zrozumiałą zazdrość i zawiść w kołach dworskich. Opinia dotąd łaskawa dla obu braci zwróciła się przeciw nim. Panin nazywał księcia Adama z przekąsem „Sarmatą“, Denisow — ten sam, którego Kościuszko pobił pod Racławicami — po każdem zwycięstwie Suwarowa we Włoszech powtarzał im złośliwie, że Rosya jest niezwyciężona, car sam podejrzywał ich o jakobinizm, wreszcie nagle — jak to było jego zwyczajem — wysłał księcia Adama do Włoch, przeznaczając go na posła przy dworze sardyńskim. Niełaska ta, mająca pozory łaski, trwała do końca panowania Pawła. Przybywszy do Włoch przy końcu roku 1799., spędził książe Adam cały rok następny bądź we Florencyi, gdzie król sardyński wtedy rezydował, bądź w Rzymie, a ostatecznie w Neapolu. Tam doszedł go list Aleksandra, donoszący o śmierci Pawła i wzywający w serdecznych wyrazach do natychmiastowego powrotu.

Katastrofa ta nastąpiła w nocy z 23. na 24. marca 1801. roku. Spisek, uknuty zręcznie przez hr. Pahlena (gubernatora petersburskiego), znalazł poparcie skuteczne w Paninie, który posłował na dworze pruskim, później był powołany do departamentu spraw zagranicznych w Petersburgu, wreszcie — tak jak wielu innych — został usunięty i skazany na mieszkanie w Moskwie. On to pierwszy siłą argumentów i wymowy przekonał Aleksandra, że dla dobra Rosyi jest koniecznem Pawła zmusić do abdykacyi, a Pahlen dokonał reszty. Mając tak przyzwolenie następcy tronu, który, w naiwności swojej, katastrofy nie przypuszczał, zwołali spiskowcy pod rozmaitemi pozorami niezadowolonych do stolicy i tu na uczcie u księcia Zubowa, gdy szampan lejący się strugami rozgrzał umysły, wyjawili zebranym właściwe swoje zamiary. Nawpół pijani, niektórzy chwiejący się już na nogach, ruszyli wszyscy dwoma gromadami do świeżo wybudowanego pałacu Michajłowskiego, gdzie Paweł założył swoją rezydencyą. Straż, oddana pod dowództwo wtajemniczonych w spisek oficerów, nie stawiała oporu, sprzysiężeni wdarli się więc do pokojów carskich i — wyciągnąwszy z ukrycia drżącego z przestrachu cesarza — zmusili go najpierw do podpisania aktu abdykacyjnego, a następnie w sposób prawdziwie barbarzyński zamordowali. Około godziny pierwszej w nocy Mikołaj Zubow, rozczochrany, winem i świeżo popełnioną zbrodnią pijany, zapukał do pokojów Aleksandra i stanąwszy przed nim wyrzekł ochrypłym głosem: „Wszystko spełnione“. Od tej chwili, t. j. od dnia 24. marca 1801. roku, zasiadł na tronie rosyjskim Aleksander I. Jedną z pierwszych jego czynności było przywołanie do Petersburga księcia Adama Czartoryskiego.

Książe zastał cesarza w stanie wielkiego rozdrażnienia, niemal w rozpaczy. Zaprowadziwszy przyjaciela do gabinetu swego, rzekł: „Dobrze, że przyjechałeś, nasi wyglądają cię niecierpliwie. Gdybyś był tutaj, nic nie stałoby się z tego wszystkiego; mając ciebie przy sobie, nigdybym się w taki sposób

pociągnąć nie dał.“ Słowa te dowodziły, że Aleksander niezachwiane jeszcze w Czartoryskim pokładał zaufanie, że go uważał poniekąd za swego Anioła stróża i wyżej stawiał od innych. Jakoż rzeczywiście stanowisko księcia Adama było tego rodzaju, że nawet taki Waleryan Zubow u niego szukał protekcyi.

Aleksander znajdował się z początku w trudnem niezmiernie położeniu wobec morderców ojca. Przyzwoliwszy właściwie na złożenie Pawła z tronu, nie mógł on występować w roli mściciela, a poczuwając się do winy, stracił swobodę działania i popadł w zupełną od spiskowców zawisłość. Trwało to tak długo, aż generał Bekleszew, człowiek prosty lecz sprawiedliwy i energiczny, zostawszy głównym prokuratorem, dodał carowi otuchy i skłonił go do surowego względem winnych postępowania. Natychmiast też rozkazano Pahlenowi wyjechać z Petersburga na wieś, Bennigsen utracił generał-gubernatorstwo litewskie, a Paninowi odebrano tekę spraw zagranicznych. Oswobodziwszy się tak od nieproszonych mentorów i odprawiwszy koronacyą w Moskwie, zajął się Aleksander zorganizowaniem władz najwyższych, ustanowił ministerstwa i na towarzysza ministra spraw zagranicznych, podeszłego w latach księcia Worońcowa, powołał księcia Adama Czartoryskiego. W chwili więc, kiedy dla walczących pod sztandarami republikańskiemi legionistów wszelkie znikały nadzieje, a pokój lunewillski zamykał na długo możność podniesienia sprawy polskiej, stawał u steru rządu w Petersburgu Polak, gorącym ożywiony patryotyzmem, osobisty przyjaciel cara, władającego całą wschodnio-południową częścią Rzeczypospolitej, otwierały się dla narodu polskiego widoki wprawdzie nie odzyskania bytu politycznego, ale złagodzenia systemu i swobodniejszego cokolwiek rozwoju.

Stanowisko ministra w każdym rządzie zaborczym jest dla Polaka, nie wyzutego z uczuć patryotycznych, niezmiernie trudnem i drażliwem. Obowiązek urzędowy każe mu przedewszystkiem bronić i pilnować interesów państwa, które nie zawsze dadzą się pogodzić z interesami narodowemi, podczas gdy spełnienie słusznych nawet życzeń rodaków naraża go na zarzut stronniczego i dla monarchii szkodliwego traktowania spraw publicznych. Wynikają stąd kolizye obowiązków, podejrzenia z jednej i z drugiej strony, kończące się zwyczajnie potępieniem człowieka, mającego nieraz najlepsze zamiary. Wśród społeczeństwa, zgorżkniałego w niewoli i skłonnego do wydawania doraźnych wyroków, zjawisko tego rodzaju powtarza się często i często też bywa przyczyną klęsk i niepowodzeń narodowych.

Rozumiał to dobrze Czartoryski i — nie łudząc się wcale pozorami władzy, którą piastował — szukał na innej drodze sposobności służenia sprawie narodowej. Stosunki sprzyjały tym zamiarom. Podjęto właśnie wtedy reformę wychowania publicznego w Rosyi. Całe państwo podzielono na pięć okręgów naukowych, w których uniwersytety miały być ogniskami światła i edukacyi publicznej pod kierunkiem kuratorów, podlegających bezpośrednio ministerstwu oświaty. Dwie kuratorye w ziemiach polskich i ruskich dostały się Polakom. Kuratorem uniwersytetu charkowskiego został Seweryn Potocki, wileńskiego książe Adam Czartoryski. W ten sposób przeszły pod jego władzę wszystkie

szkoły publiczne w dziewięciu guberniach, należących do Polski i otworzyło się pole do urządzenia edukacyi w duchu narodowym, do przywrócenia dawnych świetnych tradycyj komisyi edukacyjnej, do wznowienia tego rozwoju umysłowego, który przerwały smutne wypadki ostatniego dziesięciolecia. Na całym obszarze ziem polskich znajdowało się natenczas wychowanie publiczne w prawdziwie opłakanym stanie; Galicya, niedotknięta wcale zbawiennymi reformami komisyi edukacyjnej, posiadała zaledwie kilka szkół średnich niemiecko-łacińskich, które kształciły nie obywateli, lecz kandydatów do biurokratycznej karyery; w Wielkopolsce i w całym zaborze pruskim traktowano wychowanie publiczne z widocznem lekceważeniem i zaniedbaniem. Szkoły nie były ani niemieckie ani polskie, a jedyną możność wyższego wykształcenia dawał uniwersytet w Frankfurcie nad Odrą (przeniesiony w roku 1810. do Berlina), gdzie nauki udzielane w języku niemieckim i niemieckie otoczenie były walnym środkiem wynarodowienia i germanizacyi.

Nie lepiej działo się i pod rządem rosyjskim. Brak jednolitego systemu, zawisłość szkół od rozmaitych władz i niedostateczne wykształcenie nauczycieli tamowały rozwój wychowania publicznego i obniżały raczej niż podnosiły poziom oświaty. „Jedne szkoły — czytamy w raporcie z roku 1804. — podległe były generał-gubernatorom i kancelaryi powszechnej opieki, drugie większemu lub mniejszemu wpływowi dyecezyalnych biskupów, trzecie naostatek własnemu urządzeniu zgromadzeń zakonnych, które jaki im się podobało przyjęły sposób uczenia. W każdej prawie gubernii był inny porządek szkolny“. W jednem miejscu uwalniano uczniów od łaciny, w innem od historyi lub geometryi, pozwalano wyjeżdżać podług upodobania, a posady nauczycielskie nadawano nie podług uzdolnienia lub zasługi, lecz z protekcyi, fantazyi, a nie rzadko za pieniądze. „Od owego czasu — tak pisał rektor ks. Strojnowski do kuratora — jak rząd guberński zawiadywał szkołami w gubernii mińskiej, nikt nie otrzymał miejsca bez pieniędzy“.

Podobnie jak szkoły średnie ucierpiał także uniwersytet wileński. Reforma wszechnic, podjęta przez komisyą edukacyjną, spotkała się wnet z największemi trudnościami, które zaledwie sejm czteroletni w znacznej części przełamać zdołał. Zaledwie jednak „wrócił się z prawami szkolny porządek i ożywiła się w publicznych nauczycielach gorliwość“, kiedy smutne wypadki roku 1792. dzieło komisyi edukacyjnej na nowe naraziły niebezpieczeństwa. Bezwstydna chciwość Targowiczan groziła rozdrapaniem całego funduszu szkolnego i dopiero za staraniem Poczobuta i Jana Śniadeckiego, jakoteż za wdaniem się Sieversa powiodło się odzyskać rozszarpane fundusze i znieść na sejmie grodzieńskim szkodliwe sancita konfederackie. Powstanie kościuszkowskie i trzeci rozbiór kraju pogrążyły sprawę wychowania publicznego w odmęt politycznych wypadków. Wśród ogólnego rozbicia niepodobna było myśleć o podniesieniu szkół i oświaty. Paweł I., zwiedzając Wilno i przypatrując się zbiorom naukowym, nagromadzonym zapobiegliwością ks. Poczobuta, zatwierdził byt i opatrzenie uniwersytetu wileńskiego, ale o zreorganizowaniu i podniesieniu tej starożytnej instytucyi nie pomyślał wcale. Owszem przy końcu jego panowania wszystko było już przygotowane do tego, aby

gmachy i zakłady akademickie w Wilnie oddać zgromadzeniu Jezuitów połockich,[1]) czemu znowu Poczobut jak najenergiczniej się sprzeciwiał. Śmierć Pawła przeszkodziła wykonaniu tych zamiarów, a z objęciem kuratoryi przez księcia Czartoryskiego nastały zarówno dla akademii jak i dla całego wychowania publicznego pomyślniejsze czasy.

Wśród takich warunków i na takiej podstawie, zniszczonej przez czas,

Berko Joselowicz
szef szwadronu; zginął pod Kockiem w roku 1809.
Podług obrazu Juliusza Kossaka.

ludzi i wypadki, przyszło Czartoryskiemu wznosić gmach oświaty narodowej, zakładać fundamenta edukacyi publicznej i odradzać społeczeństwo, zawisłe dotąd od kaprysów władzy i pozbawione wszelkiej inicyatywy w sprawach bezpośrednio je obchodzących.

---

[1]) Śniadecki Józef: „Żywot uczony i publiczny Marcina Odlanickiego-Poczobuta“, czytany na publicznem posiedzeniu wileńskiego uniwersytetu w roku 1810. Str. 94. Wydanie Turowskiego.

Zajęty obowiązkami swego urzędu, zmuszony do odbywania częstych podróży bądź w interesach publicznych, bądź też familijnych,[1]) nie mógłby był książe Adam podołać trudnemu swemu zadaniu, gdyby nie znalazł był poparcia w gorliwości obywatelskiej tych, co — pomni tradycyj wielkiego sejmu — zrozumieli doniosłość i znaczenie tak ważnej dla narodu zmiany. Do nich też zwrócił się Czartoryski, kiedy — zreformowawszy z ks. Hieronimem Strojnowskim i Janem Śniadeckim uniwersytet wileński w duchu ustaw komisyi edukacyjnej — powołał na wizytatora szkół w guberniach: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej Tadeusza Czackiego, i w liście pisanym z tego powodu nakreślił w ogólnych zarysach obowiązki, jakie względem wychowania publicznego spadały na wszystkich obywateli, gorliwych o dobro kraju i następnych pokoleń. „Wizyta JWP. — tak się wyrażał — potrafi skłonić niektórych majętnych obywatelów do naśladowania przykładów, jakie się często teraz w głębi Rosyi zdarzają, przez dobrowolne ofiary i składki na powiększenie funduszów edukacyjnych lub założenie i utrzymywanie szkół nowych i pensyonów. Jako współrodak nie chciałbym widzieć, ażeby prowincye polskie dały się przewyższeć w tej mierze“.

Czacki, urodzony dnia 28. sierpnia 1765. roku w Porycku, był synem podczaszego koronnego Szczęsnego, który — skutkiem opozycyi w sprawie dyssydenckiej w roku 1768. — był więziony przez długi czas przez Moskali w Brusiłowie, Brodach i Połonnem. Tadeusz, odznaczający się niepospolitemi zdolnościami i niezmierną żywością umysłu, brał od lat najwcześniejszych żywy udział w sprawach publicznych; w roku 1784., jako 19-letni młodzieniec, był członkiem sądów zadwornych koronnych i bawiąc w Warszawie, poświęcał cały czas wolny naukowym badaniom w bibliotece Załuskich pod kierunkiem Naruszewicza i Albertrandiego, najznakomitszych wtedy historyków i uczonych.[2]) Obdarzony z natury olbrzymią pamięcią, uzbierał on w ten sposób obfity zasób materyałów, które zużytkował następnie w dziełach prawniczo-historycznych, pełnych głębokiej erudycyi i bystrych spostrzeżeń. Narazie jednak nie było czasu do prac i badań naukowych. Powołany na członka komisyi skarbowej w roku 1786., poświęcił się Czacki zupełnie nowemu swemu zajęciu, objeżdżał prowincye ruskie w celu powściągnięcia nadużyć celników, wyszukiwał źródła solne, badał stosunki handlowe, wydał własnym nakładem (10.000 czerwonych złotych) mapę hidrograficzną Polski i Litwy, oddzielnie Dniestru i krzątał się z zapałem około wprowadzenia reform, czemu jednak smutny bieg wypadków krajowych przeszkodził. W sejmie czteroletnim udziału czynnego nie brał, do zwolenników konstytucyi majowej nie należał, ale — wykonawszy „przez rozsądek“ przysięgę — pozostał jej wiernym aż do końca i podczas Targowicy ustąpił z komisyi skarbowej.

Kościuszkowska insurrekcya ściągnęła na niego ciężkie prześladowania. Obwiniony o udział w powstaniu, utracił on Ostróg i klucz Brusiłowski i dopiero po wstąpieniu Pawła I. majętności te odzyskał. Wśród powszechnego

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“ (List do Aleksandra), t. II, str. 389.

[2]) Artykuł o Czackim w „Encyklopedyi Wychowawczej“ (t. III, Warszawa 1885) Piotra Chmielowskiego, jak dotąd, najlepsza praca w tym przedmiocie.

upadku ducha, jaki się objawiał na całym obszarze ziem polskich po roku 1795., należał Czacki do tych nielicznych jednostek, co wiary w przyszłość nie straciły, lecz w pracy obywatelskiej widziały jedyny skuteczny środek podniesienia i odrodzenia narodu. Kiedy więc jedni, w niemej pogrążeni rozpaczy, popadali w stan bezwładności i apatyi, gdy większość niestety w hucznych zabawach szukała zapomnienia przeszłości i z nowemi rządami do zgodnego układała się pożycia, Czacki, jako delegat województwa kijowskiego na uroczystość koronacyjną w Moskwie, wyjednywał u cara Pawła ulgi i ustępstwa dla swoich współziemian, zawiązywał razem z Albertrandim, Stanisławem Sołtykiem i Franciszkiem Ksawerym Dmóchowskim w roku 1800. „Towarzystwo przyjaciół nauk“ w Warszawie i tworzył (w roku 1802.) w spółce z Józefem Drzewieckim, Michałem Walickim i Sołtykiem „Towarzystwo handlowe“ dla nawiązania stosunków z zachodem przez Odessę, pisał swoją „Obronę Zygmunta Augusta“ i wydawał najcelniejsze dzieło swoje „O litewskich i polskich prawach“.

Nic dziwnego zatem, że Czartoryski zwrócił uwagę swoją na tego niezmordowanego pracownika i że nie doznał zawodu. Czacki, zwiedziwszy szkoły sobie powierzone, znalazł je w opłakanym stanie. „Szkoły zaborowskie — pisał do kuratora — są składem głupstwa, a włodzimierskie przybytkiem nędzy“. Ale te trudności nie zrażały go wcale. Radząc się prostego rozsądku i ucząc się ciągle, szukał on pomocy ludzi w zawodzie wychowania publicznego biegłych i na ich zdaniu doświadczonem opierał własne pomysły. Powrócił był wtedy po dziewięcioletniem więzieniu w Ołomuńcu do kraju Kołłątaj, odzyskawszy wolność wskutek interwencyi petersburskiego dworu, i osiedlił się w wiosce o milę od Krzemieńca położonej. Do niego więc udał się Czacki po radę i wskazówki, a Kołłątaj — jak zwykle chętny do pracy obywatelskiej — zajął się ułożeniem projektu urządzenia szkół we wszystkich trzech guberniach, podczas gdy sam wizytator zbierał fundusze potrzebne pomiędzy szlachtą i duchowieństwem. Owocem tej wspólnej pracy była tyle słynna później szkoła krzemieniecka, otworzona uroczyście dnia 1. października 1805. roku.

Wypadki roku 1806—1807. przerwały pożyteczną działalność Czackiego. Kazano mu wyjechać do Charkowa, następnie do Petersburga; Kołłątaja wywieziono do Moskwy.

Utworzenie księstwa Warszawskiego zwróciło umysły w inną stronę, czas więc i nam rozglądnąć się w zdarzeniach, które dla narodu polskiego pomyślniejszą zdawały się otwierać przyszłość.

W chwili, kiedy książe Czartoryski na usilne nalegania Aleksandra I. obejmował urząd pomocnika w ministerstwie spraw zagranicznych, znajdowała się cała Europa w stanie gorączkowego rozdrażnienia. Nadzieje, jakie przywiązywano do traktatu lunewillskiego i do pokoju w Amiens, rozwiały się wnet jak mgła poranna pod wrażeniem bezwzględnej i wyzywającej polityki Bonapartego. Nie troszcząc się wcale o zdanie mocarstw, niedawno jeszcze złączonych przeciw Francyi, urządzał on samowolnie stosunki na półwyspie włoskim. Rzeczpospolitą cyzalpińską, która d. 26. stycznia 1802. roku obrała

go swoim prezydentem, powiększył kosztem Sardynii, z Toskanii utworzył królestwo ertruryjskie, Szwajcaryą poddał zupełnie pod wpływ francuski, a gdy gabinet londyński mimoto gotów był uznać te zmiany, byle tylko królowi sardyńskiemu zapewnić jakieś wynagrodzenie, odrzucił Bonaparte tę propozycyą, skarżąc się równocześnie na poparcie, jakiego doznają w Anglii emigranci francuscy i opozycyjni biskupi. Poza temi pozornemi więcej niż rzeczywistemi przyczynami wzajemnej niechęci i nieufności krył się odwieczny antagonizm pomiędzy Francyą a Anglią.

Anglia, panująca na morzu, spoglądała z obawą i zazdrością na rosnącą potęgę rzeczypospolitej, obejmującą półwysep pirenejski i apeniński, sięgającą w głąb Niemiec, zagrażającą wybrzeżom północnego i bałtyckiego morza. Co taka moc, skupiona w rękach genialnego człowieka, zdziałać była w stanie, tego przewidzieć nikt nie zdołał. Sądząc z tego, co dotąd się stało wbrew woli całej Europy, należało się przygotować na wszystko w chwili, gdy ta Europa broń złożyła i warunki przez zwycięzcę narzucone przyjęła. Wszak w przeciągu lat siedmiu większa część kontynentu zmieniła swoją postać. Dwory burbońskie krążyły jak gwiazdy około nowego słońca, jaśniejącego na horyzoncie republikańskim, sędziwe cesarstwo niemieckie rozpadło się w gruzy, zniknęły potężne niegdyś elektorstwa duchowne, spadkiem po nich, opactwami bogatemi i dobrami kościelnemi, podzielili się faworyzowani przez Francyą i od niej zawiśli książęta niemieccy, większość w sejmie ratysbońskim stanowili odtąd protestanci, wpływ i powaga cesarza została złamana, miejsce cezarów germańskich zajął cezar rewolucyjny, potrząsający dumnie tradycyami Karola wielkiego, Napoleon I., od roku 1804. cesarz francuski. Przed majestatem nowego mocarza korzyli się w prochu drobni dynaści niemieccy: elektor badeński, wirtemberski i bawarski. Każdy z nich czuł się szczęśliwym, jeżeli podczas pobytu Bonapartego w Moguncyi był wezwanym do stołu cesarskiego. Mniejsi potentaci, jak książe darmstadzki, zadowalniali się zaproszeniem do marszałka dworu Duroca.

Opinia publiczna w Niemczech przyjmowała te zmiany z filozoficznem spokojem, a nawet z pewnem rodzajem zadowolenia. Goethe pisał właśnie swoją „Naturalną córkę“, Schiller, ogłaszający wtedy co prawda „Wilhelma Tella“ i „Dziewicę Orleańską“, rozprawiał z ojcem słynnego później Teodora Körnera o sztuce dramatycznej i estetyce, szary tłum cieszył się, że nowy system napoleoński powściągnął anarchią i w stosunkach społecznych zaprowadził ład i porządek, zamiast dotychczasowego bezrządu.

Inaczej zupełnie zapatrywały się na to położenie sfery dyplomatyczne. Gabinet wiedeński, który bez zastrzeżeń uznał cezaryzm napoleoński, czuł, że stanowisko Habsburgów w Niemczech jest zachwiane i szukał dla dynastyi oparcia w „krajach dziedzicznych“; cesarz Franciszek przybrał więc tytuł cesarza austryackiego, nie zrzekając się jednak praw swoich do korony rzymskiej. W Berlinie lękliwy Fryderyk Wilhelm III., panujący od roku 1797., chwiał się pomiędzy przymierzem francuskiem, a ściślejszem porozumieniem z Rosyą i do ostatka na krok stanowczy zdecydować się nie mógł, jedna tylko Rosya, dotąd w przyjaznych z Francyą stosunkach, spoglądała z niechęcią

i zawiścią na gospodarkę napoleońską i przygotowywała pocichu nową przeciw „uzurpatorowi“ koalicyą.

Aleksander I. miał ważne powody, aby być niezadowolonym z polityki francuskiej. Wpływ rosyjski w Niemczech tracił zwolna wszelkie znaczenie, spokrewnieni z dworem petersburskim książęta zawdzięczali wzrost swoich posiadłości Napoleonowi i od niego też byli zawiśli, Prusacy oglądali się trwożliwie na Francyą, Austrya była bezsilną, nawet Turcya, obchodząca tak żywo dyplomatów rosyjskich, zawarła w roku 1802. z pierwszym konsulem pokój, w którym oba państwa gwarantowały sobie nawzajem całość swoich posiadłości. Tak na wszystkich punktach doznała polityka rosyjska porażki i to od najserdeczniejszego swego — jak się zdawało — przyjaciela, który carowi komplementów nie szczędził, a w niczem życzeń jego nie uwzględniał, nawet w sprawie wynagrodzenia dla króla sardyńskiego.

Łatwo więc zrozumieć, że w Petersburgu rosła niechęć do Francyi i że najdrobniejsza okoliczność mogła to nieporozumienie w jawną zmienić nieprzyjaźń. Stało się to prędzej, niż obie strony sądziły. W maju roku 1803. zajęli Francuzi Hanower, dziedziczną posiadłość króla angielskiego Jerzego III., w dziesięć miesięcy później uwięziono w Ettenheim (na terytoryum badeńskiem) księcia d'Enghien, uprowadzono go do Francyi i pod zarzutem zbrodni stanu rozstrzelano w Vincennes, a bezpośrednio potem przybrał Napoleon tytuł cesarski i odprawił z niesłychanym przepychem koronacyą swoją w Paryżu. Cała Europa legitymistyczna i monarchiczna zatrzęsła się z gniewu i oburzenia. Ten parweniusz, syn zwykłego adwokata z Ajaccio, wdzierający się po trupie księcia d'Enghien na starożytny tron Burbonów, traktujący z pewnem lekceważeniem dwory monarchiczne i rozrządzający samowładnie połową kontynentu, budził zawiść i chęć zemsty we wszystkich zwolennikach dawnego porządku, w upokorzonych i wydziedziczonych zarówno jak i w tych, którzy tego upokorzenia się obawiali. Reakcya była więc nieunikniona, a pierwsze hasło do niej dał Petersburg.

W dwa tygodnie po tragicznej śmierci księcia d'Enghien, d. 5. kwietnia o godzinie 7-mej wieczorem, zebrała się w pałacu zimowym na wyraźny rozkaz cesarza rada, złożona z hr. Markowa, barona Budberga i księcia Czartoryskiego i ostatni z nich — jako zastępca ministra spraw zagranicznych — odczytał pismo Aleksandra I., zawierające szczegółowy pogląd na stan polityczny Europy i postanowienia, jakie zdaniem cara powziąć należy dla zapobieżenia dalszym nadużyciom pierwszego konsula. Zamach Bonapartego na neutralność Niemiec i pogwałcenie terytoryum badeńskiego, którego władca jest blisko spokrewniony z dworem rosyjskim, powinno — mniemał cesarz — wywołać okrzyk zgrozy w całej Europie i dać hasło do ogólnego przeciw gwałcicielowi powstania. Gdy jednak państwa europejskie, steroryzowane przez Francyą, wszelką straciły odwagę, obowiązek ten spada na Rosyą. Ona powinna dać przykład, pociągnąć za sobą inne mocarstwa i uchronić w ten sposób Europę od groźnych, a nieuniknionych już przewrotów. Cesarz postanowił zatem, aby dwór jego przywdział żałobę po księciu d'Enghien, postanowił odwołać posła swego z Paryża i wręczyć paszporta ambasadorowi fran-

cuskiemu w Petersburgu, czyli inaczej zerwać stosunki dyplomatyczne z Francyą. Należy się spodziewać, że krok ten wpłynie na decyzyą gabinetu wiedeńskiego i berlińskiego i że pociągnie także Portę ottomańską, okazującą więcej zaufania do Rosyi niż do Francyi.

Dyskusya, jaka się rozwinęła na tle tego orędzia cesarskiego, doprowadziła do pośredniej konkluzyi; zwyciężyło mianowicie zdanie hr. Rumiańcowa, aby nie zrywać stosunków dyplomatycznych z dworem francuskim, lecz wyrazić niezadowolenie i oburzenie swoje narazie tylko przywdzianiem żałoby po księciu d'Enghien.[1]) Jakkolwiekbądź myśl koalicyi i połączenia całej prawie Europy przeciw Bonapartemu raz rzucona, zajmowała odtąd nieustannie dyplomacyą rosyjską i rozwijała się skutkiem sprzyjających okoliczności szybko i pomyślnie. Aleksander, słuchając głosu serca i duszy podrażnionej, nie zadowolnił się żałobą manifestacyjną, lecz wystosował energiczną notę do sejmu niemieckiego, w której protestował uroczyście przeciw zamachowi na spokój i bezpieczeństwo państwa niemieckiego. Za przykładem dworu petersburskiego poszedł także król szwedzki Gustaw IV., a oba te protesty wprawiły w największy kłopot wystraszonych Niemców, którzy woleli znosić nadużycia napoleońskie, niż narażać się znowu na niepewny los wojny. Sejm niemiecki nie uległ więc naciskowi, jaki wywierano nań z Stockholmu i Petersburga, nie dał się porwać do przedsięwzięcia kroków nierozważnych i gwałtownych, przeciwnie dołożył wszelkich starań, aby sprawę tak przykrą i drażliwą stłumić i z porządku dziennego usunąć.[2]) Napoleon, który bacznie śledził wypadki, nieomieszkał przy najbliższej sposobności wywrzeć swej zemsty na Aleksandrze. Odpowiadając na notę rosyjską w sprawie d'Enghiena, wspomniał Talleyrand złośliwie o zamordowaniu Pawła I. i w tonie lekceważącym odmawiał rządowi rosyjskiemu prawa do mięszania się w sprawy niemieckie.[3]) Stosunki zaostrzały się więc coraz bardziej; przyjęcie tytułu cesarskiego przez Napoleona i jego podróż tryumfalna do Moguncyi i prowincyj nadreńskich wzbudziła nowe podejrzenia, niewstrzymany niczem wzrost potęgi francuskiej przerażał nawet najobojętniejszych.

Prusy, prowadzące jak zwykle politykę nieszczerą, dwulicową, zawarły (dnia 25. maja 1804. roku) tajny traktat z Rosyą, mający na celu obronę Niemiec północnych przeciw zamachom francuskim.[4]) W tej chwili nastąpiła zmiana ważna i doniosła, u steru rządów w Anglii stanął Pitt, miejsce pojednawczego Addingtona zajął zdeklarowany wróg Bonapartego z silnem postanowieniem wzniecenia wielkiej wojny na kontynencie, w celu upokorzenia Francyi i jej imperatora. Skorzystał z tego w pierwszym rzędzie gabinet petersburski i we wrześniu roku 1804. wysłał Nowosilcowa w tajnej misyi do Londynu. Pitt był zachwycony planem rosyjskim, oświadczył z naciskiem No-

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski", t. II, str. 17.

[2]) Häusser Ludwig: „Deutsche Geschichte". (Vom Tode Friedrichs des Grossen.) Berlin 1869. II. Bd., S. 500.

[3]) „Memoires du prince Adam Czartoryski" (do Worończowa), str. 23.

[4]) Häusser Ludwig: „Deutsche Geschichte". (Vom Tode Friedrichs des Grossen.) Berlin 1869. II. Bd., S. 516.

wosilcowi, że zamiary Aleksandra I. są zupełnie zgodne z intencyami rządu i narodu angielskiego, że Anglia gotowa jest wypłacić 5,000.000 funtów szterlingów jako subwencyą dla mocarstw biorących udział w koalicyi i poświęcić bardzo wiele, aby zaprowadzić stały pokój w Europie i usunąć przeszkody, tamujące rozwój handlu i przemysłu.

Uzyskawszy tak stanowczą deklaracyą potężnego i w całej sprawie najwięcej interesowanego mocarstwa, można było teraz śmielej już zwrócić się do Wiednia i Berlina i ułożyć szczegółowy plan działania i przekształcenia stosunków europejskich. Austrya nie stawiała trudności. Upokorzona dwukrotnie, wyparta z Niemiec, oczekiwała ona tylko sposobności do odwetu i chwyciła się skwapliwie propozycyj rosyjskich. Dnia 6. listopada 1804. roku podpisano w największej tajemnicy przymierze pomiędzy Austryą i Rosyą; pozostawały tylko Prusy, niepewne jak zawsze i przechylające się raz ku Francyi, to znów ku Rosyi. Na takiego sprzymierzeńca nie liczył gabinet petersburski od początku i — podług jego mniemania — można było jedynie gwałtownemi środkami zmusić gabinet berliński do udziału w koalicyi, lub do zachowania najściślejszej neutralności.[1]) Na tem przeświadczeniu opierał się plan Czartoryskiego uregulowania spraw europejskich.[2])

Austrya miała podług tego otrzymać Bawaryą, Tyrol i odpowiedne wynagrodzenie w Szwabii, Frankonii i we Włoszech; arcyksiąże Karol osobną posiadłość w Niemczech; król sardyński oprócz Piemontu Genuę i część Lombardyi; król neapolitański swoje prowincye włoskie, zajęte przez Francuzów. Dla Prus przeznaczano wielkie księstwo Bergu, księstwo meklemburskie, Fuldę i Anspach. Reszta państw niemieckich miała tworzyć cesarstwo niemieckie, czyli Rzeszę, do której mogły przystąpić także Szwajcarya i Hollandya. Rosyi przypadały wszystkie prowincye polskie aż po linią, zakreśloną od Gdańska ku źródłom Wisły i Dniestru. Cesarz rosyjski miał przybrać tytuł króla polskiego.

Zaprzeczyć niepodobna, że plan, pomyślany w ten sposób, był znakomitem dziełem politycznego rozumu. Nieuszczuplając w niczem, a nawet powiększając posiadłości rosyjskie, naprawiał on krzywdę, wyrządzoną narodowi polskiemu, usuwał na długo — jeżeli nie na zawsze — drażliwą kwestyę polską z porządku dziennego, a wynagradzając sowicie utratę prowincyj polskich Austryi i Prusom, zapewniał Rosyi dominujące stanowisko w Słowiańszczyźnie i w całej Europie.

Polska odzyskująca swoje prawa narodowe i połączona pod jednem berłem z mocarstwem rosyjskiem, była potęgą, która prędzej czy później musiała skupić około siebie wszystkie narody słowiańskie, sięgnąć po Konstantynopol, zawładnąć całym wschodem europejskim i wzbierające fale germanizmu odtrącić do właściwego im łożyska. Zrozumieli to dobrze Niemcy, ale nie pojęło społeczeństwo rosyjskie, a raczej najbliższe otoczenie Aleksandra I. i on sam. Haugwitz, który do roku 1804. kierował polityką pruską, przeniknął[3]) zamiary

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“ (Instrukcya dla Nowosilcowa), str. 38.

[2]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, str. 62.

[3]) „Pamiętniki Haugwitza“ u Rankego, t. XLVII (Werke), w dodatkach str. 291.

Czartoryskiego i niewątpliwie udzielił spostrzeżeń swoich następcy swojemu Hardenbergowi. Jakoż obawy jego były słuszne. „Potworny“ plan księcia Adama zdawał się bliskim urzeczywistnienia. Przy końcu roku 1804. i na początku 1805. zawarła Szwecya alians z Anglią i Rosyą, dnia 11. kwietnia 1805. roku podpisano przymierze angielsko-rosyjskie, koalicya rosła w potęgę, położenie gabinetu berlińskiego stawało się z każdym dniem krytyczniejszem. Bez jasno wytkniętego celu, w bezustannej obawie o własną skórę, nie mogli się ministrowie pruscy zdecydować na żaden krok stanowczy. Nic dziwnego zatem, że w takich warunkach powstała w Petersburgu myśl, siłą oręża zmusić Prusy do udziału w koalicyi. Zgadzał się na to Pitt i arcyksiąże Karol, który z właściwą sobie bystrością oceniając położenie, mniemał, że wojna Rosyi przeciw Prusom będzie dopiero próbą istotnych zamiarów i intencyj cesarza Aleksandra.[1]) Przewidywania arcyksięcia spełniły się niestety zupełnie. Bo kiedy wszystko już było przygotowane do rozpoczęcia kampanii pruskiej, gdy korpus Buxhöwdena miał ruszyć ku Warszawie, gdy prowincye polskie pod zaborem pruskim czekały tylko hasła do powstania, zaszedł w postanowieniach Aleksandra I. zwrot nagły i niespodziewany. Z natury miękki i wrażliwy, dał on się wprawdzie przekonać i pociągnąć Czartoryskiemu i jego politycznym przyjaciołom, w chwili stanowczej jednak zawahał się przed wykonaniem planu, zakreślonego na tak wielkie rozmiary. Z tego usposobienia cesarza skorzystali oczywiście przeciwnicy księcia Adama. Był on od chwili, kiedy objął tekę ministra spraw zagranicznych, przedmiotem zazdrości i podejrzliwości tych, co w ciasnych pojęciach swoich widzieli w nim tylko Polaka, kierującego polityką rosyjską, a — zaślepieni dumą narodową — nie byli w stanie pojąć wielkich celów, do których dążył zarówno dla dobra Rosyi jak i Polski. Wyobrażenia te udzielały się najbliższemu otoczeniu Aleksandra. Matka cesarza, zawsze niechętna Czartoryskiemu, unikała wszelkich z nim stosunków; książe Dołgoruki, znany ze swojej dumy wielkorosyjskiej, posuniętej do śmieszności, nie wahał się wobec cesarza oświadczyć wręcz księciu Adamowi: „Pan rozumujesz jak książe polski, a ja jak książe rosyjski“. Łatwo pojąć, jakie oburzenie musiało powstać w tych kołach, kiedy Czartoryski objął ster wychowania publicznego na Litwie i Rusi, kiedy Polacy, wygnani i pozbawieni majątków swoich, wracali zwolna do ognisk domowych i odzyskiwali zagrabione dobra, kiedy na całym obszarze ziem zabranych nowe budziło się życie, kiedy żywioł polski, gnębiony do niedawna i poniewierany, krzepił się, podnosił i lepszemi karmił nadziejami. Że ten nowy kierunek w polityce rosyjskiej sięgał i poza granice caratu, że budził dla Aleksandra sympatye w zaborze pruskim i austryackim, o tem wątpić nie można, ale to właśnie było jednym z powodów, potępiających Czartoryskiego w oczach stronnictwa, niewybiegającego myślą poza ograniczony widnokrąg czysto rosyjskich zapatrywań i aspiracyj. Dodajmy do tego jeszcze jedną okoliczność: osobiste sympatye Aleksandra i tak trafnie przez Czartoryskiego określony niewieści rys jego charakteru, objawiający się w uczuciowem traktowaniu spraw

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 111.

politycznych. W roku 1802. spotkał on się poraz pierwszy z królem Fryderykiem Wilhelmem III. w Kłajpedzie i tam zawiązała się pomiędzy nimi przyjaźń, pielęgnowana i podtrzymywana później przez słynną z piękności królowę Ludwikę. Osobisty stosunek obu monarchów i tradycyjna przyjaźń rosyjsko-pruska, umocniona bezprawiem wspólnie dokonanem na Polsce i podszepyt

nieprzyjaciół Czartoryskiego musiały wywrzeć wpływ potężny na postanowienia Aleksandra i usposobić go łagodniej względem Prus, zagrożonych co najmniej utratą prowincyj nadbałtyckich i całego zaboru polskiego.

Kiedy ta zmiana nastąpiła? niepodobna oznaczyć, to zdaje się być pewnem jednak, że wykonanie całego planu było od początku zwichniętem, że ani ilość wojska powołanego pod broń, ani pospiech w działaniu nieodpo-

wiadał wielkiemu i trudnemu zadaniu, które miano przed sobą. Podczas gdy w Wiedniu łudzono się nadzieją, że Napoleona będzie można niespodziewanie zaskoczyć, nagłym napadem dotrzeć do granic francuskich i z pomocą posiłków rosyjskich pobić na głowę, on tymczasem — uwiadomiony dokładnie o wszystkiem — uprzedził sprzymierzonych, wojska swoje, zgromadzone w obozie pod Boulogne, gdzie przygotowywano wielką wyprawę do Anglii, posunął w najgłębszej tajemnicy ku Renowi, rzekę tę przeszedł i — pogwałciwszy neutralne terytoryum pruskie — otoczył generała Macka pod Ulmem i zmusił go dnia 17. października do haniebnej kapitulacyi. W tej chwili już znajdował się cesarz Aleksander w Puławach z mocnem — jak się zdawało — postanowieniem rozpoczęcia wojny przeciw Prusom. Z Wilna pisał do króla pruskiego list, w którym — zapraszając na zjazd — oświadczał kategorycznie, że posyła 100.000 wojska przez Prusy południowe na Szląsk. Wiadomość ta wywołała wielką konsternacyą w Berlinie. Przed chwilą właśnie odrzucono propozycye Napoleona, przywiezione przez Duroca. Prusy postanowiły zachować jak najściślejszą neutralność, oparły się wszelkim pokusom i nagle teraz ujrzały się zagrożone od najlepszych swoich przyjaciół.

Oburzenie na Rosyą było zatem wielkie, zaczęto się zbroić, przebąkiwać o przymierzu z Francyą, carowi odpowiedziano ostro, że Prusy na przechód wojsk rosyjskich niepozwolą, kiedy w tem dnia 7. października nadbiegł kuryer donoszący, że Bernadotte — nie troszcząc się o neutralność pruską — przeszedł przez księstwo anspachskie. Gabinet berliński znalazł się w niesłychanym kłopocie. Z przebiegłością prawdziwie krzyżacką łudzono dotąd obie strony, zawierano traktat z Petersburgiem, a poufnie zdradzano go w Paryżu, układano się z Napoleonem, a kokietowano z Aleksandrem i — trzymając się wśród tego oburącz systemu neutralności — czekano chwili, aby pomoc swoją sprzedać temu, kto najlepiej za nią zapłaci. Obecnie ta polityka kramarska, niegodna wielkiego mocarstwa, zbankrutowała zupełnie, honor państwa i jego egzystencya były zagrożone, należało więc uderzyć w pokorę, przyznać się do winy i szukać ocalenia tam, gdzie jeszcze spodziewano się znaleść cokolwiek sympatyi i litości. Zbawcą Prus mógł być tylko Aleksander. Bawił on natenczas w Puławach, w gościnnym domu książąt Czartoryskich, otoczony licznem gronem Polaków i Rosyan, pełen — jak się zdawało — najlepszej myśli i zdecydowany na krok stanowczy. Wśród tego nadeszła jednak depesza z Berlinu od Alopeusa, przedstawiająca w jaskrawych barwach przerażenie kół dworskich i strapienie Fryderyka Wilhelma III. W duszy cesarza odezwały się dawne uczucia i tradycye polityki rosyjskiej, nabierające nowej siły pod wpływem Dołgorukowa i całego starorosyjskiego stronnictwa. Nastąpiła więc chwila wahania, krytyczna dla planów Czartoryskiego. Wiadomość o pogwałceniu terytoryum pruskiego wznieciła w umyśle chwiejnym cesarza nowe nadzieje. Można było przypuszczać, że gabinet berliński, doznawszy takiego upokorzenia ze strony Napoleona, bez namysłu przystąpi teraz do koalicyi; nacisk orężny i zabór prowincyj polskich stawał się zatem zbytecznym. W tem przekonaniu wysłał Aleksander do Berlina Dołgorukiego, a sam wybór osoby wskazywał już, jakie były właściwe jego zamiary. Dołgoruki zastał

w stolicy pruskiej niesłychane zamięszanie, u dworu skłonność do porozumienia się z koalicyą. Fryderyk Wilhelm III. przypomniał sobie projekt zjazdu trzech monarchów, proponowany świeżo przez cesarza Franciszka i chwycił się tego środka jako ostatniej kotwicy ratunku i w tym duchu wypadła odpowiedź wręczona Dołgorukiemu. W dwanaście dni po odjeździe jego z Berlina nadszedł list od Aleksandra z wiadomością, że cesarz propozycyą przyjmuje i wyjeżdża do stolicy pruskiej.

W ślad za tem rozesłano rozkazy, cofające wojska rosyjskie od granic pruskich, Aleksander — omijając Warszawę — podążył do Berlina, gdzie już zastał arcyksięcia Antoniego, jako zastępcę cesarza Franciszka. W ten sposób przyszedł do skutku dnia 3. listopada 1804. roku pamiętny traktat w Poczdamie. Prusy przystępowały do koalicyi narazie w roli pośrednika, aby zyskać czas do uzbrojeń. Gdyby Napoleon odrzucił warunki, podane przez króla pruskiego, obowiązywał się Fryderyk Wilhelm III. wesprzeć sprzymierzonych całą swoją potęgą. Znana scena nocna w grobowcu Fryderyka II. przypieczętowała ten nowy sojusz mocarstw zaborczych, a duch króla „filozofa“, unoszący się nad głowami pary królewskiej i zasępionem czołem Aleksandra, błogosławił szyderczo dobroduszności słowiańskiej, ubezpieczającej potomstwu krzyżackiemu posiadanie ziem polskich i wybrzeży bałtyckich.

„Nieszczęsny“ traktat poczdamski zniweczył wprawdzie plany Czartoryskiego, lecz sprzymierzonym nie przyniósł spodziewanych korzyści. Zanim Haugwitz, wysłany z Berlina do głównej kwatery francuskiej, zdołał spełnić swoją misyę dyplomatyczną, zajął Napoleon Wiedeń i dnia 2. grudnia 1805. roku pobił na głowę wojska sprzymierzone pod Austerlitz. Klęska ta stała się hasłem ogólnego rozprzężenia i rozbicia koalicyi. W otoczeniu Aleksandra podniosły się krzyki na zdradę i nieudolność Austryaków, on sam przygnębiony, bezsilny i bezradny szedł za prądem, który go unosił, .wojskom swoim dał rozkaz do odwrotu i — nieczekając ukończenia układów — pospieszył dniem i nocą na Kraków i Lublin do Petersburga.

Czwarta koalicya. — Jena i Auerstädt. — Eylau i Friedland. — Pokój w Tylży 1807. roku. — Księstwo warszawskie. Świetne zwycięstwo pod Austerlitz rozbiło trzecią koalicyą i oddało monarchiczną Europę na łaskę tryumfującego imperatora. Otoczony aureolą nieśmiertelnej sławy, „tysiącem dział zbrojny“, rozstrzygał on w naddunajskiej stolicy losy Niemiec i starej monarchii habsburskiej, rozdzielał łupy pomiędzy wiernych swoich sprzymierzeńców i narzucał swój system polityczny tym, co niedawno jeszcze marzyli o upokorzeniu znienawidzonego „uzurpatora“. Wśród rzeszy dyplomatów i generałów, napełniających przedpokoje schönbrunskiego pałacu i oczekujących z drżeniem serca wyroków Cezara, stał w kornej postawie wystraszony i przybity niemal do ziemi reprezentant pruskich Hohenzollernów, hr. Haugwitz. Wysłany w roli pośrednika, a z deklaracyą wojny w zanadrzu, spotkał on się z Napoleonem poraz pierwszy w Bernie dnia 28. listopada. Cesarz, uwiadomiony dokładnie o zamiarach gabinetu berlińskiego i przygotowujący się właśnie do stanowczej z nieprzyjacielem rozprawy, zbył posła pruskiego grzeczną rozmową i odesłał go do Wiednia pod opiekę uprzejmego Talley-

randa. W kilka dni potem rozstrzygnęły się losy wojny na pobojowisku austerlickiem i nieszczęśliwy Haugwitz znalazł się w najkrytyczniejszem położeniu. O jakiemkolwiek pośrednictwie nie mogło być mowy, wypowiedzenie wojny stawało się po świeżych doświadczeniach i odwrocie armii rosyjskiej hazardem, poseł pruski był zdany na łaskę zwycięzcy.

Nemezis dziejowa w postaci Napoleona dosięgnęła wreszcie państwo, ufundowane na cmentarzach słowiańskich, a rosnące krzywdą i uciemiężeniem sąsiadów. Mściwy Korsykanin nieoszczędził najmniejszego upokorzenia Hohenzollernom. Fryderyka Wilhelma III. nazywał pogardliwie „swoim prefektem berlińskim“, Haugwitza, który w gruncie był dość przychylnym Francuzom, głaskał i straszył na przemiany i po tych wszystkich objawach złego humoru dał się wreszcie nakłonić do zawarcia traktatu z Prusami w Schönbrunie, obostrzonego następnie w Paryżu dnia 15. lutego 1806. roku. Król pruski miał odstąpić Napoleonowi część księstwa kliwijskiego, Anspach i Neufchâtel, miał zamknąć ujścia rzek swoich Anglikom i gwarantować wspólnie z Francyą całość posiadłości tureckich, a wzamian za te wszystkie ofiary otrzymywał Hanower.

Zemsta była obmyślana rzeczywiście z niezmierną przebiegłością; zabór posiadłości hanowerskich i zamknięcie ujść rzecznych dla statków angielskich równało się właściwie wypowiedzeniu wojny Anglikom, zagwarantowanie całości państwa tureckiego — wymierzone przeciw Rosyi — rozrywało dotychczasową przyjaźń pomiędzy Berlinem a Petersburgiem. Prusy odosobnione w ten sposób zupełnie i poróżnione ze swoimi sprzymierzeńcami, stawały się rzeczywiście rodzajem prefektury napoleońskiej w północnych Niemczech, podczas gdy na południu książęta bawarski i wirtemberski, przyozdobieni z łaski Napoleona tytułami królewskiemi, prześcigali się w czołobitności dla potężnego imperatora.

Tyle zniewag i upokorzeń musiało nawet w przytępionym cokolwiek umyśle Fryderyka Wilhelma III. wywołać gniew i gorącą żądzę odwetu. Wierny tradycyjnej polityce swojego dworu, targując się z jednej strony z Napoleonem o złagodzenie twardych warunków, wysyłał on równocześnie do Petersburga, dla przebłagania Aleksandra, księcia brunświckiego i za jego pośrednictwem układał nowe przeciw Francyi przymierze. Car, zrazu bardzo zagniewany na swego przyjaciela z nad Sprei, dał się łatwo przekonać i jeszcze przed ratyfikacyą traktatu paryskiego założono podstawy czwartej koalicyi. Tak Aleksander jak i Fryderyk Wilhelm uważali ścisłe porozumienie pomiędzy Rosyą i Prusami za fundament swojej polityki; alians prusko-francuski miał tymczasem uspić czujność Napoleona i dać czas do uzbrojenia wojska i wykończenia rozpoczętych traktatów.

Tak w kwietniu 1806. roku zaniosło się na nową wojnę. Napróżno odwodził Czartoryski cesarza Aleksandra od tego ryzykownego związku, nadaremnie przedstawiał w obszernym memoryale dwulicowość polityki pruskiej i szkodliwe skutki ścisłego połączania się z Prusami, które odgrywały zawsze względem Francyi rolę płatnego komisyonera i donosiciela,[1]) car — czy to

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 134

z przekonania, czyli też dając folgę uczuciom osobistej przyjaźni — wytrwał w raz powziętem postanowieniu. Czartoryski zniechęcony, nie mogąc się pogodzić z nowym kierunkiem polityki, wziął dymisyą: ministrem spraw zagranicznych został Budberg.

Tymczasem w zachodniej i środkowej Europie następowała jedna zmiana po drugiej. Na tronie neapolitańskim zasiadł po wypędzeniu Burbonów najstarszy brat Napoleona (Józef), młodszy (Ludwik) otrzymał koronę holenderską, Murat, ożeniony z siostrą cesarza, został księciem Bergu i Kliwii, książe Eugeniusz Beauharnais (syn Józefiny z pierwszego małżeństwa) zaślubił córkę króla bawarskiego, dnia 1. sierpnia 1806. roku uznało 16-stu książąt niemieckich, złączonych w t. zw. ligę reńską, protektorat Napoleona, a Franciszek II. zrzekł się korony cesarskiej. Dynastyczna i imperyalistyczna polityka Bonapartego, wyrosła na gruncie rewolucyjnym, święciła w tym czasie największe swoje tryumfy nad legitymizmem i konserwatyzmem europejskim. Jak fala wezbrana posuwały się zastępy francuskie ku granicom pruskim, ściskały żelazną obręczą rozrzucone dzierżawy Hohenzollernów, a gniewem zapalony imperator ukazywał już pokornemu Haugwitzowi w Paryżu krwawe widmo Polski. Toż nic dziwnego, że dwór berliński, do ostateczności przywiedziony, rozpaczliwego chwycił się środka i przez generała Knobelsdorffa zażądał wycofania wojsk francuskich z Niemiec i zezwolenia na utworzenie związku północno-niemieckiego pod egidą Prus. W odpowiedzi na to ultimatum posunął Napoleon wojska swoje ku granicom pruskim i dnia 12. października pisał do Fryderyka Wilhelma: „Żądałeś WKMość odpowiedzi do 8. b. m., jako dobry rycerz przynoszę Ci ją sam“. W dwa dni po tem była już armia pruska w podwójnej bitwie pod Jena i Auerstädt zupełnie zniesiona, a 27. października stanął Napoleon w Berlinie. Upadek monarchii Hohenzollernów zdawał się nieuniknionym. Fortece i oddziały rozprószonego wojska otwierały bez oporu bramy Francuzom lub składały broń na pierwsze wezwanie, przestrach i zamęt nieopisany owładnął wszystkie umysły, a im większa była pycha pruska i pewność zwycięstwa w chwili rozpoczęcia wojny, tem szybszy upadek ducha i ogólne zwątpienie. Niedawno jeszcze podczas przeglądu wojska w Poczdamie mówił Rüchel, jeden ze zdolniejszych oficerów, do króla: „Takich generałów jak pan Bonaparte posiada armia WKMości więcej“. Obecnie wszyscy ci bohaterowie znajdowali się w niewoli, królewska para szukała ocalenia w ucieczce, w stolicy Fryderyka Wielkiego rządzili prefekci francuscy. Ale plany Napoleona sięgały dalej. Pewny zwycięstwa nad armią pruską, przewidywał on nieuniknione starcie z Rosyą, widział konieczność przeniesienia wojny nad Wisłę i wtedy przypomniał sobie Polskę i Polaków. Wyjeżdżając więc do Niemiec[1]) wysłał kuryera do Dąbrowskiego, który zostawał w służbie włoskiej, z rozkazem, aby natychmiast przybywał do głównej kwatery. Po Dąbrowskim przyszła kolej na Wybickiego. Kto cesarzowi osobę jego podsunął? nie wiadomo, to pewna, że wybór był trafny. Wybicki bawił natenczas w Dreźnie i — chcąc uniknąć zamieszek wojennych — wyjechał stamtąd ku granicy szląskiej, kiedy w drodze dopędził go adjutant Dąbrowskiego z po-

[1]) Opowiadanie Dąbrowskiego w „Pamiętnikach Wybickiego“, str. 194.

leceniem stawienia się w Berlinie. Usłuchał zacny obywatel wezwania i — przybywszy do stolicy pruskiej — został natychmiast wezwany na posłuchanie do Napoleona.

Audyencya odbyła się w obecności Berthiera i Dąbrowskiego. Cesarz, chodząc po pokoju, mówił do Wybickiego, że mu wypada ścigać nieprzyjaciela przez Polskę, że on ten kraj rozszarpany i zatracony chce wskrzesić, ale mu trzeba wiedzieć, czy wojsko znajdzie w nim wygody i żywność? Moment był niesłychanie ważny. Władca Europy, pogromca wiarołomnych i znienawidzonych Prusaków, w przededniu stanowczej z Moskwą rozprawy, mówił wyraźnie o wskrzeszeniu Polski i żądał ku temu pomocy Polaków. Czyż mogła być na to odpowiedź inna, aniżeli ta, jaką dał Wybicki? „Najjaśniejszy Panie — rzekł on — jeżeli wnijdziesz do kraju naszego jako zwycięzca wszystko nakazać możesz, ale jeżeli wchodząc oświadczysz się być naszym wskrzesicielem, wszystko sami ci poniesiem w ofiarze“.

W ostatnich czasach robiono zarzut Wybickiemu, że tak bezwzględnie i bezwarunkowo zdał Polaków na łaskę Napoleona. Zarzut ten jest zupełnie niesłuszny. Targować się i stawiać warunki może ten, kto ma siłę i potęgę, kto jest wstanie wybierać pomiędzy jednym lub drugim sprzymierzeńcem. Nie był w tem położeniu naród polski, pozbawiony bytu politycznego, wojska i reprezentacyi i zagrożony nadto zalewem germanizmu. Odmowna odpowiedź niepolepszyłaby w niczem losu Polaków, lecz odjęłaby im jedyną nadzieję odzyskania utraconej ojczyzny. Napoleon z Wybickim lub bez Wybickiego byłby zajął Polskę i gospodarował w niej po swojemu, może z większem jeszcze utrapieniem kraju, skutek byłby ten tylko, że przy traktatach pokojowych nie mówionoby o Polsce i że częścią zaboru pruskiego okupionoby przyjaźń rosyjską. Polacy ponieśliby mniej ofiar materyalnych, ale nie mieliby ani księstwa warszawskiego ani królestwa kongresowego, które — pomimo smutnych swoich losów — przyczyniły się znacznie do podniesienia ducha i utrwalenia bytu narodowego. Słusznie zatem uczynił Wybicki, że nie wdając się w targi, bo na to ani miejsca ani czasu nie było, oświadczył imieniem narodu gotowość do poświęceń dla odzyskania niepodległości. A że mówił prawdę, tego dowiodły wypadki szybko po sobie następujące, tego dowiodła niesłychana ofiarność narodu, której dziś może żałować możemy, ale która wtedy była wyrazem uczuć i pragnień polskich, głośnym protestem przeciw gwałtom pruskim i przeciw rozbiorowi Rzeczypospolitej.

Napoleon, zadowolony odpowiedzią Wybickiego, działał jak zwykle szybko i energicznie; Wybickiemu kazał napisać odezwę do Polaków i natychmiast ją drukiem ogłosił, listownie zaś polecił ministrowi policyi Fouchému, aby wyprawił Kościuszkę i Polaków bawiących w Paryżu w najgłębszej tajemnicy do Berlina.

Ale Kościuszko inaczej zapatrywał się na politykę francuską. Przejęty na wskroś republikańskiemi zasadami, zrażony do Francyi i do Napoleona z powodu postępowania ich z legionami, nie wierzył on w szczerość obietnic cesarskich i żądał wyraźnych rękomij. Czy postępowanie to było w tej chwili politycznem i czy przyniosło korzyść sprawie narodowej? o tem pozwolimy

sobie wątpić. Kościuszko u boku Napoleona, Kościuszko na czele ruchu narodowego w Warszawie byłby niewątpliwie zaważył na szali wypadków i powagą swoją przyczynił się do uśmierzenia wzajemnych niechęci i niesnasek, jakie w ówczesnej reprezentacyi narodowej ze szkodą dla sprawy publicznej się objawiały. Odpowiedź, którą dał Naczelnik Fouchému, świadczy chlubnie o czystości jego uczuć i szlachetności serca, nie ma jednak dodatniego znaczenia politycznego. Co gorsza, Kościuszko mimowolnie stał się przez to przyczyną przykrego nieporozumienia, gdy Wybicki — pewny jego przybycia — umieścił w odezwie swojej słowa: „Wkrótce Kościuszko, wezwany przez wielkiego Napoleona, przemówi do Was z jego woli“.

Szczęk oręża i łoskot rozpadającej się w gruzy monarchii pruskiej przytłumił narazie echo tych wewnętrznych nieporozumień. Wybicki i Dąbrowski, wysłani do Poznania, wzniecili pojawieniem się swojem w ludności zapał niesłychany; tłumy witały ich okrzykami, poważni obywatele — wyprzągłszy konie — ciągnęli powóz własnemi rękami aż do domu Mielżyńskich, gdzie przybyłym wyznaczono kwatery.

Obaj, niezmordowani w czynności swojej, zajęli się natychmiast organizacyą siły zbrojnej i władz miejscowych. Ustanowiono administracyą tymczasową i komisyą wojewódzką i wybrano deputacyą, która miała udać się do Berlina dla powitania cesarza. Posłuchanie (dnia 19. listopada) odbyło się z niezwykłą uroczystością. W sali marszałków, przez którą Talleyrand prowadził Polaków, stali grenadyerowie gwardyi, trzymający 340 sztandarów, zdobytych na Prusakach, w sąsiednim pokoju oczekiwał delegatów Napoleon w obecności czterech marszałków, księcia Bergu, Murata, i dwóch ministrów. Cesarz, wysłuchawszy mowy przewodniczącego delegacyi hr. Działyńskiego, odpowiedział pomiędzy innemi w te słowa: „Nigdy Francya nie uznała podziału Polski. Niezgody wasze zrządziły upadek tego narodu, pamiętnego w dziejach. Niech przeszłość służy wam za naukę do połączenia waszego. Niech magnaci i majętniejsza szlachta stanie na czele, a gdy ujrzę 30.000 do 40.000 ludzi pod bronią, ogłoszę w Warszawie niepodległość waszą; skoro zaś ja ją ogłoszę, niewzruszoną będzie. Interesem jest Francyi i całej Europy, ażeby Polska byt swój miała. Niech fakcye wewnętrzne ustaną. Wasz los w waszem jest ręku“.

Jeżeli tekst mowy, podany przez współczesne dzienniki polskie, jest autentycznym, to trzeba przyznać, że Napoleon postępował względem Polaków rozważnie i konsekwentnie. Tak jak niegdyś powiedział Sułkowskiemu, że „naród, zgniecony przez swoich sąsiadów, może się podnieść tylko z bronią w ręku“, tak teraz wymagał tego uzbrojenia i stawiał je jako warunek odzyskania niepodległości. Naczytawszy się w dziele Rulhiera wiele o anarchii polskiej, nie obcy intrygom i niesnaskom w łonie emigracyi paryskiej, jakoteż niegodnym knowaniom przeciw Dąbrowskiemu i Kniaziewiczowi, miał Napoleon dość powodów, aby napomnieć do zgody, jedności i zaniechania fakcyj. Mogło to być przykrem dla patryotów i wszystkich ludzi szlachetnie myślących, ale wypadki bardzo bliskie dowiodły niestety, że obawy i przestrogi cesarza były zupełnie słuszne i uzasadnione.

Niejasna i ogólnikowa wzmianka o niepodległości wynikała poprostu z niepewnego położenia politycznego. Napoleon wiedział doskonale, jak niepewnym jest los wojny. Oddalony od Francyi, mając przed sobą całą potęgę rosyjską, za sobą Niemcy ujarzmione wprawdzie, lecz jarzmo to niechętnie znoszące, za morzem nieubłaganego a potężnego wroga w Anglii, na prawem skrzydle Austryą, obawiającą się o swoje posiadłości polskie, nie był Napoleon wstanie wyrzec słowa stanowczego o odbudowaniu Polski, albo — jak tego żądał w liście do Fouchégo Kościuszko (22. stycznia 1807. roku) — oświadczyć, że granice Polski będą się rozciągały od Rygi do Odesy z jednej, a od Gdańska do Węgier z drugiej strony.[1]) Wszelkie narzekania zatem na nieszczerość cesarza w tej chwili uważać należy za nieuzasadnione; postępował on i działał tak, jak nakazywały okoliczności i interes Francyi; od Polaków wymagał ofiar i poświęcenia, bo bez tego żaden naród nieodzyskał wolności, i dał im za to przynajmniej jakiś byt niezawisły w księstwie warszawskiem, więcej uczynić nie mógł bez narażenia siebie i narodu swego na największe niebezpieczeństwa i możliwe katastrofy. Bezstronna historya potępić go za to nie może. Nie inaczej sądził też wtedy i naród polski. Ogół, kierujący się jak zwykle uczuciem a nie względami wyższej polityki, widział w Francuzach przybywających nad Wartę i Wisłę zbawców swoich, naturalnych sprzymierzeńców i pogromców najbardziej znienawidzonego wroga. Tego przekonania żadna argumentacya zmienić nie była wstanie. Od lat dwunastu pocieszano naród polski nadzieją odbudowania ojczyzny z pomocą Francyi, „Marsz, marsz Dąbrowski do Polski“ stało się hasłem legionów i programem narodowym, czyż mógł więc ten naród — widząc wśród siebie Dąbrowskiego i Francuzów — postąpić inaczej, niż postąpił?

Stawiał bramy tryumfalne, niósł krew i mienie w ofierze na ołtarz ojczyzny, wielbił wielkiego Napoleona i wierzył, że chwila zmartwychwstania nadeszła. Zapał ogarnął najpierw Wielkopolskę. „Na głos najdroższy odradzającemu się Polakowi — tak oświadczali obywatele wielkopolscy[2]) — iż z woli zbawcy naszego, niezwyciężonego Napoleona, zawiązywać się ma siła zbrojna narodowa... niesiem ci JW. generale z pospiechem oświadczenie nasze, iż nietylko chętnie przystawimy żołnierza... ale nawet potrzebne na umundurowanie jego damy sukno, koszule i trzewiki, tudzież żołd miesięczny... Niechby ta słaba ofiara tłumaczyła ducha naszego, niechby była rękojmią zbawcy naszemu, iż na wydane hasło: Bądźcie Polakami, złożymy w ręce jego życie i wszyskie majątki nasze“. Słowa te nie były marną obietnicą. W drugiej połowie listopada już stanęły cztery pułki piechoty, po województwach organizowały się powstańcze oddziały, na własną rękę walcząc z Prusakami. Rozbrojono garnizony w Kaliszu i Łęczycy,[3]) zdobyto Częstochowę, gdzie został komendantem kapitan Wosiński, Sieradzanie z własnej woli uchwalili po jednym żołnierzu z dwudziestu dymów i ogólne uzbrojenie szlachty; w końcu na

[1]) Korzon: „Kościuszko etc.“, str. 523.

[2]) „Pamiętniki Wybickiego“, str. 213.

[3]) „Pamiętniki Wybickiego“, str. 219. Dokonał tego wojewódzki generał Dąbrowski. Czyby to nie był ten sam fakt, o którym opowiada bałamutny Kosmowski pod r. 1794?

wyraźne życzenie Napoleona wydał wojewoda gnieznieński Radzimiński wici na pospolite ruszenie.[1])

Wśród objawów takiego niesłychanego zapału ludności posuwał się korpus marszałka Davoust ku Warszawie, pędząc przed sobą niedobitki pruskie i kozaków rosyjskich, należących do przedniej straży generała Bennigsena. Szybkość, z jaką działał Napoleon, pokrzyżowała wszystkie plany sprzymierzonych. Posiłki rosyjskie znalazły się dopiero w ostatnich dniach października nad Niemnem. Dnia 1. listopada przeszedł korpus Bennigsena (50.000) przez tę rzekę, a za nim podążał Buxhoewden w 36.000. Trudność obrotów w porze jesiennej i rozprószenie sił skłoniły wodzów rosyjskich do zajęcia stanowiska na prawym brzegu Wisły; o obronie Warszawy niepodobna było myśleć. Gubernator tamtejszy, generał Koehler, człowiek zacny i powszechnie lubiany, uwiadomił więc ludność stolicy o zbliżaniu się Francuzów i — powierzywszy zwierzchność nad miastem i dowództwo obywatelskiej straży bezpieczeństwa księciu Józefowi Poniatowskiemu — odjechał sam do Królewca. W kilka dni potem (w nocy z dnia 26. na 27. listopada) przeszły wojska rosyjskie i pruskie w cichości przez Warszawę i spaliły za sobą most na Wiśle. Nazajutrz wieczorem od wolskich rogatek rozległ się tentent koni, przez wyludnione ulice Warszawy przebiegł wyciągniętym kłusem oddział jeźdźców, dotarł do mostu i widząc dogorywające jego szczątki, zawrócił na Krakowskie Przedmieście, gdzie się uszykował przed kościołem Bernardynów. Był to szwadron 13-go pułku strzelców konnych z dywizyi generała Milhaud, dowodzącego przednią strażą. Okrzyk Francuzi! obiegł błyskawicą całe miasto i nagle otworzyły się wszystkie okna, zaroiły się ulice tłumem ciekawych, które jak fala otoczyły żołnierzy, ściskając ich, całując, znosząc jadło i napoje, płacząc z radości i wzruszenia. Za chwilę wszystkie domy — jakby na znak dany — zajaśniały wspaniałą illuminacyą, na którą w ponurem milczeniu spoglądał nieprzyjaciel z brzegów Pragi, najeżonych działami. Dnia 28. listopada wreszcie przybył korpus generała Davoust i Murat odbył uroczysty wjazd swój do miasta w towarzystwie księcia Józefa Poniatowskiego. U wejścia witała go deputacya, cechy z chorągwiami i niezliczone tłumy ludności. Zaczęła się epoka rządów tymczasowych; sprawował je Murat jako „namiestnik cesarza“, tytułując się dość charakterystycznie: „Joachimem, z Bożej łaski wielkim księciem bergskim i admirałem francuskim“. Pierwszy dekret nowej władzy, wydany w imieniu Napoleona, zaprowadzał system kontynentalny, a więc zerwanie wszelkich stosunków z Anglią i konfiskatę towarów angielskich; następny znosił rządy pruskie i ustanawiał Izbę najwyższą wojenną i administracyjną, jakoteż Izbę najwyższą sprawiedliwości. Wybicki z polecenia cesarza przybywszy do Warszawy, organizował te władze w porozumieniu z Muratem, wskazywał osoby, odpowiednie do piastowania urzędów publicznych i budził tą swoją czynnością obywatelską i bezinteresowną ogólny niesmak i niezadowolenie. „Mazurom, Wielkopolanom i magnatom w głowie się nie mogło pomieścić Wybickiego panowanie“, a jednak ten Wybicki wtedy, gdy wszyscy popadli w apatyą

[1]) Oui, oui veux votre pospolite, mówił Napoleon do Wybickiego, kiedy ten wspomniał mu o ogólnem uzbrojeniu.

i zwątpienie, poświęcał dla ojczyzny życie i majątek, nadziei nie stracił, rąk nie opuścił i na tułactwie o głodzie i chłodzie pracował tylko nad odzyskaniem niepodległości swego narodu. Obecnie ci, co żadnego w tej pracy udziału nie brali, gdy marzenia patryotów zdawały się bliskie urzeczywistnienia, jawili się na widok publiczny, aby sięgnąć po władzę i tytuły, do których jedynie czuli się uprawnieni.[1]) Jakkolwiekbądź za staraniem Wybickiego uorganizowano nowe urzędy; prezydentem miasta i naczelnikiem policyi został Joachim Moszyński, Kochanowski prezesem Izby administracyjnej. Książe Józef Poniatowski, który dnia 2. grudnia złożył władzę naczelną i usunął się zupełnie, na nalegania Wybickiego wziął na siebie obowiązek organizowania siły zbrojnej. Napoleon tymczasem założył główną kwaterę swoją w Poznaniu, tam obchodził rocznicę koronacyi i bitwy pod Austerlitz, podpisał traktat z królem saskim, przystępującym do konfederacyi reńskiej, stąd wreszcie kierował ruchami wojsk swoich, które zbierały się w Warszawie, aby przejść Wisłę i uderzyć na nieprzyjaciela, rozłożonego na prawym brzegu rzeki.

Ale Bennigsen, unikając spotkania, cofnął wszystkie siły swoje nad Narew i rozłożył je w okolicach Ostrołęki. Za jego przykładem poszedł także generał Lestocq, który z korpusem pruskim zajmował Toruń, poczem Francuzi bez przeszkody już przeszli Wisłę i wojna przeniosła się w okolice nad Narwą i Bugiem położone. Ażeby być bliżej teatru wojny, przeniósł Napoleon główną kwaterę do Warszawy. Niespodziewanie — jak to było jego zwyczajem — przybył do stolicy polskiej w nocy z dnia 18. na 19. grudnia i — uniknąwszy w ten sposób uroczystego przyjęcia, które mu gotowano — udzielił wieczorem audyencyi władzom i obywatelom. Była myśl, a podjął ją w Berlinie jeszcze Wybicki, aby cesarz zwołał członków odroczonego lecz nieukończonego sejmu czteroletniego i określił tak swoje względem Polski zamiary. Ale niepewność położenia i niewyraźne stanowisko, jakie zajęła Austrya, gromadząca w Galicyi znaczne siły wojskowe, skłoniły zapewne Napoleona do zaniechania tego projektu. Skończyło się więc na przyjęciu marszałka Małachowskiego i posłów przybyłych na ogólnej audyencyi, która zresztą niczem od innych przyjęć tego rodzaju się nie odróżniała i na ustanowieniu komisyi rządowej pod prezydencyą Stanisława Małachowskiego, mającej działać jednak zawsze w imieniu Napoleona.

Nielepszy skutek odniosły usiłowania, jakie podejmował w tym samym czasie książe Adam Czartoryski w Petersburgu. Dnia 5. grudnia przedłożył on Aleksandrowi I. memoryał, w którym — zwracając uwagę jego na niebezpieczeństwa wyniknąć mogące dla Rosyi, wrazie, gdyby Napoleon pozyskał sobie zupełnie Polaków — radził mu tak jak w roku poprzednim ogłosić się królem polskim i postawić zasadę, że Polska i Rosya, jako państwa nierozdzielne, mają zostawać nierozłącznie pod wspólnem berłem carów rosyjskich i królów polskich.[2]) Ale pomimo trafnych argumentów i wykazania oczywistych korzyści, które państwo rosyjskie z takiego odbudowania Polski odnieśćby musiało, spotkał się Czartoryski z stanowczą opozycyą Aleksandra. Odpowiadając

[1]) Ciekawem jest, że n. p. Kajetan Koźmian w „Pamiętnikach“, wydanych w Poznaniu w roku 1858., o działaniu Wybickiego w tym czasie wcale nie wspomina.

[2]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 148.

na memoryał powyższy[1]) ograniczył się car do samych tylko ogólników i pozbawił nas tym sposobem możności skontrolowania ówczesnych swoich poglądów na sprawę polską. Domyślać się tylko można, że tak w Petersburgu jak i w Warszawie czekano rozstrzygnięcia orężnego i pocieszano się nadzieją, że wrazie zwycięstwa wszelkie układy z Polakami będą niepotrzebne. O odbudowaniu Polski w dawnych jej granicach nie myślał zapewne Napoleon, a tem mniej Aleksander, związany przymierzem z Prusami i kokietujący z Austryą. Ale sprawa polska, siłą wypadków raz na światło dzienne wydobyta, nie dała się pogrzebać w pyle archiwów dyplomatycznych. Zapewnienie bytu politycznego w jakiejkolwiekbądź formie stawało się koniecznością nieuniknioną dla jednego z mocarstw wojujących. Aleksander, mniej lękający się o egzystencyą swojego państwa i poddany nadto wpływom nieprzyjaznym dla Polaków, lekceważył sobie doniosłość sprawy polskiej. Zamiast głaskać poddanych polskich, zaczęto teraz w zaborze rosyjskim podejrzywać i prześladować patryotów; los Czackiego i Kołłątaja rzucał jaskrawe światło jeżeli nie na usposobienie samego cara, to na kierunek polityki rządowej. Nic dziwnego zatem, że w takich warunkach rosły sympatye francuskie, wiara i nadzieja w Napoleona, że nie szczędzono ofiar na uzbrojenie wojska polskiego, że sam departament warszawski dostarczył 5000 ludzi i 1200 koni[2]), że ludność przesadzała się w gościnności dla Francuzów i że na teatrze warszawskim podczas przedstawienia „Andromedy“ Osińskiego, pod dyrekcyą Wojciecha Bogusławskiego, urządzono apoteozę Napoleona, gdzie Polska, przez dziewicę klęczącą uosobiona, trzymała w ustach wstęgę z napisem Spes in Te (Nadzieja w Tobie!). Objawy tego rodzaju, zbyt może sentymentalne podług dzisiejszych wyobrażeń, miały jednak podstawę realną w owem wojsku polskiem, które tworzył Dąbrowski i książe Józef i w polityce francuskiej ogółem, która tu, nad brzegami Wisły, potrzebowała wiernego sprzymierzeńca, rozdzielającego trzy mocarstwa rozbiorowe. Cała ta kombinacya atoli zawisła w tej chwili na ostrzu miecza i dlatego Napoleon, przyjmując w milczeniu hołdy Polaków, zwrócił główną uwagę swoją na działania wojenne. Armia rosyjsko-pruska, oddana pod dowództwo feldmarszałka Kameńskiego, po nieudałych usiłowaniach opanowania Torunia i Modlina, skoncentrowała się w okolicach Pułtuska, grożąc stąd nagłym napadem na leże zimowe Francuzów. Aby więc pozbyć się niewygodnego sąsiedztwa, urządził Napoleon wyprawę na nieprzyjaciela przy końcu grudnia i — pomimo nieprzyjaznej pory roku i niespodziewanej odwilży, która w wysokim stopniu utrudniała poruszenia wielkich mas wojska — wyparł po krwawych potyczkach pod Czarnowem, Pułtuskiem, Gołyminem i Działdowem Moskali ku Ostrołęce, a pruski korpus Lestocqa odciął i rzucił ku Nidborgowi.

Wskutek tego posunęło się lewe skrzydło francuskie w głąb Prus, oblęgło Gdańsk i Grudziądz, podczas gdy Bernadotte z 50-tysięcznym korpusem swoim zagrażał Królewcowi. Nieprzyjaciel, utraciwszy dogodną pozycyą pod bokiem Warszawy, musiał także zmienić swój plan pierwotny. Car powierzył

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 158. Odpowiedź Aleksandra.

[2]) Hr. Fryderyk Skarbek: „Dzieje księstwa warszawskiego“. Poznań 1860. T. I, str. 89.

naczelne dowództwo Bennigsenowi, który przerzucił teatr wojny do Prus wschodnich z tym zamiarem, aby przeważającemi siłami zgnieść korpus Bernadotta i — zająwszy tył armii francuskiej — wzniecić powstanie w Niemczech północnych i przeciąć Napoleonowi komunikacye z Francyą. Na szczęście dla Francuzów nie użył jednak Bennigsen wszystkich sił swoich, Bernadotte uniknął grożącego mu niebezpieczeństwa, a Napoleon miał czas zgromadzić całą swoją potęgę w wschodnich Prusach i otoczyć tak nieprzyjaciela, że ten tylko szczęśliwemu wypadkowi zawdzięczał ocalenie. Zamiast myśleć o zaczepnem działaniu, musiał teraz wódz rosyjski zasłaniać Królewiec i wywalczyć sobie odwrót za Pregolę. W tym celu wydał on Francuzom dwudniową nadzwyczaj krwawą bitwę pod Eylau (dnia 7. i 8. lutego), a jakkolwiek przypisywał sobie zwycięstwo, zaniechał jednak dalszych operacyj wojennych i raz tylko w ciągu całej zimy zaniepokoił Francuzów nagłym napadem na korpus Neya, co zresztą żadnych ważniejszych skutków nie miało, bo Napoleon — założywszy główną kwaterę w Osterrode — ustawił wojsko swoje tak, że każdej chwili mógł zgnieść przeważającemi siłami nieostrożnego nieprzyjaciela. Taki stan rzeczy trwał aż do maja 1807. roku. W marcu przybył do obozu cesarz Aleksander, ale zamiar dania odsieczy oblężonemu Gdańskowi niepowiódł się, twierdza kapitulowała dnia 26. maja.

Wtedy dopiero rozpoczęła, wzmocniona tymczasem armia rosyjska, zaczepne działania, które skończyły się po kilkudniowych utarczkach walną bitwą pod Friedlandem i zupełnem zwycięstwem Francuzów (14. czerwca). Rosyanie, pobici na głowę, utracili 80 armat, marszałek Soult zajął Królewiec, a Bennigsen z szczątkami swojej armii szukał ocalenia za Niemnem. W pięć dni po bitwie stanęła przednia straż francuska w Tylży, gdzie do Murata zgłosił się parlamentarz rosyjski z prośbą o zawieszenie broni i otrzymał odpowiedź pomyślną. Napoleon, zdobywszy całe państwo pruskie i pobiwszy kilkakrotnie wojska rosyjskie, pragnął szczerze pokoju. Wymagały tego stosunki w Hiszpanii, chęć utrwalenia dotychczasowych nabytków i upokorzenia Anglii. Wszystko to dało się osiągnąć tylko przez porozumienie z Rosyą. Ona jedna w tej chwili, pokonana wprawdzie lecz niezłamana, mogła przeszkadzać światowładnym zamiarom francuskiego imperatora i w połączeniu z Anglią, nowe przeciw niemu knuć zamachy. Rozdzielić te dwie wrogie dla cesarskiej Francyi potęgi i pozyskawszy jedną, drugą wyrzucić za morze i odjąć jej możność wichrzenia na stałym lądzie, to był cel, do którego zmierzał Napoleon. Odżyła więc w nim myśl dawniejsza podziału interesów europejskich na sferę francuską i rosyjską i stąd pochodziła owa skwapliwość, z jaką chwycił się propozycyi Bennigsena. Do tych planów musiały się stosować kwestye inne, podrzędniejszego dla cesarza znaczenia, przedewszystkiem sprawa polska i ona też padła ofiarą „nowego kursu“ polityki francuskiej. Pokój w Tylży pomiędzy Rosyą a Francyą, podpisany dnia 7. lipca 1807. roku, nie wspominał ani słowa o Polsce i Polakach, w traktacie z Prusami (o dwa dni późniejszym) była mowa tylko o prowincyach, które niegdyś do królestwa polskiego należały. Tem ustępstwem okupywał Napoleon przyjaźń rosyjską, uznanie Józefa Bonapartego królem neapolitańskim, Ludwika holenderskim, a Hieronima

westfalskim i przyjęcie systemu kontynentalnego przez Rosya.[1]) Tak, poświęciwszy formę więcej dla formalnych niż istotnych korzyści i — zadowolniwszy próżność dynastyczną swojej rodziny — okazał się Napoleon mniej pojednawczym w zasadniczych sprawach. Król pruski musiał okupić dalszą egzystencyę swojego państwa wielkiemi ofiarami. Odstępował on mianowicie prowincye niemieckie pomiędzy Renem i Elbą położone, jakoteż Gdańsk i wszystkie kraje polskie, które „po dniu 1. stycznia 1772. roku w rozmaitych czasach przeszły pod panowanie pruskie, wyjąwszy Warmią i kraj na zachodzie Starych Prus, na wschodzie Pomorza i Nowej Marchii, na północ od obwodu chełmińskiego i linii biegnącej od Wisły ku Pile...“. Z tych posiadłości część jedną, tak zwany departament białostocki, otrzymała Rosya, Gdańsk miał być miastem wolnem pod opieką królów saskiego i pruskiego, resztę oddano jako księstwo warszawskie pod władzę króla saskiego, Fryderyka Augusta.

Traktat tylżycki wywołał powszechne niezadowolenie i rozczarowanie w społeczeństwie polskiem. Puściwszy wodze bujnej wyobraźni, karmiono się daleko sięgającemi nadziejami, wmawiano w siebie, że Napoleon prowadzi wojnę dla odbudowania Polski i — nie licząc się wcale z trudnościami, jakie dziełu tak wielkiemu stały na przeszkodzie — popadano teraz w drugą ostateczność, skarzono się na zawód i obwiniano Bonapartego o niespełnienie uroczystych obietnic. Ściśle biorąc rzeczy, niepodobna zarzutu tego uzasadnić. Nie mamy żadnego dowodu na to, że Napoleon przyrzekł odbudować Polskę niepodległą. Wyrażenia jego pod tym względem ogłaszane w dziennikach, podawane z ust do ust, nie posiadają cechy autentyczności. W gorączkowem usposobieniu chwytano słowa przez niego wyrzeczone, nadawano im tłumaczenie zgodne z życzeniami kraju i narodu, a — wierząc niezachwianie w wszechmocność niemal genialnego człowieka — nie wyobrażano sobie, że są przeszkody, których i Napoleon nawet przełamać nie zdoła. Tymczasem położenie polityczne było tego rodzaju, że ten wódz, okryty chwałą nowych zwycięstw, nie mógł odbudować Polski inaczej, jak tylko narażając się na długą, niezmiernie kosztowną, a w skutkach zawsze wątpliwą wojnę, i poświęcając dla sprawy polskiej swoje plany i zamiary. Historya nie zna podobnych przykładów. Napoleon dawał Polakom to, co dać mógł w tej chwili; a więc możność rozwoju narodowego acz w szczupłych granicach, dawał im oręż w rękę, aby tym orężem przy sprzyjających okolicznościach zupełną niepodległość wywalczyć sobie mogli. W tem pojęciu miało też księstwo warszawskie dla narodu polskiego i dla jego przyszłości niepospolite znaczenie, i jeżeli Kościuszko w roku 1815. pisał do księcia Czartoryskiego: „Winniśmy wieczną wdzięczność cesarzowi (Aleksandrowi) za wskrzeszenie imienia polskiego już zgubionego“[2]), to chyba nie godzi się potępiać Napoleona za to, że w księstwie warszawskiem do tego „wskrzeszenia“ pierwsze położył fundamenta.

[1]) Królestwo westfalskie utworzonem było teraz z prowincyj niemieckich, odstąpionych przez Prusy.

[2]) Korzon: „Kościuszko“, str. 532.

Czasy księstwa warszawskiego (1807 do 1815).

Rozległość. — Zaludnienie. — Konstytucya. — Stan kraju. Z 2400 mil kwadratowych, oderwanych od Polski podczas trzech rozbiorów, utraciły Prusy w pokoju tylżyckim wszystkie prowincye, zabrane w roku 1893. i 1795. Na księstwo warszawskie przypadło z tego 1850 mil kwadratowych i 2,319.396 mieszkańców.[1]) Okolone ze wszystkich stron posiadłościami mocarstw zaborczych, odcięte od morza i od Saksonii, z którą je unia personalne odtąd łączyć miała, nieposiadała ta kreacya napoleońska od początku swego istnienia warunków trwałego bytu i pomyślnego rozwoju. Sztucznie połączona z królestwem saskiem drogą wytkniętą etapami przez prowincye pruskie, stało się księstwo warszawskie, na wzór innych efemerycznych państewek z tej epoki, właściwie lennem francuskiem, urządzonem i rządzonem podług woli Napoleona. Już pierwszy krok, mający na celu wewnętrzną organizacyę kraju, niepozostawiał pod tym względem żadnej wątpliwości. Kiedy na rozkaz cesarza komisya rządząca stawiła się przed nim w Dreźnie (w lipcu 1807. roku), Napoleon po krótkiej z nią rozmowie podyktował obecnemu Maretowi projekt konstytucyi, który przepisany i wygładzony wręczył deputacyi w dniu 22. lipca. Tak na „kolanie“ napisana konstytucya nie różniła się w niczem prawie od typowych ustaw francuskich w tym rodzaju.

Zaprowadzała ona rząd monarchiczny, okraszony pozorami systemu reprezentacyjnego. Naczelną władzę dzierżył król[2]) którego rozkazy wykonywała rada stanu, złożona z ministrów i nieograniczonej liczby członków przez króla mianowanych. Co dwa lata zbierał się sejm na jego wezwanie. Sejm był podzielony na dwie izby: senatorską i poselską. W pierwszej zasiadało 6 biskupów, 6 wojewodów i tyluż kasztelanów, w drugiej 100 deputowanych, z których 60 wybierały sejmiki szlacheckie, a 40 zgromadzenia gminne na przeciąg lat 9. Co trzy lata jednak ustępowała $^1/_3$ posłów i odbywały się nowe wybory. Senatorów (dożywotnich) mianował panujący; jemu też wyłącznie przysługiwało prawo inicyatywy ustawodawczej. Wszelkie wnioski wychodziły z rady stanu i gdy uzyskały sankcyą królewską, przedkładano je izbom. Głosowanie było tajne. Ustawa przyjęta przez posłów mogła być odrzucona przez izbę senatorską, ale nawet w takim wypadku, gdyby jedna lub obie izby na nią się nie zgodziły, stawała się ona prawem obowiązującem z woli panującego, czyli innemi słowy mogła być promulgowana.

W sprawach wyznaniowych uznano religią katolicką jako panującą, inne wyznania za wolne i jawne; wszyscy obywatele byli równi w obliczu prawa, poddaństwo chłopów zniesione. Jeżeli dodamy do tego jeszcze podział kraju pod względem administracyjnym na 6 departamentów i 60 obwodów i zaprowadzenie kodeksu napoleońskiego, to cała konstytucya przedstawi nam się jako ustawa, przykrojona zupełnie na modę francuską, jako zerwanie z tra-

---

[1]) Żółtowski Stanisław: „Die Finanzen des Herz-Warschau (1806—1815) vorzugsweise nach archivalischen Quellen bearbeitet“. Posen 1890. I. Bd., S. 2.

[2]) Tytułu księcia nie używano, lecz nazywano powszechnie Fryderyka Augusta „królem“.

dycyą narodową. A jednak inaczej być nie mogło. Wśród powszechnego zapału, jaki ogarnął wtedy społeczeństwo polskie, wśród szczęku oręża, napełniającego kraj cały, nie zwracał nikt uwagi na przyszłe urządzenie państwa polskiego pod względem prawodawczym.

W ostatniej chwili dopiero powstawały projekta niejasne, dorywczo układane, o ile sądzić można, nawet niezgodne ze sobą. Podczas gdy Stanisław Małachowski mniemał, że wypadało przywrócić konstytucyą 3-go maja, byli Wybicki i Stanisław Potocki innego zdania. Uważając dzieło wielkiego sejmu za zbyt konserwatywne i niezgadzające się z liberalnemi zasadami, jakie wprowadziła rewolucya francuska, ułożyli oni w drodze do Drezna projekt inny, do wymagań czasu więcej zastosowany, który jednak zatwierdzenia cesarskiego nie uzyskał. Napoleon, znając stosunki polskie z świeżo wydanego wtedy dzieła Rulhiéra, gdzie liczne znajdują się przykłady anarchicznego usposobienia magnatów i szlachty, miał o społeczeństwie polskiem niekorzystne wyobrażenie, a dłuższy pobyt w kraju mógł go tylko w tych uprzedzeniach utwierdzić. Niezgoda, rozterki i intrygi, brak jasno określonego programu politycznego, osobista nienawiść wreszcie jednych do drugich,[1]) musiały człowieka tak bystrego i tak autokratycznego źle dla Polaków usposobić. W tłumie otaczających go bezwzględnych wielbicieli nie znalazł przytem nikogo, ktoby był wstanie życzenia narodu w granicach możliwych streścić, jemu przedstawić i skutecznie ich bronić. Ludzie zacni, szlachetni, pełni poświęcenia i gorącej miłości Ojczyzny, ale politycznie niewyrobieni, mieli program ogólnikowy odbudowania Polski i poza to myślą nie sięgali, spuszczając się we wszystkiem zresztą na wielkiego Napoleona. Cóż dziwnego więc, że ten Napoleon używał tej władzy dyskrecyonalnej, jaką go wyposażono, w duchu obcym, francuskim, a nie polskim, że nam dał konstytucyą, nie na tradycyi narodowej opartą. Mimoto zaprzeczyć nie można, że zawierała ona postanowienia cenne i ważne niezmiernie pod względem narodowym, gdy przepisywała, że wszelkie urzędy tylko przez krajowców mogą być sprawowane i że „wszystkie akta rządowe, prawodawcze, administracyjne i sądowe pisane będą w języku narodowym“. W ten sposób księstwo warszawskie, acz po francusku urządzone, miało język urzędowy polski, urzędników Polaków i wojsko polskie, czyli wistocie było państwem polskiem.

Najwyższą, mało ograniczoną władzę sprawował wprawdzie książe obcy, ale mówiący po polsku, tradycyami rodzinnemi z Polską złączony, wyznający religią katolicką, obdarzony rzadkiemi przymiotami, miły narodowi jako członek familii, którą ostatni sejm wolny Rzeczypospolitej na tron był powołał. Dzieło Napoleona nie było zatem tak złem, jak je często u nas przedstawić usiłują, a że nie spełniło nadziei, które w niem pokładano, to wina już błędów późniejszych, wypadków niespodziewanych i tego krótkiego trwania, jakie nieszczęśliwy zbieg okoliczności istnieniu księstwa zakreślił. Jak zbawienny wpływ jednak wywarło ono na dalszy rozwój narodu, to okaże następne opowiadanie. Przedewszystkiem należy sobie zdać sprawę z położenia, w jakiem tak nagła zmiana tę część Polski zastawała.

[1]) Dowodzi tego pomiędzy innemi list Zajączka w „Pamiętnikach Wybickiego“ str. 256.

Drugi rozbiór kraju zaskoczył społeczeństwo polskie w chwili najkrytyczniejszej, bo przejściowej, kiedy zaledwie rozpoczętą pracę reformatorską przerwały wypadki polityczne, a niepomyślna wojna z Rosyą wywołała zwątpienie i powszechny niemal upadek ducha. Dzieła zniszczenia dokonała w wysokim stopniu demoralizująca działalność Targowiczan, którzy — wydobywszy na wierzch męty społeczeństwa i usunąwszy zacnych i dobrze myślących obywateli od udziału w sprawach publicznych — gotowali narodowi najsromotniejszy, bo z upodleniem połączony upadek. Cios ten trafiał społeczeństwo nieprzygotowane, zaledwie zbudzone z długiego letargu, politycznie niewykształcone i po większej części pogrążone jeszcze w ciemnocie. Dziwić się zatem trudno, że zmianę rządu przyjęto w prowincyach zabranych bądź obojętnie, bądź z rezygnacyą, pozornie przynajmniej z radością, że w Poznaniu dla złożenia homagium królowi pruskiemu stawiło się w dniu oznaczonym (w uroczystość patrona Polski św. Stanisława) 1500 deputatów szlacheckich i 700 miejskich, że wszyscy oni wysłuchali przykładnie wystawnego nabożeństwa w kościele farnym, a następnie wzięli udział gromadny w świetnym balu, wyprawionym w pałacu Gurowskich. Wprawdzie ta sama Wielkopolska, z tak lekkiem sercem zmieniająca pana, otrzęsła się równie szybko z jarzma pruskiego, gdy ją Dąbrowski i Kościuszko pod sztandary narodowe powołali, ale upadek insurrekcyi, towarzyszące mu klęski i wychodźtwo tylu gorliwych patryotów, złamały ostatecznie moralną siłę narodu i wprawiły go w pewny rodzaj odrętwienia. W tym stanie rzeczy wziął się rząd pruski z właściwą sobie zręcznością i przebiegłością do dzieła. Pozornie łagodny i ludzki, posługujący się dobrodusznymi rzekomo urzędnikami, co jak generał Möllendorf w Poznaniu dla uprzejmości swojej „siwowłosym księżyną“ zwany,[1]) umieli sobie jednać popularność Polaków, miał on od początku cel jasno wytknięty: zniszczenia polskiej narodowości i przekształcenia nowych poddanych na obywateli czysto pruskiego kroju. Jako pierwszy środek ku temu miały posłużyć dobra narodowe, rozdarowane i rozdrapane przez Niemców za wpływem ministrów Hoyma i Goldbecka. Powstawały w ten sposób na ziemi polskiej fortuny junkrów brandenburskich, przyszłych pionierów germanizacyi, majątki Keyzerlingów, Treskowów, Rüchelów, Bischoffswerderów, książąt Hohenlohe-Ingelfingen i t. d., którzy — okupiwszy się sowicie ministrom wyżej wymienionym — zagarnęli dobra koronne w wartości 20,000.000.[2]) Równocześnie z tem ograbieniem narodu odbywał się zamach na szlachtę i duchowieństwo, dwie dla rządu pruskiego najniebezpieczniejsze warstwy społeczne, spotykały prześladowania najgorliwszych patryotów. Wybickiemu skonfiskowano majątek na pierwszą wieść o powstaniu legionów we Włoszech, innych sadzano po więzieniach lub wydalano, marszałek Małachowski ratował się ucieczką do Galicyi. „Patent względem utrzymania spokoyności i porządku w nowo objętych prowincyach“, ogłoszony w Wrocławiu dnia 9. sierpnia 1796. roku, wkła-

[1]) Przerowa Seweryn (K. Jarochowski): Literatura poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia. „Przegląd Polski“ z r. 1879. i 1880.

[2]) Smoleński Władysław: „Rządy pruskie na ziemiach polskich“ (1793—1807). Warszawa 1886.

Książe Józef Poniatowski pod Raszynem.
Podług obrazu Juliusza Kossaka.

dał na właścicieli dóbr obowiązek czuwania nad lojalnością poddanych, poddanym zaś przykazywał donosić o rewolucyjnych zamiarach dziedziców. Szczególniejszym przedmiotem troskliwości rządu była szlachta nieosiadła. Król Jegomość pragnął ten rodzaj poddanych swoich „dokładniej poznać, ażeby w zachodzących wypadkach bliższą, ojcowską o nich nawet mieć mógł staranność“. W tym celu zwoływano chudopachołków do urzędu, kazano im się legitymować świadectwami, pytano, czy chcą pozostać w kraju, czy zagranicą „szczęścia swego“ szukać, pozwalano chętnie na emigracyą, ale powrót utrudniano w każdy sposób.

Oprócz szlachty czułą opieką także otaczał rząd duchowieństwo katolickie i księży, którzy „w ostatniej nieszczęśliwej insurrekcyi sprawiedliwe na siebie zaciągnęli podejrzenie, że (stali się winni) prawdziwych buntów, osobistego sprzyjania i czynnego podpierania szkodliwych spisków, a nawet skrytych związków, ku obaleniu rządu krajowego zmierzających... i innych karygodnych przedsięwziąć, na które każde uczucie szacunku praw i moralnego porządku wzdryga się“. Zagrożono więc biskupom, oficyałom, dziekanom i przełożonym klasztorów sekwestrem i konfiskatą majątków za spiski podwładnych, zajęto wreszcie dobra duchowne na własność skarbu z wyjątkiem drobnych posiadłości i wyznaczono ze skarbu pensye na utrzymanie księży i służby kościelnej; określono wysokość opłat za śluby, chrzty, pogrzeby i inne tego rodzaju posługi i poddano kler cały tak zwanym kamerom, które sprawowały władzę administracyjną, podczas gdy sądownicza należała do regencyj.

Mniej kłopotów miał rząd pruski z mieszczaństwem. Z wyjątkiem Warszawy, której ludność dochodziła wtedy już do 70.000 i Poznania, stanowili mieszczanie ogółem $^1/_5$ część zaludnienia i składali się przeważnie z Żydów lub drobnych rzemieślników, trudniących się obok rzemiosła rolnictwem. Ta klasa ludności, uzyskawszy dopiero na wielkim sejmie znaczne prawa i przywileje, nie miała jeszcze czasu przejąć się duchem obywatelskim, a pogrążona w ubóstwie, nie wiele troszczyła się o sprawy publiczne i o los kraju. Żydzi zaś — jak zwykle korzący się przed siłą — byli od początku wiernymi poddanymi nowego rządu, a następnie dogodnem dla niego narzędziem germanizacyi. Oceniając trafnie te stosunki, otoczyli Prusacy życzliwą opieką miasta i mieszczaństwo, zabronili narzucać im poddaństwo, ograniczać przywileje, nakładać nowe lub podwyższać dawniejsze ciężary, ułatwili spłacanie długów, zaciągniętych przez miasta, opodatkowali browary, gorzelnie i szynki w promieniu $^1/_4$ mili od miast założone na gruntach miejskich i ograniczyli szkodliwą działalność Żydów przez surowe przepisy i ograniczenia pod względem handlu i wykonywania rękodzieł. Ogółem podobnie jak rząd austryacki tak i pruski odwdzięczył się Żydom za ich usłużność i uległość całym szeregiem ustaw, ścieśniających przywileje i swobody, jakie za czasów polskich posiadali. Żydzi mieli o tyle pewną wartość dla Prusaków, o ile tworzyli w kraju żywioł dogodny dla celów rządowych, o ile mogli się przyczynić do szybszego wynarodowienia miejscowej ludności. W tej myśli wydawano też przepisy, polecające Żydom przyjmowanie nazwisk niemieckich, zakładano szkoły, w któ-

rych mieli się uczyć po niemiecku i ściągano z nich za uwolnienie od służby wojskowej i prawo osiedlania się po miastach wysokie opłaty.

Najliczniejszą część ludności reprezentował stan włościański. Pozbawiony praw wszelkich, świeżo dopiero wzięty pod opiekę władz rządowych, ciemny i w lenistwie pogrążony, bo praca — chociażby najusilniejsza — w tych warunkach wcale prawie do polepszenia doli jego przyczynić się nie mogła, tworzył on klasę ludzi najbardziej upośledzoną i nie mającą wyobrażenia należytego o obowiązkach swoich względem kraju. Rząd pruski, pomimo zasad humanitarnych, któremi tak chętnie się chlubił, nie wiele zmienił smutny los chłopów, ograniczył tylko zwierzchnictwo panów nad włościanami w ten sposób, że wymiar sprawiedliwości poruczył t. zw. justycyaryuszom, płatnym przez dziedziców, a władzę policyjną oddał sołtysom, wyposażając ich bardzo rozległemi atrybucyami. Sołtys miał zatem czuwać nad utrzymaniem porządku w gminie i w zastępstwie dworu wykonywać rozkazy królewskie, jakoteż polecenia dziedzica o tyle, o ile się nie sprzeciwiały ustawom rządowym. Szczególnym jego obowiązkiem było utwierdzać w chłopach przekonanie, że „wszystkie rozkazy JKMci szczęśliwość całego kraju za cel mają, chociaż mieszkańcy nie zawsze są w stanie dostrzegać tego i fałszywie je częścią przez nierozsądek, częścią z uprzedzenia i złej opinii wykładają“. W ten sposób, zwaliwszy na właścicieli ziemskich wszelkie czynności, które mogły w ciemnych umysłach obudzić niechęć do dworu, jak n. p. pobór do wojska i dostarczanie rekrutów, utworzył rząd pruski po wsiach rodzaj stałych ajentów policyjnych w celu utrzymywania i krzewienia nieufności pomiędzy szlachtą a ludem.

O rozszerzenie oświaty pośród włościan nie troszczono się wcale, podniesienie moralne społeczeństwa polskiego bowiem nie leżało w interesie nowego rządu, a nawet mogło do pewnego stopnia wykonaniu zamiarów jego przeszkadzać. Im mniej bowiem byli Polacy usposobieni do służby w urzędach publicznych i w wojsku, tem łatwiej można było sprowadzać do kraju Niemców i z ich pomocą germanizować społeczeństwo. Odziedziczywszy po Rzeczypospolitej w prowincyach zabranych w roku 1793. i 1795. doskonale przez komisyą edukacyjną urządzony system szkolny, uczynił rząd pruski wszystko, aby go zaniedbać lub zrobić jednym z środków wynarodowienia. Nie myślano więc zupełnie o pomnożeniu nielicznych wprawdzie, lecz istniejących już szkółek wiejskich, nowe zakładano tylko w osadach niemieckich, lub po miasteczkach dla Niemców i wcelu niemczenia. W Warszawie utworzono t. zw. liceum i oddano rząd zwierzchni nad niem osobnej władzy (eforatowi) pod prezydencyą Stanisława Potockiego, ale i tu język niemiecki stał się główną podstawą wykształcenia, a celem szkoły było zbliżyć młodzież polską do niemieckiej i przygotować ją do słuchania nauk w uniwersytetach niemieckich, gdzie wskutek stosunków towarzyskich i niemieckiego otoczenia zatracała ducha narodowego.

Zwichnąwszy tym sposobem cały system wychowania publicznego i spętawszy ruch umysłowy surowemi przepisami cenzuralnemi, powstrzymali Prusacy na czas dłuższy wszelki rozwój literatury, jakoteż postęp w naukach

i umiejętnościach. Do roku 1800. panuje też w życiu umysłowem w zaborze pruskim zupełna prawie stagnacya. Obok ciekawych i ważnych dla nas dzieł niemieckich, wychodzą zaledwie nieliczne religijnej lub obojętnej treści książki polskie, jak: „Przekład życia Jezusa Chrystusa“ przez Abbé St. Réne z francuskiego“, albo „Historya hiszpańska za panowania Maurów“ przez księdza Gałeckiego, drukowała się u Deckera w Poznaniu „Gazeta Prus południowych“ (później „Gazeta Poznańska“) niegodziwym językiem polskim pisana, a podająca listy gończe za uczestnikami powstania kościuszkowskiego, likwidacyą długów Rzeczypospolitej i króla Stanisława Augusta, a wreszcie entuzyastyczne opisy pobytu pary królewskiej w Poznaniu.

W takich warunkach nie wielką korzyść mogło przynieść założenie „Towarzystwa Nauk“ w Warszawie w roku 1800. Rząd, czyniąc to ustępstwo, ograniczył całą działalność towarzystwa do pielęgnowania języka narodowego, wykluczył z rozpraw nauki moralne i politykę i pocieszał się zapewne myślą, że umiejętności ścisłe w ówczesnych stosunkach społecznych żadnego lub bardzo nieznaczne tylko będą miały znaczenie. Jakoż nie mylił się do pewnego stopnia. Niechęć do Niemców i niemczyzny, nadzieje pokładane we Francyi i dawniejszy kierunek literatury z czasów Stanisława Augusta, wywołały zwrot ku francuszczyźnie i wprowadziły do piśmiennictwa ówczesnego tę lekkość i powierzchowność, która mogła bawić i podobać się, ale trwalszego nie przynosiła pożytku.

„Nader mało potrzeba było w owym czasie — pisze wyborny znawca tej epoki Skarbek — aby za uczonego, lub t. zw. literata uchodzić. Znajomość powierzchowna literatury francuskiej, posiadanie jakiegokolwiekbądź księgozbioru, lub prenumerowanie na „Pamiętnik Warszawski“, jednało przydomek literata. Kto bajkę gładko zrymował, lub wierszyk francuski wytłumaczył, ten uchodził za poetę, a za wielkiego rymotwórcę ten, kto tragedyę francuską, na język polski przełożoną, na scenie wystawił. Prawdziwie uczeni ludzie odstraszali swoją mądrością ludzi światowych od siebie; poważano ich i przyznawano im wszystkie zalety, ale się zwykle nie posuwano do tej śmiałości, aby okazać chęć poznawania ich prac naukowych“.

Im mniej skłonności okazywało społeczeństwo ówczesne do zajęć poważniejszych, tem łatwiej rozwijały się i bujały w umysłach jałowych wszystkie wady i nałogi, właściwe charakterowi polskiemu. Wspomnieliśmy już, że czasy największego upadku narodowego były zarazem epoką niesłychanego rozluźnienia obyczajów i najwyuzdańszej rozpusty. Pogrzebowi Rzeczypospolitej towarzyszyły hałaśliwe i wstrętne orgie karnawałowe zarówno we Lwowie jak i w Poznaniu, w Grodnie i w Warszawie. Społeczeństwo ówczesne topiło troski polityczne na dnie puharu, wyrzuty sumienia tłumiło dźwiękami muzyk balowych, zapomnienia niedoli szukało w powodzi zmysłowych rozrywek. Stan ten, przerwany na chwilę powstaniem kościuszkowskiem, powrócił razem z wojskami mocarstw zaborczych, które w tem usposobieniu podbitego narodu widziały słusznie rękojmię własnego swego bezpieczeństwa i objawom lekkomyślności polskiej najmniejszej nie stawiały przeszkody, owszem, podniecając ją,

spodziewały się zdobycz swoją utrwalić i nowych poddanych do znoszenia jarzma obcego snadniej przyzwyczaić. Najskuteczniejszą i dla narodu polskiego najszkodliwszą działalność w tym kierunku rozwinął rząd pruski. Uregulowawszy w roku 1797. hypoteki w dobrach ziemskich i poznawszy w ten sposób dokładnie stan majątkowy właścicieli, otworzył on im wysoki kredyt w rządowych bankach i instytucyach finansowych. Czas to był dla rolników niezmiernie pomyślny, gdyż skutkiem wojen nieustannych w zachodniej i środkowej Europie podniosły się ceny produktów rolnych, Anglicy i Holendrzy byli zmuszeni zakupywać zboże w portach pruskich, a poddani pruscy, od traktatu bazylejskiego używający niczem niezamąconego spokoju i mający otwartą komunikacyą wodną, mogli z tego położenia na targach europejskich wielkie ciągnąć korzyści. Bezpośredniem następstwem tych stosunków było, że i wartość majątków ziemskich podniosła się znacznie i że dla ludzi lekkomyślnych otworzyły się źródła nadzwyczajnych dochodów, które zachęcały ich do życia nad stan i do marnotrawstwa. Działo się to zaś wtedy właśnie, kiedy szlachta polska — jak wyżej wspomniano — zapominając o obowiązkach swoich względem kraju, uważała niejako za jedyny cel życia swego używanie i zabawę, kiedy najlepsi i najzacniejsi obywatele, skazani na tułactwo i więzienie, nie mogli wpływem swoim powstrzymać społeczeństwa w zgubnem zaślepieniu. Każdy zatem, kto chciał, a chcieli prawie wszyscy, korzystał z hojności i uczynności banków rządowych. Jedni brali pożyczki dla podniesienia gospodarstwa — jak twierdzili — drudzy, aby spłacić młodsze rodzeństwo, inni, aby się pozbyć ciążących długów na majątku, a każdy z nich, nie mając żadnego doświadczenia w operacyach finansowych, opłacał się grubo ajentom bankowym i pośrednikom, którzy w Warszawie pańskie prowadzili życie i na polskiej lekkomyślności ogromne robili fortuny. A że pożyczający starali się zazwyczaj o jak najwyższe oszacowanie swoich majątków, co w ówczesnych, dla rolnictwa tak pomyślnych warunkach nie było rzeczą trudną, więc długi, zaciągnione w ten sposób, przechodziły możność właściciela i stawały się dla niego przyczyną nieuchronnego bankructwa. Byli i tacy, co złudzeni ową łatwością pożyczek i niskim od nich procentem, puszczali się na hazardowne spekulacye i — posiadając mały kapitalik — zakupywali wielkie majątki w nadziei, że pożyczką hypoteczną opłacą cenę kupna, a z dochodów umorzą długi. Ale i u jednych i u drugich kończyło się zwykle na bankructwie; dobra ziemskie, nominalnie będące w rękach polskich, stawały się w rzeczywistości własnością banków rządowych, lub zbogaconych amtmanów pruskich.

Narazie nie uczuwał nikt i nie przewidywał skutków tej lekkomyślnej gospodarki, wszyscy cieszyli się z pomyślnego stanu kraju i oddawali się bez troski o jutro wesołemu życiu, imponując oszczędnym Niemcom przepychem i rozrzutnością.

Pierwsze miejsce pod tym względem zajmowała Warszawa, gdzie książe Józef Poniatowski — osiedliwszy się po śmierci Katarzyny II. — przyświecał niestety zgubnym dla społeczeństwa polskiego przykładem. Po upadku powstania kościuszkowskiego wyjechał on do Wiednia, następnie — ulegając

namowom stryja — złożył przysięgę na wierność Pawłowi I. i — uchyliwszy się od służby w wojsku rosyjskiem — otrzymał od cara godność przeora zakonu maltańskiego, starostwo bohusławskie i klucz Zyple.[1]) Spadek po królu Stanisławie Auguście, acz obciążony legatami i długami, powiększył wprawdzie dochody księcia, ale poddał go zarazem w zawisłość od dworów zaborczych, które wzięły na siebie obowiązek spłacenia długów królewskich. Tak, czekając na uregulowanie zawikłanych swoich interesów, zamieszkał Poniatowski w Warszawie, a pałac jego „pod blachą“ stał się wnet ogniskiem życia towarzyskiego.

Nieszczęściem książe Józef obok niezaprzeczonych zalet serca i charakteru posiadał także sporo wad i słabości, właściwych ludziom owej epoki, należącym do wyższej warstwy społecznej. Chęć używania, lekkość obyczajów i skłonność do cudzoziemczyzny były typową cechą „złotej“ młodzieży polskiej, która za wzór niedościgniony dla siebie uważała rycerskiego synowca królewskiego. On też, sprowadziwszy do Warszawy Francuskę p. Vauban, oddał się zupełnie na usługi tej kapryśnej damy, „napojonej przesądami arystokratycznemi“.[2])

Dom „pod blachą“, otwarty dla młodzieży polskiej, był przystępnym tylko dla tych, którzy odpowiadali wymaganiom i wyobrażeniom książęcej gospodyni. „Stąd najwięcej gościnności doznawali cudzoziemcy, a z Polaków ci, których ogłada i doskonała znajomość języka francuskiego zalecała“. Język polski można było słyszeć tylko w gabinecie księcia, gdzie go używano „przy lulkach, do poufałych i żartobliwych rozmów“. Ta skłonność do cudzoziemczyzny rozpowszechniła się wkrótce w całem t. zw. wyższem towarzystwie i wywołała oczywiście reakcyą. Społeczeństwo, przestraszone i przygnębione klęskami, zaczęło zwolna budzić się z letargu. Z zagranicy pomimo surowej cenzury dochodziły głuche wieści o Polsce i Polakach. Dzienniki, w Warszawie i w Poznaniu wychodzące, donosiły od czasu do czasu o przejeździe „generała Kościuszki“ z Stockholmu do Londynu, o działaniach „polskiego grafa Michała Ogińskiego“ w Konstantynopolu, o obecności „oficyerów polskich“ w obozie tureckiego rebelizanta Passwana Oglu, wreszcie o walkach „generał-leytnanta Dąbrowskiego we Włoszech i Kniaziewicza nad Dunajem“. Pod wrażeniem tych wiadomości uderzały żywiej serca polskie, budziła się chęć do życia, w umysłach świtała nadzieja lepszej przyszłości, piśmiennictwo podnosiło nieśmiało głowę, przywaloną cenzuralnym obuchem; w Poznaniu powstało z inicyatywy arcybiskupa Ignacego Krasickiego pismo „Co tydzień“, skromne wprawdzie i potulne, ale odznaczające się dobrym językiem i umieszczające wspomnienia z dziejów narodowych.

W ślad za tem pojawił się „Nowy Pamiętnik Warszawski“ Dmochowskiego, Tadeusz Mostowski zaczął wydawać „Wybór pisarzów polskich, Bogumił Linde podjął wielką pracę nad ułożeniem swojego „Słownika“, a „Imci pan Bogusławski z towarzystwem komedyantów polskich“

[1]) Paszkowski Franciszek: „Książe Józef Poniatowski, jego życie i działalność“. Kraków. Str. 71.

[2]) „Pamiętniki Kajetana Koźmiana“, t. II, str. 100.

krzepił z desek teatralnych dźwiękiem mowy narodowej zbolałe serca rodaków. Jego obecność i pobyt w Warszawie dał też powód do pierwszego poważniejszego starcia pomiędzy stronnictwem narodowem a kosmopolitycznym kierunkiem „wyższego towarzystwa“, które popierało scenę francusko-włoską, a na przedstawieniach polskich nie bywało. Przeciw temu lekceważeniu narodowego teatru wystąpili członkowie „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“, Stanisław Sołtyk, niegdyś podstoli koronny, wreszcie słynny naówczas tłumacz Kornela i Woltera Ludwik Osiński, który w wierszu bezimiennie wydanym, wyszydził zamiłowanie do cudzoziemczyzny i zakończył go uszczypliwie:

Jeszcze Polak po polsku ją pisze i czyta,
Bo nie cała Warszawa jest blachą pokryta.

Na społeczeństwo tak usposobione musiała wiadomość o pogromie Prusaków pod Jeną podziałać jak iskra elektryczna. Nie pomogły tu żadne perswazye i rozumowania, duch narodowy, raz zbudzony z uspienia, rozgorzał jasnym płomieniem niepohamowanego zapału i porwał wszystkich, nawet najobojętniejszych. Ci sami, co niedawno jeszcze z pewnem lekceważeniem wyrażali się o „przedpokojowym patryotyzmie“, ubiegali się teraz o zaszczyt należenia do straży honorowej Napoleona, zapełniali szeregi tworzących się pułków polskich, nieszczędzili ofiar pieniężnych, stawali się Polakami. Furya wojenna, huk dział i szczęk broni otrzeźwiły nagle społeczeństwo zgnuśniałe, pogrążone w używaniu i apatyi, a utworzenie księstwa warszawskiego wskazało wszystkim cel zapomniany poczęści; pracę obywatelską nad podniesieniem narodu i odzyskaniem niepodległości. I w tem właśnie leżało wielkie znaczenie wypadków, które nie ziściły wprawdzie nadziei narodowych, ale nowe dla nich otworzyły horyzonty.

Początki księstwa warszawskiego. — Trudności finansowe. — Wady konstytucyi. Tak też a nie inaczej pojmowali położenie wszyscy rozumniejsi obywatele, zasiadający w rządzie tymczasowym, kiedy — widząc zapał ostygający w społeczeństwie polskiem — zalecali mu pracę i wytrwałość. „Bądźmy spokojni i cierpliwi — były słowa odezwy, wydanej w lipcu roku 1807. — a czas pokoju poświęcajmy naukom i ćwiczeniu się, abyśmy do boju i do usługi kraju coraz zdolniejszymi się stawali“. W upomnieniu tem zawierał się w tej chwili rzeczywiście cały program narodowy. Zwichnięte zasady wychowania publicznego, wystawne i wesołe życie i nieodłączne od niego próżniactwo wyjałowiły umysły w młodszem pokoleniu i uczyniły je niezdolnem do poważnej obywatelskiej pracy dla kraju. Edukacya polegała na towarzyskiej ogładzie, nikt nie sposobił się do zawodu praktycznego; nauka była jeżeli nie w pogardzie, to w zaniedbaniu.

To też nic dziwnego, że kiedy ta część Polski odzyskała względną przynajmniej niezawisłość, zabrakło rąk i głów do pracy, że na stanowiskach urzędowych musiano z konieczności pozostawić na czas dłuższy Prusaków i że narazie jedynym zawodem, do którego Polakom wrodzonych nie brakło zdolności, był zawód wojskowy. Z tego powodu postępowała raźnie formacya pułków polskich, tak, że podczas uroczystego wjazdu do Warszawy króla

Fryderyka Augusta (dnia 21. listopada 1807. roku) 24.000 wojska uszykowało się od alei ujazdowskiej do zamku dla powitania monarchy. Żołnierz to był świeży wprawdzie, ale pomięszany z weteranami włoskich legionów i prowadzony przeważnie przez doświadczonych oficerów ze szkoły Dąbrowskiego. Ogółem liczono dwanaście pułków piechoty, sześć jazdy, trzy bataliony artyleryi i inżynieryi, czyli 31.743 ludzi, 6035 koni i 95 dział polowych. Włodzimierz Potocki, syn Szczęsnego, mażąc winy ojca, wystawił własnym kosztem bateryą artyleryi konnej. W miarę tworzenia się tych pułków, wysyłano je natychmiast na linię bojową pod rozkazy Dąbrowskiego, Zajączka i Amilkara Kosińskiego. Dąbrowski zdobył dnia 23. lutego Tczew, gdzie zabrał 600 jeńców i 7 armat, raniony jednak przy tej sposobności, zdał dowództwo Giełgudowi i dopiero — wyleczywszy się — wziął udział w oblężeniu Gdańska, a potem w bitwie pod Friedlandem. We wszystkich tych spotkaniach okrywał się chwałą młody żołnierz polski i jednał sobie pochwały Napoleona, krzyże legii honorowej i zaszczytne wzmianki w buletynach wojennych. Niepewne położenie polityczne, widoki nowych wojen, a z niemi odzyskania całej niepodległości, nakazywały pielęgnować te cnoty rycerskie i główną uwagę zwracać na utrzymanie znacznej i doborowej armii, od której zawisłe były losy ojczyzny. Nietylko więc wola Napoleona, ale własny interes Polski i Polaków nakładał na skarb księstwa warszawskiego olbrzymie ciężary w ludziach i pieniądzach.

Podług układu, zawartego w Dreźnie (22. lipca 1807. roku) pomiędzy cesarzem a królem saskim, miało księstwo utrzymywać pod bronią stale 30.000 ludzi, którzy wraz z wojskiem saskiem należeli do kontyngentu konfederacyi reńskiej. Sam żołd dla tej siły zbrojnej wynosił rocznie 8,349.692 złotych polskich.[1]) W roku 1809. (po przyłączeniu zachodniej Galicyi) podniesiono na mocy konwencyi z dnia 30. listopada ilość stałego wojska do 60.000. Z tego przeszło w r. 1808. na żołd francuski 8000, równie jak i legia nadwiślańska (6000 piechoty i 1500 jazdy), które to korpusy wysłano do Hiszpanii. Osobno powstał pułk lekko-konny gwardyi cesarskiej, złożony z młodzieży szlacheckiej, niepobierającej żołdu i ekwipującej się na koszt własny. Dowództwo nad tym pułkiem powierzył Napoleon Wincentemu Krasińskiemu.

Z tego pobieżnego obliczenia łatwo ocenić, jak wielki podatek z krwi i mienia swego składali Polacy na ołtarzu ojczyzny i jak kosztowną była owa krótko trwająca i częściowo tylko niezawisła egzystencya narodowa. Do wydatków wyżej wymienionysh doliczyć trzeba bowiem jeszcze utrzymanie korpusu francuskiego marszałka Davoust (30.000) do listopada roku 1808. i wydatki na obwarowanie Serocka i Pragi. W innych warunkach byłby może i ten mały obszar ziemi polskiej — dzięki ofiarności obywateli — zniósł łatwiej nadzwyczajne ciężary, ale w tej chwili właśnie nastąpiło skutkiem zbiegu nader niepomyślnych okoliczności przesilenie, które mieszkańcom księstwa i państwu samemu zagrażało ruiną ekonomiczną. Długo trwający pobyt wojsk francuskich, karmionych kosztem obywateli, wyczerpał wszelkie zasoby gospodarzy, a system kontynentalny, zamykający dla statków angielskich porty

[1]) Żółtowski: „Die Finanzen des Herz-Warschau", Bd. I, S. 111.

Bałtyckiego morza, zniszczył odrazu cały handel zbożowy i powstrzymał wywóz płodów surowych zagranicę. Z drugiej strony służba wojskowa odjęła rolnictwu mnóstwo sił roboczych najzdolniejszych do pracy, a paragraf 47. konstytucyi — znosząc poddaństwo ludu wiejskiego, a nie dając mu równocześnie własności i nie uwalniając go od pańszczyzny — wywołał chwilowo

Fryderyk August król saski, książe Warszawski.

przynajmniej wielkie zamięszanie w stosunkach społecznych. Nieoświecona masa ludu wiejskiego, złudzona pozorną wolnością, zaczęła porzucać swoje zagrody w mniemaniu, że gdzieindziej los swój będzie mogła poprawić. Zerwały się więc dotychczasowe związki pomiędzy dworem a poddanymi, włościanin, który był obowiązany grunt swój przed odejściem uprawić i obsiać,

był narażony na straty dotkliwe, właściciel zaś, pozbawiony robotnika, musiał z nowymi ludźmi nowe zawierać układy, co korzyści gospodarstwu rolnemu chyba nie przynosiło. Zasadniczo chwalebny zamiar prawodawczy został w wykonaniu zwichniętym. Zamiast znieść niewolę i pańszczyznę razem i przystąpić do oczynszowania włościan, dano chłopu wolność, z której on korzystać nie umiał i przyspieszono w ten sposób ruinę ekonomiczną właścicieli, która pośrednio i dla ludności roboczej była klęską.

Życie nad stan, lekkomyślna rozrzutność i procenta od wysokich pożyczek, przy nagłem obniżeniu się cen ziemiopłodów, sprowadziły upadek wartości majątków, a z nim bankructwo obdłużonych dziedziców. W chwili zatem, gdy kraj raz po razu musiał się odwoływać do ofiarności publicznej i gdy od regularnego wpływania podatków zawisłem było utrzymanie wojska, rządu i egzystencyi narodowej, znalazła się klasa zamożniejsza w prawdziwie opłakanem położeniu finansowem. Wyczerpana z gotówki, którą w ostatnich czasach pochłonęły ofiary na wojsko i cele publiczne i pozbawiona dochodów z roli, nie widziała ona dla siebie innego ratunku jak w likwidacyi, w pozbyciu się jedynego źródła utrzymania, t. j. ziemi. Ale i ten środek rozpaczliwy nie mógł być zastosowanym w kraju, ogołoconym z kapitałów, pozbawionym handlu i przemysłu. Wprawdzie wierzytelności bankowe, na dobrach ziemskich zahypotekowane, nie należały wtedy już do rządu pruskiego, lecz powinny były przejść na własność króla saskiego, jako nowego władcy tych prowincyj.

Inaczej zapatrywał się na tę sprawę Napoleon. W traktacie drezdeńskim bowiem (z dnia 22. lipca 1807. roku) kazał on sobie odstąpić wszystkie te zaległości, wynoszące nie mniej i nie więcej jak 43,366.220 franków i 4,000.000 procentów. Jeżeli całe postępowanie jego względem Polaków aż dotąd dało się w znacznej części usprawiedliwić, to chciwość, jaką okazywał w kwestyach pieniężnych, nie przynosi zaszczytu ani jego sławie, ani bystrości politycznej. Jeżeli księstwo warszawskie miało stać na straży interesów francuskich nad Wisłą, to należało mu przedewszystkiem dać możność i środki do spełnienia tego posłannictwa. Napoleon wiedział, że kraj jest wycieńczony, że system kontynentalny rujnuje jego handel i rolnictwo, że wydatki na utrzymanie wojska pochłaniają szczupłe jego dochody, a jednak nie wahał się — bez żadnej dla siebie korzyści nawet — narazić skarb księstwa na zupełne prawie bankructwo, nieomieszkał dalej z dóbr narodowych, które stanowiły jedyne źródło stałych dochodów w chwili obecnej, przywłaszczyć sobie znaczną część jako zdobycz wojenną. Że wyposażył niemi zasłużonego dla sprawy narodowej Dąbrowskiego, nadając mu Winną Górę, że darował Zajączkowi, co w wierności dla Francuzów nikomu wyprzedzić się nie dał i „od rządów polskich niczego nie oczekiwał“, Opatówek w Kaliskiem, to było zrozumiałem i nawet ze stanowiska narodowego uzasadnionem, ale że przytem rozdał także pomiędzy 27 generałów francuskich dobra narodowe w wartości 26,000.000 franków i w roku 1809. z majątków galicyjskich równie część znaczną zabrał dla siebie, to wynikało chyba z chciwości i tej dumy niepohamowanej, która względów na nikogo nie miała i w własnem wyniesieniu i zbogaceniu jedyny swój cel zakładała.

Nie przyniosły też owe, po rządzie pruskim zagrabione wierzytelności bankowe Napoleonowi spodziewanych korzyści, bo niebawem okazało się, że długi hypoteczne z powodu wyżej wspomnianych niepomyślnych dla rolnictwa stosunków, nie mogą być rychło i w całości spłacone. Wtedy zawarł cesarz z komisarzami księstwa układ w Bajonnie (dnia 10. maja 1808. roku), mocą którego wszystkie te pretensye swoje odstępował na rzecz skarbu polskiego pod warunkiem, że otrzyma wciągu trzech lat 20,000.000 franków wraz z procentem po 5% płatnym od dnia 7. stycznia 1808. roku. To były t. zw. sumy bajońskie. Miały one niby zasilić skarb księstwa, a rzeczywiście zwaliły na niego ciężar nowy, przeszkodziły uregulowaniu finansów i ostatecznie w roku 1815. wskutek postanowień kongresu wiedeńskiego przeszły znowu w posiadanie Prusaków.

Ażeby się ratować w tych kłopotach, zwrócił rząd księstwa uwagę swoją na dobra narodowe. Pomimo rozdrapania majątków królewskich i Rzeczypospolitej za czasów pruskich i pomimo uszczuplenia ich wskutek donacyj napoleońskich przedstawiały dobra narodowe, znajdujące się w księstwie warszawskiem, zawsze jeszcze wartość 200,000.000 złotych polskich, a dochód z nich wynosił od 1807. do 1813. roku 3,000.000 do 6,500.000 złotych polskich. Na nich też była ufundowana lista cywilna królewska, w wysokości 7,000.000 złotych polskich. Administracya spoczywała od roku 1810. w rękach osobnej dyrekcyi dóbr koronnych, urzędującej pod przewodnictwem hr. Marcina Badeniego. Po przyłączeniu Galicyi zachodniej wzrosła wartość dóbr o 70,000.000 złotych polskich. Puszczano je zazwyczaj w dzierżawę, ale dochody były nieznaczne z powodu niegodziwej gospodarki dawnych starostów, którzy wyciągali z majątków nadanych sobie dożywociem największe zyski, a wkładów nie czynili żadnych, lub też z powodu klęsk wojennych i elementarnych, jak najazd austryacki w roku 1809. i straszliwa posucha w roku 1811. W tak niepomyślnych okolicznościach zamierzył rząd użyć dóbr narodowych w inny sposób; w roku 1808. postanowiono zaciągnąć pożyczkę przymusową u dzierżawców, a gdy ta operacya się nie powiodła, sprzedać część dóbr lub zastawić je do wysokości 30,000.000. Ale brak gotówki, nieprzychylne usposobienie zagranicznych targów pieniężnych, jakoteż niepewność położenia udaremniły wszelkie zabiegi i starania rządowe. Głównem źródłem dochodów pozostały więc podatki, takie, jak niegdyś rząd pruski ustanowił, wpływające dla ogólnego ubóstwa kraju leniwie i nie wystarczające wcale na pokrycie potrzeb bieżących.

Jedna tylko gałęź administracyi publicznej mogła się rozwijać niezawiśle pod względem finansowym i zdziałać wiele dla dobra kraju i podniesienia społeczeństwa. Mamy tu na myśli wychowanie młodzieży i oświatę wogóle. Mając do swego rozporządzenia fundusz dawnej komisyi edukacyjnej, zachowany przez rząd pruski, nie potrzebowała się ona oglądać na zasiłki ze skarbu publicznego, ani obmyślać nowych programów, gdy świetne tradycye i doskonałe wzory z czasów Rzeczypospolitej wskazywały z góry kierunek, w jakim działać należało. Dochody z dawnych funduszów pojezuickich nie były wprawdzie znaczne, bo wynosiły tylko 1,200.000 złotych polskich, a po przy-

łączeniu Galicyi wzrosły do 2,000.000, ale i z tą dotacyą przy dobrej woli i jakiej takiej pomocy rządowej zrobiono dla oświaty narodowej wciągu lat kilku daleko więcej, niż wszystkie trzy rządy zaborcze przez lat 13. Ster edukacyi publicznej, oddany nominalnie ministerstwu spraw wewnętrznych, objęła izba edukacyjna, stworzona z dawnego eforatu warszawskiego na wzór komisyi edukacyjnej. Działanie jej zwróciło się najpierw ku pomnożeniu szkół elementarnych i średnich. Do utrzymania pierwszych mieli się przykładać obywatele, podzieleni na cztery klasy stosownie do majątku; w każdym departamencie urządzono nadto jedno gimnazyum (t. zw. liceum), w departamencie łomżyńskim dwa, a w Warszawie trzy. Brak uniwersytetu starano się zastąpić szkołami specyalnemi, szkołą prawa i administracyi, jakoteż wydziałem lekarskim; dla kształcenia nauczycieli założono seminarym w Łowiczu, przekształcono szkoły wojskowe kadetów w Chełmie i Kaliszu, a książe Józef Poniatowski utworzył własnym kosztem w Warszawie dwie szkoły aplikacyjne dla artylerzystów i inżynierów na wzór podobnego zakładu francuskiego w Metzu. Oceniając ogólnie działalność rządu polskiego w epoce księstwa i trudności, z jakiemi musiał walczyć, niepodobna wydać o niej sądu przychylnego, ani też uniewinnić zupełnie i rozgrzeszyć ludzi, kierujących wtedy sprawami publicznemi. Przykład sąsiednich Prus rzuca jaskrawe światło na stosunki polskie. Państwo Hohenzollernów, zmniejszone o połowę,[1]) wyszło z zapasów z Napoleonem złamane na duchu i na ciele. Zamiast dawnej pychy zapanował serwilizm i bezwzględna dla zwycięzcy uległość. Pod względem materyalnym były wszystkie prowincye zniszczone kontrybucyami Francuzów, niesłychanemi okrucieństwami i zdzierstwem sprzymierzonych Moskali; rolnictwo i handel cierpiały podobnie jak w księstwie skutkiem zaprowadzenia systemu kontynentalnego, a skarb publiczny musiał zapłacić pomimo tego olbrzymie koszta wojenne w kwocie 150,000.000 franków i utrzymywać przez szereg lat garnizony francuskie, w twierdzach pruskich rozłożone.

Finansowo zatem znajdowały się Prusy w położeniu gorszem od księstwa warszawskiego, a jednak znaleźli się tam ludzie, jak Stein i Scharnhorst, którzy — z niesłychaną gorliwością i dzielnością zabrawszy się do dzieła — państwo z upadku podźwignęli i przygotowali je w cichości do stanowczej walki o niepodległość w roku 1813. Nie wahano się nad Spreą i Odrą prawie jeszcze wśród szczęku oręża, a w każdym razie pod obuchem obcej przemocy zaprowadzić reformę stosunków społecznych, znieść poddaństwo w dobrach koronnych i prywatnych (od 1. czerwca 1808. roku), dać chłopu wolność i możność trudnienia się rzemiosłem i osiedlania się po miastach, uregulować stosunki municypalne, a obok tego wszystkiego zorganizować siłę zbrojną i z pospolitego żołdaka uczynić świadomego swoich obowiązków obywatela.

U nas nad Wisłą działo się nie inaczej. Zapatrzeni w słońce napoleońskie, przyjąwszy szablon francuski w urządzeniu administracyi, w stosunkach społecznych i wojskowych, nie uczyniliśmy z własnej inicyatywy nic prawie ku ulepszeniu narzuconej nam formy, lecz poprzestaliśmy na ścisłem tylko

[1]) Przed wojną posiadały Prusy 5570 mil kwadratowych i 9,744.000 mieszkańców, po pokoju tylżyckim pozostało 2877 mil kwadratowych i 4,938.000 ludności.

wypełnieniu rozkazów, z góry dawanych. Nie można wprawdzie odmówić ludziom owego czasu ani ofiarności, ani poświęcenia, ani wreszcie gorliwości w spełnianiu obowiązków obywatelskich, brakowało im jednak fachowego wykształcenia, znajomości spraw publicznych i tej siły woli, która — połączona z świadomością celów — zwycięsko największe nawet przełamuje przeszkody. Gdy wyżsi urzędnicy z podziwienia godną bezinteresownością bezpłatnie pełnili swoje obowiązki, panowały na niższych stopniach nędznie uposażonych przekupstwo i nadużycia. Skarb publiczny płacił ogromne sumy na utrzymanie całego zastępu urzędników tam, gdzie kilku z nich nietrudnemu zresztą zadaniu snadnie podołać mogło. W jednym z departamentów galicyjskich zamiast 9 urzędników skarbowych, pobierających 15.950 złotych polskich, ustanowiono 39 z płacą 127.010 złotych polskich.[1])

Równie zbytkowną była administracya wojskowa. Bez względu na trudności finansowe ubrano żołnierzy i oficerów na wzór francuski, kosztownie i niepraktycznie i starano się nawet w tym kierunku prześcignąć bogatego opiekuna. Znaczna część winy za to postępowanie nieprzezorne spada nie na króla, lecz raczej na tych, co w jego imieniu krajem rządzili, a więc na ministrów. Hr. Schönfeld, przybywszy do Warszawy dnia 5. października 1807. roku, rozwiązał z polecenia królewskiego dotychczasową komisyę rządzącą i mianował prezesem ministrów Stanisława Małachowskiego, tekę sprawiedliwości powierzył Łubieńskiemu, spraw wewnętrznych Łuszczewskiemu, skarbu Dębowskiemu, wojny księciu Józefowi Poniatowskiemu, policyi Aleksandrowi Potockiemu; ministrem sekretarzem stanu został Breza.

Wybór osób był — o ile stosunki na to pozwalały — wogóle dość trafnym, ale skutek niezupełnie odpowiadał oczekiwaniom. Podług konstytucyi byli ministrowie zależni tylko od króla, przed sejmem nieodpowiedzialni, w rękach ich znajdowała się cała władza wykonawcza, a gdy § 86 ustawy dawał im moc w porozumieniu i za zezwoleniem króla uzupełniać konstytucyą, mieli zatem do pewnego stopnia swobodę działania, z której jednakże nie umieli lub nie chcieli korzystać. Mniej szczęśliwem też nazwać trzeba oddanie teki ministra wojny i naczelnego dowództwa nad siłą zbrojną księciu Józefowi Poniatowskiemu. Jedna z tych godności należała się niewątpliwie Dąbrowskiemu z powodu zasług, jakie położył około sprawy narodowej, lub też z powodu doświadczenia i organizatorskiego talentu, którego tak świetne dał dowody.

Książe Józef nie miał — jak wiemy — dobrej wówczas opinii w kraju, nie posiadał też zdolności wojskowych w tym stopniu, co Dąbrowski. Zalecała go powierzchowność piękna, postawa rycerska, gładkość w obejściu, wreszcie blask imienia imponujący bądź co bądź Napoleonowi. Poprzyjaźniwszy się z Muratem, miał Poniatowski temsamem już znaczne u cesarza poparcie, a wolano go niewątpliwie niż Dąbrowskiego, który wszędzie i zawsze miał na celu tylko odbudowanie Polski. Napoleon wynagrodził go więc milionową dotacyą, ale zorganizowanie wojska poruczył księciu Józefowi. Patryotyczny umysł Dąbrowskiego zniósł krzywdę tę spokojnie wprawdzie, ale znaleźli się inni,

[1]) Żółtowski: „Die Finanzen des Herzogthums Warschau“, Bd. I, S. 96.

a pomiędzy nimi szczególniej Zajączek, którzy niechęcią swoją utrudniali działanie wodza naczelnego i ministra tem bezkarniej, gdy mieli poparcie u publiczności, obrażonej pominięciem Dąbrowskiego. Nie był też książe Józef nawet — podług zdania przychylnych mu pisarzy[1]) — zupełnie odpowiednim na to stanowisko. Nie umiał mianowicie trafnie oceniać ludzi, kierował się zazwyczaj słabością serca i z tego powodu w otoczeniu jego znajdowali się przeważnie pochlebcy niegodni zaufania, jakie w nich pokładał. „Znał, czego dla służby potrzeba było, rachował się z okolicznościami obecnemi, uwzględniał położenia jako obywatel kraju i dawny wielu osób protektor, ze szczodrobliwością, z przyjacielską chęcią, ale nie jako wódz, przewidujący czyny i zapasy, które go i wojsko jego czekają“.[2]) Bohaterski bój pod Raszynem i zdobycie Galicyi podniosły znaczenie księcia Józefa u narodu, zjednały mu serca ziomków i przytłumiły do pewnego stopnia wrażenia lat ubiegłych, a śmierć chwalebna na polu bitwy uczyniła go jedną z najpopularniejszych postaci w kraju i zagranicą.

Mniej jeszcze sympatyi używał minister sprawiedliwości Feliks Łubieński. Już zbyt skwapliwe wprowadzenie kodeksu napoleońskiego i powstałe stąd zamięszanie w sądownictwie musiało niekorzystnie dla niego usposobić umysły; zarzucano mu nadto, że najważniejsze urzędy obsadzał swoimi krewnymi,[3]) lub dawnymi oficyalistami pruskimi, którzy o instytucyach i charakterze narodowym najmniejszego nie mieli wyobrażenia[4]) i że zmieniał dowolnie wyroki królewskie. Sprawa z Kuczyńskim, który za ostrą drukiem ogłoszoną krytykę Łubieńskiego został do sądowej pociągniętym odpowiedzialności, popsuła do reszty kredyt ministrowi i stała się przyczyną wielkiej wrzawy w izbie sejmowej.

Czynności reprezentacyi narodowej rozpoczęły się dość późno, bo dopiero dnia 2. grudnia 1808. roku zwołał król publiczne posiedzenie senatu pod przewodnictwem Stanisława Małachowskiego i zagaił je mową, pełną uległości i wdzięczności dla Napoleona. Mimoto wrażenie było wielkie i podniosłe. „Po szesnastoletniej, zatraconej reprezentacyi — tak wyrażał się Niemcewicz w sprawozdaniu, umieszczonem w dziennikach współczesnych — widok króla, ojczystym mówiącego językiem, ten szczupły senat, z dawnych złożony prawodawców, grono patrzących ziomków, najtkliwsze wzbudzały uczucia; wszystkich serca były poruszone, rzewne wspomnienia stawały w umyśle każdego“. W dwa tygodnie po posiedzeniu senatu odbyły się sejmiki i wybory posłów, poczem uniwersałem z dnia 15. lutego 1809. roku zwołał król pierwszy sejm księstwa na dzień 7. marca. Serdeczna i o prawdziwej dla narodu przychylności świadcząca mowa Fryderyka Augusta poruszyła żywo umysły i sprawiła na wszystkich jak najmilsze wrażenie. To też pomimo smutnego obrazu, jaki roztoczył przed izbą minister spraw wewnętrznych w swojem sprawozdaniu o położeniu kraju, uchwalił sejm z największą skwapliwością wszystkie przedłożenia rzą-

[1]) Porów. „Pamiętniki Koźmiana“ t. II, str. 104. — Paszkowski: str. 87.
[2]) Tamże.
[3]) Niemcewicz: „Pamiętniki“, t. I, str. 8.
[4]) Koźmian: „Pamiętniki“, t. II, str. 74.

dowe, a więc zmianę kodeksu kryminalnego, ustawę o aktach stanu cywilnego, przyjął bez namysłu kodeks handlowy francuski i kilka projektów skarbowych, podnoszących znacznie dotychczasowe podatki i daniny. Nie można jednakże powiedzieć, aby izba poselska w ślepej dla rządu uległości zapomniała była o swoich prawach i obowiązkach.

Członkowie rady stanu mieli na mocy konstytucyi prawo zasiadać i głosować w izbie, a że liczba ich nie była określona i królowi przysługiwało prawo nominacyi, więc zachodziła obawa, aby rząd przez nadzwyczajne pomnożenie ilości radców nie chciał utworzyć dla siebie większości w sejmie. Na tem tle wywiązała się dyskusya, zwrócona przeciw radzie stanu. Młody poseł maryampolski (Godlewski) krytykował ostro wnioski rady i wywołał tem szorstką odpowiedź radcy Linowskiego, znanego posła z czasów wielkiego sejmu. Obrażona izba powstała z miejsc swoich, wołając: Pod sąd! Precz z Linowskim! Hałas trwał przez całą godzinę, ministrowie udali się do króla, który — naradziwszy się z nimi — wydał natychmiast wyrok z naganą dla Linowskiego, a obok tego dekret, ograniczający ilość radców stanu, z prawem głosowania w izbie, do sześciu.

Posłowie odpowiedzieli okrzykiem: Niech żyje król! i nazajutrz zaprosili przez marszałka Linowskiego na posiedzenie. Rozumne postępowanie Fryderyka Augusta w tym wypadku podbiło mu zupełnie serca narodu i izby poselskiej, wnioski podatkowe po krótkiej dyskusyi przyjęto w całości i dnia 24. marca ukończono obrady. Król ograniczył się w mowie, zamykającej sejm, tylko do krótkiej wzmianki o burzliwem zajściu. „Pokryję tu milczeniem — były słowa jego — niejakie nieregularności pierwszego tego zgromadzenia izby poselskiej, gdy jednostajnie powtarzane dowody ufności i przywiązania dla naszej osoby, samem tylko ojcowskiej swojej wdzięczności uczuciem serce moje napełniają“.

Nazajutrz, oddawszy przewodnictwo rady stanu Stanisławowi Potockiemu w miejsce osłabionego wiekiem Gutakowskiego, wyjechał Fryderyk August spiesznie do Drezna, dokąd go powoływały niepokojące wieści o wzburzeniu umysłów i o nowej groźnej wojnie.

Pokój tylżycki. — Wojna hiszpańska. — Zjazd w Erfurcie. Pokój tylżycki miał położyć podwaliny nowego porządku, opartego na francusko-rosyjskiem przymierzu. W chwili, kiedy obaj monarchowie — poprzyjaźniwszy się ze sobą — spędzali czas wesoło na biesiadach, przeglądach wojskowych i poufnych pogadankach, nadeszła z Konstantynopola od ambasadora francuskiego Sebastianiego depesza, donosząca o złożeniu z tronu sułtana Selima III. i o zupełnej zmianie stosunków nad Bosforem. Napoleon, odczytawszy w obecności Aleksandra tę niespodziewaną wiadomość, zawołał: „Oto wyrok Opatrzności, wskazujący, że państwo ottomańskie dłużej istnieć nie może“. Nagle uwaga obu mocarzy zwróciła się ku dalekiemu wschodowi; wnuk Katarzyny II. przypomniał sobie żywo plany babki, przed oczyma Napoleona przesunęły się świetne tryumfy egipskie. Przez kilka dni następnych nie mówiono o niczem, jak tylko o kwestyi wschodniej, o możliwem, nieuniknionem prawie rozbiorze Turcyi.

Napoleon wskazywał na mapie przyjacielowi swemu przyszłe nabytki terytoryalne na półwyspie bałkańskim. Rosya miała zabrać księstwa naddunajskie i ewentualnie część Bułgaryi, Francya Bośnię i Albanię, przylegające do illyryjskich jej posiadłości, dalej Epir i Grecyą. Bujna wyobraźnia unosiła jednego i drugiego; car widział w duchu drogę do Konstantynopola otwartą, Napoleon możność pokonania znienawidzonej Anglii. Na tej podstawie porozumienie nie było trudnem. Harmonią duchów i serc psuł cokolwiek Fryderyk Wilhelm III. w postawie pokornego petenta, wieszający się u boku swego sprzymierzeńca z nad Newy, psuła Polska, jak widmo grobowe trapiąca sumienie carskie i przypominająca Napoleonowi zaciągnięte u Polaków długi i niejasne obietnice, półsłówkami rzucane z Berlina i Poznania. Obie te kwestye należało więc najpierw uprzątnąć. Z Polską załatwiono się prędko; Napoleon na zapytanie Aleksandra nie wahał się oświadczyć, że nie myśli o odbudowaniu Rzeczypospolitej.[1]) Tem gołosłownem zapewnieniem, które podług późniejszego tłumaczenia cesarza[2]) wcale go nie obowiązywało, zadowolnił się car, skoro mu przyrzeczono, że państwo pruskie istnieć nie przestanie. Z Prusami było cokolwiek trudniej, bo gdy za Polską nikt nie przemawiał, bronił sprawy Hohenzollernów król, minister jego Hardenberg, piękna królowa Ludwika i wreszcie sam car. Pod naciskiem tych orędowników przyzwolił Napoleon na warunki uciążliwe wprawdzie, ale ratujące przynajmniej byt zagrożonej monarchii. Tak przyszedł do skutku pokój tylżycki, ale obok tego i traktat zaczepno-odporny pomiędzy Francyą i Rosyą, mający na celu uspokojenie Europy. Oba mocarstwa zobowiązywały się zwalczać swoich nieprzyjaciół wspólnemi siłami na morzu i na lądzie, car przyjmował pośrednictwo pomiędzy Francyą a Anglią, a gdyby ta ostatnia do 1. grudnia 1807. roku nie zawarła pokoju na warunkach jej przedłożonych, miał dwór petersburski odwołać swojego ambasadora z Londynu i skłonić Danią, Szwecyą i Portugalią do zamknięcia portów swoich Anglikom i do wypowiedzenia wojny temu mocarstwu. Podobny obowiązek brał na siebie Napoleon względem Turcyi, na wypadek zaś odrzucenia warunków pokojowych mieli obaj sprzymierzeńcy uderzyć na Portę ottomańską i z pod jarzma tureckiego uwolnić wszystkie prowincye, z wyjątkiem Konstantynopola i Rumelii.[3]) W ten sposób pod pięknym pozorem uspokojenia Europy zamierzali sprzymierzeni mocarze dopiąć właściwych swoich celów, Napoleon pognębić Anglią, Aleksander zaś utorować sobie drogę do Konstantynopola, a każdy z nich pragnął, aby jego życzenia w najkrótszym spełniły się czasie. Car szczególniej niecierpliwił się i zniechęcał co chwila.

Przyjaźń francuska wynikała z osobistych jego sympatyj. Olśniony potęgą geniuszu napoleońskiego i pociągnięty nadzieją wielkich zaborów na półwyspie bałkańskim, wrażliwy zresztą z natury i przejęty obawą o los swoich prowincyj polskich, stał on się nagle zapalonym wielbicielem tego Napoleona,

[1]) Vandal Albert: „Napoleon et Alexandre I.“ L'alliance russe sous le premier empire I. De Tilsit à Erfurt. Paris 1891. Str. 63.

[2]) Vandal Albert: „Napoleon et Alexandre I.“ Str. 106.

[3]) Vandal Albert: „Napoleon et Alexandre I.“ (Warunki traktatu.) Str. 505.

Napoleon dekoruje hr. Tyszkiewicza r. 1812.

Podług obrazu Juliusza Kossaka.

którego niedawno jeszcze wszelkiemi zwalczał siłami. Ale naród rosyjski niepodzielał tych entuzyazmów carskich. Ciemna masa ludu, podburzana dotąd manifestami carskimi przeciw Francuzom, widziała w nich heretyków, wrogów państwa i prawosławnej cerkwi, arystokracya, nadająca ton polityce, rewolucyonistów i burzycieli porządku społecznego. Savary, wysłany do Petersburga, zastał drzwi salonów dla siebie zamknięte, umierał z nudów i tygodniami całemi zwiedzał — jak najzwyklejszy turysta — osobliwości nadnewskiej stolicy, aby zabić czas i uniknąć nieprzyjemności, które na każdym kroku go spotykały.

Pomimo tak nieprzyjaznego usposobienia opinii publicznej zdecydował się car na zerwanie stosunków z Anglią, ale równocześnie zażądał dla siebie wynagrodzenia na wschodzie, narazie Mołdawii i Wołoszczyzny. Napoleon zgodził się w zasadzie na tę propozycyą pod warunkiem, że Prusy, które dotąd kontrybucyi wojennej nie zapłaciły, oddadzą Szląsk królowi saskiemu. W Petersburgu zaprotestowano jak najmocniej przeciw podobnej zamianie. W sercach ministrów rosyjskich obudziło się nagle żywe współczucie dla dawnego sprzymierzeńca z nad Sprei i niezmierna troskliwość o los monarchii pruskiej. Właściwe pobudki tych sympatyj były jednak innego rodzaju. Aleksander I. i jego doradcy zdawali sobie doskonale sprawę ze znaczenia, jakie mógł mieć Szląsk dla króla saskiego i jego polskich posiadłości. Nabytek tej prowincyi zamożnej podnosił potęgę Fryderyka Augusta, przyłączenie jej do księstwa warszawskiego mogło obudzić w ludności szląskiej dawne tradycye polskie, wzmocnić tam żywioł narodowy i przyspieszyć odbudowanie tej Polski, która jak widmo straszyła bezustannie rządy zaborcze. Wszak król saski nie taił się wcale z swojemi sympatyami polskiemi, lecz przeciwnie przy każdej sposobności wspominał o tradycyach, łączących go z narodem polskim, okazywał jak największą dla Polaków życzliwość i jeżeli marzył o wywyższeniu swojem i dynastyi swojej, to widział je zapewne w uzyskaniu tej korony, którą rodzinie jego sejm czteroletni przed niedawnym czasem przeznaczył.

Nic dziwnego zatem, że gabinet petersburski odrzucił projekt Napoleona i że sam car nawet ochłódł znacznie w przyjaznych swoich dla Francyi sentymentach. Ale w Paryżu znano zanadto dobrze słabe strony polityki rosyjskiej, aby się przerażać chwilowemi objawami złego humoru Aleksandra. Jeden list Napoleona wystarczał do utrwalenia nadwątlonej cokolwiek przyjaźni. Dnia 2. lutego 1808. roku przedstawił on carowi nowy plan i rzucił nową dla niego ponętę. „WCMość — pisał — pragniesz oddalić Szwedów od swojej stolicy i rozszerzyć granice swojego państwa, gotów jestem pomagać mu w tem całą moją potęgą. Tymczasem armia, złożona z 50.000 Rosyan, Francuzów, a może i Austryaków, ruszy przez Konstantynopol do Azyi, a zanim dojdzie do Eufratu, zadrży Anglia i upokorzy się przed wolą kontynentu. Za miesiąc mogą wojska nasze stanąć nad Bosforem“.

Takiej pokusie nie mógł się oprzeć Aleksander. W sprawie szwedzkiej list był o tyle spóźnionym, że Rosyanie już 15. lutego wkroczyli do Finlandyi i zajęli prowincyą tę w krótkim czasie i bez wielkich trudności, ale zamiary ich sięgały dalej, car marzył o zdobyciu Stockholmu, o strąceniu z tronu

wiernego sprzymierzeńca Anglii (Gustawa IV.), w salonach petersburskich radowano się, że nareszcie nadarza się sposobność do pomszczenia zniewagi, jaką ten „królik“ w swoim czasie wyrządził siostrze cesarskiej. W takich warunkach była pomoc francuska bardzo pożądana; jeszcze większe nadzieje budził projekt wyprawy tureckiej. Car był więc zachwyconym; raz po razu powtarzał Caulincourtowi: „Oto wielki człowiek! Oto plan wspaniały!“ odczytywał po kilkakroć list Napoleona [1]) i kazał ambasadorowi francuskiemu natychmiast układać się z Rumiańcowem o podział Turcyi i wśród tych objawów radości, wybornego humoru wśród wylewu uczuć przyjacielskich dla potężnego swego sprzymierzeńca miał tylko troskę jedną, nieustanną: obawę przed odbudowaniem Polski. Żądał zatem gwarancyi co do Szląska, powstrzymania „niewczesnych manifestacyj“ polskich, a wreszcie proponował zjazd w Erfurcie, ale jak najprędzej; za 15 dni obiecywał się tam stawić nieomylnie.

„WCMość — pisał równocześnie Caulincourt do Napoleona — może połączyć Włochy, a nawet i Hiszpanią z Francyą, może zmieniać podług swej woli dynastye, zakładać królestwa, żądać pomocy na lądzie i morzu w celu zdobycia Egiptu, gwarancyj wszelkiego rodzaju, robić zamiany z Austryą, jednem słowem przeistoczyć świat cały, byle tylko Rosya otrzymała Konstantynopol i Dardanelle“.[2])

Ale Napoleon nie myślał w tej chwili już o stanowczem rozwiązaniu kwestyi wschodniej. Głównym i najważniejszym celem jego polityki było upokorzenie dumnego Albionu, dlatego związał się z Rosyą, dlatego układał plan rozbioru Turcyi, wielką wyprawę do Azyi, usiłował wciągnąć w swoje kombinacye Austryą i dlatego popierał zaborczą politykę Aleksandra względem Szwecyi. Obecnie cała prawie Europa uległa woli potężnego imperatora, zamknęła swoje porty Anglikom, zerwała z nimi stosunki handlowe, z wielkich rynków europejskich pozostawała zapobiegliwym wyspiarzom oprócz Turcyi jedna tylko Hiszpania i Portugalia, gdzie — pomimo wpływów francuskich — skutkiem nieudolności rządu i nędznej administracyi utrzymywały się dawniejsze stosunki. Wyprzeć stamtąd Anglików zupełnie i cały półwysep iberyjski poddać pod ogólny kierunek polityki francuskiej znaczyło tyle, co zawładnąć morzem Śródziemnem i zadać najdotkliwszy cios niezłamanej dotąd potędze brytańskiej. Dopięcie tego celu wydawało się Napoleonowi pilniejszem, niż awanturnicza cokolwiek i w skutkach swoich wątpliwa wyprawa nad Eufrat, połączona z nieuniknionem a stanowczem rozwikłaniem kwestyi wschodniej. W lutym roku 1808. powziął on decydujące w tym względzie postanowienie: Hiszpania miała stać się podobnie jak Włochy lennem francuskiem, zwyrodniałych i epileptycznych Burbonów miała w Madrycie zastąpić świeża latorośl z rodziny Bonapartych. Stosunki były do tego przygotowane. W jesieni roku 1807. zawarł Napoleon z Karolem IV. traktat o podział Portugalii. Wojska francuskie pod dowództwem marszałka Junota zajęły ten kraj w spółce

[1]) Vandal Albert: „Napoleon et Alexandre I.“ Str. 285.

[2]) Vandal Albert: „Napoleon et Alexandre I.“ (Raport Caulincourta z dnia 26. marca 1808. roku.) Str. 307.

z Hiszpanami, książe-regent portugalski wraz z rodziną swoją odpłynął do Brazylii.

W ten sposób stanęły dla Francuzów otworem wąwozy pirenejskie; Napoleon pocichu pchał pułk za pułkiem ku brzegom Tagu, w kraju rosło niezadowolenie; wołano, że król i kamarylla dworska sprzedała Hiszpanią Francuzom, wreszcie powstały groźne zaburzenia, Karol IV. złożył koronę na rzecz syna swego księcia Asturyi Ferdynanda (VII.), ale to w niczem niezmieniło położenia, owszem teraz dopiero rozpoczęła się zapamiętała walka stronnictw i Napoleon mógł wystąpić w roli pośrednika. Zwabiwszy rodzinę królewską do Bayonny, ujrzał się — po wstrętnych scenach pomiędzy ojcem a synem — panem sytuacyi. Korona hiszpańska, którą w dziwnem zaślepieniu składali kolejno Ferdynand VII. i Karol IV., dostała się Józefowi Bonapartemu, tron neapolitański po nim objął Joachim Murat. Zdawało się, że Napoleon dopiął wreszcie upragnionego celu. Wszystkie narody romańskie podlegały jego berłu; na półwyspie apenińskim rządził pasierb cesarza, Eugeniusz Beauharnais, mianowany wicekrólem, prowincye papieskie wcielono do królestwa włoskiego, Sycylia, ogołocona z wojsk angielskich, które poszły pomagać Szwedom, nie była w stanie opierać się długo potędze francuskiej, wyspy jońskie, Korfu i Dalmacya stanowiły najdalej na wschód wysunięte posiadłości cesarstwa i wskazywały drogę w głąb półwyspu bałkańskiego do Konstantynopola i Dardanellów. Toż nic dziwnego, że w tej chwili odżyły w duszy Napoleona dawne marzenia o zdobyciu Egiptu, o wielkiej wyprawie do Indyj. Poruszono nagle wszystkie sprężyny machiny administracyjnej, w portach francuskich, włoskich i holenderskich gromadzono materyały, budowano statki, w Kadyksie stała przygotowana już eskadra rosyjska Sieniawina, Bernadotte miał wkroczyć do Skanii, sam cesarz w listopadzie lub grudniu wybierał się na czele wielkiej armii do Włoch, aby stąd kierować olbrzymiem działaniem, mającem na celu ostateczne pognębienie Anglii i przekształcenie całego świata. Ale tu stojącego na szczycie potęgi spotkało pierwsze niepowodzenie.

Naród hiszpański, pogrążony w ciemnocie i apatyi, otrząsł się nagle z wiekowego letargu i — obrażony w swoich najświętszych uczuciach — chwycił za broń przeciw narzuconemu przez obcą przemoc królowi. Kiedy cesarz wydawał rozkazy, aby flota hiszpańska udała się na wzmocnienie eskadry francuskiej do Tulonu, wybuchło w miastach portowych powstanie, w Kartagenie wymordowano załogę francuską, w Saragossie wywieszono sztandar Ferdynanda VII., w Kadyksie zabrano wszystkie okręty wojenne, a junta rewolucyjna wydała wojnę Napoleonowi. Wojska francuskie, nieliczne i rozprószone po całym półwyspie, nie mogły stłumić ruchu, obejmującego wszystkie warstwy ludności. Fanatyzm religijny i narodowy, podniecany przez księży i wspomagany przez Anglików, zapalił wojnę straszną, zapamiętałą, w dziejach świata niemal bezprzykładną. Wprawdzie marszałek Bessiéres odniósł zwycięstwo pod Rio Seco, ale w kilka dni później złożył broń z całym swoim korpusem nieudolny generał Dupont pod Baylen, król Józef musiał opuścić Madryt i szukać schronienia w Wittoryi. Wrażenie tych wypadków było ogromne. Zachwiał się urok niezwyciężonej potęgi napoleońskiej, poru-

szyły się umysły patryotów niemieckich; marzono o jakiemś powszechnem połączeniu i powstaniu narodów przeciw jarzmu francuskiemu, w Królewcu — tymczasowej rezydencyi króla pruskiego i siedzibie świeżo założonego Tugendbundu — zastanawiano się nawet nad możnością pozyskania Polaków, którym należałoby zwrócić zabrane w roku 1772. prowincye![1]) Generał La Romana, z oddziałem hiszpańskim odkomenderowany do korpusu Bernadotta, opuścił samowolnie swoje stanowisko i — orężem utorowawszy sobie drogę do morza — na statkach angielskich odpłynął do ojczyzny; Austrya najwyraźniej gotowała się do wojny. W takiem położeniu musiał Napoleon narazie zaniechać planów wschodnich, skierować całą uwagę swoją na półwysep pirenejski, przywrócić tam przyćmiony cokolwiek blask potęgi francuskiej i stanąć przed buntującą się Europą znowu w postaci niezwyciężonego imperatora. Ażeby tego dokonać trzeba było jednak naprzód porozumieć się z Rosyą i postawić ją na straży zachwianego porządku i zagrożonych interesów francuskich w środkowej Europie. Tak przyszedł do skutku zjazd w Erfurcie w pierwszej połowie października roku 1808. W otoczeniu królów i książąt niemieckich, którzy udział w tem świetnem zgromadzeniu uważali za największy zaszczyt dla siebie, wśród biesiad, przedstawień teatralnych, polowań i przeglądów wojskowych toczyły się tak pomiędzy monarchami, jak i pomiędzy ich ministrami (Champagnym, Talleyrandem i Rumiańcowem) żywe układy dyplomatyczne. Wplątawszy się raz w nieszczęśliwą awanturę hiszpańską, stał się Napoleon zawisłym poniekąd od dobrej woli i przyjaźni swego sprzymierzeńca z nad Newy, który — oceniając trafnie położenie — okazywał się pomimo serdecznych pozorów o wiele więcej wymagającym i chłodniejszym niż dawniej. Trzeba więc było przyjaźń rosyjską okupić znacznemi ofiarami, zezwolić na wcielenie Finlandyi do carstwa i na zabór księstw naddunajskich, zniżyć o 20,000.000 kontrybucyą wojenną Prusakom i zadowolnić się traktatem odpornym przeciw Austryi i zupełnie platoniczną interwencyą pokojową w Londynie. W chwili, gdy ruch narodowy z niepowstrzymaną siłą rozwijał się w Hiszpanii i w Niemczech, gdy pierwsze konwulsyjne jego drgania zapowiadały nieuniknioną katastrofę, gdy powszechna nienawiść z trudnością od gwałtownego wstrzymywała się wybuchu, polegały wszystkie nadzieje Napoleona na kruchej podstawie rosyjskiego aliansu.

Wódz i polityk, wierzący tylko w siłę bagnetów i potęgę własnego geniuszu, ujrzał się nagle zagrożonym przez moc, której nie uznawał, którą lekceważył, przez ideę narodową i zasadę wolności, stłumioną we Francyi, zdeptaną w Europie. Ten, co wątpił w możność odrodzenia Polski, miał uledz odradzającym się Niemcom i patryotyzmowi Hiszpanów. Umysł jego przenikliwy pojmował całą grozę położenia. Po pożegnaniu z Aleksandrem powrócił Napoleon pieszo do Erfurta, milczący, w myślach pogrążony, przed oczyma duszy jego przesuwała się przyszłość niepewna, mglista i ponura, w sercu powstawały pierwsze wątpliwości. W tej samej chwili przenikliwy Talleyrand przewidywał już przymierze austryacko-rosyjskie i — niepomny obowiązków względem

[1]) Häusser Ludwig: „Deutsche Geschichte“. Bd. III, Str. 181.

swego pana — zwierzał się z swoich przypuszczań Metternichowi. Gmach potężny, na podziw świata wzniesiony, zaczynał się chwiać; wśród niebezpieczeństw, wyrastających jakby z pod ziemi, pozostawało Napoleonowi jedno... wiara w siłę własnego geniuszu, z tem przeświadczeniem rzucił się więc w odmęt wypadków i ruszył na uśmierzenie hiszpańskiego powstania.

Saragossa. — Somosierra. Na pierwszą wieść o rozruchach na półwyspie pirenejskim, a szczególniej po klęskach, jakie ponieśli Francuzi, postanowił cesarz wzmocnić siły swoje w Hiszpanii, a następnie udać się osobiście z wielką potęgą na pokonanie rozzuchwalonego nieprzyjaciela. Zobowiązawszy się w Erfurcie do ewakuacyi krajów pruskich i księstwa warszawskiego, powołał on większą część stojącego tam wojska na południe, powołał i Polaków. Poszedł więc najpierw pułk szwoleżerów gwardyi francuskiej, lekkokonnym zwany, utworzony w roku 1807. i oddany pod dowództwo Wincentego Krasińskiego. Była to jazda wyborowa, złożona przeważnie z szlachty zamożniejszej, służącej o własnym koszcie, ubrana w wspaniałe mundury granatowe z karmazynowemi wyłogami, w czapki rogate czerwone, uzbrojona z początku tylko pałaszami. Szefami szwadronów (4) byli Tomasz Łubieński, Kozietulski, Paweł Jerzmanowski i Wincenty Radzimiński. Stanęli oni najwcześniej na ziemi hiszpańskiej, eskortowali króla Karola IV. podczas podróży jego do Bajonny, brali udział w pierwszych bitwach z powstańcami i pod Rio Seco rozbili sławny pułk dragonów królowej (de la Reyna). W ślad za tymi nowoczesnymi Elearami polskimi podążyła t. zw. legia nadwiślańska, powstała ze szczątków dawnej legii polskiej, sprowadzonej z Neapolu w roku 1807., a uzupełnionej świeżym rekrutem w kraju. Składała się ona z trzech pułków piechoty — pierwszym dowodził Chłopicki — i z pułku lansyerów pod pułkownikiem Konopką. Oficerowie tych pułków byli to po większej części doświadczeni legioniści włoscy ze szkoły Dąbrowskiego, żołnierz zaś młody i niewyrobiony należycie. To też pierwszy przegląd w Bajonnie wypadł niepomyślnie. Napoleon, widocznie w złym humorze, rzucał się i gniewał, dwóch poruczników i kapitana posłał na odwach, nagany i wymówek nie szczędził, nie przeczuwając, że ten rekrut polski po bohatersku sprawi się pod Saragossą i szaloną odwagą swoją zaćmi sławę starych pułków francuskich. Jakoż niedługo trzeba było na to czekać. W drodze z Pampeluny do Saragossy, w pierwszem spotkaniu pod Tudellą, rozbili ułani w puch piechotę hiszpańską i zdobyli cztery armaty, pod Mallen złamał Chłopicki na czele 1. pułku piechoty upartych Aragończyków, pod Alagonem na sam widok polskich żołnierzy pierzchnął nieprzyjaciel i otworzył Francuzom połączonym z legią nadwiślańską drogę do Saragossy. Rozpoczęło się tak pierwsze, tyle słynne później oblężenie tej twierdzy.

Generał Lefebre-Desnouettes, dowodzący korpusem oblężniczym, próbował nagłym atakiem opanować miasto, ale — pomimo bohaterskiego natarcia Polaków pod Chłopickim — niepowiódł się szturm i trzeba było nowych czekać posiłków. Tymczasem otrzymał Chłopicki rozkaz wypędzenia z Epili Hiszpanów, przecinających komunikacyą z Madrytem. Z garstką ludzi (1000) i dwoma działami udał on się na tę ryzykowną wyprawę, a chociaż zastał

w Epili siły przeważne (8000), to uderzył na nie bez wahania i najświetniejsze odniósł zwycięstwo. Nieprzyjaciel stracił cztery armaty i kilkuset jeńców, pomiędzy którymi znajdował się także oficer angielski. Odtąd nie było już wątpliwości o czynnym udziale Anglików w tej krwawej i upartej wojnie.[1]) Powróciwszy z pod Epili, zastał Chłopicki ważne zmiany. W miejsce niedoświadczonego i mało rozważnego[2]) generała Lefebre-Desnouettes objął naczelne dowództwo przybyły z posiłkami generał Verdier i ten dopiero rozpoczął regularne oblężenie od zupełnego otoczenia twierdzy. Wykonano w tym celu dwa ataki na zewnętrzne szańce; w jednym i w drugim mieli najzaszczytniejszy udział Polacy; Chłopicki zdobył Monte Torrero i klasztor św. Józefa, a w szturmie głównym (dnia 3. sierpnia) opanował po krwawej walce i rozpaczliwej obronie oblężonych klasztor Santa Engracia. Pomimo tych chwilowych powodzeń, okupionych krwią i bohaterstwem polskich Maćków i Bartków i dzielnością osobistą Chłopickiego, o czem generał Verdier w raportach swoich wcale nie wspomniał, nie zdołali Francuzi zdobyć miasta, bronionego z niesłychanem poświęceniem, a klęska pod Baylen zmusiła ich do zaniechania oblężenia. Nastąpiło wtedy ogólne cofanie się wojsk francuskich ku Pirenejom, gdzie miano czekać posiłków i przybycia cesarza. Jakoż pułki, ruszone już w kwietniu z garnizonów wschodnich, z nad Wisły, Odry i Elby, ciągnęły pospiesznemi marszami ku brzegom Garonny. W ich liczbie znajdowała się także jedna dywizya wojsk polskich, złożona z trzech pułków piechoty (4., 7. i 9.). Przekroczyła ona w ostatnich dniach października 1808. roku granicę hiszpańską. Siły polskie na półwyspie pirenejskim wzrosły w ten sposób do 14.000 ludzi. Legia nadwiślańska, przydzielona do armii marszałka Lannes, biła się dzielnie w słynnej bitwie pod Tudellą, gdzie porażono na głowę wojska Palafoxa i Castanosa i udała się następnie znowu pod mury Saragossy; pułk szwoleżerów towarzyszył Napoleonowi, który — roztrąciwszy pod Burgos zastępujących mu drogę Hiszpanów — prowadził do Madrytu wypędzonego stamtąd niedawno króla Józefa. Dnia 30. listopada stanęła armia francuska u stóp niedostępnego pasma gór Somosierra. Przed nią rozciągał się wąwóz, po którym wiła się jedyna droga, za czasów Karola III. zbudowana, szeroka na 8 do 10 łokci, otoczona urwiskami skał i wysokiemi szczytami. Tu oczekiwali Francuzów Hiszpanie. Korpus ich (14.000) obsadził przesmyk, na zgięciach drogi ustawiono po cztery armaty, u wylotu stanęła baterya z ośmiu dział złożona, z każdej kryjówki skalnej i z każdego szczytu połyskiwały lufy karabinów hiszpańskich. Stanowisko to, z natury silne i sztuką obwarowane, zdawało się od frontu niezdobytem. Toż wszelkie usiłowania piechoty francuskiej były bezskuteczne; rażona gradem kul, nie była ona w stanie wyprzeć Hiszpanów z dobrze obranej pozycyi.

W takiem położeniu nie pozostawało nic innego, jak tylko obejść wąwoz

---

[1]) „Chłopicki w Hiszpanii“, ustęp z rękopisu Romana Załuskiego w dodatku miesięcznym do „Czasu“ z roku 1856. Na podstawie tych i innych pamiętników współczesnych opisał udział Polaków w wojnie hiszpańskiej Zygmunt Łucyan Sulima: „Polacy w Hiszpanii“. Warszawa 1888.

[2]) „Wspomnienia generała Kołaczkowskiego“. Księga I. Kraków 1898. Str. 137.

i zmusić nieprzyjaciela do odwrotu. W istocie ruszyły w tym celu bocznemi ścieżynami górskiemi bataliony woltyżerów, ale Napoleon, stojący u wejścia do wąwozu i nieprzyzwyczajony do przeszkód tego rodzaju, niecierpliwił się i ciskał gromy wokoło, nagle — jakby przypominając sobie coś — spojrzał na dwa szwadrony szwoleżerów polskich, będące dnia tego na służbie i przywoławszy szefa trzeciego szwadronu (Kozietulskiego), kazał mu uderzyć na wąwoz. Kozietulski sformował natychmiast szwadron swój w czwórki i z okrzykiem „Niech żyje cesarz!“ ruszył do ataku.

Powitani piekielnym ogniem ze wszystkich stron, a mimoto niezachwiani ani na chwilę, szli Polacy jak wicher, aż stanęli u szczytu, gdzie przy głównej bateryi krwawa rozpoczęła się walka. Pierwsi, którzy dotarli do armat hiszpańskich (porucznik Niegolewski i wachmistrz Sokołowski), przepłacili drogo ten czyn bohaterski; obaj, skłuci bagnetami, padli na działach ciężko ranieni, ale tuż za nimi nadleciała reszta szwadronu, nadbiegł z pierwszym szwadronem Tomasz Łubieński i zaczęła się straszna rąbanina, zakończona ucieczką przerażonych Hiszpanów. Łubieński, wsiadłszy na karki pierzchającego nieprzyjaciela, ścigał go zapalczywie przez dwie mile aż do Buytrago, gdzie zdobył jeszcze kasę wojenną i dopiero na przysłany rozkaz od Napoleona zaniechał dalszej pogoni. Tak odbyła się owa słynna szarża pod Somosierra, którą sam Napoleon w biuletynie swoim nazwał „atakiem świetnym, jakiego nigdy nie było“. Okupili tę sławę drogo Polacy. Z 125 ludzi w szwadronie Kozietulskiego ocalało zaledwie 68; polegli mianowicie lub rany odnieśli wszyscy oficerowie i podoficerowie, tak, że u szczytu wąwozu nie było już komendy, ale czyn bohaterski okrył niepożytą chwałą imię polskie i zjednał hufcom polskim podziw świata, szacunek u sprzymierzeńców zarówno jak i u nieprzyjaciół. Nie mieliśmy niestety z wyjątkiem księcia Czartoryskiego w tej epoce dyplomatów i mężów stanu, którzyby stali na straży interesów narodowych. Z źle zrozumianej oszczędności, w niepojętem jakiemś zaślepieniu, że wszystko dla nas i za nas obcy zrobić powinni, złożyliśmy troskę o najżywotniejsze sprawy nasze na barki reprezentantów saskiego dworu i — wierząc święcie w gwiazdę napoleońską — od niej tylko oczekiwaliśmy zbawienia. Ale i tam, w ognisku ówczesnego życia politycznego, nie mieliśmy nikogo, coby w naszem imieniu i za nami przemawiał, nic dziwnego zatem, że stanowiono o Polakach bez Polaków i że nikt nie myślał o tych, co sami o sobie myśleć nie chcieli.

Kiedy taki Pozzo di Borgo, człowiek niewątpliwie utalentowany, ale nie reprezentujący nic więcej nad wendettę korsykańską, odgrywał pierwszorzędną rolę dyplomatyczną w Europie i w nienasyconej zemście swojej świat cały podburzał i uzbrajał przeciw Napoleonowi, Polacy ograniczali się do ścisłego wypełniania rozkazów, nadchodzących z Paryża. Toż cały ciężar pracy nad podźwignięciem sprawy narodowej w prowincyach uwolnionych z pod jarzma pruskiego spadał na tych, co — niepytając się wiele o dyplomatyczne zabiegi — całą ufność pokładali w orężu i orężem tym dobijali się niepodległości. Można ubolewać nad krwią polską, przelaną na pobojowiskach hiszpańskich, ale zapominać nie trzeba, że ona oprócz sławy zdobyła nam

pewne znaczenie wobec Europy i że w chwili stanowczej liczono się nie tyle może z narodem polskim, co z owemi hufcami polskich wojowników, którzy na grotach lanc swoich i na poszarpanych kulami sztandarach przynosili nad brzegi Wisły i Warty wspomnienia bohaterskich czynów i niezagasłe blaski wiekopomnej sławy.

Kiedy tak Napoleon, dzięki bohaterstwu i poświęceniu Polaków, już w rocznicę koronacyi swojej i bitwy austerlickiej (dnia 2. grudnia) wjeżdżał w mury starej stolicy hiszpańskiej, legia nadwiślańska po krótkim wypoczynku nad brzegami Ebru, wzmocniona nowemi posiłkami z kraju, udała się, wśród bezustannych walk z powstańcami, pod mury Saragossy, która pod wodzą Palafoxa gotowała się do rozpaczliwej przeciw francuskiemu najazdowi obrony. Obwarowani doskonale, mając podostatkiem artyleryi, amunicyi i żywności, ufni w opiekę N. P. Maryi del Pilar, ożywieni przytem gorącym patryotyzmem, bronili się Hiszpanie z podziwienia godną wytrwałością i walecznością. Oblężenie było trudne zatem i połączone z wielkiemi dla oblęgających stratami, a Polacy — jak zwykle na pierwszy wysyłani ogień — odznaczali się bohaterstwem i pogardą śmierci. Energiczniejsze działanie ze strony Francuzów rozpoczęło się właściwie dopiero z końcem stycznia roku 1809., t. j. od czasu, gdy marszałek Lannes przybył z swoim korpusem i objął nad armią oblężniczą naczelne dowództwo. Dnia 27. stycznia przypuszczono pierwszy szturm i odtąd już dzień za dniem toczyły się mordercze walki w ulicach miasta, gdzie każdy większy budynek, każdy dom niemal zamieniono w fortecę, którą z bagnetem w ręku i pod gradem kul zdobywać przyszło. Chłopicki, mianowany generałem brygady, wziął po zapamiętałej walce szturmem jedną z najważniejszych pozycyj, znany nam już klasztor Santa Engracia i — uzyskawszy w ten sposób silny punkt oparcia dla oblęgających — spełnił tem samem najtrudniejsze zadanie. Mimoto bój nieustanny trwał do 21. lutego, poczem reszta załogi, zdziesiątkowana orężem i chorobami, wynędzniała z głodu, złożyła broń i oddała zwycięzcom miasto, zburzone prawie doszczętnie, zawalone gruzami i stosami trupów. Z 5000 Polaków poległo przy tem strasznem oblężeniu 650 ludzi.

Inne cokolwiek, ale równie bolesne losy przechodziła dywizya wojsk księstwa warszawskiego. Wypocząwszy przez czas krótki w Madrycie, wyruszyła ona do Estremadury, brała chlubny udział w bitwach pod Almaraz i Ciudad-Real i przez dłuższy czas zajmowała starożytne Toledo. Odtąd dzieje Polaków w Hiszpanii rozpryskują się na tysiączne epizody, z których większa część ma barwę romantyczną i awanturniczą, a każdy niemal jest zaszczytnem świadectwem waleczności i dzielności polskiego żołnierza. W Granadzie i Maladze, nad brzegami morza Śródziemnego, w Aragonii zarówno jak i w górach nawarskich, wszędzie połyskują polskie bagnety, powiewają barwne proporce polskich ułanów, wszędzie sieją postrach i przerażenie w szeregach nieprzyjaciół, a nie rzadko budzą w sercach zdziczałych Hiszpanów szacunek i prawdziwą sympatyą. Wśród tysiącznych niebezpieczeństw, dniem i nocą narażony na śmierć od kuli lub skrytobójczego sztyletu, żołnierz polski traci zwolna właściwą mu łagodność, staje się często może srogim i okrutnym, ale mimoto

nie przestaje być człowiekiem, nie morduje z zemsty lub dla przyjemności, jak to w tej wojnie eksterminacyjnej działo się zwyczajnie. Stąd z ubolewaniem nad zmarnowanem bohaterstwem polskiem ale i z pewną chlubą możemy spoglądać na ten okres bojów, które bracia nasi przez trzy lata staczać musieli pod skwarnem niebem hiszpańskiem wtedy, gdy nad brzegami Wisły ważyły się losy ich ojczyzny. Rok 1812. powołał hufce polskie z powrotem do kraju, gdzie tymczasem doniosłe zaszły wypadki.

Wojna z Austryą w roku 1809. — Najazd na księstwo warszawskie. — Bitwa pod Raszynem. — Zdobycie Galicyi. Ze wszystkich mocarstw europejskich, walczących zawzięcie od początku przeciw rewolucyi francuskiej i Napoleonowi, prowadziła Austrya politykę najniewłaściwszą i najmniej zgodną z istotnemi swojemi interesami. Chwyciła ona za broń ze względów dynastycznych, raz wciągnięta w bój, służyła za narzędzie dyplomacyi angielskiej i rosyjskiej, za taran do rozbicia znienawidzonej republiki, za marne subsydya, dostarczane z Londynu, płaciła krwią swoich ludów, utratą najpiękniejszych prowincyj, ruiną ekonomiczną i finansową wszystkich krajów koronnych. Tymczasem jeżeli dla kogo, to dla Austryi, po przebyciu gorączki, wywołanej ścięciem Ludwika XVI. i nieszczęśliwej Maryi Antoniny, otwierały się widoki inne, o wiele pomyślniejsze. Wypędzona z Włoch, wyparta z Belgii i z Niemiec, mogła i powinna ona była przerzucić punkt ciężkości swojej na wschód i w porozumieniu z Francyą szukać wynagrodzenia tam, dokąd ją pociągały żywotne interesa krajów nie niemieckich, gdzie ją czekała przyszłość jeżeli nie świetniejsza, to przynajmniej trwalsza i pomyślniejsza od utraconej niepowrotnie przeszłości.

Tak też a nie inaczej pojmowali bystrzejsi politycy francuscy położenie monarchii habsburskiej. Talleyrand po zdobyciu Ulmu radził Napoleonowi oddać Austryi księstwa naddunajskie i Bessarabią w zamian za prowincye niemieckie, pozyskać sobie w ten sposób wiernego sprzymierzeńca i stworzyć wał ochronny przeciw Rosyi, dążącej do zaboru Konstantynopola. Napoleon odrzucił wtedy wprawdzie ów „romans polityczny“ wytrawnego dyplomaty,[1]) ale w roku 1806., kiedy Austrya, zelektryzowana wojną prusko-rosyjską, zaczęła gromadzić siły zbrojne w Czechach i w Galicyi, uznał sam za stosowne wystąpić z propozycyą innego rodzaju. W liście pisanym z Poznania (w grudniu) ofiarował on cesarzowi Franciszkowi Szląsk pruski za Galicyą i oddawał w jego ręce losy Polski.[2])

Otwierała się więc dla Austryi nowa kombinacya: odzyskanie prowincyi, opłakanej niegdyś przez Maryę Teresę i sekundogenitura w odbudowanej Polsce. Talleyrand ze swojej strony, a tym razem już za wyraźnem zezwoleniem cesarza, podsuwał gabinetowi wiedeńskiemu plan wschodni. Nie mniej gorliwie pracowała nad pozyskaniem Austryi i dyplomacya rosyjska. Pozzo di Borgo, w roli ajenta petersburskiego dworu, używał wszelkich środków, aby nakłonić cesarza Franciszka i arcyksięcia Karola do przymierza z Rosyą. Ale dwór wiedeński, zrażony ostatniemi klęskami, wyczerpany w zasobach, a przy-

[1]) Vandal Albert: „Napoleon et Alexandre“, str. 8.
[2]) Vandal Albert: „Napoleon et Alexandre“, str. 15.

tem nieskory do stanowczych decyzyj, nie umiał skorzystać z szczęśliwego położenia. Nie ufał Rosyi, która wyciągała właśnie ręce po księstwa naddunajskie i po puściznę turecką, nie mógł przezwyciężyć wstrętu swego do Napoleona i postanowił zatem nie wiązać się z nikim, lecz oczekiwać dalszych wypadków. „Jestem swobodnym i będę się bić o ile można jak najpóźniej“ — tak zakończył rozmowę swoją z Razumowskim i z Pozzo di Borgo cesarz Franciszek. Austrya dowiodła jeszcze raz, że z najpomyślniejszych nawet okoliczności skorzystać nie potrafi. Decyzya — jak zwykle w Wiedniu — przychodziła za późno i w najniewłaściwszej porze. W rok po tych wypadkach, po pogromie armii rosyjskiej pod Friedlandem i po układach tylżyckich, zawiał nagle nad Dunajem wiatr wojenny. Wzburzenie umysłów w Niemczech i zawikłania hiszpańskie poruszyły żywo koła rządowe wiedeńskie. Porzucając politykę dynastyczną, chwycono się tam idei wielkoniemieckiej. Kierownik ówczesny zewnętrznej polityki austryackiej (hr. Jan Filip Stadion) i ambasador przy dworze francuskim (hr. Metternich), obaj potomkowie rodzin niemieckich z nad Renu i Szwabii, widzieli oczywiście w tem rozbudzeniu ducha niemieckiego zbawienie i przyszłość Austryi. Lojalność dynastyczna Węgrów i brak poczucia narodowego u Słowian austryackich w tym czasie, sprzyjały nadzwyczajnie owym mrzonkom o wielkoniemieckiem posłannictwie monarchii habsburskiej.

Rozbudziwszy w prowincyach niemieckich patryotyzm germański i poruszywszy Węgrów, można było oddawać się różowym nadziejom o odzyskaniu wpływu w Niemczech i we Włoszech, o zdobyciu dla Austryi tego wielkomocarstwowego stanowiska w Europie, którego ona szukać nie chciała na wschodzie i w Polsce. W tym kierunku politycznym, tak sprzecznym zresztą z interesami państwa, złożonego w większej części z narodów nie niemieckich i geograficznie złączonego bardziej ze wschodem niż z środkową Europą, utwierdzały wiedeńskich mężów stanu wpływy angielskie, w charakterze półurzędowym kręcący się nad modrym Dunajem ajenci pruscy i usposobienie arystokracyi austryackiej, na wskroś legitymistycznej, wrogiej Napoleonowi i Francuzom, zachwycającej się Razumowskim, ubolewającej nad losem Prus i ujarzmionej Europy. Wśród takiego chaosu uczuć i zdań, wśród tej muzyki przyszłości, nastrojonej na ton wielkogermański i kosmopolityczny, nie było miejsca dla trzeźwego rozsądku i zdrowej politycznej myśli. Rzucono się więc nagle z gorączkowym pospiechem do reorganizacyi wojska, zaprowadzono t. zw. landwerę na wzór pruski, nawiązano stosunki z patryotami niemieckimi, poruszono dynastyczne uczucie Węgrów i Tyrolczyków i wywołano w prowincyach niemieckich sztuczny może cokolwiek, ale dość powszechny zapał narodowy. W miarę niepomyślnych wiadomości z pola walki w Hiszpanii stawał się ten prąd w Austryi coraz groźniejszym, polityka wiedeńskiego dworu coraz bardziej wyzywającą. Do Erfurtu nie przybył ani cesarz Franciszek, ani żaden z arcyksiążąt, wysłano tam tylko generała Vincenta, żarliwego zwolennika stadionowskiej polityki i zdeklarowanego nieprzyjaciela Francyi. Wobec tego użył Napoleon pośrednictwa cesarza Aleksandra, ale to, co pełnomocnik austryacki usłyszał od cara w Erfurcie, a Stadion od Razumowskiego

w Wiedniu, mogło gabinet wiedeński raczej utwierdzić, niż powstrzymać w wojowniczych zamiarach. Tylko brak pieniędzy i nieukończone jeszcze uzbrojenia odroczyły narazie wybuch wojny. Kiedy jednak Napoleon z główną potęgą swoją wyruszył do Hiszpanii, postanowiła Austrya skorzystać z jego oddalenia i rozpalić płomień wojny w Niemczech. Liczono przy tem oczywiście na pomoc Anglii i Prus, na powstanie niemieckie, a — nie wiedząc o przymierzu odpornem francusko-rosyjskiem — miano nadzieję pozyskać dla koalicyi także i dwór petersburski. W tym celu wyjechał nad Newę z początkiem r. 1809. książe Karol Schwarzenberg, ale prośby jego i przedstawienia nie odniosły żadnego skutku. Aleksander mówił wiele o swojej życzliwości dla Austryi oświadczył jednak, że ma ręce związane i że nie wierzy w powodzenie wojny. Wtedy wyjął z zanadrza pełnomocnik austryacki listy i dokumenta, których mu dostarczył arcyksiąże Ferdynand, dowodzące, że istnieje wielka konspiracya w celu odbudowania Polski i że Napoleon zamiary te popiera.[1]) Aleksander, poruszony widocznie tem odkryciem, rzekł: „Widzisz pan więc, co mi grozi, gdybym się z Wami połączył?“ Z tem wszystkiem wywiózł Schwarzenberg z Petersburga to wrażenie — jak się niebawem okazało — zupełnie trafne, że na wypadek wojny Rosya nie zbyt gorliwie będzie popierać francuskiego swego sprzymierzeńca. Z tem przeświadczeniem rzucono się więc w wir wojny. Dnia 9. kwietnia uwiadomił arcyksiąże Karol marszałka Davoust o rozpoczęciu kroków wojennych, a równocześnie wkroczyły wojska austryackie do Tyrolu i do Bawaryi i arcyksiąże Ferdynand d'Este stanął na czele 33.000 ludzi i 94 armat u granic księstwa warszawskiego (nad Pilicą), aby to widmo niepodległej Polski, trapiące wszystkie mocarstwa zaborcze zdobyć i ubezpieczyć Galicyą od knowań i zamachów rewolucyjnych. Proklamacya arcyksięcia, zręcznie ułożona i rozesłana dnia 15. kwietnia, wspominała o ofiarach, jakie Polacy ponoszą dla obcej sprawy i ambitnych widoków Napoleona i kończyła zapewnieniem, że Austrya „przywracając każdego do praw, które utracił, zamierza ustalić porządek w Europie i obdarzyć ją tyle pożądaną spokojnością“. Nie potrzebujemy dodawać chyba, że odezwa ta, będąca w tak jawnej sprzeczności z dotychczasową polityką dworu wiedeńskiego względem Polaków, żadnego nie sprawiła na umysłach wrażenia i że przeciwnie tak wojsko jak i ludność gotowa była do najenergiczniejszej walki z niespodziewanym najazdem.

Pomimo powszechnego zapału i gorącego patryotyzmu przedstawiało się jednak położenie kraju bardzo groźnie. Rząd księstwa, czy to ze zbytniego zaufania w potęgę Napoleona, czy też — co rzecz jeszcze dziwniejsza — nie mający wiadomości o wojennych zamiarach najbliższego sąsiada, był zupełnie nieprzygotowanym. Prawda, że los wojny nie nad Wisłą, lecz nad Dunajem musiał się rozstrzygnąć, ale ci, co ster rządu dzierżyli, byli obowiązani pamiętać przedewszystkiem o sobie i o obronie kraju, który opiece ich był poruczony. Siły zbrojne polskie — po odtrąceniu tego, co znajdowało się w Hiszpanii i w Gdańsku — wynosiły nie więcej jak 14 batalionów piechoty, 5 pułków jazdy i 32 dział polowych. Trzecie bataliony nie miały jeszcze karabi-

[1]) Häusser Ludwig: „Deutsche Geschichte“. III. Bd., S. 266.

nów, twierdze Modlin, Praga, Serock i Toruń, źle uzbrojone i niezaopatrzone w żywność, nie były w stanie opierać się nieprzyjacielowi, słowem kraj cały stał dla najazdu otworem, gdyż armia polska, którą można było użyć w polu, liczyła wraz z oddziałem saskim (1200 ludzi i 12 armat) najwyżej 15.000 żołnierzy. Z tem wszystkiem honor wojskowy i konieczność bronienia Warszawy, skąd nie można było dość wcześnie uprzątnąć nagromadzonych zapasów, skłoniły księcia Józefa do stoczenia walnej bitwy z nieprzyjacielem. W tym celu zajął on ze szczupłemi siłami swojemi stanowisko pod Raszynem, osłonięte cokolwiek rzeczką i bagnistemi nizinami i tu dnia 19. kwietnia wytrzymał przez dzień cały natarczywość dwakroć liczniejszej armii austryackiej. Kluczem pozycyi polskiej był lasek przed Falentami, broniony po bohatersku przez generała Sokolnickiego, brany kilkakrotnie szturmem i odbierany napowrót przez Polaków. Tu w tej strasznej walce poległ Cypryan Godębski, żołnierz-poeta, pułkownik 8. pułku piechoty, dzielny legionista, towarzysz broni Dąbrowskiego i Kniaziewicza. O 5-tej godzinie popołudniu opanował wreszcie nieprzyjaciel Falenty i zwrócił całą swoją potęgę na groblę, wiodącą do Raszyna. Przed przemagającą siłą ustępował żołnierz polski zwolna, walcząc uparcie o każdą piędź ziemi, aż o zmierzchu już stanął przed samym Raszynem.

Tu jednak przywitały Austryaków działa saskie, przy których znajdywał się książe Józef; gradem kartaczy rażony, zatrzymał się nieprzyjaciel przed płonącą wioską, a noc zapadająca położyła wreszcie kres morderczym zapasom. Austryacy stracili w tym krwawym dniu 2500 ludzi, Polacy zaś 450 poległych, 900 rannych i 40 zabranych do niewoli. Odejście Sasów, którzy — wskutek dawniej otrzymanych rozkazów — natychmiast po bitwie wyruszyli do domu, szczupłość sił i zmęczenie wielkie żołnierza, skłoniły księcia Poniatowskiego do odwrotu. Bitwa raszyńska była chlubną dla oręża polskiego, zaszczytną dla naczelnego wodza i oficerów. Żołnierz młody, w znacznej części po raz pierwszy w ogniu będący, mierzył się z weteranami armii austryackiej i — jakkolwiek liczebnie słabszy — utrzymał się na polu walki przez dzień cały, nie straciwszy ani jednego sztandaru, nie oddawszy ani jednego działa z wyjątkiem dwóch zdemontowanych armat, które w błocie ugrzęzły.

Książe Józef, stojąc w najtęższym ogniu, dał dowody niepospolitej waleczności i odwagi; oficerowie wszyscy spełnili obowiązek swój prawdziwie po bohatersku; odznaczyli się pomiędzy nimi, oprócz Godębskiego, Sokolnicki i Pelletier (Francuz), dowodzący artyleryą polską. Honor armii był zatem ocalony, ocalone zapasy warszawskie, podniosła się odwaga i zapał ludności, podczas gdy nieprzyjaciel, zdziwiony i zatrwożony dzielnością szczupłego wojska polskiego, stracił fantazyą i śmiałość w działaniu. Jakoż nazajutrz po bitwie pierwszy arcyksiąże zgłosił się do głównej kwatery polskiej z układami. W tym stanie, w jakim się znajdowały fortyfikacye warszawskie i wobec braku zupełnego prawie artyleryi wałowej, obrona stolicy wydawała się szalonem prawdziwie przedsięwzięciem. Można było wprawdzie, naśladując przykład Saragossy, zagrzebać się pod gruzami miasta i nieprzyjaciela o wielkie

przyprawić straty, ale położenie ogólne i wiara w geniusz Napoleona nie usprawiedliwiały wcale tak rozpaczliwych środków. Słusznie też i roztropnie uczynił książe Józef, zawierając dnia 21. kwietnia z arcyksięciem konwencyą, mocą której następowało dwudniowe zawieszenie broni, a w tym czasie miały wojska polskie z całym rynsztunkiem opuścić Warszawę. Wódz austryacki poręczył nadto bezpieczeństwo osób i mienia i przyrzekł na miasto nie nakładać nadzwyczajnych kontrybucyj. Za późno spostrzegł nieprzyjaciel, że warunki kapitulacyi nie obejmowały wcale przedmieścia Pragi, położonego na prawym brzegu Wisły. Gdy więc wojsko polskie z niechęcią i wśród narzekań ludności stołecznej, obwiniającej lekkomyślnie wodzów o zdradę, przeszło rzekę i zajęło fortyfikacye pragskie, zażądał arcyksiąże oddania Pragi, grożąc w przeciwnym razie bombardowaniem. Odpowiedział na to książe Poniatowski, że każe natenczas strzelać do Warszawy i zburzy najpierw pałac własny „pod Blachą“. Energiczna postawa wodza polskiego odniosła skutek i nieprzyjaciel zawarł nową umowę, mocą której Praga tylko od strony przeciwnej, a więc nie od Wisły, mogła być atakowaną.

Zajęcie Warszawy nietylko nie przyniosło najmniejszych korzyści Austryakom, lecz przeciwnie uwięziło im siły i sparaliżowało całe dalsze działanie. Podczas gdy wojsko polskie, cofnąwszy się pod warownie Modlina, zasłonięte Wisłą, miało zupełną swobodę ruchów, nieprzyjaciel, w ciągłej obawie o powstanie stolicy, mógł tylko drobnemi oddziałami wykonywać ataki na Toruń i Pragę. I jedno i drugie niepowiodło się. Generał Mohr przeprawił wprawdzie 7000 ludzi przez Wisłę, lecz — porażony pod Grochowem — musiał się cofnąć z wielką stratą. Zamiar stawiania mostu pod Górą został także przez Polaków zniweczonym, a szaniec przedmostowy zdobył generał Sokolnicki bagnetem i zabrał 1800 ludzi i 38 oficerów w niewolę. Od Torunia odpędził nieprzyjaciela generał Wojczyński. Częstochowę obronił dowódzca tamtejszej załogi major Sztuart.

Powodzenia te podniosły ducha w armii polskiej i zachęciły księcia Józefa do zaczepnego działania. Na radzie wojennej postanowiono pójść za zdaniem Dąbrowskiego, który ze zwykłą sobie szlachetnością nietylko pogodził się szczerze z Poniatowskim, lecz nawet — chociaż starszy rangą — oddał się pod jego rozkazy i uderzyć na opróżnioną z wojsk austryackich Galicyą. Tymczasem miał major Hornowski bronić Pragi, Dąbrowski organizować powstanie w Wielkopolsce, Zajączek w Augustowskiem i Łomżyńskiem i temi nowemi siłami trzymać na wodzy armię arcyksiążęcą. Po nieudałych zamachach na Pragę i Toruń można mieć było nadzieję, że te dwa miejsca obronne, jakoteż obwarowane do pewnego stopnia Modlin i Sierock, powstrzymają na czas dłuższy wszelkie zapędy nieprzyjaciela, a wiadomość o wyprawie galicyjskiej zmusi go do opuszczenia Warszawy. Liczono też cokolwiek także na wypadki na głównym teatrze wojny, skąd — mimo ostrożności władz austryackich — dochodziły już głuche wieści o zwycięstwach francuskich pod Than, Landshutem i Eckmühlem.

Tak w pierwszych dniach maja przekroczył książe Józef na czele 14.000 ludzi granicę austryacką i z głównej kwatery w Wiązownie wydał krótką,

lecz wymowną odezwę do mieszkańców Galicyi. „Polacy! Ziomkowie! — były jego słowa — my już dawniej zyskaliśmy niepodległość, jesteśmy Polakami. Idźcie za naszym przykładem, niesiemy wam hasło jedności i swobody. Przyłóżcie się do wielkiego dzieła wskrzeszenia wspólnej ojczyzny!“ Jaki był skutek tej odezwy dowiodły najbliższe wypadki. Armia polska, witana przez ludność wszędzie z niesłychanym zapałem, w pochodzie swoim na żadne prawie poważniejsze nie natrafiała przeszkody. Pierwszą potyczkę stoczono pod Kockiem, gdzie szef Berek Joselowicz na czele dwóch szwadronów rozbił 300 huzarów i znalazł chlubny zgon na polu walki. W cztery dni po tem, przeprawiwszy się przez Wieprz, zajął ks. Józef Lublin, skąd generał Pelletier udał się na zdobycie Zamościa, a Sokolnicki z Różnieckim pod Sandomierz. Obie te warowne pozycye dostały się niebawem w ręce polskie. W Sandomierzu po dwóch szturmach (w jednym z nich zginął powszechnie ceniony kapitan książe Marceli Lubomirski) kapitulował generał Eggermann; Zamość, którego broniła załoga, złożona w znacznej części z rekrutów galicyjskich, zdobył w ciągu pięciu dni Pelletier i zabrał 1,000.000 złr. w gotówce i 40 armat. W ten sposób wśród ciągłych zwycięstw, wzmacniając szczupłe siły swoje licznie nadpływającymi ochotnikami, witany i podejmowany gościnnie po miastach i dworach, dotarł książe Józef aż do brzegów Sanu i założył główną kwaterę w Trześni.

Tymczasem generałowie Różniecki i Kamiński wyruszyli z lotnemi oddziałami w głąb Galicyi, zdobyli Jarosław ze znacznemi zapasami mundurów, zajęli Żółkiew, a wreszcie Lwów, wszędzie ustanawiając władze polskie, z obywateli miejscowych złożone i zastępując orły austryackie francuskiemi. Przyjmowano ich z niesłychanym zapałem, dostarczano żywności, płacono zaległe i bieżące podatki, tworzono nowe pułki, słowem kraj, od lat 40-tu blisko oderwany od Rzeczypospolitej, okazał, że ani czas ani cierpienia przebyte nie zdołały w mieszkańcach zatrzeć uczuć narodowych, że Galicya, mimo pokostu niemieckiego, polską być nieprzestała. Równocześnie z temi żwawemi postępami głównej armii polskiej zebrał niezmordowany Dąbrowski w Wielkopolsce w ciągu 20-tu dni 7500 ludzi oswojonych z bronią, bo wziętych przeważnie z szeregów gwardyi narodowej i zajął stanowisko pod Kutnem; Zajączek z zakładów i twierdz nadwiślańskich zgromadził korpus blisko pięciutysięczny i — przeprawiwszy się na lewy brzeg Wisły — niepokoił podjazdami Warszawę. Ruchy te wojsk polskich skłoniły arcyksięcia do opuszczenia stolicy. Zostawiwszy w księstwie warszawskiem generała Mondeta na czele 13.000 ludzi, sam z główną siłą — także tyleż wynoszącą — ruszył ku Sandomierzowi, którego bronił Sokolnicki. Okazało się, że miasto, jakkolwiek niezbyt warowne, tak długo zdobytem być nie może, jak długo Poniatowski zajmuje stanowisko swoje pod Trześnią, skąd bez przeszkody może się komunikować z załogą sandomierską. Ażeby się więc pozbyć niewygodnego sąsiedztwa, przeszedł arcyksiąże na prawy brzeg Wisły i uderzył na główną armią polską. Książe Józef, liczebnie słabszy, bo miał zaledwie 7000 ludzi, spodziewał się pomocy rosyjskiej. Moskale, w myśl traktatu erfurckiego, wkroczyli rzeczywiście jako sprzymierzeńcy Napoleona do Galicyi, ale zamiast

walczyć z Austryakami, ograniczali się do powolnej okupacyi kraju, utrzymywali z władzami cesarskiemi przyjazne stosunki, udzielali im informacyj o ruchach powstańców polskich, a nawet w miastach, przez Polaków zajętych, zrzucali orły francuskie z budynków rządowych.

Wprawdzie dwór petersburski, pragnąc zachować przynajmniej pozory przyjaźni, odwołał z naczelnego dowództwa zbyt powolnego Gorczakowa i przysłał na jego miejsce księcia Galicyna, ale i ten nie lepiej sobie poczynał. Wojska rosyjskie posunęły się raźniej cokolwiek w głąb Galicyi, główna ich kwatera znajdowała się w Ulanowie, korpus Suwarowa (syna) stał pod Radomyślem i Dąbrową. Mógł zatem książe Józef mieć nadzieję, że z pomocą „sprzymierzeńców“ utrzyma się w swojej pozycyi nad Sanem. Jakoż wysłał w tym celu do księcia Galicyna pułkownika Malleta, ale oprócz grzecznych słówek nic zresztą uzyskać nie zdołał. Suwarow, chętniejszy i zaprzyjaźniony nawet osobiście z Poniatowskim, musiał słuchać rozkazów swojego zwierzchnika. W takich warunkach przyszło dnia 12. czerwca do potyczki pod Gorzycami. Książe Józef, dowodząc wojskiem osobiście, odparł wprawdzie zwycięsko atak nieprzyjaciela, ale wobec sił przeważających musiał się cofnąć na prawy brzeg Sanu. Równocześnie prawie generał Mondet, natrętnie ścigany przez Zajączka, pobił go pod Jedlińskiem i stanął także pod murami Sandomierza. Tym sposobem arcyksiąże, połączywszy wszystkie siły swoje, przystąpił do zdobycia miasta. W nocy z dnia 15. na 16. czerwca przypuścili Austryacy szturm, lecz zostali z znacznemi stratami odparci. Mimoto brak amunicyi skłonił Sokolnickiego do poddania twierdzy pod bardzo zresztą zaszczytnemi warunkami. Załoga polska z bronią, artyleryą i bagażami miała opuścić Sandomierz, udać się za Pilicę i stamtąd dopiero rozpocząć działania wojenne. Zniszczywszy obwarowania miejskie, ruszył arcyksiąże na Kielce i Małogoszcz do Krakowa, podczas gdy Poniatowski pomaszerował do Puław, aby się złączyć z Zajączkiem i Sokolnickim. Tu w gościnnym domu Czartoryskich i w okolicy zatrzymała się armia polska przez 8 dni, poczem udała się ku Radomiowi, gdzie 4. lipca nastąpiło połączenie wszystkich korpusów. Książe Józef miał teraz pod rozkazami swojemi 23.000 ludzi i mógł energicznie ścigać ustępującego nieprzyjaciela. Zamiast tego posuwało się wojsko polskie tak powolnie, że przednia straż pod Różnieckim dopiero 14. lipca dotarła do Krakowa. W Krakowie dowodził pod nieobecność arcyksięcia, który odjechał do Czech, generał Mondet.

Miał on wprawdzie jeszcze około 24.000 ludzi, ale — zagrożony z jednej strony przez Polaków, a z drugiej przez Rosyan, rozciągniętych kolumnami na trakcie lwowskim — nie mógł myśleć o utrzymaniu miasta i dlatego zawarł z Różnieckim rozejm, mocą którego wojska austryackie miały d. 15. lipca oddać Kraków Polakom. Jakież jednak było zdziwienie księcia Józefa, kiedy — przybywszy do bramy Floryańskiej — zastał tam straże rosyjskie, broniące wejścia do miasta. Austryacy bowiem wpuścili w nocy cichaczem oddział generała Sieversa, aby tylko nie wydać dawnej stolicy w ręce polskie. Oburzony tym podstępem słusznie Poniatowski, siłą otworzył sobie wejście do Krakowa, sam roztrącił huzarów rosyjskich, zastępujących mu drogę w ulicy Grodzkiej

Ułani polscy biorą do niewoli partyzanta niemieckiego Schilla w roku 1813.

Podług obrazu Juliusza Kossaka.

i ostro zgromił Sieversa za niewłaściwe jego postępowanie. Dało to powód dalej jeszcze do kilku pojedynków pomiędzy oficerami polskimi i rosyjskimi, w których odznaczył się słynny rębacz, oficer-piechoty Dulski.[1]) Dopiero przybycie generała Suwarowa, dowodzącego dywizyą rosyjską, położyło koniec nieporozumieniom i Polacy zostali w Krakowie.

Zajęcie starożytnej stolicy było ostatnim ważniejszym w tej wojnie wypadkiem, niebawnie bowiem nadbiegł z głównej kwatery cesarskiej kuryer z wiadomością o zawartym z Austryą rozejmie. Napoleon po krwawej bitwie pod Aspern i Essling (w dniu 21. i 22. maja) gotował się przez sześć tygodni do nowego z nieprzyjacielem spotkania. Uspiwszy tą pozorną bezczynnością czujność arcyksięcia Karola, przeszedł on nagle z całą potęgą Dunaj i w trzydniowej bitwie pod Wagram pokonał zupełnie armią austryacką. Przy tej sposobności pułk szwoleżerów polskich rozbił ułanów nieprzyjacielskich i wziął do niewoli dowódzcę księcia Auersperga. Arcyksiąże cofnął się czemprędzej do Morawii i tu pod Znajmem zgłosił się do Napoleona z prośbą o zawieszenie broni. Cesarz ze względu na wielkie straty, poniesione w tej wojnie i na groźne wzburzenie umysłów w Niemczech, gdzie książe brunświcki i major Schill dość pomyślną przeciw Francuzom prowadzili partyzantkę, a Prusy, zemstą dyszące, pocichu gotowały się do wojny, przyzwolił na rozejm i wojnę w ten sposób można było uważać za skończoną. Wiadomość o rozejmie zaniepokoiła mocno umysły Polaków. Nie miano zgoła wyobrażenia o dalszych zamiarach Napoleona względem Polski, a to, co dotychczas się stało, mogło tylko budzić uzasadnioną obawę i niezadowolenie. W Puławach będąc, otrzymał książe Józef list od generała Bernadotta z poleceniem, aby zdobyte orężem polskim prowincye galicyjskie wziął w posiadanie imieniem cesarza, aby na miejsce herbów austryackich pozawieszał orły francuskie, a wojsko nowe, zaciągnięte w Galicyi, zorganizował po francusku.[2]) Kraj więc, który okazał tyle zapału i przywiązania do dawnej ojczyzny, którego obywatele z narażeniem życia i mienia garnęli się pod sztandary narodowe w tem przekonaniu, że należeć będą znowu do Polski, miał być wcielonym do wielkiego imperium francuskiego, lub służyć za przedmiot zamienny przy układach pokojowych. Niemałe obawy wzniecało także dwuznaczne zachowanie się Moskali, pokątne ich intrygi i surowe ukazy Aleksandra I. przeciw poddanym polskim, służącym w wojsku narodowem. W pierwszym rzędzie było obowiązkiem króla saskiego i jego ministrów polskich w księstwie zwrócić na te okoliczności baczną uwagę i dołożyć wszelkich starań, aby prowincye, zdobyte polskim orężem, w obce nie przeszły ręce. Gdy jednak w tej mierze ze strony powołanej i uprawnionej do tego nic zgoła nie przedsięwzięto, postanowili patryoci galicyjscy na własną działać rękę i wysłali w tym celu do Wiednia Ignacego Potockiego, Miączyńskiego i Tadeusza Matuszewicza. Deputacya przybywała w samą porę, bo już dwór petersburski, przerażony możliwością odbudowania Polski, czynił jak najenergiczniejsze przeciw temu przedstawienia. „Dawne orły polskie — tak pisał Rumiańców do Caulincourta d. 25. lipca 1809. roku

[1]) „Wspomnienia generała Kołaczkowskiego“. T. I, str. 53.

[2]) List w „Pamiętniku Niemcewicza“, t. I, str. 144.

— pojawiły się znowu u granic carstwa, czy po to, aby stwierdzić, do kogo mają należeć kraje, nad któremi one powiewają? Myśl odbudowania Polski rozwija się w głowach mieszkańców księstwa warszawskiego, to już nie życzenie ściśle tajone, to nadzieja objawiająca się wyraźnie, to krucyata, którą się głosi powszechnie, a która nie może dopiąć celu inaczej, jak przez poróżnienie obu cesarzy“.[1])

Pod wrażeniem tych obaw, z nad Newy niewątpliwie przesłanych do Wiednia, zastali delegaci galicyjscy Napoleona. Kiedy na pierwszej audyencyi marszałek Potocki wspomniał cesarzowi o zdradzieckiem niemal postępowaniu generałów rosyjskich, on — przybrawszy twarz surową — odpowiedział krótko: „Pan jesteś źle poinformowanym, panie hrabio“.

Niezrażeni tym chłodem, podwoili deputaci swoje zabiegi i wtedy Napoleon otwarcie wypowiedział im myśl swoją: „Księstwo warszawskie — mówił — jest postrachem dla Rosyi; ono krępuje i oziębia stosunki moje z cesarzem Aleksandrem. Wy jesteście narodem dzielnym, ale jesteście także lekkomyślni, skłonni do krytykowania i trudni do rządzenia. Nie należy łudzić was chimerycznemi nadziejami; w polityce nikt nie kieruje się metafizyką i uczuciem, jestem skłonnym z przychylności dla was i z własnego interesu do odbudowania Polski, ale nie mogę chcieć wojny z Rosyą. Co do Galicyi nie zobowiązałem się do niczego i żadnych obietnic nie czyniłem“.

Nie zupełnie trafnie odezwał się na to Potocki, że jeżeli jedna część Galicyi dostanie się Rosyi, druga może być daną księstwu; Rosya ma już tyle krajów, odparł cesarz i kazał przedłożyć deputacyi plan podziału prowincyj galicyjskich.[2]) Było ich trzy, utrzymał się ostatni dla nas najniekorzystniejszy, ale i to zawdzięczać należy staraniom deputacyi galicyjskiej i osób prywatnych. Wszyscy wysłannicy zachorowali niebezpiecznie na panującą wtedy w Wiedniu dyssenteryą, uległ jej Ignacy Potocki, gorliwy patryota, światły obywatel i jeden z najczynniejszych członków wielkiego sejmu, pozostał Matuszewicz, którego zdolnościom i zręczności zawdzięczać można poniekąd jakie takie dla księstwa nabytki. W pokoju schönbrunskim, zawartym 14. października 1809. roku, otrzymało ono t. zw. Galicyą zachodnią, czyli cyrkuły: zamojski, krakowski, kielecki, radomski, lubelski, bielski i siedlecki, razem 919 mil kwadratowych i 1,466.625 mieszkańców i połowę kopalń solnych w Wieliczce, podczas gdy druga połowa pozostała przy Austryi. Dochody z tej części kraju wynosiły 13,257.368 złp., połowę zysku ze sprzedaży soli obliczano na 2,996.502 złp. Pod względem przemysłowym przedstawiały odzyskane prowincye także wartość niemałą. Znajdowały się tam bowiem (pomiędzy Sandomierzem a Radomiem) znaczne fabryki wyrobów żelaznych, już to rządowe, już prywatne, huty szklane, fabryki sukiennicze (najważniejsza w Staszowie) i wiele innych zakładów podobnych, niedawno powstałych, lecz pomyślnie się rozwijających. Pod względem materyalnym więc przyniosła

[1]) Askenazy: „Konwencya roku 1810. przeciw odbudowaniu Polski“ („Kwartalnik historyczny“, rocznik XI, str. 85).

[2]) Rozmowę tę, spisaną natychmiast przez Matuszewicza po francusku, umieścił Niemcewicz w „Pamiętnikach“, t. I, str. 187.

wojna z roku 1809. księstwu warszawskiemu niezaprzeczone korzyści, moralnie podniosła nadzieje odbudowania Polski, ale zawiodła oczekiwania tych, co marzyli o przyłączeniu całego zaboru austryackiego. Mocno dotknięci czuli się szczególniej mieszkańcy starej Galicyi. Chwycili oni z zapałem za broń, tworzyli oddziały partyzanckie, gromili skutecznie na rozmaitych miejscach ustępujące wojska austryackie, major Strzyżowski zajął Tarnopol i wziął pod Wieniawką [1]) do niewoli generała Bückinga, Trzecieski rozbił pod Stanisławowem jazdę nieprzyjacielską, i teraz nagle po tych wszystkich dowodach patryotyzmu i poświęcenia mieli powracać znowu pod władzę tego rządu, który w ostatnich czasach każdy objaw uczuć narodowych z niesłychaną tłumił surowością. Co więcej obwód tarnopolski oddawano Rosyi w nagrodę za pozorną raczej, niż istotną pomoc. Nic dziwnego zatem, że oburzenie nietylko w Galicyi, ale i w Polsce całej było wielkie, że podkopało ono znacznie wiarę w Napoleona i w szczerość jego zamiarów i ułatwiło Aleksandrowi działanie w prowincyach zabranych.

W r. 1806. sympatye Polaków pod zaborem rosyjskim były stanowczo po stronie francuskiej. 12.000 ludzi z Litwy i z Wołynia przeszło wtedy granicę, aby walczyć pod sztandarami Napoleona i gdyby hufce jego stanęły były na ziemi litewskiej, niewątpliwie cała ludność polska chwyciłaby była za broń w nadziei odzyskania niepodległości.[2]) Pokój tylżycki oziębił znacznie te zapały, a obecnie oddanie starej Galicyi Austryakom i obwodu tarnopolskiego Moskalom osłabiło jeszcze bardziej nadzieje, pokładane w Francuzach. Napoleon otwarcie powiedział Matuszewiczowi, że nie chce wojny z Rosyą, nie chciał jej zaś tak ze względu na zawikłania europejskie, jak i dlatego, że zamierzał żenić się z siostrą Aleksandra. Zasadniczo, ze swojego stanowiska, miał on słuszność zupełną, chociaż cała jego polityka polegała tym razem na złudzeniu, z którego ocknął się za późno, ale — wszedłszy na drogę układów z Rosyą — powinien był uczciwie i otwarcie oświadczyć Polakom: Nic dla was uczynić nie mogę, myślcie sami o sobie. On tymczasem, układając się z Aleksandrem, nie przestał podtrzymywać nadziei w Polakach i używać ich jako straszydła przeciw Rosyi. Na wszelki wypadek chciał mieć strategiczny punkt oparcia nad Wisłą, aby stamtąd jak grom spaść na każde z mocarstw zaborczych, któreby się woli jego sprzeciwić odważyło. Wtedy i pomoc Polaków była dla niego nie ocenioną. Odbudowanie Polski niepodległej w dawnych granicach nie leżało w jego zamiarach tak długo, dokąd wojna hiszpańska nie była skończoną i nie złamaną potęga angielska. Czy — opanowawszy półwysep pirenejski i upokorzywszy Anglików — byłby o tem pomyślał, próżno dociekać.

Historya opiera się na faktach, a nie na przypuszczeniach i wie też, że jeżeli minister spraw wewnętrznych, omawiając położenie państwa francuskiego w ciele prawodawczem dnia 1. grudnia 1809. roku, oświadczył pomiędzy innemi: „Cesarz JMość nie myślał nigdy o odbudowaniu Polski“, to nie było

[1]) Obszernie opisał te wypadki Schnürr-Pepłowski: „Z przeszłości Galicyi“. We Lwowie. 1895.

[2]) „Pamiętniki Michała Ogińskiego“, t. II, str. 264.

w tem zbytniej przesady, powiedział mniej więcej to samo, co marszałek Duroc Michałowi Ogińskiemu na wieczorze u p. Walewskiej.[1]) Na usprawiedliwienie swoje mógł Napoleon przytoczyć w roku 1806. Austryą, a obecnie Rosyą. Tak jak wtedy zależało mu na powstrzymaniu pierwszej od udziału w wojnie, tak teraz nie chciał drażnić jedynego swego sprzymierzeńca, t. j. cara. A ten sprzymierzeniec wyzyskiwał tymczasem po mistrzowsku kłopoty przyjaciela: zagarnął Finlandyą, ubezpieczył tym zaborem swoją stolicę, a jedną ręką sięgając po księstwa naddunajskie, drugą głaskał Polaków obietnicami i budził w nich nieufność do Napoleona. Natychmiast po zajęciu Krakowa przez wojska polskie zgłosił się Dołgoruki i Galicyn za pośrednictwem Eustachego Sanguszki do księcia Józefa z ponętnemi propozycyami od cara.[2]) „Jedź WKsMość — były ich słowa — do księcia Poniatowskiego, powiedz mu, że imperator Aleksander chce księstwo warszawskie i obiedwie Galicye połączyć ze sobą, wziąć pod swe berło i ogłosić się królem polskim, że zaręcza wam wszystkie dawne prawa, księciu samemu wielkie nagrody w dobrach, wojsku 27 milionów, też same co i dziś mają rangi, zachowanie krzyżów wojennych polskich, za krzyże zaś francuskie krzyże moskiewskie“.

Projekt szczery czy nieszczery, ale mogący mieć dla sprawy polskiej niezmierne wówczas znaczenie, trafił nieszczęściem na ludzi, którzy — jako żołnierze — nie umieli z niego skorzystać. Honor wojskowy nie pozwalał im wprawdzie wdawać się w układy z generałami rosyjskimi, ale wątpić nie można, że gdyby natychmiast o zamiarach Aleksandra doniesiono Napoleonowi, byłoby to wywarło wpływ pewien na jego stosunek do Rosyi i postępowanie z Polakami, byłoby go może skłoniło do przyłączenia całej Galicyi do księstwa warszawskiego, a przynajmniej obudziło wcześniej nieufność względem dwuznacznego sprzymierzeńca. Tymczasem książe Józef, odrzucając propozycye carskie i zachowując rzecz całą w tajemnicy, nietylko nie przysłużył się sprawie narodowej, ale nawet wzbudził w Moskalach chęć wywarcia zemsty na Polakach, która się objawiła w srogim ukazie (z dnia 24. sierpnia 1809. r.) przeciw tym poddanym rosyjskim, co na głos odradzającej się ojczyzny spieszyli z za kordonu pod znaki narodowe. Równocześnie rozpoczął dwór petersburski jak najenergiczniejsze starania, aby niedopuścić do odbudowania Polski przez Napoleona, lub do przyłączenia całej Galicyi do księstwa. Po nocie Rumiańcowa, o której wspomnieliśmy wyżej, zabrał głos sam car i oświadczył ambasadorowi francuskiemu Caulincourtowi, że ze względu na interesa Rosyi nie dopuści nigdy do restauracyi Polski. „Cesarz Napoleon — były słowa Aleksandra — wyraził się, że świat jest dość wielkim, aby nas obu pomieścił; otóż myli on się zupełnie, bo jeżeli chodzi o odbudowanie Polski, to świat jest dla nas za małym“.[3]) Pomimo, a może właśnie z powodu tej gwałtownej opozycyi rosyjskiej przyłączył Napoleon zachodnią Galicyę do księstwa i wywołał przez to jak największe rozdrażnienie w Petersburgu. Rumiańcow zażądał stanowczo zawarcia konwencyi, w której Napoleon miał oświadczyć.

[1]) „Pamiętniki Michała Ogińskiego“, t. II, str. 293.

[2]) „Pamiętniki Niemcewicza“, t. I, str. 174.

[3]) Askenazy: „Sprawozdanie Caulincourta“ („Kwartalnik historyczny“).

że świeżo dokonane powiększenie posiadłości księstwa warszawskiego nie może nigdy doprowadzić do odbudowania Polski.[1]) Na tem tle rozpoczęte układy ujęto ostatecznie ze strony rosyjskiej w formę konkretną. Artykuł pierwszy orzekał, że królestwo polskie nie będzie nigdy odbudowane, drugi wykreślał na zawsze imię Polski i Polaków ze wszystkich aktów urzędowych i publicznych, piąty wreszcie zawierał zapewnienie, iż księstwo warszawskie nie otrzyma nigdy żadnego przyrostu terytoryalnego w ziemiach, należących do dawnego królestwa polskiego. W ten sposób zamierzał gabinet petersburski zgładzić ze świata sprawę polską i pognębić na wieczne czasy naród żyjący, lecz pozbawiony bytu politycznego. Na tem jednak utknęła rzecz cała, bo jakkolwiek Caulincourt podpisał tak ułożoną konwencyą w Petersburgu, to Napoleon odmówił ratyfikacyi układu, zawierającego zobowiązania, których nie mógł przyjąć żaden polityk trzeźwy i godność swoją szanujący.

A że równocześnie prawie rozchwiał się także ów projekt małżeństwa z siostrą Aleksandra i Napoleon ożenił się w roku 1810. z arcyksiężniczką Maryą Ludwiką, więc nastąpiło nadzwyczajne oziębienie stosunków pomiędzy dworem francuskim i rosyjskim. W innych warunkach byłaby może ta niechęć wzajemna nie miała skutków tak doniosłych. W chwili obecnej jednak, gdy cesarstwo napoleońskie przez księstwo warszawskie sięgało granic caratu, a upokorzenie Anglii tylko za współdziałaniem Aleksandra uskutecznić się dało i gdy nad Rosyą zawisła groza możliwego odbudowania Polski, było starcie pomiędzy zachodem a wschodem Europy nieuniknionem. Zaborcza polityka obu mocarstw przyspieszyła katastrofę. Napoleon, aby tem skuteczniej wykonać system kontynentalny, zajął miasta hanzeatyckie i księstwo oldenburskie, car zaś, wierny tradycyom Katarzyny II., rozpoczął wojnę z Turcyą i w odpowiedzi niejako na wypędzenie swego oldenburskiego kuzyna zaprowadził dnia 31. grudnia 1810. roku w swojem państwie nową taryfę handlową, która — nakładając cła wysokie na wyroby francuskie — pozwalała wprowadzać do Rosyi produkta kolonialne pod banderą neutralną, czyli innemi słowy otwierała dla handlu angielskiego zamknięte dotąd porty rosyjskie. W takiem położeniu zachowanie Polaków nie było ani dla jednej ani dla drugiej strony obojętnem, zwłaszcza gdy wojna miała się toczyć na obszarze dawnych ziem polskich. Zrozumiał to Aleksander lepiej, niż jego przeciwnik, i kiedy Napoleon, łudząc się jeszcze zawsze nadzieją utrzymania przyjaznych z carem stosunków, gotów był okupić przymierze z Rosyą kosztem Polski i Polaków, kiedy przez usta swego ministra zapewniał cara, że o odbudowaniu Polski nie myśli, samodzierżca wszech Rosyi słuchał życzliwie skarg Czartoryskiego i lojalnych przedstawień Michała Ogińskiego i wprowadzał w polityce swojej względem Polaków system łagodności i wyrozumienia. W trzy tygodnie po wspomnianej już mowie Montaliveta wyszedł ukaz rządzącego senatu, dający tym poddanym polskim, co bez wiedzy władz wydalili się zagranicę, sześciomiesięczny termin do powrotu. Uwiadamiając o tem księcia Czartoryskiego, wszczął Aleksander rozmowę o Polsce i rzekł po pewnym namyśle:

[1]) Tamże. Str. 88.

„Niema innego środka, aby to wszystko ułożyć, jak tylko nasz dawniejszy projekt, t. j. stworzenie oddzielnego konstytucyjnego królestwa polskiego pod berłem rosyjskiem. Trzeba jednak czekać, aż Austrya popełni jakieś nowe głupstwo i zerwie z Francyą; wtedy będzie się można porozumieć z Napoleonem i wynagrodzić w inny sposób króla saskiego“.[1])

Sprawa polska zajmowała go odtąd stale, niepokój jego wzrastał w miarę, jak układy o konwencyą przewlekały się i brały obrót niepomyślny dla gabinetu petersburskiego; niepewny, straszony widmem Polski, wpadał więc na pomysły rozmaitego rodzaju. W cztery miesiące po przytoczonej powyżej rozmowie pytał Czartoryskiego, czy nie dobrze byłoby utworzyć osobne państwo z ośmiu gubernij polskich i czy mógłby w takim razie liczyć na sympatye swoich polskich poddanych? A gdy mu książe dał odpowiedź wymijającą i wspomniał przytem o konwencyi, wymierzonej przeciw odbudowaniu Polski ogółem, car, widocznie zakłopotany, zwalił winę całą na Champagnyego, na Francuzów i — wracając do pierwotnej swej myśli — oświadczył, że gotów byłby utworzyć królestwo polskie z księstwa warszawskiego i Galicyi i pozwolić, aby polscy poddani Rosyi przyjmowali obowiązki służbowe w tem nowem państwie.

Znając dobrze język dyplomatyczny, nieprzywiązywał książe Adam wielkiej wagi do chaotycznych cokolwiek planów cara, wymówił się więc zręcznie od wszelkiego udziału w służbie administracyjnej, wyjechał z Petersburga do Wilna, dokąd go powoływały sprawy uniwersyteckie i szkolne, wreszcie za urlopem nieograniczonym udał się do Puław z zamiarem wyjechania zagranicę. Jako Polak, pragnący szczerze odrodzenia ojczyzny, widział on się zawiedzionym w swoich nadziejach i czuł, że dalszy pobyt w stolicy rosyjskiej u boku Aleksandra stawia go w położeniu nadzwyczaj przykrem wobec własnych ziomków, że rzuca cień na jego charakter i może — zwłaszcza w chwili toczących się układów o zatracenie imienia polskiego — podać w wątpliwość uczucia, którym nigdy się nie sprzeniewierzył. Te względy i oczekiwanie dalszych wypadków, których obojętnym świadkiem być nie mógł, jakoteż chęć służenia sprawie narodowej tam, gdzie do tego najlepsza nadarzała się sposobność, a więc w części Polski niepodległej i mającej — jak się zdawało — nadzieję rozszerzenia swych granic, skłoniły Czartoryskiego do opuszczenia Rosyi. Zatrzymawszy się w Puławach i zrobiwszy wycieczkę do Warszawy, układał on właśnie plan dalszej podróży, polecał listownie opiece Aleksandra uniwersytet wileński i prosił go o zupełne uwolnienie od służby, kiedy nagle — już na początku roku 1811., a więc po zerwaniu systemu kontynentalnego i rzuceniu rękawicy Napoleonowi — nadszedł list z Petersburga, pełen wprost zdumiewających wiadomości. Car, uderzając w strunę piętnastoletniej przyjaźni, której okoliczności ani zerwać, ani nawet zamącić nie zdołały i która nigdy nie przestała być dlań drogą, nie chciał słyszeć o dymisyi Czartoryskiego, a — przyrzekając sprawę liceum krzemienieckiego załatwić zupełnie podług jego życzenia — przedkładał księciu równocześnie nowy plan odbudowania Polski, już nie problematyczny, lecz — jak się wyrażał — na najpewniej-

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 221.

szych polegający podstawach. Zamierzał on mianowicie podjąć wielką wojnę przeciw Napoleonowi w celu wyswobodzenia Europy z pod jarzma francuskiego i użyć do tego Polaków. Wsparci posiłkami rosyjskiemi i pruskiemi, mogli oni z największą łatwością opanować kraj cały aż po Odrę, wtedy powstałyby Niemcy, a Napoleon — zajęty wojną hiszpańską — nie byłby w stanie stawić czoła temu potężnemu ruchowi, obejmującemu całą środkową i wschodnią Europę. Aleksander udzielił przeto nieograniczonego urlopu Czartoryskiemu i prosił go, aby się udał do Warszawy, zbadał tam umysły i doniósł mu niezwłocznie, czy projekt tego rodzaju może być wykonanym. Jakkolwiek sądzilibyśmy o charakterze Aleksandra, którego Napoleon „najchytrzejszym z Greków“ nazywał, nie mamy najmniejszego powodu powątpiewać o szczerości jego zamiarów w chwili obecnej. Przestraszony wojną francuską, którą za nieuniknioną już uważał, pragnął on potężnego nieprzyjaciela osłabić, odbierając mu jedynego szczerego sprzymierzeńca, na którego bezwzględnie mógł liczyć, t. j. Polaków, wzniecić w narodzie polskim zapał narodowy, przykładem tego ruchu porwać ociężałych cokolwiek Niemców i — przerzuciwszy pożar wojny nad Elbę i dalej nad brzegi Renu — uchronić państwo swoje od najazdu i zniszczenia.

Korzyści tej nie okupywał on żadnemi ofiarami, przeciwnie — wrazie powodzenia, dość prawdopodobnego — zyskiwał całe księstwo warszawskie, stawał się panem Polski i najpotężniejszym monarchą w Europie; pobity zaś przez Napoleona i przerzucony za Niemen, uwalniał się przynajmniej raz na zawsze od obawy odbudowania Polski z pomocą francuską. W każdym wypadku zaś, przedstawiając plan swój Czartoryskiemu i wzywając go do współdziałania w sprawie tak ważnej, wstrzymywał Aleksander dymisyą księcia, która w chwili tak groźnej, jak obecna, byłaby sprawiła na narodzie polskim wielkie wrażenie i zachwiała w prowincyach litewskich zupełnie wiarę w Aleksandra i sympatye, jakie tam jeszcze posiadał. W ten sposób oceniał także — o ile sądzić można — i książe Adam zamiary ukoronowanego swego przyjaciela. Widział on trudności wielkie w wykonaniu tak śmiałego przedsięwzięcia, przedstawił Aleksandrowi obszernie swoje wątpliwości i obawy, zgadzał się jednakże na plan ten pod dwoma warunkami: 1. że wszyscy Polacy pod jednem berłem będą złączeni i 2. że w krajach polskich będzie przywrócona konstytucya 3-go maja. Rząd autonomiczny polski z urzędnikami i wojskiem narodowem uważał przy tem oczywiście jako warunki niezbędne i niepodlegające dyskusyi.[1])

W odpowiedzi swojej, wysłanej z Petersburga dnia 31. stycznia 1811. roku, oświadczał Aleksander, że Rosya odbuduje Polskę, której granice na wschodzie sięgać będą po Dźwinę, Berezynę i Dniepr (Ruś białą zachowywał dla siebie), że nada jej autonomią i konstytucyą liberalną, ale z tem zastrzeżeniem (conditio sine qua non), że królestwo polskie na zawsze będzie złączone z Rosyą i że restauracya zawisłą jest od jednomyślnej zgody obywateli księstwa warszawskiego, poręczonej podpisami osób wybitnych i posiadających należytą powagę w kraju i społeczeństwie.

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 248—284.

Na tej podstawie, jasno określonej, czynił Czartoryski pewne zabiegi z niewielkiem jednak powodzeniem.[1]) Przeszkadzały mu mianowicie dwie okoliczności: zmiana taktyki ze strony Napoleona i nowe projekta, wylęgłe w głowach domorosłych polityków litewskich, którzy na własną rękę chcieli zbawiać Polskę.

Napoleon w przewidywaniu bliskiej wojny z Rosyą zwrócił w tej chwili baczną uwagę na zachowanie się i usposobienie Polaków. W miejsce Serry,

Pomnik Włodzimierza Potockiego w katedrze krakowskiej,
dłuta Torwaldsena.

dotychczasowego rezydenta francuskiego w Warszawie, wysłał on tam uczciwego i przychylnego dla sprawy polskiej Bignona, zalecając mu w instrukcyi szczegółowej oswojenie Polaków z myślą odbudowania Polski przez Francyą. „Masz pan — były słowa instrukcyi — nadać rządowi księstwa popęd, któryby go przysposobił do wielkich zmian, jakie cesarz na korzyść narodu

[1]) Wynika to z listu Aleksandra z dnia 4. kwietnia 1812. roku („Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 279).

polskiego chce uskutecznić. Trzeba, ażeby Polacy wspierali widoki cesarza i aby się przyczyniali sami do swego odrodzenia. Winni oni poczytywać Francyą jedynie za mocarstwo im posiłkujące". A na innem miejscu: „Będzie dla Polski niepodległość i wolność. Co do wyboru monarchy, to ten wyniknie z traktatu, jaki JCMość z mocarstwami podpisze. Cesarz nie rości żadnego prawa do tronu polskiego dla siebie, ani dla swojej familii. W wielkiem dziele przywrócenia Polski ma jedynie na widoku szczęście Polaków i spokojność Europy. JCMość upoważnia pana do oświadczenia urzędownie tej deklaracyi jego, gdy to uznasz za użyteczne dla dobra Francyi i Polski".

Misyą Bignona poprzedziły wiadomości, poufnie nadsyłane z Paryża, a usprawiedliwiające jawne postępowanie Napoleona względem Polaków, tak sprzeczne na pozór z treścią instrukcyi, potrzebą utrzymania przyjaznych stosunków z Petersburgiem aż do chwili, gdy wojna będzie nieuniknioną, poprzedziło doniesienie o konwencyi przeciw odbudowaniu Polski[1]) i wysłanie młodego oficera Chłapowskiego do Polski z wyraźnem, przez Napoleona podpisanem poleceniem, zasięgnięcia wiadomości o stanie umysłów na Litwie.[2]) Wszystko to musiało utwierdzać w ludziach, stojących u steru rządu w Warszawie, ufność do Napoleona i zbudzić w ich sercach nowe nadzieje, podczas gdy zamknięcie komór celnych przez Rosyą i zabór tarnopolskiego obwodu służyły za dowód niewygasłej nienawiści moskiewskiej ku Polakom. Nic dziwnego zatem, że przy podobnem usposobieniu umysłów nie znalazł Czartoryski w księstwie wielu zwolenników połączenia Polski z Rosyą i że to, co mógł donieść Aleksandrowi, nie wróżyło wcale, aby „obywatele warszawscy" jednomyślnie gotowi byli przyjąć propozycyą, która — wychodząc z osobistych pobudek cara — nie była znaną nawet kanclerzowi państwa Rumiańcowowi.[3])

Z drugiej strony w tej właśnie chwili zjawiała się w głębokiej Litwie kombinacya nowa, różniąca się od tamtej, dla narodu polskiego o wiele niekorzystniejsza, ale daleko więcej odpowiadająca widokom Aleksandra. Ułożył ją znany nam Michał Ogiński, uczestnik kościuszkowskiej insurrekcyi, ajent emigracyi polskiej w Konstantynopolu, powrócony łaską Aleksandra do kraju, wyniesiony na godność senatora i z przekonania oddany carowi, jako monarsze pełnemu uczuć wzniosłych, liberalnych poglądów i tej rzadkiej łaskawości, którą umiał podbijać i czarować tych, co do niego się zbliżali i w towarzystwie jego czas pewien spędzili.

W podróżach swoich po Europie, ocierając się często o Napoleona, bywając na przyjęciach dworskich w Paryżu i w St. Cloud, przysłuchując się pilnie temu, co cesarz mówił i co powtarzali za nim najwyżsi dygnitarze francuscy, nabrał Ogiński przekonania, że Napoleon o odbudowaniu Polski wcale nie myśli i że — podniecając nadzieje w Polakach — czyni to tylko z czysto egoistycznych pobudek, podczas gdy Aleksander przeciwnie ma zamiar błąd babki swojej naprawić, Polskę odbudować i wszystkich Polaków pod swojem

[1]) Wiedział o tem n. p. Niemcewicz; por. jego „Pamiętniki", t. I, str. 217.
[2]) „Pamiętniki Niemcewicza", t. I, str. 228.
[3]) „Memoires du prince Adam Czartoryski", t. II, str. 217

berłem zjednoczyć. Utwierdzał go w tej myśli przykład Kościuszki, który „ograniczał się do życzenia, aby korona polska pozostała na głowie Aleksandra i aby wszyscy Polacy mogli być połączeni pod jego berłem“.[1]) Powróciwszy zatem na początku roku 1811. z Paryża pod świeżem wrażeniem rozmowy z Durocem,[2]) nie miał on nic pilniejszego, jak ułożyć memoryał o położeniu prowincyi litewskiej i przedłożyć go Aleksandrowi. Polityk bardzo miernych zdolności, umysł nie głęboki, typ domorosłego statysty, zabrał się Ogiński do dzieła bez przygotowania należytego, chociaż z szczerym zamiarem służenia sprawie narodowej.

Bystrzejszy i oględniejszy od niego byłby przedewszystkiem zasięgnął rady tych, co znali dokładniej stosunki petersburskie, charakter Aleksandra i jego usposobienie względem Polaków, byłby szukał drogi do porozumienia się z Czartoryskim, przyjacielem cara i urzędowym niejako reprezentantem polskim w Petersburgu. Ogińskiemu wystarczała zupełnie przychylność, jaką mu Aleksander okazywał, możność bezpośredniego porozumienia się z nim i na tej wątłej podstawie budując swoje nadzieje, uwiedziony może ambicyą, postanowił zbawić ojczyznę na własną rękę, tak, jak ją zbawiali inni, równie jak i on naiwni i niedoświadczeni. Memoryał, wręczony dnia 15. maja 1811. r. Aleksandrowi, zajmował się — jak wspomniano — głównie losem prowincyi litewskiej. „Litwini — zdaniem Ogińskiego — nie przestali być nigdy wiernymi monarchom Rosyi, odkąd się znajdują pod ich zależnością[3]) i teraz oczekują wszystkiego po sprawiedliwości i wspaniałomyślności WCMości“. Po tem wyznaniu, w pierwszej części przynajmniej zupełnie niezgodnem z prawdą, po tym frazesie, obliczonym chyba na niewiadomość lub naiwność Aleksandra, następowały właściwe żądania. Domagał się więc Ogiński utworzenia z ośmiu gubernij księstwa litewskiego pod jednym naczelnikiem, na który to urząd proponował z początku wielką księżnę Katarzynę, a później zadowolnił się pierwszym lepszym generałem, utrzymania statutu litewskiego, osobnego trybunału i zrównania Litwinów co do podatków i sposobu ich pobierania z guberniami rosyjskiemi. O języku urzędowym, o wojsku i o szkołach nie było ani słowa. Zaprawdę niepodobna w warunkach takich, jak ówczesne, żądać mniej i żądania te wyrazić w sposób mniej odpowiedni i mniej polityczny, jak to uczynił Ogiński. Nic zatem dziwnego, że Aleksander zachwycał się memoryałem, że czytającemu autorowi przerywał co chwila słowami: „To słuszne! To bardzo prawdziwe! To są fakta historyczne!“ że — porównawszy w duchu projekt Ogińskiego z hazardownym planem odbudowania Polski, dla którego starał się pozyskać księcia Adama — przechylił się odrazu na stronę pierwszego, że go nazywał odtąd „naszym wielkim projektem“, a żegnając ekspodskarbiego wyrażał się o Litwinach z zupełnem zadowoleniem. „Powiedz twym ziomkom — mówił — że myślę o nich, że zajmuję się ich losem, że chciałbym módz poprawić go; że może się przedstawić wkrótce sposobność, kiedy będę im mógł dać tego dowody; że liczę na ich przywiązanie i że

[1]) „Pamiętniki Ogińskiego“; por. przedmowę do tomu trzeciego.
[2]) „Pamiętniki Ogińskiego“; por. str. 1367.
[3]) „Pamiętniki Ogińskiego“, t. III, str. 35.

proszę o ich zupełne zaufanie“. Wistocie zaufania i przywiązania Polaków pragnął on teraz gorąco, bo od nich zależał los wojny i przyszłość carstwa. Jeżeli Napoleon ogłosi królestwo polskie i jeżeli powstanie ogarnie gubernie litewsko-ruskie, natenczas Rosya, odepchnięta za Dźwinę i Dniepr, utraci wpływ swój na sprawy europejskie i powróci do tego stanu, w jakim się znajdowała za czasów Iwana Groźnego i bezpośrednich jego następców. Memoryał Ogińskiego uspokajał w tym względzie znacznie obawy Aleksandra. Widział on teraz, że szlachta litewska nie pokłada bezwzględnego zaufania w Napoleonie, że za cenę pewnych ustępstw gotowa byłaby stale połączyć się z Rosyą, że powstanie, jeżeli wybuchnie, nie będzie powszechnem, ani groźnem i na tych przypuszczeniach budował dalsze swoje plany, głaskał szlachtę wileńską i mińską, na prośby jej, zanoszone do tronu, odpowiadał uprzejmie po polsku, za pośrednictwem Ogińskiego uwzględniał drobne życzenia Litwinów, zgodził się na to, aby część podatków na Litwie wybierać w zbożu i furażu celem „zaradzenia niedostatkowi brzęczącej monety i ułatwienia mieszkańcom środków uiszczenia się wobec rządu“, a wśród tego polecił generałowi Armfeldowi i baronowi Rosenkampfowi zredagowanie ustawy dla mieszkańców Litwy, Wittemu i księciu Kazimierzowi Lubomirskiemu opracowanie planu organizacyjnego dla armii, którą utworzyć miano w ośmiu guberniach polskich. Niejasna ta i kunktatorska polityka zaniepokoiła nawet Ogińskiego. Naprawiając błąd popełniony, przedłożył on carowi dnia 22. października 1811. roku nowy memoryał wraz z projektem organizacyi wielkiego księstwa litewskiego, zawierający już dokładne określenia względem języka urzędowego, administracyi i wojska i otrzymał na to odpowiedź krótką, nic nie mówiącą: „Odbieram w tej chwili twój memoryał panie hrabio i zajmę się nim natychmiast“. W rozmowie zaś prywatnej oświadczył Aleksander ekspodskarbiemu, że nie będzie miał czasu na wykonanie projektu co do Litwy, bo musi myśleć przedewszystkiem o powiększeniu sił zbrojnych i prosi Ogińskiego, aby mu wskazał środki, jakich w tym względzie dostarczyć może księstwo litewskie. Widząc, że go wszystkie nadzieje zawiodły,[1]) uczynił niefortunny dyplomata litewski krok ostatni, rozpaczliwy: wystosował mianowicie dnia 1. grudnia 1811. roku trzeci z kolei memoryał do cara, w którym usiłuje go nakłonić do ogłoszenia się królem polskim, gdyż w ten sposób będzie można „pomięszać nieskończenie projekta Napoleona i pozbawić go potężnych środków działania“. Aleksander przyjął tę propozycyę z zadowoleniem, mniemał jednak, że trzeba jeszcze czekać wypadków, że otrzymał właśnie z Paryża wiadomości pokojowe i że wobec tego wypada raczej powrócić do pierwotnego planu litewskiego, w tym celu pragnie mieć osoby, po jednej z każdej gubernii, zdolne do opracowania organizacyjnego statutu. Uradowany tym nowym dowodem zaufania carskiego Ogiński, podyktował Aleksandrowi nazwiska ośmiu delegatów gubernialnych i na tem zakończył swoją karyerę dyplomatyczną. W pół roku później widział on się z carem na balu w Zakrecie, danym w przededniu rozpoczęcia wojny i usłyszał od niego ubolewanie, że jest

[1]) „Pamiętniki Ogińskiego“, t. III, str. 56.

zniewolonym zrzec się kilku projektów, ponieważ niema już czasu zająć się niemi!

Księstwo warszawskie. — Konfederacya. — Wojna roku 1812. Gdy tak z tamtej strony Niemna przebiegła polityka Aleksandra, wsparta naiwnością Polaków, zdołała w krótkim czasie stworzyć na Litwie stronnictwo rosyjskie i sparaliżować przez to ruch narodowy, gdy Litwini — idąc za natchnieniem Ogińskiego i jego przyjaciół — oddawali się błogim marzeniom o odbudowaniu Polski, lub co najmniej wielkiego księstwa litewskiego przez Aleksandra, pracowała równocześnie dyplomacya francuska w przeciwnym kierunku, budząc w obywatelach księstwa ufność do Napoleona, jako zbawcy Polaków i wskrzesiciela ich ojczyzny. Wypadki lat ostatnich stanowiły silną dla tych zabiegów podstawę. Zwolennicy Aleksandra opierali swoje nadzieje na osobistych uczuciach i słownych zapewnieniach cara, mogli się powołać na łagodniejsze cokolwiek stosowanie surowych ukazów w zaborze rosyjskim, na pewne ulgi przyznane tej lub owej gubernii, na system szkolny wreszcie, dzięki staraniom Czartoryskiego i Czackiego, pomyślnie rozwijający się na Wołyniu i na Litwie. Ale drobne te ustępstwa i niewyraźne obietnice nie były w stanie zatrzeć w narodzie polskim pamięci krzywd, doznanych od Rosyi, ani zrównoważyć tych korzyści, jakie przyniósł Polakom dotąd związek ich z Francyą i z Napoleonem. Odzyskali oni w części przynajmniej byt narodowy, wznowili przyćmioną sławę oręża polskiego, mieli bądź co bądź możność swobodniejszego rozwoju, a świeżo dokonane przyłączenie Galicyi zachodniej zdawało się zapowiadać powolne wprawdzie, lecz niechybne powstanie Polski w dawnych granicach.

Dnia 2. stycznia 1810. roku wyszedł dekret królewski, wcielający zachodnie cyrkuły galicyjskie do księstwa, mianujący nowych senatorów w tej części kraju i wprowadzający do niej administracyą narodową. W maju tego roku odwiedził król Fryderyk August odzyskane prowincye, udał się na Poznań, Kalisz i Częstochowę do Krakowa, gdzie starodawnym obyczajem obchodził z nabożeństwem uroczystość patrona Polski św. Stanisława, słuchał w wielkiej sali uniwersyteckiej mowy Sołtykiewicza, dziekana wydziału filozoficznego, zapisał imię swoje w księdze uniwersyteckiej i był na świetnym balu, jaki miasto na cześć jego w Sukiennicach wydało. Jeżeli uroczystości w prastarej stolicy Piastów i Jagiellonów budziły wspomnienia dawnej świetności narodowej, to Warszawa wrzała nieustannie tentnem nowego życia, witała łukami tryumfalnemi powracające pułki, rozkoszowała się w teatrze przedstawieniem „Rzymu oswobodzonego“ Franciszka Wężyka, tłoczyła się na uroczyste przy tej okazyi posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk i radowała się z przybycia króla, który — po zwiedzeniu Krakowa zabawiwszy u Czartoryskich w Puławach — odbył pod Wolą przegląd wojska i przyjął deputacyą Gdańszczan, przypominającą najświetniejsze czasy Rzeczypospolitej. W roku następnym (1811) zebrał się drugi z kolei sejm księstwa w odmiennej postaci i w rozszerzonym składzie.

Po śmierci zacnego Stanisława Małachowskiego (29. grudnia 1809. r.), któremu do grobu towarzyszyła niczem niezaćmiona sława zacnego obywatela

i najgorliwszego patryoty, oddał król przewodnictwo w senacie Tomaszowi Ostrowskiemu, laskę marszałkowską powierzył Stanisławowi Sołtykowi, posłowi czteroletniego sejmu, ministrem skarbu mianował zdolnego i wymownego Matuszewicza, tekę ministra policyi otrzymał Ignacy Sobolewski. W izbie poselskiej zasiedli posłowie z galicyjskich departamentów, w senacie nowi senatorowie, czterech biskupów, pomiędzy nimi biskup unicki z Chełmu Ciechanowski. Widok to był dla mieszkańców Warszawy wdzięczny i podniosły, pomimo biedy, panującej w kraju, pomimo uciążliwych podatków i nieurodzaju krzepiły się serca nadzieją lepszej przyszłości, której zadatkiem były granice rozszerzone i listek wawrzynu, uszczknięty w nierównej a chlubnej walce z obcym najazdem. Stan materyalny i ekonomiczny państwa przedstawiał się wprawdzie ponuro. Podczas gdy zastój w handlu i przemyśle nie ustawał, wydatki wzrastały bezustannie. Na rozkaz Napoleona i w dobrze zrozumianym własnym interesie trzeba było siłę zbrojną pomnożyć do 60.000 ludzi, obwarowywać Modlin i Serock, uzupełniać rynsztunek i zapasy wojenne, nadrabiać to, czego w karygodnej lekkomyślności swojej zaniedbali w ciągu ostatnich lat stu dziadowie i ojcowie żyjącego obecnie pokolenia. Do klęsk wyżej wymienionych przyczyniły się inne, nieprzewidziane i przez nikogo niezawinione, a więc nagła redukcya banknotów austryackich w roku 1811., przyprawiająca o dotkliwe straty obywateli galicyjskich, wywołanie z obiegu bankocetli, zniżenie kursu monety pruskiej i nadzwyczajna taniość ziemiopłodów, będących jedynem prawie i najważniejszem źródłem bogactwa krajowego. Skutkiem tego wpływały podatki skąpo, chociaż gotowość do ofiar była powszechna, każdy rok administracyi skarbowej zamykał się deficytem, rząd w największych znajdował się kłopotach. Ale wiara w potęgę Napoleona i wieści głuche o nowej wojnie z Rosyą, która przecież — podług ogólnego mniemania — inaczej zakończyć się nie mogła, jak tylko zwycięstwem Francuzów i odbudowaniem Polski, utrzymywały umysły w stanie ciągłego naprężenia, głuszyły skargi na niedostatek i nadmierne wysilenia czyniły znośniejszemi.

Sejm, rozpoczęty dnia 9. grudnia, okazał nie mniejszą jak poprzedzający gorliwość, chociaż i tym razem nie obeszło się bez surowej, a po części słusznej krytyki systemu rządowego. Gdy nowy minister skarbu Matuszewicz, uwzględniając słuszne narzekania rolników, uczynił wniosek, aby podatek gruntowy zmniejszono, a natomiast ustanowiono podatki pośrednie (czopowe, patentowe, stemplowe i t. d.), co było słusznem i roztropnem zarazem, zabrał głos poseł maryampolski Godlewski i w mowie niemal czterogodzinnej wytknął mnóstwo wad w administracyi, wykazał liczne nadużycia, trwonienie grosza publicznego i t. d., lecz wmięszał do tego tyle osobistych wycieczek, że wrażenie krytyki przez to znacznie osłabił. Rzeczywiście administracya, już to dla braku doświadczenia, już też z powodu niedostatku ludzi fachowo wykształconych, nie była wcale wzorową. Narzekano słusznie na wielką ilość urzędników, którzy mało, albo zgoła nic nie robili i na zupełnie niewłaściwy, a przytem zbyt kosztowny sposób żywienia wojska. Dyrekcya żywności spoczywała w rękach generała Wielhorskiego, ten jednak — będąc chorym — nie posiadał należytej do tego energii i stąd poszło, że gdy kraj na utrzyma-

nie wojska olbrzymie łożył sumy (42,000.000), pieniądzmi temi bogacili się głównie dostawcy, którym n. p. za funt mięsa, sprzedawanego na targu po 8 groszy, płacono 18. Ażeby tym nadużyciom koniec położyć, zniósł król dyrekcyą żywności i przedłożyć kazał sejmowi projekt inny, mianowicie opatrywania wojska w naturze za pośrednictwem prefektów, a pod kierunkiem ministra spraw wewnętrznych. Po niejakim oporze przyjęła izba wnioski podatkowe Matuszewicza. Ostatecznie zwyciężył patryotyzm i zapał narodowy, zwyciężyła i obawa przed wojną, o której coraz głośniej i wyraźniej powszechnie mówiono.

Tak zbliżył się wreszcie rok 1812., rok wojny i rok urodzaju; zewsząd nadchodziły wieści o uzbrojeniach, o możliwem najechaniu księstwa przez Moskwę i o ścisłem porozumieniu Prusaków z Rosyą; z Paryża przysłano rozkaz, aby jak najprędzej wykończyć fortyfikacye Modlina, król polecił pobrać 20.000 rekrutów i pomnożyć każdą kompanią piechoty o 20 żołnierzy. Wojna była więc nieuchronna; rosły obawy i nadzieje, rosły i olbrzymie wydatki. W miesiącu styczniu wydano na wojsko z ubogiego skarbu 6,000.000; z ukazaniem się wiosny, skoro tylko mrozy puściły, wysłano dwie dywizye piechoty do robót przy obwarowaniu Modlinu, spędzono z najbliższych departamentów 10.000 chłopów; na polecenie marszałka Davoust budowano 900 wozów wojennych, słowem kraj cały zamieniał się niejako w olbrzymią zbrojownię. Wistocie Napoleon, acz niechętnie, był zmuszonym w końcu chwycić za oręż.

Długie układy z Kurakinem w Paryżu i z Rumiańcowem w Petersburgu nie doprowadziły do żadnego rezultatu, niepowiodła się również misya Lauristona, nie wskórał nic hr. Narbonne, w ostatniej chwili wysłany z Drezna do Wilna. Car, znając dobrze trudne położenie przeciwnika, nie okazywał najmniejszej skłonności do ustępstw. Liczył on na wojnę hiszpańską, wlokącą się leniwie i niepomyślnie dla Francuzów, na pomoc Anglii, na panujące niezadowolenie w Niemczech, wreszcie na trudności, z jakiemi spotkać się musiał nieprzyjaciel, podejmujący wyprawę w kraj daleki, pozbawiony dogodnych środków komunikacyjnych, przecięty licznemi i wielkiemi rzekami, straszny rozległością swoją i surowym klimatem. Miała wprawdzie i Rosya także swoje troski i obawy; była wwikłana w wojnę turecką i mogła się spodziewać zemsty Szwedów. Ale i z tych trudności wybrnął Aleksander szczęśliwie. Wskutek niedołęstwa Turków i wpływów angielskich w Konstantynopolu powiodło mu się w sam czas zawrzeć pokój z Osmanami, a równocześnie ugłaskać także Szwedów. Po nagłej śmierci księcia Augustenburga, następcy tronu szwedzkiego, powołano na tę godność generała Bernadotte, księcia Ponte Corvo. Było to na pozór wielkiem zwycięstwem polityki napoleońskiej, wistocie jednak stało się jedną z przyczyn upadku Napoleona. Bernadotte bowiem, zawsze mu niechętny, a przytem pilnujący teraz więcej interesów szwedzkich niż francuskich, uważał za rzecz korzystniejszą dla siebie połączyć się z Rosyą, niż trwać w związku z Napoleonem, który świeżo zajął Pomorze szwedzkie. Zjechawszy się więc z Aleksandrem w Abo, zawarł z nim traktat, mocą którego za Finlandyą miał otrzymać Norwegią. Tak w stanowczej chwili mógł car

— bez żadnej obawy o bezpieczeństwo swoich granic południowych i północnych — wszystkie siły swoje zwrócić na odparcie francuskiego najazdu. Napoleon przeciwnie prowadził wojnę z Hiszpanią i Anglią i oprócz własnej, co prawda wielkiej potęgi, nie miał z wyjątkiem Polaków ani jednego szczerego sprzymierzeńca.

W pierwszych miesiącach roku 1812. zawarł on wprawdzie traktat z Prusami i z Austryą i uzyskał od jednych 20.000, a od drugiej 30.000 posiłków na wojnę rosyjską, ale oba te mocarstwa popierały go niechętnie i gotowe były każdej chwili obrócić oręż swój przeciw temu, który je tylokrotnie upokorzył i przemocą wprzęgnął do swego tryumfalnego rydwanu. Zdawałoby się, że tak genialny człowiek jak Napoleon, oceniając trudności swego położenia, będzie się starał najlepszego swego sprzymierzeńca, t. j. Polaków, wzmocnić, zapał ich podniecić odbudowaniem Rzeczypospolitej i — przyłączywszy do księstwa warszawskiego zabór rosyjski — uczynić to nowe państwo podstawą działania dla ogromnej swojej armii. Stało się jednak inaczej. Rozpoczynając wojnę niechętnie, łudził on się bezustannie nadzieją, że mu się uda Aleksandra zastraszyć rozwinięciem sił olbrzymich i groźbą odbudowania Polski i w najgorszym razie po pierwszej zwycięskiej bitwie zmusić do zaszczytnego dla Francyi pokoju.

Tą myślą przejęty, unikał wszystkiego, co mogłoby Rosyą do nieubłaganej wyzwać walki, a wiedząc, że piętą Achillesową dla Moskwy była Polska, używał jej dla postrachu, a nie z zamiarem stworzenia z niepodległej Polski nie jako wału ochronnego przeciw zaborczej polityce caratu. W tym kierunku też obracała się cała polityka Napoleona względem Polaków podczas pamiętnej wojny z roku 1812. Z początkiem wiosny ruszyły masy wojsk francuskich ku Wiśle, dnia 8. maja wyjechał z Paryża sam cesarz i zatrzymał się przez dłuższy czas w Dreźnie, oczekując na powrót hr. Narbonne z Wilna. Dnia 25. maja nadjechał wreszcie wyglądany niecierpliwie ambasador, prysły wszystkie złudzenia pokojowe i rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie. Pierwszym jawnym dowodem zerwania stosunków z Rosyą było ogłoszenie w Monitorze noty Mareta księcia Bassano do hr. Rumiańcowa, wysłanej w dniu 25. kwietnia, a zawierającej niejako akt oskarżenia przeciw Aleksandrowi i jego zewnętrznej polityce. Była tam mowa i o księstwie warszawskiem, niemiłem Rosyi i o kwestyi oldenburskiej i o otwarciu portów rosyjskich Anglikom, co wszystko razem wzięte uważał francuski minister za zerwanie traktatu tylżyckiego i owych układów zasadniczych, które zakończyły walkę pomiędzy dwoma najpotężniejszeni mocarstwami i „obiecywały światu wielkie dobrodziejstwo pokoju“.

Przechodząc do sprawy polskiej, zarzucał Maret, że Rosya zmierza do opanowania księstwa warszawskiego, na co cesarz zezwolić nie może, chociaż gotów był dać zobowiązanie, że usiłowań dążących do odbudowania Polski wspierać nie będzie. Polska była zatem pomiędzy innem przyczyną rozdwojenia obu mocarzy i jednym z głównych powodów wojny, którą też Napoleon słusznie nazwał „drugą wojną polską“. Spodziewać się należało, że — działając konsekwentnie — zastosuje on względem Polaków politykę

taką, jakiej najbardziej Rosya się obawiała. Jakoż zrazu poczyniono w tej mierze kroki na pozór nadzwyczaj doniosłe. Nadszedł więc w ostatnich dniach maja dekret królewski, rozpoczynający się od słów: „Zważywszy okolicz-

Prześladowanie młodzieży polskiej w Wilnie w roku 1823.

ności dzisiejsze, wielkie dla narodu rokujące przeznaczenia“ i przelewający całą władzę monarszą na ministrów księstwa, a tuż potem przybył do Warszawy nadzwyczajny ambasador cesarski, arcybiskup mechliński

ks. de Pradt, aby zastąpić zwykłego rezydenta francuskiego Bignona. Jeżeli te dwa wypadki zelektryzowały opinią publiczną i obudziły w umysłach najżywsze nadzieje, to w kołach rządowych nie mniejsze wrażenie musiała sprawić rozmowa Napoleona z Matuszewiczem w Poznaniu. „Chcę przywrócić Polskę — mówił on — lecz obecnie ogłosić jej nie mogę. Wywiodłem całe siły moje, nadto jedną ręką prowadzę Austryaka, drugą Prusaka. Austrya za niejakie nagrody ustąpi Galicyę. Zwołajcie sejm, uczyńcie konfederacyą, wezwijcie do niej króla waszego, udajcie się do mnie o przywrócenie wam zabranego kraju, wtenczas go ogłoszę i spodziewam się, że utrzymam“.[1]) Nie mamy najmniejszego powodu powątpiewać o prawdziwości tych słów, zgodnych zupełnie z programem działania, przepisanym przez Napoleona rządowi księstwa i pojmujemy dobrze, jak bardzo musiały one utwierdzić najpoważniejszych ludzi w mniemaniu, że Polska odbudowaną będzie. Jawnie, bez żadnej osłony, podsycał te nadzieje ambasador francuski; Niemcewicza prosił, aby starał się umysły zagrzewać, aby w teatrze grywano sztuki patryotyczne, spiewano pieśni narodowe, pragnął mieć historyą Polski z ostatnich lat 30-tu i wyliczone krzywdy, jakich Polacy od Rosyi doznali.

Wśród tego zwołali ministrowie z mocy udzielonej im władzy sejm na dzień 15. czerwca; przybył do Warszawy pochylony wiekiem książe Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, od czasu sejmu czteroletniego nie biorący udziału w sprawach publicznych, obecnie przeznaczony na marszałka konfederackiego sejmu. Piotr Łubieński ustąpił mu mandatu. Obrany posłem z powiatu warszawskiego, czekał książe na polecenie Napoleona, aby sejm zagaić. Spodziewano się przez pewien czas, że cesarz zjedzie sam do Warszawy, on jednak — nie chcąc się widocznie niczem wiązać jeszcze wobec Polaków — obrócił drogę na Toruń, Gdańsk i Królewiec, w zastępstwie zaś swojem niejako wysłał do Warszawy brata Hieronima, prowadzącego korpus westfalski. Wybór był pod każdym względem nieszczęśliwy, bo Hieronim — z powierzchowności tylko przypominający Napoleona — zraził sobie umysły postępowaniem nietaktownem, wygórowaną dumą i lekceważeniem, podczas gdy Westfalczycy jego rabunkiem i niesłychanemi gwałtami ludność spokojną i łagodną do krwawej zapalali zemsty. Powstało stąd powszechne niezadowolenie. Król, objeżdżający kuligiem i objadający dwory możniejsze, każący żywić siebie i dwór cały kosztem miasta, budził wstręt i lekceważenie, z żołnierzami westfalskimi przychodziło na ulicach Warszawy do ciągłych zatargów i krwawych bójek, które siłą zbrojną hamować musiano. Około 20. czerwca odetchnęła wreszcie cokolwiek stolica, król Hieronim wyruszył do armii, za nim powlokło się niechętnie jego wojsko, a z głównej kwatery francuskiej nadbiegł kuryer z rozkazem otwarcia sejmu dnia 26. czerwca. Pierwsza sesya sejmowa miała się zejść z odezwą Napoleona, wydaną do żołnierzy w Wilkowiszkach dnia 23. czerwca. Zapowiadał w niej cesarz „drugą wojnę polską“, zapowiadał po niej pokój, który „położy nieprzebytą tamę dumnemu wpływowi Rosyi“.

---

[1]) „Pamiętniki Niemcewicza“, t. I, str. 332.

Równocześnie w Warszawie w izbie poselskiej, zebranej pod przewodnictwem księcia Adama Czartoryskiego, czytano prośbę obywateli litewskich, wzywającą sejm i naród do odbudowania Polski. „Wzywamy was — były słowa prośby — w imieniu naszem i pokoleń naszych, abyście się zajęli niezwłocznie wielkim odzyskania ojczyzny przedmiotem, nie potocznych urządzeń, nie utyskiwań na panujące cierpienia, nie zaradzeń cząstkowych to jest pora! Śmiejcie! Czyńcie!“ Jakkolwiek łatwo zrozumiałą jest rzeczą, że petycyą litewską podpisali tylko obywatele na Litwie dobra posiadający, ale zamieszkali w księstwie, jakkolwiek rzecz cała była ułożona i obmyślana z góry przez Pradta i ministrów polskich na życzenie wyraźne Napoleona, jakkolwiek w tem powołaniu Litwinów nie widać wielkiej zręczności, to niemniej przeto wskazało ono sejmowi kierunek dalszego działania.

Na następnem posiedzeniu zabrał głos Matuszewicz jako sprawozdawca deputacyi, wyznaczonej do roztrząśnienia prośby Litwinów i — przedstawiwszy krzywdy, jakich doznał naród polski — zakończył rzecz swoją twierdzeniem, że niezawisła Polska jest potrzebną dla Francyi i dla Europy. „Jeśli przeto — mówił — w dawniejszych epokach wszystko sprzysięgło się na naszą zgubę, w dzisiejszej wszystko sprzyja dźwignieniu naszemu. Powstanie więc Polska, co mówię? jest już Polska“. Słowa te, wypowiedziane w obecności ambasadora francuskiego i pod wrażeniem rozpowszechnionej co tylko odezwy wojennej Napoleona, wzbudziły zapał niesłychany. Najzimniejsi i najtrzeźwiejsi nie mogli się już oprzeć nadziei, że Polska z woli Napoleona odbudowaną będzie, a raz ogłoszona przez mocarza, stojącego na czele półmilionowej armii, istnieć nie przestanie. Toż nic naturalniejszego, jak że sejm natychmiast zawiązał generalną konfederacyą królestwa polskiego, że uroczyście oświadczył przed światem i narodem, jako łączy się w ten związek po to, „aby rozdarte najniesprawiedliwszym gwałtem części ojczyzny nazad w jedno ciało spoić i wrócić ją dawnemu jej bytowi i szczęściu“ i że w drugim artykule aktu konfederackiego orzekł, „iż królestwo polskie jest przywrócone i naród polski na nowo w jedno ciało połączony“. Wykonanie tak rozległego programu wymagało z jednej strony wytężenia wszystkich sił powstającego narodu, z drugiej szczerego i energicznego poparcia Napoleona. Zawiodło niestety i jedno i drugie. Rada generalna konfederacka pod przewodnictwem księcia Czartoryskiego (sekretarzem był Kajetan Koźmian) ograniczyła działanie swoje do wydawania manifestów, zbierania akcesów do konfederacyi i t. p. słabych środkach budzenia ducha narodowego. W chwili, gdy wszystko co żyło powinno było chwycić za broń, gdy należało organizować wojsko i niepokoić nieprzyjaciela, słowem dźwigać się własnemi siłami bez oglądania się na pomoc i zwycięstwa Francuzów, rada konfederacka w nieprzystojnej dla siebie roli pokornego petenta słuchała rozkazów ambasadora francuskiego i nie zdobyła się na żaden krok samodzielny, na żaden czyn, świadczący o silnem i niezłomnem postanowieniu odzyskania niepodległości. Niemniej dziwnem, zagadkowem i zgubnem dla sprawy polskiej i dla Francyi nawet było postępowanie Napoleona. Posłuszna poleceniom Pradta wysłała rada konfederacka dwa poselstwa: jedno do Drezna, zapraszające króla do konfederacyi, drugie

do Wilna, gdzie była wtedy główna kwatera cesarska. Poczciwy Fryderyk August podpisał akces ze łzami w oczach; odpowiedź Napoleona była chłodna, zanadto może trzeźwa i nie zawierała wcale zobowiązań jakichkolwiek względem odbudowania Polski. „Pochwalam wszystko, coście uczynili — rzekł on — upoważniam dalsze usiłowania wasze; uczynię, co tylko odemnie zawisło, aby wspierać wasze postanowienia“. Zaraz jednak dodał, że zaręczył cesarzowi austryackiemu całość państw jego i zakończył mowę zwrotem podobnym, jak niegdyś w Poznaniu: „Niechaj Litwę, Żmudź, Witebsk, Mohylew, Wołyń, Ukrainę i Podole ten sam duch ożywia, jaki widziałem w Wielkopolsce, a Opatrzność uwieńczy powodzeniem świętość waszej sprawy“.

Z całego przemówienia najważniejszym jest ustęp, w którym cesarz przyrzekał wspierać usiłowania Polaków. Stosownie do tej obietnicy należało się spodziewać, że Napoleon dostarczy przynajmniej broni do uzbrojenia gwardyi narodowej i nowych zaciągów i że działaniami wojennemi wojsk swoich pokieruje tak, aby dać możność mieszkańcom prowincyj zabranych do okazania tego ducha i tego patryotyzmu, jaki Wielkopolanom z ust jego zjednał tak zaszczytne i zasłużone pochwały. Tymczasem stało się zupełnie inaczej; broń zapowiedziana nie nadeszła wcale, wstrzymana w czynnościach swoich przez Pradta rada konfederacka, nie znajdując w sobie dość odwagi i tęgości ducha, aby sprawą narodową podług swojej myśli pokierować, zawiesiła niebawnie swoje czynności i zostawiła kraj na Opatrzność Boską i francuską, a Wołyń, Podole i Ukraina zamiast bratnich hufców pod znakiem Orła i Pogoni ujrzały u siebie posiłkowy korpus austryacki, wysłany tam chyba na gaszenie, nie zaś na wzniecenie zapału narodowego. Taką była w rzeczywistości owa przyobiecana przez cesarza pomoc, takim był początek kampanii, której dziejów smutnych dotkniemy o tyle tylko, o ile łączą się one z losem Polski i wojska polskiego.

Armia polska, towarzysząca Napoleonowi w jego wyprawie na Moskwę, liczyła 48.000 piechoty, 17.200 jazdy, 1500 artylerzystów i 104 dział, czyli razem 66.700 ludzi,[1]) oprócz pociągów, wojska inżynierskiego i luzaków. W kraju pozostał 13-ty pułk piechoty Żymirskiego, stojący na załodze w Zamościu, pozostały zakłady, część artyleryi i saperów. Jeżeli zważymy, że taką potęgę wystawiło księstwo, liczące zaledwie 4,000.000 ludności i będące małym odłamem dawnej Rzeczypospolitej i jeżeli porównamy z tem środki obrony przed najazdem rosyjskim w roku 1792., to będziemy mieli wyobrażenie, czego naród polski mógł był wtedy dokonać, gdyby ci, którzy u steru stali, mieli dość energii, znajomości rzeczy i stałości charakteru. Ale ten owoc wysileń narodowych, ten żołnierz w znacznej części zahartowany w bojach i otoczony sławą bohaterskich czynów, miał być użytym nie dla sprawy polskiej, nie dla odzyskania prowincyj zabranych, lecz dla pomnożenia sił wielkiej armii, miał służyć celom ambitnego imperatora, pomagać mu w urzeczywistnieniu jego światowładnych zamiarów. Wojsko polskie, wysłane na Wołyń, Podole i Ukrainę, mogło nietylko roztrącić Tormasowa i powstrzymać armią Czycza-

[1]) Daty podajemy podług „Wspomnień generała Kołaczkowskiego“, jako naocznego świadka i ścisłego w obliczaniu.

gowa, ale nadto rozniecić w tych stronach płomień powstania, rozerwać siły nieprzyjacielskie i stać się zbawieniem dla Napoleona po katastrofie moskiewskiej. Cesarz był innego zdania. Znając męstwo Polaków i nienawiść ich do Moskali, uważał widocznie wojsko polskie na równi z francuskiem za jądro wielkiej armii i widział w bezpośredniem jego współdziałaniu rękojmią zwycięstwa. „Mam 80.000 Polaków — mówił do posła rosyjskiego — będą się bić jak wściekli; będę miał ich wkrótce 200.000“. W tem przeświadczeniu zapewne utworzył on z wojska polskiego 5-ty korpus armii pod księciem Poniatowskim, resztę zaś porozdzielał pomiędzy inne korpusy, tak, że legia nadwiślańska należała do młodej gwardyi, dowodzonej przez marszałka Mortiera, pułk ułanów Stokowskiego znalazł się w 9-tym korpusie, a pułk Łubieńskiego oddano Oudinotowi. Tak rozporządziwszy wojskiem polskiem przeprawił się Napoleon bez oporu ze strony Moskali przez Niemen i wszedł do Wilna, skąd przed chwilą ustąpili Rosyanie, zniszczywszy wprzód nagromadzone zapasy i spaliwszy most na Wilii. Stolica Litwy przyjęła go uroczyście. Widok wielkiego wodza, otoczonego świetnym orszakiem generałów, marsowa postać starej gwardyi i 8-my pułk ułanów pod księciem Dominikiem Radziwiłłem, wzbudziły w tłumach ludu zapał niesłychany i radość szczerą, których Napoleon atoli należycie wyzyskać nie umiał. Odpowiedź, udzielona deputacyi konfederackiej, a najbardziej grabieże i gwałty, jakich dopuszczał się żołnierz wielkiej armii nietylko na ludzie wiejskim, ale i na poważnych obywatelach, ochłodziły znacznie początkowy zapał Litwinów. Do tego dodać trzeba jeszcze, że Aleksander, w ostatnich szczególniej czasach, zjednał sobie stronnictwo pomiędzy Litwinami, że Rosyanie pobrali rekrutów z całego kraju i wszelkie zapasy i że wobec tego trudno było o zapał powszechny i o tę ofiarność, jakiej dowody złożyła Wielkopolska i prowincye, zostające pod zaborem pruskim. Nie wiele też przyczyniło się do rozbudzenia ducha narodowego postępowanie samego Napoleona. Zamiast Polaka mianował on w Wilnie gubernatorem generalnym Holendra generała Hogendorpa, rządowi tymczasowemu przydał wprawdzie jako komisarza znanego z Warszawy i przychylnego Polakom Bignona, ale podział kraju na departamenta, dodawanie władzom miejscowym urzędników obcych, powierzenie intendantury Francuzom, obok innych wyżej wspomnianych uciążliwości, nie mogło się podobać Litwinom, przywiązanym do swoich praw i zwyczajów i obrabianym nadto przez ajentów rosyjskich. Nie była jednak Litwa zupełnie obojętną. Nie zważając na niebezpieczeństwo i zemstę Moskali, stawili się na usługi kraju i cesarza liczni przedstawiciele szlachty i możnowładztwa, z duchowieństwa biskup miński Dederko, zaczęto tworzyć pięć pułków piechoty i tyleż jazdy pod dowództwem generała księcia Gedrojcia, z młodzieży szlacheckiej powstał pułk ułanów gwardyi, oddany Konopce, w Wilnie urządzono gwardyą narodową z 1450 głów złożoną. Nie znaczyło to wprawdzie zbyt wiele, ale dowodziło w każdym razie, że Litwa jest także ożywiona duchem patryotycznym i że dobrze pokierowany ruch narodowy może objąć i kraj cały i wszystkie warstwy ludności. Gorzej działo się na Wołyniu, Ukrainie i Podolu. Dla pobudzenia powstania w tych prowincyach wyznaczono z Warszawy zacnego zresztą weterana generała Krópiń-

skiego, Napoleon powołał do swego boku księcia Eustachego Sanguszkę, ale obaj oddaleni od okolic, w których działać mieli i wobec obojętności Austryaków, nie byli w stanie spełnić swego zadania. W ten sposób powstrzymano lub zmarnowano cały ruch narodowy. Napoleon, pokładając całą ufność swoją w potężnej armii, w swoich zdolnościach i szczęściu wojennem, mniemał, że pierwsze zwycięstwo przerazi nieprzyjaciela i skłoni go do zawarcia pokoju, przy którym i o Polsce będzie można pomyśleć, jeżeli nie jako o niezawisłem państwie, to jako o przedmiocie niezmiernie cennym dla uzyskania jak najkorzystniejszych warunków. Ale rachuby te zawiodły, szczęście wojenne niedopisywało, organizacya i karność armii, rozrzuconej po olbrzymich przestrzeniach, okazała się niedostateczną, a tłumy maroderów, wlokące się za wojskiem, wśród rozboju i grabieży wróżyły niedobrze o powodzeniu wyprawy. Nie udały się też pierwsze plany cesarza. Nieudolny Hieronim, zmarnowawszy niepotrzebnie kilka dni w Grodnie, nie zdołał — tak jak należało — znieść korpusu pod generałem Bagrationem, a dywizya jazdy polskiej, prowadzona przez Różnieckiego, doznała porażki pod Mirem, gdzie ją obskoczyły przeważne siły nieprzyjacielskie. Napoleon, oburzony tem do żywego, odebrał bratu dowództwo, wyraził swoje niezadowolenie księciu Poniatowskiemu i oddał korpus polski pod komendę marszałka Davoust.

Ażeby wynagrodzić popełnione uchybienie, puszczono się teraz w najszybszy pościg za nieprzyjacielem przez najdzikse okolice Litwy, wśród nieprzerwanych prawie bagien i lasów. Młoda piechota polska, nieprzywykła do takich pochodów, a przytem źle żywiona, bo kraj był ubogi, a magazynów nie prowadzono ze sobą, upadała ze znużenia, szeregi topniały widocznie, przy końcu lipca bataliony niektóre liczyły już tylko po 400 ludzi. Tak dotarł korpus polski wreszcie do Mohylewa, ale Bagration — acz pobity przez marszałka Davoust pod Sałtanówką — uszedł do Starego Bychowa i — przeszedłszy tam Dniepr — stanął wnet w Mścisławiu. Wielka armia zbliżyła się tymczasem do Witebska i zatrzymała się tam przez czas niejaki. Napoleon rozmyślał widocznie, co dalej czynić należy. Korzystając z wytchnienia i wezwany do tego przez Duroca książe Eustachy Sanguszko, przedłożył wtedy cesarzowi memoryał,[1]) w którym — zwracając uwagę jego na klęski, jakie zagrażać mogą armii z powodu ostrego klimatu — doradzał utworzenie oddziałów strzeleckich na saniach, potrzebę odmiany kucia koni (Francuzi kuli je na tępo) i znaglenie Schwarzenberga do szybszego działania, celem opanowania Ukrainy i Wołynia. Przedstawienia Sanguszki nie odniosły skutku; Napoleon, wbrew życzeniom i zdaniu generałów swoich, którzy pragnęli w Witebsku ukończyć tegoroczną kampanię, ruszył dalej ku Smoleńskowi, łudząc się ciągle nadzieją stoczenia walnej bitwy. Jakoż Barklay de Tolly, naczelny wódz rosyjski, zdawał się tracić już cierpliwość, stanął w Smoleńsku i gotował się do obrony warownego grodu.

Napoleon kazał uderzyć natychmiast do szturmu. Korpus polski, jakoteż korpusy marszałków Davoust i Neya rzuciły się z niezrównaną odwagą, do-

[1]) „Pamiętniki księcia Eustachego Sanguszki“, str. 75.

tarły aż do przedmieść, które bagnetem zdobywać przyszło. Tu jednakże wobec murów, grubych na 18 stóp i braku artyleryi oblężniczej, nie pomogły bohaterskie wysilenia żołnierzy i męstwo oficerów. Noc, oświetlona jaskrawo pożarem płonącego miasta, rozjęła walczących; na pobojowisku leżało 12.000 trupów i ranionych, pomiędzy tem 1000 Polaków. Zginął dzielny generał Michał Grabowski, pułkownik Zakrzewski, podpułkownik Podhański, rany odnieśli generał Zajączek i pułkownik Krukowiecki. Tymczasem nieprzyjaciel pod osłoną ciemności nocnych opuścił niespostrzeżenie Smoleńsk, zostawiając Francuzom miasto zamienione w gruzy, napełnione stosami trupów i umierających.

Tak skończyła się owa „burda“ smoleńska, która najniepotrzebniej w świecie naraziła armią na dotkliwe straty, a starożytne miasto na zupełne zniszczenie. Za uchodzącym nieprzyjacielem puścił się w pogoń Ney i pod Walutynem odniósł nad tylną strażą Barklaya piękne zwycięstwo, nie zniszczył go jednak zupełnie, gdyż Junot, stojący opodal, nie przyszedł mu z pomocą. W zajętym Smoleńsku odpoczywało wojsko do 22. sierpnia i tu była ostatnia chwila zastanowienia się dla Napoleona. Jakoż wielu generałów francuskich sądziło, że należy zaniechać dalszego pochodu, ściągnąć oderwańców i posiłki z nad Niemna i Wisły, umocnić Dynaburg, Witebsk i Połock i pod osłoną tych twierdz zaimprowizowanych przetrwać zimę, a z wiosną drugą rozpocząć kampanią. Przez ten czas można było dokończyć organizacyą armii litewskiej i rzucić korpus silny na Mozyr i Kijów dla zajęcia Wołynia, Podola i Ukrainy. Zgłaszał się z tym planem książe Józef do cesarza, zwłaszcza po odłączeniu od korpusu polskiego dywizyi Dąbrowskiego, którego zostawiono pod Bobrujskiem, gdy wojsko polskie, zmniejszone do 10.000, nie wiele mogło zaważyć na szali wypadków, a samem pojawieniem się swojem w południowych prowincyach zmuszało Rosyan do rozdzielenia sił i nieciło powstanie w krajach najzasobniejszych, obfitujących w konie i ludzi i usposobionych jak najlepiej dla sprawy narodowej, ale Napoleon, uniesiony świeżem powodzeniem Neya, nie zważał na żadne przedstawienia i dnia 22. sierpnia dał rozkaz do dalszego pochodu na Moskwę. Stan wielkiej armii budził już wtedy poważne obawy. Dnia 24. czerwca przeszło Niemen 283.650 ludzi, liczba ta przed bitwą smoleńską spadła do 179.770, z Smoleńska wyruszyło 165.000. W przeciągu dwóch miesięcy ubyło zatem z szeregów blisko 120.000 żołnierzy,[1]) gdy straty w bitwach poniesione mogły wynosić najwięcej 30.000. Na prawem i na lewem skrzydle szły rzeczy także niepomyślnie. Nad Dźwiną Wittgenstein, wsparty korpusem Steinhela z Finlandyi, przewyższał siłami swojemi Francuzów, od południa Czyczagow z Tormasowem mogli odepchnąć łatwo słabszego i niechętnego Schwarzenberga, podać rękę Wittgensteinowi i — jak to się rzeczywiście później stało — zagrozić linii operacyjnej Napoleona. Nie można przypuścić, aby cesarz tych niebezpieczeństw nie widział i nie oceniał należycie, zdawało mu się jednak, że byle tylko doścignął główną armię rosyjską i zmusił ją do wydania bitwy, której rezultat uważał za niewątpliwy, naten-

[1]) „Wspomnienia generała Kołaczkowskiego“, t. I, str. 115.

czas zajmie Moskwę i podyktuje Aleksandrowi warunki pokoju. Jakoż nieprzyjacielowi sprzykrzyło się wreszcie owo ciągłe uchodzenie przed Francuzami, opinia publiczna w Rosyi zwróciła się przeciw kunktatorstwu Barklaya, car odebrał mu naczelne dowództwo i powierzył je wracającemu z wojny tureckiej Kutuzowowi. Nowy wódz postanowił wydać bitwę Francuzom w obwarowanem redutami stanowisku, na drodze wiodącej do Mozajska, pod wsią Borodynem. Dnia 5. września korpus polski, idący na prawem skrzydle wielkiej armii, dotarł pierwszy do reduty, wysuniętej przed frontem rosyjskim. Zaczął się natychmiast silny ogień armatni z obu stron. Liczniejsza i korzystniej ustawiona artylerya rosyjska zasypywała granatami baterye polskie; szef brygady Sowiński, późniejszy bohater z pod Woli, stracił nogę, mimoto jednak nie ustąpił z pola walki, lecz — dawszy się opatrzeć — wydawał dalej na ziemi, leżąc, rozkazy swoim kanonierom. Natarczywy atak jazdy nieprzyjacielskiej rozbił się o czworoboki polskiej piechoty, redutę zdobyto ostatecznie bagnetem i bitwa o godzinie 9-tej wieczór była skończona. Nazajutrz Napoleon, rozglądnąwszy się dokładnie w pozycyi, jaką zajmowała armia rosyjska, wydał stosowne rozkazy i dnia 7. września zrana — po odczytaniu odezwy cesarskiej żołnierzom — zagrały działa na całej linii.

Korpus polski miał uderzyć na lewe skrzydło nieprzyjacielskie i wyrzucić je z t. zw. mamelonu. Zadanie to, jak na siły, któremi rozporządzał książe Poniatowski, było zbyt trudne. Przeciw 10.000 Polaków stał tu generał Tuczkow z 13.000 regularnego wojska i 7000 milicyi, w pozycyi z natury silnej i obwarowanej, uwieńczonej 62 działami. Walka w bagnistym lesie toczyła się więc długo nierozstrzygnięta, wreszcie szef brygady Rybiński na czele jednego batalionu 15-go pułku zdobył redutę i 13 dział; ale niepoparty w stosownej chwili i napadnięty przez przeważające siły rosyjskie musiał bagnetem utorować sobie drogę do swoich. Około godziny 3-ciej dopiero rzucił książe Józef wszystkie swoje siły na wzgórze i jazdę z boku i tym skombinowanem uderzeniem złamał ostatecznie upartego nieprzyjaciela i utrzymał się na zdobytem stanowisku mimo natarczywych ataków generała Baggowuta, który po poległym Tuczkowie objął dowództwo. Wśrodku rozstrzygnęło zwycięstwo właściwie szalone natarcie jazdy na główną redutę, przyczem chlubnie odznaczył się pułk kiryasyerów polskich. Niestety Napoleon w tym dniu pamiętnym nie rozwinął dawniejszych swoich zdolności, odrzucił trafną radę marszałka Davoust, w ostatniej chwili nie poparł ataku jak należało rezerwami starej gwardyi i tą dziwną obojętnością, która miała być u niego skutkiem silnej febry kataralnej, sprawił, że nadzwyczaj krwawa bitwa skończyła się wprawdzie zwycięstwem Francuzów, ale nie zniesieniem armii rosyjskiej.

Straszna bitwa pod Borodynem, gdzie z obu stron poległo około 90.000 ludzi, otworzyła Napoleonowi drogę do Moskwy. Dnia 14. września ujrzeli Polacy, postępujący w przedniej straży, z t. zw. Worobiejskiej góry, ogromną stolicę carów, ale tej samej nocy już wszczął się pożar, trwający przez trzy dni z niepohamowaną gwałtownością. Siedem tygodni (od 14. września do 19. października) strawił cesarz bezczynnie w Moskwie, pogrążony w niepojętej jakiejś zadumie, łudzący się i łudzony nawzajem przez Moskali nadzieją

rychłego pokoju, przy każdej niemal sposobności okazujący niechęć swoją Polakom.[1]) Kutuzow tymczasem, uporządkowawszy rozbitą swoją armię i ściągnąwszy zewsząd posiłki, napadł niespodziewanie na słabszego o wiele Murata pod Winkowem i dotkliwą zadał mu porażkę. Zginął w tej bitwie szef sztabu polskiego generał Fiszer; pułkownik Blumer z 8-go pułku piechoty przebił się przez przemagające siły rosyjskie i uprowadził ze sobą wszystkie armaty. Pod Czarykowem odznaczyła się świetnie brygada jazdy Tyszkiewicza. Niepowodzenia te i wzrastająca ciągle śmiałość nieprzyjaciela przekonały wreszcie Napoleona, że Aleksander o pokoju wcale nie myśli, 18. października dał więc rozkaz opuszczenia Moskwy i po bitwie pod Jarosławcem skierował odwrót swój na Wereję i Mozajsk, drogą ku Smoleńskowi, przez najbardziej spustoszone okolice, aby uniknąć bitwy z Kutuzowem. „Zginęliśmy niezawodnie!“ zawołał Sanguszko, słysząc jak cesarz ten rozkaz wydawał i rzeczywiście rozpoczął się odtąd ostatni, najstraszniejszy akt tej wielkiej tragedyi dziejowej. Dziesiątkowane głodem i coraz ostrzejszemi mrozami, dowlokły się szczątk wielkiej armii do Berezyny, gdzie spodziewano się swobodnej pod Borysowem przeprawy. Zawiodła jednak i ta nadzieja. Nieopatrznie i niedbale pozostawiono na tym ważnym punkcie Dąbrowskiego tylko z 8000 ludzi. Tymczasem Czyczagow, czy to działając w porozumieniu z Schwarzenbergiem,[2]) czy też omyliwszy go zręcznie, zbliża się do Berezyny i dnia 21. listopada atakuje przeważającemi siłami garstkę Polaków. Z nieporównaną walecznością i rzadką wytrwałością broni się Dąbrowski przez dzień cały i — straciwszy 2000 ludzi — przechodzi wreszcie na drugą stronę rzeki. Stało się to wtedy, gdy Wittgenstein, pobiwszy korpus marszałka St. Cyr, zbliżał się do Czyczagowa, aby okrążyć Francuzów, zepchnąć ich w bagna mińskie i głodem zmusić do poddania. Teraz odżyła jednak energia w Napoleonie. Odkrywszy przypadkowo bród na Berezynie pod wsią Studzianką, omylił on zręcznemi obrotami czujność nieprzyjaciela i gdy Rosyanie pilnowali przeprawy pod Borysowem, kazał rzucić dwa mosty i po nich przeprowadził główne siły swoje na prawy brzeg rzeki. Spostrzegłszy za późno błąd popełniony, uderzył nieprzyjaciel całą potęgą na rozdzieloną armię francuską, Czyczagow na Oudinota, Wittgenstein na Victora, który pozostał na lewej stronie Berezyny. Wywiązała się tak zacięta bitwa, ukończona ostatecznie zwycięstwem Francuzów. Najchlubniejszy udział wzięły w niej szczątki polskiego korpusu, wynoszące zaledwie 6000 ludzi i one też najcięższe może poniosły straty. Ranieni zostali generałowie Dąbrowski i Kniaziewicz, Zajączkowi kula urwała nogę; książe Poniatowski, będąc chorym wskutek upadku z konia, nie był w bitwie obecnym. Dzięki nieopatrzności nieprzyjaciela, który mostów na dalszej, bagnistej drodze nie poznosił i uchodzących mniej natarczywie ścigał, miała odtąd „wielka armia“ swobodniejszy już odwrót. W Wilnie czekały ją zapasy, ofiarnością Litwinów nagromadzone, czekało 14.000 świeżego wojska. Można było — złączywszy te siły — stawić jakikolwiek opór zmęczonemu także i osłabionemu nieprzyja-

[1]) Por. „Pamiętniki księcia Eustachego Sanguszki“.

[2]) Sanguszko („Pamiętniki“, str. 118) twierdzi stanowczo, że Schwarzenberg był przekupiony i że codziennie hr. Branicka posyłała mu 5000 dukatów.

cielowi, zbierać rozbitków i ostatecznej przynajmniej uniknąć zguby. Ale Napoleon, przerażony wiadomościami o spisku Malleta, nadesłanemi z Paryża, opuścił wojsko w Smorgoniach (d. 5. grudnia) i pod osłoną ułanów dawniej Konopki, a obecnie Stokowskiego, przybyłych świeżo z Hiszpanii, wyjechał przez Wilno i Kowno w największej tajemnicy do Warszawy, zdając naczelne dowództwo Muratowi.

Stan księstwa warszawskiego. — Powrót z kampanii moskiewskiej. — Książe Poniatowski w Krakowie. — Układy. — Udział Polaków w dalszej wojnie. — Bitwa pod Lipskiem. — Zajęcie Paryża. Mieszkańcy księstwa przepędzili czas wojny w ciągłym niepokoju i trwodze. Wiadomości z pola walki dochodziły późno, zazwyczaj dopiero z Paryża, wieści prywatne, często bardzo fałszywe, budziły bądź radość przedwczesną, bądź przygnębienie nieuzasadnione i utrzymywały ludność w stanie gorączkowego rozdrażnienia. Tymczasem w bliższych okolicach nad Bugiem i Niemnem rozlegał się znowu szczęk broni, lotne oddziały rosyjskie wpadały co chwila w granice księstwa, wybierały po miastach kontrybucye, rabowały dwory, uprowadzały obywateli podejrzanych z Litwy i z Korony i rzucały postrach na samą Warszawę. Przerażenie w połowie października było tak wielkie, że generał Du Taillis, gubernator stolicy, kazał zamknąć rogatki miejskie i wzbronił każdemu wyjazdu. Odezwa rządowa uspokoiła dopiero cokolwiek potrwożone umysły, chociaż nie zdołała przywrócić dawniejszego zaufania. Wiedziano dobrze, że księstwo jest ogołocone z wojska, że — oprócz nielicznych załóg po twierdzach — nie ma wcale obrony i że co gorsza o obronie kraju nikt nie myśli, ani ambasador Pradt, człowiek niewojenny i lekkomyślny, ani weteran Du Taillis, przeznaczony właściwie do utrzymywania porządku w Warszawie, ani wreszcie generalna rada konfederacka, usypiająca snem błogim na stosach akcesów i odezw patryotycznych.

Potrzebowała Polska w tych ciężkich czasach — jak trafnie wyraził się Niemcewicz — dobrej głowy, któraby bez oglądania się na ambasadora i Francuzów chciała i umiała działać w duchu narodowym, w myśl postanowień, uchwalonych przez sejm konfederacki i stosownie do słów samego Napoleona, wyrzeczonych w Wilnie, a wykutych w marmurze w Warszawie. Tworzenie nowych pułków w księstwie, zorganizowanie gwardyi narodowej, powołanie pospolitego ruszenia i poruszenie prowincyj zabranych, tak, jak tego oczekiwał sam cesarz, było niewątpliwie obowiązkiem konfederacyi i rządu polskiego, obowiązkiem trudnym wprawdzie, lecz podobnym do wykonania.[1]) Zamiast tego, cała machina rządowa, uwolniona od starań o wyżywienie wojska i kwatery, oczekiwała zbawienia od Napoleona i zerwała się wtedy dopiero do czynu, kiedy szczątki wielkiej armii, ścigane przez Kozaków Kutuzowa, rozwiały narazie wszelkie marzenia o niepodległej Polsce, siłą oręża francuskiego odbudowanej. Samodzielne i energiczne działanie całego narodu polskiego stawało się niezbędnem od czasu, gdy Napoleon przeznaczył do operacyj wojen-

[1]) Powołujemy się tu na zdanie niepodejrzane fachowego w tej mierze człowieka, jakim był niezaprzeczenie generał Kniaziewicz. Por. „Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu“ z roku 1866., str. 54.

nych nad Bugiem i Styrem korpus austryacki Schwarzenberga. Już odezwa tego generała, ogłoszona na początku wojny w Lublinie, powołująca się na rozkaz cesarza Franciszka i na posłuszeństwo, jakie żołnierze winni są swojemu monarsze, odkrywała dość wyraźnie uczucia i intencye naczelnego wodza tego korpusu posiłkowego. Jakoż całe jego działanie późniejsze, tak podobne zresztą do zachowania się Moskali w roku 1809., dowodzi jeżeli nie tajnego porozumienia z nieprzyjacielem, to w każdym razie jak największej niechęci do sprawy, za którą walczyć był powinien. Trzymając się pozornie rozkazów Napoleona, nie uderzył Schwarzenberg całą potęgą na słabszego Tormasowa, lecz udał się ku Mińskowi, zostawiwszy dla wstrzymania Rosyan nieliczny korpus saski generała Regniera. Skutkiem tego Regnier z dywizyą generała Kosińskiego stoczył wprawdzie pod Horodecznem pomyślną potyczkę z Rosyanami, ale niepoparty przez Austryaków i napadnięty następnie przez Tormasowa, wzmocnionego dwoma dywizyami, utracił całą brygadę i 8 dział i musiał się cofnąć do Słonima. Otrzymawszy posiłki pod generałem Loison, odrzucił Schwarzenberg korpus Tormasowa na Wołyń, nie przeszkodził jednak połączeniu się jego z Czyczagowem i zamiast w kierunku Mińska udał się w pogoń za słabym oddziałem Sakena, przez co otworzył Rosyanom drogę nad Berezynę. Ofiarą tego majaczenia padły tworzące się pułki litewskie, zabrane przez Moskali w Słonimie, w Kojdanowie i w Mińsku.

Taki był stan rzeczy w tej części teatru wojny, gdy Napoleon dnia 10. grudnia w towarzystwie generała Caulincourta i kapitana Wąsowicza w największej tajemnicy przyjechał do Warszawy i — stanąwszy w hotelu Gąsiorowskiego — zawezwał do siebie Pradta, Stanisława Potockiego i Matuszewicza, przedstawił im w dłuższej rozmowie położenie swoje, kazał uzbrajać nowe zaciągi i na ten cel dał dwumilionową pożyczkę w lichym bilonie piemonckim. W kilka dni potem przybył z Wilna książe Bassano, a za nim nadciągnęły szczątki świetnego wojska polskiego, razem nie więcej jak 6000 ludzi, jednak z nietkniętą prawie artyleryą pod dowództwem dzielnego pułkownika Górskiego. Sytuacya, jakkolwiek ciężka, nie była jednak rozpaczliwą. Rosyanie, pomimo odniesionych korzyści, ucierpiawszy także wiele, nie mogli w ryzykowne zapuszczać się przedsięwzięcia. Armia Kutuzowa liczyła zaledwie 35.000 ludzi, podczas gdy Schwarzenberg (stojący pod Białym Stokiem) miał 50.000 ludzi, gdy z Litwy ściągnęły do Modlina nowe pułki pod Giedrojciem, Czapskim i Giełgudem, gdy w księstwie w krótkim czasie z powracających żołnierzy, z kadrów pozostawionych i z rekrutów utworzono 6 pułków piechoty i tyleż niekompletnych pułków jazdy[1]) i gdy niezmordowany Dąbrowski w Kaliszu zbierał i uzupełniał swoją dywizyę. Ale już dreszcze rewolucyjne przebiegały całe Niemcy, generał pruski York, członek Tugendbundu, złączył się w Tawrogach z Rosyanami przeciw Francuzom, Schwarzenberg zawarł po cichu zawieszenie broni z Kutuzowem i wysuwał się zwolna do Galicyi, Polacy — opuszczeni od wszystkich — własnym byli tylko pozostawieni siłom. Jakkolwiek pospolite ruszenie, powołane przy końcu grudnia, w tych warunkach nie mogło mieć żadnego prawie skutku, to jednak — zgro-

[1]) „Wspomnienia generała Kołaczkowskiego“, t. I, str. 167.

madziwszy wszystkie rozprószone oddziały — tworzył się korpus z 16.000 ludzi złożony, który oparty o Modlin mógł stawić czoło nieprzyjacielowi, lub przerzucony pod Zamość na wycieńczonego Sakena — jak to doradzał Sanguszko Poniatowskiemu — uczynić znaczną dywersyą armii rosyjskiej, postępującej ku Warszawie. Książe Józef jednak czy to nieskłonny do hazardownych przedsięwzięć, czy nie ufając niedostatecznie zorganizowanym siłom swoim, czy też pociągnięty przykładem Schwarzenberga, opuścił na czele 8000 ludzi Warszawę dnia 6. lutego 1813. roku i pociągnął do Krakowa. Była to znowu jedna z tych chwil, których Polacy wyzyskać nie umieli. Kiedy w Warszawie wszystko opuszczało ręce, kiedy książe Józef, zapatrzony w gwiazdę napoleońską, opuszczał księstwo, a dywizye i pułki polskie szły zasilać załogi francuskie w Gdańsku, Szpandawie i Wittenberdze, aby się tam zmarnować do reszty bez najmniejszego dla ojczyzny pożytku, nieprzyjaciele nasi zarówno jak i sprzymierzeńcy prześcigali się nawzajem w głaskaniu i przyciąganiu ku sobie Polaków. Napoleon w Wilnie niezdecydowany, następnie chłodny, a w Moskwie nawet niechętny, w przejeździe przez Warszawę wynosił pod niebiosa waleczność wojsk polskich i żałował, że się królem polskim nie ogłosił; Metternich adresował listy[1]) do księcia Czartoryskiego jako do marszałka konfederacyi „królestwa polskiego“, a Aleksander — powracając do swoich planów dawniejszych — ogłaszał w Wilnie (24. grudnia) ogólną amnestyę dla Litwy, miarkował surowość swoich generałów, którzy bez miłosierdzia ścigali skompromitowanych obywateli i przez generała Czaplica, Polaka w służbie rosyjskiej, rozszerzał drukowane proklamacye do Polaków, pełne najwspanialszych obietnic. Czuli oni dobrze wszyscy, że w tem powszechnem rozprzężeniu, w tem oczekiwaniu wielkich a nieuniknionych wypadków, Polska już z mocy geograficznego swego położenia może odgrywać rolę nadzwyczajnie ważną, dla niej i dla mocarstw walczących z sobą niemal decydującą. Ale społeczeństwo polskie i ci, co stali w tej chwili na jego czele, nie byli do tego przygotowani. Rażeni jak gromem wiadomością o zniszczeniu „wielkiej armii“, skonsternowani nagłym odjazdem Napoleona i zatrwożeni zbliżaniem się wojsk rosyjskich ku Wiśle, stracili oni odwagę i zaufanie do sił własnych. Większość nie mogła pojąć, aby garść wojska polskiego w kraju zniszczonym była wstanie stawić czoło zwycięskim zastępom Kutuzowa, które starły na proch potęgę francuską; inni, zrażeni błędami polityki napoleońskiej, bądź z przekonania, bądź też aby ratować sprawę narodową, widzieli jedyne zbawienie w zbliżeniu się do Aleksandra. Do tych ostatnich należeli przedewszystkiem: Matuszewicz, Sobolewski i Mostowski. Z nimi zaczął się układać imieniem cara Czaplic i otrzymał od nich propozycye, które przez Aleksandra zostały przyjęte.[2]) W podobnym duchu działał książe Adam Czartoryski. Rodzina jego wzięła żywy udział w ruchu narodowym. Ojciec, książe-generał, stanął na czele konfederacyi, zięć jego, ordynat Zamoyski, był członkiem rady konfederackiej, syn Konstanty dowodził pułkiem polsko-francuskim, nawet książe Adam, mimo przyjacielskich stosunków swoich

[1]) „Pamiętniki Kaj. Koźmiana“, t. II, str. 405.

[2]) Kajetan Koźmian: „Pamiętniki“, t. II, str. 390.

z Aleksandrem, usunął się zupełnie od służby rosyjskiej, wyjechał najpierw do Karlsbadu, a następnie do Wiednia i w kilku listach domagał się natarczywie od cara dymisyi, aby — jak to oświadczał szczerze i otwarcie — uczynić akces do konfederacyi. Aleksander, czy to nie chcąc się rozłączyć z przyjacielem, czy też z obawy, aby przykład księcia Adama nie pociągnął za sobą tych, co jak Ogiński wierzyli jeszcze w obietnice carskie, zwlekał z odpowiedzią aż do chwili zupełnego zniszczenia armii francuskiej. Klęska Napoleona i upadek nadziei, jakie Polacy do powodzenia jego w wyprawie na Moskwę przywiązywali, nie zdołały wprawdzie zachwiać postanowieniem Czartoryskiego, ale nadały jego działaniu politycznemu inny kierunek. W liście, pisanym do Aleksandra dnia 27. grudnia 1812. roku, ponawia on prośbę o dymisyą, zarazem jednak wyraża gotowość udania się do boku cara, jeżeli tego dobro Polski wymagać będzie. Równocześnie zaś, powracając do dawnych planów, radzi Aleksandrowi, aby obecnie przyprowadził do skutku unię Rosyi z Polską i namiestniczą władzę w ziemiach polskich powierzył wielkiemu księciu Michałowi. „W takim wypadku — są słowa jego — obowiązuję się podpisać wszystko i odpowiadać za wykonanie tego, czego WCMość wymagasz. Polacy — tak mniemał książe Adam dalej — obawiają się tylko wielkiego księcia Konstantego, domniemanego następcy bezdzietnego Aleksandra, i obawa ta jest zupełnie uzasadniona, bo król polski, mający na swoje rozkazy 300.000 Rosyan, może zniszczyć wszystko, co jego poprzednik ustanowił“.[1]) Podobnie jak Czartoryski myśleli także i działali inni wybitniejsi patryoci: Ogiński wystosował do cara list, prosząc go o amnestyą dla Polaków, skompromitowanych w ostatniej wojnie, Kniaziewicz, zawsze niedowierzający i niechętny Napoleonowi, surowo krytykował jego błędy, generał Krópiński złożył komendę, słowem wszyscy niemal ludzie wpływowi i mający zaufanie u narodu, gotowi byli pod pewnemi warunkami połączyć się z Rosyą. Matuszewicz, najbystrzejszy może z ówczesnych polityków polskich, sądził, że „więcej można zaufać Aleksandrowi, który od młodzieńczych lat, z mocnego przekonania, tak moralnego jak politycznego, utworzenie Polski miał na myśli i ma je dotąd, niż Napoleonowi, który wszystkie narody poświęca swojej ambicyi, a stałej polityki nie ma, prócz upokorzenia Anglii i może założenia monarchii uniwersalnej“.[2])

Aleksander nie był nieczułym na te propozycye i objawy sympatyi ze strony Polaków. Dnia 24. grudnia 1812. roku ogłosił on w Wilnie amnestyą dla obywateli województw litewskich i ruskich,[3]) a otrzymawszy memoryał Mostowskiego, natenczas ministra spraw wewnętrznych w księstwie i list księcia Adama, odpowiedział temu ostatniemu z Lejpun (13. stycznia 1813. roku),[4]) wyjaśniając swoje zapatrywania na kwestyę polską. Plan księcia Czartoryskiego jest zdaniem cara w chwili obecnej niepodobnym do wykonania już dlatego, że w Rosyi panuje wielkie oburzenie na Polaków z powodu spa-

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 299.
[2]) Kajetan Koźmian: „Pamiętniki“, t. II, str. 389.
[3]) D'Angeberg: „Recueil des traités, conventions etc.“. Paris 1862, str. 584.
[4]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 302.

lenia Smoleńska i Moskwy, już też ze względu na Prusy, które — wrazie ogłoszenia zamiarów Aleksandra — połączyłyby się natychmiast z Napoleonem. Nadto uważają Rosyanie Litwę, Podole i Wołoń za prowincye własne, rosyjskie, i niedopuściliby nigdy do tego, aby je oddano pod władzę innego księcia, nawet wielkiego księcia Michała. Mimoto powinni Polacy pokładać zupełne zaufanie w uczuciach i przychylności niezmiennej cesarza dla nich. Dla wzmocnienia węzłów łączących Aleksandra z Polską byłoby najlepiej, gdyby rząd księstwa — po zajęciu kraju przez wojska rosyjskie — zawarł z carem przymierze. Oprócz nieokreślonych obietnic i sentymentów nie zawierał więc list Aleksandra nic takiego, co mogłoby stanowić podstawę do jakichkolwiek układów lub budzić wygórowane w Polakach nadzieje. Szczerze i otwarcie — to trzeba przyznać — żądał on od nich nieograniczonego zaufania i zdania się na łaskę, nie ręcząc zresztą za nic.

Kiedy tak w obozie, skłaniającym się nie ku Rosyi wprawdzie, lecz ku Aleksandrowi, coraz więcej umacniało się przekonanie, że dla dobra sprawy polskiej należy opuścić Napoleona, który nadzieje w nim pokładane zawiódł zupełnie, i kiedy około tej myśli politycznej skupili się zwolna najzdolniejsi patryoci, panowało po drugiej stronie przygnębienie umysłów i wielka bezradność. Rada konfederacka, ocknąwszy się za późno z dotychczasowej bezczynności, powołała pod broń pospolite ruszenie, ale ostateczny ten środek wobec zniszczenia kraju, ogólnego upadku ducha i braku sił organizatorskich nie mógł rokować żadnego powodzenia. Jakoż departament radomski wystawił zaledwie 30-tu ochotników, krakowski stokilkudziesięciu. Książe Eustachy Sanguszko, mianowany wiceregimentarzem (regimentarstwo piastował książe Józef Poniatowski), widząc tę słabość sił, doradzał naczelnemu wodzowi, aby — zebrawszy rozprószone oddziały — uderzył na nieliczny korpus Sakena, dotarł do Zamościa i — ubezpieczony tą twierdzą — przeniósł teatr wojny w okolice zasobne, skąd armia rosyjska zaopatrywała swoje potrzeby. Tym obrotem, jak trafnie uważał Sanguszko, zyskiwało wojsko polskie podstawę działania i mogło, podług okoliczności, albo zasłużyć sobie na wdzięczność Napoleona, czyniąc tak skuteczną dla niego dywersyą, albo też układać się z Aleksandrem i uzyskać w tej groźnej postawie korzystne dla Polski warunki. Książe Józef, bądź złudzony przez Rosyan,[1]) bądź też nie ufając siłom swoim, nie usłuchał tej rady, lecz postanowił z całem wojskiem udać się do Krakowa i tam oczekiwać dalszych wypadków. Odwrót, w podobnych warunkach wykonany, musiał za sobą jak najgorsze pociągnąć skutki, mianowicie zupełny upadek ducha w narodzie i oddanie całego kraju w ręce nieprzyjaciela, zmęczonego zimową kampanią i pragnącego wytchnienia. Armia polska, wciśnięta w południowy pograniczny kąt kraju, traciła podstawę działania i była zdana właściwie na łaskę wątpliwego, co najmniej sprzymierzeńca, dla którego wszelka myśl odbudowania Polski zdawała się wstrętną i niebezpieczną. Dziwić się zatem nie można, że najlepszym i najwytrwalszym nawet serce upadać zaczęło, że książe generał Czartoryski wyjechał do Sieniawy, że Sanguszko, strapiony nagłą śmiercią ojca i zagrożony utratą całego majątku, skorzystał z amnestyi, udzie-

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 326.

lonej przez Aleksandra, nie chcąc być wiceregimentarzem nieistniejącego powstania, że rozgoryczony Kniaziewicz podał się także do dymisyi. Za wojskiem pociągnęła do Krakowa rada konfederacka, pojechali ministrowie księstwa, pozostawiając w Warszawie archiwa rządowe. Ufali widocznie obietnicom Aleksandra, że wojsko rosyjskie do stolicy nie wkroczy; nie wiedzieli zaś, że car zawarł 20. lutego w Kaliszu traktat z królem pruskim i przyrzekł mu uroczyście przywrócić Prusy do dawnej potęgi z roku 1806. i połączyć terytoryalnie — nie inaczej jak kosztem księstwa warszawskiego — t. zw. Stare Prusy z dziedzicznemi posiadłościami Hohenzollernów;[1]) nie wiedzieli, że Napoleon i król saski gotowi byli poświęcić Polaków, byle tylko dla siebie korzystne uzyskać warunki, jednem słowem, że — jak trafnie zauważył Marcin Badeni — oszukiwano naród ponownie,[2]) i to z dwóch stron. Mimoto jednakże nie była sprawa polska tak łatwą do pogrzebania, jak się dyplomatom wydawało. Prusy i Rosya gotowały się do stanowczej wojny z Napoleonem, który — jakkolwiek pokonany — nie przestał być strasznym; wiedziano, że będzie to bój śmiertelny, decydujący o losach Europy, starano się więc stworzyć koalicyą wielką, potężną, aby genialnego przeciwnika zgnieść ogromem sił. Wobec tego nie było obojętnem zachowanie się Polaków, niepodobna było lekceważyć sobie tej garstki wojska, która na tyłach armii sprzymierzonej mogła rozpalić w ziemiach polskich płomień powstania i zmusić koalicyą do prowadzenia wojny na dwóch frontach. Obawiał się tego szczególnie król pruski, z usposobienia lękliwy i pamiętający dobrze o smutnych doświadczeniach roku 1806. Zasadniczo więc godził się na myśl odbudowania Polski i był niezmiernie zdziwionym, że Aleksander dotąd nic stanowczego w tym względzie nie uczynił.[3]) Ale polityka rosyjska postępowała innemi drogami. Car, osobiście przychylny Polakom, był zanadto miękkim i zanadto chwiejnym, aby wbrew prądom przeciwnym zamiary swoje wykonać. Rosyanie, uniesieni powodzeniem, pełni dumy i nienawiści ku Francuzom i ich sprzymierzeńcom, wprowadzili w ziemiach polskich napowrót system ucisku i uciemiężenia. W chwili, gdy Aleksander od obywateli księstwa warszawskiego wymagał nieograniczonego zaufania i nie szczędził Polakom ponętnych obietnic, srożyło się na Litwie podobne prześladowanie patryotów, jak za czasów Katarzyny. Dodany do boku generał-gubernatora Korsakowa generał Ertel, prawdziwy „opętaniec“, otoczywszy się zgrają szpiegów i donosicieli, dopuszczał się niesłychanych nadużyć. Nikt nie był pewnym życia ani mienia; porwane nagle z pośród rodzin swoich ofiary zemsty lub chciwości, znikały bez śladu w lochach więziennych; niewinnych wywożono w głąb carstwa, albo zmuszano niegodziwemi środkami do przyznania się do winy, nigdy niepopełnionej.[4]) Wiadomości o tych gwałtach nieprzenikały w ówczesnem położeniu tak łatwo na lewy brzeg Niemna, książe Czartoryski dowiedział się o nich dopiero od Wawrzeckiego, więc dziwić się nie można, że w księstwie zabiegi Aleksandra

[1]) D'Angeberg: „Recueil des traités, conventions etc.“. Paris 1862, str. 591.
[2]) Kajetan Koźmian: „Pamiętniki“, t. II, str. 119.
[3]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 310.
[4]) Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 318.

inaczej oceniano. Tu zresztą i zachowanie się władz rosyjskich było łagodne, uprzejme i wyrozumiałe. Po zajęciu Warszawy ustanowiono rząd tymczasowy; prezydentem jego był Łańskoj, członkami: Nowosilcow, Tomasz Wawrzecki, książe Ksawery Drucki-Lubecki i były dyrektor dóbr narodowych Colomb. Skład rady i pojednawcze usposobienie zasiadających w niej Rosyan odpowiadały zupełnie kierunkowi polityki Aleksandra i czyniły na ludności dobre wrażenie. Rosły więc sympatye dla cara, rosło zaufanie do jego osoby. Nawet książe Józef Poniatowski ulegał poczęści temu prądowi i ta okoliczność była — jak wspomniano — poniekąd przyczyną jego odwrotu do Krakowa. Tam miał się też rozstrzygnąć los, jeżeli nie Polski, to przynajmniej wojska polskiego. Z Warszawy, w celu układów z księciem Józefem, wyjechał do Krakowa Kalasanty Szaniawski, król pruski wysłał od siebie księcia Antoniego Radziwiłła.

Obaj delegaci nie przywozili właściwie nic oprócz gołosłownych zapewnień, że monarchowie sprzymierzeni pragną uszczęśliwienia Polski i godzą się na nie. Nie mogło to stanowić podstawy do traktatów tak ważnych tem bardziej, gdy generał Saken, otaczający zwolna Kraków, nie zgadzał się na rozejm, lecz żądał albo złożenia broni, albo rozprószenia wojsk na drobne oddziały. Dwuznaczne to postępowanie obudziło słuszne podejrzenia w księciu Józefie, a gdy nadto władze austryackie przejęły na granicy listy księcia Adama Czartoryskiego i odesłały je posłowi francuskiemu Bignonowi, nie mógł wódz polski uczynić inaczej, jak tylko zerwać układy i oświadczyć, że wytrwa przy Napoleonie[1]). Dyplomacya rosyjska dopięła jednakże głównego swojego celu, odcięła bowiem wojsko polskie od kraju, wstrzymała je od kroków nieprzyjacielskich w chwili najkrytyczniejszej dla sprzymierzonych i rozdzieliła naród na dwa stronnictwa, z których potężniejsze zbawcę Polski widziało w Aleksandrze.

Nie małą pomocą w tym względzie był dla Rosyi gabinet wiedeński, trzymający się pozornie jeszcze zawsze aliansu francuskiego. Dwuznaczne postępowanie Schwarzenberga na Wołyniu sparaliżowało ruch w prowincyach południowych, przeniesiony z korpusem swoim nad Wisłę, zamiast stawić czoło zmęczonej i zdziesiątkowanej armii Kutuzowa, uważał wódz austryacki za główne zadanie swoje unikać wszelkiego spotkania z nieprzyjacielem i osłaniać korpus polski od zetknięcia się z wojskiem rosyjskiem. W ten sposób stało się, że tak Polacy jak i posiłkowa armia austryacka ustępowały za Pilicę, do Krakowa przed Sakenem, którego korpus liczył zaledwie 6000 ludzi i 36 armat.[2]) Odprowadziwszy Polaków do Krakowa, użyto teraz wszelkich sposobów, aby ich stamtąd wyrugować, a gdy książe Józef o opuszczeniu kraju słyszeć nie chciał, zawarła Austrya konwencyą z królem saskim w Wiedniu (8. kwietnia 1813. roku) i zapewniła wojsku polskiemu odwrót do granic saskich przez Galicyą, Szląsk, Morawią i Czechy. W drodze przywiózł generał Sokolnicki księciu Józefowi wiadomość o zwycięstwie Napoleona pod Lützen i spóźniony rozkaz pozostania w kraju. Otoczony wojskami

[1]) D'Angeberg: „Recueil des traités, conventions etc.“. Paris 1862, str. 592.

[2]) „Wspomnienia generała Kołaczkowskiego“, t. II, str. 6.

austryackiemi, mając przytem pod bokiem korpus obserwacyjny Sakena, nie mógł wódz polski wracać do Krakowa i w pierwszych dniach czerwca przeszedł granicę czeską pod Gabel.

Tymczasem Napoleon, pobiwszy po raz drugi sprzymierzonych pod Budziszynem (20. maja), dotarł w okolice Wrocławia, ale zamiast podążyć stąd nad Wisłę, uwolnić od oblężenia twierdze, obsadzone 40.000. starego żoł-

nierza i przenieść teatr wojny do Polski, zanim Austrya zdecyduje się na przystąpienie do koalicyi, zezwolił na zawieszenie broni, z początku do 20. lipca, następnie do 10. sierpnia, i na kongres w Pradze. Tyle czasu właśnie potrzebowali sprzymierzeni, aby się porozumieć, Austrya zaś, aby się przygotować do wojny. Jakoż dnia 14. czerwca stanął alians pomiędzy Anglią a Prusami, w dwa tygodnie później przymierze austryacko - prusko - rosyjskie. Pierwszym warunkiem traktatu był podział księstwa warszawskiego pomiędzy trzy mocarstwa rozbiorowe.[1])

Rozporządzając taką potęgą i mając zapewnioną pomoc pieniężną ze strony Anglii, postawili sprzymierzeni najtwardsze Napoleonowi warunki, a gdy ich przyjąć nie chciał, wypowiedziała mu Austrya wojnę i otwarcie już przystąpiła do koalicyi. W ten sposób zbliżał się ostatni akt tragedyi, w którym Polacy jeszcze niepospolitą mieli odegrać rolę. Siły polskie, rozrzucone po ogromnej przestrzeni od Bugu do Elby, wynosiły 40.000 ludzi. Odliczywszy od tego garnizon modliński (6000), zamojski (4000), częstochowski (1000), brygadę księcia Michała Radziwiłła w Gdańsku (5835) i 17-ty pułk ułanów w Hamburgu, utworzony przez Dwernickiego, pozostało na linii bojowej przeszło 20.000 dzielnego żołnierza. Główna część (14.500 ludzi i 42 dział) stanowiła pod dowództwem księcia Poniatowskiego ósmy korpus wielkiej armii, batalion grenadyerów Kurcyusza był włączony do gwardyi cesarskiej, dywizyą Dąbrowskiego przydzielono do innych korpusów francuskich.[2]) Korpus polski, skoncentrowany około Zittau, miał strzedz przesmyków, prowadzących z Czech do Saksonii i osłaniać atak Napoleona na armią „szląską“ Blüchera. Wykonywując to polecenie, wyparł książe Józef obserwacyjny korpus austryacki Bubny z przesmyku pod Gabel, a przednia straż polska pod dowództwem generała Umińskiego zajęła po żwawej potyczce Reichenberg. Gdy jednak pułk huzarów westfalskich, oddany Umińskiemu, wraz z pułkownikiem swoim Hammersteinem przeszedł do nieprzyjaciela, musieli Polacy opuścić zdobyte miasto.

Tymczasem sprzymierzeni, poznawszy zamiar Napoleona, ruszyli na zdobycie Drezna, które stanowiło punkt środkowy armii francuskiej. Dnia 26. sierpnia przypuszczono szturm, przedmieścia i część szańców zostały zdobyte, ale w tej chwili nadbiegł cesarz i w dwudniowej krwawej bitwie pobił na głowę nieprzyjaciela i zmusił go do odwrotu ku górom czeskim. Przy tej sposobności zginął generał Moreau u boku sprzymierzonych monarchów, walcząc przeciw własnej ojczyźnie. Zwycięstwo, acz świetne, nie przyniosło spodziewanych korzyści, bo Vandamme, wysłany w pogoń za uciekającym nieprzyjacielem, przegrał bitwę pod Kulmem i dostał się z 10.000. ludzi do niewoli, a marszałkowie Oudinot i Macdonald ponieśli klęskę, pierwszy pod Gross-Beeren, drugi nad rzeką Katzbach, Ney pod Dennewitz. Coraz bardziej było widocznem, że wojsko francuskie, złożone z młodziutkich rekrutów, nie jest wstanie stawić czoła liczniejszym o wiele i zahartowanym masom sprzymierzonych.

[1]) D'Angeberg: „Recueil des traités, conventions etc.“. Paris 1862, str. 609.

[2]) Szczegóły i liczby podług Kołaczkowskiego.

Szczególniej jazda niepocieszający przedstawiała widok. „Na koniach ciężkich — tak opowiada świadek naoczny — siedzieli nie żołnierze lecz dzieci, z równą obawą patrząc na swoje konie, jak na nieprzyjaciela“. Wyjątek stanowiła dywizya dragonów, sprowadzona z Hiszpanii (4000) i jazda polska, w której odznaczał się pułk Krakusów pod majorem Rzuchowskim śmiałością i zręcznością, z jaką rozpędzał i chwytał natrętne kozactwo. Napoleon, odbywając pod Harta przegląd tych zuchów, nie mógł się wstrzymać od śmiechu na widok jeźdźców, siedzących na małych konikach i — kazawszy sobie rozsiodłać jednego konia — zawołał do otaczających go oficerów francuskich: „Oto ludzie, co na takich koniach biją Kozaków i zabierają im sztandary; to przecież dzielna jazda i dzielny naród, ci Polacy!“ a — zwracając się do Umińskiego — dodał: „Generale, muszę mieć takich 3000 ludzi“. Niestety życzenie to było niepodobne do wykonania, bo już wojska sprzymierzonych, pomnożone t. zw. armią „polską“ pod Bennigsenem, rozpoczęły ruch dośrodkowy, okalający zewsząd Francuzów. Od końca września do połowy października odbywały się wśród bezustannych utarczek poruszenia wielkich mas nieprzyjacielskich, a 16., 18. i 19. października toczyła się stanowcza bitwa pod Lipskiem, gdzie 187.000 Francuzów i Polaków walczyło dzielnie lecz nieszczęśliwie z znacznie większą (300.000 ludzi) potęgą sprzymierzonych. Ósmy korpus — bo ten głównie nas obchodzi — zajmował stanowisko pod Konnewitz i miał przeszkodzić przeprawie korpusów austryackich przez rzekę Pleissę. Rzeczywiście wszelkie usiłowania generała Meerveldta rozbiły się o nieprzełamany opór polskich batalionów, a kiedy wreszcie nieprzyjaciel zmierzchem przeszedł w bród Pleissę, wpędzono go do wsi Doelitz i wzięto do niewoli wraz z generałem Meerveldtem. Liczebna przewaga sprzymierzonych, którzy coraz to nowe siły pędzili w ogień i brak dostatecznej ilości jazdy nie pozwoliły Napoleonowi wyzyskać korzyści, odniesionych w pierwszym dniu bitwy, ani złamać zupełnie zachwianego nieprzyjaciela. Dnia 18. października utrzymali się znowu Polacy i Francuzi na stanowiskach swoich pod Konnewitz, ale przejście Sasów na stronę sprzymierzonych, brak amunicyi w obozie francuskim, a co najwięcej przewaga artyleryi nieprzyjacielskiej (1500 armat przeciw 800), zmusiły Napoleona do odwrotu. Wieczorem dnia tego wysłał on przeto korpus Bertranda ku Weissenfels, w nocy ściągnął z biwaków główne masy wojska na trakt ku Lützen wiodący, a dnia 19. października o godzinie 10-tej zrana przejechał sam przez most na Pleissie, powierzając obronę Lipska i bezpieczeństwo cofającej się armii księciu Poniatowskiemu i marszałkowi Macdonaldowi. Książe Józef, który wciągu dwudniowej bitwy dał dowody niepospolitego męstwa i doświadczenia i został wskutek tego mianowany marszałkiem, zajął z korpusem swoim — stopniałym do 3000 ludzi — stanowisko od bramy Grimma do Peterskiej. Garstka tych bohaterów nie mogła atoli powstrzymać ogromnych mas nieprzyjacielskich. Walcząc o każdą piędź ziemi, ustępowali Polacy zwolna do miasta, książe Poniatowski sam na czele eskorty swojej, złożonej z Krakusów i kirasyerów polskich, uderzał kilkakrotnie na tyralierów pruskich i przy tej sposobności otrzymał postrzał od kuli karabinowej w rękę. Tymczasem Hesi i Badeńczycy,

stojący w mieście, przeszli na stronę sprzymierzonych, grad kul posypał się z tyłu na Polaków i Francuzów, a tyralierzy z korpusu Sakena dobiegali już do mostu na Pleissie. W tej chwili oficer, mający straż nad mostem, wysadził go w powietrze i odciął jedyną drogę do odwrotu obrońcom miasta. Parci przez przeważające siły, rażeni nieustającym ogniem ze wszystkich stron, znaleźli się oni nagle przyciśnięci do stromych brzegów wezbranej i błotnistej Pleissy; położenie było rozpaczliwe. Szalona szarża Krakusów odparła raz jeszcze chmury tyralierów nieprzyjacielskich, wtedy — ulegając prośbom oficerów — rzucił się książe Józef w nurty Pleissy i z pomocą kapitana sztabu Bléchamp dostał się szczęśliwie na drugą stronę; przed nim była jeszcze głęboka i błotnista odnoga Elstery. Ku niej dążąc pieszo, został książe raniony po raz drugi w bok kulą karabinową, odzyskawszy jednak wnet przytomność dosiadł konia, a na zaklęcia otaczających, aby się dał opatrzyć i komendę powierzył innemu generałowi, odpowiedział: „Nie, nie, Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu tylko go oddam“, poczem, prowadzony przez oficera inżynieryi, rzucił się w nurty Elstery. Pomimo silnego prądu przepłynął koń wezbraną rzekę, ale nie mógł się już wydostać na brzeg stromy i urwisty. W tej chwili książe, ugodzony kulą po raz trzeci, zsuwa się z siodła i tonie. kapitan Bléchamp rzuca się za nim, porywa w pół nieprzytomnego, unosi go przez czas jakiś nad powierzchią wody i ginie z nim razem w spienionych falach. Otaczający wodza oficerowie, z przerażeniem spoglądający na ten zgon bohatera, osłupieni żalem, dostali się do niewoli, garstka żołnierzy, pozostałych w Lipsku pod wodzą pułkownika Rybińskiego, złożyła broń przed Aleksandrem. Tak skończył wódz, nie wolny wprawdzie od błędów i ułomności ludzkich, ale wierny aż do grobu sprawie narodowej i tą wytrwałością szlachetną mażący winy stryja i grzechy własnej młodości. Wychowany wśród powszechnego skażenia obyczajów i upadku ducha narodowego, w atmosferze, przesiąkłej samolubstwem i kosmopolitycznemi zasadami, nie zatracił on w sobie tej iskry patryotycznej, która rozniecona wypadkami, uszlachetniła jego duszę i uczyniła zeń rycerza i bojownika za wolność i niepodległość ojczyzny. Surowy historyk może księciu Józefowi Poniatowskiemu zarzucić wiele, ale musi uchylić czoła przed jego grobowcem, bo ten grobowiec kryje szczątki szlachetnego człowieka i bohaterskiego żołnierza, który walczył dzielnie i zginął chlubnie dla Polski.

Wiadomość o śmierci księcia Poniatowskiego przyniósł Polakom, znajdującym się przy głównej armii, o godzinie 11-tej zrana oficer inżynierów Klemensowski, który szczęśliwie Pleissę i Elsterę przepłynął. Jak gromem rażeni, rzucili się oni pod pierwszem wrażeniem ku mostowi w nadziei, że wodza ukochanego uratować jeszcze zdołają. Tu zatrzymał ich jednak marszałek Mortier i skłonił do powrotu. W niemem milczeniu podążyły szczątki 8-go korpusu za orłami napoleońskiemi, ale w umysłach zaczęły się budzić wątpliwości, a stąd wyniknęły pokątne intrygi i niesubordynacya. Przeciw Sokolnickiemu, który, jako najstarszy rangą — Dąbrowski z piechotą znajdował się na innem miejscu — objął po księciu Józefie dowództwo, wystąpili generałowie Krukowiecki i Kwaśniewski. Pierwszy z nich pojechał do głównej kwatery

i wytłumaczył Napoleonowi, że Polacy życzą sobie księcia Sułkowskiego na dowódzcę. Cesarz zezwolił i na czele wojska polskiego stanął w chwili tak krytycznej człowiek, który oprócz odwagi osobistej niczem zresztą się nie odznaczał i zaufania w nikim wzbudzić nie mógł. Skutki tego nierozważnego kroku były też jak najgorsze. Intryganci rozmaitego rodzaju zaczęli nakłaniać żołnierzy i oficerów do opuszczenia Napoleona, przypominali smutne losy legionów, wyprawę na San Domingo, przedstawiali niepewny los Polski, związanej ze sprawą upadającego mocarza. Zarzuty były może słuszne, ale chwila do opuszczenia sztandarów francuskich najniefortunniej obrana. Sprzeciwiały się temu zarówno pojęcia honoru wojskowego, jak i zasady zdrowej polityki. Opuszczając Napoleona po bitwie lipskiej cóż mogła zyskać ta garstka rozbitków? Kilka marnych obietnic i pozwolenie powrotu do ojczyzny pod sztandarami, splamionemi bądź co bądź zdradą i odstępstwem. Ale prosty umysł żołnierza, przygnębionego niepowodzeniem, nie był zdolnym do refleksyi tego rodzaju; zaczęła się więc dezercya rzadka narazie, później gromadna; batalion grenadyerów gwardyi, z pułkownikiem swoim Kurcyuszem, przeszedł w nocy do obozu sprzymierzonych. Wtedy książe Sułkowski zwołał oficerów i zaręczył im słowem honoru, że Polacy tylko do Renu odprowadzą Napoleona. Cesarz, uwiadomiony o wszystkiem, udał się do korpusu polskiego i tam przemówił do oficerów, tłumacząc im bardzo rozsądnie, że przejście do nieprzyjaciela w tej chwili żadnych Polakom nie przyniesie korzyści, a ściągnie słuszny zarzut złej wiary i nadwyrężenia honoru wojskowego, że przeciwnie, pozostając pod sztandarami francuskiemi, mogą jeszcze ojczyźnie swojej oddać niemałe usługi, bo i on sam o Polsce nie zapomni. Mowa ta miała taki skutek, że wśród okrzyku „Niech żyje cesarz!“ wszyscy oświadczyli gotowość towarzyszyć mu, dokąd rozkaże. Sułkowski, skompromitowany w ten sposób przez własnych kolegów, podał się do dymisyi, dowództwo nad wojskiem polskiem otrzymał generał Dąbrowski i on też brał udział w zwycięskiej bitwie pod Hanau, okupionej pomiędzy innemi śmiercią księcia Dominika Radziwiłła, ostatniego ordynata nieświeskiego[1]), a następie odprowadził szczątki świetnej niedawno armii na leża zimowe do Sedanu. Znalazła się z oficerów liczba tak wielka, że wystarczała na 30.000 ludzi, żołnierzy zdatnych do boju pozostało zaledwie 1600; utworzono z nich dwa bataliony piechoty. O wiele mniej ucierpiała jazda; liczyła ona po bitwie lipskiej 3000 ludzi. Z tego więc powstały dwa piękne pułki ułanów, które się odznaczyły w kampanii roku 1814. i pułk t. zw. Eclaireurs de la garde (800) na lekkich koniach, zakupionych w prowincyi Limousin. Zreformowano także pułk Krakusów i podniesiono go do 800 koni. Artylerya składała się z dwóch bateryj, jednej pieszej i jednej konnej, resztę oficerów (przeszło 300) umieszczono w zakładzie w Pontoise, skąd mieli być wezwani wrazie potrzeby do służby polowej lub garnizonowej. Tymczasem sprzymierzeni przeszli Ren i wkroczyli do Francyi. Rozpoczęła się tak słynna kampania z roku 1814., w której geniusz wojenny Napoleona po raz ostatni wspaniałym zajaśniał blaskiem. Towarzyszyły mu w tej walce beznadziejnej wiernie pułki polskie, skrapiając obficie krwią swoją pola bitew

[1]) Umarł z ran w Lauterecken.

pod Brienne, Rheims, Arcis sur Aube i Montereau. Pod Arcis sur Aube uratował cesarza batalion polskiej piechoty, pod dowództwem podpułkownika Skrzyneckiego. Ale wszelkie wysiłki wielkiego wodza i polityka były już w tych warunkach bezskuteczne. Olbrzymi gmach, krwią i żelazem spojony, chwiał się w swoich posadach pod naciskiem ludów, które z jarzma francuskiego wyzwolić się pragnęły i wierzyły święcie, że po upadku „uzurpatora“ nastąpi epoka wolności i sprawiedliwości. Przewaga liczebna więc z jednej strony, a intryga i odstępstwo z drugiej, torowały drogę sprzymierzonym do serca Francyi, pod mury Paryża. Po bitwie pod Fere Champenoise i po rozbiciu doszczętnem korpusów Marmonta i Mortiera stanęły wojska nieprzyjacielskie u bram stolicy. Wtedy — ale za późno — przypomniano sobie oficerów polskich w Pontoise i wezwano ich do Paryża do dowodzenia gwardyą narodową. Z rozkazem, podpisanym przez Dąbrowskiego, udał się natychmiast do zakładu kapitan Kołaczkowski, ale powracającego doszła w St. Germain wiadomość o poddaniu się Paryża. Dnia 31. marca 1814. roku weszły wojska sprzymierzonych do stolicy francuskiej; równocześnie prawie zajęli Anglicy Bordaeux, a Austryacy Lyon; kilka miesięcy przedtem kapitulowały twierdze polskie: Modlin, Gdańsk i Zamość. W Zamościu bronił się dzielnie generał Hauke i poddał się dopiero wtedy, gdy otrzymał wiadomość o odwrocie armii francuskiej za Ren. Pamiątką tego słynnego i dla Polaków zaszczytnego oblężenia jest moneta dla zapłacenia żołnierzom żołdu, bita z sreber kościelnych, cyny i ołowiu, z napisem: „Moneta w oblężeniu Zamościa“ i „Boże dopomóż wiernym ojczyźnie“.

Powrót do kraju. — Kongres wiedeński w roku 1815. Upadek Napoleona był zarazem grobem tych wszystkich nadziei, jakie patryoci polscy od lat 20-tu we Francyi pokładali. Zawiodła ich republika, wywieszająca hasła wolności i braterstwa ludów, a w politycznem działaniu swojem na wskroś egoistyczna, zawiódł generał Bonaparte, szukający przedewszystkiem własnego wyniesienia i ugruntowania dyktatury francuskiej w Europie, omylił wreszcie cesarz Napoleon wskutek niewytłumaczonych błędów, jakie popełnił w roku 1812. Rozwiały się więc marzenia Kołłątaja i Dąbrowskiego, złudzenia sejmu i rady konfederackiej, z dwudziestoletnich bojów, pełnych chwały i poświęcenia, pozostała pamięć czynów bohaterskich i garstka weteranów, skupionych pod sztandarem narodowym, czystym i nieskalanym, budzącym szacunek i podziw całej Europy. Poza temi platonicznemi uczuciami kryła się jednak zupełna dla sprawy polskiej i Polaków obojętność, nierzadko nawet nienawiść. Naród niemiecki, który porwał za broń dla zrzucenia jarzma francuskiego, widział w Polakach sprzymierzeńców Napoleona i niedawnych swoich pogromców; Francuzi, żądni pokoju, a przytem z usposobienia lekkomyślni i zwyciężeni, zaparli się z równą łatwością Napoleona, jak i najwierniejszych jego towarzyszy. Gawiedź paryska, płaszcząca się niedawno przed tryumfalnym rydwanem wszechwładnego Cezara, deptała teraz jego portrety, policzkowała i ściągała jego posąg z kolumny Vendoma i oklaskiwała bezmyślnie Aleksandra I. na przedstawieniu w gmachu opery. Nowy król, Ludwik XVIII., wnuk Maryi Leszczyńskiej, ociężały, od sprzymierzonych zupełnie zawisły, a w po-

lityce kierujący się radami przebiegłego i przewrotnego Talleyranda, nie miał ani powodu ani chęci brać w opiekę Polaków, którzy „uzurpatorowi“ służyli. Austrya i Prusy spoglądały głodnem okiem na księstwo warszawskie, wykrojone z zaboru polskiego i będące żywym pomnikiem ich upokorzenia. Nie mieliśmy zatem ani przyjaciół ani sprzymierzeńców nietylko dlatego, że losy nasze związaliśmy z losami upadłego mocarza, ale głównie może z tej przyczyny, że sprawa polska była sprawą wolności i sprawiedliwości, których używano jako pokrywki dla dopięcia zaborczych celów egoistycznej polityki. Nie o uwolnienie narodów, nie o oswobodzenie Niemiec i Hiszpanii, lecz o odzyskanie utraconych prowincyj i przywrócenie zachwianej równowagi europejskiej, toczyły się krwawe zapasy z genialnym Korsykaninem. Na gruzach jego potęgi, na polach, skropionych obficie krwią ludów, miały się wznieść napowrót wywrócone trony upokorzonych lub wypędzonych dynastów w dawnym blasku i majestacie, w powszechnej likwidacyi napoleońskiego spadku mieli wziąć udział tylko zwycięscy. Ale pomiędzy nimi znajdował się jeden, którego sprawa polska rzeczywiście obchodziła, był to Agamemnon koalicyi europejskiej, Aleksander I., ten, co do upadku Napoleona głównie się przyczynił i przynajmniej na równi z innymi miał prawo do udziału w zyskach i w zdobyczy. Określić ten udział nie było jednak łatwo, bo gdy każdy z sprzymierzonych monarchów odzyskiwał utracone kraje, Rosya, nie straciwszy nic, musiała szukać dla siebie wynagrodzenia innego rodzaju. I tu nastręczało się księstwo warszawskie, jako pożądane zaokrąglenie i ubezpieczenie caratu na zachodzie. Łącząc je z państwem rosyjskiem, spełniał Aleksander ulubiony plan babki, jednoczył pod swojem berłem wszystkie niemal prowincye polskie, wykonywał formalnie zamiary Czartoryskiego z roku 1805. i mógł spełnić obietnice, tylokrotnie dawane Polakom. Ażeby tego wielkiego i dla Rosyi tak ważnego dzieła dokonać, wypadało jednak pozyskać sobie sympatye i poparcie narodu, który — jakkolwiek pozbawiony bytu politycznego — mógł jednak w tych stosunkach zaważyć na szali wypadków, wypadało przedewszystkiem ująć sobie serca tej zbrojnej Polski, która, skupiając około swych sztandarów najinteligentniejsze i najpatryotyczniejsze żywioły, temsamem już była reprezentacyą narodową. Zrozumiał to Aleksander i zabrał się z niepospolitą zręcznością do dzieła. Podczas gdy w kraju Czartoryski i polscy członkowie rządu tymczasowego z przekonania i w najlepszej wierze jednali skołatane umysły dla planów cesarza, on sam wziął pod swoją szczególną opiekę wojsko polskie. Wiadomo, jaka rozpacz i zwątpienie ogarnęły żołnierzy naszych na wiadomość o śmierci księcia Józefa Poniatowskiego i jakie skutki na usposobienie umysłów miała klęska lipska. W tym samym czasie kazał zebrać Aleksander jeńców polskich i odesłał ich pod dowództwem generała Izydora Krasińskiego do kraju, jako „szczątki licznego niegdyś wojska, użytego gwałtem na uciemiężenie ludów“.

Czy ten objaw łaskawości carskiej nie był w związku z liczną dezercyą żołnierzy polskich przed przejściem Renu? niepodobna powiedzieć, w każdym razie musiał on wywrzeć wpływ pewien na umysły, przygnębione niepowodzeniem i zawiedzione w nadziejach. Ci, co jeszcze wierzyli w Napoleona i do

końca wytrwali pod jego sztandarami, mieli wkrótce sposobność przekonać się dowodnie o jego obojętności dla Polaków, czy też o zapomnieniu, kiedy w układzie z sprzymierzonymi zupełnem milczeniem pominięto los wojska polskiego i dopiero za wdaniem się Dąbrowskiego zamieszczono w konwencyi w Fontainebleau (dnia 11. kwietnia) artykuł, zapewniający hufcom polskim wolność powrotu do ojczyzny z bronią i bagażami, oficerom i żołnierzom dekoracye i płace do nich przywiązane.

Nic dziwnego zatem, że po takich doświadczeniach, pozbawieni wszelkiej opieki, oficerowie polscy, za radą Dąbrowskiego, wysłali deputacyą do Aleksandra, który przybyłych przyjął bardzo łaskawie, nie szczędził słów pochlebnych, zezwolił — tak jak to wspomniana konwencya orzekała — wojsku polskiemu na powrót do kraju i oświadczył, że oddaje je pod dowództwo brata swego wielkiego księcia Konstantego. Ażeby zaś tem snadniej podbić sobie serca Polaków, otoczył Aleksander szczególniejszymi względami Kościuszkę. Naczelnik mieszkał natenczas w Berville, pod Paryżem. Złamany tylu klęskami i wiekiem pochylony, wydał on się odwiedzającym go Polakom cieniem dawnego zwycięscy z pod Racławic; pamięć miał tak osłabioną, że nie poznawał podkomendnych swoich z czasów walki o niepodległość.[1]) Wiadomość o łaskawem usposobieniu Aleksandra dla Polaków, może inspiracye Czartoryskiego, poruszyły umysł bezwzględnie ojczyźnie oddany, skłoniły Kościuszkę do kroku bądź co bądź niezwykłego. Napisał on mianowicie list do Aleksandra, w którym upraszał go, aby się ogłosił królem polskim, nadał narodowi polskiemu konstytucyą, zbliżoną do angielskiej, udzielił amnestyi wszystkim Polakom, założył szkoły dla włościan i przyznał im prawo własności. Po czterech tygodniach odpowiedział cesarz w ogólnikowych wyrazach, że „spodziewa się dokonać odrodzenia walecznego i szanownego narodu“, że „wziął na siebie zobowiązania uroczyste“ i że „jeszcze trochę czasu i rozsądnego postępowania potrzeba, a Polacy odzyskają ojczyznę swoją i imię swoje“. Tymczasem przesadzał się w uprzejmościach dla Naczelnika, sprowadzał go w dworskim powozie na posłuchanie, wysłał z wizytą do niego brata Konstantego, na wieczorze u księżnej Jabłonowskiej nazywał go publicznie wobec wszystkich „wielkim człowiekiem“, a poufnie, w rozmowach prywatnych, dawał zachwyconemu temi hołdami niewyraźne przyrzeczenia o „powróceniu kraju naszego do Dźwiny i Dniepru, dawnych granic królestwa polskiego“,[2]) co jednak nie przeszkadzało wcale wielkiemu księciu Konstantemu opowiadać po salonach paryskich, że Kościuszko zdziecinniał na starość i plecie niedorzeczności o jakiejś całej i niepodległej Polsce.

Obok Naczelnika było i wojsko polskie również przedmiotem szczególnej opieki Aleksandra. Na polach pod St. Denis przedstawił Konstanty bratu szczątki świetnej niegdyś armii, liczące 4740 ludzi. Cesarz przemawiał łaskawie do żołnierzy, powtarzał obietnice, dane deputacyi oficerów i na pożegnanie rzucił słowa: „Do widzenia w Warszawie“. Utworzono też natychmiast komitet wojenny do nowego urządzenia wojska, złożony z generałów: Dąbrowskiego,

[1]) „Wspomnienia generała Kołaczkowskiego“. T. II, str. 117.

[2]) Korzon: „Kościuszko“, str. 529

Napad na Belweder w Warszawie dnia 29. listopada 1830.

Zajączka, Kniaziewicza, Wielhorskiego, Wojczyńskiego, Sułkowskiego, Giedrojcia i Sierakowskiego, wysłano po jeńców wojennych Krukowieckiego do Anglii, Paszkowskiego do Węgier, Morawskiego do Danii, wreszcie cały korpus ruszył do kraju pod dowództwem Wincentego Krasińskiego. Oddział (100 koni) pod pułkownikiem Jerzmanowskim dzielił z Napoleonem wygnanie na Elbie. Po drodze (w Nancy) odprawiono za staraniem generała Sokolnickiego nabożeństwo żałobne za króla Stanisława Leszczyńskiego, w Lipsku wydobyto z grobu zwłoki księcia Poniatowskiego i — umieściwszy je na żałobnym rydwanie — pod strażą honorową udano się ku granicom polskim. Widok wojska polskiego, wracającego do ojczyzny z bronią w ręku i pod sztandarami narodowemi, budził w rozżartych Niemcach gniew i oburzenie. Co chwila prawie zdarzały się starcia z ludnością i butnem żołnierstwem niemieckiem, w Kottbus (w Saksonii) pijani landwerzyści pruscy rzucili się nawet na kwaterę Krasińskiego, zabili stojącego przed drzwiami szyldwacha i zranili samego generała pałaszem w głowę. Stał się rozruch wielki, w obozie polskim zatrąbiono na alarm, całe wojsko stanęło u bram miasta, grożąc, że wytnie w pień landwerzystów; wtedy mieszkańcy udali się w pokorę, a Krasiński uspokoił wzburzone umysły i poprzestał na wypędzeniu Prusaków z miasteczka. W kilka dni po tym wypadku przybył korpus polski do Poznania, gdzie go witano tryumfalnie ku wielkiemu niezadowoleniu stojących tam na załodze Moskali, a dnia 9. września wszedł do Warszawy. Składało się to wojsko — opowiada naoczny świadek — z 6500 ludzi, „pysznie ubranych i w przedziwnie pięknej postawie“; szczególną uwagę zwracał na siebie pułk Krakusów, czyli „Kozaków naszych, którzy tak wiele w ostatniej wyprawie dokazywali“. Nazajutrz wprowadzono z Woli ciało księcia Poniatowskiego. „Żołnierze wyprzęgli konie i zwłoki zmarłego wodza ciągnęli piersi własnemi. Przez cały pochód (od rogatek) biły działa nieustannie, w mieście i za miastem wystawione. Gdy wóz zaszedł przed kościół św. Krzyża, podnieśli trumnę oficerowie i na katafalk wprowadzili. Natenczas wojsko z ręcznej strzelby i artylerya z dział wszystkich zarazem wydała vale ostatnie“.[1]) Zasługi bohatera uczcił piękną mową ksiądze Woronicz.

Po tym żałobnym obrzędzie nastąpiło uroczyste przyjęcie wojska ze strony miasta, wielka uczta dla oficerów polskich u feldmarszałka Barklaya de Tolly i takaż u generała Dąbrowskiego dla rosyjskich. Barklay wniósł toast: Niech żyje Polska! Życzę, by potężna i szczęśliwa! Pogrzeb, budzący tyle smutnych uczuć w sercach polskich, nabrał znaczenia wielkiej politycznej demonstracyi, podniosły się sympatye dla cesarza Aleksandra, wzrosły nadzieje odbudowania ojczyzny, na salonach wiedeńskich słuchano z przerażeniem księcia Henryka Lubomirskiego, który — powróciwszy z Warszawy — w żywych barwach przedstawiał zapał Polaków. Wiadomość o mianowaniu wielkiego księcia Konstantego naczelnym wodzem wojsk polskich przygnębiła do reszty dyplomatów austryackich; Gentz pisał alarmujące listy do Metternicha i wyrażał nadzieję, że teraz, kiedy koalicya dzieła zamierzonego doko-

[1]) „Pamiętniki Niemcewicza“, t. II, str. 127.

nała, niema najmniejszego powodu oszczędzać Aleksandra.[1]) Klucz sytuacyi politycznej znajdował się rzeczywiście w tej chwili w Paryżu, w głównej kwaterze sprzymierzonych. Wyobrażano sobie z początku, że rzecz pójdzie łatwo i gładko, że natychmiast rozstrzygną się losy Niemiec, Włoch i Polski, ale nadzieje te zawiodły. Wysłano wprawdzie Napoleona na Elbę, dobroduszny i ociężały Ludwik XVIII. wjechał w tryumfie do Paryża i zasiadł na tronie francuskim, ale pokój pierwszy paryski, podpisany dnia 30. maja 1814. roku, uregulował tylko sprawy francuskie, zawikłane kwestye europejskie odłożono do kongresu, który miał się zgromadzić w Wiedniu dnia 1. października. Zwycięscy monarchowie tymczasem i ich wojska używali wczasu; stolica Francyi wrzała od zabaw i festynów rozmaitego rodzaju, w Palais Royal najpierwsi dygnitarze zasiadali codziennie do zielonych stolików, aby w „Rouge et Noir“ bajońskie przegrywać sumy. Prym pomiędzy nimi trzymał Blücher w wytartym fraku, z 50 orderami na szyi, równie namiętny w grze jak i w nienawiści do Napoleona i Francuzów. Wśród tego odbyła się wielka uroczystość religijna i wojskowa na placu Zgody, potem wjazd Ludwika XVIII., następnie dalsze bale i uczty. Po podpisaniu traktatu pojechał Aleksander z królem pruskim do Anglii w odwiedziny do księcia-regenta, stamtąd powrócił do Petersburga, przy końcu września zaczął się zjazd w Wiedniu. Ale nikomu jakoś niespieszno było do pracy nad uszczęśliwieniem narodów. Po kilku konferencyach wstępnych, w których brali udział tylko reprezentanci wielkich mocarstw, postanowiono — pomimo protestów państw drugorzędnych — odłożyć otwarcie kongresu do 1. listopada. Październik był poświęcony rozrywkom i zakulisowym intrygom. Bawiono się też wspaniale. Bale, uczty, polowania, koncerta, teatr, reduty i illuminacye nie miały końca i miary. Przesadzano się w przepychu; dwór wiedeński, pogrążony w ruinie finansowej, wydał na przyjęcie koronowanych gości 30,000.000, krociami rzucali prywatni i wysocy dygnitarze. Na obiadach u Metternicha bywało po 250 osób; lord Steward zaprosił na ucztę z powodu urodzin królowej angielskiej 300 gości, którzy następnie przebrani w rozmaite kostyumy tańczyli do rana, cesarz Aleksander opuścił salę balową o godzinie 4-tej.

Wśród tego nieustającego karnawału toczyły się poufne narady i targi, obracające się głównie około dwóch spraw najważniejszych: polskiej i saskiej. Najwięcej kłopotów sprawiała dyplomacyi europejskiej Polska, pogrzebana — jak mniemano — na zawsze, a jednak odradzająca się nanowo i tem straszniejsza w tej chwili, gdy miała za opiekuna potężnego cara Wszechrosyi. Pomimo całej miękkości charakteru swego, pomimo zmiennych usposobień i wpływów kamarylli, która z łatwo zrozumiałych powodów była dla Polaków nieprzychylna i odbudowaniu Polski, chociażby pod berłem rosyjskiem, stanowczo przeciwna, wytrwał Aleksander od początku do końca w sympatyach swoich dla Polski. Utwierdzały go w tem i zasady wolności, wszczepione w umysł młody i wrażliwy przez wolnomyślnego nauczyciela Laharpa i przyjaźń, którą powziął do Czartoryskiego i tradycye gatczyńskiego dworu, gdzie rozbiór

[1]) Friedrich v. Gentz: „Österreichs Theilnahme an den Befreiungskriegen“ (Gentz do Metternicha dnia 25. kwietnia 1814). Wiedeń 1887, str. 328.

Polski uważano za krzywdę, gwałt i bezprawie. Myśl naprawienia złego zajmowała też Aleksandra bezustannie i przybierała w żywej wyobraźni jego rozmaite kształty.

Raz marzył więc o odbudowaniu Polski po Dniepr i Dźwinę, później, ze zmianą okoliczności, zacieśniał ją w granicach księstwa litewskiego, wreszcie — po upadku Napoleona — przenosił nad Wisłę i Wartę w zabór pruski i austryacki. I tu spotykały się zamiary jego polskie z pragnieniami i dążnościami, wielkorosyjskiej polityki. Pozyskanie prowincyj polskich nad Wisłą i Wartą było bowiem dla caratu nieocenionym nabytkiem: posuwało Rosyą ku środkowi Europy i dawało jej pod względem strategicznym stanowczą przewagę nad Prusami i Austryą. Klinem wbita pomiędzy Galicyą i Prusy właściwe miała Rosya z jednej strony otwartą drogę do Berlina, z drugiej mogła sięgać aż po Karpaty. Państwo tak potężne terytoryalnie i strategicznie i opierające się zręcznie o politykę słowiańską, było rzeczywiście strasznem dla obu sąsiadów, wyrosłych na gruncie słowiańskim.

Współcześni rozumieli doskonale tę doniosłość sprawy polskiej i kiedy Aleksander po bitwie lipskiej — w pochodzie do Francyi — zamiary swoje wyraźnie objawił, a po widzeniu się z Laharpem w Troyes, mając Czartoryskiego u boku swego, powziął myśl utworzenia konstytucyjnego królestwa polskiego, powstało w kołach dyplomatycznych wielkie przerażenie. Przebiegły Gentz, prawa ręka Metternicha, ułożył wtedy obszerny memoryał,[1]) w którym wykazywał jak na dłoni niebezpieczeństwa, wynikające z takiego odbudowania Polski dla Austryi i Prus, ale wśród toczącej się walki z Napoleonem, gdzie los wojny wisiał na włosku i był zawisłym głównie od współdziałania Rosyi, nie śmiały gabinety interesowane protestować lub sprzeciwiać się planom „Agamemnona“ wyprawy. Milczeli zatem wszyscy: milczała Anglia, oczekująca niecierpliwie upadku Napoleona, milczały Prusy, zostające na łasce petersburskiego dworu, milczał wreszcie Metternich, pocieszając się w duchu nadzieją, że odbudowanie Polski, jako przeciwne interesom rosyjskim, do skutku nie przyjdzie, że w otoczeniu Aleksandra ulegnie w końcu „polonizm“ i „liberalizm“ w walce z wielkorosyjskiem stronnictwem.[2]) Nastąpiły po tem znane już wypadki w Paryżu, owe objawy sympatyj Aleksandra dla Polaków, utworzenie wojska polskiego pod naczelnem dowództwem wielkiego księcia Konstantego, a co najbardziej może drażniło, okupacya stała księstwa warszawskiego, gdzie Aleksander gospodarował jak we własnem swojem państwie. Z początku jeszcze mniemał gabinet wiedeński, że mu się uda pozyskać dla siebie w sprawie polskiej pomoc Prus, które przecież w traktacie kaliskim ułożyły się z Rosyą o rozbiór księstwa warszawskiego, ale nadzieje te prysły niebawem, kiedy książe Repnin, zarządzający Saksonią w imieniu mocarstw sprzymierzonych, ogłosił niespodziewanie władzom saskim (dnia 8. listopada 1814. roku), że kraje saskie będą do Prus przyłączone i oddał administracyą urzędnikom

[1]) Friedrich v. Gentz: „Österreichs Theilnahme an den Befreiungskriegen“, Wiedeń 1887, str. 384.

[2]) Friedrich v. Gentz: „Österreichs Theilnahme an den Befreiungskriegen“ (Dopisek własnoręczny Metternicha). Wiedeń 1887, str. 393.

pruskim. Wynikało stąd jasno, że Rosya i Prusy działają w porozumieniu i że gabinet berliński gotów jest w zamian za Saksonią pozwolić na przyłączenie księstwa warszawskiego do carstwa. Odtąd też musiała być sprawa polska jak najściślej złączona z saską. W kołach dyplomatycznych wiedeńskich powstało przeciw Aleksandrowi niesłychane rozgoryczenie. Nie tyle może obawiano się już zaboru księstwa, co owego konstytucyjnego królestwa polskiego, które, mając 40.000 do 50.000 wojska, musiało — podług zdania statystów austryackich — stać się wulkanem zagrażającym zniszczeniem Prusom i Austryi. Takie było położenie, kiedy Nesselrode na pierwszej konferencyi w Wiedniu imieniem cesarza Aleksandra przedłożył ministrom wielkich mocarstw plan utworzenia konstytucyjnego królestwa polskiego.[1]) Żachnęli się na to dyplomaci i Metternich postanowił użyć osobistego swego wpływu, aby odwieść cara od tak zgubnych dla pokoju europejskiego zamiarów. Ale ani zręczność jego, ani wymowa, ani groźby nie zdołały zachwiać Aleksandra. Po kilku bezowocnych konferencyach przyszło dnia 24. października do tak burzliwej sceny pomiędzy carem a kanclerzem austryackim, że Aleksander zerwał odtąd z nim wszelkie stosunki i nawet widywać go nie chciał. Zawiedziony tak w nadziejach swoich Metternich użył pośrednictwa lorda Castlereagha, a w końcu najprzebieglejszego ze wszystkich dyplomatów, Talleyranda. I znowu ani wyczerpujące noty angielskiego ambasadora, ani argumenta księcia Benewentu nie przekonały cara. Na obszerne wywody Castlereagha odpowiadała równie obszernie kancelarya rosyjska,[2]) Talleyrandowi zaś oświadczył Aleksander wręcz, że ma zobowiązania względem Polaków i króla pruskiego i że je spełnić musi.[3]) Zakłopotani dyplomaci zwrócili się więc do Hardenberga, pełnomocnika pruskiego, który w ciągu tych pertraktacyj zajmował jak najprzyjaźniejsze względem angielskich i austryackich kolegów swoich stanowisko. Ale tu właśnie czekało ich największe rozczarowanie, bo Prusy, pozyskane zupełnie przez Rosyą oddaniem Saksonii, zmieniły nagle barwę i oświadczyły, że — zbadawszy zamiary i usposobienie Aleksandra i rozważywszy wszystkie okoliczności — nie mogą doradzać mocarstwom interesowanym w sprawie polskiej nic innego, jak tylko przyjęcie planu rosyjskiego. Od tej chwili — pisze książe-kanclerz — runął cały gmach i gabinet wiedeński miał do wyboru poświęcić Saksonią lub Polskę, oczywiście poświęcono ostatnią. Narazie jednak, nie tracąc fantazyi, postanowiono wystraszyć na Aleksandrze pewne ustępstwa i wysunięto plan odbudowania niepodległej Polski w granicach z roku 1772., plan niewątpliwie jedynie racyonalny i sprawiedliwy, lecz niestety nieszczery, bo w tych warunkach prawie niepodobny do wykonania. Nikt bowiem nie mógł być tak naiwnym, aby przypuszczać, że Rosya, której potęga i znaczenie europejskie polega na posiadaniu prowincyj polskich, uczyni z tych krajów dobrowolnie ofiarę na rzecz pokoju powszechnego, a o wojnie z Prusami i Ro-

[1]) „Aus Metternichs nachgelassenen Papieren“. Herausgegeben von dem Sohne des Staatskanzlers. Wiedeń 1880, t. II, str. 482.

[2]) Noty u d'Angeberga, str. 601.

[3]) Friedrich v. Gentz: „Österreichs Theilnahme an den Befreiungskriegen“. Wiedeń 1887, str. 480.

syą za wolność Polski, zwłaszcza po doświadczeniach z roku 1812. i przy ogólnem wyczerpaniu mocarstw europejskich, nikt chyba naprawdę nie myślał. Postrachem więc dla Rosyi a nie czem innem był ów projekt odbudowania Polski, postrachem i przymierze także zawarte w tym celu pomiędzy Austryą, Anglią i Francyą dnia 3. stycznia 1815. roku. Aleksander nie uląkł się groźby i na demonstracyą mocarstw odpowiedział demonstracyjnem wezwaniem Polaków do obrony praw narodowych. Czas więc i nam powrócić do Polski.

Wspomnieliśmy już, że w społeczeństwie polskiem po klęsce Napoleona w roku 1812. dwa ze sobą ścierały się prądy, że jedni, słuchając przedewszystkiem głosu honoru i zrażeni nadto niejasnem i nieszczerem postępowaniem władz rosyjskich, trwali w wierności dla Francyi i Napoleona, podczas gdy drudzy, nie chcąc wiązać sprawy polskiej z upadającą potęgą genialnego Korsykanina, przechylali się na stronę Aleksandra i w jego przychylnem dla Polaków usposobieniu widzieli rękojmią lepszej dla ojczyzny przyszłości. Należał do nich i Czartoryski, który, jakkolwiek gotów był połączyć się z ruchem narodowym w roku 1812. i to postanowienie swoje wprost Aleksandrowi wyraził, obecnie, ze zmianą wypadków, uważał za korzystniejsze dla sprawy polskiej, chwycić się dawnej polityki, zwłaszcza że i car sam dokładał wszelkich starań, aby Polaków sobie pozyskać. W chwili stanowczej zjawił się więc książe Adam u boku Aleksandra w Kaliszu i miał udział niewątpliwie w układach, jakie nawiązano z Poniatowskim. Kalasanty Szaniawski, jeden z pośredników w tej tajnej robocie, generalny zawiadowca dóbr ordynata Zamoyskiego, zostawał natenczas w ścisłych z Czartoryskim stosunkach.[1]) Kiedy jednak przez nieszczerość czy niezręczność ze strony rosyjskiej układy się rozbiły, użył książe Adam całego swego wpływu i całej sztuki dyplomatycznej dla ratowania sprawy narodowej z ogólnego rozbicia. Przekonany silnie, że tylko Aleksander może i chce zdziałać coś dla Polski, nie odstępował on od jego boku, towarzyszył mu w podróży do Paryża i do Anglii, a równocześnie wpływał na opinią publiczną w księstwie i nadawał jej kierunek zgodny ze swoimi zamiarami.

Przypuszczać należy też, że z jego inicyatywy wystosował Łubieński (minister sprawiedliwości) imieniem swojem, Wielhorskiego i Węglińskiego ów list do monarchów sprzymierzonych, w którym — powołując się na ich uczucia sprawiedliwości — prosił o powrócenie ojczyzny. „Doświadczenie okazało — tak kończył — ile mogła wdzięczność w sercach naszych dla tego, który nam obiecał powrót naszej ojczyzny, i czegożbyśmy nie uczynili dla tego, któryby ją nam w istocie samej powrócił“.[2]) W kraju tymczasem wiadomość z Paryża o przychylnem usposobieniu cara dla Polaków i o uwielbieniu, jakie okazywał Kościuszce, budziło zadowolenie i nowe nadzieje. Utworzenie wojska polskiego, powołanie do komitetu wojskowego najznamienitszych patryotów z Dąbrowskim na czele, powrót wreszcie hufców narodowych usuwały wszelką wątpliwość co do szczerości Aleksandra. Umilkli najzawziętsi nawet nieprzyjaciele Rosyi, Niemcewicz, jeden z nieprzejednanych dotąd, pisał w „Pamiętniku“

[1]) „Pamiętniki Niemcewicza“, t. II, str. 171.
[2]) „Pamiętniki Niemcewicza“, t. II, str. 163.

swoim: „Monarcha ten nagradza szlachetnie srogie krzywdy i nieprawości babki swej, przeklętej Katarzyny“.[1]) Niepodobało się wprawdzie mianowanie wielkiego księcia Konstantego naczelnym wodzem armii polskiej, ale i ten charakter dziki, nieokiełzany i brutalny umiał zastosować postępowanie swoje do polityki brata.

Przyjechawszy do Warszawy okazywał się nietylko względnym i łaskawym dla Polaków, lecz ubiegał się wprost o popularność; otoczony towarzystwem polskiem, na balach i zabawach tańczył wyłącznie z Polkami i zaniedbywał Rosyan do tego stopnia, że sami Polacy zwracali mu uwagę, aby ze swoimi obchodził się grzeczniej.[2]) Kiedy Władysław Ostrowski, oficer artyleryi, wysłany do Petersburga, oddawał wielkiemu księciu raport, Konstanty powitał go uprzejmie i rzekł: „Rad jestem, że już nas tyle, Moskale jeszcze więcej nam oddadzą“.[3])

Czy ta gorąca miłość dla Polaków wynikała z chwilowej fantazyi pańskiej, czy była naturalnym skutkiem wpływu, jaki na Konstantego wywrzeć musiało bliższe zetknięcie się z społeczeństwem polskiem, wyższem natenczas znacznie od rosyjskiego pod względem cywilizacyjnym, to rzecz obojętna i nad tem nikt się wtedy nie zastanawiał, ale to pewna, że objawy sympatyi carskiej musiały wywołać zwrot w opinii narodu i zapewnić zwycięstwo polityce Czartoryskiego. Opuszczeni od wszystkich, zdani na wolę losów, widzieli Polacy w Aleksandrze jedynego swego sprzymierzeńca i przyjaciela i rzucili się też w jego ramiona. Żywa wyobraźnia przedstawiała im ten stosunek w świetle idealnem. Mniemano, że car wspaniałomyślny, idąc za popędem serca swego i uczuć, musi odbudować Polskę, że to uczyni we własnym swoim interesie. Takie było zdanie powszechne. Trzeźwiejsi i roztropniejsi myśleli cokolwiek inaczej. Oni wiedzieli ze smutnych doświadczeń napoleońskich, jak mało można polegać na obietnicach i jak szkodliwą jest rzeczą karmić się złudzeniami i pragnęli wyjaśnić sytuacyą.

Początek do tego musiało dać wojsko, w którem skupiała się wówczas inteligencya narodu, które — od powstania legionów — reprezentowało właściwie Polskę niezależną, a obecnie, powołane pod znaki narodowe przez Aleksandra, miało prawo i obowiązek zapytać, dla kogo i za co walczyć mu przyjdzie? W tej myśli też wystosowali oficerowie polscy do generała Dąbrowskiego odezwę. „Generale — mówili oni — oficerowie wojska są obywatelami wspólnej li ojczyzny: jako jej synowie uzbroili się dla niej i dla niej krew swą chowają. Powiedz nam, czem teraz jesteś i po co nam się uzbrajać każesz? Zakrwawionych serc naszych nie zhańbimy przynajmniej obelgą, byśmy się uzbrajać mieli, nie wiedząc, dla kogo? Ty, któremu tylko odzyskanie imienia ojców na myśli, zapytaj się zwycięzcy, czego chce po nas? Jesteśmy w jego mocy, ale do ofiary krwi naszej własna tylko ojczyzna ma prawo. Jeżeli nam ją zapewni, uzbroimy się za nią i za wspaniałego opiekuna“.[4])

[1]) „Pamiętniki Niemcewicza“, str. 165.
[2]) „Pamiętniki Niemcewicza“, str. 181.
[3]) „Pamiętniki Niemcewicza“, str. 169.
[4]) „Pamiętniki Niemcewicza“, str. 175.

Dąbrowski złożył odezwę w ręce naczelnego wodza (wielkiego księcia Konstantego), a ten wysłał ją oczywiście do Petersburga, gdzie Aleksander bawił po powrocie z Anglii. Odpowiedź wypadła przychylnie, lecz zawierała się — jak można było łatwo przewidzieć — w ogólnikowych zapewnieniach. Car pochwalił szlachetne uczucia Polaków i wzywał ich do ufności w szczerość swoich zamiarów względem Polski. Co prawda, więcej nad to powiedzieć nie mógł w chwili, gdy kongres wiedeński zabierał się do narad nad kwestyą polską. Prywatnie jednak nie szczędził obietnic. Wspomnianemu wyżej Ostrowskiemu oświadczył na posłuchaniu, że nawet oręża w obronie sprawy polskiej dobędzie, w Puławach — dokąd wstąpił, jadąc z Wiednia — zapewniał wszystkich, że szczęście Polaków najżywiej go obchodzi, że na kongresie chce dokonać wielkiego dzieła, że ma nadzieję zwalczyć wszelkie trudności i że da Polsce konstytucyę liberalną.

W tych zapewnieniach zupełnie szczerych — jak dziś możemy osądzić — tkwiło jedno, dla obu stron w przyszłości wielce szkodliwe nieporozumienie. Podczas bowiem, gdy ogół narodu marzył o Polsce w dawnych granicach, lub co najmniej spodziewał się przyłączenia prowincyj litewskich, Aleksander mieścił przyszłe konstytucyjne królestwo tylko w obrębie księstwa warszawskiego bez części Wielkopolski, którą przyrzekł odstąpić Prusom. To złudzenie wzajemne było też w znacznej części źródłem przyszłych zatargów i doprowadziło wreszcie do katastrofy. Pierwszy doznał rozczarowania w tym względzie Kościuszko, kiedy — spiesząc do Wiednia — spotkał się w Braunau z Aleksandrem i z jego ust własnych otrzymał wyjaśnienie co do przyszłych losów Polski. Nie łudził się zapewne także i książe Czartoryski, nanowo powiernik cesarza w sprawach polskich, obaj jednak milczeli, bo odbudowanie Polski, chociaż uszczuplonej, bo wskrzeszenie imienia polskiego — jak wtedy się wyrażano — uważali, słusznie zresztą, za rękojmię i podstawę lepszej przyszłości. Ale i to skromne życzenie nie mogło być tak łatwo spełnionem. Jeżeli Aleksander wspominał o trudnościach w wykonaniu wielkiego dzieła, to były one rzeczywiście znaczne. Utworzeniu konstytucyjnego królestwa polskiego sprzeciwiał się — jak wspomniano — usilnie gabinet wiedeński, wskrzeszenie Polski uważali Rosyanie za zamach na całość i potęgę caratu. Wpływom tej partyi wielkorosyjskiej uległ niegdyś Czartoryski w Petersburgu, na niej budował teraz nadzieje swoje Metternich, z nią musiał walczyć Aleksander, kiedy chciał spełnić swoje „zobowiązania“ względem Polaków. Każdy krok jego w tym kierunku, każdy objaw sympatyi dla narodu polskiego budził rzeczywiście w kołach rosyjskich jak największe niezadowolenie. Kiedy do Warszawy nadszedł do gubernatora Łańskoja list cesarski, oznajmiający o utworzeniu wojska polskiego i komisyi wojskowej z generałów polskich złożonej i kiedy pismo to czytano na licznem zgromadzeniu przy obiedzie u Nowosilcowa w Królikarni, powstało pomiędzy obecnymi tam Rosyanami niesłychane oburzenie. Niezważając wcale na gości Polaków, wołali oni zacietrzewieni: Co to jest wojsko polskie? To głupstwo! a następnie — krytykując ostro postępowanie imperatora z Polakami — nazywali je prostem szaleństwem.[1])

[1]) „Pamiętniki Niemcewicza“, t. II, str. 169.

Nic dziwnego, że w takich okolicznościach niepokój ogarnął umysły i że szczególniej komitet, powołany do organizacyi wojska polskiego, uczuł całe brzemię odpowiedzialności, jaka na nim ciężyła. Kazano mu uzbrajać wojsko i tworzyć armią narodową wtedy, gdy los kraju nie był wcale zape-

Przykucie Łukasińskiego przed uwiezieniem z Warszawy w roku 1830.

wnionym, gdy lada chwila mogła nastąpić katastrofa nowego rozbioru. Co stanie się więc z tem wojskiem polskiem? czy nie będzie ono wcielone do armii rosyjskiej, tak, jak to uczynił świeżo z pułkami saskiemi król pruski? na te pytania nikt odpowiedzieć nie umiał. Wielki książe Konstanty, do którego zwracano się w tym względzie, pojechał po rozkazy do Wiednia, a —

powróciwszy stamtąd przy końcu listopada — milczał uporczywie, wreszcie zapytał Zajączka, coby wojsko polskie robiło, gdyby przyszło do wojny? Była to rzeczywiście — jak już wiemy — chwila krytyczna, kiedy na kongresie ważyły się losy Polski i nieporozumienia pomiędzy mocarstwami groźną przybrały postać. Odwołanie się imperatora do Polaków było zatem koniecznem, bo od ich woli i współdziałania zależał dalszy kierunek polityki rosyjskiej. Mając za sobą naród polski, mógł Aleksander stanąć twardo przy warunkach, podanych mocarstwom, opuszczony zaś przez Polaków, musiałby się był zgodzić na podział księstwa z granicą po Wisłę. Zrozumiał komitet wojskowy to położenie i na zapytanie, wystosowane do Zajączka, odpowiedział obszernem pismem, w którem domagał się konfederacyi „w celu bronienia i utrzymania kraju i rządu konstytucyjnego pod opieką najjaśniejszego imperatora“.[1]) Konstanty nie zgodził się oczywiście na konfederacyą, bo musiałaby ona objąć cały naród i stać się dla Moskwy wielce niebezpieczną, ale wzywał do zaufania względem imperatora i do dalszych uzbrojeń, które będą silnem poparciem sprawy polskiej i zabiegów Aleksandra w Wiedniu. Na to żądanie wystosował komitet wojskowy do wielkiego księcia ponownie memoryał, wyjaśniający stanowisko Polaków. Gotowi są oni „do wierności, gorliwości i niezłomnego poświęcenia dla imperatora i jego następców, jeżeli imperator raczy zapewnić Polsce jej byt polityczny i rząd konstytucyjny“. Konstanty w rozmowie prywatnej z Zajączkiem i Wielhorskim nie szczędził obietnic, powtarzał je w osobnej nocie, podanej do komitetu dnia 3. grudnia, wreszcie w kilka dni potem ogłosił ów rozkaz dzienny, nadesłany z Wiednia, który tak bardzo przeraził dyplomatów kongresowych.

„Najjaśniejszy imperator — były słowa jego — potężny wasz protektor, wzywa was, zbierajcie się około orłów waszych i spieszcie z orężem w ręku na obronę waszej ojczyzny, w celu zachowania politycznego jej bytu. Ciż sami wodzowie, którzy od lat 20-tu prowadzili was zawsze drogą honoru, potrafią jeszcze dzisiaj onę wam okazać. Piękne dzieła wojenne wsławiły was, częstokroć w sprawie, z waszem szczęściem związku nie mającej, dziś więc, gdy wasze usiłowania ojczyźnie poświęcone będą, bez powątpiewania niezwyciężonymi będziecie“.

Odezwa sprawiła wprawdzie jak najlepsze na umysłach wrażenie, ale zatarł je rychło swojem nieoględnem postępowaniem Konstanty do tego stopnia, że generałowie Wojczyński i Kniaziewicz wystąpili z komitetu wojskowego. A i w Wiedniu także zmieniły się stosunki. Mocarstwa, które niedawno jeszcze twierdziły wbrew Aleksandrowi, że od odbudowania Polski w granicach z roku 1772. zależy uspokojenie trwałe Europy, wysuwały obecnie na pierwszy plan sprawę saską i przyjmowały w zasadzie projekt podziału krajów polskich, jako jedyny sposób utrzymania równowagi pomiędzy mocarstwami rozbiorowemi. Ambasador angielski, umywając ręce od wszystkiego, zalecał tylko, aby Polakom w trzech zaborach nadano instytucye narodowe. Ażeby zaś wywrzeć większy nacisk na Aleksandra, sklejono naprędce przymierze pomiędzy Francyą, Austryą i Anglią przeciw Prusom i Rosyi (3. sty-

[1]) „Pamiętniki Niemcewicza“, t. II, str. 189.

cznia 1815. roku), w którem nie było wcale wzmianki o Polsce. Demonstracya ta była zbyteczna, bo car, uspokojony łagodnym tonem noty angielskiej, zgodził się (19. stycznia) na zasady postawione przez Castlereagha, zapewniając swoich sprzymierzeńców, że jedynym celem jego życzeń jest nie odbudowanie Polski, lecz polepszenie losu Polaków we wszystkich trzech zaborach. Na tem zakończyły się właściwie układy w sprawie polskiej; dnia 3. maja 1815. roku podpisano szósty z kolei traktat podziału Polski, a na kilka dni przedtem wystosował Aleksander do prezesa senatu wojewody Antoniego Ostrowskiego list, w którym uwiadamiał go o „ustalonym losie ojczyzny“. „Biorę — pisał — tytuł króla polskiego; królestwo polskie będzie złączone z carstwem ruskiem związkiem własnej konstytucyi, na której chcę oprzeć zasady szczęścia kraju. Jeżeli wielki interes spokojności ogólnej nie dozwolił, by wszyscy Polacy połączonymi byli pod jednem berłem, starałem się przynajmniej osłodzić, ile można było, przykrość rozdzielenia i zawarować im spokojne używanie ich narodowości.“ Równocześnie z tym listem otrzymał zasłużony i zacny ks. Woronicz nominacyą na biskupstwo krakowskie.

Okres drugi, królestwa kongresowego, od roku 1815. do 1832.

Stan prowincyj polskich po kongresie. — Wielki książe Konstanty. — Konstytucya. Dzieło kongresu wiedeńskiego, tak jak rzecz każda, nie ze sprawiedliwości i słuszności, lecz z pobudek egoistycznych poczęta i w zaborczej chciwości źródło swe mająca, nie mogło zadowolnić nikogo. Francya, w pierwszym pokoju paryskim przywrócona do stanu z roku 1792., odpokutowała studniowe panowanie Napoleona po powrocie z wyspy Elby, nowem okrojeniem granic swoich, olbrzymią kontrybucyą i upokarzającą, a zarazem wielce kosztowną okupacyą prowincyj wschodnich przez wojska sprzymierzone. Drugie tyle, co owych 1.150,000.000 franków, pochłoniętych przez utrzymanie obcego wojska i koszta wojenne, wynosiły nieocenione dzieła sztuki, nagromadzone za napoleońskich czasów w muzeum paryskiem, a zabrane teraz przez dawnych właścicieli. Pruska chciwość szła tu w zawody z pragnieniem zemsty i wandalizmem krzyżackich potomków. Głośny Blücher, w zapamiętałej nienawiści do Napoleona i Francuzów nieprześcigniony, zamierzał wysadzić w powietrze most, na pamiątkę zwycięstwa pod Jeną wzniesiony i dopiero interwencya cesarza Aleksandra, który nie chciał zbytniego upokorzenia i osłabienia Francyi z obawy przed Austryą i Prusami, pohamowała zapędy pruskiej brutalności. Podobny widok dowolności i niesprawiedliwości przedstawiało także uregulowanie innych spraw europejskich. Dania musiała zapłacić Szwedom za pomoc, jaką udzielili sprzymierzonym, odstąpieniem Norwegii, Włochy, uważane już wtedy za „pojęcie geograficzne“, pokrajano pomiędzy rozmaitych dynastów, rzeczpospolita genueńska dostała się królowi sardyńskiemu, Wenecyą zajęli Austryacy, Belgów złączono w jedno państwo z Holendrami, słowem, bez względu na tradycye historyczne, na usposobienie i prawa odwieczne narodów, rozrządzano niemi tak, jak wymagał interes dynastyczny, chciwość lub potrzeba wymyślonej równowagi europejskiej. A że — pomimo tyloletniej walki z rewolucyą francuską i jej „ohydnemi“ zasadami — niepodobna było przywrócić dawnego stanu rzeczy, ani też zniszczyć zupełnie tych urządzeń wolnomyślnych, jakie po świecie rozniosło tchnienie rewolucyjne, że zresztą sami sprzymierzeni monarchowie wzywali ludy do walki z Napoleonem w imię wolności i najliberalniejszych przy tem używali haseł, więc dla uspokojenia umysłów, oczekujących spełnienia konstytucyjnych obietnic, rzucono jednym garść nowych przyrzeczeń, innych obdarzono nawet systemem reprezentacyjnym, przystosowanym do okoliczności i interesów panującego po to, aby przy najbliższej sposobności ten pozorny konstytucyonalizm znieść i do dawnych patryarchalnych rządów powrócić.

Skutkiem kongresu wiedeńskiego było więc ogólne rozczarowanie i niezadowolenie. Do niezadowolonych należeli w pierwszym rzędzie Polacy, nie dlatego tylko, że zawiedziono ich słuszne nadzieje co do odbudowania ojczyzny, ale że stworzono dla nich byt z początku znośniejszy cokolwiek, lecz w istocie swojej nietrwały i noszący zarody nieuniknionych w przyszłości katastrof.

Nowy podział prowincyj polskich przedstawiał się następująco: do Austryi, do t. zw. królestwa Galicyi i Lodomeryi, powróciły obwody tarnopolski i zbaraski, jakoteż część Powiśla z żupami wielickiemi, oderwane w roku 1809.; Prusy otrzymały kraj od ujścia Prosny, linią ukośną aż ku Toruniowi odgraniczony, wraz z Gdańskiem, razem 538 mil kwadratowych; resztę księstwa warszawskiego (2214 mil kwadratowych) wzięła Rosya; Kraków z okręgiem (23½ mil kwadratowych) tworzył wolną, niepodległą i ściśle neutralną republikę pod opieką trzech mocarstw: Austryi, Prus i Rosyi.

Osobne dwa traktaty, zawarte pomiędzy Rosyą z jednej, a Austryą i Prusami z drugiej strony (dnia 3. maja 1815. roku),[1]) a zatwierdzone ostatecznym układem z dnia 9. czerwca,[2]) zapewniały wszystkim mieszkańcom prowincyj polskich w granicach z roku 1772. zupełną amnestyą, wolną żeglugę i spław na rzekach i kanałach, jakoteż wolność handlu i reprezentacyą narodową. Charakterystycznem jest, że w tych aktach kongresowych, regulujących stale prawa Polaków pod trzema rządami zaborczemi, występuje Aleksander w roli pełnomocnika i reprezentanta narodu polskiego. Z nim zawierają traktaty Austrya i Prusy, on zastrzega sobie prawo mianowania biskupa krakowskiego,[3]) on też wreszcie zastrzega ów artykuł o reprezentacyi narodowej niezmiernie elastyczny i — jak przyszłość niedaleka dowiodła — nie mający właściwie wielkiego znaczenia. „Polacy — tak brzmiało to zastrzeżenie — poddani państw, traktaty zawierających, mają otrzymać reprezentacyą i instytucye narodowe, urządzone według zasad, jakie każdy rząd, do którego należą, uzna za użyteczne i właściwe dla nich.“

W ten sposób stało się zadość formie i skrupułom sumienia, jakie Aleksander w tej chwili, po tylu obietnicach, czynionych Polakom, uczuwać musiał. Naród polski, zdany na łaskę swoich zaborców, mógł z dwuznacznych zapewnień dyplomatów kongresowych przewidzieć łatwo los, który mu zgotowano. „JKMość — pisał Hardenberg, pełnomocnik pruski — będzie się zawsze starał zapewnić Polakom, swoim poddanym, te swobody i korzyści, których mają prawo się spodziewać, o tyle, o ile one będą zgodne ze stosunkami jego państwa i z głównym celem każdego rządu, to jest z utrzymaniem jedności tegoż.“ Zgodnie z temi zasadami i z tym celem przyszły po tem banicye i komisya kolonizacyjna i to wszystko, na co dziś własnemi patrzymy oczyma, a co z duchem traktatów kongresowych w najoczywistszej zostaje sprzeczności. Mniej podstępnie i szczerzej wyrażał się gabinet wiedeński. „JCMość — były słowa Metternicha — nie przestanie ze

[1]) D'Angeberg: „Recueil des traités, conventions etc.“. Paris 1862, str. 652 i 662.

[2]) D'Angeberg: „Recueil des traités, conventions etc.“. Paris 1862, str. 696.

[3]) D'Angeberg: „Recueil des traités, conventions etc.“. Paris 1862, art. XVII, str. 685.

swej strony czuwać nad pomyślnością swoich polskich poddanych z tą samą ojcowską troskliwością, z jaką szczęściem wszystkich różnoplemiennych poddanych swoich zajmuje się i ma to przekonanie, że szczęście ludów jest najpewniejszą rękojmią spokojności i siły państw; szczęście to zaś zależy od sprawiedliwego uwzględnienia przez rząd tego wszystkiego, czego się domaga duch narodowy i zwyczaje ludu".[1])

A i sam Aleksander, znający dobrze język dyplomatyczny, widział, na jak kruchych podstawach spoczęła przyszłość narodu polskiego, kiedy w odezwie, ogłoszonej w Wiedniu dnia 25. maja, uznał za potrzebne, wytłumaczyć i usprawiedliwić działanie kongresu w sprawie polskiej. „Pracując nad odrodzeniem nowego związku w systemie europejskim — tak się wyrażał — nie można było uwzględniać tylko interesów Polski. Szczęście każdego z osobna i zachowanie ogółu niedopuszczały żadnego układu, mogącego ubliżać bezpieczeństwu i równowadze powszechnej. Zdrowa polityka, doświadczenie przeszłości i ta sama religia, która nam mieć każe wzgląd na długie cierpienia tego szacunku godnego narodu, wkładały także na nas święty obowiązek, byśmy — nie szczędząc żadnej ofiary — zapewnili spokojność świata i uchronili Europę od klęsk nowych.... Polacy! niepodobna było opatrzyć w sposób inny waszej narodowej pomyślności".

Znakomici mężowie stanu współcześni sądzili wprawdzie inaczej o kwestyi polskiej. Lord Grey mniemał w liście do Kościuszki (1. czerwca 1814. roku), że bezpieczeństwo Europy zawisło od odbudowania Polski; Talleyrand, chwiejny w zdaniu swojem Metternich i Castlereagh w tym samym oświadczali się duchu. Opinia angielska, poruszona staraniem Czartoryskiego, okazywała żywe dla niepodległości polskiej sympatye, ale tym wszystkim platonicznym objawom życzliwości stanęła w poprzek polityka rosyjska w zaborze księstwa warszawskiego, upatrująca słusznie niezmierne dla carstwa korzyści i doświadczony egoizm gabinetów europejskich. Stała się więc rzecz w tych warunkach nieunikniona, dokonano nowego podziału Polski.

Rozczarowany i złamany na duchu Kościuszko, odjechał z Wiednia na na stały pobyt do Szwajcaryi, świadek i uczestnik prac kongresowych Aleksandra, Czartoryski, ciężko zaniemógł na zdrowiu; w kraju, obok entuzyazmu i uwielbienia dla „wskrzesiciela" Polski, zaczęła się równocześnie objawiać refleksya. W chwili, gdy ogłaszano i zaprowadzano konstytucyą, trzech młodych oficerów: Ignacy Prądzyński, Gustaw Małachowski i Klemens Kołaczkowski zawiązywało towarzystwo „Przyjaciół polskich", „ku obronie swobód i narodowości, zagrożonych duchem zepsutym rosyjskiego samowładztwa".[2])

Ogół narodu i ci, co stali na jego czele, nie podzielali tych porywów młodzieńczego ducha. Kraj, znużony wojną długoletnią i zrujnowany ekonomicznie, potrzebował i pragnął spokoju; Czartoryski i całe jego stronnictwo, acz zawiedzione boleśnie w nadziejach swoich, widziało w utworzeniu króle-

[1]) Noty u d'Angeberga w tłumaczeniu u Skarbka („Dzieje Polski", część II. W Poznaniu 1877).

[2]). „Wspomnienia generała Kołaczkowskiego", t. II, str. 146.

stwa kongresowego zawiązek lepszej przyszłości, a w duchowem i materyalnem podniesieniu tej miniaturowej Polski dalszy ciąg pracy nad odrodzeniem całej ojczyzny.

Obowiązek ten spoczywał przedewszystkiem na księciu Adamie. Nieodstępny towarzysz Aleksandra w wędrówce jego po lądach i morzach europejskich w roku 1813. i 1814., wymowny i wytrwały obrońca interesów polskich w Wiedniu, gdzie — bez urzędowego stanowiska — miał wpływ pewien na tok spraw politycznych, o ile one Polski dotyczyły, był Czartoryski uczestnikiem, a poniekąd i twórcą królestwa kongresowego i tego nowego „kursu“, jaki względem narodu polskiego miały zastosować traktaty wiedeńskie. Jemu też polecił Aleksander wypracowanie nowej konstytucyi i organizacyę nowego rządu w królestwie,[1]) rozwiązując równocześnie rząd tymczasowy, ustanowiony dla księstwa w roku 1813.

Przybywszy w czerwcu do Warszawy, znalazł się Czartoryski w niezmiernie trudnem położeniu. Zastał bowiem kraj nietylko wycieńczony i wyczerpany ze wszystkich zasobów, upadający pod ciężarem nieustających kwaterunków i dostaw żywności dla wojska rosyjskiego, ale zarazem chaos w administracyi, pełno nadużyć i zupełny brak ludzi, uzdolnionych do służby publicznej.

Razem bowiem z najazdem rosyjskim spadła na księstwo cała szarańcza czynowników, która — żyjąc kosztem kraju — zaniedbywała najważniejsze sprawy i tylko własnych pilnowała korzyści. Typową pod tym względem figurą był policmajster warszawski Swiczyn, co mając władzę nad wszystkiemi komorami celnemi, w krótkim czasie ogromny zebrał majątek i zakupił w królestwie dobra za 100.000 rubli. Inni — jak Łańskoj, prezes rządu tymczasowego i Nowosilcow — zadowalniali się sutemi pensyami, bezpłatnem pomieszkaniem i utrzymaniem z funduszów publicznych.[2])

Przybycie Czartoryskiego niewielkie narazie w tem położeniu wprowadziło zmiany. Łańskoj i Nowosilcow pozostali na swoich stanowiskach, usunięty został tylko Dąbczyński, Moskal niebezpieczny, sekretarz rządu tymczasowego. Miejsce jego zajął Kalasanty Szaniawski, człowiek zdolny lecz niepewny, który umiał pozyskać sobie zaufanie księcia Adama, a niebawnie stał się powolnem narzędziem w rękach najzawziętszych wrogów imienia polskiego.

Do wymienionych wyżej trudności dodać trzeba jeszcze jedną, a może i najważniejszą: obecność wielkiego księcia Konstantego w Warszawie i wyjątkowe stanowisko, jakie tam zajmował. Mianowany naczelnym wodzem wojska polskiego, wychowany w despotycznej atmosferze petersburskich i gatczyńskich pałaców, z usposobienia gwałtowny, nieuznający żadnej na świecie powagi oprócz nieograniczonej władzy carskiej, czuł się on wyższym nad tych wszystkich, co — chociażby nawet w imieniu Aleksandra — rząd sprawować mieli.

---

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“ t. II, str. 329 („List Aleksandra“). — Barzykowski: „Historya powstania listopadowego“. Poznań 1883, t. I, str. 67.

[2]) „Pamiętniki Niemcewicza“, t. II, str. 223.

Od najwcześniejszej młodości swojej przywykły do służby wojskowej, upatrywał on w tym zawodzie główny i jedyny cel życia, ale — nie posiadając ani odwagi osobistej, ani wyższego uzdolnienia — ograniczał się, na wzór ojca, do służby kapralskiej, gubił się w drobiazgach i — przy znanych właściwościach swego charakteru — był dręczycielem żołnierzy i oficerów wszelkiego stopnia. Obok tych wad, które Konstantego czyniły postrachem nietylko podwładnych, ale i całej stolicy, zaprzeczyć się nie da, że wielki książe posiadał niejakie zalety: lubił mianowicie Polaków, czuł się szczęśliwym w Warszawie, a nienawidził Petersburga i arystokracyi rosyjskiej, splamionej morderstwem Pawła I., nie czynił nigdy zamachów na narodowość polską, owszem po swojemu gotów był popierać jej rozwój, oczywiście w granicach, zakreślonych przez wolę carską, którą uważał za świętą, a w stosunku do wojska dbał troskliwie o potrzeby materyalne żołnierzy i oficerów i nie szczędził pod tym względem żadnych wydatków, chociaż z natury był bardzo oszczędnym. Jakoż — podług świadectw współczesnych[1]) — miał żołnierz polski w epoce królestwa kongresowego byt dobry, żołd dostateczny, awanse i opiekę nawet po wyjściu ze służby. Korzyści te nie były jednak w stanie równoważyć prześladowań i obelg, jakie go spotykały codziennie na Saskim placu, w koszarach i na ulicy. Przyzwyczajony do subordynacyi rosyjskiej, która zasadzała się na tem, że młodzi oficerkowie na placu parad w Paryżu za najmniejsze uchybienie policzkowali starych weteranów gwardyjskich pułków,[2]) nie mógł wielki książe pojąć tego uczucia honoru, jakie ożywiało bohaterskich legionistów polskich i uczestników napoleońskiej epopei. Każdy objaw tego rodzaju uważał więc za bunt przeciw prawowitej władzy, za wyraz republikańskich nałogów, za jakobinizm w najgorszym gatunku. I jak sam był w gruncie wolnomyślnym, czytywał same liberalne dzienniki francuskie, a nienawidził wstecznych i fanatycznych, tak znowu nie mógł ścierpieć, aby te same zasady wyznawali jego podwładni, którzy mieli tylko jeden obowiązek: bezwzględnego i ślepego posłuszeństwa.

Człowiek tego rodzaju, wyposażony nieokreślonym bliżej zakresem władzy i piastujący godność naczelnego wodza, musiał stać się hamulcem i walną przeszkodą organizatorskiej pracy Czartoryskiego, a co więcej psuć harmonią pomiędzy rządem a narodem i podkopywać zaufanie do cesarza. Spostrzegł to książe Adam natychmiast po przybyciu swojem do Warszawy i nieomieszkał w listach, pisanych do Aleksandra, domagać się usilnie odwołania carewicza i utworzenia ministerstwa wojny. Nastręczała się do tego dogodna sposobność. Po powrocie Napoleona z Elby (przy końcu marca 1815. roku) zaniosło się na nową wojnę, której końca nikt przewidzieć nie mógł. Zwrócono więc wszystkie wojska, powracające z Francyi, na zachód, cała Europa napełniła się szczękiem oręża, armia polska miała wyruszyć także na pokonanie zbuntowanego przeciw Europie mocarza. Skorzystał z tego Czartoryski i podsunął Aleksandrowi myśl mianowania Kościuszki naczelnym wodzem wojska polskiego, a gdy ten projekt odrzucono, radził oddać dowództwo nad gwardyami

[1]) Skarbek „Dzieje Polski“, str. 82.

[2]) „Wspomnienia generała Kołaczkowskiego“, t. II, str. 116.

Konstantemu, na jego miejsce przysłać do Warszawy Wittgensteina i równocześnie ustanowić ministerstwo wojny. Krótka kampania czerwcowa, zakończona klęską Napoleona pod Waterloo, pokrzyżowała te zamiary, a wielki książe — czy uwiadomiony o zabiegach Czartoryskiego, czy też z innej jakiej przyczyny — stawał się z dniem każdym sroższym i gwałtowniejszym. Wbrew obowiązującemu kodeksowi wojskowemu francuskiemu wprowadzał w armii polskiej karę cielesną, spokojnych obywateli kazał chwytać i więzić, generała Krukowieckiego za prywatne zajście z Sokolnickim wsadził na kilka miesięcy do aresztu, generała Kurnatowskiego i jego pułkownika zelżył publicznie podczas parady na Saskim placu, słowem postępował tak, jak gdyby pragnął naród do rozpaczy doprowadzić i dzieło pojednania, przez Aleksandra wdrożone, zniweczyć. Jakoż są poszlaki i wskazówki, że szaleństwa i wyzywające okrucieństwa Konstantego nie były tylko objawami złego humoru carewicza, lub skutkiem chwilowego uniesienia. Cała polityka Aleksandra w sprawie polskiej i jego przychylność dla Polaków wywołała w Petersburgu — mianowicie w kołach wojskowych — wielkie niezadowolenie, podniecane jeszcze bardziej przez tych wszystkich, co w prowincyach polskich widzieli dla siebie pole do karyery i łatwego zbogacenia się. Plany konstytucyjne cara nie były już wtedy tajemnicą. Wiedziano, że nad ułożeniem konstytucyi pracuje Czartoryski, wiedziano przez Nowosilcowa i Łańskoja, że nowa ustawa usunie niekrajowców, a więc i Rosyan, od piastowania urzędów w królestwie i postanowiono temu przeszkodzić.

Podług wiadomości, jakie dochodziły księcia Adama,[1]) utworzył się zatem w Petersburgu związek, mający na celu działać przeciw zamiarom cesarza, a agenci, wysłani z nad Newy do Warszawy, użyli za narzędzie Konstantego. Że Czartoryski w takich warunkach wytrwał na swojem stanowisku i ostatecznie dzieła organizacyi dokonał, to za szczególniejszą trzeba mu policzyć zasługę. Pomimo wielkich trudności i braku ludzi utworzono przy końcu lipca ministerstwo spraw wewnętrznych i skarbu, zorganizowano sądy, a w kilka miesięcy potem wysłano większą część urzędników rosyjskich z powrotem do ich ojczyzny.[2]) Książe Adam spodziewał się, że za tym pierwszym transportem pójdzie wnet drugi, ostatni, pójdą Łańskoj i Nowosilcow, uparcie jeszcze trzymający się zyskownych posad swoich w Warszawie. Tego wymagała rzeczywiście konstytucya. Pracował nad jej układem — jak wspomniano — Czartoryski z gronem poważnych obywateli, pracował pod nadzorem Nowosilcowa, który coraz bardziej za potężnego i wpływowego kontrolora spraw polskich w Warszawie uchodził. Wśliznąwszy się zręcznie w łaskę i zaufanie Aleksandra, umiał ten przebiegły i wszelkich zasad pozbawiony człowiek pozyskać sobie równocześnie także ufność najwybitniejszych patryotów polskich. Czartoryski był tak pewnym Nowosilcowa „jak siebie samego“ i uważał go za jednego z najgorliwszych i najprzychylniejszych „popieraczów Polski“, a Linowski pragnął, aby zamiast księcia Adama towarzyszył do Wiednia cesarzowi Nowosilcow, bo jest on „przejęty potrzebą i koniecznością utworzenia Polski

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 349.

[2]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 346.

i jako Rosyanin byłby nam pożyteczniejszym“.[1]) Niewytłumaczone to i w skutkach swoich niezmiernie zgubne zaślepienie przyczyniło się do utrzymania i utwierdzenia Nowosilcowa w Warszawie i do zapewnienia mu najszkodliwszych wpływów na losy narodu polskiego. Okazało się to już przy układaniu projektu do konstytucyi, gdzie na wniosek Nowosilcowa musiano zmienić w artykule XI. zdanie: „Religia rzymsko-katolicka jest religią stanu“ na: „Religia rzymsko-katolicka ma doznawać szczególnej opieki“ i dawne polskie: „Neminem captivabimus“ na: „Neminem captivare permittemus“. Tak rozpoczynał swoje działanie w Polsce przyszły komisarz carski, zawołany przyjaciel Polaków i wolnomyślnych zasad! Mimoto przyznać trzeba, że konstytucya, zatwierdzona przez Aleksandra dnia 21. grudnia, była — szczególniej w porównaniu z napoleońską konstytucyą księstwa warszawskiego — bardzo liberalna i dla dalszego rozwoju narodowości polskiej wielce korzystna. Królestwo miało być wprawdzie na zawsze połączone z Rosyą, ale podstawę tego związku wieczystego miała tworzyć właśnie owa „karta“ konstytucyjna (artykuł II.), którą nadał Polsce Aleksander. Zawierała ona zaś postanowienia pod względem narodowym niezmiernie ważne. Zapewniała wyłączne używanie języka polskiego w administracyi, sądownictwie i w wojsku (artykuł XXVIII.), urzędy wszelkiego rodzaju przyznawała tylko Polakom, dawała wolność prasy (artykuł XVI.), ubezpieczała wolność osobistą, zabraniała deportacyi na Sybir, stawiała zasadę odpowiedzialności ministrów i wszystkie te prawa powierzała opiece reprezentacyi narodowej, złożonej z dwóch izb, wyposażonych rozleglejszemi atrybucyami, aniżeli za księstwa warszawskiego. Nie była to oczywiście konstytucya w rodzaju angielskiej, nie była to wolność szeroka dawnych sejmów z czasu Rzeczypospolitej, ale w tych warunkach, w jakich wtedy znajdowały się wszystkie ludy europejskie, można powiedzieć śmiało, że ustawa konstytucyjna królestwa polskiego należała względnie do najlepszych i najwolnomyślniejszych.

Niebezpieczeństwo nie leżało też w skąpym wymiarze swobód, udzielonych narodowi, lecz w dziwnym stosunku, wiążącym małe konstytucyjne królestwo z olbrzymiem, despotycznie rządzonem państwem rosyjskiem. Ktoś porównał Polskę kongresową z kruchem, glinianem naczyniem, położonem obok wielkiego żelaznego dzbana. Porównanie jest zasadniczo trafne. Carstwo bowiem przewyższało „Kongresówkę“ nietylko ogromem swoich posiadłości, ale i siłą organizacyi wewnętrznej. Społeczeństwo rosyjskie, stojące wtedy na bardzo niskim stopniu cywilizacyi, posłuszne skinieniu woli carskiej, było rzeczywiście masą żelazną, gotową roztrącić każdej chwili słaby utwór konstytucyjny, wzniesiony nad Wisłą przez uczuciową — jak mówiono — politykę Aleksandra. Pracowało w tym kierunku wytrwale stronnictwo wielkorosyjskie, dyplomacya i koła wojskowe w Petersburgu, które zazdrościły Polakom względów carskich i swobód konstytucyjnych, a w odrębności królestwa widziały niebezpieczeństwo dalszych ustępstw, przyłączenie Litwy i ziem zabranych, odbudowanie Polski w dawnych granicach i tem samem zniweczenie dzieła, przez Katarzynę II. wzniesionego. Nie brakło też zabiegów i usiłowań,

[1]) Kajetan Koźmian: „Pamiętniki“, t. II, str. 433.

aby liberalne zamiary Aleksandra pokrzyżować. Znany awanturnik hr. Pozzo di Borgo, w wielu sprawach dyplomatycznych poufnik carski, zapytany o zdanie, sprzeciwiał się stanowczo utworzeniu konstytucyjnego królestwa polskiego. Wszelkie usiłowania Polaków od roku 1793. — tak mniemał on — zmierzały do połączenia wszystkich ziomków w jedną całość, którejby użyć można do wybicia się z podobnego panowania. „Ta dążność — pisał dalej — niepowinna dziwić nikogo, bo jest zgodną z naturą ludzi i rzeczy, ale wynika stąd, że skoro tylko będzie istnieć w Polsce sejm, reprezentacya i wojsko polskie, będzie to rozwinięty sztandar, pod którym się wszyscy Polacy zbierać mają". Uwagi przebiegłego Korsykanina nie zdołały wprawdzie przekonać Aleksandra, ale mogły dostarczyć argumentów Wielkorusom w chwili sposobnej do zniszczenia konstytucyjnej Polski, zagrażającej potędze caratu. W kilka lat potem (w roku 1819.) zabrał głos w tej sprawie urzędowy historyograf rosyjski Karamzyn i w liście, wystosowanym do imperatora, zastrzegł się stanowczo przeciw przyłączeniu Litwy i ziem zabranych do królestwa kongresowego. „Niech królestwo — tak wyrażał się pomiędzy innemi — istnieje i cieszy się pomyślnością tak jak jest, ale jednocześnie niech istnieje i cieszy się pomyślnością Rosya taka, jaką zostawiła caryca Katarzyna". Car niema prawa odłączenia gubernij polskich od Rosyi, bo były jej własnością, zanim wstąpił na tron. „Miecz nasz podbił Polskę, to nasze prawo".[1])

Zatwierdzenie konstytucyi. — Namiestnik. — Rząd nowy. — Stan umysłów. — Pierwszy sejm w roku 1818. Wśród takich warunków, ukrytych jednak przed ogółem narodu, rozpoczynało trudny swój żywot królestwo kongresowe. Kraj, skołatany tylu klęskami, pragnący pokoju, przyjmował z zadowoleniem nowy stan rzeczy. Wjazd uroczysty Aleksandra do Warszawy w dniu 12. listopada zamienił się w wspaniałą dla niego owacyą. Widok króla, ubranego w mundur polski, przepasanego wstęgą Orła Białego, napełniał serca radością i zachwytem, wywoływał szczere objawy sympatyi i zadowolenia. Imperator, gładki i uprzejmy w obejściu, czarował wszystkich serdecznością i prostotą, ugaszczał u siebie senatorów i generałów, co drugi dzień jadał obiady u osób prywatnych, gdzie — przy powszechnem zubożeniu — te same spotykał bronzy, porcelany i kryształy, a w poufnych rozmowach nie szczędził słów słodkich i daleko sięgających obietnic. Na balu u gubernatora Łańskoja rzekł: „Wszystko podoba mi się tu. Kobiety są piękne i miłe; mężczyźni grzeczni i weseli bez poufałości". Niemcewiczowi, wspominając o więzieniu petersburskiem, powiedział: „Zapomnisz pan o wszystkiem, gdy ujrzysz ojczyznę swoją szczęśliwą"; księżnej Wirtemberskiej, skarżącej się na gwałty Konstantego, odparł szczerze: „Cóż mam zrobić? Odwołać go do Petersburga, żeby bardziej jeszcze was nienawidził, żeby wam wszystko psuł? Starajcie się ugłaskać carewicza i moich adjutantów, mających wpływ w wojsku, słowem wszystkich Moskali. Chcę was wszystkich połączyć razem: Litwę, Podole i Ukrainę, ale trzeba cierpliwości i ufności z waszej strony, z mojej zręcz-

[1]) List ten wydrukowały świeżo (w roku 1897.) „Moskow. Wiedom.".

ności"; po francusku zaś dodał: „Il faut aux Russes escamoter la Pologne" („trzeba Moskalom odkraść Polskę").[1])

Wyrażenia tego rodzaju, powtarzane z ust do ust, budziły w sercach patryotów najśmielsze marzenia i prawdziwy zachwyt dla „wskrzesiciela" Polski. Zatwierdzenie konstytucyi utrwaliło wszystkich w przekonaniu o szczerości uczuć Aleksandra; oczekiwano teraz nominacyi namiestnika i spodziewano się, że godność ta przypadnie Czartoryskiemu. Tymczasem imperator zawiódł poraz pierwszy oczekiwania i wezwawszy przed samym odjazdem do zamku generała Zajączka, mianował go namiestnikiem. Krok tak niespodziewany zadziwił i zaniepokoił umysły. Pochodził wprawdzie Zajączek z szlacheckiej rodziny, był towarzyszem Kościuszki w wojnie o niepodległość, wyznawał zasady demokratyczne, stracił nogę w bitwie pod Berezyną, ale — wszedłszy raz w służbę francuską, nie polską i nienawidząc księcia Józefa Poniatowskiego — zapomniał o swoich obowiązkach względem ojczyzny i na łasce Napoleona wszystkie swoje zasadzał nadzieje. Można było przewidzieć, że teraz, wolą Aleksandra do tak wysokiej wyniesiony godności, wiekiem i ranami osłabiony, stanie on się powolnem narzędziem imperatora, uniżonym sługą jego brata Konstantego, w razie potrzeby nawet sługą reakcyi, tak, jak we Francyi napoleońscy generałowie Soult i Clarke. Jakoż przypuszczenia te spełniły się w całości. Żołnierz, przywykły do subordynacyi, obsypany łaskami cesarskiemi, wykonywał Zajączek — albo, jak go nazywano powszechnie, książe-namiestnik — wszelkie rozkazy Aleksandra i carewicza, znosił bez szemrania osobiste upokorzenia, patrzył obojętnie na pogwałcenie konstytucyi, brał z lekkiem sercem na siebie odpowiedzialność za czyny, niezgodne z obowiązującemi ustawami i wprost bezprawne, a na zarzuty, jakie mu z tego powodu czyniono, odpowiadał: „Nie Polsce, lecz cesarzowi Aleksandrowi wszystko winienem, czem jestem, to z jego łaski, przeto przedewszystkiem wiernym jemu będę i co on każe, wszystko spełnię". Człowiek z podobnemi zasadami odpowiadał najlepiej widokom Aleksandra tak ze względu na Konstantego, jak i na stosunek imperatora do konstytucyjnej Polski, a że go zalecał równocześnie i Nowosilcow, więc został namiestnikiem Zajączek. Wybór najnieszczęśliwszy pociągnął też za sobą fatalne dla królestwa skutki, w chwili bowiem, gdy od taktu, tęgości charakteru i biegłości politycznej namiestnika zależały losy Polski, gdy w położeniu — jak wspomnieliśmy — niezmiernie trudnem trzeba było wyjątkowych zdolności, aby byt królestwa zachować, godności narodowej nie ubliżyć i kraju na nowe katastrofy nie narazić, przechodziła władza administracyjna w ręce weterana, pragnącego spokoju, stawała się udziałem człowieka, wychowanego w obozach, nie mającego doświadczenia w sprawach politycznych, a co najwięcej może znaczyło, Polaka z imienia raczej niż z przekonania. Otoczony takiemi kreaturami, jak generał Kossecki, Nowosilcow i Okółow, ulegający ślepo woli carewicza, musiał Zajączek zwichnąć w zarodzie najlepsze zamiary ministrów, na których właściwie cały ciężar administracyi spoczywał i którzy przed sejmem byli za nią odpowiedzialni.

[1]) „Pamiętniki Niemcewicza", t. II, str. 260.

Narazie nie zdawano sobie z tego sprawy, ogół narodu zostawał pod wrażeniem chwili, cieszył się pokojem i ustaleniem bytu królestwa, wielbił Aleksandra jako wspaniałomyślnego monarchę i w bujnej wyobraźni swojej widział Polskę zjednoczoną pod berłem „anioła pokoju“, wielką i potężną. Uczucia te podzielali wszyscy, wielcy i mali: Kościuszko przysłał 1000 złotych polskich na wzniesienie bramy tryumfalnej dla króla polskiego, Staszyc, którego patrotyzmu nikt podejrzywać nie mógł, układał nowy system polityczny, polegający na złączeniu wszystkich Słowian pod berłem rosyjskiem. Zasady te ogłosił on po upadku Napoleona w piśmie „O równowadze europejskiej“, powtarzał je zaś teraz w „Ostatnich przestrogach dla Polski“. Warszawa — zdaniem jego — była przeznaczona na główną stolicę „słowiańskiego rodu, zrzeszonego pod jednem potężnem berłem“.[1]) Równocześnie a niezawiśle od Staszyca rozpoczynał pracę swoją nad badaniem starożytności słowiańskich Zoryan Dołęga Chodakowski (Adam Czarnocki), z adwokata żołnierz, z żołnierza archeolog, i poświęcał pierwszą swoją rozprawę („O słowańszczyźnie“) „miłemu na zamku warszawskim gościowi, najstarszemu staroście słowiańskiemu, najsilniejszemu carowi ruskiemu, królowi lackiemu, szczęśliwej i jasnej zorzy słowiańskiej“.[2])

Wezbrana fala uczuć słowiańskich, chwilowem uniesieniem wywołanych, była jednak przemijającem zjawiskiem i nie znalazła gruntu w narodzie, pragnącym przedewszystkiem odzyskania bytu politycznego. Porwała ona z początku umysły, skłonne do marzycielstwa lub do historyozoficznych rozumowań, ale nie mogła poruszyć ogółu, który oceniał rzeczy ze strony praktycznej i w braterstwo słowiańskie tak długo nie wierzył, jak długo ręka słowiańska go smagała i uciskała. A właśnie była to chwila, gdzie carewicz Konstanty zdawał się wszelkich dokładać starań, aby dzieło pojednania, przez Aleksandra szczęśliwie rozpoczęte, jeżeli nie zupełnie zniweczyć, to przynajmniej w wysokim stopniu utrudnić. Zaczęły się mianowicie owe prześladowania oficerów i katowanie żołnierzy na wzór moskiewski, doprowadzające ludzi wykształconych i wysoko honor swój ceniących do rozpaczy i samobójstwa. „Nie było parady ani mustry — tak pisze naoczny świadek tych wypadków[3]) — na którychby (wielki książe) słowami pogardliwemi nie zelżył którego oficera w szeregach, nie obraził narodowości naszej“. Starych żołnierzy, weteranów napoleońskich, okładano bez litości pałkami, zasłużonych podoficerów degradowano, a nawet oficerów sztabowych posyłano za najmniejsze uchybienie na odwach.

Jedni więc podawali się do dymisyi, inni — nie mogąc przenieść upokorzenia — odbierali sobie życie. Tak skończył Wilczek (kapitan gwardyi), Biesiekierski (porucznik z kwatermistrzostwa) i Królikowski (kapitan inżynierów), wszystko ludzie młodzi, zdolni i w wojnach napoleońskich odznaczeni; Niemcewicz naliczył w tym czasie 49 samobójstw. Zdarzały się wypadki, że

[1]) Kajetan Koźmian: „Pamiętniki“, t. II, str. 236.

[2]) Franciszek Rawita Gawroński: „Zoryan Dołęga Chodakowski, jego życie i praca“. Lwów 1898. Str. 123.

[3]) „Wspomnienia generała Kołaczkowskiego“, t. II, str. 148.

oficerowie, ostro zganieni na Saskim placu i posłani na odwach, przebijali się w przytomności wielkiego księcia, podoficerowie i żołnierze rzucali się z mostu w nurty Wisły. Najtragiczniejszym może był zgon Wilczka, pełnego nadziei młodzieńca, który, w liście pisanym do siostry, w słowach rozrzewniających do głębi przedstawił powody, skłaniające go do tak strasznego postanowienia. „Widziałem — pisał — moich towarzyszy broni i współobywateli zhańbionych, sławę moich przodków zdeptaną, prawa, nadane przez najlepszego z monarchów, codziennie gwałcone, biedny kraj mój wydany na pastwę jednego człowieka. Ileż razy omal nie stałem się mordercą, chcąc się poświęcić i uwolnić nas od haniebnych kajdan, które na nas wbrew woli najlepszego monarchy włożono“.[1])

Wypadki te, pełne tragicznej grozy, poruszyły żywo umysły, wzbudziły współczucie dla ofiar nieszczęśliwych, a nienawiść i pogardę dla carewicza. On sam przerażony i wyrzutami sumienia trapiony, wpadał z jednej ostateczności w drugą: zelżonych i skrzywdzonych niesłusznie przepraszał, jednemu z oficerów oświadczył, że gotów mu nawet honorowe dać zadosyć uczynienie,[2]) ale po tych wybuchach żalu i skruchy powracał znowu do swoich dzikich i barbarzyńskich nałogów. Wpływ jego na sprawy publiczne stawał się przytem codziennie silniejszym i — wobec bezwzględnej uległości Zajączka — dla konstytucyi i kraju wielce niebezpiecznym. Samowładny na stanowisku naczelnego wodza, dążył wielki książe także do opanowania całej administracyi, nietylko wojskowej, ale i cywilnej. Pierwszym skutkiem tej uzurpacyi była dymisya Wielhorskiego, który — nie chcąc uledz woli Konstantego — złożył urząd ministra wojny. Jego miejsce zajął „odkomenderowany“ ze sztabu głównego generał Hauke.

W Petersburgu wiedziano dobrze o nadużyciach i gwałtach carewicza. Czartoryski, usunięty prawie zupełnie od udziału w rządzie i zajmujący tylko honorowe miejsce w radzie administracyjnej królestwa, nieomieszkał listownie objaśniać Aleksandra o wszystkiem, co się w Warszawie działo. Z rzadką jak na podobne stosunki odwagą i wytrwałością opisywał on imperatorowi okrucieństwa brata, przedstawiał szkodliwe skutki, jakie stąd wyniknąć mogą i — oceniając trafnie uległy charakter namiestnika — domagał się dla niego ścisłych instrukcyj względem przestrzegania ustaw konstytucyjnych. Postępowanie Konstantego było — zdaniem księcia — wprost przeciwne zamiarom cesarza; ono budziło w kraju niezadowolenie i opozycyą. Jako jedyny środek uspokojenia umysłów uważał też odwołanie carewicza z Warszawy.[3]) Ale równocześnie z temi listami księcia Adama szły do Petersburga także raporta Zajączka i relacye Nowosilcowa, które rzeczy w innem przedstawiały świetle i zacierały szybko wrażenia przyjacielskich i trafnych rad Czartoryskiego, do czego zresztą przyczyniała się skrzętnie kamarylla dworska, wrogo usposobiona dla Polaków i konstytucyjnego królestwa polskiego. Więc chociaż czasami — jak w sprawie organizacyi komisyi wojskowej — imperator hamował

[1]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“ (List), t. II, str. 361.
[2]) „Pamiętniki Niemcewicza“, t. II, str. 283.
[3]) „Memoires du prince Adam Czartoryski“, t. II, str. 358.

despotyczne zapędy brata, to wogóle niekrępował w niczem jego wybryków i rosnącej z dniem każdym samowoli. Naturalnym skutkiem tych stosunków było, że kredyt Czartoryskiego upadał coraz bardziej, a rosły natomiast wpływy Nowosilcowa i że w kołach rosyjskich, tak w Petersburgu jak i w Warszawie, zaczęto uważać księcia Adama za główne źródło niezadowolenia i powstającej w kraju opozycyi.

Narazie były to jednak dopiero zwiastuny dalekiej burzy. W kraju panował spokój, stan ekonomiczny podnosił się, dobrobyt wzrastał widocznie, ustalał się ład i porządek, a wszystko to było zasługą rządu, złożonego z obywateli, zarówno doświadczonych, jak i znanych z patryotyzmu. Naczelną władzę sprawowała właściwie rada ministrów, radą administracyjną zwana. Skład jej był dość szczęśliwym. Tekę wyznań i oświaty piastował Stanisław Potocki, ministrem sprawiedliwości był Wawrzecki, wojny Wielhorski, spraw wewnętrznych Mostowski, skarbu Matuszewicz, sekretarzem stanu Ignacy Sobolewski. Nie mieli oni wprawdzie potrzebnej swobody działania; radę administracyjną ograniczał namiestnik, ślepy wykonawca rozkazów Konstantego, krępowała obecność komisarza carskiego Nowosilcowa, wstrzymywał w pożytecznych dla kraju czynnościach niepomyślny stan skarbu, którego szczupłe dochody pochłaniał ogromny budżet wojskowy. Mimoto nie można zaprzeczyć, że w tych skromnych i ograniczonych warunkach zrobiono jednak wiele, szczególniej dla podniesienia oświaty i dobrobytu krajowego. Księstwo warszawskie, istniejące zaledwie przez pięć lat i nękane nieustającemi prawie wojnami, nie mogło wiele łożyć na cele wychowania publicznego, ale nie zaniedbywało obowiązków swoich w tym względzie. Zostawiło też ono oprócz szkół wyższych, założonych wtedy w Warszawie, i średnich w województwach, tworzących następnie królestwo kongresowe, szkół elementarnych wiejskich i miejskich 734.[1]) Na kraj liczący 2,793.000 ludności nie było to zapewne wiele, ale daną była podstawa do dalszej pracy. Podjął ją Potocki z zapałem i znajomością rzeczy, w zakresie wychowania wyższego i elementarnego. Potrzebom pierwszego odpowiadało założenie uniwersytetu w Warszawie, aleksandryjskim zwanego, w roku 1817. Otwarto go dnia 1. marca bez wszelkich wprawdzie uroczystości, ale dołożono wszelkich starań, aby instytucyą tak ważną postawić na wysokości zadania. Zajęła się tem rada uniwersytecka, z pięciu członków złożona, pod przewodnictwem Staszyca. Powstały potrzebne gabinety, muzea i laboratorya, nabyto zbiory zoologiczne i botaniczne, zakupiono zbiory sztuk pięknych po Stanisławie Auguście, w tem 80.000 miedziorytów i rysunków, z biblioteki dawnego lyceum warszawskiego utworzono księgozbiór, liczący 50.000 tomów i umieszczono go w przeznaczonym na ten cel i odświeżonym pałacu kaźmierzowskim.

W równej mierze dźwigała się także nauka elementarna. Liczba szkółek początkowych wzrosła wciągu dwóch lat do 868, ilość uczniów podniosła się z 23.000 na 27.985. Obok tego istniały szkoły wzajemnego nauczania głośnym

[1]) Daty podług „Raportu o czynnościach dwuletnich rządu“. Raport ten był czytany na drugiem posiedzeniu sejmu dnia 28. marca 1818. roku i ogłoszony drukiem w spółczesnych dziennikach.

wtedy sposobem Lankastra. Dla ułatwienia nauki rozsyłał rząd po parafiach bezpłatnie książki elementarne, urządził miejscowe dozory szkolne, wezwał duchowieństwo do pracy nad oświatą ludu, założył szkołę niedzielną dla rzemieślników (liczyła natychmiast 800 uczniów), słowem zrobił w krótkim czasie wszystko, co doświadczenie i znajomość rzeczy dla podniesienia oświaty ludowej uczynić zalecała, ale — pomimo gorliwej pomocy ze strony duchowieństwa — wyznać musiał publicznie, „iż w całym składzie szkół, zarządzaniu komisyi podległych, zaprowadzenie szkółek elementarnych najpotrzebniejsze i od wszystkich żądane, z wielu miejscowych okoliczności opiera się usiłowaniom komisyi i pomyślność ludu wiejskiego póty w odległym tylko widoku wzrok łudzić będzie, póki go właściciele nie przybliżą“.

Jeżeli szybki rozwój szkół ludowych napotykał — jak z tego wnosić można — na pewne przeszkody, których źródłem była karygodna obojętność lub zastarzałe przesądy szlacheckie, to zakłady średnie znajdowały się w pomyślnym stanie. „Każde województwo — czytamy w raporcie — opatrzone jest dostateczną szkół liczbą: wojewódzkich jest w kraju 10, wydziałowych 17, podwydziałowych 16. Przy każdej szkole wojewódzkiej, wyjąwszy podlaskie i krakowskie, są według przemożności biblioteki i gabinety fizyczne“. Skutkiem tego było też, że liczba uczniów w zakładach wyższych, wynosząca w 1816. roku 5811, podniosła się w roku następnym do 7381. Niemałą także podporą oświaty były szkoły zawodowe: szkoła miernicza, szkoła budownictwa i sztuk pięknych, przyłączone do uniwersytetu, jakoteż szkoła górnicza w Kielcach, osadzona biegłymi nauczycielami, sprowadzonymi z zagranicy, kształcąca młodzież w geognozyi, mineralogii, hutnictwie, budownictwie i leśnictwie. Dla uzyskania dzielnych sił naukowych wysyłano uczniów celujących na koszt rządu do zagranicznych akademij: do Petersburga, Paryża, do Niemiec i do słynnego natenczas instytutu agronomicznego w Hoffwylu. Pomiędzy tymi stypendystami znajdowało się dwóch duchownych, kształcących się w agronomii, aby „pojąwszy naukę rolniczą i przypatrzywszy się zagranicą dobrze urządzonym szkołom elementarnym wiejskim, zebranych wiadomości na pożytek ludu rolniczego użyć mogli“.

Wobec agitacyi, jaką rozwinięto niebawnie przeciw Potockiemu, zarzucając mu brak wiary i wrogie dla Kościoła usposobienie, należy podnieść, że — jako minister wyznań — rozwinął on działalność pożyteczną zarówno dla duchowieństwa, jak i dla kraju, a wolną od uprzedzeń i rozumną. Była to chwila, gdzie zasada tolerancyi religijnej, mająca źródło swoje w całym kierunku duchowym społeczeństwa i w usposobieniu osobistem Aleksandra, powszechne w państwie rosyjskiem uzyskała uznanie. Cesarz, skłonny do mistycyzmu i religijny z przekonania, pozwolił na zakładanie towarzystw biblijnych, sam nawet w podróży rozczytywał się pilnie w Piśmie św., z duchownymi rozmawiał chętnie o kwestyach filozoficzno-religijnych, a pastorowi Eilertowi w Berlinie oświadczył wprost: „Od tej dopiero chwili, gdy zapanował dla mnie Chrystyanizm nad wszystkiemi sprawami świata, a wiara Zbawiciela ugruntowała się w duszy mojej, dzięki niech będą Bogu, pokój zapanował we mnie“. Zasady, przez Aleksandra wyznawane, nadawały też kierunek całej

polityce rządowej w kwestyach religijnych. Nie sprzeciwiał im się Kościół. Papież Pius VII., powróciwszy w roku 1814. do Rzymu, wystosował do metropolity Siestrzencewicza list, w którym upominał katolików rosyjskich, aby najdostojniejszemu cesarzowi Rosyi, którego siłą Kościoła tyran, ciemię-

Zamek królewski w Warszawie.

życiel Europy na głowę jest startym, byli posłusznymi.[1]) A i obecnie także, pomimo że rząd rosyjski po staremu zabraniał ogłaszania bull papieskich bez t. zw. placet, Stolica apostolska zgodziła się na nową organizacyę kościoła katolickiego w królestwie. Powstały wskutek tego dwa nowe biskupstwa (san-

[1]) Ks. Szantyr: „Zbiór wiadomości“, str. 297.

domierskie i podlaskie) i metropolia warszawska, a ustało zwierzchnictwo arcybiskupa-prymasa gnieźnieńskiego. Łatwo zrozumieć więc, że w tych warunkach i stanowisko polskiego ministra wyznań było z góry określone i że Potocki tak z mocy własnego przekonania, jak i znanej dobrze intencyi króla, stosował w swoim zakresie władzy zasady zupełnej tolerancyi, która jednak w niczem nie przyniosła uszczerbku ani Kościołowi, ani wierze katolickiej. Usiłowania jego zwrócone były szczególniej do uporządkowania spraw duchownych. Zamieniono więc dziesięciny wytyczne, źródło nieustających sporów pomiędzy stanem świeckim i duchownym, na daniny w ziarnie lub pieniądzach „według prawideł bezstronnej sprawiedliwości“ i bez zmniejszenia funduszu religijnego; rozpoczęto trudne dzieło spisania i ustanowienia masy funduszów religijnych, przez komisyą z duchownych i świeckich członków złożoną; postanowiono ogłaszać konkursa na opróżnione probostwa i egzaminować przy tem z nauk kandydatów; urządzono seminarya „pod bliższym dozorem biskupów“, rozszerzono zakres nauczania w tych zakładach, 16.000 złotych polskich przeznaczono na wsparcie lub zupełne utrzymanie kleryków, uczęszczających na wydział teologiczny w uniwersytecie warszawskim i wzbroniono wstępować do nowicyatów zakonnych osobom, nie mającym lat 24. Śluby klasztorne można było składać dopiero po ukończonym roku 30-tym życia. Bardzo troskliwie zajął się rząd podźwignięciem z upadku gmachów kościelnych. Przeznaczono na ten cel z dochodów dóbr narodowych 100.000 złotych polskich i w roku 1816. rozpoczęto reparacye 42, a w następnym 66 kościołów. Dochody duchowieństwa katolickiego wynosiły ogółem 5.364.317 złotych polskich, sumę, jak na owe czasy i rozległość państwa, niewątpliwie bardzo znaczną. Pieniądze te jednak obracano głównie na uposażenie duchowieństwa wyższego. Biskupi pobierali po 60.000 złotych polskich pensyi, arcybiskup 120.000, podczas gdy proboszczowie — licho płatni — cierpieli niedostatek. Z 1755 probostw posiadało zaledwie 276 dochody roczne po 1000 złotych polskich, a między 287 probostwami unickiemi nie było ani jednego, któreby z tem uposażeniem nawet porównać się mogło[1].) Z tego powodu dla pomnożenia funduszów zniesiono za zgodą Stolicy apostolskiej w roku 1819. trzy opactwa, 11 kollegiat i 45 klasztorów, pomiędzy temi starożytny zakon Bożogrobców w Miechowie. Dekret kassacyjny podpisał pierwszy arcybiskup warszawski Franciszek Malczewski.

Łatwiejszą o wiele była organizacya innych wyznań, prawosławnego, które natenczas zaledwie kilka parafij w królestwie posiadało i ewangelicko-augsburskiego. Dla duchownych ostatniego urządzono seminaryum, „aby kraj duchownych cudzoziemców nie potrzebował“. Najwięcej kłopotów miał rząd z kahałami żydowskiemi. Sporządzono wprawdzie wykazy funduszów kahalnych, wykryto mnóstwo nadużyć względem nakładania podatków na najuboższe klasy żydowskie w celach rytualnych, ale do ostatecznego ukończenia organizacyi było jeszcze daleko.

---

[1]) Maurycy Mochnacki: „Powstanie narodu polskiego w roku 1830. i 1831. Berlin, Poznań 1863. T. I, str. 161.

Gdy tak wychowanie publiczne na lepsze wchodziło tory i pomyślnie zaczęło się rozwijać, dźwigał się kraj także ekonomicznie dzięki usilnym staraniom Mostowskiego, Matuszewicza i Staszyca. Stan początkowy królestwa był pod tym względem rzeczywiście opłakanym. Z odpadnięciem Wielkopolski do Prus utraciła Polska kongresowa prawie wszystkie zakłady przemysłowe, jedynem źródłem bogactwa i dochodów krajowych było rolnictwo, niedbale i nieumiejętnie prowadzone. Usiłowania rządu zmierzały zatem z jednej strony do ulepszenia uprawy roli, z drugiej zaś do ożywienia, a raczej stworzenia przemysłu krajowego. W pierwszym kierunku działano zachętą i pomocą materyalną; wyznaczono nagrody dla wzorowych gospodarzy, Aleksander przysłał stado kałmogórskiego bydła dla poprawienia zdrobniałej rasy krajowej, w Janowie (na Podlasiu) urządzono wzorową stadninę rządową, wreszcie dla wykształcenia biegłych rolników powstał zakład agronomiczny w Marymoncie. Aby włościan w części przynajmniej ochronić od wyzysku, zakazano surowo Żydom szynkarzom dawania na kredyt trunków i podwyższono o połowę opłatę od konsensów na szynki. Przemiana liwerunków dla wojska na pieniądze i ulgi przy wymaganiu podwód i t. zw. stójek na etapach zamknęły szczupły zresztą zakres ulepszeń, do podniesienia stanu włościańskiego zmierzających.

Skuteczniejszych środków użyto dla rozkrzewienia przemysłu. Urządzenie zgromadzeń rękodzielników i profesyonistów, wprowadzone ustawą z dnia 31. grudnia 1816. roku, uwolnienie od spisu wojskowego przybyłych z zagranicy fabrykantów i rzemieślników i niektórych krajowych, zniżenie wreszcie cła od produktów surowych, wchodzących do kraju, dały pierwszy popęd do rozbudzenia przemysłu. Nie poprzestając na tem, starał się rząd przez pomoc pieniężną i zachętę ośmielić i utrwalić słabe początki rękodzieł krajowych. Skutek odpowiedział oczekiwaniom; zwolna zaczęli przybywać rzemieślnicy i przemysłowcy przeważnie z Niemiec,[1]) powstało siedem fabryk sukna (ważniejsze w Skierniewicach, Kaliszu, Zegrzu, Koninie), w Warszawie fabryka materyj wełnianych, słomianych kapeluszów, kortów, pończoch, odlewarnia czcionek, sprowadzanych dotąd z zagranicy, w Wyszogrodzie garbarnia i fabryka żagli, w końcu fabryka lamp, do której prowadzenia na koszt rządowy wynajęto uzdolnionego rzemieślnika z Paryża. Z przemysłem zostawał w ścisłym związku handel. Komisya rządowa otoczyła go troskliwą także opieką. Zaprowadzono izby handlowe i rzemieślnicze, urządzono giełdę, ustanowiono jednostajne wagi i miary, zreformowano konfraternie kupieckie. Jaki skutek miały te zmiany na ożywienie stosunków handlowych, świadczą najwymowniej wolne jarmarki, urządzone w tym czasie w Warszawie; pierwszy przyniósł dochodu (z cła połowicznego tylko) 145.500 złotych polskich, drugi 650.000 złotych polskich, na trzeci z kolei jarmark były już z góry wszystkie sklepy pozamawiane, chociaż na Marywillu wybudowano składy towarowe za 500.000 złotych polskich.

Pomyślne te okoliczności zwróciły uwagę rządu na ulepszenie zaniedbanych dotąd środków komunikacyjnych, lądowych i wodnych. Praca ta wielka

[1]) Do roku 1818. przybyło 785 rodzin, czyli 3335 głów.

i kosztowna wymagała systematycznego działania, a przedewszystkiem ludzi fachowo uzdolnionych, których kraj wtedy nie posiadał. Sprowadzono więc zdatnych inżynierów z zagranicy, utworzono radę ogólną budowniczą, fundusze pieniężne uzyskano w części z podwyższonego konsensowego od szynków żydowskich, resztę zastąpiono szarwarkami i — po wyznaczeniu traktów, dróg i mostów — zaczęto robotę sekcyami. W ten sposób powstał gościniec mokotowski, trakt poznański, petersburski i krakowski, wzniosły się mosty na Pilicy i Narwi, kosztowne groble pod Sieradzem, Konarami i Łęczycą. Równolegle z budową dróg postępowały roboty wodne. Obwarowanie brzegów Wisły tamami kamiennemi dla powstrzymywania wylewów, oczyszczenie koryta Pilicy na przestrzeni ośmiomilowej, zniszczenie jazów na Nidzie i uregulowanie jej brzegów, to były owoce kilkuletniej staranności rządu i znacznych pieniężnych nakładów.

Zupełnie odrębnem i dla kraju wielce pożytecznem przedsiębiorstwem było górnictwo. Przeznaczono na ten cel z dochodu dóbr rządowych rocznie 285.359 złotych polskich i oddano je do rozporządzania osobnej dyrekcyi górniczej. Za jej pilnem i umiejętnem staraniem powstały z gruzów kuźnie w Suchedniowie i Samsonowie; wzniosły się nowe wielkie piece, założono fabrykę kos i sierpów. W dozorstwie olkusko-siewierskiem odkryto nową kopalnię galmanu, w Dąbrowie obok huty cynku i fabryki ałunu rozpoczęto dwie wielkie kopalnie węgla, które w pierwszym roku już dały 108.000 korcy twardego i 59.000 miałkiego węgla. Huta miedziana w Białogórach przyniosła narazie 107 centnarów miedzi i 23 grzywny czystego srebra, produkcyą w roku 1818. obliczano w przybliżeniu na 600 centnarów miedzi i 500 grzywien srebra.

W rozległym programie ekonomicznym, jaki sobie widocznie ówczesne ministerstwo zakreśliło, niezapomniano i o miastach, oddanych pod zwierzchność komisyi rządowej spraw wewnętrznych i policyi. Pierwszym warunkiem pomyślnego ich rozwoju było uporządkowanie i pomnożenie dochodów. Obrócono na ten cel podniesioną opłatę od piwa zagranicznego i od szynków, a zarazem wyznaczono ze skarbu publicznego 200.000 złotych polskich na zapomogi dla budujących domy murowane. Kalisz pomiędzy innemi otrzymał z tego źródła 90.000 złotych polskich. A że jedną z głównych przyczyn upadku miast, zwłaszcza w ostatnich latach wojennych, był kwaterunek wojskowy, więc rząd przystąpił do uregulowania tych ciężarów w drodze administracyjnej i do budowy koszar, na co n. p. w Łowiczu przeznaczono 355.799 złotych polskich. Dalszym, a równie ważnym krokiem do poprawy stosunków było zreorganizowanie istniejącego już Towarzystwa ubezpieczeń od ognia, ułożenie nowego katastru domów miejskich i wiejskich i ustanowienie na tej podstawie odpowiednich składek. Równocześnie zabroniono po miastach stawiać budynki drewniane.

Najwięcej troskliwości ze strony rządu doznała w tym czasie Warszawa. Otrzymała ona nietylko nowy znaczny dochód z opłaty od szynków i z kopytkowego, jako zapas na brukowanie i oświecenie miasta, ale także osobno w roku 1816. sumę 300.000 złotych polskich sposobem zaliczki na zapomogę

dla chcących się budować na głównych ulicach, mającą tworzyć wieczysty fundusz miejski na ten cel. Tak hojne wsparcie ułatwiło przyozdobienie i uporządkowanie stolicy. Powstały wielkie wjazdy (mokotowski, wolski i jerozolimski), zniesiono odrażające drewniane budy żydowskie na Pociejowie i wystawiono natomiast ogromny dom jarmarczny; ogród Saski oczyszczono z niekształtnych budowli i zamknięto ozdobną kratą, w krajowych kuźniach laną; zburzono domy, do zamku królewskiego przytykające, oświecono ulice miasta nowemi lampami, sprowadzonemi z Francyi i wybrukowano 19 ulic, przestrzeń, zajmującą 20.000 sążni kwadratowych.

Takie były w ogólnych zarysach owoce i skutki trzechletniej gospodarki polskiej. Przedstawiliśmy je obszerniej może, aniżeli zakres pracy naszej pozwalał, dlatego, aby wykazać, co zdziałał rząd, z ludzi zdolnych i kraj szczerze miłujących złożony, przy pewnej życzliwości panującego. „Ten kawałek ziemi nad Wisłą“ — jak się z lekceważeniem Mochnacki o Kongresówce wyraża, przeciwstawiając ją obszarowi całej Rzeczypospolitej — dowiódł w pierwszych już latach swojego istnienia, że Polacy z łatwością mogą dorównać w postępie cywilizacyjnym innym szczęśliwszym narodom, jeżeli ich działania w tym względzie niekrępuje obcy despotyzm i zła wola panujących, dowiódł on jednak także, że przyczyn upadku Rzeczypospolitej szukać trzeba w znacznej części w niepoprawnem niedbalstwie i egoizmie rządzącej klasy w narodzie. Królestwo kongresowe, mała i bodaj czy nie najuboższa część dawnej Polski, utrzymywała bez nadzwyczajnych wysileń 30.000 wybornego wojska, a zatem więcej niż połowę tej armii, którą w stanowczej chwili (w roku 1792.) zdołała zebrać niezawisła Rzeczpospolita na całym, rozległym swoim obszarze, w celu ratowania własnej niepodległości, „ten kawałek ziemi nad Wisłą“ wnosił do skarbu publicznego mniej więcej około 50,000.000 złotych polskich, czyli o kilka milionów więcej nad to, na co zdobyła się ofiarność narodu w epoce czteroletniego sejmu. Po 25-ciu latach ciężkiej niewoli, po tylu klęskach i katastrofach, wyszedł ten sam naród z twardej szkoły doświadczeń na duchu wzmocniony, otrząsnął się do pewnego stopnia z moralnej inercyi i — stanąwszy do pracy nad własnem odrodzeniem — złożył chlubne świadectwo zdolności, dojrzałości i woli.

Ale uciążliwości, nieodłączne od zasadniczych zmian administracyjnych, wywołały natychmiast, w pewnych kołach przynajmniej, niezadowolenie i surową krytykę czynności rządowych. Była to chwila, gdzie w parlamencie francuskim rozpoczęła się walka o swobody konstytucyjne, nadane przez Ludwika XVIII., a następnie ograniczane i gwałcone przez stronników reakcyi, gdzie na całym kontynencie europejskim ludy, wezwane niegdyś przez panujących w imię wolności do walki przeciw „ciemiężycielowi“ Europy, Napoleonowi, domagały się natarczywie spełnienia swoich marzeń konstytucyjnych i liberalnych obietnic mocarzów, a doznawały przeciwnie coraz to nowych ograniczeń wolności osobistej i politycznej, gdy w Niemczech srożyły się prześladowania „demagogów“, w Portugalii i Hiszpanii zdawały się wracać czasy inkwizycyi, a w Austryi wstrętny system biurokratyczno-polityczny najświetniejsze święcił tryumfy. Naród polski, od wieków wspólnością cywilizacyi

i wyobrażeniami złączony ściśle z zachodem, odczuwał silnie prądy współczesne, a — odzyskawszy pewną swobodę myśli i ruchu w drobnej cząstce swojej ojczyzny — spoglądał z najwyższą obawą na postępy reakcyi, które, naturalnym rzeczy porządkiem krocząc z zachodu na wschód, mogły zniweczyć łatwo wątłe dzieło konstytucyjne, zaszczepione przez Aleksandra nad brzegami Wisły, niejako na przekorę mocarstwom, upatrującym w powrocie do dawnych patryarchalnych stosunków szczęście ludzkości i bezpieczeństwo Europy. Z tych obaw, zupełnie zresztą uzasadnionych i podniecanych samowolą Konstantego, wyrobiła się w myślących warstwach społeczeństwa polskiego ta niesłychana drażliwość konstytucyjna, która w każdym niemal kroku rządu, chociażby w najlepszej uczynionym intencyi, widziała ukryty zamach na obowiązujące ustawy. Działał przytem nie tyle może doktryneryzm polityczny, co uczucie słabości, nie tyle przywiązanie do konstytucyi samej, co przeświadczenie, że potężny car „Wszechrosyi“, oparty na setkach tysięcy bagnetów, może każdej chwili to miniaturowe królestwo zamienić w zwykłą gubernią rozległego swego państwa, odebrać garstce Polaków pomiędzy Prosną i Bugiem wszystkie te swobody, jakiemi ich własnowolnie obdarzył. Z takiego założenia wychodząc, zapatrywano się też na działalność rady administracyjnej z zupełnie innego stanowiska, niż w normalnych stosunkach, a że była ona często niedogodną dla osób prywatnych, więc spotykała się z tem ostrzejszą krytyką.

Pociągnięcie ludności wiejskiej do budowy dróg, czyli t. zw. szarwarki, dotykały mocno właścicieli ziemskich, utyskujących na brak robotnika: zbyt bezwzględne i gwałtowne burzenie domów prywatnych w Warszawie, dla odsłonięcia zamku, wywoływało skargi właścicieli, od wieków tam osiadłych;[1]) opodatkowanie wyższe szynków wreszcie, uzasadnione potrzebami kraju i w skutkach swoich zbawienne, jakoteż zaprowadzenie kopytkowego w Warszawie w drodze administracyjnej, a nie ustawodawczej, uważane było za pogwałcenie konstytucyi, która prawo układania budżetu, a więc i stanowienia nowych podatków, przyznawała sejmowi. Małoznaczące te wykroczenia rządu, usprawiedliwione nieobecnością sejmu i naglącą potrzebą reform pożytecznych dla kraju, dały powód do pierwszej, chociaż jeszcze bardzo łagodnej opozycyi, jaka się objawiła na sejmie roku 1818.

Był to pierwszy sejm królestwa kongresowego, zwołany tak, jak tego ustawa wymagała, w terminie dwuletnim. Poprzedziły go wybory poselskie i nominacye senatorów, których liczba nie mogła przenosić połowy deputowanych. Izba poselska składała się z 128-miu reprezentantów; z tych wybierała 77 szlachta, 51 gminy. Stosownie do tego był cały kraj podzielony na 51 okręgów wyborczych; osiem z nich przypadało na stolicę Warszawę. Wybory odbyły się spokojnie. Raz tylko, gdy szlachta, dawnych trzymając się zwyczajów, posłów przez aklamacyą na sejmikach okrzyknęła, powstały w senacie wątpliwości, czy taką elekcyą za prawną uważać należy? Odniesiono się do Petersburga, skąd przyszła odpowiedź nie w formie rozkazu, lecz w formie uwag motywowanych subtelnie, że kreskowanie nie było wyraźnie w konsty-

[1]) „Pamiętniki Niemcewicza“, str. 356.

tucyi oznaczonem, że więc i wybór przez jednomyślność przyjąć można. Posłem z przedmieścia Pragi został wielki książe Konstanty; marszałkiem izby poselskiej generał Wincenty Krasiński. Jeżeli wybór pierwszy miał na celu zatrzeć przykre wspomnienie lat ubiegłych i za pośrednictwem carewicza wyjednać dla mieszkańców Pragi wynagrodzenie za domy zniszczone w roku 1807. (co się rzeczywiście stało), to powołanie Krasińskiego na przewodnika izby nie było szczęśliwem tak ze względu na charakter generała próżny i wyniosły z jednej, a skłonny do pochlebstw z drugiej strony, jak i dla braku doświadczenia i taktu, których zupełnie nie posiadał.

Nadeszła wreszcie chwila otwarcia sejmu (dnia 27. marca). Zgromadziły się po nabożeństwach w kościele i cerkwi obie izby w salach pięknie odnowionych; w senacie zjawił się wielki książe Michał, najmłodszy z braci Aleksandra, pomiędzy posłami Konstanty, z początku w mundurze rosyjskim, który jednak na wyraźny rozkaz króla na polski zmienić musiał.[1]) Ukazał się król, otoczony dworem swoim i — stanąwszy przy tronie, gdyż z powodu zbyt opiętego munduru, jak wtedy bywało, usiąść nie mógł — odczytał wśród oklasków izby i galeryi w języku francuskim mowę, o której Niemcewicz wyraził się, że „czyniła honor umysłowi i sercu jego“.

„Reprezentanci królestwa polskiego — tak mówił — wasze i moje życzenia spełniły się. Naród, który was na zastępców swoich powołał, cieszy się wkońcu egzystencyą narodową, utwierdzoną przez instytucye, jakie czas do dojrzałości doprowadził i umocnił. Troskliwy o sławę mojej ojczyzny, chciałem tejże nową chwałę przydać. Jakoż Rosya po srogiej wojnie, oddając — podług nauki chrześciańskiej — dobre za złe, wyciągnęła ku wam braterskie ręce i z pomiędzy wszystkich korzyści, które jej dawało zwycięstwo, przeniosła jedynie zaszczyt wzniesienia i przywrócenia narodu walecznego i godnego szacunku“.

Po tym wstępie, obliczonym zarówno na połechtanie dumy narodowej moskiewskiej, jak i na pogłaskanie Polaków, ciągnął cesarz tak dalej: „Dawniejsza organizacya waszego kraju dozwoliła ustanowić tę, którą wam nadałem, wprowadzając w wykonanie ustawy liberalne. Nie przestawały one nigdy zajmować mojej całej troskliwości i zbawienny wpływ ich przy pomocy Boskiej spodziewam się rozciągnąć na wszystkie krainy, jakie od Opatrzności mej pieczy są powierzone. Podaliście mi sposobność okazania mojej ojczyźnie tego, co dla niej oddawna gotuję i co otrzyma, skoro zarody tak ważnego dzieła będą mogły osiągnąć potrzebne rozwinięcie“. A zwracając się ponownie do posłów, zakończył mowę tym charakterystycznym na ówczesne stosunki ustępem: „Przedstawiciele królestwa polskiego! Wznieście się do wysokości waszego przeznaczenia! Jesteście powołani dać wielki przykład Europie, która ma na was zwróconą uwagę. Dowiedzcie współczesnym, że te ustawy liberalne, których zawsze święte prawidła usiłowano pomięszać z przewrotnemi naukami, grożącemi w naszych czasach okropną katastrofą porządkowi społecznemu, nie są niebezpiecznem omamieniem, ale, że wykonane z dobrą wiarą i czystemi

[1]) „Pamiętniki Niemcewicza“, str. 371.

chęciami ku zachowawczemu celowi i ku pożytkowi ludzkości skierowane, godzą się zupełnie z porządkiem i z nim wspólnie zrządzają prawdziwą pomyślność narodów".

Łatwo sobie wyobrazić, że te słowa wolnomyślne, wypowiedziane z wysokości tronu przez najpotężniejszego wtedy mocarza w Europie, rozległy się jak grom po całym kontynencie[1]) i wywołały niesłychane wrażenie szczególniej w Niemczech, gdzie opinia publiczna, do najwyższego stopnia rozgoryczona reakcyjną polityką drobnych dynastów, powitała mowę Aleksandra z zapałem i najżywszą radością. Jakoż skutek był taki, że wielki książe badeński (Karol) ustanowił natychmiast (28. kwietnia) komisyą w celu ułożenia odpowiedniej konstytucyi i nadał niebawnie poddanym swoim ustawę wprawdzie mniej liberalną od polskiej, ale zapewniającą Badeńczykom system reprezentacyjny i względną przynajmniej swobodę myśli i słowa. W Wiedniu przeciwnie powstało największe oburzenie na ten niewczesny liberalizm Aleksandra. Jeżeli dla Metternicha i jego politycznego powiernika Gentza, drobne, konstytucyjne królestwo polskie było źródłem obaw i niepokojów, to cóż dopiero dziać się musiało w duszy kanclerza austryackiego na wiadomość o zamierzonem wprowadzeniu konstytucyi do Rosyi.

Tymczasem nie ulegało wątpliwości, że Aleksander z takiemi myślami się nosił, że były one bliskie urzeczywistnienia. Na rozkaz cara opracował Nowosilcow, a raczej sekretarz jego Deschamp, projekt konstytucyi[2]) dla imperium rosyjskiego, za co w nagrodę otrzymał „pan senator" dobra słonimskie, przynoszące 150.000 dochodu rocznego. Donosił o tych planach już w roku 1817. akredytowany przy Aleksandrze poseł austryacki Lebzeltern Metternichowi, ale kanclerz widocznie lekceważył sobie relacyą i teraz dopiero — po mowie tronowej cara — spostrzegł grożące niebezpieczeństwo. Jedni Polacy tylko zdawali się nic nie wiedzieć o zamiarach, tak blisko ich obchodzących. Sejm z roku 1818. przynajmniej nie zdawał sobie sprawy z położenia politycznego, jakie stworzyła mowa Aleksandra, bo wdał się w drobiazgową krytykę postępowania rady administracyjnej i — upatrując w jej zarządzeniach naruszenie konstytucyi, uznał za stosowne w uwagach nad raportem ministrów błędy te wytknąć i na nie się użalić. Poseł kaliski Wincenty Niemojowski poszedł jeszcze dalej, bo — wyliczywszy nadużycia rządu przez zaprowadzenie opłaty kopytkowego i konsumcyjnej w Warszawie, przez nakaz odrabiania szarwarków, zamianę dziesięcin wytycznych i zarządzenie o wywłaszczeniu własności prywatnych — domagał się zaskarżenia ministrów. Trudno bardzo dziś zrozumieć, jaki był cel tej opozycyjnej polityki. Zarządzenia rady administracyjnej, wydane pod nieobecność sejmu, a potrzebne i pożyteczne dla kraju, możnaby z trudnością tylko podciągnąć pod kategoryą czynów, naruszających ustawę konstytucyjną. Wytaczać z tego błahego powodu akt oskarżenia

[1]) Stern Alfred: „Geschichte Europas seit den Verträgen vom Jahre 1815 bis zum Frankfurter Frieden im Jahre 1871". Berlin 1894. T. I, str. 386.

[2]) Projekt, znaleziony w papierach Konstantego i ogłoszony w t. zw. „Port folio", odszukał w archiwum berlińskiem i wydał świeżo Schiemann (Henryk Sybel: „Historische Zeitschrift" z roku 1894. — Por. objaśnienia do tego Sterna tamże t. 73).

przeciw ministrom, których o brak patryotyzmu nikt posądziéby się nie ważył, znaczyło tyle, co z armaty strzelać na wróble, co z pobudek czysto osobistych, lub dla zyskania chwilowej popularności, popychać sejm i naród do opozycyi bezcelowej, a w stosunkach ówczesnych zarówno niebezpiecznej, jak i szkodliwej. W chwili, gdy reakcya europejska z obawą i z najwyższą niechęcią spoglądała na konstytucyjną „zabawkę“ Aleksandra, gdy od pomyślnego rozwoju królestwa zależał poniekąd los narodu polskiego, gdy naród ten dla podjęcia walki z carstwem zupełnie nie był przygotowanym, była ta opozycya

Plac Saski w Warszawie.

dla opozycyi wielkim błędem politycznym. Sejm nie dał się wprawdzie porwać błyskotliwej frazeologii Niemojowskiego i oskarżenia przeciw ministrom nie wytoczył, ale w adresie do króla, odpowiadając na raport rządowy, poczynił uwagi, mało różniące się w treści od wywodów posła kaliskiego. Wyliczono tam dekreta ministrów, przeciwne artykułom konstytucyjnym i żądano wkońcu rozwinięcia i uzupełnienia ustaw o wolności druku, o utrzymaniu prawa neminem captivabimus, ustanowienia budżetu i t. p.

Obrady sejmu odbyły się zresztą spokojnie, chociaż w dyskusyi znać było brak wprawy i dawne nałogi sejmowania. Godlewski, znany nam poseł opozycyjny z czasów księstwa warszawskiego i dziś do opozycyi należący, co

mu nie przeszkadzało zresztą żyć w przyjaźni z Nowosilcowem, czytał przez kilka godzin mowę, pełną deklamacyi i inwektyw; po nim odczytywał także arkuszowe uwagi swoje kasztelan Małachowski, uderzając na nadużycia urzędników i wynosząc pod niebiosa Zajączka.[1]) Nietakt i niezręczność marszałka Krasińskiego, który z tem gadulstwem rady sobie dać nie mógł, wywołały dwukrotnie przykre zajścia w izbie, uśmierzone niestety interwencyą Nowosilcowa.

Z projektów do praw, przedłożonych przez rząd — było ich siedem — przyjął sejm ustawę o rozgraniczeniu posiadłości gruntowych, przydłużenie t. zw. moratorium do dnia 1. stycznia 1820. roku, ustawę hypoteczną i karną, odrzucił zaś projekt zmiany tytułów V. i VI. kodeksu Napoleona, tyczących się małżeństwa i rozwodu. Większość kierowała się w tym wypadku nie jakąś niechęcią ku Kościołowi, lecz obawą, aby kodeks napoleoński, który w praktyce okazał się zresztą doskonałym i do którego ludność przywykła, dalszym nie uległ zmianom. Do odrzucenia projektu przyczynili się sami biskupi, wymagający o wiele znaczniejszych obostrzeń przy udzielaniu rozwodów i zawieraniu powtórnych związków małżeńskich pomiędzy rozwiedzionymi.

Aleksander okazał się zadowolonym z przebiegu sessyi i w mowie zamykającej sejm nie szczędził izbom pochwał i uznania „Polacy! — mówił — usprawiedliwiliście moje oczekiwania; narady tego pierwszego zgromadzenia, duch, jakiem się powodowało, owoce czynności jego jednozgodnem stają się świadectwem czystości waszych zamiarów i ściągają moją pochwałę.. . Tkliwy jestem na uczucia, jakieście mi oświadczyli. Zaufanie wasze jest jedynem mojem życzeniem, a wasza przychylność jedyną moją nagrodą. Zastanawiać się będę z uwagą nad waszemi żądaniami, a na przyszłem posiedzeniu, mam nadzieję, przekonacie się, iż takowym zadość uczyniono, o ile na to dozwoliły okoliczności. Polacy! trwam w intencyi dopełnienia moich zamiarów, które wam są dobrze znane.

Po tem pożegnaniu równie serdecznem, jak i dającem otuchę na przyszłość, posypały się łaski „wstążkowe“ i niewstążkowe: grad orderów na wojskowych i cywilnych; Zajączek ku powszechnemu zdziwieniu otrzymał tytuł książęcy, Broniec, marszałek dworu królewskiego, dobra, dające 26.000 złotych polskich intraty rocznej. Ostatnią darowiznę przypisywano już wtedy wpływom wielkiego księcia Konstantego, który do pasierbicy Brońca (Joanny Grudzińskiej) niepohamowaną zapałał miłością“.

Wielkie księstwo poznańskie. Odmienniej cokolwiek niż nad Wisłą, lecz równie względnie i przyjaźnie, układały się stosunki pomiędzy rządem pruskim a polskimi jego poddanymi nad Wartą, w dawnej Wielkopolsce, od roku 1815. nazwanej wielkiem księstwem poznańskiem. Wierny z początku traktatom kongresowym, nieszczędził Fryderyk Wilhelm III. Polakom szczodrych obietnic i najuroczystszych przyrzeczeń. „Wy także — czytamy w odezwie królewskiej do mieszkańców księstwa, ogłoszonej dnia 15. maja 1815. roku — macie ojczyznę, jako dowód mojego szacunku za wasze do niej przywiązanie. Wcieleni

[1]) „Pamiętniki Niemcewicza“, str. 383.

do Prus, nie potrzebujecie się wyrzekać waszej narodowości. Będziecie mieli udział w konstytucyi, którą zamierzam nadać moim wiernym poddanym i otrzymacie tak jak inne prowincye mego państwa odrębną konstytucyę prowincyonalną. Religia wasza będzie zachowana, język wasz będzie używany we wszystkich czynnościach publicznych na równi z językiem niemieckim.[1]) Każdy z was ma mieć przystęp tak do urzędów wielkiego księstwa, jak do urzędów, zaszczytów i godności mojego państwa".

W kilka dni po ogłoszeniu powyższego patentu okupacyjnego wkroczył generał Thümen na czele wojska pruskiego do Wielkopolski, a dnia 28. maja ukazały się pierwsze jego oddziały w Poznaniu, gdzie je przyjmował uroczyście dotychczasowy gubernator rosyjski. W mieście, wbrew urzędowym sprawozdaniom o radości mieszkańców Poznania z powodu „szczęśliwej odmiany", panował smutek i przygnębienie. Znaleźli się jednak i tu niestety ludzie, i to bardzo wybitni, pomiędzy nimi ci sami, co w roku 1806. witali Dąbrowskiego i Napoleona w Międzyrzeczu i w Poznaniu, wojewodowie Działyński i Wybicki, prefekt Poniński i szambelan Jan Potworowski, którzy nie wzdragali się towarzyszyć smutnej ceremonii zdejmowania z gmachów publicznych orłów polskich i zawieszania pruskich. Jednemu z nich, mianowicie tyle zacnemu Wybickiemu, przypadł nawet w udziale upokarzający zaszczyt wzniesienia podczas uczty pierwszego toastu na cześć „JMci króla pruskiego, wielkiego księcia poznańskiego".

Można przypuścić, że do tego chwilowego zapomnienia godności własnej skłoniły doświadczonych zresztą patryotów pierwsze kroki nowego rządu, tak odmienne od późniejszych, a nacechowane pewną życzliwością dla narodu polskiego, może być, że wobec zaręczeń uroczystych, zawartych w traktacie wiedeńskim, starano się unikać wszystkiego, coby mogło drażnić podejrzliwego i lękliwego Hohenzollerna. Są to okoliczności łagodzące, lecz nie dające zupełnego rozgrzeszenia tym, którzy z mocy stanowiska swego powinni byli przyświecać społeczeństwu przykładem obywatelskiej godności. Narazie tłumaczyło ich — co prawda — wiele. Namiestnikiem królewskim w Poznaniu został książe Antoni Radziwiłł, ożeniony z księżniczką pruską Ludwiką, kobietą nadzwyczaj zacną i poczciwą, która — jakkolwiek Niemka rodem — z uczuć swoich stała się Polką i nawet po opuszczeniu Wielkopolski nie przestała być najżyczliwszą opiekunką Polaków. Obok namiestnika piastował urząd naczelnego prezesa Zerboni di Sposetti, właściciel dóbr wieruszowskich w księstwie, a więc „współobywatel" jak się wyrażano i dla narodowości polskiej do pewnego stopnia nawet życzliwy. Na wstępie zatem nie było powodu do skarg i utyskiwań. Odezwa namiestnika powtarzała w tych samych niemal słowach jak patent królewski zapewnienia o zachowaniu praw języka i narodowości polskiej wogóle, przysięgę homagialną składano po polsku, a w statucie organizacyjnym dla sądownictwa, wydanym dnia 12. lipca 1815. roku, zastrzeżono wyraźnie, że prezydenci sądów będą wybierani z pomiędzy obywateli, urodzonych w księstwie i że język polski będzie zachowany we wszystkich czynnościach sądo-

[1]) D'Angeberg: „Recueil des traités, conventions etc.". Paris 1862, str. 701.

wych.[1]) Na tem tle różowem pierwotnych stosunków snuła bujna wyobraźnia Wielkopolan najśmielsze marzenia, generał Amilkar Kosiński spisywał memoryał o potrzebie i sposobach utworzenia wojska polskiego w wielkiem księstwie poznańskiem; memoryał spoczął snem wiecznym w archiwum namiestniczem, a zimna rzeczywistość pouczyła rychło Poznańczyków o właściwych zamiarach tak względnego i wyrozumiałego zrazu rządu.

Okazało się mianowicie bardzo prędko, że książe Radziwiłł, jakkolwiek najlepszemi ożywiony chęciami dla kraju, był raczej figurantem, niż rzeczywistym namiestnikiem, że obok niego, a właściwie wbrew niemu, rządzili krajem naczelni prezesowie, wykonujący ściśle polecenia, nadesłane z Berlina, że podobny los zgotowano także wyższym urzędnikom polskim i że wkońcu zwolna — ale systematycznie — zaczęto usuwać z posad rządowych Polaków, a na ich miejsce nasyłać Niemców, a nauczycieli polskich w szkołach wiejskich zastępować niemieckimi. Władza namiestnika okazała się wśród tego zupełnie bezsilną. Generałowie i naczelni prezydenci kłaniali mu się nisko, ale zresztą robili to, co chcieli; rola Radziwiłła w Poznaniu stała się zatem czysto reprezentacyjną. W domu jego zbierało się towarzystwo polskie, on sam opiekował się szkołami i teatrem polskim, księżna Ludwika słynęła z dobroczynności, poza tem jednak oboje nie wywierali wpływu ani na działania rządu, ani na stosunki miejscowe. Rozwiały się też szybko marzenia o wojsku polskiem, ziemie chełmińską i michałowską oderwano od księstwa i przyłączono do Starych Prus, podatki podwyższono, a Szlązakom zabroniono nawet pielgrzymki do Częstochowy.

Galicya. Zabór austryacki wolnym był przynajmniej od złudzeń takich, jakich doznawali Wielkopolanie. Cesarz Franciszek II, trzymając się litery postanowień kongresowych, dał królestwu Galicyi i Lodomeryi reprezentacyą „wedle własnej przyzwoitości“, w t. zw. sejmie stanowym czyli postulatowym, który składał się z przedstawicieli trzech stanów (magnatów, stanu rycerskiego i mieszczaństwa) i zbierał się co roku pod przewodnictwem prezesa gubernialnego po to, aby wysłuchać postanowień rządu co do nowych podatków i wybrać deputacyą do ułożenia petycyi i adresu do tronu, na co zwyczajnie żadnej lub odmowną otrzymywał odpowiedź. Obok sejmu urzędował stale wydział stanowy, w którym zasiadało po dwóch deputatów z każdego stanu, z zakresem działania od sejmowego niemniej ograniczonym. Zresztą stosunki dawniejsze zmieniły się mało. W uniwersytecie lwowskim, zreorganizowanym cokolwiek odpowiedniej w roku 1817. — stąd nazwa jego „universitas Franciscea — zaprowadzono trzy wydziały (filozoficzny, prawny i teologiczny), a zamiast kosztownej medycyny, parodyą lekarskiej szkoły, t. zw. wydział medyczno-chirurgiczny, skąd wychodzili chirurdzy, w braku lekarzy rozległą zazwyczaj — szczególnie na prowincyi — mający praktykę. W nielepszym stanie znajdowały się szkoły średnie i ludowe. Cały system wychowania, zwichnięty w zarodzie już przez to, że językiem wykładowym był wyłącznie język niemiecki, wprowadzono na tory zupełnie niewłaściwe

[1]) D'Angeberg: „Recueil des traités, conventions etc.“. Paris 1862, str. 701.

pod względem pedagogicznym i dydaktycznym. Nauka, udzielana przez nauczycieli licho płatnych i mało wykształconych,[1]) nie przyczyniała się też w niczem do rozwoju ducha i umysłu, ćwiczyła co najwięcej pamięć, a tłumiła wrodzone zdolności.

„Nie wskazano nigdy młodzieńcowi — tak pisze znakomity autor,[2]) znający dokładnie stosunki ówczesne — drogi kształcenia się, owszem zakrywano przed jego oczyma całą sferę umiejętności, które umysł prawdziwie oświecić i podnieść są zdolne; mizerną dozę nauki rozprowadzono przez wiele lat i czas szkolny ogromną liczbą godzin wolnych i feryj marnotrawiono. Natomiast nie usłyszał uczeń swego nazwiska nawet przy czytaniu katalogu szkolnego, aby, jeśli był szlachcicem, słowa nobilis i de nie były mu przydane, i kilkunastoletnie dzieci nieomieszkano uczcić tytułami hrabiów, baronów i t. d., jeśli te rodzicom ich służyły. Tego też najlepiej wyuczył się młodzieniec przez lat sześć w gimnazyach i przez następne lata wydziału filozoficznego, a pamięć zacności jego rodu rozdmuchiwała umysł jako pęcherz, ponieważ weń nic pożytecznego włożyć nie starano się. Uczeń, skończywszy szkoły, był najmocniej przekonany, że już niczego uczyć się nie potrzebuje, że wypada mu, jeśli jest za co, odbyć podróż zagranicę, a tak skończywszy karyerę, za powrotem ożenić się i osiąść na dziedzictwie ojcowskiem“.

Jeżeli taki stan oświecenia panował w wyższych i średnich warstwach społeczeństwa, to lud wiejski i uboższe mieszczaństwo były pogrążone w zupełnej ciemnocie i niewiadomości. Ilość szkół ludowych męskich i żeńskich wynosiła wprawdzie 1527, ale w tej liczbie było około 1200 szkółek „parafialnych“, gdzie nauka, udzielana przez dyaków i organistów, kończyła się na tem, że dzieci umiały czytać książkę do nabożeństwa. Lepiej cokolwiek urządzone szkoły trywialne ograniczały się do nauki czytania, pisania i rachunków. W szkołach „normalnych“, których było w całym kraju 30, uczono także rysunków, geometryi, fizyki i początków historyi naturalnej, ale nauka martwa, bez doświadczeń i okazów, w języku dla dzieci niezrozumiałym, najmniejszego prawie nie przynosiła pożytku. Z oświaty zresztą w szkołach publicznych mogła korzystać zaledwie drobna część młodzieży, zdolnej do szkół. Stosunki pod tym względem były tak opłakane, że n. p. w dyecezyi przemyskiej na 101.860 dzieci w wieku szkolnym, 88.158 chłopców i dziewcząt wcale żadnej nie pobierało nauki, czyli, że na 1,493 874 mieszkańców było uczniów szkół ludowych 13.702, podczas gdy w rzeczypospolitej krakowskiej przy ludności 106.000 chodziło do szkółek wiejskich 3136 dzieci.

Nic dziwnego zatem, że wśród ludności tak mało oświeconej krzewiły się zbrodnie i pijaństwo, panowała nędza, wzmagał się upadek moralności. Dawniejszy patryarchalny stosunek pomiędzy dworem a chatą włościańską, jakkolwiek daleki od idealizmu, w jakim go czasem przedstawiać usiłują, dawał przecież ludowi, mianowicie tam, gdzie właściciel był sprawiedliwym i wyrozumiałym, co znowu nie tak rzadko się zdarzało, pewien punkt oparcia,

[1]) Sołtykowicz: „O stanie akademii krakowskiej etc.“. Kraków 1810, str. 89.

[2]) Wal. Kalinka: „Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem“. Paryż 1853. Str. 30.

pewną pomoc i zasiłek na wypadek klęski i nieurodzaju. Biurokracya austryacka rozpoczęła po rozbiorze kraju działanie swoje od zerwania tych węzłów, łączących szlachcica z chłopem, a zasiała natomiast pomiędzy nimi ziarno nieufności, które miało być rękojmią uspokojenia kraju i utrwalenia nowych rządów. Illuzoryczna opieka, jaką roztoczono nad ludem, nie wyzwoliła go z pęt pańszczyźnianych, nie uchroniła od ucisku i niedoli, ale obudziła w nim nieufność ku szlachcie i „panom“ wogóle i owe instynkta o komunistycznym zakroju, znane później w wschodniej części kraju pod hasłem „lisy i pasowyska“, a wybuchające na zachodzie jasnym płomieniem w smutnej pamięci roku 1846. Zniszczywszy tą drogą lub rozluźniwszy węzły społeczne, zaczęto równocześnie rujnować kraj pod względem materyalnym. Zmarnowano więc — jak to już w innem miejscu wspomnieliśmy — wielką część królewszczyzn i dóbr narodowych i na barki ludności wtłoczono z biegiem czasu 52 [1]) kategoryj opłat i podatków najrozmaitszego rodzaju, tak, że Galicya około roku 1840. płaciła o 50,000.000 złotych polskich więcej do skarbu, niż za czasów polskich. A że administracya kraju była licha i tania, że na szkoły, podniesienie przemysłu i środków komunikacyjnych wcale nic albo bardzo mało wydawano, więc dochód czysty, wywożony co roku z Galicyi do Wiednia i obracany bądź na potrzeby ogólne państwa bądź na korzyść innych prowincyj, wynosił 35,787.020 złotych polskich. Bezpośrednim skutkiem tej gospodarki i tej biurokratycznej polityki był upadek rolnictwa i zupełny brak przemysłu, któremu najdziwaczniejsze stawiano przeszkody. Galicya, kraina od przyrody tak hojnie wyposażona, mlekiem i miodem płynąca, stała się jedną z najuboższych i pod względem cywilizacyi najbardziej upośledzonych prowincyj państwa austryackiego. Jedynym jaśniejszym promieniem w tym okresie niewoli, ciemnoty i przygnębienia było założenie Zakładu narodowego imienia Ossolińskich we Lwowie w roku 1817., owoc niezmordowanych starań i ofiarności hrabiego Józefa Maksymiliana Ossolińskiego.

Rzeczpospolita krakowska. Rzeczpospolita krakowska zażywała obok królestwa kongresowego względnie jeszcze największej swobody. Podług traktatu dodatkowego, który podpisali dnia 3. maja 1815. roku pełnomocnicy mocarstw północnych (książe Metternich, książe Hardenberg i hrabia Razumowski), miał Kraków z okręgiem tworzyć państwo na wieczne czasy wolne, niepodległe i ściśle neutralne pod opieką Rosyi, Prus i Austryi. Dwory te zobowiązały się (artykuł VI.[2]) szanować i strzedz tę neutralność tak, żeby nigdy i pod żadnym pozorem siła zbrojna nie mogła być wprowadzona w granice rzeczypospolitej; zatwierdzały przywileje i własność akademii (artykuł XV.) i pozwalały młodzieży z innych ziem polskich udawać się na nauki do Krakowa. Nadto, uwzględniając położenie miasta i trudności, jakie stąd dla mieszkańców wyniknąćby mogły, ustanowiono wolność dla handlu przewozowego i ułatwiono stosunki handlowe z królestwem kongresowem, zaręczając zarazem uroczyście, że „dla zaopatrzenia Krakowa i okręgu jego w potrzebną żywność

[1]) Mowa Józefa Dzierzkowskiego w roku 1812. — Porów. Schnürr-Pepłowski: „Z przeszłości Galicyi“, str. 292.

[2]) D'Angeberg: „Recueil des traités, conventions etc.“. Paris 1862, str. 676.

trzy Wysokie Dwory bez opłaty wpuszczać będą drzewo, węgle i wszystkie przedmioty konsumcyjne w okręg miasta Krakowa". Warunki te przyjęły i uznały wszystkie państwa, biorące udział w kongresie wiedeńskim, wskutek czego swobody i przywileje rzeczypospolitej uzyskały poręczenie całej Europy. Ponieważ jednak podług ówczesnych wyobrażeń wszelkie ustępstwa na rzecz systemu reprezentacyjnego uczynione i każda ustawa konstytucyjna była dobrowolnym i wspaniałomyślnym podarunkiem monarchy, który sam granice władzy swojej zakreślał i sam też jedynie mógł być tłumaczem właściwych swoich myśli w konstytucyi zawartych,[1]) więc ażeby uniknąć wszelkich nieporozumień w tym względzie, zastrzegły sobie trzy dwory prawo zorganizowania rzeczypospolitej i przyzwoitego rozwinięcia ułożonej i nadanej Krakowowi konstytucyi (artykuł VII.). Prościej i odpowiedniej zapewne było poruczyć tę pracę senatowi rzeczypospolitej, zwłaszcza że konstytucyą zatwierdzili pełnomocnicy mocarstw północnych, ale niedopuścił tego system nadzorowania i pilnowania Polaków, tkwiący zarówno na dnie liberalnych zasad Aleksandra, jak i policyjno-biurokratycznych poglądów Metternicha, że pominiemy zachłanność pruską, która od czasu trzeciego rozbioru głodnem okiem spoglądała na Kraków. Stosownie więc do tego postanowienia „Wysokich Dworów" zjechali we wrześniu roku 1815. do Krakowa komisarze: austryacki hrabia Sweerts-Sporck, rosyjski Ignacy Miączyński i pruski Ernest baron Reibnitz i — wezwawszy sobie do pomocy trzech obywateli — rozpoczęli czynność organizacyjną od utworzenia milicyi miejskiej, a następnie senatu, którego prezesem został Stanisław hrabia Wodzicki, sekretarzem generalnym zaś Jacek Mieroszewski. Senatowi powierzono też władzę administracyjną i powołano go wspólnie z komisyą organizacyjną do pracy nad rozwijaniem dalszem konstytucyi. Trwała ona do roku 1818., a — rozdzielona pomiędzy osiem komitetów oddzielnych — nie mogła stworzyć jednolitego dzieła. Nie brakło w nowej konstytucyi bardzo wolnomyślnych postanowień, jak n. p. w kwestyi włościańskiej, ale były także i takie, które w latach następnych dały powód do rozmaitych nieporozumień i przykrych zawikłań. Stosuje się to mianowicie do urządzenia uniwersytetu, gdzie władzę najwyższą, nieodpowiedzialną i zupełnie niezawisłą złożono w ręce rektora, jakoteż do niewłaściwego uregulowania stosunków włościan poddanych w dobrach duchownych i narodowych. W całym zresztą okresie początkowym rzeczypospolitej rządzili miastem właściwie pełnomocnicy trzech dworów, a wśród nich odgrywał pierwszą rolę najruchliwszy, najbezwzględniejszy i najgorszej zażywający sławy komisarz pruski Reibnitz. Oni pouczyli senat, że nie do niego, lecz do mocarstw opiekuńczych należy tłumaczenie ducha konstytucyi i że zgromadzenie reprezentantów ma się ograniczyć do roztrząsania tych pozycyj budżetu, które senat uznał za stosowne sejmowi przedłożyć. W roku 1818. skończyła się opieka komisarzy i na czele zorganizowanej rzeczypospolitej stanął Wodzicki, na dalsze trzechlecie obrany prezesem senatu. Nie można zaprzeczyć, że za jego rządów i przeważnie za jego staraniem powstało w Krakowie kilka pożytecznych instytucyj, jak Towarzystwo Naukowe w roku 1815. i Towarzystwo Dobroczynności w roku

[1]) G. G. Gervinus: „Geschichte des neunzehnten Jahrhunderts", t. I, str. 80.

1816., że miasto zaczęło się dźwigać powoli z upadku, w jakim go pogrążyły nieustanne prawie klęski wojenne, od roku 1768. trwające. Tak zburzono w roku 1817. mury obronne i urządzono pod opieką Straszewskiego na ich miejscu plantacye; ukończono budowę mostu na Starej Wiśle, zaprowadzono kanały, lecz w zbytniej gorliwości nowatorskiej zburzono także starożytny ratusz (w roku 1820.), pozostawiając tylko wieżę zegarową. Wśród tego zdarzyły się dwa dla Krakowa ważne wypadki, dwa pogrzeby, któremi wdzięczny naród uczcił pamięć i zasługi dwóch najcelniejszych bohaterów ostatniej walki za niepodległość, postanawiając, aby ciała ich spoczęły w grobach królewskich na Wawelu. Odbyły się więc w krótkich odstępach czasu, w roku 1817. i 1818., w obrębie rzeczypospolitej i w murach Krakowa dwie żałobne uroczystości narodowe: pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego i Naczelnika Tadeusza Kościuszki. Ciało zwycięscy z pod Raszyna spoczywało w kościele św. Krzyża w Warszawie i dopiero w lipcu roku 1817. na życzenie rodziny zmarłego zostało przeniesione do Krakowa. Przyjęto je u granic rzeczypospolitej z czcią największą, wprowadzono na rydwanie sześciokonnym do miasta, skąd po mowach stosownych kondukt żałobny pod przewodem biskupa ruszył do katedry, gdzie w obecności senatu trumnę złożono w krypcie św. Leonarda. W dwa miesiące po tem rozeszła się po ziemiach polskich smutna wieść o zgonie Kościuszki. Umarł on dnia 15. października 1817. roku w Solurze (w Szwajcaryi) w domu zaprzyjaźnionych z nim oddawna Zeltnerów, u których spędził ostatnie dwa lata życia, oddany zupełnie filantropii, zawsze czczony i szanowany zarówno przez ziomków swoich, jak i przez cudzoziemców. Jednym z ostatnich czynów gasnącego bohatera był akt, nadający włościanom siechnowickim wolność osobistą i własność posiadanych gruntów i zagród. Wierny zasadom, które ukochał i dla których życie poświęcił, przekazywał zwycięsca z pod Racławic tą drogą narodowi w puściźnie program polityczny, mający zbawić Polskę i wydźwignąć ją z niewoli. Społeczeństwo polskie odczuło głęboko stratę niepowetowaną. W Warszawie urządzono natychmiast ze składek publicznych wspaniałe nabożeństwo żałobne, przyczem pamięć zmarłego uczcił patryotyczną przemową jego towarzysz broni i niewoli petersburskiej Niemcewicz w obecności wielkiego księcia Konstantego; następnie zawiązano komitet w celu sprowadzenia zwłok Kościuszki do kraju i wzniesienia odpowiedniego pomnika, na co cesarz Aleksander chętnie zezwolił, nie oznaczając wcale miejsca, gdzie Naczelnik miał być pochowany, „gdyż nie chciał kierować życzeniem, z własnego natchnienia publiczności pochodzącem“. Publiczność oświadczyła się jednomyślnie za złożeniem drogich zwłok w grobach królewskich na Wawelu i upraszała o to osobno senat rzeczypospolitej i radę administracyjną królestwa polskiego.

Rząd królestwa, działając w myśl tych życzeń, zakrzątnął się żywo około pogrzebu; w Warszawie powstał komitet, do którego pomiędzy innymi wchodzili generał Mokronowski i Kiliński, zaczęto zbierać składki, a tymczasem rada administracyjna zaliczyła potrzebne na sprowadzenie zwłok pieniądze i wysłała do Szwajcaryi po odbiór ciała księcia Antoniego Jabłonowskiego. Nie próżnował też i Kraków. Senat rozpisał składki na pomnik

i w odezwie, wystosowanej do rektora uniwersytetu, zażądał opinii w tym względzie. Zanim do tego przyszło, przywieziono zwłoki Naczelnika dnia 11. kwietnia 1818. roku i złożono tymczasowo w kaplicy w kościele św. Floryana na Kleparzu. Dnia 19. czerwca t. r. odbyła się uroczysta eksporta-

Katedra św. Jana w Warszawie.

cya na Wawel, w cztery dni później wspaniały pogrzeb w katedrze, skąd po przemówieniu prezesa Wodzickiego, biskupa Woronicza i kanonika Łańcuckiego trumnę spuszczono do podziemi.[1])

[1]) Wnętrzności Kościuszki spoczywają na cmentarzu w Solurze, serce odnaleziono niedawno w osobnej kaplicy w muzeum polskiem w Rapperswylu.

Dłużej cokolwiek trwała sprawa z pomnikiem, co do którego zdania były rozmaite. Jedni, a mianowicie profesorowie uniwersytetu, poparci przez senatora Barcza, przemawiali za pomnikiem z bronzu odlanym, Wodzicki, obawiając się, aby z biegiem czasu i zmianą stosunków dzieło tego rodzaju nie uległo zniszczeniu, podał myśl bardzo trafną usypania dla Naczelnika mogiły na wzór mogił Wandy i Krakusa. Zdanie prezesa zwyciężyło pomimo zawziętej opozycyi przeciwników i dnia 19. lipca 1820. roku zawiadomił senat obywateli, „iż postanowił oddać Kościuszce hołd taki, który, sięgając wspaniałej prostoty pierwiastkowych wieków naszej ojczyzny, zaświadczyć ma potomnym o całym ogromie żalu i uwielbienia naszego. Oto w bliskości tego starożytnego grodu uderzają krajowca i przechodnia proste a okazałe Wandy i Krakusa mogiły. Czterdzieści pokoleń pochłonęły grobowce, znikły obok nich z powierzchni ziemi wspaniałe gmachy i zamki warowne! zatarły się wznoszone ręką nieudolnej sztuki tylu znakomitych mężów pomniki, a te starożytne mogiły, usypane rękami naddziadów naszych, urągają się z zawiści czasów i długo jeszcze urągać się nie przestaną. Niech więc ten, który tak świetnie dzieje dawnej Polski zakończył, używa równej czci pierwszym założycielom naszej wielkości... niech dzień jego zgonu będzie dniem narodowej żałoby, niech Polska obok wsławionych imion Krakusa i Wandy imię nieśmiertelne cnotliwego Kościuszki wspomina“.

Na miejsce pod pomnik, tak pojęty, wyznaczono wzgórze błog. Bronisławy, dawniej Sikornikiem zwane, i należące do klasztoru PP. Norbertanek. Tam w dniu 16. października roku 1820. odbyła się uroczystość sypania kopca, wśród niezmiernie tłumnego udziału wszystkich warstw społecznych. Na dnie mogiły ustawiono urnę, zawierającą ziemię z pobojowiska racławickiego, w kamieniu węgielnym złożono wywód słowny aktu fundacyjnego, dziekan katedralny ks. Skórkowski dopełnił poświęcenia miejsca, poczem przemówił Wodzicki, za nim przyjaciel Naczelnika generał Franciszek Paszkowski i rozpoczęło się sypanie mogiły. Pierwszą taczkę ziemi wywiózł prezes senatu.[1]) Ale myśl, z zapałem godnym uznania powzięta, nie była łatwą do wykonania. Pomimo wielkiej gorliwości ogółu, pomimo, że gminy wiejskie ofiarowały na ten cel 5000 dni robocizny, a od 20. października codziennie po kilkaset osób dobrowolnie nad sypaniem ziemi pracowało, okazała się potrzeba znacznych kosztów i regularnej technicznej roboty. Ustanowiono zatem osobny komitet pod przewodnictwem generała Paszkowskiego i wydano odezwę do zbierania składek. Posypały się też hojne datki ze wszystkich stron kraju i z zagranicy, tak, że chociaż sypanie mogiły pochłonęło 139.000 złotych polskich, pozostało jeszcze z zebranych funduszów 18 000 złotych polskich, które przeznaczono dla bratanek Naczelnika. Sumę tę pomnożył szczodrym darem Artur hrabia Potocki do 30.000. Wobec takiej ofiarności publicznej postępowała praca raźnie i bez przerwy i została ukończona w październiku roku 1823. W dwóch następnych latach dosypywano jeszcze osiadającą się

[1]) Właściwie obecna przy uroczystości słynna spiewaczka Catalani, której Wodzicki przez grzeczność pierwszeństwa odstąpił.

mogiłę, okładano darnią stoki i urządzono ścieżki na szczyt. W roku 1860. umieszczono na szczycie bryłę granitową z napisem „Kościuszce“, wydobytą u źródeł Białego Dunajca w Zakopanem.

Tak dzięki patryotyzmowi ówczesnego społeczeństwa i rozumnej a wytrwałej działalności prezesa senatu Stanisława Wodzickiego, powstał pomnik godny sławy i zasług bohatera, pomnik niepożyty, urągający w istocie zmiennym kolejom czasów i nienawiści ludzkiej. Mniej szczęśliwą była Warszawa z pomnikiem dla księcia Józefa Poniatowskiego. Zebrano na ten cel wprawdzie 200.000 złotych polskich i zamówiono pomnik u najznakomitszego wtedy rzeźbiarza Torwaldsena, ale dzieło to, przedstawiające księcia w stroju rzymskim, nie przypominało w niczem jego rycerskiej postaci i nie mogło przypaść do smaku tym, co pamiętali jeszcze ulubionego wodza w mundurze ułańskim i nie po rzymsku lecz po polsku siedzącego na koniu. Model, przywieziony do Warszawy w roku 1829., nie zachwycił zatem nikogo. Mimoto odlano go w bronzie w ciągu roku 1830., gdy powstanie listopadowe niespodziewany sprawie całej nadało obrót. Rząd rosyjski zabronił ustawienia pomnika, kazał go wywieźć do Modlina, a następnie w darze ofiarował Paskiewiczowi. Dziś posąg ten, wzniesiony dla uczczenia pamięci wodza polskiego, zdobi rezydencyą księcia erywańskiego w Homlu w guberni mohylewskiej.

Zwrót w polityce i usposobieniu Aleksandra. — Zaprowadzenie cenzury. — Drugi sejm w roku 1820. — Zmiana w ministerstwie oświecenia. — Grabowski. — Szaniawski. — Nowosilcow. — Prześladowanie młodzieży. — Sprawa wileńska. — Ustąpienie z kuratoryi uniwersytetu Czartoryskiego. Od czasu zamknięcia sejmu i odjazdu cesarza upłynęło blisko pięć miesięcy, zanim z Petersburga nadeszła odpowiedź królewska na uwagi sejmu nad raportem rządowym. Nie była ona ani wręcz odmowną, ani w duchu autokratycznym ułożoną, ale nie zgadzała się też z pojęciami konstytucyjnemi takiemi, jakie panowały w Anglii, o jakie walczyła opozycya francuska w parlamencie paryskim. Aleksander okazał się przy tej sposobności nie gorszym i nie lepszym od wszystkich współczesnych monarchów w Europie, którzy — tak jak Ludwik XVIII. — jeżeli już byli zmuszeni nadać konstytucyą swoim poddanym, uważali ją za akt łaski królewskiej, siebie zaś za jedynie uprawnionych i powołanych do tłumaczenia wszelkich wątpliwości, z ustawy wynikających. Z tej zasady wychodząc, mniemał cesarz w swojej odpowiedzi, „iż artykuł 154. konstytucyi nie upoważnia reprezentancyi narodowej do strofowania postępków rządu i do robienia mu wyrzutów, lecz tylko do wyrażenia zdania swego z powodu uczynionych sejmowi udzieleń. Że, aby to zdanie mogło istotny przynieść pożytek, powinno być wynurzeniem jakiego wyraźnego życzenia, objawieniem jakowej koniecznej potrzeby, a nie wyłuszczaniem jedynie zasad ogólnych i owych teoretycznych badań, których mylne zastosowanie w tak zgubne wprawiło świat błędy. Że łatwo jest czynić rządowi zarzuty, ale trudno dowieść ich użyteczności i przyzwoitości“. Zgodnie z tem pojęciem polecał Aleksander radzie stanu, „aby wykazała przestąpienia, jakich sobie izby w sprawowaniu atrybucyj swoich pozwoliły i aby dotknęła niewłaściwości użytych przez nie wyrazów“, zarazem jednak nie uchylił się od

spełnienia rozmaitych życzeń sejmowych, rozkazał bowiem, aby zalegające rachunki komisyi skarbu zostały ukończone, aby odtąd żaden dekret królewski, ani postanowienie namiestnika nie były ogłaszane bez podpisu właściwego ministra, aby wypracowano ustawę o wywłaszczaniu własności prywatnych na użytek publiczny i przygotowano projekta kodeksów wiejskiego, leśnego, górniczego i t. d. Zgadzał się także na powiększenie liczby szkół niższych, na ulgi w szarwarkach, likwidacyą należytości za dostawy dla wojsk rosyjskich, odpierał zaś zarzut co do ustanowienia kopytkowego i opłat konsumcyjnych bez sejmu tem, że były to podatki na potrzeby miejskie obracane, co do kwestyi skarbowej zaś powtórzył mniej więcej postanowienie zawarte w konstytucyi, chociaż ono tu zupełnie zastosować się nie dało, „że dopóki pierwsze prawo przez JCMość zatwierdzone nie będzie, dopóty izbom nie służy prawo układania budżetu“. Tak załatwiwszy się z uwagami sejmowemi, kończył odpowiedź następującemi słowy: „Pierwszy raz przystępując do używania najważniejszej z swych swobód, mogły czasem izby przestąpić granice, jakie im artykuł 107. ustawy konstytucyjnej i artykuł 154. statutu organicznego o reprezentacyi narodowej przepisuje, ale rada niepowinna ani na chwilę powątpiewać o ważności, jaką Najjaśniejszy Pan przywiązuje do sprawowania tej nader pożytecznej prerogatywy izb sejmowych, choćby one nawet wychodziły z właściwych granic, gdyż zapomocą izb rząd jest zawiadomiony o opinii publicznej co do jego czynności i zarazem ma wskazówkę co do przyszłych życzeń i potrzeb kraju“.

Odpowiedź Aleksandra była zatem — jak z przytoczonych ustępów widzimy — w tonie i w treści swojej umiarkowana, chociaż nie zupełnie zgodna z zasadami konstytucyjnemi. Miała ona niewątpliwie wiele stron słabych, które opozycyi nastręczały sposobność do polemiki, ale polemiki tej nie wyzywała, a położenie królestwa w połączeniu z ogólnym stanem spraw europejskich zalecało sejmowi jak największe umiarkowanie i cierpliwość, zwłaszcza gdy król z gruntu konstytucyjnego nie schodził i do systemu reprezentacyjnego zawsze wielką przykładał wagę. Była to zaś chwila dla wolności ludów i swobód konstytucyjnych wielce niebezpieczna. Niepokój umysłów, wywołany reakcyjnemi dążnościami rządów, wzrastał, w Niemczech, na półwyspie pirenejskim i we Francyi odzywały się zwiastuny nowej burzy, powstawały związki polityczne, w których Schmalz, tajny radca pruski i profesor prawa w Berlinie, wietrzył „jakobińskie“ zamachy. W takim składzie rzeczy wydawało się koniecznem ściślejsze jakieś porozumienie pomiędzy rządami i wypłynął stąd kongres akwisgrański. Jechali tam monarchowie z pewną obawą względem Aleksandra, którego Metternich podejrzywał mocno o sprzyjanie liberalnym kierunkom, a poseł sardyński w Paryżu o jakieś tajne związki z wszystkiemi konstytucyjnemi rządami w Europie.[1]) Bonapartyści z drugiej strony, podnieceni opowiadaniami Les Casesa i Gourgauda o cierpieniach Napoleona i prześladowaniach, jakich doznawał na wyspie św. Heleny, zwracali wzrok swój z ufnością na cara i w sercu jego, skłonnem do szlachetnych porywów, naj-

[1]) Stern Alfred: „Geschichte Europas seit den Verträgen vom Jahre 1815 bis zum Frankfurter Frieden im Jahre 1871“. Berlin 1894. T. I, str. 461.

większe pokładali nadzieje. Odważniejsi pomiędzy nimi uknuli nawet spisek w Brukselli, którego celem było Aleksandra uprowadzić i skłonić do oświadczenia na korzyść ekscesarza i do osadzenia na tronie francuskim młodego Napoleona lub księcia Eugeniusza Beauharnais.

Przebieg kongresu akwisgrańskiego i zachowanie się na nim cara dowiodły jednak, że podejrzenia te i nadzieje nie miały podstawy. Kiedy bowiem matka Napoleona udała się do zgromadzonych monarchów, błagając o wyzwolenie syna z ciężkiej niewoli, oświadczył się Aleksander najkategoryczniej przeciw temu, a memoryał rosyjski, ułożony w tej sprawie przez najzawziętszego wroga Bonapartych, hr. Pozzo di Borgo, wydał się nawet angielskiemu ministrowi zanadto gwałtownym i bezwzględnym. Co więcej, pokazało się, że rozruchy na uniwersytetach niemieckich, owa głośna natenczas uroczystość studencka na Wartburgu, zaniepokoiły żywo cara i jego doradców i że z polecenia dworu petersburskiego wyjechał do Niemiec młody Wołoch, Sturdza, w celu badania stosunków i składania relacyj carowi. Sprawozdania gorliwego lecz niezręcznego ajenta dostały się do rąk dyplomacyi pruskiej, która nie miała nic pilniejszego, jak ogłosić je w dziennikach zagranicznych. Powstało stąd oczywiście w Niemczech wielkie przeciw szpiegom rosyjskim oburzenie, wyzywano Sturdzę na pojedynek, on jednak zasłonił się rozkazem cesarskim, na co wyzywający oświadczyli, że z „maszyną do pisania“ bić się nie będą. Otóż obecnie przedłożył Aleksander kongresowi memoryał tego Sturdzy o stosunkach niemieckich, pełen narzekań na zepsucie młodzieży i doradzający rządom gruntowną reformę wychowania publicznego w duchu reakcyjnym i ograniczenie wolności druku. Po odczytaniu tego aktu odetchnęli swobodniej reprezentanci sprzymierzonych mocarstw, Metternich zacierał ręce z zadowoleniem, a Castlereagh donosił do Londynu, że teraz dopiero zerwały się wszelkie związki pomiędzy carem a Jakobinami całego świata. Jakoż rzeczywiście natychmiast po kongresie akwisgrańskim ukazało się w Warszawie pierwsze rozporządzenie rządowe, odnoszące się do spraw drukowych. Doniosła o tem „Gazeta codzienna, narodowa i obca“ w numerze 36., w sposób bardzo oględny, chociaż może nie bez ukrytej myśli. „Komisya rządowa wyznań religijnych i oświecenia — tak brzmiał ów artykuł — chcąc zapobiedz, aby wolność druku, to nieocenione dobrodziejstwo, w żadnym względzie przez nadużycie znieważonem nie było, reskryptem swoim z dnia 3. listopada 1818. roku ostrzegła wszystkie drukarnie, ażeby żadnego pisma, jakiejkolwiek objętości, nie przyjmowały do druku, nie znając dowodnie nazwiska jego autora, ani też nie wydawały żadnego dzieła bez oznaczenia swego nazwiska. Również ostrzega księgarzy i przedających, ażeby do swego handlu nie przyjmowali książek i pism drukowanych, nie znając z pewnością autora lub drukarni, z której wyszły“.

Oprócz uwag „Gazety“, dających się między wierszami wyczytać, nie sprawiło rozporządzenie komisyi silniejszego wrażenia. Kraj był spokojny, dobrobyt wzmagał się widocznie; wzniesiono nowy gmach menniczy, w którym wybijano monety z krajowego srebra, zakwitnęło rolnictwo i przemysł, rozwijał się uniwersytet świeżo założony, wychowanie publiczne zyskało

wiele.[1]) Jedno tylko dokuczliwe postępowanie wielkiego księcia Konstantego budziło niesmak i niezadowolenie. Z przykrością dowiedziano się, że Chłopicki, zrażony gwałtami carewicza, zażądał dymisyi, że pułkownik Bolesta, zasłużony weteran, służbę opuścił, że nawet Wincenty Krasiński, nie chcąc być narzędziem dzikich rozkazów naczelnego wodza, ostre miał z nim starcia. Rozdrażniony temi wypadkami, szalał wielki książe na Saskim placu, a po ulicach Warszawy aresztować kazał najspokojniejszych ludzi za urojone uchybienia, wbrew prawu neminem captivari permittemus. Wśród tego rozeszła się nagle wieść o zamordowanie Kotzebuego w Mannheimie. Wysłany przez rząd rosyjski do Niemiec, podobnie jak Sturdza, z poleceniem przesyłania sprawozdań o ruchu umysłowym i społecznym i uważany z tego powodu przez młodzież patryotyczną niemiecką za zdrajcę, padł on pod ciosami młodego zapaleńca Sanda, a tragiczny zgon jego stał się hasłem do prześladowania t. zw. „demagogów“ w Prusiech i w innych państwach związkowych. Równocześnie przyszło do poważnych zaburzeń w Anglii, gdzie stronnictwo postępowe, złożone z robotników i liberałów, pod dowództwem Hunta i Karola Wolseleya, domagało się natarczywie reformy ustawy wyborczej i zniesienia ceł zbożowych. Nie można się dziwić, że wypadki tego rodzaju odbiły się głośnym echem i w Polsce. Cywilizacyą złączeni z zachodem, od połowy XVIII. wieku naśladujący wzory francuskie w literaturze, w stosunkach towarzyskich i w życiu politycznem, za przykładem Francuzów podziwiający doskonałość konstytucyi angielskiej i angielskie swobody, zaczęliśmy śledzić żywo i z upodobaniem przebieg owej walki zasad liberalnych z reakcyą, którą w tych warunkach na ziemi polskiej reprezentował znienawidzony powszechnie carewicz Konstanty.

Młodsi i gorętsi więc rzucili się z całym zapałem na pole dziennikarskie, aby tym środkiem potężnym, a w Polsce jeszcze mało znanym i rozwiniętym, wpływać na opinię publiczną, kształcić ją politycznie i oswajać z życiem konstytucyjnem. Dziennikarstwo polskie znajdowało się wtedy w stanie prawie niemowlęcem. W Warszawie, obok „Pamiętnika Warszawskiego“, pisma głównie literacko-naukowego, wychodziły dwa razy na tydzień „Gazeta Warszawska“ i „Korespondent Warszawski“, w Wilnie „Dziennik Wileński“, założony na początku roku 1815., młodszy od niego o 10 miesięcy przez Joachima Lelewela rozpoczęty „Tygodnik Wileński“ i od roku 1816. „Wiadomości Brukowe“, organ towarzystwa „Szubrawców“. W Wielkopolsce wiodła żywot samotny „Gazeta Poznańska“, a we Lwowie jedynem pismem peryodycznem były wydawane — jako dodatek do „Gazety urzędowej lwowskiej“ — „Rozmaitości“, karmiące czytelników swoich od czasu do czasu artykułami, wziętemi z dzienników warszawskich. Żywszy ruch w tym kierunku wszczął się po roku 1815., najpierw — jak wspomniano już — w Wilnie, następnie w Warszawie; tam wzbudził go Lelewel i Śniadeccy, tu człowiek miernych zdolności i niewielkiego doświadczenia, Bruno Kiciński. Był on synem kasztelana Piusa Kicińskiego, kształcił się w Terezyanum

[1]) „Pamiętniki Niemcewicza“, t. II, str. 403.

w Wiedniu i u Pijarów w Warszawie i w bardzo młodym wieku (ur. w roku 1796.) próbował sił swoich na polu poezyi, jako tłumacz, wydał mianowicie „Przekłady Owidyusza“, „Batrachomijomachią“ Homera, wreszcie rozchwytywaną wówczas powieść tłumaczoną p. t. „Rinaldo-Rinaldini“. Uzyskawszy w ten sposób pewien rozgłos, założył w roku 1817. „Tygodnik Warszawski“, a od 1. października 1818. roku zaczął redagować razem z Teodorem Morawskim „Gazetę codzienną narodową i obcą“, czem zmusił istniejące już pisma do codziennego wychodzenia. „Gazeta“ była pisana w duchu patryotycznym, w sposób umiarkowany, i podawała głównie wiadomości zagraniczne, traktując bardzo obszernie sprawy francuskie i angielskie, do czego w tym czasie dawały powód żywe rozprawy w parlamencie paryskim, ruchy w Niemczech i zaburzenia reformatorskie w Anglii. Nagła zmiana pod tym względem nastąpiła w roku 1819. z przyczyny błahej i na pozór małoznaczącej. W Warszawie znajdowały się wtedy dwa teatra: polski i francuski. Pierwszy posiadał znakomite siły artystyczne, że tu wspomniemy Alojzego Żółkowskiego, Kudlicza, Leduchowską i Halpertową, drugi utrzymywany był właściwie dla przyjemności wielkiego księcia Konstantego i towarzystwa rosyjskiego. Teatrem polskim zajmowało się żywo stronnictwo patryotyczne, które schodziło się zwyczajnie w domu Mostowskich. Należeli do niego, oprócz gospodarza domu, książe Czartoryski, Matuszewicz, Niemcewicz, Lipiński, Ludwik Plater, Maksymilian Fredro, Kajetan Koźmian i inni. Oni to układali krytyki teatralne, podpisywane głoską X. i stąd słynęli pod imieniem towarzystwa Iksów. Recenzye ich były bezstronne, pisane ze znajomością rzeczy i pouczające i przyczyniały się wielce do ukształcenia artystów i rozwoju sztuki dramatycznej.

Ale i scena francuska miała także licznych zwolenników pomiędzy t. zw. wyższem towarzystwem polskiem, czasami liczniejszych nawet niż polska. Otóż zdarzyło się w maju roku 1819., że aktorka Philis, ciesząca się względami kilku generałów rosyjskich, wyszła na scenę z karmelkiem w ustach i gryząc go, niewyraźnie rolę swoją oddała, za co ją oburzona lekceważeniem publiczność wygwizdała, pomimo żywego niezadowolenia obecnych Rosyan. Nazajutrz ukazało się z polecenia namiestnika na rogach ulic rozporządzenie, zakazujące gwizdania w teatrach pod rygorem kar policyjnych, rozporządzenie dziwne, w świecie cywilizowanym niepraktykowane i z wielu względów nawet niesłuszne. „Gazeta codzienna“ odpowiedziała na nie w numerze 183. artykułem: „O nadużyciach policyjnych w państwie konstytucyjnem“, gdzie — niewspominając o rozporządzeniu władz warszawskich — ogólne zadawała pytanie: „Gdyby w jakim kraju konstytucyjnem zwierzchność policyjna wydała obwieszczenie, że kto na widowisku publicznem świstać, sykać lub wzgardę osobom to widowisko dającym okazywać będzie, wyprowadzonym, pod areszt wziętym i policyjnie ukaranym zostanie, pytam się, byłożby to konstytucyjnie, czy arbitralnie?“ i — uważając postępowanie takie za arbitralność — kończyła temi słowy: „Trzeba, ażeby policya trzymała się w obrębach swoich, bo tak jedynie stanie się władzą, dla kraju zbawienną“. Może być, że umiarkowana i zupełnie przedmiotowa uwaga „Gazety“ nie pociągnęłaby była ważniejszych

za sobą skutków, gdy nie to, że w ślad za nią pojawił się cały szereg artykułów (w numerach 185., 187., 188. i 189.), przenoszący sprawę czysto-policyjną dotąd na grunt konstytucyjny, a więc o wiele rozleglejszy i nadający zajściu w teatrze polityczne znaczenie. Pierwszy wystąpił w szranki Franciszek Skomorowski, dziękując publicznie wydawcom „Gazety“ za artykuł o policyi, czem oni ośmieleni dodali od siebie zdanie: „Każdy prawy Polak, przywiązany do konstytucyi krajowej, śmiałoby przemówił, gdy ta konstytucya, tarcza swobód naszych, zgwałconą zostaje“. Po Skomorowskim pochwalił również wystąpienie „Gazety“ Ignacy Kochanowski, a Jan Olbricht Szaniecki ogłosił dwie rozprawki: „O sposobie publicznego wynurzania zdań w państwie konstytucyjnem“ i „O potrzebie udzielania zdań i wzajemnego oświecenia się w państwie konstytucyjnem“, gdzie pomiędzy innemi taką stawiał zasadę: „Wolność druku, czyli wolność wynurzania publicznie zdań, jest jedno z najgłówniejszych podstaw rządu konstytucyjnego. Bez wolności druku nie ma konstytucyi, nie ma wolności osobistej“.

Nagłe to obudzenie się ducha publicznego i systematyczna kampania przeciw rządowi zaniepokoiła wielkiego księcia, a jeszcze bardziej namiestnika, którego po swojemu obrabiał Nowosilcow,[1]) już to z nienawiści ku Polakom, już z obawy udanej lub prawdziwej przed „Jakobinami“. Konstanty okazał więcej umiarkowania i rozsądku, kazał bowiem przywołać do siebie Kicińskiego, Skomorowskiego i Morawskiego, rozmawiał z nimi spokojnie, przedkładał im, że nie dobrze postąpili, pisząc tak ostro przeciw rządowi, wreszcie uściskał ich i prosił, aby byli jego przyjaciółmi, Czy to było udane, czy szczere? trudno dziś odgadnąć. Namiestnik przeciwnie zwołał sessyą ministrów i gdy Mostowski zażądał cofnięcia rozkazu policyjnego, nietylko, że na to niepozwolił, ale nawet — pomimo żwawej opozycyi Stanisława Potockiego i Mostowskiego — postanowił wszystkie pisma peryodyczne poddać pod cenzurę. Taka była geneza zaprowadzenia cenzury w królestwie rozkazem namiestnika z dnia 22. maja 1819. roku, podpisanym także przez ministra oświecenia Potockiego. Naprożno wydawcy „Gazety“ chcieli się poddać cenzurze, aby byt dziennika uratować, dnia 15. czerwca nakazano im dalsze wydawnictwo wstrzymać, „dopóki do dalszego wydawania nie otrzymają wyraźnego pozwolenia rządu“. Wtedy Kiciński zaczął ogłaszać pismo nieperyodyczne, a więc cenzurze nie „uległe“, pod tytułem: „Kronika“ drugiej połowy roku 1819., które miało objąć do końca grudnia 100 tomików, następnie zaś „Orła Białego“. Ażeby i temu obejściu prawa zapobiedz, wydał namiestnik dnia 22. lipca nowe rozporządzenie, mocą którego rozciągnął cenzurę na wszystkie pisma bez wyjątku, a więc i nieperyodyczne. Od podpisania tego rozporządzenia uchylił się Stanisław Potocki, w zastępstwie jego podpisał Staszyc.

Zaprowadzenie cenzury w tej formie było niewątpliwie pogwałceniem konstytucyi. W całej Europie wiał wtedy wiatr reakcyjny i wszystkie rządy dążyły do ograniczenia wolności druku. W państwach niekonstytucyjnych wystarczał do tego rozkaz gabinetowy; tak cesarz Franciszek polecił odręcznym

[1]) „Pamiętniki Niemcewicza“, t. II, str. 414.

biletem (Handbillet) Gentzowi, ażeby dzienniki nie ważyły się pisać o konstytucyi; król pruski zawiesił wydawnictwo czasopisma „Rheinischer Mercur“, kiedy Görres umieścił tam kilka artykułów przeciw obskurantom, wietrzącym wszędzie spiski rewolucyjne i „jakobińskie“ zamachy; król holenderski zakazał dziennik „Le vrai libéral“, wychodzący w Brukselli, za artykuł o zamierzonem małżeństwie wielkiego księcia Konstantego z Joanną Grudzińską. We Francyi i w Anglii, gdzie panował system reprezentacyjny, używały rządy do przytłumienia wolności druku parlamentów. W pierwszem państwie — pomimo „karty“ konstytucyjnej — istniała cenzura bez przerwy, przydłużana uchwałami parlamentu; w Anglii, po zaburzeniach w Manchesterze, przyjęły izby przy końcu roku 1819. t. zw. ustawy „kagańcowe“, a pomiędzy niemi także bardzo surową ustawę ścieśniającą, a raczej znoszącą wolność druku.[1]) Rozporządzenia Zajączka wypływały zatem poniekąd z tego ogólnego prądu, jaki panował natenczas w całej Europie, jakiemu uległ sam Aleksander w Akwisgranie, ale raziły i razić musiały niezwykłością formy i duchem antikonstytucyjnym. Ratując pozory, odwołał się namiestnik w pierwszem rozporządzeniu do dawnych praw polskich i księstwa warszawskiego, które nie znały ustawy o wolności druku, a zapomniał o konstytucyi, która wolność tę zaręczała. Mimoto cenzura nie była tak surową, jakby przypuszczać można. „Orzeł Biały“ n. p., wychodzący już pod cenzurą, pisze dość swobodnie, kiedy mu wolno było rozbierać kwestye drażliwe, jak w artykule „O zaręczeniach, jakich wymaga dzisiejszy stan społeczeństwa“ (t. I, str. 154), lub przytoczyć w całości mowę Wincentego Niemojowskiego do wyborców, a w niej ustęp taki: „...przyrzekam Wam uroczyście, że nie zamilczę żadnego bezprawia. Póki głos mój nie zgaśnie, póki mi cień tylko wolności zostanie, póty będę wołał o zachowanie konstytucyi, póty będę obstawał przy świętych prawach narodu“;[2]) kiedy w „Kronice“ mógł się pojawić taki „Sen Plutarcha“ Niemcewicza. W całej tej sprawie drukowej grały wyraźnie ważną rolę pokątne intrygi: podszepty zauszników Zajączka: Okołowa i Kosseckiego, donosy do wielkiego księcia i nienawiść Nowosilcowa do Polaków. Uległ im także i Aleksander z początku, później jednak zdawał się zmieniać zdanie, zwłaszcza, że nadchodził czas sejmu i względy polityczne wymagały uspokojenia rozdrażnionych umysłów. W tym też a nie innym celu zapewne wyszło z Petersburga pod datą 13. grudnia 1819. roku pismo gabinetowe, starające się usprawiedliwić zaprowadzenie cenzury i nadużycia, jakich się dopuszczał mianowicie Konstanty względem wolności osobistej w królestwie, więżąc u Karmelitów ludzi podejrzanych politycznie bez poprzedniego śledztwa sądowego, jak tego ustawy konstytucyjne wymagały. Usprawiedliwienie cesarskie, bo od cesarza wprost reskrypt ten pochodził, nie mogło jednak ani bezprawnego postępowania rządu wytłumaczyć, ani ułagodzić rozdrażnionych umysłów, a wyżej wspomniana mowa Niemojowskiego zapowiadała wyraźnie zaciętą na sejmie opozycyą. Wiedział o tem Aleksander i dlatego w mowie tronowej

[1]) Stern Alfred: „Geschichte Europas seit den Verträgen vom Jahre 1815 bis zum Frankfurter Frieden im Jahre 1871“. Berlin 1894, str. 534.

[2]) Mowę tę wypowiedział 18. lutego 1820. roku.

— przy otwarciu sejmu w dniu 13. września 1820. roku — uderzył w ton pojednawczy. Nie wspominając o pogwałceniu ustaw konstytucyjnych wyraźnie, dotknął jednak tej drażliwej kwestyi z widocznem celem usprawiedliwienia się przed izbą. „Może — mówił — żądza osiągnięcia celu stała się przyczyną, że nie zawsze trzymano się drogi przepisanej, jaką z upodobaniem postanowiłem, chęci jednak moje nie zmienią się i stałą jest wolą moją, ażeby na przyszłość raz postanowione prawidła ściśle były zachowane". Po tem uroczystem zapewnieniu nastąpiło ostrzeżenie, wystosowane do narodu polskiego z powodu nowych prądów, objawiających się na zachodzie Europy, które cesarz jako „zarody rozprzężenia" tłumić postanowił, a wreszcie ponowna obietnica, nieokreślona i niejasna, podobnie jak dawniejsze. „Jeszcze — tak kończył — kilka kroków, kierowanych mądrością i umiarkowaniem, nacechowanych zaufaniem i prawością, a staniecie u celu waszych i moich nadziei".

Mowa Aleksandra wyrażała wiernie jego obecne usposobienie i przekonanie. Niegdyś marzyciel i fantasta, zachwycający się zasadami republikanów francuskich, tęsknił on do życia sielankowego i gotów był dla tych marzeń swoich poświęcić nawet koronę. Później wielbiciel Napoleona, następnie zawzięty jego wróg, zmienną koleją losów wyniesiony na najwyższy szczebel sławy i popularności, pragnął on zostać w istocie „aniołem pokoju", stróżem ładu i porządku europejskiego, twórcą szczęścia całej ludzkości. W tem usposobieniu zetknął się z panią Krüdener, kobietą egzaltowaną i przejętą na wskroś duchem mistycyzmu religijnego. W Wiedniu, za pośrednictwem przyjaciółki swojej Roksandy Sturdza, damy z otoczenia cesarzowej, przesyłała ona Aleksandrowi listy, pełne niejasnych przepowiedni i upomnień i nie spoczęła tak długo, dokąd nie uzyskała u cesarza audyencyi, kiedy udawał się do wojska, przed bitwą pod Waterloo. Po upadku Napoleona podążyła za carem do Paryża i tu — poparta przez słynnego natenczas Mesmera i Bergassa — opanowała do reszty umysł Aleksandra.

Pod wpływem tych konferencyj powstała w cesarzu myśl „świętego przymierza", o którem miał już wspominać prorok Daniel. Przystąpił do niego natychmiast Fryderyk Wilhelm III., a po pewnem wahaniu także i cesarz Franciszek I. Akt przymierza, spisany dnia 26. września 1815. roku, oświadczał, że trzej władcy mają jak bracia pomagać sobie zawsze i wszędzie, a poddanymi swoimi rządzić „po ojcowsku", w duchu sprawiedliwości, zasad chrześciańskich i pokoju.

W istocie nie posiadało „święte przymierze", nie podpisane przez żadnego ministra, lecz tylko przez trzech monarchów, politycznego znaczenia, było — jak się Gentz złośliwie wyrażał — „teatralną dekoracyą", a jak pisał de Maistre, „wielką chimerą powszechnego chrześciaństwa". Mimoto wypadki lat następnych przyoblekły w ciało i utrwaliły fantastyczny związek. Zdawało się, że „demokracya" rewolucyjna — jak się wyrażał Baader — podnosi znowu głowę, że „zły duch[1]) kusi się, aby osiągnąć nanowo straszne swe pa-

[1]) Słowa cesarza Aleksandra.

nowanie“. Śmierć Kotzebuego i zamordowanie księcia Berry (w lutym 1820. roku) utwierdzały monarchów w tem przekonaniu i stąd poszła owa przestroga, jaką z wysokości tronu rzucił w Warszawie Aleksander izbom i rewolucyjnej Europie. Ale zwracając uwagę jednych i drugiej na „szkodliwy wpływ namiętności zawsze nieprawnych, zawsze ślepych“, nieomieszkał cesarz dodać, że od zasad swoich nie odstępuje. Jak zaś te zasady pojmował, to wytłumaczył niedawno posłowi austryackiemu Lebzelternowi. „Pan jesteś w Warszawie — rzekł — i widzisz, jakim torem sprawy idą. Sądziłem, że należy dać Polakom konstytucyą liberalną, ale stworzyłem obok tego takie hamulce, które nie pozwalają Polakom przekroczyć pewnych granic“.[1])

Temi hamulcami były oczywiście z jednéj strony dyskrecyonalna władza w. ks. Konstantego, z drugiéj cenzura i ograniczenie działalności Sejmu; po zatem mogła istnieć konstytucya i cesarz chciał aby istniała. Taki był stan rzeczy w Europie i w Polsce, takie było usposobienie Aleksandra, kiedy Sejmowi przyszło zabrać głos w imieniu narodu i zaznaczyć swoje stanowisko polityczne względem rządu. Położenie było niezmiernie trudne, odpowiedzialność wielka. Współcześni, członkowie Izby poselskiej, widzieli przed sobą tylko dwie drogi: albo „uspokoiwszy się nadzieją obietnic królewskich, milcząc i z zamkniętemi oczyma poświęcić konstytucyą, czekając dopełnienia przyrzeczeń“, albo stanąć twardo w obronie tego co już otrzymano. Zapomnieli, że pomiędzy tem był jeszcze sposób trzeci, ten który kraj od katastrofy mógł ratować, bez poświęcenia „z zamkniętemi oczyma konstytucyi“. Tym środkiem była remonstracya przeciw pogwałceniu obowiązujących ustaw, w uwagach od sejmu, środek, zapewne nieskuteczny, ale ratujący przynajmniej pozory. Opozycya namiętna, gwałtowna, do której dała się porwać izba poselska, nie mogła mieć innego celu jak zmusić cara do zniesienia konstytucyi a naród do powstania. Kto opozycyą rozpoczynał i nią kierował ten musiał, jeżeli był człowiekiem politycznym, liczyć się z jedną i drugą ewentualnością. Otóż zniesienie konstytucyi, chociaż okrojonej i kilkakrotnie pogwałconej, nie mogło być pożądenem ani dla Królestwa ani dla narodu polskiego w ogóle, zaś powstanie zbrojne, w chwili gdy reakcya tryumfowała w Europie, gdy na żadną pomoc liczyć nie mogliśmy, gdy kraj z upadku ekonomicznego zaledwie dźwigać się zaczynał a skarb publiczny, skutkiem złéj gospodarki, w najkrytyczniejszem znajdował się położeniu, uważać trzeba za proste szaleństwo. W pięć lat później, w zmienionych zupełnie stosunkach, niechciał Mochnacki[2]) rozstrzygać pytania czy wtedy rewolucya „rokowała nam jakową niepodległości nadzieję?“, w r. 1820 nie rokowała z pewnością żadnej. A jednak opozycya nie wahała się ani na chwilę wyzwać rząd do walki. Za jej przewodem odrzuciła więc izba projekt procedury kryminalnej i zmiany statutu organizacyjnego dla senatu, ostatnie wbrew wyraźnemu życzeniu Aleksandra. Są ślady, że Nowosilców zręcznie podniecał opozycyą, aby zniechęcić cara zupełnie do

[1]) Stern Alfred: „Geschichte Europas seit den Verträgen vom Jahre 1815 bis zum Frankfurter Frieden im Jahre 1871“ (podług relacyj Lebzelterna z roku 1819. w archiwum wiedeńskiem). T. I, str. 594.

[2]) M. Mochnacki, Powstanie narodu pol. I. 145.

Polaków[1]) a powątpiewać o tem nie można, gdy i Niemcewicz[2]) o podobnym wypadku, przy innej sposobności wspomina. Z ministrów Mostowski bronił projektu rządowego i wypowiedział przy tem mowę polityczną. „Celem człowieka — były jego słowa — i ludów w społeczeństwie zebranych jest wprawdzie szczęście, lecz w takim stopniu, w jakiem się da osiągnąć ze względu na położenie i okoliczności obecne. Żądać zaś więcéj jak te dozwalają, choćby przy niemylnych prawidłach, ale w mylnéj porze, może zwątlić nietylko otrzymane, ale nawet spodziewane korzyści. Takowe wymaganie chociażby wzbudziło dla surowej cnoty szacunek, nie zawsze jednak ściągnąć może uwielbienie i wdzięczność narodu. Wytrwałość Polaków w doznanych nieszczęściach i zachowanie czystości ducha obywatelskiego, od pół wieku, pod różnemi rządami zostających, ujęły władzę i skłoniły ją do zwrócenia im narodowości. Te cudownie zyskane swobody raczej przezornie pielęgnować i zwolna utrwalenia szczęścia Ojczyzny poszukiwać wypada, niżeli drażnić losy, od wieków nieprzyjazne, a może niezliczonymi ofiarami niezupełnie dotąd odkupione".

Uwagi doświadczonego patryoty nie zdołały jednak powstrzymać opozycyi ani uratować ustaw z góry na odrzucenie skazanych. Nie poprzestając na tem, złożył Niemojowski Wincenty do laski marszałkowskiej zaskarżenie przeciw ministrowi „obrządków religijnych i oświecenia publicznego" Potockiemu i Radcy Stanu Staszicowi o zakontrosygnowanie postanowień administracyjnych z dnia 22. maja i 16. lipca 1819 r., pociągających pod cenzurę naprzód pisma peryodyczne a następnie wszystkie inne bez wyjątku dzieła. Na wniosek Lindego[3]) zamieniła się izba, po dłuższej dyskusyi, w Wydział tajny i na tem posiedzeniu poufnem odrzuciła oskarżenie, w uwagach jednak nad raportem Rady Stanu dotknęła tego przedmiotu i zaznaczywszy, że „ustanowienie takowego prawa tylko collective Panującego z Izbami sejmowemi jest atrybucyą", upraszała N. Pana o zniesienie tych ustaw administracyjnych.[4])

Wrażenie obrad sejmowych, zaostrzone przy końcu wycieczkami posłów niektórych przeciw Marszałkowi Izby poselskiej Rembielińskiemu, odbiło się silnie w mowie tronowej, zamykającej sessyą sejmową. Rozdrażniony odrzucaniem projektów rządowych i opozycyą Kaliszanów, odezwał się Aleksander tym razem w tonie szorstkim i strofującym: „Doszedłszy dziś do kresu — mówił — u którego zastanawiają się prace, jakie was stopniami prowadzić mają ku temu ważnemu celowi, łatwo przekonać się możecie, o ile się do niego przybliżyliście. Zapytajcie się sumienia waszego, a dowiecie się, czyli w ciągu obrad waszych położyliście dla Polski wszystkie usługi, których ona po waszej oczekiwała mądrości, lub też czy przeciwnie, ulegając ułudzeniom, nader po dziś dzień pospolitym i poświęcając nadzieję, którą przezorna ufność byłaby ziściła, nie opóźniliście w jego postępach dzieła przywrócenia Ojczyzny waszej? Ta ciężka odpowiedzialność na was spadać będzie. Jest ona

[1]) Skarbek, Dzieje Polski. Część II, str. 157.
[2]) Pamięt. II, 381.
[3]) Obniski, Dziennik urzędowy posiedzeń Izby poselskiej w r. 1820, str. 64.
[4]) Tamże str. 400.

koniecznym skutkiem niepodległości zdań waszych, zdań wolnych, lecz którym chęć czysta zawsze przewodniczyć winna. Moja chęć jest wam znajoma. Otrzymaliście dobre za złe, a Polska znów się podniosła do rzędu mocarstw. Trwać będę w moich względem niej zamiarach, pomimo mniemania, któreby powziąć można o sposobie, jakim waszych swobód użyliście. Mogą się wszelako jeszcze osłabić wrażenia szkodliwe. Członkowie zgromadzenia tego, których szczera miłość dobra publicznego przejmuje, dopełnią zaszczytnego swego powołania, zanosząc do siedlisk swoich słowa pokoju i zgody, rozkrzewiając w nich tego ducha spokojności i zawierzenia, bez którego najzbawienniejsze prawa zawsze płonnemi pozostaną.... Wstrzymuję się teraz od sądzenia powodów, dla których nie przyjęliście projektów, jakie miały uzupełnić układ prawodawstwa waszego. Współobywatelom waszym zostawiam wyrzeczenie, czyli takowego postanowienia waszego jedynym było celem zjednanie ustawom, którym podlegać macie, tych udoskonaleń, jakie im nadać może dojrzalszy i głębszy rozbiór".

Nie tyle ostrość tych słów cesarskich, z pod której przebłyskiwała jeszcze dawniejsza życzliwość dla Polski i Polaków, co wypadki sejm warszawski poprzedzające, nadawały mowie tronowej Aleksandra szczególniejsze i dla Królestwa niebezpieczne znaczenie. Europa zachodnia i południowa trzęsła się od konspiracyj i rewolucyjnych zamachów. Zaledwie stłumiono ruch powstańczy w Portugalii, kiedy Hiszpania podniosła się przeciw despotycznym rządom Ferdynanda VII. i wymogła na nim przywrócenie konstytucyi z r. 1812. Za przykładem Hiszpanii poszedł Neapol, po Neapolitańczykach chwycili za broń patryoci włoscy w Piemoncie, heterye helleńskie przygotowywały w cichości ogólne powstanie Greków na półwyspie bałkańskim a we Francyi dojrzewał spisek pułk. Fabviera, mający na celu wypędzenie Burbonów. Szły te ruchy jak pożar, chwytając płomieniem swoim najbliższe przedmioty i rozrzucając iskry zapalne na około. Umysły niespokojne drżały pod wrażeniem nieustających prawie wiadomości rewolucyjnych z starego i nowego świata; dzienniki współczesne zamieszczały obszerne opisy powstania hiszpańskiego, wielbiły cnoty republikańskie Boliwara, walczącego za wolność południowo-amerykańskich kolonij a obok tego sławiły Ferdynanda VII. najnikczemnijszego i najbardziej ograniczonego ze wszystkich monarchów europejskich, jako „wspaniałego" i „szlachetnego" króla, który „okazuje coraz więcej przywiązania do konstytucyi" nie z przymusu ale „z własnego przekonania".[1]) Rządy, zaniepokojone temi objawami „jakobinizmu" zaczęły przemyśliwać nad środkami stłumienia rewolucyi. Nawoływał do porozumienia w tym względzie gabinet wiedeński, zagrożony bezpośrednio w posiadaniu włoskich swoich prowincyj, skłaniał się ku temu Aleksander, oburzony na rewolucyonistów hiszpańskich, i na jego życzenie przyszedł do skutku kongres w Opawie (w październiku r. 1820).

Jechał tam cesarz wprost z Warszawy, pod niekorzystnem wrażeniem ukończonej co tylko sessyi sejmowej, w towarzystwie ministra spraw zagra-

[1]) Orzeł Biały, t. 9, (z r. 1820) str. 245.

nicznych hr. Kapodistrias, który go dotąd w liberalnych zamiarach utwierdzał, a teraz widząc zmianę w usposobieniu pana, choć niechętnie za wiatrem się obracał. Car był w istocie rozżalony. „W tym polskim narodzie który zaledwie odzyskał swoją niezawisłość — mówił do posła francuskiego — są ludzie, co sieją niezgodę. Gdyby się przeci w nim nie wystąpiło stanowczo, widzielibyśmy wnet w Warszawie na trybunie sejmowej takich, którzy z waszym Manuelem mogliby współzawodniczyć“. Była to oczywista aluzya do Niemojowskiego i poselskiej opozycyi sejmowej. — W Opawie radzono przez cały miesiąc, wreszcie udało się Metternichowi porozumienie z Rosyą w kwestyi neapolitańskiej. Postanowiono odbyć w styczniu 1821 r. zjazd w Lublanie, już z królem neapolitańskim, a tymczasem Metternich przekonywał w poufnych rozmowach Aleksandra, że koniecznem jest ścisłe połączenie monarchów i zniesienie wolności druku, która była do połowy 17. wieku nieznaną a teraz stała się plagą społeczeństwa. Kongres w Lublanie, liczniejszy i w skutkach swoich ważniejszy, zakończył się zupełnem tryumfem Metternicha i jego systemu politycznego. Dawniejsza harmonia mocarstw europejskich rozchwiała się wprawdzie zupełnie; Anglia i Francya, niechętne wzrostowi potężnych i tak już wpływów austryackich we Włoszech, i niesklonne do wykonywania posług policyjnych w interesie gabinetu wiedeńskiego, stanęły na uboczu, ale za to zmieniły się stosunki pomiędzy Austryą, Rosyą i Prusami. Metternich, otrzymawszy przyzwolenie swoich sprzymierzeńców, gospodarował dowolnie na półwyspie apenińskim; korpus austryacki pod gen. Frimontem przywrócił władzę Ferdynanda w Neapolu, drugi pod Bubną zgniótł słabe powstanie piemonckie, włoskich patryotów internowano w Bernie, Pradze i Gracu, innych niebezpieczniejszych pochłonęły na długie lata (Silvio Pellico) osławione kazamaty na Spielbergu. Wszystko to zaś działo się za wyraźną zgodą cara Aleksandra, który, ku niepomiernej radości Metternicha, otrząsnął się wreszcie ze swoich marzeń i nałogów liberalnych, stał się, podług słów kanclerza austryackiego „z czarnego białym“. Podrażniony opozycyą polską otrzymał on w Lublanie wiadomość o wybuchu powstania greckiego. Sztandar rewolucyi helleńskiej rozwinął na Wołoszczyźnic Aleksander Ipsilanti, ten sam co w bitwie pod Dreznem utracił rękę a następnie, mianowany generał-majorem i adjutantem carskim, pozyskał sobie szczególniejsze względy cesarza. Ufny w tę łaskę, nie wystąpiwszy wcale z wojska rossyjskiego, stanął on na czele powstańców, opanował Jassy i wystosował list do cara, w którym poruczał jego opiece „dziesięć milionów“ chrześcijan jęczących pod jarzmem tureckiem i wzywał go do oswobodzenia Grecyi. W obecnych warunkach był to krok kompromitujący Aleksandra w oczech całej legitymistycznej Europy. Po układach w Opawie i Lublanie, gdzie postanowiono zgnieść hydrę rewolucyjną i wytępić tajne związki, wzywał pomocy carskiej przedstawiciel heteryi helleńskiej, nieróżniącej się w niczem od „węglarzy“ i „kotlarzy“ włoskich, tak jak oni dążącej, do obalenia prawowitej władzy, do zażegnięcia wojny domowej i anarchii. Odpowiedź Aleksandra była zatem ostra i stanowcza. Odmawiał on nietylko wszelkiej pomocy, ale upominał zarazem „zaślepionych“, aby zaniechali zuchwałych zamiarów i nie ważyli się powracać do Rosyi. Pod takiem wrażeniem i w

takiem usposobieniu powracał cesarz do Petersburga, aby w państwie swojem zastosować środki antirewolucyjne, ułożone w poufnych z Metternichem rozmowach i zatwierdzono w „deklaracyi“ lublańskiej z d. 12. maja 1821 r. Grom miał uderzyć najpierw w Polskę i Polaków, zarażonych „jakobińskiemi“ zasadami.

Życie duchowe u nas rozwijało się, jak to już nieraz zaznaczyliśmy, pod wpływem wyobrażeń zachodnich. Gmach oświaty polskiej, wzniesiony pierwotnie na gruncie klassycznym, wsiąkał w siebie zwolna lecz stale wszelkie kierunki naukowe i literackie, przyswajał sobie, nieraz może zapóźno, nowe hasła społeczne i tym postępem zaznaczał spólną cywilizacyją, jako go od wieków łączyła z Zachodem. Im szybciej odbywał się ten proces assymilacyjny, tem świetniej rozwijało się u nas życie narodowe i literackie, jak tego dowodzą dzieje w. XV. i „złoty“ okres Zygmuntowski, podczas gdy upadek piśmiennictwa i oświaty był nieodłączonym towarzyszem największego poniżenia narodu i państwa pod względem politycznym. Jakoż odrodzenie Rzeczypospolitej w drugiej połowie XVIII. w. schodzi się z nowym rozkwitem literatury, umiejętności i wychowania publicznego. A jak cała Europa ówczesna tak i Polska hołduje wtedy wyobrażeniom francuskim, korzy się przed potęgą genialnych myślicieli francuskich, przyswaja sobie ich poglądy naukowe i społeczne, usiłuje naśladować niewolniczo zalety świetnego ich stylu, przejmuje nawet ich wady, ułomności i błędy. Ale jest w tem naśladownictwie, posuwającem się często do śmieszności, granica pewna, zakreślona charakterem i tradycyą narodową. Gdy ruch rewolucyjny nad Sekwaną wywraca Tron i ołtarze, króla prowadzi pod gilotynę i cześć, Bogu oddawaną, zastępuje kultem „Rozumu“, u nas w tym samym czasie utrwala konstytucya 3. maja zasadę i władzę monarchiczną i w pierwszym artykule nowej ustawy oświadcza wyraźnie, że religia rzymsko-katolicka jest i pozostanie na zawsze religią panującą w Polsce. I chociaż z biegiem czasu, pod wpływem wyobrażeń zachodnich i skutkiem przewrotności rządów rozbiorczych, które „w imię Trójcy przenajświętszej“ na narodzie polskim największe popełniają gwałty, ów duch religijny cokolwiek się oziębia, chociaż moda francuska wprowadza do kraju massoneryą, a rozpacz ciemne tłumy do anarchistycznych popycha rozruchów, to ogół narodu pozostaje wiernym tradycyi ojców a najżarliwśi patryoci trzymają się stale zasad, wyrażonych w konstytucyi 3. maja. Wbrew i pomimo tego jednak rozpoczyna się już wtedy walka przeciw nowatorstwu, przeciw Wolteryanizmowi i wolnomularstwu; wśród powszechnego upadku ducha narodowego i literatury, znajdują się ludzie, którzy nieszczędzą pracy i pieniędzy na tłumaczenie i wydawanie dzieł ks. Barruela[1]), jak gdyby walka z wolnomularstwem ważniejszą była od szerzenia oświaty i zdrowych pojęć w narodzie, pozbawionym bytu politycznego i środków stosownego wykształcenia. Szczęk oręża i wielkie wypadki, rozgrywające się po większej części na obszarze ziem polskich, przygłuszyły na razie tę walkę jałową i niepożyteczną, ale skoro tylko Polska odzyskała do pewnego stopnia swobodę i byt

[1]) Tajemnice massonii sprofanowane. Lwów 1804.

polityczny, zawrzała ona na nowo. Pierwsze pociski zwróciły się przeciw „liberalizmowi“ w ogóle, i przeciw ówczesnemu kierunkowi wychowania publicznego i tym którzy ster edukacyi dzierżyli. Wyobrażenia liberalne — tak twierdzono — „podkopują trony, obalają ołtarze i mięszają świat cały“. „System wychowania publicznego, pod przewodnictwem Stanisława Potockiego i kilku uczonych i znakomitych mężów,[1]) do składu komissyi edukacyjnej należących, pod względem naukowym i patryotycznym, pod względem kierunku szlachetnego, nadanego młodzieży, nic do życzenia nie zostawiał, ale dążność religijna nie dość była wyraźna i więcej duch filozoficzny jak chreścijański ożywiał zwierzchników, mistrzów nauczycieli a więc i uczniów.“[2])

Na pierwszy zarzut odpowiedział rozumnie i spokojnie Pamiętnik Warszawski (r. 1816): „Polityka liberalna nie drażni niczyjej miłości własnej, jednoczy interesa i rozbraja częstokroć ramię, już wznoszące miecz bratobójczy. Duch liberalny nie oskarza ani przyjaciół wolności o sprzyjanie okropnościom anarchii, ani przyjaciół religii o pochwalanie nocy św. Bartłomieja. Podły i brzydki egoizm szuka zalety z wyłącznego sposobu myślenia i zdań zimno przesadzonych; dusza liberalna, poświęcając żal nawet najsłuszniejszy dobru publicznemu, widzi brata w każdym człowieku, użytecznym swej ojczyźnie.“ A na innem miejscu: „Wyobrażenie polityczne jest liberalnem, kiedy jest zgodne z moralnem celem bytu człowieka; kiedy sprzyja rozwinięciu i wydoskonaleniu władz naszych umysłowych; kiedy dąży do zapewnienia wolności publicznej i praw społeczeństwa całego przeciw nieprawej potędze osób poedyńczych, czyli to anarchicznej, czyli despotycznej; kiedy zamierza korzyść wszystkich czyli dobro publiczne nie zaś prywatne osob szczególnych lub jednej klasy; kiedy wznieca uczucia wspaniałe, wysokie i patryotyczne a nie próżność, chciwość i słabość podsyca; kiedy jest, jednem słowem, godna nie dworaka układnego, nie pochlebcy najemnego lub podłego niewolnika, ale obywatela państwa i czynnego a niepodległego członka familii politycznej.“

Na drugi niech odpowiedzą fakta. Gdy podług świadectwa X. Szantyra.[3]) Litwa cała roiła się od massonów, gdy jak twierdzi inny autor[4]) szlachcie białoruskiej uniwersytet wileński wydawał się zbyt liberalnym, a w istocie „uważany być może za ognisko patryotyzmu polskiego, ale opartego na zasadach rewolucyjnych“.[5]) gdy zatem kierunek wychowania publicznego w okręgu naukowym wileńskim był, jakby stąd wnosić należało, co najmniej niestosownym i z potrzebami religii i ładu społecznego niezgodnym, młodzież podlegająca władzy uniwersyteckiej i u źródła liberalnego czerpająca nauki, odznaczała się pobożnością i prawdziwie chrześcijańską moralnością. Filareci, którzy przecież są najwybitniejszymi reprezentantami tego pokolenia, wzrastającego pomiędzy massonami i liberałami, mogą służyć za przykład bogobojności i obyczajności. Każdą majówkę rozpoczynali o świcie pieśnią: „Kiedy ranne wstają

[1]) Staszic, Niemcewicz, Prażmowski, Lipiński, Sierakowski.
[2]) Wspomnienia Andrz. Edw. Koźmiona, t. I. Poznań 1876, str. 166.
[3]) Zbiór wiadomości etc. str. 348.
[4]) X. Załęski, Zniesienie Jezuitów w Polsce, str. 374.
[5]) Tamże str. 377.

zorze“ a kończyli mszą św. w kościele św. Jana lub w Ostrej Bramie, gdzie wszyscy uczestnicy, z początku ku niemałemu zdziwieniu publiczności, gromadnie się schodzili i przykładnie modlili.[1]) Przykład, dany z góry, naśladowała młodzież po prowincyi. Towarzystwo „Zorzan“, zawiązane przez uczniów gimnazyalnych w Białymstoku i Swisłoczy ułożyło sobie następujące prawidła, do których każdy członek był obowiązany się stosować: 1. Wyznawać jednego tylko Boga. 2. Kochać wszystkich ludzi. 3. Ulegać każdej władzy legalnej, 4. Nie grać w karty i nie używać napojów gorących. 5. Dokładać wszelkich

Gmach Banku polskiego w Warszawie.

możliwych starań w celu nabycia pożytecznych wiadomości.[2]) Jeżeli zważymy, że podobny duch panował także w Krzemieńcu i w szkołach, stworzonych zapobiegliwością Tadeusza Czackiego, to nie zbłądzimy chyba twierdząc, że zarzuty, przeciw ówczesnemu systemowi wychowania publicznego skierowane albo nie mają podstawy albo są też przesadzone. A mimo to walka, podjęta na całej linii toczyła się namiętnie i zapamiętale tak w Warszawie jak i w Wilnie. Podtrzymywali ją obskuranci w Dzienniku Wileńskim, Jezuici w Miesięczniku Połockim, odpowiadali na zarzuty przeciwników liberalni.

[1]) Ignacy Domejko: Filareci i Filomaci. Poznań 1872.

[2]) Z. Wasilewski: Promieniści, Filareci i Zorzanie. Dokumenty urzędowe. Arch. do dziejów literat. i oświaty w Polsce. T. IX. w Krakowie 1897.

Sniadecki w Wiadomościach Brukowych, Stanisław Potocki w Świstku krytycznym, wychodzącym przy Pamiętniku Warszawskim. Nie było to, jakby z pozoru sądzić można, starcie niedowiarków i wolnomularzy z wiernymi synami kościoła, nie była to obrona wiary przeciw zamachom ateistycznym, ale wprost walka reakcyi z postępem. Po stronie liberalnych bowiem stała światlejsza część duchowieństwa, że tu przytoczymy na przykład uczonego Trynitarza ks. Inocentego Seweryna Krzyszkowskiego, stali ludzie znani z poświęcenia i zasług dla kraju i edukacyi publicznej, przeciw nim „na całej północy powszechny, dawny i nierozerwany związek sów i puszczyków przylotnych, związek poważny, związek dążący do tego, ażeby tu wieczna panowała cichość i sen nieprzerwany, ażeby nikt, rodzący się u nas, światła nie widział, lub gdyby się znalazł zuchwalec, któryby je odkrył i śmiał o niem mówić, ażeby go ten dzielny związek natychmiast napadł, oplwał, okrzyczał i zniszczył.“[1])

W innem społeczeństwie, posiadającem niezawisły byt polityczny, mogła walka tego rodzaju być do pewnego stopnia pożyteczną, przyczyniała się bowiem do wyświecenia prawdy, odkrywała zakorzenione błędy i przesądne mniemania, dawała światłym umysłom możność odróżnienia plewy od ziarna. U nas, w odmiennych warunkach, wszystko, a więc i ten zatarg na złe obrócić się musiał. Rozpowszechnienie oświaty i dobrobytu w narodzie polskim, odzyskującym zwolna dawniejsze swoje znaczenie i krzepiącym się po tylu klęskach, wznieciło uzasadnione obawy w tych, co dotychczasową politykę Aleksandra potępiali i do przywrócenia dawnego stanu rzeczy w prowincyach polskich dążyli. Zręczni i bezwzględni w użyciu środków wszelkiego rodzaju, widzieli oni w tej walce „obskurantyzmu z liberalizmem“ dogodną sposobność do wykonania swoich zamiarów. Nienawiść do „Jakobinów“ i strach przed rewolucyą skłoniły rządy ówczesne do popierania wszelkich reakcyjnych kierunków w życiu społecznem i umysłowem. Literaturze więc, zaprawionej Walteryanizmem, przeciwstawiono romantyzm niemiecki, apoteozujący średnio wieczne rycerstwo, filozofii encyklopedystycznej mistycyzm religijny, wolnemu mularstwu i wynikającym z niego związkom tajnym pietyzm, mający dążyć do przywrócenia dawnej wiary i powagi kościoła. Ostatni kierunek objawił się najpierw w Hiszpanii i we Francyi, jako łatwo zrozumiała reakcya przeciw nadużyciom i okropnościom rewolucyi. Popierały go rządy bourbońskie, znakomici pisarze jak: Chateaubriand, Bonald i de Maistre, fanatycy w rodzaju Augustyna de Castro lub Ostolazy, zaciekli rojaliści, dyszący zemstą i nienawiścią do Jakobinów i Bonapartystów. Na tem tle powstały we Francyi kongregacye, mające na celu nawracanie niedowiarków i ateuszów. Działały one wszędzie: w szkole, w armii, w więzieniach, rozsyłały po kraju missye, i z pola religijnego przechodząc na polityczne, jak inaczej być nie mogło, rozwijały żarliwą propagandę przeciw liberalizmowi i liberałom, skupiając równocześnie pod swoim sztandarem wszystkie żywioły wsteczne lub niezdecydowane. Przykład Francyi pociągnął w pierwszym rzędzie Polaków. Naśladowaliśmy w

[1]) Dzieła I. Sniadeckiego, t. VI, str. 191. Porów, zresztą P. Chmielowskiego artykuł w Ateneum (r. 1883) pod tyt. Liberalizm i Obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1823).

swoim czasie Woltera, Roussa, Encyklopedystów, mieliśmy między sobą ludzi pozujących na Dantonów i Maratów, jakże więc nie mieliśmy się chwycić teraz tego nowego, modnego kierunku, zwłaszcza gdy on tak łatwe zapewniał tryumfy, gdy go popierały władze duchowne i świeckie, gdy mu sprzyjał Nowosilców, z atensza przedzierzgnięty w najżarliwszego obrońcę wiary i kościoła.[1]) Chwycono się zatem i w Warszawie tych samych środków na wytępienie nieistniejących „Jakobinów“ i zwalczenie wolnomularstwa, które w Polsce ówczesnej oprócz imienia nic wspólnego zresztą z massoneryą zachodnią nie miało. Kierunek, w dobrej myśli powzięty, ale w skutkach swoich dla kraju wielce szkodliwy, podobał się rządowi centralnemu w Petersburgu i znalazł poparcie w Belwederze u ks. Łowickiej, która z usposobienia pobożna, pracowała gorliwie nad nawróceniem męża swego w. ks. Konstantego; jakoteż u wyższego duchowieństwa. Zawrzała więc nowa zawzięta a nieukończona walka przeciw liberałom. Potocki, widząc do czego rzeczy zmierzają, wydał w r. 1820 swoją „Podróż do Ciemnogrodu“, która w formie alegorycznej, wyśmiewała reakcyjne zapędy pewnej części duchowieństwa. Powstał na to hałas niesłychany; Reformat, ks. Surowiecki, znany z gburowatości, ogłosił przeciw Potockiemu broszurę „Świstek warszawski wyświstany“ a słynny z zacności i patryotyzmu ks. Woronicz, ulegając powszechnemu prądowi, wytoczył żal swój na ministra przed samym cesarzem. Tego też tylko było potrzeba, aby z sprzeczki literacko-religijnej ukuć broń przeciw Polsce i Polakom. Aleksander, przechylający się wtedy już zupełnie na stronę reakcyi, skorzystał skwapliwie z nadarzającej się sposobności i, odebrawszy tekę oświecenia Potockiemu, mianował na jego miejsce ministrem Stanisława Grabowskiego Razem z Potockim ustąpił z komissyi oświecenia i Niemcewicz.

Jeden z najważniejszych Wydziałów, bo Wydział oświecenia publicznego, uległ w ten sposób gruntownej zmianie. Naczelne kierownictwo objął człowiek zarówno słabego charakteru jak i słabej głowy, pozornie wielki erudyt, w istocie nie mający w niczem gruntownych wiadomości tylko umysł, napchany mnóstwem szczegółów, z pilnego zaczerpniętych czytania. Dowcipnie i trafnie nazywano go też dzieckim rokującym wielkie nadzieje — un enfant aux grandes espérences — które jednak na człowieka dojrzałego i samodzielnego nigdy wyróść nie mogło. Z tą niedojrzałością umysłową łączyła się bigoterya i obłuda. Grabowski „wprawdzie rano mszy św. słuchał, świece nosił, ławki całował, lecz wieczorem w rozpuście i zbytku tonął,“[2]) prawdziwie nieodrodny potomek podobnego sobie ojca, Stanisława Augusta.[3]) Przekonań politycznych nie posiadał wcale a raczej zmieniał je stosownie do okoliczności; za czasów dawniejszych był gorącym zwolennikiem Napoleona, obecnie stał się uniżonym sługą Aleksandra i ślepym wykonawcą rozkazów, nadsyłanych z Petersburga, a że przytem potrzebował zawsze pieniędzy i był po uszy obdłużonym, więc niezawisłego zdania mieć nie mógł. Do pomocy dodano mu Kalasantego Szaniawskiego, uczonego niezmiernie filozofa, niepospolitego pisarza, dobrego

[1]) Por. Raport jego do cesarza z d. 15. maja 1823 u Skarbka. Cz. II, str. 88.

[2]) Barzykowski, I, 605.

[3]) Był synem Poniatowskiego i pięknej p. Grabowskiej.

nawet w przeszłości patryotę, który z niewytłómaczonych dotąd powodów przerzucił się na stronę najwstrętniejszej reakcyi i najokropniejszego obskurantyzmu. „Z wysokiej, abstrakcyjnej teoryi filozoficznej“ pobożny, ubogi, nie łaknący ani zaszczytów ani pieniędzy, poświęcił Szaniawski czas i zdolności swoje na stłumienie oświaty i zgnębienie ducha polskiego, z rzadką jak na Polaka wytrwałością. Mentorem jego był Nowosilców, dla którego teraz otwierało się rozległe pole do działania. Członek Rządu Tymczasowego po r. 1812, następnie komisarz carski, upoważniony do zasiadania w Radzie Administracyjnej Królestwa, z usposobienia cynik, ateusz, marnotrawca, był Nowosilcow zdeklarowanym wrogiem Polski i Polaków; w r. 1813 pisywał już z Warszawy denuncyacye i projekta o urządzeniu Księstwa do Arakczejewa, wywierał wpływ jak najgorszy na Zajączka, a, pilnując przytem własnych korzyści, wyjednywał sobie łaski u cesarza i łupił, o ile się dało, skarb Królestwa, z którego na utrzymanie swojej kancelaryi pobierał rocznie ogromną sumę 64.000 złp. Obecnie jednak ten stan rzeczy uległ pewnej zmianie. Słynni z naiwności Polacy zaczęli niedowierzać „panu senatorowi“. Sejm z r. 1820 w uwagach nad Raportem. Rady Stanu domagał się, acz nieśmiało, zmniejszenie wydatków na biuro „J. W. Nowosilcowa“.[1]) Lubecki, objąwszy zarząd skarbu po Węgleńskim (d. 31. lipca 1821), zaprowadził nowy w administracyi porządek i przestrzegał pilnie, aby bez jego wiedzy i zezwolenia żadnych nadzwyczajnych nie czyniono wydatków. Zródła dochodów zaczęły więc wysychać i komisarz carski musiał szukać nowych. Nastręczała się ku temu dogodna sposobność. Aleksander powracał z Lublany wyleczony z swoich liberalnych marzonek, jako zawzięty wróg „Jakobinów“ i tajnych związków, z mocnem postanowieniem wytępienia jednych i drugich. Utwierdzał go w tem przedsięwzięciu i zachęcał do niego Metternich, donosząc listownie o wielkich odkryciach, jakie poczyniła komissya w Moguncyi i jakich spodziewa się dokonać we Włoszech.[2]) Jest to zaszczytem monarchów — pisał on — godnym ich stałości i szlachetnych usiłowań, jeżeli się ma przeświadczenie, że się ratuje prawdziwą cywilizacyą przed pożarem, wznieconym przez ludzi przewrotnych i szalonych.“

Wrażliwy umysł cesarza nie mógł się oprzeć sile argumentów podobnych i wyrafinowanego pochlebstwa. „Anioł pokoju“ zapragnął być stróżem porządku i ładu społecznego nietylko w Europie ale i u siebie, w domu. Powiał zatem z Petersburga wiatr reakcyjny i ten miał popchnąć nawę Nowosilcowa uwięzioną w przystani Warszawskiej. Nowosilcow już od dawna głosił, że Polska jest przez „jakobinizm“ podminowana. „Polacy — mówił on — rodzą się Jakobinami, rewolucya jest we krwi tego narodu, Polacy ssą ją z mlekiem swoich matek.“ Odkąd z Petersburga dano hasło do zwalczenia rewolucyi, nabierały słowa te większego znaczenia, Nowosilcow wyrastał na wielkiego człowieka, stawał się potrzebnym a umiał zostać niezbędnym. Mając wpływ potężny na Grabowskiego i dodawszy mu do boku Szaniawskiego, którym

[1]) Obniski l. c. str. 475 i nut.

[2]) List Metternicha do Aleksandra w dodatkach u Sterna, Gesch. Europ. II. (Berlin 1897), str. 561.

bezwzględnie kierował, objął Nowosilcow właściwie dyrekcyą nad edukacyą publiczną. Że zaś był zanadto zdolnym i przenikliwym ażeby niewiedzieć jak wielkie znaczenie dla narodu polskiego ma oświata, więc wytężył wszystkie siły swoje ku zniszczeniu tego, co zabiegi patryotów i zacnych obywateli w zakresie wychowania publicznego zdziałały.

Widzieliśmy już jak stan szkół w Królestwie podnosił się zwolna wprawdzie lecz statecznie, jak mnożyły się szkoły elementarne po wsiach, jak powstawały zakłady zawodowe, jak rozwijał się pomyślnie uniwersytet. Wszystko to zawdzięczał kraj staraniom ministra i komissyi oświecenia, Ogół nie wiele troszczył się o rozpowszechnienie oświaty. Ci sami posłowie opozycyjni, co tak zawzięte walki staczali z rządem o naruszenie konstytucyi i ograniczenie wolności druku, okazywali dziwną i dziś dla nas niezrozumiałą obojętność w sprawach wychowania publicznego. Na ostatnim sejmie komissya Skarbowa, w której zasiadali członkowie najskrajniejszej opozycyi: Bonawentura Niemojowski i Godlewski, doradzała „zmniejszenie etatu szkolnego“ na r. 1821,[1]) wytykała przepych w budowlach szkolnych, wielkie koszta na założenie i utrzymanie instytutu agronomicznego w Marymoncie i zalecała, aby nauczycieli szkół elementarnych opatrywać zamiast pieniądzmi „naturalnemi praestandami“; a gdy przy końcu sessyi wniesiono petycyą „o założenie w każdej wiosce kosztem dziedzica szkółki dla włościan“, zbyto ją głuchem milczeniem, chociaż inna petycya, o wywiezienie byłych oficerów Odachowskiego i Sierzputowskiego, ludzi podejrzanej konduity, niepochodzących nawet z Królestwa, wywołała długą i namiętną dyskusyą. Jest to jeden z dowodów więcej jak mało opozycya pojmowała właściwe swoje zadanie, jak, zasadzając całą czynność swoją na obronie konstytucyi, zaniedbywała tę gałęź pracy społecznej, która dla odrodzenia i wyjarzmienia narodu granitową mogła stworzyć podstawę.

W takim stanie rzecze było działanie Nowosilcowa i łatwe i skuteczne zarazem: bez naruszenia konstytucyi, nie ściągając na siebie gromów opozycyi mógł on zniszczyć lub zwichnąć cały system edukacyi publicznej, wyrządzić narodowi polskiemu nieobliczone szkody i przygotować grunt dla przyszłej polityki russyfikacyjnej. Jakoż udało mu się to w znacznej części.

Pierwsze pociski swoje zwrócił on przeciw uniwersytetowi Warszawskiemu przez utworzenie t. zw. Kuratoryi generalnej. Była to władza niezależna od komissyi oświecenia, nie mieszająca się wcale do sposobu urządzenia edukacyi, ale pilnująca, aby nauczający trzymali się ściśle przepisanego programu i aby wpajali w uczniów obowiązki wiernego posłuszeństwa i przychylności dla rządu. W istocie więc instytucya czysto policyjna, podejrzywająca całą hierarchią akademicką, profesorów i studentów o buntownicze zamiary, oparta na wstrętnym systemie szpiegowania, mająca, co zatem idzie, na swoje usługi ajentów tajnych i donosicieli. Zwierzchnikiem jej był sam Nowosilcow a wykonawcą jego rozkazów kasztelan Obszelwitz, człowiek stary, ograniczony, ale pobożny i bezwarunkowo posłuszny. Mając władzę tak nieo-

[1]) Obniski l. c. str. 397.

kreśloną w ręku zaczął Nowosilców mięszać się do wykładów uniwersyteckich rugować książki podejrzanych o jakobinizm autorów (n. p. znanego Jahna), śledzić i badać uczniów o należenie do tajnych towarzystw i rozpisywać się szeroko o tem wszystkiem w raportach do Pertersburga wprost do cesarza, wysyłanych, które miały świadczyć z jednej strony o jego gorliwości, z drugiej o rewolucyjnem usposobieniu i straszliwem jakoby zepsuciu młodzieży polskiej. Ażeby zaś działać tem skuteczniej, powierzył on cenzurę nad książkami i dziennikami Szaniawskiemu, który sprawował ten urząd tak, że mógł się stać wzorem niedoścignionym dla najbardziej reakcyjnych cenzorów całego świata. Podejrzliwe oko jego sięgało z Warszawy nawet do Petersburga i wyszukiwało w niewinnych zresztą artykułach gazet rossyjskich niebezpieczne knowania rewolcyjne, na które Nowosilców natychmiast zwracał uwagę cesarza.[1])

Ale myśl i chciwość Nowosilcowa sięgała daleko poza granice Królestwa, na Litwę i Ruś, gdzie podług jego zdania Czartoryski, jako kurator uniwersytetu wileńskiego cofnął dzieło russyfikacyi o 50 lat wstecz.

Stan szkół i oświaty na Litwie i Rusi można było nazwać wówczas pomyślnym. W r. 1820 znajdowało się, podług urzędowego sprawozdania w okręgu wileńskim zakładów naukowych 430, nauczycieli 983, uczniów 21.174, w charkowskim szkół 249, uczniów 11.716. Na Wołyniu, Krzemieniec, ulubione dzieło Czackiego, był zawsze ogniskiem oświaty: na Podolu obok gimnazyum winnickiego i szkół powiatowych w Barze i Niemirowie założył Czartoryski szkołę w Międzybożu i wyposażył ją hojnie; w Kijowie powstało za staraniem Czackiego w r. 1812 gimnazyum, do Romanowa sprowadził senator Iliński Jezuitów. Tak wszędzie na całym rozległym obszarze tych ziem, zaniedbanych dotąd, rozpowszechniała się oświata, oparta na zdrowym postępie, o charakterze polskim. Śmierć Czackiego w r. 1813 była niewątpliwie dla Wołynia stratą niepowetowaną, ale kierunek nadany przez niego wychowaniu publicznemu żadnej nie uległ zmianie. Pilnował tego uniwersytet wileński, opatrzony w znakomite siły naukowe i otoczony staranną kuratora opieką. Stał on się nie tylko ogniskiem oświaty, ale zarazem krzewicielem cnót obywatelskich i ducha narodowego pomiędzy młodzieżą, która rzadkim w dziejach przykładem w wykształceniu i umoralnieniu widziała główny cel swojego zawodu. Że na dnie tego wszystkiego tkwił patryotyzm polski, że myśl odrodzenia i odzyskania Ojczyzny była dla młodzieży największym bodźcem do pracy, temu nikt rozsądny dziwić się nie mógł, bo wynikało ono nietylko z usposobienia światlejszych warstw społecznych, ale było oraz naturalnym skutkiem wypadków politycznych. Od r. 1811 łudził Aleksander Litwinów nadzieją autonomii, czynił przygotowania do utworzenia osobnego wojska litewskiego, zarząd szkół tamtejszych powierzył Czartoryskiemu, którego uczucia polskie były mu dobrze znane, utworzywszy zaś Królestwo Kongresowe, zapowiadał kilkakrotnie, i w poufnych rozmowach i publicznie, połączenie wszystkich prowincyj polskich w jedną całość. Nic dziwnego zatem, że obietnice carskie wzmocniły w sercach obywateli litewskich i ruskich nie wygasłe dotąd

[1]) Skarbek, Królestwo Polskie II, 92.

uczucia miłości Ojczyzny, że ich zachęciły do pielęgnowania i krzewienia patryotyzmu, zwłaszcza gdy tym usiłowaniom i skłonnościom rząd przeszkód nie czynił, lecz przeciwnie pochwalać się je zdawał. Wszak świeżo, po śmierci Kościuszki odprawiały wszystkie wyznania, chrześcijańskie i niechrześcijańskie w Wilnie i po prowincyach uroczyste i wystawne nabożeństwa za spokój duszy zmarłego bohatera, wszak z gramatyki Kopczyńskiego, używanej wtedy po szkołach litewskich uczyła się młodzież znanego wiersza Krasickiego: „Święta miłości kochanej ojczyzny", wszak w gimnazyum Kijowskiem zezwolono na wykłady w języku polskiem a w szkołach średnich uczono nauk politycznych i przyzwyczajano młodzież wcześnie do zastanawiania się nad urządzeniem państwa i społeczeństwa, co musiało dawać podnietę myślom o odzyskaniu Ojczyzny.

Łatwo więc pojąć, że w takiem położeniu ta młodzież oddana pod kierunek ludzi światłych i przejętych obywatelskiemi względem kraju uczuciami, poczuwała się do obowiązku pracowania i działania w duchu idei, która całe społeczeństwo ożywiała. A że towarzystwa tajne były wtenczas w modzie, że związki wolnomularskie, za wiedzą i zezwoleniem rządu istniały w całem imperyum a minister oświecenia w Królestwie, Potocki, był nawet wielkim mistrzem loży massońskiej, zawiązało się zatem i w Wilnie 1. października 1817 r. stowarzyszenie Filomatów t. j. „kochających naukę". Na czele związku stał Tomasz Zan i pięciu studentów uniwersytetu: Adam Mickiewicz, Józef Jeżowski, Franciszek Malewski, Jan Czeczot i Onufry Pietraszkiewicz. Postanowili oni, rozpocząć pracę zreformowania młodzieży, zwrócenia jej na tór narodowości, prawdziwej oświaty i moralności." [1]) Z tych nieznacznych początków powstało niebawem (w styczniu 1820 r.) jawne Towarzystwo „Promienistych", tak nazwanych od Zana, o którym „kiedy spiewał, improwizował i wpadał w uniesienie," mówiono, że z jego czoła i oczu strzelały promienie, któremi zdobywał i pokonywał serca tych, co go słuchali"; [2]) za „Promienistymi" poszło wreszcie towarzystwo nieliczne, ale dobrane i tajemne pod nazwą „Filaretów". Ostatni paragraf ustawy Towarzystwa wykluczał od traktowania przedmioty, tyczący współczesnej polityki, religii lub ustaw rządowych. Towarzystwo nie było więc politycznem, chociaż cel właściwy każdy dobrze rozumiał, a że pielęgnowanie ducha narodowego uważano za rzecz dozwoloną, nikomu przeto przez myśl nie przeszło, żeby związek w celach tak szlachetnych i pięknych utworzony mógł być karygodnym. Stało się to wtedy dopiero, kiedy wspomniane już wypadki polityczne, wywołały zwrot zupełny w usposobieniu cara i całego jego otoczenia.

Czartoryski, stojący na straży uniwersytetu i wnikający w zakulisowe roboty dyplomacyi, spostrzegł pierwszy zbierającą się burzę i w poufnym liście (z d. 15. listopada 1821 r.) wyraził swoje obawy rektorowi, zalecając mu największą czujność nad uczniami szkół wyższych a zarazem i ostrożność, „aby nietrafnem okazaniem podejrzenia nie dać początku i ciała myślom, które

[1]) Władysław Mickiewicz: Żywot Adama Mickiewicza. W Poznaniu 1890. T. I, str. 38.
[2]) Domejko: Filareci i Filomaci, str. 4.

może bez tego byłyby się nie skleiły.“ [1]) Rektor ówczesny, Malewski, wiedział o istnieniu towarzystwa „Promienistych“, znał nawet prawidła, przez Zana ułożone, ale nie widząc w podobnych związkach młodzieży nic zdrożnego zezwolił na owe, jak je nazywano „zgromadzenia pożytecznej zabawy“.[2]) Obecnie jednak, po ostrzeżeniu kuratora, czynności wszelkich i zebrań zakazał i papiery w archiwum filareckiem złożone spalić polecił, co też sekretarz, Pietraszkiewicz, płacząc jak dziecko uczynił.[3]) Zdawało się, że w ten sposób rzecz niewinną lecz mogącą wzbudzić podejrzenie władz rządowych, zgładzono zupełnie i że już ani uniwersytetowi ani młodzieży żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Stało się tymczasem inaczej, bo wskutek drobnego zajścia w Wilnie pomiędzy studentem Półajnowskim a oficerem gwardyi rossyjskiej ks. Oboleńskim, czujność tajnej policyi zwróciła się ku śledzeniu uniwersyteckiej młodzieży. Litwa i prowincye polskie, wcielone do caratu, podlegały wtedy już władzy w. ks. Konstantego. Ten bowiem, rozmiłowawszy się wielce w Joannie Grudzińskiej, pasierbicy marszałka Brońca, zapragnął rozwodu z pierwszą żoną swoją, księżniczką Sasko-Koburgską, a nie mogąc tego inaczej uzyskać, zrzekł się osobnym aktem tronu na rzecz młodszego brata swego Mikołaja. Wtedy Aleksander, jako głowa cerkwi rossyjskiej dał pozwolenie na rozwód i na małżeństwo brata z p. Grudzińską pod warunkiem, że nie będzie ona ani należeć do rodziny carskiej ani używać żadnych prerogatyw stąd pochodzących. Dnia 20. maja 1820 r. odbył się ślub carewicza, żona jego otrzymała tytuł księżny Łowickiej a Konstanty, w nagrodę za ustępstwa, poczynione bratu, zarząd nad prowincyami polskiemi, należącemi do Rossyi. Okoliczność ta ułatwiła w wysokim stopniu działanie Nowosilcowa. Owładnąwszy za pośrednictwem Grabowskiego i Szaniawskiego wychowanie publiczne w Królestwie, zwrócił on uwagę swoją na Wilno, które dzięki znakomitym siłom naukowym słynęło właśnie jako ognisko oświaty polskiej. Były to czasy najświetniejszego rozwoju uniwersytetu, kiedy wykłady Joachima Lelewela i Józefa Gołuchowskiego ściągały setki słuchaczy nietylko z młodzieży ale i osób dojrzałych, kiedy w skutek działalności tych profesorów nauki historyczne i filozoficzne wzięły górę nad fizyczno-matematycznym kierunkiem, reprezentowanym przez Śniadeckich, kiedy w literaturze prąd romantyczny zaczynał wypierać przestarzały klassycyzm, polegający na niewolniczem naśladowaniu starożytnych i francuskich pisarzy, kiedy Mickiewicz pierwszemi utworami swemi budził w młodzieży miłość i poświęcenie dla Ojczyzny, zapał do wszystkiego co piękne, wzniosłe i szlachetne. Dla carskiego komisarza, który z Warszawy śledził pilnie ów rozwój ducha polskiego, po cichu rozczytywał się w niemieckiem dziele Gołuchowskiego, poświęconem Schellingowi, a w wzrastającej popularności Lelewela widział największe dla caratu niebezpieczeństwo, była ta akademia Wileńska twierdzą rewolucyi i jakobinizmu. Niechętny Czartoryskiemu, chociaż tyle mu zawdzięczał, chciwy pieniędzy i nowych zaszczytów, zamierzał on od kuratoryi go oddalić i zyskowny ten urząd sobie

[1]) Dr. Szeliga: Proces Filaretów w Wilnie. Kraków 1889. Archiw.

[2]) Zeznanie Zana przed komissyą śledczą. Arch. dla hist. liter., T. IX, str. 156.

[3]) Domejko l. c. str. 23.

przywłaszczyć. W r. 1822 już towarzyszył w. ks. Konstantemu w podróży do Wilna zapewne po to, aby wybadać tamtejsze stosunki, a gdy carewicz, rozgniewany tem zajściem z Oboleńskim, polecił gubernatorowi Korsakowowi winnego koniecznie wynaleść, zaczęła się robota policyjna, śledzenie młodzieży, szpiegostwo i denuncyacye. Środki te nie byłyby może wzięły zamierzonego skutku, gdyby nie drobny a niespodziewany wypadek. Oto d. 3. maja 1823 r. piętnastoletni uczeń 5. klasy w gimnazyum Wileńskiem, Michał Plater, napisał w klasie na tablicy: „Vivat Konstytucya 3-go maja, jak słodkie wspomnienie dla nas rodaków“ a poniżej drobnemi literami: „lecz niema ktoby się o nią upomniał“. Rzecz sama w sobie była błaha i zasługiwała, nawet pod rządem rossyjskim chyba na lekkie skarcenie młodziutkiego winowajcy, ale że szukano tylko jakiegoś pozoru aby uniwersytet zgubić, więc wytoczono natychmiast z tego powodu śledztwo, Korsaków złożył raport Konstantemu a ten kazał dyrektora gimnazyum i nauczycieli, rzekomo winych, od obowiązków oddalić, uczniów zaś trzymać dalej w areszcie. Rektorem uniwersytetu był już wtedy Józef Twardowski na zalecenie Czartoryskiego po Malewskim na ten urząd wybrany. On też z obowiązku swego prowadził pierwsze śledztwo w sprawie Platera i jak każdy uczciwy człowiek, żadnej winy oprócz swawoli dziecięcej w tem nie znalazł. Orzeczenie rektora nie mogło oczywiście zadowolnić ani Konstantego ani Nowosilcowa; policya brała się na sposoby; na murach klasztoru Dominikańskiego ukazały się napisy rewolucyjne, niewprawną i najwyraźniej moskiewską kreślone ręką. Wystarczały one Konstantemu. Kazał więc rektora, dyrektora Skoczkowskiego i profesorów „posadzić na różne odwachy“, uczniów trzymanych w areszcie, wtrącić do więzienia a dalsze badanie sprawy polecił Nowosilcowowi, który z nieograniczonem pełnomocnictwem przybył do Wilna d. 7. lipca 1823 r. Nowosilców zarządził natychmiast za pośrednictwem rektora Twardowskiego nowe śledztwo przeciw gimnazyastom, a tymczasem sam w chwilach wolnych od pijatyki rozczytywał się w zeszytach studentów uniwersyteckich i znajdywał tam co chwila rzeczy, które go rzekomo dziwiły i gorszyły, jak np. że uczniom wykładano nauki polityczne, że ich pytano metodą Sokratesowską i tp. Rektor Twardowski, sądząc w naiwności swojej, że ma z uczciwym człowiekiem do czynienia i chcąc ratować uniwersytet, postępował z Nowosilcowem otwarcie, przekonawszy się atoli

Tomasz Zan.

o właściwych jego zamiarach, wymówił się od prowadzenia śledztwa, które „pan senator“ poruczył teraz swoim kreaturom: policmajstrowi Szłykowowi, sowietnikowi Lawrynowiczowi i prokuratorowi Botwince, łotrowi z pod ciemnej gwiazdy. Z profesorów uniwersytetu maczali ręce w tej brudnej sprawie, Pelikan, z pochodzenia Czech, i dr. Becu, obaj z pobudek osobistych, pragnąc sobie zaskarbić łaskę Nowosilcowa.

Od uczniów gimnazyalnych przeniosło się śledztwo na akademików. Wznowiono sprawę „Filomatów“ i „Promienistych“, Nowosilców zażądał od Czartoryskiego przysłania aktów dotyczących z r. 1822, zaczął je badać po swojemu, przesłuchiwać profesorów, którzy wtedy, z polecenia rektora rzecz całą rozpatrywali, kwestyonować każdy najdrobniejszy szczegół, podchwytywać pozorne sprzeczności, słowem szukać, jak to mówią, dziury na całem, aby sprawę jasną o ile możności zaciemnić, śledztwo rozszerzyć i przeciągnąć a celu ostatecznego dopiąć tj. uniwersytet poniżyć i zgnębić, Czartoryskiego od kuratoryi usunąć. Nastąpiły gromadne aresztowania w Wilnie i na całej Litwie, zwożono podejrzanych z najodleglejszych stron carstwa, z Petersburga, Krzemieńca, Kijowa, z Królestwa, Franciszka Malewskiego uwięziono, na reklamacyą rządu rossyjskiego, w Berlinie, gdzie kosztem uniwersytetu wysłany, bawił na naukach, pociągano do śledztwa ludzi dojrzałych: Księży Brodowicza i Lwowicza z Połocka, nauczyciela Sobolewskiego ze Żmudzi, obywatela Rukiewicza, sędziego Wincentego Zawadzkiego z Podlasia[1]), Mickiewicza Adama z Kowna. Śledztwo odbywało się podstępnie, niesumiennie. Zeznania studentów fałszowano i groźbami zmuszano do podpisania przekręconych lub przeistoczonych protokołów,[2]) z znaczniejszymi członkami Towarzystwa, jak np. z Zanem, obchodzono się surowo, niegodziwie, nieletnich uczniów gimnazyalnych biciem i głodem zmuszano do zeznań, niezgodnych z prawdą ale potrzebnych dla dowiedzenia winy urojonej. Sam Nowosilców, zapity codziennie, zabawiał się z księżną Zubów, opiekował się „biednemi“ wdowami hr. Branicką, R.ewuską, ks. Radziwiłłową,[3]) słuchał z przyjemnością cynicznych opowiadań Bajkowa a wśród tych zajęć wyciskał od wystraszonych zeznania i pieniądze. Od hr. Michała Tyszkiewicza wziął za uwolnienie kuzyna jego Józefa 4000 dukatów, od Makowieckiego z Białej Rusi 20.000 rubli, od innych, uboższych brał co było można, bo pieniądze „zyzooki“ lubił nadewszystko. Śledztwo tymczasem niepostępowało wcale. Roztropni Filareci, przygotowując się na wszelkie wypadki, ułożyli z góry już całą taktykę, odpowiedzi ich były jednakowe, tłumaczenie jasne i żadnych nie przedstawiające wątpliwości. Położenie uwięzionych pogorszyło się dopiero skutkiem zeznań Jankowskiego, u którego znaleziono nieprzyzwoite wierszydła na Katarzynę II. Zagrożony najostrzejszemi karami za to urąganie się z cesarskiego majestatu, nie wahał on się przed „JW. urzędnikami“, d. 22. października 1823 r. opo-

---

[1]) Lelewel: Nowosilców w Wilnie. Polska, dzieje i rzeczy jej. T. VII.

[2]) Szeliga: Proces Filaretów w Wilnie. Arch. dla hist. lit., t. VI, dokumenta LIX LX, LXI.

[3]) Memoryał Onacewicza do w. ks. Knnstantego u Lelewela. Polska et. VII.

wiedzieć wszystko, co mu było wiadomem o Promienistych i Filaretach, dodając, że „głównym celem tego towarzystwa było łączenie się wspólnemi siłami, aby Polskę można było do pierwszej przywrócić świetności.“[1]) Ale ani ten akt podłości pełen, ani dalsze, nadzwyczaj obszerne zeznania Jankowskiego, złożone w protokołach komissyi śledczej[2]) nie zdołały zachwiać obwinionych ani też dowieść tego o co właściwie Nowosilcowowi chodziło tj. związków pomiędzy Towarzystwem filareckiem a spiskami w Królestwie i udziału w tem wszystkiem Czartoryskiego.

Rok prawie cały trwało to znęcanie się nad młodzieżą i nad całem społeczeństwem polskiem na Litwie, spisano stosy papieru, koszta procesu obliczono na 100.000 rubli, użyto wszelkich środków — wszystko bezskutecznie. W. ks. Konstanty zaczął się niecierpliwić — wreszcie nakazano Nowosilcowowi ukończyć śledztwo. Pożegnany balem, który na cześć jego urządził Pelikan, wyjechał „pan senator“ do Petersburga i tam wyjednał ukaz z d. 14. sierpnia 1824 r., będący rezultatem jego działalności i zarazem całorocznych śledztwi prześladowań, ukaz, podpisany przez Szyszkowa, który po Golicynie sprawował urząd ministra oświaty i przez słynnego obskuranta Arakczejewa, skazywał 20 studentów uniwersytetu za szerzenie „nierozsądnej narodowości polskiej“ na deportacyą i oddalał od obowiązków czterech profesorów: Lelewela, Gołuchowskiego, ks. Bobrowicza i Daniłowicza. Z pomiędzy studentów najcięższe kary spadły na Zana, Czeczota i Suzina. Osadzeni w twierdzy, pierwszy przez rok, dwaj inni przez pół roku, zostali następnie wywiezieni w głąb carstwa. Zan do Orenburga, gdzie po r. 1831 nowemu podanny śledztwu o związki ze spiskiem, przygotowującym powstanie, przesiedział długie lata i najpóźniej ze wszystkich wygnanych powrócił na Litwę. Malewski i Adam Mickiewicz musieli wyjechać do Petersburga, uzyskali następnie posady w Odessie, ale po odkryciu spisku Dekabrystów przeniesiono ich do Moskwy. Mickiewicz, szczęśliwszy od innych, znalazł sposobność wyjechania za granicę, skąd już do kraju nie powrócił. Sroższy o wiele los spotkał biednych uczniów gimnazyalnych. Śledztwo wileńskie wywołało na prowincyi łatwo zrozumiałe wzburzenie umysłów, objawiające się w dziecinnych przegróżkach i figlach, które Nowosilcowowi nastręczyły pożądaną sposobność do nowych prześladowań. Co chwila więc spadała komissya śledcza do Kroż, Kiejdan, Kowna, Poniewieża i Wiłkomierza, chwytała nieletnich przestępców, nieludzkiem dręczeniem wymuszała na nich zeznania i przekonanych o „zbrodnię stanu“, bez względu na wiek i łagodzące okoliczności, skazywała w sołdaty. W tak barbarzyński sposób ukarano Platera i towarzyszy jego, autorów owego napisu o konstytucyi 3. maja, Januszewskiego z Kroż, Molesona i Tyra z Kiejdan, jedenastoletniego Więckowicza z Poniewieża i innych. Taka była w najogólniejszych zarysach działalność Nowosilcowa na Litwie. Z ludzkiego i cywilizacyjnego stanowiska potępić ją musi historya bezwzględnie, z całą surowością i tego

[1]) Zenanie Jana Jankowskiego przed komissyą śledczą. Arch. do historyi lit. etc. IX., str. 166.

[2]) Tamże.

wyroku żadna, chociażby najzręczniejsza apologia[1]) osłabić lub złagodzić nie zdoła. Ale gdybyśmy nawet na chwilę przypuścili, że nadzwyczajny komissarz rossyjskiego rządu, że ów znany opój i rozpustnik działał istotnie w dobrej wierze, że pragnął, jak to udawał, młodzież zbłąkaną zwrócić na drogę cnoty i obowiązku, stan nauk na uniwersytecie i w szkołach, uniwersytetowi podległych, poprawić, jednem słowem przeprowadzić reformę wychowania pożyteczną, w duchu religijnym i moralnym pojętą, to musielibyśmy odmówić i jemu i ówczesnym kierownikom oświaty w cesarstwie wszelkiego pod tym względem uzdolnienia, musielibyśmy ich wziąć za to, czem byli rzeczywiście, za gasicieli ducha ludzkiego, za obłudników i obskurantów najgorszego rodzaju, zasadzających cel wychowania na skażeniu młodych umysłów, na strasznej deprawacyi młodzieży. Do tego a nie do czego innego zmierzał ów system szpiegostwa zastosowany ukazem z d. 14. sierpnia do dozoru szkolnego w uniwersytecie, ten a nie inny cel miało wyłączenie z liczby przedmiotów, dawanych po gimnazyach, prawa przyrodzonego i nauk politycznych, zmniejszenie liczby godzin, dla wymowy i poezyi przeznaczonych i zastąpienie ich lekcyami greckiego, łacińskiego i rossyjskiego języka, w tym duchu była pojęta cenzura nad książkami, przywożonemi do Litwy, wyrzucenie niewinnej gramatyki Kopczyńskiego i wyboru wymowy Chrzanowskiego. Pod względem dydaktycznym i pedagogicznym były reformy te albo zbyt błahe albo pozbawione wszelkiego głębszego znaczenia i świadczyły tylko o zupełnej niezdolności tych, którzy je układali. Polityczny cel natomiast został osiągniętym zupełnie. Wywrócono z gruntu cały system wychowania dotychczasowy, zniszczono zaufanie, jakie łączyło uczących się z nauczającemi, szkołę, przybytek światła i nauk, zamieniono w zakłady policyjno-karne, wpajając w umysły młode i do szlachetnych porywów skłonne, zawczasu obłudę, hipokryzyą, nieszczerość i podejrzliwość. Lepszego środka na zgangrenowanie i upodlenie narodu nikt chyba nie wymyślił i na tem polega zasługa Nowosilcowa i jego pomocników. Tak też a nic inaczej pojmował „reformę“ rząd rossyjski, kiedy po usunięciu się Czartoryskiego od kuratoryi, urząd ten powierzył Nowosilcowowi a Pelikana mianował rektorem. Była to wyraźna zapowiedź wprowadzenia russyfikacyjnego systemu na Litwie i w prowincyach zabranych, przekreślenie wszystkich obietnic Aleksandra, wypowiedzenie wojny przez carat żywiołowi polskiemu poza granicami Królestwa.

Tajne związki. Stan umysłów w prowincyach zabranych był poniekąd wiernem odbiciem tego co się działo po lewym brzegu Niemna i Bugu, nad Wisłą i Wartą. Położenie, stworzone postanowieniami kongresu wiedeńskiego, obudziło we wszystkich częściach Rzeczypospolitej wielkie i uzasadnione nadzieje. Trzeźwiejsi tylko i w polityce bieglejsi nie podzielali tych złudzeń, jakim ogół narodu zdawał się ulegać, bo wiedzieli, że połączenie prowincyj polskich w jedną całość, nawet pod warunkiem wieczystego ich związku z Rossyą, jest w głowę przeciwne interesom cesarstwa i może być dokonanem

[1]) Próbował tego napróżno p. Wierzbowski w Bibl. Warszaw. z r. 1888 i na innych miejscach.

chyba w chwili jakiegoś znacznego osłabienia potęgi rossyjskiej, skutkiem doznanej klęski lub niebezpiecznych zawikłań europejskich. Mimo liberalnych poglądow Aleksandra i sympatyi jego dla Polaków pozostał system polityki rossyjskiej niezmiennym. Państwo, które się opierało na despotyzmie i centralizacyi nie mogło dobrowolnie kruszyć i niszczyć tych dwóch podstaw swojego bytu bez równoczesnego i zupełnego przeobrażenia własnych urządzeń. Tak a nie inaczej też pojmował zadanie swoje Aleksander, kiedy zamierzał nadać cesarstwu konstytucyą. Konstytucyjna Polska była możliwą tylko obok konstytucyjnej Rossyi; absolutyzm carski wykluczał wszelkie porozumienie pomiędzy dwoma narodami, różniącemi się zarówno pod względem cywilizacyi jak i wyobrażeń politycznych. Instynktowo pojmowali to Polacy i przyjmując zaręczenia i obietnice Aleksandra, przygotowywali się do odzyskania niepodległości własnemi siłami. Do tego celu wiodły dwie drogi: pierwsza dłuższa i trudniejsza, polegała na wyzyskaniu swobód konstytucyjnych, na rozszerzaniu ducha narodowego i oświaty, na załatwieniu kwestyi włościańskiej i na przysposobieniu środków materyalnych do stanowczej walki, jeżeli okazałaby się konieczną. Druga na pozór łatwiejsza, temperamentowi polskiemu odpowiedniejsza, nie wymagająca wytrwałości, pracy i przezorności, prowadziła przez spiski wprost do zbrojnego powstania. Leżała ona niejako w tradycyi narodowej, unosiła się w powietrzu przesyconem rewolucyą, tajnemi związkami i nieokreślonem pragnieniem wolności, pociągała ponętnym przykładem powstań wojskowych na półwyspie iberyjskim i apenińskim. W wojsku też polskiem, gnębionem żelazną ręką carewicza, pierwsze w tym kierunku powstały usiłowania i pociągnęły cały naród za sobą.

Już podczas organizowania armii polskiej pojawiły się niewyraźne ślady jakiegoś bliżej nieznanego nam porozumienia. Noszono mianowicie wtedy pierścienie trójkolorowe lub żelazne, zwane pierścieniami Poniatowskiego, niektóre z wyrytemi głoskami P. P. Aleksander uwiadomiony o tem nieprzywiązywał wielkiej wagi do tych znaków. „Jak mi się zdarzy sposobność poprowadzenia ich do chwały, to i ja zjednać sobie potrafię ich przychylność“ — tak odpowiadał donosicielom.[1]) Ustanowienie Królestwa Kongresowego, rozwiewające znacznie nadzieje Polaków i połączenie ścisłe tej konstytucyjnej Polski z caratem wywołało naturalne obawy patryotów i skłoniło gorętszych, jak już wspomniano[2]) do założenia towarzystwa „Przyjaciół polskich“. Związek ten niemiał jednak ani określonego programu ani trwałości. Dopiero kiedy na zachodzie, we Włoszech, powstały tajne towarzystwa „Węglarzy“ (carbonari) i „Kotlarzy“ (calderari), kiedy w Niemczech bractwa akademickie t. zw. „burszenszafty“ zaczęły polityczną odgrywać rolę a Aleksander spełnienie obietnic swoich z roku na rok odwlekał, pomyślano i u nas o tajnej organizacyi. Hasło do tego miało wyjść od generała Dąbrowskiego, który wysyłał do Drezna pułk. Biernackiego, proponując królowi saskiemu, że na jego rozkaz zrobi w Polsce

[1]) Mochnacki I, 223.

[2]) Porów, str. 1416. Skarbek twierdzi że towarzystwo to powstało w r. 1814 i trwało rok jeden.

powstanie,[1]) a następnie, na łożu śmiertelnym upominał rodaków aby „sami o sobie myśleli“. Jakkolwiek pierwsza wiadomość wydaje się wielce nieprawdopodobną, to pewnem jest tyle, że tradycya spiskowa łączyła tajne usiłowania, zmierzające do oswobodzenia Ojczyzny, z imieniem tego, który całe życie swoje poświęcił sprawie narodowej i uchodził słusznie za uosobienie wybijającej się Polski.

Myśl Dąbrowskiego zamienili w czyn dawni jego towarzysze broni z czasów Księstwa Warszawskiego: Łukasiński, major 4. pułku piechoty, szwagier jego referendarz Wierzbołowicz, major niegdyś a obecnie sędzia Machnicki i adwokat Szreder. Oni to, pod pozorem modnego naówczas i rozpowszechnionego u nas wolnomularstwa, zawiązali w r. 1819 odrębne towarzystwo pod nazwaniem wolnego mularstwa narodowego czyli wojskowego. Duszą tego spisku byli Łukasiński i Machnicki, przedewszystkiem pierwszy, gorący patryota, gotów do wszelkiego poświęcenia dla sprawy narodowej, czynny, energiczny, hartownego ducha i niepospolicie silnej woli. Spisek szerzył się z początku głównie pomiędzy wojskowymi, następnie przeniósł się do urzędów i na prowincyą, pod strzechy dworków i dworów szlacheckich. W Wielkopolsce rozkrzewił wolnomularstwo narodowe Ludwik Szczaniecki, adjutant Dąbrowskiego. Działo się to wszystko ostrożnie, bez wyraźnego jeszcze celu, bez buntowniczych zamiarów; w lożach wolnomularskich stawiano popiersie Aleksandra, w w. ks. Poznańskiem Fryderyka Wilhelma III. Chodziło nie o puruszenie lecz o zbliżenie wszystkich zaborów i prowincyj polskich. Niecierpliwsi i mniej przez rząd pruski strzeżeni Wielkopolanie opuścili najpierw drogę powolną i umiarkowaną, potłukli przy pierwszej sposobności popiersie swojego „dobroczyńcy“ i utworzyli spisek wprost polityczny pod nazwą „Kosynierów“, oddając naczelny tegoż kierunek generałowi Mielżyńskiemu, później Umińskiemu. Ale i ostrożność Łukasińskiego niepomogła wiele. Różniecki, który należał do t. zw. Wielkiego Wschodu wolnomularskiego a był komendantem żandarmeryi, oddanym duszą i ciałem cesarzewiczowi, zmiarkował natychmiast, że poza tym płaszczem massoneryi kryją się inne ważniejsze cele i udzielił podejrzeń swoich Konstantemu. A że równocześnie i Skrobecki, adjutant ministra wojny, Haukego, wyznał swemu szefowi, że należy do narodowego wolnomularstwa, więc Aleksander wydał ukaz, zamykający loże wolnomularskie. Wślad zatem pojawiło się postanowienie Namiestnika (z d. 6. listopada 1821 r.), które zakazywało wszelkich towarzystw tajnych, wreszcie ogłoszono bulle papieskie przeciw Karbonarom i tajnym związkom wogóle. Łukasiński, widząc, jakie niebezpieczeństwo grozi spiskowym, zastosował się do rozporządzeń władzy, loże wolnomularskie zamknął, ale w cichości z najzaufańszymi prowadził dalej dzieło rozpoczęte pod nazwą „Węglarstwa narodowego“. Z wiosną r. 1821 zaszła nowa zmiana. Wielkopolanie, którzy, jak wspomniano, utworzyli u siebie osobne towarzystwo „Kosynierów“, zapragnęli porozumienia z Królestwem i wysłali w tym celu do Warszawy Umińskiego. Umiński odbył z członkami dawnego wolnomularstwa narodowego schadzkę na Biela-

[1]) Podaje ją Barzykowski I, 182.

nach d. 3. maja[1]) gdzie do zgromadzonych w następujące przemówił słowa: „Polacy pod różnemi rządami nie mają Ojczyzny, lecz powinni dołożyć wszystkich starań, aby ją całą wskrzesić i niepodległość jej na zawsze zabezpieczyć; do tego celu doprowadzą nas rodacy! stowarzyszenia, związki patryotyczne, które we wszystkich częściach starożytnej Polski rozszerzyć zamierzamy. Aby się mocniej w tem dziele utwierdzić, wykonamy tu przysięgę, którą przyjął związek poznański.“ Rzecz, jak widocznie, ułożona z góry, została natychmiast przyjętą, poczem podpułkownik Prądzyński dobył pałasza, ostrze utkwił w ziemię, na rękojeści zawiesił żelazny medal z popiersiem Kościuszki i przed tym zaimprowizowanym krucyfiksem złożyli obecni przysięgę, której rotę ododczytał Teodor Morawski. Na drugiem posiedzeniu, tego samego dnia jeszcze, wybrano tymczasowy komitet centralny, złożony z Wierzbołowicza, Łukasińskiego, Mochnackiego, Kozakowskiego, Prądzyńskiego, Szredera i Morawskiego i uchwalono wewnętrzną organizacyą związku. Związek składał się z gmin, liczących po dziesięciu członków, gminy tworzyły obwód, kilka obwodów prowincyą, których było siedem, mianowicie: Królestwo, W. ks. Poznańskie z województwem Kaliskiem, Galicya, Litwa, Wołyń, Rzplta Krakowska i Wojsko. Związek tak urządzony otrzymał nazwę: Narodowe patryotyczne towarzystwo; władzę naczelną sprawowali, tak jak dotąd, Łukasiński i Machnicki. Dokonawszy w ten sposób nowej organizacyi, rozwinęli spiskowi czynność energiczną, wysłali Umińskiego do Wielkopolski, Oborskiego na Litwę, Ludwika Sobańskiego na Wołyń, Cichowskiego w Kaliskie i Jordana do Krakowa, w celu rozpowszechnienia związku i poruszenia tamtejszych obywateli. Skutek był nadzwyczajny. W Litwie, gdzie za staraniem Zana i Filaretów rozbudziły się uczucia patryotyczne i nastrój poważny pomiędzy młodzieżą, powiodło się Oborskiemu w krótkim czasie przeprowadzić organizacyą i utworzyć Radę prowincyonalną, do której weszli ks. Konstanty Radziwiłł, Wojniłowicz, Nowomiejski i Adam Sołtan; tego samego dokonał także na Wołyniu i Podolu Sobański i w r. 1822 liczył związek około 5000 członków. Równocześnie prawie powstało odrębne Towarzystwo Templaryuszów. Założył je Franciszek Majewski, kapitan 1. pułku ułanów, który, wzięty do niewoli przez Anglików podczas wojen napoleońskich, przebywał przez pewien czas w Szkocyi i tam wstąpił do loży wolnomularskiej Templaryuszów. Powróciwszy do kraju, wiedziony temi samemi uczuciami, co Łukasiński i jego towarzysze, porozumiał się Majewski z pułkownikiem Łagowskim i urzędnikiem od komissyi ubiorczej Zabłockim, utworzył w r. 1819 związek wyżej wspomniany, którego członkowie zobowiązywali się poświęcić krew i majątek dla Ojczyzny i „stawić czoło trzem wrogom“. Templaryusze, podzieleni na kilka stopni, przyjmowali do lóż swoich także kobiety i pobierali od członków składki pieniężne w wysokości 100 złp. Związek Majewskiego, rozpowszechniony szczególniej na Białej Rusi, na Ukrainie i Wołyniu, miał zatem orga-

[1]) Ten dzień podaje Mochnacki I, 299; w rozprawach Sądu Sejmowego jest dzień 1. maja. Por. Sąd Sejmowy (1827—1829) na przestępców Stanu. Urzędowe akta. Poznań 1873. str. 142 1. t.

nizacyą praktyczniejszą, ale, działając na własną rękę, musiał krzyżować i utrudniać czynność „Narodowego Towarzystwa“. Niebawem zetknęły się oba związki i zaczęły się usiłowania, zmierzające do połączenia odrębnych organizacyi. Majewski jednak, uniesiony ambicyą, nie chciał słyszeć o zjednoczeniu. Taki był skutek usiłowań patryotów w pierwszych latach. Zdziałano rzeczywiście wiele; cały obszar ziem polskich pokrył się siecią spisków, duch narodowy zbudził się z uspienia, szlachta oddana dotąd rozrywkom, żyjąca bezmyślnie z dnia na dzień, ocknęła się z tego stanu umysłowego odrętwienia, wielki cel oswobodzenia ojczyzny podniecił drzemiące w sercach uczucia patryotyczne i skłonił obojętnych nawet do żywszego zajęcia się sprawami publicznemi. Mimo tych niezaprzeczonych korzyści jednak, jakie osiągnięto, nie było położenie ogólne pomyślnem. Związek rozprysnął się na dwa ogniska, był pozbawionym przeto jednolitości w działaniu i co najważniejsze może, nie miał kierownictwa takiego, któreby mogło budzić u ogółu zaufanie i w chwili stanowczej objąć naczelną władzę nad narodem dobijającym się niepodległości. Łukasiński odznaczał się niepospolitemi zaletami umysłu i charakteru, spiskiem kierował zręcznie i przezornie, towarzysze jego byli gorącymi patryotami, ludźmi gotowymi do wszelkich poświęceń dla sprawy narodowej, ale żaden z nich w razie powstania nie mógł stanąć na czele rządu lub dowodzić wojskiem, gdzie znajdowało się tylu starszych i zasłużeńszych oficerów. Co więcej związek nie posiadał funduszów i nie był pewnym czy na głos jego powstanie armia, na której jedynie ruch zbrojny musiał polegać. Czuli to członkowie komitetu bardzo dobrze i dlatego pragnęli najpierw pozyskać na naczelnika generałe Kniaziewicza, mieszkającego w Dreźnie, a gdy zamiar ten, z nieznanych nam bliżej powodów, się nie powiódł, wybrali później Sołtyka. Tymczasem jednak zachodziła obawa, aby umysły, rozkołysane spiskową robotą, zawcześnie nie zerwały się do czynu, aby w obec gorączki rewolucyjnej, panującej wtedy w Europie, nie chwycono za broń bez przygotowania lub aby rząd nie wpadł na ślad spisku, tak bardzo rozgałęzionego. Jakoż niebezpieczeństwo było rzeczywiście groźne i obawy, jak przyszłość okazała, zupełnie uzasadnione. Skoro bowiem tylko rozeszła się wieść, że wojska rossyjskie mają wyruszyć pod wodzą Jermołowa do Włoch na pomoc Austryakom przeciw rewolucyi neapolitańskiej, zaczął Łukasiński gotować się do powstania i tym ruchem zwrócił na siebie i na spiskowych uwagę policyi. System policyjny, będący podstawą władzy despotycznej i z tego powodu rozgałęziony w Rossyi a nie znany u nas w Polsce, przeniósł się wraz z w. ks. Konstantym i Nowosilcowem do Królestwa i stał się niebawem plagą dla całego społeczeństwa. Już natychmiast po zajęciu Ks. Warszawskiego przez wojska rossyjskie zaprowadzono, tak w Polsce jak i za granicą tajnych agentów policyjnych do szpiegowania Polaków a carewicz z natury podejrzliwy i ciekawy jakoteż Nowosilców, nienawidzący Polaków, rozpowszechnili i wydoskonalili ten system wstrętny i demoralizujący społeczeństwo w wysokim stopniu. Nie wystarczała im tak zwana „wyższa wojskowa sekretna policya“, której naczelnikiem po Kempenie został były porucznik ułanów Mateusz Szlej, utworzyli więc inne jej rodzaje pod nazwą tajnej policyi przybocznej. Kiero-

wali nią: Roźniecki, Lubowidzki i pułkownik Zass, ale nad nimi stał najniebezpieczniejszy ze wszystkich, generał Jenszow, Anglik z rodu, posiadający szczególne zaufanie w. księcia a nawet względy ks. Łowickiej. Oprócz tej głównej twierdzy policyjnej, skąd śledzono polityczne usposobienie społeczeństwa, istniała policya uliczna z fryzyerem Makrotem na czele i policya zagraniczna, czuwająca nawet nad członkami rodziny carskiej. Cała ta sieć pajęcza, wszystkie wiadomości i donosy zbiegały się w Belwederze. Codziennie o godzinie 5. z rana odbierał już W. Książe raporta naczelników policyi,

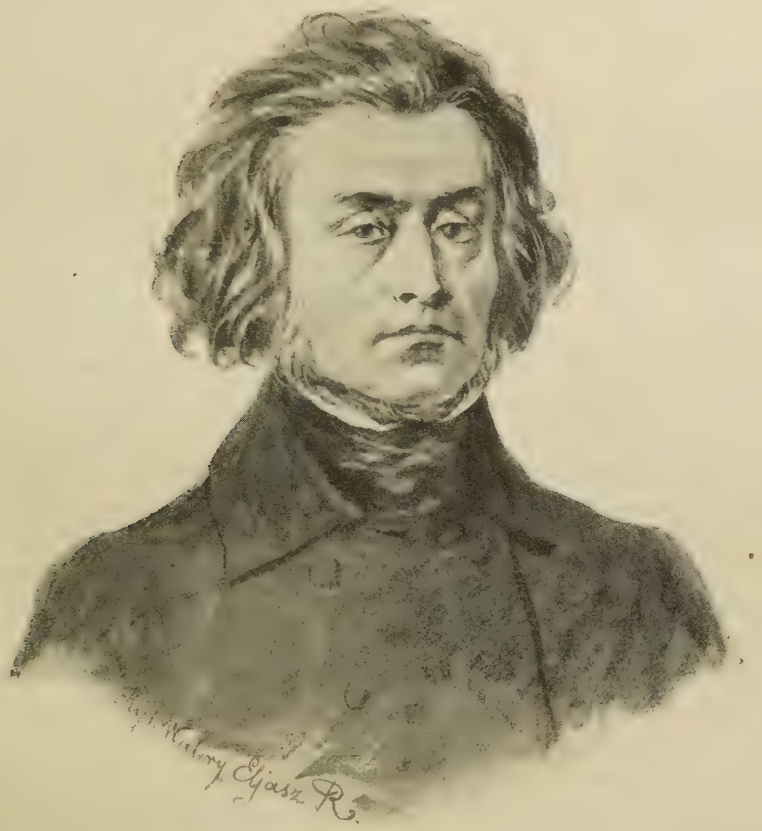

Adam Mickiewicz.

przy czesaniu słuchał plotek brukowych Makrota, resztę poruczał generałowi Gendre, który, niemając stałego urzędu, używany był do najohydniejszych czynności; osobno, na własną rękę czuwał nad duchem polskim Nowosilców, zaprawiając do szpiegostwa młodzież w uniwersytecie i w szkołach średnich, utrzymując własnych agentów i sięgając stosunkami swojemi daleko poza granice Królestwa. Władza policyi, uorganizowanej w ten sposób była straszna i niemal nieograniczona. W razie potrzeby wysyłano na prowincyą agentów, opatrzonych w listy polecające od Namiestnika do urzędów miejscowych, lub paszporta, wydane przez Szleja, za granicą kazano ambasadorom rossyjskim

śledzić podejrzanych Polaków a u dworów zaprzyjaźnionych wyrabiano rozkaz aresztowania tych, których dosięgnąć nie mogło ramię policyi rossyjskiej. W kraju powstały skutkiem tego stosunki potworne.

„W żadnem miejscu publicznego zebrania — tak wyraża się świadek współczesny[1]) — ani nawet w towarzystwach prywatnych, nie można było być pewnym ujścia baczności agentów policyjnych. Osoby, znane z uczuć patryotycznych miały po jednym, a niektóre po kilku tajnych a nieodstępnych stróżów.“ Jeden z nich podsłuchał zapewne tajemnicę związku i doniósł o niej W. Księciu, który natychmiast zawezwał do siebie Łukasińskiego i badać go zaczął. Łukasiński nie przyznał się do niczego, a że dowodów nie było więc rzecz skończyła się na niczem. Konstanty jednak miał odtąd na niego zwróconą uwagę i skorzystał z pierwszej sposobności aby go posłać do Krasnegostawu pod dozór dowodzącego tam ks. Wirtemberskiego. Tymczasem w skutek doniesień agentów tajnych z zagranicy[2]) do hr. Nesselrode, polecił Aleksander Nowosilcowowi, aby śledził za spiskami tajnemi w Królestwie, które w razie wojny z Turcyą zamierzały wywołać powstanie. Otóż „przypadek zrządził“, że do „pana senatora“ zgłosił się niejaki Nagórski i zawiadomił go o zawiązaniu tajnego towarzystwa między oficerami polskimi. Nowosilców zaczął rzecz badać, nabrał przeświadczenie o prawdziwości zeznań Nagórskiego i poszedł z tem do generała Kuruty, szefa sztabu cesarzewicza. Kuruta, może dlatego, że chodziło o sprawy wojskowe, zbył go niczem. Tymczasem po Nagórskim zjawił się nowy denuncyant, Schneider, wreszcie szpieg Karski. Schneider, były legionista, dosłużył się stopnia pułkownika i uchodził za dobrego patryotę, ale, zagrożony procesem o wielożeństwo, chcąc się od kryminału ratować, złożył wyznanie obszerne przed W. Księciem a uzupełnił je niebawem Karski. I on był także oficerem, należał do związku i został wysłany przez komitet centralny do Paryża w celach politycznych. Tu jednak wyjawił całą tajemnicę przed hr. Pozzo di Borgo, ambasadorem rossyjskim i co jeszcze haniebniejsze, w powrocie do kraju, na granicy przytrzymany nibyto niespodzianie przez policyą, wydał jej wszystkie papiery, kompromitujące najwybitniejszych członków związku.[3]) Mając takie dowody w ręku, kazał W. Książe natychmiast aresztować Łukasińskiego, Dobrogojskiego, Dzwonkowskiego, Machnickiego, Koszuckiego, Prądzyńskiego, Cichockiego i Życa i osadzić w więzieniu, w klasztorze Karmelitów na Lesznie. Stało się to w maju r. 1822, poczem osobna komissya śledcza, w której zasiadali: Falęcki, Ilinski, Superson, Podoski, Kołzakow i Nowosilców, zajęła się badaniem obwinionych. Dwa lata trwało śledztwo okrutne i nieludzkie do tego stopnia, że dwóch więźniów, Życ i Dzwonkowski, życie sobie odebrali, ale niezłomność Łukasińskiego i Cichowskiego zwyciężyła w końcu i komissya nie

---

[1]) Skarbek. Królestwo polskie II str. 99.

[2]) Tamże str. 221 raport Nowosilcowa do cesarza Aleksandra.

[3]) Tak przedstawia się ta niecna robota podług raportu Nowosilcowa i opowiadania Mochnackiego (I, 268). Wynika z pierwszego mianowicie, że Karski był szpiegiem, powątpiewanie zatem Barzykowskiego (I, 195) niema żadnéj podstawy.

odkryła nic oprócz wolnomularstwa narodowego. Mimo to z pogwałceniem ustaw obowiązujących, stawiono oskarżonych przed sąd wojenny, pod przewodnictwem Haukego i skazano Łukasińskiego na 9 lat robót publicznych, Dobrogojskiego i Dobrzyckiego na 6 lat, wszystkich trzech na utratę rang i zaszczytów honorowych. Inni zostali uwolnieni lecz oddani pod dozór policyjny, Prądzyński przeznaczony na rodzaj reformy. Cesarz, do którego potwierdzenia wyrok odesłano, zmnieszył karę Łukasińskiemu na lat 7 więzienia, Dobrogójskiemu i Dobrzyckiemu na 4.

Dnia 1. października r. 1824 odbył się na placu Krasińskich z całą ścisłością smutny akt łamania szpady przez kata nad głowami skazanych i obdzieranie z nich odznak honorowych, poczem wszystkich przyodziano w ubrania kryminalne, okuto w kajdany i wywieziono do Zamościa. Tak skończył się drugi akt tragedyi, rozpoczętej przez Nowosilcowa w Wilnie; tam prześladowanie dotknęło najszlachetniejszą część młodzieży, tu uczyniło zamach pierwszy, na razie bezskuteczny, na drugą twierdzę narodową, na wojsko. Dzieło zniszczenia było wymierzone przeciw tym żywiołom, które polityce rossyjskiej największem zdawały się grozić niebezpieczeństwem.

Trzeci Sejm. Śmierć Aleksandra I. Rok 1820 stanowi w krótkiej lecz wielce pouczającej historyi Królestwa Kongresowego epokę przełomową. Pierwszy okres, pięcioletni, istnienia konstytucyjnej Polski pomiędzy Bugiem i Prosną, przedstawia obraz harmonijnych stosunków i zgodnego rządu z narodem pożycia. Mąciły je wprawdzie wybryki w. ks. Konstantego i samowolna do pewnego stopnia gospodarka finansowa, w ogóle jednak panowało jeszcze zaufanie do Aleksandra a z jego strony szczera i niezachwiana chęć spełnienia obietnic danych Polakom i utrzymania konstytucyi. Obok tego atoli odbywała się zwolna, niespostrzeżenie niemal zmiana w usposobieniu stron obu. Po chwilach zapału i uniesienia, z jakiem witano dawcę pokoju i „wskrzesiciela Ojczyzny“, nastąpiła nieunikniona refleksya. Naród gnębiony klęskami wojennemi, odetchnąwszy swobodniej, zaczął się rozglądać w położeniu i spostrzegł wnet, że nie jest ono ani tak świetnem ani tak trwałem jak z początku mniemano. Nie szczere i z duchem postanowień kongresowych niezgodne postępowanie rządów w Galicyi i w W. ks. Poznańskiem, często powtarzane a niespełnione obietnice Aleksandra budziły w społeczeństwie polskiem słuszne obawy i wątpliwości. Los narodu, zdanego na łaskę rządów zaborczych, wydawał się groźnym i niebezpiecznym, przyszłość chmurna i niepewna. Wynikły stąd dwie rzeczy, w skutkach swoich szkodliwe, chociaż zupełnie zrozumiałe: trzymanie się konwulsyjne niemal konstytucyi z zaniedbaniem pracy nad podniesieniem narodu w innych kierunkach, na polu oświaty ludowej i uregulowania kwestyi włościańskiej, i robota konspiracyjna, nieunikniona w tych warunkach, ale będącą zawsze chorobliwym objawem życia społecznego. I jedno i drugie nastręczało żywiołom, wrogo dla Polski usposobionym, dogodną okazyą do dalszego zamącania harmonii pomiędzy tronem a narodem, a że współczesne wypadki w Europie sprzyjały tej kreciej robocie, więc skutek był niezawodny. Rząd organiczał i naruszał konstytucyą, śledził tajne związki za pomocą udoskonalonego systemu policyjnego, prześladował i więził

podejrzanych, naród wystraszony, przez usta reprezentantów swoich przemawiał opozycyjnie, żądał ścisłego przestrzegania ustaw a wgłębi ducha, zwątpiwszy o szczerości i dobrej wierze panującego, widział jedyny dla siebie ratunek w zbrojnem powstaniu. Tak kończył się r. 1820 nie tylko u nas ale i w całej Europie z tą różnicą, że gdy gdzieindziej były zagrożone chwilowo jedynie swobody bądź nadane bądź przez rewolucyą wywalczone, w Polsce ważyły się na szali wypadków losy całego narodu, jego byt polityczny i możność swobodnego względnie rozwoju. Sejm ostatni nie wypadł po myśli cesarza; Aleksander wyjechał z Warszawy rozgniewany i rozdrażniony i pod tem wrażeniem zawarł ów sojusz z najczarniejszą reakcyą, który jego następca miał utrwalić i zamienić w system, utrzymujący przez ćwierć wieku wschodnią część Europy w niewoli i najstraszniejszym ucisku. Natychmiast też po zwrocie nagłym spadły pierwsze ciosy na naród polski i na to konstytucyjne Królestwo, które przejmowało zgrozą i trwogą Metternicha i jego berlińskich przyjaciół.

Jeżeli można wierzyć podaniom współczesnych,[1]) miał Aleksander początkowo zamiar doraźnego zniesienia konstytucyi i odstąpił od niego wskutek usilnych przedstawień ministra spraw zagranicznych hr. Kapodistrias i ambasadora angielskiego, natomiast jednak dał wyraz swojemu niezadowoleniu w odezwie, którą Sekretarz Stanu Stefan Grabowski przysłał w maju r. 1821 Radzie Administracyjnej Królestwa. „Do tego już stopnia rzeczy przyszły — brzmiał najważniejszy ustęp odezwy — iż nie idzie teraz o naradzenie się nad utrzymaniem lub zmianą niektórych urzędów, nad dokończeniem lub zaprzestaniem jakowych robót, nad podźwignięciem lub upadkiem niektórych budowli lecz raczej o wyrzeczenie względem narodowego istnienia i najdroższego dobra Polaków, bo idzie o stwierdzenie, czy Królestwo Polskie może w teraźniejszej swej organizacyi wydołać z własnych funduszów politycznemu i cywilnemu bytowi, którym zostało obdarzone, lub też czyli ma, niemożność swą oświadczywszy, uledz zaprowadzeniu porządku rzeczy, więcej zastosowanemu do sił swoich szczupłości.“

Słowa tak groźne, wypowiedziane mianowicie po mowie tronowej, zamykającej ostatnią, burzliwą sessyą sejmową, musiały sprawić w Warszawie przygnębiające wrażenie. Upatrywano w nich, może niezupełnie słusznie, zapowiedź wielkich zmian, ukryty zamach na egzystencyą Królestwa, chęć przyłączenia i tej części Polski do cesarstwa, zamiar zniszczenia odrębności narodowej, w najciasniejszych zamkniętéj granicach. W istocie była odezwa przedewszystkiem odpowiedzią na uwagi sejmu. Komissye sejmowe, zbadawszy dokładnie budżet wydatków i dochodów, wykazały znaczny i stale powtarzający się deficyt, który w ostatnim roku, 1819, wynosił blisko 20 milionów złp. i doszły skutkiem tego do ciekawych wniosków. „Pragną komissye — tak brzmiał ustęp końcowy adresu — zwrócić baczność N. Pana, na ten smutny obraz Skarbu publicznego, aby przynajmniej na przyszłość ustanowioną została równowaga między wydatkami a przychodem, gdyż inaczej nie

[1]) Skarbek l. c. str. 170.

można uniknąć smutnej konieczności pomnażania długów krajowych, lub proszenia N. Pana o udział nadzwyczajnego dla Skarbu w pieniądzach zasiłku. Zdaniem komissyów, umiarkowanie wydatków z zastosowaniem do przychodów łatwiejszem być mogło przy zaprowadzeniu nowej formy Rządu, mniej kosztownej, zamienienie onej na teraz już wielkim podlega trudnościom, dlatego całej swej usilności użyły do przedstawienia uwag względem obecnego stosunku rzeczy.“ [1]) Jaka była właściwa myśl tego ustępu i do czego komissye zmierzały? odzywając się w ten sposób do tronu, trudno odgadnąć. Obowiązkiem ich było niezawodnie zbadać sumiennie stan Skarbu, wykazać ile niepotrzebnych czyniono wydatków, zganić rozrzutność w administracyi, ale zarazem podać środki odpowiednie do usunięcia deficytu i przywrócenia równowagi budżetowej. Komissye zalecały wprawdzie oszczędności, ale zresztą nie znalazły innego sposobu na uzdrowienie finansów krajowych jak tylko „nadzwyczajny zasiłek w pieniądzach“ z łaski Najj. Pana lub „zaprowadzenie nowej formy Rządu.“ Niezręczniej i niepolityczniej niepodobna było chyba wywiązać się z tak ważnego zadania. Reprezentacya konstytucyjna kraju przyznawała otwarcie, że Królestwo nieodłącznym od bytu politycznego ciężarom podołać nie może i stawała u stóp tronu w upokorzającej roli petenta, proszącego o wsparcie lub o zmianę tej formy Rządu, której z taką energią i z takim zapałem w sejmie broniła.

Dziwić się zatem nie można, że Aleksander, przez opozycyą podrażniony i nachylający się właśnie ku reakcyi, pochwycił skwapliwie nadarzającą się sposobność, aby zgodnie z uwagami komissyj sejmowych, zastanowić się nad przekształceniem konstytucyjnego Królestwa na gubernią, nie wymagającą kosztownej machiny rządowej i administracyjnej.[2]) W tak krytycznem położeniu objął urząd ministra skarbu Lubecki i odtąd zaczęła się nowa epoka w dziejach gospodarstwa krajowego. Przechodziło ono najrozmaitsze a zawsze ciężkie koleje. Skarbowość była zawsze prawie najsłabszą częścią machiny administracyjnej w Polsce. Skąpstwo sejmów, nieregularność w składaniu uchwalonych nawet poborów, samowola a nierzadko nieudolność podskarbich, sprawiały że Skarb Rzeczypospolitej zazwyczaj w największych znajdował się kłopotach. Niemiała wprawdzie Polska długów ale też nie miała i pieniędzy na najpilniejsze potrzeby. Wojna rossyjska w r. 1792 i insurrekcya kościuszkowska wyczerpały zupełnie nagromadzone staraniem sejmu zasoby i zniszczyły kraj pod względem ekonomicznym. W epoce księstwa Warszawskiego uregulowanie finansów było niepodobnem. Rossyanie w r. 1813 oddali Zarząd skarbu Prusakowi Colombowi, który byłby kraj doprowadził do bankructwa gdyby go w r. 1815 z ministerstwa nie usunięto. Następcą jego został Tadeusz Matuszewicz, ale i on znalazł się w położeniu niezmiernie trudnem, zastał bowiem skarb wyczerpany, nieporządek w administracyi wielki, a co najgorsze dochody, skutkiem wielkiego zubożenia kraju, mocno uszczuplone. Aleksander,

[1]) Obniski l. c. str. 462.

[2]) P. Askenazy w artykule „Z działalności ministra Lubeckiego (Bibl. Warsz. r. 1897, 2) utrzymuje, że na redakcyą odezwy cesarskiej miał wpływ Lubecki, który chciał w ten sposób ułatwić sobie zadanie jako minister skarbu.

uwzględniając stan opłakany Skarbu polskiego, udzielał znacznych zasiłków na utrzymanie wojska, kiedy jednakże to nadzwyczajne źródło ustało a wydatki na podniesienie przemysłu, na szkoły, na ulepszenie środków komunikacyjnych i t. p. rzeczy wzrastały, był deficyt nieuniknionym, zwłaszcza gdy w. ks. Konstanty i Nowosilców samowolnie, bez pytania ministra ze Skarbu znaczne pociągali sumy, gdy sam budżet wojskowy corocznie 29—30 milionów złp. pochłaniał. Znękany tem wszystkiem Matuszewicz przedłożył cesarzowi w r. 1817 obszerny memoryał, w którym, wystawiwszy upadek ekonomiczny kraju i skarbu, proponował założenie „Banku pożyczkowego i sprzedaż dóbr narodowych“ a gdy na to przychylnej nieotrzymał odpowiedzi, wziął dymissyą. „Zawiść Nowosilcowa wygryzła go z urzędu“, tak kończy wspomnienie pośmiertne o nim Niemcewicz.[1]) Teka finansów dostała się teraz najpierw Walentemu Sobolewskiemu, po nim Franciszkowi Węgleńskiemu. Ale ani pierwszy, poczciwy lecz schorzały, ani drugi, człowiek wielce podejrzanej wartości moralnej[2]) nie zdołali stawić czoła w. Księciu lub zahamować nadużycia Nowosilcowa. Powołano zatem Lubeckiego. Należy on niewątpliwie do najzdolniejszych i najznakomitszych ministrów Królestwa Kongresowego i dlatego przyjdzie nam nad działalnością jego cokolwiek dłużej się zatrzymać a to tembardziej, gdy współcześni już to powodowani osobistą ku Lubeckiemu niechęcią, już to pod wpływem partyjnych względów nadzwyczaj surowy i, co zatem idzie, niezupełnie sprawiedliwy sąd o nim wydali.[3]) Urodzony na Litwie w r. 1779, wychowany w Petersburskim korpusie kadetów, odbył Lubecki pod Suwarowem kampanią przeciw Francuzom, poczem wziąwszy dymissyą, przesiedział 10 lat na wsi i dopiero w r. 1809 wystąpił na widownią życia publicznego, będąc obrany marszałkiem powiatowym Grodzieńskiem. W tym charakterze zajmował się reklamacyami podatkowemi spółobywateli swoich, brał udział w znanym nam już komitecie litewskim, powołanym przez Aleksandra w r. 1811, następnie piastował z wyboru urząd marszałka gubernii Grodzieńskiej a w r. 1813 został cywilnym gubernatorem Grodzieńskim. W kilka miesięcy potem mianowany członkiem Rady Najwyższej Tymczasowej dla Ks. Warszawskiego, zasiadł w maju r. 1815 w Rządzie Tymczasowym Królestwa, skąd przeszedł do komissyi likwidacyjnej, ustanowionej dla wzajemnych obrachunków pomiędzy Rossyą, Austryą i Prusami, wynikłych z nowego podziału krajów polskich. Już te suche daty biograficzne, razem zestawione, określają dość dokładnie stanowisko i polityczny charakter Lubeckiego. Wychowany w szkołach rossyjskich, nieprzestał być wprawdzie Polakiem, ale starał się te swoje uczucia patryotyczne pogodzić z obowiązkami wiernopoddańczemi względem Aleksandra i jego następcy i stał się przez to niejako widomą głową tego stronnictwa, które, chociaż ceniło byt polityczny królestwa, przyszłość narodu widziało jedynie w ścisłem połączeniu

[1]) Niemcewicz Pamięt. II, 333.

[2]) Tamże, 435.

[3]) Bardzo surowo osądził go Mochnacki, bezstronniej cokolwiek Barzykowski i Lelewel (Polska odradzająca się); w ostatnich czasaeh wystąpił z obroną Lubeckiego Askenazy w przytoczonym wyżej artykule w Bibl. Warsz.

z Rossyą i w najśmielszych nawet marzeniach swoich poza te granice nie wykraczało. Bez gruntownego wykształcenia, bo w korpusie kadetów petersburskich nabyć go niemógł, jakkolwiek przebywał tam od 5-go roku życia przez lat 13, posiadał Lubecki wrodzoną bystrość umysłu, spryt i zręczność niepospolitą, umiał ludzi dobierać i używać ich do swoich celów, a dla dopięcia raz powziętych zamiarów stosować środki nawet najostrzejsze. To usposobienia bezwzględne i arbitralne, połączone z niezaprzeczonemi zdolnościami zapewniało mu z góry, wśród ludzi miękkich i do uległości skłonnych, jakimi byli ówcześni ministrowie, stanowisko dominujące, pewien rodzaj dyktatury, po którą sięgnąć nieomieszkał a raz uzyskawszy, odebrać sobie niedał. Drogę do ministerstwa skarbu utorowała mu obok zasług dawniejszych i zaufania, jakie posiadał u Aleksandra, missya berlińska i pomyślne ukończenie układów likwidacyjnych z dworem pruskiem. Traktat wiedeński, zmieniając stan posiadania mocarstw rozbiorowych w prowincyach polskich i określając nowe granice zaborów, naruszał tem samem dawniej istniejące stosunki, nadwyrężał prawa osób prywatnych i instytucyj, wikłał sprawy finansowe i stwarzał mnóstwo pretensyj, które trzeba było w drodze dalszych, dyplomatycznych negocyacyj wyrównać i uregulować. Tak jak niegdyś w r. 1772 i podczas następnych podziałów miała znowu Polska zapłacić koszta tej wątpliwej a tyle sławionej przez współczesnych pacyfikacyi. Na nieszczęście niemieliśmy w Wiedniu nikogo, ktoby tych spraw finansowych mógł był dopilnować. Nierozumiał się na nich Czartoryski, nie zajmował się nimi Aleksander, oddany całkiem wielkiej polityce, nie troszczyła się o nie wcale dyplomacya rossyjska i stąd poszło, że Polska została wydana na łup przebiegłych wyzyskiwaczy, pomiędzy którymi prym trzymały Prusy. One to odstąpiły Rossyi owe nieszczęsne sumy bajońskie, za które nowe Królestwo teraz, po raz drugi już, płacić miało, one narachowały sobie tytułem dawnych długów Rzpltej i zaległych procentów 18½ milionów złp.[1]) pretensyj, one wreszcie żądały zwrotu kosztów, wydanych na utrzymanie wojsk rossyjskich w obrębie w. ks. Poznańskiego w r. 1812, w sumie 16 milionów talarów, z czego oczywiście część znaczna spaść miała na skarb polski. Nieuzasadnione te uroszczenia były o tyle niebezpieczne, że gabinet berliński mógł liczyć na poparcie Alopeusa, długoletniego ambasadora rossyjskiego w Berlinie i wypróbowanego swego przyjaciela i na przychylność samego cesarza Aleksandra. Wtedy wystąpił Lubecki, jako członek komissyi likwidacyjnej z energicznem przedstawieniem i uzyskał tyle, że Aleksander zawezwał go do Akwisgranu i stamtąd wysłał do Berlina dla skontrolowania i ukończenia układów z Prusami. Lubecki, wziąwszy sobie do pomocy referendarza Kalinowskiego, uratował to co się jeszcze w tych okolicznościach ocalić dało. Był i on wprawdzie skrępowany do pewnego stopnia polityką dworu petersburskiego; Nesselrode upominał go wyraźnie „że w wojnie z Napoleonem Prusy położyły takie zasługi w interesie cesarstwa i że w ciągłych stosunkach z Rossyą takie dają dowody swej przychylności dla tego państwa, iż, chociażby niezupełnie z ich strony kwestye

[1]) Askenazy (l. c.) który korzystał z źródeł rękopiśmiennych, mianowicie z aktów komissyjnych Kalinowskiego, znajdujących się w Petersburgu, co wynika z dopisku na str. 140.

likwidacyjne były usprawiedliwione, nie trzeba jednak czynić im wielkich trudności“ [1]), mimoto jednak w konwencyi berlińskiej, zawartej w r. 1819, powiodło się Lubeckiemu umorzyć znaczną część uroszczeń pruskich i uwolnić skarb Królestwa od zapłacenia dowolnie nałożonej nań kontrybucyi. W zamian zrzekł się on, co prawda pretensyj do depozytów, wywiezionych z Polski w r. 1806 do Królewca, chociaż ustępstwo to zostało zrównoważonem przez okrojenie żądań pruskich, wynoszących przeszło 22 miliony.

Wkrótce po ukończeniu likwidacyi z Prusami powołany na ministra skarbu zastał Lubecki położenie, nie rozpaczliwe wprawdzie ale bardzo krytyczne, zastał deficyt znaczny, rozprzężenie w administracyi i ową znaną nam już odezwę ministra Sekretarza Stanu, która w kołach warszawskich wywołała wielkie zaniepokojenie. Cesarz nakazywał wprawdzie na razie tylko zmniejszenie wydatków korony i liczby urzędników, ale któż mógł zaręczyć czy po tej pierwszej zmianie nie nastąpią dalsze, ważniejsze, zagrażające wprost odrębnej egzystencyi Królestwa. Była to woda na młyn Lubeckiego i ułatwiała w wysokim stopniu działanie jego na tak ważnem stanowisku. Zabrał on się też bezzwłocznie z właściwą sobie energią i bezwzględnością do dzieła, a że znalazł w społeczeństwie usposobienie przychylne, gotowość do ofiarności na cele publiczne wielką, więc w krótkim stosunkowo czasie przywrócił równowagę w budżecie, skarb wypróżniony napełnił i uschyłku swojego urzędowania znaczne zostawił zapasy. W r. 1822 podniosły się już dochody skarbu z 59 na 74 miliony a w r. 1829 wynosiły około 89 milionów.[2]) Prawda, że razem z tym wzrostem dochodów rozlegały się w kraju coraz to głośniejsze skargi na ucisk fiskalny, prawda, że Lubecki, postawiwszy sobie niejako za zasadę „wziąć skąd wziąć byle wziąć“ dopuszczał się mnogich nadużyć: egzekwował zaległe podatki z czasów Stanisława Augusta, zaprowadzał na wzór rossyjski t. zw. kabaki, znosił samowolnie nadania i przywileje, odebrał np. prawo wyrabiania i szynkowania trunków miastu Warszawie — ale zebrane w ten sposób fundusze obracał nie tylko na zbogacenie skarbu, nie tylko na gratyfikacye lecz i na podniesienie przemysłu, na stworzenie instytucyj, które jak Towarzystwo kredytowe i Bank polski tak znakomite usługi oddały krajowi. On pierwszy też miał odwagę stawić skutecznie czoło w. ks. Konstantemu i Nowosilcowowi. Przy pierwszej sposobności, kiedy cesarzewicz, przyzwyczajony do dowolnego szafowania funduszami publicznemi, przysłał do skarbu asygnatę na znaczną sumę a, podrażniony odmową Lubeckiego, zagroził mu przez Kurutę, że kasę odbić i pieniądze gwałtem wziąć każe, Lubecki kwotę asygnowaną wypłacił, ale zarazem oddał klucze od kas Kurucie a do cesarza napisał, że urząd składa i prosi, aby go oddano pod sąd za wydanie pieniędzy, budżetem nie objętych. Cesarz zatwierdził wprawdzie wydatek, ale oświadczył że czyni to po raz ostatni i że odtąd minister odpowiadać będzie za to, jeżeli na czyjkolwiek rozkaz wyda z kasy pieniądze, budżetem nie przewidziane. W ten sposób położył Lubecki raz na zawsze koniec nadużyciom skarbowym w. Księcia i Namiestnika. Niebezpieczniejszym był Nowosilców, nienawidzący

[1]) Mochnacki I, 174.

[2]) Bloch Jan: Finanse Królestwa Polskiego. Warszawa 1883. T. III, tabl. XII.

Lubeckiego i wzajem przez niego nienawidzony. Spotkali się oni w Radzie Najwyższej Tymczasowej w r. 1813 i odtąd ciągłą ze sobą prowadzili wojnę. Nowosilców, przewidując czego się może spodziewać po nominacyi Lubeckiego na ministra skarbu a przytem związany ściśle z Węgleńskiem przeszkadzał wyniesieniu pierwszego, ale napróżno. Jakoż przeczucia nie zawiodły go, bo Lubecki, zostawszy ministrem, pierwszy i jedyny z pomiędzy kolegów swoich odważył się stawić czoło „panu senatorowi“ i, mając zaufanie cesarza, wychodził zazwyczaj z tej walki zwycięsko. Wśród żywych sporów, wśród których książe minister nieszczędził przeciwnikowi ostrych a czasem nawet wprost ubliżających i niegrzecznych wyrazów, budził się w nim patryotyzm polski. Kiedy Nowosilców na posiedzeniu Rady ministrów zarzucał Polakom niewdzięczność, odparł Lubecki ten zarzut bardzo energicznie. „Pomiędzy Rossyą a Polską — rzekł on — niema ani zwyciężonego ani zwycięzcy, ani panującego ani poddanego, ani upoważnionego do wydawania rozkazów, ani słuchać ich obowiązanego a tem bardziej nie może być mowy o wyrzeczeniu się wzajemnem zwyczajów i obyczajów dwom narodom właściwych“.[1]) Czasami, nieodstępując od zasadniczej swojej polityki połączenia Polski z Rossyą, rozwijał on w tym względzie poglądy swoje jaśniej i wyraźniej. W rozmowie z przyjacielem swoim, senatorem Platerem określił tak stosunek narodu polskiego do cesarstwa w przyszłości: „Polsce — mówił — trzech rzeczy potrzeba: 1. szkół, tj. oświaty i rozumu; 2. przemysłu i handlu, tj. zamożności i bogactwa; 3. fabryk broni. To posiadając nawet w połączeniu z Moskwą, potrafi całkowicie swoją niepodległość utrzymać.“ A gdy Plater zdziwiony zapytał: I fabryk broni? Odpowiedział Lubecki: „Tak i fabryk broni. Polska powinna mieć wszystko czego potrzeba do zagwarantowania niepodległości, inaczej wszystko straci, a po chwili dodał: Mam nadzieję, że z czasem przeprowadzić to zdołam.“[2]) I rzeczywiście wykonał Lubecki drugi punkt swojego programu w zupełności, chociaż nie bez wielkich ofiar ze strony kraju i społeczeństwa; stworzył pożyteczne instytucye finansowe, uchronił w ten sposób rolnictwo od ruiny ekonomicznej, zapewnił tańszy kredyt firmom kupieckim, wpłynął na rozwój przemysłu, który, mając otwarte drogi handlowe na wschód, do niebywałego przedtem doszedł rozkwitu i zostawił w skarbie, po umorzeniu deficytu, 30 milionów gotówki. Temi środkami nagromadzonemi przez niego, był w stanie Rząd Narodowy pokryć wydatki nadzwyczajne na wojsko, wynoszące od dnia 1. Grudnia 1830 do 15. września 1831 kwotę 79,638.000 złp.[3]), ta gospodarka sprawiła, że po rewolucyi r. 1831 nie było w całym kraju ani jednego znaczniejszego bankructwa.[4])

Mimo tych niezaprzeczonych zasług, które teraz dopiero, w perspektywie dziejowej, wyraźniej występują, nie miał Lubecki u współczesnych ani ogólnego uznania ani popularności. Jedni nienawidzili go jako fiskalistę, łamiącego przywileje korporacyjne i depcącego najlepsze prawa prywatne dla swoich

[1]) Barzykowski I, 113.

[2]) Tamże.

[3]) Bloch, Finanse Królestwa Pol. III, Tab. VIII.

[4]) Tomasz Wentworth Łubieński: Henryk Łubieński i jego bracia. Kraków 1886, str. 71.

widoków, drudzy odwracali się od niego jako od urzędnika, przejętego duchem rossyjskim i zupełnie obojętnego na losy konstytucyi, o którą tak zawziętą walkę prowadziła opozycya z rządem. Trzeźwy polityk, zasadzający swój program na podniesieniu dobrobytu i bogactwa krajowego a dopiero w odległej przyszłości zamierzający temi środkami materyalnemi ubezpieczyć byt i niepodległość narodu, nie mógł Lubecki w tej atmosferze gorącej, w tem społeczeństwie, rwącem się już do czynu, znaleść ani sympatyi ani zwolenników. Pierwszy krok polityczny Lubeckiego usposobił zresztą jak najgorzej przeciw niemu opinię. Po czteroletniej przerwie postanowił Aleksander zwołać trzeci sejm Królestwa na dzień 13. maja r. 1825, nauczony jednak doświadczeniem ostatniej sessyi, gdzie publiczność a szczególniej młodzież szkolna,[1]) licznie zgromadzała się na galeryach izby poselskiej i oklaskiwała mowy posłów opozycyjnych, zamierzył ogłosić artykuł dodatkowy konstytucyi, znoszący jawność obrad sejmowych. Na Radzie ministrów, która projekt cesarza roztrząsać miała, była różnica zdań wielka a gdy w końcu propozycyą przyjęto, znalazł się jeden tylko minister, co rozporządzenie to kontrasygnował, a był nim Lubecki. W liście, jaki napisał z tego powodu do ministra Sekretarza Stanu, wnosićby należało, że działał z przekonania, ale to nie tłómaczy go wcale z zarzutu, że jako Polak i minister konstytucyjny usankcyonował swoim podpisem najjaskrawsze pogwałcenie konstytucyi. Opinia publiczna zapisała sobie dobrze w pamięci ten krok księcia ministra, ale artykuł dodatkowy przyjęła milczeniem. Od r. 1820 począwszy następował gwałt jeden po drugim, ucisk stawał się coraz to sroższym, cenzura nieubłaganą, nic dziwnego zatem, że opozycya, pozbawiona wszelkich środków działania, objawić się nie mogła. Zachodziło pytanie co uczyni sejm, ale i tu umiał rząd przełamać jak największe trudności przez usunięcie z izby przywódzców opozycyi, obu Niemojowskich. Na Wincentego zwracała policya szczególniejszą uwagę a przypadek nastręczył jej pozorów do prześladowania odważnego posła. W r. 1821 niejaki Onufry Radoński b. pułkownik 10. pułku huzarów z czasów Ks. Warszawskiego i przyjaciel Umińskiego, został wysłany przez tegoż z Wielkopolski do Królestwa w missyi politycznej[2]) i po drodze odwiedził w Kaliskiem braci Niemojowskich. Policya tajna, śledząca pilnie każdego przybywającego z zagranicy, policya, która się nie wahała na rozkaz w. Księcia odciąć marszałkowi Marmontowi kufry od powozu, aby wydobyć z nich jakieś ważne papiery,[3]) skorzystała z nielegalności w paszporcie i aresztowała Radońskiego, posądzając go o udział w towarzystwie karbonarów i w rewolucyi neapolitańskiej. Przywieziony do Warszawy przesiedział on 6 tygodni w pałacu Brylowskiem, poczem odstawiono go do granicy i oddano żandarmom pruskim. Niemojowski Wincenty oburzony tem zamierzał upomnieć się o krzywdę wyrządzoną Radońskiemu na najbliższym Sejmie a podług innej wersyi[4]) miał

[1]) Wspomnienia Andrz. Edw. Koźmiena str. 204.

[2]) Wspom. gen. Kołaczkowskiego III, 17.

[3]) Tamże, str. 97.

[4]) Skarbek II, 178. Wiadomość Skarbka wydaje się prawdziwsza, bo inaczej trudnoby było zrozumieć dla czego Konstanty mówił Niemojewskiemu, że obraził króla (Mochnacki I, 141).

nawet napisać list do cesarza w tej sprawie. Rzecz doniosła się oczywiście natychmiast do w. Księcia, który przywołał Niemojowskiego, upomniał go w obecności ministrów surowo, powiedział, że obraził króla i że król zabrania mu raz na zawsze znajdować się tam gdzieby się on znajdował, na koniec żądał od niego podpisania deklaracyi, że do tego rozkazu się zastosuje. Niemojowski deklaracyą podpisał, ale sądząc, że zakaz odnosi się tylko do spotkania z monarchą osobistego, przyjechał na Sejm do Warszawy. Tu jednak u rogatek zatrzymano go na rozkaz w. Księcia, odwieziono do domu i osadzono tam pod strażą oficera żandarmów, który go aż do rewolucyi listopadowej nigdy nie opuszczał.

Przeciw Bonawenturze użyto innego środka, postarano się mianowicie o wytoczenie mu procesu kryminalnego i pod tym pozorem niedopuszczono do izby sejmowej. Pod taką wróżbą zbierał się ostatni za życia Aleksandra sejm polski a fizyognomia jego odpowiadała zupełnie ponuremu usposobieniu społeczeństwa i cesarza. Marszałkiem izby poselskiej został Stanisław Piwnicki, prezes komissyi wojewódzkiej Sandomierskiej, uprzejmy i powolny dla posłów, ale niemający ani znaczenia ani poważania ani zdolności do tak ważnego i trudnego urzędu. Do izby sejmowej wprowadzono urzędników moskiewskich dla spisywania protokołów, słowem nie pominięto niczego coby mogło uczucia narodu podrażnić i dumę jego upokorzyć. Tym samym duchem tchnął uniwersał sejmowy i mowa tronowa. W pierwszym, napomknąwszy o artykule dodatkowym, wyraził cesarz nadzieję, iż posłowie będą umieli odtąd „unikać omamień zle zrozumianej miłości własnej i nieszczęsnych skutków niezgody, że, wierni powołaniu swemu, będą roztrząsać z umiarkowaniem ważne projekta, jakie wniesione zostaną,“ w drugiej usprawiedliwiał poniekąd zmianę swojej polityki i w łagodniejszą cokolwiek uderzał strunę. „Kiedy przed czterema laty — były jego słowa — rozstałem się z wami, smutne wypadki zrodziły były powszechną w Europie niespokojność, która szczęściu wszystkich narodów zagrażała. Chciałem, aby czas ustalił wyobrażenia i namiętności uśmierzył, opóźnione zostało przeto trzecie wasze zgromadzenie, lecz pewien jestem, iż ta przewłoka utorowała prac waszych pomyślny skutek i z prawdziwem stawając wśród was upodobaniem, przejęty jestem wszystkiemi uczuciami tego przywiązania, którego wam tyle dałem dowodów“; wskazując zaś na ostatnie wypadki dodał: „W upłynionym od ostatniego sejmu przeciągu czasu, wierny moim obowiązkom i objawionemu wam postanowieniu, skoro dostrzegłem zarody rozprzężenia, oparłem się ich rozwinięciu. Ażeby utrwalić moje dzieło i wam zapewnić spokojne używanie owoców, których oczekuję, dodałem do ustaw konstytucyjnych nowy artykuł....“ Przyszłość waszej Ojczyzny spoczywa w rękach waszych. Miejcie na uwadze tylko jej dobro i korzyść prawdziwą, pomagajcie mi w spełnieniu względem niej moich życzeń od których nigdy nie odstąpiłem.“

Wrażenie słów cesarskich odbiło się głęboko w umysłach posłów i skłoniło ich do gruntownego zastanowienia się nad położeniem narodu i nad stanowiskiem, jakie sejmowi zająć należało. Na poufnych naradach u Sołtyka ważyły się zdania; jedni przemawiali za bezwzględną opozycyą, drudzy dora-

dzali umiarkowanie. Sam Sołtyk, stojący na czele robót konspiracyjnych, mniemał, że kraj nie jest do powstania przygotowany, że naród, zawsze jeszcze dla Aleksandra przychylnie usposobiony, niechętnie tylko podniósłby oręż przeciw niemu, że zatem nie pozostaje nic innego, jak bronić konstytucyi na drodze legalnej, wytykać nadużycia rządu a zresztą postępować z godnością i umiarkowaniem. Zdanie doświadczonego patryoty zwyciężyło i obrady sejmowe poszły nadspodziewanie gładko i składnie.

Raport ministra spraw wewnętrznych, Mostowskiego, przedstawiał stan kraju niezbyt pomyślny. Wzrosła wprawdzie liczba ludności. Podług spisu z r. 1823 miało Królestwo 3,704.307 mieszkańców a więc o sto tysięcy więcej niż w r. 1819, podniósł się przemysł, wyroby krajowe, zwłaszcza sukna, znajdowały odbyt w Rossyi i na dalekim wschodzie, rozwijały się pomyślnie zakłady wojskowe: szkoła kadetów w Kaliszu, szkoła podchorążych i aplikacyjna w Warszawie, ale obok tego nie brakło objawów, zatrważających każdego myślącego obywatela. Dla podniesienia przemysłu sprowadzono 10.000 rodzin zagranicznych rękodzielników, żywioł obcy, dla kraju nieprzychylny i dotąd odrębność swoją pod względem narodowym zachowujący, na uregulowanie i uspławnienie Wisły zmarnowano miliony, nieosiągnąwszy znaczniejszych rezultatów a obok tego zaniedbano z karygodną prawdziwie lekkomyślnością oświatę ludową i kwestyą włościańską. Rozpowszechnienie szkółek elementarnych zostało wstrzymane rzekomo szczupłością funduszów rządowych i ubóstwem klasy rolniczej, raport Rady administracyjnej odsłania jednak tego zaniedbania powody. „Oświecenie liberalne i obszerniejsze — tak czytamy tam — ofiarowane ubogiemu, podczas kiedy nie można mu zapewnić zastosowanego w przysłości losu, stałoby się dla niego sidłem i przygotowało niedolę. Nauczyłoby go przyjemności, których osiągnąć nie zdoła, wznieciłoby w nim żądze, jakich uspokoić nie może, wreszcie zatrułoby i zaburzyłoby dni jego jadami zawiści i niechęci. Tak powstaje i wzmaga się nieupodobanie własnej doli, chęć obłędna doświadczenia wszelkich stanów, bez ustalenia się w żadnym, i już od dzieciństwa człowieka można przewidzieć gromadzące się burze, które w późniejszym wieku zdołają zatrząsnąć albo obalić społeczeństwa składy.“ Jeżeli ustęp powyższy, napisany najwidoczniej z natchnienia Nowosilcowa, Grabowskiego i Szaniawskiego, owej trójcy osławionej, która kierując Wydziałem oświecenia publicznego, działalność swoją na gaszeniu i tłumieniu oświaty warstw niższych zasadzała, wyjaśnia dostatecznie przyczyny upadku szkół ludowych, to zupełne zaniedbanie kwestyi włościańskiej przez rząd Królestwa i Sejmy trudnem jest do pojęcia. Gdy konstytucya Księstwa Warszawskiego przyznała wolność osobistą rolnikom, było uregulowanie stosunku właścicieli do włościan rzeczą nieuchronną, Wymagał tego dobrze zrozumiany interes dziedziców, wymagały w wyższym stopniu względy narodowe i polityczne. Jakoż na Litwie objawia się około r. 1815 i w latach następnych żywy ruch w tym kierunku. Za nadaniem zupełnej wolności chłopom i za zawieraniem z nimi umów przez właścicieli, bez interwencyi rządowej, przemawia wzorowy gospodarz, właściciel majątku nad Niemnem, Ignacy Lachnicki; popiera go synowiec Ignacy Emanuel, redaktor „Pamiętnika Magnetycznego“, popiera

„Towarzystwo Szubrawców“, w „Wiadomościach Brukowych“ wyśmiewające dowcipnie dawny system gospodarstwa i obchodzenia się z chłopami, wreszcie sejmik gubernii Wileńskiej, podejmuje w styczniu r. 1818 wprost już sprawę uwolnienia włościan od poddaństwa. Ale tu miał być kres powodzeń liberałów. Przeciw uwłaszczaniu tak pojętemu stanęli murem najbogatsi i najbardziej wpływowi obywatele; Lubecki, sprawujący wówczas urząd gubernatora, spokrewniony z nim Pusłowski i Umiastowski; więc gubernator Plater opieczętował salę obrad i doniósł do policyi, że „się pełnią kryminały, że się na rozruch zanosi“. Skończyło się na tem, że do Petersburga wysłano przedstawienie w sprawie uwłaszczenia chłopów i polepszenia ich losu. Arystokracya rossyjska, obawiając się aby przykład Litwy nie obudził podobnych pragnień w guberniach, dalej na wschód położonych i nie wpłynął na zmianę istniejących tam stosunków poddańczych, dołożyła wszelkich starań do zniweczenia rozumnych i pożytecznych zamiarów szlachty litewskiej. Przedstawienie sejmiku Wileńskiego miało więc tylko ten skutek, że rząd zakazał na sejmikach traktować sprawę uwolnienia włościan. W Królestwie było inaczej, bo tam rząd zdania swego nieobjawił wcale a ustawy konstytucyjne i panujące w kraju stosunki dopuszczały i zalecały nawet wczesne uregulowanie kwestyi tak ważnej pod względem społecznym i narodowym. Niedopilnowała tego ani opozycya ani ministrowie ani sejm, aż kraj doczekał się fatalnego ukaza z d. 1. czerwca 1846 r., który otworzył przepaść pomiędzy chatą wieśniaczą a dworem. Sejm r. 1825 miał pomiędzy projektami rządowemi jeden, dotyczący sprawy włościańskiej. Proponowano w nim mianowicie zmianę art. 530 kodeksu cywilnego o prawie wykupu czynszu wieczystego. Podług obowiązujących dotąd postanowień można było czynsz podobny spłacić i tem samem z dzierżawcy stać się właścicielem obciążonej czynszem nieruchomości. O ile to było korzystnem dla włościan bądź oczynszowanych bądź oczynszować się mających, łatwo ocenić. Ale większość sejmowa, upatrując w projekcie rządowym przeciwnie wielkie dla rolnictwa korzyści, uchwaliła znaczną większością niebaczną zmianę art. 530 i stworzyła w ten sposób nową przeszkodę dla uwłaszczenia. Najżywszą dyskusyę zato i zaniepokojenie wywołało w kołach poselskich wówczas, już odrzucone przedłożenie o prawie małżeńskiem, zmieniające kodeks Napoleoński. I tu jednakże obrano drogę kompromisową. Sołtyk imieniem komissyi sejmowej prosił o posłuchanie cesarza, ażeby się z nim bezpośrednio porozumieć. Aleksander, widocznie zadowolony z tego, polecił ministrom dołożyć wszelkich starań dla zgodnego załatwienia drażliwej sprawy, a gdy biskupi zanieśli do niego prośbę o utrzymanie pierwotnego projektu w całej osnowie, odpowiedział im, że „niechce być w sprzeczności z narodem polskim“ [1]) i pragnie dlatego powszechnej zgody. Tak i ten projekt, lubo zmieniony, doczekał się przyjęcia w izbie. Najważniejszą jednak pracą sejmową, istotnie dla kraju pożyteczną, było ustanowienie Towarzystwa kredytowego.

Pomysł sam w sobie nie był nowym; powstał on jeszcze za czasów Księstwa Warszawskiego,[2]) gdzie ówczesny minister sprawiedliwości, Feliks

[1]) Barzykowski I, 151.

[2]) Henryk Łubieński i jego bracia, str. 53.

Lubieński czynił starania aby na wzór t. zw. „Landschafty“ pruskiej, założonej na Szląsku w r. 1772, utworzyć instytucyą kredytową, któraby mogła ratować zadłużonych właścicieli ziemskich. Projekt ten więc, niewykonany wówczas dla krótkości czasu i niepomyślnych wypadków politycznych a obecnie podjęty na nowo przez Lubeckiego, otrzymał aprobatę cesarską i przychylną uchwałę sejmową. Właściciele ziemscy uzyskali w ten sposób możność łatwego i stosunkowo taniego kredytu a jakkolwiek kurs listów zastawnych był z początku niski i spekulanci pruscy zamierzali tę okoliczność wyzyskać dla swoich celów przez założenie w Warszawie banku akcyjnego, któryby papiery kredytowe lombardował i wysokość kursu ich oznaczał, to Lubecki niedopuścił do tego i, stworzywszy następnie Bank polski, podniósł za jego pośrednictwem i przedtem jeszcze, przez odpowiednie spekulacye, kurs listów z 60 na 80 za sto.[1])

Jakkolwiek obrady sejmowe odbyły się spokojnie, z wyjątkiem ostatniego posiedzenia, na którem Marszałek podstępem niedopuścił odczytania kilku drażliwych i nieprzyjemnych dla rządu petycyj, to w uwagach nad raportem Rady Stanu wytknięto rządowi i nadużycia rozmaite i zaniedbanie oświaty. Powołując się na to, że w ostatnich czasach nadzwyczaj mało książek polskich drukowano, uczynił senat rządowi następującą charakterystyczną wymówkę: „Dalekiemi są komissye senatu od sądzenia, aby na wielości dzieł polegał postęp nauk i rzetelne oświecanie narodu, Kiedy atoli N. Pan osądził za rzecz słuszną, zapewnić nam używanie języka naszego ojczystego przez formę rządu, instytucye naukowe i przez wojska narodowe, przyjąć tę z uszanowaniem głębokiem i z ufnością zaniesioną prośbę raczy: aby komitet cenzury, złożony z kilku znakomitych osób stanowił podług stałych przepisów o książkach i pismach, z zagranicy wchodzących i w kraju drukujących się. Senat ze względu na okoliczności obecne, zważywszy, że gdy z powodów politycznych cenzura ta w czasie teraźniejszym nieodzowną być się zdaje i gdy wola monarchy w tej mierze spełnioną być musi, objawić czuje się w obowiązku życzenie: iżby ona, z należną tylko ostrożnością i rozwagą sprawowaną była, by z jej przyczyny oświecenie narodu wstecz się nie cofało i by skutkiem jej stolica Królestwa wkrótce zupełnie z księgarzy ogołoconą nie została.“

Mimo to był Aleksander zadowolony z przebiegu sessyi sejmowej a mowa jego, zamykająca obrady, tchnęła dawniejszą życzliwością dla kraju i narodu, dotkniętego tak bardzo w swoich najświętszych uczuciach. — „Trzecie wasze zgromadzenie — tak wyraził się pomiędzy innemi — przyniosło skutki, których wam dosyć powinszować nie mogę. Naradzaliście się spokojnie i z rozwagą, spełniliście oczekiwania Ojczyzny waszej i usprawiedliwiliście zaufanie moje. Oddalam się od was z żalem, ale zarazem z zadowoleniem. Zachowuję głębokie wrażenie Waszych obrad, które zawsze łączyć się będzie z pragnieniem, abym Was przekonał jak szczerem jest moje ku Wam przywiązanie i jaki wpływ postępowanie Wasze będzie mieć na Waszą przyszłość“; a do

[1]) Tamże str. 66.

deputacyi senatu rzekł: „Dzieje wasze dowodzą, iż rozterki były przyczyną osłabienia i upadku narodu. Na Was spada obowiązek zatrzeć te plamę, dając uprzedzonej Europie stały obraz panującej w obradach Waszych zgody. Sejm teraźniejszy stanowić będzie świetną w historyi Waszego narodu epokę.“ Uznanie, nie wątpimy że szczere, przychodziło za późno. Rany, zadane narodowi polskiemu ręką Nowosilcowa i Konstantego nie mogły się zagoić pod wrażeniem słów życzliwych, mowa tronowa nie była w stanie przywrócić zachwianego zaufania pomiędzy królem a krajem zgnębionym i sponiewieranym kilkakrotnie, powrót do stosunków z przed 10-ciu laty wymagał zmiany systemu u góry, uspokojenia wzburzonych namiętności u dołu. Na to jednak, przy najlepszych nawet chęciach zabrakło już czasu, bo w kilka miesięcy później, d. 1. grudnia 1825 r. zakończył Aleksander niespodziewanie życie w Taganrogu.

Mikołaj I. Rewolucya w Petersburgu. Odkrycie spisków. Sąd sejmowy. Koronacya. Sejm r. 1830. Wiadomość o śmierci Aleksandra I. nadeszła do Warszawy d. 7. grudnia i wywołała tam głębokie wrażenie. Jakkolwiek bowiem w ostatnich latach zerwały się prawie zupełnie węzły, łączące naród polski z cesarzem, jakkolwiek postępowanie jego od r. 1820, będące szeregiem gwałtów i najsroższych ucisków, zachwiało stanowczo zaufanie w szczerość zamiarów i obietnic monarszych, to nikt nie mógł zaprzeczyć, że Polska wiele była winna Aleksandrowi i że na dnie tej duszy dziwnej, do marzycielstwa skłonnej, tlała iskierka prawdziwej dla Polaków sympatyi.[1]) Potwierdzają to dostatecznie słowa Konstantego wyrzeczone do generałów polskich w dniu Nowego Roku 1826: „Wyznać Wam muszę — mówiłon — że zmarły brat mój był wielkim Waszym przyjacielem i dużo dobrego o Was mi mówił, ale co prawda to, że ja często bardzo przeciwnego byłem zdania, teraz zaś przyznaję, że brat mój miał słuszność a ja nie; bo Polacy są dobrym narodem.“[2]) Otóż po tem panowaniu, na przemian łagodnem i znów srogiem, miała nastąpić zmiana, której skutków nikt na razie przewidzieć nie zdołał. Spodziewano się w pierwszej chwili, że na tron wstąpi Konstanty i tego może obawiano się najbardziej, znając jego surowość i gwałtowne usposobienie. Jakoż rzeczy skłaniały się ku temu z początku. Kiedy w. ks. Mikołaj, odebrawszy d. 9. grudnia wiadomość o śmierci brata, udał się do senatu w celu złożenia przysięgi na wierność Konstantemu, przedstawiono mu tam opieczętowany i z rozkazu Aleksandra aż do jego zgonu przechowany akt zrzeczenia się tronu Konstantego wraz z odpowiednim manifestem własnoręcznym zmarłego cesarza. Mimoto Mikołaj złożył przysięgę wierności starszemu bratu, nakazał to samo uczynić wszystkim instytucyom i ogłosił cesarzem Konstantego. Prawdopodobnie skłoniły go do tego niezwyczajnego kroku wiadomości o spiskach wojskowych i o zamierzonem powstaniu, które za sztandar miało użyć i użyło rzeczywiście Konstantego. Ten jednak był w swojem postanowieniu niezachwianym. Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, jakie na nim wiadomość o śmierci Aleksandra wywarła, nie chciał słyszeć

[1]) Tak sądzi o Aleksandrze Barzykowski I, 153.

[2]) Skarbek II, 203.

o koronie i do ks. Łowickiej, zatrwożonej, rzekł: „Bądź Pani spokojną, nie będziesz panować.“ [1]) Natychmiast też wysłał przez brata w. ks. Michała, bawiącego natenczas w Warszawie, dwa listy, jeden do cesarzowej matki, w którym powtarzał akt zrzeczenia się tronu, drugi do Mikołaja z przysięgą wierności i poddaństwa, a gdy i to nie wystarczyło, nowem, urzędowem niejako oświadczeniem położył koniec wszelkim wątpliwościom. Dopiero wtedy, d. 24. grudnia, oznajmił Mikołaj Rossyi i Europie o swojem wstąpieniu na tron i o przyczynach, jakie go od objęcia rządów dotąd wstrzymywały. Te targi pomiędzy braćmi i zwłoka z nich wynikająca w następstwie po zmarłym cesarzu, ułatwiły w znacznej części działanie spiskowców rossyjskich. Niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy objawiało się od dawna już w wykształceńszych warstwach społeczeństwa rossyjskiego szczególniej zaś w wojsku, które podczas dłuższego pobytu we Francyi i w zachodniej Europie, przyswoiło sobie wyobrażenia, zgodne z postępem cywilizacyi, i ze wstrętem odwracało się teraz od tego barbarzyństwa i ciemnoty w jakiej pogrążona była jego własna Ojczyzna. Widok Polski zresztą, używającej pod tem samem berłem swobód konstytucyjnych i rozwijającej się pomyślnie, musiał budzić uczucie zazdrości i wstydu, w tych wszystkich oświeconych i szlachetnie myślących Rossyanach, którzy w potężnem i rozleglejszem cesarstwie znosili jarzmo niewoli i najwyuzdańszego despotyzmu. Zaczęli więc przemyśliwać nad zmianą systemu i dążyć do niej; ale wszelkie usiłowania w tym względzie jak podawanie memoryałów i petycyj do cara żadnego nie odnosiły skutku, dziennikarstwo trzymała na wodzy cenzura. Wtedy za przykładem Zachodu rzucono się do spisków w armii, bo ona przedstawiała potęgę wielką i stanowiła najwalniejszą podporę caryzmu. Powstały tak dwa towarzystwa tajne: jedno na północy pod kierunkiem Rylejewa, drugie na południu pod wodzą pułkownika Pestla. Tam, w stolicy nadnewskiej, pod bokiem cara, knowano spisek niemal otwarcie, hałaśliwie. W parterowem mieszkaniu, przy otwartych oknach, u stołu biesiadnego wygłaszano mowy rewolucyjne, pod wpływem pieniącego się szampana wznoszono toasta na śmierć cara! A mimo to spisek długo w tajemnicy trzymany, w głąb narodu, ciemnego i przywykłego do niewoli, sięgnąć nie mógł, i gdy przyszło do czynu rozprzągł się bezsilny, aby po lat dziesiątkach zmartwychwstać w ... nihilizmie. Przywódzcy nie zdawali sobie z tego sprawy. Zdawało im się, że masy poruszą się na hasło wolności i braterstwa a raz poruszone nie dadzą się powstrzymać żadnem zaklęciem despotyzmu. Pełni więc najlepszych nadziei snuli oni coraz to zuchwalsze plany; zamierzali Aleksandra zamordować w Taganrogu albo podczas rewii wiosennej, która się miała odbyć w Tulczynie w r. 1826. Tymczasem rząd wpadł na ślad nie zbyt pilnie strzeżonej tajemnicy. W czerwcu r. 1825 zdradził spiskowców podoficer trzeciego pułku ułanów Anglik Scherwood, denuncyując rzecz całą przed gen. hr. Wittem. Witt miał już poprzednio wiadomości pewne o konspiracyi od zaufanego szpiega swojego Boszniaka, ale teraz dopiero przedstawił sprawę carowi. Aleksander otrzymał raport

[1]) Wspomnienia gen. Kolaczkowskiego 3, 81.

prawdopodobnie w Warszawie, podczas sejmu i, rzecz dziwna, nie uczynił nic, coby spisek stłumić lub ubezwładnić mogło. Dopiero kiedy kapitan Majboroda, sam będąc członkiem tajnego związku, przed gen. Rothem knowania spiskowych wyjawił, rozkazał Dybicz aresztować Pestla. Stało się to już po

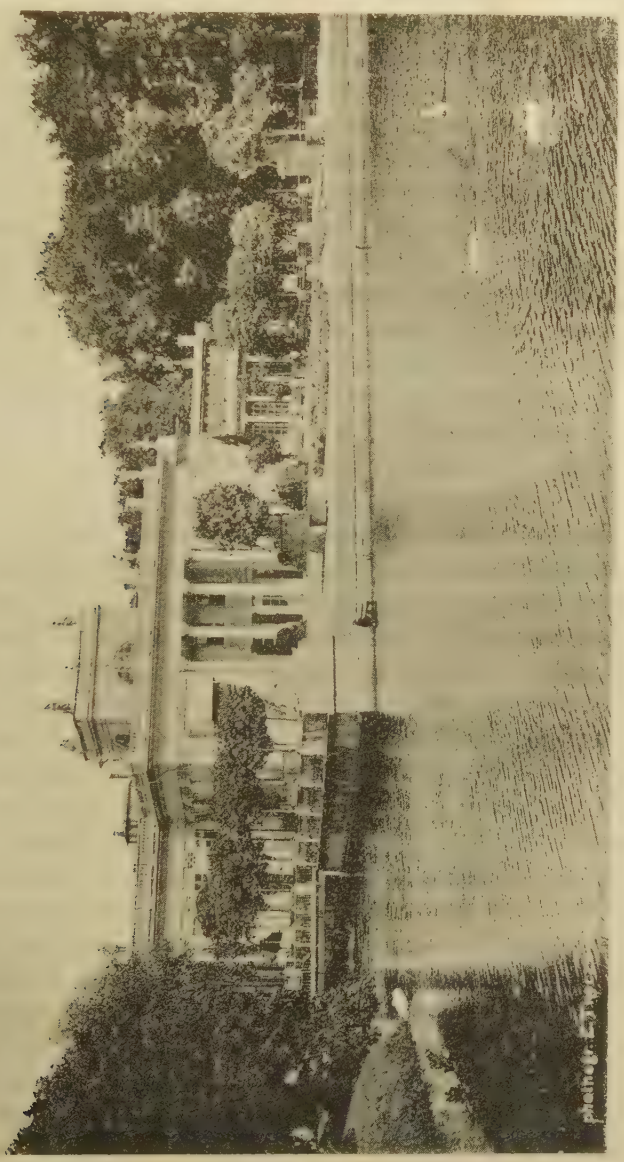

Łazienki pałac Królewski w Warszawie.

śmierci Aleksandra, d. 26. grudnia, w sam dzień rewolucyi petersburskiej. Spisek północny bowiem, niedotknięty wcale temi odkryciami na południu i ośmielony wahaniem Mikołaja, przystąpił od razu do czynu, część wojska odmówiła przysięgi na wierność nowemu carowi i zebrała się na placu Izaaka, wołając „hurra Konstanty, hurra konstytucya“. Wysłany na uspokojenie zbun-

towanych żołnierzy komendant petersburskiej załogi gen. Miłoradowicz poległ zastrzelony przez Kachowskiego, ten sam los spotkał także pułkownika Stürlera. Sprowadzono więc wojsko wierne Mikołajowi, ale atak pułku Preobrażeńskiego i dwóch pułków ciężkiej jazdy odparli powstańcy ogniem rotowym i gdyby w tej chwili naczelnicy spisku spełnili byli swój obowiązek, mogła rewolucya zwyciężyć. Tymczasem ani Rylejew ani ks. Trubecki nie pokazali się wcale, żołnierze pozbawieni dowództwa, walczący przez kilka godzin o chłodzie i głodzie i wystawieni po nieudałych atakach jazdy na ogień artyleryi, zaczęli się chwiać i nareszcie pierzchnęli na wszystkie strony. Tak skończyła się rewolucya petersburska, po stopniach krwią zbroczonych wstąpił na tron Mikołaj i rozpoczął panowanie swoje od srogiego pomszczenia tej zniewagi, jakiej doznał od tych, którzy byli zawsze filarami despotyzmu i główną podporą carskiego samowładztwa. Autokrata, przywykły do ślepego posłuszeństwa, człowiek o miernych zdolnościach i mierniejszem jeszcze wykształceniu, a przejęty wysokiem posłannictwem swojem, które według jego zdania, miało się zasadzać na utrzymaniu ładu i porządku w Europie i na zwalczeniu „złego“ [1]) przytem z usposobienia mściwy, uważał on bunt żołnierzy za czyn haniebny, o pomstę do nieba wołający i widział w najsroższem ukaraniu winnych tylko niedostateczne zadośćuczynienie za winę właściwie ukarać się nie dającą. Pole do zemsty zaś otwierało się coraz to szersze, bo i na południu rozwinęli sztandar powstania dwaj bracia Murawiewowie, Siergiej, Apostołem zwany, i brat jego Maciej. Stanąwszy na czele 6 kompanij czernichowskiego pułku ruszyli oni ku Białocerkwi, ale na wzgórzach pod Kalinówką napadnięci przez przeważające siły Rotha i Geismara ulegli przemocy. Obaj Murawiewowie ranni, Bestużew Riumin i kapitan Sołowiew dostali się do niewoli, zginął Hipolit Murawiew, porucznik Kuźmin sam sobie życie odebrał. Po uśmierzeniu buntu nastąpiły gromadne aresztowania i srogie śledztwa, w których car osobiście brał udział. Uwięziono Trubeckiego, Rylejewa, dwóch Bestużewów, ks. Oboleńskiego, Bateńkowa, Bułatowa, w Warszawie podpułkownika Łunina, oficera Küchelbera i bardzo wielu innych. Z badań uwięzionych okazało się, że obok spisku rossyjskiego istniał także tajny związek w wojsku polskiem. Śledztwo zwróciło się więc i w tym także kierunku. W Polsce po katastrofie Łukasińskiego i towarzyszy nastał pozorny spokój. Niebawem jednak podjęli przerwaną pracę nowi ludzie: Z wojskowych Seweryn Krzyżanowski, podpułkownik strzelców konnych, dobry oficer, odznaczający się szlachetnością charakteru, żywością umysłu i niezwykłym hartem ducha, dla przymiotów swoich kochany przez żołnierzy zarówno jak i kolegów; z cywilnych, Plichta, sekretarz Rady stanu i Grzymała referendarz, obaj wprawdzie młodzi, ale dojrzali rozsądkiem i rozwagą, posiadający wzięcie w społeczeństwie i rozległe stosunki w stolicy. Oni to objęli naczelne kierownictwo spisku, zaprowadzili zmiany w jego organizacyi i rozszerzyli towarzystwo, nie tyle liczebnie, co rzec można jakościowo, wciągając do niego ludzi, z imienia i stanowiska znanych. Do takich należeli:

[1]) W r. 1839 gdy się zanosiło na wojnę, pisał Mikołaj I. do Paskiewicza: „Będzie to wojna niezwykła, straszne starcie dwu zasad z ł e g o przeciw d o b r e m u.“ Szczerbatow: Rządy ks. Paskiewicza w Królestwie Polskiem. Warszawa 1900, str. 166. (Tłum. z rossyjskiego.)

Jabłonowski, Gustaw Małachowski, Ossoliński, Roman Załuski, który przed wstąpieniem do towarzystwa był adjutantem w. ks. Konstantego, wreszcie stary Stanisław Sołtyk, kasztelan, znany z zacności charakteru, gorącego patryotyzmu, powagi i umiarkowania. On też miał służyć za ową widomą głowę spisku, o którą wszyscy wtajemniczeni usilnie się dopytywali, nie całkiem może ufając „trójcy“, która, mało znana w kraju, mogła się powołać tylko na swoje żywe uczucia i szczerą chęć służenia Ojczyźnie. W tej myśli na zgromadzeniu wysłanników wszystkich prowincyj w Warszawie wybrano komitet centralny. Wchodzili do niego: Krzyżanowski, Plichta, Grzymała, Gustaw Małachowski, Antoni Jabłonowski i ksiądz Dębek, naczelnikiem był Sołtyk. Tak równolegle ale odrębnie rozwijały się pod berłem carskiem dwa spiski, których zetknięcie się z biegiem czasu i wypadków było rzeczą nieuniknioną. Różniły się one wprawdzie co do celów swoich; Polacy pragnęli odzyskać niepodległość, Rossyanom chodziło o obalenie rządów despotycznych i zaprowadzenie konstytucyi, ale wykonanie jednego i drugiego zamiaru stawało się łatwiejszem w drodze wzajemnego porozumienia. Ani dla spiskowców polskich ani rossyjskich Dekabrystów, jak ich później nazywano, nie było rzeczą obojętną zachowanie się wojska polskiego w razie powstania w Warszawie lub rewolucyi w Petersburgu. Rossyanie obawiali się, aby Konstanty z armią polską nie ruszył na stłumienie buntu w cesarstwie, Polacy widzieli w ruchu rewolucyjnym rossyjskim jeżeli nie sprzymierzeńca to przynajmniej czynnik rozkładowy, który w chwili stanowczej mógł sparaliżować działanie wojenne przeciw powstającej Polsce. Nic naturalniejszego zatem, jak że komitet centralny warszawski już w r. 1822 i 1823 zaczął badać stosunki w armii rossyjskiej i dowiadywać się czy istnieje spisek i w jakim utworzono go celu? Ossoliński i Jabłonowski, którzy często bywali na Wołyniu i w Kijowie, przywieźli też wkrótce pewniejsze stamtąd wiadomości, wskutek czego Krzyżanowski pojechał do Kijowa, aby rzecz całą na miejscu wyrozumieć. Spotkał on się tam z Bestużewem Riuminem i Murawiewem i ci natychmiast przystąpili do układów. Wychodząc z zasady, że czas już jest, aby Polacy i Moskale przestali się nienawidzić i że interes obu narodów jest jednaki, domagali się oni, aby, w razie wybuchu rewolucyi w cesarstwie, spisek polski powstrzymał Konstantego od niesienia pomocy bratu. Krzyżanowski zachował się w obec tych żądań chłodno. Nie będąc upoważnionym do układów, nie mógł on w tak ważnej sprawie sam stanowić a jako Polak musiał wymagać pewnych gwarancyj dla Polski, których znowu Rossyanie, niezgodni pomiędzy sobą co do celów politycznych i przyszłej organizacyi cesarstwa, jemu udzielić nie byli w stanie. W łonie spisku rossyjskiego ścierały się bowiem rozmaite zdania. Pestel marzył o utworzeniu z carstwa wielkiej republiki, „Związek słowiański“ Boryssowa pragnął zjednoczyć wszystkich Słowian w ogromnej federacyi, także republikańskiej, ale w określeniu stosunku Rossyi do Polski sam tylko Pestel stał na stanowisku słuszności i sprawiedliwości, podczas gdy inni z góry przywłaszczali sobie Ruś całą i Litwę.[1]) Zdanie Pestla zwyciężyło wprawdzie, bo używał on

[1]) Mochnacki II, 14.

pomiędzy spiskowymi jak największej powagi, któż jednak mógł zaręczyć za to, czy w razie obalenia monarchii i zwycięstwa rewolucyi zechcą Rossyanie wykonać w istocie to do czego ich nic zresztą nie zobowiązywało? Miał Krzyżanowski zatem aż nadto powodów, aby się niczem nie wiązać i nie polegać na gołosłownych zapewnieniach, lecz odłożyć decyzyą na czas późniejszy. Upoważniwszy zatem Grodeckiego do utrzymywania stosunków z spiskiem rossyjskim w Kijowie, powrócił sam do Warszawy i zdał sprawę z całej rozmowy komitetowi. Ten wydelegował ze swego łona do układów Jabłonowskiego, który w r. 1825 spotkał się z Pestlem w Kijowie w domu ks. Wołkońskiego. Ale i ta druga konferencya nie doprowadziła do stanowczego porozumienia a tymczasem wybuchła rewolucya w Petersburgu i na południu i skończyła się zupełną klęską spiskowców. Bezsilność całego ruchu, który spotkał się z najzupełniejszą obojętnością ciemnych mas, przywykłych do jarzma niewoli, okazała dopiero jak trafnem było postępowanie komitetu centralnego warszawskiego, kiedy niechciał wiązać losów Polski z niedojrzałem przedsięwzięciem garstki szlachetnych marzycieli, nie liczących się z duchem narodu, przesiąkniętego do gruntu ideą carskiego samowładztwa. Ale i ten nieznaczny udział Polaków w spisku Dekabrystów ściągnął na kraj cały szereg klęsk i prześladowań i wzniecił w duszy Mikołaja to zarzewie niechęci ku Polsce, które później wskutek następnych wypadków zamieniło się w nieubłaganą nienawiść.

Zachowanie się nowego cesarza względem Polaków było w samym początku jego rządów do pewnego stopnia przyjaźne. Zagrożony spiskiem i rewolucyą w Rossyi uważał on za stosowne nie drażnić w tej chwili Polaków. Więc gdy w Warszawie w kołach rządowych polskich obawiano się[1]) zmian niespodziewanych, gdy naród, wylękniony świeżem pogwałceniem konstytucyi przez zaprowadzenie dodatkowego artykułu, widział już w duchu byt królestwa zagrożony, rozwiał manifest Mikołaja z d. 25. grudnia 1825 roku wszystkie te trwogi i uspokoił chwilowo przynajmniej umysły. Cesarz oświadczył mianowicie że panowanie jego będzie tylko dalszym ciągiem panowania Aleksandra, że utrzyma instytucye przez tego Królestwu nadane i że „przysięga i przyrzeka przed Bogiem“ ustawę konstytucyi zachować i zachowania jej ze wszystkich sił swoich przestrzegać.[2]) Pierwsza odezwa Mikołaja, suchym i lodowatym tonem swoim odbijająca jaskrawo od manifestów podobnych i przemówień zmarłego cesarza, miała, gdybyśmy wierzyć chcieli półurzędowej korespondencyi ks. Lubeckiego z Stefanem Grabowskiem, ministrem Sekretarzem Stanu w Petersburgu, wywołać w Warszawie zapał i najwyższe zadowolenie. W istocie było inaczej; naród podrażniony w uczuciach swoich, przygnębiony i upokorzony, uginał się pod brzemieniem smutku i żałoby. Wiedziano, że Konstanty, nieubłagany w zemście swojej, kazał wznowić śledztwo przeciw Łukasińskiemu, wiedziano że ten najnieszczęśliwszy z bohaterów i męczenników sprawy narodowej, głodem i biciem do zeznań przymuszony, dostarczył carewiczowi wątku do dalszych śledztw i prześladowań a zanim one skutek

[1]) List Lubeckiego do Grabowskiego u Askenazego l. c. str. 145.

[2]) D'Angeberg l. c. str. 752.

jakikolwiek wzięły, spadła jak grom wiadomość o petersburskiej rewolucyi i nastąpiły (w styczniu i w lutym 1826 roku) gromadne aresztowania w stolicy i na prowincyi. Mikołaj praktykowanym w Rossyi sposobem, wycisnąwszy na uwięzionych Dekabrystach to co o spisku polskim wiedzieli, zwrócił teraz mściwą rękę swoją na Polskę i Polaków. Z oczywistem pogwałceniem ustaw konstytucyjnych, które sam dobrowolnie przed chwilą zaprzysiągł, kazał porywać ludzi w dzień i w nocy. Napełniły się wszystkie więzienia warszawskie, tak że wreszcie miejsca zabrakło i nowe lochy na pomieszczenie obwinionych przysposabiać wypadło. Przyszła kolej i na Krzyżanowskiego. Naprożno starali się go nakłonić do ucieczki koledzy, naprożno mówili mu: „Albo wsiadaj na koń i tej samej chwili zaczynaj rewolucyą, albo umykaj“, on pozostał niewzruszonym i nazajutrz znalazł się w więzieniu u Karmelitów.

Do badania więźniów ustanowiono osobną komissyą pod przewodnictwem prezesa senatu Stanisława Zamoyskiego. Wchodzili do niej Stanisław i Franciszek Grabowscy, Nowosilcow, Hauke, Kuruta, Mohrenheim, Rautenstrauch, Krywców i Kołzakow. Posiedzenia komissyi odbywały się pałacu Brylowskim. Oskarzonych przywożono wieczorem z osobna i wprowadzano do rzęsiście oświeconej sali, gdzie zasiadali członkowie komissyjni przy zielonem stole Przy herbacie, którą podawano w około, rozpoczynało się śledztwo, na pozór spokojne a obfitujące w straszne tragiczne prawdziwie epizody. Wielki książe i wierny towarzysz jego Rożniecki sprawowali razem urząd kluczników i stróżów więziennych. Carewicz, który pragnął koniecznie dowieść przed światem, że wojsko polskie w spiskach udziału nie miało, usiłował z zwykłym sobie uporem ograniczyć śledztwo tylko do Krzyżanowskiego i Prądzyńskiego a że woli jego nikt nie smiał się sprzeciwić, więc stalo się tak jak kazał i nie jeden z wojskowych, jak świadczy przykład Michała Mycielskiego, tej fantazyi w. księcia zawdzięczał swoje ocalenie. Tem srożej za to dotknęła mściwa ręka jego już uwięzionych i o winę poszlakowanych. Wspomnieliśmy jak się obchodził z Łukasińskim; Krzyżanowskiego podstępem niegodnym i nieszlachetnym przymusił do zeznań, Prądzyński przygnębiony więzieniem chciał się głodem zamorzyć. A jednak po całorocznem śledztwie zebrała komissya plon bardzo nieznaczny. Pomimo wielce obciążających zeznań Jabłonowskiego, który zawieziony do Petersburga, otwarcie przed carem wszystko wygadał, sądząc że tą szczerością gniew jego przebłagać zdoła, niedowiedziano się wiele, stwierdzono tylko że spiskowi polscy porozumiewali się z rossyjskimi i że istniała jakaś organizacya, w szczegółach jednak nie wyjaśniona. Z tego materyału niedostatecznego wprawdzie lecz kompromitującego uwięzionych można było stworzyć akt oskarzenia o zbrodnię stanu i naciągając fakta, potępić obwinionych. To był też cel zabiegów Konstantego i Nowosilcowa. Pierwszy z nich działał z nienawiści ku „naukom przewrotnym“, drugi w dobrze zrozumianym własnym interesie. Wyrok, potępiający spiskowych miał dowieść, że to co senator pisywał do Petersburga o buntowniczem usposobieniu Polaków, zgadzało się z istotnym stanem rzeczy, że Polska jest na prawdę podminowana przez Jakobinizm i że on jako stróż ładu i porządku był jedynym, opatrznościowym niejako mężem stanu, co te zgubne kierunki odkrył i w zarodzie

stłumić usiłował. W tem oświetleniu wyglądały inaczej oczywiście i śledztwo wileńskie i nadużycia policyjne i pogwałcenie tylokrotne wolności osobistej w Królestwie i teroryzm Konstantego, Nowosilcow stawał przed obliczem Mikołaja jako najwierniejszy sługa carski i główna podpora systemu polegającego na zwalczaniu rewolucyjnych prądów. Ażeby tego dopiąć domagał się Nowosilcow usilnie na obwinionych sądu doraźnego, wojennego, bo tylko taki sąd mógł wydać wyrok, zgodny z życzeniami w. księcia i „pana senatora“. Zamiarom Nowosilcowa sprzeciwiał się jednak stanowczo Lubecki, a głos jego był w tej chwili rozstrzygającym, zarówno w Radzie administracyjnyj jak i w Petersburgu. Z właściwą sobie zręcznością bowiem umiał książe minister skorzystać z pierwszej sposobności, aby sobie zaskarbić łaskę i zaufanie nowego cesarza. Pojechawszy z deputacyą polską do Petersburga, wypowiedział on na audyencyi mowę polityczną która zupełnie zadowolniła Mikołaja, a następnie w kwestyi celnej zdołał przekonać cesarza i zniweczyć plany ministra finansów Kankrina, zgubne dla rozwoju przemysłu polskiego. Mikołaj uderzony jego bystrością, olśniony siłą argumentów, ujęty poglądami politycznemi, przyzwyczaił się polegać odtąd na radach Lubeckiego i zdanie jego w sprawach Królestwa dotyczących cenił wysoko. Ztąd poszło, że i teraz opinia ministra skarbu zwyciężyła i w Radzie administracyjnej i w gabinecie cesarskim i że Mikołaj postanowieniem z d. 19. kwietnia 1827. roku nakazał, z mocy artykułu 152 ustawy konstytucyjnej, zwołać Sąd sejmowy w celu wydania wyroku na obwinionych o zbrodnię Stanu. Zbliżyła się tak stanowcza dla kraju chwila i poruszyła, jak łatwo zrozumieć, wszystkie umysły. Zarówno naród cały jak i Konstanty z Nowosilcowem czuli instynktowo, że od wyroku Sądu sejmowego zawisła była przyszłość jeżeli nie całej Polski to przynajmniej tego jej odłamu, który używał względnej swobody i pozornie niezawisłego bytu politycznego. Obie strony zatem skierowały wszelkie starania swoje ku temu, aby umysły sędziów przychylnie dla swoich celów usposobić. Konstanty otoczył pałac Krasińskich, gdzie posiedzenie Sądu się odbywały, zgrają sług i agentów policyjnych; galerye, przeznaczone dla publiczności, zapełniły się szpiegami, tak że nawet najbliżsi krewni obwinionych miejsca znaleść nie mogli, a ci, co kartę wstępu uzyskali musieli zapisywać nazwiska swoje w przygotowanej na ten cel księdze i narazić się tem samem na zemstę carewicza i prześladowania policyjne. Przed pałacem stanęła, pod nazwą straży honorowej, poważna siła zbrojna: dwie kompanie piechoty i szwadron ułanów pod dowództwem wyższego oficera, a gdy, mimo tych nadzwyczajnych środków ostrożności, publiczność zbierała się tłumnie, aby przynajmniej ujrzeć oskarżonych, nakazał w. książe przywozić podsądnych w karetach zupełnie zasłoniętych i pod eskortą żandarmów. Z drugiej strony rozgorączkowana niezwykłemi wypadkami publiczność mściła się na carewiczu i jego pomocnikach karteluszami, przybijanemi po rogach ulic, rozchwytywała skwapliwie wierszyki okolicznościowe, satyry i bajki, krążące w licznych odpisach, bawiła się mniej więcej udatnemi karykaturami lub zwodziła bójki z policyą, strzegącą pałacu Krasińskich. Z pism poważniejszych, które w tym czasie się pojawiły i wielkie sprawiły wrażenie, wymienić należy odezwę do Senatorów Maurycego Moch-

nackiego,[1]) drukowaną w Wielkopolsce a rozrzuconą następnie w Warszawie. Kończyła się ona ustępem, zwiastującym bliską burzą rewolucyjną. „Choćby nawet — wołał autor — przyszło stracić tę Polskę, jaką dziś macie, to ją lepiej straćcie, niżeli żebyście mieli skazać na rusztowanie sam zamysł odbudowania całej i niepodległej.“

W takich okolicznościach i wśród takiego naprężenia umysłów zebrał się Sąd sejmowy d. 13. czerwca 1827 roku. W miejsce prezesa Senatu Zamoyskiego, który, przewodnicząc komissyi śledczej, w sądzie udziału mieć nie mógł, mianował Mikołaj prezesem Sądu najstarszego senatora świeckiego, wojewodę hr. Piotra Bielińskiego, urząd prokuratora sprawował Antoni Wyczechowski. Senatorowie stawili się bardzo licznie; ks. Adam Czartoryski przybył z Włoch, gdzie od dłuższego czasu już przebywał, usunąwszy się od życia publicznego. Po ukonstytuowaniu się wybrano t. zw. delegacyą, której obowiązkiem było „wysłuchać oskarzonych, uzupełnić (jeżeli tego potrzeba się okaże) dowody i zeznania świadków, poprzednio wysłuchanych i przystąpić do wysłuchania nowych świadków.“ Przyjmując tę zasadę, wyrażoną w artykule 53 Statutu organicznego i polecając delegacyi trzymać się przytoczonych wyżej prawideł, czynił Sąd sejmowy krok najważniejszy, sprawę całą rozstrzygający.

Nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że delegacya, mając moc wznowienia śledztwa, z prawa tego skorzysta i skorzystać musi, chociażby dlatego, że dotychczasowe śledztwo, prowadzone w drodze administracyjnej, z zastosowaniem niegodziwych środków, co było publiczną tajemnicą, żadnej rękojmii niedawało, czy zeznania na obwinionych wyciśnięte, dostarczały szłusznej do oskarzenia podstawy. Tak też a nie inaczej zapatrywał się na sprawę sam prokurator Wyczechowski, jeden z najbieglejszych owego czasu jurystów i dlatega pomimo swego urzędowego stanowiska — co Mochnacki mylnie zapomnieniu z jego strony przypisuje — nie stawiał Sądowi przeszkód w obaleniu dzieła komissyi śledczej, jakkolwiek na niem cały akt oskarzenia polegał. Skoro tylko więc Sąd sejmowy jednomyślnością głosów postanowił „ażeby wyznaczoną była delegacya, celem prowadzenia śledztwa Sądowego i wysłuchania świadków,“ natychmiast odwołali wszyscy oskarzeni zeznania w komitecie śledczym złożone[2]) i rozpoczęły się na nowo mozolne badania, które trwały przez siedem miesięcy, tak że dopiero w początkach stycznia r. 1828 złożono akta śledcze prezesowi sądu i doręczono akt oskarzenia obwinionym i ich obrońcom. Sprawa jednak przedstawiała się teraz zupełnie inaczej niż poprzednio i prezes Sądu sejmowego mógł w przedstawieniu swojem śmiało twierdzić „iż w uczynionych Towarzystwom tajnym zarzutach zbrodni Stanu niemasz,“ że zbrodniczej istoty, zbrodniczych ani czynów ani zamiarów, niczem nie udowodniono, że wreszcie brak świadków i dowodów, oraz sprzeczność zeznań nic więcej ustalonego nie okazuje nad same projekta i zamysły nienaganne.“ I w istocie jeżeli się rozważy cele i działanie spiskowych to

[1]) Głos obywatela z Poznańskiego do Senatu Królestwa Polskiego z okazyi sądu sejmowego.

[2]) Sąd sejmowy, urzędowe akta (Wyd. Kraszewskiego). Poznań 1873, str. 6 i nast.

trudno bardzo wyszukać w nich tego, coby oskarzenie o zbrodnię Stanu dowodnie uzasadnić mogło. Towarzystwo tajne, dążąc do utrzymania narodowości i wskrzeszenia Ojczyzny, nie zamierzało nic innego jak przyprowadzić do zupełnego skutku i utrwalić to, co postanowienia Kongresu wiedeńskiego Polakom przyznawały i co cesarz Aleksander w mowach swoich niejednokrotnie obiecywał. Pragnienie odzyskania niepodległości nie było także czynem karygodnym, gdy Aleksander nadał byt odrębny Królestwu pod warunkiem połączenia z Rossyą a spiskowi o oderwaniu się od cesarstwa wcale nie wspominali. Ze wszystkich zarzutów, podniesionych przeciw oskarzonym pozostawał tylko jeden, owo porozumiewanie się z spiskiem rossyjskim na konferencyach kijowskich. Ale i tu, jak wiadomo już, istoty zbrodni wyszukać niepodobna, bo porozumienie do skutku nie przyszło i rzecz sama w sobie przeto żadnego znaczenia nie miała. Tak, ściśle rzeczy biorąc, żaden sąd, z wyjątkiem sądu wojennego, nie był w stanie potępić oskarzonych, a cóż dopiero mówić o sądzie złożonym z Polaków, czujących i myślących podobnie jak obwinieni. Ale zachodzi jeszcze pytanie czy sąd nie byłby postąpił politycznie potępiając spiskowych, czy nie byłby powstrzymał tym sposobem ruchu ogarniającego kraj cały i nie zapobiegł powstaniu? Sądzimy, że nie. W warunkach, w jakich wtedy naród polski się znajdował, wśród powszechnego rozgoryczenia i wzburzenia umysłów, heroizm taki — bo heroizmem nazwać trzeba podanie się dobrowolne tylu znanych i znakomitych mężów na wzgardę współobywateli — byłby zarówno bezskutecznym jak szkodliwym. Rządy Konstantego, oparte na systemie policyjnym, demoralizowały społeczeństwo i prowadziły wprost do wypaczenia i spodlenia charakterów. Obowiązkiem senatu było zatem dać przykład tego hartu ducha i tej niezawisłości przekonań, które tłumił despotyzm i wypleniała długoletnia niewola, i w ten sposób ratować naród od głębszego jeszcze upadku.

W życiu narodów zarówno jak i ludzi są chwile tragiczne, gdzie spełnienie obowiązku, acz nieuniknioną grożące katastrofą, staje się koniecznem. W takiem położeniu znajdował się Sąd sejmowy w r. 1828. Stając w sprzeczności z ruchem narodowym narażał się słusznie na zarzut obłudy i służalstwa, popełniał samobójstwo polityczne, oddawał kierunek spraw publicznych w ręce ludzi, nieposiadających należytego doświadczeaia i dostatecznej w kraju powagi, narażał naród na największe niebezpieczeństwo. Rozważywszy te wszystkie okoliczności wydali senatorowie jednomyślnie — bo tylko jeden gen. Wincenty Krasiński głosował za zupełnem potępieniem oskarżonych — wyrok łagodny chociaż prawnie dobrze uzasadniony. Krzyżanowski został skazany na 6 lat więzienia, inni na trzy i dwa lata, z odliczeniem czasu spędzonego już w więzieniu.

W prowincyach zabranych, gdzie ustanowiono sąd osobny, spadły na obwinionych kary o wiele sroższe: Mikołaj Worcell, Stanisław Karwicki oddani w sołdaty, Anzelm Iwaszkiewicz, Piotr Moszyński i Anastazy Grodecki poszli w Sybir, dwaj pierwsi na lat 10, ostatni na 15, inni jak Marcin Tarnowski, Ludwik Sobański, Feliks Ciżowski, Stanisław Jotejko, Wiktor Ossoliński odpokutowali udział spisku dłuższem lub krótszem więzieniem w twierdzy,

Bitwa pod Grochowem 25. lutego 1831.

Michała Romera pozbawiono nadto urzędu marszałka i orderów; jednego tylko Antoniego Jabłonowskiego ułaskawił car zupełnie „przez wzgląd na szczere wyznanie, osobiście przezeń uczynione z wynurzeniem żalu, oraz za szczególną gorliwość, z jaką dopomagał, aby odkryć wszelkie rozgałęzienia tajnych towarzystw.“

Ale nie na tem skończyła się sprawa. Wyrok Sądu sejmowego oburzył w wysokim stopniu Konstantego i cara. Pierwszy z nich używał wszelkich środków, godziwych i niegodziwych, aby zgubić oskarżonych; groźbą, postrachem, perswazyą, nadzorem policyjnym trapił on senatorów od początku do końca, a, nie osiągnąwszy zamierzonego celu, pienił się teraz z gniewu, uważał wyrok za zniewagę osobiście sobie wyrządzoną i słał do Mikołaja raporta, w których starał się dowodzić, że „sprawiedliwość senatu nie była bezstronna“ i że „sąd nie opierał się ściśle na prawach“. Car, od brata niemniej zgorszony, widział w postąpieniu senatorów polskich czyn karygodny, zachętę do buntu i powstania.

Kiedy minister, sekretarz stanu, przedstawił mu, w głównej kwaterze w Izmaiłowie, treść wyroku sądowego, powiedział: „Uratowali winnych lecz zgubili kraj“, a do Konstantego pisał, po odczytaniu zdania sprawy prezesa Bilińskiego: „Wnoszę stąd, że prezes Sądu sejmowego tym raportem uchybił obowiązkom swoim względem monarchy, względem Ojczyzny i że sam powinien być o zbrodnię stanu oskarżony.“ Mściwe usposobienie Mikołaja łagodziły jednak dwie okoliczności: najpierw to, że sprawozdanie prezesa wyrażało opinią całego Sądu a, następnie rozpoczęta w r. 1828 wojna turecka Pociągać do odpowiedzialności wszystkich senatorów znaczyło tyle co wywołać w Polsce powstanie w chwili dla Rossyi najniebezpieczniejszej, gdy cała armia rossyjska zebrana nad Dunajem gotowała się do walnej z potężnym nieprzyjacielem rozprawy. Rozsądek nakazywał więc postępować oględnie i zemstę na czas dogodniejszy odłożyć. Tak skończyła się burza na groźbach i surowem upomnieniu. Konstanty powstrzymał ogłoszenie wyroku, senatorom kazał pozostać w Warszawie a bratu poradził, aby zapytał się Rady administracyjnej Królestwa: „czyli wyrok Sądu sejmowego przypisać trzeba błędnym wyobrażeniom o naturze zbrodni stanu, albo też dążności zachęcania najwystępniejszych zamiarów.“ „Jeżeli — tak argumentował — Rada administracyjna nie znajdzie nic nagannego w tem, co senat zdziałał, natenczas odniesiemy tę korzyść przynajmniej, że się przekonamy, jaki duch panuje w wyższych klasach w Polsce; natenczas W. C. Mość poznasz z gruntu ludzi, którym własne i kraju interesa poruczyłeś, i stosownie do tego przedsięweźmiesz środki, jakie Ci wskaże twoja przezorność. W przeciwnym zaś razie, jeżeli Rada administracyjna (o czem jeszcze nie wątpię) potępi senat, wtedy twoja N. Panie nagana i nieukontentowanie opierać się będą na zdaniu ludzi, którzy ze stanowiska swego najlepiej mogą ocenić interes monarchy i kraju, którzy po większej części sami przyłożywszy się do utworzenia obecnego porządku rzeczy, najlepiej potrafią wytłumaczyć i zastosować instytucye, rządzące Polską. Wtedy nastąpiłby rozdział opinii pomiędzy Radą administracyjną i senatem, a ci, którzy dzisiaj jeszcze wierzą w mądrość i nieomylność tego Areopagu, zaczną nabierać prze-

K. Stanisław Kostrzewski 1907 r.

konania, że Senat mógł dać się obłąkać fałszywej dążności i w tem obłąkaniu zapomnieć, co mu zalecała ścisła sprawiedliwość, obowiązki względem króla i obowiązki względem kraju.“

Niepodobna zaprzeczyć, że rozumowanie w. księcia z iście machiawelistyczną ułożone przebiegłością było ze stanowiska rossyjskiego bardzo trafne i w ówczesnych warunkach jedynie odpowiednie. Jakoż zyskało ono aprobatę Mikołaja i cała sprawa przeniosła się do Rady administracyjnej, gdzie miała się stoczyć stanowcza walka pomiędzy Nowosilcowem a Lubeckiem. Ten ostatni, który skierował właściwie proces na tory konstytucyjne i skłonił cara do zwołania Sądu sejmowego, musiał teraz wystąpić w obronie własnego swego dzieła, jeżeli niechciał utracić zaufania cesarskiego i uledz współzawodnictwu Nowosilcowa. Położenie jego w tym wypadku było bardzo trudne, bo w Radzie administracyjnej zasiadali ludzie, bądź słabi, bądź od Rządu zależni, jak Grabowski, bądź Konstantemu zupełni oddani, jak minister wojny Hauke. Lubecki mógł zatem liczyć tylko na własne siły i poparcie Mostowskiego, który rozumem, umiarkowaniem i patryotyzmem przewyższał swoich kolegów i umiał zachować niezawisłość zdania. Z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że Nowosilcow użyje wszelkich środków, aby potępić Sąd sejmowy a z nim razem pogrzebać wziętość i wpływy swojego wroga Lubeckiego. Siły były więc nierówne, zwyciężyła jednak zręczność i wyższa inteligencya ministra skarbu. Przez dwa miesiące toczyły się zawzięte rozprawy w łonie Rady administracyjnej, przez dwa miesiące zwalczał Lubecki Nowosilcowa dowcipem i niepokonaną siłą rozumowania. Ostrą i bezwzględną krytykę skierował on najpierw przeciw statutowi organizacyjnemu który był dziełem pana senatora. „Gdybym ja sam — były jego słowa — miał zamiar zagmatwania tej sprawy w nierozdzierzgnioną niczem plątaninę, tobym nie mógł gorszych praw postanowić nad te, które u nas obowiązują. I tak np. siliłbym się na wynalezienie artykułu 73 dla wprawiena w kłopot sędziów; artykułu 61 dla ośmielenia oskarżonych do odwołania tego, co dawniej zeznali, artykułu 23 dla podania w wątpliwość środków, mogących ulegalizować śledztwo administracyjne.“ Nie sąd więc zawinił, że wydał wyrok zbyt łagodny, lecz błędne rozporządzenia prawne, bo jeżeli czterdziestu senatorów, mianowanych przez króla, czterdziestu właścicieli ziemskich, interesem, wiekiem, dostojnością, dobrodziejstwami monarchy przywiązanych do istniejącego porządku rzeczy, miałoby się unieść duchem rewolucyjnem dla zachęcenia zbrodni, obalenie tego porządku mającej na celu, toćby chyba za granicami tego kraju trzeba szukać bezstronnej na występki stanu sprawiedliwości! Oświadczam przeto — tak kończył świetny swój wywód — iż według sumiennego przekonania mojego, wypadku tej sprawy nie godzi się przypisywać przewrotnej dążności członków Sądu sejmowego, lecz przywarom naszych rozporządzeń prawodawczych, począwszy od kodeksu aż do statutu organicznego, które zaćmiły wyobrażenia o naturze zbrodni stanu i wszelką jej bezkarność zapewniają!“

W podobny sposób bronił Senatu Mostowski a zakończył wywody swoje następującą, trafną uwagą: „Trudną jest rzeczą, jeżeli nie niepodobną, aby naród podbity pomimo najlepszych wzajemnych chęci, porozumiał się od razu

z tymi, co nad nim panują, zwłaszcza gdy zasady wzajemnych ich rządów były od wieków zupełnie sobie przeciwne. Pokolenia minąć muszą, zanim zdołają zrozumieć nowo zdobyci poddani, że im już nie dyskutować, ale słuchać wypada. Czas, który już w nas nawet znaczne zrobił zbliżenia, powinien zwolna dokończyć swego dzieła. Nim to nastąpi, dla osłodzenia nieodłączonych od podobnego stanu rzeczy nieporozumień, dobrotliwe nieba nakazują z jednej strony powolność, z drugiej pobłażenie.“

Z innych ministrów jeden tylko Hauke potępił postępowanie senatu i podłość swoją posunął do tego stopnia, że żądał, aby odtąd każdą sprawę o zbrodnię stanu sądził trybunał złożony w połowie z Rossyan a w połowie z Polaków. Grabowski składał winę na „słabość ludzką i niedoskonałość, od której nikt nie jest wolnym,“ minister sprawiedliwości wreszcie opierał swoją nieudolną obronę na osobistej znajomości członków sądu sejmowego. Ponad wszystkimi zatem górował Lubecki siłą argumentów, ścisłością rozumowania, bystrością i trafnością poglądów i jego też zdanie zwyciężyło. Dnia 10. listopada 1828 r. zapadła ostateczna decyzya Rady administracyjnej w tym sensie: „że wyrok Sądu sejmowego mógł być skutkiem mylnych wyobrażeń o naturze zbrodni stanu, lecz że ich przypisywać nie można skłonności Senatu do zachęcania zamiarów przewrotnych i przeciwnych istniejącemu porządkowi rzeczy, lecz brać się ma jedynie za następstwo nieuchronne niedostatecznych przepisów prawnych do ukrócenia zamachów stanu odnoszących się.“

Dla Konstantego i Nowosilcowa był to cios nowy, niespodziewany i tem dotkliwszy, że wychodził z łona rządu, w którym zasiadali najwyżsi urzędnicy, posiadający zaufanie monarchy a w kraju po większej części nielubiani. Niepodobna było posądzać tych ludzi o buntownicze zamiary, nie uczynił też tego w. książe, ale w liście do brata zwalił całą winę na Lubeckiego i na uczucia patryotyczne Polaków, które oni „mniemają być wyższemi nad wszelkie powinności, wypływający z obecnego ich stanu.“ Raport Rady administracyjnej, opatrzony wyżej wspomnianym komentarzem carewicza nadszedł do Petersburga po powrocie Mikołaja z kampanii tureckiej.

Wojna toczyła się dotąd na pozór pomyślnie dla oręża rossyjskiego. W Azyi Mniejszej zdobył Paskiewicz, Kars i Achalczyk, w Europie, po nadzwyczaj uporczywem oblężeniu wzięto Warnę, generał Geismar odniósł pod Kalafatem świetne nad baszą Widdyńskim zwycięstwo, ale wojsko rossyjskie, osłabione chorobami, morowem powietrzem, niedostatkiem żywności i furażu, straciwszy połowę koni, musiało opuścić stanowiska pod Szumlą i Silistryą i na leże zimowe powrócić za Dunaj; car z zmęczonemi i przetrzebionemi pod Warną gwardyami odjechał do Petersburga. Z początkiem przyszłego roku trzeba więc było podjąć wyprawę nową, równie trudną i w skutkach swoich wątpliwą, trzeba się było obawiać interwencyi mocarstw zachodnich, które z niepokojem spoglądały na postępy zaborczej polityki rossyjskiej. W takiem położeniu przedstawiała się sprawa polska inaczej Mikołajowi w Petersburgu niż Konstantemu w Warszawie. Mściwy i niechętnie przebaczający urazy doznane car w tym wypadku uważał za stosowne okazać się pobłażliwym i wyrozumiałym. Więc choć go mocno dotknęła opinia Rady administracyjnej,

choć w duchu przyznawał słuszność Konstantemu i Nowosilcowowi, to jednak kazał wyrok Sądu sejmowego ogłosić, senatorów, dotąd internowanych w Warszawie, z pod dozoru policyjnego uwolnić i równocześnie wyraztć Senatowi, z wyłączeniem jednego Wincentego Krasińskiego, najwyższe swoje niezadowolenie. Skazanych na więzienie spiskowców: Grzymałę, Plichtę, Krzyżanowskiego, Majewskiego i Zabłockiego wywieziono w kibitkach do Petersburga, gdzie w wilgotnych lochach Petro-pawłowskiej twierdzy za „nierozsądny“ patryotyzm polski pokutować mieli. Krzyżanowski, jako poddany rossyjski — pochodził bowiem z Ukrainy — oddany pod sąd wojskowy i skazany na całe życie na Sybir, zmarł w r. 1839 w Tobolsku, w obłąkaniu; towarzysze jego niewoli po odcierpieniu kary, odzyskali wolność.

Tak ukończyła się sprawa, jedna z najważniejszych, na pozór spokojnie i ku zupełnemu zadowoleniu podrażnionych uczuć narodowych, ale skutki były o wiele donioślejsze, niż sobie wyobrażano. Z chwilą kiedy prezes Sądu sejmowego w swojem sprawozdaniu postawił zasadę: „że dla Polaka nie jest zbrodnią usiłowanie zjednoczenia rozszarpanych części kraju,“ rozstrzygnęły się losy kraju, spiski tajne uzyskały sankcyą najwyższą i powstanie było tylko kwestyą czasu. Za największy błąd polityczny przeto uważać należy, że ci, którzy zdobyli się na tyle odwagi, aby ratować honor narodu i niezawisłość własnego zdania, zamiast ująć kierownictwo ruchu w swoje ręce zdali go na łaskę losów i ślepego przypadku. Od tego zaniedbania nic ich usprawiedliwić nie może. Kto tak jak senatorowie polscy trzymał rękę na pulsie opinii publicznej, kto tak jak oni widział Warszawę w okresie działania Sądu sejmowego, ten łudzić się nie mógł, że zatarg z rządem, formalnie załatwiony, ważniejszych za sobą nie pociągnie skutków.

Karnawał r. 1827 był w wesołej i gwarnej stolicy głuchy i posępny. Pod pozorem żałoby po zmarłym cesarzu zaniechano ulubionych zabaw i tańców, smutek głęboki i powszechny panował we wszystkich towarzystwach polskich, sięgał nawet do Belwederu. „Trudno myśleć o zabawach — tak mówiła ks. Łowicka — kiedy niema prawie domu, któryby nie był dotknięty i nie ubolewał nad losem krewnego lub przyjaciela.“ Podobne usposobienie panowało i w r. 1828 z tą tylko różnicą że opinia publiczna stała się drażliwszą, że kobiety polskie, bywające na zabawach w domach rossyjskich, ścigano nielitościwie, że na balu w Resursie kupieckiej, nakazanym przez policyą w dniu 31. grudnia, z Polaków nikt prawie się nie ukazał. Wzburzenie umysłów rosło równolegle z postępem wielkiego procesu, obejmowało nie tylko ludność stolicy, ale i wojsko, przywykłe do karności i bezwzględnego posłuszeństwa. Kiedy Dwernickiemu, który dowodził oddziałami eskortującemi więźniów do sali sądowej, w. książe nakazał rozdać żołnierzom ostre ładunki, oświadczył dzielny generał oficerowi, przysłanemu z rozkazem, że w razie rozruchu, strzelać do ludu nie będzie.[1])

Wyrok Sądu sejmowego uspokoił wprawdzie cokolwiek umysły, ale nie zdołał usunąć przyczyn powszechnego niezadowolenia, które wzmagało się

[1]) Pamiętniki gen. Dwernickiego. Lwów 1870, VII.

skutkiem gwałtów w. księcia i surowości carskiej. Nadzór policyjny rozciągnięty nad senatorami, trzymanymi przez rok cały jakby w więzieniu w Warszawie i wywiezienie skazanych do Petersburga, utwierdzały naród w przekonaniu, że nowy monarcha dąży do wytępienia uczuć patryotycznych, do stłumienia wszelkiej wolności i do zniszczenia bytu politycznego Królestwa. Instynkt zachowawczy nakazywał przeto zawczasu obmyślać środki obrony, a że droga legalna okazała się niewłaściwą, gdy rząd co chwila, bez skrupułu, gwałcił ustawy konstytucyjne, wypadło albo poddać się smutnej konieczności i wyczekiwać lepszych czasów albo chwycić za oręż i w rozpaczliwej walce szukać ocalenia od niechybnej, jak się zdawało zagłady. W obecnych warunkach środek ostatni przemawiał najwięcej do przekonania ogółu. Stronnictwo umiarkowane, doświadczywszy sił swoich w walce o utrzymanie swobód konstytucyjnych, wyszło z niej zupełnie pobite i upokorzone, sejm okazał się bezsilnym a senat owa główna podpora władzy legalnej i rządu nie odmówił uprawnienia tym, co w tajnych spiskach szukali sposobów odzyskania niepodległości. Oni też a nie kto inny byli teraz powołani do ratowania sprawy narodowej. Położenie było zatem jasne, brakowało tylko tego, któryby mógł i chciał objąć naczelne kierownictwo nieuniknionego już ruchu i w tem właśnie tkwił błąd największy, w tem leżała przyczyna główna późniejszych klęsk i niepowodzeń. Z ogólnego rozgoryczenia musiał wyniknąć nowy spisek, mający na celu powstanie. Utworzył go d. 15. grudnia 1828 r. Piotr Wysocki, podporucznik grenadyerów gwardyi, główny bohater listopadowego powstania. Tak w chwili najkrytyczniejszej spoczął los kraju w rękach człowieka, który „nie posiadał nauki żadnej prawie, chociaż wiele pism wojskowych i historycznych czytał; naturalnej bystrości i dowcipu miał mało, a tego, co ludzie zowią geniuszem, mocnem i rozległem pojęciem rzeczy, nic a nic.“ [1])

Mikołaj tymczasem, doprowadziwszy naród polski do stanu rozpaczy a mając wojnę turecką na karku, zaczął głaskać podrażnione uczucia narodowe. W lutym r. 1828 polecił wystawić w kościele OO. Kapucynów w Warszawie kaplicę na pomieszczenie serca Jana III., oświadczając przytem: „że ma sobie za prawdziwe ukontentowanie, iż może uczcić grobowcem, z własnych funduszów wznieść się mającym, drogie szczątki bohatera, wybawcy Chrześciaństwa i że przez to może dać jawny dowód czci, jaką jest przejęty, dla cnót i znakomitych przymiotów jednego z najdostojniejszych poprzedników swoich.“ Po zdobyciu Warny przysłał 12 dział tureckich do Warszawy, jako „ofiarę zadość czyniącą cieniom młodego bohatera, który przed czterystu laty poległ w chwalebnej przeciw Turkom walce pod murami tej twierdzy,“ w rok potem kazał zawiesić w kościele św. Jana, obok chorągwi Mahometa, przez Sobieskiego pod Wiedniem zdobytej, chorągwie i buńczuki tureckie, wzięte w ostatniej kampanii a dekretem z d. 17. kwietnia 1829 r. zapowiedział koronacyą swoją na króla polskiego. Odbyła się ona rzeczywiście d. 24. maja z wielkiem przepychem i niezwykłą okazałością, w obecności posłów i sena-

[1]) Mochnacki II, 60.

torów. Zjechali ambasadorowie obcych mocarstw, tłum cudzoziemców i ciekawych obywateli z całego kraju. Obrzędu dokonał arcybiskup Woronicz w sali koronacyjnej Zamku królewskiego, poczem dany był objad na 300 osób i zabawa dla ludu na placu Ujazdowskim.

Mikołaj, o ile na to pozwalała duma jego i zimne usposobienie, okazywał dla Polaków wiele sympatyi, nosił mundur polski, podobnie jak i brat jego w. ks. Michał a przy przedstawieniu oficerów polskich rzekł do nich: „Cieszę się panowie że jestem między wami; życzę sobie, abyście byli ze mnie tak kontenci jak ja jestem z was kontent. Przedstawiam wam mego syna, a nowego kolegę waszego. Zaręczam wam, że jest dobrym Polakiem, bo był wychowanym takim, i spodziewam się, że przyjdzie czas, w którym go za takiego uznacie.“ Jakoż w. ks. Aleksander, będąc wtedy właścicielem 1-go pułku strzelców konnych, ubierał się w mundur polski, mówił po polsku, wyrażał się z uwielbieniem o królu Janie III. a nawet jeździł do Wilanowa, aby widzieć drzewa, sadzone ręką bohatera z pod Wiednia.

Ale spóźnione te objawy przychylności, wywołane niebezpieczeństwem wojny tureckiej, nie mogły zatrzeć w pamięci narodu świeżo doznanych krzywd i upokorzeń. Przyjmowano też Mikołaja w Warszawie, chłodno, obojętnie a on sam, sztywny i pochmurny, nie umiał wzbudzić ani zaufania ani zapału. Kiedy prymas po dokonaniu koronacyi zawołał trzykrotnie Vivat rex in aeternum, głuche odpowiedziało mu milczenie. Bawiło się tylko pospólstwo na placu Ujazdowskim, witając głośnemi okrzykami rodzinę cesarską. W kołach poselskich i pomiędzy młodzieżą przeciwne zupełnie panowało usposobienie. Posłowie mianowicie, rozważywszy dobrze polityczne położenie kraju i cesarstwa, zagrożonego równoczesnie wojną turecką i widmem koalicyi mocarstw zachodnich, sądzili, że jest to chwila najstosowniejsza, aby zaprotestować przeciw pogwałceniu konstytucyi i domagać się zniesienia dodatkowego artykułu. Odbywały się w tym celu poufne narady, na których odrzucono zbyt ostry projekt protestu Niemojowskiego a przyjęto łagodniejszy Barzykowskiego i Lelewela, ale kiedy przyszło do podpisania aktu a rząd zmiarkował co się święci, zaczęto odwodzić posłów od tak niezwykłego kroku, przedstawiając im, że izby wezwane tylko do uczestnictwa w obrzędzie koronacyjnym, nie mają właściwie prawa podawać do tronu pism zbiorowych i że protest podobny, zwłaszcza po wypadkach ostatnich, byłby aktem do pewnego stopnia buntowniczym. Argumenta tego rodzaju odniosły skutek zamierzony i kiedy przyszło do podpisywania adresu, znalazło się zaledwie czterdziestu kilku posłów, którzy nazwiska swoje na nim położyli. Protestacya, pochodząca tak od szczupłego grona ludzi, nie mogła mieć znaczenia aktu zbiorowego i poszła oczywiście do kosza.

Równocześnie z tym projektem powstał pomiędzy spiskowymi inny, radykalniejszy, ale zarazem i rozumniejszy. Wysocki, porozumiawszy się z posłami Zwierkowskim, Trzcińskim i Małachowskim ułożył następujący program działania: Sejm miał podać przed koronacyą prośbę do cesarza o zniesienie artykułu dodatkowego a w razie odmownej odpowiedzi usunąć się od udziału w uroczystościach. Gdyby skutkiem tego rząd uwięził uczestników tak do-

niosłej manifestacyi miano rozpocząć powstanie. Plan był dobrze obmyślany, chwila najodpowiedniej obrana. Carat, wysławszy wszystkie wojska swoje przeciw Turkom, nie był w stanie stłumić powstania, ziemie zabrane, ogołocone zupełnie z sił zbrojnych, mogły być natychmiast zajęte, teatr wojny, przerzucony od razu nad Dniepr i na południe, otwierał dla powstania okolice zasobne, zamieszkałe przez ludność patryotyczną, dawał możność uzbrojenia całego narodu i przygotowania się do walki z nieprzyjacielem, osłabionym wojną, rozrzuconym na olbrzymiej przestrzeni, mającym przed sobą Turków, za sobą Dunaj i wygłodzoną Wołoszczyznę. Nie ulega wątpliwość także że wtedy nie sympatye ale interes łączył mocarstwa zachodnie a nawet Austryą z powstaniem polskiem, jednem słowem, że nie było nad tę chwili pomyślniejszej dla odzyskania i wywalczenia niepodległości. Ale wykonanie tak śmiałego zamiaru wymagało nie tylko odwagi i determinacyi lecz także pewnego porozumienia, wymagało silnej ręki, któraby ruchem pokierować mogła. I tu dopiero okazała się w całej pełni owa bezradność, owo kunktatorstwo, co nie umiało nic przewidzieć, niczego z góry obmyśleć, co, zamknąwszy się w doktrynerstwie konstytucyjnem, drażniło nieraz bez potrzeby carat a gdy przyszła chwila stanowcza, małodusznie opuszczało ręce. Zbawienna dla Polski myśl Wysockiego rozbiła się też o ten brak rozumu politycznego i energii osób stojących u steru sprawy narodowej i odżyła na emigracyi w znanej legendzie o spisku koronacyjnym, wymyślonej przez infamisa Gurowskiego a wyidealizowanej w „Kordyanie“ Słowackiego.[1])

Niepoprawni doktrynerzy konstytucyjni, zmarnowawszy tak najdogodniejszą dla wyzwolenia narodowego chwilę, powrócili do ulubionej swojej taktyki opozycyjnej w sali poselskiej, i gdy Mikołaj w r. 1830 zwołał ostatni sejm Królestwa Polskiego, wystąpili jak najenergiczniej przeciw wszystkim przedłożeniom rządowym, chociaż one znaczenia politycznego nie miały i dotyczyły przeważnie spraw administracyjnych (O używaniu i użytkowaniu lasów; o włóczęgach i tp.), z wyjątkiem projektu o zmianie kodeksu Napoleońskiego w zakresie prawa rozwodowego. Jaki cel miała ta zasadnicza opozycya w kraju, podminowanym przez spisek i nieprzygotowanym do zbrojnego powstania? trudno dziś zrozumieć, zwłaszcza po opowiedzianych co tylko wypadkach z r. 1829. Przypuszczać chyba należy, że Sejm, uchybiwszy chwilę sposobną do działania, wiedziony teraz uczuciem wstydu, parł gwałtem naród do powstania w okolicznościach o wiele niepomyślniejszych, gdy Dybicz śmiałym pochodem za Bałkan zmusił Turków do zawarcia pokoju w Adryanopolu i na czele zwycięskiej armii gotów był ruszyć na zgniecenie insurrekcyi polskiej. Sejm postąpił sobie zatem i niepolitycznie i nierozważnie zarazem, wyzywając do walki silniejszego nieprzyjaciela, w porze dla niego dogodnej i bez naj-

[1]) Barzykowski (I, 253) naoczny świadek owych czasów, wtajemniczony w roboty spiskowe, opierając się na świadectwach Wysockiego i Małachowskiego, zaprzeczył stanowczo, na podstawie niezbitych dowodów, wszystkiemu co Mochnacki (II, 64) opowiada za Gurowskim o spisku koronacyjnym i zamierzonem rzekomo wymordowaniu rodziny carskiej w Warszawie. Plan taki, nie już z stanowiska etycznego ale z politycznego zasługuje na bezwzględne potępienie.

mniejszego w kraju przygotowania. Jest to drugi ciężki grzech tej reprezentacyi, która w okresie rewolucyjnym miała złożyć dowody zupełnej nieudolności politycznej. Owładnięty powszechną gorączką, jaka od czasu zwołania Sądu sejmowego ogarnęła naród, płynął Sejm, niesiony na falach opinii publicznej, jak statek bez steru i żagli, raz zatrzymując się z obawy przed burzą, to znów mknąc dalej bez względu na groźne niebezpieczeństwa i nieuniknioną rzec można katastrofę. Nikt zaprzeczyć nie może, że naród miał wszelkie i słuszne powody do niezadowolenia, że go spotkało niezasłużone upokorzenie,

Juljusz Słowacki.

że doznawał ucisku i prześladowania, ale Sejm powinien był rozważyć czy wypadało już teraz rzeczy do ostatecznego doprowadzić kresu a przedewszystkiem miał obowiązek święty przygotować wszystko do walki długiej i ciężkiej, zanim skłonił naród do dobycia oręża.

Izba poselska obrała inną taktykę; postanowiła zwalczać rząd i wytoczyć raz jeszcze wszystkie skargi na pogwałcenie ustaw konstytucyjnych. Jakoż z pięciu projektów rządowych, dwa tylko (O postępowaniu spadkowem i O domach przytułku) uzyskały większość w sejmie, trzy inne, mianowicie ustawa

o rozwodach, zostały odrzucone, ta ostatnia ku wielkiemu niezadowoleniu Mikołaja, który z religijnych pobudek pragnął, aby sprawy małżeńskie przekazane były całkowicie sądom duchownym. Przystąpił wreszcie Sejm do uwag nad Raportem Rady Stanu. W magistraturze tej, pozbawionej właściwie przewodniczącego, bo Mikołaj po śmierci Zajączka († w r. 1826) nowego Namiestnika nie mianował, wodził rej Lubecki i on też w zastępstwie chorobą wymawiającego się ministra Mostowskiego, układał sprawozdanie z obecnego stanu Królestwa. Jak wszystkie akta tego rodzaju tak i raport Lubeckiego usiłował działanie administracyi w jak najkorzystniejszem przedstawić świetle, ale nie zdołał zataić znanych usterek, zwłaszcza upadku szkół i oświecenia publicznego. Raptowne zmniejszenie się szkółek wiejskich i ilości uczniów we wszystkich zakładach naukowych dawało najsmutniejsze świadectwo naczelnemu kierunkowi wychowania; z nowych szkół przybyła tylko, jedna szkoła przygotowawcza politechniczna, pomnożyła się liczba seminaryów i pokątnych szkółek żydowskich, których w samej Warszawie było przeszło dwieście; cofnęło się zatem wstecz wychowanie publiczne w najważniejszem dla narodu zakresie. O wiele pomyślniej przedstawiał się ekonomiczny stan kraju. Ukończono kanał Augustowski, łączący Wisłę z Niemnem, poprowadzono bitą drogę z Kalisza do Brześcia litewskiego, urządzono warzelnie soli w Ciechocinku, rozszerzono i udoskonalono kuźnice żelaza tak, że na potrzeby krajowe wystarczały, a otoczywszy staranną opieką przemysł rodzinny otworzono mu rozległe pole zbytu na wschodzie. Ilość postawów sukna polskiego, wywożonego do Rossyi wzrosła od r. 1825 z 52.140 na 114.057 (w r. 1829), do czego w znacznej mierze przyczyniły się ulgi taryfowe, wyjednane przez Lubeckiego u cesarza Aleksandra w r. 1824; cynk wyprowadzano aż do Indyj Wschodnich. Eksport z Królestwa do Rossyi podniósł się ogółem z r. 1825 na 1826 o 2 miliony rubli. Nie małą w tym względzie pomocą było uregulowanie finansów krajowych, utworzenie Towarzystwa kredytowego ziemskiego, założenie Banku polskiego w r. 1828 i Towarzystwa oszczędności w Warszawie. Bank, urządzony podobnie jak See-Handlung berlińska, objął dozór nad giełdą i użyczył skutecznego poparcia dla handlu i przemysłu. Wyposażony kapitałami z depozytów sądowych, sum instytutowych i remanentów kas rządowych, podejmował on także operacye giełdowe, trudnił się skupywaniem papierów publicznych w ogóle, do czego utrzymywał osobne biuro w Berlinie, i tą drogą podniósł w przeciągu dwóch lat kurs listów zastawnych Królestwa do 90 za sto. Otworzywszy tani i łatwy stosunkowo kredyt dla firm kupieckich, dostarczając kapitałów właścicielom ziemskim i dzierżawcom na kupno narzędzi i machin rolniczych, przyczyniał on się potężnie do podniesienia handlu i rolnictwa a równocześnie łożył znaczne sumy na poparcie przemysłu krajowego. Do tej epoki i do tej działalności pożytecznej Banku polskiego odnieść też należy początek tych wielkich przedsiębiorstw, które następnie stały się podstawą świetnego rozwoju ekonomicznego Królestwa, że tu wspomnimy tylko o urządzeniu żeglugi parowej na Wiśle o „Towarzystwie wyrobów lnianych“ z zakładem Żyrardowskim i o pierwszym zamiarze zbudowania wodociągów w Warszawie. Wszedłszy raz na tę drogę, zachęcony po-

wodzeniem i pragnąc Bankowi przysporzyć funduszów, powziął Lubecki myśl sprzedaży dóbr rządowych i uruchomienia w ten sposób całego majątku narodowego. Współcześni czynili mu z tego powodu ciężki zarzut, podsuwali plan urządzenia dzierżaw wieczystych. Lubecki odpowiadał: „Dobra narodowe jest to ciągły przedmiot pragnienia i pożądliwości generałów rossyjskich; domagają się ich bezustannie od cesarza, jako wynagrodzenia, twierdząc, że ich walecznością i poświęceniem ten kraj zdobyty został, dodając nadto, że tym sposobem Polska od razu Moskalami się zasiedli i zarazem zmieni się w prowincyą moskiewską. Nowosilców, ten zły duch Polski, szczególniej tę myśl popiera, bo zapewne i sam ma nadzieję na tem skorzystać i wie dobrze, że byłby to dla nas cios śmiertelny. Cesarz wprawdzie dotychczas opiera się wytrwale temu natrętnemu, judaszowskiemu żebractwu, ale inne okoliczności, inne rady mogą z czasem zmianę w jego zdaniu sprowadzić, może naleganiom uledz i dobra rozdarowane być mogą. Stracimy je i Moskali wśród siebie dostaniem. Aby wyjść z tego niebezpieczeństwa nie ma innego środka jak je sprzedać. Nie rozdarują tego, czego nie będzie, a kapitały tymczasem pójdą na pożytek kraju. Brak kapitałów sprawia, że przemysł i handel ożywić się nie mogą. Część funduszów zebranych wypożyczę na dobra prywatne i procent będzie mi tyle czynił, ile dawniej dobra całe przynosiły. Z części założę Bank krajowy aby industryi i handlowi przyjść w pomoc, część zaś włożę w kuźnie rządowe, gdzie nie tylko żelazo i narzędzia rolnicze i fabryczne wyrabiać się będą, ale mniemam, że z czasem i to zrobić potrafię, że nam wyrabianie broni dozwolonem zostanie i naród będzie posiadał wszystko, co do jego istnienia jest potrzebne.“

Rozumowanie było ścisłe i trafne a późniejsze wypadki i urządzenie majoratów rossyjskich w Królestwie za Paskiewicza dowiodło, że Lubecki trzeźwo na rzeczy patrzył i miał słuszność zupełną, kiedy się dzierżawom wieczystym sprzeciwiał a sprzedaż dóbr narodowych usilnie zalecał. Ale książe minister nie posiadał ani sympatyi ani zaufania u powszechności i stąd projekt jego spotkał się z gwałtowną opozycyą i z niezmiernie surową naganą późniejszych historyków tej epoki. Usposobienie sejmu było także dla Lubeckiego nie zupełnie przychylne a że duch opozycyjny od początku w izbie panował, więc i uwagi komissyi nad Raportem musiały wypaść w ogóle niekorzystnie. Autorem ich był głównie Barzykowski, jeden z najzdolniejszych posłów, i on też nie szczędząc gorzkich przymówek rządowi, uderzył w swojem sprawozdaniu słusznie na działalność Komissyi oświecenia, przypomniał nieprawne zaprowadzenie cenzury, wytknął upadek szkół elementarnych. Komissyi spraw wewnętrznych zarzucono wpływanie władzy administracyjnej na wybory, lekceważenie Rad wojewódzkich, uciążliwości kwaterunkowe; Lelewel, poseł Żelechowski, powstawał na samowolę policyi, zaniedbanie szpitali i więzień. Jednem słowem postarano się o zebranie w uwagach wszystkich skarg i ukrzywdzeń, jakie ludność Królestwa od lat dziesięciu ponosiła a zakończono rzecz oskarżeniem kasztelana Woźnickiego, za to, że jako zastępca ministra sprawiedliwości podpisał dekret Rady administracyjnej, zawieszający ogłoszenie wyroku Sądu sejmowego.

Jeden Lubecki, acz nie lubiany, wyszedł tym razem zwycięsko, rzec można, nawet z tryumfem. I jemu także wytknęły komissye fiskalność i monopole, ale oddały zarazem sprawiedliwość pożytecznej dla kraju działalności. „Od czasu objęcia przez niego steru skarbu — czytamy w uwagach — okazała się znacząca działalność i oczywista dążność do rozmaitych ulepszeń, przytem położone zostały granice marnotrawstwu grosza publicznego i skarb doprowadzony do zamożności a rachunkowość do porządku. Jemu należy także wdzięczność tak za usunięcie trudności zaprowadzenia Banku polskiego, jako i za pomoc onemu okazywaną“. Tak sądziła o Lubeckiem większość Izby poselskiej, inaczej opozycya. Biernacki, poseł wieluński, nie wahał się, już po odczytaniu i przyjęciu uwag komissyjnych przez sejm, wytoczyć oskarżenie przeciw ministrowi skarbu o kontrasygnowanie rozmaitych niekonstytucyjnych rozporządzeń, pomiędzy któremi znajdował się nawet dekret, ustanawiający Bank polski. Takich sposobów używał doktryneryzm konstytucyjny zanim, w okresie powstania, wynalazł słynną zasadę, każącą Mikołajowi, konstytucyjnemu królowi polskiemu, toczyć wojnę z Mikołajem absolutnym carem Wszech Rossyi.[1]) Ale izba sejmowa nie mogła sprzeciwiać się własnej co tylko powziętej uchwale i odrzuciła wniosek Biernackiego ogromną większością 95 głosów przeciw 12.

Na tem skończyła się sessya sejmowa niepłodna pod względem ustawodawczym, niefortunna pod względem politycznym, szkodliwa w ogóle dla kraju i przyszłości narodowej. Zostawiała ona po sobie ferment umysłów spotęgowany do najwyższego stopnia, naprężenie stosunków pomiędzy rządem i krajem, tak wielkie jak nigdy przedtem. Po sejmie który zużył cały arsenał broni konstytucyjnej na bezskuteczną walkę z despotyczną władzą, pozostawały narodowi tylko dwie drogi: zupełne poddanie się lub rewolucya. Wówczesnych warunkach należało się przygotować na drugą ewentualność.

Powstanie listopadowe (od 29. listopada 1830 do połowy września 1831).

Stan umysłów. Spisek podchorążych. Noc 29. listopada. Od chwili rozpoczęcia Sądu sejmowego znajdowała się Warszawa w usposobieniu gorączkowem, podniecanem bezustannie przez samowolę i gwałty Konstantego, jakoteż przez użycie niestosownych i z powagą rządu niezgodnych środków ostrożności. W oburzeniu i rozdrażnieniu, w jakie go wprawiło postępowanie senatorów, popełniał w. książe błąd jeden po drugim; niepozwolił na zwykły obchód w rocznicę ogłoszenia konstytucyi, gdy wojsko zebrało się na ćwiczenia w obozie pod Powązkami, utrudnił surowemi przepisami i zakazami wszelkie prawie stosunki wojskowym z mieszkańcami stolicy i zaprowadził w Warszawie rodzaj stanu obłężenia, nie wiele różniący się od stanu wojennego. Z drugiej strony zaś, podczas pogrzebu prezesa Sądu sejmowego Piotra Bielińskiego (w d. 12. marca 1829) okazał dziwną lękliwość czy obojętność, pozwolił na umieszczenie w dziennikach nekrologu, napisanego przez Niemcewicza, na mowę kasztelana Bieńkowskiego i dorywczą improwizacyą jakiegoś akademika, na

[1]) Mochnacki II, 242.

rozerwanie łańcucha policyjnego przez młodzież, słowem na wszystko, co obrzędowi żałobnemu nadawało cechę olbrzymiej manifestacyi. Ośmieleni tem studenci uniwersytetu, wypędzili policyą, pilnującą porządku w kościele, wnieśli trumnę na własnych barkach do podziemia, obdarli z niej na pamiątkę wszystkie ozdoby, a tych nielicznych kolegów, którzy od udziału w pogrzebie się usunęli, napiętnowali jako zdrajców Ojczyzny. Spotkało to pomiędzy innymi, także syna generała Wincentego Krasińskiego, Zygmunta, głośnego później poetę, młodzieńca pełnego patryotyzmu, który jednak, posłuszny woli ojca, do manifestacyi nie należał i tę swoją uległość ciężko a niewinnie, jak przyszłość dowiodła, odpokutował.

Następująca wkrótce po tym wypadku koronacya Mikołaja i Sejm nietylko że nie mogły przyczynić się w niczem do uspokojenia umysłów, ale przeciwnie dawały podniętę do zamiarów coraz to niebezpieczniejszych i zuchwalszych. Ogniskiem rewolucyjnych knowań był natenczas spisek utworzony przez Wysockiego w szkole podchorążych. Działanie jego ograniczało się wyłącznie prawie do kół wojskowych, obejmowało oficerów niższych stopni, do kapitana, i skutkiem tego niemiało wielkiego znaczenia. Dopiero wiadomość o rewolucyi lipcowej w Paryżu, o wypędzeniu Karola X. i powołaniu na tron Ludwika Filipa, pobudziła spiskowych do czynu. Korzystając z dorocznych ćwiczeń wojskowych, rozwinęli oni w obozie gorączkową agitacyą i gdy policya na rogatkach, z rozkazu W. księcia, zapisywała skrzętnie nazwiska osób, jadących w odwiedziny do znajomych oficerów pod Powązki, w namiotach, pod okiem Konstantego, szerzyła się konspiracya w najlepsze, a Warszawa drżała od jakiegoś nieokreślonego ruchu rewolucyjnego, który, raz ogarnąwszy umysły, powstrzymać się już nie dał. Zaczęły się więc po rogach ulic pojawiać rozmaite kartelusze, po miejscach publicznych odzywać rozmowy coraz głośniejsze i śmielsze, potulna dotąd w obec każdej władzy publiczność stawiła się hardo, mieszczanin Janiszewski obił na ulicy kijem prezydenta miasta Wojdę za jakieś nadużycie kwaterunkowe. Na to wszystko padła jak grom z jasnego nieba wiadomość o rewolucyi w Niderlandach (wrzesień), o oderwaniu się Belgii. Strach zdjął gabinety europejskie. Hydra „jakobińska“, zwalczana dotąd wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi środkami, podnosiła znowu hardo głowę, płomień buntu, zażegnięty we Francyi, w gnieździe rewolucyi, zdawał się zagrażać ponownie spokojowi europejskiemu. Obawiano się, że przykład Belgów wywoła dalsze niepokoje, cesarz Franciszek I. przedtem już, w początkach sierpnia 1830 r. ostrzegał[1]) posła rossyjskiego w Wiedniu, Tatiszczewa, przed Polakami, którzy podług jego zdania, niewątpliwie pójdą za hasłem danem w Paryżu. Nigdzie jednak nie wywarła rewolucya lipcowa takiego wrażenia jak w Petersburgu. Mikołaj, zgorszony i oburzony do najwyższego stopnia, uważał za pierwszy swój obowiązek zgnieść bunt w zarzewiu i ocalić Europę od niechybnej zguby. Wobec bezradności i trudnego położenia swoich sprzymierzeńców, Prus i Austryi, mógł on jeden tylko odegrać rolę obrońcy legitymizmu. Jakoż wziął się do tego z właściwą sobie energią. Lubeckiemu

[1]) Szczerbatów. Rządy Paskiewicza, str. 8.

polecił mieć w pogotowiu pieniądze, potrzebne na zmobilizowanie armii polskiej, a wsławionego świeżo zwycięstwem nad Turkami Dybicza wysłał przez Warszawę do Berlina, aby pociągnąć do koalicyi przeciw Francuzom Prusy i ułożyć plan przyszłej kampanii. Krzątania te nie mogły pozostać długo w tajemnicy i wieść o bliskiej wojnie, w której wojsko polskie miało być użyte do ujarzmienia Francyi zaniepokoiła jeszcze bardziej umysły. Położenie było rzeczywiście dramatyczne. Udział w wojnie francuskiej przejmował wstrętem wszystkich tych, co pamiętali czasy Napoleońskie i wypędzenie starszej linii Burbonów powitali jako zwycięstwo wolności nad reakcyą, zamierzona mobilizacya zaś nasuwała pytanie, czy wypada czekać tak długo, aż Rossya, zgromadziwszy wszystkie swoje siły, będzie w możności zmusić Polaków do walki z dawnymi towarzyszami broni, w interesie reakcyi i despotyzmu? Myśl podobna, sprzeczna z usposobieniem narodu, w głowę przeciwna porozbiorowym tradycyom polskim, oburzała szczególniej koła wojskowe, zarówno weteranów napoleońskich jak i młodzież, ożywioną gorącym patryotyzmem i pragnieniem wolności. Tej ostatniej zdawało się więc, że jedynym środkiem uniknięcia smutnej konieczności jaka czekała wojsko polskie jest przyspieszenie powstania. Skorzystać z zamierzonej mobilizacyi, uprzedzić skupienie sił rossyjskich i zamiast na Zachód, na ujarzmienie powstających ludów, zwrócić oręż swój na Wschód przeciw głównej twierdzy despotyzmu i reakcyi a dla wywalczenia niepodległości własnej, oto był, podług mniemania tych głów młodych i szlachetnym owianych zapałem, cel godny narodu rycerskiego i swobodę prawdziwie miłującego. Rozwinął zatem spisek czynność niezmiernie żywą. Urbański wciągnął do roboty podporucznika Zaliwskiego i Karola Trzaskowskiego i ci, korzystając z nagromadzenia wojska w obozie powązkowskim, rozszerzyli konspiracyą do tego stopnia, że w październiku należało do związku 77 oficerów, w przededniu powstania 200. Zarazem okazała się potrzeba porozumienia z cywilnymi, aby poruszyć ludność stolicy. Nawiązano więc stosunki z Maurycym Mochnackim i bratem jego Kamilem, z Bronikowskim Ksawerym i Anastazym Duninem, Żukowskim i innymi, którzy mieli działać na Starem Mieście pomiędzy rzemieślnikami i drobnem mieszczaństwem. Dla ożywienia zaś w tej klasie ludzi dawnych tradycyj Kościuszkowskich, wydano w cichości, oczywiście bez pozwolenia cenzury, Pamiętniki Kilińskiego. Literatura ogółem odgrywała w tym ruchu przedrewolucyjnym rolę dość poważną, a toczący się wtedy spór pomiędzy klasykami i romantykami był w znacznej części walką nowych prądów z konserwatyzmem, pragnącym utrzymania istniejącego porządku rzeczy w Królestwie. Rozgłos i wpływ, jaki wywierały na społeczeństwo polskie poezye Mickiewicza napełnił obawą przedstawicieli dawnej szkoły klassycznej. Widzieli oni bowiem w autorze „Ody do młodości“ i „Konrada Wallenroda“, nietylko intruza, wdzierającego się przemocą na Parnas, gdzie królowali dotąd Osińscy, Kożmianowie i Morawscy, ale zarazem rewolucyonistę, zaszczepiającego w umysłach młodszego zwłaszcza pokolenia zasady, wywrotowe. „W Polsce młodzież — tak pisze autor do klassycznego obozu zbliżony[1]) — wbiła się szczególniej w dumę od czasu, jak jej wyspiewano

[1]) Andrzej Edw. Koźmian. Wspomnienia, str. 333.

apoteozę młodości, do młodości odę, gdy zust wieszcza, którego dźwięki z uwielbieniem coraz wzrastającem, coraz chciwiej chwytała, usłyszała zachętę, znieważającą wiek stary, a wynoszącą nad niego młody; gdy dowiedziała się, że jest jednością silna i rozumna szałem, że jej lotów potęga a jej ramię jak piorun, że ona, młodość, z posad ma zepchnąć bryłę światła; uwierzyła, że jest słońcem, orłem, piorunem, Herkulesem, duszącym centaury, bóstwem, które wyprowadzi świat ducha z zamętu. Te pochlebstwa, któremi uwodzono młodzież, wkrótce wydały owoce". Pomimo pewnej przesady, jaka wieje z tych słów, zaprzeczyć nie można, że poetycka działalność Mickiewicza przyczyniła się w wysokim stopniu do rozbudzenia ruchu, poprzedzającego powstanie listopadowe, że utwory jego, podnosząc ducha narodowego, przygotowały grunt do działania patryotów, mających na celu wyswobodzenie Ojczyzny. Tak jak on piórem i słowem tak bracia jego po lirze stwierdzili czynem i orężem nieograniczone swoje poświęcanie dla sprawy narodowej. Seweryn Goszczyński, po pełnej przygód ucieczce swojej z Ukrainy do Warszawy, zaciągnął się natychmiast pod chorągiew spisku i razem z Ludwikiem Nabielakiem, którego Chłędowski powołał do redakcyi „Dziennika Powszechnego", wziął najczynniejszy udział w przygotowaniach do powstania i w wypadkach nocy 29. listopada.

Ale naczelnicy spisku rozważniejsi czuli, że związek z samej młodzieży utworzony chociaż zdoła wywołać powstanie nie będzie mógł poruszyć całego narodu i nim pokierować. Miał to przekonanie Wysocki, podzielał je w wyższym jeszcze stopniu Mochnacki. Pierwszy, wolny od wszelkiej osobistej ambicyi, gotów każdej chwili życie swoje poświęcić dla Polski, przenikał instynktem raczej niż obejmował rozumem całą trudność położenia spiskowych. Mochnacki bystry i obdarzony niepospolitemi zdolnościami politycznemi, domagał się jak najgoręcej zorganizowania władzy rewolucyjnej przed rozpoczęciem powstania, ustanowienia rządu i naczelnego wodza siły zbrojnej Widział on bowiem jak na dłoni, że ruch, przez podchorążych i kilku niższych oficerów wszczęty, na chwilowe tylko liczyć może powodzenie a, niepokierowany od razu silną i doświadczoną ręką, przeminie, jak burza, zostawiając po sobie jedynie ślady zniszczenia. Myśl Mochnackiego, prosta i rozumna trafiła wprawdzie do przekonania spiskowych, ale nie wzięła żadnego skutku dla rozterek wewnętrznych, które wzniecał swojem intryganckiem usposobieniem Zaliwski, człowiek niskiego charakteru a przejęty zazdrością ku Wysockiemu. Skończyło się więc na powiedzeniu: „Zaczniemy rewolucyą, naród do niej przystąpi i władzę sobie ustanowi." Najważniejszą kwestyą, od której zawisłem było powodzenie całe hazardownego przedsięwzięcia, zdano tak na łaskę losu i przypadku.

Na obronę spiskowych wspomnieć jednak należy, że rzecz nie była tak łatwa, jakby się z pozoru wydawało. Szukali oni wprawdzie porozumienia z ludźmi wpływowymi, wciągnęli do związku posłów: Zwierkowskiego, Trzcińskiego i Sołtyka, ale na tem też skończyły się ich usiłowania. Wysocki szukał zatem zetknięcia z Lelewelem i, wziąwszy z sobą Zaliwskiego i Urbańskiego, miał z nim schadzkę w bibliotece Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Lelewel na obcesowe pytanie: „Czy izba przyjmie powstanie lub nie? odpowiedział z początku

„ni to ni owo“, wreszcie przyparty do muru rzekł: „Naród podziela uczucia wojska; tym samym duchem co i wy tchną wszyscy dobrzy Polacy. Chociaż tyle związków ścigał los przeciwny, nie wątpię o pomyślnym skutku waszych usiłowań, jeżeli całe wojsko macie za sobą. Trzydzieści tysięcy zbrojnych ludzi, mających jedną chęć, jedno życzenie, naród cały pociągnie za sobą.“ [1]) W słowach Lelewela wymijających, znać widoczne wahanie. Zaskoczony przez ludzi młodych, nie mając wyobrażenia o sile i rozgałęzieniu spisku odpowiadał on im problematycznie, nie jasno, ale właśnie przez to popełnił błąd największy, że się z nimi nie rozmówił stanowczo i otwarcie, że nie wybadał całkowicie ich zamiarów i nie zwrócił ich uwagi na potrzebę zorganizowania ruchu powstańczego i rewolucyjnej władzy, słowem, że okazał w tak ważnej chwili mniej rozwagi i politycznej biegłości od młodziutkiego Mochnackiego. Wysocki, umysł prosty, nie znający się na subtelnościach dyplomatycznego języka, wziął odpowiedź Lelewela za upoważnienie do rozpoczęcia powstania a jako wojskowy troszczył się tylko o wyszukanie naczelnego wodza siły zbrojnej. Pod tym względem jednak nie było żadnej prawie wątpliwości, bo jakkolwiek niektórzy przemawiali za gen. Stanisławem Potockim, znanym z gorącego patryotyzmu, to opinia publiczna tak w wojsku jak i w całym kraju wskazywała jako najodpowiedniejszego i najzdolniejszego Chłopickiego. Miał ten generał rzeczywiście wszelkie po temu warunki. Wychowany prawie w obozie, bo od insurrekcyi Kościuszkowskiej żadnej już nieopuścił wojny, wsławiony czynami wojennemi w Hiszpanii, pełen niepospolitych zdolności jako wódz, wzbudzał on wyniosłą swą postawą, marsowym wyrazem twarzy i obejściem szorstkiem, prawdziwie obozowem, zaufanie i sympatyą w żołnierzach, cześć i szacunek w społeczeństwie całem. Znane zajście, jakie miał z Konstantym, dymissya, której zażądał po tem i od której nieodstąpił, pomimo nalegań Aleksandra i zabiegów w. księcia, stawiały go wysoko w opinii publicznej, jako ofiarę prześladowań carewicza i człowieka nieugiętej woli. We wszystkich spiskach zatem, jakie powstały w epoce Królestwa kongresowego, mówiono zawsze o Chłopickiem jako o naczelnym wodzu powstania, jako o człowieku opatrznościowym, mającym zbawić Ojczyznę i wywalczyć narodowi tyle upragnioną niepodległość. Ale ci, co w rozmaitych czasach radzili o nim bez niego, mylili się bardzo, sądząc, że Chłopicki da się porwać uczuciom i uwierzy w siłę powstania. Żołnierz napoleońskiego kroju, przyzwyczajony do wojny regularnej, do wojska karnego, wyćwiczonego i zaopatrzonego obficie we wszelkie potrzeby, tylokrotny pogromca gerylasów hiszpańskich, lekceważył sobie Chłopicki ruchawki podobnego rodzaju a do spisków i niewczesnych ruchów miał wstręt nieprzezwyciężony. Zresztą, jak większa część naszych generałów i oficerów wyższych, był on patryotą na inną miarę, kochał Polskę niewątpliwie, ale Francyą stawiał też wysoko, niemal na równi z własną Ojczyzną, bo stamtąd wyniósł zaszczyty i sławę i znajomość wojennego rzemiosła. Więc kiedy w r. 1821 Umiński zaklinał go na miłość Ojczyzny, aby wstąpił do związku, odpowiedział mu

[1]) Barzykowski I, 262. Mochnacki (II, 80) zbywa rzecz krótciej.

szorstko: „Moją ojczyzną jest namiot, wasza ojczyzna nie sprawiłaby mi i butów.“ [1])

Później, w czasach gorętszych, gdy już o zbrojnem powstaniu myślano i jemu ofiarowano dowództwo, zbywał natrętów lakonicznem: „Dajcie mi sto tysięcy regularnego wojska, to zobaczymy.“ Obecnie odnieśli się spiskowi także do niego; pośrednikiem był referendarz Chłędowski i przed nim Chłopicki otwarciej się już wynurzył: „Wojsko — tak mówił — tylko burdę zrobić może, a nie rewolucyą lub powstanie; co do mnie, nigdy od spiskowych dowództwa nie przyjmę.“

Tak, zachęcony oględnie przez Lelewela, odtrącony przez Chłopickiego, znalazł się Wysocki w najtrudniejszem położeniu. Czując wielką odpowiedzialność, jaka na nim ciąży, szukał on na wszystkie strony rady i poparcia. Przez Chłędowskiego więc, który sądząc z opowiadania Mochnackiego, dość ważną w tej sprawie odegrał rolę, zwrócił się do Czartoryskiego, kasztelana Kochanowskiego i Artura Potockiego, ale i tu otrzymał odpowiedź niejasną. Wszyscy zapytani, oświadczyli tyle tylko, że wrazie powstania czynnie wspierać je· będą. Że jednak rzeczy zaszły za daleko i każdy zaczynał pojmować groźne niebezpieczeństwo, na jakie kraj mógł być narażony wrazie „burdy wojskowej“ — jak się wyrażał Chłopicki — ocknęli się przeto i posłowie z letargu i jęli radzić. Z niejasnej i pobieżnej wzmianki Barzykowskiego [2]) wynika, że odbywały się w tym celu posiedzenia ludzi poważnych i wybitne zajmujących stanowiska, że brali w nich udział i sam Barzykowski i Ostrowski i Małachowski i że ostatecznie postanowiono powstania nie wszczynać, lecz czekać na rozpoczęcie wojny i gdy ona na dobre toczyć się będzie, wystąpić zbrojno. Postanowienie było rzeczywiście zdumiewające, bo każdy przecież wiedział, że na wypadek wojny, jak to z geograficznego położenia kraju i rozmieszczenia sił zbrojnych wynikało, wojsko polskie tworzyć będzie straż przednią, a bez wojska powstanie byłoby tylko wysiłkiem rozpaczy. Spuszczano się wprawdzie na to, że Konstanty, który wojny nie lubił, zatrzyma armią polską w kraju, ale nie pomyślano, że Mikołaj musiałby być zbyt naiwnym, aby, wyprowadzając wszystkie swoje siły na pokonanie rewolucyi francuskiej, zostawiał wojsko polskie w Polsce, stojącej na wulkanie. Nic dziwnego zatem, że uchwała, jaką powzięli posłowie, nie mogła ani zadowolnić ani uspokoić wojskowych ani też powstrzymać powstania. W łonie spisku także ścierały się ze sobą dwa prądy. Wysocki, który miał zaufanie do sejmu i na posiedzeniach poselskich bywał, zgadzał się na odroczenie powstania, Zaliwski i jego stronnicy parli do czynu. Ksawery Bronikowski zaproponował na dowódzcę w pierwszej chwili powstania znanego z tajnych związków Kazimierza Machnickiego, byłego majora z czasów Księstwa warszawskiego, a że Lelewel na ten wybór się zgadzał i Machnicki gotów był komendę przyjąć, zdawało się przeto, że największą trudność usunięto i można przystąpić do działania. Mimoto odkładał Wysocki z dnia na dzień powstanie; kilka terminów wyznaczonych, pomiędzy nimi d. 18. października,

[1]) M. Mochnacki: „Powstanie narodu polskiego.“ T. II, str. 89.

[2]) Barzykowski: „Opowiadania.“ T. I, str. 265.

najostateczniejszy, minęło bezskutecznie. Policya, która wietrzyła, że coś się święci, ale na ślad spisku dotąd wpaść nie mogła, zaczęła się uspakajać. I jak z początku strach ogarnął wszystkie figury rządowe do tego stopnia, że wielki książe po nocach nie sypiał, że Nowosilcow co prędzej uciekł z Warszawy pod pozorem lustracyi swoich dóbr słonimskich, że za jego przykładem poszedł Szaniawski, a Grabowski omal czarnej nie dostał melancholii z obawy i zmartwienia, tak teraz jakieś niewytłómaczone uczucie bezpieczeństwa owładnęło nawet najbojaźliwszych. Co prawda policya, pracująca na wyścigi, dla przypodobania się Konstantemu, sama wymyślała i organizowała spiski i tem do reszty wprowadziła w błąd wielkiego księcia. Na nieszczęście jeden „z gapiów spiskowych“, J. B. Ostrowski, wciągnął studentów do spisku i ci tajemnicę wygadali. Zaczęło się więc śledztwo, które dosięgnęło i podchorążych; Urbański i Wysocki zostali aresztowani, ale Konstanty, niewiadomo dobrze z jakich powodów, kazał śledztwo zastanowić, uwięzionych wypuścić, a do szkoły podchorążych posłał na komendanta generała Stanisława Trębickiego, bardzo zdolnego i dzielnego, lecz dla wielkiej służbistości dość nielubianego[1]) oficera. Przerażenie więc padło na szkołę i to tem większe, gdy się dowiedziano, że wielki książe otrzymał poufnie od brata nieograniczoną władzę karania wszelkich spisków i rozruchów bez względu na konstytucyą i zdania ministrów, a nawet prawo miecza. W takich okolicznościach sam instynkt zachowawczy już zalecał jak najszybsze działanie, naznaczono zatem termin powstania na dzień 29. listopada i ułożono plan całej akcyi. Pierwszem dziełem spiskowych musiało być oczywiście ubezwładnienie sił zbrojnych rosyjskich w Warszawie i opanowanie arsenału. Z tego powodu należało przedewszystkiem wykonać zamach na wielkiego księcia, który naczelne nad wojskiem miał dowództwo i był celem powszechnej nienawiści. W tym względzie jednak rozmaite objawiły się zdania. Zgadzano się wprawdzie w zasadzie na to, że Konstanty pierwszy powinien paść ofiarą ruchu, ale niewiedziano, kto miał tego dokonać i w jaki sposób. Wysocki, człowiek szlachetny i kierujący się uczuciem honoru wojskowego, oświadczył, imieniem podchorążych, że oni, jako żołnierze, w zamachu na naczelnego wodza udziału wziąć nie mogą. Na tem utknęła rzecz cała, aż wreszcie Nabielak razem z Goszczyńskim podjęli się trudnego dzieła. Miano więc Konstantego, gdy będzie jechał na paradę wojskową na plac Saski, w wąskiej uliczce, prowadzącej od Jerozolimskiej ulicy do Dzieciątka Jezus, pochwycić i dać hasło do rozpoczęcia rewolucyi. Planu tego zaniechano jednak z powodu nadzwyczaj szybkiej jazdy carewicza i postanowiono ostatecznie napaść na niego w Belwederze. Zachodziło jeszcze pytanie co do osoby wielkiego księcia. Lelewel mniemał, że jeżeli carewicz pozostanie przy życiu, pułki rosyjskie nie połączą się z powstaniem, z drugiej strony charakter łagodny narodu wzdrygał się przeciw zbrodni, popełnionej w ten sposób na człowieku znienawidzonym wprawdzie, lecz bezbronnym i napadniętym z nienacka. Postanowiono zatem wziąć cesarzewicza do niewoli i obchodzić się z nim stosownie do jego godności. Co do dalszych operacyj ułożyli spiskowi plan na-

[1]) Kołaczkowski: „Wspomnienia“. T. II, str. 62.

stępujący: Podczas gdy Goszczyński, Nabielak i Trzaskowski mieli uderzyć na Belweder, poruczono Wysockiemu z szkołą podchorążych i sześcioma kompaniami grynadyerskiemi rozbroić trzy pułki konnej gwardyi rosyjskiej, stojące w koszarach obok Łazienek; równocześnie miał Urbański ubezwładnić piechotę rosyjską, Zaliwski zająć arsenał, Kiekiernicki opanować magazyn prochu na Pradze, a Kozłowski, Dunin, Żukowski, Mochnacki i Bronikowski poruszyć Stare Miasto i ludność powołać do broni. Hasło do rozpoczęcia działania miał dać pożar starego browaru na Solcu. Nie można zaprzeczyć, że w teoryi wyglądało to wszystko dobrze i składnie, lecz wykonanie planu nastręczało niemało wątpliwości. Brakowało najpierw rzeczy w podobnych przedsięwzięciach najważniejszej, naczelnego kierownictwa, brakowało człowieka, ktoryby nad ścisłem wykonaniem planu czuwał, wrazie niepowodzenia lub nieudania się częściowych ruchów nowe obmyślał środki, któryby jednem słowem dowodził powstaniem. Nie było również pewności, czy na wezwanie młodych i nieznanych poruczników wojsko za broń chwyci, czy lud, o niczem nie wiedzący, da się porwać i poruszyć garstce młodzieży, czy wreszcie naród cały do powstania się przyłączy. Pozory mogły łudzić.

W kraju panowało wprawdzie wielkie niezadowolenie, ale przygotowania do zbrojnego ruchu nie było wcale. Sfery rządowe, zostające pod wpływem Lubeckiego, nie sprzyjały powstaniu, wyżsi oficerowie, niewciągnięci do spisku, zachowywali się bądź nieprzychylnie, bądź obojętnie; większość podzielała w tym względzie zdanie Chłopickiego. Kiedy d. 29. listopada na ulicach pierwsze odezwały się strzały, nakłonił Skrzynecki szefa sztabu generała Siemiątkowskiego, u którego był wtedy na partyi wista, aby się udał natychmiast na obronę cesarzewicza, gdy zaś Siemiątkowski wahać się począł, rzekł do niego: „Co powiesz generale wielkiemu księciu nazajutrz, czem się usprawiedliwisz przed nim, gdy on to wszystko uspokoi?“ a po francusku dodał: „Allez et dites à Monseigneur, que je suis corps et ame á lui.“ („Idź i powied cesarzewiczowi, że jestem ciałem i duszą z nim“).[1]) Podobne usposobienie stwierdzili czynem i przepłacili życiem swojem Stanisław Potocki, uczestnik kościuszkowskich bojów i generał Trębicki, komendant szkoły podchorążych. Inni jak Żymirski, Bogusławski i Chorzewski albo poddali się pod rozkazy Konstantego, albo zmuszeni tylko, przystąpili do powstania. Jakoż z początku jedno niepowodzenie po drugiem spotykało spiskowych. Pożar browaru na Solcu, rozniecony za wcześnie i dla braku palnych materyałów ugaszony w przeciągu pół godziny, pomieszał wszystko. Gdy w pół do szóstej uderzono na alarm w pobliskich koszarach jazdy rosyjskiej, znajdowało się na miejscu oznaczonem, koło pomnika Jana III. w parku Łazienkowskim, zaledwie kilku akademików. Nagła wrzawa, pożarem wywołana, posyłki wojskowe, przelatujące ku Belwederowi, wreszcie hasło przed czasem dane, zdziwiły i potrwożyły spiskowych. Z obawy przed policyą i żołnierzami rozbiegli się oni więc po parku i dopiero kiedy ogień ugaszono i hałas ustał, zebrali się nanowo i wysłali Nabielaka i Goszczyńskiego na

[1]) Mochnacki: „Powstanie narodu polskiego“. T. II, str. 146 (podług opowiadania generałowej Siemiątkowskiej).

zwiady do szkoły podchorążych. Tu jednak panowała grobowa cisza i podobny jak między akademikami niepokój z powodu nieobecności Wysockiego i niebezpieczeństwa, na jakie byli wystawieni podchorążowie, podpalający browar na Solcu. Wreszcie powrócił Wysocki z miasta, wyniesiono karabiny, nabito broń i 18-tu spiskowych — bo z 32 tylu tylko się stawiło — ruszyło na Belweder. Było wtedy już po 7-ej. Po mglistym i pochmurnym dniu nastąpiła noc jasna; księżyc i miliony gwiazd oświecały drogę garstce bohaterów, niebo zdawało się sprzyjać zuchwałemu przedsięwzięciu. Szli spokojnie, bez trwogi, pokrzepieni spowiedzią, którą dniem wprzódy u Karmelitów odprawili, zdecydowani na wszystko i tem postanowieniem mocnem i niezachwianą odwagą straszni. Niedaleko Belwederu podzielili się na dwa oddziały; jeden złożony z silniejszych, udał się pod dowództwem Trzaskowskiego w górę, ku rogatkom mokotowskim, aby uderzyć od frontu, drugi z Kobylańskim na czele miał zająć stanowisko w ogrodzie w celu schwytania carewicza. Wielki książe, jak było jego codziennym zwyczajem, udał się po obiedzie na spoczynek i mimo hałasu wywołanego pożarem spał w najlepsze, w około niego, w pałacu i na dziedzińcu głęboka panowała cisza, w przedpokoju sali audyencyonalnej czekał na posłuchanie wiceprezydent miasta Lubowidzki z raportem o powstaniu, które za chwilę miało wybuchnąć. W tem od bramy frontowej rozległ się straszny okrzyk: „Śmierć tyranowi“, zadźwięczały szyby dolnych okien wybite kolbami, runęły drzwi główne pod uderzeniem karabinów i pięści i jak burza wpadł do wnętrza domu oddział Trzaskowskiego, a równocześnie z pobliża od koszar Ujazdowskich odezwały się pierwsze strzały Wysockiego i towarzyszy. Na ten hałas piekielny wybiegła służba pałacowa, lecz, widząc co się dzieje, pierzchnęła odrazu. Tylko kamerdyner carewicza, Kochanowski, nie stracił przytomności, wpadł do pokoju sypialnego, wyciągnął przemocą wielkiego księcia z łóżka i uprowadził go do pawilonu ks. Łowickiej. Stało się to w tej chwili, kiedy u drugich drzwi, wiodących do sypialni Konstantego, spotkali się spiskowi z Lubowidzkim. I on także biegł, aby ostrzedz cesarzewicza o grożącem mu niebezpieczeństwie, ale, pchnięty kilkakrotnie bagnetem, padł na progu i ciałem swojem zawalił drogę spiskowym. Trwało to chwilę tylko, ale wystarczało zupełnie, aby wielkiego księcia od niechybnej uratować zguby. Wprowadzony do apartamentów żony, był on już bezpiecznym, bo spiskowi szanując względy, należne kobietom, przelecieli jak burza przez otwarte pokoje i wybiegłszy z Belwederu podążyli na powrót do pomnika Sobieskiego. Zemsta ich, i to zemsta słuszna, dosięgnęła wśród tego zamieszania jednego, „najnikczemniejszego z nikczemnych“, generała Gendra. Spłoszony krzykiem i myśląc tylko o własnem ocaleniu, umykał on co żywo bocznemi schodkami ku stajniom, ale zaskoczony i poznany przez spiskowych, zginął na miejscu od bagnetu.

Podczas tych gwałtownych i wysoce dramatycznych scen w Belwederze wrzała walka gorąca na innem miejscu. Wysocki, wyprawiwszy oddział Belwederczyków, wszedł do sali wykładowej, przerwał lekcyą teoryi, dobył szpady i zawołał: „Polacy! godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężymy albo polegniemy; nadstawmy piersi nasze wrogom, aby były dla nich Termopilami!“ Na te słowa rozległ się okrzyk: „do broni!“ i za chwilę oddział stuseśćdzie-

sięciu kilku ludzi młodych, znających służbę frontową wybornie, wyćwiczonych w szermierce i w obrotach wojskowych doskonale, pełnych zapału i niezrównanej odwagi, postępował miarowym krokiem ku koszarom jazdy rosyjskiej z zuchwałym zamiarem rozbrojenia lub pokonania trzech pułków nieprzyjacielskich. I szczęście sprzyjało dziwnie tym bohaterom. Ułani na Solcu, zaskoczeni z nienacka, rażeni ogniem celnym na bliską odległość, roztrąceni wreszcie szalonym atakiem na bagnety, umknęli z koszar czemprędzej, a gdyby w tej chwili, jak było umówionem, nadeszły z miasta kompanie wyborcze piechoty, jazda rosyjska byłaby niewątpliwie zniesiona. Stało się jednak inaczej. Zamiast spodziewanych posiłków wysunęły się z półcieni nocnych masy kawaleryi rosyjskiej, to pułki huzarów i kiryssyerów, zaalarmowane strzałami w sąsiednich koszarach, spieszyły ułanom na pomoc i zagrażały zupełnem otoczeniem Wysockiemu. Aby tego uniknąć cofnęli się podchorążowie do pomnika Sobieskiego, połączyli się tam z oddziałem belwederskim i zajęli stanowisko obserwacyjne, nadsłuchując, rychło od strony miasta odezwą się strzały lub daleki szczęk broni, zwiastujący upragnioną pomoc. W tem położeniu strasznem, przygnębiającem umysły, upłynęło chwil kilka, wreszcie Wysocki zniecierpliwiony wysłał na zwiady Kamila Mochnackiego, który powrócił wnet z wiadomością, że piechoty polskiej wcale nie widać, a natomiast jazda rosyjska przecina drogi do miasta wiodące. Zagrożeni tak zewsząd podchorążowie rzucają się z bagnetem w ręku na kiryssyerów, roztrącają ich, rozbijają huzarów, zabiegających im od frontu i dopadają w końcu szczęśliwie koszar radziwiłłowskich, aby się tam bronić do upadłego i oczekiwać odsieczy. Ale i tu, gdy ich jazda zaczęła okrążać i amunicyi zabrakło, a nie mogąc utrzymać się długo, znowu bagnetem torują sobie drogę do miasta. Koło kościoła św. Aleksandra spotyka ich generał Stanisław Potocki, lubiony i szanowany powszechnie, mówią więc do niego: „Generale, prowadź nas dalej przez miasto.“ Potocki jest niewzruszony; na prośby i zaklęcia odpowiada milczeniem i zostaje wreszcie na swojem stanowisku po to, aby, jak się pokazało później, oddziały polskie odmawiać od powstania i oddawać pod rozkazy carewicza. Podchorążowie postępują tymczasem dalej przez Nowy świat, wołając co chwila: „do broni!“ Ale w mieście głucha panuje cisza, domy pozamykane, ulice puste, zamiast tłumów ludu widzą przed sobą komendanta szkoły, generała Trębickiego. Następuje scena podobna jak z Potockim. Trębicki odmawia, grozi, uwięziony wreszcie, idzie z oddziałem, upominając podchorążych, aby się poddali wielkiemu księciu i za jego pośrednictwem uzyskali przebaczenie. W tej chwili, koło pałacu namiestnikowskiego, zajeżdża drogę spiskowym minister wojny Hauke z swojem szefem sztabu Meciszewskim. Bohaterski niegdyś obrońca Zamościa, obecnie znienawidzony za służalcze usposobienie i surowe wyroki w sądach wojskowych, uważa za obowiązek swój zgromić podchorążych; groźby ministra powtarza Meciszewski, a gdy one nie skutkują, strzela z pistoletu. Spiskowi, rozgoryczeni dotychczasowem niepowodzeniem, podrażnieni zachowaniem się generałów tracą cierpliwość i kładą trupem obu oficerów. Ten sam los, przez pomyłkę jednak, spotyka generała Nowickiego. Zbryzgany krwią zatrzymuje się oddział na ulicy Wierzbowej;

podchorążowie zwracają się ponownie do Trębickiego z prośbą, aby — objął nad nimi dowództwo, ale nadaremnie. „Nie stanę na waszem czele — odpowiada — wy jesteście nikczemni, wy jesteście mordercy“ a po chwili: „możecie mi życie odebrać, ale mnie nigdy nie przymusicie do złamania wiary zaprzysiężonej monarsze.“ I poległ człowiek, godny zaiste lepszego losu, poległ zawcześnie, bo niebawem od arsenału doleciał gwar tłumów, rozległ się szczęk oręża i podchorążowie odetchnęli swobodniej na widok bratnich szeregów; wtedy możeby i życie Trębickiego było uratowane na pożytek sprawy narodowej i samego powstania. Ale nad powstaniem od pierwszej chwili już zawisł jakiś los fatalny, który zamiary spiskowych krzyżował, najlepiej obmyślane plany w niwecz obracał, a nieprzyjacielowi podawał wszelkie środki do stłumienia ruchu, poczętego wprawdzie po bohatersku, lecz bez należytego przygotowania.

Podobnie jak w okolicach Łazienek i Belwederu tak i w mieście zwichnął ów nieudały pożar na Solcu i opór wyższych oficerów niemal wszystkie pomysły spiskowych. Porucznicy, należący do związku, wyprowadzili wprawdzie po części wojsko z koszar o naznaczonej porze pod pozorem, że „pułki występują na parol z rozkazu komendanta miasta“, ale, gdy hasło umówione zawiodło, zaczęli się niecierpliwić, trwożyć i domyślać, że z powodu jakiejś ważnej przeszkody termin powstania znowu odroczono. Wreszcie, około godziny 8-mej, rozeszła się po mieście wieść o wypadkach w Belwederze i odezwały się okrzyki „do broni!“, niestety spóźnione, bo nieprzyjaciel razem z wojskiem polskiem chwytał za oręż i rozbrojenie pułków rosyjskich stawało się trudnem, niemal niepodobnem. Ruszyły wprawdzie z koszar ordynackich kompanie wyborcze, które miały przyjść w pomoc Wysockiemu, ruszyły i cztery działa Nieszokocia, ale na placu Aleksandryjskim zatrzymał je Potocki tak długo, aż generał Kurnatowski, przybywszy na czele pułku gwardyi strzelców konnych, poprowadził zebrane oddziały pod komendę carewicza. Nie powiodło się również rozbrojenie pułków pieszych rosyjskich, t. zw. gwardyi wołyńskiej i litewskiej, bo Wołyńców ostrzegł wcześnie o niebezpieczeństwie podchorąży Aksiuk, a generał Żymirski powstrzymał grenadyerów, którzy mieli uderzyć na pułk litewski, i udał się z nimi na plac Marsowy.

Tak ze wszystkich planów, jakie ułożyli spiskowi, powiodło się tylko opanowanie Pragi i arsenału. Pierwszego dokonał Kiekiernicki z dwoma kompaniami 1-go pułku, drugiego porucznicy Czarnecki i Lipowski na czele grenadyerów 5-go pułku liniowego. Oni to, gdy w mieście jeszcze głęboki panował spokój, wyprowadzili ostrożnie kompanie swoje z koszar, zajęli stanowisko pod arsenałem i — rozstawiwszy w stosownych miejscach posterunki — skoro się ruch na dobre rozpoczął, chwytali przebiegających tędy oficerów rosyjskich i przecinali komunikacyą. Niebawem przyszły im w pomoc dwie kompanie 3-go pułku i pięć kompanij grenadyerskich, które, podczas marszu na pole Marsowe, zdołały się niepostrzeżenie od głównych sił Żymirskiego odłączyć, przybyła szkoła podchorążych pod Wysockim i szkoła aplikacyjna, podporucznik saperów Feliks Nowosielski przyprowadził dwa działa, w szkole artyleryjskiej znajdujące się, wreszcie pojawił się i batalion saperów, wstrzymy-

wany dotąd przez dowódzcę swego Majkowskiego. Tak nagromadziła się w tem jednem miejscu — prawda, że najważniejszem — poważna siła zbrojna i arsenał stał się właściwie ogniskiem całego ruchu powstańczego. Tu też rozpoczęła się akcya wojenna, tu zginął generał Blumer, dzielny niegdyś legionista, odznaczony chlubnie w kampanii moskiewskiej, dziś znienawidzony członek sądu wojennego, tu padł ciężko raniony Gresser, adjutant wielkiego księcia, tu grenadyerzy Lipowskiego rozbili pułk wołyński, wyprawiony na zajęcie arsenału. Wrzawa wojenna zbudziła w końcu i miasto. Ludność warszawska nie brała dotąd w walce udziału. W chwili, gdy nadeszła wiadomość o wypadkach w Belwederze, wpadli do teatru „Rozmaitości“ oficerowie Dąbrowski i Zajączkowski z dobytemi pałaszami, wołając: „Polacy, do broni! Moskale naszych w pień wycinają“. Zajączkowski chciał — jak to było postanowionem — aresztować znajdujących się na przedstawieniu oficerów rosyjskich, ale obecny generał Chłopicki krzyknął: „Oddal się Pan stąd, rozkazuję, oficerowie rosyjscy znajdują się pod moją opieką“ i aresztowaniu przeszkodził. Dąbrowski i Zajączkowski — zaalarmowawszy publiczność w teatrze — wybiegli na ulicę, powtarzając okrzyk: „Do broni!“ który rozległ się wnet i na Starem Mieście, gdzie Bronikowski i inni spiskowi wołaniem: „Moskale naszych mordują, za nami bracia, na pomoc“, starali się ludność rzemieślniczą poruszyć.

Ale z początku szło to jakoś trudno. Warszawa nie była przygotowana do powstania wcale, lud, jakkolwiek patryotyczny, nie wiedział o zamiarach wojskowych, lękał się podstępu policyi, która — mianowicie w ostatnich czasach — sama spiski organizowała, aby potem łatwowiernych wyłowić, więc zachowywał się obojętnie, trwożliwie, zamykał domy i sklepy i nieśmiało tylko z ciekawości wychylał się na ulice. Dopiero nieustająca wrzawa, snujące się po mieście oddziały wojska, grzmot bębnów i nawoływania spiskowych: „Do arsenału! po broń!“ skupiły większą gromadę rzemieślników, która pierzchła wprawdzie po pierwszych strzałach, ale upamiętała się rychło i jak fala, wzbierając po drodze, popłynęła pod arsenał wśród spiewów narodowych i okrzyków rewolucyjnych. Tu nastąpiło połączenie ludu z wojskiem. Wspólnemi siłami już wyłamano kraty w oknach, wyważono z zawias drzwi, wyniesiono broń i za chwilę zaroiły się ulice od tłumów zbrojnych, gotowych do boju, a że równocześnie prawie pułkownik Chorzewski, po długiem wahaniu, znaglony do tego przez swoich oficerów, przyprowadził bateryą armat, więc powstanie, do niedawna jeszcze słabe, urosło w groźną potęgę, i gdyby było miało zdolnego i doświadczonego wodza, mogło za jednym zamachem i miasto całe opanować i wielkiego księcia zmusić do złożenia broni. Ale w tej stanowczej chwili zabrakło naczelnego kierownictwa z jednej, a odwagi i smiałości z drugiej strony.

Konstanty, przerażony napadem na Belweder, stracił z początku głowę zupełnie i nie wiedział, co począć. Drżący jak liść dał się wreszcie nakłonić do jakiegoś działania, dosiadł konia i — otoczony rosyjskimi generałami z szwadronem kiryssyerów — ruszył w Aleje, gdzie zwolna zgromadziła się jazda rosyjska i pułk polski strzelców konnych, przyprowadzony przez Kur-

natowskiego. Tak, stojąc na czele czterech wybornych pułków jazdy, mógł on bez trudności i wielkiego krwi rozlewu roztrącić odrazu powstanie. Ale wielki książe nie był ani wodzem, ani też nie posiadał dosyć odwagi i energii, aby na tak ryzykowne — jak mniemał — puszczać się przedsięwzięcia. Pojawienie się wojsk polskich w Alejach utwierdziło go zresztą w przekonaniu, że powstanie nie jest powszechnem, narodowem, uważał to, co się stało, za rodzaj wojny domowej pomiędzy Polakami i stąd wysnuł wniosek, że „Moskale nie powinni się wcale wtrącać do kłótni Polaków i ci ostatni sami mieli sprawę między sobą załatwić". Zamiast więc jazdy rosyjskiej, wysłał do miasta Kurnatowskiego z strzelcami konnymi, Potockiemu zaś polecił perswazyą uspokajać powstańców. Strzelcy ustawili się koło kościoła ewangielickiego i podjazdami docierali aż do kolumny Zygmunta, ale za słabi, cofnąć się w końcu musieli, a Potocki przepłacił życiem swoją niebezpieczną missyę. Na rozkaz Zaliwskiego ściągnięty z konia i rozbrojony, poległ on przypadkiem od kuli, nie dla niego przeznaczonej. Tymczasem wiadomość o odbiciu arsenału i o zabraniu broni przez lud odjęła do reszty odwagę Konstantemu. „Panowie — zawołał do oficerów, którzy go otaczali — ani jednego wystrzału" i odtąd myślał tylko o własnem ocaleniu.

Rada administracyjna. — Rząd tymczasowy. — Układy w Wierzbnie. — Dyktatura Chłopickiego. Tak po kilkugodzinnej walce zwyciężyło powstanie dzięki bohaterstwu podchorążych i małoduszności carewicza; wojska rosyjskie, wyparte z Warszawy, przekradały się ubocznemi drogami ku Alejom, na bruku miejskim pozostała insurrekcya, powodzeniem niespodziewanem upojona, ale bezradna i nie wiedząca, co począć dalej. Brak naczelnego wodza, brak rządu i programu teraz dopiero dotkliwie uczuć się dawały. Zawiodła kombinacya z Machnickim, który podczas walki wcale się nie pokazał, Lelewel, wzywany przez spiskowych, spędził noc przy łożu umierającego ojca; nie było zatem nikogo, coby władzę mógł ująć w swoje ręce i pokierować ruchem po bohatersku, przez młodzież rozpoczętym. Wszystko pozostawiono na łaskę losu i los też ślepy wprowadził powstanie na tory najfałszywsze. Pomiędzy adjutantami wielkiego księcia znajdował się Władysław Zamoyski, syn prezesa senatu, podporucznik z pułku strzelców konnych, człowiek śmiały i ambitny, dobry Polak i dzielny oficer. Tak jak wielu innych, tak też i on, chociaż nie był dnia tego na służbie, udał się jednak do boku wodza swego do Belwederu i spotkał carewicza przygnębionego, wyrzekającego głośno na buntownicze usposobienie Polaków. „Ja nie mięszam się do niczego — mówił rozdrażniony — niech Polacy sami sprawę tę załatwią, to ich rzecz", w końcu polecił Zamoyskiemu, aby udał się do miasta i zasięgnął dokładnych wiadomości o powstaniu.

Zamoyski pojechał, ale po drodze wstąpił do wuja swego księcia Adama Czartoryskiego i zdał mu sprawę z rozmowy swojej z Konstantym. Książe, doświadczony polityk, jednym rzutem oka objął i ocenił położenie. Widział, że powstanie jest słabe, podjęte bez należytego przygotowania, że może być łatwo stłumionem lub zamienić się w najpospolitszą burdę, dla kraju szkodliwą, a dla spiskowych zgubną i postanowił ratować sprawę publiczną i in-

surrekcyą. W tym celu pomyślał najpierw o władzy, o rządzie. Nastręczała się sama przez się Rada administracyjna, która — po dobrowolnej niejako abdykacyi wielkiego księcia i po oświadczeniu jego, że do niczego się mięszać nie chce i nie będzie — reprezentowała jedynie rząd, złożony z Polaków, mogący działać tak, jak sobie Konstanty życzył. Tę Radę zwołać, było głównem narazie staraniem Czartoryskiego. Nie zważając więc na porę nocną, udał on się bezzwłocznie do prezesa Sobolewskiego, a potem do Lubeckiego. Lubecki, przygotowany już przez Zamoyskiego, przyjął w zasadzie projekt księcia Adama, a że głos jego w Radzie przeważał i na niego wszyscy się oglądali, przeto

M. Rybiński.

zwołanie sessyi było tak dobrze jak postanowione. Zważywszy jednak, że Rada w dotychczasowym swoim składzie niezupełnie odpowiadała usposobieniu ludności i trudnym warunkom, wśród jakich działać będzie musiała, zawezwano na posiedzenie oprócz księcia Czartoryskiego także: Paca, księcia Michała Radziwiłła, Kochanowskiego, Niemcewicza i generała Chłopickiego, ludzi popularnych i używających najlepszej sławy. Rada w tym składzie nie była już władzą dawną, lecz rządem rewolucyjnym i musiała, chcąc nie chcąc, wziąć na siebie odpowiedzialność za wszystko, co się później stało. Jest to okoliczność nadzwyczajnie ważna i — jak późniejsze okazały wypadki — dla powstania najniepomyślniejsza. Narazie nikt na to nie zwracał uwagi i Rada starała się zachować wszelkie pozory legalności, a więc wysłała najpierw deputacyą do

carewicza, złożoną z Czartoryskiego i Lubeckiego. Konstanty, nienawidzący obu, przyjął ich jak najgorzej i obsypał wyrzutami, księciu Adamowi wytknął sąd sejmowy, Lubeckiemu monopole i fiskalizm, wreszcie oświadczył, że do niczego mięszać się nie chce, że do niczego Rady nieupoważnia i prosi, aby mu dano spokój. Na próżno przekładał Lubecki, że wielki książe, mając naczelne dowództwo nad wojskiem, może i powinien powstanie uśmierzyć, carewicz trwał w swoim uporze. Wtedy minister skarbu zabrał głos i rzekł: „Ponieważ WCMość, który masz w ręku swojem całą władzę i całą siłę, w tak ważnem zdarzeniu uchylasz się od wszystkiego i odmawiasz Radzie administracyjnej pomocy i bezbronną ją zostawiasz, nie pozostaje więc jej dla ocalenia miasta i przywrócenia spokojności nic, jak tylko porozumieć się z ruchem, który w mieście powstał“. Na tem zakończyło się posłuchanie, Rada uzyskała zupełną swobodę działania i wzięła na siebie tem samem ciężką odpowiedzialność za dalsze kierownictwo sprawą narodową w najtrudniejszych warunkach.

Zdawałoby się z tego, co Lubecki wielkiemu księciu powiedział, że Rada, a właściwie Rząd tymczasowy, będzie starał się porozumieć z powstańcami, zamiary ich wybadać i do nich zastosuje swoje postępowanie. Tymczasem rzeczy wzięły zupełnie inny obrót, a przyczyną tego był skład Rady i przewaga w niej Lubeckiego. W Radzie zasiadali bądź ministrowie, nieposiadający zaufania u narodu, jak Grabowski, Rautenstrauch i Kossecki, bądź patryoci wypróbowani, ale wiekiem pochyleni i do czynów śmiałychi ryzykownych nieskłonni, jak Niemcewicz, Pac, Radziwiłł i Kochanowski. Cała odpowiedzialność więc za kierownictwo spadała na trzech ludzi: Lubeckiego, Czartoryskiego i Chłopickiego, a gdy ten ostatni ukrył się tak, że go odszukać nie można było, na dwóch pierwszych. Zbliżeni do siebie od czasu sądu sejmowego, równo znienawidzeni przez Konstantego i Nowosilcowa i stąd zażywający dobrej opinii w kraju, mogli oni rzeczywiście zdziałać wiele. Przewaga jednak była po stronie Lubeckiego; na niego oglądali się ministrowie, za nim stała cała rzesza urzędników, on posiadał wpływy w Petersburgu, on złożył dowody niepospolitych zdolności i niezwykłej odwagi, stając w obronie sądu sejmowego, ku niemu przeto zwracali się wszyscy ci, których insurrekcya zaskoczyła niespodziewanie, którzy drżeli z obawy o los kraju i swój własny. W ten sposób zajął Lubecki odrazu w Radzie stanowisko dominujące, wziął właściwie w swoje ręce ster rządu i działaniu jego nadał kierunek, odpowiadający swoim przekonaniom politycznym. Zwolennik ścisłego połączenia Polski z Rosyą, nie myślał on i myśleć nie chciał o wywalczeniu niepodległości, lecz zamierzał jedynie uzyskać od Mikołaja przywrócenie swobód konstytucyjnych i zachowanie, a może nawet rozszerzenie autonomii i odrębności politycznej królestwa. Powstanie, wywołane powszechnem niezadowoleniem z rządów Konstantego i Nowosilcowa, stanowiło dla niego dogodny punkt wyjścia, a kredyt u dworu, wpływy w Petersburgu i zaufanie w siły własne pozwalały mu przypuszczać, że z tej walki wyjdzie zwycięsko. Wytknąwszy sobie taki plan, nie sądził za stosowne porozumiewać się z powstaniem, które — podług jego mniemania — rozpoczęte lekkomyślnie, nie miało warunków powodzenia. Kiedy

w nocy 29. listopada Gustaw Małachowski i Morozewicz zbudzili śpiącego ministra i uwiadomili go o tem, co się stało, zapytał najpierw: „Jaki rząd ustanowili powstańcy?“ — a gdy mu odpowiedziano, że rządu niema, nie chciał temu uwierzyć, wreszcie oświadczył: „Jeżeli tak, to temu można i trzeba zaradzić“, i zgodził się na zwołanie Rady. Jako człowiek polityczny, z tego niepojętego zaniedbania spiskowych wysnuł on logiczny zresztą wniosek, że powstanie podjęto bez planu i bez żadnego przygotowania i że ono upaść musi, jeżeli go ludzie doświadczeni i wpływowi nie poprą. Wynikała stąd dalej potrzeba utworzenia jakiejś władzy, a że ją powołał do życia głównie Lubecki i natchnął ją swoim duchem, to wina zato spada na spiskowych, którzy losy insurrekcyi zdali na łaskę przypadku.

Stanąwszy u steru rządu, powinien był Lubecki porozumieć się z powstaniem. Czy się porozumiewał? nie wiemy, ale i tu zachodziły niemałe trudności, bo powstańcy sami nie mieli jasno wytkniętego celu. W jednej odezwie[1]) żądają oni: „Zniesienia wszelkich uciążliwości, wolności druku, jako jedynej rękojmii narodów konstytucyjnych; municypalności miast, tak, aby sami obywatele wybierali urzędników, urządzenia gwardyj obywatelskich, jawności obrad sejmowych, konstytucyjnego budżetu, ustanowienia sądów przysięgłych, wolności nauczania, obalenia monopolów, oddalenia wszystkich ministrów, jako tych, którzy zdradzili, znieważyli naród i konstytucyą“; w drugiej (z dnia 4. grudnia) odzywają się tak: „Od piętnastu lat przed naszemi oczyma, w obliczu narodu, prawie codziennie konstytucya jest gwałcona i nadwyrężona.... Narodzie! w ostatniej rozpaczy, nie mogąc tego wszystkiego dłużej na sobie przenieść, podnieśliśmy oręż w obronie praw i swobód naszych“. A więc nigdzie ani słowa o niepodległości, o przyłączeniu ziem zabranych do Królestwa, o oderwaniu się od Rosyi.

Z programem tak pojętym mógł się zatem zgodzić Lubecki i jeżeli — podług wyrażenia się Lelewela — „rząd musiał zgadywać rewolucyą“,[2]) to przyznać trzeba, że odgadywał ją dość trafnie, że właściwie dał się jej prądom niejasnym porwać zanadto i skutkiem tego zwichnął przedsięwzięcie całe od początku. Młodym, niedoświadczonym spiskowcom wolno było marzyć o obronie konstytucyi i o przywróceniu swobód pogwałconych, osiwiali w życiu politycznem statyści powinni byli jednak wiedzieć, że car rosyjski, Mikołaj zwłaszcza, z insurrekcyą w żadne nie będzie wchodzić układy, że zatem po pierwszych strzałach w Łazienkach i Belwederze naród polski musi się gotować do walki śmiertelnej, że, raz porwawszy za oręż, trzeba walczyć nie o konstytucyą, lecz o byt niezawisły całej Polski. Ale ludzie, zasiadający w Radzie administracyjnej i w Rządzie tymczasowym, nie byli w stanie zdobyć się

[1]) Barzykowski: „Opowiadania“. T. I, str. 331.

[2]) Przymówienie się Lelewela na sessyi detronizacyjnej (t. VII, str. 174): „Było wówczas tajemnicą, czy rewolucya jest narodowa, a tem bardziej czy przejdzie za granicę królestwa. Jej twórcy nie nieśli żadnego środka do objawienia swej myśli; rząd więc królewski musiał dopiero zgadywać rewolucyą“.

na krok tak heroiczny. Nie brakowało im patryotyzmu, gotowości do poświęceń i ofiar, lecz nie mieli wiary w siłę narodu i w powodzenie trudnego i — jak się zdawało — rozpaczliwego przedsięwzięcia. Kto tak jak oni przeżył Maciejowice i rzeź Pragi, kto widział upadek potęgi napoleońskiej, niweczący najświetniejsze nadzieje Polaków, kto zawiódł się na uroczystych obietnicach Aleksandra, a w chwili powstania spoglądał z obawą na srożącą się wokoło reakcyą, ten chyba nie mógł wzbudzić w sercu swojem wiary w zwycięstwo i chwytał się środków połowicznych, jako ostatniej deski ratunku. Nie kontrrewolucya zatem, z góry ułożona — jak twierdzi Mochnacki — ale usposobienie osób, u steru stojących, ale niezrozumienie przez nich położenia, w jakiem się naród znajdował, a z drugiej strony brak ludzi zdolnych do czynu i posiadających zaufanie powszechne, zwichnęły w zarodzie powstanie i stały się ostateczną przyczyną jego upadku.

W nocy 29. listopada, pod wrażeniem przerażających, a niespodziewanych wypadków, nikt zapewne z członków Rady nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego, co się stało i co uczynić należało. Zachowanie się wielkiego księcia, nieokreślona obawa przed zaburzeniami ulicznemi u ludności zamożniejszej, wreszcie niepewne stanowisko rządu, który — wziąwszy władzę „z bruku“ — sprawował ją bez niczyjego upoważnienia, nadawały działaniu Rady charakter chwiejny i niewyraźny. Wydała ona przedewszystkiem odezwę w imieniu Mikołaja, podpisaną przez Sobolewskiego, Lubeckiego i nowych członków, w której wzywała do zgody i umiarkowania, a kończyła zaręczeniem: „Do nas będzie należeć dopełnić powinności naszej w zapewnieniu bezpieczeństwa ogólnego, w poszanowaniu praw i konstytucyjnych swobód krajowych“. Wynikał stąd obowiązek uorganizowania jakiegoś siły zbrojnej, która — złożona z różnorodnych żywiołów i puszczona samopas — ani miasta przed najściem nieprzyjaciela obronić, ani utrzymać porządku nie była w stanie. Ponieważ jednak Chłopicki, ów przez wszystkich upragniony wódz powstania, „wpadł jak kamień w wodę“ i nigdzie go nie można było odszukać, więc uproszono Paca, aby objął tymczasowo naczelne dowództwo i dodano mu za szefa sztabu Wąsowicza. Po tych wstępnych czynnościach przeniósł się Rząd do gmachu Banku polskiego wśród radośnych okrzyków tłumnie zebranej ludności, do której z balkonu przemówił Niemcewicz, zapewniając, że rząd zna swoje powinności i wypełni wszystko, czego dobro sprawy narodowej wymagać będzie. Odpowiedziały na to tysiączne wołania: „Chłopicki wodzem“, aż Pac — dosiadłszy konia — zapewniać musiał wszędzie, że generał Chłopicki rzeczywiście dowództwo otrzymał i że je niebawem obejmie.

Dzień 30. listopada upłynął na drobnych utarczkach podjazdowych. Powstańcy posunęli się przez Solec ku Trzem Krzyżom, sapery z pomocą ludu wznosili w mieście barykady, ale wielki książe ograniczył się tylko do wysyłania nielicznych oddziałów jazdy i chociaż przybyły mu oba pułki gwardyi pieszej rosyjskiej, a z Skierniewic i z Góry nadciągnęła cała artylerya (28 armat), chociaż generał Gerstenzweig namawiał go do uderzenia na Warszawę i gardłem chciał ręczyć za skutek, on wzruszyć się nie dał i pod wieczór na-

kazał całej swojej armii odwrót pod Wierzbno (pół mili od stolicy), gdzie w małej karczemce główną założył kwaterę.

Tymczasem w Warszawie dalsze odbywały się zmiany; prezydentem miasta został Węgrzecki, piastujący tę godność za czasów Księstwa, zastępcą jego Tomasz Łubieński; na wniosek Gustawa Małachowskiego zaczęto organizować gwardyą narodową, którą — dla uniknięcia rewolucyjnych pozorów — nazwano „strażą bezpieczeństwa“ i oddano pod naczelne dowództwo Piotra Łubieńskiego; na ratuszu wreszcie ukazał się Orzeł biały z napisem: „Wita jutrzenko swobody, za tobą nadziei słońce“.

Tak zdawało się, że rząd, z wiedzą czy bezwiednie, wchodzi na drogę dla powstania najwłaściwszą, ale było to tylko złudzenie, które rozwiały natychmiast szybko po sobie następujące wypadki. Kiedy Władysław Zamoyski, znoszący się jeszcze ciągle z wielkim księciem i w najlepszej myśli dyplomatyzujący na własną rękę, oświadczył Konstantemu, że dla uspokojenia umysłów i powstrzymania rewolucyi koniecznem jest, aby Rada ogłosiła niepodległość Polski kongresowej i rozmowę tę, z upoważnienia carewicza, powtórzył członkom Rządu tymczasowego, sprzeciwił się temu jak najmocniej Lubecki. „Rada administracyjna — były jego słowa — nie dzieli i dzielić nie może zdania p. Zamoyskiego, iż aby przy władzy pozostać, potrzebuje ogłosić niepodległość kraju i owszem prosi go, aby oświadczył w jej imieniu wielkiemu księciu, że w koncesyach, jakichby nagłe okoliczności wymagały, nigdy nie przestąpi granicy, którą jej zakreśla nazwisko cesarza i króla, położone na czele rządowych postanowień i obwieszczeń. Rada nie może czynić podobnych propozycyj, jakie p. Zamoyski przedstawił, ani chce brać na siebie tak wielkiej odpowiedzialności.“

Program Lubeckiego był zatem jasno określony; nie myślał on o walce, lecz o układach, nie miał na celu niepodległości, lecz tylko koncesye autonomiczne i konstytucyjne, a nadzieje swoje pokładał nie w orężu, lecz w zręcznem działaniu rządu i swojem własnem. Powaga, jakiej minister ten zażywał, niezaprzeczone zdolności, jakie w tylu ważnych i trudnych wypadkach okazał, sprawiły, że Rada bez zastrzeżeń na politykę Lubeckiego się zgodziła, że ją przyjął mianowicie ten, na którego dzielności i doświadczeniu opinia publiczna wszystkie swoje budowała nadzieje, t. j. Chłopicki. Zjawił on się nareszcie dnia 1. grudnia na posiedzeniu Rady, witany jako zbawca, sam obojętny, „nie zagrzany ani prawdziwym duchem patryotycznym, ani energią rozpaczy“, brał ofiarowane sobie dowództwo nad wojskiem z uległości raczej dla władzy, niż z chęci służenia sprawie narodowej. Działanie też jego było od samego początku dziwne i niejasne, znać, że natchnione przez Lubeckiego i zupełnie w jego duchu pojęte.

Wydał więc odezwę, na której podpisał się z kurtoazyi dla wielkiego księcia nie jako wódz naczelny, lecz jako generał polski, następnie wziął pod szczególniejszą swoją opiekę jeńców rosyjskich, generałów: Essakowa, Richtera, Engelmana i Langego, sam z odwachu pod arsenałem przeprowadził ich do zamku i tą zbyteczną uprzejmością zgóry już zaznaczył swój kierunek polityczny. Wódz, mający wywalczyć niepodległość lub co najmniej przywró-

cenie praw pogwałconych narodowi, wódz, którego witano jako Boga wojny, rozpoczynał zawód swój w roli dyplomaty pośledniejszego gatunku. Toż dziwić się wcale nie można, że ta polityka rządu, poparta powagą Chłopickiego, jak najgorsze na umysłach wywarła wrażenie, że posłowie i senatorowie, znajdujący się w Warszawie, odbyli sessyą na zamku i uchwalili cały szereg artykułów, w których ganili postępowanie rządu i domagali się zwołania sejmu i przybrania do Rady członków izby poselskiej, a usunięcia z niej osób, nieposiadających zaufania u narodu. Wskutek tych przedstawień ustąpili z rządu: Stanisław Grabowski, Kossecki, Fredro i Rautenstrauch, w ich miejsce zaś powołano: Leona Dembowskiego, Władysława Ostrowskiego, Gustawa Małachowskiego i Lelewela. Równocześnie, aby uciszyć skargi na zbyt powolne działanie Rady, ustanowiono osobny — z członków rządu złożony — wydział wykonawczy i polecono Chłopickiemu sprowadzić wojsko, po kraju rozłożone, do stolicy, co też on, jakkolwiek bardzo niechętnie, uczynił. Ale na tem wyczerpała się energia starego i nowego rządu i zaczęło się dyplomatyzowanie z gorszym nawet niż dotąd skutkiem. Powód do układów dał sam Konstanty, żądając przez Zamoyskiego wysłania deputacyi od Rady administracyjnej do Wierzbna. Położenie było tego rodzaju, że do życzenia wielkiego księcia Rada zastosować się musiała. Cesarzewicz, stojący na czele wojska rosyjskiego i polskiego u bram stolicy, był niewygodnym i niebezpiecznym zarówno dla powstania jak i dla rządu.

Mógł on pierwsze zaskoczyć i roztrącić, mógł Radę rozpędzić, członków jej za rewolucyjne działanie do odpowiedzialności pociągnąć i wszystkie plany Lubeckiego zniweczyć. Zapominać także nie trzeba, że do niego należała jeszcze komenda nad wojskiem polskiem, stojącem na prowincyi i że miał on w rękach swoich Modlin, a więc że był przeciwnikiem groźnym dla słabego powstania, z którym ono liczyć się musiało. Z drugiej strony jednak znała Rada także dobrze usposobienie i położenie wielkiego księcia, wiedziała, że brakuje mu żywności, pieniędzy i amunicyi, że pułki polskie, u jego boku się znajdujące, do zwalczenia rewolucyi w tym jej okresie użyć się nie dadzą, że zatem zaczepne działanie cesarzewicza — jakkolwiek możliwe — prawdopodobnem nie było. Mając te okoliczności na względzie, powinna była Rada ułożyć dla deputacyi odpowiednią instrukcyą, powinna była przynajmniej wiedzieć, o co jej delegaci mają się upominać, czego żądać i na jakie warunki ostatecznie zezwolić.

Tak prostego obowiązku jednak nie spełnił rząd wcale; deputacya, złożona z Lubeckiego, Czartoryskiego, Władysława Ostrowskiego i Lelewela, pojechała do Wierzbna dnia 2. grudnia bez żadnych poleceń rządowych, bez żadnego programu, z jednem, jedynem, w głębi serca ukrytem pragnieniem pozbycia się Konstantego i wojsk rosyjskich za jakąkolwiek cenę. Kilkugodzinna konferencya delegatów polskich z cesarzewiczem w Wierzbnie jest też klasycznym na to dowodem. Zagaił ją Lubecki usprawiedliwieniem Rady administracyjnej, Ostrowski podniósł pogwałcenie konstytucyi, Lelewel nadmienił cokolwiek o potrzebie przyłączenia prowincyj zabranych do królestwa, ale gdy przyszło do właściwego celu rozmowy, gdy wielki książe zapytał:

„Coby mogło najprędzej całe zawikłanie uspokoić?“ — żądał Ostrowski: oddalenia wojsk rosyjskich z pod Warszawy i ustąpienia ich do Rosyi, co Konstanty z widocznem zadowoleniem i bez najmniejszej trudności przyjął. Niemniej od Konstantego uradowani tym obrotem rzeczy delegaci, posunęli uprzejmość swoją dla cesarzewicza do tego stopnia, że bez żadnych zastrzeżeń[1]) zgodzili się na wypuszczenie z niewoli pojmanych generałów, za co wielki książe obiecał być pośrednikiem „do wyjednania łaskawości u króla i puszczenia wszystkiego w niepamięć“ i oznajmił, iż dotąd korpusowi litewskiemu nie dał żadnych rozkazów maszerowania ku Królestwu polskiemu. Za tych kilka marnych obietnic, które ani cesarzewicza, a tem mniej Mikołaja do niczego nie obowiązywały, które narodowi polskiemu i powstaniu najmniejszej nie przynosiły korzyści, puszczano swobodnie z kraju 6000 wyborowego rosyjskiego żołnierza i dział 28, puszczano brata cesarskiego, który mógł być cennym dla rewolucyi zakładnikiem, puszczano wszystkich jeńców, nie wymówiwszy sobie w zamian za to chociażby uwolnienia nieszczęśliwego Łukasińskiego.

Jeżeli prawdą jest, co w ogłoszeniu rządowem czytamy, że wielki książe przyrzekł polecić, aby aresztowanych wojskowych i cywilnych na wolność nietkniętych wypuszczono, to obowiązkiem Rady było dopełnienia tego warunku dopilnować, a wrazie niewykonania umowę za zerwaną uważać. Szczególniej zapomnienie o Łukasińskim, którego los tragiczny współczesnym żywo powinien był stać przed oczyma, jest winą nie do darowania, obciążającą wszystkich członków Rady i delegacyi, zarówno Lubeckiego i Czartoryskiego, jak Ostrowskiego i Lelewela. Najnieszczęśliwszy z nieszczęśliwych padł on też ofiarą nieubłaganej zemsty Konstantego. Gdy Warszawa wrzała życiem rewolucyjnem, gdy serca polskie, przepełnione radością, witały „jutrzenkę swobody“, gdy nad narodem wschodziło „słońce wolności“, Łukasiński, przykuty do armaty, szedł na dożywotnie wśród obcych wygnanie. Wtrącono go najpierw do więzienia w Bobrujsku, stamtąd przewieziono do Schlüsselburga, gdzie w t. zw. sekretnym pałacu (podziemnej kazamacie) przeżył długie lata, aż w roku 1861. niedolą swoją wzbudził litość nawet najzawziętszych swoich wrogów. Komendant twierdzy schlüsselburskiej Leparski, wzruszony losem Łukasińskiego, wniósł wtedy podanie do tronu o ulgę dla nieszczęśliwego więźnia, który do kraju wracać nie chciał. Aleksander II. przychylił się do prośby komendanta. Łukasiński otrzymał pokój jaśniejszy, 30 kopiejek dziennie na utrzymanie i 100 rubli na sprawienie nowego ubrania. W tych warunkach przeżył on jeszcze lat 7 i zakończył ciężki swój żywot d. 15. lutego 1868. roku.

Kiedy delegaci Rady administracyjnej wracali z swojej niefortunnej missyi do Wierzbna, zaszły w Warszawie niespodziewane wypadki. Postępowanie rządu chwiejne i niejasne, wywołało niezadowolenie nietylko pomiędzy posłami, ale i w kołach spiskowych. Młodzi, niecierpliwi, rwący się do czynu i powodzeniem dotychczasowem upojeni, nie mogli oni pojąć i zrozumieć

[1]) Tak podług „Relacyi Lelewela“, t. VII, str. 160.

ostrożnej i kunktatorskiej polityki Rady i — idąc za przykładem posłów — rozwinęli działanie w podobnym kierunku, ale o wiele gwałtowniejsze i w skutkach swoich szkodliwsze. Z inicyatywy Brònikowskiego, a za przyzwoleniem Lelewela zawiązali więc dnia 1. grudnia Towarzystwo patryotyczne, na którego czele stanął Lelewel jako prezes, Bronikowski i M. Mochnacki jako jego zastępcy. Nazajutrz zwołano pierwsze posiedzenie Towarzystwa do sal redutowych. Pierwszy z mową wystąpił Mochnacki. Był to człowiek młody, niepospolicie uzdolniony, pisarz wytworny, polityk bystry, mowca znakomity, ale nieposiadający zaufania powszechnego. Wiedziano mianowicie, że kiedy z powodu związków pomiędzy młodzieżą Mochnacki dostał się do więzienia, okazał tam przed komisyą śledczą skruchę i chęć poprawy, że na żądanie władz ówczesnych ułożył wtedy reakcyjny na wskroś projekt reformy wychowania publicznego i następnie uwolniony, został urzędnikiem w wydziale cenzury. Mogło to być z jego strony udaniem, podstępem, jak rzeczywiście sam utrzymuje, ale mimoto zaprzeczyć się nie da, że komisya, wyznaczona w czasie powstania do przejrzenia sekretnych papierów wielkiego księcia, uznała Mochnackiego za niegodnego do piastowania jakiegokolwiek urzędu publicznego, jakoteż, że Mochnacki przed nocą listopadową — jak mówiono — dla braku odwagi, z spiskowymi stosunki zerwał. Orzeczenie komisyi nastąpiło wprawdzie później, ale to, co wiedziano dotąd o Mochnackim, wystarczało, aby słuszne przeciw niemu obudzić podejrzenia. Uczuł on się tem mocno dotkniętym, a że miał wiele ambicyi, że widział rzeczy jasno i że bystrym umysłem swoim odgadywał szkodliwe dla powstania i dla sprawy narodowej zamiary Lubeckiego, więc wystąpił przeciw Radzie administracyjnej, poddał działanie jej surowej krytyce i wkońcu przedstawił cały szereg wniosków, które zgromadzeni wśród szczęku oręża i stuku kolb przyjęli. Były tam żądania słuszne i myśli trafne, jak n. p. aby uderzyć na wielkiego księcia i wojsko jego zniszczyć lub rozbroić, aby przystąpić natychmiast do urządzenia powstania na prowincyi, ale nie brakowało także i takich, które — podyktowane chwilowem uniesieniem i niewczesnym zapałem — sprawę narodową na największe mogły narazić niebezpieczeństwa. Ostatni punkt mianowicie: „aby natychmiast przystąpiono do wykonania tych żądań, inaczej bowiem Rada administracyjna zniewolona będzie przyjąć do grona swojego kilku członków klubu, których sam klub wybierze“, był wprost zapowiedzią buntu przeciw władzy narodowej, nieszczęśliwem naśladownictwem rewolucyi francuskiej w stosunkach zupełnie odmiennych, w społeczeństwie, zbudowanem na całkiem innych podstawach, w położeniu, które nakazywało skupiać, a nie rozdwajać szczupłe siły narodu, gotującego się do walki na śmierć lub życie z najpotężniejszem mocarstwem w Europie.

Młodość i brak doświadczenia usprawiedliwia wprawdzie Mochnackiego, ale nie uwalnia go od winy, że pierwszy sponiewierał rząd i dał przykład lekceważenia władzy wtedy, gdy od jej sprężystości i powagi zależało powodzenie powstania. Nie zdawały sobie z tego sprawy rozgorączkowane lub politycznie niedojrzałe umysły, zebrane w sali redutowej i natychmiast wybrano deputacyą, która miała uchwalone co tylko żądania zanieść do Rady admini-

stracyjnej. Kiedy członkowie deputacyi przybyli do Banku, zastanawiała się Rada właśnie nad warunkami, przywiezionemi przez delegatów z Wierzbna. Tłum ludu i hałas w przysionku zadziwił jednych i zatrwożył drugich, a że rząd na obronę swoją — przez dziwne jakieś zaniedbanie — nie miał ani straży ani siły zbrojnej, więc wysłano kasztelana Kochanowskiego w celu układów z przybywającymi. Wszczął się w przedpokoju spór coraz to gwałtowniejszy, Kochanowski całą siłą bronił wstępu. Tłum napierał na niego, wreszcie wyszedł Ostrowski i rzekł: „Niech pan kasztelan pozwoli wejść, rząd przyjmuje“.

Jenerał Umiński.

Wtłoczyła się więc cała deputacya do sali, zaczęły się przemowy umiarkowane z początku, a potem coraz ostrzejsze. Mochnacki odczytał uchwały klubu, przedstawiając je jako żądania „ludu“, który przybył uzbrojony i nie rozejdzie się, dopóki woli jego zadość się nie stanie. Czartoryski, bo do niego były te słowa zwrócone, oświadczył grzecznie lecz stanowczo, że pierwsze żądanie przyjętem być nie może, bo konwencya z wielkim księciem jest zawarta, nad innemi zastanowi się Rada. Na to rzucił się Mochnacki. „To są żarty, Mości książe — zawołał — my nie powstawaliśmy dla przyjmowania łask i warunków od wielkiego księcia Konstantego, który jest jeńcem rewolucyi, ale dla zbawienia Polski. Niechaj tedy rząd nie gra komedyi, która może się bardzo tragicznie zakończyć albo dla powstania, albo dla jego nieprzyjaciół i wątpliwych stronników.“ Słowa te, zawierające w pierwszej części słuszną

zresztą uwagę, wypowiedziane jednak w tonie gwałtownym, powadze zgromadzenia i ważności sprawy ubliżającym, wywołały jak najgorsze wrażenie. Chłopicki zerwał się rozgniewany i wyszedł zatrzasnąwszy drzwiami, Lelewel najwyższe okazał niezadowolenie, Małachowski i Radziwiłł natychmiast podali się do dymissyi, jeden tylko Czartoryski rzekł chłodno i spokojnie: „Złóżcie panowie żądania i oddalcie się“.

Na tem skończyła się ta scena dramatyczna i bolesna zarazem, lud, zgromadzony przed Bankiem — wbrew twierdzeniom Mochnackiego — zachował się spokojnie, o użyciu oręża nie myślał i wraz z deputacyą oddalił się milczący, na miejscu pozostał rząd przygnębiony, wobec narodu i świata skompromitowany i sponiewierany, a jednak zmuszony poczuciem obowiązku do wytrwania. Zawinił on pewnie wiele, ale nie zasłużył na to, co go od własnych spotkało ziomków, nie zasłużył przez wzgląd na nieskalaną przeszłość i patryotyzm swoich członków i na sławę narodu, który zginął wskutek anarchii i niezgody.

Wypadki dnia następnego zatarły poczęści przykre wrażenie najścia rządu przez klub rewolucyjny. Po północy (pomiędzy godziną 2-gą a 3-cią) ukazały się od Wolskich rogatek wojska narodowe, spieszące na rozkaz Chłopickiego do stolicy. Pierwszy nadszedł z Sohaczewa pułk strzelców pieszych pod dowództwem Szembeka, następnie pułk Rybińskiego z Mszczonowa i 8-my pułk piechoty Skrzyneckiego z Pułtuska. Na przyjęcie towarzyszów broni udał się Chłopicki i razem z Szembekiem, witani po drodze entuzyastycznemi okrzykami tłumów, przybyli wprost do Rady administracyjnej, gdzie Szembek oświadczył krótko, po żołniersku: „Zrobiłem to, co mi obowiązek jako dobremu Polakowi i honor nakazuje, przychodzę łączyć się z wami“. Proste słowa jego nie były czczą przechwałką, bo, w drodze zatrzymany przez wielkiego księcia, z największą trudnością zaledwie mógł pułk swój przyprowadzić do Warszawy, bo, łącząc się z narodem, podniósł tem samem sprawę powstania i przykładem swoim pociągnął innych, ostrożniejszych i wyczekujących. Natychmiast też wszczął się ruch pomiędzy wojskiem polskiem, zostającem jeszcze pod rozkazami Konstantego, wysłano deputacyą do carewicza z prośbą o pozwolenie udania się do Warszawy, a gdy wielki książe ani wstrzymywać ani zezwalać nie chciał, postanowiono opuścić go i połączyć się z narodem. Przeszkodził temu obecny w Wierzbnie Zamoyski. Wiedząc, że układy się toczą i bliskie są ukończenia, pragnął on pogodzić honor wojskowy z interesem narodowym, uprosił więc, mianowicie kolegów swoich z pułku strzelców konnych, aby wytrwali przy Konstantym tak długo, aż im sam oddalić się każe i sam pospieszył natychmiast do Warszawy. Tu zastał przed Bankiem tłum, w sali zgiełk i wrzawę. Była to chwila, kiedy rząd — ulegając wczorajszym żądaniom klubu — przybrał do swego grona: Andrzeja Plichtę, Ksawerego Bronikowskiego, Machnickiego i M. Mochnackiego i kiedy ci nowi członkowie wprost ze zgromadzenia, na którem Szembeka obnoszono na rękach, przybyli, aby zająć miejsca swoje w Radzie.

Niewtajemniczonemu w przebieg sprawy przedstawiało się położenie groźnie, jakoż zaprzeczyć się nie da, że był to ruch, wprowadzający powstanie

na tory rewolucyjne, chociaż nie tak gwałtowny i straszny, jak przedstawia Mochnacki. Insurrekcya, nieświadoma z początku swoich celów, pojęła nareszcie właściwe zadanie powstania, klubiści wypowiedzieli to, co tysiące serc czuło, ale wyrazić nie było w stanie i powszechnego zapału nikt już zahamować nie mógł. Jeden Lubecki zorjentował się szybko w zgiełku rewolucyjnym i — wziąwszy Zamoyskiego na stronę — jął mu przekładać, że rząd jest bezsilny, że nie może utrzymać i wykonać konwencyi zawartej w Wierzbnie i że wielki książe ma do wyboru: albo się poddać, albo natychmiast się z wojskiem oddalić. Otrzymawszy to wszystko na piśmie, podążył Zamoyski do głównej kwatery Konstantego, który, przerażony nagłą zmianą rzeczy, po pewnem wahaniu się, odpuścił wojska polskie, a sam udał się w pochód ku granicom Królestwa. Ale zanim to wszystko ułożono, zanim wielki książe stosowną odezwę napisał, już znaczna część wojska polskiego znajdowała się w drodze do miasta. W Alejach powitały powracających braci tłumy ludu, wyjechał na ich spotkanie Chłopicki; zapał i rozczulenie obustronne nie miały granic. Ludność wdzierała się do szeregów, aby uściskać walecznych, chorągwie ozdobiono wieńcami z kwiatów, z okien, przepełnionych publicznością, powiewały kobiety chustkami, a okrzyk: „niech żyje wojsko polskie!“ pomięszany z dźwiękami muzyk, wygrywających melodye narodowe, rozlegał się od końca do końca miasta. Wśród tej fali głów, upojonych szałem radości, rozpalonych patryotyzmem, poruszały się dwie postacie przygnębione z wzrokiem przybitym do ziemi. Byli to generałowie: Kurnatowski i Wincenty Krasiński. Jak tylko ich lud zobaczył, odezwały się natychmiast obelżywe okrzyki, które towarzyszyły jadącym aż do Banku polskiego. Tu, gdy zsiedli z koni, tłum rzucił się na nich i gdyby nie przytomność Chłopickiego i Szembeka, którzy napadniętych własnemi zasłonili piersiami, bruk warszawski zbroczyłaby znowu krew bratnia.

Ocalonych w ten sposób wyprowadzono na balkon, gdzie w obecności ludu złożyli przysięgę na wierność powstaniu, poczem Lubecki, gdy do sali wrócili i przed Radą zebraną stanęli, w te do nich odezwał się słowa: „Czy dobrze lub źle, że insurrekcya zrobiona została, to dopiero skutek okaże; ale zrobiona została i cofnąć jej nie można, przeto teraz wszystko przedsięwziąć i uczynić powinniśmy, aby ona na naszą korzyść poszła. Pierwszym krokiem z naszej strony powinna być negocyacya. Przez nią powinniśmy starać się otrzymać to, cośmy zamierzyli, t. j. przyłączenie prowincyj polskich do królestwa i ścisłe zachowanie konstytucyi, a jeżeli to dane nam będzie, poprzestać na tem należy, bo wtenczas, acz pod jednem berłem z caratem rosyjskiem, będziemy niepodległem państwem. Lecz jeżeli cesarz tych propozycyj nie przyjmie, natenczas do wojny przyjść musi, wszyscy więc do niej stanąć powinniśmy i wojna to będzie na śmierć lub życie. Takie będzie postępowanie rządu. Oświadczamy to panom i teraz trzeba, abyście wy nas zawiadomili, czy podzielacie zdanie rządu i czy gotowi jesteście stanąć do wojny i do końca wiernie narodowi służyć?“

Kurnatowski odpowiedział szczerze i otwarcie: „Jestem Polakiem, kocham ojczyznę, lecz okoliczności w tem położeniu mnie postawiły, że w wojnie

przeciw cesarzowi czynnego udziału wziąć nie mogę“; Krasiński przyłączył się do jego oświadczenia, trzeci, Żymirski, rzekł: „Jestem Polakiem i tam pójdę, gdzie naród i wojsko będzie i jeżeli przyjdzie do wojny, czynem dowiodę, ile ojczyźnie wiernym być umiem“. Po tej deklaracyi Kurnatowski i Krasiński otrzymali dymissyą. Pierwszy, wierny danemu słowu, pozostał podczas wojny bezczynnym, ale w niczem sprawie narodowej nie szkodził, drugi, — uzyskawszy pozwolenie na wyjazd do dóbr swoich w Płockiem — uciekł do Prus, a stamtąd udał się do Petersburga, aby usługi swoje ofiarować carowi.

Scenę, wywołaną zjawieniem się generałów, wyzyskał po mistrzowsku dla siebie Lubecki. Rozwinąwszy przy tej sposobności swój program polityczny, uderzył w strunę patryotyczną, wspomniał o walce na śmierć lub życie i tem wystąpieniem zjednał sobie i Radzie nowych członków rządu, którzy z zadziwieniem słuchali rewolucyjnej mowy potępionego w klubie patryotycznym ministra.

Wieczorem cała stolica zapłonęła od ogni biwaków wojskowych, miasto miało postać czarującą, radość przepełniała serca, powstanie tryumfowało, ale tryumf jego był zarazem wyrokiem śmierci dla Rady administracyjnej. Lubecki i Sobolewski czuli, że w tym składzie rzeczy dłużej na stanowiskach swoich pozostać nie mogą. Dla ministrów Mikołaja nie było miejsca w rządzie, w którym zasiadali spiskowcy, twórcy nocy listopadowej, dążący do zrewolucyonizowania stolicy i kraju, żądający bezzwłocznego rozpoczęcia wojny z Rosyą. Obaj zatem podali się do dymisyi, a z ich ustąpieniem Rada administracyjna istnieć przestała i okazała się potrzeba utworzenia nowego rządu. Książe Czartoryski, oceniając trafnie położenie, spostrzegł, że nadeszła dogodna pora do działania. Wypadki 3. grudnia napełniły otuchą ludność stolicy i podniosły wysoko w opinii publicznej osoby, wchodzące w skład Rady. Narzekania klubistów, ich skargi na nieczynność władzy naczelnej i podejrzenia, miotane na członków Rady, traciły wszelkie znaczenie wobec dymissyi Lubeckiego i upojenia Warszawian z powodu powrotu wojsk narodowych. Należało zatem skorzystać z tej chwili i pozbyć się nieproszonych i narzuconych uczestników władzy, którzy zresztą w Lelewelu (prezesie Towarzystwa patryotycznego) najodpowiedniejszego mieli przedstawiciela. W tej myśli — natychmiast po ustąpieniu Lubeckiego i Sobolewskiego — utworzono Rząd tymczasowy, złożony z Czartoryskiego, kasztelana Kochanowskiego, Paca, Dembowskiego, Niemcewicza, Lelewela i Władysława Ostrowskiego. Przybranym do Rady klubistom ofiarowano tylko „asystencyą“ z głosem doradczym. Rząd, ustanowiony tym sposobem w dniu 4. grudnia, nie zmieniał dotychczasowej taktyki, nie schodził z gruntu konstytucyjnego, nie zrywał z Rosyą, lecz — stosownie do maksymy Lelewela — miał działać nietylko w interesie narodu, ale i „w interesie króla, niemogącego dla odległości rezydencyi zaradzić dzisiejszym kraju potrzebom“. Dziwna zasada i dziwna treść odezwy zostawały w rażącej sprzeczności z działaniem rządu. Uznając dalsze królowanie Mikołaja, ten sam rząd zwoływał równocześnie sejm na dzień 18. grudnia i przywłaszczał sobie przez to atrybucye władzy, w konstytucyi wyłącznie królowi zastrzeżone, powoływał pod

broń wszystkich dymissyonowanych oficerów i żołnierzy i urządzał „straż bezpieczeństwa“ z całej ludności męskiej od 18-go do 45-go roku życia. W taki labirynt pojęć zapędziła najwybitniejszych ludzi owego czasu polityka Lubeckiego i fałszywe, z powietrza uchwycone przypuszczenie o możności pogodzenia się z Mikołajem.

Tymczasem Mochnacki uczuł całą doniosłość zmiany co tylko dokonanej. Powołany do Rady, był on tam na jednem posiedzeniu, sessyi atoli nie czekał, wszedł do sali, z Lubeckim pogadał i natychmiast się oddalił.[1]) Po jego odejściu, późno w noc, wydarzyły się wypadki, poprzednio opowiedziane i dnia 4. grudnia pojawiła się odezwa Rządu tymczasowego, nastąpiło usunięcie z Rady klubistów. Było to oczywiste lekceważenie i wyzwanie klubu, który przed dwoma dniami jeszcze „trząsł stolicą“. Zakrzątnął się więc Mochnacki natychmiast około zwołania zgromadzenia, a gdy sala napełniła się po brzegi, wystąpił z mową, w której uderzył gwałtownie na Rząd tymczasowy. „Ludzie, znani z liberalizmu — wołał — weszli w otwarte przymierze z nieprzyjacielem kraju. Nie ufajmy imionom historycznym, nie ufajmy żadnej wziętości, żadnej zasłudze. Chłopicki niedopełnił swego obowiązku, zdradza on rewolucyą. Dokończmy, cośmy zaczęli, idźmy znowu na rząd, idźmy wszyscy razem z bronią w ręku, rozpędźmy teraźniejszy rząd i ustanówmy rząd rewolucyjny“. Na te słowa odezwały się gwizdania, sykania i krzyki: „Precz z nim! precz z nim!“ Mochnacki w zapale przesadził; mowa jego była niepolityczną, chybioną, była krzykiem rozpaczy. Zgromadzenie, zostające pod świeżem wrażeniem wypadków 3. grudnia, zgromadzenie, złożone z ludności ubóstwiającej Chłopickiego, musiało na filipikę Mochnackiego odpowiedzieć oburzeniem. Znaleźli się natychmiast mowcy, jak referendarz Grzymała i adwokat Wołowski, którzy uderzyli na Mochnackiego i zwrócili się do Bronikowskiego z zapytaniem, „co na rządzie słyszał i widział i czy rząd działa rewolucyjnie lub nie?“ Bronikowski, świadek owej sceny z Kurnatowskim i Krasińskim, zaprzeczył wywodom swego kolegi w rządzie i przyjaciela, a — przytoczywszy świeżo powzięte postanowienia rządu — tak rzecz swoją zakończył: „Wszystko, co rząd dziś zrobił, jest zbrodnią przeciw cesarzowi. Jakie są dalsze intencye rządu, o tem będziemy mogli sądzić w przyszłych jego działaniach, ale, podług mnie, należy mu zostawić czas do ich rozwinięcia. Słowa przez Lubeckiego do tych dwóch generałów były wobec księcia Czartoryskiego, Niemcewicza, Paca i waszego prezesa Lelewela wyrzeczone. Osądźcie sami, czy ci mężowie dozwolą w czynach zadać kłamstwo sobie samym? Czyż ci, którzy takie zasady wygłaszają, mogą być zdrajcami ojczyzny?“ Świadectwo Bronikowskiego było nie tyle dekretem śmierci dla klubu, jak twierdzi Mochnacki, ile potępieniem nierozważnego i w wysokim stopniu niepolitycznego wystąpienia Mochnackiego, Jakoż gniew i oburzenie zgromadzonych zwróciło się głównie przeciw niemu, a nie przeciw klubowi. Porwano go gwałtem ze stołu, na którym stał z karabinem w ręku, przyłożono bagnety do piersi, wołając: „Oszczerca, terrorysta, Robespierre polski!“

[1]) Lelewel: Użycie mych notat przez Mochnackiego. „Polska, dzieje i rzeczy jej.“ T. VII, str. 171.

Na pomoc skoczyli mu przyjaciele, otoczyli struchlałego i wyprowadzili na dziedziniec, skąd ucieczką ratować się musiał. W sali tymczasem wrzało i kipiało wszystko. Młodzież akademicka, na której czele stał profesor Lach Szyrma, pogasiła światła, wywróciła stół, służący za mownicę i wtedy burza zwróciła się już przeciw klubowi. „Precz z klubistami — wołano zewsząd — klub niepotrzebny, niech przepadną zapaleńcy“. Tak zabił Mochnacki swojem postępowaniem gwałtownem rzecz, która — pokierowana rozumnie — mogła dla sprawy narodowej być pożyteczną i zbawienną. On jednak, wszedłszy raz na tę drogę błędną, zaślepiony i namiętny, nie był w stanie się upamiętać. Nazajutrz dosiadł więc konia, obiegł całe miasto, podburzając żołnierzy i oficerów, wreszcie udał się do szkoły podchorążych i jął ją namawiać, aby szła do Banku i rozstrzelała Lubeckiego. Poczciwa i patryotyczna młodzież nie mogła się oprzeć wymowie Mochnackiego, nabiła karabiny i ruszyła na Leszno. Tu przypadkiem spotkał idących Wysocki a — dowiedziawszy się dokąd zmierzają — powstrzymał ich od rozpaczliwego przedsięwzięcia. Już wtedy rozeszła się była po mieście wiadomość o wczorajszych wypadkach w klubie i poruszyła żywo umysły. Chłopicki nieposiadał się z oburzenia i chciał złożyć naczelne dowództwo. Zaledwie członkowie rządu zdołali gniew jego cokolwiek zahamować, kiedy nadszedł generał Krukowiecki. Odebrał on był w dniu 2. grudnia dwa rozkazy, jeden od generała Kuruty, szefa sztabu wielkiego księcia, aby natychmiast z 1-szym i 6-tym pułkiem zbliżył się do Warszawy od strony Mokotowa, drugi w imieniu Chłopickiego od pułkownika Kickiego, aby jak najspieszniej stawił się ze swoją dywizyą w stolicy.[1]) Krukowiecki, niezwlekając ani chwili, wydał gorącą odezwę do żołnierzy, posłał rozkaz Giełgudowi i z największym pospiechem ruszył do Warszawy. Tymczasem Chłopicki, po odejściu wielkiego księcia, a więc najprędzej 3. grudnia, zmienił swoje rozporządzenia i polecił,[2]) aby wojska pozostały na tych stanowiskach, które w tej chwili zajmowały. Czy rozkaz taki był rzeczywiście wydany, nie wiemy, prawdopodobnie Krukowiecki go nieotrzymał i — przybywszy z wojskiem swojem do stolicy — udał się do rządu. Chłopicki, rozdrażniony, wpadł na niego obcesowo, zaczął mu wyrzucać niesubordynacyą, a gdy Krukowiecki — także gorączka — niepoczuwając się do winy, odpowiedział hardo, naczelny wódz krzyknął: „Rozkazuj, kiedy chcesz, ja od wszystkiego ręce umywam“, poczem padł na ziemię i pienić się zaczął. Przywołany lekarz Wolff puścił mu natychmiast krew i położył do łóżka. Wieść o chorobie niebezpiecznej Chłopickiego obiegła lotem błyskawicy Warszawę i pokryła całe miasto żałobą, a że przyczynę choroby naczelnego wodza przypisywano powszechnie temu, co się w klubie stało, więc oburzenie ludu zwróciło się przeciw Towarzystwu patryotycznemu, szczególniej zaś przeciw Mochnackiemu. Rzucono się za nim, zaczęto go szukać po mieście, aż ścigany, życia niepewny, musiał szukać schronienia w Banku, u znienawidzonego przez siebie Lubeckiego. Tam zetknęli się obaj nieprzyjaciele, reprezentanci dwóch sprzecznych kierunków politycznych i —

[1]) Obarozkazy u K. Forstera: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831.“ Str. 4 i 5. — Porów. z tem „Opowiadania“ Barzykowskiego. T. I, str. 400.

[2]) Tak twierdzi Barzykowski.

po długiej w nocy rozmowie — rozstali się, niepogodzeni wprawdzie, ale wzajemnie sobą olśnieni. Lubecki był w największej dla Mochnackiego admiracyi, powtarzał raz po razu: „To człowiek, jakie zdanie, jakie przenikliwe widzenie! jak głębokie pojęcie! nie znałem go“,[1]) Mochnacki zaś nazwał Lubeckiego „niepospolitym człowiekiem“, ale nie Polakiem. Obaj zniknęli też równocześnie z widowni: Lubecki pojechał do Petersburga, Mochnacki w Lubelskie, ale działalność ich pozostawiła niezatarte po sobie ślady i wywarła wpływ niepośledni na losy powstania.

Pierwszy Chłopicki, wypadkami dni ostatnich osobiście dotknięty, świeżo awanturą z Krukowieckim do wściekłości doprowadzony, a przywykły do karności i bezwzględnego posłuszeństwa, skoro tylko się cokolwiek opamiętał i do zdrowia powracać zaczął, wziął postanowienie śmiałe, z usposobieniem swojem zgodne, ale zupełnie niespodziewane. Zrana dnia 4. grudnia zaprosił do siebie Niemcewicza, wylał przed nim całą swoją gorycz na rząd, klubistów, Lelewela i Krukowieckiego, oświadczył, że komendę z powodu tych wewnętrznych niesnasek złożył, a gdy Niemcewicz uspokajać go zaczął, rzekł po dłuższem milczeniu: „Napisz proklamacyą do wojska, że dyktatorem się ogłaszam“. Uradowany Niemcewicz ułożył natychmiast odezwę, a Chłopicki, przywoławszy adjutanta, kazał ją w rozkazie dziennym umieścić. Czy na to jego nagłe postanowienie inne jeszcze wpływały pobudki oprócz przeświadczenia, że — biorąc władzę nieograniczoną w swoje ręce — niesforne żywioły opanuje, porządek zachwiany utrzyma i działaniu rządu nada więcej mocy i powagi, trudno z sprzecznych wiadomości o powstaniu dyktatury wywnioskować. Pewnem jest to, że wszyscy uznawali potrzebę silnej władzy i że Rząd tymczasowy nadzieje narodu pod tym względem zawiódł. Dyktatura była więc, że się tak wyrazimy, w powietrzu i nie trzeba było wielkiego wysilenia umysłu, aby myśl tę odgadnąć.

Wpadł na nią Chłopicki, bo odpowiadała zupełnie jego wyobrażeniom i jego charakterowi, ale jak zwykle nieobliczalny w swoich postanowieniach, uczynił to obcesowo, bez porozumienia się z rządem, bez zasięgnięcia czyjejkolwiek rady. Rząd, uwiadomiony o fakcie dokonanym przez Niemcewicza, zdziwił się wprawdzie, lecz — mając na względzie potrzeby powstania i niesłychaną w tej chwili popularność Chłopickiego — wystosował do niego pismo, w którem udzielał mu władzy dyktatorskiej nad wojskiem. Dekret rządowy nie odpowiadał zamiarom generała i był właściwie powtórzeniem tego, co się stało dnia 30. listopada, kiedy Rada administracyjna oddała naczelne dowództwo nad wojskiem Chłopickiemu. Głównodowodzący bowiem posiada z natury rzeczy już władzę wojskową nieograniczoną i żadna dyktatura powiększyć jej nie może. Nie tego też pragnął Chłopicki i nie tego potrzebował. Z drugiej strony rząd nie chciał się pozbywać władzy cywilnej, bo w takim razie przestawał być rządem. Powstała więc kolizya i starcie nieuniknione. Chłopicki w generalskim mundurze, otoczony świetnym sztabem, wpadł do sali rządowej, przysłaną sobie nominacyą rzucił na stół i zawołał: „Nie potrzebuję niczyjej

[1]) Lelewel: „Polska, dzieje i rzeczy jej.“ T. VII, str. 172.

nominacyi, ja sam biorę nieograniczoną władzę i sprawować ją będę, dopóki sejm nie zgromadzi się, a biada temu, ktoby śmiał być jej nieposłusznym". Zanim jeszcze zdumieni i zakłopotani członkowię rządu zdołali się opamiętać, on dosiadł konia i udał się na plac Marsowy, gdzie go wojsko, straż akademicka pod dowództwem profesora Szyrmy, jakoteż tłumy ludu powitały grzmiącym okrzykiem: „Niech żyje Chłopicki!" Stanąwszy w utworzonym przez wojsko czworoboku generał, przemówił gorąco do szkoły podchorążych i akademików, ludowi i wojsku podziękował za okazane męstwo i miłość ojczyzny i skończył słowami: „Biorę dyktaturę, jestem dyktatorem i pytam się, czy lud i wojsko zatwierdzenie mi daje?" — na co tysiączne głosy odpowiedziały: „Niech żyje dyktator!" — on zaś, gdy okrzyki umilkły, odkrył głowę i zawołał: „Niech żyje ojczyzna!"

Była to piękna i podniosła chwila, piękniejsza od tej, kiedy Bonaparte w St. Cloud rozpędzał bagnetami izbę poselską i na gruzach republiki wznosił tron konsularny, ale tam, po zamachu stanu, nastąpiło Marengo, tu po „jednomyślnej elekcyi" na polu Marsowem — układy i pogrom narodu.

Sejm. — Druga dyktatura Chłopickiego. — Układy. — Ustąpienie Chłopickiego. — Detronizacya Mikołaja. W pięć dni później zjawił się u dyktatora dawny jego znajomy z czasów napoleońskich, podpułkownik szwoleżerów gwardyi, Dezydery Chłapowski,[1]) który na pierwszy odgłos powstania — omyliwszy czujność straży pruskich, pilnujących go w dziedzicznym majątku, Turwi — pospieszył do Warszawy, aby siły i doświadczenie swoje ofiarować na usługi ojczyzny. Przed starym towarzyszem broni spowiadał się Chłopicki ze swoich zamiarów i przekonań otwarcie. „Nie możemy bić się z Moskwą — mówił — nie poradzimy; ale otrzymamy od cesarza warunki, które nam podadzą na przyszłość możność korzystania z pierwszej sposobności. Cesarz jest w takiem położeniu, że przystać musi na moje propozycye" — i wywodził dalej, że będzie żądał pozwolenia na formowanie rezerw, 500.000 karabinów, 500 armat w arsenałach, a „wtedy — dodawał — gdy rewolucya dojrzeje, będzie można dokonać tego, co dziś jest niepodobne". W tej naiwności bezgranicznej, która mogła powstać tylko w umyśle dziecka lub człowieka, niemającego najmniejszego pojęcia o dyplomacyi i polityce, zawierało się całe wyznanie wiary i niezmienne przekonanie Chłopickiego.

Naprożno Chłapowski, „jakby zimną wodą oblany", przekładał, że Mikołaj układać się nie będzie, że o takich warunkach mówić sobie nie da i że dla ich uzyskania właśnie pomnożenie sił zbrojnych do stu tysięcy jest koniecznem, dyktator wołał: „Co mi ty gadasz, przymaszeruje ich trzysta tysięcy. A wiesz co, gdybyśmy mieli trzykroć, a oni tylko sto, jeszcze nas pobiją". Z takiem usposobieniem, z taką niewiarą w siły narodu niepodobna było myśleć o zwycięstwie. Jakoż nie myślał o niem wcale Chłopicki i kiedy wszystko, co żyło w kraju, na pierwszą wiadomość o powstaniu w Warszawie rzuciło się do broni, kiedy zapał niesłychany ogarnął całe społeczeństwo, jeden dy-

[1]) Ks. Walery Kalinka: „Jenerał Dezydery Chłapowski". W Poznaniu, 1885.

Bitwa pod Stoczkiem.
(Podług obrazu Juliusza Kossaka.)

ktator, ten, w którym wszystkie pokładano nadzieje, pozostał chłodny i obojętny, a tym, co go do uzbrojeń zachęcali, odpowiadał: „Po co to wszystko? Jeżeli cesarz nie przyjmie moich propozycyj i zechce nas z orężem w ręku przymusić do poddania się, broni mu nie złożę, ale umrzemy z honorem. Po-

łowa będzie się musiała przeprawić przez Wisłę, będę więc z połową tylko miał do czynienia. Wystawię kilka twierdz polowych na pół wystrzału od miasta i między wałami a twierdzami stać będę. Gdy się Moskale zmordują dobywaniem twierdz, wypadnę z całem wojskiem na jednym punkcie i dam im dobrego kułaka".

O ten kułak i o to, aby tylko „po neapolitańsku" — jak się wyrażał — nie skończyć, chodziło mu głównie, o resztę nie troszczył się wcale. Dlatego polecił pułkownikowi Kołaczkowskiemu zająć się obwarowaniem Pragi i Warszawy, jakoteż naprawą i wzmocnieniem zaniedbanych i przez czas zniszczonych fortyfikacyj Modlina, ale nie uważał nawet za potrzebne sprowadzić z Zamościa, gdzie 260 armat stało bezużytecznie do końca kampanii, stosownej liczby artyleryi. Również i co do uzbrojenia przedsięwziął środki albo nieodpowiednie albo niedostateczne. Kazał wprawdzie tworzyć z wysłużonych żołnierzy i oficerów trzecie i czwarte bataliony, w pułkach konnych piąte szwadrony, pozwolił wreszcie na uformowanie nowych szesnastu pułków piechoty i tyluż jazdy, lecz zarazem oddzielił żołnierzy starych od nowych i przez to zwichnął całą organizacyą w zasadzie. Dla powstania — dla ruchawki, jak ją z lekceważeniem nazywał — mianował regimentarzy, ludzi po większej części wojskowo niezdolnych, którzy z mocy przysługującej im władzy natworzyli mnóstwo nieprzebrane oficerów,[1]) a ci znowu, nie mając ani wyobrażenia o wojskowości, ani miejsc w pułkach, zbijali bruk w stolicy, lub po kawiarniach (u słynnej Honoratki) zabawiali się klubową polityką. Może być, że te błędy dyktatora mniejby się uczuć dały pod kierunkiem zdolnego i energicznego ministra wojny. Ale i pod tym względem nie miał Chłopicki szczęśliwej ręki. Ogłosiwszy się dyktatorem, mianował on nie ministrów wprawdzie, bo to było atrybucyą władzy królewskiej, lecz zastępców ministrów. Lelewelowi przeznaczył oświecenie, Bonawenturze Niemojowskiemu sprawiedliwość, Andrzejowi Zamoyskiemu sprawy wewnętrzne, skarb L. Platerowi, ministerstwo wojny zaś powierzył jednemu z najnieudolniejszych generałów, Izydorowi Krasińskiemu. A jak gdyby się uwziął na to, aby wszystko robić na wspak, wprowadził rozstrój w administracyą wewnętrzną kraju i gdy Rada administracyjna jeszcze powołała do życia Rady obywatelskie, on dodał komisarzom obwodowym po trzech obywateli dla kontroli i pomocy i stworzył w ten sposób zamiast sprężystej, władzę ociężałą, niezdolną do szybkiego działania. Rozstroiwszy tak i rozluźniwszy machinę rządową, wziął się Chłopicki do polityki i wierny swoim poglądom, a w uporze nieprzełamany, postanowił wysłać do Petersburga deputacyą dla wyjednania wymarzonych w swojej głowie warunków. Próżno byłoby dociekać, kto dyktatora natchnął nieszczęśliwą myślą układów. On sam od początku pokładał tak mało zaufania w siły narodu i insurrekcyi, że do negocyacyj z carem żadnej chyba nie potrzebował zachęty. W tem mniemaniu utwierdzał go zapewne Lubecki, może za pośrednictwem Tomasza Łubieńskiego, bo cała rodzina Łubieńskich była oddana Lubeckiemu, a Tomasz, jako towarzysz broni Chłopickiego z czasu wojen napoleońskich, szczegól-

[1]) Ledóchowski w jednym pułku Krakusów mianował dziesięciu majorów.

niejsze posiadał względy dyktatora. Innego zdania był Czartoryski. On uważał wysłanie deputacyi do Petersburga za formalność potrzebną, względami przyzwoitości wskazaną, ale żadnych sobie stąd nie obiecywał skutków. „Czasy Aleksandra — tak mówił na posiedzeniu rządu, gdy o układach radzono — już przeminęły dla Polski, Mikołaj dla niej nic nie zrobi. Gdyby nawet z początku czynił jakieś obietnice i nadzieje, te będą obłudne i nieszczere, jedynie wcelu zyskania czasu i możności zgromadzenia sił wojskowych, lub rzucenia między nas niezgody. Kiedy ten cel będzie osiągnięty, nic się nie zrobi, wszystko zerwane zostanie i cesarz z dumą, Moskwie właściwą, bezwarunkowego poddania się zażąda“.

Tak zapatrywał się na układy człowiek, znający na wskroś tajniki dyplomacyi rosyjskiej, zanadto trzeźwy, aby się łudzić, zanadto sumienny, aby naród zachęcać do walki nierównej. Ale właśnie dlatego, że widział rzeczy jasno, więc na układach żadnej nie budował nadziei i doradzał po wysłaniu deputacyi całą usilność zwrócić ku uzbrojeniom, przygotować się na wojnę nieuniknioną. Rząd przychylił się wprawdzie do zdania swego prezesa, lecz dyktator inaczej rzecz rozstrzygnął. Opanowany jakimś niewytłumaczonym obłędem, spodziewał on się, niewiadomo na jakiej podstawie, rewolucyi w Rosyi, to znów najwidoczniej ulegał argumentom Lubeckiego, który zapewniał z właściwą sobie nieomylnością, że „Jego cesarzewiczowska Mość, mając ułatwione wyjście honorowe z gwardyą, będzie, jak obiecał, pośrednikiem między narodem i królem; bo ma dobre serce i kocha nas.“ Więc gdy po umowie w Wierzbnie wojska rosyjskie w największym popłochu, głodne, z litości przez obywateli polskich po drodze karmione, uchodziły za Wisłę ku granicom cesarstwa, troszczył się Chłopicki głównie o to, aby im w tej ucieczce nikt nie przeszkodził i odpychał z oburzeniem wszelką myśl zatrzymania i rozbrojenia gwardyj rosyjskich, a Lubecki był na tyle naiwnym, że namawiał Konstantego, aby stanął na czele wojska polskiego i ogłosił się królem polskim.[1]) W tem zaślepieniu obaj do współki przeprowadzili oni swoje zamiary i dnia 10. grudnia została wysłana deputacya do Petersburga. Wiele zależało na wyborze osób, które to poselstwo sprawować miały. Pierwszy nastręczał się Lubecki, a że w zręczność jego i wpływy u dworu wierzono tak jak w energią i dzielność Chłopickiego, więc pod tym względem nie było różnicy w zdaniach. Na towarzysza przeznaczano mu z początku Władysława Ostrowskiego i to był wybór najtrafniejszy. Ponieważ jednak Ostrowski miał zostać marszałkiem sejmu, więc sam Lubecki przedstawił na członka deputacyi Jana Jezierskiego, człowieka słabej głowy i małego serca, i jego przyjęto. Jeżeli sam skład poselstwa niewielkie mógł wzbudzać nadzieje, to za to miały instrukcye, dane deputacyi, określić wyraźnie życzenia narodu.

Ułożono najpierw raport do cesarza, wyjaśniający przyczyny powstania i sformułowano żądania w czterech punktach: 1. ogólna amnestya; 2. gwarancya co do dochowania nietykalnie nadanej konstytucyi; 3. usunięcie wojsk rosyjskich z królestwa i 4. przyłączenie prowincyj

[1]) K. Forster: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831.“ Str. 39.

polskich. Ostatniemu żądaniu, jako niepodobnemu do spełnienia dla Mikołaja, oparł się stanowczo dyktator i w liście swoim do cesarza przemilczał o niem zupełnie. Popełniono w ten sposób błąd wielki, bo dano nieprzyjacielowi do zrozumienia, że Polacy w najważniejszej kwestyi są między sobą niezgodni, że nie wiedzą na dobre, czego mają żądać i że zatem układy z nimi nie przedstawiają gwarancyi uspokojenia kraju.

W tydzień po odjeździe deputacyi zebrał się sejm. Sesya była niesłychanie ważna, bo izby miały wypowiedzieć zdanie swoje o powstaniu, określić cel jego i istotę, wreszcie ustanowić rząd, gdy dyktatura — według odezwy Chłopickiego — z chwilą rozpoczęcia sejmu dobiegała swego kresu. Posłowie zebrali się już na kilka dni przed terminem i odbywali poufne narady. Wszyscy zgadzali się na to, że w tem położeniu, w jakiem się naród polski znajdował, najodpowiedniejszą jest władza absolutna, ale jedni chcieli dyktatury, drudzy pragnęli ustanowić namiestnika królewskiego. Różnica w istocie nie była wielka, a za dyktaturą przemawiało to, że piastował ją dotąd Chłopicki, jedyny — podług powszechnego przekonania — zdolny dowódzca. że on wreszcie zagaił układy z Petersburgiem i jemu wypadało je ukończyć. Tak przemogła myśl dyktatury, ale zarazem postanowiono z Chłopickim się porozumieć. W tym celu wysłano do niego deputacyą, z senatorów i posłów złożoną. Miała ona u dyktatora dwa posłuchania: na pierwszem (dnia 15. grudnia) oświadczył Chłopicki, iż nie przyjmie innej władzy jak nieograniczoną, bo dzisiaj taki tylko rząd pojmuje, na drugiej, na zapytanie Czartoryskiego o sposób polityczny widzenia rzeczy, odpowiedział: „Nie mam innych widoków, nadziei i zamiarów, jak tylko kongresowe królestwo w całości utrzymać, ale utrzymać z całą niepodległością, jaką mu traktaty i konstytucya zawarowały. Będę żądał, aby odtąd konstytucya nie była literą martwą, ale w całej świętości zachowaną została, będę się domagać, aby wojska rosyjskie w królestwie nie konsystowały, bo to da większe znamię i gwarancyą naszej niepodległości. Tego wszystkiego zażądam i otrzymać muszę. Prędzej dam się zabić, niżeli od tego odstąpię, lecz nic więcej nie obiecuję, do niczego więcej nie obowiązuję się, bo nawet podług mego przekonania nic więcej żądać nie można. To jest moje wyznanie polityczne, takie moje przekonanie i przekonanie nieodmienne.“ Trzeba przyznać, że Chłopicki mówił otwarcie i szczerze i że rzeczą sejmu było po tem oświadczeniu jasnem głos zabrać, zdanie swoje wypowiedzieć i powstaniu nadać kierunek taki, jaki za najodpowiedniejszy uważał. Sejm postąpił jednak zupełnie inaczej. Nie zniósłszy się z dyktatorem w sprawie otwarcia sesyi, odbył dnia 18. grudnia pierwsze posiedzenie, obrał marszałkiem izby poselskiej Władysława Ostrowskiego, a na wniosek Gustawa Małachowskiego uznał powstanie za narodowe i podziękował sprawcom jego i przewodnikom. Było to wszystko w oczywistej sprzeczności z wolą Chłopickiego i z jego programem politycznym i Lelewel miał słuszność, gdy mówił: „izba wielką psotę dyktatorowi wyrządziła“. Jakoż, skoro minęło pierwsze uniesienie, powstały pomiędzy posłami wielkie wątpliwości i za staraniem Barzykowskiego, który pragnął uratować sytuacyą, postanowiono, że sejm został wprawdzie otwarty, ale że ukonstytuowanie jego nastąpi dopiero 21. gru-

dnia, tak jak sobie życzył Chłopicki. Tym wybiegiem, nieodpowiadającym godności izby poselskiej, mniemano ułagodzić dyktatora i błąd popełniony naprawić.

Ale Chłopicki, pojmując znaczenie uchwał sejmowych, złożył natychmiast dyktaturę. Otwierała się tak dla sejmu najlepsza pora do wybrnięcia z kłopotliwego położenia, w jakiem go stawiały nieprzełamany upór i kaprysy dotychczasowego dyktatora. Sam Chłopicki podawał do tego sposoby, kiedy przez Mycielskiego ofiarował dyktaturę Kniaziewiczowi, mieszkającemu w Dreźnie i przyrzekał oddać się pod jego rozkazy. Rzecz ta nie musiała być tajemnicą, skoro o niej wiedział dobrze Barzykowski, a pomysł ten nazwać trzeba ze wszech miar szczęśliwym. Kniaziewicz miał sławę zasłużoną, wybitne zdolności wojskowe, charakter czysty i nieposzlakowany, a co najważniejsza może, mieszkając zagranicą, był obcym wszelkim walkom partyjnym, intrygom i pokątnym robotom, które tak szkodliwy wpływ na rozwój powstania wywierały. Doświadczenie jego i powaga, imponująca nawet Chłopickiemu, mogła powściągnąć niezgodę i zachwianą sprawę powstania na właściwe wprowadzić tory. Powołując Kniaziewicza na dyktatora, nietylko że nie tracono Chłopickiego, ale owszem zapewniano sobie jego współdziałanie. Tymczasem zamiast użyć tak prostego środka, sejm uderzył najpierw w pokorę, starał się przebłagać gniew eksdyktatora, a gdy to nie skutkowało, oddał mu napowrót dyktaturę (dnia 20. grudnia) z tą zmianą jedynie, że ustanowił deputacyą sejmową, niejako kontrolującą, lecz zupełnie prawie bezsilną władzę, u boku dyktatora. Dla ukoronowania zaś całego dzieła ogłoszono obszerny manifest, gdzie po wyliczeniu wszystkich krzywd, jakich naród polski doznał od carów, umieszczono ustęp, w głowę przeciwny całej polityce Chłopickiego i jego zamiarom. „Powstał naród polski — czytamy tam — z poniżenia i podległości, z męskiem przedsięwzięciem niepowrócenia więcej do więzów, które skruszył, niezłożenia oręża przodków, póki niewywalczy niepodległości i potęgi, jedynej swobody rękojmii, póki niezabezpieczy sobie tych swobód, których domagać się jako zaszczytnej puścizny przodków i naglącej potrzeby wieku podwójne ma prawo: póki nie połączy się z braćmi, ujarzmionymi przez dwór petersburski, z tego jarzma ich nie wyzwoli i swobód swoich, wolności i niepodległości uczestnikami nie uczyni“. Nastąpiło tak dziwne i niezrozumiałe dziś dla nas pomięszanie pojęć. Naród i jego przedstawiciele wypowiadali otwarcie zasadę niepodległości, oświadczali uroczyście, że dotąd nie złożą oręża, dokąd prowincye zabrane nie będą przyłączone do królestwa, a powierzali dla dopięcia tych celów nieograniczoną władzę temu, który je za niepodobne do osiągnięcia uważał, który zamykał się w granicach konstytucyjnego królestwa kongresowego i oświadczał najwyraźniej, że tego swego zapatrywania nie zmieni, a mimoto przyjmował dyktaturę na podstawie programu przez siebie potępionego i odrzuconego. Obie strony łudziły się. Chłopicki mniemał, że skoro uzyska warunki, postawione w Petersburgu, naród i sejm przyjmą je jako fakt dokonany; posłowie sądzili, że gdy przyjdzie do wojny, dyktator, porwany siłą wypadków, spełni swoją

powinność jako wódz i naczelnik narodu. Nikt jednak niezastanowił się nad tem, jak wielkie szkody dla sprawy narodowej wynikną stąd, że na czele powstania stać będzie człowiek insurrekcyi przeciwny, w siłę jej niewierzący i niesięgający ani myślą ani czynem poza Bug i Niemen.

Ogół ludności, nawet większość sejmu, były tak przejęte uwielbieniem dla Chłopickiego i wiarą w skuteczność jego dyktatury, że uchwała izby poselskiej wzbudziła radość i zapał niewypowiedziany, że lud wyprzągł konie od powozu dyktatora, aby go w tryumfie zawieść do mieszkania, że mu zgotowano owacyą taką, jakiej może żaden z bohaterów i ludzi zasłużonych w Polsce nie doznał. Naród czuł widocznie potrzebę silnej władzy, a gdy ona spoczęła w rękach wojownika, widział w niej rękojmią zwycięstwa i niepodległości. Usposobienie społeczeństwa — wbrew twierdzeniom niektórych historyków[1]) — było wyborne, ofiarność wielka, na pierwszej sesyi sejmowej złożono na cele publiczne 398.000 złotych polskich na pierwsze uzbrojenie, z prywatnych środków wydano 40,000.000 złotych polskich;[2]) Warszawa wystawiła własnym kosztem pułk strzelców pieszych, zwanych „Dziećmi warszawskiemi“, Zamoyscy pułk ułanów (5-ty), Wielkopolanie dwa szwadrony jazdy „poznańskiej“. Gorliwość obywatelska, przezwyciężając wszelkie przeszkody, dostarczała dla nowych zaciągów: koni, lanc, pistoletów, pałaszy i kulbak, mundurów było podostatkiem, pieniędzy w skarbie nie brakło, słowem ta jedna część Polski, zamożna wskutek dobrej administracyi i piętnastoletniego pokoju, gotowa była poświęcić wszystko dla odzyskania niezależności i wyzwolenia braci swoich z pod obcego jarzma. Ale z tego zapału i ofiarności nie umiano i nie chciano korzystać, dyktator z wiadomych już powodów, a inni dla zawisłości od niego. Chłopicki, skoro tylko otrzymał i przyjął dyktaturę, zajął się natychmiast ustanowieniem władz, rozwiązał Rząd tymczasowy, a na jego miejsce utworzył Radę narodową, która pod jego naczelnym kierunkiem miała sprawować czynności administracyjne i wykonywać rozporządzenia dyktatora co do powiększenia siły zbrojnej. W skład Rady weszli: książe Adam Czartoryski, marszałek Ostrowski, książe Michał Radziwiłł, Leon Dembowski i Barzykowski. Pierwszemu poruczono sprawy zagraniczne, drugiemu wydział sprawiedliwości i oświecenie, Radziwiłłowi wojskowość, Dembowskiemu skarb, a Barzykowskiemu sprawy wewnętrzne, uzbrojenie narodowe i dostarczanie wszelkich potrzeb dla wojska. Myśl ta nie była szczęśliwa. Obok ministerstw już istniejących bowiem powstawała nowa magistratura, wyposażona bardzo rozległym zakresem władzy, a w gruncie rzeczy zbyteczna. W chwili, gdy stan kraju i położenie narodu wymagało rządu jak najbardziej sprężystego, czynności rządowe rozpraszały się po rozmaitych wydziałach, których stosunek względem siebie nieokreślony czynił machinę administracyjną wielce ociężałą i do szybkiego działania niezdolną. Celem Chłopickiego było zapewne brzemię odpowiedzialności, złożone na jego barki, rozdzielić pomiędzy ludzi wpływowych, aby w ten sposób o ile możności uniknąć podejrzeń i oskarżeń. W tej myśli także mianował on ministrem sprawiedliwości Bona-

[1]) A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko-ruska 1831. roku.“ Warszawa 1899. Str. 26.
[2]) Barzykowski: „Opowiadania.“ T. II, str. 17.

wenturę Niemojowskiego, jednego z naczelników partyi kaliskiej, tekę spraw wewnętrznych oddał Tomaszowi Łubieńskiemu, do którego szczególniejsze miał zaufanie, a skarbowość poruczył Jelskiemu, prezesowi Banku, wychowanemu w szkole Lubeckiego i podobnemu jak on patryocie. Dokonawszy tej reformy administracyjnej, wysłał do Petersburga pułkownika Wyleżyńskiego z uwiadomieniem o objęciu przez siebie dyktatury.

Mikołaj otrzymał wiadomość o powstaniu w Warszawie dnia 5. grudnia, milczał jednak tak długo, dokąd się nierozstrzygnęły losy Konstantego i gwardyj rosyjskich. Dopiero kiedy cesarzewicz, dzięki nieopatrznej wspaniałomyślności Polaków, znalazł bezpieczne schronienie pod skrzydłami korpusu Rosena na ziemi litewskiej, wystąpił car otwarcie przeciw buntownikom, zgromadził w ujeżdżalni zimowej w Petersburgu szlachtę rosyjską, zażądał od niej nowej przysięgi na wierność i oświadczył, że nie złoży broni i nie spocznie, dokąd Polacy nie będą należycie ukarani. Okrzyk „hurra!“ towarzyszący słowom cesarskim, był wymowną odpowiedzią na sentymentalizm polskich polityków, którzy — marząc o braterstwie ludów słowiańskich — zapewniali w swoim manifeście, że niepowodują się „żadną nienawiścią przeciw Rosyanom, wielkiemu jak i oni szczepowi słowiańskiego rodu“, którzy na sztandarach swoich umieszczali zaszczytne hasła: „Za wolność naszą i waszą“. Zapewniwszy się tak o uczuciach szlachty, wydał Mikołaj manifest do narodu rosyjskiego, tchnący nieubłaganym duchem zemsty, wyniosły i groźny. Wspominając tam o warunkach, stawianych ze strony polskiej, odtrącił je z pogardą. „Wiedzcie Rosyanie — były jego słowa — że je z gniewem odrzucę i spodziewam się, że wasze serca, pałające przywiązaniem do tronu, zrozumieją zupełnie moje uczucia. Rosya potrafi przymusić do spokojności tych, którzy ośmielili się mięszać jej pokój i wszyscy gotowi jesteśmy ukarać to przeniewierstwo“. Łagodniej cokolwiek, ale w niemniej stanowczym tonie, wypadła odezwa do Polaków.[1]) Car żądał w niej: 1. Aby rosyjscy poddani uwięzieni natychmiast na wolność wypuszczeni byli; 2. aby Rada administracyjna zaraz powróciła do swoich obowiązków; 3. aby wszystkie władze jej tylko były posłuszne; 4. aby po odebraniu tej odezwy wszystkie korpusy wojska polskiego bezzwłocznie do Płocka wyruszyły, gdzie miejsce połączenia armii naznaczono; 5. aby nakazane nowe uzbrojenia natychmiast rozpuszczone zostały. Dla odjęcia zaś wszelkich illuzyj dyplomatom polskim, dodawał w końcu: „Jeżeli biorąc się do broni, pochlebiacie sobie w nagrodę swej zbrodni, otrzymać od nas jakąkolwiek koncesyą, to oświadczamy wam, wasze nadzieje będą próżne.“

W takich warunkach rozpoczynał Chłopicki układy z Petersburgiem i zaręczał, że uzyska znaczne dla królestwa korzyści, a Lubecki marzył o połączeniu ziem zabranych z Kongresówką! Ale złudzenia te miały prysnąć niebawem jak bańki mydlane. Pierwszy doznał rozczarowania Lubecki, kiedy na posłuchaniu u wielkiego księcia w Brześciu litewskiem zamiast dawnej uprzej-

[1]) Dnia 17. grudnia.

mości spotkała go surowa nagana i ostre wyrzuty, kiedy spostrzegł w Konstantym nie skłonność do pośredniczenia, jaką okazywał w Wierzbnie, ale raczej zamiar pobudzenia Mikołaja do zemsty i ukarania winnych, pomiędzy którymi w pierwszym rzędzie znajdował się on sam, minister skarbu. Z ciężkiem sercem pojechał więc dalej, do Narwy, gdzie z rozkazu cesarza zatrzymany, odebrał list od ministra Grabowskiego tej treści, że car może go przyjąć tylko jako swego ministra polskiego, a Jezierskiego w charakterze członka izby poselskiej. Była to ta sama taktyka, której niegdyś trzymał się Iwan Groźny i następcy jego względem posłów Rzeczypospolitej. Obaj niefortunni delegaci zastosowali się oczywiście do woli carskiej i dopiero wtedy pozwolono im jechać do stolicy. U rogatek petersburskich, gdzie stanęli d. 25. grudnia, czekał ich feldjeger i ten odprowadził ich do mieszkania. Tu byli trzymani jak gdyby pod strażą, nie mogli bez szczególnego pozwolenia nikogo przyjmować, a Jezierski dostał za opiekuna generała Benkendorfa, adjutanta cesarskiego i komendanta żandarmeryi, czyli inaczej: zostawał pod najściślejszym dozorem policyjnym.

Posłuchania rozpoczęły się natychmiast. Najpierw przywołano Lubeckiego. Jak go Mikołaj przyjął i co on mówił? niewiadomo, gdyż Lubecki pozostał w Petersburgu i sprawy ze swego poselstwa nie zdawał. Po nim przyszła kolej na Jezierskiego. Miał on trzy posłuchania u cara, a nadto bywał na obiadach i herbatach familijnych u dworu, widocznie podobał się Mikołajowi, bo jako człowiek płytkiego umysłu, stracił wobec majestatu cesarskiego i odwagę i rozum zupełnie i wbrew instrukcyom, jakie mu dano, bronił sprawy powierzonej sobie nieudolnie, brał się na wybiegi, usprawiedliwiał powstanie małodusznie, słowem nie stanął na wysokości zadania, był nie posłem, lecz suplikantem, wreszcie spisał memoryał, w którym cokolwiek śmielej i trafniej wyłożył rzecz całą. Mikołaj, rozważywszy wszystko, na ostatniem posłuchaniu oświadczył Jezierskiemu, że Polacy powinni się zastosować do warunków, ogłoszonych w manifeście z dnia 17. grudnia, a wtedy sprawa dobrze się zakończy, ofiar nie wiele padnie, a na ostatku dodał: „Spodziewam się, panie hrabio, iż jesteś kontent z mojego oświadczenia i że naród polski zastosuje się do moich życzeń i ty sam przywieziesz mi znowu jego submissyą. W każdym zaś razie spodziewam się widzieć ciebie tutaj z powrotem.“

Skutek poselstwa był więc jak najgorszy; car nieustąpił ani na krok od swoich żądań, wymagał bezwarunkowego poddania się, a za to obiecywał nie amnestyą, nie zachowanie konstytucyi, lecz pewną wyrozumiałość w ukaraniu winnych. „Niech się na mnie spuszczą, a będą szczęśliwi. Słowa monarchy czującego czem jest honor, mają swoją wagę“, dopisał ołówkiem na memoryale Jezierskiego, o przyłączeniu zaś ziem zabranych do królestwa rzekł, że to rzecz niepodobna, bo on nie może czynić dobrze jednemu krajowi z ujmą drugiego, potężniejszego, do którego sam należy. Wszystkie warunki zatem, jakie przywiózł Jezierski, zostały odrzucone i naród polski miał się zdać na łaskę, ufając tylko gołosłownym i zupełnie nieokreślonym obietnicom cesarskim. A jednak Jezierski — i to daje najlepszą miarę jego inteligencyi — powracał z Petersburga zadowolniony w przekonaniu, że wielkich rzeczy dokonał, że

Polskę od zguby uratował, po drodze zaś rozpuszczał przerażające wieści o potędze rosyjskiej, o mnogości wojsk, które na poskromienie powstania zewsząd spieszyły i tą gadatliwością swoją demoralizował słabsze umysły, a patryotów doprowadzał do takiego oburzenia, że w Zegrzu oficerowie z dywizyi. Krukowieckiego zamierzali go wrzucić do Narwi i tylko przytomność i energia generała uchroniła niefortunnego posła od styczniowej kąpieli.[1]) Wreszcie nadjechał oficer od dyktatora z rozkazem, aby Jezierski jak najściślejsze zachował milczenie. Odprowadzony do rogatek warszawskich, przybył tu dnia 13. stycznia 1831. roku w nocy i nazajutrz zrana miał u Chłopickiego posłuchanie, na którem zdał sprawę z poselstwa. To, co powiedział, nie było już rzeczą nową. Na tydzień przedtem bowiem powrócił z Petersburga Wyleżyński i przywiózł trzy listy urzędowe, a jeden prywatny od Lubeckiego z temi samemi warunkami, jakie Mikołaj podyktował Jezierskiemu. Chłopicki zwołał wtedy Radę narodową, odczytał jej pisma nadesłane i zapytał stanowczo: „Czy jesteście za zastosowaniem się do woli cesarza i króla, lub też za wojną?“ Na to zabrał głos Czartoryski i rzekł: „Jeżeli wszelkie środki honorowego, godnego i korzystnego traktowania są już wyczerpane i tylko poddanie się ma pozostać, natenczas niema ani kwestyi, ani wyboru. Jedna droga pozostaje, droga powinności i honoru. Weźmijmy się do broni i z bronią w ręku szukajmy niepodległości lub śmierci“.

Do zdania Czartoryskiego przychylili się wszyscy członkowie Rady, jeden dyktator tylko inaczej rzeczy pojmował, a widząc tak znaczną większość przeciw sobie, oświadczył, że sejm zwoła, aby on rozstrzygnął, czy ma być wojna czy pokój? Jakoż tego samego dnia jeszcze ogłoszono uniwersał, zwołujący izby na dzień 17. stycznia. A jednak w głębi duszy Chłopickiego kryły się inne uczucia. Odczytawszy Chłapowskiemu list, w którym car dziękuje dyktatorowi za utrzymanie porządku w królestwie i nakazuje koncentracyę wojska polskiego w Płocku, rzucił go z gniewem na ziemię, mówiąc: „Co, on sobie myśli, że ja dla niego, a nie dla kraju utrzymuję porządek? Żartuję ja sobie z cesarza“, poczem list podniósł z ziemi i wrzucił w ogień. Szlachetne oburzenie trwało jednak u niego tylko chwilę; w kilka dni później, po złożeniu dyktatury, mówił znowu do Chłapowskiego: „Nie poprowadzę ja mego narodu na rzeź, ale jako żołnierz wezmę karabin w ręce i bić się będę jak każą; inny odpowiedzialność dowództwa niech weźmie na siebie“. Widocznie w tym umyśle, bądź co bądź podniosłym i prawym, toczyła się zawzięta walka pomiędzy uczuciem i zimnym rozsądkiem, aż odniósł zwycięstwo ostatni, posiłkowany przez rutynę wojskową, nad szlachecką fantazyą i sercem polskiem. Ostatnie posiedzenie Rady narodowej obudziło w Chłopickim nowe wątpliwości. Czuł on cały ogrom odpowiedzialności, jaki spadał na niego, więc zwoływał sejm, aby „reprezentanci narodu wyrzekli względem dalszych sposobów zabezpieczenia bytu narodowego i obmyślenia stosownych do tego celu działań“, sam zaś rozkładał mapy, zwoływał rady wojenne, przyspieszał organizacyą trzecich batalionów i 5-tych i 6-tych szwadronów, nieudolnych

[1]) K. Forster: „Powstanie narodu polskiego“ (własnoręczna notatka Krukowieckiego). Str. 13.

regimentarzy po województwach zastąpił generałami, ba! pozwalał nawet na nawiązanie stosunków z obywatelstwem litewskiem i żmudzkiem. Były to środki wprawdzie spóźnione cokolwiek, ale zawsze pożyteczne. Wśród tego nadjechał z Petersburga Jezierski, złożył sprawozdanie dyktatorowi, a ten natychmiast zaprowadził go na posiedzenie Rady i tam zagaił nad relacyą posła rozprawy. Członkowie Rady, nie wdając się w długie dyskusye, sądzili, że należy rzecz całą oddać pod rozwagę sejmu i na tem stanęło. Ale po Radzie przyszła kolej na deputacyą sejmową, która dotąd była bezczynną. I ona zażądała posłuchania u dyktatora. Chłopicki — tak jak poprzednio — wypowiedział zdanie swoje otwarcie; oświadczył, że wojny Polsce nie życzy, bo „wojska mamy 37.000, a Moskwa w 150.000 ku nam ciągnie“ i że rzecz przez układy „za pośrednictwem rządu pruskiego“ kończyć trzeba. Na tem tle wszczęła się dyskusya; członkowie deputacyi starali się przekonać dyktatora, on zaś silnie stojąc przy swojem zdaniu, wpadał w coraz większy zapał, wreszcie Czartoryski, chcąc koniec położyć sporom, uczynił wniosek, aby dyktator — jeżeli już żadną miarą dotychczasowej władzy zatrzymać nie chce — zachował naczelne dowództwo nad wojskiem. Chłopicki i na to się nie zgadzał. „Nie, nie — wołał on — wodzem nie będę, bo pobitym być nie chcę“.

Wtedy Ledóchowski, człowiek równie gwałtownego charakteru, zniecierpliwiony uporem dyktatora, a nie wiele liczący się z słowami, krzyknął: „Ale być musisz, bo my ci rozkazujemy.“ Tyle było potrzeba, aby Chłopickiego w szaloną wprowadzić furyą. „Nie będę — wrzasnął — szelmą będę, jeżeli przyjmę dowództwo od sejmu“. „Musisz się bić — uderzając pięścią w stół, krzyknął jeszcze mocniej Ledóchowski — jeżeli nie jako wódz, to jako żołnierz, bo sejm ci każe, a jeżeli nie wypełnisz rozkazu, to sejm cię za tchórza, za zdrajcę ogłosi“. Na to dyktator, tupiąc nogami, jednem uderzeniem pięści wywalił drzwi i upadł na ziemię, wołając zapieniony: „Będę się bił, będę, lecz i ty Ledóchowski będziesz także musiał się bić“. Posłuchanie było skończone; wojsko polskie w chwili najkrytyczniejszej straciło najlepszego, acz kapryśnego do śmieszności wodza.

Wieść o tem zajściu przykrem i niespodziewanem obiegła wkrótce Warszawę i dała powód do nowych zawikłań. Upór Chłopickiego i układy nawiązane z Petersburgiem, wywołały już od dłuższego czasu w szerokich kołach niezadowolenie i nieufność do dyktatora. Ci wszyscy więc, którzy z polityką jego się nie zgadzali i na bezczynność narzekali, zaczęli za nowymi oglądać się ludźmi i zrazu nieznacznie, potem coraz głośniej przeciw Chłopickiemu konspirować. Odbywały się burzliwe narady w dwóch znanych wtedy w Warszawie kawiarniach, u „Marysi“ i u „Honoratki“, skąd agitacya przeniosła się pomiędzy lud, na ulicę. Powstawały zbiegowiska, na latarniach pojawiły się kartki z napisem: „Precz z generałem Chłopickim, niech żyje dyktator Lelewel!“ Wreszcie pułkownik Dobrzański doniósł dnia 11. stycznia dyktatorowi, że istnieje przeciw niemu spisek, w którym biorą udział nawet wojskowi, mianowicie saperzy, i wymienił nazwiska. Na podstawie tego doniesienia kazał Chłopicki aresztować Lelewela, Bronikowskiego,

J. B. Ostrowskiego i Fr. Grzymałę, ale sprawa — na wniosek Niemojowskiego odesłana do sądu kryminalnego — spełzła na niczem, zwłaszcza, że w kilka dni po tem zaszły wypadki, co tylko opowiedziane, i Chłopicki z dyktatury ustąpił. Brak wodza i rozprzężenie stąd wynikające, napełniły wszystkich patryotów smutkiem i obawą. Najpilniejszem wydawało się w tych okolicznościach opatrzenie dowództwa nad wojskiem, ale była to rzecz właśnie najtrudniejsza.

Nie brakowało wprawdzie armii polskiej na generałach, wykształconych w szkole napoleońskiej, nie zbywało na zdolnych oficerach, jak tego wojna następna dowiodła, ale ostatni byli jeszcze nieznani, a pierwsi, bądź wiekiem pochyleni, bądź przywykli tylko do spełniania rozkazów naczelnego wodza, nie mieli ani talentów odpowiednich, ani doświadczenia w prowadzeniu wielkich operacyj wojennych, wszyscy zresztą nie wierzyli w siłę i powodzenie powstania i wojnę z Rosyą uważali za szaleństwo.[1]) Trzech pomiędzy nimi stanowiło wyjątek, mianowicie: Dwernicki, Krukowiecki i Szembek. Pierwszy dowiódł pod Stoczkiem, Nową Wsią, Kurowem i Boremlem, co może śmiałość i męstwo, ostatni na pierwszą wieść o powstaniu połączył się natychmiast z narodem. Krukowiecki nareszcie, rangą najstarszy, miał wiadomości o zamierzonem powstaniu i ułożył cały plan działania, który, gdyby był wykonanym, mógł sprawę narodową na pomyślne wprowadzić tory i jeżeli nie zwycięstwo, to przynajmniej znaczne korzyści zapewnić orężowi polskiemu.[2]) Ale właśnie ci generałowie, popularni i czynni, nie byli w stanie pozyskać sobie zaufania w sferach rządowych i — bądź usunięci ze służby, bądź użyci w sposób nieodpowiedni — zmarnowali energią swoją i zdolności. Najwięcej nieprzyjaciół miał Krukowiecki z powodu swego gwałtownego i niezależnego charakteru. Najniesłuszniej w świecie odmawiano mu odwagi i zdolności, posądzano — z powodu znanego zajścia z Sokolnickim — o pokątne intrygi, wreszcie ogłoszono zdrajcą bez dowodów, lub jakichkolwiek śladów istoty tak zbrodniczego i haniebnego czynu.[3])

W rzeczywistości miała się rzecz inaczej. Krukowiecki pochodził z Galicyi, służył początkowo w wojsku austryackiem w stopniu oficera, wstąpił później do armii Księstwa warszawskiego, odznaczył się — będąc majorem — w wojnie z Austryakami w roku 1809., w kampanii moskiewskiej był rannym przy szturmie na Smoleńsk, brał udział w bitwie lipskiej jako generał brygady i został przez generała Dąbrowskiego zalecony królowi saskiemu do krzyża komandorskiego za znaczne usługi w wojnie w roku 1813. położone.[4]) Pierwej jeszcze Zajączek, w którego dywizyi służył Krukowiecki, przedstawił go Napoleonowi, jako oficera niepospolicie uzdolnionego, pełnego nieustraszonej odwagi.[5]) Wobec tego dziwić się nie można, że w chwili tak ważnej jak

[1]) Barzykowski: T. II, str. 275.

[2]) K. Forster: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831". T. III, str. 1.

[3]) Obrony Krukowieckiego podjął się major sztabu głównego Karol Forster w przytoczonem już dziele („Powstanie narodu polskiego 1830—1831"), zawierającem ważne dokumenta.

[4]) K. Forster: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831" (List Dąbrowskiego). XXXIV.

[5]) K. Forster: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831" (List Zajączka). — Porów. z tem: Barzykowski: T. II, str. 141.

obecna, zwłaszcza po ustąpieniu Chłopickiego, gorętsi patryoci zwrócili oczy swoje na Krukowieckiego, który — rangą najstarszy — znany z energii i patryotyzmu, wydawał się najodpowiedniejszym na naczelnego wodza sił zbrojnych. Skoro tylko rozeszła się po Warszawie wiadomość o awanturze Chłopickiego z Ledóchowskim, pchnął natychmiast Józef Szymanowski sztafetę do Zegrza,[1]) zaklinając listownie Krukowieckiego, aby przybył do stolicy i objął naczelne dowództwo i podając mu cały plan działania. Podług tego miał generał zażądać od rządu komendy nad wojskiem, lecz oświadczyć zarazem, że gotów jest oddać dowództwo Kniaziewiczowi, „gdyby tu był, lub gdy przybędzie“. „Przybywaj generale — tak kończył swój list Szymanowski — niech cię Bóg prowadzi, ratuj naszą ukochaną ojczyznę“.

Myśl Szymanowskiego, acz spóźniona, była z wielu względów trafna, dla przyszłych losów powstania nawet zbawienna, usuwała bowiem stanowczo kombinacyą z Chłopickim, kładła koniec jego kaprysom i kunktatorskiej polityce, a natomiast stawiała dwóch ludzi, wolnych od złudzeń, czynnych i energicznych. Jeżeliby rząd i sejm — jak to w tych warunkach z góry można było przewidzieć — odmówił naczelnego dowództwa Krukowieckiemu, pozostawał Kniaziewicz, najodpowiedniejszy może ze wszystkich, a z niewytłumaczonych dziś dla nas powodów pomijany stale przez stronnictwo rządowe. Żołnierz i tylko żołnierz miał on później przeznaczoną misyą dyplomatyczną do Paryża, podczas gdy buława hetmańska spoczęła w rękach dyplomaty Skrzyneckiego; równocześnie prawie otrzymał tekę skarbu Biernacki, który „w gospodarstwie własnem do ruiny i utraty majątku doprowadził“,[2]) nieudolny Giełgud miał powierzoną sobie wyprawę na Litwę, a najzdolniejsi oficerowie, jak Chrzanowski i Prądzyński marnowali swoje talenta na gorszących sporach w głównej kwaterze wtedy, gdy najważniejsze operacye i najgenialniejsze ich pomysły niweczyło niedołęstwo Jankowskiego, głupota Skarzyńskiego lub nieposłuszeństwo Ramoriny.

Ale los zawistny, prześladujący od początku powstanie, a przedewszystkiem zaślepienie tych, co u steru stali i całą nadzieję narodu pokładali w Chłopickim, nadało działaniu rządu i sejmu kierunek fałszywy, niejasny i zgubny. Raz powiedziawszy sobie, że tylko pod dowództwem byłego dyktatora prowadzenie wojny jest możliwem, chwytano się w tej najważniejszej sprawie środków wprost niepojętych. Więc po ustąpieniu Chłopickiego powierzono tymczasowo naczelne dowództwo nad wojskiem najstarszemu w randze generałowi Weyssenhofowi, znanemu z nałogowego pijaństwa, na zastępcę jego przeznaczono przykutego chorobą do łóżka generała Klickiego, a do pomocy jednemu i drugiemu dodano poczciwego, lecz Bogu ducha winnego Szembeka. Że zaś zamiary Krukowieckiego i jego zwolenników nie były tajemnicą dla rządu, rzucono się zatem pomiędzy młodzież i za pośrednictwem Szyrmy i kilku innych wpływowych profesorów obrobiono ją tak dobrze, że gdy dnia 19. stycznia zrana Krukowiecki z Szembekiem przybyli na plac ćwiczeń i

[1]) K. Forster: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831“ (List Szymanowskiego z mylną datą 15. lutego, powinno być stycznia). Str. 19.

[2]) Barzykowski: T. II, str. 200.

pierwszy z nich przemówił[1]) do żołnierzy, aby ratowali powstanie, powołując na wodza którego z generałów, odpowiedziano mu, że sejm, dziś zbierający się, ma prawo stanowić w tym względzie i tego postanowienia oczekiwać należy. W sejmie tymczasem była rzecz już z góry ułożona i postanowiona tak, jak tego stronnicy Chłopickiego pragnęli. Obowiązkiem sejmu było przedewszystkiem ustanowić rząd, a bezpośrednio po tem przystąpić do wyboru naczelnego wodza.

Położenie trudne wymagało niezmiernej szybkości w działaniu; nie było czasu zastanawiać się nad istotą władzy i nad przyszłem urządzeniem wolnej Polski. Powstanie musiało mieć rząd silny i sprężysty, bo od tego zależało ocalenie narodu, a że dyktatura się zużyła, więc prosty rozsądek nakazywał utworzyć władzę do dyktatury zbliżoną, powierzyć ją ludziom czynnym i energicznym i w ich ręce złożyć losy powstania i kraju. Wszystko to dało się uchwalić i postanowić, przy dobrej woli i zrozumieniu rzeczy w jednym dniu. Sejm uczynił inaczej. Zamiast natychmiast zabrać się do dzieła najpilniejszego, wszczął dyskusyą nad uwiezieniem rannego w Belwederze Lubowidzkiego, któremu Henryk Łubieński, dyrektor banku, ułatwił z Warszawy ucieczkę, następnie nad interpelacyą posła Markowskiego: „Czy posłowie, sprawujący urzędy, mogą być na komisarzy sejmowych obierani?“ a gdy te kwestye podrzędne szczęśliwie usunięto, przystąpił nie do utworzenia rządu, lecz do wyboru naczelnego wodza. W tym celu zasięgnięto najpierw zdania wojskowych. U Klickiego zgromadziło się 55 wyższych oficerów i ci odbyli próbne głosowanie: rezultat był następujący: książe Michał Radziwiłł otrzymał głosów 17, Szembek 12, Krukowiecki 10, Weyssenhof 8, Pac 6, Wojczyński i Skrzynecki po jednym. Nikt nie miał zatem większości, a jeżeli odliczymy zupełnie niezdolnego Weyssenhofa i schorzałego, głowy militarnej — jak sam zeznawał — nieposiadającego Paca, wskazało zgromadzenie wojskowych trzech kandydatów: Radziwiłła, Szembeka i Krukowieckiego. Radziwił, który niegdyś służył wojskowo i brał udział w oblężeniu Gdańska, najzacniejszy obywatel i patryota, czuł dobrze, że tak trudnemu zadaniu niepodoła. Gotów do wszelkich poświęceń dla sprawy publicznej, nietylko nie myślał o buławie, ale wręcz ją odrzucał. „Byłem wprawdzie żołnierzem — mówił — i szlif generalskich się dosłużyłem, ale tak przeznaczenie chciało, iż nawet na żadnej wielkiej batalii się nie znajdowałem. Gdańsk szturmowałem i tegoż samego miasta broniłem pod obcą komendą, oto cała moja karyera wojskowa. Nie czuję w sobie wyższych talentów, a doświadczenia nie nabrałem. Przyjęcie zatem hetmaństwa w mojem przekonaniu nie byłoby zasługą, ale występkiem“.[2]) Zupełnie podobnie wyrażał się Szembek: „Pójdę na wojnę, będę się bił i dam się zabić, jeżeli będzie potrzeba, ale na wodza niech mnie nie podają, bo nie jestem zdatny, a więc nie przyjmę“. Ze wszystkich kandydatów pozostawał w ten sposób znowu jeden Krukowiecki, poza nim Kniaziewicz, ale ci, co dzierżyli losy kraju, myśleli inaczej. Dla nich rozstrzygającem było zdanie Chłopickiego.

[1]) Mowę Krukowieckiego podaje w streszczeniu tylko Barzykowski t. II, str. 124), jemu niechętny i w tym wypadku stronniczy.

[2]) Barzykowski: T. II, str. 143.

Otóż Chłopicki, porzucając w tym wypadku swoje kaprysy, oświadczył, że gdy Radziwiłł będzie wodzem, nieodmówi mu swoich rad i usług. Może być, że kierowały nim przytem względy przyjaźni i szacunku, może odezwała się w starym żołnierzu natura szlachecka, której imponowała mitra książęca, ale niewątpliwie grały tu rolę także pobudki dyplomatyczne. Radziwiłł był spokrewniony z dworem pruskim, a Chłopicki — bałamucony od początku przez konsula pruskiego Schmida w Warszawie — gdy układy z Petersburgiem były zachwiane, chwytał się w myśli, jako ostatniej deski ratunku, pośrednictwa gabinetu berlińskiego, wierząc w nieograniczonej swojej naiwności, że jest ono możliwem i że może być skutecznem. Do tego nie nadawał się zaś nikt lepiej, jak Radziwiłł, tak ze względu na swoje stanowisko społeczne, jak i na związki z dynastyą Hohenzollernów. Pomimo zatem sprzeciwiania się marszałka sejmu Ostrowskiego, który wybór Radziwiłła uważał za nieszczęście dla powstania i kraju,[1]) komisya sejmowa postawiła na pierwszem miejscu kandydaturę księcia, — dla ratowania pozorów — umieściła obok niego dwóch najnieudolniejszych: Szembeka i Weyssenhofa, a chociaż w Izbie na żądanie Ledóchowskiego dodano jeszcze i Krukowieckiego, to rezultat nie mógł być wątpliwym. Radziwiłł otrzymał kresek 107, Krukowiecki i Weyssenhof po 8. Obrawszy wodza i to wodza takiego, złożono w jego ręce nieograniczoną władzę nad wojskiem, uczyniono go nieodpowiedzialnym, dożywotnim hetmanem, którego rząd ani kontrolować, ani usunąć nie mógł i który nadto, ile razy uznawał to za stosowne, miał prawo zasiadać w rządzie z głosem stanowczym w sprawach wojskowych. Dziwna ta i jedyna w swoim rodzaju ustawa oddawała na łaskę jednego człowieka losy wojny i kraju, ubezwładniała działanie rządu i była w znacznej części przyczyną przyszłych klęsk i niepowodzeń.

Naturalnym rzeczy porządkiem należało po zamianowaniu wodza ustanowić rząd i określić jego władzę. Sejm jednak uważał za pilniejsze zająć się innemi sprawami. Wprowadzono więc na porządek dzienny kwestyą prowincyj zabranych. Wiadomo, że pod tym względem zachodziły wielkie różnice pomiędzy zapatrywaniem sejmu i narodu, a przekonaniami Chłopickiego. Gdy Towarzystwo patryotyczne i opinia publiczna nagliły do wyprawy na Litwę, dyktator oświadczał wysłannikom prowincyj zabranych, że niema dla nich „ani jednej skałki“, gdy sejm domagał się od Mikołaja przyłączenia województw litewsko - ruskich do Królestwa, Chłopicki sprzeciwiał się temu stanowczo. Na tym uporze jego złamała się właściwa siła powstania. Teraz, kiedy pora stosowna do działania niepowrotnie minęła, sejm przyjął deputacyą obywateli ziem zabranych i wznowił niejako unią, łączącą te prowincye nierozerwalnym węzłem z Rzecząpospolitą.

Chwila była rzeczywiście piękna i rozczulająca, ale akt sam w sobie miał znaczenie politycznej tylko demonstracyi. Wznowienie unii powinno się było odbyć w Wilnie a nie w Warszawie, po rozgromieniu korpusu Rosena, nie w przededniu wkroczenia Dybicza na ziemię polską. O tem, że ziemie zabrane gotowe są do powstania, wiedziano doskonale, deputacya i adres

[1]) Barzykowski: T. II, str. 156.

srzez nią złożony był czczą formalnością, złudzeniem, gdy sprawa narodowa wymagała czynów. Ale za tą pierwszą demonstracyą nastąpiła wnet druga, w skutkach swoich już szkodliwa. Dnia 23. stycznia wieczorem otrzymała Rada narodowa dwie odezwy Dybicza, w których feldmarszałek oznajmia, że — będąc mianowany wodzem naczelnym armii rosyjskiej wkracza w granice Królestwa i wzywa mieszkańców do uległości, a wojsko polskie do złożenia broni. Proklamacye odczytane w Izbie z polecenia rządu, wywołały oczywiście oburzenie, a że już poprzednio (dnia 20. stycznia) Roman Sołtyk uczynił był wniosek o zdetronizowanie dynastyi Romanowów, który — na życzenie marszałka odesłany do komisyi — miał być regulaminowo traktowany, więc w pewnych kołach chwycono się skwapliwie pomysłu Sołtyka, upatrując w nim najwłaściwszą odpowiedź na odezwę Dybicza. Jeżeli mamy wierzyć opowiadaniu Barzykowskiego,[1]) to inicyatywa w tym względzie wyszła od pani Michałowej Potockiej, siostry marszałka Ostrowskiego. Na wieczorze u niej (dnia 24. stycznia), wśród licznego zgromadzenia najznakomitszych osób, ułożono rzecz całą i pani Potocka uzyskała nawet przyrzeczenie marszałka i drugiego brata, kasztelana, że będą wniosek ten popierać. Nazajutrz sesya sejmowa rozpoczęła się od relacyi Jezierskiego i odczytania dokumentów, będących z nią w związku. Oburzenie przeciw niefortunnemu posłowi było powszechne; bronił go jeden kasztelan Kochanowski bez wielkiego skutku. W izbie panował gwar, padały ostre słowa; Wieszczycki uderzył na Lelewela i Niemcewicza, zarzucając im, że Lubeckiego w rządzie utrzymali, kiedy on, jak się odzywały głosy, „działał podstępnie, zdradził sprawę narodową, omamił Chłopickiego“.

Zanosiło się widocznie na wielką burzę, która wybuchnęła też gwałtownie przy końcu sprawozdania Jezierskiego, gdy odczytano dopiski własnoręczne Mikołaja na znanym liście do Benkendorfa, tej treści, że nie zgwałcił swojej przysięgi, lecz że naród polski jest winnym, i gdy sam Jezierski przytoczył słowa cesarza, na ostatniej audyencyi wyrzeczone: „Jeżeli naród polski nie spełni żądań, w manifeście moim z dnia 17. grudnia podanych, jeżeli stanie do walki, wtenczas okażę, że jestem królem prawdziwym, zgniotę go, zetrę i pierwszy strzał ze strony Polaków będzie znakiem zniszczenia Polski“.

Zaledwie skończył mowca, zabrzmiała cała Izba jednym okrzykiem: „Wojna, wojna!“ Obecna na posiedzeniu pani Potocka, widząc zapał ogólny, posłała do brata (marszałka) czemprędzej kartkę tej treści: „Zaklinam ciebie, skorzystaj z chwilowego uniesienia, wnieś detronizacyą, inaczej nie uznam cię za brata mojego“. Marszałek — po krótkiem zastanowieniu — nie zastosował się wprawdzie w zupełności do życzenia siostry, lecz zażądał, aby Izba wzięła pod rozwagę wniosek Sołtyka. Na to zerwał się z miejsca swego kasztelan Ostrowski i — zabrawszy głos — odczytał długą, „wymęczoną“ mowę, w której domagał się, aby z pominięciem wszelkich formalności natychmiast rzecz rozstrzygnięto i tron polski za wakujący ogłoszono. Ale obie mowy braci Ostrowskich nie sprawiły zamierzonego skutku; sejm powrócił do dys-

[1]) Barzykowski: T. II, str. 156.

kusyi nad poselstwem Jezierskiego i dopiero poseł Wołowski wznowił wniosek detronizacyjny, a Ledóchowski zawołał za nim: „Panowie, co jest w naszych sercach, niech wyjdzie przez usta nasze, wykrzyknijmy: Niema Mikołaja!“ Tak nagłe postawienie kwestyi położyło koniec wszelkim wahaniom. Z galeryi i w Izbie rozległy się wołania: „Niema Mikołaja“; sejm bez głosowania przystąpił natychmiast do ułożenia aktu detronizacyjnego i o godzinie 4¼ dnia 25. stycznia 1831. roku przestał Mikołaj być królem polskim — formalnie.

Akt detronizacyi, uchwalony bez namysłu i w największym pospiechu, był niewątpliwie błędem politycznym, który powstaniu żadnej nie przyniósł korzyści, a sprawie narodowej znacznie zaszkodził. Czuli to dobrze wszyscy rozumniejsi ludzie owego czasu, zarówno Czartoryski i Barzykowski, jak Lelewel i Mochnacki i można przypuścić, że gdyby przyszło do głosowania, wniosek Sołtyka w tej formie nie byłby uzyskał większości. Mochnacki, którego nikt nie posądzi o zbytek umiarkowania, tak ocenia detronizacyą: „Ściśle rzecz biorąc, złożenie z tronu Mikołaja przyszło do skutku jeszcze przed wnioskiem Sołtyka, bo to się stało w nocy 29. listopada; wtenczas powiedziała Polska: niema Mikołaja, zaś wykonanie tej uchwały, właściwiej ceremonia detronizacyi należała do wojska tylko narodowego i powstań, z tym jednakże warunkiem, iż nigdzie, jak tylko w Wilnie i Kijowie dopełniona być mogła, bo car, mając w swem ręku Litwę i Ruś, zawsze jest królem, jest nim de facto, choćby go sejmy w Warszawie tysiąc razy z tronu złożyły.[1]) Ale demonstracya była — jak wspomniano — nietylko niepotrzebną, lecz owszem szkodliwą, przyspieszyła bowiem wkroczenie wojsk rosyjskich do Królestwa wtedy, gdy każdy dzień dla dopełnienia spóźnionych uzbrojeń naszych był niezmiernie ważnym i pożądanym, i utrudniła w wysokim stopniu wszelkie działanie dyplomatyczne, podając mocarstwom obojętnym, a nawet przyjaznym dla Polski rzeczywiste powody lub pozory do zaniechania wszelkiej interwencyi. „Jakaż nieszczęśliwa myśl pchnęła was do wyrzeczenia detronizacyi cesarza Mikołaja?“ zapytał wysłanników polskich w Paryżu książe Orleański, najstarszy syn Ludwika Filipa. „Wam skutkiem jej ani jeden żołnierz więcej nie przybędzie, a nam popsuliście wszystko. Mieliśmy nadzieję, że pośrednictwo nasze w sprawie polskiej będzie przyjęte, dzisiaj, po detronizacyi, nie wiemy nawet, jak mamy zacząć tę sprawę“. Toż słusznie powiedział książe Czartoryski do Ostrowskich, podpisując akt detronizacyi: „Zgubiliście Polskę“, a zdanie jego podzielali wszyscy niemal posłowie, należący do dawniejszej opozycyi sejmowej, a więc najgorliwsi i najlepsi patryoci.

Ale głos rozsądku uległ — jak często się zdarza — w nierównej walce z próżnością, goniącą za poklaskiem galeryi i bezmyślnych tłumów, które w czczej demonstracyi, wywołanej chwilowem uniesieniem, widziały heroiczne bohaterstwo.

Dopiero po tym epizodzie niefortunnym zajęły się Izby ustanowieniem władzy rządowej. Uchwaliwszy poprzednio już, że Polska ma być monarchią

[1]) „Powstanie narodu polskiego“. T. III, str. 184.

konstytucyjną, przyznał sobie sejm władzę prawodawczą i królewską wogóle, naprawiając błąd poprzedni, orzekł, że jemu przysługuje moc mianowania wodza naczelnego, resztę władzy zaś wykonawczej przelał na rząd, z pięciu członków złożony. W ten sposób popadła Izba z jednej ostateczności w drugą; po dyktaturze, skupiającej władzę w jednej osobie, dała powstaniu rząd wielogłowy, a więc z istoty swojej słaby, ograniczyła zakres jego działania i stworzyła nie władzę silną, w chwili tak krytycznej niezbędną, lecz — jak się książe Czartoryski trafnie wyrażał — „komisyą prowiancką“. Do rządu powołano: Czartoryskiego, Wincentego Niemojowskiego, Morawskiego, Barzyko-

Generał Wojciech Chrzanowski.

wskiego i Lelewela, a więc reprezentantów wszystkich odcieni politycznych; ministrami zostali: Rembieliński, Gustaw Małachowski, Bonawentura Niemojowski, Bniński, Biernacki i Izydor Krasiński, dwaj ostatni — jak twierdzi Barzykowski — większością jednego głosu, Lelewela. Czartoryski, jako prezes rządu, odmówił wprawdzie podpisu swego na nominacyi Biernackiego i Krasińskiego, ale milcząca ta protestacya żadnego nie odniosła skutku i obaj pozostali na stanowiskach swoich tak długo, aż — wykazawszy zupełną swoją niezdatność — do dymisyi podać się musieli. Tak niedołężnie zorganizowane

powstanie występowało do walki śmiertelnej z potężnem carstwem, podlegającem despotycznej woli jednego człowieka, śmiertelnie w dumie swojej obrażonego, w zemście zapamiętałego. Losy narodu spoczęły na ostrzu miecza, ale i miecz ten, słabej powierzony dłoni, miał zawieść ostatnie nadzieje powstania.

Wojna. — Stoczek. — Dobre. — Wawer. — Grochów. Powstanie listopadowe nazwali współcześni, mianowicie wojskowi, szaleństwem i pozornie, ale tylko pozornie mieli słuszność zupełną. Królestwo polskie, liczące na niewielkim kawałku ziemi 4,137.631 ludności, z armią niedochodzącą 30.000, zrywało się do walki z państwem rosyjskiem, mającem 60,000.000 ludności i 200.000 wojska, zasobnem nadto w broń, rynsztunek i pieniądze, mogącem także liczyć na wsparcie mocarstw rozbiorowych, przestraszonych widmem powstającej Polski i szerzeniem się zasad rewolucyjnych, które — podług powszechnego mniemania — insurrekcyą polską wywołały. Warunki zatem, wśród jakich Polacy za broń chwycili, były dla nich pod każdym względem niepomyślne. Z drugiej strony jednak zaprzeczyć się nie da, że owo statystyczne zestawienie sił obopólnych znacznej ulegnie zmianie, jeżeli się zważy stan prowincyj zabranych, rozłożenie wojsk rosyjskich i stosunki geograficzne. Powstanie, podjęte w celu wywalczenia niepodległości Polski, obejmowało, a przynajmniej objąć było powinno całą Ruś i Litwę, przeciąć związek pomiędzy armią na północy i na południu rozłożoną, a — mając siły skupione, chociaż szczupłe — rozgromić najbliżej stojące korpusy nieprzyjacielskie, niedopuścić do ich skupienia, tem zaczepnem działaniem zrównoważyć niekorzystny dla siebie stosunek sił i teatr wojny przenieść odrazu poza granice królestwa. Ale do wykonania tak śmiałego i naturą rzeczy wskazanego przedsięwzięcia trzeba było od początku mieć cel jasno wytknięty, należało powiedzieć sobie, że Polacy podnieśli powstanie dla wywalczenia niepodległości, a nie w obronie pogwałconej konstytucyi, nie wdawać się w żadne układy, nie wypuszczać Konstantego i jego gwardyj, jednem słowem pojmować noc 29. listopada jako początek insurrekcyi narodowej i do tego pojęcia całe swoje zastosować działanie. Instynkt narodu odgadywał bardzo trafnie położenie, kiedy domagał się wyprawy na Litwę, a dziś, zwłaszcza po umiejętnej fachowo i do pewnego stopnia nawet bezstronnej pracy generała Puzyrewskiego wątpić o tem ani na chwilę nie można.

Armia rosyjska, w chwili powstania będąca na stopie pokojowej,[1]) a częściowo tylko z powodu zamierzonej wyprawy belgijskiej stawiana na stopę wojenną, była rozrzucona po olbrzymich przestrzeniach. Linia pierwsza rozciągała się od Mitawy do Latyczowa w długości 1200 wiorst; sztaby dywizyjne korpusu litewskiego znajdywały się w Grodnie i Dubnie, a więc o 250 wiorst od siebie; trzeci korpus rezerwowy jazdy potrzebował na połączenie się z litewskim miesiąc czasu; grenadyerski mógł przybyć dopiero w połowie lutego, 2-gi korpus i gwardyjski około połowy marca. Żołnierz rosyjski był źle żywiony i po barbarzyńsku traktowany, pod względem ducha, zręczności, wy-

[1]) A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko-ruska 1831. roku“ (tłumaczenie polskie). Warszawa 1899. Str. 35.

robienia i wykształcenia nie mógł się równać z polskim: oficerowie byli nieobeznani ze sprawą wojenną nawet teoretycznie,[1]) „karabiny złe i popsute bezrozumnem czyszczeniem, z pogiętemi lufami i popsutemi zamkami“, oto był stan tej armii, co świeżo „zdeptała Bałkany“ i w podziw całą wprowadziła Europę. Wyjątek stanowiła jazda i artylerya, w wyborne opatrzona konie, liczna, posiadająca doskonały rynsztunek, podostatkiem amunicyi i pewną ilość uzdolnionych oficerów.

Armia polska, złożona na początku powstania z 28.000 ludzi,[2]) przewyższała rosyjską tak pod względem ducha jak i wykształcenia, „odznaczała się w boju — że użyjemy słów generała Puzyrewskiego — zarówno gwałtownością ataku, jak i waleczną wytrwałością w obronie. Całe pułki stare często ginęły na miejscu nie cofając się ani kroku (4-ty pułk pod Ostrołęką); nowozaciężni zaś, ożywieni ogólnym zapałem, starali się walczyć o lepsze ze starymi żołnierzami. Czynna jazda polska była bardzo dobra, mianowicie piąte i szóste szwadrony, ale nieliczna; artylerya pod względem składu i zapału stanowiła najlepszy rodzaj broni“. Jeżeli dodamy do tego, że zaniedbywane w wojsku rosyjskiem pomocnicze ćwiczenia, jak n. p. pływanie, fechtunek i t. p., były prowadzone w armii polskiej systematycznie i zadziwiające prawdziwie wydawały rezultaty,[3]) to łatwo sobie wyobrazić, co można było zdziałać z tym żołnierzem nawet przeciw tak przemożnemu nieprzyjacielowi. Otwierała się ku temu w pierwszych chwilach powstania najdogodniejsza sposobność.

Rozbrajając gwardye wielkiego księcia i uderzając na korpus Rosena stawali się Polacy odrazu panami sytuacyi, zmniejszali siły nieprzyjacielskie o 6000 ludzi, zyskiwali uzbrojenie dla tyluż swoich żołnierzy i 18 dział z wybornym zaprzęgiem, a usadowiwszy się w Brześciu litewskim — co można było uskutecznić w przeciągu dni sześciu bo Brześć jest odległym od Warszawy o 180 wiorst — rozcinali nietylko korpus litewski, ale i całą armią rosyjską na dwie części, tak, że wojskom na południu stojącym pozostawała jedna linia komunikacyjna na Mozyr i Bobrujsk, opóźniająca koncentracyą o całe miesiące.[4]) Ruch ten, proponowany później przez Chrzanowskiego, musiał się powieść, bo Rosen dopiero 9. stycznia zdołał korpus swój zebrać na linii Grodno—Białystok i nawet wtedy, będąc o 6000 słabszym i mając wojsko złożone z Białorusinów i Litwinów, przychylnie usposobionych dla powstania, nie był w stanie stawić czoła armii polskiej, dzielnej i ożywionej patryotycznym zapałem. Polacy zyskiwali w ten sposób silne stanowisko strategiczne,

[1]) A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko-ruska 1831. roku“ (tłumaczenie polskie). Warszawa 1899. Str. 38.

[2]) Barzykowski: T. II, str. 272.

[3]) Tak na egzaminie żołnierzy wyćwiczonych winni oni byli przepływać sześć razy Wisłę bez odpoczynku, lub też całe oddziały pod bronią i w mundurze przepływały rzekę dwa razy z oficerami na czele. (A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko-ruska 1831. roku“ [tłumaczenie polskie]. Warszawa 1899. Str. 29.)

[4]) A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko-ruska 1831. roku“ (tłumaczenie polskie). Warszawa 1899. Str. 52.

zasłaniali Królestwo od najazdu nieprzyjacielskiego, dawali możność organizacyi nowych pułków, które w miarę uzbrojenia szły na linię bojową i wzmacniały główną armię, a co najważniejsza, rozniecali powstanie na Litwie, sięgali w prawo na Wołyń i przerzucali teatr wojny tam, gdzie każda walka o niepodległość Polski rozstrzygać się musi.

Ale w głównej kwaterze polskiej panowało tak przesadne wyobrażenie o potędze rosyjskiej i tak niedokładne wiadomości o rozłożeniu sił nieprzyjacielskich, że plan Chrzanowskiego — osnuty na powyższej kombinacyi, prawda, że w porze cokolwiek późniejszej — nazwano szaleństwem, a autora jego posłano na podkomendanta do Modlina, jak gdyby po to, aby pozbyć się jednego ze zdolniejszych oficerów, który nie mógł się zastosować do zakrzepłej rutyny miernot sztabowych i swojemi pomysłami psuł dyplomatyczne obłędy Chłopickiego.[1])

Minęła w ten sposób niepowrotnie najdogodniejsza do działania pora, świeże siły narodu stargały się w bezpłodnych walkach wewnętrznych, zachwiała się powaga władz naczelnych, zużyła dyktatura, powstały nieuniknione kwasy i podejrzenia, duch niezgody i anarchii zniweczył początkową harmonią, zwątpienie, panujące u góry, zaczynało sięgać w głąb, dyplomatyzowanie i układy jak zaraźliwa choroba demoralizowały najtęższe nawet umysły. Tymczasem o uzbrojeniach i przygotowaniu wojennem nikt prawie nie myślał. Na kapryśnym i wiecznie nadąsanym dyktatorze wymodlono dnia 27. grudnia rozkaz, polecający utworzenie szesnastu nowych pułków piechoty, Dwernicki, pozbawiony na rzecz Jankowskiego i Skarżyńskiego, dwóch najnieudolniejszych pułkowników, stósownej do swego stopnia komendy, wyprosił sobie pozwolenie uformowania trzech dywizyonów kawaleryi, ale te postanowienia, o miesiąc cały spóźnione, nie zdołały już postawić armii polskiej na stopie odpowiedniej zasobom i zaludnieniu kraju.

Dla Chłopickiego było to obojętnem, bo, aby dać „tęgiego kułaka“ Moskalom, wystarczało tyle wojska, ile Konstanty zostawił. Nieprzyjaciel poczynał sobie inaczej. I tam wprawdzie działano niezbyt spiesznie z powodu wielkich odległości, ale do wojny gotowano się bez przerwy. W sześć dni po otrzymaniu wiadomości o wybuchu powstania (dnia 13. grudnia) mianował Mikołaj naczelnym wodzem armii, przeciw Polsce przeznaczonej, feldmarszałka hrabiego Dybicza-Zabałkańskiego, dodając mu na szefa sztabu hrabiego Tolla, na generalnego kwatermistrza generała Neidhardta. Tak dziwnym zbiegiem okoliczności dowodziło wojskiem rosyjskiem w tej wojnie trzech generałów, z pochodzenia Niemców,[2]) tylko naczelnicy artyleryi (Suchozanet, a po nim Gorczakow) byli rodowitymi Rosyanami. Dybicz przybył do armii dopiero dnia 10. stycznia i zastał skoncentrowanych nie więcej jak 56.000 ludzi, licząc w to korpus gwardyi wielkiego księcia, wynoszący blisko 7000. Do za-

[1]) Barzykowski, krytykując plan Chrzanowskiego (t. II, str. 47), powołuje się na zdanie generała Paszkowskiego, o którego czynach wojennych i zdolnościach wojskowych historya współczesna nic nie umie powiedzieć.

[2]) Dybicz urodził się na Szląsku pruskiem i odebrał wykształcenie wojskowe w berlińskiej szkole kadetów.

czepnego działania były siły te niedostateczne i zaledwie 1. lutego zdołano zgromadzić 125.600 ludzi i 444 dział. Wtedy już Mikołaj, rozgniewany wielce aktem detronizacyjnym, wydał dnia 29. stycznia manifest wojenny, w którym nakazywał „wiernym wojskom swoim iść na buntowników“. Rozkaz wykonano bezzwłocznie i dnia 5. i 6. lutego przekroczyła armia ośmiu kolumnami granice królestwa, nie napotkawszy nigdzie ze strony polskiej żadnego oporu. Zamiarem Dybicza było: główne siły utrzymywać w skupieniu, aby rozbić nieprzyjaciela bądź na lewym brzegu Bugu, bądź na prawym Narwi, starając się, o ile możności, o odsunięcie go od Warszawy; jeśli się zaś to nie uda, to — przeszedłszy Wisłę górną — otoczyć Warszawę i zmusić ją głodem lub szturmem do poddania się“. Rozporządzając przeważającemi siłami, które wnet z 125.000 do 160.000 wzrosnąć miały, nie wątpił on ani na chwilę, że plan ten wykona, że przeciwnika, o tyle słabszego, przy pierwszem spotkaniu w puch rozbije i wojnę w krótkim przeciągu czasu pomyślnie zakończy. Nadzieje feldmarszałka podzielał cały sztab główny, który tak był pewnym zwycięstwa, że oficerowie troszczyli się tylko o to, jak w Warszawie ukazać się mają i jakich rozrywek zażywać im tam przyjdzie po niewygodach zimowej kampanii.

W obozie polskim gorzej się działo. Upór Chłopickiego popsuł wszystko; zmarnowano dwa miesiące na bezowocnych układach i zaniedbano skutkiem tego uzbrojenia do tego stopnia, że w chwili wkroczenia wojsk rosyjskich zaledwie 44.920 ludzi i 144 dział mogło stanąć na linii bojowej, chociaż królestwo same — podług obliczeń Barzykowskiego — miało 200.000 ludności zdolnej do broni. Spóźnione rozkazy do tworzenia nowych pułków nie były wykonane albo z braku czasu, albo z powodu opieszałości, połowa kraju, wydana na łup nieprzyjacielowi bez wystrzału, magazyny, w Łomży zgromadzone, stracone, w województwie augustowskiem formujący się pułk jazdy skutkiem karygodnego niedbalstwa pułkownika Oborskiego[1]) w połowie zabrany — oto były owoce dziesięciotygodniowych wysiłków rządu, sejmu i ubóstwianego dyktatora.

A i teraz jeszcze, kiedy nieprzyjaciel przedniemi strażami swojemi sięgał Siedlec i Łomży, kiedy Kreutz, przeszedłszy Bug u Uściługa, posuwał się ku Lublinowi, a Geismar od Włodawy dążył w kierunku Radzynia i Łukowa, panowała w głównej kwaterze polskiej zupełna bezradność. Napróżno rozmaici wojskowi podawali poprzednio już Chłopickiemu mniej lub więcej trafne plany, napróżno doradzał Dembiński uorganizowanie wojny ludowej, pułkownik Valentin urządzenie partyzantki w Augustowskiem i graniczących z niem województwach nad Narwią, Małachowski i Krukowiecki użycie kosynierów, Chrzanowski wyprawę na Litwę, a Prądzyński wreszcie wojnę odporną z oparciem o warownie Modlina, Warszawy i Góry (to ostatnie miejsce miano w tym celu ufortyfikować), Chłopicki rad tych nie słuchał; plany przedstawione od-

[1]) Oborski, karciarz i hulaka, ale spokrewniony z ministrem wojny, został ukarany tylko odjęciem dowództwa (Barzykowski: T. II, str. 300).

rzucał, a chociaż czasami w przystępie dobrego humoru rady wojenne zwoływał, mapy rozkładał i o wojnie rozprawiał, to żadnego postanowienia nie powziął, nic nie obmyślił i tak zmarnował siedem tygodni, a — złożywszy dyktaturę i pokłóciwszy się z Ledóchowskim — ręce umył od wszystkiego i na barki nieudolnego Radziwiłła cały ciężar dowództwa i odpowiedzialności zrzucił. Pozornie miało wojsko teraz dwóch wodzów, ale w rzeczy samej nikt nie dowodził, bo Radziwiłł dowodzić nie umiał, a Chłopicki dowodzić nie chciał. Pomimo niezaprzeczonych talentów, jakie okazał w Hiszpanii, tu, w wojnie o niepodległość własnej ojczyzny, stał się biernym zupełnie, sam planu żadnego nie ułożył, a to, co radził, więcej przyniosło szkody, niż korzyści. Szefem sztabu więc na jego zalecenie został generał Mroziński, generałem służbowym Morawski, jeden lingwista, drugi poeta, obaj ludzie zacni, ale w sprawach wojennych nie biegli, ważne dowództwo na lewym brzegu Wisły powierzono choremu Klickiemu, którego Chłopicki za najzdolniejszego uficera uważał. Jeden tylko Prądzyński, pełniący obowiązki kwatermistrza, był na swojem miejscu, chociaż wobec fantazyj eksdyktatora wpływu nieposiadał. Mimoto tak on jak i Chrzanowski podsuwali głównej kwaterze coraz to nowe projekta i tym sposobem popychali do jakiegoś działania. Chrzanowski mianowicie doradzał zająć wszystkiemi siłami silne stanowisko pod Węgrowem i gdy Dybicz armią swoją rozdzieli, uderzyć na część po lewym brzegu Bugu idącą, albo też przyjąć bitwę nad Liwem, gdzie wygrana jest prawdopodobną. Chłopickiemu podobał się ten plan i Chrzanowski otrzymał carte-blanche do wydania odpowiednich rozkazów.

Tymczasem nagła zmiana temperatury (termometr podniósł się z — 13° 2. lutego na + 1·6° 8. lutego) sprawiła, że Dybicz zmienił zamiary i zamiast prowadzić armią w kraj bagnisty i lesisty pomiędzy Bugiem a Narwią, postanowił przerzucić ją na lewy brzeg Bugu i stamtąd całą potęgą uderzyć na Polaków.

Operacya była dość hazardowna, przeprawa dwóch korpusów rosyjskich pod Nurem i Brokiem przy temperaturze + 3° napotkała dla słabości lodu na wielkie przeszkody, trzeba było urządzać promy, rzucać most na pontonach,[1]) tak, że gdyby Polacy w tej chwili całą potęgą byli uderzyli na grzęznących w błocie i rozdzielonych rzeką Moskali, czekała oba korpusy klęska nieochybna. Ale znowu niedopisały owe tyle sławione zdolności Chłopickiego, bo skoro tylko dowiedziano się w głównej kwaterze polskiej o nowym planie Dybicza, natychmiast przeniósł się sztab cały z Okuniewa do Jabłonny, a wojsko otrzymało rozkaz gotować się do odwrotu. Widocznie Chłopicki, ułożywszy sobie stoczyć pod Warszawą główną bitwę, nie szukał nawet sposobności, aby szkodzić nieprzyjacielowi i był zadowolonym, że mógł siły swoje gromadzić na oznaczonem z góry pobojowisku. Wobec tego zupełnie niepotrzebnem okazuje się to, co dalej zrobiono. Opuściwszy obronną pozycyą nad Liwem, do której Chrzanowski słusznie tyle wagi przywiązywał i pozwoliwszy nieprzyjacielowi spokojnie przeprawić się przez Bug, pozostawiono — jakby

[1]) A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko-ruska 1831. roku“ (tłumaczenie polskie). Warszawa 1899. Str. 77.

na straconej poczcie — Wysockiego z batalionem 7-go pułku piechoty i z dwoma działami na straży mostu pod miasteczkiem Liwem. Oddział ten, zaatakowany przez przeważające siły Sackena, mostu oczywiście obronić nie mógł i po mężnej walce cofnął się ku Stanisławowu. W ten sposób miał nieprzyjaciel drogę do Warszawy otwartą i ruszył w tym kierunku dwoma traktami: na lewo szedł Rosen, dążąc do Okuniewa, na prawo Pahlen ku Kałuszynowi. Na straży pierwszej drogi stanął Skrzynecki, mianowany generałem, pod Dobrem, drugiego gościńca pilnował Żymirski pod Kałuszynem. Nieprzyjaciel, jakkolwiek silniejszy, nie uważał za potrzebne wstępnym bojem — od czoła — zdobywać sobie przejście, lecz postanowił obejść stanowiska polskie i albo obie wysunięte dywizye odciąć od głównej armii, albo też zmusić do szybkiego cofnięcia się pod Warszawę. W tym celu dwa zrobiono poruszenia: generał Kreutz miał przez Lublin posuwać się ku Puławom, przejść tam Wisłę i od południa zagrozić Warszawę. Geismar zaś z Łukowa obrotem na Seroczyn oskrzydlić Żymirskiego pod Kałuszynem. Dobrze obmyślana kombinacya zawiodła jednak zupełnie.

Pomiędzy generałami polskimi znajdowało się — jak wiadomo — kilku, którzy o sposobie prowadzenia wojny i o siłach nieprzyjacielskich inne aniżeli główna kwatera mieli wyobrażenie. Należał do nich Dwernicki, oficer śmiały, w wojnach napoleońskich doświadczony, pełen ufności w siłę powstania i powodzenie sprawy narodowej, ale właśnie z tego powodu niedobrze widziany u góry. Gdy sfery nasze wojskowe, zrażone apatycznem lub kapryśnem usposobieniem Chłopickiego, owładnęło zwątpienie, Dwernicki, od początku czynny, organizował z rezerw nowe szwadrony kawaleryi i na radach wojennych domagał się wkroczenia na Wołyń. Ażeby się pozbyć natręta, polecono mu z dwoma szwadronami Krakusów i czterema działami, które miał zabrać z Zamościa, wykonać ten ruch przez niego upragniony. Niezrażony tym dziwnym rozkazem, gotował się Dwernicki właśnie do wyjazdu do Lublina, kiedy na radzie wojennej — skutkiem usilnych przedstawień Czartoryskiego — inne zapadły postanowienia. Armia główna miała się udać wreszcie na spotkanie nieprzyjaciela ku Brześciowi, Dwernicki zaś z osobnym korpusem, złożonym z utworzonych przez niego trzecich dywizyonów jazdy, z czterech czwartych batalionów piechoty, dwóch pułków Krakusów, będących w formacyi i sześciu dział trzyfuntowych, przeznaczony był do działania na prawym brzegu Wisły przeciw korpusom Geismara i Kreutza. Uorganizowawszy z wielkim trudem swój oddział i zbierając dopiero po drodze tworzące się szwadrony Krakusów, przeszedł on po słabym lodzie Wisłę pod Mniszewem i 12. lutego stanął w Żelechowie, aby — stosownie do rozkazu generała Klickiego — powstrzymać Geismara. Stąd, gdy zamiar podejścia nieprzyjaciela się nie powiódł, postanowił bądź co bądź ruszyć na jego spotkanie, nie bacząc na przeważające siły i skład swego korpusu.

Żołnierz był ożywiony najlepszym duchem; na krótki, jędrny rozkaz dzienny generała, który wspomniał o potędze nieprzyjacielskiej, odezwały się z szeregów głosy: „Choćby ich było kilku na jednego, pobijemy, a rachować

tylko trupy i niewolniki będziemy“.[1]) W tem podniosłem usposobieniu udał się oddział polski w dalszą drogę ku Stoczkowi. W wiosce pobliskiej podchwycono placówkę dragonów i Kozaków, którzy zeznali, że Geismar na czele dwóch wyborowych pułków dragonów, tyluż strzelców konnych, dziesięciu sotni Kozaków i dwunastu dział stoi pod Stoczkiem. Położenie było niebezpieczne, los bitwy bardzo wątpliwy, ale Dwernicki cofać się nie chciał i — przeszedłszy Stoczek — zajął stanowisko przy drodze, wiodącej do Żerocina (dnia 14. lutego). Geismar tymczasem, zaufany w swoją przewagę, pomny świetnego zwycięstwa, jakie odniósł świeżo nad Turkami pod Bojoleszti, postanowił zgnieść nieostrożnego przeciwnika i w tym celu podzielił korpus swój na dwie kolumny, które z dwóch stron miały spaść piorunem na Polaków i łatwego — jak mniemał — zwycięstwa dokonać. Ale nadzieje omyliły go. Dwernicki, sprawiwszy swoje szczupłe wojsko w szyk porządny, oczekiwał spokojnie natarcia nieprzyjaciela, i skoro kolumna rosyjska od Żerocina się wysunęła i ogniem działowym razić naszych poczęła, rzucił na dragonów cztery szwadrony ułanów. Wszczęła się walka zacięta; dragoni, ludzie olbrzymiego wzrostu, na wielkich, ciężkich koniach, bili się wprawdzie odważnie, ale pomimo przewagi liczebnej nie byli w stanie podołać ułanom polskim, zwinnym i uzbrojonym lancami. Wykłuci do połowy, pierzchnęli oni na drugi pułk dragoński, ale w tej samej chwili uderzył rotmistrz Lewiński z szwadronem 2-go pułku ułanów z boku na nieprzyjaciela i po krótkim, zaciętym boju zmusił go do odwrotu, a że uciekający mieli do przebycia wąską groblę, więc tu spotkała ich główna klęska. Parci przez ściganych ułanów stracili oni przeszło 100 jeńców i pięć dział z całym zaprzęgiem i wozami amunicyjnemi. Na widok tego pogromu druga kolumna, od Toczysk maszerująca, zatrzymała się, zasypując gradem kartaczy batalion piechoty polskiej, który — jakkolwiek pierwszy raz w ogniu — stał nieporuszony i grom dział głuszył pieśnią: „Jeszcze Polska niezginęła“. Trwało to dobrą chwilę, aż Dwernicki na wahającego się nieprzyjaciela cisnął dwa dywizyony strzelców konnych i dywizyon 4-go pułku ułanów. Rosyanie przyjęli atak spokojnie, tak, że jazda polska zatrzymała się nagle przed frontem. Wtedy nadbiegł sam Dwernicki i szybkim, zręcznym ruchem zaatakował kolumnę nieprzyjacielską od skrzydeł i od frontu. Zawrzała krótka walka, adjutant generała, Dunin, powalił pierwszy cięciem pałasza pułkownika rosyjskiego, poczem cały oddział podał tył, zostawiając całą swoją artyleryą: dwa działa sześciofuntowe i cztery dziesięciofuntowe jednorogi. Odtąd już zamieniła się bitwa w pościg szalony; jazda nieprzyjacielska, ścigana natarczywie aż do lasu ku Żerocinowi, rzucała po drodze zabitych i rannych, jeden szwadron jej, obskoczony w lesie, zginął wykłuty do nogi.

Tak odwaga żołnierza polskiego, śmiałość i zręczność wodza odniosły świetne zwycięstwo nad nieprzyjacielem, liczbą przemagającym, mężnym i doświadczonym w boju. Rosyanie stracili 100 jeńców, 180 zabitych, między tymi dwóch pułkowników, 246 koni i 11 dział, z których trzy tylko były

[1]) „Pamiętniki Dwernickiego.“ Str. 21.

uszkodzone. Straty polskie wynosiły 27 zabitych i 60 rannych. Cały oddział spełnił powinność swoją wzorowo: jazda, złożona z starych dymisyonowanych żołnierzy, w czternaście szwadronów, rozbiła 24 szwadrony nieprzyjacielskie, młoda piechota okazała podziwienia godne męstwo i wytrwałość, a artylerya, pod wodzą kapitana Puzyny i poruczników Lipskiego i Korzeniowskiego, jakkolwiek naprędce zorganizowana i niemająca wcale wyćwiczonych w tej służbie kanonierów, oddała nieocenione usługi trafnością strzałów i spokojem, z jakim ogień swój podtrzymywała. Pod względem strategicznym była bitwa pod Stocz-

Karol Różycki.

kiem wprawdzie epizodem tylko, ale nie mniej przeto miała wielkie znaczenie, szczególniej moralne, podniosła bowiem ducha w wojsku polskiem i po tylu niepowodzeniach dowiodła, że walka z przemagającym nieprzyjacielem jest możliwa. Korpus Geismara zresztą, zdemoralizowany i rozbity, nietylko nie był w stanie wykonać ruchu zamierzonego oskrzydlenia armii polskiej, ale cofnął się jak najspieszniej do Siedlec.

Dwernicki z powodu wielkiego zmęczenia ludzi, a mianowicie koni, które na kamienistych polach Stoczka wszystkie prawie potraciły podkowy, nie ścigał natychmiast nieprzyjaciela, lecz zajął się organizacyą bateryi z zdobytych

armat, zmianą i kuciem koni i dopiero wieczorem, wsparty przybyłym dywizyonem strzelców konnych, wyruszył do Parysowa w mniemaniu, że tym sposobem ukaże się ze swoim korpusem na lewem skrzydle armii rosyjskiej w chwili decydującej bitwy pod Pragą. W drodze przyłączył się do niego czwarty batalion 2-go pułku piechoty, szósty szwadron 2-go pułku ułanów i kilkudziesięciu ochotników z Warszawy, przeważnie członków Towarzystwa patryotycznego z ks. Puławskim i Ksawerym Bronikowskim na czele. Dnia 16. lutego jednak otrzymał rozkaz od generała Klickiego, aby natychmiast przeprawił się przez Wisłę pod Puławami w celu zniszczenia lub zatrzymania Kreutza, który dąży lewym brzegiem Wisły ku Warszawie. Mimo niejasności rozkazu wyruszył Dwernicki dnia 17. lutego z Osiecka, ale, że Puławy były odległe o trzy forsowne marsze, a pospiech konieczny, więc zwrócił się ku Górze i — przeszedłszy tam Wisłę — otrzymał od Rządu narodowego nominacyą na generała dywizyi, jakoteż od naczelnego wodza uwiadomienie, że dywizyą generała Sierakowskiego oddaje pod jego dowództwo. Wsparty temi posiłkami, uderzył Dwernicki natychmiast na przednią straż Kreutza pod Nową wsią, zniósł ją zupełnie, zdobył bateryą dział, wziął 158 jeńców i podpułkownika od artyleryi Butowicza, ale nazajutrz już odebrał sztafetą doniesienie, że Moskale z głównej armii Dybicza przeprawiają się pod Karczewem przez Wisłę. To powstrzymało go od dalszego ścigania Kreutza, który nieczekając długo, przeprawił się przez Wisłę i stanął główną kwaterą w Maciejowicach. Dwernicki tymczasem, odstraszywszy swojem ukazaniem się pod Karczewem nieprzyjaciela, zajął Kozienice i — obserwując korpus Kreutza — czekał dalszych rozkazów.

Tak w przeciągu niespełna dwóch tygodni dzielny ten i bez wytchnienia czynny generał stoczył dwie zwycięskie potyczki, zabrał Rosyanom około 600 jeńców, zdobył 17 dział i ubezwładnił dwa korpusy nieprzyjacielskie, grożące oskrzydleniem armii polskiej i podchwyceniem Warszawy z lewego brzegu Wisły. Ani przedtem, ani potem żaden z dowódzców polskich nie mógł się poszczycić takiem powodzeniem; podobną ruchliwość i energią rozwinęli tylko Dembiński i Chłapowski na Litwie, jakoteż Karol Różycki w bohaterskim swoim pochodzie z pod Żytomierza do Zamościa. Zobaczymy niebawem, jak oceniono w Warszawie zasługi Dwernickiego i jaki użytek dla sprawy publicznej zrobiono z jego niezaprzeczonych zdolności. Wróćmy więc do głównego teatru wojny.

W chwili, kiedy Dwernicki gromił pod Stoczkiem Geismara, wypoczywała armia Dybicza w dwóch wielkich masach, zebranych pod Węgrowem i Siedlcami, wdłuż Liwca. Przed nią — jak wspomniano — stał Skrzynecki pod Dobrem a Żymirski pod Kałuszynem. W nocy z dnia 14. na 15. lutego pierwszy z nich zrobił silny rekonesens. Pułkownik Ziemięcki na czele dwóch szwadronów ułanów napadł niespodziewanie przednią straż nieprzyjacielską, ubił kilkadziesiąt ludzi, nabrał jeńców i rzucił popłoch taki, że Rosyanie opuścili Pniewnik i cofnęli się w nieładzie na główny korpus Włodka. Równocześnie powstało zamięszanie w przedniej straży Sackena, czem rozgniewany Dybicz wydał surowe upomnienia do dowódzców i dnia 17. lutego ruszył

z całą potęgą dwoma drogami ku Warszawie. Wywiązały się skutkiem tego dwie potyczki, z Żymirskim pod Kałuszynem i ze Skrzyneckim pod Dobrem. Żymirski, któremu kazano jeden pułk piechoty posłać ku wsparciu Skrzyneckiego[1]) i który nadto musiał odkomenderować jeden batalion i trzy szwadrony dla utrzymania związku z dywizyą pod Dobrem, nie był wstanie opierać się długo pierwszemu korpusowi rosyjskiemu, dowodzonemu osobiście przez Tolla. Atakowany silnie od frontu, zagrożony obejściem obu swoich skrzydeł, po dwugodzinnej walce cofnął on się więc bez wielkich strat do Mińska. Skrzynecki silniejszy i mając o wiele korzystniejszą pozycyą, utrzymał się pod Dobrem przeciw Rosenowi od 9-tej zrana do 3-ciej popołudniu i dopiero wtedy, zadawszy nieprzyjacielowi dotkliwe straty, ustąpił w porządku do Pustelnika, a stamtąd do Okuniewa.

Na wiadomość o tych spotkaniach, z których wynikało jasno, że Dybicz, rozdzieliwszy swoje siły, dwoma traktami maszeruje ku Warszawie, przedstawił Prądzyński Chłopickiemu plan śmiały uderzenia całemi siłami na Rosena i zniszczenia tego korpusu, zanimby mu pomoc nadeszła. Chłopicki przyjął tym razem pomysł Prądzyńskiego i wydał stosowne do tego rozkazy, ale Rosen doszedł tylko do Stanisławowa i tem uniknął ostatecznej zguby, podczas gdy Żymirski zamiast powstrzymać korpus pierwszy, cofnął się aż za Miłosnę. Zgniewany i zniecierpliwiony Chłopicki polecił odwrót na pozycyą grochowską. Tak zbliżała się stanowcza chwila; nieprzyjaciel, ośmielony dotychczasowem powodzeniem, postanowił opanować wyjścia z lasów, okalających równinę pod Grochowem, wojska swoje — oddzielnie dotąd idące — połączyć i armii polskiej cios śmiertelny zadać. Dnia 19. lutego zrana wyruszyły też siły nieprzyjacielskie w wskazanym kierunku. Straż przednia pierwszego korpusu, który miał krótszą przestrzeń (8 wiorst) przed sobą, ukazała się już około godziny 9-tej zrana na krańcach lasu pod karczmą Wawer zwaną i spotkała tu cofającą się dywizyą Żymirskiego. Na odgłos pierwszych strzałów Chłopicki z głównej swojej kwatery w Grochowie pospieszył natychmiast na pole walki, wysunął naprzód dywizyą Szembeka, oparł ją o bagna i zarośla gosławskie, dodał dwie baterye artyleryi i dywizyą jazdy Łubieńskiego i rzucił to wszystko na wynurzającą się z lesistej drogi awangardę pierwszego korpusu pod wodzą Łopuchina. Z drugiej strony, przy drodze z Okuniewa wiodącej, skąd miał nadejść korpus (szósty) Rosena, ustawił dywizyą Krukowieckiego, pod olszyną grochowską zaś Skrzyneckiego. Łopuchin, przywitany gradem kartaczy, nie wytrzymał natarcia Szembeka, wojsko jego, rażone krzyżowym ogniem artyleryi polskiej, zasławszy gęstym trupem pobojowisko, pierzchnęło do lasu, tu jednak — nieścigane dalej — doczekało się pomocy.

Przyprowadzili ją Toll i Pahlen; Suchozanet ustawił liczną artyleryą, walka zawrzała nanowo. Mimoto nieprzyjaciel, raz złamany, posunąć się naprzód nie mógł, rozbity i zdziesiątkowany pułk 2-gi strzelców rosyjskich stracił sztandar, pułk czarnomorski odparty, generał Suchozanet i ataman

[1]) A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko-ruska 1831. roku“ (tłumaczenie polskie). Warszawa 1899. Str. 87.

Własów ciężko ranni, ostatni zaledwie, przez żołnierzy swoich odbity, ustąpili z pola walki, i gdyby w tej chwili Chłopicki zdecydował się był na przywołanie dywizyi Krukowieckiego, który oczekiwał Rosena,[1]) mógł korpus Pahlena zupełną ponieść klęskę. Ale Chłopicki, w boju waleczny, sam prowadzący w ogień bataliony, spełniał obowiązki generała korpusu, nie naczelnego wodza. Dywizya Skrzyneckiego i Krukowieckiego przypatrywały się przez trzy godziny blisko bezczynnie nierównej, acz chlubnej walce Żymirskiego i Szembeka z Pahlenem, aż Toll, sprowadziwszy nowe pułki, zmusił zmęczonych kilkugodzinnym bojem strzelców Szembeka i bataliony Żymirskiego do odwrotu. Wreszcie około godziny 12-tej ukazał się drogą od Okuniewa korpus Rosena. Główna jego siła pod dowództwem Włodka spotkała pod Grzybowską Wolą pierwsze bataliony Krukowieckiego i musiała z wielkiemi stratami cofnąć się do lasu. Na huk dział nadbiegł sam Rosen z trzema pułkami piechoty, ale Krukowiecki wysunął natychmiast brygadę Giełguda, za nią ustawił w odwodzie brygadę Małachowskiego i tak, broniąc się wytrwale, nie ustępował ani kroku. Dopiero ogólny atak armii rosyjskiej na prawe skrzydło polskie skłonił Chłopickiego do odwrotu i do zmiany pozycyi, dotąd zajmowanej.

Taki przebieg miała bitwa pod Wawrem; 47 batalionów polskich walczyło tam chlubnie przeciw 78 batalionom rosyjskim, wspartym 252 działami i odpowiednią liczbą kawaleryi,[2]) i gdyby naczelne dowództwo było więcej jednolite, gdyby w głównej kwaterze polskiej istniał był plan jakiś, mógł nieprzyjaciel drogo swoją nieostrożność opłacić. Tak spotkały go tylko z początku niepowodzenia i ciężkie straty. Dybicz w raporcie swoim do cara podaje liczbę zabitych na 517, rannych 2387, wziętych do niewoli 817, razem 3723, w tem 100 oficerów; Polacy stracili 2523 ludzi. Żołnierz polski bił się znakomicie, dowódzcy spełniali wzorowo swoje obowiązki, podpułkownik Piętka z artyleryą dokazywał cudów waleczności, ale przemoc ostatecznie zwyciężyła. Jedna dywizya więcej z naszej strony, a dywizyą tę można było mieć, gdyby nie upór Chłopickiego, spóźniający uzbrojenia, i Dybicz byłby wepchnięty napowrót do lasów. Tak jednak, wystawiwszy 80.000 przeciw 40.000 Polaków, dopiął on po siedmiogodzinnym krwawym boju zamierzonego celu, opanował wyjścia z lasów, zajął dominujące stanowisko i mógł teraz — ściągnąwszy korpus grenadyerów Szachowskiego — do stanowczej przystąpić rozprawy.

W Warszawie bitwa, tocząca się u bram miasta, żywo zaniepokoiła umysły, cała ludność była poruszona, tłumy ciekawych zalegały ulice, wiodące ku Wiśle, a rannych, których przywożono z pola walki, otaczano jak najtroskliwszem staraniem, zaopatrując ich hojnie w pieniądze, żywność i napoje. Sejm zgromadzony uchwalił wśród nieustającego grzmotu dział dwie ustawy: pierwszą o pensyach dla inwalidów, wdów i sierot po poległych, jakoteż o wynagrodzeniu wojskowych, na co przeznaczono 10,000.000 złotych polskich

[1]) Rosen przybył dopiero około południa.

[2]) Siły te obliczone są podług Puzyrewskiego: „Wojna polsko-ruska 1831. roku". Warszawa 1899. Str. 30 i 36.

z dóbr narodowych, drugą stanowiącą, że miejscem zebrania sejmu może być nietylko Warszawa, ale także i każde inne miejsce w kraju i że obrady, zwołane i odbyte tam, gdzie wojska rosyjskie się znajdują, są nieważne. Oba postanowienia władzy prawodawczej odpowiadały ważności chwili i groźnemu położeniu, chociaż pierwsze z nich nie sprawiło wielkiego wrażenia na wojsku. Gdy delegowani rządu odczytali żołnierzom uchwałę sejmową, z szeregów odezwały się chórem głosy: „Dajcie nam wódki i chleba, bo potrzebujemy sił do nowej walki, nie pieniędzy, bo za ojczyznę walczymy“.

Mimo powodzenia w dniu 19. lutego nieprzyjaciel nie zyskał wiele, bo klucz pozycyi grochowskiej, słynna tyle potem olszyna, pozostała w posiadaniu Polaków. Nazajutrz więc, czy to skutkiem przypadkowego starcia się placówek, czy za radą Tolla, czy — co jest rzeczą prawdopodobniejszą — w celu podchwycenia nagłym napadem olszynki, rozpoczęli Rosyanie gwałtowną kanonadę i po całogodzinnej strzelaninie ruszyli do szturmu. Atak od frontu rozbił się jednak o bohaterski opór 4-go pułku, nie powiodło się również obejście od prawego skrzydła, bo 8-my pułk, wsparty brygadą Giełguda, odrzucił masy rosyjskie, a kawalerya Rosena, wysunięta już dla zamaskowania odwrotu, przed kartaczowym ogniem artyleryi polskiej ucieczką ratować się musiała. Dybicz — straciwszy 1620 ludzi, między tem 53 oficerów — przekonał się, że armia polska, niezrażona niepowodzeniem dnia poprzedniego, gotowa jest bronić każdej piędzi ziemi, postanowił zatem czekać na nadejście wyborowego korpusu grenadyerów i wtedy dopiero zadać cios stanowczy upartym „buntownikom“.

Tak nastąpiła czterodniowa przerwa w działaniach wojennych. Dybicz, chcąc widocznie zabałamucić Polaków, nawiązywał niezręcznie układy; generał Witt zaprosił na rozmowę do przednich straży Krukowieckiego, ale pogadanka, jaka odbyła się między nimi dnia 21. lutego, do żadnego nie doprowadziła rezultatu. Rząd polski tymczasem, spełniając swoje obowiązki, uspokajał opinią publiczną w stolicy, opiekował się rannymi, sprowadzał żywność z pomocą i poświęceniem rybaków, umacniał i utwierdzał most, łączący Pragę z Warszawą, a wśród tych zajęć starał się wpłynąć na Chłopickiego, aby dowództwo nad wojskiem objął faktycznie i skorzystał z chwilowego spokoju dla wykonania jakichś ważniejszych operacyj. Ale Chłopicki, jakkolwiek dobrej był myśli, o Dybiczu z lekceważeniem się wyrażał i o ściganiu pobitego nieprzyjaciela marzył, nie dał się do niczego nakłonić. „Za kilka dni — tak mówił do Barzykowskiego — spodziewam się, że będę potrzebował 20.000 nowej piechoty (mógł ją przecież mieć już teraz!), a 30.000 par trzewików dla starej, aby dobrze nogi wyciągać mogła, bo niepofolguję; staraj się więc, aby to wszystko mieć można. Ta olszyna powinna być grobem nieprzyjaciela, o nią, spodziewam się, że rozbiją się jego siły. Gdy zaś go pobiję, wsiądę mu na kark, nie dam chwili odpoczynku, pędzić będę i dlatego pod Brześciem potrzeba mi będzie więcej piechoty, bo w tamtych stronach teatr wojny rozpocząć się musi.“ Wszystko to były refleksye o dwa miesiące spóźnione, ale Chłopicki z właściwym sobie uporem raz chwyciwszy

się jednej myśli, na nic zresztą nie zważał i o niczem innem mówić sobie nie dał. Naprożno przedstawił mu Prądzyński, w pomysłach niewyczerpany, plan nagłego uderzenia na Rosena i rozbicia jego korpusu, naprożno kto inny doradzał wyprawę na oddalony od głównej armii rosyjskiej korpus grenadyerów, który w takich warunkach mógł i powinien był być pobitym, Chłopicki każdej myśli podobnej miał coś do zarzucenia i tak zdawał się być pewnym zwycięstwa, że nie troszczył się nawet o umocnienie zajmowanej pozycyi, co wciągu dni czterech można było wyśmienicie uczynić, jak dowiódł pułkownik Piętka, usypując na własną rękę dla artyleryi naprędce szańce i schroniska. Zmarnowano więc znowu kilka dni i z założonemi rękami przypatrywano się koncentracyi sił nieprzyjacielskich po to chyba, aby mieć sposobność dobrze „się wykropić“. Jakoż nastąpiło to niebawnie. Dybicz doczekał się wreszcie Szachowskiego. Zrana dnia 23. lutego stanął on pod Serockiem, opanował słabo broniony most na Bugu i nazajutrz przybył do Nieporętu. Tu doszedł go rozkaz, aby zatrzymał się na miejscu. Zamiarem Dybicza było bowiem, zwróciwszy wojska swoje frontem do lewego skrzydła polskiego, wykonać wzmocnionym korpusem Szachowskiego atak główny i odciąć armię polską od Pragi. Ale Szachowski, czy to że rozkaz otrzymał za późno, czy też że raz puściwszy się w pochód ku Białołęce, wcale nie miał ochoty wracać lub zastanawiać się, zwłaszcza, że jazda Jankowskiego go zaczepiła, ruszył w obranym już kierunku i popołudniu dnia 24. lutego uderzył na Białołękę. Wioskę tę, wysuniętą na kraniec lewego skrzydła polskiego, zajmował z brygadą swoją Małachowski. Żołnierz kościuszkowski, stary legionista, przywykły mierzyć się z nieprzyjacielem, mimo ogromnej przewagi Szachowskiego (miał on 22 bataliony piechoty, 14 szwadronów i 58 dział[1]) postanowił stawić mu czoło. Wywiązała się stąd pierwsza potyczka pod Białołęką, która — jak łatwo przewidzieć można było — skończyła się po bohaterskim oporze dwóch pułków polskich odwrotem brygady Małachowskiego. Chłopicki, przenikając plan Dybicza, teraz w domysłach swoich utwierdzony pojawieniem się Szachowskiego pod Białołęką, polecił generałowi Krukowieckiemu, aby ze swoją dywizyą pozostał na straży drogi, wiodącej z Jabłonny ku Pradze, a więc tam, gdzie zatrzymała się brygada Małachowskiego, i chociaż pojmany w nocy pisarz z kancelaryi Szachowskiego zeznał, że korpus grenadyerski ma rozkaz połączyć się z główną armią rosyjską, nic w pierwotnem swojem poleceniu nie zmienił.[2])

W głównej kwaterze rosyjskiej wywołała potyczka pod Białołęką wielki niepokój. Dybicz, niewiadomo dobrze z jakiego powodu, uważał pierwotny plan swój za zwichnięty, obawiał się, aby Szachowskiego, który z korpusem swoim wisiał niejako w powietrzu, nie napadnięto przeważającemi siłami i nie zniesiono, i wysłał mu w nocy rozkaz, aby się w miejscu zatrzymał i walki nie wszczynał, gdyby go zaś zaczepiono, natenczas armia główna uderzy z frontu na nieprzyjaciela.

[1]) Puzyrewski oblicza siły jego na 10.700 ludzi i 48 dział, my na podstawie liczb, podanych przez niego („Wojna polsko-ruska 1831. roku“), doszliśmy do wyżej wymienionych rezultatów.

[2]) Objaśnienie co do bitwy pod Białołęką generała Feliksa Breańskiego u K. Forstera: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831.“ Str. 29.

Słowo w słowo prawie podobne polecenie dał także Chłopicki Krukowieckiemu, a jednak mimoto przyszło nazajutrz do walki. Szachowski bowiem, wyobraziwszy sobie, że cała armia polska zwróciła się przeciw niemu, postanowił opuścić Białołękę i drogą na Marki szukać połączenia z Dybiczem. W tym celu wcześnie zrana dnia 25. lutego zaczął robić przygotowania do odwrotu i wyjechał ze sztabem swoim za Białołękę, aby rozpoznać stanowiska nieprzyjacielskie. „Krukowiecki — jak się wyraża Barzykowski — z natury ruchliwy, czynny i żywy, lękając się napadu, wcześnie swojemu wojsku za broń ująć kazał“, a widząc przed sobą rekonesans rosyjski, spędził go kilkoma strzałami armatniemi, poczem Szachowski wrócił do Białołęki i odwrót rozpoczął, dla zasłonięcia zaś tego wstecznego ruchu wysunął naprzód pułk strzelców, kawaleryą Sackena i bateryą dział, która otworzyła kanonadę. Tak zaczepiony Krukowiecki nie wahał się dłużej i uderzył na nieprzyjaciela, a że Szachowski miał przeprawę trudną, przez wąską, leśną drożynę, więc korzyść była po naszej stronie, pułk 5-ty, ścigając natarczywie straż tylną rosyjską, zdobył na niej trzy działa, porucznik Brzozowski zaś raził mocno ogniem armatnim ustępujące spiesznie bataliony grenadyerskie. W tej chwili jednak, około godziny 10-tej, nadjechał z głównego sztabu pułkownik Turno z ostrzeżeniem od naczelnego wodza, aby Krukowiecki zanadto się nie oddalał od nakazanej mu pozycyi, gdyż, stosownie do odebranych wiadomości, nieprzyjaciel ma zamiar przedrzeć się traktem na Jabłonnę ku Pradze, dla wzięcia tyłu naszemu wojsku, pod Grochowem stojącemu, na co Krukowiecki oświadczył, że dalszy atak wstrzyma i w Białołęce będzie oczekiwać następnych rozkazów.[1])

Grzmot dział pod Białołęką przeraził Dybicza. W przekonaniu, że Szachowski jest napadnięty przez przeważające siły, kazał on przerwać rozpoczęte właśnie nabożeństwo i uderzyć — jak zapowiedział — od frontu na armią polską. Siły, jakiemi rozporządzał, wystarczały do tego zupełnie, bo miał on bez korpusu Szachowskiego mniej więcej około 80.000 ludzi i 200 dział, po połączeniu zaś z grenadyerami liczył 98.000 ludzi i 258 armat. Przeciw tej potędze stała armia polska, złożona z 21.550 piechoty i 7500 jazdy, a więc 29.050 głów i 82 działa, a razem z dywizyą Krukowieckiego około 42.000 ludzi i 106 armat.

Nieprzyjaciel zajmował nadto pozycyą dominującą i oparty był o lasy, gdzie wrazie porażki mógł znaleść bezpieczne schronienie. Armia polska przeciwnie stała na przestrzeni zewsząd otwartej, za sobą miała rzekę, wolną po większej części już od lodów i jeden most słaby, po którym trzeba było na wypadek klęski uskutecznić odwrót do Warszawy. Prowizoryczne obwarowania Pragi, małej podówczas mieściny (4000 mieszkańców), dawały tylko niedostateczną obronę. Jedyną przeszkodą dla przemożnego nieprzyjaciela stanowić mogły rowy, w rozmaitych kierunkach przekopane dla osuszenia okolicznych bagnisk, mały lasek olszowy, będący kluczem pozycyj polskich i wreszcie na

---

[1]) Zeznanie pułkownika Turno u K. Forstera: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831 roku“. Str. 38. — Zarzuty Barzykowskiego (t. II, str. 378) nie mają zatem żadnej podstawy.

prawem skrzydle moczary gosławskie, sięgające aż do brzegów Wisły. Rozważywszy te niekorzystne okoliczności, proponował Chłopicki na radzie wojennej, zwołanej wieczorem dnia 24. lutego, aby bitwy nie staczać, lecz za Wisłę się cofnąć i dalszych oczekiwać wypadków. Większość odrzuciła to zdanie w tem przekonaniu, że honor wojska nie pozwala na dalsze cofanie się i że nieprzyjacielowi koniecznie u bram stolicy należy stawić czoło. Chłopicki, jakkolwiek uparty, nie sprzeciwiał się uchwale i — zamianowany dowódzcą pierwszej linii bojowej — zajął się natychmiast przygotowaniem do bitwy. Na prawem skrzydle, opartem o bagna gosławskie, postawił dywizyą Szembeka, pułk grenadyerów i nowy pułk 20-ty z dwoma bateryami artyleryi podpułkownika Piętki i Najmanowskiego umieścił pod Grochowem, strzelcy celni Kuszla zajęli zarośla gosławskie. Środek stanowiła dywizya Żymirskiego w olszynie, na lewo od niej rozwinął się Skrzynecki, za nim Umiński z dwoma dywizyami jazdy pilnował drogi od Marków i Ząbków i łączył główną armią z dywizyą Krukowieckiego, która — stojąc pomiędzy Białołęką i Brudnem — tworzyła lewe skrzydło. Reszta jazdy z rezerwową artyleryą, rozciągnięta w szachownicę poza dywizyą Szembeka aż do okopów pragskich, pod dowództwem Łubieńskiego, była jedyną naszą rezerwą. Naczelny wódz ze sztabem swoim miał wyznaczone miejsce niedaleko Pragi, koło żelaznego słupa; Chłopicki, ubrany po cywilnemu, stał z początku przy bateryi podpułkownika Piętki.

Bitwa rozpoczęła się około godziny 9-tej zrana. Na odgłos strzałów pod Białołęką zerwał się. Dybicz, zagrały wszystkie działa rosyjskie i Rosen uderzył z 24-tą dywizyą swoją na olszynkę, odepchnięty jednak bagnetem i rażony celnym ogniem artyleryi polskiej po dwukrotnym ataku, nic niezdziaławszy, musiał się cofnąć. Feldmarszałek, zdziwiony i rozgniewany, wsparł uciekających dywizyą 25-tą, posłał dywizyą 23-cią grenadyerów, na lewo rozwinął jazdę i całą tę masę pchnął ponownie w olszynę. Zaczął się bój zaciekły, Moskale docierali do rowu, przerzynającego w środku lasek, po trzykroć, chcąc go przebyć i po trzykroć zostali odparci, w tem padł ugodzony kulą działową Żymirski. Śmierć dowódzcy sprawiła zamięszanie w szykach polskich, nieprzyjaciel zdobył olszynę. Wtedy wysłał Chłopicki dywizyę Skrzyneckiego w ogień. Naprzód postępował pułk 4-ty pod wodzą Bogusławskiego, obok niego pułk 8-my, za nimi brygada Andrychiewicza. Bez strzału, chociaż zasypywani gradem kartaczy, posuwali się nasi i po trzykrotnym ataku wyrzucili bagnetem nieprzyjaciela z olszyny. Dybicz nakazał trzeci atak; prowadzili go generałowie Toll i Neidhardt na czele wyborowych pułków, wśród szeregów polskich stanął Chłopicki, powitany pieśnią „Jeszcze Polska nie zginęła“, sam wiódł wogień bataliony i wołając „tam, tam“, wskazywał na działa rosyjskie. Żołnierz, zagrzany obecnością wodza, rzucił się na bagnety, kolumnę Neidhardta rozbił, cztery działa wziął, nieprzyjaciel uszedł w popłochu. Równocześnie odparł Skrzynecki dywizye Tolla, w wojsku rosyjskiem wszczęło się zamięszanie, zrozpaczony Dybicz wołał do otaczających go oficerów: „Czyż to nie wstyd, że lasku tego zdobyć nie możemy? Teraz nadeszła chwila, w której winniśmy sami nieść siebie w ofierze“ i, spiąwszy konia, rzucił się pomiędzy uciekające

tłumy, krzycząc: „Dokąd wy, wszak nieprzyjaciel tam“. Upomnienie feldmarszałka nie skutkowało wiele, zwrócili się wprawdzie grenadyerzy Freiganga i batalion karabinierów, których sam Dybicz wiódł, ale z drugiej strony stanął Chłopicki na czele pułku grenadyerów i — nakazując Szembekowi uderzyć z boku, a Łubieńskiemu z jazdą zająć stanowisko między drogą bitą a olszyną — rzucił się dla ostatecznego przełamania linii nieprzyjacielskiej w sam jej środek, a zwróciwszy się do sztabu swego, wołał: „Te działa — tu wskazał na bateryą rosyjską, przy drodze okuniewskiej ustawioną — będą nasze,

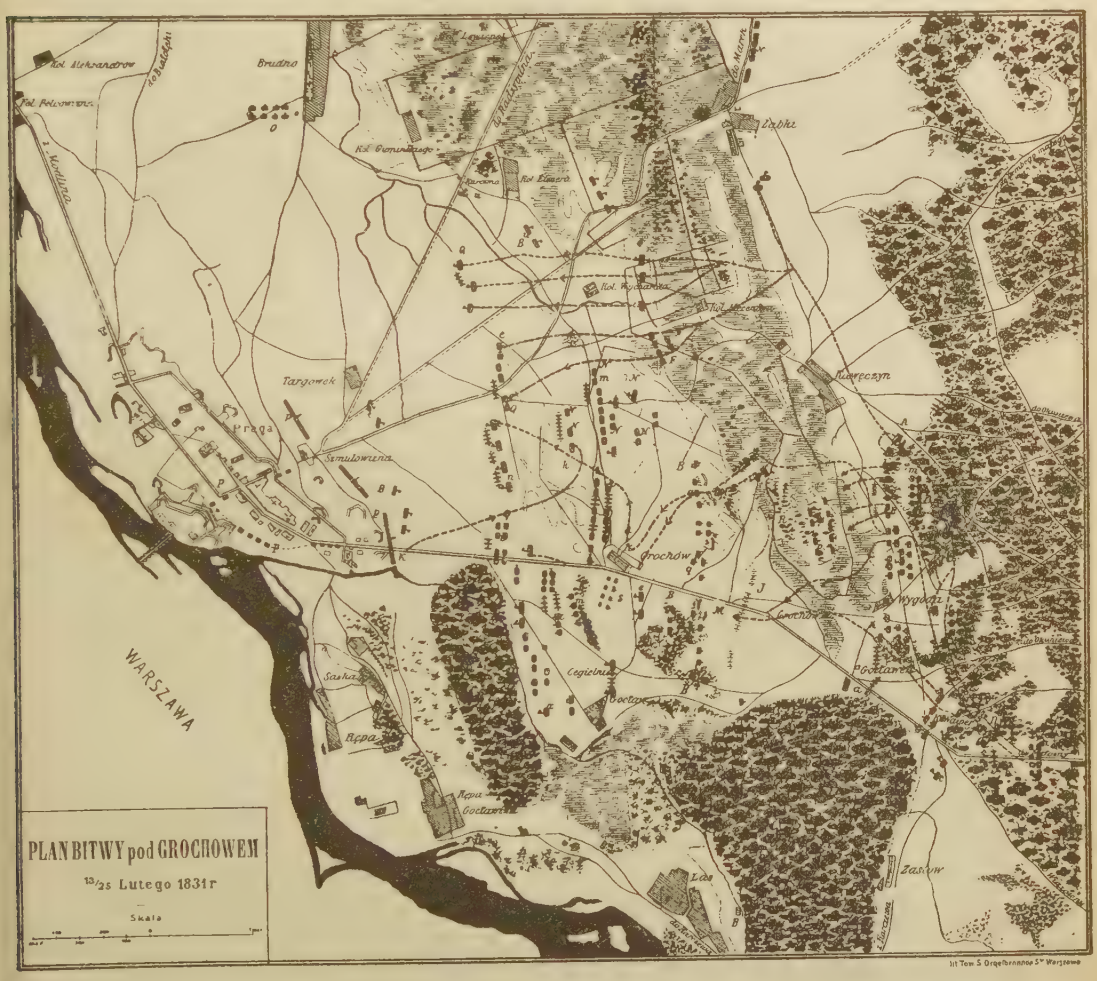

a później mam nadzieję, iż zwycięstwo będzie przy nas“. Ale w tej chwili padł granat i pękając, zabił konia pod Chłopickim, a jego samego zranił w obie nogi.

Podniesiony z ziemi, objechał on jeszcze szeregi w powozie, ale chwila zapału już minęła, zachwiały się szyki niezwalczone dotąd, armia została bez wodza w najkrytyczniejszym momencie, Szembek nie wykonał uderzenia, Łubieński odpowiedział adjutantowi Chłopickiego, że nie prędzej ruch wskazany uczyni, aż będzie miał rozkaz od samego naczelnego wodza... wszystko

się zastanowiło, rozprzęgło. Nieprzyjaciel zdziwiony miał czas ochłonąć z przerażenia, Dybicz nakazał nowy atak na całej linii i po krwawym, morderczym boju zdobył zawaloną trupami olszynę. Armia polska, zmęczona siedmiogodzinnem nadludzkiem prawie wysileniem, zwijała przerzadzone swoje szeregi, a każdy z dowódzców podług własnego swego rozumienia wydawał rozkazy i zajmował stanowiska. Radziwiłł, chwiejny i wahający się, zamierzał — stosownie do podanej sobie rady — oddać dowództwo pierwszej linii bojowej Skrzyneckiemu, ale na uwagę Prądzyńskiego, że Szembek jest w randze starszym, posłał po Szembeka. Szembek tymczasem w dniu bitwy grochowskiej zawiódł zupełnie pokładane w nim nadzieje, zachowywał się miękko, w walce udziału prawie nie brał, rozkazu Chłopickiego nie wykonał, obecnie nawet znaleść go nie było można. Armia była zatem bez wodza, podczas gdy nieprzyjaciel do ostatniego, stanowczego gotował się ciosu, gdy Dybicz za radą Tolla postanowił gwałtowną szarżą kawaleryi złamać zachwiane szyki polskie i opanować Warszawę.

W tym celu zgromadził on 18 pułków jazdy, Pahlenowi kazał się posunąć z piechotą do Grochowa, z dział wszystkich uderzył nagle i całą potęgą ruszył ku Pradze. Atak rozpoczął się od prawej strony olszyny, tam, gdzie stały dywizye Skrzyneckiego i Żymirskiego; konna artylerya pod Gerstenzweigem torowała drogę. Tu jednak spotkali ułani rosyjscy pułk 4-ty, który ich przyjął rzęsistym ogniem karabinowym i zmusił do szybkiego odwrotu. Lepiej powiodło się dywizyi huzarów na prawem skrzydle naszem. Pułki Szembeka w nieobecności swego dowódzcy, którego dotąd odszukać się nie udało, pierzchły ku Pradze, rzucając się nawet na lody Wisły i szerząc w mieście popłoch i przerażenie. Główne uderzenie jednak odbyło się wśrodku; szło tu pięć wyborowych pułków jazdy, na czele pułk kiryssyerów księcia Alberta, z rozkazem, „nie zatrzymać się aż pod wałami Pragi“. Jak huragan pędzili oni wśród gradu kartaczy, które sypała artylerya polska, kapitan Skalski zajechał im drogę z bateryą rakietników, rzucał pociski, wszczęło się zamięszanie, konie przestraszone iść nie chciały, część jazdy zatrzymała się, ale niezachwiani kiryssyerzy dosięgli błoń pragskich. Na ten widok popłoch ogarnął wszystko, parki, wozy z rannymi i amunicyą uciekały na Pragę, na moście panował tłok i zamięszanie, kasztelan Ostrowski, naczelnik gwardyi narodowej warszawskiej, człowiek szerokiej gęby a małego ducha, w generalskim mundurze, pędził co koń wyskoczy przez ulice miasta, wołając: „Zamykajcie sklepy, Moskale idą“ — wszczął się prawdziwy dzień sądny. Tymczasem na błoniach pragskich wzięły rzeczy inny obrót. Rozhukanym kiryssyerom zabiegł koło żelaznego słupa drogę Kicki na czele 2-go pułku ułanów i dwóch szwadronów pułku Zamoyskich, uderzył na nich i po krótkiej walce rozbił zupełnie. Prowadzący szarżę, podpułkownik Zon, ciężko raniony, dostał się do niewoli, połowa pułku zginęła, inni weszli wprawdzie do Warszawy, ale jako jeńcy. W tej chwili pojawił się od Kawenczyna nareszcie Szachowski ze swoimi grenadyerami, Dybicz kazał żołnierzom złożyć tornistry i rzucił tę nową masę do Grochowa, aby dokonać zwycięstwa. Równocześnie jednak na drodze od Jabłonny wysunęła się dywizya Krukowieckiego, która w bitwie

udziału nie brała, i zajęła stanowisko na wysokości gór Szmulowskich. Feldmarszałek więc, z natury nie bardzo przedsiębiorczy, zastanowił atak grenadyerów i na tem skończył swoje działanie w dniu 25. lutego.

Krukowiecki strawił dzień cały bezczynnie, strzegąc — tak jak mu nakazano — traktu od Jabłonny. Nieotrzymawszy żadnych nowych poleceń od naczelnego wodza,[1]) podejrzywany nadto w kołach rządowych, nie mógł on samowolnie opuszczać wskazanego sobie stanowiska, ale około godziny 2-giej cofnął swoją dywizyę do Targówka, aby się zbliżyć do głównego pola walki. Wkrótce potem przybył generał Dziekoński z wiadomością o zranieniu Chłopickiego i o wzięciu olszyny. Wtedy wysłał Krukowiecki brygadę Giełguda do rozporządzenia naczelnego wodza, ale Giełgud otrzymał w drodze dwa sprzeczne rozkazy od Radziwiłła i skutkiem tego musiał wykonać dwa marsze, ku Ząbkom i wstecz, tak, że dopiero około godziny 5-tej pojawił się na lewem skrzydle Umińskiego i ogień artyleryi swojej skierował na postępującego ku Pradze nieprzyjaciela. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że właśnie owo pojawienie się dywizyi Krukowieckiego u schyłku dnia i noc zapadająca powstrzymały Dybicza od dalszego ataku na Pragę. Jakoż odtąd i przerażenie, jakie z początku ogarnęło umysły, zaczęło zwolna ustawać, wojsko przechodziło przez most w porządku, bez ścisku i zbytniego pospiechu, zajmując wskazane sobie stanowiska tak spokojnie, że nazajutrz mało kto z mieszkańców Warszawy o tem wiedział.[2]) Brygada Małachowskiego, należąca do dywizyi Krukowieckiego, pozostała na Pradze.

Taki był przebieg bitwy pod Grochowem i jeżeli najnowszy historyk (rosyjski[3]) tej wojny twierdzi, że „wojska stron obu okryły się tam niezaprzeczoną sławą męstwa i dzielności“, to stosuje się to orzeczenie przedewszystkiem do armii polskiej, która z nieustraszoną odwagą, pogardą śmierci i bohaterstwem odpierała przez dzień cały, w znacznej części zwycięsko, natarczywość dwa razy silniejszego nieprzyjaciela. Los olbrzymiej walki zdecydował też nie oręż rosyjski, lecz prosty przypadek. Granat, pękający pod koniem Chłopickiego, pozbawił wojsko polskie wodza w chwili najkrytyczniejszej, kiedy zwycięstwo na naszą zdawało się przechylać stronę. Kapryśny, uparty, najniedołężniejszy aż dotąd wódz powstania, odzyskał Chłopicki na polu walki, wśród dymu i huku dział, wrodzoną sobie energią i taktyczne zdolności, obroną kierował dzielnie, osobistą odwagą imponował, bezbronny, w cywilnem ubraniu, stojąc spokojnie pod gradem kul, porywał żołnierzy, sam prowadził w ogień bataliony i tem zachowaniem się zmazał wielką część winy, jaka na nim ciężyła. Umysł żołnierski, opierający szanse powodzenia na ilości bagnetów i dział, uwierzył w końcu w zapał i siły narodu, ale uwierzył za późno.

---

[1]) Tak twierdzi generał Breański (K. Forster: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831. roku“), wtedy szef sztabu Krukowieckiego. — „Objaśnienia“ Breańskiego były czytane na posiedzeniu Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu 6. listopada 1865. roku i dotąd — o ile wiemy — nikt im niezaprzeczył. Upadają więc wszelkie oskarżenia, wytoczone przeciw Krukowieckiemu przez Barzykowskiego.

[2]) K. Forster: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831“. Str. 34.

[3]) A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko-ruska 1831. roku“. Warszawa 1899. Str. 119.

„Nie miałem dosyć zaufania w wojsku naszem — mówił, leżąc ranny w łóżku, do Chłapowskiego — tak szli na bagnety, że można było wszystko pobić. A widziałeś ty regiment 20-ty? Chłopi z kosami stali w ogniu, jak stara armia francuska. Nie miałem wyobrażenia, żeby żołnierze, którzy jeszcze nie byli na wojnie, tak szli naprzód, jak nasi“. A w późnej starości, kiedy się przechadzał po Krakowie, rzekł, patrząc na mogiłę Kościuszki: „I ja mogłem mieć podobną“; tak, miałby był wspanialszą jeszcze, bo usypaną rękami niepodległej Polski.

Skrzynecki wodzem. — Dyplomacya i układy. — Zwrot Dybicza. — Plan Prądzyńskiego. — Rozbicie Geismara pod Wawrem. — Bitwa pod Dębem Wielkim. — Iganie. — Fabiusz Kunktator. Wśród powszechnego przygnębienia i potrwożenia umysłów w stolicy zachował rząd pochwały godny spokój i determinacyą. Rozwinąwszy energiczną czynność, postarał się o pomieszczenie rannych, o żywność dla wojska, a co najważniejsza na duchu nie upadł i natychmiast zajął się obmyślaniem dalszych środków obrony. Rada wojenna, zwołana o godzinie 4-tej zrana dnia 26. lutego, była burzliwa i smutny przedstawiała widok. Generałowie wogóle, przygnębieni wypadkami dnia wczorajszego, okazywali skłonność do układów, przemawiał w tym kierunku mianowicie Szembek, a popierał go Łubieński. Szembek radził twórców powstania opatrzeć pieniądzmi na drogę i wydalić czemprędzej zagranicę, poczem gotów był udać się sam do Dybicza i do wielkiego księcia Konstantego i uzyskać od nich przystępne warunki. Tej małodusznej i desperackiej radzie sprzeciwił się stanowczo Czartoryski i członkowie rządu. Zapadło więc postanowienie, aby wojnę prowadzić dalej i na tem tle wywiązała się dyskusya, dotykająca najdrażliwszej kwestyi: naczelnego dowództwa. Pierwszy zabrał głos Skrzynecki; mówił w tonie ostrym, dotkliwym, chwilowo wpadał w patos nienaturalny, a pociski swoje kierował głównie przeciw Radziwiłłowi, chociaż wiedział dobrze, że ten do przyjęcia buławy był zmuszony i sam otwarcie do nieudolności się przyznawał. Ale Skrzyneckiemu chodziło nie o rzecz, lecz o skutek, on pragnął się pozbyć wodza natychmiast, aby — korzystając z ogólnego popłochu i zwątpienia — wybór na siebie skierować. W tej myśli przygotowywał już od dni kilku zręcznie grunt dla swoich ambitnych zamiarów, pozyskał sobie Prądzyńskiego i przez niego wpływał na członków rządu. Dnia 20. lutego, gdy Barzykowski pojawił się na polu bitwy, zapoznał go ze Skrzyneckim,[1]) który — wskazując na Radziwiłła i Chłopickiego — rzekł: „Ci panowie, jeżeli dłużej w ten sposób komenderować będą, zgubić nas muszą. Mnie do Warszawy udać się nie wolno, lecz, jeżeliby jutro bitwy być nie miało, upraszam księcia Czartoryskiego i pana, abyście tutaj przybyć zechcieli, a ja uczynię doniesienia, które mi zrobić interes ojczyzny i powinność nakazują“.

Nazajutrz rzeczywiście Czartoryski z Barzykowskim i sekretarzem Plichtą przyjechali do obozu. Skrzynecki bezwzględnie i namiętnie skrytykował dotychczasowy sposób prowadzenia wojny. „Bijemy się — mówił — ale bez

[1]) Charakterystycznem dla stosunków jest, że podpułkownik Prądzyński członka rządu „prezentował“ generałowi dywizyi (Barzykowski: t. II, str. 345).

planu, bez związku, zmarnowaliśmy czas, opuściliśmy bez walki korzystne pozycye i nie skorzystaliśmy z grubych błędów nieprzyjaciela. Przyczyną wszystkiego złego jest to, że nie mamy wodza naczelnego". Długą tyradę swoją zakończył zapewnieniem, że nie działa z prywaty ani z nienawiści, lecz przez miłość ojczyzny, dla dobra sprawy narodowej, a — wskazując na Prądzyńskiego — dodał: „Zresztą ten oficer, pełen zdolności, a najbliższy świadek całej czynności naszej głównej kwatery, niech powie, czy wszystko, co doniosłem, nie jest najświętszą prawdą". Wtedy Prądzyński, który — jak nie trudno odgadnąć — dał początek całej tej robocie, potwierdził w zupełności zarzuty Skrzyneckiego, a gdy Czartoryski zwrócił uwagę obu, że wrazie ustąpienia Radziwiłła i Chłopickiego dowództwo ze starszeństwa przejdzie na Krukowieckiego, Skrzynecki, pełen oburzenia, nazwał generała tego „tchórzem" i „intrygantem" i oświadczył się stanowczo przeciw niemu, Prądzyński zaś, korzystając z chwili, podniósł już wyraźnie kandydaturę Skrzyneckiego. Tak więc na trzy dni już przed ową radą wojenną po bitwie grochowskiej była kwestya nowego dowództwa pod pewnym względem rozstrzygnięta. Głos Prądzyńskiego, który w ostatnich czasach niepospolite okazał zdolności, wywarł niewątpliwie wpływ znaczny na Czartoryskiego i jego towarzyszy. Jeżeli on zalecał jedynie Skrzyneckiego i o jego zdolnościach z uznaniem się wyrażał,[1]) to członkowie rządu, a jeszcze bardziej wojskowi musieli nareszcie tym zapewnieniom uwierzyć.

Stało się więc, że gdy Radziwiłł, dotknięty wyrzutami Skrzyneckiego, złożył naczelne dowództwo i członkowie rady wojennej przystąpili do głosowania, Umiński, naradziwszy się poprzednio z Prądzyńskim i Chrzanowskim, pierwszy dał głos Skrzyneckiemu, a za jego przykładem poszli inni, nie wyjmując Krukowieckiego, który oświadczył krótko, że i „dobosza słuchać będzie". W ten sposób dokonano głównie za staraniem Prądzyńskiego wyboru, o którym on sam w pięć miesięcy później powiedział, że był „nieszczęsnym, zgubnym dla naszej sprawy, dla samego generała Skrzyneckiego fatalnym".[2]) Wina jednak spada w części tylko na niego, głównie zaś na rząd. Członkowie rządu, przyjąwszy na siebie trudny i ciężki obowiązek kierowania sprawą narodową, powinni byli przedewszystkiem rządzić sami, a nie zwoływać sejmiki i najważniejsze kwestye rozstrzygać głosowaniem tych, co słuchać, a nie rozkazywać mieli. Konwent francuski usuwał lub mianował generałów według własnego zdania, u nas, aby się zasłonić od odpowiedzialności, powoływano do narady wojskowych, rozpolitykowano w ten sposób armią, potworzono pomiędzy oficerami stronnictwa, zaostrzono osobiste antagonizmy i podkopano ostatecznie karność, bez której najzdolniejszy wódz z licznem nawet wojskiem nic pożytecznego zdziałać nie jest w stanie. Jeżeli postępowanie rządu i sejmu w sprawach wojskowych od początku było błędne, to po bitwie grochowskiej staje się wprost niezrozumiałem. Rząd miał wtedy

[1]) Barzykowski: t. II, str. 347.

[2]) „Uwagi generała Prądzyńskiego nad ówczesnym stanem rzeczy w Polsce", ogłoszone w „Dzienniku Powszechnym", później u K. Forstera: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831", str. 75.

przed sobą dwie drogi: albo trzymać się prawa starszeństwa, tak, jak dotąd czynił i naczelne dowództwo oddać Krukowieckiemu, albo powierzyć buławę temu, co się w obecnej wojnie najwięcej odznaczył. W drugim wypadku dowództwo należało się niewątpliwie Dwernickiemu. Odniósł on dwa nie wielkie wprawdzie, ale świetne zwycięstwa, dowiódł, że umie być czynnym, energicznym i śmiałym, że wierzy w siły narodu i powodzenie powstania. Sam rząd, wynagradzając jego zasługi, mianował go generałem dywizyi; ze starszeństwa więc zarówno jak i z czynów sądząc, był Dwernicki najodpowiedniejszym na naczelnego wodza kandydatem. Jego współzawodnik (Skrzynecki) odznaczył się także — jak mówiono — pod Dobrem i pod Grochowem, ale obie te bitwy były odporne, skończyły się odwrotem naszym, a Skrzynecki nie miał sposobności okazać przytem jakiegoś wyższego uzdolnienia. Spełniał rozkazy naczelnego wodza, dał dowody osobistej odwagi, ale w tem nie było ani zasługi szczególnej, ani żadnej wyższości umysłowej. To samo, co on, może jeszcze lepiej, wykonałby był Bogusławski, Roland, Milberg, Andrychiewicz, nawet nieudolny Giełgud, że pominiemy Chłapowskiego, Dembińskiego, Kickiego, Rybińskiego i tylu innych, którzy mogli być wzorem odwagi i męstwa. Obok tego jednak miał Skrzynecki — o czem wiedzieli albo powinni byli wiedzieć członkowie rządu — w kołach wojskowych opinią wcale nie szczególną, przeszłość w owych czasach bardzo pospolitą, nie wyróżniającą go niczem od całej plejady napoleońskich oficerów, i nieposiadał żadnego wykształcenia teoretycznego. Urodzony w r. 1786. w Galicyi, odbył szkoły klasyczne we Lwowie, w r. 1806. wstąpił do wojska polskiego, w trzy lata potem został kapitanem w 16-tym pułku piechoty (formacyi księcia Konstantego Czartoryskiego), odbył w tym stopniu kampanią moskiewską, awansował na szefa batalionu, w roku 1814. dowodził batalionem w bitwie pod Arcis sur Aube, gdzie Napoleon przed natarciem jazdy nieprzyjacielskiej schronił się do jego czworoboku. Ta okoliczność, przypadkowa zresztą, i rana, jaką przytem odniósł, zyskała mu pewną sławę. Został więc kawalerem krzyża wojskowego polskiego i oficerem legii honorowej, a po nowej organizacyi armii dowodził batalionem grenadyerów gwardyi, później (od roku 1819.) jako pułkownik 8-mym pułkiem piechoty. Wskutek jakiegoś sporu służbowego w wielkim księciem Konstantym stawiony pod sąd i uwolniony, utracił Skrzynecki względy carewicza, który — przedstawiając go cesarzowi Aleksandrowi — rzekł: „Oto ten pułkownik wie lepiej, co piszą gazety francuskie, niż co się w jego pułku dzieje“.

I trzeba przyznać niestety, że w słowach tych była wprawdzie ironia, ale nie było przesady. Posłuchajmy bowiem, jak charakteryzuje Skrzyneckiego bardzo zdolny oficer, przez niego samego wysoko ceniony, generał inżynieryi Kołaczkowski: „Skrzynecki — pisze on — dotąd nie wzniósł się nad regulamin piechoty, stosunku trzech broni nie znał wcale, o użyciu jazdy i artyleryi nie miał wyobrażenia, o sztuce poruszania mas jeszcze mniej, zgoła żadnych wiadomości wojskowych wyższych nie posiadał. Historya wojen była mu zupełnie obcą, nawet tych, w których brał niegdyś tak czynny udział. Zamiast kształcenia się w swojem rzemiośle, poświęcał wolne od służby chwile

bezowocnym religijnym i politycznym polemikom, w których nieraz dowody dawał zawziętości charakteru, drażliwości i uporu niezmiernego.“[1]) Z umysłem tak ciasnym i ograniczonym łączyła się u niego skłonność do wygód i sybarytyzm, rozwinięta do tego stopnia, że dla snu i dobrego obiadu gotów był poświęcić wiele, opuścić najważniejszą radę wojenną,[2]) opóźnić, jak pod Dębem Wielkim, ściganie rozbitego Rosena, zaspać, jak pod Iganiami, zniesienie doszczętne całego korpusu nieprzyjacielskiego. Wszystkie te wady i ułomności pokrywała jednak powierzchowność imponująca, piękna postawa i kwiecista wymowa.

„Ten Apicius — jak się wyraża generał Kołaczkowski — co z kucharzem długie odbywał narady względem najlepszej przyprawy do sandacza“, umiał górnolotnemi słowy chwytać za serce słuchaczy, pobożnością wielką jednać sobie naiwne umysły, znajomością spraw politycznych zdumiewać statystów. W stosunku z podwładnymi przykry i stąd w wojsku nielubiany, miał Skrzynecki jeden przymiot, który go osobom w rządzie będącym mógł zalecać, był politycznie umiarkowanym, podczas gdy Krukowiecki i Dwernicki przechylali się więcej na stronę Towarzystwa patryotycznego i uważani byli za zbyt gorących i rewolucyjnie usposobionych. Krukowieckiemu zarzucano nadto skłonność do pokątnych intryg, Dwernickiemu słabość charakteru, a chociaż zarzuty te nie są poparte dowodami, to okoliczność, że do korpusu Dwernickiego po bitwie pod Stoczkiem udali się członkowie Towarzystwa patryotycznego, wystarczała zupełnie,[3]) aby go w oczach rządu uczynić podejrzanym i wykluczyć z wszelkich kombinacyj przy wyborze naczelnego wodza. Dla zachowania pozorów odwołano się do zdania wojskowych, o których wiedziano dobrze, za kim głosować będą i na tej powadze oparłszy swoje działanie, w rzeczy samej nieprawne, bo nominacya wodza naczelnego należała do sejmu, oddano buławę hetmańską najmniej do tego uzdolnionemu, ale umiarkowanemu, a sejm wśród ogólnego popłochu uchwałę rządu zatwierdził. Tak na nieszczęście powstania i Polski został wodzem Skrzynecki. Położenie, w jakiem władzę tę obejmował, było niezaprzeczenie trudne, ale bynajmniej nie rozpaczliwe. Zwątpieniu podlegały tylko umysły trwożliwe, lub ci, co mieli przesadne o siłach rosyjskich wyobrażenie, a więc garść mieszczaństwa warszawskiego, krzykacze w rodzaju Gurowskiego, tajni zwolennicy Moskwy, starsi oficerowie, a z młodszych tacy, jak Chrzanowski, który, biorąc udział w kampanii tureckiej, z wielkim respektem wyrażał się o zdolnościach Dybicza i o jego wojsku. Ogół narodu, a przedewszystkiem żołnierz inaczej sprawę tę pojmował, w statystyczne obliczenia sił się nie bawił, a po bitwach, stoczonych dotąd, nabrał zaufania w siły własne, przeciwnika się nie lękał, a ożywiony najlepszym duchem, gotów był do dalszych dla ojczyzny poświęceń. Straty, poniesione przez armią polską, były wprawdzie znaczne i dotkliwe.

[1]) Podobnie oceniał Skrzyneckiego — prawda, że poniewczasie — Prądzyński w swoim „Pamiętniku roku 1831“.

[2]) Wobec tego zdania pisze T. Morawski („Dzieje narodu polskiego“, t. VI, str. 351) o „cenionym poprzednio talencie wojennym Skrzyneckiego“.

[3]) Barzykowski: T. II, str. 311.

Z szeregów ubyło 10.000 starych, po większej części i doświadczonych żołnierzy, ale z tego 4000 mogło po kilku tygodniach stanąć już pod bronią, luki zaś pozostałe wypełniły natychmiast nowo utworzone bataliony. Nazajutrz po bitwie grochowskiej przyprowadził Henryk Dembiński do Warszawy 9-ty i 10-ty pułk piechoty, zorganizowany w województwie krakowskiem w sile 7000, w parę dni później przybyły pułki z województwa kaliskiego i podlaskiego, ludzi zatem nie brakowało, a chociaż to był żołnierz nowy, to dowiódł już pod Grochowem i Stoczkiem, że pod względem męstwa weteranom nie ustępuje. Nie mieliśmy wprawdzie podostatkiem broni, bo granica austryacka i pruska były szczelnie zamknięte, jazda nieliczna, zaopatrzona w konie na pozór okazałe, w rzeczy samej słabe i niewytrwałe, ustępowała kawaleryi rosyjskiej, ale i te niedostatki można było przy usilnem staraniu w krótkim czasie zapełnić, zwłaszcza, że nieprzyjaciel, walcząc także z wielkiemi trudnościami, dalszych działań wojennych narazie zaniechał. I armia nieprzyjacielska bowiem poniosła także straty dotkliwe. Podług obliczeń rosyjskich wynosiły one do dnia 25. lutego 16.404 ludzi, a przypuścić można, że były jeszcze większe. Rezerwy i korpusy posiłkowe znajdowały się daleko, park artyleryi oblężniczej, niezbędny do zdobycia Warszawy, mógł być postawiony na stopie wojennej dopiero za cztery miesiące,[1]) żołnierz tymczasem, stojąc w polu w porze wiosennej, słotnej i zimnej, źle odziany i gorzej jeszcze karmiony, upadał na siłach i duchu, wzmagały się choroby, stan armii, acz rzekomo zwycięskiej, był smutny, niemal opłakany. Toż łatwo zrozumieć, że Dybicz oczekiwał niecierpliwie poddania się Polaków, że nie chciał kusić się o zdobycie Pragi, bo wiedział, że gdyby nawet szturm się powiódł, co wcale nie było rzeczą pewną, znajdzie się w obliczu stolicy, oblanej rzeką, która wtedy już puściła, i bronionej przez całą potęgę polską. W takiem położeniu uczynił to, co było najodpowiedniejszem: rozłożył wojsko, o ile się dało, po kwaterach i — czekając posiłków — myślał o przejściu Wisły i o uderzeniu na Warszawę od strony południowej i zachodniej.

W głównej kwaterze polskiej nie zdawano sobie należycie sprawy z trudności, w jakich nieprzyjaciel się znajdował. Skrzynecki, mając zawsze przesadne o zdolnościach i przedsiębiorczości Dybicza wyobrażenie, a przytem skłonny zanadto do dyplomatyzowania, nawiązał na własną rękę układy z feldmarszałkiem, później, gdy rzecz w tajemnicy utrzymać się nie mogła, uwiadomił o tem rząd, który postępek ten lekko zganił, wodzowi przypomniał, że przekracza zakres swojej władzy, ale ostatecznie od wszystkiego ręce umył i Skrzyneckiemu dalszych negocyacyj nie zabronił. Odtąd hetman, powołany tylko do prowadzenia wojny, a z usposobienia kunktator i dyletant-polityk, z dzienników francuskich czerpiący swoją mądrość stanu, stał się dyplomatą i zamiast w orężu, szukał zbawienia w interwencyi zagranicznej. Ze strony rządu była więc ta miękkość, względem Skrzyneckiego okazana, ciężkim błędem, który później już naprawić się nie dał. Układy, rozpoczęte przez pułkownika Michała Mycielskiego, a prowadzone dalej przez niego i pułkownika

[1]) A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko-ruska 1831. roku“ (tłumaczenie polskie). Warszawa 1899. Str. 122.

Kołaczkowskiego, były — jak z góry można było przewidzieć — bezowocne. Dybicz chciał traktować tylko na podstawie manifestu carskiego, żądał przedewszystkiem cofnięcia detronizacyi, a w końcu bezwarunkowego zdania się na łaskę.

Tym policzkiem dyplomatycznym, otrzymanym od nieprzyjaciela, rozpoczął Skrzynecki swoją karyerę hetmańską i pocieszał się naiwnie tem, że Dybicza złudził i traktatami od uderzenia na Warszawę powstrzymał! Tak upłynęła pierwsza połowa marca. Wojsko polskie tymczasem krzepiło się i wzmagało na siłach dzięki staraniom usilnym nie tyle naczelnego wodza, co gorliwych i dzielnych oficerów. Skrzynecki rozpoczął reorganizacyą armii od usunięcia niemiłych sobie osób. Krukowieckiemu więc, najniebezpieczniejszemu współzawodnikowi swemu do buławy, odebrał dowództwo dywizyi i osadził go na gubernatorstwie warszawskiem, Szembek, dla błahych powodów, otrzymał dymissyą, Dwernicki miał w 1500 koni wyprawić się na Wołyń. Generałami dywizyi zostali: Rybiński, Gielgud, Małachowski i Milberg, dowództwo jazdy oddano Łubieńskiemu, Umińskiemu i Kazimierzowi Skarzyńskiemu; szefem sztabu mianowano Chrzanowskiego, generalnym kwatermistrzem Prądzyńskiego, naczelne dowództwo nad artyleryą otrzymał pułkownik Konarski, kierunek robót inżynierskich powierzono Kołaczkowskiemu. Ostatni czterej oficerowie odznaczali się niepospolitemi zdolnościami i im, jakoteż błędom Dybicza, zawdzięczało powstanie najświetniejsze swoje tryumfy.

Feldmarszałek, wypocząwszy cokolwiek po olbrzymich wysileniach i — ubezpieczywszy oba skrzydła swoje korpusami Sackena i Kreutza — postanowił nareszcie przenieść teatr wojny na lewy brzeg Wisły. Wybrał on do tego okolicę około Tyrzyna, w pobliżu ujścia Wieprza, gdzie można było dwa mosty postawić, a — bałamucąc równocześnie Polaków demonstracyami pod Karczewem i Tarnówkiem — był przekonany, że mu się powiedzie bez wielkich trudności przeprawy dokonać. Stosownie do tego ruszyła główna armia rosyjska w błotniste okolice nadwieprzańskie, zostawiając na straży pod Wawrem Geismara, a dalej za nim Rosena. Obaj mieli rozkaz, w razie uderzenia armii polskiej, cofać się ku Siedlcom i pozycyi tej bronić do ostatniego. Ruch w obozach nieprzyjacielskich nie uszedł bacznej uwagi Polaków; zrozumieli go natychmiast Chrzanowski i Prądzyński i postanowili każdy po swojemu z błędów feldmarszałka skorzystać. Chrzanowski, chłodny teoretyk, w obejściu cierpki, chociaż niezaprzeczenie zdolny i całem sercem sprawie narodowej oddany, nie wierzył w siłę i powodzenie powstania, proponował niegdyś wyprawę na Litwę jako przedsięwzięcie „szalone“ i rozpaczliwe, później chciał stoczyć bitwę pod Liwem, obecnie zaś doradzał uderzyć całemi siłami na gwardye w odosobnieniu stojące pod Łomżą, aby przez zniesienie tego wyborowego korpusu zadać cios dotkliwy nieprzyjacielowi. Plan Chrzanowskiego był o tyle niebezpiecznym i niepraktycznym, że zostawiał Dybiczowi zupełnie wolne pole do działania i dawał mu możność zdobycia Warszawy, zanim armia polska zdoła z dalekiej (Łomża była oddalona o 18 mil) powrócić wyprawy. Innego zdania był Prądzyński. Bystry, prawdziwie genialny umysł jego spostrzegł natychmiast, że błąd feldmarszałka „był to traf

tak szczęśliwy (dla Polaków), jaki się w kilka wieków zaledwie raz zdarza“ i że „on jeden może nam byt nasz i niepodległość zapewnić“. W tym celu, odrzucając projekt Chrzanowskiego, jako w tych warunkach zupełnie nieodpowiedni, radził uderzyć całą potęgą na Geismara i Rosena, a po rozbiciu tych korpusów zwrócić się na Siennicę, Latowicze i Żelechów, rozgromić kolejno rozrzucone tam dywizye rosyjskie i zmusić Dybicza do przyjęcia stanowczej bitwy w najniedogodniejszej dla niego pozycyi, pomiędzy Wisłą i Wieprzem, gdzie przegrana musiała się skończyć zupełnem zniszczeniem armii rosyjskiej. Plan ten, tak prosty i jasny, przedstawiający jak na dłoni niewątpliwe dla nas korzyści, nie mógł trafić do ograniczonego umysłu naczelnego wodza. Pełen przesadnego wyobrażenia o strategicznych zdolnościach feldmarszałka i o potędze rosyjskiej, odpowiadał on na argumenta Prądzyńskiego i Kołaczkowskiego stereotypowym frazesem: „Chcecie mnie skompromitować z Dybiczem“, a że Dybicz od gwardyjskiego korpusu był daleko, więc przychylał się Skrzynecki do wywodów Chrzanowskiego i wydał nawet stosowne do tego rozporządzenia, posyłając Umińskiego na Modlin ku Pułtuskowi. Na nieszczęście zachorował w tej ważnej chwili Prądzyński niebezpiecznie na wrzód w gardle, który mu odjął mowę, i nie mógł bronić swego planu. Rozkazy zostały wydane, w tem Prądzyński odzyskuje mowę, spieszy do Skrzyneckiego, wystawia mu w żywych słowach skutki fatalne, jakie z wyprawy na gwardye wyniknąć mogą i wreszcie tą stałością swoją i siłą argumentacyi zwycięża. Wódz naczelny przyjmuje jego pomysł i przeznacza dzień 31. marca na wykonanie, ażeby zaś nieuprzedzić czujnego nieprzyjaciela, osłania całą wyprawę jak najgłębszą tajemnicą.

Z wyjątkiem Prądzyńskiego i Kołaczkowskiego nikt zresztą nie był przypuszczony do udziału w radzie wojennej, o zamiarach głównej kwatery nie wiedział nic ani gubernator stolicy (Krukowiecki), ani nawet prezes rządu (Czartoryski).[1]) Wieczorem dnia 30. marca zaprosił Skrzynecki do siebie na obiad członków rządu, generałów i sztab cały pod pozorem przyjęcia pułkownika francuskiego Ramoriny, który przybył, aby usługi swoje ofiarować powstaniu, następnie zaś rozkazał dowódzcom dywizyj o północy stanąć pod bronią. O godzinie 2-giej zrana ruszyło wojsko całe przez most pragski słomą wysłany, a mgła gęsta osłaniała mrokiem nieprzeniknionym kolumny polskie. Rybiński z dywizyą swoją zwrócił się ku Kawenczynowi dla oskrzydlenia Geismara i o godzinie 4-tej rozległy się z tej strony pierwsze strzały karabinowe. Na to hasło uderzyły od czoła brygady jazdy Kickiego i Dembińskiego i rozpędziły Kozaków, a nieprzyjaciel, party z dwóch stron, zmięszał się i ustąpił wreszcie w popłochu, cały pułk litewski złożył broń w lesie przed Miłosną, dwa działa zdobyte i znaczna ilość jeńców były owocem tego pierwszego spotkania. Ale już teraz zaczęła słabnąć energia Skrzyneckiego, pościg za nieprzyjacielem nie był należyty, Geismar miał czas uratować szczątki swego korpusu i połączyć się z Rosenem, który w korzystnej pozycyi pod Wielkim Dębem oczekiwał Polaków.

[1]) „Wspomnienia“ Kołaczkowskiego, które prostują i uzupełniają niedokładne opowiadania Barzykowskiego w t. III.

O godzinie 3-ciej popołudniu nadciągnął wreszcie Skrzynecki, ale — zamiast skorzystać z przewagi sił swoich i całą potęgą uderzyć na nieprzyjaciela — wysłał on generała Małachowskiego z jednym pułkiem piechoty (8-mym) i dwoma batalionami strzelców pieszych, Bogusławskiego zaś z 4-tym pułkiem skierował na szosę, ostrzeliwaną przez działa rosyjskie. Rosen o 6-tej godzinie zrana, uwiadomiony o wyjściu całej armii polskiej, miał czas przygotować się do obrony i bronił się tak dobrze, że po dwugodzinnej upartej walce zmusił Małachowskiego do odwrotu. Wtedy bezradny wódz polski widząc, że dzień ma się ku schyłkowi, kazał bitwy zaniechać i wojsku na zajętych stanowiskach nocować. Adjutant Skrzyneckiego spotkał pułk 4-ty, stojący na moczarach i zakomunikował rozkaz ten Bogusławskiemu. Ale Bogusławski, obejrzawszy się w około, odpowiedział prostodusznie: „Jak to, ja w tem błocie mam nocować?“ — a zwracając się do żołnierzy, zawołał: „Wiarusy naprzód, tam nocować będziemy“ i bagnetem wyrzucił Moskali ze wsi. Ten ruch niespodziewany zmienił odrazu postać rzeczy. Chrzanowski nakłonił wreszcie Skrzyneckiego do stanowczego uderzenia jazdą. Miał je wykonać znowu z dwoma tylko szwadronami (!). Skarzyński, ale na przedstawienia Dembińskiego wziął część 2-go pułku strzelców i karabinierów, a pułk 5-ty ułanów ustawił w odwodzie. Zmrok już zapadał, kiedy kolumna Skarzyńskiego, sformowana szóstkami, ruszyła bitą drogą do ataku. Natarcie było niespodziewane i gwałtowne; trzy bataliony piechoty rosyjskiej, ustawione w czworoboki, zostały w mgnieniu oka rozbite i dostały się poczęści do niewoli, podpułkownik Sznejde z karabinierami złamał na lewo jazdę nieprzyjacielską i wziął w niewolę generała Lewandowskiego, Rosen sam, ranny, przypadkiem zaledwie uratował się z ogólnego pogromu. Przeciw karabinierom bowiem rozprószonym i zajętym pogonią rzucił się Geismar na czele sześciu rezerwowych szwadronów, wstrzymał ich natarczywość i zmusił do odwrotu, aż sam uderzeniem majora Kościńskiego z boku rozbity, szukał ocalenia w ucieczce.

Noc ciemna przerwała walkę i szczątki korpusu Rosena uszły w popłochu ku Mińskowi, straciwszy 5500 ludzi, 5 sztandarów i 10 dział.[1]) Taki skutek miała wyprawa, podjęta z pomysłu Prądzyńskiego. Wykonanie w drugiej części, po porażce Gaismara pod Wawrem, było wprawdzie miękkie, pod Wielkim Dębem wręcz nieudolne, ale cel właściwy został osiągnięty, nieprzyjaciel, pobity na głowę, szukał ocalenia w ucieczce i otwierał armii polskiej z jednej strony drogę do Siedlec, gdzie znajdowały się główne magazyny rosyjskie, z drugiej zaś dawał jej możność uderzenia na rozwleczone po błotnistych obszarach dywizye feldmarszałka, zniszczenia jedynej w tym czasie armii carskiej. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że z tym żołnierzem wybornym, podniesionym na duchu, można było cudów dokonać, zdemoralizowane klęskami, strwożone i rozprószone wojska Dybicza w walnej bitwie znieść i zmusić co najmniej do odwrotu za Wieprz, ku Lublinowi, albo też zająć Siedlce i odciąć armię rosyjską od związku z carstwem, od głównej podstawy

[1]) A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko ruska 1831. roku“ (tłumaczenie polskie). Warszawa 1899. Str. 156.

operacyjnej. Tę chwilę, jedyną w całej kampanii, zmarnowała nieudolność, niedołęstwo i sybarytyzm Skrzyneckiego.

Zaledwie ucichła wrzawa wojenna na pobojowisku pod Dębem, kiedy wódz naczelny kazał przenieść główną kwaterę w tył armii, do Brzezin, skąd kucharz rądli już ustawionych do Dębu przewozić nie chciał[1]) i — zasiadłszy spokojnie do spóźnionego obiadu — troskę dalszych operacyj złożył na szefa sztabu Chrzanowskiego. Ten popełnił natychmiast, niewiadomo z jakiego powodu, błąd pierwszy, wyznaczając do ścigania nieprzyjaciela w dniu następnym nie jazdę Skarzyńskiego, wypoczętą i stojącą w przedniej straży, lecz zmęczoną pochodem pospiesznym z Modlina i najbardziej oddaloną dywizyę Łubieńskiego. Zanim więc pułki Łubieńskiego zdołały przebyć drogę, zajętą przez parki i artyleryą i wydobyć się na czoło armii, upłynęły trzy godziny, tak, że ściganie nieprzyjaciela mogło się rozpocząć zamiast o godzinie 6-tej dopiero o 9-tej. Tymczasem Rosen, acz zgnębiony i do rozpaczy przywiedziony wskutek dwukrotnej porażki i rozbicia swego korpusu, umiał skorzystać z błędów polskich. Gdy Skrzynecki, zjadłszy ów historyczny obiad w Brzezinach, wypoczywał po trudach jednodniowej kampanii, generał rosyjski — pomimo rany, otrzymanej pod Wielkim Dębem — o 2-giej godzinie z północy już opuścił Mińsk z artyleryą i pociągami i cofnął się szczęśliwie do Kałuszyna, zostawiając pod Stojadłami jedynie tylną straż pod dowództwem Geismara. Ten wczesnym rankiem już dotarł nieścigany do Mińska i spalił tu nagromadzone magazyny, poczem jak najspieszniej podążył za Rosenem. Pogoń polska, wyruszywszy późno, dopędziła uchodzącego nieprzyjaciela dopiero pod Kałuszynem. Władysław Zamoyski, idący w przedniej straży, rozbił na czele trzech szwadronów dwa pułki piechoty rosyjskiej, ale na tem skończyły się nasze powodzenia dnia tego. Ani Giełgud, maszerujący żółwim krokiem, ani Łubieński, wysyłający na wszystkie strony patrole i marnujący czas na próżnej kanonadzie, nie zdołali dosięgnąć nieprzyjaciela. Pogoń, która powinna była być gwałtowną, jeżeli miała być skuteczną, pogoń jazdy za nieprzyjacielem pobitym i przerażonym, skończyła się na przestrzeni pięciu mil. Nie lepiej działo się nazajutrz; z trzech oddziałów, w trzech kierunkach wysłanych, jeden zaledwie (Dembińskiego) spełnił swoje zadanie, dotarł bowiem aż do Liwa i przyprowadził 1500 jeńców. Dwa pierwsze nie widziały nawet nieprzyjaciela. Dnia 2. kwietnia nadciągnęła główna armia, Skrzynecki stanął w Kałuszynie i tu rozpoczęły się narady nad dalszemi operacyami. Niezmordowany i w pomysłach swoich niewyczerpany Prądzyński przedstawił naczelnemu wodzowi trzy plany: 1. ścigać dalej Rosena, opanować Siedlce, zabrać lub zniszczyć znajdujące się tam parki i magazyny rosyjskie, odciąć Dybicza od jego podstawy operacyjnej, a następnie, gdyby mimoto chciał Wisłę przechodzić, ruszyć przeciw niemu i wydać walną bitwę; 2. udać się przez Siennicę i Latowicze dla pobicia nieprzyjaciela; 3. przejść natychmiast Bug i znieść gwardye, stojące na leżach zimowych pomiędzy Łomżą i Zambrowem. Każdy z tych projektów był w swoim rodzaju wyborny, najwięcej korzyści obiecywał pierwszy. Z teki Rosena, którą znaleziono przy zabitym jego ordynansie, dowiedział się główny

[1]) Barzykowski: T. III, str. 127.

sztab polski, jakie instrukcye mieli generałowie rosyjscy, jakiemi rozporządzali siłami i jaki duch panował w armi pobitej. Rosen donosił feldmarszałkowi, że nie jest w stanie utrzymać się w Siedlcach, pisał, że wojsko upadło na duchu zupełnie, że oficerowie są w rozpaczy, że generał Ungebauer szukał napróżno śmierci, nie chcąc przeżyć hańby, jaka go spotkała, że inni stracili odwagę i nadzieję. Każdy rozsądny człowiek, nie już wódz naczelny, nie żołnierz doświadczony, byłby z tych raportów poufnych wysnuł wniosek prosty, że nieprzyjaciela ścigać należy całą potęgą, że zniesienie jego doszczętne jest tylko kwestyą czasu i że po uprzątnięciu Rosena i zajęciu Siedlec łatwiej będzie rozprawić się z Dybiczem. Obawa, aby Rosyanie odcięli tymczasem armię polską od Warszawy, była płonna, bo odległość Kałuszyna od Siedlec wynosi wiorst 30, Pragi od Siedlec 80, a gdy feldmarszałek dopiero dnia 3. kwietnia otrzymał raport Rosena i przynajmniej dzień jeden potrzebował do zebrania rozrzuconych sił swoich, to wojsko polskie po zajęciu Siedlec mogło powrócić swobodnie do Miłosny, lub nawet do Grochowa, zanim nieprzyjaciel zdołałby się wydobyć z błotnistych okolic nadwieprzańskich.[1]) Ale Skrzynecki był zanadto ograniczony i zanadto lękliwy, aby pojąć rzecz chociażby najjaśniejszą, zanadto uparty, aby się dać przekonać. Odezwała się w nim zresztą żyłka dyplomatyczna; sądził, że — odniósłszy niejakie korzyści nad nieprzyjacielem — przyspieszy interwencyą zagraniczną i uratuje sprawę narodową. Kiedy w kilka miesięcy później pytał go Chłapowski, dlaczego po rozbiciu Rosena nie uderzył na Dybicza, odpowiedział: „Brała mnie wielka chętka, ale tylu emissaryuszów przybyło do mnie z Francyi, prosząc i zaklinając, żebym walnej bitwy nie wydawał, żebym się starał przydłużyć walkę tylko o kilka miesięcy, gdyż negocyacye są już tak posunięte, iż, bylem utrzymał armię bez znacznej straty, byt Polski zapewniony będzie przez dyplomacyą, że tym namowom uległem i muszę do tego jeszcze i teraz się stosować“.[2]) Po tem wyznaniu — jak się zdaje — szczerem, trudno zaprawdę rozstrzygnąć, czy Skrzynecki był więcej ograniczonym jako wódz, czy jako dyplomata? Ale obok Skrzyneckiego stał rząd, który miał obowiązek powstaniem kierować, który przed miesiącem zdobył się na tyle odwagi i zręczności, aby Radziwiłła z naczelnego dowództwa usunąć i dać mu zdolniejszego — jak mniemał — następcę. Czyż nie było więc powinnością tego rządu w chwili tak ważnej i stanowczej działania tego następcy chwiejnego i — jak się pokazało — miękkiego bezustannie kontrolować, do pospiechu przynaglać, a wrazie opieszałości upomnieć, lub nawet złożyć z dowództwa? W położeniu podobnem, jak ówczesne, w wojnie, od której los narodu zależał, postępowanie takie było nietylko naturalne, ale wprost konieczne. Rząd tymczasem nie miał nic pilniejszego, jak okazane już w dwudniowej wyprawie lenistwo i nieudolność Skrzyneckiego wynagrodzić złotym krzyżem i wysłać Barzykowskiego, aby mu ten dowód wdzięczności i uznania od narodu wręczył uroczyście. Barzykowski, przybywszy do głównej kwatery, miał sposobność dowiedzieć się od Prądzyń-

[1]) Porówn.: A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko-ruska 1831. roku“. Warszawa 1899. Str. 158.

[2]) Kalinka: „Chłapowski“. Str. 102.

skiego o wszystkiem, usłyszał z ust Skrzyneckiego najpierw naganę, że krzyż jest „ordynaryjnie zrobiony“, następnie postanowienie, że na Siedlce nie uderzy i że nazajutrz Wielkanoc obchodzić zamierza[1]) i chociaż czuł, że tu „losy nasze się rozstrzygają“, nie uczynił nic, aby nieszczęściu przeszkodzić, lub zapobiedz. Stała się tak rzecz nieunikniona, stało się, że gdy Dybicz pod wrażeniem hiobowych wieści o pobiciu Rosena, o powstaniu na Żmudzi i o przejściu Dwernickiego na Wołyń, spaliwszy materyały, nagromadzone do budowy mostu na Wiśle, rozpaczliwe czynił usiłowania, aby swoje wygłodzone i zdemoralizowane wojsko skupić i do Siedlec doprowadzić, Skrzynecki marnował dzień za dniem na wysyłaniu rekonesansów i na obserwowaniu nieprzyjaciela, którego w mocnej pozycyi nad Świdrem oczekiwał, sądząc, że feldmarszałek będzie dość naiwnym, aby wejść w pułapkę, jaką na niego nastawiono. Prądzyński, widząc te błędy naczelnego wodza i nie mogąc go nakłonić do działania, słał list za listem do Warszawy, błagał rząd, a mianowicie Czartoryskiego o interwencyą, ale książe, zamiast udać się natychmiast do głównej kwatery, wdał się z Skrzyneckim w korespondencyą, która oczywiście żadnego nie miała skutku. Dopiero kiedy wszystkie korzyści odniesione zmarnowano i kiedy pora do działania niepowrotnie minęła, przybył prezes rządu na wyraźne już wezwanie Prądzyńskiego z Barzykowskim i Gustawem Małachowskim do obozu dnia 8. kwietnia i wtedy na jego usilne przedstawienia i nalegania dał się Skrzynecki nakłonić do wyprawy na korpus Rosena. Podług planu, jaki ułożył Prądzyński, a który znowu świadczy o genialnych tego generała zdolnościach, podzielono wojsko na trzy oddziały, w celu otoczenia i zupełnego zniesienia 6-go korpusu.

Prądzyński sam miał nieprzyjaciela okrążyć i odciąć od Siedlec, Skrzynecki od czoła, Chrzanowski zasłaniać ruchy armii i pilnować, aby nieprzyjaciel z boku na nią nie napadł. Pierwsza kolumna spełniła świetnie swoje zadanie. Wyruszywszy o świcie dnia 10. kwietnia, rozbił Prądzyński pod Domanicami brygadę huzarów Siwersa, zabrał 230 jeńców, poczem kazał dać ognia z dział, aby uwiadomić Skrzyneckiego, że bitwa się rozpoczyna i posunął oddział swój ku Iganiom, gdzie zastał Rosena uszykowanego do boju. Położenie korpusu polskiego było w tej chwili nietylko niebezpieczne, ale wprost groźne. Przeciw sześciu tysiącom Prądzyńskiego stało w mocnej pozycyi 15.000 Rosyan, pomiędzy tem dwa pułki grenadyerskie i trzy strzeleckie w wojnie tureckiej wsławione i przez cara „lwami warneńskiemi“ nazwane, przeciw 16-tu lekkim działom polskim grało 36 armat, w znacznej części dwunastofuntowych.[2])

Nic dziwnego zatem, że Prądzyński, widząc nieprzyjaciela siłą przemagającego i w postawie wyzywającej, jak gdyby tyłom jego nic nie zagrażało, wahał się z początku i dopiero gdy spostrzegł parki i wozy rosyjskie, uchodzące pędem drogą ku Brześciowi, uległ przedstawieniom Bema i Barzy-

[1]) Święta wielkanocne przypadały w roku 1831. dnia 3. i 4. kwietnia.

[2]) Klemens Kołaczkowski: „Biografia generała Ignacego Prądzyńskiego“. Poznań 1851. Str. 24. (Liczby te podaje Prądzyński w liście do generała Kołaczkowskiego, pisanym dnia 13. kwietnia.)

kowskiego i dał znak do bitwy. Pod zasłoną 10-ciu dział Bema, zasypujących nieprzyjaciela gradem kartaczy, zdobyły pułki 5-ty i 8-my po krwawej walce Iganie, ale Rosen, z wyniosłego stanowiska swego widząc szczupłość sił polskich, rzucił w tej chwili dwa pułki strzeleckie na pomoc ustępującym ze wsi grenadyerom, a Siwersowi z kawaleryą kazał obejść lewe skrzydło nieprzyjacielskie. Kilkutysięczna kolumna piechoty rosyjskiej wyparła rzeczywiście pułki polskie z Igań, przebyła groblę, zwróciła się na lewo i uderzyła z zaciekłością na prawe skrzydło, które pod tem natarciem się zwinęło i ustępowało. Moment był krytyczny; oficerowie przybiegli do Prądzyńskiego z przedstawieniem, że jeżeli nie ustąpi, będzie zgnieciony, Bem doniósł, że amunicyi zaczyna brakować. Tymczasem dzień miał się ku schyłkowi, mogła być godzina 6-ta, ale od strony, skąd Skrzynecki nadejść był powinien, głucha panowała cisza. Wtedy Prądzyński, spostrzegłszy, że nieprzyjaciel zapędził się zanadto, tracąc z oka właściwy cel bitwy, udał się na lewe skrzydło swoje, zsiadł z konia i — stanąwszy na czele 5-go pułku — uderzył z tem, co miał pod ręką, w sam środek Igań, dotarł do mosta na Muchawcu i odciął zwycięską piechotę rosyjską od głównego korpusu. Napróżno nieprzyjaciel starał się temu przeszkodzić, napróżno zwróciły się przeciw nagłemu uderzeniu pułki grenadyerskie i strzeleckie, po krwawym i zawziętym boju ręcznym, wykłute bagnetami, nie były one w stanie obronić mostu i albo dostały się do niewoli, albo gęstym trupem pokryły groblę, a szczątki tylko uszły w popłochu ku Siedlcom.

Cały pułk 98-my (do 460 ludzi zmniejszony) z pułkownikiem i wyższymi oficerami złożył broń, 2000 jeńców, dwa działa i sztandar były plonem zwycięstwa, nie licząc przeszło 1000 poległych lub potopionych w bagniskach Muchawca. Prądzyński na polu bitwy pod Iganiami dowiódł, że jest nietylko genialnym strategikiem, ale i znakomitym wodzem, który plan ułożony nawet w najtrudniejszych warunkach świetnie wykonać potrafi. Niesłychana przytomność umysłu, odwaga osobista, rzadki dar orjentowania się i ta stanowczość, co ludziom imponuje, a żołnierzy napełnia zaufaniem i do bohaterskich czynów porywa, nadają talentom Prądzyńskiego wybitną cechę i stawiają go bez wątpienia w rzędzie najznakomitszych generałów swojego czasu. W każdem innem społeczeństwie, nie zakrzepłem w hierarchicznych pojęciach, co zdolności wojskowe podług starszeństwa oceniać i wynagradzać nakazywały, byłby Prądzyński — zwłaszcza po bitwie igańskiej — otrzymał buławę hetmańską; u nas spotkało go uznanie i pochwały, które jednak sprawie powstania wielkiego przynieść nie mogły pożytku, skoro naczelne dowództwo pozostało przy Skrzyneckim. A jeżeli kiedy, to właśnie podczas wyprawy igańskiej złożył ten Fabiusz Kunktator — jak sam się nazywał — jaskrawe dowody nieudolności i niedbalstwa. Jak wiadomo, miał on przejść Kostrzyń i uderzyć od frontu na Rosena, aby tym skombinowanym ruchem oskrzydlonego zupełnie znieść i Siedlce opanować. Tymczasem zamiast 9. kwietnia na noc — jak było umówione — wyruszył Skrzynecki dopiero 10. kwietnia zrana, a przybywszy nad Kostrzyń (do Boimia), spać się położył. Zbudził go wprawdzie huk dział Prądzyńskiego, zanim jednak most naprawiono, zanim wojsko zdą-

żyło przeprawić się przez rzekę i dojść w końcu do Igań, bitwa była już skończona, noc zapadła, nieprzyjaciel cofnął się do Siedlec i zatoczył 40 dział, z których ostrzeliwał skutecznie drogę i mosty, prowadzące do miasta. Ze zmęczonem wojskiem niepodobna było odważać się na szturm nocny, a nazajutrz zrana nadeszła główna armia rosyjska i Dybicz odetchnął swobodniej, widząc nietknięte swoje magazyny i nienaruszoną podstawę dla dalszych operacyj wojennych.

Dyplomacya. — Bezczynność Skrzyneckiego. — Upadek powstania wołyńskiego i podolskiego. — Wyprawa na gwardye. — Bitwa pod Ostrołęką. Dzień 10. kwietnia stanowi zwrot w historyi listopadowego powstania. Szczęście, sprzyjające dotąd orężowi polskiemu, odwróciło się od nas i nastąpiła klęska jedna po drugiej, w wojsku pojawiła się cholera, zawleczona przez pułki nieprzyjacielskie, sprowadzone z głębi carstwa, a wojna przybrała charakter coraz dzikszy, coraz bardziej nieubłagany. Napad na Puławy i zniszczenie tego przybytku pamiątek narodowych jest tylko zapowiedzią dalszych, sroższych o wiele okrucieństw. W Iganiach mordował żołnierz rosyjski bezbronnych starców, niewiasty i dzieci, matkom, karmiącym niemowlęta, odrzynał piersi...[1]) przypominają się krwawe sceny z czasów rzezi Pragi, a straszny los Oszmiany wstrząsa dziś jeszcze do głębi uczucia ludzkie. Coraz dowodniej okazywało się, że z nieprzyjacielem tego rodzaju pakta i układy są niepodobne, że los powstania i narodu zawisł jedynie od powodzenia na polu bitwy, że w orężu tylko nadzieje nasze pokładać możemy. Inaczej zupełnie pojmował rzeczy — jak to widzieliśmy — Skrzynecki, a jak bardzo się łudził, okaże krótki rzut oka na zabiegi i starania dyplomatyczne rządu powstańczego.

Insurrekcya polska przypadła na czas dla sprawy naszej najniekorzystniejszy, kiedy mocarstwa zachodnie były zajęte i poróżnione pomiędzy sobą kwestyą belgijską, kiedy we Francyi monarchia lipcowa nieugruntowana jeszcze i słaba oglądała się trwożliwie na gabinety europejskie i gotowa była pokój wszelkiemi okupić ofiarami, nawet własnem upokorzeniem, kiedy wreszcie zamieszki włoskie zwróciły uwagę dworu wiedeńskiego na południe i dostarczyły ostrożnemu, a w gruncie obojętnemu dla Polski Metternichowi pożądanych argumentów na zachowanie jak najściślejszej i przeciw Polsce zwróconej neutralności. Jeżeli w takiem położeniu działanie dyplomatyczne było wogóle niesłychanie trudne i żadnych prawie nie rokowało nadziei, to cóż dopiero mówić o czynnościach dyplomacyi polskiej, która dotąd wcale nie istniała, którą trzeba było tworzyć, improwizować, a stworzywszy, szukać dla niej nie dróg lecz ścieżek, któremi do gabinetów trafićby mogła, wyrabiać stosunki, zyskiwać poparcie dzienników i ludzi wpływowych, słowem podejmować pracę syzyfową, rozłożoną na lata, nie na tygodnie i miesiące, jak tego sprawa powstania wymagała. Dyplomacya — podobnie jak wojna — potrzebuje ludzi obeznanych ze swojem rzemiosłem, posiadających nietylko zdolności, ale, co tu więcej może znaczy, doświadczenie i rutynę. Ludzi takich nie miała niestety Polska, nie miało ich powstanie i stąd poszło, żeśmy rzeczy po dy-

[1]) Podług opowiadań naocznego świadka Barzykowskiego (t. II, str. 169).

letancku prowadzić musieli, że do najważniejszych missyj używano albo młodzików, dających się brać na lep starym wygom dyplomatycznym, albo żołnierzy w rodzaju Kniaziewicza, otwartych, prawdomownych, gorących patryotów, lecz nierozumiejących się nie a nic na subtelnościach i dwujęzyczności gabinetowej. Do walki zaś z tą ruchawką dyplomatyczną polską stawała wytrawna, znana ze zręczności i nieprzebierająca w środkach dyplomacya rosyjska, zakorzeniona w stolicach europejskich, posiadająca rozległe stosunki i wpływy, otoczona blaskiem potęgi zwycięskiego caratu. Dodajmy do tego, że ten carat uchodził wobec gabinetów całego świata za główną twierdzę legitymizmu i za najmocniejszy puklerz przeciw wszelkim rewolucyjnym zapędom, a będziemy mieli już pewne wyobrażenie, z jakiemi trudnościami dyplomacya polska na każdym kroku łamać się musiała bezskutecznie i bezowocnie. Broniąc sprawy słusznej i uciśnionej, mogła ona odwoływać się tylko do poczucia sprawiedliwości, przemawiać do sumienia gabinetów, apelować do uczuć szlachetnych, kołatać do serc, ludzkości pełnych. Ale dyplomacya nie uznawała nigdy i nie uznaje podobnych argumentów; dla niej podstawą niewzruszoną wszelkiego działania jest interes i korzyść własna, porywy wzniosłe były i będą dla niej zawsze obce. Charakter narodu polskiego szczery, otwarty i skłonny do uniesień, nie znał i nie pojmował tego usposobienia gabinetów europejskich, a w przeświadczeniu krzywdy, jaka mu się działa, sądził, że na pierwsze jego wołanie pospieszą z pomocą przynajmniej zachodnie mocarstwa, tak zawsze w słowach dla Polski przychylne i wzrostem kolosu rosyjskiego zagrożone.

B. Kołyszko.

Z tego mniemania, niczem zresztą nieuzasadnionego, wypłynął ów doktrynerzym dyplomatyczny, co sprowadził na bezdroża Chłopickiego, a Skrzyneckiego ciasny umysł do końca zamącił. Zanim jeszcze działa zagrzmiały, już ten kawiarniany polityk marzył o interwencyi austryackiej i na króla polskiego przeznaczał arcyksięcia Karola, odrzucając kandydaturę księcia reichstadzkiego, syna Napoleona,[1]) a gdy został wodzem naczelnym, złożył wszystkie swoje nadzieje nie w orężu, lecz w dyplomacyi. Niepodobna pojąć dziś, co go do tego skłoniło, bo doświadczenia, jakie zebrał rząd narodowy w ciągu kilku miesięcy, nie dawały ani rękojmii ani żadnych widoków interwencyi zagranicznej. W początkach powstania oczy całej Polski zwrócone były przedewszystkiem na Francyą. Zdawało się rzeczą niepodobną, aby naród fran-

[1]) Skrzynecki do Krukowieckiego dnia 9. stycznia 1831. roku (K. Forster: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831“. Str. 12).

cuski, zbratany z polskim na polach tylu bitw, wróg despotyzmu a obrońca wolności, pozostał obojętnym na los swoich wiernych aliantów z nad Wisły, aby nie niósł pomocy tym, co — chwytając za broń — nietylko dobijali się własnej niepodległości, ale zasłaniali także zachód przed najazdem moskiewskim. Nie wiedzieli, co prawda, ci politycy, że wkrótce po wybuchu powstania, gdy sympatye dla Polski u Francuzów objawiać się zaczęły, poseł rosyjski, Pozzo di Borgo, uznał królem Ludwika Filipa i tą uprzejmością kupił sobie jego przychylność. Wysłano też natychmiast z Paryża nadzwyczajnego ambasadora, księcia de Montemart, z podziękowaniem do Petersburga. Rząd polski, uwiadomiony o tej missyi, postanowił skorzystać z nadarzającej się sposobności i wybadać usposobienie francuskiego dyplomaty. Użyto w tym celu młodziutkiego natenczas Andrzeja Edwarda Koźmiana, syna Kajetana, który na trakcie z Berlina do Królewca spotkał się z księciem Montemart, doręczył mu list od Czartoryskiego i — zaproszony uprzejmie do powozu — przejechał z posłem kilka stacyj pocztowych, rozmawiając o polityce. Francuz okazał się szczerym i otwartym i trzeba mu przyznać, że nie łudził i łudzić nie chciał. „Jak widzę — mówił — panowie wiele na nas rachujecie. Bardzo mylne macie o nas wyobrażenie, nasze położenie jest krytyczne, rząd nowy jeszcze nie ustalony; gdybyśmy wojnę zagraniczną zacząć chcieli, zaraz wojnę domową mieć będziemy na karku. Prócz tego nie jesteśmy w stanie dzisiaj wojny rozpoczynać, nie mamy nad 200.000 wojska, broni nam brakuje, finanse zrujnowane, kredyt skutkiem rewolucyi zachwiany, czego giełda wyraźnym jest dowodem. Niezawodnie, że cała Francya ma dla was jak najlepsze uczucia, ale właśnie dlatego muszę wam prawdę powiedzieć i powtórzyć, że wojny za was prowadzić nie możemy. Zwodziłbym was i oszukiwał, gdybym inaczej mówił. Pomocy skutecznej dać wam nie jesteśmy w stanie, trzeba więc koniecznie myśl waszego wyswobodzenia zawiesić, bo godzina wasza jeszcze nie uderzyła i trzeba jej czekać cierpliwie.“ A gdy młody dyplomata polski zauważył, że powstanie zatrzymało wojska moskiewskie, przeciw Francyi przeznaczone, książe tak ciągnął dalej: „My nie chcemy was opuszczać i owszem wszystko, co jest w naszej mocy, dla was uczynimy. Bez nas Prusy byłyby dla was więcej nieprzyjazne, my pewni ich teraz jesteśmy i jeżeli u was przyjdzie do wojny,[1]) tylko z Rosyą będziecie mieli do czynienia, bo nikomu innemu wtrącić się nie dozwolimy. Lecz i z samą Moskwą w boju koniecznie upaść musicie i dlatego szczerze wam radzimy, zawieście, odłóżcie kwestyą waszej niepodległości. Słowa króla naszego przy odjeździe były takie: ‚ratujmy Polskę, rozpoczyna ona grę, którą przegrać musi, grać jej więc nie dozwalajmy‘. Później mogą przyjść wypadki daleko korzystniejsze, lecz dzisiaj muszę wam oświadczyć, iż dla was chwila jest najgorsza. Każdy rząd obecnie ma u siebie zatrudnienie, Anglia ma Irlandyą, nam także nie brakuje kłopotów, pocóż więc powstanie robiliście? Czemu wasza armia przeciwko nam nie wymaszerowała? Wtedy wszystko inną byłoby przybrało postać.“

Po tych obopólnych wynurzeniach przeszła rozmowa na kwestyą układów; Koźmian żądał pośrednictwa mocarstw, podpisanych na traktacie wie-

[1]) Rozmowa miała miejsce dnia 24. stycznia.

deńskim, i tu jednak spotkało go rozczarowanie. „Medyacya — były słowa ambasadora — jest niepodobna. Zatrzymałem się umyślnie 36 godzin w Berlinie dla poznania tej sprawy, mówiłem samemu królowi o medyacyi. Odpowiedział mi, iż nie może się tego podjąć, bo zna dobrze swojego zięcia i wie, że jej nie przyjmie. . My zaś nie możemy w tym względzie nic poczynać, bo co do sprawy belgijskiej oświadczyliśmy się przeciw wszelkiej obcej interwencyi, utrzymywaliśmy ją, zmieniać więc tej zasady co do Polski sama przyzwoitość nam nie pozwala. Ale gdybyśmy nawet to uczynić zdołali, cóż to pomoże, jeśli zbrojnie was popierać nie będziemy mogli?“ Ażeby rozwiać wszelkie złudzenia Polaków, zcharakteryzował książe Montemart krótko usposobienie innych gabinetów europejskich. „Na Anglią — mówił — nic nie rachujcie. Egoiści, oni rachunki Europy wtenczas tylko przyjmują, kiedy te na ich korzyść wychodzą. Tam wszystko do cyfr się redukuje. Austryi nie wierzcie, powinniście bowiem znać niecność polityki tego gabinetu. Smutna rzecz, ale powinność nakazuje mi powiedzieć, nie rachujcie na wsparcie żadnego mocarstwa i nie rachujcie zarówno na opinią publiczną i sympatyą narodów.“

Przytoczyliśmy obszernie całe ustępy z tej szczególnej rozmowy, bo rzuca ona światło jasne na ówczesną politykę, bo określa wybornie położenie, w jakiem znajdowało się powstanie i naród polski ogółem. Słowa księcia Montemarta — szkoda, że tak późno ogłoszone[1]) — powinny nas były wyleczyć gruntownie z wszelkich złudzeń nie tylko w roku 1831., ale i w czasach następnych, powinny były przekonać naród polski, że od Europy i od dyplomacyi niczego oczekiwać nie może, że dzieło odrodzenia na własnych musi oprzeć siłach, niepodległość sam sobie wywalczyć, jeżeli nie orężem, to usilną i wytrwałą pracą nad podniesieniem ducha narodowego, nad wykorzenieniem wad i błędów przeszłości, nad zjednoczeniem wszystkich społecznych warstw do dopięcia jednego wielkiego celu. Zrozumieć tę prawdę było obowiązkiem rządu narodowego. On jeden, gdy mu teraz oczy rozwiązano, mógł i powinien był wiedzieć, że wszelkie nadzieje na interwencyą zagraniczną są prostem złudzeniem, że naród polski, pozostawiony sam sobie, na nikogo liczyć nie może, że jedyne zbawienie jego w orężu, że musi zwyciężyć, lub zginąć. A mając to przekonanie, zasadniczo ugruntowane, nie było wręcz wolno cierpieć na naczelnem dowództwie człowieka, który wierzył niezachwianie w pomoc obcą i trwając w tem zaślepieniu swojem, marnował najdroższe skarby narodowe: czas i wojsko. Ale i rząd sam, czy to, że nie ufał spowiedzi francuskiego dyplomaty, czy, że pragnął wyczerpać wszelkie środki, do ratowania sprawy publicznej służące, czy też, że zwątpił z góry o możności zwycięstwa, chwytał się cienia każdej nadziei, chociażby nawet najnieprawdopodobniejszej. Więc gdy rozwiały się złudzenia Chłopickiego co do interwencyi pruskiej, gdy Francya przez usta swojego ambasadora w sposób nie urzędowy wprawdzie, ale bądź co bądź jasny i stanowczy, odmówiła wszelkiej pomocy, wtedy dyplomaci polscy zwrócili oczy swoje na Austryą i jęli wybadywać konsula austryackiego w Warszawie, barona Oechsnera.

[1]) W roku 1883 (Barzykowski: „Historya powstania“. T. II, str. 65).

Oechsner, człowiek światły, poważny, gorliwy w pełnieniu swoich obowiązków, dla Polaków i powstania nawet życzliwie usposobiony, widział wprawdzie i uznawał korzyści, jakieby Austrya osiągnąć mogła w Polsce, ale znając dokładnie politykę swego gabinetu, zajmował stanowisko wyczekujące, obserwacyjne, do niczego mięszać się nie chciał, a kiedy z polecenia dyktatora uczyniono mu propozycyą co do osadzenia arcyksięcia Karola na tronie polskim, odpowiedział w tonie na wpół żartobliwym, że „Polska jest to wielce powabna i pośażna panna, tylko na wyprawowanie jej posagu wiele nakładu potrzeba i wygranie procesu niepewne, bo w niebezpiecznem ręku pozostaje". Niezrażony tą odpowiedzią, która w rzeczy samej odmowną nie była, chociaż nadziei żadnej także nie dawała, starał się książe Czartoryski przez brata Konstantego, mieszkającego w Wiedniu, nawiązać stosunki z Metternichem i wprost z dworem austryackim. Po audyencyi u cesarza Franciszka przedstawił on Metternichowi położenie Polski, wyjaśnił przyczyny i cele powstania, napomknął o ofiarowaniu korony polskiej rodzinie Habsburgów i prosił wreszcie o przyjęcie poselstwa polskiego, któreby w tak ważnej sprawie z gabinetem wiedeńskim porozumieć się mogło. Metternich, jakkolwiek powstanie polskie uważał za niebezpieczny ruch rewolucyjny, a przychylność swoją dla Rosyi posuwał do tego stopnia, że posyłał do Petersburga raporta konsula Oechsnera,[1]) zgodził się jednak w zasadzie na missyą i sam już proponował do niej hr. Jelskiego, prezesa banku polskiego i pułkownika Bojanowicza, jako osobiście sobie znanych i jako takich, co — pod pozorem interesów bankowych — mogli bez zwrócenia na siebie zbytniej uwagi rządu rosyjskiego odbyć podróż do Austryi. Ale zanim wysłańcy polscy zdążyli do naddunajskiej stolicy, zmieniło się już usposobienie wiedeńskiego gabinetu. Wiadomość o detronizacyi Mikołaja i rodziny Romanowów przeraziła Metternicha i zgorszyła cesarza Franciszka. Insurrekcya polska była po tym akcie dla nich tylko jednym z objawów powszechnego ruchu rewolucyjnego, który — wznieciwszy powstanie belgijskie i obaliwszy tron Burbonów we Francyi — sięgał teraz do Polski i do Włoch, aby porządek, ustalony na kongresie wiedeńskim, wywrócić i ogólne w Europie wywołać zamięszanie. Z przestrachu kanclerza austryackiego i z oburzenia cesarza nieomieszkał skorzystać ambasador rosyjski w Wiedniu, Tatiszczew, tak, że delegaci rządu narodowego zastali już zupełną zmianę w zapatrywaniach Metternicha na sprawę polską. Niedopuszczeni do Wiednia i zwróceni z drogi, mieli się oni udać do Poisdorf, gdzie na nich oczekiwał adjutant cesarski generał hr. Clam-Martinitz, używany przez Metternicha do poufnych missyj dyplomatycznych. Z nim też odbyli główną i uwagi godną konferencyą. Rozpoczął ją wysłannik rządu wiedeńskiego od odrzucenia korony polskiej, ofiarowanej w liście księcia Adama Czartoryskiego arcyksięciu Karolowi, a zarazem wyraził zdziwienie, że podobna kombinacya mogła powstać w umysłach Polaków wobec znanych powszechnie zasad gabinetu cesarskiego. Przypuszczenie, że pomiędzy Rosyą i Austryą istnieje jakaś rywalizacya, jest urojeniem, a „gdyby nawet dwór wiedeński miał interes powstrzymać postęp Rosyi, to teraz kroku takiego uczynić nie może, bo do

[1]) „Aus Metterninchs nachgelassenen Papieren". II. Theil, 3. Bd. Wien 1882. S. 82.

zwalczenia ma nieprzyjaciela powszechnego porządku, ducha rewolucyjnego, który podkopuje trony w zamiarze ich obalenia“. Jelski, zaskoczony tak niespodziewanie, znalazł się bardzo zręcznie i z wielką godnością. Co do listu Czartoryskiego oświadczył, że nie zawierał on propozycyi, lecz wyrażał tylko życzenia narodu polskiego, gdyż nie można ofiarować tego, czego się nie posiada. Życzliwość gabinetu wiedeńskiego dla Polski może się okazać przez interwencyą, pośrednictwo, lub udzielenie pomocy i posłowie pragną dowiedzieć się, jak rząd austryacki postępować zamierza wobec wojny, toczącej się u granic monarchii. A że Clam-Martinitz wspomniał o „zasadach niezachwianych“ (les principes immuables) swego gabinetu, więc wysłannik polski odparł trafnie, że zasady owe są czczemi wyrazami, gdyż Austvya sama dała tego dowody, zmieniając według potrzeby swoją politykę, łącząc się z Napoleonem, to znów zwalczając go, prowadząc wojnę z kościołem, lub podtrzymując jego władzę. Kolej usprawiedliwienia się przyszła teraz na Clam-Martinitza. Starał się on bronić polityki Metternicha i zakończył tem, że gabinet cesarski jest połączony najściślejszemi węzłami z Petersburgiem i że zatem do sprawy polskiej wcale mięszać się nie może. Zresztą zajmuje go obecnie spokojność prowincyj włoskich, dokąd Francya nie przestaje rzucać zarzewia buntu i rewolucyi.

Na tem skończyła się właściwie konferencya, a wysłannicy polscy widząc, że stanowisko, zajęte przez rząd austryacki, jest niezachwiane, ograniczyli się do przedstawienia życzeń innego rodzaju, ważnych dla powstania, a jednak nienaruszających zasady, jaką gabinet wiedeński kierować się postanowił. Żądali oni mianowicie zniesienia wszelkich zakazów handlowych, wydanych po 29. listopadzie i przepuszczania przez granicę osób, opatrzonych paszportem polskim, co Clam-Martinitz przyrzekł przedłożyć kanclerzowi. Ale teraz dopiero czekała Jelskiego i jego towarzysza prawdziwa niespodzianka, nietylko bowiem, że nie pozwolono im jechać do Wiednia, lecz zatrzymano obu w Poisdorf, skąd Bojanowicz uzyskał wprawdzie możność powrotu do Warszawy, Jelski zaś został internowany w Bernie.

W ten sposób dwa mocarstwa, na które w Warszawie najwięcej liczono, okazały się dla powstania bądź obojętne, bądź nawet nieprzychylnie usposobione. Obawa przed rewolucyą i strach przed potęgą rosyjską stłumiły nad Sekwaną wzniosłe uczucia ludzkości i sprawiedliwości, przygłuszyły we Wiedniu wzgląd wszelki na interes państwa, które w niepodległej Polsce zyskiwało spokojnego sąsiada i sprzymierzeńca, a w zwycięskiej Rosyi miało niewątpliwie groźną współzawodniczkę, lub, w pomyślniejszym wypadku, przemożną, upokarzającą i niebezpieczną protektorkę. Ale umysł Metternicha, niesięgający w daleką przyszłość, zadowalniał się chwilowem powodzeniem. Tak, jak na kongresie wiedeńskim poświęcił Polskę dla ratowania Saksonii, tak teraz gotów był nieprzeszkadzać Rosyi w zgnębieniu powstania, aby utrzymać stanowisko Austryi we Włoszech i ugasić płomień rewolucyi, rozpościerający się po Europie.

Mniej jeszcze niż od Austryi i od Francyi mogła się Polska spodziewać od innych mocarstw. Prusy zamknęły dla powstania szczelnie swoje granice

i zawarły w czerwcu traktat z Rosyą, mocą którego wystawiły korpus obserwacyjny (60.000) i pozwoliły Paskiewiczowi na zakładanie magazynów i szpitali w prowincyach pruskich, przylegających do Polski. Rząd szwedzki Bernadotta, poddany zupełnie wpływom rosyjskim, nietylko niedopuścił do Sztokholmu posła polskiego hr. Romana Załuskiego, ale wydalił go nawet za granice kraju; Turcya była bezsilna, Anglia, dokąd pojechał margrabia Aleksander Wielopolski, żadnych nie czyniła nadziei. Palmerston przebąkiwał niewyraźnie o przywróceniu Polski do tego stanu, w jakim ją kongres wiedeński postawił, a kolega jego w gabinecie, lord Grey, ten sam, co w roku 1814. odgrywał rolę żarliwego przyjaciela naszego, nieodpowiadał nawet na listy księcia Czartoryskiego, a pełnomocnikowi polskiemu oświadczył, że przejrzy jeszcze raz starannie akta kongresu wiedeńskiego, aby przekonać się, czy na ich podstawie może służyć Anglii prawo interweniowania w sprawie polskiej! Wobec tych faktów kończyły się wszelkie złudzenia i pozostawał tylko oręż. Zobaczmy więc, jak go używał dalej Skrzynecki.

Położenie stron wojujących było po bitwie igańskiej następujące: Dybicz, odzyskawszy szczęśliwie swoją podstawę operacyjną, zgromadził wszystkie siły w trójkącie pomiędzy Kostrzyniem, Muchawcem i Liwcem, wzmocnił obwarowania Siedlec, główną kwaterę założył w Suchej i tu okopany i otoczony redutami oczekiwał dalszych wypadków. Siły jego oblicza Schmidt na 65.000, na prawem skrzydle, pomiędzy Bugiem i Narwią, stał oddział Sackena i gwardye, razem 30.000, za Wieprzem znajdował się korpus Kreutza i Dawidowa w sile 9000. Wódz rosyjski rozporządzał zatem stotysięczną armią, ale w wojsku jego grasowała cholera i tyfus, żołnierze padali jak muchy, szeregi topniały, chorych bowiem nie było komu leczyć ani czem ratować;[1]) pułki piesze 6-go korpusu liczyły już tylko po jednym batalionie, kawaleryjskie po cztery szwadrony. Co gorsza, wzmagające się powstanie na Litwie i przejście Dwernickiego na Wołyń zagrażały tyłom armii rosyjskiej i komunikacyom z cesarstwem tak, że feldmarszałek uznał za stosowne Brześć litewski obwarować i liczną opatrzeć załogą, a do Petersburga szturmował bezustannie o pozwolenie użycia gwardyj, które wyprawiono nie na wojnę, lecz właściwie w celu demonstracyi.

W innym stanie znajdowało się wojsko polskie. Wskutek usilnych zabiegów i starań rządu wzrosła siła zbrojna do 100.000; żołnierz był ożywiony jak najlepszym duchem i, po ostatnich zwłaszcza zwycięstwach, pełen ufności w siebie, pragnął bitwy w przekonaniu, że niewątpliwie nieprzyjaciela pokona. Ale Skrzynecki, zamiast skorzystać z tego zapału i z pomyślnych okoliczności, zajął się korespondencyą dyplomatyczną, pisał i rozsyłał odezwy do dworów europejskich, listy do osób wpływowych, niepomijając nawet dygnitarzy tureckich, a — zasadziwszy na tem całą swoją czynność — odpowiadał tym, co go do działania nakłaniali, że bitwę stoczyć zamierza pod Grochowem. Kiedy więc Dybicz, wypocząwszy cokolwiek, opatrzywszy się w żywność i uzyskawszy nakoniec od cara pozwolenie na użycie gwardyj, wystąpił zaczepnie i

[1]) W ostatnich dniach kwietnia liczyli Rosyanie 8720 ludzi chorych, z tego umarło 2800 (A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko-ruska 1831. roku". Str. 231).

gdy skutkiem tego nastręczała się znowu sposobność do wydania mu bitwy w korzystnej i mocnej pozycyi pod Kuflewem, wódz naczelny, wierny swojej kunktatorskiej taktyce, nakazał odwrót ku Pradze. Wtedy Chrzanowski zawołał w uniesieniu: „Prowadzimy wojnę, jak tchórze; lepiej i rozsądniej jest zdać się już dziś na łaskę lub niełaskę“, poczem rzucił pióro i oświadczył, że dalszych rozkazów podpisywać nie będzie. Wszystko skończyło się więc na zaszczytnych dla oręża polskiego utarczkach przedniej straży pod Kuflewem, gdzie odznaczył się Dembiński i pod Mińskiem, gdzie Giełgud, wyuczony dobrze swojej roli przez Prądzyńskiego, wstrzymał natarczywość nieprzyjaciela. Feldmarszałek nie dopiął swego zamiaru; nie zdołał ani przełamać ani rozdzielić armii polskiej, a — doszedłszy do Wielkiego Dębu, gdzie Chrzanowski przewidywał bitwę — nie śmiał atakować Polaków w dogodnem stanowisku i powrócił znowu za Kostrzyń.

Tymczasem na prawem skrzydle polskiem wydarzyły się wypadki niespodziewane i dla powstania wielce niekorzystne. Mieliśmy tam właściwie trzy korpusy: jeden Dwernickiego, stojący pod Zamościem, drugi Paca, trzeci Sierawskiego, te ostatnie złożone po większej części z młodego żołnierza i niedostatecznie uzbrojone. Po bitwie igańskiej (dnia 12. kwietnia) kazano Pacowi przejść Wisłę i działać zaczepnie na tyłach armii rosyjskiej, wcześniej jeszcze, bo po zwycięstwie pod Dębem, otrzymał podobne polecenie Sierawski. Obaj zastosowali się do rozkazów naczelnego wodza, ale Sierawski, zastawszy dnia 7. kwietnia główne siły Dybicza jeszcze nad Wisłą, musiał się cofnąć, a spóźniony ruch Paca ku Stoczkowi żadnych nie przyniósł korzyści, jak tylko tę, że zbliżył go do głównej armii. Niebawem otrzymał Sierawski drugi rozkaz i naganę, że dotąd Wisły nie przeszedł; zalecono mu, aby Kreutza niepokoił, ale zarazem bitwy stanowczej unikał i wrazie niebezpieczeństwa cofał się albo na korpus Paca, albo dążył ku Zamościowi w celu połączenia się z Dwernickim. Sierawski, żołnierz stary, w bojach osiwiały i pomimo wieku podeszłego pełen młodzieńczej odwagi, uczuł się dotkniętym ową naganą i chociaż nie miał więcej jak 6357 ludzi i 6 armat, piechotę młodą i po większej części w kosy tylko uzbrojoną, przeszedł Wisłę pod Solcem dnia 15. kwietnia i — nie zabezpieczywszy sobie wcale przeprawy — ruszył na nieprzyjaciela. Kreutz, silniejszy od niego — korpus jego liczył bowiem 7404 ludzi i dział 12 — a przytem pragnący się pomścić za doznane od Dwernickiego porażki, nie dał długo czekać na siebie. Po spotkaniu przednich straży w okolicach Babina, przyszło dnia 17. kwietnia do bitwy pod Wronowem, gdzie, pomimo doskonałej pozycyi, męstwa Sierawskiego i polskiej piechoty, nieprzyjaciel odniósł zwycięstwo. Nie była to jednak ani klęska, ani rozbicie korpusu; odwrót odbył się w porządku pod osłoną batalionu 2-go pułku i strzelców celnych Juliusza Małachowskiego i w nocy wojsko stanęło w Kozienicach. Tu, zamiast natychmiast pomyśleć o przeprawie za Wisłę, zwołał Sierawski radę wojenną, na której nic nie uradzono. Tymczasem nieprzyjaciel, postępując krok za krokiem za korpusem polskim, zrana dnia 18. kwietnia uderzył na Polaków, stojących w kotlinie pod Kazimierzem i przypartych do Wisły. Klęska była nieunikniona. Po rozpaczliwej, bohaterskiej prawdziwie

obronie ulegli nasi, zwłaszcza, gdy zabrakło amunicyi; dzielny Małachowski padł z kosą w ręku, trzema przeszyty kulami, Krzesimowski ze strzelcami celnymi, oblężony w zwaliskach zamku, po wystrzelaniu ładunków dostał się do niewoli, reszta z Sierawskim i majorem Malczewskim cofnęła się szczęśliwie ku Puławom, uprowadzając z sobą artyleryą. Spotkania pod Wronowem i pod Kazimierzem, będące skutkiem uniesienia i nieostrożności Sierawskiego, kosztowały nas około 2000 ludzi, podniosły nieprzyjaciela na duchu i oddały prawie całe województwo lubelskie pod władzę zwycięskiego Kreutza. Skrzynecki odebrał Sierawskiemu za karę dowództwo i powierzył je generałowi Dziekońskiemu, który popadł znowu w błąd przeciwny i z zbytecznej ostrożności ograniczył się tylko do obserwowania nieprzyjaciela.

Dotkliwszą o wiele dla sprawy powstania była klęska Dwernickiego. Opuściliśmy tego walecznego generała w chwili, gdy — przerzuciwszy Kreutza na prawy brzeg Wisły — zajętym był w Kozienicach dalszą organizacyą swego oddziału i oczekiwał niecierpliwie posiłków. Zamiast tego otrzymał on dnia 28. lutego wiadomość o bitwie grochowskiej i od nowego naczelnego wodza rozkaz dalszego działania przeciw korpusowi Kreutza. Jakkolwiek niemile tem dotknięty, usłuchał Dwernicki polecenia i — wyprawiwszy z raportem do Warszawy generała Sierawskiego — sam przeprawił się przez Wisłę, przepłoszył w Puławach Moskali i dnia 3. marca rozbił pod Kurowem tylną straż Kreutza, wspartą oddziałem generała Kawera, zabierając nieprzyjacielowi 83 jeńców i 6 dział. Należało przypuszczać, że zwycięstwa i dotychczasowe powodzenie Dwernickiego skłonią naczelnego wodza do troskliwszego zajęcia się losem tego dzielnego i tak szczęśliwego korpusu, że, oddawszy — tak jak tego żądał Dwernicki — pod jego dowództwo oddział Sierawskiego, stworzy na prawym brzegu Wisły poważną siłę, która nietylko zgniecie zupełnie Kreutza i rozerwie potęgę Dybicza, ale — użyta stosownie na Wołyniu — roznieci tam powstanie, najgroźniejsze może w tej chwili dla caratu. Nieszczęściem Skrzynecki, zajęty wtedy właśnie dyplomacyą i przygotowaniem do obrony stolicy, zbyt mało zwracał uwagę na ten poboczny — jak mniemał — teatr wojny, a i całe jego otoczenie, najwidoczniej niechętne Dwernickiemu, może w duchu zazdroszczące mu sławy, nie spieszyło się wcale z spełnieniem słusznych jego żądań. Sam Sierawski zresztą, o ile sądzić można z nie wyraźnej wzmianki Dwernickiego,[1]) działał w głównej kwaterze wbrew otrzymanym w Kozienicach instrukcyom. Stała się zatem rzecz dziwna i niespodziewana zupełnie: Skrzynecki rozkazał Dwernickiemu w 1500 koni wkroczyć na Wołyń, resztę zaś korpusu oddać Sierawskiemu. Dwernicki, przypuszczając, że polecenie naczelnego wodza jest skutkiem nieporozumienia, nie usłuchał wprawdzie narazie rozkazu, ale po potyczce pod Kurowem odesłał na usilne nalegania Sierawskiego oddział pod pułkownikiem Łagowskim. Tak osłabiony, nie był już w stanie znieść zupełnie Kreutza, zajął tylko Lublin, wypłoszył Batbekowa z Wojsławic znowu za Bug, skąd był przyszedł i stanął wreszcie dnia 10. marca pod murami Zamościa.

[1]) „Pamiętniki Dwernickiego“, str. 40.

W przeciągu czteru tygodni zniszczył on korpus Geismara, porazil trzykrotnie Kreutza, ubił lub zabrał do niewoli nieprzyjacielowi około 2000 ludzi, zdobył 23 dział z kompletnym zaprzęgiem, jaszczykami i amunicyą, oczyścił od najazdu województwo Sandomierskie i część województwa Lubelskiego i przestraszył do tego stopnia Dybicza, że ten wysłał czemprędzej swego szefa sztabu Tolla z korpusem (18.000), „z rozkazem odcięcia Dwernickiego od Wisły i od Bugu i zadania mu ostatniego ciosu“. Rozkaz i posiłki przychodziły za późno, bo Dwernicki, oparty o warownie Zamościa, nie lękał się odcięcia i gotów był nawet do stoczenia bitwy, której znowu Toll ryzykować nie chciał. Tak, ubezpieczony od napaści ze strony nieprzyjaciela, mógł nareszcie dzielny korpus Dwernickiego wypocząć po trudach całomiesięcznej kampanii. Generał, jak zawsze energiczny i czynny, zajął się uorganizowaniem szczupłych sił swoich, ćwiczył w mustrze piechotę, z samych rekrutów złożoną, zapełniał luki w szeregach kantonistami z województwa Lubelskiego, utworzył oddział strzelców celnych z leśników skarbowych i służby prywatnej, opatrzył w drodze rekwizycyi żywnością twierdzę, słowem w ciągu trzech tygodni zdziałał więcej, niż nieudolne komisye wojewódzkie w okresie trzymiesięcznym. Jedyną przeszkodę w tych usiłowaniach jego stanowiła cholera, zabierająca po kilkui nastu ludzi dziennie, ale i ona — dzięki staraniom oficerów i umiejętności lekarza Drachnego — wkrótce ustawać zaczęła.

Wśród tego Dwernicki, mając zawsze na uwadze główny cel swój, t. j. wyprawę na Wołyń, oczekiwał niecierpliwie decyzyi naczelnego wodza, oczekiwał mianowicie posiłków w ludziach i pieniądzach, po które wysłał oficera swego Osińskiego do Warszawy. Ale nadzieje zawiodły go zupełnie. Zamiast korpusu Sierawskiego przybył do obozu Chruścikowski, przeznaczony przez Rząd narodowy na emissaryusza dla utrzymania komunikacyi pomiędzy Dwernickim i prowincyami zabużańskiemi, a w ślad za nim zjawił się Piotr Wysocki, adjutant naczelnego wodza z poleceniem, aby pozostał przy korpusie i posyłał o nim raporta do głównej kwatery. Była to bowiem właśnie chwila, kiedy Skrzynecki rozpoczął swoje działanie od układów z Dybiczem i kiedy — chcąc usunąć największe trudności — starał się pozbyć ludzi najbardziej skompromitowanych, a więc i twórcy listopadowego powstania. Zwierzenia, jakie poczynił w tym względzie Wysocki Dwernickiemu, odsłaniają istotne zamiary Skrzyneckiego i zadają kłam jego tłumaczeniu się wobec Rządu narodowego.

Okazuje się stąd mianowicie, że nie wymiana jeńców, nie chęć „wymacania“ Dybicza, lub zyskania na czasie, ale wprost traktowanie z Mikołajem, było celem zawiązanych negocyacyj. Wobec tego przedstawiała się i kwestya wyprawy wołyńskiej inaczej w głównej kwaterze w Warszawie, niż w obozie pod Zamościem. Kto zamierzał wojnę kończyć układami, a nie orężem, kto marzeniami nie sięgał poza Bug i Niemen, dla tego wystarczało zupełnie rzucić Dwernickiego z małym oddziałem i garstką zapaleńców na Wołyń, nie w celu wywalczenia zwycięstwa, ale poprostu dla uczynienia dywersyi, dla wywarcia nacisku na gabinet petersburski i chwiejnego feldmarszałka. Pomimo tych zawodów nie upadł Dwernicki na duchu i skoro tylko (przy końcu marca) otrzymał rozkaz do przejścia Bugu, wysłał przodem Chruścikowskiego z uwiadomieniem, że 10. kwietnia wkroczy na Wołyń i z poleceniem, aby w tym dniu ogólne tam podniesiono powstanie. I rzeczywiście w oznaczonym terminie, omyliwszy zręcznie czujność nieprzyjaciela, stanął generał d. 9. kwietnia w Kryłowie, przeprawił się nazajutrz przez Bug i — rozbiwszy pod Porycкiem pułk kargopolski dragonów — wydał odezwę do Wołynian, powołującą ich do powstania.

Tu jednak nowy spotkał go zawód. Wiadomość o rewolucyi listopadowej przyjęto na Wołyniu z radością i zapałem. „Odwiedzaliśmy się wzajemnie w domach naszych — tak pisze w swoim „Pamiętniku“ uczestnik bojów ówczesnych i naoczny świadek tego, co się na Wołyniu działo[1]) — a wzrok każdego przy pierwszem spotkaniu się był obrazem uczuć, jakiemi serca nasze napełnione były. Nadzieja wskrzeszenia ojczyzny, praw narodowych i wolności jaśniała na licach młodzieży. Starcy nasi zdawali się odzyskiwać zdrowie, a kobiety nasze złorzeczyły swojej płci i siłom.“ Wysłuchując wieści o postępach powstania, czekano wiosny i w cichości gotowano się do nieuniknionej walki. Gorętsza młodzież tylko przemykała się za Bug, aby dzielić trudy i chwałę nadwiślańskich braci. Rząd powstańczy zachowywał się jednak względem prowincyj zabranych wyczekująco, niemal obojętnie, a tymczasem Moskwa, ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, zabrała się po swojemu do dzieła. Pod pozorem cholery więc urządzono po wsiach warty, aby utrudnić wszelką komunikacyą, odbierano broń, kosy, noże, siekiery nawet, a podejrzanych i wątpliwych wywożono co rychlej w głąb carstwa, do Kurska. Mimoto, a raczej właśnie dlatego, ci wszyscy, których jeszcze podejrzliwość lub ostrożność władz rosyjskich oszczędziła, gotowi byli na pierwsze hasło podnieść broń i połączyć się z powstaniem. Na Podolu każdy powiat mniej więcej miał w pogotowiu 600 konnych ochotników, zupełnie uzbrojonych,[2]) sam Karol Różycki liczył na Wołyniu w swojej okolicy 480 powstańców. Ale hasła czekano napróżno. Chruścikowski,[3]) acz wyprawiony przez Dwernickiego z wyraźnym rozkazem rozpoczęcia powstania w dniu 10. kwietnia, nie spełnił swego obo-

[1]) Różycki Karol: „Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej 1831. roku“. W Krakowie 1898.

[2]) Artykuł Leona Stempowskiego w dodatkach do „Pamiętników Drewnickiego“.

[3]) Sprawa Chruścikowskiego jest dotąd niewyjaśniona. Zapowiedział on, że ogłosi jakieś pisma, ale nie ogłosił żadnych („Pamiętniki Dwernickiego). — Por. Lelewela: „Polska, dzieje i rzeczy jej.“ T. VII, str. 139.

wiązku, a naznaczywszy termin o pięć dni późniejszy, znowu go następnie odwołał. Nic dziwnego zatem, że Dwernicki w dniu 13. kwietnia zastał w Drużkopolu tylko kilkunastu obywateli, ożywionych wprawdzie najlepszemi chęciami, ale przerażonych także dotychczasowem prześladowaniem, że nie było ani powstańców, ani nawet koni, które Chruścikowski miał dla artyleryi zamówić.

Wobec tego nie pozostawało generałowi nic innego, jak trzymać się instrukcyi naczelnego wodza i najbliższą drogą spieszyć do Kamieńca Podolskiego, gdzie — o ile przypuszczał — powstanie musiało się rozpocząć. W tym celu ruszył Dwernicki dalej, nad brzegi Styru, aby przejść tę rzekę i wzdłuż granicy galicyjskiej dostać się na Podole. Tu jednak oczekiwał go już Rydygier, który — wbrew zdaniu wszystkich generałów rosyjskich — był od początku jak najmocniej przekonanym, że Dwernicki wkroczy na Wołyń, i zebrawszy 11.000 do 13.000 ludzi zastąpił mu drogę pod Boremlem. Spotkanie było zatem nieuniknione. Dnia 19. kwietnia wywiązała się bitwa, w której dziesięć niekompletnych dywizyonów jazdy polskiej, trzy bataliony piechoty i 10 dział odparło zwycięsko trzy razy silniejszego nieprzyjaciela. Jeden pułk regularnej piechoty więcej, a Rydygier byłby zupełnie pobity i wrzucony do Styru. I tak jednak z tem, co miał, z korpusem, liczącym zaledwie 4100 ludzi, dokonał Dwernicki bardzo wiele, bo nietylko utrzymał się na pobojowisku, ale nadto pod bokiem nieprzyjaciela przeszedł Styr i przez Radziwiłłów, Poczajów i Kołodno zbliżył się o jeden dzień marszu do Kamieńca Podolskiego, gdzie wszystko do powstania było przygotowane i gdzie wkrótce potem stanęło pod bronią 16 szwadronów kawaleryi i znaczny oddział piechoty. Ażeby temu groźnemu niebezpieczeństwu zapobiedz, wytężył nieprzyjaciel wszystkie swoje siły. Od Kamieńca powołano część korpusu Rotha, który zagradzał Dwernickiemu drogę nad Zbruczem, na Międzybóż i Stary Konstantynów szło sześć pułków piechoty Kajzarowa, a równolegle z oddziałem polskim posuwał się Rydygier. Osaczony tak ze wszystkich stron przez przeważne siły i przyciśnięty do granicy, musiał Dwernicki dnia 27. kwietnia wkroczyć do Galicyi, gdzie korpus jego rozbrojono, armaty, trofea tylu zwycięstw i broń palną oddano Moskalom, a jego samego wywieziono do Styryi. Po wzięciu Warszawy wyjechał Dwernicki za paszportem austryackim do Francyi; oficerowie i żołnierze z jego korpusu zdołali po większej części powrócić pod znaki narodowe.

Bezpośrednim skutkiem klęski Dwernickiego był upadek powstania na Wołyniu i Podolu. Wkrótce po pojawieniu się korpusu polskiego za Bugiem, gorętsi patryoci, jak: Olizar, Worcell, Ludwik Stecki, Hołowiński, Gałecki, Kieniewicz, Bogdanowicz i właściciel Boremla Michał Czacki, któremu później cały majątek skonfiskowano, przybyli sami do obozu na czele kilkudziesięciu ochotników. Ale ruchy te, podjęte z osobna, nie mogły zaważyć na szali wypadków. Dzielny Stecki, wystawiwszy własnym kosztem oddział (130 ludzi) i połączywszy się z drobnemi partyami powstańców, zajął Włodzimierz i ustanowił tu rząd tymczasowy, napadnięty jednak przez przeważające siły Dawidowa, został po bohaterskiej obronie z miasta wyparty. Dawidow z niesły-

chanem okrucieństwem „przewrócił — jak się sam wyraża — we Włodzimierzu wszystko do góry nogami“; Czarnołuskiego, poważnego i wpływowego obywatela kazał rozstrzelać i zwłoki jego na szubienicy powiesić. Podobny los spotkał oddział Olizara w Kowlu, tylko Worcell i Różycki Karol zdołali wydostać się za Bug. Ten ostatni, zebrawszy 130 ludzi w lasach, około Żytomierza położonych, wyruszył w pole dnia 5. maja i — myląc zręcznemi obrotami ścigającego nieprzyjaciela, lub znosząc oddziały, zastępujące mu drogę jak pod Mołoczkami — przeprawił się szczęśliwie przez Bug poniżej Dorohuska i przybył wreszcie do Zamościa.

Lepiej przygotowane i silniejsze było powstanie podolskie. Jełowiccy, Potoccy (Józef, Herman i Włodzimierz), Stempowski, Sobańscy (Izydor i Aleksander), głośny swego czasu „emir“ Wacław Rzewuski i inni zebrali 1000 koni i 150 strzelców konnych i cały ten oddział oddali pod dowództwo starego kościuszkowskiego żołnierza, generała Kołyski. Pomnożywszy siły swoje do 3000 ludzi, nie umiał jednak Kołysko — acz osobiście waleczny — utrzymać w wojsku ładu i porządku. Zamiast podzielić powstańców na drobne oddziały i tak, jak to uczynił Różycki, prowadzić wojnę podjazdową, wpadł on na nieszczęśliwą myśl tworzenia armii regularnej w obliczu przeważnego nieprzyjaciela, nie posiadając potrzebnej do tego energii i organizatorskiego talentu. Skutek był taki, że Roth z trzema pułkami ułanów i 6 armatami pobił korpus Kołyski pod Daszowem. Pomimo tego powstańcy zwrócili się ku Barowi w celu połączenia się z Nagórniczewskim, który miasto to opanował. Pod Obodnem zastąpił im drogę generał Szucki, pod Michałówką Szeremetiew, obaj rozbici, utracili w jeńcach 299 żołnierzy, 17 oficerów i dwa działa. Szalonej odwadze i poświęceniu tej dzielnej młodzieży nic prawie oprzeć się nie mogło. Rozumiejąc dobrze swoje położenie i ducha czasu, ogłosili powstańcy w odezwach swoich ludowi wiejskiemu wolność od poddaństwa i własność posiadanéj ziemi.

Pod zręcznym dowódzcą i o kilka tygodni wcześniej rozpoczęte powstanie podolskie mogło oddać sprawie narodowej nieobliczone usługi, mogło, jeżeli nie uratować od katastrofy Dwernickiego, to przynajmniej pokrzepić się znacznie na siłach, zanim Roth z Kajzarowem i Rydygierem zdołali zwycięsców z pod Stoczka wepchnąć do Galicyi. Wtedy i wypadki wojenne byłyby inny wzięły obrót. Obecnie, nawet po ostatnich powodzeniach, złe nie dało się już naprawić, a nieprzyjaciel, chociaż pobity dwukrotnie, miał zanadto przeważające siły. Zabrakło też zdolnego wodza. Doświadczeńsi oficerowie, jak Pobiedziński i Orlikowski zginęli, a pochylony wiekiem 80-letni Kołysko nie był w stanie trudnemu zadaniu podołać. Tak ściśnięci zewsząd, weszli powstańcy podolscy dnia 26. maja do Galicyi pod Satanowem.

Teraz dopiero, przy końcu kwietnia, ocknął się — jak zwykle zapóźno — Skrzynecki. Gdy w głównej kwaterze odebrano raport Dwernickiego, datowany z Kołodna dnia 24. kwietnia, spostrzegł pierwszy Chrzanowski, że korpus ten jest zgubiony, jeżeli mu się natychmiast posiłków nie poszle i zaproponował wyprawienie odpowiedniej siły pod Zamość, aby trzymać na wodzy rozzuchwalonego ostatniem zwycięstwem Kreutza i podać rękę Dwernickiemu.

A że przedsięwzięcie było trudne i niebezpieczne, bo korpus wysłany musiał się przedzierać wśród gęsto rozsianych oddziałów nieprzyjacielskich, więc Chrzanowski i tak zniechęcony do Skrzyneckiego, sam ofiarował się na dowódzcę. Projekt szefa sztabu przypadł do myśli i naczelnemu wodzowi i Prądzyńskiemu. Skrzynecki nie mógł zapomnieć Chrzanowskiemu owego zarzutu tchórzostwa, Prądzyński mniemał, że — zostawszy bez współzawodnika — łatwiej Skrzyneckim pokieruje, obaj więc zgodzili się i Chrzanowski z korpusem, wynoszącym około 6000 ludzi, wyruszył dnia 3. maja z Jędrzejowa do Zamościa, 7. maja przybył do Kocka, gdzie zabrał furgony rosyjskie, kasę i posterunek (z 150 ludzi złożony), ale od przejętego z raportem kuryera Rydygiera dowiedział się o przejściu korpusu Dwernickiego do Galicyi, zatrzymał się więc i posłał po nowe instrukcye do głównej kwatery. W 24 godzin nadeszła odpowiedź. Ani Skrzynecki, ani Czartoryski nie chcieli wierzyć doniesieniu Rydygiera, Chrzanowskiemu kazano iść dalej. Straciwszy w ten sposób dobę całą, generał polski udał się ku Firlejowi i w lesie za tem miasteczkiem natknął niespodzianie na nieprzyjaciela. Kreutz bowiem, uwiadomiony przez Kozaków o pochodzie korpusu Chrzanowskiego, zebrał szybko wszystkie swoje siły[1]) i wsparty brygadami Fasiego i Timana zabiegł drogę Polakom. Wywiązała się tak potyczka, w której odłączone od głównego korpusu Kreutza oddziały rosyjskie zostały rozbite i ocalały jedynie wskutek niedołęstwa generała Ambrożego Skarzyńskiego, dowodzącego jazdą polską. Mimoto zabrał Chrzanowski 500 jeńców i — nie czekając na Kreutza — rzucił się szybko na trakt lubartowski i w Lubartowie zanocował w przekonaniu, że nieprzyjaciel, świeżem doświadczeniem pouczony, natarczywie ścigać go nie będzie. Tu jednak, znowu przez niedbalstwo Skarzyńskiego, omal nie uległ katastrofie, bo o 4-tej godzinie zrana uderzył na spiący obóz polski całą potęgą Kreutz i Chrzanowski tylko przypadkowi i swojej przytomności umysłu zawdzięczał ocalenie. Sam skoczywszy na czele dwóch szwadronów jazdy na grenadyerów Murawiewa, powstrzymał ich tak długo, aż korpus cały mógł chwycić za broń i stanąć w szyku bojowym. Wtedy dopiero widząc, do czego Kreutz zmierza i — dowiedziawszy się, że droga do Lublina zajęta przez oddział hr. Tołstoja — rzucił się w lesistą okolicę ku Łęcznie i szczęśliwie przeszedł Wieprz. Tymczasem kompania 1-go pułku, zasłaniająca odwrót, zajęła klasztor Kapucynów w Lubartowie, bohaterskim swoim oporem wstrzymała postęp nieprzyjaciela i dopiero po wystrzelaniu wszystkich ładunków, gdy Rosyanie budynek klasztorny zapalili, wywiesiła białą chorągiew. Ujrzawszy 80, po większej części rannych wojowników, wychodzących z kościoła, sam Kreutz, człowiek zresztą rycerski i honorowy, oddał cześć należną odwadze i poświęceniu polskich bohaterów. Najpiękniejszą jednak nagrodą dla nich było niewątpliwie przeświadczenie, że swojem męstwem ocalili cały korpus od zguby. Bo jakkolwiek Kreutz puścił się w pogoń za korpusem Chrzanowskiego, to ten, wyprzedziwszy go znacznie i postępując lasami tak szybko, że w przeciągu 54 godzin uszedł 18 mil, stanął szczęśliwie pod murami Zamościa.

[1]) Puzyrewski podaje je na 7721 ludzi, Barzykowski na 11.000.

Wypadki, wyżej opowiedziane, stwierdzają dowodnie, że bezczynność Skrzyneckiego w miesiącu kwietniu największe sprawie powstania przyniosła szkody. W chwili bowiem, gdy wojska rosyjskie zajęte były stłumieniem powstań na Wołyniu, Podolu i Litwie, gdy nagłe pojawienie się Dwernickiego za Bugiem rzuciło postrach aż do Kijowa, cała nadzieja caratu polegała na wylęknionej i chorobami znękanej armii Dybicza. Feldmarszałek też, dobrze świadom swego położenia, postępował ostrożnie, nadwerężoną cokolwiek swoją sławę wojenną usiłował ratować więcej demonstracyami, niż zaczepnem działaniem i natarczywością, a gdy to nie skutkowało, okopał się w Suchej, najeżył reduty działami i oczekiwał dalszych wypadków. Dla wodza polskiego była ta wstrzemięźliwość Dybicza wielce pożądana. Miał on czas wypoczywać na laurach, świeżo obcą zasługą zebranych pod Wawrem, Dębem Wielkim i Iganiami, wyprawiać w głównej kwaterze zabawy dla pań z Warszawy przybyłych, a w wolnej od tych zajęć chwili pozować wdzięcznie do swego portretu, jaki kazał właśnie malować. Złożywszy zresztą całą troskę o sprawy publiczne na dyplomacyą i ufając naiwnie zapewnieniom ajentów dyplomatycznych o bliskiej interwencyi, nie pomyślał wcale o tem, że ta interwencya będzie i szybszą i skuteczniejszą, jeżeli ją poprą powodzenia orężne na polu walki. W tem zaślepieniu nie dał się więc nakłonić do żadnego przedsięwzięcia, odrzucił plan Chrzanowskiego, a — przetańczywszy z Dybiczem „menueta“ od Kuflewa do Jędrzejowa — nie chciał nawet słyszeć o projekcie Prądzyńskiego atakowania feldmarszałka w Suchej z zamiarem wrzucenia całej jego armii na bagna pomiędzy Muchawcem i Liwcem. Zrozpaczony kwatermistrz odniósł się do rządu i rozpoczęła się żywa korespondencya Czartoryskiego z naczelnym wodzem, w której ostatni broniąc się — jak to mówią — rękami i nogami od wszelkiego działania, przybierał względem prezesa rządu ton lekceważący i sarkastyczny. „Winszuję księciu — tak pisał między innemi — że z polityka i dyplomaty stałeś się wojskowym i strategikiem i starego żołnierza sztuki wojennej uczyć zamierzyłeś“. Czartoryski, otrzymawszy taką odprawę, uczynił krok stanowczy, w obszernym memoryale przedstawił Skrzyneckiemu konieczność jakiegoś działania i zastrzegł się, że jeżeli ten głos jego nie będzie usłuchany, cała odpowiedzialność za skutki spadnie na naczelnego wodza. Wtedy dopiero oświadczył Skrzynecki listownie księciu: „Znudziliście mnie, więc ruch rozpoczynam“ i kazał Prądzyńskiemu, aby mu przedstawił plan wyprawy na gwardye. Po długich rozprawach ułożono rzecz tak: Umiński z korpusem, liczącym około 11.000 i dział 28, miał pozostać pod Kałuszynem i obserwować główną armię rosyjską, wrazie, gdyby był zaatakowany przez przeważające siły, cofać się zwolna na pozycye pod Mińskiem i pod Wielkim Dębem, wreszcie pod Pragę, gdzie szaniec przedmostowy dawał mu punkt oparcia i możność skutecznej obrony. Naczelny wódz z 4-ma dywizyami piechoty i korpusami jazdy Łubieńskiego i Skarzyńskiego, razem w 44.633 ludzi i dział 104, udawał się tymczasem forsownym marszem do Zegrza i — przeszedłszy tu Narew i Bug — stawał w widłach tych rzek naprzeciw gwardyom rosyjskim, które, oddzielone Bugiem od feldmarszałka i liczące nie więcej jak 27.000 ludzi, musiały być w tych warunkach pobite i zniesione ze szczętem.

Wyprawa rozpoczęła się szczęśliwie; główna armia polska opuściła dnia 12. maja niespostrzeżenie swoje dotychczasowe stanowiska i dnia 13. maja była już pod Serockiem. W tym samym czasie Dybicz w mniemaniu, że Polacy zamierzają go atakować od lewego skrzydła i chcąc ich w tem uprzedzić, uderzył na korpus Umińskiego, ale napotkawszy na energiczny opór, powrócił na dawne swoje stanowisko pod Suchą w przekonaniu, że ma zawsze główne siły polskie przed sobą. Skrzynecki tymczasem, przeszedłszy Narew, wysłał na lewo Dembińskiego w celu opanowania mostu pod Ostrołęką, którędy gwardye cofnąć się mogły, a na prawo Łubieńskiego z 12.000 dla zajęcia przeprawy na Bugu pod Nurem i niedopuszczenia stamtąd Dybicza. Dnia 16. maja przyszło do pierwszego spotkania z gwardyami pod Przetyczą. Generał Poleszko, dowodzący tylną strażą, bronił się uporczywie, odznaczyli się szczególniej strzelcy finlandzcy, Szwedzi. Nazajutrz wielki książe Michał skoncentrował wszystkie swoje siły pomiędzy Jakaciem i Śniadowem, a do Dybicza pchnął gońca z uwiadomieniem o krytycznem swojem położeniu. Rzeczywiście był on wystawiony na niechybną zgubę; przed sobą miał główną armię polską, 27.000 ludzi i 80 dział, na lewem skrzydle dywizyą Giełguda, na prawo Łubieńskiego, za sobą jedyną drogę, zapchaną pociągami i taborami. Wszystkie siły jego wynosiły 22.000 ludzi i 70 dział, o zwycięstwie więc marzyć nawet nie mógł, a będąc raz pobitym, musiał chyba kapitulować, bo ocalenia dla niego nie było. Tak stały rzeczy dnia 17. maja. Uradowany Prądzyński wygotował rozkazy do bitwy na dzień następny, kiedy nagle wódz naczelny począł się wahać i szukać rozmaitych wybiegów. Przedewszystkiem chciał być pewnym co do posiadania mostów pod Ostrołęką i Nurem, a gdy w nocy z 17. na 18. i ta wątpliwość się wyjaśniła, gdy od Łubieńskiego i Dembińskiego pomyślne nadeszły wiadomości, on mimoto trwał dalej w swoim uporze i oświadczył, że Giełgud ma maszerować ku Ostrołęce, podczas gdy cała armia obserwować będzie gwardye. Wtedy zniecierpliwiony i zgniewany Prądzyński rzucił pióro i odmówił podpisania tak niedorzecznych rozkazów.

Co mogło skłonić Skrzyneckiego do tak zgubnego postanowienia, do wypuszczenia poprostu gwardyj carskich, o tem rozmaicie pisano i mówiono, ale nikt powodów właściwych odgadnąć nie był wstanie. Naszem zdaniem wynikają one dość jasno z usposobienia i zamiarów naczelnego wodza. Skrzynecki podobnie jak i wszyscy wyżsi oficerowie polscy, z małymi wyjątkami, nie wierzył w siłę i zwycięstwo powstania, po buławę sięgał z ambicyi, a może i w przekonaniu, że lepiej będzie dowodzić, aniżeli spółka Radziwiłł-Chłopicki, niż po zranieniu ostatniego sam Radziwiłł. Ale, zostawszy wodzem, obiecywał tylko grób powstaniu wykopać, starał się naśladować nieudolnie — w odmiennych zupełnie warunkach — Fabiusza Kunktatora, a w głębi serca pragnął układów i nawiązał rokowania z Dybiczem. Gdy traktaty zawiodły, zmuszony był jąć się oręża, odniósł, sam nie wiedząc jak, niespodziewane zwycięstwa i odtąd, aby nie stracić tanio nabytych laurów i nie „skompromitować“ siebie, unikał spotkania, całą zaś ufność pokładał w interwencyi zagranicznej. To oczekiwanie przerwała natarczywość Prądzyńskiego i nalegania

rządu. Zgodził się więc na wyprawę przeciw gwardyom, ale podejmował ją niechętnie, bez zapału, w Serocku już — jak się wyraża trafnie Dembiński — był pobity. A jednak los mu się uśmiechał, gwardye dopędzono i osaczono, zguba ich była pewna. Ale właśnie tej zguby nie chciał Skrzynecki. On wiedział bowiem, że klęska korpusów gwardyjskich zadawała najdotkliwszy cios Mikołajowi, że była strasznem upokorzeniem dumnych bojarów rosyjskich i że mogła tak cara jak i Rosyą zapalić nieubłaganą zemstą i do nowych zagrzać wysileń. W takim razie zaś znikała nadzieja interwencyi, znikała możność układów i pozostawał tylko oręż, którego Skrzynecki używać nie śmiał i nie umiał. Że takie a nie inne były powody wypuszczenia gwardyj, świadczą niezręczne wybiegi, jakich względem Prądzyńskiego używał wódz naczelny, świadczy uporczywe jego później milczenie o tych nieszczęśliwych wypadkach.

Wierny swojej taktyce, dał więc czas gwardyom odetchnąć i wycofać się z trudnego położenia i dopiero kiedy wielki książe Michał, odesławszy parki i tabory jak najszybciej, zaczął uchodzić ku Tykocinowi, puścił się za nim Skrzynecki w pogoń po to, aby nieprzyjaciela niedoścignąć, w dwóch potyczkach pod Rudkami i pod Tykocinem bez potrzeby wiele ludzi stracić, wojsko zniechęcone zmęczyć i nieudałą wyprawę zakończyć teatralnym efektem, nabożeństwem, urządzonem u stóp pomnika Stefana Czarnieckiego na rynku tykocińskim. Wódz, który niedołęstwem swojem i obłędem umysłowym gubił sprawę narodową, czcił pamięć tego bohatera, co wśród powszechnego pogromu ducha nie stracił i w orężu całą swoją pokładał nadzieję!

Ale zaledwie ustały modły, zaledwie przebrzmiały pieśni nabożne i żołnierz miał czas wytchnąć cokolwiek po niesłychanem umęczeniu dni ostatnich, kiedy nadbiegł od Łubieńskiego goniec z przerażającą wiadomością, że Dybicz z całą swoją armią przeszedł Bug. Feldmarszałek, nieodebrawszy ani 17. ani 18. maja żadnych wiadomości od korpusu gwardyjskiego, zaniepokojony tem żywo, ruszył z całem wojskiem dnia 20. maja ku Bugowi, a gdy przejście pod Nurem zastał zajęte, rzucił mosty pod Grannem i dnia 21. maja przeprawił się na prawy brzeg rzeki. Gdyby obaj generałowie polscy, strzegący głównej armii rosyjskiej, mieli się byli na baczności i spełnili gorliwie swoje obowiązki, byłby feldmarszałek z wielkiemi musiał walczyć trudnościami. Ale Umiński, wytrzymawszy dnia 13. maja natarczywość całej armii nieprzyjacielskiej, stał bezczynnie pod Wielkim Dębem i dopiero 24. maja atakował słabemi siłami Siedlce bez skutku, Łubieński zaś, jakkolwiek uwiadomiony wcześnie o przeprawie Dybicza pod Grannem, dał się podejść i otoczyć przeważającym siłom nieprzyjacielskim. Prawda, że wezwany przez generała Berga do kapitulacyi, odrzucił ją z pogardą i — sprawiwszy piechotę w czworoboki — bagnetem sobie utorował drogę i szczęśliwie uniknął niebezpieczeństwa, ale stracił całkiem niepotrzebnie 250 ludzi i jedno działo zdemontowane. Szczęściem dla Polaków Dybicz zamiast iść prosto za Łubieńskim i zająć w ten sposób tył głównej armii polskiej, powracającej z Tykocina, zwrócił się do Wysokiego mazowieckiego dla połączenia wojsk swoich z gwardyami. Miał więc Skrzynecki dość czasu, aby przejść Narew pod Ostrołęką, mosty za sobą zburzyć i od dalszego ścigania się ubezpieczyć.

Stało się jednak inaczej. Aby „okazać, że nie uchodzimy, lecz odwrót czynimy, stosownie do naszej woli i planów“, przeprawiono wprawdzie główne siły na prawy brzeg Narwi, ale pod Nadborami (przed Ostrołęką) zostawiono dywizyą Łubieńskiego i posłano mu rozkaz dnia 26. maja o 7-mej godzinie zrana, aby się przez cały dzień utrzymał na swojem stanowisku.[1]) Wydawszy te rozporządzenia, dziś dla nas niepojęte i niewytłumaczone, odjechał wódz naczelny, pogodzony już cokolwiek z Prądzyńskim, w jednym powozie z nim do głównej kwatery w Krukach, gdzie podług swego zwyczaju natychmiast spać się położył. Tymczasem Dybicz uderzył już o godzinie 9-tej zrana całą swoją potęgą na Łubieńskiego, który, nie będąc w stanie powstrzymać mas nieprzyjacielskich, cofnął się w porządku do Ostrołęki, przeszedł na prawy brzeg Narwi, a obronę miasta poruczył Bogusławskiemu, dowódzcy słynnych czwartaków. Ale i Bogusławski, wystawiony na piekielny ogień 40-tu dział Gorczakowa, party przez całą dywizyą Nabokowa, po heroicznej obronie musiał ustąpić z palącej się Ostrołęki z szczątkami 4-go pułku, a za nim po moście, nie zniesionym zupełnie, bo na to czasu już nie było, tłoczyła się rozżarta i powodzeniem upojona piechota rosyjska. W czasie tej piekielnej walki spoczywał Skrzynecki snem błogosławionych; zbudził go wreszcie zabłąkany granat, pękający z łoskotem na dziedzińcu głównej kwatery, zerwał się więc z posłania, dosiadł konia i razem z Prądzyńskim przyleciał na pole walki. Tu panowało największe zamięszanie. Żołnierze, korzystając z pozwolenia odpoczynku, gdyż nie myślano wcale o bitwie, zajęci byli czyszczeniem broni, inni kąpali się w Omulewie i Narwi; nagły grzmot dział i natarczywe postępowanie mas nieprzyjacielskich rzuciły więc popłoch i przerażenie powszechne. Wojsko chwyciło wprawdzie za oręż, ale bez ładu i porządku, nikt nie wiedział, co robić i dokąd się zwrócić, wódz naczelny zupełnie stracił głowę i — jak zwykle człowiek, ze snu nagle zbudzony — wydawał rozkazy najniedorzeczniejsze, pułk po pułku, brygadę po brygadzie pędził ku mostowi, a każda z nich po bohaterskiej walce ustępowała rozbita i zdziesiątkowana w nieładzie ku zaroślom, okalającym straszne pole bitwy. Prosty rozsądek i rozwaga nakazywały zaniechać tych rozstrzępionych ataków, wojsko cofnąć do lasu, wzgórza, położone na prawym brzegu, obsadzić artyleryą i czekać nieprzyjaciela, który nie mogąc się rozwinąć na szczupłej i bagnistej równinie za mostem, ani użyć licznej swojej jazdy, musiałby był natarczywość swoją

S. Rózycki.

[1]) Barzykowski: T. IV, str. 19.

drogo okupić, a może nawet na zupełną narazić się klęskę. Taką miał myśl Prądzyński — jak twierdzi w swoim „Memoryale“ — ale, że czy to nie był w stanie przekonać Skrzyneckiego, czy, że podobnie jak on, w tym dniu fatalnym także głowę stracił, dość, że bitwa, bez planu żadnego prowadzona, pomimo męstwa niezrównanego wojsk polskich, skończyła się klęską. Poszarpane kolejno, zniechęcone i zmęczone zaciętą walką pułki polskie, rozpierzchły się po zaroślach, masy rosyjskiej piechoty przechodziły most, a za niemi spieszyła kawalerya, aby natarciem swojem dokonać krwawego zwycięstwa. W tej chwili krytycznej wyprosił sobie podpułkownik Bem pozwolenie na wykonanie ataku artyleryą.

Porwawszy 10 dział konnych, wyjechał on najspokojniej — jakby na placu Saskim — pomiędzy roje tyralierów nieprzyjacielskich, a gdy ci, przerażeni nagłem pojawieniem się artyleryi polskiej, ku mostowi uchodzić zaczęli, Bem ustawił swoją bateryę i zaczął prażyć na bliską odległość kartaczami rozhukane tłumy piechoty rosyjskiej. Napróżno artylerya nieprzyjacielska, na wyniosłościach lewego brzegu ustawiona, zasypywała zuchwalców gradem pocisków, pod piekielnym ogniem bateryi Bema zwijały się gęste kolumny Dybicza na most i wstrzymywały zapęd kawaleryi. Nagle huk dział ustał i wyłaniające się z tumanów dymu słońce majowe oświeciło straszny obraz. Wśród bateryi przejeżdżał Bem z trębaczem swoim i kapitanem Jabłonowskim, wokoło nich stały milczące już działa, leżeli pokotem na ziemi wystrzelani kanonierzy i zwłoki zabitych koni.[1]) Ale dzień miał się już ku schyłkowi, nieprzyjaciel, znużony walką i zdziwiony bohaterstwem Polaków, poniósłszy nadto dotkliwe straty,[2]) nie myślał o dalszym boju, działa umilkły z obu stron i noc pokryła cieniem swoim straszliwe pobojowisko. Około godziny 11-tej zwołał Skrzynecki radę wojenną i oświadczył, że zamierza pozostać na miejscu, oczekiwać dywizyi Gielguda, która miała nadejść z Łomży i, wrazie potrzeby, wznowić bitwę nazajutrz. Zapytani o zdanie generałowi sprzeciwili się temu, podając za przyczynę zmęczenie wojska, rozprószenie zupełne piechoty, z której zaledwie 2000 zostawało pod bronią, brak furażu dla koni i niedostateczną ilość amunicyi. Pomimo oporu naczelnego wodza i Prądzyńskiego zwyciężyła większość głosów i wojsko rozpoczęło odwrót ku Pułtuskowi. Gielguda, odciętego w tej chwili, postanowiono za radą Dembińskiego wysłać na Litwę. Sam wnioskodawca ofiarował się przedrzeć przez podjazdy rosyjskie i zawieźć mu ten rozkaz. Pierwej już z Księżopola wyruszył w tym samym kierunku Chłapowski z garstką (800) ludzi.

Wrażenie i skutki bitwy ostrołęckiej. — Zamiar reformy rządu. — Sejm i jego działalność. — Śmierć Dybicza. Wrażenie bitwy ostrołęckiej było przerażające. Po tylu powodzeniach, które podniosły ducha w narodzie i w wojsku obudziły nadzieje jeżeli nie zupełnego wyzwolenia, to przynajmniej zaszczytnego i pomyślnego ukończenia nierównej walki, nastąpiła klęska

[1]) Stanisław Jabłonowski: „Wspomnienia o bateryi pozycyjnej artyleryi konnej gwardyi królewsko-polskiej“. Poznań 1860. Str. 48.

[2]) Podług A. K. Puzyrewskiego („Wojna polsko-ruska 1831. roku“ [tłumaczenie polskie]. Warszawa 1899) 4700 żołnierzy i 172 oficerów.

— jak się zdawało — straszna i haniebna. Straciliśmy około 8000 najdzielniejszych żołnierzy, polegli generałowie Kicki i Kamieński, Pac, Węgierski, Bogusławski i podpułkownik Breański odnieśli ciężkie rany, dywizya Giełguda została odcięta, w armii panowała demoralizacya i rozprzężenie, sam wódz naczelny zwątpił o wszystkiem. „Stoczyliśmy bitwę najhaniebniejszą — tak wyrażał się w raporcie, przesłanym rządowi z Serocka — finis Poloniae. Nie pozostaje nic więcej, jak układać się z nieprzyjacielem i Rząd zaraz traktowanie rozpocząć powinien“.[1])

W rzeczywistości nie było położenie tak rozpaczliwe. Nieprzyjaciel poniósł także straty dotkliwe. Na głównym teatrze wojny, w większych spotkaniach, miał on przed bitwą ostrołęcką 24.900 zabitych i rannych, dnia 28. maja leżało w szpitalach 25.288 ludzi,[2]) a jeżeli dodamy do tego jeńców i szczerby w drobniejszych utarczkach orężem polskim w szeregach rosyjskich poczynione, to ubytek cały wyniesie co najmniej 60.000 ludzi, czyli połowę tych sił, z jakiemi Dybicz przekroczył granice Królestwa w pierwszych dniach lutego. Gorzej cokolwiek przedstawiały się rzeczy po grochowskiej bitwie, kiedy nieprzyjaciel stał u bram stolicy, kiedy wojsko było bez wodza, kiedy najodważniejszych nawet ogarniać zaczęło zwątpienie.

Wtedy uratował bądź jak bądź powstanie Rząd narodowy swoją stałością i męskiem prawdziwie postanowieniem. Ale obok niego znalazł się także generał, ten sam Skrzynecki, który — ambitnie sięgając po buławę — przyrzekł, przynajmniej grób zaszczytny powstaniu wywalczyć. W chwili obecnej inna zupełnie była postać rzeczy. Wódz naczelny, popełniwszy cały szereg błędów, zmarnowawszy najpomyślniejsze okoliczności, poniósł z własnej winy klęskę, stracił zaufanie armii i — powracając do pierwotnego swego zamiaru — doradzał układy ze zwycięskim nieprzyjacielem. Ten więc, w którym tyle pokładano nadziei, który miał sprawę narodową nietylko ocalić od zguby, ale i wynieść wysoko, dawał pierwszy hasło do kapitulacyi wśród najniekorzystniejszych warunków, wódz odbiegał wojsko pobite, zostawiał je na łaskę Opatrzności i zwycięskiego nieprzyjaciela, a sam spieszył do stolicy, aby ratować sławę swoją i siebie. W tym celu w drodze już, ochłonąwszy cokolwiek z pierwszego wrażenia, ułożył raport o bitwie ostrołęckiej, mało prawdziwy, dyskretnie zamilczający popełnione błędy, przedstawiający odcięcie Giełguda jako korzystną dla Litwy dywersyą, wysłanie drobnego oddziału pod Chłapowskim za Niemen jako jeden z celów wyprawy na gwardye. Ale opinia publiczna, tyle razy bałamucona, nie dała się tak łatwo uspokoić. Pierwszy odezwał się Krukowiecki. Mianowany — jak wiadomo — gubernatorem Warszawy, rozwinął on na tem stanowisku wiele energii, okazał się czynnym, surowym, często bezwzględnym, cierpkim i sarkastycznym. Kiedy osławiony później Adam Gurowski, udający wtedy jeszcze zapalonego patryotę, zażądał po bitwie grochowskiej paszportu na wyjazd zagranicę, Krukowiecki kazał umieścić następujące o tem zawiadomienie w dziennikach: „Znany z gorliwości

[1]) Barzykowski: T. IV, str. 67.

[2]) A. K. Puzyrewski: „Wojna polsko-ruska 1831. roku“ (tłumaczenie polskie). Warszawa 1899. Str. 295.

swojej w sprawie ojczyzny obywatel Gurowski Adam, który ostatnią kroplę krwi za nią chciał wylać, żądał paszportu do opuszczenia stolicy, a nawet kraju. Gubernator miasta, nie chcąc kraju pozbawiać usług, jakie tak waleczny mąż w tych stanowczych chwilach może mu oddać, odmówił żądaniu, większą cechę przezorności jak patryotyzmu noszącemu". Podobnie surowo obchodził się z oficerami, zbijającymi bruk w stolicy, z osobami, podejrzanemi o szpiegostwo i tym sposobem utrzymywał w mieście ład i porządek. Zajęty służbowemi czynnościami, nie spuszczał on jednak z oka działań wojennych i jak od początku uważał Skrzyneckiego za człowieka pozbawionego wszelkich zdolności wojskowych, tak później, dotknięty jego wyborem na naczelnego wodza i nietaktownem cokolwiek postępowaniem, wyglądał niecierpliwie sposobności do odwetu, a może i osobistej zemsty. Skoro więc tylko rozeszła się wiadomość o ostrołęckiej bitwie, natychmiast przedłożył Krukowiecki Rządowi narodowemu „przedstawienie", w którem poddał surowej krytyce działalność hetmańską Skrzyneckiego, domagał się pospiechu w czynnościach Rządu i upraszał wreszcie o posłuchanie w celu wyjaśnienia takich okoliczności, „które pismem trudno i nieprzyjemnie się wyrażają".[1]) Nie ma najmniejszego śladu, aby posłuchanie takie się odbyło, ale za to przypuszczać można, że Skrzynecki otrzymał wiadomość o piśmie Krukowieckiego i że ta okoliczność także pomiędzy innemi skłoniła go do aresztowania dotychczasowego gubernatora.

Krukowiecki — jak wiemy, butny i gwałtowny — dopuścił się pewnego rodzaju niesubordynacyi, odmawiając posłania pułku piechoty (jak twierdzi, jedynego, który pozostał w Warszawie) do Modlina, po powrocie Skrzyneckiego nie stawił się na jego wezwanie i po tem wszystkiem zażądał dymissyi. Wtedy wódz naczelny kazał go aresztować, ale zamiast zwołać sąd i ukarać przykładnie, albo przynajmniej zbadać winę, zgodził się na udzielenie Krukowieckiemu dymissyi z tem, aby mu nie było wolno nosić munduru generalskiego.

Ponieważ żądanie takie sprzeciwiało się wprost przepisom wojskowym, więc Rząd przychylić się do niego nie mógł i ściągnął na siebie gniew i oburzenie Skrzyneckiego. Poróżniony tak z Rządem, pogniewany z Prądzyńskim, który pocichu układał swój akt oskarżenia przeciw wodzowi, mając śmiertelnego wroga w Krukowieckim, zwrócił się Skrzynecki do sejmu. Sejm miał go bronić i osłaniać powagą swoją przeciw opinii publicznej i przeciw Rządowi, który w mniemaniu wodza ponosił winę za wszystko. Rozpoczęła się więc tym końcem intryga dość zręcznie ułożona. Skrzynecki w trzecim[2]) swoim raporcie (z dnia 1. czerwca) o bitwie ostrołęckiej zwalał już dość wyraźnie odpowiedzialność za wyprawę na gwardye na Rząd, a równocześnie przez przyjaciół swoich, senatora Gliszczyńskiego i Antoniego Ostrowskiego, starał się wpłynąć na izbę poselską.

Jakoż Ostrowski pospieszył natychmiast do sejmu, wypowiedział tam mowę pochwalną na cześć Skrzyneckiego i zakończył ją okrzykiem: „Niech

[1]) K. Forster: „Powstanie narodu polskiego 1830—1831", str. 71.

[2]) Było ich cztery, a każdy odmienny.

żyje wódz“, co izba pod pierwszem wrażeniem bez zastanowienia się powtórzyła. Po takim tryumfie, zarówno niezasłużonym jak i niespodziewanym, postanowiono w salonach Skrzyneckiego na Pradze przeprowadzić reformę Rządu w tym duchu, aby naczelną władzę skupić w jednej osobie, czyli — innemi słowy — wznowić dyktaturę. Że tym dyktatorem miał być wódz dotychczasowy, to rozumiało się samo przez się. Za narzędzie do wykonania tego zamachu stanu użyto znanego posła jędrzejowskiego, Ledóchowskiego. Płytki i goniący za popularnością, podjął on się chętnie tej roli i dnia 31. maja uczynił w izbie wniosek, aby sejm, „jak niegdyś senat rzymski po batalii pod Kannami, powitał Skrzyneckiego, jak tamci konsula Varrusa witali i oświadczył, że pomimo niepomyślnej bitwy dobrze się ojczyźnie zasłużył“. Chociaż wniosek był szkodliwym, chociaż porównanie kanneńskiej klęski z ostrołęcką porażką, a stosunków rzymskich z naszemi było niedorzeczne, sejm, obrobiony przez przyjaciół wodza, przychylił się do życzenia Ledóchowskiego, uchwalił adres, w którym zaznaczono, że Skrzynecki usprawiedliwił położone w nim zaufanie, i wyprawił z tym aktem osobną deputacyę do głównej kwatery. Wódz przyjął poselstwo okazale, za adres podziękował, winę za niepowodzenia wojenne złożył na Rząd i otwarcie już zażądał, aby władzę naczelną skupiono w jednej osobie. Ledóchowski zdał izbie sprawę z przyjęcia deputacyi, a na poufnem posiedzeniu przedstawił życzenia Skrzyneckiego pod względem zmiany Rządu. Teraz dopiero zrozumiał sejm całą intrygę, zdumienie ogarnęło wszystkich, zaczęto się pytać: „Co to znaczy i ku czemu zmierza?“ i odesłano wniosek do komisyi. Tymczasem rzeczy wzięły inny obrót. Żołnierze i oficerowie, powracający zwolna do obozu pod Pragą, narzekali głośno na nieudolność Skrzyneckiego, niepowodzenie wyprawy przypisywali zgodnie jego błędom i niedbalstwu. „Wódz winien, wódz dobrowolnie wypuścił gwardye, wódz niepotrzebnie stoczył bitwę ostrołęcką“, mówili wszyscy, a wrażenia tych słów nie zdołały już zatrzeć kłamliwe raporta Skrzyneckiego i owacye, jakie mu urządzali usłużni przyjaciele i pochlebcy. Opinia publiczna, bałamucona tak długo, zaczęła wreszcie przezierać; przypomniano sobie usunięcie Szembeka, Krukowieckiego areszt, zastąpienie w generalnem kwatermistrzostwie Prądzyńskiego Tomaszem Łubieńskim i odjęcie dowództwa Umińskiemu, pytano, jakie powody mogły skłonić naczelnego wodza do oddalenia tak popularnych i zdolnych generałów, a gdy ci generałowie, jużto, aby siebie usprawiedliwić, jużteż, aby wykazać nieudolność Skrzyneckiego, pismem i słowem jego prowadzenie wojny surowej, lecz słusznej poddawali krytyce, nastąpiło ogólne rozczarowanie i oczy wszystkich zwróciły się znowu na Rząd, na którym cała ciężyła odpowiedzialność. Ale w kołach rządowych tak jak poprzednio tak i teraz panowała dziwna jakaś bezradność i małoduszność. Przenikając tajone zamiary Skrzyneckiego, odpowiedział Rząd na znane manifestacye sejmowe wspaniałą ucztą, którą na cześć wojska urządziła gwardya narodowa dnia 5. czerwca w ogrodzie Saskim, wysłał do Krakowa doktora Wolffa i generała Wąsowicza, ofiarując naczelne dowództwo Chłopickiemu, ale kiedy Chłopicki odpowiedział, że po bitwie pod Dębem, a nie pod Ostrołęką należało mu oddać buławę, złamała się na tej odmowie energia

Rządu. Po bezowocnej konferencyi z Prądzyńskim, który — dość dziwnie — zalecał do naczelnego dowództwa generała Jankowskiego, nie powzięli członkowie Rządu żadnej decyzyi i buława musiała pozostać w rękach Skrzyneckiego.

W sejmie tymczasem gotowano się do walnej bitwy. Doktryneryzm, zakorzeniony w umysłach poselskich, zjednał dla projektu reformy znaczne stronnictwo. Nie zdając sobie należycie sprawy z niebezpieczeństwa, w jakiem się kraj znajdował w chwili obecnej, ani z właściwych zamiarów Skrzyneckiego, który w układach z Dybiczem upatrywał jedyny środek ocalenia, chwyciła się izba poselska skwapliwie wniosku Ledóchowskiego, jak gdyby zmiana osób w Rządzie była w stanie naprawić błędy, na polu walki popełnione. Zamiast więc rozpatrzeć się w działaniu naczelnego wodza i reformę rozpocząć tam, gdzie była najpotrzebniejsza, w sztabie głównym, wysilali się posłowie nad wynalezieniem najlepszej formy rządu, obliczali mniej lub więcej dowcipnie kombinacye, jakie w obecnym jego składzie zachodzić mogły, na to, aby w końcu, po trzydniowej zapamiętałej dyskusyi, wniosek reformy odrzucić większością siedmiu kresek.

Całe postępowanie sejmu w tej ważnej sprawie było chwiejne i niejasne i przyniosło powstaniu szkodę niemałą, osłabiło bowiem powagę rządu i odwróciło uwagę powszechną od tych błędów, które należało zbadać natychmiast i jak najprędzej usunąć. Ale reprezentacya królestwa polskiego nie umiała niestety spełnić należycie obowiązków swoich względem kraju ani w czasie pokoju, ani w okresie powstania. Doktrynerska, swarliwa i wielomowna za Aleksandra i Mikołaja, zachowała ona ten charakter także i po 29. listopada. Widzieliśmy, jak niezręcznie i nieudolnie poczynał sobie sejm za dyktatury Chłopickiego, jak niepraktyczną i w skutkach szkodliwą uchwalił ustawę o zakresie władzy i zawisłości naczelnego wodza, jak, wśród deklamacyj o potrzebie silnego rządu, ograniczył właściwie jego działalność do najpospolitszych czynności administracyjnych, jak zresztą z bezprzykładną w dziejach lekkomyślnością najważniejsze sprawy traktował przy drzwiach otwartych, wobec galeryj, przepełnionych tłumem arbitrów. Ta jawność obrad sejmowych, jakkolwiek oparta na tradycyjnych zwyczajach, była w tem wyjątkowem położeniu z wielu względów szkodliwa, podniecała bowiem ambicye posłów, ubiegających się o popularność, zachęcała do oratorskich popisów, rozciągała w nieskończoność rozprawy, a gdy Rząd ze względu na zagranicę, sprawy publiczne nieraz w zbyt różowem przedstawiał świetle, szerzyła w społeczeństwie optymizm i budziła nieuzasadnione nadzieje.

Po bitwie grochowskiej, kiedy największe niebezpieczeństwo zagrażało stolicy, rozpierzchli się członkowie sejmu i powrócili dopiero nielicznie wtedy, gdy wezbrana Wisła oddzieliła Warszawę od nieprzyjaciela. W małym komplecie, wśród powszechnego naprężenia umysłów, nie były w stanie izby oddawać się ustawodawczym pracom. Załatwiano więc czynności drobne lub konieczne, jak zatwierdzenie na naczelnem dowództwie Skrzyneckiego, zresztą czekano powrotu nieobecnych kolegów i inicyatywy Rządu. W istocie zajmowała wszystkich oddawna już sprawa najważniejsza i nagła, kwestya wło-

ściańska. Poruszono ją natychmiast po wybuchu powstania, w pismach peryodycznych i w sejmie, gdzie posłowie Rembowski, Klimentowski i Olrych Szaniecki osobne w tym przedmiocie czynili wnioski. Rząd, pojmując dobrze doniosłość sprawy, zajął się nią także gorliwie; za czasów dyktatury już zniósł dwa rodzaje podatków, które szczególniej ciążyły na włościanach, t. j. kontyngens i szarwark, przeprowadził następnie w sejmie prawo o uposażeniu żołnierzy w dobrach rządowych, a obok tego przygotowywał ustawę o usamowolnieniu włościan i o zniesieniu pańszczyzny. Rzecz, jakkolwiek prosta na pozór, była jednak niezmiernie trudna i zawikłana. Stosunki stanu włościańskiego rozwijały się dotąd inaczej w Królestwie, niż w prowincyach zabranych. Gdy konstytucya księstwa Warszawskiego nadała chłopom wolność i równość, nie uchylając atoli pańszczyzny, istniało za Bugiem i Niemnem dawne poddaństwo, zbliżone wielce do tej niewoli strasznej, w jakiej znajdowała się cała ludność włościańska w guberniach czysto rosyjskich. Wszelkie usiłowania szlachetniejsze, zmierzające do polepszenia doli ludu wiejskiego, spotykały się w Petersburgu z nieprzełamanemi trudnościami nietylko w sferach rządowych, ale i arystokratyczno-szlachecko rosyjskich. Nie chcąc sobie zrażać potężnej arystokracyi rosyjskiej, nie ważył się nawet łagodny i liberalny Aleksander I. naruszać owych tradycyjnych stosunków, które mużyka moskiewskiego w egipskiej trzymały niewoli. Za Mikołaja pogorszyła się dola ludu wiejskiego i w konstytucyjnem Królestwie, bo wskutek zamierzonej i dekretem królewskim z roku 1829. dozwolonej sprzedaży dóbr narodowych odjęto włościanom skarbowym własność gruntów, jakie z mocy przywilejów książąt mazowieckich i królów polskich posiadali. Powstanie przeszkodziło tej finansowej operacyi, ale prawo, przez sejm uchwalone, obowiązywało dalej. Zdawało się więc Rządowi narodowemu, że reformę włościańską należy rozpocząć od uregulowania stosunków w dobrach narodowych, jużto dlatego, że sejm królestwa polskiego nie mógł rozstrzygać kwestyi tak ważnej we wszystkich prowincyach Rzeczypospolitej bez udziału posłów z ziem zabranych, już też i z tego powodu, że sprawa wymagała dojrzałej rozwagi, gruntownych badań, szczegółowo opracowanego projektu i pełnego kompletu izby, do której władza prawodawcza należała. Że intencye Rządu w kwestyi włościańskiej były szczere, świadczą instrukcye, dane Dwernickiemu, aby nadanie wolności chłopom zakordonowym ogłosił i spełnił.[1]) Że światlejsza część społeczeństwa nie myślała także inaczej, tego dowodzi postępowanie powstańców podolskich, złożonych z zamożnej szlachty i liczne głosy poselskie, domagające się usamowolnienia włościan w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Ale wśród nieustannego szczęku oręża nie było czasu na opracowanie projektów ustawodawczych, nie było możności uchwalenia ich w sejmie, złożonym z reprezentantów jednej prowincyi. Rząd uczynił już wiele, kiedy dnia 28. marca wniósł do izby projekt o uposażeniu włościan w dobrach narodowych, przyjmując za podstawę nie darowiznę, lecz odkupienie gruntów. Włościanin zostawał dziedzicznym właścicielem ziemi, którą dzierżył i miał obowiązek

[1]) Barzykowski: T. III, str. 112.

— zamiast odrabiania pańszczyzny — opłacać czynsz w pieniądzach. Tym sposobem pozostawało nienaruszone prawo własności i otwierała się droga stosowna do uregulowania kwestyi włościańskiej także w dobrach prywatnych.

Dyskusya rozpoczęła się od przemówienia radcy stanu Brodzkiego, jako reprezentanta rządowego, i sprawozdawcy komisyi sejmowej, Świdzińskiego. Pierwszy uzasadnił projekt rządowy, drugi przyjmował go bez zapału wprawdzie, jako niedostateczny, ale w nadziei, że będzie rozszerzonym i uzupełnionym, „Wszyscy już wrócili do praw swoich — tak kończył — czyliż jedynie kmiotek dlatego, że jego głos tutaj nie wznosi się, dlatego, że od ojców jedynie żywić i bronić kraju nauczył się, zapomnianym w tej świątyni sprawiedliwości zostanie? Nie zaiste. Zwracając go do własności tej ziemi, którą krwią i potem od tylu wieków zlewa, wykonacie reprezentanci akt sprawiedliwości, którego się po nas religia, sprawiedliwość i ludzkość domaga, ściągniecie błogosławieństwo Najwyższego na sprawę naszej ojczyzny, okażecie się godnymi tej cywilizacyi i wolności, za którą walczycie".

W izbie objawiły się zdania rozmaite. Szaniecki, należący do t. zw. stronnictwa ruchu, uważał projekt rządowy za niedostateczny i nazajutrz już złożył u laski marszałkowskiej wniosek własny, rozciągający uposażenie i do włościan w dobrach prywatnych. Inni posłowie, mianowicie: Witkowski, Dąbrowski i Grąbczewski, byli przeciwni projektowi ze względu na niedostateczny komplet sejmu i czas niewłaściwy, Słubicki odrzucał reformę włościańską wogóle, a kasztelan Jan Poletyłło pocichu, bo mówić nie umiał, agitował jak najmocniej przeciw wnioskowi rządowemu i wszelkim ustępstwom na rzecz stanu włościańskiego. W takiem położeniu nie pozostawało nic innego, jak tylko bronić przynajmniej tego, co rząd zamierzał. Podjęli to zadanie: Kochanowski, Lewiński, Świdziński i Zwierkowski i wreszcie dnia 15. kwietnia ukończono rozprawy, sejm miał przystąpić do ostatniego czytania wniosku, po czem uposażenie stawało się prawem.

Nagle jednak nowe powstały przeszkody. Zwycięstwa, odniesione w ostatnich dniach marca i w pierwszych dniach kwietnia, wkroczenie Dwernickiego na Wołyń, powstanie na Litwie i Żmudzi, obudziły przygasłe cokolwiek nadzieje. Zdawało się, że chwila wyzwolenia jest bliska, że mogą zajść niebawem wielkie wypadki, które będą wymagały nadzwyczajnych postanowień reprezentacyi narodowej i że zatem komplet sejmu jest niedostatecznym. Z tego powodu uczyniono wniosek, aby zawezwać wszystkich nieobecnych senatorów i posłów do stolicy, tym zaś, którzy się nie stawią i nie usprawiedliwią, zagrozić usunięciem z izby. Wniosek został przyjęty i dnia 18. kwietnia znalazł się sejm w liczniejszym o wiele komplecie (90 posłów i 20 senatorów). Ale nowo przybyli, żywo dotknięci uchwałą kolegów, przynosili ze sobą umysły zajątrzone i rozgoryczenie wielkie przeciw tym, co dotąd w obradach sejmu udział brali, a że owocem tych obrad było właśnie prawo o uposażeniu włościan, dla tego i owego niewygodne, więc ono padło niestety ofiarą wzajemnej niechęci i animozyi. Prawdziwi i szczerzy zwolennicy reformy byli nadto tak nieostrożni lub niezręczni, że sami wnieśli pod obrady kwestye nowe, poli-

tycznie doniosłe, które przeciwnikom uposażenia nastręczały dogodną sposobność do zniweczenia pożytecznego dzieła. Projekt rządowy utonął w powodzi wniosków innego rodzaju i w rozbujałych fluktach gadaniny sejmowej, uwaga powszechna bowiem zwróciła się ku polityce zagranicznej i przyszłej organizacyi państwa polskiego. Poseł Krysiński, ambitny i niecierpliwy, korzystając z obecności Aleksandra Wielopolskiego, który, jako radca w ministerstwie spraw zagranicznych, miał powierzoną sobie misyę do Londynu i właśnie stamtąd powrócił, wniósł interpelacyą w sprawie polityki zewnętrznej i poddał przy tej sposobności surowej krytyce całe dotychczasowe działanie naszej dyplomacyi.

Zarzuty były niesłuszne, bo widzieliśmy już, z jakiemi trudnościami musieli walczyć wysłannicy Rządu narodowego i jak niepomyślnie dla Polski ułożyły się stosunki w gabinetach europejskich, ale że przedmiot był zajmujący i zaostrzał ciekawość izby, więc z interpelacyi Krysińskiego wywiązała się długa i wreszcie wielce drażliwa dyskusya. Ukończył ją szczęśliwie Ziemięcki trafną uwagą, że drogiego czasu nie należy tracić na niepotrzebnych interpelacyach. „Dyplomacya nasza — mówił — w położeniu, w jakiem się znajdujemy, nie mogła wielkich skutków osiągnąć, niepotrzebnie ją przeto zapytaniami męczymy. Dyplomacya nasza jest w obozie, na ostrzu szpady generała Skrzyneckiego; jeżeli on nią zawładnąć zdoła i zwycięży, wtenczas cały świat będzie z nami i wszystkie gabinety za nami mówić będą i my wtenczas będziemy mogli obszernie politykować, teraz zaś lepiej milczeć.“

Ale zanim jeszcze izba miała czas odetchnąć po tej jałowej szermierce, kiedy nową burzę wywołały rozprawy nad wnioskiem Świdzińskiego o reprezentacyach ziem Rusi i Litwy po ich przyłączeniu do Królestwa. Nie można zaprzeczyć, że teoretycznie była to kwestya ważna, w chwili jednak, gdy prowincye owe znajdowały się zupełnie w mocy cara i gdy ten car właśnie wydawał srogi ukaz przeciw „buntownikom“ na Litwie i Rusi, całe staranie sejmu winno było być skierowane ku jak najszybszemu uwolnieniu braci zakordonowych z pod obcego jarzma, a nie ku obmyślaniu dla nich odpowiedniej formy rządu w przyszłości. Mimoto popłynęły wezbraną falą mowy jedna po drugiej; Krysiński wznowił i rozszerzył swoje zarzuty przeciw ministerstwu spraw zagranicznych, do dyskusyi wmięszał się Wielopolski, przyszło do starcia ostrego pomiędzy nim a Bonawenturą Niemojowskim i rzeczy wzięły wreszcie taki obrót, że dwaj ministrowie, spraw zagranicznych (Gustaw Małachowski) i wewnętrznych (Wincenty Niemojowski), wzięli dymisyą, a na ich miejsce powołano Gliszczyńskiego i Andrzeja Horodyskiego, którego — jako swego przyjaciela — zalecał wódz naczelny, sądząc, że w ten sposób będzie dokładniej poinformowany o działaniu naszej dyplomacyi i łatwiej wpływ na nią wywierać zdoła. Tak zmarnował sejm siedem tygodni na jałowych dyskusyach i doczekał się w końcu ostrołęckiej katastrofy, która tego ciała rozstrojonego i rozerwanego w sobie nie mogła już porwać do czynów wielkich. Uplątana w sieci, nastawione przez Skrzyneckiego i jego przyjaciół, stała się reprezentacya narodowa nie tem, czem była być powinna, władzą najwyższą, kierującą

skołatanym już statkiem powstania, lecz stronnictwem, oddanem na usługi niefortunnego hetmana, pokrywającem do czasu powagą swoją jego błędy i zaniedbania.

Szczęściem jeszcze było dla nas, że nieprzyjaciel z zwycięstwa swego korzystać nie umiał, że zdemoralizowanej, rozbitej i przez wodza opuszczonej armii polskiej nie ścigał, że dopiero nazajutrz po bitwie, około południa, wysłał pogoń, która dnia 31. maja doszła do Pułtuska, oddalonego o 8 mil od Ostrołęki, i że tą swoją ostrożnością zbytnią, lub zaniedbaniem, dał czas rozprószonym pułkom polskim do zebrania się w obozie pod Pragą. Każdy inny wódz na miejscu Skrzyneckiego miałby był przeto możność łatwego odwetu. Skoncentrowawszy siły swoje pod wałami Modlina, zostawiając Umińskiego przeciw Kreutzowi i Rydygierowi, mógł on utrudnić wielce dalsze poruszenia armii rosyjskiej, a co najważniejsza, udaremnić nawet ruch jej flankowy ku dolnej Wiśle. Nie było bowiem już wtedy tajemnicą, że Mikołaj postanowił inny plan działania, że zamierzył pozostawić w guberniach z Królestwem graniczących 1-szą armię i rezerwową, a całą potęgę Dybicza skierować ku obejściu Warszawy i zdobyciu tego miasta od strony zachodniej. Sąsiedztwo bliskie przyjaznych Prus dawało możność sprowadzenia żywności i materyałów do budowy mostu na Wiśle, a dwa korpusy pruskie, stojące nad granicą pod dowództwem Gneisenaua, ubezpieczały nadto armią rosyjską nawet na wypadek klęski, gdyż, według tajnej umowy pomiędzy Berlinem a Petersburgiem, był Gneisenau upoważniony, na żądanie naczelnego wodza wojsk carskich, wkroczyć z pomocą do Królestwa. Ale dla Skrzyneckiego było pilniejszem i ważniejszem utrzymanie się przy buławie, pospieszył więc do Warszawy i tam rzeczywiście odwrócił cios, jaki mu zagrażał. Nieprzyjaciel tymczasem, doszedłszy do Pułtuska, zajął stanowisko pomiędzy tem miastem a Gołyminem i Makowem i przygotowywał się do dalszej kampanii nad dolną Wisłą. Wysłani w tym celu z głównej kwatery oficerowie inżynieryi i urzędnicy zakupywali w Prusiech żywność dla wojska i materyały do budowy mostu, oddział lotny pod dowództwem atamana Własowa ruszył wzdłuż rzeki dla zbadania jej brzegów, podczas gdy feldmarszałek zamierzał uroczyście obchodzić rocznicę zwycięstwa swego pod Kulewczą. Wśród tego pojawił się w głównej kwaterze generał-adjutant carski hr. Orłów z poleceniem zbadania stanu armii. Znalazł on rzeczy lepiej, niż w Petersburgu się spodziewano, i złożył raport, dla feldmarszałka korzystny, ale zanim jeszcze odpowiedź carska na to przedstawienie nadeszła, umarł nagle Dybicz dnia 10. czerwca. Śmierć jego i zgon niespodziewany W. ks. Konstantego w Witebsku dały powód do rozmaitych domysłów i przypuszczeń. Faktem jest, że obaj zmarli po widzeniu się z hr. Orłowem, i że w jednym i drugim wypadku podawano za powód śmierci cholerę, która w tym czasie zupełnie prawie była wygasła. Szczególniej tajemniczem wydawało się zejście Dybicza; raporta urzędowe mówiły raz o apopleksyi, to znowu o cholerze, a nie brakło i podejrzeń otrucia. Na oskarżenie lekarzy rosyjskich aresztowano aptekarza z Pułtuska, Zimmermana, pod zarzutem, że wydał lekarstwo inne, niż było przepisane, ostatecznie jednak sprawa ucichła, a najnowszy historyk [1]) tych czasów

[1]) Puzyrewski: str. 297.

stara się udowodnić, że Dybicz umarł śmiercią naturalną. Jakkolwiekbądź, zaprzeczyć się nie da, że car był wielce oburzony dotychczasowem niepowodzeniem wojsk swoich i przewlekaniem się wojny, i że powolne działanie feldmarszałka po zwycięstwie ostrołęckiem ułagodzić go nie mogło. Miał on też przygotowanego już następcę w osobie ulubieńca swego Paskiewicza, któremu także musiało zależeć wiele na naczelnem dowództwie w wojnie, dziś już o wiele łatwiejszej i rokującej rychłe tryumfy. Dybicz stawał się więc niewygodnym i dla Mikołaja i dla zakaukaskiego „bohatera“, a śmierć jego usuwała, dość dziwnie, w samą porę, przeszkody w jednym i drugim kierunku. Car mógł niewątpliwie odwołać feldmarszałka i na jego miejsce mianować innego generała, ale krok taki byłby wywołał niezadowolenie i w głównym sztabie i w całej armii, podczas gdy śmierć nagła obudziła tylko współczucie i żal po zmarłym.

Wyprawa na Rydygiera. — Spisek. — Przybycie Paskiewicza. — Marsz flankowy armii rosyjskiej. — Przejście Wisły. — Wyprawa na Gołowina. Wspomnieliśmy już, że położenie wojsk polskich po ostrołęckiej porażce nie było tak rozpaczliwem, jak sobie wyobrażał Skrzynecki, i że przy jakiejkolwiek energii z jego strony, można było i błędy popełnione naprawić i straty powetować. Wódz naczelny jednakże zajął się nie wojną, lecz polityką, siły zbrojne skupił nie pod Modlinem, lecz w obozie pragskim, jak gdyby po to, aby żołnierzy i oficerów także rozpolitykować i osłabić do reszty karność, już silnie zachwianą. Tymczasem widnokrąg, zewsząd zachmurzony, zaczął się cokolwiek rozjaśniać; od wschodu mianowicie nadchodziły pomyślniejsze wiadomości o powodzeniach Chłapowskiego, o zwycięstwie, jakie odniósł Giełgud nad Sackenem pod Rajgrodem, wreszcie o przybyciu powstańców wołyńskich pod dowództwem dzielnego Karola Różyckiego. Wśród tego gruchnęła wieść o śmierci Dybicza, która musiała koniecznie wywołać pewne zamieszanie w głównym sztabie rosyjskim i na niejaki czas przynajmniej powstrzymać ruch zaczepny wojsk nieprzyjacielskich.

Prosty rozsądek nakazywał więc znowu z tej niespodzianej okoliczności skorzystać i uczynić wszystko, aby przeszkodzić zamierzonej już przez Dybicza koncentracyi sił rosyjskich i ułatwić działanie Giełguda na Litwie. W głównej kwaterze polskiej wiedziano dobrze, że korpus Kreutza, stosownie do rozkazów feldmarszałka, opuścił województwo Lubelskie i posunął się do Siedlec, i że jego miejsce zajął powołany z Wołynia Rydygier, którego tyły osłaniała dywizya Kajzarowa. Oba te oddziały należało zatem znieść i otworzyć z jednej strony komunikacyą z powstaniem litewskiem, z drugiej oczyścić z nieprzyjaciela województwo Lubelskie. Tak doradzał Prądzyński, jak zwykle jasno widzący rzeczy, ale Skrzynecki, przestraszony ostrołęcką porażką, głuchym był długo na wszelkie jego przedstawienia. Dopiero kiedy Prądzyńskiemu udało się pozyskać dla swoich planów szefa sztabu generała Łubieńskiego i podpułkownika Zamoyskiego, skłonił się wódz naczelny do podjęcia ruchów zaczepnych. Zanim jednak do tego przyszło, już Toll, uwiadomiony o posuwaniu się wojsk polskich po drodze brzeskiej, rozkazał Kreutzowi cofnąć się czemprędzej na Murawiewa, a w razie silnego parcia Polaków unikać bitwy i ogra-

niczyć się do obrony Brześcia litewskiego. Skutkiem tego minęła sposobność pobicia Kreutza i pozostawała tylko wyprawa na Rydygiera. W tym celu pozostawiono dla obserwowania głównej armii rosyjskiej generała Ambrożego Skarżyńskiego, zniesienie zaś korpusu rydygierowskiego poruczono generałowi Jankowskiemu, dodając mu do pomocy oddziały Chrzanowskiego i Ramoriny, który objął dowództwo po Dziekońskim. Trzy te korpusy miały otoczyć zewsząd Rydygiera i znieść go ze szczętem lub zabrać do niewoli. Skrzynecki z dwoma dywizyami piechoty i rezerwową dywizyą jazdy pozostał w Siennicy. Zaledwie jednak wojska ruszyły w wskazanych przez Prądzyńskiego kierunkach, kiedy od Ambrożego Skarżyńskiego nadeszła wiadomość, że nieprzyjaciel gotuje się do przeprawy pod Serockiem i oczywiście do uderzenia na Warszawę. Nie było to nic innego, jak tylko „gruby“ podstęp Tolla, który w ten sposób chciał Skrzyneckiego przestraszyć, i dzięki niedbalstwu Skarżyńskiego,[1]) celu dopiął zupełnie. Napróżno dowodził Prądzyński, że Rosyanie nie mają zamiaru w tej chwili atakować stolicy, napróżno donosił Skarżyński (20. czerwca, pierwszy raport jego pochodził z 18-go), że go w błąd wprowadzono, że źle widział, i że nieprzyjaciel o przejściu Narwi wcale nie myśli, wylękniony wódz poprowadził mimo to wojsko do Warszawy, a skombinowaną wyprawę na Rydygiera zlecił zupełnie słabemu i nieporadnemu Jankowskiemu. Odtąd też następuje jeden błąd po drugim, niepowodzenie po niepowodzeniu. Ramorino odbywa marsze i kontramarsze, unikając starannie spotkania z nieprzyjacielem, który sam włazi w nastawioną na siebie pułapkę, Jankowski rozprasza swoje siły, tak że w chwili stanowczej nie jest w stanie działać skutecznie, a nieudolny generał Bukowski traci parki i artyleryę, napadniętą z nienacka przez lotny oddział kawaleryi rosyjskiej. Jeden tylko generał Turno z słabym oddziałem wytrzymuje chlubnie atak Rydygiera pod Budziskami, ale oczywiście żadnej korzyści już odnieść nie może. Dopiero nad wieczorem przybywa Jankowski, zamiast jednak uderzyć na nieprzyjaciela, odkłada sprawę do dnia następnego, poczem Rydygier, który teraz poznał grożące sobie niebezpieczeństwo, uchodzi nieścigany za Wieprz. Mógł wprawdzie wódz polski ścigać nieprzyjaciela, napędzić go na korpus Chrzanowskiego i w ten sposób naprawić popełnione błędy, ale rozkazy, jakie otrzymał z głównej kwatery, pobałamuciły słaby umysł Jankowskiego do reszty i odjęły mu wszelką energią. Początkowo, po pierwszym raporcie Skarżyńskiego, polecono mu wracać natychmiast pod Pragę,[2]) następnie, gdy wieść o ruchu głównej armii rosyjskiej okazała się fałszywą, nadszedł rozkaz, „aby generał spieszył się najbardziej z rozbiciem Rydygiera i wrócił śpiesznie ku Warszawie, gdzie się koncentrujemy“. Jankowski, czując wielką odpowiedzialność, jaka na nim ciążyła w tej chwili, zwołał radę wojenną, która oświadczyła się przeciw ściganiu Rydygiera, poczem cały korpus rozpoczął ruch wsteczny ku Czarnej. W najtrudniejszem położeniu znalazł się skutkiem tego Chrzanowski. Stosując się do rozkazów Skrzyneckiego, wyszedł

[1]) A. Skarżyński, jako krewny Łubieńskich, uniknął wszelkiej odpowiedzialności za dwukrotne narażenie armii na wielkie niebezpieczeństo. Barzykowski: T. IV, str. 303.

[2]) Sprawa Jankowskiego; artykuł ogłoszony przez Kamila Mochnackiego w Pamiętniku Emigracyi polskiej z dnia 6. kwietnia 1833 r.

on z swoim oddziałem z Zamościa i zajął stanowisko pod Piaskami, niedaleko Lublina, aby zagrodzić drogę pobitemu Rydygierowi. Tu dowiedział się jednak, że nieprzyjaciel nieścigany ciągnie do Lublina. Zagrożony tak od frontu i mając Kajzarowa za sobą, mógł on być wziętym w dwa ognie i zniesionym do szczętu; do Zamościa zaś wracać nie chciał, bo przedtem już wyprawił 26 dział ciężkich do Warszawy i obawiał się, aby nie wpadły w ręce Moskali. Z tego powodu postanowił więc próbować szczęścia: szybkim pochodem, szosą, ruszył ku Wiśle, dopadł przeprawy pod Gołębiem i rzeką oddzielił się od pogoni, wysłanej przez Rydygiera.

Taki przebieg miała owa wyprawa, do której tyle przywiązywano nadziei, a którą zmarnowano przez bezprzykładne prawie w dziejach wojennych niedbalstwo i niedołęstwo. Nic dziwnego zatem, że żołnierz, pędzony bez celu i skutku dniem i nocą, wracał do stolicy zniechęcony i zdemoralizowany, że poczynał szemrać głośno, i nie mogąc sobie wreszcie wytłumaczyć tych bezustannych niepowodzeń, przypisywał je zdradzie. Słowo „zdrada“ raz rzucone, przylgnęło łatwo do umysłów wzburzonych i rozgoryczonych i wydało krwawe owoce w pamiętnej nocy 15. sierpnia. Wódz naczelny czuł dobrze, że wina polega na nim, na jego niedbalstwie, na niefortunnym wyborze generałów, którym najważniejsze poruczał zadania, czuł to i chciał się ratować, zwalając odpowiedzialność na drugich. W raporcie do Rządu narodowego oskarżył więc Jankowskiego i Bukowskiego. Obaj zostali aresztowani i mieli tłumaczyć się z zarzutów przed komisyą, w której zasiadało trzech generałów, pomiędzy nimi znani z prawości i patryotyzmu Kazimierz Małachowski i Pac. Wśród tego jednak wydarzył się wypadek, który całej sprawie zupełnie inny nadał obrót. Oto obywatel z Podola, Żarczyński, później posłem na sejm z powiatu winnickiego obrany, przywiózł z Galicyi od niejakiej pani Cybulskiej wiadomość o spisku wielkim, rzekomo w Królestwie istniejącym, na obalenie Rządu narodowego i stłumienie powstania. Na czele tej zdradzieckiej roboty miał stać znany z czasów Konstantego komendant Zamościa generał Hurtig, którego pomocnikiem głównym był generał Sałacki, za pośrednictwem córki swojej, mieszkającej w Krakowie, korespondujący z Moskalami. Obok tych figur wymieniła p. Cybulska, w liście, danym Żarczyńskiemu, jako uczestników zdrady: Jankowskiego, Krukowieckiego i cukiernika Lessla. Pierwszy miał się zaprzedać Rosyi, drugi był przeznaczony na naczelnika Rządu, ostatni wreszcie sprawował urząd kasyera. Denuncyacya, pochodząca jeszcze z czasu przed wyprawą na Rydygiera, niedokładna i jedynie na domysłach polegająca, a jak dziś sądzić można, nieprawdziwa, płynęła nadto z mętnego źródła. Autorem jej mógł być szwagier pani Cybulskiej, niejaki Jnes de Castro, oficer polski, osiadły w Galicyi, który po powstaniu z kraju uciekł, podejrzany o należenie do tajnej policyi rosyjskiej. Mimo to Skrzynecki, że doniesienie w porę dla niego przychodziło, nie omieszkał z niego korzystać, i nie pytając się wcale Rządu narodowego, kazał natychmiast aresztować Hurtiga, Sałackiego, Lessla, szambelana Fenshave, Słupeckiego i panią Bażanów, Rosyankę, ostatnich jako zaprzyjaźnionych z spiskowymi. Samowolny i gwałtowny krok naczelnego wodza, który tym sposobem starał się uwagę opinii publicznej od własnych

swoich odwrócić błędów, pogorszyła jeszcze niezręczność gubernatora. Aresztowania dokonano nie w nocy, lecz w biały dzień, w święto (29. czerwca), gdy tłumy ludu snuły się po ulicach. Powstało więc zbiegowisko, rzucono się na Hurtiga, zerwano mu szlify generalskie, poszarpano mundur, zbito pięściami i omal nie powieszono. Fala ludu popłynęła następnie ku Zamkowi, aby doraźną sprawiedliwość na więźniach wymierzyć. Tylko przytomności i odwadze ks. Czartoryskiego zawdzięczać trzeba, że wtedy już krew nie popłynęła. Książe, uwiadomiony o wzburzeniu, przybył w powozie na plac Zamkowy i stosownem przemówieniem uspokoił umysły, zaręczając, że w przeciągu 24 godzin zostanie na oskarżonych sąd wyznaczony, który winnych surowo ukarze. Jakoż rzeczywiście zamiast komisyi wojskowej, złożono sąd nadzwyczajny pod przewodnictwem generała Węgierskiego, a na sędziów powołano samych uczestników nocy 29. listopada: kapitanów Przeradzkiego i Drzewieckiego, porucznika Kamila Mochnackiego, podporuczników Tomasza Ostrowskiego, Rupniewskiego i Bieczyńskiego.[1]) Wszystko to stało się w chwili dla powstania przełomowej, gdy umysły, przygnębione niepowodzeniami, bliskie były zwątpienia i gdy z Petersburga przybywał nowy wódz, przeznaczony przez cara na pogromcę i następnie na kata zbuntowanej Polski.

Dnia 25. czerwca stanął w głównej kwaterze rosyjskiej, w Pułtusku, Jan Teodorowicz Paskiewicz — bo o nim mowa —; po uciążliwej podróży morskiej, kołując na Prusy, z obawy przed powstańcami litewskimi, wylądował on w Kłajpedzie, a stamtąd na Łomżę, traktem nadnarewskim podążył na miejsce przeznaczenia. Był to człowiek wtenczas blisko pięćdziesięcioletni[2]), otoczony świeżą aureolą zwycięstw, odniesionych nad Persami i Turkami, posiadający w całej pełni łaskę i zaufanie carskie, ale niczem zresztą nie usprawiedliwiający szumnej nazwy „zakaukaskiego bohatera“. Z pochodzenia, jak się zdaje, Małorusin, bo kolebka jego stała w Półtawie, nie miał on nic wspólnego z polsko-litewską rodziną Paszkiewiczów, wychowywał się w korpusie paziów, służył w preobrażeńskim pułku gwardyi, brał udział w kampanii tureckiej za Aleksandra I., później w wojnie z Napoleonem, a za Mikołaja wsławił się łatwymi tryumfami w Azyi, gdzie zdobył Erywan, Kars, Achalczyk, a w ostatniej wojnie Erzerum. Na tych zwycięstwach, problematycznej bardzo wartości, polegała cała jego wielkość, bo nie posiadał zresztą ani wykształcenia, ani zdolności, zato spory zasób próżności i zarozumienia. Brandt, który poznał Paskiewicza przy końcu kampanii polskiej, zauważył w nim jakiś ciągły niepokój a w powierzchowności „nic szczególnej uwagi godnego“. Typ oficera, wychowanego na petersburskich salonach, był Paskiewicz układnym i giętkim wobec wyższych od siebie, wyniosłym i lekceważącym dla niższych. Charakter jego płaski i pospolity kojarzył się z umysłem najzupełniej miernym, pozbawionym wszelkiej samodzielności, zakrzepłym w rutynie. Odważny osobiście, jak powiadają, był on w prowadzeniu wojny trwożliwym, w zdaniu chwiejnym, w wykonaniu powziętych zamiarów upartym, lecz do zbytku ostrożnym. W porównaniu z Dybiczem posiadał niewątpliwie mniej inteligen-

[1]) Podług Barzykowskiego: T. IV, str. 319, i K. Mochnackiego.

[2]) Urodził się w r. 1782.

cyi i wykształcenia, więcej przebiegłości i wytrwałości. Wybraniec losu, który wszędzie i zawsze stale sprzyjać mu się zdawał, obejmował Paskiewicz naczelne dowództwo w chwili najpomyślniejszej; zastawał armią wypoczętą, skupioną, karną i ożywioną jak najlepszym duchem, Polaków zgnębionych niepowodzeniem, osłabionych klęskami, wojsko polskie zdemoralizowane, szemrające, złożone w $^2/_3$-ich z nowo zaciężnych żołnierzy, niedostatecznie uzbrojone, a co najważniejsza może, oddane pod dowództwo generała, który stracił zupełnie zaufanie do siebie i do wojska, bitwy starannie unikał i jedyną nadzieję dla sprawy narodowej pokładał w obronie Warszawy, która, według początkowych jego zapewnień, miała stać się zaszczytnym grobem powstania.

W takich warunkach musiał Paskiewicz zwyciężyć, a że kampania przewlókła się jeszcze dwa miesiące, to zawdzięczać należy trwożliwemu usposobieniu wodza rosyjskiego i bohaterskim czynom rycerzy z pod Grochowa, Igań i Ostrołęki, których sławę i dzielność „bohater zakaukaski“ w żywej miał pamięci.

Przybywszy do Pułtuska, znalazł on wojsko do pochodu przygotowane. Liczyło ono 53.895 ludzi i dział 318, było zaopatrzone w żywność na dni 14 i w amunicyą na 50.000 strzałów działowych, a że punkt oparcia dla niego stanowił Toruń i granica pruska, skąd obficie płynęły żywność i materyały budowlane, więc dalszym operacyom nic nie stało na przeszkodzie, jak tylko strach i obawa przed wojskiem polskiem. Było ono wprawdzie słabsze[1]) od rosyjskiego o 10.000 piechoty, 4000 jazdy i dział 200, ale opierało się o twierdzę Modlin, pod którego murami musiał nieprzyjaciel odbywać marsz flankowy ku dolnej Wiśle. Nie geniusz zatem, lecz prosty rozsądek, lecz instynkt zachowawczy nakazywał skupić w tem miejscu wszystkie siły i korzystać z każdej sposobności do napadu na rozwleczone kolumny i tabory rosyjskie. Że taka sposobność byłaby się znalazła, że się znaleźć musiała, to wynikało z natury rzeczy, z częstych błędów i niedołęstwa generałów nieprzyjacielskich, z doświadczenia wreszcie, jakiego w ciągu półrocznej kampanii nabyliśmy. Ale nawet w razie, gdyby i te rachuby zawiodły, byłby Paskiewicz zmuszony mieć się bezustannie na baczności, pochód swój opóźniać, żywność zapasową wyczerpywać, nowych transportów czekać; zyskiwano zatem na czasie, a i to była w tem krytycznem położeniu korzyść wielka. Rada wojenna, zwołana do głównej kwatery Skrzyneckiego, w pałacu „pod blachą“, oświadczyła się też jednomyślnie za takiem działaniem, które Prądzyński poparł strategicznymi dowodami a inni bez wahania przyjęli. Ale Skrzynecki oparł się temu stanowczo, powołując się, jak każda ciasna głowa w podobnych wypadkach, na zdanie pierwszorzędnej powagi wojskowej, na Napoleona, który twierdził, że przeprawie przez rzekę można przeszkodzić tylko stoczeniem walnej bitwy, co wódz polski za zgubę powstania i sprawy narodowej uważał. Zresztą mniemał, że położenie nieprzyjaciela na lewym brzegu Wisły będzie o wiele niepomyślniejsze, że, mając przerwany związek z Rosyą, na wypadek przegranej bitwy, musiałby się schronić do Prus, w końcu ze względu na jednomyślne zdanie generałów, zgodził się, krakowskim targiem, na pozostawienie połowy wojska pod

[1]) Mowa tu o armii czynnej pod Warszawą.

Modlinen, podczas gdy druga połowa miała przedsięwziąć wyprawę ku Siedlcom na Gołowina a może i na Rydygiera. Ten rozdział armii w tak ważnej chwili był według opinii znawców sztuki wojennej [1]) jednym z największych błędów, jakie Skrzynecki, w ostatnich czasach zwłaszcza, popełnił.

Stała się w ten sposób rzecz, w dziejach wojennych bezprzykładna: armia rosyjska, obciążona olbrzymim taborem, rozwleczona po rozmokłych od deszczu drogach a raczej bezdrożach, gdzie działa i wozy grzęzły po osie, ocierając się niemal o warowny Modlin i stojące tam dywizye polskie, przeszła bez szwanku, ba! bez jednego z naszej strony wystrzału, przez Ciechanowice, Raciąż i Bielsk do Płocka, aby się tam skoncentrować, wypocząć i ze strachu i z zdziwienia nad bezczynnością Polaków ochłonąć. Teraz dopiero, pod naciskiem opinii publicznej i na usilne nalegania Czartoryskiego, wysłał Skrzynecki za nieprzyjacielem dwie dywizye piechoty i tyleż jazdy, które, idąc żółwim krokiem, przybyły do Płocka po odejściu armii rosyjskiej. Tak bez żadnej przeszkody już rozpoczął generał Pahlen dnia 19. lipca stawianie mostów pod Osiekiem. Po trzech dniach robota była skończona i dnia 21. lipca znalazła się cała armia rosyjska na lewym brzegu Wisły. Siły jej wynosiły 54.000 ludzi, 318 dział i 6500 wozów. Czego można było w tym czasie dokonać i jakie szkody wyrządzić nieprzyjacielowi, świadczy popłoch, jaki powstał w wojsku rosyjskiem na wiadomość o pojawieniu się dywizyi Milberga pod Płockiem, i zwycięska potyczka pod Młynarzami, gdzie lotny oddział polski rozbił i zabrał do niewoli dwa szwadrony dragonów rosyjskich. Raz jeszcze nadarzała się sposobność zniszczenia maszerującego oddzielnie korpusu generała Gerstenzweiga, ale i tu ruch spóźniony wojsk polskich i rozmokłe drogi udaremniły całe przedsięwzięcie. Po utarczce pod Raciążem cofnął się Gerstenzweig za rzekę Wkrę i uniknął klęski, a 28. lipca połączył się z główną armią. Skrzynecki tymczasem zabawiał się bezskutecznem polowaniem na Gołowina, dowodzącego przednią strażą korpusu Rosena. Zadaniem tak jego, jak i Rydygiera, było zaczepnem działaniem zatrudniać wojska polskie, stojące w okolicach Warszawy, i ułatwiać tym sposobem niebezpieczny pochód głównej armii. Mając nie więcej jak 5800 ludzi i 8 armat, puścił się Gołowin trzema kolumnami w pochód na Dembe Wielkie, gdzie go oczekiwał już Chrzanowski z dywizyami Rybińskiego, Ramoriny, Jagmina i swoją własną, a więc z siłą przeszło 20.000 i dział 44. Zniesienie korpusu słabszego rosyjskiego, który wchodził wprost w zasadzkę, zdawało się rzeczą łatwą i nieuniknioną, ale i tym razem szczęście nam nie dopisało. Miękkie uderzenie jazdy Jagmina i niedołęstwo Ramoriny pozwoliły nieprzyjacielowi w czas jeszcze wycofać się z trudnego położenia, ze stratą stosunkowo niewielką 1200 ludzi i jednej armaty. Można było przypuszczać, że po tem nowem doświadczeniu Skrzynecki zrozumie wreszcie, że główne działanie armii polskiej powinno być skierowane przeciw Paskiewiczowi. W głównej kwaterze wiedziano dobrze o usposobieniu armii rosyjskiej, wiedziano, że żołnierz nieprzyjacielski z trwogą niewymowną przechodził Wisłę, która, według jego mniemania, grobem dla całego wojska stać się miała, wiedziano, że Paskiewicz oczekuje posiłków, mianowicie kor-

[1]) Generałów Kołaczkowskiego i Puzyrewskiego.

pusu Kreutza, i że z temi siłami, jakie miał, przy swojej lękliwości i ostrożności, kroku stanowczego nie uczyni. Prądzyński proponował zatem, aby główne siły zgromadzić w Płocku, rzucić most na Wiśle pod Tokarzami, przejść na lewy brzeg i oszańcowawszy się tu, oczekiwać dalszych ruchów Paskiewicza. W ten sposób można było powstrzymać lub zniszczyć korpus Kreutza i zagrozić głównej armii rosyjskiej odcięciem od mostów ustawionych na Wiśle i od komunikacyi z Prusami. Skrzynecki odrzucił jednak i ten plan, wolał upędzać się za Gołowinem, i ostatecznie postanowił zająć stanowisko nad Bzurą, aby tak doprowadzić do skutku ulubioną myśl swoją: stoczenia walnej bitwy w okopach warszawskich. Tymczasem, jak grom z jasnego nieba, spadła na bruk stolicy wiadomość o przejściu Giełguda do Prus.

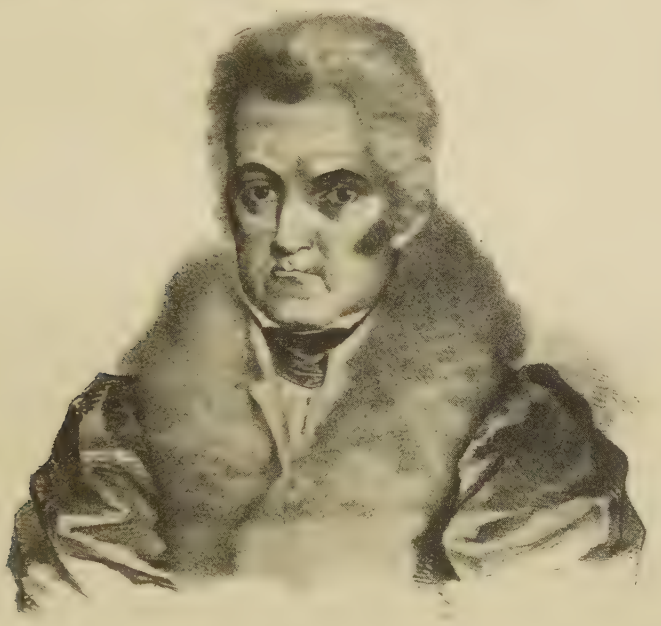

W. Gadon.

Powstanie na Litwie. — Wyprawa Chłapowskiego i Giełguda. — Atak na Wilno i Szawle. — Wejście do Prus. — Odwrót Dembińskiego. Praca około podniesienia ducha narodowego na Litwie, acz przerwana katastrofą wileńską w r. 1823 i przytłumiona na chwilę brutalną ręką Nowosilcowa, wydała jednak bujne plony. Litewskie prowincye, głaskane przez Aleksandra I. i bałamucone marzycielską polityką naiwnych ugodowców w rodzaju Michała Ogińskiego, zbudziły się pod wpływem dzielnej młodzieży wileńskiej do nowego życia. Grono Filaretów, działalność Zana i poetyczny geniusz Mickiewicza rozniecily przygasły cokolwiek patryotyzm w sercach Litwinów i utrwaliły dążność do połączenia z Królestwem.

Wieść o powstaniu listopadowem, którą przywiózł uciekający z Warszawy i wystraszony Nowosilców, odbiła się też głośnem echem po całym kraju i najżywsze wzbudziła uczucia. Pamiętniki współczesne[1]) przedstawiają nam do-

[1]) Wrotnowski Feliks: „Zbiór Pamiętników o powstaniu Litwy w roku 1831“. Paryż. W księgarni polskiej 1835.

kładnie ten stan umysłów radosny i gorączkowy zarazem, jaki zapanował na całej przestrzeni ziem litewskich. Pomimo najsurowszą baczność policyi — tak pisze jeden z dowódzców powstania żmudzkiego [1]) — uczucie wolności komunikowało się szybko i cichy ruch rozszerzał się powszechnie. Gdy jednak insurrekcya warszawska była dziełem nagłem i niespodziewanem, gdy twórcy powstania, o ile sądzić można, nie mieli żadnych związków na Litwie i Żmudzi, gdy w krajach tych panował najsroższy ucisk i najmniejszego nie było przygotowania ani porozumienia do zrzucenia znienawidzonego jarzma, więc „nikt w początkach nie mógł przypuścić, żeby, bez nadejścia regularnych wojsk polskich, Litwa i Żmudź podniosły zakute w kajdany ręce“. Przeciwnie wyobrażano sobie, że powstanie warszawskie rozpoczęło się w porozumieniu z Francyą i Anglią, „że oba te mocarstwa wesprą potężnie usiłowania Polaków i że wskutek tego niebawem ujrzą Litwini wpośród siebie bratnie zastępy, przynoszące im hasło wolności i odrodzenia. Tak myśląc, czekano niecierpliwie rozkazów czy wskazówek z Warszawy, i czekano, jak wiemy, naprożno, bo plan wyprawy na Litwę nie wchodził w zakres polityki Chłopickiego i Lubeckiego. Inaczej zupełnie poczynał sobie nieprzyjaciel. Ogłoszono natychmiast stan wojenny, zaprowadzono sądy wojskowe, zabrano wszelką broń, nawet kosy i siekiery, obywateli podejrzanych wywieziono w głąb Rosyi lub pod rozmaitymi pozorami wezwano do Petersburga, skąd już do końca powstania powrócić nie mogli, a oficerów Polaków z korpusu litewskiego przeniesiono po większej części na Kaukaz. Gubernatorem wileńskim został, na miejsce łagodnego i wyrozumiałego Korsakowa, który urząd ten przez lat 25 sprawował, generał-adjutant carski Chrapowicki, do Mińska przysłano kniazia Chowańskiego, do Mohylowa dzikiego okrutnika Murawiewa. W ślad za temi środkami ostrożności i represyi zwaliły się na Litwę wojska rosyjskie, ciągnące na uśmierzenie powstania, i wszelki ruch zbrojny stał się niepodobnym. Patryoci litewscy musieli się ograniczyć zatem do tajnych związków, którymi miał kierować Komitet główny wileński, Usposobienie ludności, przychylne powstaniu, nie mogło ujść bacznej uwagi władz rosyjskich. Podwojono więc ostrożności, arsenał wileński w znacznej części przewieziono do Dynaburga, a do stolicy litewskiej zjechał Nowosilców dla policyjnego nadzoru nad młodzieżą. Natychmiast też aresztowano studenta Abichta, kupującego broń, i zaczęły się prześladowania tem sroższe, że kierowała niemi zemsta osobista zaprzysięgłego wroga Polski i Polaków. Podły i nieprzebierający w wyborze środków, umiał on sobie pozyskać za pieniądze chorążego pułku ingermanlandzkiego, Kudrewicza, młodzieńca lekkomyślnego i rozrzutnego, który utworzył w Wilnie spisek szeroko rozgałęziony i następnie doniósł o wszystkiem gubernatorowi, licząc na opiekę Nowosilcowa. Wskutek tej nikczemnej denuncyacyi nastąpiły gromadne aresztowania i śledztwo, wreszcie wyroki śmierci na najbardziej skompromitowanych, pomiędzy którymi był także i Kudrewicz, ofiara Nowosilcowa. Zginęli w ten sposób po bohatersku: Przewłocki, Baczyński, Srokiewicz, Frank, Zawisza i ks. Wojtkiewicz, ale zgon ich zagrzał raczej do zemsty, niż przestraszył patryotów. Położenie Rządu było tak jak przedtem trudne i niebezpieczne,

[1]) Onufry Jacewicz, tamże.

siła zbrojna składała się przeważnie z inwalidów i Kozaków, załoga wileńska wynosiła zaledwie 3000 ludzi, gdy tymczasem wiadomości o bitwach pod Stoczkiem i Grochowem przedzierały się, mimo czujności władz, w głąb borów litewskich, krzepiły ducha i budziły żywe nadzieje nawet w obojętnych dotąd umysłach. Wreszcie porwali się niecierpliwsi: Żmudź dała hasło do powstania. Ruch żmudzki nie był dziełem przypadku lub chwilowego uniesienia, lecz skutkiem wyjątkowego stanu tej prowincyi, skutkiem świadomości politycznej i oświecenia ludu wiejskiego. Włościanie żmudzcy bowiem znajdowali się za czasów Rzeczypospolitej w wcale pomyślnych stosunkach, nie znali niewoli, osiadali na gruntach za kontraktami, zwyczajnie trzyletnimi, mogli następnie przenosić się swobodnie z ruchomościami swemi z miejsca na miejsce, a w rozległych dobrach prywatnych, skarbowych i duchownych posiadali na własność wszelkie zabudowania do dzierżaw ich należące i opłacali z ziemi tylko czynsz roczny wieczysty. W takich warunkach wzmagał się dobrobyt; włościanin uprawiał starannie swoje włóki, trudnił się przemysłem i handlem, dorobiwszy się zaś dostatku, posyłał dzieci do szkół, grosz, pracą zdobyty, obracał na ulepszenie gospodarstwa, na przyzwoite urządzenie swojego mieszkania lub na fundacye dla kościołów, bo był szczerze nabożnym i wielce do wiary przywiązanym. Za rządów rosyjskich zmieniło się wszystko; włościanin, przykuty do roli, nie mógł się trudnić handlem i przemysłem, stracił dotychczasową swobodę, natomiast obarczono go najrozmaitszymi ciężarami: kwaterunkiem wojska, podwodami, nieokreślonymi podatkami, a ponadto wydano na łup i samowolę zgrai czynowników. Niewolę chłopów żmudzkich przypieczętował wreszcie ukaz Mikołaja, zabraniający synów włościańskich przyjmować do szkół, zamykający im wstęp do stanu duchownego i do stopni oficerskich w wojsku.[1]) Nic naturalniejszego zatem, jak że włościanin żmudzki, pozbawiony swojej dotychczasowej swobody i możności zarobkowania, zaczął oddawać się pijaństwu i lenistwu, a w głębi serca zachował słuszną zupełnie i uzasadnioną do rządu nienawiść. Wyciągnięcie z Litwy niemal wszystkich sił zbrojnych na wojnę polską, niepomyślne dla Rosyan wiadomości z pola walki, które na Żmudź przez Prusy łatwiej się dostawały, niż do innych województw, pobór rekruta wreszcie, nakazany na dzień 28. marca, powiększyły niepokój i śmiałość dzielnych Żmudzinów. W lutym już wzięli się do oręża popisowi w powiecie telszewskim, pod wodzą szlachcica Borysewicza i włościanina Giedryma, a chociaż ich łatwo pobito i wyparto do Prus, skąd władzom rosyjskim po większej części zostali wydani, chociaż natychmiast z Kowna ruszył do Telsz z oddziałem wojska pułkownik Bartolomej, to środki te nie były w stanie już stłumić rozruchu i uśmierzyć wzburzenia pomiędzy ludem. Patryoci musieli z tego skorzystać. Ezechiel Staniewicz udał się do Libawy dla zakupna prochu, a obywatele powiatu rosieńskiego: Juliusz Grużewski, Rymkiewicz, Ignacy i Zenon Staniewiczowie, obaj Kalinowscy i Strawiński rozpoczęli tymczasem powstanie, rozbroili i zabrali garnizon i straż pograniczną, Józef Syrewicz uczynił to samo w Telszach, Stanisław i Konstanty Herubowicz w powiecie szawel-

[1]) Wrotnowski Feliks: „Zbiór Pamiętników o powstaniu Litwy w r. 1831“. O stanie włościan w powiecie telszewskim na Zmudzi przed r. 1794, str. 130.

skim. Ustanowiono natychmiast rząd, którego pierwszym członkiem był Włodzimierz Gadon, uczestnik jeszcze kościuszkowskich bojów, i mianowano naczelnikiem siły zbrojnej Onufrego Jacewicza. Ten, jakkolwiek żołnierzem nie był, zajął się energicznie i skutecznie organizacyą wojskową. Ludzi miał podostatkiem, brakowało jednak broni, amunicyi i doświadczonych oficerów; mundury musiano przerabiać z rosyjskich, uzbrojenie składało się z lichych strzelb myśliwskich lub nielicznych karabinów, zdobytych na nieprzyjacielu, resztę stanowiły kosy i piki na prędce osadzone. Z tem wszystkiem siły powstania rosły, krzepił się duch, wzmagała przedsiębiorczość. Urządzono fabrykę prochu, w Worniach fabrykę dział, znalazły się w ukryciu dwie czterofuntowe armatki, w Telszach powstała szkoła instrukcyjna dla oficerów i podoficerów.

Car, zatrwożony temi wypadkami, wydał dnia 2. kwietnia surowy ukaz, grożący „buntownikom“ śmiercią, konfiskatą majątków, zsyłką na Sybir i wywiezieniem dzieci do Petersburga do zakładów wojskowych, a nadto na uśmierzenie powstania wysłał znaczne siły bądź z głębi cesarstwa, bądź oderwane od głównej armii Dybicza. Pchnięto tak czem rychlej 1-szą dywizyą ułanów z Nura, 2-gą brygadę dywizyi pieszej z Augustowskiego, 10-ty pułk strzelców, przeznaczony do Łomży, zwrócono ku Grodnu, dwie brygady piesze 6-tej dywizyi zatrzymano w Białymstoku i Słonimie, wreszcie polecono korpusowi gwardyjskiemu gnębić powstanie w województwie Augustowskiem. Działo się to wszystko wtedy, gdy armia polska, rozbiwszy korpus Rosena, posuwała się ku Siedlcom, i gdy Skrzynecki, z lenistwa czy zaślepienia, pochód dalszy powstrzymał i w niepojętej zasklepił się bezczynności, jak gdyby po to, aby dać czas nieprzyjacielowi do stłumienia żmudzkich i litewskich powstań. Zgubnym dla Litwy był niewątpliwie upór Chłopickiego, ale Skrzynecki stał się grabarzem patryotów litewskich. Bo jakkolwiek na odgłos powstania żmudzkiego dziewięć powiatów gubernii Wileńskiej i dwa Mińskiej chwyciły za broń, jakkolwiek ruch sięgnął nawet do gubernii Witebskiej a z szkoły podchorążych w Dynaburgu, założonej w r. 1828, liczny zastęp młodzieży polskiej przyłączył się do powstania, to cała ta insurrekcya, kierowana przez ludzi niedoświadczonych, bezbronna prawie i nie wsparta regularnem wojskiem, musiała uledz w nierównej walce z nieprzyjacielem silnym, wyćwiczonym i działającym podług planu z góry obmyślanego. Nie pomogło bohaterstwo, poświęcenie i zapał, z jakim wszystkie warstwy społeczeństwa, bez różnicy wieku i płci nawet, że przytoczymy tu Emilią Platerównę i Raszanowiczównę, składały w ofierze na ołtarzu Ojczyzny życie i mienie, zwyciężyła sztuka wojenna i przemoc.

Karol Załuski, służący do niedawna w dyplomacyi i nie mający najmniejszego wyobrażenia o wojskowości, obrany naczelnikiem powstań powiatowych, z poetą Antonim Góreckim, jako szefem sztabu u boku, powziął nieszczęśliwą myśl zdobywania Wilna połączonemi siłami. Przedsięwzięcie skombinowane i nieudolnie prowadzone, nie powiodło się oczywiście, i po potyczce pod Owsianiszkami powrócili powstańcy na prawy brzeg Wilii. Nie małą przeszkodą w pomyślnym rozwoju całego ruchu była, obok przyczyn wyżej wymienionych już, niezgoda i brak łączności a tem samem niejednolite i przy-

padkowe działanie. „Bywało — tak pisze Jacewicz [1]) — że ten, kto miał pod swoją komendą parę set ludzi, nie chciał już zależeć od nikogo i sam na swój rachunek prowadził z Rosyą wojnę.“ Wskutek tego znosił nieprzyjaciel jeden oddział po drugim, a barbarzyńskiem obchodzeniem się odstraszał ludność od udziału dalszego w powstaniu. Pułkownik Werzulin wyrznął ludność Oszmiany, zrabował domy i kościoły, osławiony Murawiew pastwił się nad każdym, kto wpadł w jego ręce; znieważał, katował, golił głowy i rozsyłał to do kazamatów dynaburskich, to do pułków armii kaukaskiej; pułkownik Bezobrazów schwyciwszy podstępem osobistego przedtem przyjaciela swego, sędziego Łabanowskiego, uprowadził go do Wilna, gdzie na rozkaz Chrapowickiego bezzwłocznie został rozstrzelany. Zaprawdę martyrologia Litwy w r. 1831 mało ustępuje późniejszej z r. 1863.

Główna uwaga rządu rosyjskiego zwróciła się jednak na Żmudź. Powstanie tamtejsze, o charakterze chłopsko-szlacheckim, rozwijające się na tle religijnem i narodowem, w kraju przytykającym do morza, gdzie zaniedbany port w Połądze mógł stać się łatwo ogniwem łączącem Polskę, odciętą szczelnie od świata, z Europą zachodnią, wydało się dla Mikołaja równie groźnem jak ruch w prowincyach południowych. Carat wytężył zatem wszystkie siły swoje na poskromienie Żmudzinów, użył środków moralnych i materyalnych, oręża, postrachu i podstępu. Zmuszono czy namówiono ks. Giedrojcia, biskupa żmudzkiego, mieszkającego w Petersburgu, aby wydał stosowną odezwę do ludu i rozesłał listy z upomnieniem do przywódców powstania. Woził te pisma kanonik Rupejko, dostawiali żandarmi pruscy, ale propaganda skutku nie miała, powstanie trwało dalej i rozwijało się pomyślnie, pułkownika Bartolomeja wyparto do Prus, kuszono się po dwakroć o zdobycie Połągi, dokąd miał przypłynąć statek angielski z bronią i amunicyą. Wtedy wysłał rząd rosyjski, który ściągnął tymczasem znaczne siły z głębi carstwa i Królestwa, skombinowaną na Żmudź wyprawę. Z Mitawy ruszył baron Pahlen w 2000 ludzi, z Wilna ks. Chiłków i generał Szyrman, z Kowna generałowie Sulima, Malinowski i Offenberg, powrócił też i z Prus wypoczęty i zaopatrzony w żywność i amunicyą pułkownik Bartolomej z swoim oddziałem. Takiej potędze nie mogli się oprzeć skutecznie powstańcy źle uzbrojeni i niezgodni między sobą. Nie brakło im wprawdzie odwagi. Dzielny Prozor z powstaniem kowieńskiem wstrzymał Offenberga przez cały dzień u przejścia Niewiaży, Jacewicz stoczył pomyślną potyczkę z pułkownikiem Korolesowem pod Dorbianami, niedaleko Połągi, ale ostatecznie nieprzyjaciel dopiął zamierzonego celu. Szyrman rozprószył oddziały Urbanowicza i Rymkiewicza i zniszczył fabrykę prochu, założoną pod Retowem, Malinowski uganiał się za powstaniem po lasach Cytowiańskich, Szawle były w rękach rosyjskich, słowem powstanie żmudzkie dogorywało, kiedy wreszcie nadeszła upragniona wiadomość o pojawieniu się regularnych wojsk polskich na prawym brzegu Niemna. Skąd one się tu wzięły? zaraz opowiemy. Widzieliśmy już, że podczas wyprawy na gwardye Skrzynecki z Księżopola wysłał na Litwę generała Chłapowskiego z 1-ym pułkiem ułanów, pewną liczbę instruktorów i dwoma armatami dla ożywienia i zorga-

[1]) Wrotnowski: „Zbiór Pamiętników“, str. 88.

nizowania tamtejszego powstania. Stało się to na usilne naleganie Litwinów, którzy przez emissaryusza swego, Feliksa Wrotnowskiego, w połowie kwietnia już dopraszali się u naczelnego wodza poparcia i pomocy. Skrzynecki, wierny swojej kunktatorskiej polityce, kazał im miesiąc cały czekać na posiłki, ale przyznać trzeba, że wysyłając je, uczynił wybór trafny. Dezydery Chłapowski, urodzony w r. 1788, odbył zaszczytnie służbę wojskową pod znakami Napoleona, został podpułkownikiem gwardyi cesarskiej, w r. 1813 jednak po bitwie pod Budziszynem, gdy się dowiedział z instrukcyi,[1]) jakie miał sekretarz Fain, przeznaczony wraz z Caulincourtem do traktowania o pokój z Aleksandrem, że Napoleon gotów jest odstąpić Rosyi księstwo Warszawskie, wziął dymissyą, powrócił do rodzinnej Turwi w Wielkopolsce, oddał się z zapałem gospodarstwu, oczyścił majątek z długów, podwoił dochody i stał się wzorem dla współziemian, prawdziwym dobroczyńcą i przyjacielem dla poddanych. Ożeniony z młodszą siostrą Joanny Grudzińskiej, wszedł w stosunek pokrewieństwa do W. ks. Konstantego, ale umiał zachować przy tem niezawisłość od szwagra, nie szczędząc w tym celu nawet ofiar materyalnych z swojej strony. Na odgłos powstania jeden z pierwszych przybył do Warszawy, aby usługi swoje ofiarować Ojczyźnie, ale Chłopicki odradził mu wstąpienie do wojska, mówiąc: „Nie bierz munduru, boś pruski poddany, ale jeżeli do wojny przyjdzie, w cywilnym stroju będziesz służył przy armii.“ Później dopiero, za dowództwa Radziwiłła oddano Chłapowskiemu dwa pułki jazdy, które wyćwiczył i którymi dowodził pod Grochowem, stojąc w assekuracyi armat, a więc prawie bez czynnego udziału w bitwie. Barzykowski utrzymuje, że Chłapowski doradzał Chłopickiemu, aby wywołał powstanie w Wielkopolsce, że się z nim z tego powodu poróżnił, i że następnie, niezadowolony z swego dość podrzędnego stanowiska w armii, był z wszystkiego niezadowolony, stał się malkontentem. Pierwsze twierdzenie wydaje nam się w wysokim stopniu nieprawdopodobnem, a przeczą mu też przyjazne stosunki, jakie zachował do końca Chłapowski z Chłopickim; co do drugiego rozumiemy i pojmujemy dobrze, że oficer tak zdolny i doświadczony musiał być niezadowolonym, patrząc na to, co się działo. Tem się tłumaczy także skwapliwość i gotowość do podjęcia trudnej i niebezpiecznej wyprawy na Litwę. Nie przeczymy, że Chłapowski posiadał wiele ambicyi i że mógł się czuć niemile dotkniętym, gdy widział, jak miernoty z tytułu starszeństwa jedynie na wyższe posuwano stopnie, ze szkodą dla sprawy, publicznej, ale to, co zdziałał później jako samodzielny dowódzca, świadczy że żal jego był zupełnie uzasadniony. Szedł więc na Litwę z radością, w przekonaniu, że potrafi służyć dobrze powstaniu i Ojczyźnie, z zadowoleniem może, że nie będzie świadkiem tych klęsk i nieszczęść, które nieudolność Skrzyneckiego sprawie narodowej gotowała.

Wsadziwszy strzelców i instruktorów na konie, przemknął się Chłapowski niepostrzeżenie pomiędzy gwardyami i armią Dybicza, dnia 21. maja wkroczył do Litwy, spadł jak piorun na miasteczko Bielsk, gdzie zabrał do niewoli cały garnizon z 1000 rekonwalescentów złożony, i skierował pochód swój ku puszczy

[1]) W. Kalinka: Jenerał Dezydery Chłapowski. W Poznaniu 1885. Szczegół powyższy jest ważnym, bo odpiera zarzut, jaki czyni Barzykowski (IV, 227) Chłapowskiemu.

Białowieskiej, spodziewając się tam zastać znaczniejszy oddział powstańców. Zamiast tego spotkał w Hajnowszczyźnie stojący tu na straży korpusik generała Lindena. Nie namyślając się długo, uderzył na przeważającego liczbą nieprzyjaciela i odniósł świetne zwycięstwo. Dwa działa, wielka ilość broni i kilkuset jeńców były plonem tej pierwszej, zaszczytnej potyczki. W puszczy doznał zawodu, bo znalazł tylko dwa niewielkie oddziały partyzantów pod dowództwem Ronkego i Szrettera. Połowę z nich wcielił do swoich szeregów, resztę zostawił w lesie i ruszył pospiesznie do Lidy, głosząc wszędzie i w liście poufnym do ks. Łowickiej wyprawionym, że idzie z wielkiemi siłami i z rozkazem atakowania W. ks. Konstantego, który stał w Słonimie. Podstęp skutkował. Konstanty, niewojenny z natury, cofnął się czemprędzej do Mińska, podczas gdy Chłapowski przeszedł Niemen, zniósł garnizon zajmujący Lidę, i rzucił taki popłoch na Wilno, że gubernator Chrapowicki już zabierał się do opuszczenia miasta, gdy nadeszło tajne doniesienie o właściwych siłach polskich, które go do pozostania skłoniło. Wiadomość o pojawieniu się Chłapowskiego napełniła nieopisaną radością serca Litwinów i podniosła ich cokolwiek na duchu. Pomoc przychodziła wprawdzie za późno, powstanie było złamane, kraj zgnębiony i wojskiem zalany, ale teraz nadzieje odżyły i ci, co jeszcze wytrwali, spieszyli z zapałem pod sztandary narodowe. Przybył ks. Gabryel Ogiński na czele 250 chłopów i 150 akademików wileńskich, pod wodzą profesora Gronostajskiego, przyłączył się Matuszewicz z 250 strzelcami, zgłaszali się inni, pojedynczo, po kilku, kilkunastu. Chłapowski zajął się czynnie organizacyą nowej siły, utworzył pułk piechoty pod dowództwem Maciewicza (adjutantem jego był Ignacy Domejko), drugi pod Radziszewskim, dwa pułki jazdy i ujrzał się na czele korpusu, liczącego 3000 ludzi i pięć dział, któremi kierowali dzielnie zdolni oficerowie Kaczanowski i Czetwertyński.

Takie były owoce trzytygodniowej kampanii Chłapowskiego na Litwie. Da ona się porównać tylko z działaniem Dwernickiego w lutym i na początku marca r. 1831, a rozważając jedną i drugą, żal dziś bierze wielki, że powstanie obu tych generałów tak użyć nie umiało, i że zdolności ich po prostu zmarnowano. Ale wracajmy do Chłapowskiego. Mimo powodzeń początkowych znajdował on się w położeniu krytycznem. Wiedział, że od Witebska nadchodzi z znacznemi siłami Tołstoj, że z Inflant i ze Żmudzi nadciąga Pahlen, od Merecza z gwardyą litewską Kuruta i że zatem oddziałowi jego, stojącemu w środku, pomiędzy tymi korpusami niechybna grozi katastrofa. Aby zguby uniknąć, postanowił przeto „ściągnąć, co jeszcze zostało powstańców na Żmudzi, sformować z nich osobne oddziały, każdemu dodać instruktorów i trochę jazdy i rozlokować je w różnych stronach kraju, aby nieprzyjaciela zarywały; sam zaś, wziąwszy z sobą uformowaną jazdę, chciał obejść Wilno, dostać się do Mozyra i do Pińska i stosownie do okoliczności i do stanowiska nieprzyjaciela, z jednej lub z drugiej strony Prypeci, zbliżyć się do Bugu“. W tej myśli ruszył też ku Żożlom, kiedy nagle dnia 8. czerwca otrzymał rozkaz od Giełguda, aby natychmiast stawił się do Kiejdan.

Wiadomo, że dywizya Giełguda, odcięta od głównej armii, po bitwie pod Ostrołęką, została wysłana na Litwę. Ruch ten przypadkowy mógł być

dla powstania pożytecznym, dla nieprzyjaciela groźnym, gdyby był należycie pokierowany, gdyby na czele jego stanął generał śmiały, w obrotach szybki, w działaniu energiczny. Nieszczęściem Giełgud nie posiadał tych zalet. Wstąpił on do wojska w r. 1812 jako pułkownik [1]) jednego z pułków utworzonych wtedy na Litwie, chociaż nigdy przedtem wojskowo nie służył, i został następnie, gdy kolej na niego przyszła, generałem brygady. W tym stopniu był w bitwie grochowskiej; z mocy starszeństwa posunięty na generała dywizyi, niczem się nigdzie nie odznaczył, owszem w ostatnim czasie wypuścił przez nieudolność Sackena z pod Ostrołęki, do Łomży przybył za późno, i tem tak rozgniewał Dembińskiego, że generał ten prosił usilnie, aby go z pod niezdarnej komendy Giełguda wyjęto. Stało się to bezpośrednio przed wyprawą litewską, Skrzynecki wiedział zatem dobrze, komu powierza tak ważną ekspedycyą, i cała odpowiedzialność za błędy i klęski powstania na Litwie spada też na niego. Ale wódz naczelny miał słabość do Giełguda. Wynikała ona może z podobieństwa usposobień. Obaj bowiem byli odważni w boju, obaj lubili też wygody, bez wykwintnego stołu i spoczynku obejść się nie mogli, zato w wykonaniu powziętych zamiarów byli niedbali, w ruchach powolni, działali miękko, bez energii, bez zapału, bez wiary w zwycięstwo i powodzenie. Giełgud nadto odznaczał się charakterem wyniosłym, brakiem zupełnym taktu w postępowaniu, niepomierną próżnością i chwiejnością w zdaniu. Puściwszy się w pochód na Litwę, spotkał on pod Rajgrodem Sackena, z korpusem o połowę od sił polskich słabszym, mógł i powinien był go znieść ze szczętem lub zabrać do niewoli, ale skutkiem niedołęstwa swego wypuścił nieprzyjaciela i przyprawił go tylko o stratę 1500 ludzi. Sacken, przestraszony i nauczony doświadczeniem, uchodził szybko, a ścigany leniwie przez Giełguda. miał czas połączyć się z generałem Malinowskim i uniknąć zguby. Korpus polski mógł teraz bez przeszkody zająć północną część województwa Augustowskiego. Obywatele tamtejsi, uciskani tak długo przez Moskali i gnębieni srodze, witali Giełguda jak zbawcę, ofiarowali mu broń, pieniądze i ludzi, byle tylko przez osiem dni chciał się u nich zatrzymać, ale generał, pomny na cel swojej wyprawy, spieszył ku Niemnowi i przeszedł tę rzekę pod Giełgudyszkami. Zachodziło teraz pytanie, co dalej przedsięwziąć? Dembiński przemawiał za zajęciem Zmudzi, Giełgud zgodził się, i korpus, przyjmowany wszędzie tryumfalnie, poszedł do Kiejdan. Tu zgromadzili się naczelnicy powstań żmudzkich, przybył także Chłapowski, który stanowczo sprzeciwił się wyprawie na Żmudź, proponując natomiast zdobycie Wilna. Zdaniem jego nastręczała się do tego w tej chwili najlepsza sposobność. Załoga wileńska była nieliczna, posiłki pod Tołstojem i Kurutą zbyt jeszcze oddalone, nieprzyjaciel przestraszony ukazaniem się korpusów polskich, słowem okoliczności najdogodniejsze do ubieżenia stolicy i do zabrania nagromadzonych tam zapasów broni i amunicyi, raz zaś stanąwszy w Wilnie i skupiwszy w tem mieście wszystkie siły, będzie można w rozmaite strony wyprawy podejmować i znosić rozdzielone korpusy rosyjskie. Co więcej, zdobycie Wilna uczyni wielkie wrażenie nie tylko w Litwie, ale

[1]) Franciszek Wężyk: „Powstanie Królestwa Polskiego w r. 1830 i 1831“. W Krakowie 1895. Str. 114.

i w całej Europie, podniesie ducha w ludności, zmusi nieprzyjaciela do wysłania posiłków od głównej armii i ułatwi przez to działanie Skrzyneckiego przeciw Dybiczowi. Myśl była rzeczywiście trafną, ale powodzenie zależało od szybkości wykonania. Tymczasem Giełgud, przyjąwszy wbrew opozycyi Dembińskiego plan powyższy, nie spieszył się wcale. Zaledwie odjechał Chłapowski do swego korpusu, aby most na Wilii stawiać, kiedy w umyśle wodza rozmaite powstały wątpliwości. Dembiński, zgniewany i oburzony, stracił wreszcie cierpliwość, udał się do Chłapowskiego i zaproponował mu wprost, aby Giełguda z dowództwa zrzucił i sam komendę naczelną objął, przyrzekając z swojej strony posłuszeństwo i poparcie. Był to niewątpliwie krok niezwykły, ryzykowny, jawny bunt przeciw dyscyplinie wojskowej, przykład zły i wielce gor-

Marya Raszanowicz.

szący, ale kto wie, czy w tych warunkach wyjątkowych nie uzasadniony i nie właściwy. Usprawiedliwia go tylokrotnie okazana niezdolność Giełguda, niemożność zniesienia się z główną kwaterą a nadewszystko wzgląd na losy powstania i całego narodu, tak bardzo zawisłe od powodzenia wyprawy litewskiej. Oburzenie Chłapowskiego zatem, gdy Dembiński mu tę propozycyą przedstawił, nie było zupełnie na miejscu, a odmowa miała jeszcze ten skutek, że odtąd pomiędzy tymi dwoma generałami powstała niechęć wzajemna, która wpłynęła najfatalniej na dalszy przebieg działań wojennych na Litwie. Po Dembińskim przyszła kolej na oficerów. I oni także, wszyscy, widząc, jaki obrót bierze wyprawa, nie chcieli dłużej słuchać Giełguda, lecz gotowi byli ofiarować komendę Chłapowskiemu. Chłapowski odmówił znowu i zgodził się tylko na wy-

słanie delegata do Warszawy, który naczelnemu wodzowi stan rzeczy miał przedstawić. Wobec znacznej odległości i utrudnionej komunikacyi środek ten nie mógł żadnego odnieść skutku. Pozostało więc wszystko tak, jak było. Giełgud szedł żółwim krokiem pod Wilno, cieszył się festynami. które mu po drodze wyprawiano, bawił się, ucztował, ustanawiał rząd, którego władza poza obręb obozu nie wychodziła, wreszcie po pięciu dniach dowlókł się w okolice Wilna, gdzie nieprzyjaciel tymczasem, ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, zgromadził około 15.000 ludzi i dział 60, usypał szańce na górach Ponarskich i spokojnie oczekiwał ataku. Chłapowski, który miał stosunki z miastem, wiedział o tych przygotowaniach, odradzał zatem Giełgudowi, aby bitwy nie staczał, ale w odpowiedzi usłyszał od niego tylko gorżkie wyrzuty: „Nastawałeś na mnie generale — mówił on — ażebym przyszedł atakować Wilno, a teraz, kiedym przyszedł, chcesz mnie zastraszyć. Chcesz zapewne mnie zgubić w opinii wojska, ażeby ci oddało komendę. Już mnie o tem przestrzeżono, nic nie będzie z tego.“ Z takim uporem i uprzedzeniem niepodobna było walczyć, i dnia 19. czerwca rozpoczął się ów nieszczęsny atak na Wilno, najniedołężniej pokierowany, w skutkach swoich fatalny. Giełgud stracił do tego stopnia głowę, że przed bitwą kazał Dembińskiemu dopiero 20. czerwca uderzyć od strony Zielonego mostu, tak że korpus jego w bitwie 19. czerwca wcale udziału nie miał. Nie pomógł w podobnych okolicznościach ani zapał, ani męstwo żołnierzy, ani osobista odwaga Giełguda, wojska polskie, dziesiątkowane ogniem armatnim, rozbiły się o obwarowania na górach Ponarskich i o godzinie 2-iej po południu musiały ustąpić z pola. Odwrót zasłaniał Chłapowski z 1-ym pułkiem ułanów, odpierając dzielnie uporczywe ataki licznej jazdy rosyjskiej. Równocześnie prawie pułkownik Szymanowski, wysłany z 2000 ludzi na Żmudź, kusił się o zdobycie Szawel i zupełną poniósł klęskę. Dwie te katastrofy — bo inaczej owych szturmów nazwać nie można — zadały cios stanowczy powstaniu litewskiemu i żmudzkiemu a korpus Giełguda na nieuchronną niemal naraziły zgubę. Oprócz dotkliwych strat, które pod Wilnem i Szawlami wynosiły przeszło 2000 ludzi, dotkliwszym o wiele był upadek ducha i w wojsku i w ludności litewskiej. Znikł urok, otaczający niezwalczone, jak mniemano, zastępy polskie, upadły nadzieje, ostygł zapał i rozpoczęło się powolne konanie powstania, wśród bezcelowej włóczęgi zdemoralizowanego nieudolnością dowódzcy, korpusu Giełguda.

Raz jeszcze podawał Chłapowski zdrową radę sprawcy tych nieszczęść. Chciał się cofnąć do Aleksoty, pod Kownem, tam się obwarować, a gdy nieprzyjaciel nadejdzie z przeważającemi siłami, aby stanowisko wojsk polskich obejść, rozdzielić wszystkie siły na sześć oddziałów i rozrzucić je po całej Litwie i Zmudzi. Giełgud zgodził się z początku na ten plan, później jednak odrzucił go i niezdecydowany na nic, udał się wreszcie na Żmudź, zapędzając w ten sposób korpus swój w kąt ciasny, zamknięty granicą pruską, morzem i Kurlandyą. Skutek był łatwym do przewidzenia. Nieprzyjaciel, zgromadziwszy znaczną potęgę — 40.000 ludzi — ruszył pięcioma kolumnami na doszczętne zniesienie ustępujących wojsk polskich. Giełgud, jak zwykle bezradny, ulegając opinii oficerów, mianował wprawdzie Chłapowskiego szefem

sztabu, ale po staremu robił to co sam chciał, lub do czego go namówiono.[1]) Zamiast myśleć o ocaleniu wojska, o przerwaniu sieci, jakie zewsząd nieprzyjaciel zaciągał, Giełgud postanowił, idąc za radą Szymanowskiego, zdobywać Szawle i poniosł nową klęskę. Nastąpiła rada wojenna w Kurszanach, burzliwa niesłychanie, na której uchwalono podzielić wojsko na trzy oddziały, w celu łatwiejszego wymknięcia się nieprzyjacielowi. Z jednym ruszył Dembiński ku Kurlandyi, z drugim Roland w stronę Połągi, z trzecim Chłapowski na południe do Jurborga. Giełgud towarzyszył Rolandowi.[2]) Ale zaledwie Chłapowski, spaliwszy tabory, utrudniające ruch szybki, puścił się w pochód ku Łuknikom, kiedy dopędziła go kolumna Rolanda z mnóstwem wozów, z artyleryą, piechotą i nieszczęsnym Giełgudem. Z takim ciężarem trudno było myśleć o prześliźnięciu się pomiędzy granicą pruską a korpusem Tołstoja, jakoż Giełgud nazajutrz już dnia 11. lipca postanowił wkroczyć do Prus. Czy i jaki udział miał w tem Chłapowski? trudno bardzo dziś rozstrzygnąć. Dembiński i Jacewicz mocno go oskarżają, potępia Barzykowski, broni X. Kalinka, niezupełnie szczęśliwie. Jest w tej zawiłej sprawie wiele rzeczy jeszcze niewyjaśnionych i sąd zatem bardzo trudny. Nie wydaje się jednak prawdopodobnem, aby wejście do Prus korpusu polskiego było obmyślanem z góry przez Chłapowskiego, aby on był autorem tej katastrofy. Oburzenie powszechne zwracało się też nie przeciw niemu, lecz przeciw Giełgudowi, który padł, zastrzelony, „jako zdrajca“, z ręki Kazimierza Skulskiego, adjutanta 7-go pułku piechoty. W cztery dni później, po kilku utarczkach z Moskalami, przeszły także oddziały generałów Rolanda i Szymanowskiego, powstanie utraciło 6041 żołnierzy, 635 oficerów, dział 25 i tyleż jaszczyków z amunicyą. Ocalał tylko oddział Dembińskiego. Odłączywszy się w Kurszanach od Chłapowskiego, Giełguda i Rolanda, miał Dembiński 3656 ludzi i dział 6, pomiędzy tem jeden zaledwie batalion piechoty i dwa szwadrony jazdy z starego złożone żołnierza, reszta nowe zaciągi z powstańców litewskich, amunicyi 450 nabojów armatnich, w kasie 100 złp. gotówki, Korzystając z tego, że nieprzyjaciel całą uwagę swoją zwrócił na główne siły polskie, przebrał się Dembiński po bezdrożach leśnych, okrążając ostrożnie Szawle, ku Miszkuciom, rozbił tu i zabrał do niewoli kompanią piechoty rosyjskiej, zdobył przy tem 6000 ładunków i 500 dukatów, spalił następnie wszystkie wozy i stanął wreszcie w Poniewieżu, gdzie na radzie wojennej postanowiono wrócić do Królestwa. Dotąd wiodło mu się wszystko pomyślnie, wydobył się z żelaznej obręczy, którą nieprzyjaciel ściskał korpusy polskie, uniknął pogoni i miał przed sobą cel wytknięty, drogą, prawda że niebezpieczną, ale jedyną ku Niemnowi. Ale w Poniewieżu wpadli jednak na ślad jego Rosyanie, puścił się za nim generał Savoini, a od Święcian zagrażał Doktorów. Pomimo to, po żwawem spotkaniu z pierwszym z nich, pod Awentą, zdołał Dembiński wycofać się, bez znacz-

[1]) Barzykowski (IV, 262), jak najgorzej dla Chłapowskiego usposobiony, twierdzi, że on był wszystkiem. Przeczą temu fakta, mianowicie szturm na Szawle, wbrew zdaniu Chłapowskiego przedsięwzięty.

[2]) Tak utrzymuje Kalinka (l. c. str. 137) na podstawie „Pamiętników Chłapowskiego“ i autor „Pamiętników ułana“, inaczej Barzykowski.

nych strat do Inturk, w Podbrodziu rozbił oddział, strzegący mostu na jeziorze, zdobył 4000 naboi i wielce potrzebne w tym pochodzie przybory saperskie, spalił most i wstrzymawszy tym sposobem pościg Sawoiniego, przeprawił się 19. lipca przez Wilią. Teraz czekała go najtrudniejsza część drogi, bo krajem odsłoniętym koło Oszmiany, ale i z tego niebezpieczeństwa wydobył się fortelem, dopadł Niemna i dnia 22. lipca przeszedł tę rzękę szczęśliwie, bądź na tratwach, bądź w bród. Tu nieprzyjaciel, podrażniony i zawstydzony tem wymknięciem się generała polskiego, postanowił zgnieść go przeważającemi siłami. Oprócz Sawoiniego więc miał Dembińskiemu zastąpić drogę od Białowieskiej puszczy generał Bolen, w 3000 ludzi, z Białego Stoku Peterson, od Słonima Stankowicz, a od Brześcia litewskiego Rosen, który całą operacyą kierował. Tymczasem zdarzył się niespodziewany wypadek. Skrzynecki wyprawił był niedawno Samuela Różyckiego z partyzanckim oddziałem ku Litwie. Celem jego było przedrzeć się w okolice nad Prypecią położone i tam urządzić wojnę podjazdową. Różycki, przeszedłszy Bug, głosił wszędzie, że tworzy przednią straż korpusu Ramoriny i tem rzucił popłoch wielki naokoło. Nagle wszystkie korpusy, ścigające Dembińskiego odskoczyły, nawet Kreutz zatrzymał się na Litwie, Rosen zaś zajął stanowisko pod Kamieńcem Litewskim. Uwolniony tak od natarczywości pogoni, przeszedł Dembiński puszczę Białowieską, połączył się z Różyckim, i wziąwszy po drodze do niewoli generała Paniutyna, przeznaczonego na szefa sztabu głównej armii rosyjskiej, przeprawił się przez Bug pod Mysłoborem i stanął w granicach Królestwa polskiego.

Odwrót Dembińskiego należy niewątpliwie do najznakomitszych czynów wojennych w tej kampanii. Generał ten przebył w przeciągu dni 18-tu 700 wiorst, ścigany przez przeważające siły, budując i naprawiając mosty, uskutecznił przeprawę przez cztery rzeki, zabrał mnóstwo jeńców, przyborów wojennych i pieniędzy, po drodze przyłączył do swego korpusu powstanie nowogródzkie i przyprowadził do Warszawy dnia 3. sierpnia oddział o 400 ludzi powiększony. Dzień przybycia jego był też słusznie dniem radości dla stolicy znękanej ciągłemi niepowodzeniami, tryumfem dla prawdziwej zasługi.

Komissya rozpoznawcza sejmowa. — Upadek ducha. — Rada w Bolimowie. — Złożenie z dowództwa Skrzyneckiego. — Dzień 15. sierpnia. — Zmiana rządu. Stale powtarzające się niepowodzenia na polu walki i wiadomość o przejściu Giełguda do Prus skłoniły wreszcie Rząd do energiczniejszego cokolwiek postępowania. Po nieudanej wyprawie na Gołowina zaproszono więc Skrzyneckiego na posiedzenie i, przedstawiwszy mu smutny stan kraju, upadek ducha i rozdrażnienie umysłów, pytano o przyczyny niepowodzeń, o to, dlaczego nieprzyjaciel bez przeszkody za Wisłę przepuszczony został i jakie plany ma wódz na przyszłość? Delikatność Rządu była rzeczywiście zadziwiająca, Po tem wszystkiem, co się stało, zwłaszcza w ostatnich czasach, miała władza najwyższa obowiązek pociągnąć wprost Skrzyneckiego do odpowiedzialności, rzecz całą sejmowi przedstawić i z zmiany naczelnego wodza uczynić, że się tak wyrazimy, kwestyę gabinetową. Wymówka, że Rząd nie widział odpowiedniego po Skrzyneckim następcy, jest próżna, bo najpierw tak źle nie było, a po wtóre żaden z generałów niedołężniej chyba dowodzić nie mógł. Konfe-

rencya z Skrzyneckim, tym kszaltem rozpoczęta, przedstawia się raczej jak chęć ratowania pozorów, jak stawianie złotych mostów do odwrotu temu, co sprawę powstania nad brzeg przepaści sprowadził. Wódz naczelny wybrnął też łatwo z kłopotliwego pozornie położenia. W długiej mowie przedstawił przyczyny obecnego mniej pomyślnego stanu rzeczy; wystawiał nierówność sił, nieprzychylność mocarstw sąsiednich dla powstania, błędy w prowadzeniu wojny zwalał na swoich podwładnych, co do przejścia Wisły zasłonił się powagą Napoleona, oznajmił, że nie widzi nikogo z wojskowych, któryby go mógł w dowództwie zastąpić, wreszcie oświadczył, że ma plan dalszych operacyj, Rządowi go jednak teraz udzielić nie może, zapewnia tylko, że Warszawa musi się stać grobem dla nieprzyjaciela i sprawa narodowa uratowaną zostanie.

Rząd, wysłuchawszy tej odpowiedzi, przepełnionej frazesami i ogólnikowej, naradzał się długo, stanowczej decyzyi jednak nie powziął i ograniczył się do skromnej uwagi, że „dalsza nieczynność smutne skutki wywołać musi“.

Tymczasem w sejmie gotowała się burza. Partya kaliska, Umiński, Prądzyński i Krukowiecki, wszyscy trzej strasznie na Skrzyneckiego oburzeni, widząc, do jakiego kresu rzeczy doszły, postanowiła skorzystać z władzy, przysługującej sejmowi i uczyniła za pośrednictwem Bonawentury Niemojowskiego wniosek, aby Izba wyznaczyła komissyą „do rozpoznania przeszłych czynności wodza, jakoteż i na przyszłość planów powziętych“. Przestraszeni zwolennicy Skrzyneckiego wywołali żywą dyskussyą i chociaż wniosek ostatecznie uzyskał większość głosów, to wezwanie, wystosowane do Rządu narodowego o zwołanie rady, było ułożone tak niejasno, że nikt nie wiedział właściwie, jaki jest cel zebrania.[1]) Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że Rząd wezwał wojskowych do „rozpatrzenia działań militarnych naczelnego wodza“. Tak przynajmniej brzmiało zaproszenie, jakie otrzymali Prądzyński i Kołaczkowski.[2]) Dnia 24 lipca zgromadzili się więc członkowie komissyi sejmowej, generałowie Małachowski, Łubieński, Chrzanowski, Ramorino, Węgierski, Kołaczkowski, Bontemps, Morawski, Prądzyński i Sierawski, pułkownicy Cariot i Bem; Krukowieckiego i Umińskiego nie powołał Rząd, jako niezostających w czynnej służbie, rzeczywiście ze względu na Skrzyneckiego. Ten ostatni, zasiadłszy obok. Prezesa, jako członek Rządu, miał minę raczej sędziego niż obwinionego. Posiedzenie po zwykłem zagajeniu rozpoczęło się od długiego sprawozdania ministra wojny Morawskiego, poczem Bonawentura Niemojowski zapytał, czyli zgromadzenie jest tego zdania, aby się zająć badaniem błędów dotychczasowych naczelnego wodza, czy tylko planami na przyszłość? Na tem tle rozwinęła się dość długa i ożywiona dyskussya, podczas której jednak Niemojowski, chorujący od kilku dni na febrę, dostał paroksyzmu i musiał się oddalić. Ten wypadek nieprzewidywany zmienił od razu położenie na korzyść Skrzyneckiego. Z przeciwników jego pozostał jeden tylko poseł Chełmicki, który trzymając się wniosku Niemojowskiego, żądał, aby obecni generałowie zdania swoje objawili, ale Skrzynecki sprzeciwił się temu i po-

[1]) Odezwa u Barzykowskiego: T. IV, str. 365.

[2]) Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1831. Napisany przez Ign. Prądzyńskiego. Petersburg 1898, str. 201. Kołaczkowski: „Pamiętniki“, str. 160.

party przez Łubieńskiego i Małachowskiego, zwyciężył. Nie udzielono więc głosu generałowi Sierawskiemu, nie pozwolono odczytać Prądzyńskiemu memoryału, który umyślnie był ułożył i wręczył ks. Czartoryskiemu, i całą dalszą sessyą wypełniła jałowa dyskussya nad tem, co obecnie czynić wypada. Cel zebrania był w ten sposób zupełnie chybiony, zamiast komissyi powołanej do rozpatrzenia błędów wodza, odbyła się rada wojenna, której posłowie niemymi byli świadkami. Znaczna większość oficerów oświadczyła się za stoczeniem walnej bitwy, Chrzanowski, ze względu na nierówność sił i zły stan wojska, doradzał układy. Zdanie jego, odosobnione zupełnie, nie utrzymało się, a gdy posłowie i członkowie Rządu na stoczenie bitwy nalegać zaczęli, Skrzynecki wniosek ten przyjął, zapewniając, że wobec jednomyślnej zgody posłów i generałów wahać się nie myśli, że honoru narodowego bronić będzie do końca, że wojsko poprowadzi do walki i z niem zginie albo zwycięży. Te piękne słowa przyjęli z zapałem obecni z wyjątkiem generałów, którzy wiedzieli dobrze, co sądzić mają o uroczystem oświadczeniu wodza takiego jak Skrzynecki.[1]) I mieli słuszność zupełną, bo już dnia 31. lipca naczelny wódz, dowiedziawszy się o raporcie nadesłanym z Paryża a zawierającym jakieś nieokreślone bliżej nadzieje interwencyi, jeżeli Polacy przez dwa miesiące trzymać się będą, zaprosił do siebie Czartoryskiego, ministra spraw zagranicznych i członków komissyi dyplomatycznej sejmowej i zaczął im przekładać, że po tem co Kniaziewicz donosi, stoczenie bitwy jest niepotrzebne. Dopiero silna opozycya obecnych otrzeźwiła go cokolwiek, westchnął więc i rzekł: „Jutro opuszczam stolicę i udam się na spotkanie z nieprzyjacielem.“ Jakoż dnia 2. sierpnia, powoławszy na generalnego kwatermistrza, w miejsce Prądzyńskiego, generała Kołaczkowskiego, wyjechał do Sohaczewa. Armia polska, licząca w tej chwili 52.000 ludzi i dział 140, zajmowała stanowisko nad Bzurą; naprzeciw niej stał Paskiewicz, połączony już z Gerstenzweigem, w sile 60.000. Wojsko rosyjskie składało się po większej części z wyborowego, w walkach i pochodach zahartowanego żołnierza, miało przewagę w artyleryi (318 armat) i jeździe, było, od czasów Ostrołęki, dzięki niepowodzeniom naszym podniesione na duchu, i oczekiwało nadto posiłków, które Kreutz prowadził z Litwy. W armii polskiej przeciwnie, żołnierz młody, niedoświadczony, wskutek długiego obozowania pod stolicą rozpolitykowany, gotów był wprawdzie iść do boju z zapałem i męstwem, ale po tylu błędach popełnionych zaufania do dowództwa nie miał, o „zdradzie“ przebąkiwał. Generałowie także wszyscy, z wyjątkiem może jednego Dembińskiego, w powodzenie nie wierzyli, układy doradzali, Skrzynecki sam, uporczywie w interwencyą zagraniczną wierzący, na niej jeszcze zawsze nadzieje swoje pokładał i teraz nawet, gdy bitwę stoczyć przyrzekł uroczyście, na własną rękę korespondował z Wiedniem, stamtąd wyglądając pomocy. W takiem położeniu i wobec takiego usposobienia nic dziwnego, że sprawy wojenne były zaniedbane. Punkt najważniejszy strategicznie, na drodze do Warszawy leżący, Łowicz, słabo obsadzony i haniebnie opuszczony przez

[1]) Mamy trzy relacye o posiedzeniu z dnia 27. lipca (Barzykowskiego, Kołaczkowskiego i Prądzyńskiego) przez naocznych świadków spisane, ale wszystkie, jakkolwiek zgodne co do ogólnej treści, różnią się jednak znacznie w szczegółach.

znanego partyzanta Zaliwskiego, zajęli Rosyanie prawie bez wystrzału i, obwarowawszy go mocno, utworzyli tam dla siebie główny skład żywności i wszelakiego rynsztunku wojennego. Kiedy więc Skrzynecki przybył wreszcie do Sohaczewa i zwołał radę wojenną o godzinie 10-tej wieczorem, znalazł sytuacyę zupełnie zmienioną. Zgodzono się wprawdzie na stoczenie bitwy, ale wnet pokazało się, że nikt nie wie, gdzie właściwie stoją główne siły nieprzyjacielskie, czy pod Rybnem czy też w Łowiczu. Na uwagę Kołaczkowskiego, że czas nagli i że trzeba rozpisać rozkazy, uniósł się Skrzynecki gniewem, zgromił nieszczęśliwego kwatermistrza, kazał mu milczeć, groził sądem wojennym i rozstrzelaniem, wreszcie zgodził się na wydanie rozkazów. W godzinę potem przybył Chrzanowski i utrzymując, że Rosyanie główną masą stoją w Łowiczu, co w istocie było zgodnem z prawdą, odradził atak na Rybno. Wstrzymano więc dawniejsze dyspozycye, wojsko zajęło nazajutrz stanowisko odporne nad Bzurą, wódz naczelny postanowił zasięgnąć dokładniejszych wiadomości o rozłożeniu sił nieprzyjacielskich.

Zajście z Kołaczkowskim, które nie mogło pozostać w tajemnicy, i dalszy odwrót armii ku Warszawie wywołał w kołach wojskowych młodszych niesłychane niezadowolenie. Podniósł się powszechny krzyk oburzenia i rzeczy doszły do tego stopnia, że żądano od Kołaczkowskiego, aby stanął na czele rewolucyi wojskowej i Skrzyneckiemu odebrał naczelne dowództwo. Wiedział o tem wódz i nie miał innych środków na uśmierzenie umysłów jak dysputy publiczne z młodymi oficerami i zwoływanie rad wojennych, gdzie rozstrząsano, oczywiście bez żadnego praktycznego skutku, takie pytania jak n. p. czy atakować nieprzyjaciela na lewym czy na prawym brzegu Bzury? lub czy mamy działać zaczepnie? Szczegółowe, z biurokratyczną skrupulatnością spisane protokóły z tych narad miały posłużyć Skrzyneckiemu do wytłumaczenia się z bezczynności przed Rządym narodowym.[1]) W końcu jednak wyczerpała się cierpliwość sejmu. Gdy zamiast wiadomości o ruchach zaczepnych przysłany z głównej kwatery generał Łnbieński przywiózł d. 7 na sessyą Rządu stosy owych protokołów, gdy do Warszawy dochodziły coraz częściej wieści o rozprzężeniu, panującem w armii, gdy się dowiedziano nadto, że Skrzynecki, który rzekomo miał plan bronić do ostatniego stolicy, obwiniał Rząd o niedbalstwo w zaprowiantowaniu miasta, postanowili mianowicie posłowie kaliscy uczynić krok stanowczy i złożyć Skrzyneckiego z dowództwa. Ponieważ atoli było rzeczą wątpliwą, czy wniosek tego rodzaju uzyska większość w obu izbach, bo obie miały w tym wypadku rozstrzygać, obrano zatem inną drogę i poseł hrubieszowski Świrski, znany z niepodległego zdania, uczynił wniosek, aby marszałek i prezes senatu mianowali delegacyą z dwóch senatorów i pięciu posłów złożoną, która miała udać się do obozu, rzeczy zbadać na miejscu i postanowić to, co uzna za stosowne. Krok to był i spóźniony i najmniej odpowiedni, spóźniony, bo celem jego było odebrać dowództwo Skrzyneckiemu w porze najniewłaściwszej, gdy zbliżało się oblężenie Warszawy, przy którem on właśnie, jak utrzymywano, powszechnie i jak doświadczenie z pod Dobrego i Grochowa uczyło, mógł oddać wielkie usługi, najmniej odpowiedni, bo prze-

[1]) Barzykowski: T. V, str. 5.

nosił do obozu, pomiędzy szeregi i tak już zanadto rozpolitykowane i zachwiane w karności, obyczaj sejmikowy, podkopujący do reszty wszelką dyscyplinę. Jakkolwiekbądź, delegacya przybyła dnia 9. sierpnia do głównej kwatery w Bolimowie i pod prezydencyą ks. Czartoryskiego rozpoczęła swoją czynność. Pytano Skrzyneckiego, dlaczego tak długo był nieczynnym, dlaczego nieprzyjaciela za Wisłę przepuścił, dlaczego mimo danego przyrzeczenia bitwy nie stoczył? Wódz powtórzył dawniejsze swoje tłumaczenia i zarzuty przeciw Rządowi, że stolicy w żywność nie zaopatrzył. Po Skrzyneckim przyszła kolej na oficerów. Wezwano 68-iu. Wszyscy prawie zgadzali się, że nie pozostaje dziś nic innego, jak cofnąć się do Warszawy i bronić się w okopach, jeden Chrzanowski doradzał ponownie układy; co do oddalenia z dowództwa Skrzyneckiego zdania były rozmaite. W głosowaniu, jakie zarządzono, otrzymał Skrzynecki głosów 22, po nim najwięcej Prądzyński, reszta rozstrzeliła się, nikt nie miał większości. Na podstawie tych badań szczegółowych zapadła decyzya; delegacya 7 głosami przeciw 2 postanowiła złożyć z naczelnego dowództwa Skrzyneckiego i na wniosek prezesa swego mianowała zastępcą wodza generała Dembińskiego.

Wyboru tego nie można nazwać szczęśliwym. Dembiński, urodzony w r. 1792, odbywał nauki w akademii wojskowej w Wiedniu, w r. 1809, jakkolwiek miał już nominacyą na oficera jazdy, tajemnie szkołę opuścił, zaciągnął się pod sztandary narodowe, odbył kampanią tę jakoteż następną pod ks. Józefem Poniatowskim i dosłużył się stopnia kapitana. Po wojnie osiadł w województwie Krakowskiem na roli, ale na pierwszy odgłos powstania uorganizował pułk krakusów i z nim pospieszył do Warszawy. Mianowany pułkownikiem a później generałem brygady, odznaczył się pod Kuflewem i w innych drobniejszych utarczkach, był czynnym, energicznym, ale przy tych zaletach nie posiadał ani wyższych zdolności, ani wyższego wykształcenia wojskowego. Odwrót jego z Litwy okazał, że jest dzielnym partyzantem, że potrafi wojnę małą prowadzić doskonale i to mu powszechnie przyznano, chociaż znaleźli się i tacy, co utrzymywali, że Dembiński powodzenie swoje na Litwie zawdzięczał głównie radom pułkownika Sierakowskiego. Obok tego jednak odznaczał się Dembiński usposobieniem gwałtownem, miał jakąś dziwną szorstkość w obejściu, którą ludzi zrażał niepotrzebnie i żył, można powiedzieć, z całym światem w niezgodzie, wyjąwszy szwagra swego generała Turnę i Skrzyneckiego, z którym go ścisłą wiązała przyjaźń i którego stałym był wielbicielem. Po powrocie z Litwy mianowany generałem dywizyi i gubernatorem stolicy, rozpoczął on wojnę z Towarzystwem patryotycznem, Lelewela uważał za najszkodliwszego człowieka, Czartoryskiego i Barzykowskiego podejrzywał o niechęć ku sobie, że go z początku nie chcieli posunąć na stopień generała brygady, Krukowieckiego o pokątne knowania i niemal o zdradę, Prądzyńskiego o ciągłe intrygowanie, nienawidził Niemojowskich, Kaliszanów wogóle i Umińskiego, o Bemie wyrażał się z pewnem lekceważeniem, Olizarowi w oczy mówił największe grubijaństwa, nawet siostrzeniec jego własny Aleksander Wielopolski nie znalazł łaski w oczach surowego do przesady wuja.[1])

[1]) Wszystko to zaczerpnęliśmy z „Pamiętników generała“ (t. II) wydanych w r. 1875 w Krakowie.

Człowiek z podobnym charakterem nie odpowiadał na naczelnem stanowisku trudnym warunkom chwili obecnej, nie mógł odpowiedzieć jako wodz, bo jeżeli przyczyną usunięcia Skrzyneckiego było nie stoczenie bitwy, to Dem-

Generał Józef Dwernicki podług portretu przez Gigoux.

biński także nie myślał jej staczać, lecz postanowił opuścić Warszawę, oddać ją w ręce nieprzyjaciela a z całem wojskiem rzucić się na wschód, przenieść wojnę nad Szczarę a w razie potrzeby nad Prypeć i do Galicyi, skąd spodzie-

wał się poruszyć Węgrów! Najnowszy historyk tej wojny [1]) nazywa plan Dembińskiego „fantastycznym i dziwacznym“ i rzeczywiście znajduje się w nim tyle dowolnych i nieprawdopodobnych przypuszczeń, jak n. p. że Moskale nie będą w stanie, dla braku materyałów, postawić mostu na Wiśle pod Pragą, a mieli dwa gotowe wyżej Pragi, kombinacye tak skomplikowane, że trudno sobie wyobrazić, aby jakakolwiek rada wojenna do nich się przychylić mogła.

Zastępcze dowództwo Dembińskiego nie zmieniło więc w niczem położenia. Najpierw zaczął on się kłócić z delegacyą, z razu z zasadniczych, później z bardzo błahych powodów, dalej dnia 15. sierpnia nakazał odwrót z pod Bolimowa ku Warszawie i przeniósł główną kwaterę do Ołtarzewa, odrzucając plan zaczepnego działania, przedstawiony przez Prądzyńskiego. W stolicy powstało ogólne zdziwienie i niezadowolenie. Od dawna już, od czasów ostrołęckiej bitwy wrzało tam jak w garnku, nieszczęśliwa wyprawa na Rydygiera dolała oliwy do ognia. Odkrycie rzekomego spisku, aresztowanie Jankowskiego, Bukowskieego, Hurtiga i innych wznieciły podejrzliwość tłumów, widmo zdrady chodziło w biały dzień po ulicach, Zaliwski ogłaszał bezczelne swoje denuncyacye na Skrzyneckiego, mówił, że rząd rosyjski kupił wodza za 8 milionów złp.! Bezczynność sejmu i miękkie postępowanie Rządu nie były w stanie uspokoić wzburzonych umysłów. Sąd na „zdrajców“ wyznaczony, nie dawał znaku życia, Skrzynecki zamiast w obozie, przesiadywał w stolicy, przyrzekł bitwę stoczyć i nie stoczył, zastępca jego nakazał odwrót. Nikt nie wiedział, co to ma znaczyć, po kątach szeptano: zdrada. Warszawa, jak każde większe miasto, zwłaszcza w stosunkach anormalnych, roiła się od ludzi, niemających zajęcia, próżniaków, spekulantów rozmaitego rodzaju. Znaczną liczbę pomiędzy nimi stanowili oficerowie, kreowani przez dawniejszych regimentarzy, unikający służby wojskowej, bohaterowie brukowi o szerokiej gębie a zajęczem sercu. Ścigał ich niemiłosiernie Krukowiecki, będąc gubernatorem, ale po jego oddaleniu zabrakło siły i energii do powściągnięcia brukowych rycerzy. Dembiński rządząc przez czas krótki stolicą i nie znając stosunków, rozpoczął był wojnę z Towarzystwem patryotycznem, w tem mylnem przekonaniu, że ono jest ogniskiem knowań rewolucyjnych i źródłem wzburzenia, panującego w stolicy. W istocie rzecz miała się inaczej. Towarzystwo, żywotne w początkach swojego bytu, rwące się do czynu w zaraniu powstania, odgrywające nawet pewną rolę, straciło wśród huku dział i szczęku oręża wpływ swój, cel i znaczenie, stało się „zgromadzeniem inwalidów rewolucyi, którym się zdawało, że stękaniem i jeremiadami Polskę z toni wydźwigną“, [2]) co gorsza zbiorowiskiem „obywateli, statystów, którzy politykę zapijali“, „polityków w rewerendach, zbryzganych błotem, z nieogolonemi brodami“. [3]) Instytucya tego rodzaju nie mogła, mimo że prezesem jej nominalnie przynajmniej był zawsze jeszcze Lelewel, zdziałać ani nic pożytecznego ani znaczącego, mogła jednak ferment istniejący podniecić i przyczynić się do wywołania burdy ulicznej, co też rzeczywiście się stało. O planie

[1]) Puzyrewski, str. 410.

[2]) Maurycy Mochnacki: Historya Towarzystwa patryotycznego w Pamiętniku Emigracyi Polskiej z dnia 21. lutego 1833.

[3]) Tamże.

z góry obmyślanym, o jakiejś rewolucyi socyalnej niby, z udziałem czy pod kierunkiem Krukowieckiego, mówiono wiele wtedy i potem, ale dowodu na to nie było i niema. Nie widział ich Prądzyński, nie mógł znaleźć Chrzanowski' jako gubernator stolicy,[1]) wszystkie podejrzenia polegały na domysłach.

Dzień 15. sierpnia, świąteczny i pogodny, był jakby stworzony dla rozruchów ulicznych. Tłumy ludu snuły po się po mieście, obnoszono wiadomości jak najgorsze z obozu: wzburzenie, może i podniecane przez agentów rosyjskich, rosło. Towarzystwo patryotyczne odbywało tymczasem swoje posiedzenie w natłoczonej sali, przemawiali ks. Pułaski i Czyński, wreszcie zapadła uchwała, aby wysłać deputacyą do Rządu z żądaniem usunięcia Skrzyneckiego, wydania wyroku na oskarżonych o zdradę i wyjaśnienia tego, co się w obozie dzieje. Deputacya, której towarzyszyły tłumy, weszła bez oporu do sali posiedzeń, ks. Pułaski i Czyński przemawiali w sposób bardzo umiarkowany i przyzwoity, Boski krzyczał wprawdzie, ale po energicznej odpowiedzi Barzykowskiego i Czartoryskiego wszyscy spokojnie wyszli z sali. Niepojętą jest rzeczą, że Rząd, który wiedział o wzburzeniu, panującem w mieście, i o tem, że się coś gotuje, w chwili krytycznej znalazł się bez wszelkiej obrony, nawet bez straży zwyczajnej, jeszcze dziwniejsza, że ani dowódzca gwardyi narodowej, wojewoda Antoni Ostrowski, ani gubernator miasta generał Węgierski żadnych środków dla ubezpieczenia Rządu nie przedsięwzięli. Ostrowski zjawił się wprawdzie w sali, ale po to chyba, aby swojem nietaktownem postępowaniem ośmielić tłumy, a Węgierski przybył dopiero po rozkazy.

Tymczasem na placu Zamkowym lud, podburzany przez mowców okolicznościowych, zaczął się burzyć, i nagle zabrzmiał okrzyk: „Do zamku! do zamku! szubienica zdrajcom!“ i tłum rzucił się do bramy. Oddział gwardyi narodowej stojący tam dał ognia w powietrze, co z początku wielkie sprawiło wrażenie, ale gdy Ostrowski strzelać zakazał, napastnicy ośmieleni zabrali się do wyłamywania podwojów. W tej chwili nadbiegł z wojskiem generał Węgierski, i aby się dostać do wnętrza, kazał bramy otworzyć. Na to czekał tłum, wdarł się do środka, zaczął wołać: „Precz z Węgierskim, śmierć prezesowi sądu, co zdrajców karać nie chciał“, gwizdnęły kule, generał pałaszem musiał sobie drogę torować, napastnicy zaś rzucili się na więzienie, wyprowadzili stamtąd Jankowskiego, Bukowskiego, Hurtiga, Sałackiego, Fencza, Bętkowskiego i Rosyankę Bażanow i wśród złorzeczeń i przekleństw wymordowali wszystkich a zwłoki ich powiesili na latarniach. Widok krwi przelanej podziałał jak iskra elektryczna i zapalił w tłumie rozgorączkowanym i rozzuchwalonym uczucie dzikiej jakiejś zemsty. Z okrzykiem więc „szpiegów, idźmy wieszać!“ ruszyło wszystko do więzienia, gdzie się znajdowali obwinieni o szpiegostwo za czasów Konstantego: Szlej, Makrot i Szymanowski. Tu powtórzyły się podobne sceny jak przed Zamkiem, bez sądu i zastanowienia powieszono wszystkich i nagle, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zapanował spokój.

Jakkolwiek sceny te, haniebne i wstrętne, dziś jeszcze grozą przejmują każdego człowieka a w sercu polskiem budzić muszą uczucie wstydu i odrazy,

[1]) Dembiński: Pamiętniki II, 174.

to zaprzeczyć trudno, że były one tylko logicznym skutkiem wypadków, naturalnem następstwem błędów popełnionych przez Rząd, przez sejm i przez naczelnego wodza i niewytłumaczonej niczem nieopatrzności. Kto zna psychologią tłumów, a rządzący przedewszystkiem znać ją powinni, ten wie, że w chwilach powszechnego wzburzenia umysłów każda iskierka straszny może rozniecić pożar. Dwa bataliony piechoty wystarczały, jak się wyraża Mochnacki, aby przed 15 sierpnia uspokoić Warszawę, a szyldwach, postawiony przed drzwiami sali redutowej, „gdzie kilkudziesięciu próżniaków codziennie roprawiało albo o edukacyi dzieci i kobiet dla przyszłej rewolucyi, albo o potrzebie zamordowania ostatniego króla, ostatniego arystokraty szczęką ostatniego księdza“,[1]) był dostatecznym do ubezwładnienia wszelkich zamachów zdyskredytowanego Towarzystwa patryotycznego. Mógł to był uczynić Skrzynecki, mógł i Rząd narodowy, ale miękkość charakterów polskich i brak przezornosci pozwoliły rozwinąć i dojrzeć nasionom zbrodni i pospolitego krzykactwa, pozwoliły rozgorzeć zapalnym umysłom, które, owładnięte szałem rozpaczy i zemsty, uhamować się już nie dały. A jak zwykle w takich wypadkach się dzieje, usiłowano później brzemię win własnych na cudze zwalić barki, posypały się więc oskarżenia na Lelewela, na Towarzystwo patryotyczne, na Krukowieckiego, utworzono jakąś konspiracyę, której śladów nikt odkryć nie był w stanie, która, o ile z materyałów dotychczasowych sądzić można, wcale nie istniała. W gorączkowo podnieconej wyobraźni powstawały widma krwawej rewolucyi socyalnej, obiegały po mieście listy proskrypcyjne, układane zapewne przez półgłówków, i obliczone na zastraszenie mniej odważnych, ale gdy ktoś krzyknął: „Idźmy wieszać arystokratów, do Czartoryskiego, do Czartoryskiego!“, odpowiedziano mu: „Tyś waryat, Czartoryski arystokrata, ale dobry Polak, a my dobrych Polaków wieszać nie chcemy.“ W tych słowach[2]) odbija się wierni usposobienie tłumów, tkwi cała tajemnica nocy 15. sierpnia. Była ona wyrazem rozpaczy i zwątpienia, naturalnym objawem uczuć, wzrastających stopniowo pod wrażeniem najsmutniejszych błędów i uchybień, które sprawę powstania nad przepaścią postawiły. I nic dziwnego, że w tej chwili strasznej najtęższi nawet stracili równowagę umysłową. Czartoryski na nalegania najbliższych sobie osób wyjechał z Warszawy do obozu przebrany w mundur Władysława Zamoyskiego, a kule, które posłano za nim, gdy przez tłumy się przedzierał koło rogatek, nie były przeznaczone dla niego. Na miejscu pozostał Rząd właściwie z trzech tylko członków złożony. W chwili, kiedy deputacya Towarzystwa patryotycznego wdzierała się do sali posiedzeń, traktowano tam sprawę nominacyi naczelnego wodza. Czartoryski i Barzykowski oświadczyli się za Dembińskim, Niemojowski i Morawski za Prądzyńskim, Lelewel, zapytany o zdanie, ukręcił dwie gałki z papieru i popchnąwszy je po stole, wybrał dalszą, poczem dał głos Prądzyńskiemu. Najwidoczniej żaden z kandydatów nie odpowiadał jego przekonaniom, i w istocie w tej chwili

[1]) M. Mochnacki: Przyczyny nocy 15. sierpnia. Pamiętnik Emigracyi Polskiej z dnia 8. lutego 1833.

[2]) Przytacza je Barzykowski V, 109. Scena z Janem Łubieńskim, opisana tam, zdaje się być plotką, bo nie wspomina wcale o niej Tomasz Wenthwort Łubieński w życiorysie Henryka Łubieńskiego, str. 120.

obaj byli niestosowni, jeden z powodu gwałtowności charakteru, drugi dla zbyt miękkiego usposobienia. Czuł to Prądzyński, czuł nadto, że występując dotąd przeciw Skrzyneckiemu, może ściągnąć na siebie zarzut podstępnego działania, więc dowództwa nie przyjął. Rząd postanowił oddać buławę najstarszemu z generałów Małachowskiemu i wyprawił w tym celu do głównej kwatery posła Zwierkowskiego. Stało się to wieczorem dnia 15. sierpnia, tak że gdy owa straszna noc zapadła, armia była bez wodza, Rząd bez prezesa. Barzykowski, którego smutne wypadki tej doby najbardziej może rozdrażniły, uczynił wniosek, aby Rząd natychmiast złożył władzę swoją w ręce sejmu. Oparł się temu jednak zupełnie słusznie Wincenty Niemojowski, jako zastępca nieobecnego już prezesa. On widział jasno, że ruch uliczny nie był skierowany przeciw Rządowi, że deputacya Towarzystwa patryotycznego zachowała się wobec członków Rządu przyzwoicie i z uszanowaniem, że zatem powodu do dymissyi nie było a obowiązek nakazywał wytrwać na posterunku i ratować sprawę publiczną od straszniejszej może katastrofy. Z jednej więc strony zażądał od zastępcy naczelnego wodza przysłania kilku batalionów piechoty i pułku jazdy z artyleryą, z drugiej mianował gubernatorem Warszawy generała Krukowieckiego, który w swoim czasie piastując ten urząd, okazał się czynnym i energicznym, w chwili obecnej zaś, jak mówiono powszechnie, przyłożył się znacznie do uśmierzenia zaburzeń i wśród powszechnego przerażenia sam jeden głowy nie stracił.[1])

Gorzej było z naczelnem dowództwem; missya Zwierkowskiego nie powiodła się, Małachowski buławy nie przyjął. Wtedy Rząd wysłał do obozu Barzykowskiego i Teodora Morawskiego z gotową nominacyą dla Prądzyńskiego albo dla Bema i z poleceniem, żeby na wszelki wypadek wodza między wojskowymi wyszukali. Po długich zabiegach i namowach dał się nakłonić Prądzyński pod warunkiem jednak, że udzielą mu poparcia Krukowiecki i Dembiński. Pierwszy przyrzekł, do drugiego udał się Prądzyński z rana dnia 17 i zastał zmianę zupełną. Dembiński, który wiadomość o gubernatorstwie Krukowieckiego przyjął z początku dobrze i napisał do niego nawet list, wyrażający z tego powodu zadowolenie[2]) zmienił pod wpływem opowiadań osób, przybyłych z Warszawy, swoje zapatrywania, powziął zamiar objęcia dyktatury i kiedy Krukowiecki dnia 17., przed Prądzyńskim jeszcze, przyjechał do głównej kwatery do Ołtarzewa, on obsypał go zarzutami, nawiasem mówiąc, zupełnie nieuzasadnionymi, oświadczył mu, że gubernatorem nie jest, chociaż miał od Rządu nominacyą, i omal nie kazał aresztować. To samo spotkało i Prądzyńskiego, a Krukowiecki, świadek tej sceny, widząc na co się zanosi, zaczął także inaczej przemawiać. Wtedy Prądzyński zrzekł się naczelnego dowództwa, Dembiński zaś pojechał do Warszawy z silnem postanowieniem ujęcia najwyższej władzy w swoje ręce. Zamiar zuchwały, sam przez się i niezwykły u nas, mógł być wykonanym i stać się zbawiennym nawet, gdyby go podjął człowiek innej miary niż Dembiński. Ale generał ten nie miał — jak się wyraża jego po-

[1]) Nominacya Krukowieckiego nastąpiła w nocy dnia 16. sierpnia, w każdym razie nie o godzinie 11-ej, jak wydrukowano u Forstera str. 86.

[2]) List u Forstera str. 93.

winowaty i naoczny świadek tych wypadków [1]) — „w skutku osobistego swego usposobienia i braku wykształcenia ani w wojsku ani w sejmie stronników, opinia zaś publiczna, tak mu zrazu gorąco przychylna za jego z Litwy powrotem, wkrótce zupełnie się przeciw niemu obróciła“. To też gdy, jadąc z Ołtarzewa do Warszawy, zwierzył się z swoim zamiarem Czartoryskiemu, książe, znający dokładnie stosunki, radził mu, aby się dobrze zastanowił i z siłami swojemi obliczył, [2]) a marszałek Ostrowski oświadczył wręcz, że z całych sił zamachowi sprzeciwiać się będzie — inni, zwłaszcza posłowie, gotowali się do czynnego nawet w izbie oporu. Wielopolski Aleksander, który wtedy już był posłem, zbadawszy to usposobienie sejmu, odradzał wujowi od ryzykownego kroku i Dembiński, opuszczony tak od wszystkich, zaniechał przedsięwzięcia, które mogło najzgubniejsze za sobą pociągnąć skutki. Tak z wszystkich ludzi wybitniejszych pozostał tylko jeden Krukowiecki, popierany przez kaliszanów i przez Towarzystwo patryotyczne, i on też po dymissyi dotychczasowego Rządu został dnia 17. sierpnia obrany przez sejm (88 głosami przeciw 28) prezesem Rządu narodowego, z prawem mianowania ministrów i naczelnego wodza, z głosem stanowczym w Radzie ministeryalnej. Sejm pozostawił sobie tylko atrybucye, wypływające z artykułu 40 ustawy konstytucyjnej, to jest wydawanie wojny, zawieranie traktatów i wszelkich umów.

Rządy Krukowieckiego. — Wyprawa Ramoriny. — Oblężenie Warszawy. — Szturm dnia 6. i 7. września. — Kapitulacya. Po długich zabiegach, po zażartej walce stronnictw osiągnął Krukowiecki cel tak gorąco upragniony. Od początku powstania należał on do tych ludzi, co z kierunkiem, jaki nadano sprawie publicznej, nie zgadzali się, był pierwszym, co uważał nominacyą Skrzyneckiego na naczelnego wodza za klęskę powstania. Czy to czynił z ambicyi, czy z przekonania, to rzecz obojętna, dość, że widział dobrze i że przyszłość bardzo bliska obawy jego zupełnie stwierdziła. Usunięty za to od dowództwa dywizyi, on najstarszy z generałów i nie najgorszy — bo lepszym był niezawodnie od Jankowskiego, Giełguda, A. Skarżyńskiego i tylu innych — czuł się tym ostracyzmem słusznie dotkniętym i upośledzonym, mimo to jednak na stanowisku gubernatora Warszawy oddał, nawet według zdania najzawziętszych swoich nieprzyjaciół, nie małe usługi. Wskutek surowej krytyki działań naczelnego wodza po bitwie ostrołęckiej utracił gubernatorstwo i otrzymał dymissyą. Był to akt osobistej zemsty Skrzyneckiego, małoduszny i szkodliwy, bo pozbawiał powstanie w chwili krytycznej, generała doświadczonego i energicznego a stwarzał z niego malkontenta i groźnego przeciwnika. Czartoryski też, znający ludzi i stosunki wybornie i obdarzony przytem niepospolitą bystrością umysłu, doradzał, aby Krukowieckiemu powierzyć dowództwo korpusu na lewym brzegu Wisły, w miejsce Dziekońskiego, ale nie miał dość stanowczości, aby Skrzyneckiego do tego nakłonić. Krukowiecki pozostał więc w stolicy a czując się pokrzywdzonym, zwłaszcza wobec licznych nominacyj generałów, których naczelny wódz więcej z osobistych pobudek niż dla zasług

[1]) M. H. Nakwaski w liście do „Czasu“ (dnia 7. listopada 1872 r.), pisanym z powodu ogłoszenia Pamiętników Dembińskiego.

[2]) Dembiński, Pamiętniki II, 125.

położonych na wyższe posuwał wtedy stopnie, nie zaniedbał żadnej sposobności, aby powagę i znaczenie Skrzyneckiego do reszty podkopać. Poparty w tym względzie powagą Prądzyńskiego i zdaniem Umińskiego i Sierawskiego, których także od służby oddalono, a gwałtowniejszy i śmielszy od nich, stał on się wkrótce głową opozycyi, dążącej do obalenia Skrzyneckiego. Wypuszczenie Rydygera i przejście Wisły przez Paskiewicza podniosło jeszcze więcej znaczenie Krukowieckiego. Cała opozycya, od kaliszanów począwszy a na Towarzystwie patryotycznem skończywszy, stanęła po jego stronie. Tak przygotowywała się noc 15. sierpnia. Czy Krukowiecki miał udział w tych przygotowaniach, jak utrzymują, wątpimy bardzo, niewątpliwem jest natomiast, że wiedział o nich, bo wiedzieli wszyscy, w pierwszym rzędzie Rząd, ostrzeżony przez wiceprezydenta miasta Garbińskiego. Jak się zapatrywał na ohydne mordy; świadczy ustęp z listu, który pisał do żony dnia 18. sierpnia [1]): „Niech Bóg odpuści i Skrzyneckiemu, który prowadzeniem wojska przymusił do szukania ratunku, jak się dowiedziano, że się nieprzyjaciel do stolicy zbliża, i towarzystwu patryotycznemu wraz z klubem oficerów ze służby oddalonych lub od Dwernickiego i z Litwy przybyłych, to co zrobionem i wykonanem było“; jak postępował zostawszy gubernatorem, dowodzi aresztowanie ks. Pułaskiego, ks. Szynglarskiego, Czyńskiego, Brodackiego, Płużańskiego i innych i stawienie ich przed sąd wojenny. Gdy każdy uchylał się od przyjęcia naczelnego dowództwa, gdy Rząd narodowy podał się do dymissyi a projektowany przez Dembińskiego zamach stanu najżywsze wywołał niezadowolenie, musiała władza najwyższa przejść w ręce Krukowieckiego. Wyniesiony siłą wypadków na naczelne stanowisko, obejmował on ster Rządu w chwili najkrytyczniejszej dla powstania, gdy ruch w prowincyach zabranych był zupełnie stłumiony, gdy nieprzyjaciel nie tylko przeszedł swobodnie Wisłę, ale zdołał się na lewym jej brzegu umocnić, gdy, wsparty posiłkami nadciągającymi z Litwy, przewyższał nas liczbą i doborem wojska, gdy korpusy Rydygiera, Kajzarowa i Rosena rozpościerały się bez przeszkody w okolicach, położonych we wschodniej części Królestwa, słowem gdy powstanie zamknięte było w obrębie fortyfikacyj warszawskich i warowni Modlina i gdy oprócz odległego Zamościa i słabego oddziału partyzantów Samuela Różyckiego w Krakowskiem i Sandomierskiem, armia polska nie posiadała nigdzie zresztą punktu oparcia, z nikąd nie mogła się spodziewać posiłków lub pomocy. Liczebnie byliśmy niewątpliwie silniejsi niż na początku kampanii, mieliśmy bowiem 60.566 ludzi piechoty, 12.156 jazdy i dział 151, ale odliczywszy od tego korpus oddzielny Szembeka, [2]) załogi Zamościa i Modlina, wynoszące razem 14.361 ludzi i dział 11, pozostawało do użycia w polu i na obronę stolicy nic więcej jak 58.000 i dział 140. Żołnierz ten był niewątpliwie waleczny ale młody, jazda od nieprzyjacielskiej o wiele słabsza, artylerya niedostateczna, duch u oficerów wyższych stopni jak najgorszy, subordynacya, skutkiem ostatnich wypadków, mocno podkopana. Niemniej smutno przedstawiało się położenie pod względem zasobów materyalnych. Z bezprzykładnem prawie w dziejach poświęceniem i wysileniem

[1]) Forster, V.

[2]) Szembek miał objąć w miejsce Różyckiego komendę w województwie Krakowskiem.

wystawił kraj tak mały i stosunkowo ubogi, liczne wojsko, uzbroił je i utrzymywał a obok tego ponosił cały ciężar wojny i najazdu, który mieszkańców nie oszczędzał, własności nie szanował, ślady swego pobytu i pochodu zniszczeniem znaczył. Gdy województwa wschodnie w lutym już zostały zalane wojskiem nieprzyjacielskiem, ograniczyły się siły i zasoby powstania do województw na lewym brzegu Wisły położonych, obecnie i one także, zajęte przez armią Paskiewicza i oddziały rosyjskie i wycieńczone, nie były w stanie opatrywać potrzeb wojska i gęsto już zaludnionej stolicy. Podług raportu szefa sekcyi żywności wynosiły zapasy żywności w dniu 3. września tyle, że chleba mogło wystarczyć na dni 23, soli i słoniny na 5, wódki na 3, owsa na 10, siana i słomy na 14 dni.

Taką puściznę obejmował Krukowiecki w dniu 18. sierpnia i zaprawdę trzeba było albo nadzwyczajnej ambicyi, albo niepomiernego zaufania w siły własne, albo wreszcie wielkiego poświęcenia, aby w podobnych warunkach brać na siebie olbrzymią odpowiedzialność wobec narodu i potomności, wystawiać się dobrowolnie na nieuniknione, zwłaszcza u nas, podejrzenia, aby jednem słowem podjąć się roli grabarza, od której wszyscy po kolei się uchylali. Ale Krukowiecki obejmował rządy nie z wiarą w zwycięstwo powstania, tylko z tem przeświadczeniem, które podzielali zresztą wtedy, z bardzo nielicznymi wyjątkami, wszyscy generałowie polscy, że mu się powiedzie wytargować na nieprzyjacielu jak najkorzystniejsze warunki. Że tak myślał a nie inaczej, dowodzi całe jego postępowanie. Nie rzucił się więc w objęcia Towarzystwa patryotycznego i tych, co chcieli z Warszawy uczynić „drugą Saragossę“, lecz obrał drogę pośrednią. Urzędy wyższe obsadził ludźmi zdolnymi, bez różnicy na stronnictwa; gubernatorem stolicy mianował Chrzanowskiego, naczelne dowództwo nad gwardyą narodową odebrał nieudolnemu Antoniemu Ostrowskiemu a powierzył Piotrowi Łubieńskiemu, na miejsce Dembińskiego przeznaczył Kazimierza Małachowskiego, usunął tylko zupełnie od wojska Skrzyneckiego, bo, mówiąc prawdę, w tych okolicznościach inaczej postąpić nie mógł. Stosunki ówczesne i zapatrywania prezesa Rządu charakteryzuje najlepiej ustęp z listu poufnego do żony. „O 5-ej z rana — tak się wyrażał — już pełno u mnie ludzi różnych stronnictw, a każde z nich chce wszystkie urzędy wyłącznie posiadać. Kaliszanie wszystko przez Bonawenturę Niemojowskiego a Towarzystwo przez Lelewela chcą wyrobić. W rzeczywistości żadnemu stronnictwu u siebie nie dam wziąć góry i w obsadzeniu urzędów na zdatność tylko i uczciwość osoby uważać będę. Zawsze mawiałem, że ubodzy jesteśmy w ludzi, ale nigdy tyle o tem przekonania nie miałem jak teraz.“ [1]) Ale właśnie ta bezstronność zraziła mu wszystkich i stała się rzecz dziwna, że gdy nikt władzy naczelnej i odpowiedzialności z nią połączonej przyjąć nie chciał, gdy wysłannicy Rządu narodowego przed kilku dniami obnosili buławę po obozie i nie znaleźli do niej kandydata, obecnie wszystko zwróciło się przeciw temu, który miał tyle ambicyi, czy determinacyi, czy poświęcenia, aby w najtrudniejszych warunkach ująć ster Rządu i powstrzymywać, jeżeli nie

[1]) Forster VII.

anarchią, to powszechne rozprzężenie. Wyniknęły stąd niesnaski i starcia, niezmiernie szkodliwe dla sprawy publicznej, przeszkadzające skutecznej obronie i paraliżujące działanie i prezesa Rządu i wojska.

Na razie najważniejszą kwestyą było zaopatrzenie w żywność Warszawy i zniweczenie planów nieprzyjaciela, który zmierzał do zupełnego obsaczenia i wygłodzenia stolicy i armii. W tym celu zwołał Krukowiecki Radę wojenną w dniu 19. sierpnia. Objawiły się tam głównie trzy zdania: 1. stoczyć bitwę w otwartem polu, stawiając wszystko na kartę; 2. opuścić z całem wojskiem Warszawę i udać się na Litwę; 3. rozdzielić siły, jedną część pozostawić na obronę stolicy, z drugą zaś uderzyć na Rosena, znieść jego korpus, oczyścić z nieprzyjaciela województwo Lubelskie i Podlaskie i w drodze rekwizycyi ściągnąć stamtąd potrzebne niezbędnie zapasy żywności. Większość obecnych uważała wydanie bitwy za krok rozpaczliwy, bez nadziei zwycięstwa, sprzeciwiła się stanowczo opuszczeniu Warszawy i przyjęła myśl ostatnią. Oświadczyli się za nią mianowicie: Prądzyński, Umiński, Kołaczkowski, Ramorino, Małachowski, Bem, wreszcie, choć z powątpiewaniem w powodzenie, i Łubieński. Dembiński i Sierawski upatrywali jedyny ratunek w opuszczeniu stolicy.

Stosownie do tej uchwały wysłano dwa korpusy: jeden pod Łubieńskim, który, w przewidywaniu dalszych wypadków, sam sobie dowództwo na tę wyprawę wyprosił, miał, oparty o Modlin, oczyścić województwo Płockie z nieprzyjaciela, przeciąć komunikacyą między Łomżą a Nieszawą, zbierać ochotników, rekrutów i żywność a częstemi wycieczkami na lewy brzeg Wisły utrudniać związki armii rosyjskiej z Nieszawą. Na ten cel przeznaczono 23-cią dywizyą jazdy wraz z odpowiednią artyleryą. Drugi korpus liczący około 20.000 ludzi i dział 40 otrzymał Ramorino, który za szefa sztabu wziął sobie Władysława Zamoyskiego. Obaj ci oficerowie zażywali w tym czasie jak najlepszej opinii. Nie dawniej jak przed trzema tygodniami (dnia 29. lipca) ks. Pułaski, zagajając posiedzenie Towarzystwa patryotycznego, sławił generała Chrzanowskiego, Ramorinę i Zamoyskiego jako wzory męstwa, dzielności i wszelakich cnót rycerskich.[1]) Odtąd stracił wprawdzie pierwszy sympatye radykalnego stronnictwa, ale pozostali obaj ostatni, którzy także i w umiarkowanych kołach wielkiem cieszyli się uznaniem. Zresztą Ramorino oświadczył się na radzie wojennej za wyprawą na prawy brzeg Wisły, nic zatem naturalniejszego, jak że jemu właśnie i Zamoyskiemu naczelne jej kierownictwo powierzono. Cel ekspedycyi był taki jak wyżej podaliśmy; Ramorinie wskazano bardzo obszerny zakres działania, mógł on nawet w razie pomyślnym przejść Bug i kusić się o zdobycie Brześcia Litewskiego, ale instrukcya zastrzegała najwyraźniej, że dyrekcya korpusu może być stosownie do wypadków wojennych zmieniona.[2]) Dnia 21. sierpnia po południu posłał jeszcze Krukowiecki Ramorinie dokładne wiadomości o stanowiskach korpusu Rosena i naglił do jak najspieszniejszego działania. W dwa dni potem o świcie wyruszyła wyprawa; towarzyszyli jej w roli ochotników: Czartoryski, Gustaw Małachowski,

[1]) Porównaj ówczesną „Gazetę Polską“, gdzie to zagajenie w całości wydrukowano.

[2]) Porównaj 6-ty punkt instrukcyi u Forstera str. 123; wobec czego upadają zupełnie wnioski Barzykowskiego.

Wężyk i inni, którzy, przewidując upadek powstania, nie chcieli być świadkami smutnej katastrofy. Położenie stawało się z dniem każdym bardziej rozpaczliwe, nie tyle z powodu przewagi nieprzyjaciela i niepomyślnego obrotu spraw wojennych, co dlatego, że nikt już w zwycięstwo nie wierzył i wszyscy prawie jedyną nadzieję pokładali w traktowaniu. Ks. Czartoryski w pierwszej połowie sierpnia wysłał w tym celu siostrzeńca swego, Andrzeja Zamoyskiego, do Wiednia.[1]) Miał on jeszcze raz poruszyć kwestyą osadzenia na tronie polskim jednego z arcyksiążąt, domagać się interwencyi austryackiej, a gdyby oba te żądania odrzucono, wystarać się o list, w którym gabinet wiedeński zaleca Polakom układy i poddanie się. Jakkolwiek co do ostatniego punktu zachodzić mogą pewne wątpliwości, to depesza Metternicha zdaje się stwierdzać jedno, mianowicie skłonność do układów w łonie ówczesnego Rządu narodowego. Z tem przeświadczeniem opuszczali zapewne i „ochotnicy“, znajdujący się w korpusie Ramoriny, Warszawę, a usposobienie ich nie mogło pozostać bez wpływu na losy wyprawy. Dziwnem jest też i dotąd nie wytłumaczonem, że Ramorino zamiast iść za wskazówkami Krukowieckiego i uderzyć obcesowo na Rosena, uczynił zwrót ku południowi i marnował czas drogi na bezcelowych wędrówkach do Osiecka, Garwolina i Żelechowa, Czartoryski, zdziwiony tem i zaniepokojony, zażądał przysłania Prądzyńskiego, do czego Krukowiecki natychmiast się przychylił, upraszając zarazem księcia, aby powagą swoją wpływał na obu generałów a w razie potrzeby użył nawet władzy, którą prezes Rządu na niego niniejszem przelewa.[2])

Prądzyński, przybywszy na miejsce, objął faktycznie naczelne dowództwo i wydawał sam rozkazy szefowi sztabu Zamoyskiemu, ale nie był w stanie przeszkodzić niedbałemu ich wykonaniu. W ten sposób wymknął się pod Krynkami Rosen i mógł dopaść Międzyrzecza, gdzie silną zajął pozycyą. Nastręczała się więc znowu, i to niespodziewanie, okazya zniszczenia słabszego nieprzyjaciela. Prądzyński, nie tracąc czasu, ułożył natychmiast plan stosowny; sam z 5000 miał atakować Międzyrzec od frontu, Ramorinę zaś z dywizyą Bielińskiego i kawaleryą wysłał do Rogożnicy, aby ogarnąć Rosena, przeciąć mu drogę do Brześcia Litewskiego i znieść zupełnie albo zmusić do poddania się. Ramorino jednak, głuchy na zaklęcia i prośby Prądzyńskiego, położył się najspokojniej spać w stodole w Tłuścu, nie wydawszy nawet żadnej instrukcyi Bielińskiemu. Wskutek tego Prądzyński musiał wytrzymać atak całego korpusu Rosena, który wydobył się wreszcie z matni i boczną drogą, na Łomazy, uchodził ku Brześciowi. Tylko jeden oddział, pod generałem Werpachowskim zostawiony pod Rogożnicą został przez pułkownika Rychłowskiego pobity i wzięty wraz z dowódzcą do niewoli. Mogli mimo to jeszcze Polacy ubiedz Rosena po szosie brzeskiej, ale ks. Czartoryski, jako właściciel Międzyrzecza, zapragnął tu ugościć sztab korpusu i ta nieszczęsna uczta sprawiła, że nieprzyjaciel i teraz uniknął zguby. Tak spełzła na niczem wyprawa najważniejsza, która powinna była jeżeli nie uratować, to przynajmniej znacznie

[1]) Aus Metternich's nachgelassenen Papieren. Zweiter Theil. Dritter Band. S. 202. Metternich an Ficquelmont, 20. Sept. 1831.

[2]) List Krukowieckiego u Forstera str. 133.

bardzo pokrzepić powstanie, spełzła przez brak energii Prądzyńskiego, przez miękkość czy zbytnią delikatność ks. Adama, przez karygodne zaniedbanie obowiązków ze strony Ramoriny, graniczące już z nieposłuszeństwem i nie wolne od podejrzeń gorszego rodzaju.[1]) Ale nie na tem skończyła się tragiczna i tajemnicza rola, jaką ten „kondotier“ w powstaniu naszem odegrał. Gdy korpus polski, w próżnym pościgu za Rosenem, zapędził się aż za Białę, przybył adjutant naczelnego wodza hr. Leon Rzewuski z wyraźnym rozkazem do Ramoriny, aby natychmiast powracał do Warszawy.[2]) Ramorino jednak rozkazów nie usłuchał i ruszył dalej na zdobywanie Terespola, skąd dopiero powolnym marszem rozpoczął pochód ku stolicy i w dzień szturmu znalazł się w Kałuszynie. Zagadkowe to postępowanie nasuwa rozmaite domysły i pytania. Kiedy Ramorino jawnie już przeciw naczelnej zbuntował się władzy, oświadczył Prądzyński, że nie chce brać na siebie za dalszy ruch korpusu odpowiedzialności i wraca do Warszawy. To samo powtórzył też ks. Czartoryskiemu i Zamoyskiemu. Dlaczego oni obaj, mianowicie zaś książe, na którego w liście swoim Krukowiecki całą władzę przelał, nie użył jej w tej stanowczej chwili, dlaczego oficerowie Polacy, którzy wiedzieli przecież i czuli, że od powrotu korpusu Ramoriny zawisł los stolicy i powstania, nie użyli gwałtownych środków przeciw cudzoziemcowi, który wypowiadał posłuszeństwo prezesowi Rządu i gubił przez zaślepienie czy zdradę sprawę narodową? tego ani pojąć, ani wytłumaczyć nie podobna, jeżeli się przypuścić nie chce, że osoby, otaczające Ramorinę, z zupełną swiadomością poświęcały Warszawę dlatego, że znajdowała się w rękach „demagoga Krukowieckiego“. Nie ulega bowiem wątpliwości, że w razie dopełnienia rozkazu, korpus Ramoriny byłby zdążył na czas do stolicy a 20.000 wyborowego żołnierza byłoby dwudniowej walce zupełnie inny nadało obrót i Warszawa mogła się stać grobem dla Paskiewicza i jego armii. Kiedy tak w okolicach Brześcia rozstrzygały się losy powstania, nie lepiej działo się w stolicy. Rządy Krukowieckiego nie zadowolniły nikogo. Z jednej strony zarzucano mu, że nie dość energicznie śledził i karał sprawców nocy 15. sierpnia, że Zaliwskiego uwolnił z więzienia, że Krępowieckiego mianował swoim adjutantem, Ksawerego Bronikowskiego wiceprezydentem miasta, z drugiej brano muza złe powołanie do ministerstwa ludzi umiarkowanych, zaniedbanie obrony. Skarżono się, że nie każe barykad budować, min zakładać, że ludu nie uzbraja. Były rzeczywiście uchybienia wielkie. Fortyfikacye Warszawy, wznoszone pod kierunkiem generała Kołaczkowskiego, następnie Prądzyńskiego, zajmowały obszar zanadto rozległy, rozciągały się bowiem na przestrzeni 15 wiorst i wymagały do obrony sił o wiele liczniejszych niż te, jakiemi w tej chwili rozporządzano. Skutkiem wadliwego tego systemu fortyfikacyjnego musiano więc rozrzucić wojsko, uszczuplone wyprawą Ramoriny, i działa, po 80 redutach i lunetach, które, słabemi obsadzone załogami, częścią nawet niewykończone jeszcze, długo nieprzyjacielowi opierać się nie mogły. Główne siły, podzielone na dwa korpusy, oddano pod dowództwo generałów Umińskiego i Dembińskiego. Pierwszy miał bronić fortyfikacyj od

[1]) Porównaj Przedmowę K. Jarochowskiego do „Bitwy warszawskiej“ L. Mierosławskiego.
[2]) Prądzyński „Pamiętnik“ str. 247, Forster.

rogatki Czerniakowskiej do nr. 53, a więc traktu Lubelskiego i Krakowskiego, drugi zajmował skrzydło prawe, rozciągające się po obu stronach traktu Kaliskiego. Dowództwo pierwszej linii szańców otrzymał, na własne życzenie, generał Bem, który z artyleryą rezerwową (50 dział) Chorzewskiego miał wspierać reduty przez nieprzyjaciela atakowane, a tak był pewnym swego, że mówił do Barzykowskiego: „Spijcie teraz spokojnie.“ Podług jego zdania pierwsza linia mogła się bronić przez 24 godzin.

Nieprzyjaciel, podemknąwszy się dnia 18. sierpnia bliżej pod Warszawę i zabrawszy dniem przedtem rekonesans polski, pod nieostrożnym pułkownikiem Gallois, był zdziwiony i przestraszony widokiem obwarowań warszawskich. „Toć oni są od stóp do głów uzbrojeni“, zawołał Paskiewicz, spoglądając na reduty polskie, i zaczął swoim obyczajem odkładać szturm z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Nadejście świeżych posiłków pod Kreutzem i Rydygierem, sprowadzenie ciężkich moździerzy aż z Kijowa, wreszcie wiadomość o wyprawie Ramoriny, która długo zataić się nie mogła, pokrzepiły go cokolwiek na duchu. Mimo to jednak, z usposobienia nie przedsiębiorczy i mając zawsze przed oczyma los Dybicza pod Grochowem, postanowił „bohater zakaukaski“ próbować pierwej układów. Dnia 1. września więc przysłał przez parlamentarza odezwę Mikołaja do narodu polskiego, o wiele łagodniejszą niż poprzednie, a nazajutrz otrzymał Krukowiecki od generała Witta list, zapraszający na konferencyą z Dannenbergiem, jako pełnomocnikiem Paskiewicza. Niespodziewana propozycya wywołała żywe w kołach rządowych narady, w skutek czego Krukowiecki wcale nie odpowiedział Wittowi i dopiero na powtórne z jego strony pismo z dnia 4. września skłonił się do wysłuchania Dannenberga, a że właśnie wtedy powrócił do Warszawy Prądzyński, więc wysłano na rozmowę jego wraz z majorem Piotrem Wysockim i kapitanem Krakusów Aleksandrem Hube. Spotkanie odbyło się u przednich straży.[1]) Dannenberg, po dłuższej dyskusyi na temat toczącej się tak długo krwawej wojny, zapewniał, że niema teraz już mowy o bezwarunkowem złożeniu broni, że stosunki zmieniły się znacznie i że feldmarszałek w imieniu cesarza przysyła propozycye. „Zapewniam — tak wyrażał się — że zyskalibyście wszystkie warunki, jakiebyście tylko sami zażądali. Narodowość, konstytucya, zostałyby wam zachowane; moglibyście je nawet do woli modyfikować; samibyście sobie prawa robili i urzędników obierali. Zgoła wasz król przystałby na wszystko, tylko naturalnie fun-

[1]) Pomimo t. zw. memoryału Dannenberga, z którego korzystał Mierosławski, i relacyi Schmidta, wątpimy bardzo, aby negocyacye, rozpoczęte przez Paskiewicza, były podstępem dla wyłudzenia wiadomości o Ramorinie. Feldmarszałek bowiem nie mógł wiedzieć, kogo do prowadzenia układów Rząd polski przeznaczy i czy ten pełnomocnik będzie na tyle naiwnym, aby się wygadać. Po zdobyciu Warszawy i po upadku powstania trzeba było oczywiście rzecz tak a nie inaczej przedstawiać i carowi i światu. Nie można dalej twierdzić na pewne, iż Prądzyński istotnie opowiedział Dannenbergowi szczegóły o korpusie Ramoriny i o zapędzeniu się jego aż pod Brześć. Z raportu Prądzyńskiego (u Forstera str. 174) nie wynika to wcale. Dannenberg usłyszał wtedy tylko tyle, że Ramorino pobił Rosena „za Wisłą“, a niepodobna nawet przypuścić, aby generalny kwatermistrz polski był tak nieostrożnym, jak to Rosyanie w swoich źródłach piszą. Po 8 września zależało im naturalnie na tem, aby zręczność feldmarszałka i zasługi Dannenberga w jak najlepszem przedstawić świetle a przed Europą zakryć słabość caratu i małoduszność Paskiewicza.

damentalnym warunkiem byłoby pozostawanie pod jednem berłem z Rosyą. Nie sądziłbym także, aby, w obecnem położeniu, można wspominać o polskich guberniach.“ W razie gdyby układy się rozpoczęły, ofiarował zawieszenie broni, i kończąc rozmowę, prosił usilnie Prądzyńskiego, aby się z nim połączył w celu doprowadzenia do skutku porozumienia.[1]) Pełnomocnik polski powrócił do Warszawy wieczorem, zdał sprawę z poselstwa swego prezesowi Rządu a ten zaprosił natychmiast na naradę ministrów, prezesa senatu, marszałka sejmu i zastępcę naczelnego wodza. Przywołany Prądzyński przedstawił ponownie treść rozmowy swojej z Dannenbergiem i doradzał, aby traktaty prowadzić, bo gdyby nawet się rozbiły, można zyskać na czasie i doczekać się powrotu Ramoriny. Zdanie jego poparł prezes senatu ks. Michał Radziwiłł, ministrowie Dębowski i Gliszczyński, sam wreszcie Krukowiecki, ale większość, z Bonawenturą Niemojowskim na czele, oświadczyła się przeciw układom i poleciła Niemojowskiemu zredagowanie listu odpowiedniego do feldmarszałka. Niemojowski nie bawił się w długie wywody, zaznaczył tylko, że prezes Rządu może wchodzić w układy o tyle, o ile to się nie sprzeciwia postanowieniom sejmu i dodał w końcu, że „Polacy rozpoczęli walkę o niepodległość narodową w granicach, które ich oddzielały dawniej od Rosyi“, i że „Rząd narodowy oczekuje wiadomości (od feldmarszałka), o ile JCMość Imperator Rosyi zechce przychylić się do ich żądań.“[2]) Taka odpowiedź była nie tylko zerwaniem wszelkich negocyacyj, lecz oraz wyzwaniem nieprzyjaciela do walki, była zatem, w warunkach ówczesnych, błędem oczywistym. Nie wchodząc bowiem wcale w to, czy traktowanie z Paskiewiczem dawało jakąkolwiek nadzieję zakończenia wojny z honorem, czy przedstawiało rękojmie dotrzymania przez cara warunków, podanych Prądzyńskiemu, można było zawsze, prowadząc układy dalej, zyskać na czasie i użyć go do zorganizowania lepszego obrony i do sprowadzenia korpusu Ramoriny. Rzucając zaś rękawicę feldmarszałkowi, należało się spodziewać, że on ją podejmie natychmiast i że w tej chwili rozpocznie atak, dawno przygotowany. Jakoż skoro tylko odpowiedź Rządu polskiego doszła Paskiewicza, opuściła armia rosyjska dnia 5. września obozy swoje pod Nadarzynem i stanęła późnym wieczorem w kilku kolumnach naprzeciw Woli. Wbrew bowiem wszelkim przypuszczeniom generałów polskich, którzy mniemali, że nieprzyjaciel „wołu za rogi brać nie będzie“, postanowił feldmarszałek rozpocząć szturm od uderzenia na redutę Wolską. Ze świtem mglistego poranku dnia 6. września odezwały się równocześnie 92 działa korpusów Kreutza i Pahlena. Ogień ich, skierowany na Wolę i otaczające ją barkany, wzrastał w miarę zbliżania się ku wałom i rozwinął się zupełnie dopiero w oddaleniu 400 kroków, zasypując gradem półpudowych kul i kartaczy słabe a po części nawet nieobsadzone załogą obwarowania polskie. Dwanaście armat naszych, umieszczonych tutaj, nie było w stanie oczywiście powstrzymać tej gradowej burzy, miotanej przy końcu już z 170 dział ciężkiego wagomiaru. Po dwugodzinnej takiej kanonadzie ruszyły dwie kolumny z korpusu Kreutza, każda mając po 100 ochotników z gwardyjskich pułków na czele, do szturmu. Redutę

[1]) Raport Prądzyńskiego u Forstera.

[2]) List w Pamiętniku Prądzyńskiego str. 251.

nr. 55, próżną zupełnie, zajęto bez wystrzału i obsadzono jednym batalionem, poczem reszta, 16 batalionów, uderzyła na szaniec 54. Broniły go dwie kompanie strzelców pieszych i sześć dział, po większej części już z potrzaskanemi łożami, pod dowództwem porucznika artyleryi Ordona, zwycięstwo zatem było łatwe. Rozpojeni wódką żołnierze rosyjscy wdarli się szybko na wały, okrzyk hurra! z tysiącznych wydobyty gardzieli rozdarł powietrze, kiedy nagle ziemia pod stopami zwycięzców zadrżała, odezwał się głuchy łoskot i szaniec wulkaniczną podniesiony siłą wyleciał w powietrze, grzebiąc i załogę i pierwsze szeregi nieprzyjaciół w wspólnym grobie.[1]) Trzystu ludzi z pułku Białozerskiego, drugie tyle z Jeleckiego z wszystkimi oficerami i pułkownikiem padło ofiarą tego heroicznego czy przypadkowego czynu. Generał Geismar ciężko, dowódzca artyleryi Gorczaków lżej ranieni, ustąpili z pola walki, w szeregach rosyjskich powstał popłoch i przerażenie, dwie brygady, gnane paniczną trwogą, uciekły, działa umilkły na chwilę. Rychło jednak upamiętał się nieprzyjaciel i cała dywizya Lüdersa rzuciła się na przedszaniec 57, broniony przez 250 ludzi 8-go pułku pod dowództwem majora Krasowskiego. Skutek uderzenia nie mógł być wątpliwym. Garstka Polaków, otoczona zewsząd, zginęła po bohaterskiej obronie, kilkunastu zaledwie, unosząc z sobą ciężko rannego dowódzcę, przedarło się do Woli. Była wtedy godzina 8-ma, i w głównej kwaterze polskiej wiedziano chyba doskonale, że nieprzyjaciel „wołu bierze za rogi“, że nie od Mokotowa lub Powązek, ale wprost traktem Kaliskim idąc, rozpoczyna szturm od Woli. Zoryentowali się też rzeczywiście i Małachowski i Krukowiecki i rozesłali natychmiast adjutantów do Bema i Dembińskiego, niestety na próżno. Bem, któremu powierzono dowództwo pierwszej linii, miał dziś dzień nieszczęśliwy; zamiast na swojem miejscu, przy okopach, gdzie był powinien czuwać, nocował w mieście, zbudził się późno, potem poszedł na wieżę kościoła luterskiego, aby się przekonać, skąd atak idzie, potem nie mógł znaleźć konia i zjawił się na placu walki wtedy, gdy los Woli był już rozstrzygnięty. Podobnie i Dembiński, nieprzekonany grzmotem dział rosyjskich o kierunku szturmu, puścił się z pod Odolan na dalekie rozpoznanie, tak że go znowu adjutanci wodza znaleźć nie mogli, a Umiński, do którego właściwie szaniec 54 należał, dał się zbałamucić demonstracyami słabego korpusu Strandmanna i 18.000 wyborowej piechoty z 30 działami rozrzucił niebacznie bez pożytku wzdłuż szosy Lubelskiej. Tymczasem nieprzyjaciel, korzystając z tej bezczynności Polaków, wysunął przeciw szańcom Wolskim 76 dział i gradem kartaczy i granatów zasypał literalnie opuszczoną redutę. Bronił się tu nieustraszony generał Sowiński z załogą, wynoszącą zaledwie 1200 ludzi, ale z przytomnością umysłu i męstwem, godnem podziwienia. Nie zachwiał go ani na chwilę piekielny ogień artyleryi rosyjskiej, nie zatrwożyły ponure i głębokie kolumny szturmowe, oczekujące hasła do ataku, ani widok spustoszenia, jakie zrządziły pociski nieprzyjacielskie w niedostatecznie obwarowanym ostrogu, ścieląc trupem wszystkich prawie kanonierów, bohaterskim duchem ożywiony

[1]) Był to, o ile się zdaje, czyn kanoniera Nakruta, przypisywany mylnie Ordonowi, który cudownym sposobem ocalał. Porównaj Świtkowski Tomasz: O wzięciu Woli dnia 6. września 1831 r. Paryż 1833.

starzec wlókł się na szczudle swojem od działa do działa i z pomocą piechurów utrzymywał bezustanny ogień a po cichu słał gońca za gońcem po posiłki. Wreszcie wpadł Bem do folwarku Świętokrzyskiego, gdzie miało go oczekiwać 52 działa artyleryi rezerwowej, ale zastał tam już tylko jedną lekkokonną baterya Łabanowskiego, resztę rozchwytali dowódzcy rozmaitych korpusów. Nie zastanawiając się długe i chcąc zapewne w części przynajmniej własną zmazać winę, porwał on tych armat 12 i, przeleciawszy cwałem pod ogniem artyleryi Kreutza, ustawił się wzdłuż szosy Błońskiej i zaczął prażyć straszliwie grające przeciw Woli baterye Fedoreńki i Perrina. Nagle, pod gradem kul polskich ustał ogień nieprzyjacielski, działa rosyjskie cofnęły się w popłochu a Wysocki, prowadzący batalion 10-go pułku, miał czas dobiedz do Woli i wzmocnić cokolwiek srodze już przetrzebioną załogę. Była to jednak tylko chwila wytchnienia i zwodniczy błysk nadziei, bo nieprzyjaciel, ochłonąwszy rychło z pierwszego przerażenia, skierował wnet wszystkie swoje pociski na baterya Bema, spędził ją z pola a następnie rzucił na osamotniony ostróg Wolski 22 bataliony korpusu Pahlena. Ogień jednego działa i żywa palba piechoty nie były w stanie powstrzymać na długo tej masy szturmujących. Po gęstym trupie towarzyszy wdarły się też pułki morskie do ogrodu angielskiego, tu jednak kłute bagnetami przez kompanie 10-go pułku pod wodzą dzielnych majorów Biernawskiego i Świtkowskiego i przez batalion majora Lipskiego, prażone ogniem dział Sowińskiego i lekkiej bateryi Bagieńskiego, opuszczają w popłochu bezładnym krwawo zdobyte stanowisko. Paskiewicz pcha więc pułki grenadyerskie Martynowa z jednej, bataliony Kreutza z drugiej i Berga z dwoma pułkami od tyłu. Wtedy major Dobrogojski, pijany i tchórz, widząc, że nieprzyjaciel okop otacza, woła: „Zgubieniśmy, za mną umykaj kto może“, i z doboszami ucieka wschodnim otworem i pociąga za sobą część nieustraszonych dotąd żołnierzy. Na wyłomie zostaje major Świtkowski z szczątkami 10-go i 8-go pułku. I teraz dopiero zaczyna się najkrwawszy akt tej tragedyi, straszliwa walka w ogrodzie i około kościoła. Ściśnięci zewsząd i zgnieceni po prostu liczbą, giną nasi, sprzedając drogo swoje życie, garstka cudem prawie ocalała, ocalał i dzielny Świtkowski, któremu powiodło się ujść z niewoli rosyjskiej. Z moskiewskich oficerów padł pomiędzy innymi Martynów, kulą ugodzony. Piotr Wysocki ranny i ubezwładniony zwichnięciem nogi, dostał się do niewoli. Najdłużej wytrwał Sowiński z Wodzyńskim i czterema kompaniami 8-go pułku, zapędzony w kąt koło kościoła i otoczony z trzech stron ćmą nieprzyjaciół. Tam też najsroższy wrzał bój, aż do wściekłości bohaterstwem Polaków przywiedzione żołdactwo, po trupach drąc się coraz dalej dotarło do miejsca, gdzie stał Sowiński. Na próżno oficer nieprzyjacielski wezwał go do złożenia broni. „Ognia do ostatniego ładunku“ zawołał starzec, a po ładunkach kolbą i bagnetem wiara“, poczem ugodzony kilka razy bagnetem pochylił się bezwładny na stojącą obok armatę, a z tak groźnem jeszcze w śmierci spojrzeniem, że broń okrwawiona zabobonnym wypadła z ręki grenadyerom. Była wtedy godzina 11-ta, z zniszczonego i krwią zalanego szańcu wyprowadzono zaledwie 100 jeńców, na wałach pozostały działa zagwożdżone lub zdemontowane. Nieprzyjaciel, poniósłszy dotkliwe straty, zdobył

nie wiele trofeów, ale jednem wielkiem wysileniem przełamał pierwszą linią fortyfikacyj i otworzył sobie drogę do rogatek.

W głównym sztabie polskim zrozumiano wreszcie, że szturm na Wolę nie jest demonstracyą, i zastępca naczelnego wodza pomyślał o spóźnionej cokolwiek odsieczy. Zebrawszy resztki pułku 8-go, cały pułk 4-ty i kilka szwadronów Krakusów rzucił on tę garść ludzi, wynoszącą około 3000, na dogorywający szaniec Wolski. Zabiegają im drogę karabinierzy Szachowskiego, ale nadaremnie, roztrąceni bagnetami i zepchnięci do rowów przez 1-szy batalion Roszlakowskiego, cofają się oni na brygadę grenadyerów Lüdersa i ci jednak, sieczeni ogniem bateryi Bagieńskiego i tłoczeni szarżami Krakusów, nie są w stanie oprzeć się szalonej natarczywości Polaków. Przerażenie ogarnia sztab Paskiewicza, feldmarszałek jest pewnym, że ma przed sobą korpus Ramoriny, posyła więc po gwardye a tymczasem pcha wszystko, co pod ręką, przeciw tym „masom nieprzyjacielskim“, złożonym niestety tylko z czterech batalionów. Nadbiega wreszcie sam ks. Szachowski, przywodzi do upamiętania pierzchających karabinierów i rozpaczliwem wysileniem odpiera zmęczone i przetrzebione już kolumny polskie. Wtedy Toll doradza feldmarszałkowi śmiałem uderzeniem jazdy i atakiem piechoty na szańce pod Czystem dokonać zwycięstwa. Szturm ten gwałtowny, wylewający się na równinę z obu stron Woli, spotyka się oko w oko prawie z 36 działami Bema, z ogniem dwóch bateryj Rybińskiego i kartaczami armat wałowych Romańskiego i ponosi straszliwą klęskę, kirassyerzy Nostitza zaś, przywitani koło Żelaznej Karczmy z nienacka gradem kul przez lekkokonną bateryę Jabłonowskiego, uchodzą jak wiatr pod ochronne skrzydła swojej artyleryi. Na tych epizodach zakończył się krwawy bój dnia 6. września i Paskiewicz, głuchy już na zaklęcia Tolla, postanowił odłożyć szturm do dnia następnego. Wynik pierwszej bitwy nie był niespodzianką dla tych, co znali dobrze obwarowania warszawskie. Z góry można było przewidzieć, że szańce te, rozrzucone po ogromnej przestrzeni, z rzadka tylko zaopatrzone palisadami, nie mogące się wspierać wzajemnie dla wielkiego oddalenia i obsadzone słabemi załogami, nie będą w stanie opierać się długo przeważnym siłom rosyjskim i działaniu skoncentrowanej a tak licznej artyleryi nieprzyjacielskiej. Długotrwającą stosunkowo obronę Woli i odparcie dalszych szturmów przypisać należy jedynie męstwu i poświęceniu żołnierzy i oficerów polskich. Wątpić jednakże należało, czy to wojsko, znużone całodziennem wysileniem, przerzedzone bitwą i cokolwiek podupadłe na duchu, wskutek doznanych niepowodzeń, znajdzie siły na tyle, aby podjąć walkę zawziętą w dniu następnym wśród gorszych o wiele warunków. Nie wierzyli w to mianowicie wyżsi oficerowie i żaden z nich, o ile nam wiadomo, nie uważał dalszej obrony za rzecz podobną. Pozostawały więc tylko dwie drogi: albo, jak chcieli niektórzy, uczynić z Warszawy drugą Saragossę i pogrzebać się pod jej gruzami, albo też, naśladując postępowanie ks. Poniatowskiego, opuścić miasto, połączyć się z korpusem Ramoriny i prowadzić wojnę dalej, chociażby podług planu Dembińskiego. Pierwszy zamiar rozpaczliwy, skazujący na zagładę stolicę, która nie przestała być sercem Polski, był nadto niepodobnym do wykonania już z tego powodu, że Warszawa nie posiadała wielkich, mocno murowanych

gmachów, któreby mogły w tym wypadku zastąpić warownie, lecz przeciwnie składała się wtedy z wielkiej ilości domów drewnianych, które łatwo zapalne.

Ostatnie chwile generała Sowinskiego przy wzięciu Warszawy w r. 1831.

dzieło zniszczenia ułatwić a obronę raczej utrudnić były w stanie. Ludność zresztą, złożona w znacznej części z Niemców i Żydów, nie okazywała skłon-

ności do bohaterskich poświęceń, pomiędzy generałami zaś nie było ani jednego Palafoxa, owszem wszyscy mieli to przekonanie, że Warszawy dłużej bronić nie można. Rozważywszy te wszystkie okoliczności, zwołał Krukowiecki wieczorem dnia 6. września radę ministrów i przedstawił jej cały stan rzeczy. Uznano, że nie pozostaje nic innego, jak traktować z Paskiewiczem, gdy jednak prezes Rządu nie sądził, aby miał prawo tak ważny krok uczynić, zapytano o zdanie komissyj sejmowych, które były właśnie zgromadzone. Komissye odpowiedziały, że układy należą do zakresu władzy prezesa a sejm może je przyjąć lub odrzucić. Widocznie nikt nie chciał brać na siebie tak wielkiej odpowiedzialności, nikt nie chciał odegrać roli grabarza, „przerzucano sobie sprawę jak piłkę“, tymczasem czas upływał i trzeba było koniecznie coś postanowić. Zdecydował się wreszcie Krukowiecki i napisał list do feldmarszałka z zapytaniem, na jakich podstawach jest upoważniony do układów, i wysłał z nim Prądzyńskiego do głównej kwatery rosyjskiej. Łatwo było przewidzieć, że po odrzuceniu warunków, podanych przed kilkoma dniami przez Dannenberga, zgłoszenie się prezesa Rządu w tej formie i po wzięciu Woli natrafi na największe trudności. Jakoż Paskiewicz przyjął Prądzyńskiego wyniośle, o warunkach mówić nie chciał i groził nowym szturmem. Wtedy jako pośrednik wystąpił obecny przy tej rozmowie W. ks. Michał i zażądał od Prądzyńskiego deklaracyi tej treści, że Krukowiecki, jako prezes Rządu, uznaje Mikołaja. Prądzyński, jakkolwiek nie miał do tego wyraźnego upoważnienia, to jednak, chcąc zyskać na czasie,[1]) zastosował się do życzenia cesarzewicza i feldmarszałka i oświadczył na piśmie, że „zamiarem generała Krukowieckiego jest wrócić do zupełnego posłuszeństwa względem JCMości wraz z całym narodem polskim“. Wtedy dopiero zgodził się Paskiewicz na rozmowę z Krukowieckim. Spotkanie odbyło się w karczmie Wolskiej. Ze strony rosyjskiej byli obecni: Paskiewicz, W. ks. Michał, Toll, później Berg, z polskiej: Krukowiecki i Prądzyński. Feldmarszałek powitał prezesa Rządu polskiego zapytaniem, czy przywozi akt poddania się na łaskę cesarza? na co odpowiedział Krukowiecki wyniośle: „Ja nie przychodzę tu jako poddany cesarza, ale przybywam jako potęga traktować z potęgą.“ Po takim wstępie rozpoczęła się cierpka rozmowa, przerywana co chwila wybuchami oburzenia i gniewu z jednej i z drugiej strony. Krukowiecki, gdy mu pokazano deklaracyą Prądzyńskiego, zawołał: „Co mnie to może obchodzić? Jeśli generał Prądzyński przyjął na siebie zobowiązania, niechaj ich dotrzymuje, ale ja nie zobowiązywałem się do niczego.“

Paskiewicz był zdziwiony, przez głowę przeleciała mu myśl, że Ramorino przybył, dał rozkaz do ataku i znów go cofnął, niby to na usilne przedstawienia W. ks. Michała, wreszcie stanęło na tem, że zawarto zawieszenie broni do godziny 1-ej w południe, i że przez ten czas miał Krukowiecki postarać się u sejmu o upoważnienie do układów.

Po powrocie delegatów zebrała się Rada ministrów i uchwaliła przedstawić rzecz całą sejmowi. Bonawentura Niemojowski i Teodor Morawski podali się do dymissyi, do izby został wysłany Prądzyński, aby przemówić imie-

[1]) Prądzyński: Pamiętnik str. 260.

niem Rządu. Jako naoczny świadek krwawych wypadków dnia wczorajszego, jako generał zdający sobie dokładnie sprawę z położenia armii polskiej, jako nieszczęsny parlamentarz wreszcie, przygnębiony moralnie, nie mógł Prądzyński przemawiać inaczej, jak tylko zalecając układy i doradzając sejmowi, aby się zalimitował. Mowa jego wywołała przerażenie z jednej, oburzenie z drugiej strony — odebrano mu głos na wniosek Bonawentury Niemojowskiego, ostatecznie jednak, gdy odezwał się huk dział — bo czas zawieszenia broni upłynął — postanowiono prawie jednomyślnie zalimitować sejm i udzielić prezesowi Rządu upoważnienia do przedsięwzięcia środków stosownych, a więc do wejścia w układy.[1]) Polegając na tej uchwale, wysłał natychmiast Krukowiecki Prądzyńskiego do feldmarszałka dla ukończenia traktatów, ale gdy generał ten z narażeniem życia przedarł się przez walczące szeregi do głównej kwatery rosyjskiej i powrócił stamtąd z pełnomocnikiem Paskiewicza generałem Bergiem, zastał w Warszawie zmianę niespodziewaną. Sejm obradował dalej a Krukowiecki, nie mogąc się doczekać upoważnienia pisemnego do układów i widząc, że jest usiłowanie, aby całą odpowiedzialność zwalić na niego, złożył godność prezesa Rządu. Niepodobna wyobrazić sobie trudniejszego i bardziej zawikłanego położenia. Sejm chwiejny i nie wiedzący właściwie co począć, wojsko bez wodza, bo Krukowiecki od rana był zajęty polityką, a Małachowski, przy całej swojej poczciwości i zacności, rady sobie dać nie mógł, nieprzyjaciel docierający do wałów miejskich, w mieście samem z jednej strony spokój i jakaś nieokreślona nadzieja zwycięstwa, z drugiej obawa i trwoga, oto obraz Warszawy w tym dniu strasznym, oświeconym ponurą łuną pożarów Czystego i domów przedmiejskich. Łatwo też pojąć i zrozumieć przerażenie Prądzyńskiego, który przed chwilą zaręczył słowem honoru W. ks. Michałowi, że sejm zalimitowany i Krukowiecki jest upoważniony do układów. Czemprędzej spieszy on więc do izby i oświadcza zrozpaczony, że woli udać się na pole bitwy i tam zginąć, niż dalej odgrywać niewdzięczną rolę pełnomocnika.. Tymczasem przybliża się grzmot dział, bomby pękają przed gmachem bankowym, ulice pełne są dymu, niepokój wzrasta, sejm uchwala wśród tego limitę i daje pisemne już upoważnienie Krukowieckiemu do układów. Na tej podstawie układa Krukowiecki warunki rozejmu: cesarz utrzyma Królestwo polskie i zagwarantuje konstytucyą; armia polska opuści nazajutrz Warszawę i w ciągu trzech dni wyprowadzi za Wisłę cały rynsztunek wojenny i magazyny, poczem dopiero Rosyanie wejdą do miasta; wojsko polskie wyszle deputacyą do cesarza i przez ten czas zajmować będzie województwo Płockie, Podlaskie, Krakowskie, część Sandomierskiego i Kaliskiego; car daje amnestyą wszystkim Polakom, którzy brali udział w powstaniu tak w Królestwie jak i w prowincyach zabranych. Na usilne nalegania Berga dołączył Krukowiecki do powyższych warunków list submissyjny do Mikołaja, z wyraźnem jednakże zastrzeżeniem, że pismo to w tenczas dopiero swoją wartość mieć będzie, gdy ugoda pokoju podpisaną zostanie, na co Berg najuroczyściej przystał,[2]) poczem wysłał znowu

[1]) Barzykowski V, 282.

[2]) Tamże str. 299. Fakt ten nie ulega najmniejszej wątpliwości, bo oprócz Barzykowskiego stwierdza go i Prądzyński i sam Krukowiecki.

Prądzyńskiego do Paskiewicza, zalecając mu, aby oświadczył feldmarszałkowi, że „ani interes narodu, ani własny honor generała nie dozwalają mu ani na literę od powyższego układu odstąpić i raczej woli zagrzebać się z wojskiem pod gruzami miasta a całą odpowiedzialność niepotrzebnego wylewu krwi feldmarszałkowi oddać“.[1]) O zmierzchu już, po raz trzeci w tym dniu fatalnym, stanął Prądzyński przed W. ks. Michałem, który w imieniu ranionego Paskiewicza prowadził układy i po długich targach otrzymał od niego warunki nie zupełnie takie, jak Krukowiecki proponował, ale zapewniające przynajmniej ogólną amnestyą, utrzymanie Królestwa i dające możność połączenia wszystkich sił polskich pod murami Modlina. Ukończenia traktatów miała dokonać deputacya, wysłana do Petersburga. Kto zna sposób postępowania i politykę rządu rosyjskiego, ten oczywiście nie będzie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do warunków, których wykonanie zawisłem było od dobrej woli i rzetelnej wiary zwycięzców, w każdym razie ugoda podobna więcej zawierała korzyści niż późniejsza kapitulacya. Z pewną otuchą też wracał Prądzyński w towarzystwie Berga do miasta, gdy nagle dowiedział się, przybywszy do pałacu rządowego, że Krukowiecki otrzymał dymissyą, i że prezesem Rządu został Bonawentura Niemojowski. Wkrótce bowiem po oddaleniu się parlamentarzy przyszedł marszałek Ostrowski z kilkoma posłami do Krukowieckiego i jął go wypytywać, jak sprawy stoją, a gdy Krukowiecki, rozdrażniony wypadkami do najwyższego stopnia, wybuchnął gniewem i wskazał na dymissyą, którą o godzinie 4-ej posłał był sejmowi, Ostrowski wyrwał mu papier ten z ręki, zwołał natychmiast posłów obecnych na sessyą, gdzie mianowano Bonawenturę Niemojowskiego prezesem a pułkownika Zielińskiego wiceprezesem Rządu. Całe to zajście, dające się psychologicznie wytłumaczyć nerwowem usposobieniem osób działających, pogorszyło wielce i tak już smutne położenie, nie tylko bowiem odkryło przed czujnem okiem parlamentarza rosyjskiego wewnętrzną niezgodę i słabość naszą, ale zakwestyonowało oraz układ zawarty za staraniem Prądzyńskiego. Przebiegły Berg, oceniając trafnie stosunki, oświadczył też natychmiast, że ma upoważnienie traktować jedynie z generałem Krukowieckim, i że układ z każdą inną władzą zawarty, będzie nieważnym. Postanowiono więc sprowadzić Krukowieckiego, który wyjechał już na Pragę, ale generał ten, wróciwszy na usilne prośby szefa sztabu Lewińskiego, starł się najpierw z Ostrowskim a następnie odmówił dalszego udziału w traktatach i natychmiast się oddalił. Wtedy Małachowski, jako zastępca naczelnego wodza, wraz z generałem Lewińskim i pułkownikiem Zielińskim podpisali konwencyą militarną, oddającą bez żadnych zresztą zastrzeżeń Warszawę armii rosyjskiej. Prądzyński, skompromitowany dwukrotnie, udał się do głównej kwatery nieprzyjacielskiej i złożył szpadę swoją w ręce W. ks. Michała.

W ten sposób zakończył się przedostatni akt wielkiej tragedyi dziejowej. Warszawa nie została zdobyta, lecz oddana nieprzyjacielowi skutkiem błędów, wyżej już wspomnianych. Wojsko polskie wyszło z tych krwawych dwudniowych zapasów okryte chwałą, chociaż zachwiane na duchu. Jeszcze raz zajaśniało na polach warszawskich męstwo i bohaterskie poświęcenie żołnierzy

[1]) Prądzyński: Sprawozdanie o zdobyciu Warszawy w r. 1831. Forster str. 200–230.

naszych nieprzyćmionym blaskiem, czego niestety o kierunku naczelnym powiedzieć nie można. Bitwa składała się z świetnych epizodów, była jednak prowadzona bez planu i związku najmniejszego i musiała się skończyć klęską. Nieprzyjaciel wszędzie przeważający liczbą i artyleryą [1]) miał przeciw sobie fortyfikacye niewykończone i słabemi opatrzone załogami, które po mężnej obronie, niewspierane zupełnie, ginęły ze szczętem i zmniejszały co chwila ilość obrońców. Straty polskie wyniosły też około dziesięciu tysięcy ludzi, z rosyjskich szeregów ubyło, podług najskromniejszych obliczeń, około 12.000, pomiędzy tem 523 oficerów. Szalony atak jazdy gwardyjskiej pod Nostitzem w drugim dniu szturmu zniszczył całą brygadę tej świetnej kawaleryi, pola przed rogatkami warszawskiemi pokryły się czerwonymi mundurami huzarów gwardyi a nazajutrz z dwóch pułków szarżujących stawiło się do apelu zaledwie 165 szeregowców i 12 oficerów. Wątpić też nie można, że w razie nadejścia korpusu Ramoriny bitwa warszawska, pomimo wielkich błędów popełnionych ze strony polskiej, skończyłaby się była klęską i odwrotem armii rosyjskiej.

Odwrót wojsk polskich. — Rybiński naczelnym wodzem. — Niezgoda. — Dalsze nieposłuszeństwo Ramoriny, wejście jego do Austryi. — Rybiński składa broń w Prusiech. — Różycki. — Koniec powstania. Po oddaniu stolicy było położenie armii polskiej krytyczne wprawdzie, ale nie rozpaczliwe. Liczyła ona po ściągnięciu oddziału Łubieńskiego zawsze jeszcze 30.000 ludzi, pod Międzyrzeczem stał Ramorino z dwudziestotysięcznym wyborowym korpusem, w Krakowskiem trzymał się w 8000 Samuel Różycki; siły polskie wynosiły zatem 58.000, bez załóg w Zamościu i Modlinie, mieliśmy dwie twierdze, z których jedna mianowicie, Modlin, położona tuż pod bokiem Warszawy, mogła służyć za punkt oparcia dla dalszych działań wojennych. Przeciwnie nieprzyjaciel, pomimo odniesionych korzyści, nie był jeszcze pewnym zwycięstwa. Paskiewicz, wszedłszy do Warszawy na czele 60.000, nie miał do użycia w polu więcej jak 40 do 45 tysięcy, [2]) a i z tego trzeba było odłączyć część dla strzeżenia szosy Brzeskiej i dla ubezpieczenia sobie komunikacyi z Nieszawą, bo inaczej armia, ogołocona z zapasów, [3]) mogła w najkrytyczniejsze popaść położenie. Rzeczy stały więc tak, że przy pewnej energii i przedsiębiorczości ze strony polskiej wojna dała się nie tylko przeciągnąć, ale rokowała nawet pewne dla powstania nadzieje. Nieszczęściem w głównej kwaterze polskiej zapanowało, po przejściu Wisły, takie przygnębienie i taki rozstrój powszechny, że najmężniejszych nawet odstąpiła odwaga. Małachowski, skołatany wiekiem i klęskami ostatniemi złamany, złożył natychmiast dowództwo, a zgromadzeni na naradę w Modlinie oficerowie nie umieli wskazać godnego po nim następcy. Naczelnym wodzem został generał Maciej Rybiński, najwięcej jeszcze mający głosów (16), [4]) ale zupełnie do buławy niezdolny. Dobry oficer piechoty na podrzędnem stanowisku, nie posiadał on ani wyższych zdolności, ani wykształcenia, grzeszył zaś słabością charakteru i zupełnym brakiem energii.

[1]) W dniu 7. września walczyło 67.000 Rosyan przeciw 22.000 Polaków.

[2]) Puzyrewski l. c. str. 446.

[3]) Żywności miała tylko na 6 dni. Tamże str. 447.

[4]) Bem otrzymał 15, Dembiński 8, Umiński i Lewiński po 6.

Dowiodły tego już pierwsze kroki, jakie po objęciu naczelnego dowództwa uczynił. Armia polska, opuściwszy Warszawę, mogła mieć dwojaki plan działania: albo przyjąć myśl Dembińskiego i zwrócić się na Litwę, albo też zająć stanowisko pod Modlinem i stąd podejmować wyprawy przeciw rozrzuconym wtedy jeszcze korpusom rosyjskim. W jednym i drugim wypadku jednak należało przedewszystkiem skupić siły, a więc ściągnąć do siebie korpus Ramoriny. Przewidywał to już Krukowiecki i dlatego po wzięciu Woli, kiedy sądził, że Ramorino nie zdąży na czas do Warszawy, posłał mu rozkaz, aby Siedlce osadził jazdą a z większą częścią piechoty udał się do Kałuszyna, „gdyż następne wypadki mogą wymagać połączenia wszystkich sił naszych“.[1]) W tym celu polecono też generałowi Ledóchowskiemu, komendantowi Modlina, aby dostarczył Ramorinie materyałów do zbudowania mostu na Bugu, a Łubieńskiemu przygotować dlań przeprawę przez Narew. Ramorino swoim zwyczajem nie wypełnił i tego rozkazu; dnia 5. września przybył do Międzyrzecza, strawił tu bezczynnie dwa dni i dnia 7. dowiedział się od generała Langermana o zdobyciu Woli. Wtedy dopiero, nie mogąc już oprzeć się naleganiom oficerów i wojska, pomaszerował dobrym krokiem do Siedlec, gdzie go doszła wiadomość o poddaniu Warszawy, poczem założył główną kwaterę w Opolu i wysłał najpierw majora Zabiełłę do naczelnego wodza z oświadczeniem, że skieruje się ku głównej armii, następnie kapitana Działyńskiego z dodatkiem, że jeżeli nie odbierze innych rozkazów, uda się w Sandomierskie. Zaledwie jednak obaj oficerowie odjechali z Opola, kiedy rada wojenna, zwołana dnia 9. wrzesnia, postanowiła, że korpus pomaszeruje w Lubelskie. Z całej tej plątaniny wynika jasno, że w szfabie Ramoriny dwa ścierały sią prądy, i że sam generał, jako cudzoziemiec, podrzędną tylko w tej walce odgrywał rolę. Jedni więc pragnęli iść pod Modlin, bo widzieli potrzebę połączenia wszystkich sił naszych, drudzy obawiali się demoralizacyi, jaka panowała, podług powszechnego mniemania, w głównej armii i haniebnej kapitulacyi, która, ich zdaniem, w tym składzie rzeczy była nieunikniona. Jakkolwiekbądź rozumowanie tego rodzaju, chociaż może uzasadnione, nie było niczem innem, jak tylko objawem niesubordynacyi, buntem przeciw prawowitej władzy. Ale raz wszedłszy na tę drogę, nie miał już Ramorino dość siły i odwagi, aby się cofnąć. Na próżno więc wzywał go rozkazem z dnia 8. września generał Małachowski do połączenia się z główną armią, na próżno powtórzył to polecenie we dwa dni później, na próżno nalegali na wykonanie rozkazu naczelnego wodza generałowie Bieliński, Gawroński, Konarski i Sznejde, Ramorino i jego szef sztabu Władysław Zamoyski nie dali się odwieść od raz powziętego zamiaru i po niedołężnie prowadzonej 7-dniowej kampanii przeszli granicę galicyjską pod Borowem w województwie Lubelskiem dnia 17. września.

Nie lepiej działo się i w głównej armii. Przygnębienie ogólne umysłów, brak ładu i porządku w obozie, przepełnionym uciekającymi z Warszawy, a nadewszystko nieudolność Rybińskiego, zapowiadały i tu rychłą katastrofę. Uginając się pod ciężarem władzy, do której nie dorósł, nie myślał ten wódz nieszczęsny od początku o niczem jak tylko o układach. Więc gdy Paskiewicz,

[1]) Rozkaz u Forstera str. 189.

w obawie połączenia sił polskich i rzucenia się ich na Litwę, zaczął go łudzić traktatami, chwycił się Rybiński tego podstępu jak ostatniej deski ratunku, dał się przykuć do murów Modlina i bałamucić przebiegłemu Bergowi tak długo, aż chwila do działania sposobna minęła niepowrotnie. Gotów do daleko sięgających ustępstw, znosząc cierpliwie nawet upokorzenia rozmaite, usiłował skłonić sejm, przebywający i obradujący jeszcze w Zakroczymiu, do rozwiązania się, aby uczynić zadość życzeniom Paskiewicza, który tylko z naczelnym wodzem chciał się układać. Ale kiedy sejm, ustępując tym naleganiom, przeniósł się do Płocka, Paskiewicz, mając już wiadomość o rozbrojeniu korpusu Ramoriny, zażądał bezwzględnego poddania się. Na radzie wojennej w Słupnie oświadczyło się, na 40-tu obecnych, 34 za ukończeniem wojny i submissyą, 6 [1]) za przejściem na lewy brzeg Wisły i dalszą walką. W deputacyi do cara mieli się udać: Morawski, Milberg i Dziekoński. Na wiadomość o tem małodusznem i haniebnem postanowieniu złożył sejm dnia 23 września z naczelnego dowództwa Rybińskiego i powierzył buławę Umińskiemu. Ale Umiński, przyjęty jak najgorzej od wojska, usunął się natychmiast a członkowie sejmu opuścili obóz i przeszli granicę pruską. Rybiński, pozostawszy przy dowództwie, próbował jeszcze układów, był gotów przyjąć nawet najcięższe warunki, kiedy jednak Berg zażądał natychmiastowego poddania się i wykonania przysięgi na wierność carowi, bez żadnych zresztą zastrzeżeń lub gwarancyj, wtedy ogromna większość (na 70-ciu 65-ciu) rady wojennej, zgromadzonej w Górnym Szpitalu, odrzuciła z najwyższem oburzeniem tę propozycyą a Rybiński oświadczył, że woli raczej zginąć, niż zhańbić siebie i wojsko. Mówiono jeszcze o możności przedarcia się w województwo Augustowskie i myśl tę popierał Dembiński, inni chcieli przejść Wisłę, aby się połączyć z Różyckim, ale większość, zrażona niedołęstwem Rybińskiego, straciła już wszelką nadzieję, żołnierz, widząc co się dzieje w głównej kwaterze, rzucał broń gromadnie. W takich okolicznościach nie pozostawało nic, jak tylko szukać schronienia za granicą pruską i tym sposobem uniknąć przynajmniej haniebnego poddania się, ocalić honor wojska i narodu. Uczynił tak Rybiński i dnia 5. października weszła armia polska koło Szulcowa do Prus i stanęła obozem pod Brodnicą, gdzie ją rozbrojono.

„Najsmutniejszy, rozdzierający był widok — opowiada naoczny świadek tych wypadków — kiedy żołnierz miał broń złożyć, którą w tylu walkach z takim honorem nosił. Jeszcze smutniejsze było rozstanie się z oficerami. Wszystko żywo w pamięci obydwóch stron stanęło, wszystkie uczucia zostały wywołane i ożywione i rozczulające sceny miały miejsce. To rycerstwo, co tak śmiało szło na śmierć, w którem tylko krew bojowa wrzała, teraz jak kochankowie ściskają się i całują, jak dzieci płaczą, po ziemi jak schorzali się taczają i po całym obozie tylko łkania, westchnienia i wołania: ‚biada, biada nam‘ słychać było. Kto tego nie widział, nie pojmie czegoś podobnego, lecz patrzyliśmy na to i od łez utulić się nie mogliśmy.“ [2])

[1]) Byli to generałowie: Pac, Małachowski, Wojczyński, Umiński, Ziemięcki i Bem. Dembiński był nieobecny.

[2]) Barzykowski V, 383.

Kilkanaście dni przedtem wkroczył Różycki z korpusem swoim, liczącym 1400 ludzi, w granice Rzeczypospospolitej Krakowskiej i złożył broń pod Zatorem; Rydyger, za zgodą mocarstw „protegujących i związkowych“ zajął Kraków, który był „schronieniem dla buntowników“.[1]) Dnia 8. października poddał się Modlin, w dwa tygodnie później Zamość, gdzie, jak zwyczajnie wtedy, warunki kapitulacyi pogwałcono i osoby, pochodzące z krajów zabranych, do robót katorżnych wysłano. Z armii, liczącej przeszło 60.000 ludzi, jeden tylko pułkownik Stryjeński zdał się z oddziałem swoim na łaskę carską. Reszta przeniosła tułactwo nad hańbę. Tak skończyło się powstanie, nierozważnie wprawdzie i bez przygotowania podjęte, ale mające wszelkie widoki powodzenia. Bohaterski poryw szlachetnej młodzieży nie zdołał tchnąć wiary w serca, bijące wprawdzie żywo dla ojczyzny, lecz wyziębione klęskami i zawodami lat ubiegłych. Nie w działaniu wojennem więc, lecz w dyplomacyi i w układach pokładano od początku całą nadzieję tej walki, która musiała być walką na śmierć lub życie i żadnym traktatem uciszyć się nie dała. Raz zaś wszedłszy na tę drogę mylną i zgubną, marnowano lekkomyślnie zapał i poświęcenie narodu, zaniedbywano korzyści, które same się nastręczały, oszczędzano niemal nieprzyjaciela, widząc w nim nie śmiertelnego wroga, lecz obłąkanego współplemiennika. Pokolenie ówczesne, przejęte do głębi uczuciem honoru i średniowiecznej rycerskości, musiało zatem uledz w nierównej walce z przeciwnikiem, który był uosobieniem brutalnej siły, chytrości, przebiegłości i podstępu. Gdy na przemowę cesarza Mikołaja, w ujeżdżalni petersburskiej, przepełnioną uczuciem zemsty, reprezentanci narodu rosyjskiego tam zgromadzeni odpowiadali entuzyastycznym okrzykiem hurra! sejm polski w Warszawie ogłaszał całemu światu, że nie powoduje nim żadna nienawiść „przeciw wielkiemu szczepowi słowiańskiego rodu.“ Odwołanie się do narodu sąsiedniego było stanowczo przedwczesne. Żołnierz rosyjski, wzięty do niewoli, dawał się prowadzić chłopcom, uzbrojonym w kije,[2]) był z losu swego zupełnie zadowolony, o ucieczce nie myślał, nienawiści do Polaków nie znał, ale postawiony w szeregu i upojony wódką, stawał się krwiożerczym barbarzyńcą, okrucieństwem przypominał czasy Wandalów i Hunnów. Prąd szedł z góry, gdzie wiedziano dobrze, że niepodległa Polska będzie grobem carskiego despotyzmu, gdzie powstanie listopadowe uważano tylko za jeden z objawów europejskiej rewolucyi. Z takim nieprzyjacielem nie było więc ani paktów, ani układów i cała nadzieja spoczywała w orężu. Że tego u nas nikt zrozumieć nie zdołał, w tem tkwi cała tajemnica klęsk i niepowodzeń następnych, w tem jest główna przyczyna upadku powstania. Ogół narodu, spoglądający z uwielbieniem na bohaterów z pod Stoczka, Grochowa, Wawru i Igań, nie był w stanie pojąć nagłej zmiany wypadków wojennych. Powstały zatem legendy o zdrajcach i o zdradzie, jak dziś się okazuje, nieuzasadnione i nieprawdziwe. Mieliśmy odstępców i to nielicznych, ale świadomie hańbiących imię polskie i cześć narodu nie miało społeczeństwo, wychowane w tradycyach Kościuszki i ks. Józefa. Sprawę narodową zgubiła miękkość charakterów polskich i brak wiary w siły własne, ale z strasznego pogromu wyszła nieskalana cześć Polski i Polaków.

[1]) Kampania polska ks. Paskiewicza w 1831 r. Warszawa 1899. Str. 128.

[2]) Jabłonowski: „Wspomnienia“ str. 52.

OKRES TRZECI,

Emigracyjny od roku 1832 do 1864.

W opowiadaniu naszem doszliśmy do czasów dla narodu polskiego najsmutniejszych i najboleśniejszych, kiedy byt jego polityczny, częściowo i w ułomnym kształcie przywrócony, nowemu uległ zniszczeniu i kiedy mocarstwa rozbiorowe, po krótkiej przerwie, postanowieniami kongresu wiedeńskiego wywołanej, przystąpiły otwarcie już do wytępienia znienawidzonej sobie a tyle groźnej dla nich narodowości polskiej.

Zygmunt Krasiński.

Dla historyka tej epoki otwiera się tu wdzięczne wprawdzie, ale też i bardzo trudne zadanie, nie tylko dlatego, że obraz dziejowy, rozpryśnięty na kilka części, traci tę pełność i wyrazistość, która tak malarzowi jak i pisarzowi pracę wielce ułatwia, lecz i z tego także powodu, że dotychczasowe badania nad tym okresem są niedostateczne, że nie obejmują mianowicie olbrzy-

miego materyału archiwalnego, i że z natury źródeł i wypadków samych nigdy może nie będą wyczerpującemi. Pozbawieni życia politycznego, uciskani i krępowani w objawieniu myśli swoich i uczuć, jako żywioł na wskroś rewolucyjny i zagrażający porządkowi społecznemu a czujący zarazem dotkliwie krzywdę sobie wyrządzoną i wierzący w zwycięstwo słuszności i sprawiedliwosci, rzucają się Polacy po roku 1831 w odmęt spisków i konspiracyj z tem przekonaniem, że nie na podstawie traktatów międzynarodowych, nie z pomocą dyplomacyi, zawsze egoistycznej i na cierpienia ludów zawsze obojętnej, ale jako szermierze powszechnej wolności zdołają sobie wywalczyć wśród narodów europejskich te prawa i to stanowisko, których używać i które zajmować powinni skutkiem stopnia cywilizacyi swojej, liczebnej siły i świetnej przeszłości historycznej. Od tej chwili usiłowania, zmierzające do odzyskania bytu narodowego toną w pomroce niezgłębionych i niezbadanych tajników konspiracyjnych, schodzą często do grobów wraz z osobami działającemi lub przybierają w protokołach komissyj śledczych kształty na pół fantastyczne, na pół zmyślone a zawsze prawie nieprawdziwe.

Z drugiej strony postępowanie dyplomacyi europejskiej w sprawie polskiej jest tak na wskroś nieuczciwe, tak cyniczne, tak przewrotne, do tego stopnia pozbawione wreszcie uczuć ludzkich i wszelakiej szlachetności, że dziwić się nie trzeba, jeżeli dwory i gabinety starają się po większej części ukrywać dotąd jeszcze te akta, oskarżające cywilizowaną Europę przed Bogiem i sumieniem ludzkiem o najsroższe krzywdy i gwałty na narodzie, którego jedyną winą było to, że umrzeć nie chciał i że dotąd nie umarł.

Przy tym stanie źródeł opracowania tej części dziejów naszych, jakkolwiek liczne i przedsiębrane nieraz z pilnością i talentem niepospolitym, nie wystarczają wcale do przedstawienia wiernego i zupełnego obrazu tego życia, pełnego wstrząśnień gwałtownych, obfitego w czyny heroiczne i szalone porywy, zgorżkniałego na wskroś od cierpień i bolów wielkich, błądzącego na przemian po drogach wiary i po manowcach rozpaczy a mimo to bijącego zawsze i nieustannie tentnem silnem, krzepionego nadzieją, płomieniejącego miłością. I my więc w naszem opowiadaniu ograniczyć się musimy tylko do zestawienia i ugrupowania zdarzeń, do pracy więcej kronikarskiej niż dziejopisarskiej, aby tym sposobem przynajmniej uzupełnić historyą zbrojnych usiłowań naszych ku odzyskaniu niepodległości i osiągnięciu pomyślniejszych warunków bytu.

Mściwa polityka Mikołaja. — Nowy stan rzeczy w Królestwie polskiem i prowincyach zabranych. — Statut organiczny. — Prześladowania religijne. Upadek powstania listopadowego był nie tylko pogromem orężnym walczącego narodu, ale także zniszczeniem jego egzystencyi politycznej i tych nadziei, które z nią się wiązały. Jakkolwiek bowiem na kongresie wiedeńskim dokonano nowego podziału Polski, jakkolwiek Królestwo przez Aleksandra I. „wskrzeszone“ miało na zawsze pozostać pod berłem rosyjskiem, to zaprzeczyć niepodobna, że to państewko małe i podległe władcy wielkiego mocarstwa, było przez lat 15 ogniskiem polskości, rozsyłającem ożywcze promienie swoje po całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej, że samem imieniem swojem budziło u nieprzyjaciół narodu polskiego trwogę i wstrzemięźliwość w prześladowaniach, u ziomków za Niemnem i Bugiem, za Wisłą

i Prosną nadzieje lepszej przyszłości. Własny rząd, własna administracya, wojsko narodowe i sejm dawały Polakom możność, acz ograniczoną wprawdzie, rozwijania zdolności swoich i zasobów kraju, otwierały szerokie pole do nabywania biegłości w traktowaniu spraw publicznych i do rozkrzewienia oświaty we wszystkich warstwach społecznych. Wypadki r. 1831 przerwały ten wątek pracy organicznej a smutny koniec powstania stał się hasłem do zniweczenia instytucyj polskich i do wytępienia polskiej narodowości. Istnienie bowiem konstytucyjnego Królestwa polskiego, tak niewygodne dla Prus i Austryi ówczesnej, było zarazem przedmiotem niezadowolenia, wstrętu i nienawiści dla kół rządowych i półurzędowych w Petersburgu. Arystokracya i szlachta rosyjska spoglądała z zazdrością i obawą na naród polski, używający swobód konstytucyjnych, wyższy polorem i cywilizacyą, wyzwolony z pod knuta i zsyłki sybirskiej, świat kupiecki i rękodzielniczy widział w pomyślnym rozwoju handlu i przemysłu polskiego groźnego dla siebie współzawodnika, a despotyczny umysł Mikołaja nie mógł się nigdy pogodzić z tem ograniczeniem, jakie absolutnej jego władzy zakreślały wolnomyślne ustawy Królestwa. Kongresowa Polska była nadto polskim Piemontem, groźnym dla sąsiadów, ale groźniejszym jeszcze dla Rosyi. Nic dziwnego zatem, że wiadomość o powstaniu listopadowem zapaliła takim gniewem cesarza, i że jego mowie, pełnej nienawiści i zemsty, zawtórowało całe wyższe społeczeństwo rosyjskie. Ci sami, którzy niedawno jeszcze z takim zapałem przyjmowali u siebie i wielbili Mickiewicza, zamknęli dziś podwoje salonów swoich przed jego ziomkami, bawiącymi w Petersburgu, a lud prosty, naśladując przykład wyższych, miotał na Polaków przekleństwa, złorzeczył Dybiczowi za jego powolność w działaniu wojennem i z góry radował się pokonaniem i wytępieniem „buntowników“, którzy nawet w poetycznem sercu Puszkina nie znaleźli współczucia i litości.[1])

Mikołaj nie myślał wcale hamować tych objawów zemsty i nienawiści, owszem sam osobiście dotknięty ciężko w swojej dumie aktem detronizacyi i zwycięstwami polskiemi, drżący z niepokoju i trwogi, podczas szturmu na Warszawę,[2]) gotował się do najsroższej zemsty na tych, którzy mieli odwagę sprzeciwić się wszechmocnej woli cara i króla, urągać jego rozkazom, podnieść broń przeciw niemu i zachwiać na chwilę olbrzymią potęgę niezwyciężonej Rosyi. Kto zna dumę tego żelaznego despoty, ten zrozumie i pojmie uczucia, jakie nim miotały w ciągu dziewięciomiesięcznej wojny, ten nie będzie powątpiewał o srogości prześladowań, spadających gradem na zwyciężoną Polskę. A jeżeli w tem działaniu, bezprzykładnem w dziejach, w tem tępieniu narodowości i instytucyj polskich dają się spostrzegać czasami ślady, nie łagodności, lecz pewnego umiarkowania czy wahania, to są one albo obliczone na obałamucenie Europy, albo też wynikają z trudności dyplomatycznych, z któremi i samodzierżca Wszechrosyi liczyć się musiał. Jakkolwiek bowiem gabi-

[1]) A. Pypin w artykule: Kwestya polska w literaturze rosyjskiej. (Wiestnik Jewropy z marca r. 1880) wyraża się tak o Puszkinie i jego stosunku do Polaków: „Rzeczywiście w Puszkinie daremnieby szukać „ludzkiego“ zapatrywania się na sprawę polską. Przeciwnie poglądy jego są niemal też same co Dierżawina, który Polskę uważał za „hydrę buntowniczą“.

[2]) Kampania polska ks. Paskiewicza, str. 118.

nety zachodnie od początku do końca okazywały dla sprawy polskiej jak największą obojętność, jakkolwiek francuski minister spraw zagranicznych, generał Sebastiani, po zdobyciu Warszawy, z pewnem zadowoleniem oznajmił izbie poselskiej, że porządek panuje w stolicy polskiej *(l'ordre regne à Varsovie)*, to dalsze losy Królestwa kongresowego nie były obojętne ani dla najbliższych sąsiadów Rosyi, ani dla odleglejszych jej przyjaciół. Austrya i Prusy obawiały się, że w razie wcielenia Królestwa do caratu i zrusyfikowania prowincyj nadwiślańskich, zniknie t. zw. kwestya polska, sprawiająca Rosyi tyle kłopotu, i mocarstwo to stanie się o wiele silniejszem a zarazem dla „najserdeczniejszych“ swoich przyjaciół groźniejszem. We Francyi i w Anglii do tych obaw dołączyły się jeszcze względy na opinią publiczną, przychylnie dla Polaków a wrogo dla Mikołaja usposobioną. Tu i tam więc natrafił gabinet petersburski w usiłowaniach swoich, skierowanych do zniszczenia bytu Królestwa polskiego, na znaczne przeszkody. W lipcu r. 1831 oświadczył król pruski ambasadorowi rosyjskiemu, że życzy sobie, „aby Rosya nadała Polsce takie same prawa, z jakich korzystają Czechy i Węgry pod berłem cesarza austryackiego“, a gdy wicekanclerz rosyjski hr. Nesselrode dał na to odpowiedź uspokajającą i zapewnił, że car „zawsze ścisły wykonawca traktatów, na których opiera się prawo publiczne Europy, postanowił pozostawić Polską tak jak jest i obdarzyć ją oddzielną administracyą i instytucyami narodowemi“, zadowolnił się tem gabinet berliński i mniemał, że „Europa może z zupełną ufnością pozostawić cesarzowi decyzyą w tej sprawie“, bo wie, że JCMość potrafi połączyć oględność ze wspaniałomyślnością i z istotnemi interesami Królestwa polskiego, spokoju Rosyi i sąsiednich mocarstw.[1]) Podobne stanowisko zajmowała także i Austrya, która w drażliwej kwestyi belgijskiej opierając się na traktacie wiedeńskim, musiała go bronić i w Polsce. W ostrzejszym i bardziej stanowczym tonie odzywały się gabinety zachodnie, w gruncie obojętne na losy Polaków, ale działające pod wpływem opinii publicznej. Wiadomość o kapitulacyi Warszawy i cyniczne wyrażenie się Sebastianiego w parlamencie francuskim wywołały w całej Francyi niesłychane oburzenie. Nazajutrz — dnia 17. września — zebrały się tłumy ludu około gmachu ministerstwa spraw zagranicznych i mieszkania królewskiego w *Palais-Royal* wołając: *Vive la Pologne! A bas la Russie! A bas le ministère! Vive la republique!* W publicznym ogrodzie *Palais-Royal* umieszczono odezwę, otoczoną czarną krepą, z napisem: „Bohaterska Polska, nikczemnie opuszczona, jest dla nas groźbą straszną. Obywatele! Nie czekajcie jej skutku. Do broni!“ Na placu *Vendôme* zatrzymał tłum powóz wiozący ministrów Sebastianiego i Periera, którzy tylko przytomności stangreta i szybkości koni zawdzięczali swoje ocalenie; gdzieindziej zaczęto stawiać barykady, odbijać sklepy rusznikarskie; w teatrach zaniechano przedstawień; w Tuluzie zniszczono ze szczętem redakcye i drukarnie dwóch dzienników karlistowskich, które umieściły artykuły z napisem: „Upadek Warszawy — ucieczka buntowników“; słowem cała Francya zatrzęsła się w posadach i dopiero po dziesięciu dniach powiodło się

[1]) Szczerbatow: Rządy ks. Paskiewicza w Królestwie Polskiem (1832—1847). Warszawa 1900. Str. 4 i 5.

rządowi siłą zbrojną przywrócić spokój i przeszkodzić rewolucyi. W izbach zwyciężyło wprawdzie ministerstwo, dzięki poparciu większości, która obawiała się republiki, ale rząd, przestraszony gwałtownem poruszeniem mas, zdobył się na krok energiczniejszy cokolwiek, zażądał przez posła swego w Petersburgu zupełnej amnestyi dla Polaków i utrzymania konstytucyi, a do Londynu wysłał syna prezydenta ministrów, Periera, dla wdrożenia wspólnej akcyi na korzyść Polski. Były to usiłowania i spóźnione znacznie i, co gorsza, nieszczere. Przebiegły Metternich, znający się doskonale na grze dyplomatycznej, uspokajał przez ambasadora austryackiego hr. Ficquelmonta gabinet petersburski, że „istotny cel tej missyi zawierał się w tem, żeby mieć w ręku dowody starań ministeryum o Polskę, co jest niezbędnem dla istnienia gabinetu wobec parlamentu“. Jakoż rzeczywiście wszystkie te zabiegi ograniczyły się do noty nowej Palmerstona, w której rząd angielski kładł nacisk na potrzebę utrzymania konstytucyi, nadanej Królestwu przez Aleksandra I. a zaprzysiężonej przez Mikołaja.

Mimo łagodnego tonu tych przedstawień czuł się car niemi mocno dotkniętym i na depeszy Sebastianiego dopisał własnoręcznie następującą rezolucyą: „List ten jest do tego stopnia zuchwały, że nie zasługuje wcale na odpowiedź, albowiem gdyby trzeba było odpowiadać, to należałoby napisać takie rzeczy, któreby mogły wywołać nieprzyjemne komplikacye.“ [1]) A jednak zgodna w zasadzie opinia gabinetów co do utrzymania Królestwa polskiego musiała sprawić w Petersburgu pewne wrażenie. Mikołaj, zniechęcony wojną, gotów był w maju r. 1831 pozbyć się kłopotliwego posiadania Polski kongresowej i odstąpić bez żadnych pretensyj województwa na lewym brzegu Wisły położone Prusom i Austryi. Myśl ta spotkała się z żywą opozycyą ze strony Paskiewicza. W odpowiedzi na memoryał carski, mniemał on, że „chcąc ukarać zuchwalców i niewdzięczników w ten sposób, by odczuli to jeszcze w swej najdalszej potomności“, należy znieść Królestwo polskie. Gdy jednak wątpliwą jest rzeczą, czy Europa na to się zgodzi, proponuje zatem: odstąpić Prusom województwa Mazowieckie, Kaliskie i Sandomierskie, Austryi Krakowskie a zażądać od pierwszych Torunia z prowincyą aż do Pregla w Prusiech wschodnich, od drugiej obwodu Tarnopolskiego.[2])

Nie wiemy, czy plan „zakaukaskiego bohatera“ uzyskał sankcyą monarszą, ani też, czy był przedmiotem jakich układów pomiędzy Petersburgiem a Berlinem i Wiedniem, ale to pewna, że, wśród radosnych uniesień i tryumfalnych obchodów z powodu wzięcia Warszawy, porzucono szybko rozpaczliwe kombinacye wiosenne, a car i całe społeczeństwo rosyjskie zawrzało jednem, strasznem uczuciem nieubłaganej zemsty i jak najsroższego odwetu, odtrącając z pogardą europejskich obrońców Polski, którym są „obce Kremlu starych

[1]) Szczerbatow: Rządy ks. Paskiewicza, str. 6, podług aktów w ministerstwie spraw zagranicznych w Petersburgu.

[2]) Odpowiedź Paskiewicza w „Kampanii polskiej“ ks. P., str. 146. Na tem zdaje się polegać wieść, rozpuszczona wtedy i powtarzana później, że nawet w razie klęski wojsk rosyjskich Polska nie odzyskałaby niepodległości, boby ją zajęli byli Prusacy.

murów skargi". [1]) Posypały się więc natychmiast jak z rogu obfitości wskazówki dla mianowanego świeżo księciem warszawskim Paskiewicza. „Ponieważ żadnej nam nie przyniesie korzyści — tak pisał Mikołaj dnia 5. października — odbudowanie przedmieścia Pragi lub zwiększenie ludności w Warszawie, sądzę, że dobrze będzie zabronić mieszkańcom budowania się tam i lepiej będzie przenieść do Siedlec tych wszystkich, którym domy zburzono." [2]) Dochody miejskie mają być „w całości" obrócone na budowę cytadeli, system wychowania publicznego z gruntu zmieniony a kwestya włościańska na wzór pruski uregulowana, aby tak jak w Poznańskiem osłabić lub zniszczyć zupełnie wpływ klas wyższych na chłopów.

Nieubłaganą musiała być zaiste nienawiść cesarza do Polaków, kiedy w sprawie włościańskiej, której nie odważył się poruszyć w ciągu całego swego panowania, [3]) tu na ziemi polskiej gotów był wprowadzić rozległe reformy tylko dlatego, że mogły one, podług jego mniemania, zaszkodzić szlachcie i inteligencyi. Ten więc, co pozwalał na handel ludźmi, na sprzedawanie publiczne kucharzy, fryzyerów, furmanów itd. w całem swojem państwie, [4]) zamierzał odegrać względem chłopów polskich rolę wspaniałomyślnego dobroczyńcy.

Projekta te, w części tylko i, jak zobaczymy, w odmienny sposób wykonane, miały cechę ściśle poufną; wobec podejrzliwej Europy należało je osłonić płaszczem wspaniałomyślności, przebaczenia i pozorów legalności. Ustanowiono więc przedewszystkiem rząd odrębny dla Królestwa a następnie wydano statut organiczny, zawierający określenie nowej „konstytucyi" polskiej. Rząd, tymczasowym zwany, istniał na papierze już od dnia 14. marca 1831 r., bo Mikołaj, spodziewając się szybkiego stłumienia powstania, miano wał nowych członków rady administracyjnéj, na prezesa jej przeznaczył tajnego radcę Engla, wydział skarbu powierzył zięciowi jego Fuhrmanowi, sprawy wewnętrzne A. hr. Strogonowowi, sprawiedliwość generałowi Kosseckiemu a tekę wyznań i oświecenia hr. Skarbkowi, profesorowi uniwersytetu warszawskiego. [5]) Ci ministrowie *in partibus* wyjechali wprawdzie natychmiast z Petersburga, ale do Warszawy mogli przybyć dopiero po kapitulacyi i wtedy też osobnym dekretem cesarskim z dnia 27. września przelano na ten rząd tymczasowy atrybucye dawnej rady administracyjnej. Skarbka zastąpił generał Rautenstrauch, „któremu obłuda i przebiegłość dozwoliły uniknąć prześladowania za czasów rewolucyi i zachować względy rządu rosyjskiego". Ale władza nowej rady była tylko pozorną, bo właściwie trząsł i rządził całym krajem generał-gubernator Królestwa Paskiewicz, naczelny wódz siły zbrojnej, obdarzony nieograniczonem zaufaniem cesarza i wyposażony najrozleglejszem jego pełnomocnictwem. On był przewodniczącym w radzie, do niego miała się ona odnosić w sprawach „ważniejszych", ale obok tego „uszanowanie a niekiedy strach, jaki wywoływała we wszystkich urzędnikach i mieszkańcach osoba Paskiewicza, był tak silny, że

[1]) Z ody Aleks. Puszkina „Rocznica Borodina", w której sławi czyny wojenne Paskiewicza.
[2]) Kampania polska ks. Paskiewicza, str. 151.
[3]) Bernhardi Theodor, Denkschriften. Sybels Hist. Ztschrft., Bd. 72, S. 288.
[4]) Tamże.
[5]) Skarbek, Dzieje Polski III, 6.

nikt w tej epoce nie śmiał nadawać biegowi administracyi innego kierunku, tylko taki, jaki nakreślił feldmarszałek“.[1]) Jakoż działał on samowolnie, ale zawsze w myśli przez cesarza wytkniętéj, w celu zniszczenia ducha i narodowości polskiej. Tak, nie pytając się wcale o zdanie rządu tymczasowego, zaprowadził rozporządzeniem z dnia 22. listopada 1831 r. kolory i kokardy rosyjskie zamiast używanych dotąd polskich, a nazajutrz rozwiązał radę municypalną warszawską. Równocześnie wywieziono do Petersburga bibliotekę uniwersytecką wraz z wspaniałą kollekcyą sztychów i zbiory Towarzystwa przyjaciół nauk zabrano na skarb kapitały tej instytucyi a gmach, ofiarnością Staszica wzniesiony, obrócono na cele wojskowe. Szczególniejszą uwagę zwrócono na szkoły, które, pomimo usiłowań Nowosilcowa i polskich obskurantów, wychowywały młodzież w duchu narodowym. Zgasić te ogniska oświaty, odjąć Polakom możność kształcenia się i nabywania pożytecznych wiadomości a skutkiem tego pogrążyć społeczeństwo całe w ciemnocie, aby je tem łatwiej spodlić i poniżyć, to był główny cel Paskiewicza. Ustały więc wykłady uniwersyteckie, opustoszały szkoły fachowe a zakłady średnie, zostające przeważnie pod kierunkiem światłych X. X. Pijarów, jako „przesiąknięte duchem skrajnej nietolerancyi i fanatyzmu“ uległy reformie, która zasadzała się na tem, że z liceów potworzono czteroklasowe szkoły wydziałowe a młodzież ujęto w karby subordynacyi wojskowej i poddano nawet w wyższych klasach karom cielesnym. Projekt do tego wyszedł niestety z pod pióra Polaka, Tomasza Dziekońskiego; Paskiewicz domagał się nadto, „aby uczniów nic wartych oddawać jako szeregowców do wojska“.[2]) Zaprowadziwszy w szkołach system rosyjski, zaczęto tam uczyć także i języka rosyjskiego, który coraz więcej stawał się językiem urzędowym w Królestwie i wskutek wyraźnego rozkazu Mikołaja miał zastąpić język francuski, używany dotąd w kancelaryi ministra sekretarza stanu dla Królestwa. Reforma nie przyszła do skutku tylko dlatego, że w radzie administracyjnej trzech członków Polaków nie umiało po rosyjsku i tyluż Rosyan nie znało języka polskiego.

Kiedy tak w wewnętrznej administracyi Królestwa panował ucisk i prześladowanie narodowości polskiej, kiedy po powiatach rządzili samowładnie naczelnicy wojskowi, nie znający praw obowiązujących i ze względu na poziom swój moralny nie wzbudzający wcale zaufania,[3]) albo wyrzutki społeczeństwa, w rodzaju osławionego Ksawerego Dambrowskiego, kiedy kraj cały zniszczony wojną i wojskiem zalany, przymierał z nędzy i głodu, gotowała się na zewnątrz, dla Europy, akcya, pełna wspaniałomyślności i pojednawczego ducha.

Dnia 1. listopada 1831 r. ogłoszono amnestyą, która na pozór była aktem łaski i przebaczenia, w istocie zaś krokiem politycznym, wynikającym z innych zupełnie pobudek. Krzątanie się emigracyi polskiej za granicą i zamiar utworzenia legionów polskich we Francyi napełniły wielką obawą i Mikołaja i Paskiewicza. Ten ostatni donosił raz po razu do Petersburga o niespokojnem

[1]) Szczerbatow, Kampania etc., str. 166.
[2]) Szczerbatow, Rządy ks. Paskiewicza, str. 62.
[3]) Szczerbatow, Kampania etc., str. 178.

usposobieniu ludności warszawskiej, o pogłoskach krążących po mieście, że nowe wybuchnie powstanie, zwiększał załogę, wydawał odezwy groźne do mieszkańców, podczas gdy car przez posła swego Pozzo di Borgo oświadczył w Paryżu, że „utworzenie wojska pod nazwą legionu polskiego uważanem będzie jako zerwanie stosunków przyjaznych między Francyą i Rosyą“. Jakkolwiek groźba ostatnia okazała się skuteczną, to jednak zależało wiele na tem, aby żołnierzy prostych i podoficerów sprowadzić do kraju i w ten sposób przeszkodzić utworzeniu legionów, i to był drugi główny cel amnestyi, która wykluczała: Belwederczyków, biorących udział w wypadkach z d. 15. sierpnia, naczelników i członków Rządu narodowego, posłów, głosujących i przemawiających za detronizacyą, i oficerów z korpusu Ramoriny, Kamieńskiego, Różyckiego i Rybińskiego. Ale zaledwie ci, co uwierzyli i zaufali słowu cesarskiemu, powrócili do kraju, kiedy dnia 26. lutego 1832 r. ukazał się dekret Paskiewicza,[1]) wcielający wszystkich oficerów i żołnierzy polskich do armii rosyjskiej na lat 15 z tym dodatkiem, że stopnie oficerskie i podoficerskie zostawia się tym tylko, którzy je uzyskali przed 29-ym listopada r. 1830. Wszyscy zatem oficerowie i podoficerowie, awansowani na polach bitew za męstwo i poświęcenie dla ojczyzny, wszyscy ochotnicy, co z własnej woli zaciągnęli się pod znaki narodowe, zostali zdegradowani lub wtłoczeni gwałtem w szeregi obcego wojska i wysłani w głąb Rosyi albo na linią kaukaską, aby, po piętnastoletniej służbie, powrócić do kraju złamani na duchu, zniszczeni fizycznie. A jakby i ten środek nie wystarczał jeszcze na poskromienie Polski i Polaków, rozkazano z polecenia Mikołaja zabrać wszystkie dzieci od lat 7-iu do 16-tu, nie mające rodziców, zaniedbane lub pozbawione opieki, i wysłać do Mińska, w celu umieszczenia ich w batalionach wojskowych kantonistów.[2]) Dodatkowo rozpisano na rok 1832 nadzwyczajny pobór do wojska w Królestwie i wyprowadzono znowu za granice kraju 20.000 ludzi. Wyludniwszy tak Polskę i pozbywszy się najniespokojniejszych żywiołów, odetchnął rząd Paskiewicza swobodniej, bo jedyne niebezpieczeństwo groziło potędze caratu tylko ze strony kobiet polskich. „Lękam się kobiet! — pisał Mikołaj do swego ulubieńca — ten szatański naród zawsze działał przez nie, i nasza młodzież, ujęta ich zalotnością z jednej a ideałami ultraliberalnemi z drugiej strony, znajduje się rzeczywiście w położeniu niebezpiecznem. Błagam Cię na imię Boskie, czuwaj nad tem co się dzieje! Czy ta zaraza nie objawia się wśród naszych?“[3]) I Paskiewicz czuwał rzeczywiście. „Od samego początku — tak uspokajał cara — robię co mogę, ażeby wojsko a zwłaszcza oficerowie nie zepsuli się w tem mieście i dlatego często przenoszę ich z miejsca na miejsce. Wszyscy żołnierze są zamknięci w koszarach. Zobaczę, czy się nie da zaprowadzić pewnego regulaminu dla zapobieżenia stosunkom niebezpiecznym. Tymczasem nie zauważyłem, by Polacy chętnie nas przyjmowali; przeciwnie zauważyłem wśród nich pewną, im właściwą dumę. Dziwią się, że śmiemy obchodzić się

[1]) Lubliner Louis: Des diverse amnisties octroyéas aux Polonais par les empereurs Nicolas I et Alexandre II. Bruxelles 1857, p. 46. D'Angeberg.

[2]) Tamże dekret Paskiewicza i rozkaz Rautenstraucha.

[3]) List u Szczerbatowa, Kampania etc., str. 169.

z nimi surowo, jednem słowem nie spostrzegłem jeszcze, by Polacy i Polki byli dobrze usposobieni dla naszych oficerów.“ [1])

Wśród takich stosunków ogłoszono wreszcie statut organiczny,[2]) który dla Królestwa miał zastąpić miejsce dotychczasowej konstytucyi. Z pozoru

Poeci polscy.

sądząc, był to akt bardzo wolnomyślny; bo jakkolwiek znosił wojsko polskie i nie wspominał ani słowa o konstytucyi, lecz kazał się dorozumiewać tylko,

[1]) Tamże str. 170.

[2]) Nosi on datę dnia 26. lutego 1832 r.

że ona istnieć przestała, to zaręczał wolność osobistą i wolność druku, świętość i nietykalność własności prywatnej, równość w obliczu prawa i w piastowaniu urzędów publicznych, oddzielne prawodawstwo i odrębny zarząd skarbowy, wreszcie wolność wyznań, nietykalność majątków duchownych tak rzymsko-katolickich jak i unickich i szczególną opiekę dla religii, panującej w kraju. Rządy naczelne miała sprawować rada administracyjna, pod przewodnictwem namiestnika, złożona nie z ministrów, jak dawniej, lecz z dyrektorów komissyj rządowych. Językiem urzędowym uznano język polski. Ażeby zaś do reszty złudzić łatwowierną Europę, utrzymano w tytule III zgromadzenia szlacheckie, gminne i rady wojewódzkie z prawem układania listy kandydatów do urzędów i czynienia przedstawień w sprawach tyczących województwa, a w tytule IV stany prowincyonalne, obradujące rzekomo nad dobrem całego Królestwa.[1])

Nic dziwnego, że podobna ustawa mogła wywołać za granicą zdziwienie i zadowolenie u tych, co Polsce sprzyjali, kiedy zaćmiła nawet płytki, co prawda, umysł sekretarza stanu Stefana Grabowskiego do tego stopnia, że protestował żywo przeciw niektórym, jak sądził, zbyt wolnomyślnym artykułom statutu.[2]) Obawy jego były przedwczesne, bo statut organiczny, tak jak go przedstawiliśmy, nie wszedł nigdy w życie, a najważniejsze i najcenniejsze jego postanowienia pozostały od początku do końca martwą literą. Ale rząd dopiął celu, bo odegrał wobec Europy rolę wspaniałomyślnego zwycięzcy i formalnie uczynił zadość wymaganiom mocarstw o utrzymanie stypulacyj wiedeńskiego kongresu. Pozostawała jeszcze druga część programu: trzeba było okazać światu, że naród polski jest zadowolony ze swego losu, przejęty radością i wdzięcznością za przywrócenie porządku społecznego i nadanie ustawy tak wolnomyślnej i zgodnej z postępem czasu. W tym celu urządzono wielką uroczystość z powodu ogłoszenia i wprowadzenia statutu organicznego. Odbyła się ona dnia 25. marca 1832 r. w katedrze św. Jana w Warszawie w obecności gubernatora generała Witta i dygnitarzy rządowych. Biskup płocki Pawłowski odprawił solenne nabożeństwo i odśpiewał „Te Deum“, kanonik Kotowski odczytał z ambony manifest cesarski i statut i wyraził w mowie pochwalnej wdzięczność narodu za otrzymane dobrodziejstwo, Paskiewicz zaś, równocześnie mianowany namiestnikiem, wezwał członków rządu, przedstawicieli szlachty i deputowanych wojewódzkich, zgromadzonych w tym dniu w stolicy, „do współpracownictwa dla osiągnięcia dobroczynnych zamiarów monarchy, ojca najmiłościwszego wszystkich swych poddanych“. Ażeby zaś nie było żadnej wątpliwości, że odtąd w dziejach Królestwa nowa zaczyna się epoka, wywieziono tron królewski i „arkę świętą“, zawierającą „nieboszczkę konstytucyą“, jak się wyrażał Mikołaj, do Moskwy i umieszczono je tam w t. zw. „Orużejnej Pałacie“ „jako pomnik łaskawości naszego Aleksandra I. i niewdzięczności Polski a zarazem chwały Paskiewicza i walecznej armii rosyjskiej“.[3])

[1]) Statut organiczny u D' Angeberga (Recueil des traités etc.) str. 911—920.
[2]) Szczerbatow, Rządy Paskiewicza, str. 49.
[3]) Słowa listu Mikołaja do Paskiewicza.

Nie na tem jednak skończyły się upokorzenia zgnębionego narodu, niepohamowana duma Mikołaja znęcała się z upodobaniem nad zwyciężonymi i bezbronnymi, chcąc ich przywieść do stanu największego upodlenia. Na rozkaz carski więc musiała udać się do Petersburga deputacya Królestwa z prośbą o przebaczenie, z wyrażeniem niezachwianej wierności i z podziękowaniem za doznane dobrodziejstwa! Do składu deputacyi wybrano rozmyślnie członków rodzin, które w powstaniu wybitną odegrały rolę: Walentego ks. Radziwiłła, nie troszczącego się wcale o sprawy publiczne, Franciszka Sołtyka, Edwarda Niemojowskiego, Fryderyka Dembińskiego i innych, mniej znacznych. Dnia 1. maja odbyło się uroczyste posłuchanie w pałacu Zimowym. Radziwiłł, jako przewodniczący deputacyi, odczytał po polsku nikczemną mowę, którą mu napisano, poczem minister spraw wewnętrznych odpowiedział od tronu po rosyjsku w tym sensie, że cesarz przyjmuje łaskawie wyrazy uczuć poddanych swych z Królestwa polskiego, że ma nadzieję, iż pod ochroną nadanych Polakom ustaw, „zgodnych z położeniem kraju i z okolicznościami czasu, będą oni jednomyślnie dążyli do celu, jaki JCMość wskazuje, do ukrzepienia porządku, stanowiącego dlań rękojmią zdrowych pojęć o prawdziwych korzyściach ojczyzny, walcząc z fałszywemi namowami, strzegąc słabych od zgubnego wpływu ludzi nawykłych ogólne dobro poświęcać prywatnym widokom i teraz pobudzających ku temu samą rozpaczą i hańbą swoją“.

W ten sposób dokonano formalnie aktu pacyfikacyi, ale akt zemsty trwał dalej, mimo „ochrony ustaw“, które z nakazu samego prawodawcy na każdym niemal kroku gwałcono.

W tym samym dniu prawie, w którym Mikołaj podpisywał statut organiczny, zapewniający wolność osobistą, został ustanowiony „specyalny sąd kryminalny“ nad uczestnikami powstania, wyjętymi z amnestyi. Zasłaniano się tem, że gdy dawniej sprawy takie podlegały sądowi, złożonemu z senatorów, a senat obecnie nie istniał, więc zachodziła potrzeba wydelegowania osobnego trybunału. W istocie miała się rzecz inaczej. Bezstronny w tym wypadku świadek, dobrze obeznany z stosunkami ówczesnymi, Niemiec Bernhardi, uważa komissye tego rodzaju, złożone przeważnie z wojskowych, jako środek używany często przez Mikołaja w celu potępienia oskarżonych. „Komissya, powiada on, nie miała nic zresztą do czynienia, jak wymierzyć karę. Jeżeli zaś wbrew oczekiweniom uwolniła obwinionych, wpadał cesarz w gniew i bez nowego śledztwa wydawał sam wyrok jak najsurowszy.[1]) Skład sądu kryminalnego warszawskiego potwierdza w zupełności powyższe uwagi. Powołano do niego trzech generałów rosyjskich: Sulimę, Paniutyna i Danenberga i, dla pozornej bezstronności, kilku Polaków. Co do tych ostatnich, zachodziła wielka trudność. Wincenty Krasiński wymówił się od udziału w sądzie, przedstawiając, że gdy zasiędzie w komissyi, straci zupełnie zaufanie u społeczeństwa polskiego, Aleksander Potocki tłumaczył się chorobą i prosił o pozwolenie na wyjechanie do Karlsbadu. Wtedy Paskiewicz rozgniewany nakazał mu, „aby się przemógł i postarał się być obecnym na pierwszych posiedzeniach sądu,

[1]) Bernhardi, Denkschriften l. c. S. 287.

w przeciwnym razie bowiem oczekują go wielkie nieprzyjemności.“[1]) Tak naciśnięty musiał oczywiście uledz. Poźniej zastąpił go Franciszek Potocki „oddany zupełnie rządowi“. Liczbę polskich członków sądu uzupełnili: nikczemny senator Czarnecki, Szaniawski, dyrektor komissyi sprawiedliwości, prezesem był Witt, cokolwiek podejrzany carowi z powodu małżeństwa swego z „intrygantką“ polską Sobańską, ale osłoniony protekcyą Paskiewicza. Czynności sądu trwały, ku wielkiemu niezadowoleniu Mikołaja, bardzo długo, co tłumaczy się ilością oskarżonych; winnych bowiem było 896, a z tego skazano 22, którzy się dostali w ręce władz, na śmierć, więzienie lub do karnych kompanij, z 265 zaś nieobecnych 9 na ścięcie mieczem, 249 na powieszenie, 7 na dwudziestoletnie więzienie. Do pierwszej kategoryi należeli członkowie Rządu narodowego: Czartoryski, Bonawentura Niemojowski, Teodor Morawski i Barzykowski, do drugiej: Joachim Lelewel, wszystkim skonfiskowano nadto majątki. A taka była zaciekłość w zemście Mikołaja, że Niemcewiczowi zabrano nie tylko maleńką posiadłość jego, ulubiony Ursynów, ale upomniano się nawet o sprzęty, które pani Raczyńska sprzedała, aby dla biednego poety, pozbawionego środków utrzymania, przynajmniej cząstkę jakąś majątku uratować, za co ze strony rządu rosyjskiego doznała licznych przykrości i prześladowań.

Dobra skonfiskowane poszły na łup generałów rosyjskich. Wiceprezes sądu kryminalnego, generał Sulima, który, zdaniem Paskiewicza, posiadał „charakter szlachetny“, otrzymał majątek generała Paca w województwie Augustowskiem, przynoszący 20.000 złp. rocznego dochodu. Gorczakow, ten sam co spełniał ukaz carski o wywożeniu dzieci polskich, dostał w nagrodę olbrzymie dobra, szacowane na 280.000 złp. dochodu; syn znanego dobrze mieszkańcom Królestwa Swiczyna majątek Łubno, Gerstenzweig i Turnau posiadłości dające 95.000 złp. Ogólna wartość tych majątków skonfiskowanych w Polsce kongresowej i rozdanych dygnitarzom rosyjskim do r. 1838 przedstawia w przybliżeniu wartość około dwudziestu dwóch milionów złotych polskich.

Ale sroższa o wiele zemsta spotkała mieszkańców prowincyj zabranych. Pierwsze ciosy wymierzono oczywiście przeciw zakładom naukowym; najznamienitsze z nich: uniwersytet wileński i liceum krzemienieckie zniesiono natychmiast, inne w czasach następnych. W Wilnie rząd, uwzględniając potrzeby niezbędne ludności i wojska, przekształcił jednak dwa fakultety: medyczny i filozoficzny, na akademią medyko-chirurgiczną i szkołę dla duchownych rzymsko-katolickich z wykładami w języku rosyjskim i łacińskim. Pierwsza istniała do r. 1841, druga, otwarta dnia 1. lipca 1833, została w sierpniu r. 1842 przeniesiona do Petersburga. W szkołach zapanował po wyrugowaniu polskiego języka bezwzględnie rosyjski. Podobny los spotkał także sądownictwo. „Ażeby wytępić wszelkie ślady polskości“ zniósł Mikołaj ukazem[2]) z dnia 11. listopada 1831 r. dotychczasową organizacyą sądową w guberniach litewskich i ruskich. Przewodniczący trybunałów kryminalnych i radcy mieli być odtąd mianowani, na przedstawienie gubernatorów wojskowych, wprost przez cesarza; burmistrzów miast i naczelników policyi wyznaczały władze wojskowe,

[1]) List Paskiewicza u Szczerbatowa, str. 40.

[2]) D' Angeberg, Récueils etc. p. 887.

podobnie jak i assesorów ziemskich, wybieranych przez szlachtę. Ta ostatnia klasa mieszkańców, znana z swoich uczuć patryotycznych, ściągnęła na siebie szczególniej gniew i zemstę Mikołaja. W przewidywaniu następnych wypadków wydał on więc jeszcze dnia 20. grudnia 1830 r. ukaz [1]) polecający sekwestracyą majątków takich osób, które same lub ich dzieci bawią w Królestwie polskiem; a gdy przy końcu marca wszczęło się powstanie na Żmudzi, sekwestr został zamieniony nowem postanowieniem na konfiskatę.[2]) Nastąpiły potem sroższe jeszcze ukazy przeciw „buntownikom“ zachodnich gubernij; na początku czerwca, po niepowodzeniach i klęskach Dybicza, zawiał wiatr łagodniejszy cokolwiek, pojawił się ukaz o amnestyi, niejasny wprawdzie i wykluczający naczelników powstania, ale dowodzący, że zwycięstwa polskie były w stanie zmiękczyć nawet zawzięty i mściwy umysł takiego autokraty jak Mikołaj. Po wypuszczeniu gwardyj jednak, po klęsce ostrołęckiej a mianowicie po nieudanej wyprawie Gielguda, powrócił car do dawnego swego systemu; z serca jego znikła obawa a pozostało uczucie zemsty, tem zawziętszej, bo podnieconej doznanem niedawno upokorzeniem. Nienawiść Mikołaja do Polaków wynikała nie tyle z politycznych co z osobistych pobudek i była dlatego tak straszna i nieubłagana. Jak wszystkie podobne natury, w gruncie tchórzliwe, po klęskach upadające łatwo na duchu, po zwycięstwie rosnące w pychę i okrutne — typ nowożytny Iwana Groźnego — nie znał i cesarz Mikołaj, dotknięty w swoich uczuciach, ani umiarkowania ani rozsądku. Zagłada imienia polskiego stała się dla niego hasłem a wtórowały mu w tem roje czynowników rosyjskich, chciwe łupu i chrestów, szerokie natury generałów i ta część arystokracyi i szlachty rosyjskiej, która w konstytucyjnie rządzonej i swobodnej Polsce widziała największe niebezpieczeństwo dla swoich przywilejów, polegających na ucisku i niewoli ludu wiejskiego. Instynkta te wybuchnęły z całą siłą po stłumieniu powstania, wzrastając w geometrycznej progressyi w miarę oddalenia prowincyj polskich od granic cywilizowanego świata. To co w Królestwie było jeszcze niejako na oczach Europy, ukrywało się łatwiej w prowincyach zabranych przed wiadomością zachodu, a że gubernie te uchodziły w Petersburgu za rdzennie rosyjskie, więc musiały wytrzymać cały impet gniewu Mikołaja i stać się polem wyzysku dla administracyi, pozbawionej wszelkich zasad moralnych i uczuć ludzkich. Srogie ukazy carskie miały też skutek tem straszniejszy, że podlegały wykrętnemu tłumaczeniu chciwych czynowników, którzy każde, chociażby najdrobniejsze przestępstwo umieli podciągnąć pod kategoryą wielkiej zbrodni politycznej i pomnożyć liczbę ofiar skazanych z góry na zatracenie.

W ten sposób stało się, że w gubernii wileńskiej skazano na konfiskatę majątków osób 1315, w Wołyńskiej 529, w Podolskiej 472, w Grodzieńskiej 277, w Mińskiej 170, w Kijowskiej 123, w Mohylewskiej 2 a w Witebskiej 1, czyli że pozbawiono zupełnie mienia 2889 obywateli. Jaka była wartość tych dóbr zabranych? trudno dziś oznaczyć, bo tylko w 355 wypadkach wymie-

[1]) Lubliner L., Les Confiscations des biens des Polonais sous le regne de l'Empereur Nicolas I. Bruxelles 1861, p. 5.

[2]) D'Angeberg l. c. 809.

niono w dekretach rządowych ilość „dusz“; wynosiła ona 180.734, a że każdą „duszę“ płacono wtedy najmniej po 175 rubli srebrnych, więc jedna cząstka konfiskat dała rządowi w zysku 31,628.450 rubli srebrnych,[1]) czyli dwa razy tyle, co kosztowało uzbrojenie i utrzymanie całej armii polskiej przez czas powstania.

Ale zemsta Mikołaja nie poprzestała na tem, lecz sięgnęła jeszcze dalej. Aby ograniczyć lub zniszczyć zupełnie żywioł szlachecki, w guberniach zachodnich, polecono ukazem z dnia 31. października 1831 r.,[2]) że wszystkie osoby używające szlacheckich tytułów i przywilejów mają złożyć dowody szlacheckiego swego pochodzenia, ci zaś, którzy nie byli w stanie się wylegitymować, mieli być odtąd zaliczani do t. zw. jednodworców lub mieszczan, stosownie do tego, czy mieszkali w mieście lub na wsi, a jeżeli nic nie posiadali, uważani za włóczęgów. Nadto tracili oni wszelkie prawa szlacheckie, musieli płacić podatek na utrzymanie armii, podlegali obowiązkowi piętnastoletniej służby wojskowej i karze cielesnej. Kto wie z jakiemi trudnościami i kosztami było połączone w naszych stosunkach wyszukanie dokumentów i dowodów szlachectwa, ten pojmie łatwo całą doniosłość i skutki tego dekretu, wydanego jeszcze za czasów Katarzyny, zapomnianego zupełnie a wznowionego teraz i wykonanego z całą bezwzględnością.

W ślad za tem poszło rozporządzenie ministra skarbu Kankrina,[3]) nakazujące gubernatorowi podolskiemu Łubianowskiemu przesiedlić 5000 rodzin szlacheckich polskich na Kaukaz. Do zsyłki przeznaczeni byli nie tylko biorący udział w powstaniu, ale i ci, którzy uzyskali przebaczenie na mocy amnestyi, jakoteż tacy, co budzili nieufność władz rządowych. Jakkolwiek rozkaz był dość wyraźnym i mógł być stosowanym dowolnie, to Łubianowski, czy że był więcej ludzkim od innych, czy że rzeczywiście nie pojął dobrze, czego od niego wymagano, nie spieszył się z wykonaniem, żądał wyjaśnień od ministra, używał namowy, aby skłonić skazanych do dobrowolnego przesiedlenia się, słowem okazywał cokolwiek ludzkości i względów dla nieszczęśliwych, ale w Petersburgu nie zaspano sprawy. Rozporządzenie Kankrina zatwierdził senat i sam car a minister spraw wewnętrznych Bludow[4]) polecił ponownie gubernatorowi wykonać ukaz, jeżeli nie dobrowolnie to przemocą. Wtedy wydał Łubianowski władzom policyjnym wskazówki do przesiedlenia 1200 rodzin z dwunastu powiatów gubernii podolskiej. Podobne przesiedlenia miały miejsce we wszystkich guberniach zachodnich, tak że liczba rodzin szlacheckich polskich gwałtownie wywiezionych z kraju wyniosła 45.000. Jedną z głównych cech usposobienia Mikołaja był wstręt do europejskiej kultury i zamiłowanie do wszystkiego co rosyjskie. Jako wielki książe jeszcze podróżując po Anglii, miał on sposobność przypatrzeć się tamtejszym stosunkom, widział jak odbywały się wybory do parlamentu, był świadkiem rozruchów, wywołanych przez zwolenników reformy, i wrócił rozczarowany, wzburzony. „Tam niema śladu porządku — powtarzał potem bezustannie — tam robi każdy co mu się podoba.“

[1]) Obliczenie podług tablic u Lublinera „Les Confiscations“ etc.
[2]) D' Angeberg l. c. pag. 881.
[3]) Tamże pag. 889.
[4]) Tamże pag. 947.

Pod tem wrażeniem wstąpił niebawem na tron i oświadczył z góry, że gdy Aleksander był monarchą europejskim, on będzie cesarzem rosyjskim. W tej zapowiedzi zamykał się cały program jego polityki. Jedność religii i jedność języka, jako główne warunki jedności i potęgi państwa a ponad tem wszystkiem władza carska silna, niczem nieograniczona, oparta na niewzruszonej wierności i poddaniu się ślepém całego narodu — oto ideał, który pragnął urzeczywistnić w ciągu 30-letniego swego panowania. Stąd jak ze źródła płynęły najsroższe ukazy, najdziwaczniejsze rozporządzenia. Ażeby zamknąć Rosyą szczelnie przed zgubnym wpływem cywilizacyi zachodniej, utrudniono niesłychanie wyjazd za granicę, młodym ludziom od lat 15 do 25 nie pozwolono wcale wydalać się z kraju, a dla uchronienia dorosłych od zepsucia zaprowadzono cenzurę równie surową jak niedorzeczną. System szkolny, na który cesarz największą zwracał uwagę, musiał być zastosowany do tego ogólnego kierunku. Młodzież, wtłoczona w karby wojskowego rygoru i posłuszeństwa, podlegała za każdy objaw nie wolnomyślności ale dziecinnej swawoli najsurowszym karom. Sam Mikołaj skazywał często chłopców dorastających za drobne wybryki na lat 20 w sołdaty.[1]) Nauki traktowano chaotycznie, jako rzecz w wychowaniu podrzędną. W cesarskiem liceum w Carskiem Siole, które stało pod względem rangi wyżej od uniwersytetu i miało dostarczać kandydatów do najwyższych urzędów w państwie, obejmował program nauk: prawo rzymskie, fizykę, chemią, szermierkę i tańce, łaciny uczono wprawdzie także, ale uczniowie w najwyższej klasie byli w stanie czytać zaledwie Korneliusza Neposa. Szczególniejszy nacisk kładziono natomiast na religijny kierunek edukacyi, co odpowiadało znowu przekonaniom cesarza. Wiara, ale wiara prawosławna miała być, według mniemania Mikołaja, podstawą porządku społecznego i państwowego. Opiekował się też nią gorliwie. Osobnym ukazem zabronił np. nazywać cerkiew rosyjską cerkwią grecką lub wschodnią a nadał jej tytuł urzędowy: cerkiew prawowierna albo prawosławna i narzucając katolikom obowiązek używania tej nazwy, zmuszał ich niejako do przyznania publicznego, że oni sami są kacerzami. Najrozleglejsze pole do tej propagandy otwierało się oczywiście w prowincyach zabranych i w Królestwie polskiem. Paskiewicz, który z początku, skutkiem owej klassycznej rany przy szturmie warszawskim, tak żywo przypominającej późniejszą kontuzyą jego pod Sylistryą w r. 1854, popadł był chwilowo w niełaskę i musiał nawet na czas pewien wyjechać do dóbr swoich w Homlu,[2]) powróciwszy stamtąd, starał się gorliwością w rusyfikacyjnem działaniu odzyskać względy Mikołaja. Z jednej strony więc podniósł myśl utworzenia z dóbr skonfiskowanych majoratów dla Rosyan, z zastrzeżeniem, że nie będą ich mogli sprzedać nikomu, tylko prawosławnym Rosyanom, z drugiej skierował uwagę cesarza na potrzebę nawrócenia unitów, które to nawrócenie, jego zdaniem, „sprawi Rosyanom mniej kłopotów niż Polakom, gdy odrywali lud od dawnej wiary.“[3]) Można sobie wyobrazić łatwo, z jakiem

---

[1]) Bernhardi, Denkschriften.

[2]) Berg: Zapiski o powstaniu polskiem 1863 do 1864 roku. Kraków 1898. T. I., str. 23.

[3]) List Paskiewicza u Szczerbatowa: Rządy etc., str. 27.

zadowoleniem przyjął car owe propozycye „ojca komendanta“, jak nazywał zwyczajnie Paskiewicza. Do r. 1836 powstało też rzeczywiście w Królestwie 131 majoratów z dóbr skonfiskowanych i rządowych, później, do r. 1870, wzrosła ta liczba do 265. Z pośród obdarowanych w ten sposób zajmował jedno z pierwszych miejsc syn Paskiewicza, dalej szli dygnitarze rosyjscy tacy jak generał-major Tuchołko, minister finansów Greigh, pomocnik jego Szamszyn, hr. Kotzebue i inni. Niektóre dobra dostały się Polakom, mianowicie dzieciom po generałach Siemiątkowskim i Jankowskim. Wartość donacyj ocenieno dowolnie, zazwyczaj tak nisko, aby darowizna nie wydawała się znaczną. Greigh np. sprzedał las nadany sobie i oszacowany na 4500 rubli srebrnych rocznego dochodu, hr Hänkel v. Donnersmark za 960.000 rubli sr.; Kotzebue z lasu, tejże samej wartości w gubernii Łomżyńskiej, wziął za 10.000 sztuk sosen 92.000 rubli sr.; Szamszyn pozbył się swojej donacyi, mającej przynosić rzekomo tylko 300 rubli sr. za 375.000.[1]) Z tych kilku przykładów można powziąć pewne wyobrażenie o zyskach, jakie system bezwzględnego ucisku Polaków przynosił dygnitarzom rosyjskim, i o duchu, przenikającym ówczesną administracyą. Gdy skarb Królestwa skutkiem zniszczenia kraju, kosztów łożonych na budowę nowych fortec i na utrzymanie ogromnej ilości wojska w najopłakańszym znajdował się stanie, gdy deficyt wynosił 2 miliony rubli srebrn. rocznie a rząd dla przywrócenia równowagi w budżecie chwycił się rozpaczliwych i niemoralnych wprost środków, jak n. p. obniżenia czteroprocentowego pensyj urzędników, przechodziły krocie za urojone najczęściej zasługi, do kieszeni dobrze płatnych generałów lub wysokich urzędników, którzy z Królestwem żadnej lub pośrednią tylko mieli styczność. Ale surowy stróż moralności publicznej, Mikołaj, nie znał względów etycznych tam, gdzie chodziło o wynarodowienie i zgnębienie Polaków, a Paskiewicz był zadowolonym, że mógł kosztem „buntowników“ wynagrodzić oddane sobie kreatury.

Równocześnie zabrał on się do spraw religijnych. Przedewszystkiem zwrócił uwagę swoją na niedostateczną ilość i uposażenie cerkwi prawosławnych w Królestwie. Liczba wyznawców tego obrządku, złożona głównie z żołnierzy, oficerów i urzędników, a więc po większej części niestała, wynosiła sto tysięcy osób i posiadała 6 świątyń i 1 monaster w Jabłoczynie. Było to opatrzenie dla potrzeb tej ludności zupełnie wystarczające, ale nie w rozumieniu Paskiewicza. Pełen gorliwości postarał on się o ustanowienie eparchii prawosławnej w Warszawie z dotacyą 22.000 rubli srebrnych a nie zadowalając się jedną cerkwią na Podwalu, przeniósł Pijarów do dawnego kolegium Jezuickiego, kościół zaś ich na rogu ulicy Miodowej i Długiej zamienił na sobór i kosztem 30.000 rubli wzniósł tu cerkiew i wspaniałe pomieszkanie dla arch i reja. Trudniejsza cokolwiek rzecz była z unitami, zwłaszcza dokąd ministerstwem spraw wewnętrznych, wyznań i oświecenia zawiadywał uczciwy hr. Strogonów, ale po jego odwołaniu w głąb cesarstwa otworzyła się droga do bezprawiów wszelkiego rodzaju. Paskiewicz upatrzył sobie na następcę Strogonowa, znanego z czasów powstania dowódzcę straży przedniej korpusu Rosena, generała Gołowina. Ten Gołowin była to osobistość szczególniejszego rodzaju;

[1]) Berg: Zapiski etc., I., 59.

pochodził z Wołynia, uczył się w szkołach bazyliańskich, umiał po polsku i po łacinie, ale zresztą, z zawodu żołnierz, o nauce i oświacie nie wiele miał wyobrażenia, pod względem religijnym zaś należał do t. zw. sekty chłystowskiej, której cechą charakterystyczną było, że członkowie jej po modlitwach zaczynali się kręcić w koło, wpadali skutkiem tego w osłupienie, tracili świadomość umysłową i wypowiadali w tym stanie słowa oderwane lub zdania, które uchodziły za proroctwo. Gołowin doszedł do takiej biegłości w tej sztuce, że był w stanie bić pięć tysięcy pokłonów bez odpoczynku.[1]) I tego człowieka zrobiono ministrem wyznań i oświecenia, bo, jak zapewniał Paskiewicz, „ma on po temu zdolności i może doskonale zajmować to stanowisko“. W istocie zaczęły się odtąd samowładne rządy namiestnika w zakresie szkolnym i kościelnym, zaczęło się gwałtowne prześladowanie wiary katolickiej, przypominające żywo czasy Nerona i Dyoklecyana, urągające wręcz wyobrażeniom cywilizacyjnym XIX. stulecia.

W chwili wybuchu powstania znajdował się kościół katolicki pod berłem rosyjskiem z wielu względów w stanie opłakanym. Pomimo pozornej swobody, jakiej używało duchowieństwo katolickie i powierzona jego staraniom owczarnia, były podstawy religii katolickiej zagrożone i podkopane. Biskupi w prowincyach zabranych podlegali zupełnie prawie ministrowi wyznań, prawosławnemu, nie mogli bez jego zezwolenia ani przyjmować uczniów do seminaryów, ani wyświęcać kapłanów, ani wykonywać swojej jurysdykcyi duchownej. Znoszenie się wszelkie z stolicą apostolską było ukazem z d. 16. grudnia 1812 r. najsurowiej wzbronione, ogłoszenie bull papieskich, bez dozwolenia rządu, zakazane. W Królestwie działo się cokolwiek lepiej, ale tak tu jak i tam spostrzedz się dawało pewne, z namysłu pochodzące zaniedbanie spraw kościelnych. Pierwszym tego objawem był brak księży i nieobsadzanie wakujących stolic biskupich. Prowincye zabrane miały na przestrzeni kilkunastu tysięcy mil kwadratowych zaledwie 1828 kapłanów, a dyecezya warszawska obejmująca 300 mil kwadratowych 327. Pomnożeniu sił duchownych stały na przeszkodzie przepisy rządowe, utrudniające niezmiernie wstęp do seminaryów, ograniczenie liczby kleryków, jakoteż brak funduszów na ich utrzymanie. Kto obierał sobie zawód duchowny, musiał być szlachcicem, ukończyć studya uniwersyteckie, dać zastępcę za siebie do wojska i uzyskać nadto pozwolenie pisemne ministerstwa wyznań. Wileńskie seminaryum mogło utrzymywać nie więcej jak 75 alumnów, w dyecezyi kamienieckiej dla braku funduszów było w r. 1833 tylko 16-tu kleryków a w Królestwie 370.

Podobnie miały się rzeczy z biskupstwami. Po śmierci smutnej pamięci Siestrzencewicza musiał czcigodny biskup Cieciszowski, mimo podeszłego wieku swego, zawiadywać trzema dyecezyami, mianowicie mohylowską jako arcybiskup, łucko-żytomirską i wileńską, która przez lat 15 była bez pasterza; a gdy umarł w r. 1830 i kurya rzymska nie chciała z ważnych przyczyn zatwierdzić na jego następcę biskupa Pawłowskiego, trwały stosunki anormalne w owych dyecezyach aż do r. 1842. W królestwie na osiem dyecezyj cztery nie miały biskupów, pomiędzy niemi metropolia warszawska, na której chwi-

[1]) Szczegóły u Szczerbatowa: Rządy etc., str. 92 i nast.

lowo tylko zasiadł z łaski Mikołaja biskup Choromański, członek owej nieszczęsnej deputacyi do Petersburga.

Dość dziwną jest rzeczą, że ten stan kościoła polskiego nie skłonił kuryi rzymskiej do energiczniejszej i skuteczniejszej nad nim opieki, dziwniejsza jeszcze, że następca Piusa VIII. na stolicy apostolskiej, Grzegorz XVI., zaufał podstępnym przedstawieniom księcia Gagaryna, posła rosyjskiego w Rzymie, i wydał d. 9. czerwca 1832 owo słynne pismo do biskupów polskich, w którem powstanie listopadowe nazwał dziełem „zdrady i fałszu“ a uczestników jego ludźmi podstępnymi, co „pod pozorem dobra ogólnego nadużywają łatwowierności prostaczków, używając ich do zawichrzania pokoju Królestwa i wywracania porządku społecznego“.[1]) Ale jeżeli papież, jak to sam nadmienia w późniejszej allokucyi z r. 1842,[2]) mniemał, że przedstawiony mu przez Gagaryna statut organiczny i zapewnienia, jakich ten poseł nie szczędził, będą stanowić na przyszłość tarczę ochronną dla katolików polskich, to przekonał się niebawem, że padł, mimo najlepszej woli i chęci, ofiarą chytrości bizantyńskiej, i że najuroczystsze zaręczenia Gagaryna były obliczone tylko na wyłudzenie owego pisma, tak bolesnego dla wiernych serc katolików polskich. Zaledwie bowiem stało się zadość życzeniom gabinetu petersburskiego, kiedy doszły do Rzymu wiadomości o niespodziewanych i straszliwych zamachach Mikołaja przeciw kościołowi polskiemu. Dowiedział się mianowicie papież nie tylko o wywiezieniu dzieci polskich w głąb carstwa, ale zarazem o innych gwałtach i okrucieństwach, popełnionych na katolikach, wbrew najsolenniejszym obietnicom cesarskiego ambasadora. Ciosy spadały jak grad. Zaledwie minister wyznań zniósł prowincyałów bazyliańskich, kiedy ukaz carski z dnia 26. października 1833 oddał słynny na całą Polskę monaster Poczajowski w ręce popów schizmatyckich, nadając mu czwartą z kolei rangę w składzie katedr prawosławnych. Za tym jednym przykładem poszły wnet inne. W dyecezyi łuckiej i kamienieckiej zabrano wprost cały szereg kościołów katolikom i oddano je schizmatykom; w prowincyach zabranych z 291 klasztorów łacińskich zniesiono 202 a majątki należące do nich bądź skonfiskowano, bądź sprzedano w drodze publicznej licytacyi, powołując się przy tym oczywistym gwałcie wykrętnie na kanoniczne przepisy, do których zakony owe rzekomo się nie stosowały. Na gruzach niszczonej fanatycznie unii powstało nowe biskupstwo prawosławne w Połocku a katolicki kościół tamtejszy, jeden z najwspanialszych, przerobiono na cerkiew schizmatycką.

W Królestwie, położonem bliżej Europy, było postępowanie rządu cokolwiek ostrożniejsze. Zamiast gwałtu używał Paskiewicz namowy i perswazyi. Z jego polecenia zawiązał Gołowin bliższe stosunki z biskupem unickim w Chełmie i skłonił go do zaprowadzenia po cerkwiach ikonostasów i wrót carskich według prawosławnego zwyczaju. Główny zamach na katolicyzm i polskość groził jednak skądinąd. Paskiewicz sądził, że najlepszym środkiem zlania dwóch narodowości, a właściwie wynarodowienia Polaków, są

[1]) Brewe u Morella patrz: Wiadomości do dziejów kościoła i religii katolickiej panowaniu rosyjskiemu podległych. Część II. Poznań 1843, str. 69.

[2]) Tamże str. 24.

małżeństwa mieszane, a zdanie to podzielał w zupełności także Mikołaj i, nie namyślając się długo, wydał ukaz (dnia 20. sierpnia r. 1832) tej treści, że małżeństwa między schizmatykami a osobami innych wyznań mogą być zawierane tylko za zezwoleniem archireja (biskupa), w obecności księdza prawosławnego i pod warunkiem, że dzieci z małżeństwa tego pochodzące będą wychowane w wierze panującej t. j. błahoczestywej. Ślub dany przez kapłana katolickiego bez udziału popa jest nieważnym, podobnie jak i chrzest niemowlęcia, i pierwszy i drugi muszą być powtórzone przed duchownym prawosławnym. Na razie obowiązywał ukaz tylko w guberniach zabranych, ale zwolna powiodło się Paskiewiczowi przeprowadzić podobną ustawę przez radę państwa także dla Królestwa, gdzie została też wprowadzona w r. 1836. Za tem pierwszem nadużyciem poszły wnet i inne; nowy dekret cesarski zniósł prawo patronatu w parafiach unickich i postanowił, że odtąd proboszczów ma mianować władza kościelna po porozumieniu się z generał-gubernatorem a ukaz dalszy, zatwierdzony niestety przez kollegium rzymsko-katolickie w Petersburgu, zabronił surowo duchownym katolickim słuchać spowiedzi i udzielać św. komunii osobom nieznajomym.

Pomiędzy biskupami polskimi znalazł się jeden tylko, który stanął energicznie w obronie wiary i kościoła. Był to biskup podlaski ks. Marceli Gutkowski, który przez cały czas powstania zachował wprawdzie wierność dla rządu, ale teraz spełnił obowiązek swój pasterski z podziwienia godną stałością i męstwem. Nie ustraszyły go ani groźby i tupania Paskiewicza, ani odjęcie dochodów biskupich, ani wszelkie inne tego rodzaju prześladowania. Oburzony do żywego przewrotnem postępowaniem rządu i władz administracyjnych podlaskich miał on odwagę w raporcie swoim z dnia 9. maja 1837, przesłanym komissyi wyznań, wytknąć te wszystkie niesprawiedliwości i wyrazić w końcu nadzieję „że Bóg położy kres rządowi JCMci w Polsce.“ [1]) Można sobie łatwo wyobrazić wściekłość, w jaką wpadł „bohater zakaukaski“ po odczytaniu tego raportu. Natychmiast też wywieziono biskupa do klasztoru Ozerańskiego w powiecie Rohaczewskim, w gubernii Mohylewskiej, a posłowi rosyjskiemu w Rzymie polecono uwiadomić o tem stolicę apostolską i zażądać usunięcia Gutkowskiego z urzędu. Papież jednak nie zastosował się do tego życzenia na razie; przeciwnie kardynał sekretarz stanu w odpowiedzi swojej na notę rosyjską wziął w obronę prześladowanego biskupa i, wyrzuciwszy rządowi carskiemu jego nadużycia, tak się między innemi wyraził: „Ach! dałby Bóg, iżby narzekania biskupa Gutkowskiego na rozkazy rządu były bez przyczyny i żeby kościół katolicki w obszernych państwach Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości nie miał ważniejszych i sprawiedliwszych powodów do żalu! Lecz na nieszczęście inaczej się rzeczy mają. Narzekania poddanych katolickich JCMci dochodzą do Ojca świętego ze wszystkich stron, pomimo najcięższych kar, jakiemi chciano przeszkodzić znoszeniu się wiernych z ich głową widzialną, papieżem. Liczne a liczne są te cesarskie ukazy, które od kilku lat ciążą nad Kościołem katolickim. Ojciec św. chciał, aby w tej bolesnej okoliczności, w której odnosi się do słuszności i wspaniałomyślności najpotężniejszego ce-

[1]) Ustęp ten przytacza kardynał sekretarz stanu u Morella l. c. 228.

sarza Wszechrosyi na korzyść biskupa podlaskiego, nie zaniedbano zanieść do tronu JCMci, jego najmocniejszych zażaleń przeciw temu wszystkiemu, co uciska wolność Kościoła katolickiego w państwach JCMci i obraża prawa jego.“ [1])

Ale w Petersburgu przedstawienia tego rodzaju nie odniosły najmniejszego skutku. Nowy ambasador rosyjski, radca stanu Fuhrman, przywiózł dawne żądania co do biskupa Gutkowskiego i prekonizacyi na metropolitę Pawłowskiego, ofiarując w zamian za te doniosłe ustępstwa gołosłowne obietnice cesarskie względem „ustalenia pomyślności Kościoła i duchowieństwa katolickiego w Rosyi.“ Mimo smutnych doświadczeń zaufał papież zapewnieniom posła i zapewnieniom listownym samego Mikołaja i w r. 1841 prekonizował metropolitę a Gutkowskiemu, pismem z dnia 7. kwietnia, zalecił, aby dla dobra dyecezyi swojej zrzekł się biskupstwa, co też on rzeczywiście uczynił, usuwając się do Lwowa, gdzie aż do śmierci swojej (w r. 1864) pozostał.

W toku tych układów Mikołaj niepomny swoich obietnic, ani na chwilę nie ustał w srogiem prześladowaniu katolickiego Kościoła. Pod pozorem uwolnienia biskupów od uciążliwej administracyi majątków ziemskich, kazał zabrać na skarb wszystkie ich dobra a natomiast wyznaczyć pensye o wiele niższe od dochodów, jakie dotąd posiadali. Wartość majątków, skonfiskowanych w ten sposób w sześciu dyecezyach litewsko-ruskich, wynosiła 12,634.360 rubli srebrnych. Odliczywszy to co rząd wydawał na utrzymanie biskupów, ich kapituł i duchowieństwa po konfiskacie, okaże się, że skarb rosyjski zyskał na tej operacyi 232.378 rubli srebr. rocznego dochodu.

W Królestwie, nie pytając się wcale stolicy apostolskiej, rządził car Kościołem katolickim zupełnie dowolnie, ustanowił biskupstwo nowe w Sandomierzu, oderwał część dyecezyi, podległą dotąd biskupowi krakowskiemu, i mianował dla niej sufragana w Kielcach, w cerkwiach unickich w województwie Lubelskiem rozkazał postawić carskie wrota i ikonostasy, wreszcie rozpoczął w chełmskiej dyecezyi unickiej budowę cerkwi schizmatyckich pod pozorem, że są one potrzebne niezbędnie dla wojska stojącego tam załogą. Wszystkie te jednak środki gwałtowne i bezprawne nie mogą iść w porównaniu z t. zw. nawróceniem nieszczęśliwych unitów białoruskich i litewskich. Znalazłszy godne zamiarów swoich narzędzie w spodlonym renegacie, biskupie unickim Józefie Siemaszce, rozpoczął rząd rosyjski dzieło „nawrócenia“ zwykłym trybem, wprowadzając zamiast używanych dotychczas mszałów, wydanych w XVIII. wieku przez metropolitów Michała Kiszkę i Szeptyckiego, mszał nowy wydrukowany w Moskwie w r. 1830 a zawierający artykuły wprost niezgodne z zasadami wiary katolickiej i usuwając zwyczaj przyklękania istniejący w cerkwiach unickich. Gdy ta pierwsza próba, mimo protestacyi uczciwych kapłanów powiatu nowogrodzkiego się powiodła, jęto nakłaniać duchownych unickich do podpisania aktu zjednoczenia z cerkwią prawosławną. Robota szła niesporo, bo mimo całego nacisku ze strony rządu i oddanych mu zaprzańców, mimo gróźb, łajań, odbierania odpornym parafij i prześladowań rozmaitego rodzaju, jakie ponosić musieli wierni synowie Kościoła, znalazło się nie więcej jak 1300 kapłanów unickich, którzy tę deklaracyą ostecznie podpisali, poczem

[1]) Tamże str. 233.

synod, zgromadzony w Połocku dnia 12. lutego 1839 r., wydał akt, uznający „jedność cerkwi unickiej z cerkwią prawowierną katolicko-wschodnią“. Poprzedził go cały szereg niesłychanych gwałtów i czynów barbarzyńskich, na które wzdrygać się musi uczucie ludzkie. Bałamucąc lud wiejski obietnicą wolności, wyciągając podstępnie podpisy od dobrodusznych wieśniaków, zmuszano później tych nieszczęśliwych batogami, więzieniem i głodem do przyjęcia schizmy, zabierano przemocą cerkwie unickie dla prawosławia a księży, trwających przy unii, osadzano po monasterach, gdzie najnędzniejsze pełniąc posługi, bici i morzeni głodem, męczeńską prawie ginęli śmiercią. Taki los spotkał ks. Aleksandra Baranowskiego w klasztornem więzieniu w Żyrowicach, Adama Pliszewskiego, Jana Ratkiewicza i ks. Sosnowskiego w Byteniu; około 160 wywieziono w głąb carstwa, a któż zliczy tych, co bez wieści zniknęli w śniegach sybirskich lub w ciemnych czeluściach rozmaitych więzień carskich. Jakich środków używano względem słabych kobiet świadczy wymownie proste i rzewne opowiadanie Manryky Mieczysławskiej. Sroższą jeszcze, jeżeli można, była martyrologia biednego ludu wiejskiego, który w prostocie ducha i naiwności swojej nie mógł pojąć, aby „łaskawy“ cesarz w sposób barbarzyński gwałcił sumienia i najświętsze uczucia swoich poddanych, i szukał sprawiedliwości tam, gdzie znano tylko pragnienie zemsty i porywy najdzikszego fanatyzmu. Co chwila szły więc do stóp tronu petycye prześladowanych unitów, przedstawienia najpoddańsze szlachty, do konsystorzów biskupich skargi ludności rzymsko-katolickiej, gwałtem przeprowadzanej na schizmę. „Usłysz głos tych, którzy cierpią niezasłużone prześladowanie, monarcho, broń tych, którzy cierpią za wiarę“, tak wołają, pomiędzy innymi, do cara poczciwi unici z Lubowicz w gubernii Mohylowskiej, ale car, głuchy na ten głos rozpaczy „składa z głębi duszy dzięki Bogu wszechmocnemu, iż skłonił serca duchowieństwa ruskiego do powrotu wraz z swemi owieczkami na łono ich prawdziwej matki cerkwi prawosławnej“, a biskupom polskim, przywołanym do Petersburga (1. września 1842 r.), wyrzuca fanatyzm i jako „protektor“ Kościoła grozi surowem karaniem za złe czyny.

W najtrudniejszem położeniu znalazła się skutkiem tych wypadków stolica apostolska, papież Grzegorz XVI. Zaufawszy obietnicom uroczystym posłów Mikołaja i jego własnym zapewnieniom, doszedł on w uprzejmości swojej dla gabinetu petersburskiego do ostatecznych granic, czynił ustępstwa za ustępstwami i ujrzał w końcu, że jest ofiarą bizantyńskiej iście przebiegłości podstępnego przeciwnika, „jakoby kamień obrażenia i epoka zgorszenia przed najznakomitszą częścią trzody Pańskiej, a nawet przed całym Kościołem.“ Słusznie oburzony więc i dotknięty w najświętszych swoich uczuciach, wystawiony na najcięższe, chociaż niezupełnie zasłużone wyrzuty, wypowiedział on w allokucyi, mianej w tajnym konsystorzu w dniu 22. lipca 1842 r., boleść swoją i żałość „z powodu najopłakańszego stanu Kościoła katolickiego w cesarstwie rosyjskiem“ i podał tę przemowę wraz z objaśniającymi dokumentami do wiadomości publicznej.[1]) W Petersburgu sprawił ten krok papieża najprzykrzejsze

[1]) W języku niemieckim ukazała się Allokucya w Einsideln w r. 1842; tłumaczenie polskie staraniem znanego patryoty księgarza Stefańskiego wyszło w Poznaniu w r. 1843.

wrażenie Mikołaj nie posiadał się z gniewu i oburzenia. „Mowa papieska — pisał do Paskiewicza — pełną jest kłamstwa i niesprawiedliwości; nie mam zamiaru odpowiadać na nią, gdyż nie chcę rozpoczynać głośnych sporów; kazałem jedynie powiedzieć, że wystąpienie takie nie tylko zachwieje wszystkiemi interesami, ale przeszkodzi nawet mojej chętnej działalności dla dobra kościoła katolickiego.“ [1]) Jeżeli ton listu carskiego przekracza granice wszelkiej przyzwoitości i uszanowania należącego głowie Kościoła nawet w korespondencyi prywatnej, jeżeli zarzut „kłamstwa i niesprawiedliwości“ brzmi dziwnie w ustach mocarza, co od lat dziesięciu deptał bezwzględnie prawa boskie i ludzkie, to niezadowolenie, jakie wywołała w nim allokucya papieska, da się bardzo łatwo wytłumaczyć nie tylko uczuciem wstydu i podrażnionej dumy, ale także ówczesnem położeniem politycznem. Była to bowiem chwila, kiedy po śmierci króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III. († 1840) i po wstąpieniu na tron Fryderyka Wilhelma IV. oziębiły się znacznie stosunki pomiędzy Berlinem a Petersburgiem, kiedy rząd pruski, pod wpływem opinii publicznej w Niemczech, wrogo dla Mikołaja usposobionej, wzbraniał się odnowić kartel z Rosyą zawarty w r. 1830 na lat 12, kiedy nowy król ku największemu zgorszeniu cara zapowiedział zwołanie sejmów prowincyonalnych, a więc i sejmu w. ks. Poznańskiego, i kiedy wreszcie, skutkiem nieurodzaju w r. 1840, nadzwyczajnych wydatków na wojsko, złej administracyi i marnowania funduszów publicznych, finanse rosyjskie w tak opłakanym znajdowały się stanie, że dom bankowy Hoppego w Holandyi odmówił pożyczki najpotężniejszemu cesarstwu w Europie. A i wewnątrz carstwa objawiało się coraz groźniej głuche jakieś wzburzenie umysłów. Dnia 17. kwietnia 1841 wysadził nieznany sprawca park artyleryjski w Łazienkach w powietrze; 80-ciu żołnierzy przeszło z bronią do Prus; w Inflantach powstali chłopi, srodze przez szlachtę tamtejszą uciskani, z Homla, majątku Paskiewicza, zbiegali gromadnie rozkolnicy, a ton dzienników zagranicznych względem Rosyi przywodził feldmarszałka niemal do wściekłości i na rozpaczliwe naprowadzał pomysły.

Nie trudno sobie wyobrazić, że w tem położeniu głos namiestnika Chrystusowego, rozlegający się głośnem echem po całym świecie, dotknął Mikołaja najboleśniej, zwłaszcza gdy, nie ustając w zamachach swoich przeciw narodowi polskiemu, układał w duchu i przygotowywał nowe dla niego ciosy. Propaganda prawosławna, tajnemi drogami rozpościerająca się w Królestwie, zaczynała wydawać owoce. W krótkim czasie trzy gminy (w Lubowie, Babiczach i Potoku Górnym), należące do dyecezyi unickiej Chełmskiej, przeszły „dobrowolnie“ na prawosławie a Bazylianin, ks. Pasicz, który bronił „dobrowolnych“ prozelitów z Potoku Górnego, dostał się do więzienia. Dalsze zabiegi rządu około „nawrócenia“ chełmskich unitów rozbiły się o niewzruszoną

[1]) Jak historycy rosyjscy traktują te sprawy, dowodzi argumentacya Szczerbatowa (Rządy Paskiewicza etc., str. 2367), który mniema, że papież przestraszony powyższą groźbą Mikołaja namówił Gutkowskiego do rezygnacyi. Tymczasem list Grzegorza XVI. do Gutkowskiego był pisany dnia 7. kwietnia 1841 r., allokucya miała miejsce d. 22. lipca 1842 r., a odpowiedź na nią wyszła z Petersburga w sierpniu r. 1842, a więc w rok po rezygnacyi Gutkowskiego.

stałość biskupa ks. Szymborskiego i chlubną gorliwość Bazylianów: ks. Dubrowskiego i Krajewskiego. Ci ostatni, osadzeni za to w jakimś monasterze schizmatyckim, zdołali szczęśliwie umknąć za granicę i dostali się do Rzymu.

Zdawało się rządowi przez chwilę, że następca Szymborskiego, Taraszkiewicz, będzie powolniejszym. „Teraz można mieć nadzieję — pisał Paskiewicz — że wszyscy unici podpiszą się na przyłączenie. Chciałbym, żeby się to stało jak najprędzej, gdyż raz tylko jeden pogniewalibyśmy się z papieżem, a teraz każda wieś, przechodząca na prawosławie, wywołuje takie gniewy.“ Ale i te nadzieje zawiodły, bo Taraszkiewicz, jakkolwiek „kochał obrządek słowiański, nie chciał przyłączenia unitów do cerkwi prawosławnej“.

Niestrudzony w swoich zabiegach Mikołaj powziął obecnie zamiar inny dla kościoła katolickiego wielce niebezpieczny, oto poddać duchowieństwo w Królestwie pod zarząd t. zw. Kollegium katolickiego w Petersburgu. Podobna zmiana sprzeciwiała się wprawdzie wręcz bulli Piusa VII. z d. 30 czerwca 1813 r., w której powiedziano wyraźnie, że „sąd i zarząd interesami duchownymi każdej dyecezyi należy wyłącznie do jej biskupa, w niczem jednak nie ujmując kanonicznej zależności od stolicy apostolskiej“, ale cesarz nie zwykł był zważać na takie drobnostki i zażądał od Paskiewicza przysłania dwóch biskupów do Petersburga. „Gdy oni tu będą — pisał — wtedy wprost zamianuję ich członkami kollegium duchownego. Tym sposobem rzecz całą zapoczątkuję, a później zdecydujemy, jak sprawy duchowne w Polsce mają tutaj być rozstrzygane“, Paskiewicz nie zupełnie zgadzał się z tą polityką iście żołnierską, ale w końcu nakłonił dwóch biskupów polskich do podróży petersburskiej, pod pozorem zaproszenia na konsekracyą metropolity Pawłowskiego. Działo się to w połowie r. 1841. Tymczasem niebawnie nastąpiło owo oziębienie stosunków z kuryą rzymską i allokucya papieska i sprawę rozpoczętą trzeba było zaniechać. Wogóle zachowanie się duchowieństwa polskiego, które, z bardzo nielicznymi wyjątkami, wytrwale broniło spraw kościoła i narodu, sprawiało wiele kłopotu Paskiewiczowi. Na próżno wysyłał on nieposłusznych księży do więzienia, urządzonego umyślnie w tym celu, w województwie Augustowskiem, nadaremnie osadzał po monasterach śmielszych kapłanów unickich, często powtarzające się skargi, jakie roztacza przed cesarzem na kler polski, świadczą wymownie o bezskuteczności tych repressyjnych środków. Energiczna allokucya papieska podniosła na duchu uciśnionych i prześladowanych, a mimo surowego zakazu znoszenia się z stolicą apostolską, posiadał papież widocznie dokładne o sprawie kościoła polskiego wiadomości i stosował podług tego swoje postępowanie. Kiedy namiestnik na jedną z opróżnionych stolic biskupich przedstawił kanonika Kotowskiego, który przy wielkich uroczystościach rządowych wygłaszał wiernopoddańcze kazania, kurya rzymska odrzuciła tę kandydaturę i biskupem został ks. Fijałkowski, późniejszy arcybiskup i metropolita warszawski. Paskiewicz przypisywał opozycyjne stanowisko duchowieństwa polskiego względem rządu szkodliwemu działaniu ks. Dekerta, który w prostej linii pochodził od słynnego w swoim czasie prezydenta Warszawy, ale ostatecznie złemu zaradzić nie zdołał. Tak przedstawiał się w najogólniejszych zarysach stan prowincyj zabranych i Królestwa w pierwszych latach

po powstaniu. Polityka rządu rosyjskiego, wytężona ku zniszczeniu narodowości polskiej, skierowała zamachy swoje głównie przeciw najoświeceńszym warstwom społeczeństwa, przeciw duchowieństwu, szlachcie i inteligencyi, bo wiedziała, że one są jądrem narodu i filarem polskości; obok tego zaś uderzyła także na kościół i odrębne instytucye Królestwa, jako oparte na prawach, nie podlegających samowoli carskiej. Znieść te zapory despotyzmu i prawosławia, wtłoczyć społeczeństwo polskie w zakrzepłe formy rosyjskiej administracyi i urzędowej cerkwi, aby tą drogą snadniej ducha narodowego ujarzmić i zatopić go w otchłani panrusycyzmu — oto były cele, do których zmierzał Mikołaj i jego najbliżsi doradcy.

Z całą zaciekłością więc uderzył w unią katolicką, przejętą żywem uczuciem narodowem; grom jego spadł na biednych parochów i mnichów Bazyliańskich, którzy pochodzili przeważnie z drobnej szlachty rusko-polskiej i w duchu polskim działali jako kapłanie i nauczyciele; po nich przyszła kolej na kościół katolicki, który trzeba było oderwać od wszelkich związków z stolicą apostolską. Z jaką przebiegłością i okrucieństwem wykonywano ten program, świadczą, oprócz przytoczonych już, inne jeszcze przykłady, że tu wspomnimy ks. Romana Sanguszkę, który nie tylko stracił olbrzymi majątek, ale nadto z wyraźnego cesarskiego rozkazu odbyć musiał, jak zwykły zbrodniarz, pieszo podróż na Kaukaz, dokąd go wysłano. Odsłużywszy tam dziesięć lat w wojsku, mianowany w końcu oficerem, prosił on naprzód o dymissyą, a gdy na to nie pozwolono, o przeniesienie do służby rządowej, cywilnej. Mikołaj, uwzględniając wzorowe zachowanie się wygnańca i odwagę okazaną w wojnie z Czerkiesami, kazał mu udać się do Moskwy i tam pełnić obowiązki najniższego urzędnika policyjnego. Dopiero wskutek głuchoty nieuleczalnej, którą stwierdził umyślnie w tym celu przysłany z Petersburga lekarz przyboczny carski, mógł książe uzyskać uwolnienie od służby zarówno przykrej jak i poniżającej wykształconego człowieka.

W Królestwie niszczono systematycznie wszelkie ślady odrębności i niezależności. Nie tylko więc zniesiono konstytucyą, wojsko polskie i barwy narodowe, ale zmieniono także herb dotychczasowy, zastępując orła polskiego dwugłowym rosyjskim, zaprowadzono na wniosek Paskiewicza nowy podział kraju na gubernie, usuwając nazwę województw, od r. 1840, po reformie monetarnej ministra Kankrina, wprowadzono rachunkowość w rublach srebrnych rosyjskich, mennicę wywieziono do Petersburga. Równocześnie z tem burzeniem dawnego porządku wzmagał się terorysm, rozwijał system policyjny, upadała oświata. Naczelnicy wojskowi aż do rangi kapitana, wyposażeni władzą nieograniczoną, odbywali po domach rewizye, więzili podejrzanych, prześladowali niechętnych lub tych, którzy im się opłacić nie chcieli. Samowola, gwałt, nie rzadko rabunek były na porządku dziennym. Sam namiestnik, groźny i nieubłagany, oparty na stutysięcznej armii, rządził krajem po dyktatorsku, wydawał rozkazy coraz to surowsze, imieniem swojem siał przestrach i przerażenie nie tylko pomiędzy Polakami, ale i Rosyanami. Jego dziełem było wysłanie owej haniebnej deputacyi do Petersburga, którą szczycił się następnie, jako doniosłym aktem politycznym. „Nigdy nie spodziewałem się — tak pisał

do cesarza dnia 1. kwietnia 1832 r. — żeby najlepsze rodziny się na to zgodziły. Demagodzy liczyli na nie. Proszę sobie wyobrazić ich rozpacz; gadają teraz, żeśmy deputatów kupili; jednem słowem, skompromitowani tem rewolucyoniści nigdy im tego nie przebaczą. Tym sposobem rodziny te będą nam odtąd mimowoli oddane.“ Drugim taranem, rozbijającym znękane społeczeństwo polskie, stała się amnestya, która wnosiła rozdwojenie, podawała bowiem w pogardę lub podejrzenie u swoich, tych co z łaski carskiej skorzystali albo też

Makryna Mieczysławska przełożona Bazyliamek na Litwie odrzuca pismo apostaty Siemiaszky przejścia na prawosławie ur. r. 1839.

sami przed nową władzą się korzyli. W takich warunkach obywatele niezależni i uczuciem patryotycznem ożywieni, usunęli się od wszelkiego udziału w sprawach publicznych, zamknęli się szczelnie w obrębie życia rodzinnego i, nasłuchując wieści z zachodu, krzepili się nadzieją lepszej przyszłości. Polityka rządu mściwa, nieubłagana, gwałtowna, nie zdołała więc stworzyć w kraju oddanego sobie stronnictwa, lecz, działając jedynie strachem, zmusiła naród do uległości i biernego posłuszeństwa, poza którem krył się żal, uzasadniona nie-

nawiść i pragnienie zemsty. Wiedział o tem dobrze Paskiewicz. „Posłuszeństwo szlachty polskiej — mówił do Bibikowa — to maska, pod którą ukrywają swe winy“, i dlatego nie zmieniał systemu, przeciwnie używał środków coraz ostrzejszych i w swojem mniemaniu skuteczniejszych, a czuwał tylko nad tem, aby jego władza namiestnicza żadnego nie doznała ograniczenia. Jeżeli więc Królestwo zachowało za jego czasów przynajmniej cień pewien odrębności i autonomii, to przypisać należy tę okoliczność wyłącznie osobistym pobudkom, jakiemi się kierował ulubieniec carski. Przeciwnie wszędzie, gdzie zakres władzy namiestniczej ścieśniały istniejące dotąd instytucye lub prawa, rozpoczynało się systematyczne burzenie tych zabytków polskości i konstytucyjnego bytu. Tak postarał on się o zniesienie rady stanu, utrzymanej przez statut organiczny, tak zamiast sądu najwyższej instancyi zaprowadził w Warszawie w r. 1842 dwa departamenta senatu i uzyskał w ten sposób taki wpływ na sądownictwo, jakiego w całem państwie nie posiadał nikt, nawet sam minister sprawiedliwości. Z ważniejszych instytucyj publicznych w Królestwie utrzymały się dwie: towarzystwo kredytowe ziemskie i bank polski; pierwsze nie tylko dlatego, że upadek jego pociągnęłby był za sobą ruinę właścicieli ziemskich, ale dla wygody samego rządu, który znajdował się w kłopotach finansowych, i w towarzystwie zamożnem i dobrze administrowanem, zaciągnął znaczną pożyczkę na hipotekę dóbr narodowych. Drugi, bank polski, okazał się także niezbędnie potrzebnym. Zarządzono wprawdzie bardzo ścisłe śledztwo co do użycia funduszów bankowych w czasie powstania, znaleziono jednak wszystkie rachunki w wzorowym porządku i nie zdołano wykryć najmniejszego nadużycia. Było to w znacznej części zasługą Henryka Łubieńskiego, który, po wysłaniu Jelskiego za granicę, objął naczelne kierownictwo tej instytucyi, jakoteż sumienności i uczciwości władz powstańczych, które nawet miliony, wywiezione za granicę pruską, z Brodnicy przez Łubieńskiego odesłały do kasy bankowej. Tak osławiona niesłusznie przez obcych i swoich „gospodarka polska“ wyszła z najtrudniejszych stosunków bez skazy, ratując tak jak armia polska honor nieskalany i cześć narodu. A taka była żywotność i siła tych instytucyj, że kurs listów zastawnych towarzystwa kredytowego po powstaniu zaledwie cokolwiek się obniżył, a bank polski mógł natychmiast podejmować znaczne przedsiębiorstwa jak np. budowę dróg publicznych, których wykonanie wyborne, trwałe i tanie, budziło podziw dygnitarzy rosyjskich, przyzwyczajonych do niesumienności przedsiębiorców i czynowników w zakresie robót tego rodzaju. To też pomimo że radca stanu Fuhrmann, nie umiejący ani słowa po polsku, objął urząd dyrektora czyli ministra skarbu w Królestwie, pozostało kierownictwo naczelne banku polskiego w rękach polskich. — Najgorzej przedstawiał się stan szkół i oświaty. Wspomniano wyżej już o ogólnym kierunku edukacyi za czasów Mikołaja. System powszechnie przyjęty w państwie nie mógł być lepszym w Polsce, owszem cechuje go tu wybitniejsza jeszcze dążność do ograniczenia oświaty, do powstrzymania wszelkich postępów nauki i wykształcenia. Świadczą o tem wymownie cyfry budżetowe. Na cele edukacyjne wydawał rząd w Królestwie rocznie 368.000 rubli, ale i z tej drobnej sumy obracano część znaczną na utrzymanie administracyi wyższej, ministeryum

oświaty, na opłacanie komitetu cenzury, na nowe budowle i reparacye gmachów szkolnych, na dozór nad drukarniami i litografiami, wreszcie na popieranie handlu rosyjskiemi książkami.[1]) Szkołom dostawały się więc tylko okruchy, a i z tych część nie małą zabierali nauczyciele języka rosyjskiego, uposażeni lepiej od Polaków.[2])

W największem zaniedbaniu znajdowały się szkoły elementarne. W roku 1833 zaprowadzono instytucyą t. zw. opiekunów szkół parafialnych, w osobach właścicieli albo rządców dóbr, ale czynność ich była wyłącznie niemal administracyjna. Duch panujący w tych szkółkach, zaprowadzenie w nich nauki obowiązkowej języka rosyjskiego, usposobienie nauczycieli wreszcie, którzy zazwyczaj bywali pokątnymi doradcami włościan, nieprzyjaciółmi dworu a nierzadko i denuncyantami obywateli, zraziły szlachtę do popierania oświaty tego rodzaju. Dla rządu była ta niechęć i obojętność wielce pożądaną. I on nie troszczył się o rozwój szkół ludowych; fundusze płynące ze składek przelewał w znacznej części, po opłaceniu wydatków na niezbędne potrzeby, do banku, rzekomo na utworzenie żelaznego funduszu szkolnego, w istocie na rozmaite inne cele, a w r. 1851 wydał rozporządzenie polecające, aby włościan nie zmuszać do zakładania i utrzymywania szkół, ani też do obowiązku posyłania do nich dzieci.[3])

W zakresie wychowania średniego odbywały się po roku 1831 bezustanne próby i reformy, któremi kierował podległy bezpośrednio ministrowi oświaty zarząd t. zw. okręgu naukowego warszawskiego, ustanowiony na miejsce dawnego wydziału oświecenia komissyi spraw wewnętrznych. Plan edukacyi był zastosowany do przepisów obowiązujących w cesarstwie, gdzie główna dążność zasadzała się na ograniczeniu nauki języków i literatury starożytnej i na wprowadzeniu mechanicznego, czysto pamięciowego wyuczania się zadanych lekcyj. Ażeby zaś młodzież zwrócić ku praktycznym celom i zajęciom, utworzono w r. 1845 szkoły realne, założono szkołę rolniczą w Marymoncie i smutnej sławy instytut Aleksandryjski dla wychowania dziewcząt, mający właściwie cel wynarodowienia i zdemoralizowania kobiet polskich. Oczywiście, że w całym systemie edukacyjnym odgrywała bardzo ważną rolę nauka języka rosyjskiego, a gdy mimo usilnych starań postępy uczniów w tym przedmiocie były bardzo mierne, postanowił przemyślny Gołowin zaprowadzić w szkołach Królestwa wykłady historyi rosyjskiej po rosyjsku. Ale i tu spotkała go niemiła niespodzianka, bo minister oświecenia Uwarów doniósł wnet Paskiewiczowi, że z pomiędzy uczęszczających na uniwersytet moskiewski nikt nie oświadczył się z gotowością objęcia posady nauczycielskiej w Królestwie. Jeszcze mniej powodzenia miał plan samego Mikołaja, aby abecadło polskie zastąpić rosyjskiem. Przez cały rok pracowała nad tym dziwacznym pomysłem osobna komissya i doszła oczywiście do wniosku, że alfabet podobny byłby równie niezrozumiałym dla Polaków jak i dla Rosyan. Minister Uwarów przedkładając w tym względzie raport carowi, zakończył wywód swój następującą rozsądną

[1]) Szczerbatow: Rządy Paskiewicza etc., str. 199.

[2]) Pobierali oni w gimnazyach 6400 złp., w szkołach obwodowych 4000 złp.

[3]) Skarbek, III., 82.

uwagą: „Wszelkie wynalezienie nowego abecadła może mieć powodzenie tylko w chwili, gdy w danym narodzie poczyna się piśmiennictwo; przynajmniej historya języków nie przedstawia przykładu, ażeby wytworzenie nowego abecadła, lub znaczne w niem zmiany, w późniejszej epoce rozwoju udać się mogły.“ Już to ogółem nie powodziło się polityce rusyfikacyjnej w Królestwie. Budowano wprawdzie cerkwie prawosławne, pomiędzy innemi cerkiew pamiątkową na Woli, wznoszono pomnik poległym za wierność dla cara Polakom na Saskim placu, przemalowywano słupy na barwy rosyjskie, ale kolonizacya włościan rosyjskich w okolicy Modlina, z wielkiemi połączona kosztami, przyniosła tylko ten skutek, że koloniści przyjęli język i obyczaje polskie. Jedni sekciarze, raskolnicy, przeniesieni na grunt Królestwa, zatrzymali swój charakter narodowy, a ci jako odszczepieńcy religijni nie byli dobrze od rządu widziani.

Zebrawszy razem te spostrzeżenia ogólne nad polityką rosyjską w Polsce po powstaniu, dojdziemy do wniosku, że usiłowania Mikołaja, dążące do zgnębienia Polaków i zespolenia ich z Rosyą, były wprawdzie dla narodu polskiego bolesne i upokarzające, ale celu zamierzonego nie osiągnęły. Wywróciwszy cały porządek dawniejszy, zalawszy ziemie polskie morzem krwi i łez, zniszczywszy dobrobyt tysięcy, popełniwszy nieprzeliczoną ilość niesprawiedliwości, gwałtów i okrucieństw, nie zdołał on ani wytworzyć w kraju stronnictwa sobie oddanego, ani nawet nasycić zemsty swojej. Siejąc postrach zbierał w plonie nienawiść, ukrytą pod płaszczem wymuszonej uległości; z poddanych miał to co chciał mieć: powolnych niewolników, czekających tylko chwili sposobnej do zrzucenia kajdan. Takie były skutki systemu, zatruwającego przez lat 30 życie narodowe i społeczne, zarówno Polaków jak i, w mniejszym oczywiście stopniu, Rosyan, systemu, który nosił w sobie zarody przyszłych katastrof. Nie w zniesieniu konstytucyi też, nie w narzuceniu statutu organicznego, ale w tym naczelnym kierunku, nadanym całej polityce względem Polaków, tkwiło jądro złego, leżała przyczyna wszystkich nieszczęść jakie naród polski w tym okresie spotkały, i hr. Aleksander Strogonów miał wiele słuszności, gdy ustępując z wybitnego swego stanowiska w Królestwie powiedział: „Cały rząd kraju mógłby być znośnym, gdyby rzeczy nie szły w nim po rusku, po kozacku.“

Emigracya. — Walka stronnictw. — Wyprawa Zaliwskiego. — Stosunki galicyjskie. — Zjazd w Münchengrätz. Jeszcze gwar wojenny nie ustał nad brzegami Wisły, jeszcze armia Paskiewicza w trwożliwym swoim pochodzie nie dosięgnęła mostów pod Nieszawą, kiedy nieudolność Giełguda rzuciła na ziemię pruską pierwszy znaczniejszy korpus polski. Łudzono się wtedy nadzieją, że to przejście będzie tylko chwilowem, że gabinet berliński, wierny własnemu swemu rozporządzeniu z dnia 11. lutego, pozwoli powrócić żołnierzom polskim do kraju, jak to uczynił był z oddziałem rosyjskiego pułkownika Bartołomieja, Chłapowski nawet, który, o ile się zdaje, najwięcej miał ufności w tę wspaniałomyślność pruską, wystosował w tym duchu do króla podanie, ale zanim odpowiedź nadeszła, wypadki przybrały już inny, niepomyślniejszy dla powstania obrót i rząd pruski nie poczuwał się do obowiązku dotrzymania obietnic swoich względem zwyciężonych i bezbronnych. Odpowiedź

królewska, dziwnie spóźniona, bo pochodziła z dnia 5. września, była bądź wymijająca, bądź odmowna, a tymczasem wojsko polskie, przebywszy uciążliwą kwarantannę, pod gołem niebem, wśród najprzykrzejszych warunków, zostało rozmieszczone po kwaterach w Samlandyi, w okolicach Królewca i Kłajpedy, aby się tam doczekać ostatecznej katastrofy powstania i nowych towarzyszów niewoli i niedoli. Wieści hiobowe nadchodziły też jedna po drugiej; usłyszano, że Warszawa dostała się w moc nieprzyjaciół, że Ramorino złożył broń w Galicyi, w końcu, że Rybiński z głównemi siłami wkroczył do Prus. Wielka tragedya dziejowa była skończona, skończyło się życie pełne chwały i nadziei a przed okiem nieszczęśliwych bojowników wolności otwierała się przyszłość chmurna, niepewna, pełna trosk i cierpień niewypowiedzianych i nieodgadnionych, okres tułactwa albo sroższej niż przedtem niewoli.

W tem położeniu ciężkiem, rozpaczliwem, znalazło się około 50.000 ludzi. Był to kwiat społeczeństwa polskiego. Osoby, zajmujące najwybitniejsze w kraju stanowisko, wskutek pochodzenia, majątku, zdolności, zasług i piastowanych urzędów, pisarze utalentowani, którzy dziełami swemi mieli rozsławić imię polskie po świecie, oficerowie, pełni ducha rycerskiego, doświadczeni w swoim zawodzie, co orężem zdobyli sobie chwałę nieśmiertelną u obcych, wreszcie cała rzesza żołnierzy, fizycznie zdrowych i do pracy zdolnych. Cały ten zasób talentów rozmaitego rodzaju, sił moralnych i fizycznych, był niepowrotnie prawie dla kraju stracony i z tego powodu emigracyą za klęskę uważać należy. Z drugiej strony zaprzeczyć się nie da, że ci sami ludzie, z mocy uzdolnienia swego przeznaczeni do odegrania pierwszej roli w życiu narodowem, wyrzuceni siłą wypadków poza granice ziemi ojczystej i tam nieskrępowani jarzmem obcem, mogli wrodzone sobie talenta swobodniej i śmielej rozwinąć i działaniem swojem przyczynić się do podniesienia narodu z ciężkiego upadku. Emigracya w takiem pojęciu, jak je określił poetycznie Mickiewicz w Księgach Pielgrzymstwa lub Mochnacki w swoich artykułach politycznych, stawała się też czynnikiem, w życiu społeczeństwa polskiego ważnym, w działaniu swojem potężnym i dla rządów zaborczych groźnym.

„Emigracyą polską — pisał Mochnacki [1]) — porównywać trzeba z wierzchołkiem drzewa, mającego korzenie swoje we wnętrznościach ojczystej ziemi. Każde zatrząśnienie tej napowietrznej korony jakby elektryczną mocą odezwie się około podnóża.“

W Petersburgu, w Berlinie i w Wiedniu zdawano sobie dobrze sprawę z tego znaczenia tułactwa polskiego i przypominano legiony, które tyle kłopotów sprawiły rządom zaborczym i takie zasługi położyły około sprawy narodowej. Obecnie, gdy cała Europa trzęsła się od ruchów ludowych, gdy krwawe widmo rewolucyi płoszyło sen spokojny z powiek dyplomatów, budziła tłumna emigracya polska żywe i uzasadnione obawy gabinetów. Przeszkodzić temu wychodźtwu więc stało się najważniejszem dla rządów zadaniem; dopełniła go Austrya, dopełniły z większą jeszcze gorliwością i okrucieństwem nawet Prusy. W Galicyi generał Bertoletti podstępem odprowadzać kazał żołnierzy i podoficerów polskich do granicy i tam wydawał zwiedzio-

[1]) W Pamiętniku Emigracyi z r. 1832.

nych w ręce władz rosyjskich, za co otrzymał od Mikołaja order św. Anny. Z oficerami trzymano się innej taktyki, dawano im więcej swobody, wreszcie zażądano od nich deklaracyi, dokąd udać się zamierzają. Wtedy utworzyły się dwie partye: jedna, mniej liczna, z generałami Zawadzkim i Bielińskim na czele, postanowiła powrócić do Królestwa, druga przeniosła tułactwo nad poddanie się. Tymczasem z Wiednia, wskutek przedstawień rosyjskich, zawiał wiatr dla Polaków nieprzychylny. Ks. Lobkowitz, gubernator Galicyi, znany ze swoich sympatyj polskich, został odwołany, miejsce jego zajął arcyksiąże Ferdynand d' Este i w listopadzie r. 1831 zaczęto oficerów polskich wywozić do Morawii a stamtąd dawać paszporta za granicę, do Francyi, wypłacając na koszta podróży od granicy bawarskiej po 246 cwancygierów. Inaczej było w Prusiech. I tu także starano się po ogłoszeniu amnestyi skłonić żołnierzy polskich do powrotu. Stęsknieni za krajem usłuchali oni w znacznej części wezwania i w grudniu odeszło do Polski 12.500 szeregowców i około 1500 oficerów. Pomiędzy tymi co pozostali zaczęła kiełkować myśl inna. Wobec niepewnego stanu rzeczy w Europie zachodniej, wobec zaburzeń we Francyi, Portugalii i Belgii, wrzenia umysłów w Niemczech, zdawało się, że lada chwila wynikną jakieś znaczniejsze zawikłania, z których i Polska skorzystać będzie mogła. Zachować się więc na ten czas, wznowić świetne tradycye legionów i z orężem w dłoni dobijać się lepszej przyszłości, oto były marzenia, którym się oddawali młodzi zwłaszcza oficerowie, które pragnął w czyn zamienić niestrudzony i niezrażony niepowodzeniami generał Bem. On jeden z pomiędzy wyższych oficerów nie stracił ducha, on jeden utrzymał ścisłe stosunki z żołnierzami, on troszczył się o ich los i przyszłość, on podjął plan przeprowadzenia wojska polskiego do Francyi i z niepożytą energią wziąwszy się do dzieła, rozwinął agitacyą żywą wśród obozów polskich i przez generała Pelleta przygotowywał swoim towarzyszom broni schronienie na ziemi francuskiej. Usiłowania Bema poparli oficerowie z korpusu artyleryi; urządzono składkę dla tych, którym rząd pruski żołdu nie płacił, chcąc ich w ten sposób zmusić do przyjęcia amnestyi, Bem sam udał się do Francyi a w przejeździe przez Niemcy wzywał ludność tamtejszą do tworzenia komitetów polskich. Jakoż na głos bohatera z pod Ostrołęki, którego imię znane było zaszczytnie na zachodzie, ruszyli się Niemcy, ale zawiódł rząd francuski. Pomoc pieniężna, szczupła i niedostateczna, płynęła tylko od prywatnych. Komitet polski w Paryżu, pod prezydenturą Lafayetta, wysłał zaledwie 30.000 franków, przewodniczący komitetu amerykańskiego dr. Samuel Howe powiózł podobną sumę. Ale tu wdały się w sprawę Prusy. Agent Lafayetta musiał z niczem powrócić od granicy pruskiej, Howemu nie pozwolono zbliżać się do Polaków, wreszcie aresztowano go i wywieziono do Berlina. Równocześnie Prusacy zaczęli różnemi sposobami nakłaniać żołnierzy do powrotu do kraju. Generał Rummel i major Brandt, niegdyś kapitan w legii nadwiślańskiej, rozwinęli w tym względzie niezmierną gorliwość. Oddzieliwszy żołnierzy polskich od oficerów, starali się oni namową, rozsiewaniem fałszywych wieści, odjęciem żołdu, groźbą wreszcie i gwałtem dopiąć zamierzonego celu. W Elblągu, w Neuteich, w Tczewie, mianowicie zaś w Fischau, przyszło z tego powodu do znacznych zaburzeń, przyczem

Prusacy strzelali do bezbronnych rozbitków. W Fischau w skutek nieporozumienia zginęło od kul pruskich ośmiu żołnierzy polskich, kilkunastu odniosło rany. Takiemi nieludzkiemi środkami powiodło się Prusakom zmusić do powrotu blisko 3000 Polaków, resztę, którzy wytrwali, zamknięto w twierdzach, w Gdańsku, w Piławie i Grudziądzu. Rummel i Brandt otrzymali w nagrodę usług swoich ordery rosyjskie, ale oburzenie opinii publicznej na ich barbarzyńskie postępowanie było tak wielkie, że stary król musiał obu odwołać.

Z oficerami obchodzono się względniej, wydawano paszporty, udzielano zasiłków na podróż niezamożnym, pozwalano brać ze sobą służących. Ta ostatnia okoliczność była szczególniej ważna, bo ułatwiła znacznej liczbie żołnierzy polskich wyjazd za granicę. Pomiędzy nimi znajdował się także przebrany kapitan Skulski, którego z powodu zastrzelenia Giełguda pilnie władze pruskie poszukiwały. W połowie grudnia 1831 r. zaczęły opuszczać granice monarchii Hohenzollernów oddziały wychodźców, czyli t. zw. kolumny, liczące po 50, po 100 i po więcej osób. Oprócz tego w pojedynkę, zazwyczaj pieszo o głodzie i chłodzie przemykali się ku zachodowi prości żołnierze, którym udało się wymknąć z więzienia i omylić czujność żandarmów pruskich.

W Niemczech, od granicy saskiej począwszy, obejmowały nad wychodźcami opiekę komitety miejscowe, powołane do życia nie tylko sympatyą Niemców dla powstania polskiego, ale i staraniem Bema. Niestrudzony i niezrażony zawodami, jakich doznał, rozesłał on po głównych szlakach gorliwych oficerów, jak kapitana Bansemera, ks. Janusza Czetwertyńskiego, Mikuckiego, Wincentego Pola, którzy rozdawali pomiędzy przybyłych pieniądze, bieliznę i ubrania, ułatwiali trudności paszportowe i dzięki przychylności mieszkańców i trafnym rozporządzeniom Bema, pokonywali szczęśliwie wszelkie przeszkody ze strony władz, często nieżyczliwych, utrzymywali wzorowy ład i porządek.

Przyjęcie, jakiego doznali wychodźcy polscy na ziemi niemieckiej, przechodziło najśmielsze nawet marzenia. Ludność cała, szczególniej młodzież i kobiety witała z nieopisanym zapałem bohaterów z pod Grochowa, Stoczka, Igań i Ostrołęki; miasta gorzały od illuminacyj, festynom, mowom powitalnym i owacyom rozmaitego rodzaju nie było końca; nie rzadko wyprzęgano konie z powozów, aby własnemi rękami wieźć upragnionych gości, obrzucano ich kwiatami, obsypywano podarunkami, zaręczano, że Polska powstanie z pomocą Niemców, wołano: „Niech żyje Polska, niech żyje wolność, precz z tyranami“, prześcigano się w ofiarności. Wszystkie warstwy społeczne, bez wyjątku, brały udział w składkach. Płynęły datki prawdziwie rozrzewniające jak: „od kilku głuchoniemych, gorących przyjaciół Polski“, „od klasy małych dziewcząt szkoły mieszczańskiej“, od „kwakrów z osady Herrnhut, Boże! pomóż biednym Polakom.“ Dzienniki zamieszczały artykuły, pełne zapału i sympatyi dla Polaków, historyk Raumer wydawał swoje dzieło „O upadku Polski“, poeta Mosen ogłosił znaną pieśń „Die letzten Zehn vom vierten Regiment“ (Tysiąc walecznych), Platten-Hallermünde swoje „Polenlieder“. Nawet dwory panujące niemieckie podzielały ten zapał powszechny: ks. Ernest Gotajski podejmował na zamku swoim wspaniale emigrantów, kupował od nich do swego zbioru monety polskie, płacąc za sztukę po dwa luisdory; król saski

Antoni dawał im dowody największej przychylności; księżna weimarska, siostra cara Mikołaja, przysłała żonie pewnego podoficera polskiego, która towarzyszyła mężowi w męskiem ubraniu, cały strój kobiecy, czego jednak ze względu na pochodzenie ofiarującej nie przyjęto. Jednem słowem przejście Polaków przez Niemcy zamieniło się w prawdziwy pochód tryumfalny, w olbrzymią europejską manifestacyą dla sprawy polskiej i wolności. To też słusznie pisał Ludwik Börne, bawiący wtenczas w Paryżu: „Przebiegli mężowie stanu! O krzywdach i zdradach, zadanych przez Austryą i Prusy Polakom, nie pozwalaliście pisać gazetom, a teraz puszczacie na kraj tysiące kaznodziejów, którzy rozpowiadają, co wycierpieli, i nauczają nas, jak się cierpieć przestaje.“

Za późno spostrzegły rządy doniosłe znaczenie wpływu polskiego, za późno, na reklamacye petersburskiego gabinetu, zamknięto komitety polskie w Niemczech, owo „ptactwo zapowiadające burzę“ (die Sturmvögel der Revolution) przeleciało tymczasem przez środkową Europę jak tchnienie wolności, rozbudziło uczucia, kiełkujące powoli w umysłach niemieckich, i zapaliło je tem pragnieniem swobody, które w 17 lat później w czyn zamienione, zachwiało podwaliny absolutyzmu i reakcyi.

W granicach francuskich spotkali się wychodźcy polscy z znacznie chłodniejszem usposobieniem. Rząd króla Ludwika Filipa, obawiający sią wojny i wewnętrznych rozruchów i wystraszony owemi zaburzeniami, jakie powstały na wiadomość o zdobyciu Warszawy, przyjmował wprawdzie Polaków, ale spoglądał na nich z niedowierzaniem i trwogą, jako na materyał łatwo zapalny i na wskróś rewolucyjny. Ówczesny prezydent ministrów, Kazimierz Perier, z zawodu bankier, przedstawiciel tej polityki mieszczańsko-kramarskiej, która była charakterystyczną cechą monarchii lipcowej, nie mający doświadczenia w sprawach publicznych, unikający wszelkich zatargów, obliczał nadto z góry owe miliony, jakie skarb francuski na utrzymanie tułaczy polskich będzie musiał wydawać, i rozważał kłopoty, jakie nagromadzenie kilku tysięcy ludzi, bądź co bądź wykolejonych i rozżalonych klęską doznaną, wywołać może. Aby temu zapobiedz, wzbronił on więc emigrantom przebywać w Paryżu, wojskowych skierował do Awinionu, cywilnych do Chateauroux, a chcąc uniknąć wszelkich reklamacyj ze strony polskiej, nie przyjmował wcale Bonawentury Niemojowskiego, który, jako ostatni prezes rządu, opiekował się z początku wychodźcami. Społeczeństwo francuskie nie zgadzało sią z tą małoduszną polityką ministerstwa, przeciwnie usposobione najprzychylniej dla sprawy polskiej, przyjmowało tułaczy naszych serdecznie i życzliwie, widziało w nich szermierzy wolnosci, dawnych towarzyszy broni, uczestników napoleońskiej chwały, ofiary despotyzmu i przemocy. Ale te przekonania panowały głównie w uboższych warstwach ludności i kołach opozycyjnych, które w sprawie polskiej widziały broń skuteczną przeciw ministerstwu; sfery rządowe zachowywały się obojętnie i podejrzliwie. Okoliczności te są bardzo ważne, bo tłumaczą nam poniekąd owe kierunki i prądy, jakie powstały i rozwinęły się potężnie w łonie emigracyi, z większą szkodą niż pożytkiem dla sprawy narodowej.

Porywanie unitów na Podlasiu z pośród rodziny.

Wiadomo, w jakim stanie znajdowało się społeczeństwo polskie w przededniu upadku powstania. Niepowodzenia i klęski wywołały ogólne rozgoryczenie, podnieciły do najwyższego stopnia waśń wewnętrzną, stały się przyczyną wzajemnej nieufności i ubolewania godnych wypadków. To co nastąpiło potem, nie mogło ukoić rozpłomienionych umysłów, rozkiełznane namiętności straciły wszelką miarę w ocenianiu ludzi i wypadków; żal po stracie najmilszych nadziei odbierał możność zastanawiania się i przedmiotowego sądu, wydawano więc wyroki coraz bezwzględniejsze i surowsze, potępiano się nawzajem. Było to bezsilne szamotanie się z losem tych, co

Utraciwszy rozum w mękach długich
Plwali na siebie, żarli jedni drugich.

W takiem usposobieniu opuszczali tułacze ziemię rodzinną a wędrówka po obcych krajach, z tylu przeciwnościami i przykrościami połączona, nie była w stanie uśmierzyć serc zakrwawionych. Niezgoda, raz zażegnięta, trwała więc dalej i rosła w miarę dolegliwości, jakie nieszczęśliwych pod obcem niebem spotykały. Przedmiotem pocisków były oczywiście osoby u steru władzy stojące, członkowie rządu narodowego i ministrowie. Zarzucano im kunktatorstwo w polityce, brak zaufania w siły narodowe, spuszczenie się na obcą interwencyą i układy, wreszcie ograniczenie celu powstania do utrzymania konstytucyjnego Królestwa kongresowego. Że w tem wszystkiem było bardzo wiele prawdy, temu, zwłaszcza po świetnych wywodach Mochnackiego i po ogłoszeniu tylu nowych źródeł, niepodobna dziś zaprzeczyć, ale wniosek, jaki stąd wysnuwali przeciwnicy rządu narodowego, był dziwny i nielogiczny. Bo jeżeli obca pomoc naród polski zawiodła, jeżeli powstanie upadło pomiędzy innemi, dlatego, żeśmy się zanadto na interwencyą oglądali, to wynikała stąd prosta nauka, że odtąd tylko na własnych trzeba polegać siłach i w stosownem a skutecznem ich rozwinięciu wszystkie swoje pokładać nadzieje. Tymczasem ci, co wytykali słusznie błędy polityczne rządu narodowego, nie umieli nic lepszego wymyśleć jak odwołanie się do ludów, ci co potępiali żebraninę po gabinetach, puścili się na niemniej upokarzającą a w skutkach swoich także zawodną żebraninę po zgromadzeniach publicznych i przedpokojach parlamentarnych, ci co natrząsali się z interwencyi mocarstw, wierzyli niezachwianie w interwencyą powszechnej rewolucyi i to wbrew smutnym doświadczeniom, jakie Polacy zrobili z pierwszą republiką francuską. Toż nic dziwnego, że, postępując tą drogą, doczekali się nowych rozczarowań, że prezydent drugiej republiki, Lamartine, tak jak przedtem monarchiczny minister Sebastiani swoje *l'ordre regne à Varsovie*, rzucił im w twarz republikańskie: *On ne réssuscite pas les morts* (niepodobna wskrzesić umarłych!).

Ale łatwowierność i łatwo zapalna wyobraźnia polska, rozpłomieniona gorącem przyjęciem w Niemczech i biorąc zdawkową monetę mów opozycyjnych w parlamencie francuskim za wyraz prawdziwych dla sprawy naszej sympatyj, nie wątpiła ani na chwilę, że nawa Polska, opuszczona sromotnie przez gabinety, wzniesie się wysoko na rozbujałych fluktach europejskiego ruchu ludowego i z jego pomocą szczęśliwie do bezpiecznej zawinie przystani.

Więc kiedy Bonawentura Niemojowski, przybywszy do Paryża przy końcu października, utworzył komitet emigracyi tymczasowy w celu „służenia pomocą przybywającym rodakom, ułatwienia im stosunku z obcemi komitetami i wyjednania dla nich opieki rządu francuskiego“, podniosła się zawzięta przeciw niemu agitacya, którą prowadził nieubłagany a straszny przeciwnik „kaliszanów“ M. Mochnacki. Wkrótce też w domu na ulicy *Cordier*, koło Panteonu, gdzie była główna kwatera emigrantów, przyszło na licznem zgromadzeniu do starcia i do wzajemnych wyrzutów, komitet Niemojowskiego rozwiązał się a na jego miejsce powstał komitet narodowy stały pod przewodnictwem Lelewela. Zasiadali w nim z wybitniejszych emigrantów: Zwierkowski, R. Sołtyk, Krępowiecki, Adam Gurowski i Leonard Chodźko. Komitet, tak złożony, uważał za najważniejsze swoje zadanie polecić sprawę polską opiece ludów całego świata i wydał w tym celu, w krótkim przeciągu czasu, sporą ilość odezw do Niemców, Włochów, Węgrów, Rosyan, Amerykanów, do Izraelitów, do izby deputowanych francuskich, do parlamentu angielskiego, do sejmu węgierskiego, do hannowerskiej izby deputowanych, do mieszkańców Alzacyi i Lotaryngii, a obok tego protestował przeciw rozmaitym rozporządzeniom Mikołaja i prawu, uchwalonemu przez izby francuskie względem emigrantów polskich. Pisma te, pełne zapału, wzniosłych uczuć i gorącego patryotyzmu świadczyły chlubnie o najlepszych chęciach członków komitetu, ale nie miały najmniejszego prawie znaczenia praktycznego i żadnego też nie odniosły skutku. Pożyteczniejszą o wiele była pomoc, udzielona emigrantom, przybywającym jeszcze ciągle do Francyi. Na ten cel wydał komitet z szczupłych swoich funduszów (30.513 fr.) 22.000 franków; druk odezw i sprawozdań pochłonął 4038 fr.[1]) Działalność komitetu, jakkolwiek skromna, nie podobała się rządowi francuskiemu i nie zadowolniła gorętszych żywiołów emigracyjnych. Nie mało przyczyniła się do tego osobistość Lelewela, który piastował godność prezesa. Znakomity ten badacz dziejów polskich i obcych, zasłużony i słusznie przez młodzież uwielbiany profesor uniwersytetu wileńskiego, którego zasługi na polu naukowem dotąd jeszcze należycie nie zostały ocenione, uchodził w owym czasie za najniebezpieczniejszego konspiratora i demagoga. Człowiek gołębiej prostoty ducha, najskromniejszych wymagań, obdarzony umysłem bystrym, niezmiernie pracowity, zdumiewający uczonych olbrzymią swoją erudycyą, nie był stworzony na polityka. Urodzony w r. 1786, w dzieciństwie „niedołężny chimeryk“,[2]) „nieuciszony płaksa“, lgnący od lat chłopięcych do nauk i badań historycznych, pamięcią sięgający czteroletniego sejmu i republikańskich urządzeń Rzeczypospolitej, przejął on się na wskroś zasadami republikańskiemi, które zaczerpnął z tradycyi i z umiejętnego badania przeszłości narodowej. Wykładami swojemi w Wilnie pociągnął młodzież i stał się, zwłaszcza po wspaniałem, poetycznem powitaniu Mickiewicza, najpopularniejszym z pomiędzy profesorów. Takiego człowieka nie mógł oczywiście ścierpieć Nowosilców i w r. 1824 Lelewel, pozbawiony katedry, powrócił do Warszawy.

[1]) Noworocznik demokratyczny z r. 1842, str. 120.

[2]) J. Lelewel: Przygody w poszukiwaniach i badaniu rzeczy narodowych polskich. Polska, dzieje i rzeczy jej. T. I. Poznań 1858.

Tu jako uczony, zażywający już rozgłośnej sławy i jako ofiara prześladowań znienawidzonego senatora, był nasz historyk przedmiotem powszechnego szacunku a u młodzieży uchodził za wyrocznią w sprawach politycznych i narodowych. Ale Lelewel, przy rzadkich swoich zaletach, nie posiadał, jak wspomnieliśmy, zdolności politycznych. Cichy pracownik, łagodny, w zdaniu chwiejny, z usposobienia trwożliwy, nie nadawał on się zupełnie na naczelnika stronnictwa, zwłaszcza w okresie rewolucyjnym, gdzie potrzeba niepospolitej siły, energii i stanowczości. Był też nie kierownikiem towarzystwa patryotycznego, lecz sztandarem, około którego gromadziły się opozycyjne żywioły, a wszedłszy w skład rządu narodowego, ograniczył się tam do roli malkontenta i nie wywierał wcale takiego wpływu na sprawy, jaki mu przysługiwał właściwie wskutek wielkiej popularności i nieograniczonego zaufania u młodzieży. Wysłany w deputacyi do Wierzbna poruszył lękliwie, w rozmowie z księżną Łowicką, jak sam zeznaje,[1]) kwestyą przyłączenia prowincyj zabranych do Królestwa, o Łukasińskim zapomniał zupełnie. Później we wszystkich ważniejszych wypadkach okazał się chwiejnym, nigdzie prawie nie zaważył na szali, a jednak mimo to, jako prezes towarzystwa patryotycznego, był uważany zawsze za uosobienie najczerwieńszych rewolucyjnych zasad. Nic dziwnego zatem, że obecnie także, i to w wyższym może stopniu, odezwy podpisane przez Lelewela, zaniepokoiły żywo rządy zaborcze i stały się przedmiotem pewnej z ich strony akcyi dyplomatycznej, która miała wywrzeć nacisk na gabinet Ludwika Filipa i wywarła go rzeczywiście. Ale i w łonie samego komitetu powstały nieporozumienia i niesnaski. Najczerwieńszy z czerwonych, hr. Adam Gurowski, w najbliższej już przyszłości podły służalec Paskiewicza i odstępca sprawy narodowej, niezadowolony z chwiejności, jak twierdził, Lelewela, zaczął, na współkę z Krępowieckim, knuć intrygi pokątne przeciw komitetowi i dał hasło do założenia towarzystwa demokratycznego (d. 17. marca 1832 r.). A jakby jeszcze i to rozdwojenie do osłabienia wychodźtwa nie wystarczało, powstał w tymże samym roku komitet narodowy emigracyi polskiej pod przewodnictwem generała Dwernickiego. W tak rozerwanej i na kółka rozbitej emigracyi zawrzała od razu walka najzawziętsza i najwstrętniejsza. Na próżno ostrzegali wychodźców prawdziwi, rozumni patryoci przed tą hydrą niezgody i anarchii, na próżno Leonard Chodźko, jeden z najwybitniejszych członków komitetu Lelewela, głosił, że należy dążyć do „zjednoczenia emigracyi, aby ta stanowiła jednolitą całość, aby w niej nie było żadnego sekciarstwa, odszczepienia“, że „powinniśmy być wszyscy przedewszystkiem Polakami, bez partyi, i okazać się potężną jednością przed krajem i przed obcymi, którzy nam zawsze wymawiają niejedność“, na próżno podnosił, że nie potrzeba wstępować koniecznie do towarzystwa demokratycznego, aby być demokratą i działać demokratycznie,[2]) na próżno dowodził znakomity autor „Historyi powstania“ Maurycy Mochnacki, że „jeżeli w insurrekcyi nie było naturalnych, ukształconych rozdziałów politycznych, nie mogą one pod żadnym

[1]) Przymówienie się na sessyi detronizacyjnej etc. Polska, dzieje i rzeczy jej. T. VII., str. 175.

[2]) List Ch. do Mikołaja Rohozy w pamiętniku Borkowskiego, str. 152.

względem mieć miejsce w emigracyi,“[1]) ambicya „kilku menerów“ była silniejsza niż głos rozsądku nawołujący do opamiętania. Do pomocy pokątnym intrygom w zwalczaniu niemiłych sobie osób powołano dzienniki („Nowa Polska“, „Tydzień“), które posługiwały się najniegodziwszymi środkami. „We wszystkich kloakach paryskich — tak wyraża się o tej prasie M. Mochnacki[2]) — niemasz tyle śmiecia, tyle brudów, tyle kału, co w mózgach tych redaktorów. Jeśliby całą jaką generacyą błotem obryzgać było potrzeba, toby oni mogli podjąć się tego zatrudnienia, tego zarobku. W literaturze stuletniej dziennikarskiej Francuzów, Niemców i Anglików, w czasach największej ich polemicznej zawziętości, nie znalazłby się ani jeden przykład tej hańby i tego spodlenia w gazeciarstwie, jakie na swe głowy ściągnęli ci szczególni ludzie, w tak krótkim czasie. Po nich nikt już kłamać nie będzie w całym chrześcijańskim świecie. Oni kłamstwo wysilili — skompromitowali je bezczelnością i niezręcznością.“

Ale upomnienia tego rodzaju nie odnosiły żadnego skutku. Wychodźców opanowała jakaś dziwna zawziętość, jakiś szał wzajemnej nienawiści, podsycanej przez ambitne jednostki. Najburzliwszem ze wszystkich było towarzystwo demokratyczne, złożone w r. 1832 z 94 członków. Co chwila odbywały się tam przesilenia; w listopadzie wykreślono z liczby członków znanego demokratę ks. Kazimierza Aleksandra Pułaskiego i bibliotekarza towarzystwa Jana Kazimierza Ordyńca, nawet głośny Krempowiecki nie uniknął ostracyzmu.[3]) W przeciągu dziewięciu lat spotkał ten sam los 728 członków z pomiędzy ogólnej liczby 1966[4]) i słusznie zapytywał L. Chodźko: „Jak się to dzieje, iż ci co mieli dać przykład jedności i jednolitych zasad ludowych, tak się jednak różnią i dzielą?“ Odpowiedź na to znajdujemy w pierwszym ważniejszym akcie towarzystwa, w odezwie jego do obywateli żołnierzy (z d. 12 września 1832 r.). Wychodząc z zasady, że główną przyczyną upadku powstania było niezałatwienie kwestyi włościańskiej, wystawiają autorowie odezwy w jaskrawych barwach krzywdy i ucisk chłopów, zwalają winę za to na „panów“, a samych siebie, byłych członków towarzystwa patryotycznego, podają za wzór patryotyzmu, za jedynych w epoce rewolucyjnej przyjaciół stanu włościańskiego. Pominąwszy przesadę całą i w znacznej części nieprawdziwość tych twierdzeń, zapytać się godzi, jaki cel mogła mieć podobna odezwa? Gdyby towarzystwo demokratyczne było w stanie rozpowszechnić ją w kraju, pomiędzy ludem, przeważnie ciemnym, byłaby ona odniosła skutek wręcz przeciwny temu, jaki zamierzono, byłaby wznieciła nienawiść nie przeciw obcemu najazdowi, ale przeciw własnym braciom, przeciw szlachcie i „panom“, stałaby się podnietą do socyalnej rewolucyi, do wygładzenia tej warstwy społecznej u nas, którą wszelkiemi środkami niszczył i prześladował Mikołaj. Czyż lud, podburzony w ten sposób i zemstą zapalony, byłby odróżniał „przyjaciół“ swoich, „stu-

[1]) Pamiętnik Emigracyi Polskiej z lipca 1832 r.

[2]) Do szanownej redakcyi „Kroniki“. Pisma rozmaite M. Mochnackiego. W Berlinie 1860. T. II., str. 194.

[3]) Chodźko do M. Rohozy.

[4]) Noworocznik demokratyczny za rok 1842, str. 102.

dentów, niższych urzędników, ludzi poświęconych naukom i poczciwy lud warszawski, mieszkający nie po pięknych ulicach, lecz po ciasnych i ubogich Starego miasta lub Solca zakątkach“ od ciemiężycieli swoich? czy namiętności raz wzbudzone dałyby się powstrzymać nową odezwą towarzystwa? czy chłop, wyrzynając szlachtę, wyrzynałby także równocześnie i Moskali? a rozpoczywszy taką walkę na dwa fronty, czy byłby w niej nie uległ? Zaprawdę trzeba było niepospolitej naiwności albo obłąkania umysłu, aby w warunkach, w jakich wtedy naród polski się znajdował, chcieć takiemi środkami ratować ojczyznę i dobijać się niepodległości. Toż słusznie zupełnie odpowiedział na ten wyskok obłędu czy chorobliwej wyobraźni Maurycy Mochnacki w świetnym artykule „O rewolucyi społecznej w Polsce“,[1]) gdzie, wykazawszy różnicę pomiędzy stosunkami społecznemi na zachodzie Europy a unas, i określiwszy program reformy, podjętej na sejmie czteroletnim, tak się dalej wyrażał: „Ludzie powinni we wszystkiem naśladować naturę, która nigdy gwałtownych środków nie używa do zdziałania tego, co bez ekscessu łatwiej i prędzej zdziałać może. Dwa są tylko środki: albo trzebaby wytępić szlachtę w Polsce mieczem rewolucyjnym (czego nikt nie dokaże bez ostatecznej ruiny tego kraju, bez połączenia się z głównym wrogiem naszym, z carem, co jest i zawsze będzie szaloną utopią półgłówków, myślących nie swoim rozumem i nieznających historyi polskiej) albo w przeciwnym razie potrzeba chłopa uczynić panem, to jest szlachcicem, czyli wolnym i niepodległym właścicielem kawałka gruntu, bez wojny domowej, jak chciał sejm czteroletni.“

Ale towarzystwo demokratyczne miało w ogłoszeniu swojej odezwy jeszcze cel inny. Ono wiedziało wprawdzie, że głos jego nie dojdzie do kraju, albo też doszedłszy nie trafi pod strzechy wieśniacze, spodziewało się jednak sprawić tem większe wrażenie w kołach emigracyjnych, gdzie drgały silnie prądy, wzniecone ruchem pamiętnej nocy sierpniowej, spotęgowane żalem i rozpaczą. I przypuszczenie to okazało się rzeczywiście trafnem, skoro liczba członków towarzystwa podniosła się w r. 1833 z 94 na 527 a po dwóch latach dobiegła cyfry półtoratysięcznej. Ile w tym ruchu było prawdziwego zapału a ile niewczesnych porywów ducha, sztucznymi wywołanych środkami, tego dziś ocenić niepodobna. W każdym razie zastanawiającem jest, że z pomiędzy ludzi wybitnych, wyznających zasady postępowe i demokratyczne, nikt w tej robocie udziału nie brał. „Są co się dziwią — pisał L. Chodźko — dlaczego Lelewel i ja i inni nasi przyjaciele polityczni, nie wchodzimy do tego towarzystwa? Byłoby nader dziwnem, aby zostać dopiero demokratą, gdy się wejdzie do towarzystwa demokratycznego. My takiego patentu nie potrzebujemy.“ Podobnie sądził M. Mochnacki, nawet Jan Ledóchowski, Wal. Zwierkowski, J. B. Ostrowski, a więc najgorętsi pomiędzy gorącymi; Mickiewicz w „Pielgrzymie“ gorszył się chronicznemi chorobami emigracyjnemi, które nazywał „adresomanią i proklamacyomanią i pisaniem przyszłych konstytucyj z tytułami i artykułami“, a Słowacki ubolewał w „Anhellim“ nad nędzą, która „ludzi dobrych w szczęściu przemienia w złych i szkodliwych.“[2])

[1]) Pamiętnik Emigracyi z d. 23. stycznia 1833 r.

[2]) Porównaj rozbiór krytyczny Anhellego w dziele A. Małeckiego: Juliusz Słowacki etc. Lwów 1867. T. II., str. 26.

I dziwna rzecz, że kiedy rząd francuski na naleganie z Petersburga rozpędził komitet Lelewela a jego samego i Chodźkę wydalił do Tours a wkrótce potem zmusił do opuszczenia Francyi i do wyjazdu do Belgii, gdzie odtąd stale przebywał, towarzystwo demokratyczne nie doznawało w działaniu swojem żadnej prawie przeszkody.

Tymczasem wydarzyły się inne wypadki. Bem, który przyczynił się najwięcej do sprowadzenia emigrantów na ziemię francuską, nosił się od początku już z myślą utworzenia legionów polskich, a gdy zamiar ten, skutkiem energicznej protestacyi gabinetu petersburskiego spełzł na niczem, zaczął się oglądać po Europie i szukać innego punktu oparcia dla swoich planów. Przypuszczano wtedy powszechnie, że wojna europejska wybuchnie lada chwila, że wywoła ją albo kwestya belgijska, albo zatarg Mehemeta Alego z sułtanem, albo domowe niesnaski w Portugalii. W tej nadziei wyjechał Dembiński do Egiptu a Bem nawiązał układy z Don Pedrem portugalskim o utworzenie legionów polskich przeciw Don Miguelowi, popieranemu przez wpływy rosyjskie i austryackie. Bujna jego wyobraźnia łączyła z tem przedsięwzięciem awanturniczą wyprawę morzem do Polski. Ale większa część emigracyi sprzeciwiła się temu projektowi, a że umysły były już bardzo rozjątrzone, więc doszło do tego, że jakiś zapaleniec, Pasierbski, strzelił do Bema i omal trupem go nie położył.

Wtedy już gotowały się w cichości inne plany, mianowicie wyprawa Zaliwskiego i Ramoriny. Jeżeli Czartoryski pokładał jeszcze zawsze nadzieje swoje w interwencyi gabinetów zachodnich a Bem widział możność wywalczenia niepodległości w utworzeniu regularnego wojska polskiego na obcej ziemi, to znajdowali się z drugiej strony tacy, co przyszłość Polski wiązali z ogólnym ruchem rewolucyjnym. Trawieni gorączką czynu, widzieli oni w duchu powstające Niemcy, „Młodą Italią“, rozrywającą pęta niewoli, i ludy europejskie, zrzeszone pod sztandarem wolności, wywracające w tryumfalnym pochodzie ku północy trony despotów i podające dłoń bratnią uciśnionej Polsce. Olbrzymie przedsięwzięcie wyjarzmienia narodów mieli rozpocząć tułacze polscy w Sabaudyi i w Niemczech a równocześnie wzniecić powstanie w własnej ojczyźnie. To ostatnie zadanie przypadło Zaliwskiemu. Kto był Zaliwski wiemy po trosze z poprzedniego opowiadania. Mochnacki[1]) przedstawia go tak: „Człowiek ordynaryjny, tępego i małego pojęcia, pokątny intrygant i kłamca, ale żarliwy w szerzeniu spisku.“ Takie miał zasługi, taką opinią przed powstaniem; w wojnie dowodził oddziałem partyzanckim, ale podczas wyprawy Giełguda okazał bardzo mało znajomości rzeczy i rozgarnienia, a opuszczeniem bez wystrzału Łowicza ułatwił Paskiewiczowi pochód pod Warszawę. Ale opinia publiczna nie wiele wiedziała o tych czynach wojennych Zaliwskiego, zato słyszała, jak krytykował ostro Skrzyneckiego, jak go oskarżał głośno o zdradę i zaprzedanie się Moskalowi i uwierzyła w końcu, że Zaliwski jest bohaterem. Sława jego i wziętość rosły w miarę oddalania się wychodźców od granic polskich i na ziemi francuskiej doszło do tego, że na cześć jego wyprawiono w Paryżu ucztę i wręczono mu pałasz, ofiarowany dla Polaka mającego naj-

[1]) Historya powstania, II., 82.

większy udział w powstaniu listopadowem. Stanąwszy tak wysoko w opinii pewnej części wychodźtwa, zaufany w sympatyi, jaką Niemcy i Francuzi okazywali Polakom i w poparcie rozmaitych komitetów, postanowił Zaliwski wznowić w kraju powstanie. Wszystkie nadzieje jego były niezmiernie wątłe i, jak przyszłość dowiodła, zwodnicze, on sam rozpoczynał rzecz bez przygotowania, bez żadnych wiadomości o siłach i rozłożeniu wojsk rosyjskich,[1]) bez broni i pieniędzy, bez porozumienia nawet z rodakami w Królestwie i prowincyach zabranych, licząc tylko na zapał, na świętość sprawy, na obietnice przyjaciół amerykańskich i francuskich, którzy o położeniu Polski obecnem najmniejszego nie mieli wyobrażenia, o skutek przedsięwzięcia mało się troszczyli a w wyprawie Zaliwskiego widzieli tylko dogodną sposobność do dalszego rozpowszechnienia zasad rewolucyjnych. Uchylając czoła przed poświęceniem i bohaterstwem tych straceńców polskich, niepodobna nam jednak ukryć zdziwienia nad łatwowiernością, z jaką ci ludzie przyjmowali gołosłowne zapewnienia, i nad gotowością, z jaką szli na pewną śmierć bez nadziei zwycięstwa.

Tak jak zamiar sam był powzięty doraźnie i bez dojrzałego zastanowienia, tak i wykonanie jego odznaczało się lekceważeniem wszelkich zasad ostrożności. Rozesłani po zakładach emissaryusze werbowali ochotników jawnie, pod okiem policyi i władz francuskich, dla zgromadzonych w Lyonie wyrabiano paszporta, ze składek rozdzielano szczupłe zasiłki. Że te przygotowania nie mogły się ukryć przed czujnością agentów rosyjskich, których niestety i w kołach emigracyjnych nie brakło, to była rzecz całkiem naturalna. Jakoż rzeczywiście wszystkie władze pograniczne austryackie i moskiewskie posiadały dokładne rysopisy przybywających z Francyi, z wyszczególnieniem nazwiska, wieku, dokąd i którędy miał przechodzić granicę.[2]) Paskiewicz 4. marca już otrzymał z Poznania wiadomość o uchwałach emigracyi, powziętych w Lyonie. Tak zręcznie i roztropnie urządzał Zaliwski swoją wyprawę! Na razie, wśród powszechnego zapału, mało kto zwracał uwagę na szczegóły przedsięwzięcia. Składano rotę przysięgi, chowano w zanadrze „przepisy ogólne dla partyzantów“ i puszczano się w drogę, zwyczajnie pieszo, z myślą zwróconą ku Polsce i z nadzieją rychłego jej wyzwolenia. Ale niebawem nastąpiło otrzeźwienie; zaczęto rozważać trudności wielkie w dostaniu się do kraju, brak funduszów i wszelkiego przygotowania. Dziwna taktyka Zaliwskiego, który na zapytania, jakie mu czyniono, zamiast wyjaśnień rzeczowych powtarzał znane dawno ogólniki, zraziła niejednego; wielu wróciło do zakładu, ci co wytrwali ruszyli przeważnie przez Szwajcaryą do Austryi a stamtąd do Galicyi.

Część ta Polski, zostająca pod władzą i nieograniczonym wpływem metternichowskiego systemu i niemieckiej biurokracyi, była zawsze jeszcze pogrążona w ciemnocie i nędzy. Germanizacya nie poczyniła tu wprawdzie groźnych dla narodowości polskiej postępów, ale nadała całej prowincyi cechę odrębną, nie polską, nie niemiecką, lecz galicyjską. Galicyanin ówczesny — mamy tu na myśli warstwy zamożniejsze — był typem szczególniejszego rodzaju: nie wyrzekł on się języka swego i narodowości, bo mówił tylko po polsku, a w chwi-

[1]) Pamiętnik Karola Borkowskiego, str. 18.
[2]) Tamże str. 38.

lach ważniejszych odgrzebywał nawet na dnie serca swego dobrze zakonserwowane uczucie polskie, ale przytem usiłował zachować charakter jakiś internacyonalny, używał często zwrotów lub wyrażeń niemieckich, czasem frazesów francuskich, chełpił się elegancyą na modę wiedeńską, a co najgorsza, żył bezmyślnie z dnia na dzień, nie zdając sobie wcale sprawy z swoich obowiązków względem kraju i społeczeństwa. Jakiś niedorzeczny „szyk“ arystokratyczny czynił go nieprzystępnym dla niższych warstw ludności, brak wykształcenia obojętnym na wszystko, co go bezpośrednio nie dotyczyło. W stosunkach z chłopem spuszczał się zupełnie na „mandataryusza“, który wyjątkowo tylko bywał uczciwym człowiekiem, księdza ruskiego nie przyjmował wcale lub

w przedpokoju, czytaniem się nie bawił, książek nie kupował, gospodarstwo prowadził jak Bóg dał, wzorem ojców, nie kusząc się o żadne nowości, a po żniwach, gdy sprzedał zbiory, wyjeżdżał, jeżeli nie za granicę, to przynajmniej do Lwowa, aby czemprędzej grosz zebrany roztrwonić na balach, maskaradach lub innych podobnego rodzaju rozrywkach. O t. zw. inteligencyi mówić nie można, bo prawie wcale nie istniała, Urzędnicy byli Niemcy, duchowieństwo wychowane według józefińskiego systemu, wyjątkowo tylko odznaczało się żywszem poczuciem narodowem i sumiennem spełnianiem kapłańskich swoich obowiązków w duchu szczerze katolickim, stan kupiecki i mieszczański, nieliczny zresztą, przejmował zwolna obyczaje i język niemiecki, adwokaci zajęci

byli robieniem majątków, do czego ówczesna procedura cywilna mnóstwo godziwych i niegodziwych nastręczała środków, masa zaś ludu, pogrążona w ciemnocie i pijaństwie, odrabiała leniwie pańszczyznę i słuchała w pokorze rozkazów z „cyrkułu“. Dla uzupełnienia tego ponurego obrazu dodać należy smutny stan ekonomiczny całego kraju, olbrzymie ciężary podatkowe, upadek a raczej brak zupełny wszelkiego przemysłu, handel, ograniczony do najdrobniejszych rozmiarów i spoczywający wyłącznie prawie w rękach żydowskich. W podobnych warunkach i wobec nie obojętności, ale wyraźnej niechęci centralnego rządu, praca społeczna stawała się trudną, niemal niemożliwą. Raz, w r. 1822, odezwała się, jak krzyk rozpaczy, mowa Józefa Dzierzkowskiego, „deputata stanowego i skarbnika koronnego“, na postulatowym sejmie lwowskim i dała powód do wysłania deputacyi do cesarza Franciszka, który w roku następnym zwiedzał Galicyą, ale przedstawienia złożone przy tej sposobności u stóp tronu miały tylko ten skutek, że rząd oświadczył po roku, jako nie sprzeciwia się założeniu towarzystwa kredytowego ziemskiego w Galicyi. Ale i na spełnienie tej obietnicy trzeba było czekać ni mniej ni więcej jak lat 17, bo dopiero dnia 3. listopada 1841 r. wyszedł patent cesarski, zaprowadzający stanowy galicyjski instytut kredytowy, który skutkiem rozmaitych warunków, utrudniających zaciąganie pożyczek hipotecznych, powoli tylko mógł się rozwijać.

Chwilowo zawiał wiatr łagodniejszy, mianowicie kiedy gubernatorem galicyjskim został August ks. Lobkowitz, przyjaźnie usposobiony dla Polaków, ubierający się nawet po polsku. Za jego czasów położono z wielką uroczystością kamień węgielny pod gmach zakładu narodowego im. Ossolińskich, w uniwersytecie ustanowiono lektora dla języka polskiego, więźniów politycznych, posądzonych o związki z dekabrystami, wypuszczono wkrótce na wolność.

Wśród tego wybuchnęło powstanie listopadowe i żywo poruszyło umysły w Galicyi. Pomimo ucisku panującego i powszechnej apatyi znalazło się i tu grono ludzi dobrej woli, którzy w skromnym wprawdzie zakresie, ale bez przerwy pracowali nad utrzymaniem ducha narodowego. W tym celu zawiązali oni już w r. 1818 towarzystwo tajne dla uczenia się historyi i literatury ojczystej, pod przewodnictwem Walentego Chłędowskiego. Brali w niem udział: Eugeniusz Brocki, Juliusz Szczepański, wydawca „Polihymnii“, Mateusz Sartyni, później w r. 1848 redaktor „Gazety lwowskiej“, August Bielowski i Ludwik Nabielak. Pod wpływem poezyi Mickiewicza zaczęła ta garstka krzątać się żywiej, ale krępowana bezwzględną cenzurą, musiała się ograniczyć do zbierania i wydawania pieśni ludowych, publikacyi „Haliczanina“ i t. p. niewinnych a jedynie dozwolonych drobiazgów literackich. A jednak i ten ruch nieznaczny musiał, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą, budzić i rozwijać uczucia patryotyczne, kiedy na odgłos powstania wyruszyło ze Lwowa 70 młodych ludzi do Zamościa, gdzie zaciągnęli się pod sztandary narodowe, a przy końcu stycznia 1831 r., po ogłoszeniu detronizacyi, całe zastępy, w tem synowie wysokich urzędników Niemców, udawały się jawnie niemal na pole walki, korzystając z chwilowej pobłażliwości władz rządowych. Równocześnie powstał we Lwowie komitet patryotyczny, kierowany przez Izydora Pietruskiego, Romana

Bielskiego i Józefa Broniewskiego, który wybierał składki, podatek narodowy, trudnił się zakupnem i wysyłaniem broni, szarpi, bandaży, bielizny i t. p. a w Wełdzirzu kazał kuć groty do lanc. Zachowanie się rządu było niejasne. Nie przeszkadzał on wprawdzie bardzo wychodźtwu za granicę, ale pragnąc utrzymać neutralność, wydawał co chwila zakazy: wywożenia broni do Krakowa (dnia 26. grudnia 1830 r.), wyprowadzania koni do Królestwa (19. stycznia), zresztą pod groźbą sekwestru majątków wzywał do powrotu obywateli galicyjskich, przebywających w Kongresówce, werbujących zaś do wojska polskiego kazał oddawać sądom wojskowym. Rozporządzenia te jednak, acz surowe, nie były ściśle wykonywane a posterunki huzarskie na granicy ułatwiały nawet ochotnikom przeprawę. W miarę pomyślnych wiadomości z Królestwa wzrastał i zapał w Galicyi, rząd zaczynał się niepokoić, ściągał wojsko i na rekwizycye agenta rosyjskiego we Lwowie, pułkownika Breindla, przejmował od czasu do czasu oddziały ochotnicze, dążące zwykle do Zamościa albo do Staszowa. Pod koniec kwietnia i w ciągu maja nastąpiła nagła zmiana w polityce gabinetu wiedeńskiego. Wejście Dwernickiego do Galicyi, porażka Sierawskiego, wyparcie zresztą powstania podolskiego pod Kołyską, zdawały się zwiastować rychły upadek powstania i skłoniły rząd austryacki, dbały o przyjaźń rosyjską, do surowszego i więcej bezwzględnego postępowania z Polakami. Pomimo wdania się gabinetów zachodnich nie wypuszczono ani Dwernickiego, ani żołnierzy jego, działa, broń i cały rynsztunek korpusu wydano Rydygierowi a powstańcom ukraińskim i podolskim grożono nawet odstawieniem do posterunków rosyjskich na granicy. Odtąd już aż do końca powstania nie zmienił Metternich swojej taktyki; przychylnego Polakom hr. Kolowratha wysłano na urlop kilkumiesięczny, Lobkowitz otrzymał z Wiednia bardzo surowe instrukcye a władzę naczelną w Galicyi sprawował właściwie generał komenderujący.

Po przejściu korpusu Ramoriny ożywił się kraj cały; komitet obywatelski, zawiązany we Lwowie, zbierał składki na utrzymanie wychodźców, okoliczni obywatele dostarczali do obozu wódki, siana, słomy i żywności dla ludzi, a gościnny dom Tyszkiewiczów w Kolbuszowie stał się głównem miejscem zebrania dla emigrantów. Po wydaleniu żołnierzy polskich za granicę, zaczęto wywozić oficerów do Morawii, ale na miejscu pozostało bardzo wielu. Lwów zwłaszcza roił się od barwnych mundurów polskich; Lobkowitz, zawsze życzliwie usposobiony, zapraszał wychodźców na festyny do siebie, słuchał w dzień imienin cesarskich, w sali audyencyonalnej, dziękczynnej mowy Michała Czackiego, słowem zachowywał się po przyjacielsku i łagodził jak mógł smutny los rozbitków. W kraju nie znać też było smutku, owszem panowała jakaś niewytłumaczona dziś dla nas wesołość, karnawał r. 1831 należał do najświetniejszych. Wszystkich ożywiała nieokreślona nadzieja zmian nagłych, na ucho szeptano sobie, że Czartoryski nakłonił Anglią do wypowiedzenia wojny Mikołajowi, że Francya pójdzie za tym przykładem. Nastrój umysłów był zresztą uroczysty, niezwykły. Zetknięcie się z kwiatem inteligencyi polskiej, z bohaterami, których imiona zapisały się chlubnie na kartach historyi najświeższej, pobyt poetów: Seweryna Goszczyńskiego, Pola, Zaleskiego, Lucyana Siemieńskiego, zbudziły społeczeństwo galicyjskie do nowego życia, podniosły w niem

i wzmocniły uczucia narodowe, wskazały odmienne kierunki myśli i działania. Może być, że na tem usposobieniu podnieconem budował swoje nadzieje Zaliwski, ale to pewna, że nie uczynił nic w celu przygotowania ruchu i dopiero, przybywszy do Galicyi i osiadłszy w Laszkach pod Lwowem, u Eugeniusza Ulatowskiego, stamtąd zaczął rozsyłać rozkazy. Wincenty Tyszkiewicz, mianowany przez niego organizatorem generalnym sił zbrojnych, zbierał z pomocą Tetmajera, Kazimierza Dzieduszyckiego, Marcina Zamoyskiego i innych broń, amunicyą i ludzi, ale działanie to nagłe nie wielki mogło mieć skutek, zwłaszcza że Zaliwski u towarzyszów broni, pozostałych w Galicyi, sympatyi nie posiadał a część obywatelstwa także, ostrzeżona z Francyi, nie wierzyła w powodzenie awanturniczej wyprawy. Z tem wszystkiem Zaliwski przeszedł dnia 19. marca 1833 r. granicę pod Sandomierzem, z oddziałem z 8 ludzi złożonym i, pokręciwszy się czas niejaki po kraju, powrócił do Galicyi dnia 28. kwietnia i odłożył partyzantkę na później. Adjutant i nieodstępny towarzysz Zaliwskiego, H. Dmochowski, zeznaje, że zaniechanie dalszej walki nastąpiło wskutek wiadomości o zawarciu pokoju pomiędzy baszą Egiptu a sułtanem, którą to wiadomość Zaliwski wyczytał w gazetach.[1]) Jakkolwiek przyczyna podana przez Dmochowskiego wydaje nam się wielce nieprawdopodobną, to nie uwalnia ona wcale dowódzcę partyzanckiej wyprawy od zarzutu lekkomyślności i karygodnej obojętności na los towarzyszów, których wyprowadził na niechybną śmierć i męczeństwo, sam chroniąc się do Galicyi.

Równocześnie z Zaliwskim wkroczyły do Królestwa inne drobne oddziały partyzanckie. Jeden z 25 ludzi złożony, pod dowództwem porucznika Dziewickiego, został wnet przez przemagające siły otoczony i bądź rozbity, bądź wzięty do niewoli. Dziewicki, zażywszy przygotowaną na ten wypadek truciznę, padł natychmiast trupem; towarzysze jego Kuziamski vel Kossobudzki z 9. pułku ułanów, Olechowski z 4. pułku piechoty, Przeorski od saperów i Raczyński z Podola skazani, pierwsi trzej na rozstrzelanie, ostatni dla młodego wieku na bieganie przez rózgi, co go jednak także od śmierci nie ochroniło. Druga wyprawa oficerów Białkowskiego i Łubieńskiego ukazała się w Lubelskiem, uderzyła na Kozaków, stojących w Józefowie i, położywszy kilku trupem, wyparta z miasta musiała schronić się do lasów. Stąd część jedna wróciła do Galicyi, czterech dostało się do niewoli, gdzie ich powieszono, dwóch w Lublinie, dwóch na granicy austryackiej we wsi Borowie. Najdłużej trzymał się Artur Zawisza, akademik, który pod imieniem Borellego wkroczył z Prus w Płockie razem z Kalikstem Borzewskim i sześciu towarzyszami. I ich także zawiodły nadzieje. Ludność, steroryzowana przez wojskowe rządy Paskiewicza, zachowała się zupełnie obojętnie, Zawisza zdołał zebrać zaledwie 11 ludzi i z tą garstką, na pewną już śmierć idąc, przeprawił się przez Wisłę. Tu w okolicach Krośniewic, zdradzeni przez chłopów i otoczeni przez wojsko, po krwawej walce i bohaterskiej obronie dostali się wszyscy do niewoli. Zawisza, młodzieniec pełen szlachetności, męstwa i poświęcenia, zginął na szubienicy (26. listopada 1833), towarzysz jego, Palmert, został rozstrzelany. Podobny los spotkał także innych emigrantów: Antoniego Winnickiego

[1]) Pamiętnik Karola Borkowskiego, str. 83.

i Gostyńskiego, Edwarda Szpeka, szwagra Zaliwskiego, Stefana Getzolda, Bugajskiego, Raciańskiego i Wołłowicza. Cała Polska pokryła się żałobą „groza padła na kraj“, jak wyrażał się Paskiewicz, i zaczęła się epokaa straszniejszych jeszcze niż dotąd prześladowań. Ukaz carski z dnia 22. kwietnia 1833 r. zniósł faktycznie wszelkie postanowienia statutu organicznego o wolności osobistej i oddał rządy kraju pod nieograniczoną władzę namiestnika i naczelników wojennych. To też komissya śledcza pod przewodnictwem pułkownika Storożeńki nie ustawała w czynności. Kozactwo i chłopstwo, zachęcone obietnicą nagrody 500 złp. za każdego schwytanego zbrojnego powstańca, dostarczało co chwila nowych ofiar, drugie tyle stanowiła szlachta, więziona za stosunki z emissaryuszami. W grudniu dopiero wypuszczono na wolność 50 obywateli, którym oczywiście żadnej winy dowieść nie było można.

Ale mściwe ramię Mikołaja sięgnęło i poza granicę Królestwa. Paskiewicz zwrócił się do arcyksięcia Ferdynanda, sprawującego po Lobkowitzu rządy namiestnicze w Galicyi, z prośbą o wydalenie wszystkich Polaków, którzy mieli udział w powstaniu listopadowem. Gabinet wiedeński, jakkolwiek wiedział dobrze, że wyprawa Zaliwskiego nie była przeciw Austryi wymierzona, uczynił zadość życzeniom rządu rosyjskiego. Ukazały się natychmiast okólniki, wzywające wychodźców, aby się stawili u władz obwodowych w celu otrzymania paszportu za granicę; emigrantom nowo przybyłym kazano opuścić kraj bezzwłocznie. A zanim jeszcze, zagrożeni w ten sposób, zdołali się zastosować do powyższych rozporządzeń, już rozesłano po całej Galicyi wojsko i obławy chłopskie w celu chwytania proskrybowanych. Zaczęły się rewizye po dworach wiejskich, urządzane zwykle w porze nocnej, brutalne, niegodziwe; wyrywano podłogi, niszczono sprzęty, znieważano kobiety. Żona dyrektora zakładu Ossolińskich, Słotwińskiego, chora, w dwa dni po połogu wywleczona z łóżka, umarła, zostawiając dwoje sierot, a jednak mąż jej był tylko obwinionym o rozpowszechnianie drukiem pism zakazanych. Pod pozorem chwytania czy szukania emigrantów dobierano się do szlachty i więziono wszystkich, którzy w jakichkolwiek stosunkach byli z Zaliwskim i jego towarzyszami. Taki los spotkał E. Ulatowskiego, Jerzego Tyszkiewicza, Onufrego Horodyńskiego, Konstantego Russockiego, Franciszka hr. Wiesiołowskiego, Bielowskiego Augusta, Karola Szajnochę, Jabłonowskiego Ludwika i tylu innych. Cały gmach pokarmelicki we Lwowie zapchano więźniami, pomiędzy którymi znaleźli się emigranci, uczestnicy niefortunnej wyprawy i sam jej autor Zaliwski. Olbrzymie śledztwo i wielki proces karny, prowadzony przez nałogowego pijaka Józefa Pressena i radcę kryminalnego Wittmana, z pomocą nikczemnego Zajączkowskiego, trwały skutkiem bałamutnych zeznań czy denuncyacyj niejakiego Rolińskiego trzy lata. Więźniowie przez ten czas wystawieni byli na wszelkiego rodzaju męczarnie; zamknięci w wilgotnych, zupełnie prawie ciemnych kaźniach, pozbawieni świeżego powietrza i książek, żywieni jak najgorzej, dręczeni wyszukanymi środkami, popadali jedni w obłąkanie, drudzy w nieuleczalną chorobę. Włyński, Eugeniusz Ulatowski i Krzeczkowski pomarli w więzieniu, Zaliwski dostał rodzaju konwulsyj, Psarski, Zieliński i Fiszer skończyli szaleństwem. Wreszcie dnia 5. lutego 1837 r. ogłoszono wyroki: Zaliwskiego

skazano na 20 lat więzienia, Feliksa Białkowskiego, Karola Borkowskiego, ks. Żaboklickiego, każdego na lat 15, Słotwińskiego na 8, innych na 5 lub 3. Wszystkich wywieziono natychmiast do Kufsteinu, warownej twierdzy nad Innem w Tyrolu, tuż przy bawarskiej granicy położonej. Tu wielu pomarło przed czasem; Borkowski odzyskał wolność w r. 1844, Zaliwskiemu i Białkowskiemu otworzyła bramy więzienne amnestya ogólna w r. 1848.

Proces lwowski był zapowiedzią doniośiejszych wypadków politycznych. Rządy zaborcze przestraszone działaniem emigracyi polskiej połączyły się ściślejszym węzłem między sobą. Pierwszy wniosek w tym względzie wyszedł od Paskiewicza. W celu stłumienia wszelkich ruchów rewolucyjnych w prowincyach polskich miały, według jego zdania, zobowiązać się państwa zaborcze do udzielenia sobie wzajemnie pomocy i do wydawania przestępców politycznych, nadto zaś miały zająć Kraków, jako najniebezpieczniejsze ognisko knowań rewolucyjnych.[1]) Na tem tle rozpoczęły się rokowania pomiędzy Petersburgiem a Wiedniem, a że równocześnie i na Wschodzie groźne powstały zawikłania i Mehemet Ali, popierany przez Francyą, dążył do opanowania Konstantynopola, więc zamierzono i tę kwestyą drażliwą uczynić przedmiotem dyplomatycznych układów. Tak przyszedł do skutku zjazd Mikołaja z cesarzem Franciszkiem w Münchengrätz dnia 7. września 1833 r. Dla samodzierżcy Wszechrosyi podróż po Europie nie była w owych czasach rzeczą łatwą. Zewsząd ostrzegano o gotujących się na jego życie zamachach. Sam Paskiewicz sądził, że niebezpieczeństwo jest wielkie, „namiętności bowiem — pisał — pobudzone są do ostateczności, i są ludzie, którzy zażywają truciznę, gdy się w nasze ręce dostaną.“ Car więc unikając drogi lądowej popłynął morzem z Finlandyi do Szczecina i stąd, z następcą tronu pruskiego, udał się do Münchengrätz, po drodze zaś spotkał się z królem pruskim w miasteczku Schwedt, gdzie nastąpiło porozumienie w sprawach, które miały być traktowane na kongresie. Rosya, Prusy i Austrya były zaniepokojone polityką francuską na Wschodzie i rewolucyjnymi ruchami w środkowej Europie. Równocześnie prawie z wyprawą Zaliwskiego wydarzyły się zaburzenia w Frankfurcie nad Menem i we Włoszech. W pierwszem i drugiem brali udział Polacy. Ramorino na czele garstki emigrantów wkroczył do Sabaudyi, powstańców frankfurckich mieli popierać także wychodźcy polscy, z Besançon szły listy z pogróżkami do Mikołaja i Paskiewicza, mówiono o zamachu na życie jednego i drugiego. Pod takiem wrażeniem zbierał się zjazd w Münchengrätz i nic dziwnego, że uchwalił to, czego sobie życzono gorąco w Petersburgu. W kwestyi wschodniej zajął Mikołaj jak najprzychylniejsze dla Turcyi stanowisko, bo wolał widzieć Konstantynopol w posiadaniu słabego Mahmuda, niż przedsiębiorczego Mehemeta Alego, sprzymierzeńca Ludwika Filipa. W tym celu wysłał też poprzednio już generała Murawiewa do Stambułu, ofiarując pomoc swoją sułtanowi, i do Egiptu, ostrzegając Mehemeta przed dalszą wojną; za posłem zjawiła się flota rosyjska w okolicach Konstantynopola. Austrya, najbliższa sąsiadka Turcyi i żywo interesowana w sprawie bałkańskiej, zgadzała się zupełnie z tą polityką Mikołaja; Metternich był przekonany, że Francya pragnie

[1]) Szczerbatów: Rządy ks. Paskiewicza etc., str. 77.

na gruzach Turcyi wznieść monarchią arabską, groźną zarówno dla Rosyi jak i dla Austryi. Oba państwa postanowiły utrzymać cesarstwo osmańskie w obecnym jego stanie „wszelkiemi sposobami i środkami, jakie leżą w ich mocy“. Drugi punkt konwencyi münchengrätzkiej odnosił się do sprawy polskiej. W razie powstania w jednym z zaborów miało każde z mocarstw rozbiorczych wysłać „korpus dostateczny“ w pomoc zagrożonemu aliantowi, na pierwsze wezwanie dotyczących władz wojskowych. Przestępcy stanu, winni obrazy majestatu i wogóle biorący udział w spisku przeciw tronowi i rządowi mieli być prawéj władz wydawani. Gwarantując neutralność Krakowa i określając pojęcie jej w ten sposób, że cokolwiek zakłócić może spokojność sąsiednich ziem polskich, uważać należy za naruszenie neutralności, uchwalono, że jeżeli państwa gwarantujące spostrzegą, że rząd wolnego miasta nie chce lub nie może położyć tamy czynom, zakłócającym spokojność sąsiednich prowincyj, zobowiązują się natychmiast zająć Kraków wraz z całym okręgiem. Na takich zasadach powstała konwencya pomiędzy Austryą i Rosyą, podpisana w październiku także przez króla pruskiego. Była ona nie tylko zapowiedzią silniejszej niż dotychczas reakcyi, ale zarazem wznowieniem i wzmocnieniem „świętego przymierza“. Zaniepokojony niedawno objawami rewolucyjnymi czuł się Mikołaj teraz dość silnym, aby do gabinetów zachodnich właściwym sobie przemówić językiem, aby od Francyi zażądać ukrócenia propagandy rewolucyjnej, zagrażającej „ustanowionemu porządkowi, tronom i spokojności ludów“, aby, odrzucając zasadę nieinterwencyi, oświadczyć w Londynie i w Paryżu, że każdy monarcha ma niezaprzeczone prawo wezwać swych sprzymierzeńców na pomoc, jeżeli nie będzie w stanie własnemi siłami utrzymać spokoju w swem państwie. I taka groza powiała po Europie z starożytnego zamku Waldsteinów w Münchengrätzu, że Ludwik Filip, zajęty równocześnie wypadkami hiszpańskiemi, „przełknął milcząco“, jak się wyrażał z zadowoleniem Mikołaj, impertynencką deklaracyą mocarstw rozbiorowych. W miesiąc potem, dnia 26 listopada 1833 r. padła na rusztowaniu u rogatek Jerozolimskich w Warszawie głowa Zawiszy, a car, który równocześnie ułaskawiał od szubienicy pospolitego mordercę Malinowskiego,[1]) pisał wzruszony do Paskiewicza: „Przykrą i bolesną jest rzeczą być zmuszonym do podobnych kroków, ale cóż mamy robić? Oby Bóg dał, ażeby przykład ten uwolnił nas od podobnych prób, których następstwa są tak opłakane; lecz trudno temu uwierzyć, a usposobienie, z jakiem Zawisza umierał, dowodzi, jak silnie są przejęci swą sprawą piekielną.“[2])

Zabiegi dyplomatyczne emigracyi. — Oburzenie przeciw Czartoryskiemu. — Maurycy Mochnacki. — Centralizacya wersalska. — Literatura emigracyjna. Łatwo pojąć, że w takich stosunkach wszelkie usiłowania, zmierzające do uzyskania jakiej pomocy, jakiegoś poparcia dla sprawy polskiej u gabinetów zachodnich były i musiały być daremne. Ani Ludwik Filip, zajęty ustaleniem swojej dynastyi na tronie, odebranym starszej linii Burbonów, ani Anglia, zatrudniona wewnętrzną reformą, nie miała zamiaru zrywać dobrych stosunków z Petersburgiem dla Polski, skrzywdzonej wprawdzie, lecz umarłej politycznie. Tak jak niegdyś ks. Mor-

[1]) Skarbek, III., 48.

[2]) Szczerbatów: Rządy ks. Paskiewicza, str. 88.

temart Andrzejowi Koźmianowi, tak w dwa miesiące później lord Palmerston wyraził jasno myśl swoją w tym względzie ambasadorowi angielskiemu w Petersburgu; „W. Wysokość — pisał do Lorda Heytesbury dnia 22. marca 1831 r. — będzie naturalnie starać się, aby w tej mierze (t. j. w sprawie polskiej) nie uczynić żadnego kroku, któryby mógł doprowadzić do mniej przyjaźnej dyskussyi z rządem rosyjskim, z którym rząd Jego Królewskiej Mości pragnie usilniej niż kiedykolwiek utrzymać jak najprzyjaźniejsze stosunki,“ [1]) a Wielopolskiemu, przyjmując go w roli „podróżującego Polaka“, powiedział: „My mamy wprawdzie prawo interweniować na rzecz Polski, ale nie jesteśmy do tego obowiązani.“ I to zdanie jednak wymaga objaśnienia. Interwencya, w pojęciu Palmerstona, mogła się opierać tylko na traktacie wiedeńskim, mogła żądać utrzymania Królestwa kongresowego, ale nie wolno jej było sięgać za Bug i Niemen, mieszać się do spraw wewnętrznych cesarstwa rosyjskiego. Jeżeli więc gabinety zachodnie, w chwili najświetniejszej dla powstania, zakreśliły zabiegom swoim takie granice i nigdy ich przekroczyć nie chciały, to jasnem było, że po uśmierzeniu rewolucyi tem mniej okażą one skłonności do upominania się o Polskę z r. 1772. Nie przeczymy wcale, że był to punkt widzenia ciasny, argumentacya, pozbawiona wszelkiego poczucia sprawiedliwości, natchniona egoistycznemi pobudkami, ale że tego usposobienia gabinetów nikt nie był w stanie zmienić, więc i politycy polscy musieli do niego stosować swoje wymagania i zabiegi. Wiedział o tem dobrze Czartoryski, znający sztukę dyplomatyczną lepiej od innych, i dlatego, skoro tylko zdołał wymknąć się z Krakowa, podążył natychmiast do Francyi i do Londynu, aby, w imię pogwałconych przez Rosyą traktatów wiedeńskich, upomnieć się o prawa Polski i Polaków. I tak rozpoczęła się owa odysseja emigracyjnych dyplomatów naszych po gabinetach europejskich, owo upokarzające w najwyższym stopniu wystawanie ich po przedpokojach ministeryalnych, owe nieustanne supliki, zanoszone do głośnych mężów stanu, żarliwych trybunów ludu, nieustraszonych szermierzy wolności, którzy teraz na głos krzywdy, wołającej o pomstę do nieba, tracili, w niepojęty sposób, swój zapał niepohamowany, chowali w zanadrze wzniosłe swoje zasady i dla ginącej Polski nie mieli nic oprócz współczucia i litości.

Pierwsze swoje kroki skierował ks. Adam do Londynu, gdzie stary Julian Ursyn Niemcewicz, wysłany tam przez rząd narodowy w lipcu r. 1831, razem z Walewskim pracował gorliwie, acz bez skutku, nad nawróceniem Palmerstona i jego kolegów. Książe, który w młodości swojej dwukrotnie zwiedzał Anglią i później, podczas swego dyplomatycznego zawodu miał wiele sposobności stykać się z angielskimi mężami stanu, posiadał nad Tamizą i przyjaciół licznych i rozległe stosunki. Lord Grey i Brougham, zasiadający obecnie w gabinecie, należeli do jego dobrych znajomych, obaj okazywali zawsze dla Polski wiele życzliwości, Grey wręczył niegdyś Kościuszce honorową szablę imieniem swoich rodaków i ujmował się za Polakami w okresie kongresu wiedeńskiego, Brougham pisywał, zachęcony i uproszony przez Czartoryskiego, znakomite artykuły polityczne w sprawie polskiej; dziś stojąc u steru rządu mogli oni

[1]) D'Angeberg l. c. str. 806.

i powinni byli, jak się zdawało, uczynić dla nas wiele a przynajmniej pomagać szczerze i skutecznie. Obok nich znajdował się w Londynie, jako ambasador francuski, stary Talleyrand, od kongresu wiedeńskiego dość życzliwy, „najmniej obojętny“ dla Polski, była synowica jego, córka księżny kurlandzkiej, zamężna za księciem Dino, z Czartoryskim zaprzyjaźniona z dawnych czasów a wywierająca wpływ wielki na stryja, słowem nie brakło dróg i środków do popierania sprawy polskiej, do podniesienia głosu za Polską wobec Europy i całego świata. Z drugiej strony nie próżnowała także i dyplomacya rosyjska. Ambasadorem dworu petersburskiego w Londynie był od r. 1813 ks. Lieven, ożeniony z panną Benkendorff, siostrą znanego generała, który jako powiernik i nieodstępny towarzysz cara Mikołaja a zarazem twórca i naczelnik tajnej policyi, t. zw. „trzeciego wydziału“ kancelaryi cesarskiej, zyskał sobie w tym okresie najbezwzględniejszego absolutyzmu niepożytą sławę. W zręczności i przebiegłości nie ustępowała mu siostra. „Kobieta stara, niepiękna, z czerwonym nosem“, umiała ona do tego stopnia opanować ministrów angielskich, że kanclerz lord Brougham nie chciał wcale przyjąć Niemcewicza, aby się nie narazić ambasadorowej, a kolega jego lord Grey, zaprosiwszy ks. Czartoryskiego na obiad do siebie, otrzymał od niej list pełen wyrzutów i niezadowolnienia.[1]) Z arogancyą i dumą, właściwą rosyjskiej dyplomacyi, rozwodziła ks. Lieven po salonach londyńskich żale swoje z powodu przyjęcia, jakiego doznawał u ministrów naczelnik „buntowniczego rządu“, z nieubłaganą nienawiścią ścigała tych, co Polakom jakąkolwiek okazywali sympatyą, utrudniała korespondencyą emigrantom, słowem używała wszelkich sztuk i zabiegów, aby usiłowania Czartoryskiego udaremnić i w niwecz obrócić. Dopomagał jej w tym względzie ambasador angielski w Petersburgu, usposobiony jak najgorzej dla sprawy polskiej, i zawikłane położenie polityczne, które wstrzymywało gabinety zachodnie od każdego śmielszego wystąpienia przeciw Rosyi. W tej chwili bowiem Anglia, zawichrzona wewnątrz sprawą reformy wyborczej, unikała starannie wszelkich zawikłań międzynarodowych, a, oczekując z Petersburga ratyfikacyi układu dotyczącego Belgii, nie chciała drażnić niczem dumy Mikołaja. W takim składzie rzeczy nie mogły zabiegi Czartoryskiego odnieść najmniejszego skutku. Wyrozumiawszy z rozmowy z Talleyrandem, że zarówno Francya jak i Anglia stoją w sprawie polskiej na gruncie traktatu wiedeńskiego, ograniczył się w swoich przedstawieniach także do tego samego stanowiska. „My mówimy — tak wyrażał się do Palmerstona — o traktacie wiedeńskim tylko, aby nie mieć sobie do wyrzucenia, że odpychamy jakikolwiek sposób zmniejszenia naszych cierpień; sprawa utrzymania traktatów, tyczących się Polski, powinna teraz specyalnie obchodzić mocarstwa, które je podpisały.“ Ale uwagi tego rodzaju, jakkolwiek słuszne i trafne, nie czyniły żadnego wrażenia. Tak Palmerston jak Grey i Brougham wyrażali się z największą sympatyą o Polsce, myśl interwencyi jednak odrzucali stanowczo. „Upewniam — mówił Brougham — że Polska będzie zawsze nas zajmować, i teraz nawet los jej nie jest nam obojętnym. Lecz w tym względzie chce nieszczęście, że sprawa Polski jest przeciwną sprawom wszystkich innych mocarstw. Wszyscy pragną pokoju,

[1]) Pamiętniki Niemcewicza. Dziennik pobytu za granicą. T. I., str. 152.

Polska wywołuje wojnę i zaburzenia.“ W podobny sposób mniej więcej wyrażał się Grey, Palmerston zwalał winę na Austryą i Prusy, które pochwalają w zupełności politykę Mikołaja w sprawie polskiej i tem zachowaniem się paraliżują działanie gabinetów zachodnich. Dla znawcy stosunków i języka dyplomatycznego były te oświadczenia angielskich ministrów dowodem, że Polacy z tej strony żadnej nie mogą spodziewać się pomocy. „Ministeryum — tak pisał Czartoryski do Paryża — nie czuje się na siłach, nie czuje się na czele wielkiego narodu, mogącego mocno wpłynąć na los Europy. To daje wolne pole naszemu przeciwnikowi i trójgłowej potworze, która nas pożera.“ Jakoż całe dalsze działanie gabinetu angielskiego w sprawie polskiej dowodzi, że książe oceniał położenie trafnie. Palmerston wysyłał wprawdzie noty do Petersburga, przedstawiał, że postępowanie rządu rosyjskiego względem Polaków jest oczywistem pogwałceniem traktatu wiedeńskiego, ale poufnie wyjaśniał swemu ambasadorowi, że nie ma wcale na myśli wypowiadać wojny, i że przeciwnie starać się należy o dobre porozumienie z dworem rosyjskim.

W takich warunkach pozostawało Polakom jeszcze odwołanie się do opinii publicznej, do narodu angielskiego i do parlamentu. Użyto więc i tej broni. Niestrudzony Niemcewicz, mimo podeszłego wieku (kończył właśnie lat 74) i połączonych z tem dolegliwości, rozczytywał się pilnie w dziennikach, pisał artykuły, obiegał, zazwyczaj pieszo, z niemi redakcye, ogłaszał w tłumaczeniu angielskiem wiersz Mickiewicza „Do matki Polki“, zachęcał posłów i literatów angielskich do zawiązywania towarzystw przyjaciół Polski i do obrabiania tematów polskich, objeżdżał wreszcie znaczniejsze miasta, aby na zgromadzeniach publicznych budzić sympatye dla sprawy polskiej i przedstawiać w prawdziwem świetle politykę Mikołaja i jego okrutne z Polakami postępowanie. Ale i tu na każdym kroku prawie spotykały go zawody i rozczarowania. W Birminghamie na zgromadzeniu radykałów przyjęto wprawdzie dawnego towarzysza Kościuszki z zapałem, postanowiono wybić medal srebrny na jego cześć, uchwalono rezolucyą, wyrażającą boleść nad losem nieszczęśliwej Polski i oburzenie dla rządu rosyjskiego, ale wszelkie działanie odłożono aż do czasu, gdy bil reformy będzie przyjęty i w życie wprowadzony. „Wtedy — były słowa rezolucyi — rada stronnictwa użyje wszystkich środków, jakie okoliczności dozwolić jej mogą, by zniewolić rząd angielski do nalegania na gabinet petersburski, aby patryoci polscy, dziś na wygnaniu lub w więzieniach, powróceni byli do swych siedlisk, by tenże rząd nastawał silnie na dopełnienie co do litery wszystkich warunków tyczących się Polski, zawartych w traktacie wiedeńskim.“ [1]) Tak zapatrywało się radykalne stronnictwo w Anglii na sprawę polską; i ono, jak widzimy, nie wykraczało poza granice zakreślone uchwałami kongresu. A jednak towarzystwo demokratyczne polskie w Paryżu, budujące przyszłość Polski „na współdziałaniu ludów“, potępiło bezwzględnie i Czartoryskiego i komitet Lelewela właśnie za treść owej rezolucyi w Birminghamie. [2])

---

[1]) Niemcewicz: Dziennik etc., I., 300.

[2]) Heltman Wiktor: Demokracya polska na emigracyi. Bibl. pisarzy polskich, tom XXXV., str. 63.

Równie mały skutek odniosły starania polskie w parlamencie angielskim. Po długich zabiegach zdołano w prawdzie nakłonić Fergussona do poruszenia sprawy polskiej na posiedzeniu w dniu 9 lipca 1833 r., ale odpowiedź Palmerstona była tylko powtórzeniem tego, co już Czartoryski i Niemcewicz na poufnej audyencyi słyszeli. „Rząd angielski — mówił mianowicie minister — obstaje przy zdaniu, poprzednio już objawionem w tym przedmiocie, że proste i prawdziwe tłumaczenie traktatu wiedeńskiego wymaga tego, aby konstytucya Królestwa polskiego utrzymaną była taką, jaką była przed rewolucyą, i że tem samem nie ma prawa zmienienia onejże.“ Na tle tej odpowiedzi wszczęła się dyskussya dyplomatyczna i dziennikarska. Nesselrode w notach swoich i w artykule, zamieszczonym w gazetach petersburskich, dowodził, że Królestwo ma zapewnioną administracyą oddzielną i wszystkie zasady bytu politycznego przez traktat wiedeński zastrzeżone, dzienniki angielskie i francuskie twierdziły inaczej, ale sprawa polska nie odniosła stąd żadnej korzyści. W kołach emigracyjnych we Francyi, gdzie pilnie śledzono owe zabiegi dyplomatyczne Czartoryskiego, powstało na wiadomość o niepowodzeniach jego największe oburzenie. Nie uwzględniając ani trudnych stosunków, wśród których działał, ani niepomyślnego dla sprawy polskiej położenia politycznego, i, wychodząc z przekonania, że dyplomacya zgubiła powstanie, okrzyknięto Czartoryskiego zdrajcą narodu i nieprzyjacielem emigracyi polskiej właśnie wtedy, gdy Mikołaj skazywał go na ścięcie mieczem i na konfiskatę olbrzymiej fortuny. Początek do tego aktu stronniczej nienawiści dali członkowie towarzystwa demokratycznego w Chateauroux (d. 31. lipca 1833 r.) a za ich przykładem poszły zakłady w Bourges, w Poitiers, a wreszcie i komitet, zostający pod przewodnictwem generała Dwernickiego. Ogółem zebrano 2840 podpisów. Dziś, po latach 70, oceniając wypadki ówczesne nie ze stanowiska partyjnego, lecz historycznego, trudno jest nie oburzyć się na ten ostracyzm, pozbawiony ducha politycznego i obywatelskiego. Jakiekolwiek mogły być błędy „familii“ i Czartoryskiego, emigracya polska nie powinna była zapominać, że działali oni zawsze w dobrej wierze, że imienia swego nie splamili nigdy zdradą ani sprzedajnością, że ten sam ks. Adam, dziś potępiony niebacznie, jako kurator uniwersytetu wileńskiego, położył niepożyte dla sprawy narodowej zasługi i ofiarą majątku swego i długoletniem tułactwem zmazał winy, popełnione może przez słabość charakteru i zbytnie zaufanie w szczerość i poparcie gabinetów. Sąd o nim i o jego działaniu mógł zresztą wydać naród cały, ale nie ta garstka tułaczy, którzy nadzieje swoje w tej chwili pokładali także w obcej pomocy, w wielkim ruchu ludowym, w „powszechnem braterstwie i w spólnej potrzebie usamowolnienia narodów“, a do reprezentowania Polski wobec Europy żadnego nie mieli upoważnienia. Ale i w łonie emigracyi nie wszyscy podzielali zdanie demokratów z Poitiers, przeciwnie znaleźli się ludzie, którzy mieli dość odwagi, aby opinią swoją w tym względzie otwarcie wypowiedzieć, którzy nie wahali się potępić krok zarówno niepolityczny jak i dla sprawy narodowej szkodliwy. Należał do nich przedewszystkiem Maurycy Mochnacki. Na początku rewolucyi zawiedziony w swoich nadziejach, opuszczony przez przyjaciół politycznych, złożył on pióro, usunął się od życia publicznego i wstąpił jako prosty żołnierz

do 1. pułku strzelców pieszych. Raniony pod Grochowem i z ran wyleczony, brał udział, już jako oficer, w bitwach pod Okuniewem, Wawrem, Długosiodłem, Liwem, Przytyczą; pod Ostrołęką otrzymawszy cztery ciężkie rany i w nagrodę za męstwo okazane krzyż złoty, uczuł się niezdolnym do dalszej służby wojskowej i poświęcił się dziennikarstwu, umieszczając w „Dzienniku powszechnym“ artykuły, świetne pod względem stylu a zadziwiające bystrością w poglądach i trafnością sądu. Po upadku powstania udał się wraz z innymi na tułaczkę do Francyi i tu wziął czynny i żywy udział w życiu politycznem emigracyi. Gorący patryota, Polak do szpiku i kości, przewyższający wykształceniem, zwłaszcza historycznem, towarzyszów niedoli, obdarzony niepospolitym zmysłem politycznym, traktował on spory emigracyjne i kwestye bieżące ze stanowiska czysto narodowego i, nie dając się obałamucić teoryami zachodnich rewolucyonistów, upatrywał możność odrodzenia i odbudowania Polski w prawidłowym rozwoju społecznym i politycznym narodu, wskazanym przez ustawodawczą pracę czteroletniego sejmu. Nie schlebiając nikomu, nie szukając względów ani wyniesienia własnego, stał on właściwie ponad stronnictwami i był reprezentantem myśli polskiej, narodowej. Ale właśnie ten odrębny jego charakter polityczny stał się przyczyną jego odosobnienia i powszechnej prawie ku niemu niechęci. Stronnictwa, toczące ze sobą zawziętą walkę na obcej ziemi, nie mogły mu przebaczyć surowości, z jaką wytykał i chłostał ich błędy i niedorzeczności polityczne, ambitnicy rozmaitego gatunku, polujący na popularność, krzykliwi a próżni, widzieli w trzeźwych, rozumnych i wytrawnych poglądach Mochnackiego i jego talencie pisarskim i krasomówczym najwalniejszą przeszkodę w dopięciu zamierzonych celów. Wszyscy więc nienawidzili go mniej lub więcej serdecznie, pomijali przy wyborach do komitetów emigracyjnych, skazywali na zapomnienie, na odgrywanie dalej niewdzięcznej roli Kassandry. Niezrażony temi przeciwnościami, chory i zgorżkniały cokolwiek, strapiony nieuleczalną chorobą brata Kamila i przykrymi stosunkami w rodzinie swojej [1]) nie ustał jednak Mochnacki w pracy i szlachetnych swoich usiłowaniach, poświęcając czas, zdrowie i zdolności swoje do końca służbie narodowej. W Metzu, w Marly a następnie w Auxerre pracował bez wytchnienia nad najznakomitszem swojem dziełem, „Historyą powstania listopadowego“, zasilał artykułami swojemi „Pamiętnik Emigracyi“ i śledził przytem bacznie prądy, nurtujące wśród wychodźtwa. Akt poitierski a szczególniej przystąpienie do niego generała Dwernickiego obudziło w umyśle tak głębokim i w sercu tak gorącem wielkie i słuszne oburzenie. Odważny i za nic mający sobie względy ludzkie tam gdzie o losy ojczyzny chodziło, wystosował więc Mochnacki imieniem swojem jakoteż oficerów, podoficerów i żołnierzy z zakładu w Auxerre list otwarty [2]) do generała Dwernickiego, w którym przedstawił mu w słowach jasnych i dobitnych, jak dalece niestosownem i szkodliwem dla sprawy narodowej było owo potępienie Czartoryskiego i zatwierdzenie tego doraźnego wyroku przez bohatera z pod Stoczka i Boremla. „Dzisiaj osądzono Czartoryskiego — tak się wyrażał — za dni kilka, za kilka tygodni, na mocy

[1]) Patrz „Listy“ w wydaniu zupełnem dzieł Mochnackiego t. I.
[2]) M. Mochnacki: Pisma rozmaite. T. II., str. 170.

tegoż samego prawa, Ty, Generale osądzony i wyklęty zostaniesz. Wyroki, wyroki infamii będą więc po sobie szybko następowały, niesława powszechna stanie się prawem publicznem, żywiołem emigracyi, każda zasługa igraszką intrygantów.“ Ale nie w tem tylko leżała istota złego i doniosłość aktu, w Poitiers ogłoszonego. O wiele gorszy wpływ musiały wywrzeć na sprawę narodową, zdaniem Mochnackiego, błędne zasady i pojęcia, jakie inicyatorowie i twórcy wyroku w społeczeństwo polskie wpoić usiłowali, a które Dwernicki przez akces swój niejako za dobre uznawał. „Polska — czytamy dalej w liście — jest to kraj, który, gdy odzyska swą niepodległość, niewątpliwie będzie potrzebował wielkiej reformy społecznej, na korzyść i w interesie ogromnej większości narodu. Pod tym względem, w takim sensie, my wszyscy jesteśmy demokratami — i biada temu, ktoby nim być nie chciał. Lecz zarazem Polska jest to kraj, który i przed dokonaniem tej reformy, taki jak jest dzisiaj, koniecznie przez nas szanowany i kochany być winien. W tej Polsce jeden stan wyłącznie wszystko jeszcze może, bo w nim wyłącznie koncentruje się jeszcze własność i oświata, dwa główne elementa siły publicznej. Ten stan jest więc dotychczas potężny. Powstawał tyle razy i wiele razy jeszcze zechce, cały lud do broni powoła. Takie jest położenie rzeczywiste naszego kraju. Jedna klasa ma tam najwięcej wpływu i najwięcej w różnych okolicach Polski charakteru narodowego. Tego stosunku my dzisiaj, przed odzyskaniem niepodległości odmienić nie potrafimy. To więc, tak jak jest, trzeba przyjąć i uważać jako faktum exystujące. Wyrażamy myśl naszą w krótkości: nie o to jeszcze idzie, jaką ma być przyszła Polska, ale o to jedynie aby poruszyć do własnej obrony tę Polskę, jaka jest dzisiaj. Cóż mówią i piszą ludzie, którym Ty teraz Generale podałeś rękę, ludzie, którzyby sobie równem prawem przywłaszczyć chcieli tytuł demokratów, jak gdyby ktoś chciał sobie tylko wyłącznie przywłaszczyć tytuł uczciwego w towarzystwie człowieka? Oto wszystkie ich pisma i mowy zmierzają do tego: ‚trzeba szlachtę w pień wyciąć, majątek jej odjąć i między lud rozdać.‘ [1]) Czy rozumiesz Generale, że tej polityce kilku mdłych głów, gdzie zaledwie świtać poczyna poranek nowszej cywilizacyi — czy sądzisz Generale, że tej polityce kilku zepsutych próżniactwem nieuków, albo najętych przez Moskwę szalbierzy, nie udzieliłeś żadnego wsparcia przez Twe oświadczenie z dnia 27. września?“

Równocześnie prawie z tym listem wyszło z pod pióra Mochnackiego „Pismo okólne“, podpisane przez zakład w Auxerre a wzywające do utworzenia jednej, centralnej władzy emigracyjnej. Jeżeli w liście do Dwernickiego razić może cokolwiek ton miejscami zbyt ostry, to w „Piśmie okólnem“ podziwiać należy ścisłość rozumowania i trafność poglądów. Z właściwą sobie bystrością poddaje tu Mochnacki surowej krytyce prądy polityczno-społeczne, nurtujące w emigracyi, wykazuje, że „pomoc ludów jest równie problematyczną, równie pełną zagadek, jak wiara w pomoc rządów“; powoławszy się na smutne doświadczenia, jakie w tym względzie zrobili Polacy, dochodzi do wniosku, że zasadą naszą powinno być: „niczyjej pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją pomoc

[1]) Że takie zdania wtedy panowały w pewnej części emigracyi, potwierdza Heltman (Demokracya polska etc., str. 279).

nie wierzymy“. Przyszłość nasza spoczywa w nas samych, zacznijmy więc działać, ale aby módz działać trzeba mieć pierwej rząd. Prosty rozsądek dyktuje, że w największem nieszczęściu, równie jak na przypadek nieprzewidzianych pomyślności, lepiej jest być urządzonymi i zgodnymi, niż w stanie zupełnego rozprzężenia. Taka była ostatnia rada, jaką ten znakomity myśliciel i polityk przekazał emigracyi i tyle ukochanemu przez siebie narodowi.

Ale w tem powszechnem zakwaszeniu umysłów, w tem rozdrażnieniu nerwowem nieszczęśliwego wychodźtwa każdy głos, chociażby najrozsądniejszy, musiał przebrzmieć bez echa, jeżeli sprzeciwiał się ambitnym, dążnościom jednostek lub partyjnej polityce, musiał nadto wywołać oburzenie w tych, co siebie za nieomylnych a odmienne zdanie mających za zdrajców i półgłówków uważali. Doświadczył tego dawniej Mochnacki w Warszawie, miał doświadczyć teraz na obcej ziemi. Jak grad posypały się też przeciw niemu zewsząd zarzuty i obelgi, potwarze, najwstrętniejsze podejrzenia, plotki i fałsze. Nawet serdeczny jego przyjaciel i druh, Ludwik Nabielak, nie wahał się w otwartym liście posądzić go, że „wysokie stanowisko pisarza w sprawie ogółu zamienił na żołdowanie piórem i w interesie jednego stronnictwa, jednego człowieka.“ [1]) I to wszystko bez najmniejszego dowodu, bez żadnej podstawy rzucono mu w oczy wtedy, gdy kończył swoją „Historyą powstania“, którą cała demokracya polska za najznaczniejsze dzieło polityczne uważała i dotąd uważa, gdy schorzały i złamany na ciele, ale nie na duchu, nie miał ani powodu ani potrzeby troszczyć się o przyszłość swoją lub odstępstwem od zasad zyskiwać względy możnych, którym nigdy nie schlebiał i którzy w nim zawsze najniebezpieczniejszego swego przeciwnika widzieli. Toż dziwić się nie podobna, że słabnącą już ręką chwyciwszy za pióro, napisał piorunującą oszczercom swoim odprawę,[2]) że użył w niej wyrazów gwałtownych, że w szlachetnem oburzeniu napiętnował ich postępowanie w sposób zbyt może jaskrawy, ale bądź co bądź sprawiedliwy. Była to ostatnia jego praca. Organizm nie zbyt silny z natury, a strawiony życiem gorączkowem i bezustannem natężeniem umysłu, uległ przedwcześnie dziwnemu jakiemuś rozkładowi. Pozornie zdrów, przeczuwał Mochnacki śmierć bliską i nieuniknioną i wpadając w rodzaj zachwytu opowiadał otaczającym go o cudach lepszego świata. „Wy nie słyszycie tego — mówił — ale ja, co się wkrótce z nimi połączę, już je przeczuwam, już słyszę ich grę harmonijną, która świat napełnia.“ I nie zawiodły go te widzenia, umarł dnia 20. grudnia 1834 r. w Auxerre, licząc zaledwie lat 30. Lekarze po śmierci znaleźli w nim serce rozszerzone, a wszystkie organa żywotne, mimo najskromniejszego życia, tak zużyte jak u zgrzybiałego starca. Nic dziwnego, bo żył sercem i duchem. Przyjaciel i towarzysz jego młodości, Michał Podczaszyński, tak się o nim wyraża: „Przez trzynaście lat uwielbiałem przymioty serca Mochnackiego, umiałem cenić jego talenta; nikogo też bardziej nademnie nie oburzały zarzuty przewrotnych lub zaślepionych ludzi, z których żaden nie wytrzymałby ani jednej takiej próby, na jakie

[1]) Ludwik Nabielak do M. Mochnackiego z powodu pism auxerskich. Paryż 29. listopada 1834 r.

[2]) Pisma rozmaite, II., 194.

on przez całe życie był wystawiony, a którzy jedną nic nie znaczącą słabość młodzieńczego wieku przez tyle lat w najohydniejszej wystawiali barwie, ażeby prawdę, której on tyle razy w stosownych dla narodu momentach jedynym był organem, zasłoną błędu okryć, a chęć jego służenia poczciwie ojczyźnie za występną ambicyą podać. Wszystkie ich życzenia już się teraz spełniły; pozostaje im tylko kazać wielbić pamięć proroka, którego kamienowali za życia.“ [1])

Ze śmiercią Mochnackiego nie ustały spory emigracyjne, ale przybrały charakter, jeżeli można, jeszcze ostrzejszy. W łonie wychodźtwa skrystalizowały się wtedy dwa główne kierunki: jeden arystokratycznym nazwany, złożony z członków dawnego rządu narodowego, posłów sejmowych i starszyzny wojskowej, ogółem z żywiołów umiarkowanych, skupionych około Czartoryskiego; drugi demokratyczny, obejmujący ludzi młodych, o gorącem sercu, z wyobrażeniami i dążnością szlachetną, ale z pojęciem politycznem mglistem i niewyrobionem. Podczas gdy pierwsi, stojąc na gruncie realnym i licząc się z stosunkami i ogólnem położeniem Europy, nie zrzekali się ideałów przeszłości, lecz starali się o uzyskanie możliwych w tej chwili korzyści i w swoich zabiegach szukali oparcia w traktacie wiedeńskim, uznanym przez wszystkie mocarstwa; drudzy oświadczali otwarcie, że celem ich jest odbudowanie Polski w granicach r. 1772, że ta przyszła Polska będzie państwem republikańskiem, i że środkiem do odzyskania niepodległości jest poruszenie mas ludowych przez usamowolnienia stanu włościańskiego. Do tak określonych programów stosowały oba stronnictwa swoją politykę i swoje postępowanie. „Arystokraci“ nie ustawali w zabiegach dyplomatycznych, nie sprzeciwiali się i nie odrzucali myśli usamowolnienia ludu, dla przyszłej Polski uważali za najodpowiedniejszą formę rządu monarchiczno-konstytucyjną a w tej chwili ograniczali działanie swoje do skupiania sił emigracyjnych, do udzielania pomocy tułaczom, do zbierania materyałów historycznych, do opiekowania się sprawą polską w dziennikarstwie, wreszcie do kształcenia młodszéj generacyi emigracyjnej w kierunku dla kraju i dla niej samej pożytecznym.

W tym celu założono najpierw dnia 29. kwietnia 1832 r. towarzystwo literackie pod przewodnictwem ks. Adama Czartoryskiego. Złożone początkowo z 13 członków, pomiędzy którymi znajdowali się generałowie Bem i Umiński, Teodor Morawski, Ludwik Plater i Jelski, wzięło ono sobie za główne zadanie bronić sprawy polskiej w dziennikach francuskich i oświecać publiczność czytającą o położeniu narodu polskiego. Właściwa praca literacka, utrudniona niezmiernie brakiem materyałów i źródeł, zeszła na drugie miejsce i do roku 1842 wydało towarzystwo jedną tylko publikacyą w tym rodzaju: L. Platera Opis statystyczny województwa Poznańskiego. W kilka miesięcy później powstało stowarzyszenie naukowej pomocy dla zakładania szkółek i ułatwiania emigrantom wstępu do zakładów francuskich naukowych i przemysłowych, a 12. marca 1834 towarzystwo dobroczynności dam polskich, pod prezydencyą ks. Czartoryskiej. Wszystkie te stowarzy-

[1]) Słowa te były pisane dnia 31. grudnia 1834 r. Podczaszyński umarł w roku następnym w Paryżu.

szenia miały dochody szczupłe i działalność skutkiem tego wielce ograniczoną. „Pomoc naukowa“ zebrała w ciągu siedmiu lat 68.914 franków, „towarzystwo dobroczynności“ 159.863 franków. Nic dziwnego zatem, że szkółki w Nancy i Orleanie zostały już po kilku latach (w r. 1839) zamknięte. A jednak z przeciwnego obozu padały co chwila podejrzenia, że „arystokracya“ ściąga fundusze z kraju i używa ich na kupowanie sobie stronników w emigracyi. Jak dalece oskarżenia te były nieuzsadnione świadczy i skład komitetów, zarządzających wyżej wymienionemi stowarzyszeniami, i budżety ich ubogie niewystarczające chyba na szerzenie propagandy politycznej pieniędzmi. W radzie towarzystwa naukowej pomocy zasiadali: generałowie Kniaziewicz, Pac, Bonawentura Niemojowski, Adam Mickiewicz i znany doktor Marcinkowski, późniejszy twórca podobnej instytucyi w w. ks. Poznańskiem; w towarzystwie dobroczynności pierwsze miejsce po ks. Czartoryskiej zajmowała Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Osoby te, znane powszechnie z zacności charakteru, z patryotyzmu i poświęcenia, zajmujące nadto tak wybitne w społeczeństwie polskiem stanowiska, nie dałyby się z pewnością użyć za narzędzie stronnictwu do kupowania głosów, do bałamucenia wychodźców. Nie wystarczały zresztą na ten cel i fundusze.

Ogólna ilość emigrantów polskich, pobierających żołd, wynosiła w r. 1839 4974 osób; pensye, płacone przez rząd francuski 1·5 miliona franków rocznie. Jakież znaczenie wobec tego mogło mieć na przeciąg lat siedmiu owych 228.000 fr., któremi rozporządzały towarzystwa „arystokratyczne“? Iluż stronników dało się za to pozyskać? jakie zdobyć u ogółu wychodźtwa poparcie? Rząd rosyjski, co prawda, miał na to gotową odpowiedź: pieniędzy dostarczał Ludwik Filip, który chcąc się utrzymać na tronie, usiłuje wywoływać zaburzenia u sąsiadów i „w tym celu używa pieniędzy, intryg, tajnych stowarzyszeń“, on to a nie kto inny dostarczył Czartoryskiemu funduszów do zakupienia hotelu Lambert, on daje mu pieniądze na wydawanie balów, „dla całego miasta“, jego kosztem „hulają“ agenci emigracyjni, przybywający z Francyi do Poznania i Galicyi.[1]) W istocie miała się rzecz zupełnie inaczej. Czartoryski, który po utracie ogromnej fortuny w zaborze rosyjskim, posiadał jeszcze dość znaczne dobra w Galicyi a może i jakie kapitały, ulokowane za granicą, umiał przez oszczędność zachować tyle przynajmniej, aby zapewnić sobie i swoim utrzymanie przyzwoite i pomagać tym, co pomocy potrzebowali. W owym głośnym hotelu Lambert, kupionym według Paskiewicza za milion franków, prowadzono życie skromne i do najniezbędniejszych ograniczone wydatków. „Trzymano — tak opowiada naoczny świadek, nie należący do żadnego z stronnictw emigracyjnych[2]) — tylko jednokonną karetkę, która służyła po kolei wszystkim mieszkańcom hotelu; sług tak męskich jak i żeńskich nie więcej było nad konieczną potrzebę; czwartkowe wieczorne przyjęcia ograniczały się do najskromniejszej herbaty, stół zaś codzienny był tak skromny, że lada dzierżawca wiejski obficiej i wykwintniej jadał w swoim wiejskim dworku.“ To samo da się powiedzieć także i o balach, corocznie urządzanych na cele

[1]) Szczerbatów: Rządy etc. List Paskiewicza do Mikołaja, pisany w r. 1844; str. 263.
[2]) Pamiętniki ks. Zyg. Szczęsnego Felińskiego. Kraków 1897, t. I., str. 286.

dobroczynne emigracyi a ściągających tłumy cudzoziemców. Utrzymywały się one głównie staraniem, pomysłowością i stosunkami ks. Czartoryskiej i przynosiły znaczne dochody, obracane na wsparcie dla ubogich, chorych lub wiekiem pochylonych tułaczy. I one budziły, nie zupełnie słusznie, w przeciwnym obozie narzekania na „żebraninę", której jednak trudno było uniknąć, gdy zasiłki rządowe się zmniejszały [1]) a ilość niezdolnych do pracy wzrastała.

Na takiem tle i z takich powodów powstawały owe kwasy emigracyjne, przybierające coraz to ostrzejszy charakter, zwłaszcza po usunięciu się Lelewela do Belgii i po śmierci Mochnackiego. Rozdwojenie i niezgoda

Szymona Konarskiego wyprowadzenie na plac śmierci w Wilnie 1839 r.

rosły nieustannie i dzieliły wychodźców na coraz nowe kółka, komitety i stowarzyszenia. Obok wyżej wymienionych zawiązał się wcześnie znany nam już

[1]) Rząd francuski postanowił od 1. lipca 1837 r. zmniejszyć wsparcie emigrantów corocznie o $^1/_{10}$. Dotąd pobierali: prezes rządu i wódz naczelny po 250 fr. miesięcznie, członkowie rządu i generałowie dywizyi po 200 fr., posłowie i generałowie brygady po 100 fr., oficerowie wyżsi i urzędnicy cywilni po 60 fr., oficerowie niżsi po 45 fr., żołnierze i podoficerowie po 22 fr.

komitet Dwernickiego, rozbity właściwie w r. 1835; w styczniu roku następnego 1836 powstała „konfederacya“, w Londynie „komitet emigracyi londyńskiej“ a poza niemi tajne związki „węglarzy“, „kosynierów“ i „towarzystwo wyjarzmicieli“.

„Węglarstwo“, zawiązane w pierwszych chwilach tułactwa na tle rewolucyjnem francuskiem, od r. 1833 istniejące odrębnie jako „polskie“, z naczelną władzą „namiot narodowy“, znoszący się z „najwyższym namiotem świata“ w Paryżu, rozbiło się niebawnie na kilka innych towarzystw, przebywających w Anglii, i na pół jawny, pół tajny związek „młodej Polski“, złączonej z „młodą Europą“, założoną dnia 12. kwietnia 1834 r. w Szwajcaryi. Reprezentantem „młodej Polski“ był Lelewel, do komitetu, wybranego w Bernie weszli: Stolzman, Feliks Nowosielski, Fr. Gordaszewski, Konstanty Zaleski i Józef Dybowski.

Odrębnie od tych wszystkich instytucyj emigracyjnych rozwijało się i działało towarzystwo demokratyczne, najruchliwsze a przynajmniej najgłośniejsze ze wszystkich. Ono też jedno z niewielu nabrało pewnego znaczenia w kraju i za granicą.

Już sama mnogość wyliczonych co tylko towarzystw daje obraz rozbicia i rozluźnienia polskiego wychodźtwa i tłumaczy nam poniekąd panujące w jego łonie stosunki. Nie tyle różnica w głównych zasadach, bo każdy z tułaczy był zapalonym patryotą, gotowym do wszelkich dla ojczyzny poświęceń, co owa gorycz upadkiem powstania wywołana, stanowiła najważniejszą przyczynę niezgody i podnietę do ciągłej walki wewnętrznej. Wspomnieliśmy już, że winę niepowodzenia przypisywano powszechnie naczelnemu kierownictwu rewolucyi. Obalić więc powagę tego rządu niedołężnego i sejmu a natomiast postawić ludzi nowych, którzy sprawę narodową lepiej i rozsądniej pokierują — stało się zatem powszechnem hasłem. Stąd poszły zamachy jeden po drugim: obalenie „komitetu tymczasowego“, rozbicie komitetu Lelewela, potępienie Czartoryskiego. Hasła wydawał gwarny sejmik emigracyjny, obradujący w domu przy ulicy Taranne położonym, i z niego wyłoniło się wreszcie towarzystwo demokratyczne. Na widownią wystąpili nowi ludzie; Zaliwski, rzekomo pomijany z umysłu w rewolucyi, urządził wyprawę partyzancką; ks. Pułaski, Krępowiecki, Gurowski i inni dali początek nowemu towarzystwu. Plany Bema, zamiar utworzenia legii w Algierze, wysyłka emigrantów do Ameryki zawichrzyły srodze umysły, zasady socyalistyczne bałamuciły i zapalały głowy, nieprzywykłe do zastanawiania się i rozmyślań. Żołnierze świeżo z Prus do Portsmouth przywiezieni, oderwawszy się od towarzystwa demokratycznego utworzyli związek „ludu polskiego“, na dwie grupy „Grudziąża“ i „Humania“ podzielony a hołdujący wprost już doktrynom Babeufa i Bucheza. Tak się przedstawia pierwszy okres życia emigracyjnego, który pozostawił po sobie „odurzający wicher słów, stosy papierów i zwaliska napowietrznych instytucyj.“ [1])

Nastąpiło teraz pewne otrzeźwienie umysłów. Nieudane ruchy w Frankfurcie i Sabaudyi przekonały wychodźców polskich, że na pomoc rewolucyi

[1]) Wrotnowski Feliks: Wspomnienia siedmiu lat pielgrzymstwa polskiego. W r. 1839.

powszechnej liczyć nie można, zjazd w Münchengrätzu i nacisk, jaki wywarły rządy zaborcze na Szwajcaryą, domagając się wydalenia Polaków i burzycieli spokojności europejskiej, dowiódł przeciwnie, że reakcya czuje się silniejszą niż dawniej, że gotowa jest użyć nawet broni, wzniecić wojnę powszechną dla ocalenia zagrożonego porządku. Jakoż w r. 1834 zanosiło się na to; Paskiewicz w Królewcu zawierał z królem pruskim ugodę co do dostawy żywności i pochodu wojsk rosyjskich, które miały skoncentrować się w Prusiech wschodnich i ruszyć potem na zachód, „o 400 mil przeszło od środka Rosyi“;[1]) książe pruski Adalbert odwiedził Warszawę, król sam zapowiedział wizytę swoją na rok następny w Kaliszu. Przyjaźń prusko-rosyjska rosła i wzmacniała się widocznie, bruździli cokolwiek ministrowie pruscy, trwożliwie oglądający się na Francyą, ale król i jego najbliższe otoczenie rzucało się bez namysłu w objęcia doświadczonego sprzymierzeńca i krewniaka z nad Newy. Mikołaj był też zachwycony tą serdecznością swego teścia i troszczył się tylko o to, czy będzie mógł przyjąć go należycie i przedstawić mu dobrze wojsko rosyjskie. „Zaczynam się obawiać — tak pisał do Paskiewicza — jak my je (wojsko) pokażemy naszemu ojcu królowi i znawcy i surowemu sędziemu.“ Podobna troska przygniatała także umysł Fryderyka Wilhelma III. I on musztrował bezustannie korpus, przeznaczony na rewią kaliską, i on w głębi serca trwożył się i niepokoił. Było to współzawodnictwo ciekawe i charakterystyczne, znamionujące czas i ludzi. Paskiewicz dbał mniej o te drobnostki, ale i jego przygniatała obawa, innego rodzaju. Świeżo nadeszła z Paryża wiadomość o zamachu na Ludwika Filipa,[2]) tajna policya donosiła o wzburzeniu umysłów w Poznańskiem, o emisaryuszach polskich, przybyłych tam z Francyi; niebezpieczeństwo zdawało się groźne. Car więc, za radą namiestnika, popłynął morzem do Prus i przez Toruń udał się do Kalisza. Tydzień cały trwały uroczystości; monarchowie zachwycali się postawą wojsk swoich, sztucznemi ogniami, bombardowaniem miasta, produkcyami muzykalnemi; na głównym placu kaliskim wzniesiono pomnik na pamiątkę wznowionej i szczęśliwie utrwalonej przyjaźni prusko-rosyjskiej; wreszcie Mikołaj pojechał do Warszawy. Były to właściwie pierwsze jego odwiedziny w stolicy polskiej od czasu powstania. W r. 1833 przybył on wprawdzie do Modlina na wielką rewią, zbiegł do Warszawy na oglądanie cytadeli, ale nie chciał przyjąć delegatów miejskich a do gubernatora Pankratiewa powiedział: „Przybyłem zwiedzić cytadelę, nie miasto, niech o tem wiedzą.“ W roku następnym, w listopadzie, jadąc z Berlina do Petersburga, bawił przez kilka godzin w cytadeli, na przeglądzie wojskowym, w Belwederze przyjmował generałów i świeckich dygnitarzy, ale w rozmowie z nimi ograniczył się do najogólniejszych frazesów. Teraz dopiero, po zjeździe kaliskim, umocniony i pokrzepiony przymierzem pruskiem i przyjaźnią gabinetu wiedeńskiego, wystąpił w właściwym sobie charakterze groźnego autokraty i nieubłaganego mściciela i przemówił w pałacu łazienkowskim do duchowieństwa i deputacyi miejskiej w sposób taki, w jaki może nigdy pomazaniec boski do poddanych swoich się nie odzywał. Była to mowa nie ojcowska, nie

[1]) List Paskiewicza u Szczerbatowa. Rządy etc., str. 114.

[2]) Wykonał go korsykanin Fieschi.

monarsza, ale wprost kapralska. „Wiem — rzekł — żeście chcieli mnie widzieć, otóż jestem przed wami; wiem, żeście chcieli mieć mowę do mnie, ale chcąc wam oszczędzić potrzebę wyrzeczenia do mnie kłamstwa, nie chciałem dopuścić do tego. Tak panowie! chciałem wam oszczędzić kłamstwa, bo wiem dobrze, że uczucia wasze nie są takie, jakie chcielibyście we mnie wmówić..., a, przypomniawszy dobrodziejstwa Aleksandra I., tak ciągnął dalej: „Mnie trzeba czynów, a nie słów. Widzicie, że mówię spokojnie i bez żadnego uniesienia, bo od dawna przebaczyłem obrazy mnie i mojej familii wyrządzone. Jedynem mojem życzeniem jest: oddać wam dobre za złe, uczynię was szczęśliwymi, pomimo was samych. Książe marszałek tu obecny wykonywa moje zamiary i zajmuje się także ustaleniem waszego dobrego bytu“ — w tej chwili skłoniła się deputacya przed Paskiewiczem, car zaś, spojrzawszy na nią z pogardą, mówił: „Cóż się to ma znaczyć? Czegóż dowodzą te ukłony? Niczego zgoła. Trzeba przedewszystkiem wypełniać obowiązki wasze, trzeba tak postępować, jak na uczciwych ludzi przystoi. Macie przed sobą dwie drogi: albo trwać przy waszych marzeniach o Polsce samoistnej i niepodległej, albo żyć spokojnie jako wierni poddani pod moim rządem. Jeżeli się upierać będziecie przy waszych marzeniach, ściągniecie na siebie tylko największe nieszczęścia. Wystawiłem tutaj cytadelę Aleksandra i zapowiadam wam, że za najmniejszem zaburzeniem każę strzelać do miasta, zamienię w gruzy Warszawę i pewnie ja jej już nie odbuduję.“

Ostatnie ustępy mowy były cokolwiek mniej gwałtowne, ale i tu zalecał car zlanie się z Rosyą, potępiał surowo tajemne korespondencye z zagranicą, wreszcie, zapewniwszy obecnych o swojej „ojcowskiej troskliwości“, skończył słowami: „Zachowajcie dobrze w pamięci wszystko to, co wam tu dziś powiedziałem.“

Enuncyacya carska sprawiła w kraju wrażenie przygnębiające a za granicą wywołała powszechne oburzenie. Sam rząd rosyjski, jakby przestraszony tym niespodziewanym wybuchem dumy i nienawiści mikołajowskiej, pominął mowę milczeniem, nigdzie nie ogłoszono autentycznego jej brzmienia, przechowało się ono w zapiskach współczesnych, wyryło głęboko w duszy narodu. Emigracya poczuła potrzebę ściślejszego zjednoczenia się i skuteczniejszego jakiegoś działania. „Jego jedna mowa — tak wyraża się Wrotnowski — zbliżyła mocniej umysły rozproszeńców, niżeli wszystkie perory pomiędzy nimi samymi zalecające zgodę.“ Jakoż charakterystyczną jest rzeczą, że na 31 projektów uorganizowania całej emigracyi, jakie pojawiły się w ciągu lat dziesięciu (od 1831—1841) największa liczba przypada na czas od r. 1835 do 1841. W styczniu r. 1836, a więc trzy miesiące po przyjęciu deputacyi w Łazienkach, ogłoszono bezimiennie projekt do aktu konfederacyi narodu polskiego. Rada konfederacka, zbierająca się pod przewodnictwem wybranego przez siebie marszałka, ma się starać o przywrócenie Polski, regimentarz czuwać nad wczesnem utworzeniem kadrów wojska narodowego; wszyscy mieszkańcy Polski będą używać tych samych praw i swobód, przystępujący do konfederacyi właściciele ziemskich majątków nadają włościanom swoim na zupełną i bezwarunkową własność grunta obecnie używane. Związek pod

takiemi hasłami utworzony, oparty na tradycyjnej organizacyi narodowej, mający za jeden z głównych celów swoich dokonanie reformy społecznej przez dobrowolną ofiarność szlachty a nie gwałtowne jej wywłaszczenie, słowem konfederacya, z programem umiarkowanym a jednak odpowiadającym duchowi czasu, zaniepokoiła rząd rosyjski i oburzyła skrajne stronnictwa emigracyjne. W dwa miesiące więc po ogłoszeniu aktu konfederackiego wydalił rząd francuski, na reklamacyą ambasadora rosyjskiego, założycieli konfederacyi z Paryża i przerwał dalsze ich czynności. Na placu boju pozostało tak jedno widome i widoczne stowarzyszenie emigracyjne, znane pod nazwą towarzystwa demokratycznego. I ono także przedsięwzięło w swojem łonie konieczną, jak się zdało, reorganizacyą; na wzór francuski podzieliło się na sekcye, wybrało centralizacyą i w manifeście z dnia 4. grudnia 1836 r. objawiło myśl swoją i cele polityczne.

Wychodząc z zasady, że „Polska przed dziesięciu wiekami sama, lubo w szczupłym jednego stanu zakresie przechowała i rozwijała demokratyczną Słowian ideę“, wyrażają autorowie manifestu przekonanie, że i odrodzona, niepodległa Polska będzie demokratyczną a nigdy arystokratyczną rzecząpospolitą. „Wszechwładztwo — czytamy tam dalej — wróci do ludu; stan niegdyś panujący rozwiąże się ostatecznie, między lud zstąpi, stanie się ludem; wszyscy będą równi, wszyscy wolni.“ Tak odbudowana Polska spełni dopiero swoje posłannictwo i „absolutyzmu przymierze rozerwie, jego zgubny wpływ na cywilizacyą zachodu zniszczy, rozszerzy demokratyczną ideę wśród Słowian, dziś za narzędzie ujarzmienia służących, tą ideą ich złączy, a przez cnoty swoje przez czystość i siłą ducha swojego, powszechnemu nawet usamowolnieniu europejskich ludów da początkowanie.“ Ażeby wykonać tak rozległe i wielkie zadanie, trzeba najpierw odzyskać byt niepodległy. Autorowie manifestu uważają to za rzecz niewątpliwą, do osiągnienia stosunkowo łatwą, bo „Polska ma w łonie własnem olbrzymie siły, których dotąd żaden głos sumienny i szczery nie wywołał jeszcze“, t. j. lud. Oddawszy temu ludowi na własność bezwarunkową ziemię, wróciwszy mu prawa, powoławszy do używania korzyści niepodległego bytu wszystkich, bez różnicy wyznań i rodu, można rozwinąć w całej masie uciśnionych uczucie prawdziwego poświęcenia i wlać to wielkie przekonanie, iż dwudziestomilionowy naród koalicyą Europy całej zburzyć i zniszczyć jest w stanie.“ Taką była mniej więcej treść manifestu.

Usunąwszy na bok ogólniki, służące bardziej dla ozdoby stylu niż do jaśniejszego wystawienia zasad politycznych towarzystwa, znajdziemy na dnie tego, nad miarę wszelką rozciągłego aktu, jedną tylko myśl pożyteczną i słuszną, chociaż wcale nie nową, mianowicie usamowolnienie ludu. Że ono było głównym warunkiem i odrodzenia narodu i odzyskania niepodległości, o tem chyba ludzi rozumnych i szczerze miłujących ojczyznę wtedy nawet nie trzeba było przekonywać i na to zgadzały się wszystkie stronnictwa emigracyjne, z wyjątkiem kilku zapleśniałych konserwatystów a raczej zacofańców. Nie ulega także wątpliwości, że propaganda w tym kierunku w kraju była potrzebna i pożyteczna i że podejmując ją wśrod najtrudniejszych warunków, z poświęceniem wielkiem, działało towarzystwo demokratyczne patryotycznie i w wielu

wypadkach skutecznie. Z drugiej strony jednak niepodobna zaprzeczyć, że członkowie towarzystwa oddawali się niczem nieuzasadnionemu złudzeniu, gdy sądzili, że usamowolnienie włościan i obdarowanie ich ziemią było w ówczesnych warunkach rzeczą łatwą, że zależało tylko od dobrej woli szlachty lub że lud, usłyszawszy o zniesieniu pańszczyzny i o nadaniu praw obywatelskich, chwyci natychmiast za broń, stanie do walki o niepodległość ojczyzny. Takim marzeniom mogli się oddawać ludzie nie znający ani stosunków krajowych ani usposobienia włościan. Jakoż w centralizacyi ówczesnej zasiadali: Tomasz Malinowski, były assesor w prokuratoryi generalnej, Robert Chmielewski, były sekretarz wydziału w komissyi sprawiedliwości, Henryk Jakubowski, były sekretarz wydziału w komissyi spraw wewnętrznych, i Jan Nepomucen Janowski, były aplikant w wydziale skarbowym i bibliotekarz towarzystwa przyjaciół nauk, a więc urzędnicy,[1]) którzy z ludem nigdy lub przygodnie tylko się stykali, o jego potrzebach i sposobie myślenia najmniejszego nie mieli wyobrażenia i sądzili, że chłop polski, litewski i ruski da się porwać hasłom europejskiej demokracyi i na pierwsze zawołanie pójdzie w bój z nieprzyjacielem, od stóp do głów uzbrojonym, że zawierzy obietnicom tych, którzy nie mieli ani władzy ani siły, aby przy najlepszych chęciach zapewnić ludowi własność i równouprawnienie.

W kilkanaście lat później rozwiały tę ułudę krwawe wypadki galicyjskie i dzieje zniesienia pańszczyzny w Galicyi, które ówczesny rząd wiedeński jako od niego wychodzące dobrodziejstwo włościanom przedstawił i na swoją korzyść wyzyskał. Ale marzyciele emigracyjni, oderwani od kraju, odrębnem i gorączkowem żyjący życiem, oceniali według siebie stan umysłowy całego narodu. „Jeżeli ta drobna gałązka wielkiego narodu — czytamy w jednem z pism emigracyjnych [2]) — tak daleko od ojczystej odrzucona ziemi, nieledwie samemi oddychająca wspomnieniami, mogła tak silnie zazielenić nadzieją, codzień bardziej pojmować się i wypogodzić, cóż dopiero spodziewać się należy po tej całości, której odległym brzmi tylko oddźwiękiem, której jest cieniem lecz zarazem i wielką przepowiednią.“ Na tem przekonaniu, mylnem niestety jak dziś wiemy, gruntowała się jakaś wiara, pełna mistycyzmu, nie określona należycie w swoich pragnieniach, nie zdająca sobie nawet sprawy z tego co ją otaczało, a jednak w obłędzie swoim niezachwiana. W chwili, gdy w łonie samego towarzystwa demokratycznego nastąpił rozłam, gdy oderwali się od niego wychodźcy, przebywający w Anglii, gdy sekcya Panteonu wystąpiła z projektem „zjednoczenia“ a ogół brukselski za przewodem Lelewela wskazywał środki scalenia emigracyi, słowem gdy walka partyjna nie tylko nie ustała, ale z wznowioną toczyła się siłą, członkowie towarzystwa demokratycznego cieszyli się, że „już tak daleko zaszli od całego nieładu pierwszych dni tułactwa“, a wierząc, że „odwieczny duch polski żyje wpośród nich“, wynajdywali na kartach dawnych dziejów naszych „prawdziwe formuły wywoływania i zaklinania“ tego wielkiego ducha, pracowali nad wskrzeszeniem i pod-

[1]) Pamiętniki Jana Nepomucena Janowskiego. Rękopis w bibliotece jagiellońskiej w Krakowie.

[2]) Rzut oka na dotychczasowe dzieje emigracyi. Noworocznik demokratyczny na rok 1842.

niesieniem czci jemu należnej. Z niejasnych pojęć zasadniczych wynikały też bałamutne wyobrażenia o przyszłej organizacyi Polski i o reformie stosunków społecznych. Zastrzegając się wyraźnie przeciw tendencyom socyalistycznym, które „za sobą najszkodliwsze pociągają skutki“,[1]) potępiając sęsymonizm i komunizm i inne tym podobne doktryny, które przez kilka lat początkowych bałamuciły młode pokolenia a dojrzalszych przestrachem przejmowały“,[2]) nie umieli ci reformatorowie określić jasno ani swego programu społecznego, ani pojęcia władzy, obracali się w zaczarowanem kole ogólników o równości, braterstwie ludów, wolności i równouprawnieniu, a o władzy wyrażali się w sposób zupełnie niezrozumiały. „Władzy nie powierzy Polska ani jednej osobie, ani sejmom żadnym; — tak pisał Heltman w r. 1840[3]) — nie skrępuje jej przepisami, które dla dobrej wiary kajdanami są, dla złej pajęczyną tylko. Władza będzie wielka, nieograniczona; energią i szybkością ruchów nieprzyjacielskiej równa; myślą i ramieniem ludu wszechmocna; równie dla zewnętrznych jak dla wewnętrznych wrogów straszna, nieubłagana.“ Na gruncie takich pojęć, zasadniczo słusznych i wynikających z gorącego uczucia patryotycznego, rozwijała się polityczna literatura emigracyjna, przeładowana frazesami, olśniewająca świetnością stylu, ale w istocie próżna, w treść i myśli ożywcze uboga.

„Siedem lat ciężkiej próby w cóż się obrociło! — woła z goryczą jeden z tych tułaczy, co siły swoje strawili na usługach narodowych — Rachunek krwią i żółcią na tle czystego poświęcenia się i zapału pisany, wydał te same zagadki, przywiedzione do niewielu cyfer; starliśmy tablicę i poczynamy robotę od początku. Przebóg! postęp nasz rozumowy nie postąpił ani kroku. Okropne to przebudzenie się ze snu, cały szereg mar rozchwiewa się i znika, nieubłagana rzeczywistość panuje na jawie. Patrzym, aż tu ruchomi i nieruchomi jesteśmy równie na miejscu.“

Ale ta czczość, ten brak wszelkiego postępu to tylko objaw pozorny. Poza stosami broszur politycznych, odezw i programów, co jak jednodniówki pojawiają się na pułkach księgarni polskiej A. Jełowickiego w Paryżu, wychodzą w Brukselli, w Poitiers, w Avignonie, w Sztrasburgu, w Szwajcaryi, w Londynie, rozwija się wspaniale i potężnie inna część piśmiennictwa, ta mianowicie, która stanowi kapitał duchowy narodu, jest dlań źródłem orzeźwiającem i siłą żywotną, która prostuje myśl, zwichniętą bałamutnemi teoryami politycznemi i wiedzie ją ku szczytnym ideałom drogą miłości i poświęcenia. Literatura polska, odbijająca zawsze wiernie stan polityczny narodu, przechodziła w epoce porozbiorowej z początku także okres przesilenia i upadku. Smutek powszechny i przygnębienie ducha u ludzi myślących, brak szkół a stąd trudność w nabywaniu oświaty, surowość cenzury i podejrzliwość rządów zaborczych wstrzymywały wszelki postęp w zakresie nauk i piśmiennictwa. Szczęśliwszy cokolwiek obrót spraw politycznych dał wprawdzie jednej części Polski swobodę, ale nie był w stanie dostarczyć środków do podniesienia życia umysłowego. Wśród bezustannych wojen brakło czasu i funduszów na pod-

[1]) Heltman: Zasady demokracyi polskiej. Demokracya polska, str. 21.

[2]) Tamże. Galicya w r. 1848, str. 279.

[3]) Tamże str. 272.

niesienie oświaty; młodzież z uzdolnieniem literackiem szukała sławy i zadowolenia w obozie lub na polu bitwy a garstka pisarzy, których talenta nad zwykłą mierność rzadko się wznosiły, naśladowała po staremu wzory klassyczne lub brała sobie za przykład literaturę francuską, której stan w epoce pierwszego cesarstwa był tylko słabym odblaskiem minionej przeszłości. Po roku 1815 nastały czasy dla życia umysłowego pomyślniejsze. Rozwinęło się ono jednak nie tyle w Warszawie co na Litwie i w województwach ruskich, gdzie, dzięki ożywczej działalności Czackiego i Czartoryskiego, powstały dwa wielkie ogniska oświaty, skupiające około siebie i najlepsze siły naukowe i liczne zastępy młodzieży, wyjątkowo uzdolnionej, chciwej władzy i rwącej się do czynu. Podczas gdy Warszawa, posiadająca dopiero od r. 1817 uniwersytet, pozostała i nadal siedliskiem dawnej szkoły literackiej, w której berło krytyki i dobrego smaku dzierżyli zawsze jeszcze Osińscy, Koźmianowie i Morawscy, a Brodziński, na granicy pomiędzy starym a nowym kierunkiem stojący, w „Wiesławie“ swoim nieśmiało na niezwykłe wchodził drogi, w Wilnie wpływ nowożytnej literatury angielskiej i niemieckiej obudził potężny talent Mickiewicza i przyczynił się do powstania szkoły romantycznej, zwiastującej nowę epokę w rozwoju piśmiennictwa polskiego i w politycznem życiu narodu. Jest to wypadek w każdym razie niezwykły i godny zastanowienia, że w tej chwili, równocześnie prawie, pojawił się cały zastęp młodych talentów, które poezyą polską wyniosły do szczytu doskonałości. Z społeczeństwa, przesiąkniętego na wskroś francuszczyzną, wśród ludzi używających w potocznej mowie i w prywatnej korespondencyi języka Racine'ów i Corneillów, powstał nagle poeta pierwszorzędnej miary, co jak meteor zajaśniał na posępnem niebie klassycyzmu wspaniałym blaskiem uczucia, myśli głębokiej i prawdziwego natchnienia. Ten „panicz piękny“, to zepsute dziecko warszawskich kobiet, jak go przedstawia Bohdan Zaleski w swoich listach, otrząsnąwszy się szczęśliwie z „salonowości“ i francuszczyzny, stworzył w „Maryi“ arcydzieło, dowodzące, że nawet na wyżynach społeczeństwa budzi się duch inny i nowe wyobrażenia. Obok niego, obok Antoniego Malczewskiego, którego epizodyczne znaczenie w literaturze ocenił tak pięknie i trafnie M. Mochnacki, wystąpił niezależnie Seweryn Goszczyński, w krwawym „zamku Kaniowskim“, odgrzebujący dawne wspomnienia ukraińskie, Bohdan Zaleski z swojemi dumkami. „Szkoła ukraińska“ stanęła godnie obok „litewskiej“. Po za nimi wstępowali na Parnas polski młodsi, potężni duchem i myślą, olśniewający wytwornością i świetnością stylu i formy, Zygmunt Krasiński i Juljusz Słowacki, w towarzystwie całej plejady mniej znakomitych, mniej uzdolnionych a jednak niepospolitych pieśniarzy. Więc był tam i przeceniony przez Mickiewicza Stefan Garczyński i tak jak on wcześnie zgasły Maurycy Gosławski i Konstanty Garczyński i bard obozowy Wincenty Pol i Antoni Gorecki i tylu innych, co przy nadzwyczajnym blasku słońc peoetyckich bądź zupełnie pogaśli, bądź słabem tylko zapłonęli światłem. Wszyscy oni, „zrodzeni w niewoli, zakuci w powiciu“, uczestnicy wspaniałej epopei orężnej, wychowani w atmosferze, przesiąkniętej spiskami, po większej części dymem prochu i ognisk obozowych ogorzali, unosili ze sobą na tułactwo nieskalaną myśl narodową, chlubne wspomnienie

bohaterskich czynów i niewysłowioną boleść po stracie najdroższych nadziei. Talent ich dojrzewał wprawdzie pod obcem niebem, ale ogrzany promieniami ojczystego słońca. Więc gdy rzesza tułaczy, mając serca goryczą zatrute, rzuciła się w odmęt politycznej walki i, złudzona jaskrawym blaskiem cudzoziemskich mądrości, starała się z nich wysnuwać zbawcze dla narodu teorye, oni jedni „zatrzasnąwszy drzwi od Europy hałasów“, skupieni pod sztandarem polskim, pielęgnowali bezprzestannie myśl polską, pogłębiali polskie uczucia i tem działaniem utrzymywali łączność z krajem, krzepili wiarę w przyszłość, umacniali nadzieję. I dziś śmiało powiedzieć można, że cała powódź pism ulotnych, odezw i traktatów polityczno-społecznych, płynąca wtedy niewstrzymaną falą do Polski, ani w części tyle pożytku nie przyniosła sprawie narodowej, co np. trzecia część „Dziadów“ lub „Pan Tadeusz“ Mickiewicza. Dziś

Fryderyk Chopin.

dzieła te, znane na całym obszarze ziem polskich, od pałaców „sterczących dumnie“ aż do skromnej strzechy wieśniaczej są źródłem ożywczem dla zbolałych serc naszych, podczas gdy marzenia polityków emigracyjnych butwieją na pułkach bibliotecznych.

Wtedy, co prawda, było cokolwiek inaczej. Wychodźcy nasi, ogarnięci szałem politycznym, oceniali wartość utworów poetycznych także z politycznego stanowiska. Bezimienny krytyk emigracyjny zgorszył się więc mocno owym ustępem z „Pana Tadeusza“, gdzie wzmianka o Francuzach wymownych, co „zrobili wynalazek, iż ludzie są równi“ i sądził, że w „pewnych salonach

taki dowcip wystarczyłby na ufundowanie reputacyi markiza“, i że z nim „nie do twarzy Mickiewiczowi“.[1]) W mniemaniu innych były „Dziady“ dosyć wątłem potomstwem „Fausta“, tłumaczenie „Giaura“ „niedbałem“, za to „Redutę Ordona“ i wiersz „Do Matki Polski“ zaliczano do najznakomitszych „kawałków“ poety.

W kołach poważniejszych oceniano utwory naszych wieszczów ze stanowiska odmiennego. Stary Niemcewicz, przeczytawszy „Kordyana“, nazwał autora jego „waryatem“, poemat sam „farsą“, banialukami“,[2]) ale zachwycał się za to „Panem Tadeuszem“, i gdy Mickiewicz przyrzekł odczytać one swoje arcydzieło, urządził u siebie polską ucztę i zaprosił na nią Czartoryskiego, Paca, Kniaziewicza i Wład. Zamoyskiego. „Wszyscyśmy z rozkoszą słuchali opisania scen — tak się wyraża w „Dzienniku“ swoim[3]) — te nas nie bez rozrzewnienia a czasem uśmiechu przeniosły w dziedzinę domową.“

Wogóle nie cieszył się Słowacki uznaniem w pośród emigracyi, ale „obojętność czytelników była mu zachętą, krytyka, posunięta do niesłusznej napaści, bodźcem“. Przeciwnie Zygmunt Krasiński znalazł jak największe pochwały za „Irydyona“ i „Nieboską Komedyą“. Witano go „jako szczęśliwie pojawioną gwiazdę na polskim widnokręgu, jako człowieka dalszego spojrzenia i silniejszej twórczości, niż był ktokolwiek po dziś dzień w piśmiennictwie polskiem.“

Dotknęliśmy pobieżnie największych mistrzów słowa; godzi się wspomnieć o mniej głośnych, o Bohdanie Zaleskim, który ogłaszał właśnie swój „Trechtymirowski Monastyr“, o Goszczyńskim, wydającym „Trzy struny“, „zbiór liryk politycznych“, o Stefanie Witwickim, co zdobył sobie serca „Pieśniami biblijnemi, piosnkami sielskiemi i wierszami różnemi“, o „bardzie litewskim“ Antonim Goreckim, w którego utworach brakło fantazyi i imaginacyi, ale „była jakaś idealna poczciwość i prawdziwa ewangieliczna prostota“, rozrzewniająca do łez tkliwsze serca, wreszcie o Tomaszu Olizarowskim i sonetach Józefa Hieronima Kajsiewicza. Nawet Ludwik Mierosławski próbował sił swoich na tem polu, ale spotkał się z surową i zasłużoną krytyką.

W zakresie powieści odznaczył się poczynający wtedy pisarz Michał Czajkowski, późniejszy Sadyk basza. Jego „Powieści kozackie“, „Wernyhora“, „Kirdżali“, „Stefan Czarniecki“ raziły oryginalnością stylu i niezwykłością wyrażeń i ściągały na siebie częste nagany, ale ostatecznie dobiły się znaczenia.

Skromniej, ale z zapowiedzią talentu niepospolitego, poczynał swoją karyerę literacką Lucyan Siemieński, ogłaszając pierwsze próby pióra („Pobyt i ostatnie chwile Szymona Konarskiego na Litwie“, „Panna Antonina P. czyli wejście Austryaków do Lwowa, scena z r. 1809“) w pismach demokratycznyh.

Pewniejszym krokiem, po szlakach, utartych już cokolwiek przez towarzystwo przyjaciół nauk, przez prace Lelewela, Bentkowskiego, Naruszewicza, Czackiego i tylu innych, postępowała naukowa część piśmiennictwa emigra-

[1]) Wspomnienie o piśmiennictwie polskiem w Emigracyi. Kalendarz Pielgrzymstwa polskiego na rok 1840.

[2]) Pamiętniki, IV., 258.

[3]) Tamże, str. 280.

cyjnego. Pierwsze miejsce w tym względzie należy się Lelewelowi. Wśród gwaru rewolucyjnego jeszcze, w Warszawie, ogłosił on drukiem: „Panowanie Stanisława Augusta“, „Parallelę Hiszpanii z Polską“, wreszcie „Nowosilcowa w Wilnie“, którą to pracą dotknął mimowolnie Słowackiego i stał się przyczyną wyjazdu jego za granicę, w poufnej missyi, jak przypuszczać można, do Londynu. Po upadku powstania poszedł Lelewel wraz z innymi na tułactwo i znalazł się tu pozbawiony wszelkich środków do pracy naukowej. Zostawiwszy w kraju całą swoją bibliotekę i wszystkie materyały, mozolnie zebrane, przerzucany z miejsca na miejsce, z tłumoczkiem na plecach, przechodząc Francyą wzdłuż i wszerz, nie porzucił on jednak ani na chwilę ulubionych swych zajęć naukowych. Wydalony z Paryża do Tours rzucił się więc do badań numizmatycznych, przeglądał zgromadzone w tem mieście szczęśliwym trafem prywatne zbiory monet, „gmerał“ w bibliotece miejskiej, ustępując do Belgii, po drodze zdejmował rysunki lub odciski rzadkich okazów i przybywszy z torbą napełnioną temi zdobyczami w r. 1832 we wrześniu do Brukselli, zasiadł natychmiast do pracy i ukończył w niedługim stosunkowo czasie dzieło gruntowne i w swoim rodzaju znakomite: La numismatique de moyen âge. Przyniosło mu ono 750 franków, które obrócił na spłacenie długów komitetu narodowego. Mniej powodzenia miała rozprawa Pytheas de Marseille (1836) i Dzieje Polski potocznie opowiedziane (1837); na nowsze prace nie starczyło materyałów. Po latach kilku dopiero nadeszły „rzemiennym dyszlem“ z Warszawy pozostawione tam rękopisy i notatki, zaczęła wzrastać powolnie biblioteczka, kosztem najniezbędniejszych potrzeb nabywana. Ukazało się znowu Panowanie Stanisława Augusta, Dzieje Litwy i Rusi; oba przyniosły „sowite honorarya“, po 300 franków. Sporządzając katalogi monet, pracując jak „stycharz i badacz“, wydając „stare graty“, dobił wreszcie Lelewel do r. 1843, w którym to czasie zgłosili się do niego księgarze poznańscy Żupański i Stefański z propozycyą wydawania dzieł wszystkich, i Bobrowicz z Lipska z prośbą o opracowanie pierwszego tomu herbarza Niesieckiego. Tak przyszło do skutku wielkie wydanie dzieł Lelewela: Polska wieków średnich i Polska, dzieje i rzeczy jej (w VII tomach), to ostatnie, poprzedzone krótką autobiografią autora: Przygody w poszukiwaniach i badaniach rzeczy narodowych polskich.

Jeżeli zważymy nieprzyjaźne warunki, wśród jakich ten tułacz wykolejony dokonywał prac tak rozległych i znakomitych, to zdumiewać się trzeba nad jego wytrwałością a równocześnie ubolewać gorzko nad zmarnowaniem takiego talentu i takiej bystrości umysłu, które w pomyślniejszych okolicznościach mogły rozsławić imię jego i naukę polską po całym świecie, gdy dziś wzbudzają tylko podziw nad głęboką erudycyą i świetnemi nieraz pomysłami niezmordowanego badacza.

Wiekiem od Lelewela o wiele starszy (ur. w r. 1757)[1]), podobnie jak on pozbawiony zbiorów swoich, J. U. Niemcewicz prowadził na emigracyi także żywot niezmiernie pracowity i pełen poświęcenia dla sprawy publicznej. Gdy nieprzyjaciele jego, wymyślający coraz to nowe teorye zbawienia ojczyzny

[1]) Adam Czartoryski: Żywot J. U. Niemcewicza. Berlin. Poznań. 1860.

piętnowali go mianem Sybaryty, zarzucali niedołęstwo, on używał szczupłych swoich funduszów na wsparcie bezdomnych tułaczy, na zasiłki dla towarzystwa literackiego i na przepisywanie aktów historycznych, mających związek z dziejami polskiemi a znajdujących się w bibliotekach publicznych angielskich i francuskich. Mimo 70 kilku lat niezmordowanie czynny prowadził on rozległą korespondencyą polityczną i naukową, zbierał dla hr. Edwarda Raczyńskiego rzadkie medale polskie, podawał mu rady [1]) co do wydawania źródeł historycznych, polecał jego opiece i pamięci uzdolnionych rodaków, pomiędzy innym Bońkowskiego, tłumacza Starożytności słowiańskich Szafarzyka, przekładał poezye Mickiewicza na język angielski i, nie mając ani czasu ani spokoju potrzebnego do prac naukowych, starał się przynajmniej drugim być pomocą, sam zaś spisywał tylko „Dziennik“ swój, zawierający wiele ciekawych wiadomości i spostrzeżeń.

Z młodszych Karol Sienkiewicz, E. Rykaczewski i Leonard Chodźko, później Wal. Kalinka i Bronisław Zaleski położyli nie małe około dziejopisarstwa polskiego zasługi, Kalinka stał się jednym z najwybitniejszych historyków naszych.

Jako wielce gorliwy i skrzętny zbieracz materyałów historycznych do najnowszej epoki odznaczył się Leonard Chodźko. Urodzony w r. 1800, od r. 1818 stale przebywający w Paryżu, wydał on Historyą legionów (1829), przerobił Tableau de Pologne Malte Brune'a (1830) ogłaszał od r. 1839 do r. 1845 dzieło Pologne illustrée, opracował po francusku krótką historyą polską a wszystko to czynił w tym celu, aby prostować błędy o Polsce krążące za granicą. Szczególniejszą wartość miały jego zbiory aktów dyplomatycznych i historycznych, obejmujące sto tomów, po 1000 stronic każdy, jakoteż najzupełniejsze zebranie druków, litografij, autografów itp. do rewolucyi listopadowej i spraw emigracyjnych ułożone systematycznie w stupięćdziesięciu tomach, każdy po 600 stronic.

Już to historya najświeższa, ściśle związana z walką polityczną stronnictw emigracyjnych, budziła największe zajęcie. Jeden po drugim uczestnicy powstania chwytali za pióra, aby się usprawiedliwić, zarzuty odeprzeć lub winę własną zwalić na innych. Ważność tych pism jest rozmaita, jak rozmaite były pobudki, skłaniające synów Marsa do zaciągnięcia się pod sztandar literacki. Znajdujemy więc rzeczy skromne z pozoru, ale prostotą i szczerością swoją ujmujące, pełne prawdy historycznej i plastyki w przedstawieniu wypadków, pożyteczne i pouczające zarazem. Pierwsze miejsce pomiędzy niemi zajmuje prześliczne w swoim rodzaju „Wspomnienie“ Karola Różyckiego o pułku jazdy wołyńskim, mała książeczka Tomasza Świtkowskiego o wzięciu Woli, wydane później Pamiętniki Dwernickiego, zbiór Pamiętników Feliksa Wrotnowskiego, wreszcie klassyczne dzieło M. Mochnackiego, które jest i historyą i pamiętnikiem zarazem.

Dla najmłodszego pokolenia pracowała z zapałem i wielkim pożytkiem Klementyna Hofmanowa, znana wśród wychodźców zawsze jako „kochana panna Tańska“; na polu muzyki jaśniał nieprzyćmionym nigdy blaskiem wspa-

[1]) Tamże w dodatkach listy do hr. Raczyńskiego.

niały talent Fryderyka Chopina; inne rodzaje sztuk pięknych rozwijały się mniej pomyślnie, w zakresie malarstwa słynęli jednak Michałowski i „sławny ryciarz na blasze“ Oleszczyński, który w r. 1833 przybył do Paryża.

Tak potężny ruch umysłowy, w najrozmaitszych objawiający się kierunkach, miał niezmiernie doniosłe znaczenie nie tylko dla emigracyi ale i dla całego narodu polskiego. Europa zachodnia, podziwiająca dotąd bohaterstwo Polaków na polu walki, spostrzegła z zdziwieniem, że są oni także reprezentantami cywilizacyi, że potęgą ducha i myśli dorównują najoświeceńszym narodom europejskim, że pod względem wykształcenia, rozwoju umysłowego i zdolności zajmują pierwsze miejsce w Słowiańszczyznie. Sympatye polskie więc, przytłumione cokolwiek smutnemi niesnaskami emigracyjnemi, odżyły na nowo. Mickiewicz został powołany na katedrę uniwersytecką do Lausanny a po półtorarocznym pobycie (od czerwca r. 1839 do października r. 1840) w tem mieście objął wykłady o literaturach słowiańskich w Paryżu. Potężny głos wieszcza polskiego rozległ się teraz donośnem echem po Europie jako żywa protestacya przeciw ujarzmieniu Polski i panslawistycznej polityce Mikołaja i odbił się, tak jak cała jego działalność i życie umysłowe wychodźtwa naszego we wszystkich prowincyach polskich.

Stan kraju. — Wielkopolska. — Rzeczpospolita krakowska. — Galicya. — Spiski. — Szymon Konarski. — Towiański. — Rok 1846. Upadek powstania listopadowego odbił się fatalnie na wszystkich zaborach. Królestwo kongresowe, przy całej swojej ułomności, było zawsze ostoją dla narodu polskiego i ukrytą groźbą dla najbliższych jego sąsiadów. Ten car, noszący tytuł króla polskiego i mający pod swojemi rozkazami wojsko polskie, mógł, porzucając system polityczny swoich poprzedników, stanąć na gruncie słowiańskim, pomyśleć o pogodzeniu rzetelnem i trwałem połączeniu Rosyi z Polską, mógł przypomnieć sobie nieprzedawnione prawa narodu polskiego do Galicyi, Prus zachodnich i w. ks. Poznańskiego i odbierając niesłusznie oderwane ziemie, zawładnąć całą wschodnią Europą. O takiej polityce, w wielkim stylu, marzyli jak wiadomo, niektórzy z naszych statystów, ale nie myślał o niej Aleksander, nie myśleli jego najbliżsi doradcy. Stworzywszy potrójne przymierze, dał on się uwikłać w sieci metternichowskiego systemu, wciągnąć do walki z „hydrą rewolucyjną“ a przyjąwszy na siebie raz tę missyą wobec Europy, spełniał ją także w swojem państwie ku największemu zadowoleniu obskurantów i zagorzalców rosyjskich, których hasłami były: ciemnota i panrusycyzm. Bezpośrednim skutkiem tej, w narodowem pojęciu egoistycznej i krótkowidzącej polityki, było powstanie polskie. Nastręczało ono sposobność uregulowania kwestyi polskiej wbrew Rosyi a z pożytkiem dla całej Europy zachodniej, szczególniej zaś dla najbliższych sąsiadów caratu. Nie pojmowano tego jednak ani w Berlinie ani w Wiedniu. Wzgląd na partykularne interesa, obawa przed rewolucyą, zazdrość wzajemna, brak wreszcie głębszej myśli u polityków wiedeńskich i berlińskich sprawiły, że oba te mocarstwa żadnych nie odniosły korzyści z kłopotliwego położenia Rosyi, i że przeciwnie zachowaniem się swojem zapewniły zwycięstwo Mikołaja i utwierdziły na długie lata jego potęgę. Politykę pruską tłumaczą w tym wypadku poniekąd związki familijne, łączące

Berlin z Petersburgiem, i tradycye napoleońskich wojen, ale dla Metternicha tłumaczenia takiego niema. On mógł i powinien był wiedzieć, że przyszłość Austryi leżała nie w Niemczech i nie we Włoszech, lecz nad Dunajem i Wisłą, a jeżeli działał w innym duchu, to albo owych tyle sławionych zdolności na męża stanu nie posiadał, albo też dawał się powodować pobudkom czysto osobistym, o co go już wtedy podejrzywano. Upadek powstania stał się źródłem nowych kłopotów tak dla Austryi jak i dla Prus. Teraz dopiero zaczęli pojmować politycy berlińscy i wiedeńscy, o ile sami przyczynili się do podniesienia i utwierdzenia potęgi rosyjskiej. Nie pozostawało im nic innego jak tylko poddać się smutnej konieczności, uznać dyktaturę Mikołaja, wprzęgnąć się w tryumfalny rydwan jego polityki i stać się powolnem jego narzędziem w gnębieniu Polaków. Sprawa polska wchodziła tą drogą w nowy okres, stawała się kitem, łączącym trzy mocarstwa, naród polski celem szczególniejszej nienawiści i prześladowania we wszystkich zaborach. Nie potrzebowały do tego wielkiej zachęty ani Prusy ani Austrya.

W Wielkopolsce czyli w t. zw. wielkiem księstwie Poznańskiem skończyła się jaka taka harmonia pomiędzy rządem a krajem z chwilą powstania listopadowego. Okres piętnastoletni po kongresie upłynął dość spokojnie, nawet nie bez pewnych korzyści dla społeczeństwa polskiego. W r. 1821 utworzono towarzystwo kredytowe ziemskie, w dwa lata później, w r. 1823, dokonano szczęśliwie, chociaż nie bez trudności, uwłaszczenia włościan. Na zgromadzeniu reprezentantów wszystkich prowincyj, zwołanem w tym celu do Berlina w r. 1822, powstały znaczne w zdaniach różnice. Następca tronu mianowicie sprzeciwiał się zniesieniu pańszczyzny w Księstwie i na Pomorzu, utrzymując, że oba te kraje nie są do takiej zmiany przygotowane i dojrzałe, a zdanie jego podzielali nieliczni przedstawiciele miast i ludu wiejskiego. Na szczęście znaleźli się pomiędzy szlachtą wielkopolską ludzie dość rozumni i patryotyczni, na ich czele Dezydery Chłapowski, którzy, zwalczając trafnymi argumentami zapatrywania następcy tronu, zdołali pozyskać sobie namiestnika ks. Radziwiłła i przeprowadzić uwłaszczenie większością dwóch głosów.[1]) Wprawdzie zgromadzenie jakieś młodzieży w Wrocławiu ogłosiło za to Chłapowskiego jako „wyjętego z pod prawa“, ale ustawa o zniesieniu pańszczyzny i o oczynszowaniu włościan stała się dobrodziejstwem dla ludu wiejskiego i usunęła w Księstwie wszelkie przyczyny do waśni społecznej. W r. 1848 zamieniono czynsze na listy rentowe, którymi wynagrodzono właścicieli ziemskich. Jest to jedyny przykład lojalnego zachowania się rządów zaborczych w tak ważnej sprawie a zarazem dowód, że naród polski, pozostawiony sam sobie, byłby kwestyą włościańską uregulował bardzo prędko w myśl uchwał i zamiarów czteroletniego sejmu.

Ale władze pruskie nie zawsze okazywały podobną wyrozumiałość. Spiski i ruch narodowy, w którym żywy udział brali mieszkańcy księstwa, budził w rządzie obawę i podejrzliwość. Drobny fakt, że uczniowie gimnazyum poznańskiego, z powodu jakiejś uroczystości, ofiarowali profesorom swoim Józefowi Muczkowskiemu, Trojańskiemu i Cassiusowi pierścienie z wizerunkami

[1]) X. Kalinka: Dezydery Chłapowski, str. 77.

Napoleona, Kościuszki i Poniatowskiego, wystarczał, aby wszystkich trzech, pomimo interwencyi namiestnika Radziwiłła, usunąć z urzędu i zmusić bądź do opuszczenia kraju, bądź do obrania sobie innego zawodu. Muczkowski i Trojański przenieśli się też do Krakowa na katedry uniwersyteckie, Cassius na wieś, aż nad granicę brandenburską.[1])

Powstanie listopadowe przyniosło nowe zmiany i nowe prześladowania. Usunięto z posady namiestnika Radziwiłła a „naczelnym prezesem“ Księstwa mianowano Flottwella, germanizatora czystej wody, który uważał za główne swoje zadanie zupełne połączenie obu narodowości, czyli innemi słowy zniemczenie ludności polskiej. W słynnym memoryale swoim, spisanym na początku r. 1841, przedstawił on rządowi berlińskiemu program działania taki, jaki w nowszych czasach stał się podstawą polityki pruskiej względem Polaków i hasłem hakatystów. „Wzgląd na ogólne dobro państwa — czytamy tam — nakazuje dążyć do tego celu, chociażby nawet z pogwałceniem wspomnień i uczuć jednej części polskich mieszkańców.[2]) Uspokojeniem dla nas powinno być przekonanie, że prowincya zyskuje przez to w kierunku ogólno-ludzkim i że historya prowadzi stopniowo wszystkie narody, rozłączone dotąd, ku podobnym zmianom i ku wytworzeniu nowych organizmów.“ W Berlinie przyjęto bez zastrzeżeń program Flottwella i wprowadzono go w życie natychmiast. W kwietniu 1831 r., więc bezpośrednio po ustąpieniu Radziwiłła, ukazał się surowy dekret królewski przeciw obywatelom z Księstwa, biorącym udział w powstaniu. Dobra ich poddano sekwestracyi rządowej i zagrożono konfiskatą, gdyby winni w czasie oznaczonym z Królestwa nie wrócili. Po tym wstępie posypały się jak z rogu obfitości nowe rozporządzenia, utrudniające wszelkie związki z Kongresówką, niedozwalające nawet na wprowadzanie lekarstw do kraju nawiedzonego cholerą i krwią zbroczonego. Dla rosyjskich oficerów, urzędników i agentów, dla oddziałów wojska, wypartych ze Żmudzi lub z Królestwa, otwierały się za to gościnnie granice pruskie, ustawały surowe przepisy co do kwarantanny cholerycznej, Polaków, nawet za paszportami legalnymi rządu narodowego przejeżdżających, traktowano jako wyjętych z pod prawa buntowników i przestępców, i to nazywało się ścisłem przestrzeganiem neutralności. Takie stanowisko zajmował rząd pruski przez cały czas powstania a po przejściu granicy przez Rybińskiego odegrał sumiennie rolę żandarma rosyjskiego względem polskich tułaczy i względem własnych swoich poddanych. Rozpoczęły się olbrzymie procesy, obwinionych liczono na tysiące; dwa tysiące z pomiędzy nich skazał trybunał w Wschowie na więzienie, konfiskatę dóbr, utratę praw politycznych lub służbę w kompaniach karnych. Najcięższe kary spadły na tych, co w powstaniu więcej się odznaczyli, a więc na Chłapowskiego, Macieja Mielżyńskiego, Teodora Mycielskiego, Kropiwnickiego, Marcinkowskiego i innych. Ale opinia publiczna w Niemczech, niezarażona jeszcze pangermańskim szowinizmem i zostająca pod świeżem wrażeniem tryumfalnego pochodu emigracyi naszej, spoglądała niechętnie na tę usłużność rządu pruskiego dla Rosyi. Nawet

[1]) Przerowa (Jarochowski): Literatura Poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Przegląd Polski z r. 1880. I.

[2]) Denkschrift des Oberpräsidenten Herrn Flottwell etc. (bez wymienienia roku), str. 2.

w kołach dworskich i najbliżej króla stojących panowało przychylne dla Polaków usposobienie. Ks. Fryderyk, brat stryjeczny Fryderyka Wilhelma III, zapewniał Chłapowskiego w imieniu własnem i następcy tronu o najżywszych dla powstania sympatyach. Temu też niewątpliwie przypisać należy stosunkową łagodność króla i władz rządowych. Chłapowski, skazany wyrokiem sądowym na dwa lata więzienia, konfiskatę dóbr i utratę praw politycznych, został ułaskawiony na rok więzienia i grzywnę w kwocie 22.000 talarów; u innych nie spieszono się z ściągnięciem kar pieniężnych, aż amnestya z r. 1840 umorzyła je zupełnie.

Nie tak szczęśliwie szły sprawy, kierowane ręką Flottwella zręcznie i bez rozgłosu. Nikt nie spostrzegł się prawie z początku jak ograniczono stopniowo w r. 1832 i 1834 prawo języka polskiego w szkołach, sądach i administracyi, jak w r. 1833 odebrano mieszkańcom Księstwa prawo wyboru landratów i zaprowadzono instytucyą okręgowych komissarzy i jak wreszcie rozkazem gabinetowym z dnia 13. marca 1833 r. wyznaczono Flottwellowi milion talarów na zakupywanie majątków polskich, wystawionych na licytacyą, aby je następnie rozparcelować pomiędzy niemieckich kolonistów.

Szczególniejszą baczność zwracał rząd pruski na duchowieństwo katolickie i stosunki wyznaniowe wogóle. Znając przywiązanie ludu polskiego do kościoła i do wiary ojców, starał się uzyskać wpływ na księży, aby z ich pomocą wykonać swoje zamiary, z drugiej zaś strony usiłował przez popieranie protestantyzmu i ułatwianie w zawieraniu małżeństw mieszanych podkopać katolicyzm, który uważał słusznie za jeden z głównych filarów narodowości polskiej. W tym celu rozwinięto za czasów Flottwella bardzo energiczną i wszechstronną działalność. Pomimo protestacyi arcybiskupa Dunina dokonał rząd w r. 1833 sekularyzacyi pozostałych jeszcze zakonów a uzyskane stąd fundusze obrócił w części, i to znowu wskutek usilnych starań prymasa, na cele szkolne i duchowne. Tak powstało w Paradyżu, w zniesionym klasztorze Cystersów, seminaryum nauczycielskie, w katolickich gimnazyach w Poznaniu i Trzemesznie t. zw. alumnaty dla uczniów, którzy się zamierzali poświęcić stanowi kapłańskiemu. Seminarya duchowne, zostające dotąd pod kierunkiem XX. Missyonarzy, oddano duchowieństwu świeckiemu, starając się przy każdej sposobności o wprowadzenie wykładów niemieckich zamiast polskich. Troskliwość rządu o wykształcenie przyszłych kapłanów polskich była tak wielka, że król wyznaczył 16.000 talarów rocznie na utrzymanie konwiktu dla uczniów teologii z Księstwa w Wrocławiu, oczywiście nie w innym celu, jak tylko aby tych adeptów stanu duchownego oswoić dobrze z kulturą niemiecką i wyleczyć z polskiego, jak się wyrażano, fanatyzmu. Zamiar rządu nie powiódł się skutkiem opozycyi arcybiskupa, który pragnął, aby klerycy z jego dyecezyi mogli się kształcić na katolickich uniwersytetach w Rzymie, Pradze, Monachium lub w Wiedniu, co znowu według zdania Flottwella ubliżało powadze wyższych zakładów naukowych pruskich. Za to tam, gdzie władze działały swobodnie, czyniła germanizacya pewne postępy, rozwijała się powoli ale statecznie. Na nauczycieli w szkołach ludowych sprowadzano o ile możności Niemców a zakłady protestanckie faworyzowano ze szkodą katolickich, wyłącznie

prawie polskich. Tak w dawnym departemencie bydgowskim, gdzie mieszkało 140.761 ewangielików i 268.068 katolików, liczono w r. 1840 szkół protestanckich 371, katolickich 222.[1]) Ażeby zaś prowincyi pozornie przynajmniej nadać charakter niemiecki, zaliczano przy spisie ludności wszystkich umiejących mówić po niemiecku do Niemców. W ten sposób stało się, że gdy sam

Flottwell w swoim memoryale chwali się, jakoby trzecia część mieszkańców Księstwa złożona była z Niemców, w urządzonym spisie ludności figurują cyfry o wiele wyższe: na 603.374 Polaków jest mianowicie 443.106 Niemców, tak

[1]) „Gazeta w. ks. Poznańskiego“ z r. 1840.

że nawet lojalna Gazeta w. ks. Poznańskiego wyraziła się o prawdziwości tego obliczenia z pewnem powątpiewaniem.

Najpewniejszym środkiem wytępienia polskiej narodowości, albo, jak się wyrażano, zbliżenia i zlania obu szczepów zamieszkujących Księstwo, były małżeństwa mieszane. Zaprowadził je u siebie Mikołaj w celach rusyfikacyjnych a za jego przykładem poszedł i rząd pruski. Okoliczności zdawały się sprzyjać takiemu zamachowi. Na stolicy arcybiskupiej w Gnieźnie zasiadł w r. 1830, po śmierci Wolickiego, ks. Marcin Dunin. Pochodził on z podupadłej rodziny Duninów, Sulgostowskimi zwanych, kształcił się w seminaryum w Rzymie, tam odebrał święcenia kapłańskie w r. 1797 i, na życzenie arcybiskupa Ignacego Raczyńskiego, który rad otaczał się ludźmi światłymi i zdolnymi, przeniósł się z dyecezyi kujawskiej do gnieznieńskiej, gdzie w r. 1808 został kanonikiem metropolitalnym.[1]) Po upadku księstwa Warszawskiego powołany przez rząd pruski na radcę szkolnego i ozdobiony orderem orła czerwonego, był, jak się zdaje, dobrze u władz widzianym i to mniemanie stwierdził, po wstąpieniu swojem na stolicę arcybiskupią (dnia 15. marca 1830 r.), ogłoszeniem listu pasterskiego (8. grudnia 1830 r.), w którym ze względów religijnych potępił powstanie. Na podstawie takich dowodów lojalności przypuszczał rząd pruski, że Dunin da się użyć za narzędzie germanizacyi, ale nadzieje te zawiodły. Arcybiskup bowiem nie dopuścił, jak wspomniano już, do utworzenia konwiktu dla kleryków w Wrocławiu, a niebawnie potem zajął stanowisko z widokami rządu zupełnie niezgodne. Stało się to z powodu małżeństw mieszanych. Sprawa stała tak, że związki podobne pomiędzy protestantami a katolikami wtedy tylko kościół katolicki błogosławił, jeżeli osoby wchodzące w stan małżeński przyrzekły dzieci swoje wychowywać w wierze katolickiej. W razie gdyby zobowiązanie tego rodzaju nie nastąpiło, kapłan katolicki mógł odmówić ślubu. Bulla papieża Benedykta XIV. z r. 1748 i brewe Piusa VIII. z r. 1830 określały w tym względzie wyraźnie stanowisko kościoła i nie pozwalały na żadne ustępstwa a przyznać trzeba, że kurya rzymska, stojąc na straży interesów katolickich, inaczej działać nie mogła. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że w razie dopuszczenia bezwarunkowego zawierania małżeństw mieszanych, zwłaszcza w państwach niekatolickich, kościołowi i wierze katolickiej jak największe zagrażało niebezpieczeństwo. W Księstwie stały rzeczy o tyle gorzej, że tam sprawa wyznaniowa była ściśle połączona z narodową i że każde ustępstwo dla protestantyzmu ułatwiało dzieło germanizacyi. Ale mimo to walka nie rozpoczęła się na ziemi polskiej, lecz daleko nad Renem, w dyecezyi kolońskiej, gdzie arcybiskup Klemens August Droste oparł się stanowczo projektom rządowym co do bezwarunkowego zawierania małżeństw mieszanych i za karę został wywieziony do twierdzy Minden. Zachowanie się Dunina było z początku cokolwiek chwiejne. Jeszcze jako administrator dyecezyi, w r. 1830, okazał on się przychylnym projektowi rządowemu, później czy to za wpływem zacnego sufragana ks. Brodziszew-

[1]) Artykuł Jul. Bartoszewicza w Encyklopedyi powsz. warszawskiej. F. Pohl: Martin v. Dunin, Erzbischof von Gnesen und Posen. Eine biographische und kirchenhistorische Skizze. Marienburg 1843. Mowa pogrzebowa X. Jabczyńskiego.

skiego, czy też pod wrażeniem dekretu ministeryalnego (d. 3. maja 1837 r.), który polecał księżom katolickim bezwarunkowo dawać śluby mieszane, spostrzegł grożące kościołowi niebezpieczeństwo i, gdy wszystkie przedstawienia do ministra i do króla samego nie skutkowały, wydał, nie pytając się rządu, do całego duchowieństwa swojej dyecezyi zakaz błogosławienia bezwarunkowego małżeństw mieszanych. Ten zwrot niespodziewany ściągnął na niego proces a następnie więzienie w fortecy w Kołobrzegu. Niesłychany gwałt rządu, popełniony na osobie najwyższego dostojnika kościelnego, wywołał wielkie wzburzenie umysłów w Księstwie, pokrył kraj cały żałobą. Umilkły dzwony i organy w kościołach, kobiety przybrały suknie żałobne, wypróżniły się teatra, sale balowe świeciły pustkami, karnawał był cichy i smętny. Rząd jednak zachwiać się nie dał; deputacya jedna po drugiej wracała z Berlina bez skutku, Flottwell tryumfował, księży, którzy zaprowadzili żałobę w swoich kościołach, karał ciężkiemi grzywnami a króla zapewniał, że wzburzenie w kraju wznieciła sztucznie szlachta, że lud wogóle jest spokojny i zadowolony.[1]) Trwało to tak przez dziesięć miesięcy, aż nareszcie zaszła niespodziewana zmiana; dnia 7. czerwca 1840 r. umarł Fryderyk Wilhelm III. a na tron wstąpił syn jego Fryderyk Wilhelm IV., dojrzały w latach, przystępny dla uczuć wzniosłych, w polityce więcej romantyk i fantasta niż trzeźwy i praktyczny mąż stanu, bez jasno określonego programu, ale pełen dobrych chęci. Wiemy już, że dla Polaków był usposobiony dość przychylnie, zwłaszcza że go łączyły stosunki ściślejsze z rodziną Radziwiłłów i z hr. Edwardem Raczyńskim, a w czynach swoich stwierdził, z początku przynajmniej, że pragnie być sprawiedliwym dla wszystkich swoich poddanych bez różnicy narodowości i wyznania. Więc gdy Arndtowi pozwolił wrócić na katedrę profesorską a starego Jahna uwolnił z pod nadzoru policyjnego, to i względem Polaków nie mógł chyba być twardszym. Powrót arcybiskupa z Kołobrzegu i amnestya udzielona (d. 10. sierpnia) dla skazanych za udział w powstaniu były nie tyle aktem jakiejś szczególnej łaski, jak chce Treitschke i jemu podobni, co prostym wymiarem sprawiedliwości. A jednak społeczeństwo polskie przyjęło ten dowód bezstronności królewskiej nie tylko wdzięcznie, ale z najwyższym zapałem. W Poznaniu obchodzono ogłoszenie amnestyi wspaniałą illuminacyą; „w wielu miejscach widziano — tak pisze współczesna Gazeta w. ks. Poznańskiego — popiersie Najjaśn. Pana uwieńczone kwiatami a dobrze i różnobarwnymi lampionami oświecone,“ X. Duninowi zgotowano wprost entuzyastyczne przyjęcie. Ale z tych przebłysków słońca nie było można sądzić o przyszłości, dokąd na kraju ciążył jak zmora system germanizacyjny, dokąd naczelną władzę sprawował osławiony Flottwell. Skoro więc Fryderyk Wilhelm IV. powołał stany prowincyj pruskich do Królestwa dla złożenia hołdu, wypadło i Polakom zaznaczyć swoje stanowisko polityczne, upomnieć się o pogwałcone prawa. Uczynił to marszałek sejmu prowincyonalnege Księstwa, Poniński, w mowie wypowiedzianej do króla, jak można tylko było najłagodniej i naj-

[1]) Powtarza to zjadliwy Treitschke (Deutsche Geschichte im XIX. Jahrh., V), ale sam sobie się sprzeciwia, gdy na str. 39 opowiada, że chłopi wyprzęgli konie z powozu arcybiskupa i własnemi wieźli go rękami.

lojalniej. „W. kr. Mci Polscy poddani — były jego słowa — wznoszą mianowicie z ufnością oko swoje ku W. kr. Mci świetnemu tronowi. Jak cała ludność prowincyi tak i oni wzruszeni są ową bogobojnością, z którą W. kr. Mć przyrzeczenia swego ojca i pana spełniłeś. I dla nich zabezpiecza historya pocieszające, ojcowskie słowa króla: Narodowość i mowę ojczystą wielki król w patencie z dnia 15. maja 1815 r. zachować im przyrzekł. Błagając łaski W. kr. Mci, spodziewają się, po łagodnej sprawiedliwości Twojej, że świętego przyrzeczenia tego dotrzymasz. Najgłośniejsze i najserdeczniejsze radości uniesienie będzie odgłosem Twego królewskiego słowa i dzieci i wnuki, aż w najpóźniejsze czasy, błogosławić Cię będą, żeś im zachował najdroższą każdemu ludowi, w każdym czasie i pod każdą strefą puściznę.“

Myśl, zawartą w tem ogólnikowem oświadczeniu, rozwinął następnie na prywatnej audyencyi przed królem hr. Edward Raczyński i, na własne jego życzenie, przedstawił mu cokolwiek później obszerny memoryał, podpisany przez szlachtę wielkopolską, w którym wyliczone były krzywdy, jakich doznaje narodowość polska, i nadużycia, jakich dopuszcza się Flottwell w germanizatorskiej swojej zaciekłości. Był to właściwie akt oskarżenia przeciw dotychczasowej polityce rządu i przeciw wszechwładnemu prezydentowi. Wszczęła się walka zawzięta w łonie ministerstwa. Przez trzy miesiące ścierały się zdania. Flottwell, generał Grollman, stary Stägemann i Thile występowali namiętnie przeciw Polakom, domagali się bezwzględnej germanizacyi; Fryderyk Wilhelm IV. rozstrzygnął naczej, słuszne skargi Polaków miały być uwzględnione, sprawiedliwość im wymierzona. Postanowienie króleskie potępiło zarazem Flottwella i wywracało do pewnego stopnia jego system; w Poznaniu utrzymać się więc nie mógł; przeniesiony do Magdeburga, ustąpił miejsca hr. Arnimowi. Sejm Księstwa, otwarty na początku r. 1841 jeszcze przez Flottwella, stanął na gruncie memoryału wręczonego królowi, podniósł, w tonie bardzo umiarkowanym, skargi na germanizacyą i upośledzenie narodowości polskiej, domagał się zniesienia komissarzy dystryktowych i dopuszczenia Polaków do zakupywania majątków nabytych z owego jednomilionowego funduszu królewskiego. A tak żywe było wtedy jeszcze poczucie sprawiedliwości u Niemców, że reprezentanci niemieccy w sejmie i cała prasa postępowa poparły gorąco słuszne żądania polskie. Mimo to wypadła odpowiedź królewska nie po myśli sejmu. Fryderyk Wilhelm IV. oświadczył się wogóle przeciw odrębności politycznej Księstwa, zaznaczył, że wszystkie narodowości jednoczy w sobie nazwa i pojęcie Prus, że Polacy wobec władzy królewskiej stoją na równym stopniu z Litwinami i Wallonami. A jednak zaprzeczyć się nie da, że równocześnie powiał z Berlina wiatr cokolwiek łagodniejszy, że językowi polskiemu przyznano większe prawa w sądach i w szkołach, że za wyraźnem pozwoleniem królewskiem dobra z funduszów rządowych zakupione mogły być sprzedawane Polakom.

Zmiana systemu w Księstwie, acz tak nieznaczna, zaniepokoiła żywo rząd rosyjski, pozostający w bezustannej obawie przed spiskami polskiemi i rewolucyą. Z uwagą wytężoną na zachód śledził Paskiewicz pilnie ruch emigracyjny i stan umysłów w Wielkopolsce i, dzięki dobrze zorganizowanemu systemowi policyjnemu, otrzymywał stamtąd dość dokładne wiadomosci. Nadsyłał

e najzręczniejszy ze szpiegów emigracyjnych, Werner, który miał być szlachcicem polskim[1]) i wychodźcą, znachodzili się i inni także denuncyanci, jak były oficer polski i emigrant Józef Korczewski,[2]) jak wreszcie głośny Adam hr. Gurowski, co w r. 1832 wzywał listownie Paskiewicza, aby się zbuntował na wzór Mehemeta Alego i przywrócił Polskę, a trzy lata później ogłosił w dziennikach, że przestaje być Polakiem, powrócił do kraju i w sposób najnikczemniejszy zdradzał własnych ziomków, obwiniając ich przed namiestnikiem o lekkomyślne knowania polityczne. W takich stosunkach emissaryusze, z Francyi wysyłani, rzadko tylko dostawali się do Królestwa i prowincyj zabranych a zazwyczaj, jak to zeznał schwytany w r. 1834 Migurski, osiadali w Galicyi i w Księstwie i stamtąd prowadzili propagandę. Cel tych robót politycznych zmienił się od czasów wyprawy Zaliwskiego o tyle, że nie myślano już o wywołaniu zbrojnego powstania, ale o poruszeniu mas włościańskich, o wzbudzeniu w nich uczuć narodowych i nienawiści przeciw obcemu najazdowi. I pod tym względem jednak zachodziły w zapatrywaniach znaczne różnice. Gdy bowiem jedni członkowie towarzystwa demokratycznego, opierając się na manifeście z r. 1836, sądzili, że ogłoszenie zniesienia pańszczyzny i nadanie ziemi chłopom uczyni z nich od razu gorliwych patryotów i nieubłaganych wrogów Moskali i Austryaków, inni, rozważniejsi i trzeźwiej patrzący na rzeczy, mniemali, że uświadomienie i uobywatelenie mas ludowych wymaga długiej i wytrwałej pracy a przedewszystkiem rozpowszechnienia oświaty i podniesienia moralnego ciemnej rzeszy włościańskiej. W zasadzie zgadzali się wszyscy na usamowolnienie ludu, różnili się tylko w środkach i sposobach, jakich do osiągnięcia tego celu użyć należało, i tu niewątpliwie powinien był rozstrzygać kraj, ci co na miejscu będąc, znali stosunki i złudzeniom nie ulegali. Nie można zaprzeczyć, że mimo ucisku strasznego, jaki panował, szczególnie w zaborze rosyjskim, mimo wychodźtwa, które najlepsze siły narodu wyprowadziło za granicę, byli u nas ludzie, co sprawę włościańską pojmowali tak jak ogół emigracyi. Zwolna, pod obuchem cenzury podejrzliwej, wśród niesłychanych trudności, budził się ruch umysłowy. W roku 1840 wychodziło pism czasowych polskich 33; z tego 15 w Warszawie, 2 w Wilnie; 1 w Petersburgu; na Litwie rozpoczynał wszechstronną swoją działalność Józef Ignacy Kraszewski; w Poznaniu otworzył w r. 1829 bibliotekę swoją dla użytku publicznego hr. Edward Raczyński; w Lesznie ukazał się w dniu 1. lipca 1834 r. tak sympatyczny i zasłużony około historyi i literatury polskiej Przyjaciel Ludu, pojawiła się Szkółka Niedzielna, dla włościan przeznaczona, wychodziła wcale nie źle redagowana Gazeta W. Ks. Poznańskiego, Antoni Wojkowski, znakomity fortepianista, wielbiciel Chopina, wydawał Tygodnik Literacki, Napoleon Kamiński dla młodzieży i płci pięknej głównie przeznaczony Dziennik Domowy. Ze wszystkich tych pism wiał duch prawdziwie narodowy, panowała w nich tendencya poczciwa, zasady przeważnie postępowe. Rozumna, ale na owe czasy zbyt śmiała rozprawa Jędrzeja

[1]) Tak utrzymuje Szczerbatów: Rządy etc., str. 102.

[2]) Tamże.

Moraczewskiego „O chłopach“, umieszczona w Przyjacielu Ludu, naraziła to pismo na utratę debitu w Galicyi.

Z tem wszystkiem ogół narodu, przygnębiony klęskami, wystraszony prześladowaniami, nie dał się łatwo poruszyć. Po katastrofie, tak świeżej jeszcze, jak po ciężkiej chorobie w organizmie ludzkim, objawiało się osłabienie duchowe i nieufność w siły własne, stopniowo powracające. W Królestwie, pogrążonem w letargu politycznym, usilność prywatna zwróciła się na pole ekonomiczne. Steinkeller i bracia Łubieńscy budowali kolej warszawsko-wiedeńską; bank polski rozwijał pożyteczną działalność pod względem przemysłowym. Zakwitła fabryka machin na Solcu pod kierunkiem znakomitego przemysłowca E. W. Raua, powstała fabryka wyrobów lnianych w Żyrardowie, stali i wyrobów stalowych w Serocku, podwoiła się produkcya cynku, a wszystkie te przedsiębiorstwa rokowały tak świetną przyszłość, że w r. 1839 przybył do Warszawy John Cocquerille, jako reprezentant belgijskich i holenderskich przemysłowców, traktować o zakupno najważniejszych fabryk polskich. Jakoż interes ten obliczony na 53 miliony złotych polskich przyszedł rzeczywiście do skutku, lecz śmierć nagła Cocquerilla odwiodła jego wspólników od wykonania powziętych zamiarów.

W Galicyi system metternichowski, wzmocniony jeszcze po śmierci cesarza Franciszka (1835) stłumił wszelkie objawy życia umysłowego i politycznego; Wołyń, Podole i Ukraina, oddane pod władzę nieograniczoną dzikiego satrapy Bibikowa, marnowały zbytek sił w bezmyślnem „bałagulstwie“.

Wśród takich różnic w rozwoju duchowym narodu, wobec rozdziału politycznego i podejrzliwości rządów zaborczych było skupienie umysłów i usiłowań w jednym kierunku rzeczą niezmiernie trudną, praca społeczna z wytkniętym z góry programem odrodzenia narodowego prawie niepodobną. A jednak czuli wszyscy potrzebę działania, konieczność budzenia kraju z ospałości i każde stronnictwo emigracyjne czyniło pod tym względem pewne usiłowania, każde wysyłało swoich agentów, którzy, przynosząc nowe myśli i wyobrażenia polityczno-społeczne, wywierali wpływ potężny na wszystkie niemal warstwy narodu. Najlepiej i najgorliwiej krzątało się towarzystwo demokratyczne, zawsze jeszcze pokładające nadzieje swoje w powszechnym ruchu rewolucyjnym i nawołujące do zbrojnego powstania. Emissaryusze demokratyczni, działający głównie w Galicyi i wielkiem księstwie Poznańskiem, wytworzyli też w ciągu lat kilkunastu cały zastęp tajnych towarzystw, które sprowadziły wprawdzie wiele klęsk na społeczeństwo, ale też przyczyniły się także do rozbudzenia ducha i myśli politycznej. W zaborze rosyjskim była ta propaganda i trudniejsza i niebezpieczniejsza o wiele; emissaryusz udający się do Królestwa lub za Bug i Niemen, rzadko tylko uniknął Sybiru i szubienicy lub kuli, w najlepszym razie czekało go tam długoletnie więzienie i śledztwo straszniejsze zwykle od śmierci. Po Migurskim, którego sprawa i nieudana ucieczka z Sybiru rzuca ciekawe światło na stosunki ówczesne, wybrał się w tę podróż bezpowrotną Szymon Konarski. Człowiek młody, odważny, zdeterminowany na wszystko, pełen zapału i poświęcenia, szedł on do kraju napojony zasadami skrajnemi, jako nieubłagany wróg arystokracyi i szlachty.

Zetknąwszy się jednak w Galicyi z tamtejszymi spiskowcami a szczególniej z ludem, spostrzegł rychło, że działanie w podobnym kierunku nie tylko nie prowadzi do celu, ale przeciwnie jest szkodliwem dla sprawy narodowej. Lud nie był w stanie pojąć teoryj, które się opierały na zasadach zachodniego socyalizmu i komunizmu, a szlachta i oświecone warstwy społeczeństwa nie chciały i nie mogły popierać propagandy, wiodącej wprost do wyniszczenia najpatryotyczniejszych żywiołów w kraju. Z drugiej strony tak w Galicyi jak i na Wołyniu znalazł Konarski właśnie pomiędzy szlachtą i inteligencyą tyle dobrej woli i zapału do pracy nad podniesieniem ludu, że nie wahał się porzucić mgliste teorye Daraszów i Mierosławskich i działanie swoje skierować ku pracy organicznej, której celem było oświecenie, umoralnienie i uświadomienie narodowe mas włościańskich.[1]) „Nie o walkę orężną dziś chodzi — tak mówił do Ludwika Michalskiego — ale o przygotowanie narodu. Wrogowie nasi nie zaśpią sprawy, lecz wszelkich owszem dołożą starań, by lud ku nam zniechęcić; jeźli my przeto w bezczynności zadrzemiemy, to nadzieje nasze bezpowrotnie runą. Przeciw jawnej organizacyi zagłady trzeba koniecznie postawić tajemną ale nie mniej sprężystą organizacyą odrodzenia, gdyż inaczej ani lud z biernej obojętności swojej nigdy się nie rozbudzi, ani szlachta nie przyjdzie do poznania i zamiłowania obowiązków swoich względem kraju.“ Na takich podstawach, jak widzimy, zdrowych, szlachetnych i patryotycznych oparł swoją agitacyą Konarski i pozyskał sobie łatwo ludzi, ożywionych gorącą chęcią służenia sprawie narodowej. Dostawszy się szczęśliwie z Galicyi na Wołyń a stamtąd na Polesie, zamieszkał stale w Lissowie, w domu Rodziewicza, wśród niedostępnych bagien i borów i, podejmując stamtąd częste wycieczki w okolice, szerzył skutecznie swoje zasady i jednał dla nich zwolenników. Odznaczała się pomiędzy nimi rodzina Michalskich, złożona z ojca, staruszka, żołnierza kościuszkowskiego, syna Lucyana, kapitana wojsk polskich i córki Emilii, gorącej patryotki, następnie narzeczonej Konarskiego. Tu w tem kółku poufnem ułożono główne zasady organizacyi, do której przystąpili: dr. Antoni Beaupré, Kasper Maszkowski, Piotr Borowski i wielu innych. Na zjeździe odbytym w Berdyczowie, podczas onufrejskiego jarmarku, przyszło wreszcie do utworzenia związku. Celem jego miała być praca gorliwa nad oświatą i dobrobytem ludu, połączona z budzeniem we wszystkich klasach społeczeństwa miłości ojczyzny i pragnienia jej oswobodzenia. Naczelnikiem związku obrano Konarskiego, sekretarką do korespondencyi zagranicznej została Ewa Felińska, matka późniejszego arcybiskupa warszawskiego Zygmunta. Jednym z środków działania towarzystwa było rozszerzanie pism ulotnych, traktujących popularnie kwestye narodowe i społeczne. Artykułów dobrze opracowanych nie brakło, ale nastręczała się trudność wielka w ich rozpowszechnianiu. Postanowiono więc w zapadłej wiosce na Polesiu założyć drukarnię i sprowadzić z Genewy potrzebne do tego przyrządy. Pośrednikiem w tym względzie miał być wileński zegarmistrz Duchnowski, członek związku, utrzymujący stosunki z Genewą. Ażeby się więc porozumieć, pojechał Konarski,

[1]) Poświadcza to zarówno Lucyan Siemieński (Pobyt na Litwie Szymona Konarskiego) jak i ks. Zygmunt Feliński w swoich Pamiętnikach, I., str. 101.

jako służący Rodziewicza, z nim do Wilna. Tymczasem trzyletni już pobyt Konarskiego nie uszedł bacznego oka tajnej policyi rosyjskiej. Ambasada rosyjska w Paryżu nadesłała carowi raport o niebezpiecznym i zuchwałym emissaryuszu, a Mikołaj, przejeżdżając przez Wilno, pokazał doniesienie gubernatorowi ks. Dołgorukiemu, który, przestraszony i zawstydzony, bo o niczem dotąd nie wiedział, rozpoczął natychmiast jak najenergiczniejsze poszukiwania za Konarskim. W tej chwili najniebezpieczniejszej przybył Rodziewicz ze swoim służącym do Wilna i odbyła się schadzka Konarskiego z Duchnowskim w winiarni Rosentala. Ten poznawszy z ogłoszonego przez policyą rysopisu i portretu niebezpiecznego emissaryusza, w obawie odpowiedzialności, sprowadził szpiega. Ale Konarski, bystry i ostróżny, wywiódł w pole agenta policyjnego, wymknął się z jego sieci i znalazł bezpieczne schronienie w klinice jako chory. Wyniesiony następnie w trumnie za miasto, zastał tam już czekającego z powozem Rodziewicza i ruszył z powrotem na Polesie, w drodze jednak przypadkowo spostrzeżony przez żandarma, czekającego przed domem pocztowym, został uwięziony i odstawiony do Wilna. Ten sam los spotkał także Rodziewicza, który stracił zupełnie przytomność i czekał na miejscu tak długo, aż go aresztowano. Rozpoczęło się natychmiast śledztwo. Mianowany prezesem komissyi śledczej ks. Trubecki, w okrucieństwie swojem dorównywający Murawiewowi, wydobył z słabego i draźliwego Rodziewicza pierwsze zeznania. Cele więzienne pochłonęły znowu kilkanaście ofiar, ale śledztwo mimo to szło twardo. W tem kapitan Korowajew, zacny i uczciwy Rosyanin, poruszony cierpieniami więźniów i posiadający w zupełności zaufanie Trubeckiego, powziął myśl uwolnienia Konarskiego, a gdy Konarski towarzyszy niedoli opuścić nie chciał, ułożył plan oswobodzenia wszystkich. Niestety pomiędzy uwięzionymi znalazł się jeden, Orzeszko, który w mniemaniu, że uratuje nikczemnym postępkiem siebie, zdradził zamiar Korowajewa przed komissyą śledczą. Wspaniałomyślny Korowajew oddany pod sąd wojenny, poszedł na lat 15 jako prosty żołnierz na Kaukaz, Trubecki zaś użył teraz tak barbarzyńskich środków na wyciśnienie zeznań, jakichby się nie powstydziła osławiona inkwizycya hiszpańska. Ks. Trynkowskiemu ściskano głowę obręczem żelaznym, aż dostał pomieszania zmysłów; Jerzego Brynka karmiono śledziami i zamykano w gorącej kaźni, nie dając wody do picia, studenta Ejzenblatera, który, uniesiony gniewem na obelżywe wyrazy ks. Trubeckiego odpowiedział policzkiem, zabito kijami. Na początku r. 1839 skończyły się wreszcie te męczarnie; na podstawie aktów śledczych skazano Konarskiego na śmierć przez rozstrzelanie, współwinnych jego do katorgi, na Sybir lub w sołdaty. Zacny generał Położow, zesłany na skontrolowanie czynności komissyjnych, przyczynił się w kilku wypadkach do złagodzenia zbyt surowych wyroków. Dnia 15. lutego (st. styl.) 1839 r. wykonano wyrok na Konarskim. Tłumy ludu otaczały plac stracenia; świeżą mogiłę pokryto kwiatami.

Równocześnie odbywały się śledztwa w Kijowie, przy których smutną i niegodną rolę odgrywał ówczesny „król bałagułów“, Antoni Szaszkiewicz. Z obwinionych skazano tam na szubienicę: dra Antoniego Beauprégo, Kaspra Maszkowskiego, Piotra Borowskiego i Fryderyka Michalskiego. Wszyscy zo-

stali jednak ułaskawieni i zesłani na Sybir. Obok tego wielu innych dostało się do rot aresztanckich, w sołdaty lub w głąb Rosyi; majątki ich uległy konfiskacie. Taki koniec wzięła t. zw. „Konarszczyzna“, przedsięwzięcie niewątpliwie szlachetne i piękne, ale niepodobne do wykonania w warunkach zbyt ciężkich, wobec rządu niezmiernie czujnego i nieprzebierającego w środkach. To też, jeżeli wzniosła myśl Konarskiego rozbudziła umysły i patryotom wskazała szczytny cel działania, to spisek sam ściągnął na prowincye zabrane nowe ciosy i prześladowania, ogołocił kraj z najdzielniejszych ludzi i posłużył za pretekst do zniesienia statutu litewskiego i zaprowadzenia natomiast praw rosyjskich.[1]) Drugie tyle może ważyły straty materyalne, jakie żywioł polski poniósł przy tej sposobności przez konfiskaty i „łapówki“, któremi trzeba było okupywać względy całej masy chciwych czynowników.

Spisek, na zapadłem Polesiu poczęty, nie ograniczył się jednak do Litwy i południowo-zachodnich gubernij, lecz sięgnął dalej, do Królestwa i w szeregi armii rosyjskiej. Wypadek z Korowajewem obudził czujność władz wojskowych i pokazało się niebawem, że w 1-ym korpusie bardzo wielu oficerów, Rosyan, miało udział w tajnej konspiracyi polskiej. Na wniosek Paskiewicza zatem usunięto z naczelnego dowództwa w tym korpusie generała Geismara i wyznaczono na jego następcę Timofiejewa.[2]) W Królestwie szerzyły się spiski pomiędzy młodzieżą szkolną i urzędniczą. Na wiadomość o uwięzieniu Konarskiego wysłał Paskiewicz do Wilna policmajstra Storożeńkę a później i swego szefa sztabu Gorczakowa i za ich pośrednictwem zapewne otrzymał od komissyi śledczej wileńskiej wskazówki o związkach w Królestwie. Nastąpiły więc i tu także aresztowania i śledztwa, których skutkiem był wyrok, skazujący po raz pierwszy 23 młodych ludzi na Sybir, kilku na rok więzienia w twierdzy, za to że czytali książki zakazane lub słuchali wykładu o zasadach tajnego towarzystwa.

Tak kończył się rok 1839 pod złą wróżbą dla Mikołaja; następny był jeszcze gorszy, z powodu wielkiego nieurodzaju i strasznego widma głodu w Rosyi środkowej. Wiadomości nadchodzące z tych okolic brzmiały ponuro. Na dwie gubernie żądano 28 milionów zapomogi; zboże, zakupywane w Królestwie, z powodu trudnego przewozu i drożyzny, olbrzymie pochłaniało sumy. Tymczasem umarł król pruski, a jakkolwiek zostawił testament, ułożony pod kierunkiem cara, w którym zalecał swemu następcy najściślejszy sojusz z Rosyą i Austryą jako „podstawę pokoju świata“, to już pierwsze kroki Fryderyka Wilhelma IV. okazały, że monarcha ten nie zupełnie będzie się trzymał polityki ojcowskiej. Liberalniejszy cokolwiek kierunek w rządzie a szczególniej owe drobne ustępstwa dla Polaków w Poznańskiem sprawiły jak najprzykrzejsze wrażenie w Petersburgu i w Warszawie. Rozprawy sejmu prowincyonalnego poznańskiego, ogłaszane w dziennikach, czytano w Królestwie z zadowolnieniem, duchowieństwo katolickie porównywało stan kościoła w Prusiech z prześladowaniem rządu rosyjskiego a ostry ton dzienników pruskich, skierowany przeciw Rosyi, drażnił w wysokim stopniu despotyczny umysł

[1]) Pamiętniki ks. Z. Felińskiego, 119. Porów. także świeżo wydane Pamiętniki Bobrowskiego, I., 46.

[2]) Szczerbatów: Rządy etc., str. 177.

Mikołaja. Ambasador rosyjski w Berlinie, br. Meyendorf, nie omieszkał przeto protestować uroczyście i z naciskiem przeciw zmianie systemu w Księstwie, jako sprzeciwiającej się układom münchengrätzkim; Paskiewicz twierdził, że i gabinet wiedeński w tym samym odzywał się duchu. Ale najdotkliwszy cios ze strony Prus czekał Rosyą dopiero w r. 1842, gdy przyszło do odnowienia konwencyi o wydawaniu przestępców rozmaitych i zbiegów wojskowych, zawartej na przeciąg lat 12. Wobec bliskiego sąsiedztwa obu państw na bardzo rozległej linii granicznej i wobec srogiego prześladowania Polaków na Litwie i Królestwie był ów kartel z Prusami dla Rosyi wielce pożądanym. Życzyła ona sobie wprawdzie ściślejszego niż dotąd określenia co do wydawania dezerterów i rekrutów, ale ostatecznie gotowa była zadowolnić się nawet prostem wznowieniem dotychczas obowiązującej konwencyi. Tymczasem rząd pruski, już to ulegając parciu opinii publicznej, już to chcąc wytargować na Rosyi pewne ustępstwa handlowe, oświadczył, że wtedy tylko mógłby wbrew życzeniu ludności przystąpić do traktowania o wznowienie kartelu, gdyby cesarz zgodził się na znaczne zniżenie cła od towarów, wprowadzanych z Prus do Rosyi. Żądanie tego rodzaju i wycieczki dziennikarskie ubodły do żywego Mikołaja, rozkazał więc Nesselrodemu, aby się upomniał ostro w Berlinie o powściągnięcie wybryków prasowych, a do Paskiewicza pisał (d. 7. stycznia 1843 r.): „W Prusiech idą rzeczy tak, że trudno zrozumieć lub odgadnąć, co z tego wyniknie. Nieład, zamęt, sprzeczności doszły do ostatecznych granic. Nienawiść a raczej zawiść względem nas z każdym dniem się wzmaga. Jednem słowem przykro na to patrzeć. Należy unikać wszelkich z nimi stosunków, ale trzeba być gotowym na wszystko.“ Właściwem źródłem oburzenia i gniewu carskiego był jednak nie tyle kartel co sprawa polska, co rozbudzenie i rozwój pomyślny znienawidzonej przez niego narodowości pod berłem pruskiem. Jest to jedna z charakterystycznych, chociaż dość łatwo dających się wytłumaczyć cech naszej historyi porozbiorowej, że w chwilach najcięższych klęsk, jakie spadają na naród polski, jedna jego część, jedna dzielnica, cieszy się względną stosunkowo swobodą i przez pomyślne swoje położenie oddziaływa pokrzepiająco na braci, upadających gdzieindziej pod brzemieniem ucisku i prześladowań. Tam przechowuje się i umacnia duch polski, tam powstają nowe ogniska umysłowego i społecznego życia. W ten sposób naród polski, w najtrudniejszych postawiony warunkach, odnawia się, odradza i zachowuje niezłamaną swoją żywotność. Po klęsce roku 1831 miało spełnić tę missyą ożywczą i zachowawczą w. ks. Poznańskie i spełniło ją w istocie, mimo germanizacyjnego systemu, mimo energicznych rządów Flottwella i serdecznej przyjaźni prusko-rosyjskiej. Wiele oczywiście przyczynił się do tego pomyślny zbieg okoliczności, stosunki znośniejsze niż w innych zaborach, ale główna zasługa spadła na tych, co wśród powszechnego zwątpienia zachowali w sercach swoich wiarę i nadzieję i, odłożywszy na stronę kłótnie partyjne, jęli się twardej pracy społecznej, jako najskuteczniejszego środku na uleczenie chwilowej niemocy. A takich szczęściem nie brakło w Księstwie. Emigracya bowiem, która wyprowadziła z Królestwa najdzielniejsze siły za granicę, nie dotknęła wcale Wielkopolski. Ci wszyscy, co wzięli udział w powstaniu,

a więc kwiat inteligencyi, pozostali w kraju i, przetrwawszy burzę gromadnych procesów, zaczęli myśleć o przyszłości. Powstało też niebawem na całym obszarze Księstwa Towarzystwo zabaw, które pod niewinną nazwą swoją ukrywało bardzo poważne cele i pożyteczne zamiary. Na redutach, polowaniach i balach omawiano żywo kwestye społeczne, zakładano czytelnie, gabinety archeologiczne, zbierano stare dokumenta, utrzymywano stosunki z emigracyą. W ten sposób powstały po wszystkich niemal miasteczkach zasobne księgozbiory, obudził się ruch umysłowy, zakwitło piśmiennictwo. W *Tygodniku Literackim*, w *Dzienniku Domowym*, w *Przyjacielu Ludu*, w późniejszym cokolwiek *Orędowniku* spotykamy co chwila najgłośniejsze w naszej literaturze nowszej imiona. A więc jest tam Lucyan Siemieński obok Goszczyńskiego, jest Michał Czajkowski, początkujący wtedy Kraszewski, z miejscowych: Jędrzej Moraczewski, Józef Łukaszewicz, Karol Libelt, z Krakowa Edmund Wasilewski, z Królestwa Edward Dembowski, dalej autor Cybernetyki i Chowanny Trentowski, nawet Michał Grabowski jako Edward Tarsza, z emigracyi Ludwik Królikowski i Bukaty, z najmłodszych: Antoni Małecki i Marceli Motty. Wszystko to wnosi do literatury poznańskiej: serce gorące, myśl patryotyczną, zdolności niepospolite, kierunek zdrowy, nieprzyćmiony chorobliwemi pojęciami zachodnio-europejskich teoretyków.

Odrębnie od tego ruchu, a jednak organicznie z nim złączone wspólnością myśli podstawnej, rozwijają się podobne usiłowania jednostek. Pierwsze miejsce w tym względzie zajmuje hr. Edward Raczyński, skutkiem swoich zapatrywań politycznych i pewnego rodzaju dziwactwa zupełnie prawie odosobniony, kończący swój żywot samobójstwem w r. 1845. Arystokrata z rodu i majątku, w historycznych poglądach swoich doktryner monarchistyczny, jest on niemniej przeto patryotą w najlepszem tego słowa znaczeniu. W r. 1831, wśród powszechnego upadku ducha, posiada dosyć odwagi, aby zaprotestować głośno przeciw wywiezieniu biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk z Warszawy; w dziewięć lat później, podczas koronacyi w Królewcu, upomina się u Fryderyka Wilhelma IV. o prawa narodowe dla Księstwa; mowy jego w sejmie poznańskim są pomiędzy innemi przyczyną owego znanego nam już protestu Meyendorfa w Berlinie, wywołują gniew i oburzenie samego cara Mikołaja.[1]) Ale obok tego żywego i niezaprzeczonego poczucia narodowego jest Raczyński z przekonania zwolennikiem pracy organicznej, powolnego, systematycznego dźwigania się narodu. „Starajmy się prześcignąć Niemców w wykształceniu, oświacie i zamożności a natenczas będziemy panami w Księstwie,“ powtarzał często w poufnem kółku i, wierny tej zasadzie, zakładał bibliotekę publiczną w Poznaniu, gromadził cenne zbiory w swoim Rogalinie, łożył bardzo znaczne sumy na wydawanie źródeł historycznych, dopomagał uczonym w pracach literackich i zapalał się do dzieł prawdziwie pięknych, w duchu narodowym pisanych. Ulubionym jego utworem był Pan Tadeusz, poetą, którego najbardziej cenił, Mickiewicz. „Nie wiem, czy panu pisałem — tak odzywa się w liście do niego — że mam zwyczaj co dzień, po obiedzie, jakby na wety, jakie dwieście wierszy Tadeusza czytać. Nie dawno mi ktoś powiedział:

[1]) Szczerbatow: Rządy etc., str. 193.

‚Czy wiesz, że z tego powodu dłużnikiem autora się stałeś?‘ Nie zaprzeczam długu i dwieście talarów panu przesyłam. Niech Pan Bóg pana krzepi.“ Ale to był nie dług, ale raczej przypomnienie dawniejszej prośby, aby Adam pisał dalej, co chce, „byle po polsku i o Polsce“, a on, Raczyński, będzie wydawcą.

Jakoż czynność jego wydawnicza była niezmiernie rozległa. Rozpoczął ją ogłoszeniem Listów Jana III. w Warszawie w r. 1823 i odtąd już drukarnie poznańskie, wrocławskie i warszawskie były zasypane edycyami Raczyńskiego. W r. 1836 pojawiają się po raz pierwszy na światło dzienne wydobyte Pamiętniki Paska, w dwa lata potem Pamiętniki Otwinowskiego, dalej Pamiętniki ks. Stanisława Albrechta Radziwiłła, Pamiętniki Kitowicza, Obraz Polaków i Polski w końcu XVII i XVIII wieku, zawierający w kilkunastu tomach nadzwyczaj ciekawe materyały do dziejów Augusta II., Augusta III. i Stanisława Augusta, dzieła Tadeusza Czackiego, słowem cała powódź nieznanych dotąd źródeł historycznych a obok tego publikacye wspaniałe i kosztowne jak Gabinet medalów polskich i Wspomnienia wielkopolskie, ozdobione przepysznemi rycinami. Zaprawdę rzadko który z magnatów polskich używał majątku swego tak hojnie i z takim pożytkiem dla sprawy publicznej. Przykład Raczyńskiego znalazł niebawem naśladowcę w Tytusie Działyńskim. Powróciwszy po amnestyi r. 1840 do Księstwa, zaczął on także gromadzić cenne zbiory w Kurniku i ogłaszać drukiem, prawda że o wiele później, Akta Tomickiego, Źródłopisma do dziejów unii, Lites ac res gestae, wszystko publikacye wspaniałe, chociaż niezupełnie odpowiadające dzisiejszym wymaganiom naukowym.

Jeżeli usiłowania Raczyńskiego i Działyńskiego miały więcej na celu budzić w społeczeństwie zamiłowanie do badań umiejętnych nad przeszłością narodową i jeżeli znaczenie ich było raczej teoretyczne, to znalazł się także cały szereg ludzi, którzy rozwinęli pracę pożyteczną w kierunku praktycznym, którzy nie w drodze krwawej rewolucyi, lecz przez rozumne i stateczne dźwiganie warstw zaniedbanych i upośledzonych, przez szerzenie światła i dobrobytu, jałowe rozprawy emigracyjne o podniesieniu ludu i zdemokratyzowaniu Polski w czyn zamienić usiłowali. Jednym z pierwszych i najbardziej zasłużonych w tym względzie był nieodżałowanej pamięci dr. Karol Marcinkowski. Urodzony w r. 1800 w Poznaniu, na przedmieściu św. Wojciecha, z rodziców niezamożnych, stanu mieszczańskiego, syn zwykłego szynkarza, obdarzony z natury niepospolitemi zdolnościami, pilny i pracowity, skończył on jako uczeń celujący wydział lekarski w Berlinie i w r. 1823 złożył chlubnie egzamin medyczny.[1]) Powróciwszy do Poznania rozpoczął praktykę lekarską z niesłychanem powodzeniem a dochody znaczne obracał głównie na cele dobroczynne. Jego bezinteresowność i biegłość w sztuce zjednały mu serca wszystkich; uwielbiany w Księstwie przez całą ludność, bez różnicy, nie wahał on się jednak ani na chwilę porzucić świetne stanowisko, skoro tylko sprawa narodowa jego poświęcenia wymagała. Już jako student założył Marcinkowski

[1]) Dr. Jagielski: Żywot dra Karola Marcinkowskiego. Poznań 1846.

w Berlinie związek Polonia i ściągnął na siebie prześladowanie rządu. Po 8-miesięcznem przykrem śledztwie skazano go na pół roku więzienia w twierdzy Weichselmünden, gdzie skutkiem wilgoci i dla braku ruchu ciężko zapadł na zdrowiu. Pomimo to na pierwszy odgłos powstania pospieszył natychmiast do Warszawy i zaciągnął się w szeregi narodowe. Tam nie tylko jako lekarz, ale i jako żołnierz odznaczył się świetnie. Podczas wyprawy Chłapowskiego na Litwę widziano go przy każdem niemal spotkaniu w pierwszych szeregach; bo bitwie opatrywał rannych i spełniał poufne zlecenia generała, który go mianowicie w stosunkach swoich z Giełgudem jako pośrednika używał. Ozdobiony krzyżem *virtuti militari* przeszedł wraz z całym korpusem do Prus a następnie udał się do Anglii, gdzie zwiedzał szpitale i doskonalił się w chirurgii. Szczególniejszego doświadczenia nabył Marcinkowski w leczeniu groźnej wówczas i nieznanej w Europie cholery. To też w r. 1833 otrzymał za wskazówki, dane lekarzom francuskim o tej chorobie, od królewskiej akademii nauk w Paryżu medal złoty wartości 1000 fr. i kwotę tę ofiarował wspaniałomyślnie na emigracyjne stowarzyszenie pomocy naukowej.[1]) W rok potem powrócił do kraju, odsiedział więzienie w Świdnicy, ale gdy cholera wybuchnęła po raz drugi, na prośby samego Flottwella został uwolniony i przyjęty tryumfalnie przez mieszkańców Poznania. Kilkuletni pobyt za granicą, a zwłaszcza wśród emigracyi, utwierdził Marcinkowskiego w przekonaniu, że naród polski może się odrodzić tylko własną siłą, mianowicie zaś usilną i wytrwałą pracą na polu ekonomicznem i oświecenia publicznego, bo tylko w ten sposób zdoła on wpoić poczucie narodowe i obywatelskie w masy ciemne i obojętne i uzbroić je do walki z żywiołem germańskim, wyżej stojącym pod względem kultury i dobrobytu. Praktyczny umysł lekarza-żołnierza dostrzegł, że jałowe rozprawy o usamowolnieniu ludu, dokonanem zresztą w Księstwie, i o zrównaniu stanów tak długo będą tylko czczą deklamacyą, jak długo ten lud i cały naród wogóle nie dojdzie do poznania tychże prawd przez oświatę i dokąd się nie wzniesie do tego stopnia zamożności, na którym obustronne ofiary, nieodłączne od takiej zmiany stosunków społecznych, będą dla niego mniej dotkliwe i łatwiejsze do zniesienia. Tak patrząc na rzeczy stworzył usilnem staraniem swojem a po części i własnymi funduszami dwie instytucye, które, istniejąc przez lat 60 i rozwijając się pomyślnie z błogim dla społeczeństwa polskiego skutkiem, dowiodły i własnej żywotności i niepospolitej przenikliwości swego założyciela. Najważniejszem z nich było towarzystwo pomocy naukowej, mające na celu wspieranie ubogiej młodzieży, aby ją przysposobić na użytecznych obywateli i dobrych Polaków. Fundusze potrzebne zbierały komitety — było ich 29 — po całym kraju, rozdawaniem zapomóg i sprawami towarzystwa wogóle zajmowała się dyrekcya, mająca siedzibę w Poznaniu. W pierwszych pięciu latach wynosiły dochody Pomocy 56.190 talarów; wsparcie otrzymało 742 młodzieńców, z których 193 poświęciło się zawodowi nauczycielskiemu w szkołach elementarnych. Ta ostatnia cyfra świadczy wymownie o kierunku i o duchu, przenikającym zasłużonego twórcę instytucyi. Przez lat 60 działała też ona z największym dla sprawy narodo-

[1]) Niemcewicz: Pamiętniki, IV., 187.

wej pożytkiem, krzewiła oświatę, kształciła całe zastępy duchownych, nauczycieli, przemysłowców i przyczyniła się do wzmocnienia żywiołu polskiego w Księstwie i do zrównania klas społecznych więcej i skuteczniej niż całe stosy broszur i rozpraw, rozsyłanych przez centralizacyą wersalską do kraju. Dziś posiada Pomoc naukowa kapitał 873.000 marek i utrzymuje z dochodów swoich 453 młodzieńców.

Drugim środkiem podniesienia narodu miała być, według myśli Marcinkowskiego, praca na polu ekonomicznem, a więc rozwój handlu i przemysłu. W tym celu ze składek (114.506 tal.) wybudował on w Poznaniu t. zw. Bazar, w którym mieścił się hotel i sklepy polskie. I ten zakład także przetrwał wszystkie burze następne i swojem istnieniem po dzień dzisiejszy daje chlubne świadectwo obywatelskiej działalności Marcinkowskiego.

Wogóle z chwilą powrotu jego na ziemię Wielkopolską zaczyna życie narodowe w tej dzielnicy niezwykle silnem uderzać tętnem. Ruch objawia się we wszystkich kierunkach, zarówno na polu gospodarczem jak i umysłowem, a charakterystyczną jego cechą jest niezwykła harmonia, łącząca wszystkie warstwy społeczne pod hasłem pracy narodowej. Syn mieszczański rzuca myśl piękną kształcenia niezamożnej młodzieży i zamienia ją w czyn, dzięki hojności najpierwszych rodzin szlacheckich w kraju; zamierza stworzyć przytułek dla kupców i rękodzielników polskich i spotyka się znowu z tą samą ofiarnością. Żołnierz, z generała gospodarz, zawodowo wykształcony, urządza w swoim majątku wzorową szkołę agronomiczną, której społeczeństwu polskiemu brakowała; magnat, w wyszarzanem ubraniu, bo na najpierwsze potrzeby własne żałując grosza, poświęca całą swoją fortunę na biblioteki, zbiory i naukowe wydawnictwa, a równocześnie grono młodych ludzi, pomiędzy nimi syn ubogiego szewca poznańskiego, Karol Libelt, rozpoczyna w Poznaniu, w sali pałacu Działyńskich, cały szereg odczytów, które (w l. 1841 i 1842) składają się na improwizowany uniwersytet polski, nie ustępujący pod względem wartości naukowej współczesnym uniwersytetom niemieckim. Jędrzej Moraczewski więc wykłada tam O dziejach słowiańskich i polskich aż do końca XV wieku, Libelt o Estetyce, dr. Teofil Matecki o fizyce i chemii, adwokat Krauthofer o encyklopedyi i metodologii prawa, a na każdym z tych odczytów gromadzi się liczna publiczność, słucha z natężoną uwagą, pomiędzy innemi niezrównanych w swoim rodzaju wykładów Libelta i wychodzi ożywiona serdecznem ciepłem narodowem, podniesiona na duchu, zagrzana do pracy. Ruch, tym sposobem rozniecony, zakreśla coraz to szersze kręgi i nabiera charakteru ogólno-polskiego. Tu bowiem, na tych kresach zachodnich Rzeczypospolitej, gdzie chwilowo swobodniej oddychać, czuć i myśleć można, gromadzą się zwolna reprezentanci wszystkich niemal dzielnic Polski. Są to więc najpierw wysłannicy rozmaitych stronnictw emigracyjnych, z towarzystwa demokratycznego: Mierosławski, Tomasz Malinowski, Henryk Jakubowski, Teofil Wiśniowski, Alcyato, Józef Wysocki; z Zjednoczenia: poseł sejmowy Chełmicki, Nakwaski, Wincenty Tyszkiewicz; od ks. Adama Czartoryskiego przybywa syn jego Witołd; ze stronnictwa katolickiego, które skupiał około siebie Bogdan Jański, spotykamy Stefana Witwickiego i ks. Semeneńkę.

Od r. 1842 t. j. od czasu ustania kartelowej konwencyi napływa gromadnie emigracya z Królestwa. Znajdujemy wśród niej ludzi rozmaitych przekonań, różnych pochodzeniem, stanowiskiem i wykształceniem, ale gorących sercem, pełnych zapału. Jeden z najwybitniejszych pomiędzy tą rzeszą tułaczy, to August Cieszkowski, autor głośnych Prolegomenów, który szuka w Wielkopolsce spokojnego miejsca do pracy naukowej i wydaje niebawnie najznakomitsze swoje dzieło „Ojcze nasz“, obejmujące historyozofiiczny system słowiański, wysnuty z codziennej modlitwy. Około niego grupują się inni, mniej znakomici, mniej sławni a jednak pożądani i pożyteczni pracownicy na niwie narodowej: Władysław Bentkowski, cokolwiek później oficer pruski i poseł, Władysław Wężyk, Henryk Kamieński, syn generała i autor Prawd żywotnych narodu polskiego, wreszcie najgorętszy ze wszystkich Edward Dembowski, który, porzuciwszy znaczny majątek w Królestwie, poszedł dobrowolnie na tułactwo wziął tam udział we wszystkich spiskach i zginął marnie w r. 1846 podczas pamiętnej procesyi w Podgórzu pod Krakowem. Podczas gdy zdolniejsi i wybitniejsi, o których właśnie była mowa, jęli się pracy literackiej lub naukowej, masa cała, złożona z studentów, niższych urzędników i chłopów, uciekających przed służbą wojskową, rozlała się po warsztatach rzemieślniczych albo po wsiach, zarabiając w rozmaity sposób na kawałek chleba i szerząc propagandę przeciw systemowi ucisku i gwałtu w zaborze rosyjskim. Do tych mścicieli gnębiącej Polski przyłączyli się w tym czasie i Żydzi, których rząd carski pociągnął do służby wojskowej i rozmaitemi dręczył prześladowaniami. Dotąd pokorni słudzy Mikołaja i Paskiewicza, stali się oni teraz nieubłaganymi wrogami rosyjskiego despotyzmu i przez rozległe wpływy swoje rozniecili jeszcze większą nienawiść do Rosyi, zwłaszcza w dziennikarstwie zachodnio-europejskim. Rząd pruski, który znał drażliwość Mikołaja a pragnął go zmusić do korzystnego dla siebie traktatu handlowego, nie poczuwał się do obowiązku krępowania prasy niemieckiej, na bezustanne prawie reklamacye Meyeodorfa odpowiadał grzecznie, pokornie nawet, ale dzienniki pisały tak jak chciały, nawet *Gazeta Poznańska* zamieszczała zabawne o Paskiewiczu anegdoty. W Warszawie i w Petersburgu powstało wielkie z tego powodu oburzenie, „bohater zakaukaski“ tracił równowagę umysłu. „Nie śmiem już mówić — donosił Mikołajowi — o odpowiadaniu na głupie artykuły dziennikarskie, ale zaprawdę N. P. niekiedy gniew ogarnia, gdy się czyta kłamstwa i niesłuszne oszczerstwa na Rosyą.“ W tem zdarzył się wypadek ciekawy. Gdy car wracając z Berlina (19. września 1843) przejeżdżał przez Poznań, padł strzał do jednego z powozów cesarskich; policya zachowała się dość obojętnie i, ku wielkiemu zgorszeniu Paskiewicza, nie aresztowano nikogo. W kołach urzędowych rosyjskich utrzymywano, że jakiś Polak, z Francyi przybyły, wykonał zamach na cara, dzienniki poznańskie, hamburskie i wrocławskie twierdziły przeciwnie, że strzelono z orszaku rosyjskiego, aby winę zwalić potem na Polaków. To ostatnie przypuszczenie było, o ile się zdaje, prawdziwe, bo rząd pruski wysłał dyrektora policyi Dunkera do Warszawy dla zbadania, czy w powozach carskich jest rzeczywiście dziura

od kuli. Śledztwo, prowadzone w Poznaniu pod przewodnictwem generała Müfflinga, nie miało też żadnego skutku.[1])

Tak pomimo najrozmaitszych, rozpaczliwych niemal wysileń rządu i policyi rosyjskiej, mogła praca narodowa w Księstwie rozwijać się dalej. Nie brakło i tu wprawdzie pewnych starć i nieporozumień. Powstały mianowicie, tak jak na tułactwie, dwa stronnictwa: zachowawcze i postępowe, ale stosunek ich wzajemny do siebie i metoda walki różnią się znacznie od chorobliwych objawów życia emigracyjnego. Przedstawicielami obu kierunków są Marcinkowski i Libelt, synowie ludu, którzy własną pracą i zdolnościami zdobyli sobie wyjątkowe w społeczeństwie polskiem stanowiska. Antagonizm ich jednak jest wolnym od wszelkiej namiętności, zaprawionej goryczą osobistej nienawiści. Szlachetny umysł tych dwóch mężów zna tylko współzawodnictwo w pracy dla dobra publicznego, a kto tę pracę podejmuje, ten może być pewnym ich życzliwego poparcia, bez względu na obóz, do którego należy, lub na zasady, jakie wyznaje. Gdy Marcinkowski zakłada „Pomoc naukową“, jest Libelt jego sekretarzem, Moraczewski członkiem wydziału, a pismo postępowe *Rok* tak się o owem towarzystwie wyraża: „Podniesienie ludu do siebie przez oświatę i swobody społeczne oto świetny cel, który zabłysł w duszach szlachetnych. Potęgi nieba błogosławią temu celowi, a potęgi złego ukorzyć się przed nim muszą. Co do nas, są to promienie konstytucyi 3. maja, ale już przez przeźroczysty przechodzące środek i nie łamiące się w grubym materyale przesądu. Chcieli ówcześni prawodawcy podnieść lud do siebie przez przyjmowanie coroczne pewnej liczby osób zasłużonych w poczet szlachty, dzisiejsi kierownicy opinii podnoszą go do siebie przez oświatę z obowiązku ciążącego na każdym, kogo czy los, czy talenta, czy praca wyżej postawiły. Ten święty obowiązek wypełnia towarzystwo naukowej pomocy, którego pierwszy statut zapowiada wydobywanie z mas ludu zdatnej młodzieży. Myśl to wielka, świetna, w błogie owoce płodna, bo przyczynia narodowi wszystkie te bogactwa moralne i umysłowe, które dotąd niszczały bezużytecznie, odepchnięte od serca narodowego, przyciśnione uciskiem, okryte pogardą. Towarzystwo pomienione jest kopalnią tych moralnych kruszców, w łonie ludu ukrytych. Wielkie dzieło rokuje obfitsze plony, niżeli kopalnie w Potozi, ale potrzeba do tego pracy i robotników.“

Marcinkowski w odpowiedzi na to niejako ogłasza nie gdzieindziej jak w tym samym postępowym *Roku* swoją mowę, którą miał jako prezes „Pomocy Naukowej“ w r. 1844, i odzywa się tak: „Towarzystwo nasze ma właśnie za zadanie rozszerzać oświatę pomiędzy bracią naszymi i dać im sposób wyuczenia się pracy, którą w całości socyalnej, jako jednego ciała ogniwa, zlane w jednorodności ogółu, użytecznemi stać się mogą, zabezpie-

[1]) Rzecz przedstawia się inaczej podług dzienników współczesnych i aktów urzędowych, ogłoszonych w „Gaz. W. ks. Poznańskiego“. Strzelono mianowicie, już po przejeździe cara, na przedmieściu Chwaliszewskiem, do powozu kancelaryi carskiej, który przejeżdżał późnym wieczorem. Śladu od kuli w powozie nie znaleziono, bo miał on odejść rzekomo do Petersburga. Nikt też z dygnitarzy rosyjskich, jadących wtedy, zeznania nie złożył. Był to zatem, o ile się zdaje, prosty wymysł policyi rosyjskiej albo żart niewłaściwy.

czając zarazem własną duchową i materyalną niezawisłość. Wszakże to jest najpewniejszy sposób, aby rozwiązać zadanie społeczeństwa, zrobić ludzi wolnymi na duszy i ciele; to jedyna droga zbliżenia pożądanej dla wszystkich

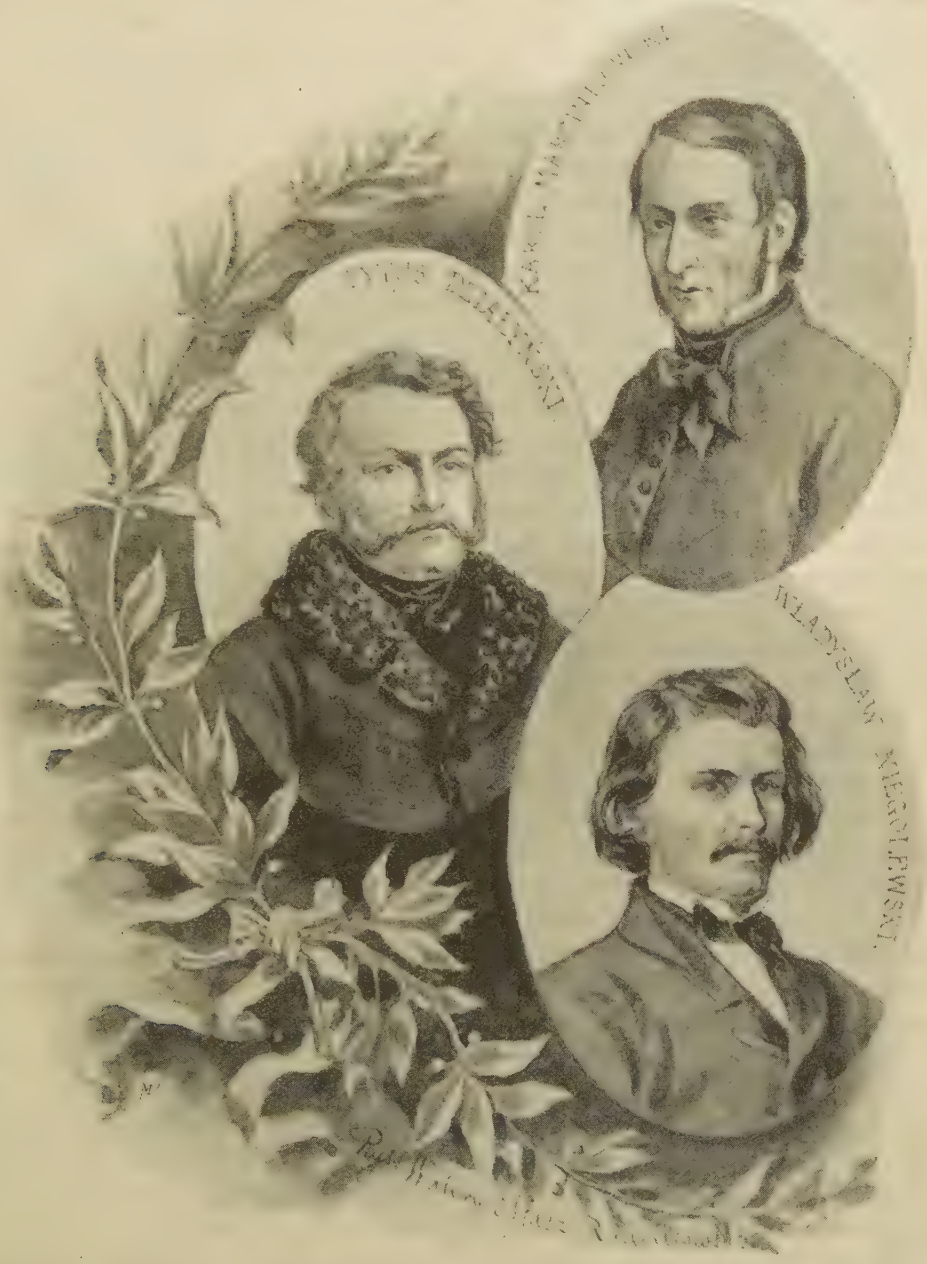

równości socyalnej i wyniesienia człowieka do wyższej potęgi obywatela w narodzie.“

Tak myśleli i działali wtedy ludzie, na dwóch przeciwnych stojący biegunach, i nic dziwnego, że spoczywał na nich promień łaski Bożej i że dzieła

ich, z miłości poczęte, oparły się wszelkim burzom następnym i są dotąd ostoją dla narodowości i społeczeństwa polskiego.

Znalazły się i w Księstwie także rozdźwięki, mącące tę niezwykłą u nas harmonią społeczną. Józef Łukaszewicz mianowicie, badacz uczony, autor dzieł znakomitych w swoim rodzaju jak: „Historya szkół w Koronie i Litwie“, „Wiadomości historyczne o dyssydentach w Poznaniu w XVI. i XVII. wieku, „Dzieje kościołów wyznania helweckiego w dawnej Małopolsce“ i w. i., prowadził w konserwatywnym *Orędowniku* namiętną polemikę z autorami postępowego obozu, ale w artykułach swoich szorstkich, nie rzadko grubijańskich i obelżywych, występował więcej przeciw skażeniu języka lub błędom naukowym, jakich przeciwnicy się dopuszczali, niż przeciw politycznym ich zasadom. Niemiłosiernie np. skarcił on Edwarda Dembowskiego za niedbałą rozprawę „O piśmiennictwie polskiem“ i nazwał go przy tej sposobności „wilkiem w baraniej skórze“ i „targowickim kasztelanicem“.[1]) O innych odzywał się z przekąsem jako o kawalerach podwiązki de Madame Julie, że należeli do obozu postępowego *Tygodnika Literackiego*, którego redaktorem był Wojkowski, mąż owej pani Julii, bawiącej się także literaturą i polityką. Te wybuchy cierpkiego usposobienia i złego humoru uczonego profesora nie miały jednak ani zasadniczej podstawy, ani zbyt wielkiego znaczenia i nie wywołały też następstw poważniejszych; przedewszystkiem zaś nie stały się nigdy powodem wstrętnych sporów dziennikarskich i wzajemnego obrzucania się błotem. Inaczej dziać się nie mogło pomiędzy ludźmi, którzy posiadali tyle wykształcenia i uczuć szlachetnych, że pomimo różnicy zdań, umieli się szanować a w najzawziętszym nawet przeciwniku politycznym cenili dobre chęci i uczciwą służbę dla kraju.

Od tego jasnego, niemal słonecznego tła wielkopolskich stosunków jakże strasznie i ponuro odbija obraz życia polskiego w Galicyi! U góry bezmyślność, zepsucie i zupełny niemal brak uczuć patryotycznych, u dołu ciemnota i nędza a ponad tem wszystkiem rząd podejrzliwy i niedołężny, którego jedynym celem, zda się, zniszczenie kraju pod względem ekonomicznym i utrzymanie jego mieszkańców na najniższym stopniu oświaty i materyalnego rozwoju, oto w najogólniejszych zarysach stan kwitnącej niegdyś prowincyi, stworzony przez system Metternicha i bezduszne a niegodziwe przytem działanie biurokracyi austryackiej. Śmierć cesarza Franciszka (2. marca 1835 r.) nie zmieniła w niczem ani polityki zewnętrznej, ani biurokratycznego systemu. Nowy monarcha, Ferdynand I., łagodny z usposobienia, ale chorowity, przelał całą władzę na t. zw. konferencyą, w której zasiadali pod prezydencyą arcyksięcia Ludwika arcyksiąże Franciszek Karol, kanclerz Metternich i br. Kolowrat, wkrótce przez Metternicha wygryziony. Ten ostatni stał się w ten sposób właściwie samowładnym ministrem i jedynym kierownikiem całej polityki austryackiej. Pierwszą i najważniejszą czynnością jego było zacieśnienie węzłów łączących Wiedeń z Petersburgiem. „Porozumienie w Münchengrätz — tak pisał do Mikołaja w marcu 1835 r.) — do chwili, w której cesarz oddał swą duszę Bogu, pozostało jednem z najdroższych wspomnień jego długiego życia. N. Panie,

[1]) Ojciec Dembowskiego był kasztelanem.

racz żywić dla cesarza Ferdynanda te same uczucia, jakiemi przejęty byłeś dla jego ojca. Nic ani w zasadach, ani w ich stosowaniu nie ulegnie zmianie.“ Car odpowiedział zadowolony, że zachowa niewzruszenie postawę, która w związku monarchów (austryackiego i rosyjskiego) stanowi siłę ich państw i jedyną ostoję pokoju europejskiego.

Wywdzięczając się za tę uprzejmość, spełnił Metternich sumiennie i lojalnie rolę żandarma rosyjskiego względem emigrantów polskich w Galicyi, towarzyszy Zaliwskiego, i urządził „gubernium“ galicyjskie w sposób dla takiej polityki najodpowiedniejszy.

Władzę namiestniczą pozostawiono nadal znanemu z niefortunnej wyprawy do Księstwa warszawskiego w r. 1809 arcyksięciu Ferdynandowi d'Este, który dla podeszłego wieku swego był tylko figurantem, rzeczywiście zaś oddano rządy nad krajem prezydentowi gubernialnemu Kriegowi von Hochfelden. Wirtenberczyk z pochodzenia, wysoki, chudy, kościsty, zawsze ironicznie uśmiechnięty, był ten prezydent jeżeli nie twórcą, to w każdym razie najzdolniejszym wykonawcą systemu, polegającego na rozdwojeniu społeczeństwa, na wszczepianiu nienawiści do szlachty w ciemnych masach włościańskich, przygotowującego rok 1846. Pomagali mu w tem przedsięwzięciu starostowie tacy jak Milbacher we Lwowie, Breindl w Tarnowie, pomagała wietrząca wiecznie za spiskowcami policya, którą kierował znany Sacher Masoch z komisarzami w rodzaju Chomińskiego, Zajączkowskiego, Gutha, Kamienobrodzkiego. Ubezwładniwszy szlachtę i oświecone warstwy społeczeństwa, stłumiwszy wszelkie objawy życia publicznego, skrępowawszy piśmiennictwo i dziennikarstwo niesłychanie surową a przytem niedorzeczną cenzurą i schlebiając zarazem próżności rodzin arystokratycznych rozdawaniem nieistniejących w istocie urzędów (jak np. strażnik sreber koronnych królestwa Galicyi i Lodomeryi) zagarnęła biurokracya ówczesna kraj cały pod swoją nieograniczoną władzę i uczyniła z Galicyi rodzaj kolonii, utrzymującej w dostatnim bycie setki rodzin urzędniczych ze szkodą państwa i niezmierną krzywdą społeczeństwa polskiego. Stała się więc w takiem położeniu rzecz nieunikniona i zupełnie naturalna, stało się, że gdy legalne działanie było niedozwolonem i niepodobnem, ludzie myślący i ożywieni miłością kraju rzucili się do spisków, jako jedynego środka dającego nadzieję wydźwignięcia społeczeństwa z niedoli.

Pierwsze usiłowania w tym względzie wyszły od emigracyi. Karol Borkowski mianowicie, nie mając nadziei w powodzenie wyprawy Zaliwskiego, którą ten powtórnie przygotowywał, podał przyjaciołom swoim, w Galicyi będącym, projekt założenia związku tajnego, któryby we wszystkich prowincyach zabranych rozgałęziony, przygotował jednocześnie powstanie.[1]) Tak powstał związek węglarzy polskich; główną lożę we Lwowie założyli Jerzy Bułharyn i dr. Karol Kaczkowski, naczelny lekarz armii polskiej w r. 1831, używający wtedy w stolicy galicyjskiej wielkiego wzięcia, ceniony wysoko przez namiestnika arcyksięcia Ferdynanda. Obok „węglarstwa“ powstały równocześnie dwa podrzędne towarzystwa; jedno złożone z kółek, liczących po pięciu członków, z których każdy był zobowiązany mieć w pogotowiu najmniej

[1]) Borkowski: Pamiętnik o wyprawie partyzanckiej etc., str. 44.

pięciu ludzi zaufanych i uzbrojonych, i drugie, przeznaczone wyłącznie dla kobiet z zamiarem rozkrzewiania miłości ojczyzny i poświęcania się dla niej. Pierwsze z tych podrzędnych towarzystw nosiło nazwę przyjaciół ludu. Kierowali niem w r. 1834 Adolf Dawid i Hugo Wiśniowski, człowiek bardzo młody (liczył lat 23), ale niezmiernie zdolny, posiadający sześć języków, którymi władał doskonale, oczytany w literaturze angielskiej, francuskiej i niemieckiej,[1]) charakter na wskroś czysty, dyamentowy. Kiedy „węglarstwo“ skutkiem uwięzienia lub wydalenia za granicę najwybitniejszych członków upadło, Wiśniowski i Dawid podtrzymali związek „przyjaciół ludu“ i nadali działaniu jego odmienny kierunek. Zamiast przygotowywać powstanie, mieli sprzysiężeni rozbudzić i szerzyć ducha patryotycznego, oświecać i kształcić się wzajemnie w interesie i kierunku narodowym, szczególniej zaś nakłaniać szlachtę do usamowolnienia i uwłaszczenia włościan z własnego popędu, ażeby kiedyś obcy rząd nie uprzedził w tem szlachty z wielką szkodą jej samej i całej sprawy narodowej.[2]) Do związku tak zamierzonego przystąpili: Seweryn Goszczyński, Teofil Wiśniowski, Lesław Łukasiewicz, Szymon Konarski i Franciszek Smolka. Ten ostatni, urodzony w r. 1810, pochodził z familii polskiej wprawdzie, ale do pewnego stopnia zniemczonej. Ojciec jego, Wincenty, mieszkał na Szląsku austryackiem, służył wojskowo i był następnie magazynierem przy warzelni soli w Stebniku, matka Węgierka, Nemethy z domu. Młody Franciszek ukończył wydział prawny we Lwowie w r. 1831 i wstąpił na praktykę do prokuratoryi skarbu („fiskus“), gdzie zasłynął wnet jako jeden z najzdolniejszych urzędników. Ale gorące uczucie patryotyczne skierowało go na inną drogę. Wtajemniczony w zamiary „przyjaciół ludu“ a nie chcąc łamać przysięgi urzędowej, wziął on dymissyą, mimo usilnych nalegań naczelnika prokuratoryi Kraussa, który go chciał koniecznie w służbie rządowej zatrzymać, i dnia 24. marca 1834 r. przystąpił do związku.

W kilka miesięcy później przybył z Krakowa Napoleon Nowicki w celu zaszczepienia na nowo „węglarstwa“, poddanego karbonaryzmowi europejskiemu czyli raczej włoskiemu. Myśl ta jednak nie podobała się ani Goszczyńskiemu w Krakowie, ani Smolce. Smolka twierdził słusznie, że jak Polacy nie mogliby kierować sprzysiężeniem we Włoszech dla nieznajomości tamtejszych stosunków, tak też i włoscy „węglarze“ nie powinni się domagać kierownictwa w Polsce. Stanęło więc na tem, że związek karbonarski we Lwowie przyszedł do skutku, ale zachował autonomią i charakter narodowy polski a z europejskim karbonaryzmem miał się znosić tylko za pośrednictwem delegata, którym został Napoleon Nowicki. Tak utworzone „węglarstwo“ stanowiło w organizacyi sprzysiężenia stopień najwyższy, dzieliło się na „poręby“, wybierające delegatów, którzy znowu składali „dykasteryą“, władzę reprezentacyjną i wykonawczą. Obok tego istniało dalej towarzystwo „przyjaciół ludu“ i w trzecim stopniu spisku „towarzystwo wzajemnej pomocy“. Zadanie jego polegało na propagandzie patryotycznej i demokratycznej, na sprowadzaniu i rozszerzaniu

[1]) Wiesiołowski Franciszek: Ustęp z moich wspomnień; Biblioteka pisarzy polskich (Brockhaus), t. VII., str. 130.

[2]) Widman Karol: Franciszek Smolka, jego życie i zawód publiczny. Lwów 1886; str. 19.

pism polskich zakazanych, na udzielaniu pomocy materyalnej patryotom, prześladowanym i pozbawionym środków do życia, na staraniu o więźniach itp. „Dykasteryą“ czyli naczelne kierownictwo „węglarstwa polskiego“ tworzyli w r. 1835: Smolka, Maryan Dylewski, Adolf Hampl, Jan Prohaska, Kazimierz Grocholski, Henryk Bogdański, Adam Leo i Karol Dłużewski, emigrant, ukrywający się pod nazwiskiem Malczewskiego.

Ale „węglarstwo“ nie trwało długo. Seweryn Goszczyński, zawsze przeciwny łączeniu się spisków polskich z zagranicznemi związkami tajnemi, powziął wraz z Lesławem Łukasiewiczem w Krakowie myśl przekształcenia karbonaryzmu w „stowarzyszenie ludu polskiego“, którego celem było: nie prowadzić wprost do powstania, ale, nie wykluczając jego możliwości, przygotowywać do ruchu zbrojnego ziemie dawnej Polski we wszystkich warstwach społecznych przez zbliżenie tych warstw do siebie i zaprowadzenie zmian w społecznym ustroju. Obok tego miano zawiązywać stosunki z narodami słowiańskiemi, aby je powołać i skłonić do wspólnego działania w sprawie wolności. Zawiązawszy na takich podstawach „stowarzyszenie ludu polskiego“ w Krakowie, pojechał Goszczyński do Lwowa. Tu z początku natrafił na niemałe trudności ze strony „węglarzy“, ale z pomocą Lucyana Siemieńskiego zdołał ostatecznie skłonić „dykasteryą“ do rozwiązania „węglarstwa“. W ten sposób powstał na cały kraj jeden związek, którym kierował „zbór główny“, złożony z reprezentantów wszystkich ziem polskich. Zborowi podlegały „ziemstwa“, utworzone na razie tylko w Galicyi (w Krakowie, Tarnowie i Lwowie); do innych prowincyj wysłano w celu przeprowadzenia organizacyi: Szymona Konarskiego na Litwę, Napoleona Nowickiego na Ukrainę, Żychlińskiego w Poznańskie, Aleksandra Wężyka do Warszawy; Konarski i Wężyk zostali straceni, resztę spotkał także los mniej więcej smutny: wygnanie na Sybir lub, w najpomyślniejszym wypadku, ucieczka za granicę i dalsze tułactwo.

W Galicyi rozwijało się „stowarzyszenie ludu polskiego“ wskutek ostrożnego i rozsądnego kierownictwa Smolki, który jako sekretarz „ziemstwa lwowskiego“ był rzeczywiście duszą spisku, bardzo pomyślnie. Utworzono rady powiatowe w Samborze, Złoczowie, Przemyślu, Sanoku, Kołomyi i Stanisławowie, powstały osobne komitety dla seminaryów teologicznych: ruskiego i polskiego we Lwowie, komitet akademicki dla młodzieży, złożony z Kazimierza Grocholskiego, Floryana Ziemiałkowskiego i Eugeniusza Chrząstowskiego; po całym kraju powiał duch inny, bo „stowarzyszenie“, przyjmując do swego grona tylko ludzi o wypróbowanych charakterach i wzorowem prowadzeniu się, rozszerzając zasady wzniosłe i szlachetne i krzewiąc za pomocą wyborowych dzieł polskich uczucia miłości ojczyzny, poświęcenia się dla sprawy narodowej i wogóle cnoty obywatelskie, podnosiło tem samem całe społeczeństwo na wyższy stopień moralności, umacniało je przez wskazanie celów wielkich, zaprawiało do nieznanej przedtem prawie i zaniedbanej pracy społecznej. Wkrótce nastąpił zwrót wielce pocieszający. Młodzież, żyjąca lekkomyślnie z dnia na dzień, spoważniała i zaczęła się z zamiłowaniem oddawać nauce; powstawały kółka w celu wzajemnego kształcenia się; ustała gra w karty i modne do niedawna pijaństwo; zamiast udziału w hałaśliwych zabawach

trawiono noce bezsenne na odczytywaniu lub przepisywaniu „Ksiąg pielgrzymstwa polskiego“, „Pana Tadeusza“ albo innych utworów znakomitych poetów naszych. Wśród podniosłego nastroju umysłów zapanowała jakaś dziwna a piękna harmonia serc i dusz szlachetnych. Synowie niemieckich urzędników, księża ruscy i klerycy, potomkowie dawnej szlachty i lekceważone do niedawna mieszczaństwo, duchowni łacińskiego obrządku i oficerowie, wszystko to, bez różnicy wyznania, pochodzenia i stanowiska społecznego, stawało zgodnie u warsztatu pracy narodowej, z myślą zwróconą w przyszłość, z nadzieją odrodzenia i wyzwolenia. Spisek, będący zawsze objawym chorobliwym życia społecznego, nabierał w tych niezwykłych warunkach mocy uzdrawiającej, stawał się środkiem budzącym i krzepiącym dla społeczeństwa, pogrążonego w letargicznem uspieniu.

Jakoż daje się spostrzegać w tej biednej, zaniedbanej i od świata odciętej Galicyi około i po roku 1840 ruch znaczny stosunkowo na polu ekonomicznem i niezaprzeczona zmiana w wyobrażeniach społecznych. Pomimo obojętności rządu, pomimo przeszkód, stawianych przez biurokracyą wszelkim usiłowaniom, zmierzającym do podźwignięcia kraju, powiodło się stanom galicyjskim, oprócz utworzenia towarzystwa kredytowego, założyć w r. 1844 kasę oszczędności we Lwowie i zawiązać towarzystwo gospodarcze, którego pierwszym prezesem został w r. 1845 ks. Leon Sapieha. Człowiek ten, biorący odtąd wybitny udział w życiu publicznem tej części Polski, należał w Galicyi do żywiołów napływowych, które ta prowincya zawdzięczała ruchowi emigracyjnemu. Urodzony w r. 1803, rozpoczął on zawód swój od służby w ministerstwie skarbu Królestwa za czasów Lubeckiego. Powstanie listopadowe zastało go w Paryżu, skąd powróciwszy natychmiast, zaciągnął się w szeregi narodowe. odbył zaszczytnie całą kampanią, dosłużył się stopnia oficerskiego i uzyskał krzyż virtuti militari. Skazany dekretem rady administracyjnej z d. 10 lipca 1835 r. na konfiskatę znacznego swego majątku, nie chciał podpisać prośby o amnestyą i z szczątkami wielkiej niegdyś fortuny przeniósł się do Galicyi, gdzie początkowo na polu ekonomicznem, a później i na politycznem, wszechstronną niemal rozwinął czynność. Jego myślą, pomiędzy innemi, był projekt utworzenia towarzystwa akcyjnego dla budowy kolei żelaznej w Galicyi, czemu przeszkodził rząd, zastrzegając sobie pierwszeństwo w tym względzie.

Dalszym objawym budzącego się ducha obywatelskiego w kraju była ofiarność na cele publiczne, której pięknym przykładem jest wspaniała fundacya hr. Stanisława Skarbka, dokonana także w r. 1843 a marnowana przez lat 30 przez rząd na utrzymanie sceny niemieckiej we Lwowie, z uszczerbkiem starców i sierot i z szkodą nieobliczoną dla rozwoju dramatycznej sztuki polskiej. Nawet słynny z bezpłodności obrad swoich sejm stanowy galicyjski, zbierający się co roku celem wysłuchania rozkazów cesarskich i zjedzenia kilku oficyalnych obiadów, ośmielił się w tych czasach do nadzwyczajnych u rządu przedstawień, upomniał się bowiem w r. 1841, oczywiście w najpokorniejszych wyrazach, o przypuszczenie języka polskiego do sądów a w roku następnym „błagał“ cesarza, aby „raczył nadać łaskawie temuż językowi większą rozciągłość“ we wszystkich szkołach. Jakkolwiek prośby te najmniejszego nie od-

niosły skutku, to już sam fakt, że pokorna reprezentacya galicyjska odważyła się zanieść je do stóp tronu, świadczył o pewnem otrzeźwieniu umysłów.

Ale niebawem spadły nowe ciosy na kraj, które przerwały działalność „stowarzyszenia ludu polskiego“ i stały się przyczyną strasznych katastrof.

Pierwszy grom uderzył w główną siedzibę spisku, w „wolną, niepodległą i ściśle neutralną Rzeczpospolitą krakowską“. Stan tego państewka, z początku dość pomyślny, uległ z biegiem czasu podobnym zmianom, jakie widzieliśmy w Księstwie i w Królestwie. Po miodowych latach zgodnego z mocarstwami opiekuńczemi pożycia i po utworzeniu kilku pożytecznych instytucyj publicznych, zaczął się najpierw psuć wewnętrzny porządek małej republiki a dalej ustawać także i harmonia z sąsiadami. Przyczyną tego zjawiska była oczywiście w pierwszym rzędzie zasadniczo nieprzyjazna i podejrzliwa polityka mocarstw rozbiorownch względem narodu polskiego, ale nie mniej także i dziwna jakaś nieporadność i nieumiejętność rządzenia się, właściwa ówczesnemu społeczeństwu krakowskiemu, która sprawiała, że nie zdołało ono ani strzedz skutecznie praw swoich, przyznanych przez kongres wiedeński, ani utrzymać wewnętrznego ładu i porządku, który, pod argusowem okiem obcych rezydentów, był główną podstawą ustalenia niepodległości i samorządu republikańskiego. Z niepojętą dziś dla nas dobrodusznością czy nieoględnością dopuścił senat krakowski n. p. do ustanowienia poczty pruskiej w Krakowie i zaprowadzenia dyliżansów pruskich, chociaż przeciw temu dwory austryacki i rosyjski protestowały,[1]) przez podobną nieopatrzność i zaniedbanie pozwolił na zabór majątków uniwersyteckich i zakonnych przez rząd Królestwa polskiego; nie postarał się o należyte zużytkowanie przywileju na wolny handel, przyznanego Krakowowi, a ostatecznie, co najgorsze w przyszłości miało skutki, przyjął bez szemrania niezmiernie wadliwą organizacyą uniwersytetu i szkół niższych. Ażeby mieć jakiekolwiek wyobrażenie o tem potwornem dziele obcych reprezentantów, zatwierdzonem jednak przez senat, dość powiedzieć, że do zarządu uniwersytetem powołanych było jedenaście władz, i że rektor, któremu podlegały także wszystkie zakłady naukowe, posiadał w istocie niepodległą i nikomu nieodpowiedzialną władzę prawodawczą, sądową i wykonawczą. W ten sposób powstały obok siebie dwie równorzędne magistratury, których starcie było nieuchronne, zwłaszcza w obec różnicy, jaka zachodziła w charakterach osób, zajmujących te naczelne stanowiska. Prezesem senatu był, jak wiadomo, Stanisław Wodzicki, poważny i poważany senator Królestwa polskiego, pełen najlepszych chęci, wykształcony, ale nie posiadający dość silnej woli i tego zmysłu politycznego, co, przewidując groźne niebezpieczeństwa, umie je zręcznie omijać i pozorami złudzić się nie daje. Na rektorstwie uniwersytetu zasiadał Walenty Litwiński, *homo novus*, prawnik biegły i adwokat, „demokrat“ wprawdzie, dziwnego jednak kroju, bo i trzy pensye pobierał, jako profesor, rektor i sędzia apelacyjny, razem 19.000 złp., i praktyki adwokackiej przytem nie zaniedbywał i z Reibnitzem, konsulem pruskim, utrzymywał stosunki dość podejrzane. Charakter ogółem miał niepewny, ambicyą znaczną — poczucia obowiązków obywatelskich i wyższego poglądu na sprawy, o ile z działania jego sądzić można, bardzo mało.

[1]) Tessarczyk Antoni: Rzeczpospolita Krakowska. W Krakowie 1863—1870; str. 144.

Znaczenie Krakowa polegało z jednej strony na przywileju wolnego handlu, z drugiej na zakładach naukowych. Uniwersytety jagielloński i wileński były natenczas jedynemi ogniskami oświaty i nauk wyższych na całym obszarze ziem polskich a wskutek swego szczęśliwego położenia geograficznego mogły szerzyć światło we wschodnich i zachodnich prowincyach. Zaszczytne to stanowisko spełniała chlubnie wszechnica wileńska, powinien był spełniać Kraków tem bardziej, gdy ani zabór pruski, ani austryacki nie posiadały uniwersytetu polskiego a w Warszawie szkoła główna powstała dopiero w r. 1817. Postawić więc zakłady naukowe krakowskie na stopie odpowiedniej i ściągnąć młodzież polską do Krakowa było głównem i najważniejszem zadaniem władz republikańskich, w pierwszym zaś rzędzie rektora. Tymczasem jak postąpił sobie Litwiński? Pozwolił on a raczej dopuścił do tego, aby katedry uniwersyteckie, za protekcyą Reibnitza, obsadzano ludźmi niezdolnymi, aby je, jak opinia publiczna utrzymywała, puszczano na sekretną licytacyą; w szkołach zaś niższych nie umiał czy nie chciał ani zaprowadzić karności, ani wzbudzić w młodzieży zamiłowania do nauki i pracy poważnej. Sławna niegdyś szkoła jagiellońska przedstawiała zatem w tym okresie widok najsmutniejszego upadku. Profesorowie albo wiekiem pochyleni, albo oddani zawodom praktycznym, mianowicie praktyce adwokackiej i lekarskiej, najmniej poświęcali się nauce, do której zresztą nie mieli przygotowania a po większej części i uzdolnienia. Sam Litwiński w wspomnieniu pośmiertnem o dwóch najwybitniejszych kolegach swoich, Adamie Krzyżanowskim i Matakiewiczu, członkach towarzystwa naukowego, nie umiał nic więcej powiedzieć nad to, że ukończyli chlubnie szkoły średnie, że następnie „oddawali się wzorowo naukom filozoficznym i prawniczym“ i że jeden z nich „celował w obronach swoich cywilnych i kryminalnych“ a drugi otrzymał od Aleksandra I. „w uznaniu pracy i gorliwości“ order św. Stanisława czwartej klasy, od cesarza Franciszka tabakierkę złotą „w dowód najwyższego zadowolenia monarszego“. Tabakierka i order utorowały mu zapewne drogę do katedry uniwersyteckiej, bo zresztą nauką się nie bawił i żadnych prac drukiem nie ogłosił. O profesorze matematyki, Steczkowskim, wiemy, że napisał dwie rozprawki: jedną po łacinie „O szerokości geograficznej Krakowa“, drugą „O astrologii“ i że nadto zajmował się przez lat kilkanaście mnożeniem rachunków Bessla w obserwatoryum.[1])

Najwyższa instytucya naukowa z takich złożona ludzi i takim ożywiona duchem nie była oczywiście w stanie spełniać swoich obowiązków z pożytkiem dla edukacyi publicznej i dla kraju, przeciwnie przykładem swoim pociągała niejako młodzież do próżnowania i lekceważenia nauki, z czego znowu jak z mętnego źródła wypływały wszelakie zdrożności, którym tak łatwo podlegają młode umysły, nie zaprawione do pracy, nie ujęte w karby przyzwoitej karności i porządku. Zapanował też niebawnie w szkołach krakowskich stan jakiejś nie dającej się określić anarchii, upadek moralności i wyuzdania w obyczajach u młodzieży i jeżeli przesadnem może się wydać to, co pisze w tym względzie w pamiętnikach swoich Stanisław Wodzicki, to sam fakt, że uczniowie szkół średnich, obwinieni o kradzież i usiłowane morderstwo, stawali

[1]) Pęcławski (Kalinka): Listy o Krakowie. Poznań 1850; str. 69.

przed kratkami sądowemi, rzuca ponure światło zarówno na usposobienie młodego pokolenia jak i na działalność kierowników oświaty.

Gdyby władze naczelne ożywione były duchem prawdziwie obywatelskim, gdyby kierowały się jedynie poczuciem obowiązkow swoich względem kraju i społeczeństwa, gdyby umiały były wznieść się na wyższe cokolwiek stanowisko i sięgnąć wzrokiem poza obręb murów krakowskich, mogły były snadnie położyć kres nieporządkom i młodzież obłąkaną sprowadzić na drogę cnoty i obowiązku. Ale nie myślał o tem ani Litwiński, zawzięty na Wodzickiego, ani też Wodzicki, przypisujący słusznie zresztą całą winę rektorowi. Pierwszy ujął się za młodzieżą, rzekomo pokrzywdzoną, i wywołał przez to nową burdę chłopców z 6. klasy w liceum św. Anny, drugi rozżalony i przestraszony, zamiast pociągnąć rektora do odpowiedzialności, użył najniestosow-

Medal na pamiątkę rzezi z r. 1846.

niejszych środków, sprawę dziecinną bowiem wytoczył przed trybunał mocarstw opiekuńczych, wzywając ich rady i pomocy, odwołując się do „JW. senatora Nowosilcowa“ jako „obeznanego z tym przedmiotem.“ [1]) Nie lepiej postąpił sobie minister Sobolewski, kiedy w odpowiedzi na list rozpaczliwy Wodzickiego oświadczył, że u Nowosilcowa instancyonować będzie, i radził w końcu użyć Jezuitów do dozoru młodzieży szkolnej. W ten sposób dowodzili niejako Polacy, że sami sobą rządzić nie są w stanie, a minister Królestwa polskiego gotów był wezwać ręki moskiewskiej na uśmierzenie rozruchów studenckich w starodawnej stolicy Jagiellonów. Ów apel Wodzickiego, uczyniony na początku

[1]) Korespondencya dotycząca u Tessarczyka (l. s.), str. 160.

r. 1821, przychodził jak gdyby na zawołanie dla Nowosilcowa, pracującego właśnie nad zatraceniem uniwersytetu wileńskiego, i dla dyplomatów radzących w Lublanie i Weronie. Jeżeli prezes senatu krakowskiego sam przyznawał, że „duch federacyi ogarnął młodzież w Turynie, Wrocławiu, Lwowie, Rzeszowie i Warszawie“ i sądził, że trzeba szkoły w całej Polsce urządzić w inny sposób, to było to najsilniejszem dla zamiarów Metternicha i Nowosilcowa poparciem. Bezpośrednim skutkiem tej niefortunnej polityki był okólnik rządu Królestwa polskiego, odwołujący młodzież Królestwa z szkół krakowskich. Znieśli Krakowianie mężnie i ten cios, Wodzicki został znowu jednomyślnie wybrany prezesem senatu, ale popularność jego zachwiała się z powodu intryg Litwińskiego i następnych wypadków. Jakaś bowiem dziwna zgnilizna toczyła to społeczeństwo, żyjące wśród gruzów świetnej przeszłości a obracające się w ciasnem kole koteryjnych waśni i zapominające o swoich obowiązkach względem ojczyzny. Na urzędach panowało przekupstwo i system protekcyjny, przy wyborach rozstrzygały względy familijne, profesorowie „piecem włazili na katedry“, i mogło przyjść niedługo do tego, że, jak się wyrażał publicznie Adam Czapski, reprezentant gminy IX. okręgu Bobrek, „władza najwyższa w kraju, władze sądownicze i uniwersytet zamienią się w familijne dziedzictwa lub staną się własnością połączonych ścisłym przewrotności węzłem ludzi.“ Proces Chwalibogowskiego, który jako prokurator trybunału I-ej instancyi, niesłychanych dopuścił się zdzierstw i nadużyć, był najsmutniejszą dla tych krakowskich stosunków illustracyą. Wodzicki, krótkowidzący polityk wprawdzie, ale człowiek zacny i uczciwy, dążył do naprawy złego i do ukarania winnych, wywołał atoli tem działaniem swojem jeszcze większą ku sobie niechęć, która ostatecznie stała się przyczyną jego upadku.

Nie wiele pożytku przyniosło mianowanie przez Aleksandra I. kuratorem uniwersytetu generała Józefa Załuskiego (w r. 1823). Przeciwnie usposobienie żołnierskie kuratora i ta okoliczność, że Załuskiego polecał Nowosilców, zraziły do niego umysły a profesorom dostarczyły pozorów do niecenia przeciw niemu cichej lecz skutecznej opozycyi. Główna nienawiść spotykała jednak Wodzickiego, któremu przypisywano sprowadzenie kuratora, i on też padł ofiarą tej koalicyi zagrożonych interesów familijnych, stanowych i osobistych. W roku 1827 obrano prezesem senatu Józefa Nikorowicza, prezesa sądu apelacyjnego, a gdy dwory opiekuńcze uznały ten wybór i wszystkie czynności senatu za nieważne, i sam Nikorowicz, pobierając na dotychczasowem swojem stanowisku większą pensyą niż prezes senatu, do objęcia urzędu wcale się nie zgłosił, uprosił senat Wodzickiego, aby nadal piastował najwyższą godność w Rzeczypospolitej. Ale jakże zmieniły się stosunki! Dwory opiekuńcze, mając przez senat krakowski wskazaną sobie drogę do mieszania się w sprawy wewnętrzne republiki, nie omieszkały z tego skorzystać. W r. 1828 powstał z ich polecenia komitet, który się zajął rewizyą konstytucyi i zbadaniem prawności wszystkich wyborów, dokonanych od 1824 do 1827 r., przyczem usunął z senatu dotychczasowych członków jego: Bartla, Kucieńskiego i Soczyńskiego. Gorszy jeszcze obrót wzięły sprawy uniwersyteckie. Załuski, przywykły do wojskowej subordynacyi, wypełniał ściśle rozkazy przysyłane z Warszawy,

wydalał studentów z Królestwa pochodzących, od profesorów i to najlepszych i najgodniejszych, jak od sędziwego Słotwińskiego, wymagał tłumaczenia z czynności w sejmie przedsiębranych, słowem postępował sobie samowolnie, systemu wychowania nie ulepszył, uniwersytetu nie zreformował, od utraty majątków w Królestwie położonych ustrzedz go nie zdołał. Ten anarchiczny stan rzeczy trwał aż do końca r. 1830. Powstanie listopadowe poruszyło oczywiście żywo umysły w Krakowie. Goręts domagali się, aby Rzeczpospolita przystąpiła do rewolucyi, ale rząd narodowy zalecał ścisłą neutralność, do czego i Wodzicki się zastosował, uzbrajając tylko gwardyą miejską dla utrzymania porządku. Nie było takie umiarkowanie prezesa snać po myśli dworów opiekuńczych, kiedy zażądały one nagle wprowadzenia na nowo do senatu usuniętych senatorów, chcąc zapewne w ten sposób wzniecić niezgodę wewnętrzną i w chwili tak ważnej odwrócić uwagę ogólną od doniosłych wypadków w Królestwie. Jakoż podstęp udał się wyśmienicie, bo Wodzicki nie miał dość siły, aby się oprzeć dziwnemu życzeniu rezydentów, a wprowadziwszy przeciwników swoich do senatu, podkopał do reszty stanowisko swoje i powagę. Raz po razu więc powstawały przeciw niemu rozruchy, wielce podejrzanej natury. Organista zamkowy Kratter domagał się na czele pospólstwa, „imieniem ludu krakowskiego“, wywieszenia sztandarów narodowych i przystąpienia do rewolucyi; jakiś Malinowski, prawdopodobnie agent rosyjski, przybrany w mundur kamerjunkra carskiego i wydający się za wysłannika rządu narodowego, wzywał na publicznem zgromadzeniu do zrzucenia „tyrana“ Wodzickiego i do obrania prezesem ks. Henryka Lubomirskiego, wreszcie dnia 16. stycznia 1831 r. gromada młodych ludzi, pod wodzą dependenta Baszczewskiego wpadła do mieszkania Wodzickiego i przemocą zmusiła go do rezygnacyi z urzędu.

Łatwo sobie wyobrazić, z jakiem zadowoleniem spoglądał rezydent rosyjski na tę niezgodę polską i na poniżenie w oczach całego świata „wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej“. Wszak gotowała ona i usprawiedliwiała z góry to, do czego dwory opiekuńcze stale dążyły, t. j. okupacyą Krakowa. Nastąpiła ona rzeczywiście przy końcu r. 1831, ale z obawy nowych zawikłań europejskich skończyła się w listopadzie r. 1832. Na razie poprzestali opiekunowie na zmianie konstytucyi, do czego uprawniało ich, jak twierdzili, naruszenie neutralności przez rząd Rzeczypospolitej podczas powstania. Zmiana była radykalna: zniesiono wolność druku, postanowiono, że wybór prezesa senatu podlega zatwierdzeniu opiekuńczych dworów, że sejmy mają się odbywać co trzy lata a nie co roku, że głosowanie ma być tajne. „Izba reprezentantów“, zwołana w r. 1833, przyjęła z zadowoleniem całą reformę i uchwaliła wybić medal pamiątkowy na cześć komissarzy-reorganizatorów. Jeden z posłów, żołnierz kościuszkowski, Czerniński, poparł wniosek medalowy sarkastyczną mową. „Sprawiedliwe jest życzenie wysokiego senatu — były jego słowa — ażeby jaśnie wielmożnych komissarzy wybić. Wybijmy ich tedy, wybijmy, bo sobie zasługują na to, ażebyśmy ich wybili . . . na medalu.“ W tak tragikomiczny sposób skończył się drugi okres dziejów Rzeczypospolitej za prezydentury Kaspra Wielogłowskiego, którego na ten urząd powołała ko-

missya reorganizacyjna. Dla uzupełnienia obrazu dodać należy, że równocześnie wybito medal na cześć Stanisława Wodzickiego.

Przez trzy lata następne panował spokój w Krakowie; Wielogłowski zajął się reorganizacyą milicyi miejskiej, umundurował ją na wzór wojskowy z czasów Księstwa warszawskiego, na dowódzcę powołał pułkownika byłej armii polskiej Soczyńskiego i pozwolił również na wznowienie towarzystwa strzeleckiego, rozwiązanego niegdyś w r. 1794 przez rząd pruski. Ale była to cisza, poprzedzająca burzę.

Owa drobniutka Rzeczpospolita, owa cząstka dawnej Polski, zażywająca z imienia przynajmniej ograniczonej niepodległości, budziła zawsze w sąsiadach dziwny jakiś niepokój. Austrya i Prusy spoglądały na Kraków chciwem okiem, Paskiewicz uważał go za najniebezpieczniejsze gniazdo rewolucyjnych knowań. „Nie można było — tak pisał do Mikołaja w r. 1835 — nic lepszego wymyśleć, żeby wywołać nieustanne rokosze w ziemiach polskich, jak ustanowić w środku tychże ziem bezpieczne schronisko dla wszystkich emissaryuszów i rewolucyonistów.“ Mikołaj podzielał w zupełności zdanie namiestnika, nie życzył sobie jednak przyłączenia Krakowa do carstwa. „Wiadomości krakowskie — mniemał w liście z dnia 4. sierpnia 1835 r. — są bardzo ważne, ale powtarzam, że nigdy nie zgodzę się na przyłączenie ich do nas; prościej jest, żeby należeli do Austryi i mniej to wywoła wrzawy.“ Ze względu na Francyą i Anglią dodawał zaś: „Jedynie tylko ogólne i stanowcze żądanie może nam dać punkt wyjścia przy pertraktacyach z rzeczonemi mocarstwami.“ [1])

Paskiewicz zastosował się do życzeń carskich i użył za narzędzie niejakiego hr. Aleksandra Walewskiego, obywatela z Królestwa, którego dobra leżały na pograniczu. Podług urzędowych źródeł rosyjskich powiodło się rzeczywiście Walewskiemu pozyskać liczne stronnictwo wśród mieszkańców Rzeczypospolitej, gotowe podpisać odpowiednie podanie, ale o przyłączenie do Królestwa. W Warszawie nie przykładano wiele wagi do opowiadań Walewskiego; Paskiewicz sądził, że nawet gdyby prośba podobna przyszła do skutku, rząd wolnego miasta nigdy nic podobnego nie zrobi. Trzeba więc szukać innych sposobów, gnębić ich mianowicie wysokiemi cłami, doprowadzić do nędzy, a wtedy prawdopodobnie wszyscy zgodzą się na przyłączenie. Droga ta, wiodąca najpewniej do celu, acz z pogwałceniem oczywistem traktatu wiedeńskiego, nie zgadzała się z gwałtownem i niecierpliwem usposobieniem Mikołaja. On pragnął natychmiast skończyć tę sprawę zawiłą i nieprzyjemną, unikając jednak zatargów z mocarstwami zachodniemi. Obmyślił więc środek bardzo prosty: zaproponował na zjeździe z cesarzem Ferdynandem I. w Cieplicach okupacyą Krakowa Austryi i otrzymał, jak można było z góry przewidywać, odpowiedź przychylną. Z obawy przed Anglią i Francyą postanowiono jednak postępować ostrożnie, otoczyć terytoryum krakowskie komorami celnemi, zrujnować Rzeczpospolitą ekonomicznie a przy pierwszej lepszej sposobności zamach wykonać.[2]) O taką okazyą postarała się bardzo prędko policya rosyjska. Od czasu ustąpienia wojsk rosyjskich stał się Kraków schronieniem dla emigrantów polskich.

[1]) Listy u Szczerbatowa: Rządy Paskiewicza, str. 125.

[2]) Tamże, str. 129.

Jednych wabiła tu taniość życia, innych tęsknota za krajem, wielu, przybywających za paszportami do Austryi, zwracała policya wrocławska do wolnego miasta, nie mało wydalał rząd metternichowski z Galicyi. Wszyscy zatrzymywali się w Krakowie i tam zazwyczaj zostawali. Zachowanie się ich było wogóle wzorowe. Cudzoziemiec, Prusak, współczesny wypadkom, wystawia im w tym względzie jak najlepsze świadectwo.[1]) Że ci nieszczęśliwi tułacze myśleli o Polsce, że układali rozmaite plany na przyszłość i tworzyli spiski, temu dziwić się nie podobna; faktem jest jednak, że spokoju nie mącili i do skarg powodu nie dawali. Policya rosyjska inaczej patrzyła się na to, Paskiewicz nasyłał tajnych agentów, śledził, tropił, szukał, jak mówią, dziury na całem i ostatecznie dopiął celu. Od pewnego czasu kręcił się po Krakowie niejaki Pawłowski, właściwie Behrens; przybył on z Paryża, rzekomo jako wysłannik tajnych towarzystw, żył dostatnio, ubierał się wytwornie i grywał w karty wysoko. Opinia publiczna napiętnowała go niebawem mianem szpiega, i w istocie był Pawłowski agentem tajnej policyi rosyjskiej. Nagle w początkach stycznia 1836 znaleziono zwłoki jego pod Bronowicami, a że kosztowności i pieniądze, jakie miał przy sobie, pozostały nietknięte, nie podlega przeto wątpliwości, że padł ofiarą swego rzemiosła. Pomimo skrzętnych poszukiwań policyjnych, nie zdołano sprawców wyśledzić, chociaż podejrzenie padło w końcu na jakiegoś Eysmonta.[2]) Niebawnie potem zamordowano niejakiego Czelaka, który zostawał także pod zarzutem szpiegostwa a w istocie trudnił się wydawaniem zbiegów wojskowych z Królestwa. Oba te wypadki przychodziły w samą porę dla planów Paskiewicza. Rezydenci mocarstw opiekuńczych spisali natychmiast protokół o zamordowaniu Pawłowskiego i zażądali (9. lutego) od senatu, aby w przeciągu dni ośmiu wydalił wszystkich emigrantów polskich z granic Rzeczypospolitej. Senat przestraszony zastosował się bez wahania do tego rozkazu, ale zanim jeszcze termin zakreślony upłynął, zapowiedzieli rezydenci okupacyą wojskową, ponieważ, jak twierdzili, środki użyte przez rząd Rzeczypospolitej nie dają żadnej rękojmii, że życzenia mocarstw będą wykonane![3]) W istocie cała ta akcya dyplomatyczna była tylko komedyą, gdyż gabinet wiedeński już w styczniu wydał rozkaz generałowi Kaufmanowi, aby z dwoma batalionami piechoty i sześcioma szwadronami jazdy wkroczył do Krakowa, a Paskiewicz uradowany pisał do Petersburga (dnia 30. stycznia): „Bardzo to szczęśliwie, że sprawa wzięła taki obrót i że Austryacy tak gorąco zabrali się do tego, gdyż mocarstwo to wyszle trzy bataliony a my tylko jeden, a zatem będzie wykonany rozkaz W. Ces. Mości, żeby Austryacy byli pierwsi, a my żebyśmy drugą rolę grali w tym dramacie.“

Dnia 17. lutego 1836 r. zajął korpus austryacki Kraków bez najmniejszej oczywiście trudności. Generał Kaufman założył główną kwaterę w pałacu Potockich i poczynał sobie jak w mieście zdobytem; emigrantów, jacy jeszcze zostali, wydalono w przeciągu 48 godzin, z mieszkańcami obchodzono się

[1]) Krakau und ein Blick über seine Grenzen. Leipzig 1844. Autorem nie wymienionym był Rudolf Kaempf, spekulant, który do r. 1844 bawił w Krakowie.

[2]) List Wielogłowskiego do Metternicha u D'Angeberga, str. 981

[3]) Nota u D'Angeberga, str. 978.

surowo, po prezesa senatu, sędziwego i poważnego senatora polskiego, posyłał generał codziennie kaprala, aby go sprowadzał na konferencyą. Za Austryakami zjawił się oddział rosyjski, w końcu Prusacy. Stanowisko gabinetu berlińskiego było od początku niejasne, nie zgadzał on się na okupacyą, zapewne z zawiści ku Austryi, żołnierze i oficerowie pruscy zachowywali się względem sprzymierzeńców swoich chłodno, niechętnie. Ten stosunek przykry, protestacya zresztą Anglii i Francyi, do której skwapliwie Prusy się przyłączyły, skłonił Mikołaja do wycofania wojsk rosyjskich z Krakowa. Pozostali tylko Austryacy i rezydenci mocarstw opiekuńczych z poleceniem zreorganizowania konstytucyi krakowskiej. Rozpoczęła się ona od usunięcia z prezesostwa Wielogłowskiego, którego miejsce zajął Józef Haller, i od zupełnego przekształcenia siły zbrojnej miejskiej i policyi. Wydalono więc ze służby w milicyi dawnych wojskowych polskich, dowództwo naczelne powierzono oficerowi austryackiemu Hohlfeldowi, policyą zapełniono mandataryuszami galicyjskimi i oddano pod władzę komissarza policyjnego Franciszka Gutha, „postrzeleńca bez sensu i charakteru“, z Podgórza. W istocie rządzili rezydenci, senat i sejm stracili wszelkie znaczenie. Tak niespodziewany obrót rzeczy w Krakowie zniszczył od razu istniejącą tam tajną organizacyą. Nie została ona wprawdzie odkrytą, Lesław Łukasiewicz uwięziony ratował się szczęśliwie ucieczką, ale towarzysze jego musieli opuścić Kraków, „zbór główny“ rozpędzony przeniósł się do Lwowa, gdzie obok emigrantów krakowskich zasiedli w zarządzie: Smolka, Tomasz Rayski i Robert Hefern. Dla dalszego rozwoju spisku był to wypadek bardzo doniosły. Zetknęły się mianowicie teraz w „zborze“ dwa kierunki: radykalny, reprezentowany przez Malinowskiego, Stanisława Szczepanowskiego i Leona Zaleskiego, i umiarkowany, który popierali lwowscy członkowie, przezwani przez Malinowskiego ironicznie „Niemcami“. Pierwsi łudzili się, że, zmusiwszy szlachtę do darowania pańszczyzny, porwą lud do walki z obcym najazdem i zamierzali natychmiast podnieść powstanie, drudzy, znając dokładnie stosunki w kraju, wskazywali drogę długiej wprawdzie i mozolnej, ale jedynie skutecznej pracy nad podniesieniem i oświeceniem ciemnych mas ludowych. Przyszłość bardzo bliska i straszna niestety dowiodła, że słuszność była po ich stronie. Ale marzyciele nie dali się przekonać a wysłani w Tarnowskie i Krakowskie do pomocy tamtejszym „zborom“, utworzyli w r. 1837 „powszechną konfederacyą narodu polskiego“, która, odkryta po półrocznem istnieniu, dostarczyła nowych ofiar więzieniom austryackim i obudziła uspioną cokolwiek czujność władz rządowych. Wkrótce też spadły na „stowarzyszenie ludu polskiego“ nowe ciosy; w grudniu 1836 r. uwięziono skutkiem denuncyacyi kilkunastu kleryków seminarym łacińskiego, pomiędzy nimi Michała Domina i Andrzeja Józefczyka, na początku r. 1837 kilku akademików, zajmujących ważne stanowisko w spisku; w Samborze spotkał ten sam los Michała Popiela i Kaspra Cięglewicza, który, powróciwszy z powstania, szerzył, jako Rusin, propagandę pomiędzy Rusinami, wreszcie Juljana Horoszkiewicza, podejrzanego o litografowanie odezw i pieśni, układanych przez Cięglewicza i emigranta Ignacego Kulczyńskiego. Cięglewicz zdołał wprawdzie umknąć z więzienia, Kulczyński w chwili, gdy go miano aresztować, zastrzelił się, spa-

liwszy poprzednio papiery kompromitujące, ale śledztwa i prześladowania nie ustawały mimo to a i w łonie „stowarzyszenia“ powstały także niesnaski, dla spisku wielce niebezpieczne. Jedni, przerażeni ostatniemi wypadkami, chcieli stowarzyszenie rozwiązać, drudzy parli do energicznego działania w mniemaniu, że ruch zbrojny położy koniec prześladowaniom. Nie mało przyczyniła się też do zaostrzenia tych antagonizmów i rozterek centralizacya towarzystwa demokratycznego, która pragnęła poddać stowarzyszenie pod swoją władzę i znalazła w zborze lwowskim licznych zwolenników. Wpływowi Goszczyńskiego powiodło się zażegnać grożącą burzę, ale gdy, zagrożony uwięzieniem, wyjechać musiał za granicę, wszczęła się waśń na nowo i przybrała tak niebezpieczne kształty, że umiarkowani członkowie zboru: Smolka, Hefern i Hampl, rozwiązali pozornie stowarzyszenie a gorętsi jak: Eugeniusz Chrząstowski, Tytus Oleksiński, Leander Pawlikowski i Albin Dunajewski utworzyli związek nowy, „młodą Sarmacyą“, która zmieniwszy niebawem nazwę na „sprzysiężenie demokratów polskich“, weszła w ścisłe stosunki z centralizacyą. Tak wzrosła ilość spisków, bo obok „Sarmacyi“ istniał związek „synów ojczyzny“, istniała „Chrobacya“, „bracia“, wreszcie tajne towarzystwo wojskowych w Przemyślu pod kierunkiem porucznika Dmitrasinovicha, ale zwiększyło się także i niebezpieczeństwo odkrycia i zniszczenia całej tej mozolnie, lecz teraz już i nieostrożnie prowadzonej roboty. Jakoż wkrótce przez lekkomyślność jednego z sprzysiężonych przemyskich, cukiernika Towarnickiego, wpadły władze na trop spisku wojskowego w Przemyślu. Odkrycie było dla rządu niezmiernie ważne i przerażające, bo do związku należeli nie tylko Polacy, lecz Kroaci, Włosi, Niemcy, którzy właśnie mieli naczelne kierownictwo spisku. Ruch miał zatem charakter ogólny, sięgał, pomimo szpiegowskiego systemu, wprowadzonego do wojska przez komenderującego w Galicyi generała Langenaua, w głąb armii, obejmował oficerów wyższych i niższych stopni, podoficerów i żołnierzy. I to wszystko działo się w Przemyślu, gdzie świeżo jakiś niewyśledzony sprawca wykonał zamach na osławionego Gutha.[1]) Nic dziwnego więc, że natychmiast zjechał tu sam Krieg z generałem Retseyem, że z Sambora ściągnięto batalion pułku Leiningena, że rozbrojono podejrzaną kompanią pułku Mazzucheli i że z oficerami należącymi do spisku rozpoczęto śledztwo, nacechowane taką brutalnością i takiem okrucieństwem, że nawet nieprzebierający w środkach Paskiewicz nie mógł się wstrzymać od potępienia władz austryackich, które przez dłuższy czas pobłażały a teraz używają surowości, doprowadzającej do rozpaczy.[2]) Odkrycie wojskowego spisku dostarczyło wprawdzie niesumiennej biurokracyi nowego wątku do prześladowań, rewizyj i intratnych procesów, ale nie wtajemniczyło jej w działanie towarzystw niezwiązanych organicznie z przemyskiem sprzysiężeniem. Dopiero zdrada Wojciecha Hellera,

[1]) Guth, nabroiwszy wiele w Krakowie, został przeniesiony jako starszy komisarz policyjny do Przemyśla i tu, jak się okazało później, przez studenta Begejowicza, pchnięty dość nieszkodliwie sztyletem. Przestrach władz był tak wielki, że do Krakowa przyszła sztafetą wiadomość o „zamordowaniu“ Gutha. To dało powód Hilaremu Maciszewskiemu do napisania humorystycznej ody na śmierć Gutha. Ogłosił ją drukiem wspomniany już Kaempf w dodatkach do swojej pracy o Krakowie.

[2]) Szczerbatów: Rządy etc., str. 197.

który w imieniu Bielowskiego kierował „sprzysiężeniem demokratów polskich“ oddała w ręce policyi i sądów karnych nić wszystkich niemal spisków galicyjskich. Heller więziony po dwakroć i wypuszczany na wolność, działając, jak się zdaje, pod wpływem szwagra swego, osławionego Joachima Chomińskiego, wyśpiewał wszystko co wiedział o karbonaryzmie, o stowarzyszeniu ludu polskiego, o młodej Sarmacyi i o sprzysiężeniu demokratów. Na podstawie tych zeznań szczegółowych nastąpiły w r. 1840 i 1841 w całym kraju gromadne aresztowania; 29. sierpnia 1841 r. uwięziono Smolkę, po nim Ziemiałkowskiego; więzienia lwowskie napełniły się skompromitowanymi, przygnębienie i smutek zapanowały w czerwonoruskiej stolicy. Gdy w teatrze lwowskim na przedstawieniu opery „Fidelio“, bardzo nieudolnem zresztą, wystąpił na scenę chór więźniów, wybuchnęło całe audytoryum głośnym płaczem. I w istocie wieści, jakie dochodziły do miasta z ponurych cel więziennych, musiały w najtwardszych nawet sercach wzbudzić uczucie litości. W „małych koszarach“, gdzie trzymano oficerów, krew płynęła strugami; u Brygitek kaźnie roiły się od najwstrętniejszego plugastwa, żywność przyprawiała najzdrowszych ludzi o choroby. Często zdarzały się samobójstwa lub wypadki obłąkania, podporucznik Hibl zmarł w więzieniu, podoficer Marynowski oszalał, Ferdynand Thürman powiesił się. Trwało to wszystko przez lat cztery. Wreszcie dnia 21. stycznia 1845 r. ogłoszono wyrok skazujący 13 uwięzionych na karę śmierci. Byli pomiędzy nimi: Smolka, Hefern, Bogdański, Albin Dunajewski, Tomasz Rayski, Leander Pawlikowski, Leonard Stawski. Równocześnie jednak ułaskawił cesarz pięciu skazanych zupełnie, innym zaś zamienił karę śmierci na więzienie od lat 8 do 15. Stało się to na skutek interwencyi arcyksięcia Ferdynanda, który zasięgał zdania najwyższych urzędników galicyjskich, a wbrew opinii Kriega i nienawistnego Polakom Kraussa. Ostateczny los więźniów wojskowych, dotąd jeszcze niezbadany, osłania tajemnica.

Kiedy tak w kraju pod wpływem emigracyi i skutkiem usiłowań gorliwych obywateli rozpoczęła się praca nad podniesieniem ducha narodowego i dokonaniem reformy społecznej, prowadzona w rozmaity sposób i z różnem szczęściem, wrzała we Francyi wśród tułactwa polskiego dalej zawzięta walka stronnictw, której echa wprawdzie rzadko dostawały się do kraju, ale która mimo to odbić się musiała w życiu społecznem i politycznem narodu, rozdzielonego i pozbawionego opinii publicznej. Na gruncie różnic dzielących emigracyą na dwa wielkie stronnictwa, powstały, jak wiadomo, i rozwijały się także dwa w głowę sobie przeciwne kierunki polityczne. Gdy towarzystwo demokratyczne, wierne swoim pierwszym zasadom, marzyło o podźwignieniu Polski republikańskiej przez lud, arystokraci, trzymając się tradycyi i historycznego rozwoju narodu, stali na gruncie konstytucyi trzeciego maja i opierali dzieło odrodzenia na stopniowem przekształceniu stosunków społecznych w drodze organicznej. Że zaś każde z tych stronnictw wierzyło i spodziewało się jak najrychlejszego oswobodzenia ojczyzny a jedno i drugie uważało się za reprezentacyą narodu, powołaną do stanowienia o jego losach, więc każde pragnęło mieć formę rządu i rząd sam gotowy, nie wątpiąc ani na chwilę, że niepodległa Polska przyjmie go bez wahania. Demokraci zgodzili się jednomyślnie na republikę,

arystokraci byli monarchistami i, założywszy towarzystwo „Trzeciego Maja“, — organem jego był dziennik tej samej nazwy — postanowili w myśl ustaw czteroletniego sejmu skłonić dwór saski do przyjęcia korony polskiej *in spe*. Kiedy atoli poselstwo, wyprawione w tym celu do Drezna, żadnego nie odniosło skutku, a dynastya, zdaniem przywódzców stronnictwa, niezbędnie była potrzebna, ofiarowano przeto koronę ks. Adamowi Czartoryskiemu, który ją ostatecznie, po długiem wahaniu, przyjął. Owa dynastya i ów król „bez

Franciszek Smolka.

ziemi“ były pomysłem i niepolitycznym i nieszczęśliwym zarazem, okrywały bowiem śmiesznością zasłużonego patryotę i sprawę polską a drażniły niepotrzebnie przeciwników. Toż chociaż Czartoryski, traktując rzecz poważnie, rozesłał do niektórych dworów europejskich swoich agentów dyplomatycznych, to nie uzyskał przez elekcyą dorywczą ani większego znaczenia, ani rozleglejszych wpływów, a o jakiemkolwiek uznaniu w kraju mowy być nie mogło. Jeżeli bowiem w Polsce wolnej i niepodległej podczas każdego wyboru króla

powstawały mnogie fakcye a „Piast“ zazwyczaj najliczniejszych miewał przeciwników, to cóż dopiero mówić o elekcyi, dokonanej przez garstkę tułaczy na obcej ziemi, bez żadnego porozumienia z masą elektorów? Nawet członkowie sejmu i senatu, zgromadzeni w Paryżu, najprzychylniejsi zapewne i monarchicznej formie rządu i Czartoryskiemu, nie zgadzali się z stronnictwem „trzeciego maja“ pod względem owej królewskości. Na 45 zebranych oświadczyło się za królem *de facto*, Adamem Czartoryskim, zaledwie 4; przeciwników było 11; reszta wstrzymała się od głosowania lub inne podawała propozycye. Widząc taką rozterkę, utworzyli umiarkowani „zjednoczenie“. „O cóż — mówili oni — wszystkim nam chodzi? Oto o niepodległość ojczyzny, którą zjednoczonemi siłami wywalczyć zdołamy. Dalej chodzi nam jeszcze o naprawienie krzywd, wyrządzonych w ciągu wieków upośledzonym klasom narodu. Oba te cele są dla nas wszystkich zarówno drogie i pożądane, niema więc o co się spierać w zasadzie. Pracujmy jednomyślnie i zjednoczonemi siłami nad skruszeniem jarzma niewoli i podniesieniem ludu do godności obywatelskiej, a pozostawmy inne kwestye do rozstrzygnięcia sejmowi, skoro ten zbierze się w wolnym kraju. Tymczasem zaś podajmy sobie ręce, zapomnijmy wzajemnych uraz, a skoro trąba wojenna da hasło do boju, znowu jak jeden człowiek pójdziemy wszyscy.“ Myśl tak prosta, szczera i zdrowa znalazła wiele uznania; w r. 1841 liczyło „zjednoczenie“ 2658 osób, a więc dwa razy prawie tyle co towarzystwo demokratyczne. Należał tam i Lelewel i Zwierkowski i Karol Różycki i Wincenty Tyszkiewicz, ale gdy przyszło do wyboru komitetu — wybór odbywał się pisemnie — powstały intrygi pokątne, kwasy i niezadowolenie. Nadto program stowarzyszenia nie pociągał błyskotliwemi hasłami, nie nęcił górnolotną frazeologią, którą karmiono rzeszę tułaczy przez dziewięć lat, nie zapowiadał sojuszu z partyami rewolucyjnemi we Francyi, w Niemczech i we Włoszech, stał na gruncie polskim, narodowym, a wychodząc tak z błędnego koła polityki emigracyjnej i czyniąc cel upragniony oswobodzenia ojczyzny zawisłym od pracy długiej i uciążliwej, nie mógł wzbudzić zapału w umysłach roztęsknionych za krajem i rwących się do czynu. Nic dziwnego zatem, że wśród powszechnego tego rozerwania ludzie głębsi na emigracyi odsunęli się od życia politycznego i innych dla siebie szukali dróg. Mickiewicz jeszcze w kwietniu r. 1833 pisał do Niemcewicza: „W emigracyi pełno ruchu i dosyć niezgody. Nikt temu zaradzić nie zdoła, chyba sam Bóg nieprzewidzianym cudem. Tymczasem kiedy niekiedy odzywać się do rodaków, robić co można, a zresztą, nie mieszając się w dzienne zdarzenia, w obrady i sejmiki, czekać przyszłości, oto, zdaje mi się, powinienby być plan ludzi uczciwych. Może kto przypadkiem na dobrą drogę trafi.“ [1]) I trafił sam, tworząc z najbliższymi sobie: Antonim Goreckim, Stefanem Witwickim, Bohdanem i Józefem Zaleskim, Cezarem Platerem, Ignacym Domejką i Bogdanem Jańskim „towarzystwo braci zjednoczonych w imię Ojca i Syna i Ducha świętego“. Program tego związku zamykał się właściwie w trzech punktach: 1. wyjaśnić wszystkim klasom mieszkańców, iż sprawa Polski jest sprawą wolności i równości; 2. unikać wszelkiej wewnętrznej kłótni o arystokracyą i de-

[1]) Korespondencya A. Mickiewicza, t. I., str. 189.

mokracyą; 3. popierać wszelkiego stanu ludzi, w których widzi się miłość Polski, i o ile tylko można poprawić byt ludu, pisma w duchu narodowym rozrzucać.

Są ślady, że myśl, podjęta przez Mickiewicza, dostała się do Galicyi i nadała spiskom tamtejszym kierunek, jak już wiadomo, umiarkowany, oparty na zasadach wyżej przytoczonych. Sam poeta nie był jednak z tego zadowolony i powtarzał często: „Trzeba nam zakonu“; uczuwał bowiem, że wśród ogólnego rozbicia, nienawiści, obelg i potwarzy potrzeba silnej podstawy do stworzenia związku ludzi dobrej woli, gotowych do poświęceń wszelkiego rodzaju. Tę podstawę widział w religii katolickiej i w kościele. „W imię święte Pana naszego Jezusa Chrystusa — były słowa odezwy „braci“ z dnia 19. grudnia 1834 r. — który widzi szczerość myśli naszych, prosząc jego błogosławieństwa i opieki, w pokorze serca i po umyślnem ku temu odprawieniu świętej spowiedzi łączymy się w związek pod nazwiskiem braci zjednoczonych. Modlić się codziennie za siebie, ojczyznę i bliźnich, za przyjaciół i nieprzyjaciół; przykazania Pańskie, słowy i uczynki wypełniać i przykładem swym rodaków do tego zachęcać i na drodze tej spólną siłą utrzymywać się, jak najmocniej przedsiębierzemy i postanawiamy.“

Zamiar Mickiewicza pojął i rozwinął dalej Bogdan Jański, wysłany w r. 1827 kosztem rządu polskiego do Paryża, aby się sposobił na profesora szkoły politechnicznej w Warszawie. Z początku zapalony zwolennik Saint-Simona, zbadawszy tę doktrynę gruntownie, porzucił ją, nawrócił się do katolicyzmu i teraz najął domek za pożyczone na razie pieniądze, aby zamieszkać w nim wspólnie z kilku młodymi ludźmi i zająć się pożytecznemi pracami. Zapominać nie trzeba, że była to chwila, gdzie i we Francyi duch religijny rozbudził się znacznie, gdzie wpływ potężny na umysły wywierały dzieła ks. Lamennais, Chateubrianda a Montalembert święcił tryumfy w gronie liberałów katolickich. Kierunek ten nie był obcym dla naszej emigracyi, odbijał się już w „Księgach pielgrzymstwa“, ostrzegał przed tą nowożytną scholastyką polityczną, która bałamuciła głowy jałową i naiwną dyskussyą o formie rządu, o zasadach demokracyi polskiej, o władzy w powstaniu i o innych podobnych teoryach, nie mających żadnego praktycznego znaczenia. Ci co pragnęli pracy a nie mieli dla niej pola, przekonali się wreszcie, że rozpocząć należy od wewnętrznego uspokojenia serc rozjątrzonych, od uleczenia dusz zarażonych jadem nienawiści, w których, według słów Mickiewicza, znajdowało się „ziarno przyszłych praw i miara przyszłych granic.“ Było to niewątpliwie przedsięwzięcie trudne, wymagające niepospolitej siły ducha i zaparcia się, ale w swoim rodzaju piękne, wzniosłe i szlachetne. Początek dał Jański a przykład jego pociągnął innych. W szczupłym, odosobnionym domku na ulicy *Notre Dame des petits Champs* znaleźli się wkrótce: Hieronim Kajsiewicz, młody, dorodny ułan-poeta, członek węglarstwa i loży massońskiej, Piotr Semeneńko, zapalony demagog,[1]) Antoni Gorecki, Karski vel Duński, Ziemięcki, politechnik; oczekiwano jeszcze Leonarda Rettla, Belwederczyka i profesora Józefa Hubego. Czas

[1]) Niemcewicz, oburzony za jego przemówienia na publicznych zebraniach emigracyjnych, nazywa Semeneńkę „Moskalem“.

upływał na modlitwie i nauce; usługiwano sobie wzajemnie, po kolei, podczas obiadu czytano żywoty świętych. Był to więc rodzaj zakonu, o jakim marzył Mickiewicz, pod kierunkiem „starszego brata“ Jańskiego, „pierwszego pokutnika i apostoła emigracyi polskiej“. Na wiadomość o tem zebraniu powstała w emigracyi wielka burza. „Dawno już zbierające się krzyki — pisał Kajsiewicz do L. Niedźwieckiego [1]) — wybuchły przeciw nam z wściekłością ze wszystkich stron. Wszystkich opinij ludzie stanęli przeciw nam: t. zw. arystokraci śmiesznością nas chcą okryć, gdy tymczasem demokraci zwą nas Jezuitami, służalcami arystokracyi i Metternicha nawet. Policya tymczasem bierze nas za ludzi, *qui réunissent le fanatisme religieux aux fanatisme politique*. O włos brakło, by nas nie rozpędzili.“ Ale siła przekonania w tych ludziach hartownych była tak wielka, że wytrwali w przedsięwzięciu, i, przeniósłszy się do Rzymu dla nauk teologicznych, w sześć lat później założyli tam zakon Zmartwychwstania Pańskiego w wielką sobotę (stąd nazwa „Zmartwychwstańców“) r. 1842.

Tak nastąpił w stronnictwie tem, ożywionem jednakowemi zasadami, rozdział. Gdy jedni w celu snadniejszego spełnienia swoich zamiarów, związali się ślubami zakonnymi i stanęli na gruncie czysto katolickim, pod sztandarem kościoła, drudzy znaleźli niespodziewanie mistrza dla siebie w Andrzeju Towiańskim. Zagadkowy ten a w każdym razie niepospolity człowiek, niezamożny szlachcic litewski, uczuł w sobie powołanie do wielkiego, od Boga mu powierzonego posłannictwa i, sprzedawszy swój mająteczek, puścił się w lichej kałamaszce na zachód, do Francyi, odwiedził po drodze arcybiskupa Dunina w Poznaniu, generała Skrzyneckiego w Brukselli i przybył wreszcie do Paryża, gdzie dziwnym sposobem uzdrowił chorą żonę Mickiewicza i na samym poecie głębokie sprawił wrażenie. Nauka Towiańskiego fantastyczna, sprzeczna nawet z dogmatami kościoła, co więcej zapewne przypisać trzeba niewiadomości „mistrza“ i mistycyzmowi, niż złej woli, zawierała obok tego zasady wzniosłe i pod względem etycznym godne wszelkiego uznania. Wymagała ona mianowicie od każdego Polaka cnoty gruntownej i ustawicznej pracy nad udoskonaleniem tak własnem jak i swych współbraci, poświęcenia nie tylko krwi i dostatków na potrzebę ojczyzny, ale także swoich złych skłonności i żądz dla miłości Boga Zbawiciela. W praktycznej polityce nie był Towiański zwolennikiem walki orężnej o niepodległość. Polska, zdaniem jego, utraciła ducha chrześcijańskiego i sprzeniewierzyła się swemu posłannictwu. Za to spotkała ją kara niewoli, którą tak długo znosić będzie, dokąd się nie opamięta i nie nawróci.

Tak pojęta nauka zjawiała się wśród emigracyi w chwili, gdy umysły wyższe, zrażone i znużone zatargami politycznymi, szukały nowych dróg dla siebie i dla narodu. Zrozumiałą jest zatem rzeczą, że towianizm pociągnął ku sobie tych, co właściwie do żadnego stronnictwa nie należeli a nad rozdwojeniem i obłąkaniem braci szczerze ubolewali. Natychmiast też przylgnęli do „mistrza“ Izydor Sobański i Aleksander Chodźko, za nimi poszli inni, poszedł i Mickiewicz, wtedy głośnej używający sławy jako profesor w *Collége de France*. Dla stronnictw emigracyjnych był ten ruch, przez Towiańskiego wywołany,

[1]) Zaleski Br.: Ksiądz Hieronim Kajsiewicz (1812—1873). Poznań 1878; str. 54.

bardzo nie na rękę, odwracał bowiem umysły od polityki, nadawał im kierunek kontemplacyjny, odrywał od biegu codziennych wypadków a skłaniał do zastanawiania się więcej nad stanem własnej duszy, niż nad sposobami odbudowania ojczyzny. Podniósł się zatem zewsząd krzyk na Towiańskiego i na Mickiewicza, najżarliwszego jego zwolennika. Były po temu i inne powody. Wykłady poety nie zadowolniły naszych tułaczy; zarzucano mu, że zbyt względnie wyraża się o Rosyi, J. B. Ostrowski, z którym w komitecie „zjednoczenia“ nikt zasiadać nie chciał, oskarżał Mickiewicza, bez żadnych zresztą dowodów, że „sfałszował dzieje Polski“ i że złorzeczył polskim narodowym świętościom,“ a dziennik *Zjednoczenie* wymawiał mu „za wielką miłość ukazów carskich i knuta.“ Od czasu pojawienia się Towiańskiego i połączenia się z nim Mickiewicza przybrały wycieczki te charakter ostrzejszy. „Ks. Czartoryski — pisał poeta do Domejki dnia 22. października 1842 r. — i jego strona ma nas za szalonych, demokraci za partyą moskiewską, wojskowi za przywłaszczycieli ich rang. Piszą, krzyczą, my milczymy. Księża nasi Kajsiewicz i Duński są przeciwko nam, Witwicki nas ściga jako kacerzy, Bohdan unika ze strachem. Familia żony mojej boi się nas i przestaliśmy się prawie widywać. Przed rządem francuskim byłem przez naszych pomawiany, jeśli nie oskarżony. Dziwię się sam po tem wszystkiem, co się tu robi, że mnie rząd nie wypędził.“ I rząd rzeczywiście był zaniepokojony. Z wykładów Mickiewicza wiał duch dla orleanizmu niebezpieczny; naprzeciw kramarskiej polityki Ludwika Filipa powstawała idea napoleońska, świeżo sprowadzeniem zwłok nowożytnego Cezara w sercach i umysłach francuskich wskrzeszona. A Mickiewicz nie był odosobnionym. W podobnym duchu co on przemawiali koledzy i zwolennicy jego zasad głośni profesorowie Michelet i Quinet. Do sali wykładowej w *Collége de France* cisnęły się coraz liczniejsze tłumy słuchaczy, odbywały się sceny gwałtowne, dramatyczne, tak że w końcu uważał rząd za konieczne usunąć z katedry Mickiewicza — miejsce jego zajął Cypryan Robert, nie znający właściwie żadnego języka słowiańskiego, umiejący tylko cokolwiek po rosyjsku. Taki koniec wzięły wspaniałe wykłady poety (w 1844 r.), zamącone przy końcu jawną już propagandą towianizmu, zwłaszcza rozbiorem „Biesiady“, jedynego pisma Towiańskiego, podjętym na wyraźne zlecenie „mistrza“.

Tymczasem w kraju zanosiło się na straszną burzę. Towarzystwo demokratyczne nie ustając w działaniu swojem, postanowiło we wszystkich trzech zaborach wywołać powstanie. Z początku była w tym względzie znaczna różnica zdań. Tomasz Malinowski, członek centralizacyi, który przez dwa lata przesiedział w Księstwie jako emissaryusz i z bliska przypatrzył się stosunkom krajowym, sądził, że sprzysiężenie jest jeszcze za mało rozpowszechnione i że zatem Polacy powinni czekać jakiegoś wielkiego zaburzenia w Europie i wtedy dopiero ruch zbrojny rozpocząć. Młodzi demokraci jednak, z Mierosławskim na czele, byli przeciwnie tego mniemania, że Polska dojrzała już w pojęciach, że nie potrzebuje się wcale na Europę oglądać, że owszem sama da popęd do wielkiego poruszenia narodów, a gdyby nawet uległa w walce, to zawsze osłabi przy-

najmniej przedawnienie od rozbiorów Polski wzrastające na korzyść wrogów.[1]) Ta teorya zbrojnej protestacyi zwyciężyła wreszcie i wykonanie wielkiego przedsięwzięcia spoczęło w rękach dwóch ludzi: Ludwika Mierosławskiego i Edwarda Dembowskiego.

Pierwszy z nich, urodzony z ojca Polaka i matki Francuski, służył w powstaniu i wyszedł za granicę w stopniu podporucznika. Posiadając umysł żywy, wyobraźnią rozbudzoną i niepospolity talent pisarski, próbował on z początku sił swoich na polu literackiem, ogłosił powieść, dalej poemat pod dziwacznym a charakterystycznym tytułem „Szuja“, który ofiarował Mickiewiczowi, w końcu, jako żołnierz, chwycił się historyi wojennej i postanowił ukończyć dzieło o powstaniu listopadowem przez Mochnackiego rozpoczęte. Zdarzyło się wtedy właśnie, że francuskie ministeryum wojny zażądało od generałów polskich sprawozdania fachowego z ostatniej wojny. Po naradzie powierzono tę pracę oficerowi sztabowemu Brzozowskiemu, który z zadania wywiązał się doskonale i ułożył rzecz krótką wprawdzie, ale podług opinii znawców najlepszą z tego, co o powstaniu pod względem strategicznym napisano.[2]) Mierosławski miał zatem rzecz gotową: z jednej strony znakomicie opracowany ze stanowiska wojskowego a mało znany pogląd na wypadki Brzozowskiego, i świetne, zwłaszcza pod względem politycznym, dzieło Mochnackiego. Na tem oparłszy się, że władał piórem biegle a po francusku mówił lepiej niż po polsku, napisał historyą powstania w obu językach, w której potępił wszystko i wszystkich, najzdolniejszych generałów zmieszał z błotem na równi z najnieudolniejszymi, ludzi politycznych odsądził od czci i wiary jako niedołęgów lub działających rozmyślnie na zgubę sprawy narodowej, i tą bezwzględnością w sądach, wypowiedzianych stylem barwnym i potoczystym, tą trafnością poglądów, zapożyczonych od Brzozowskiego, zjednał sobie od razu sławę znakomitego znawcy sztuki wojskowej i niepospolitego polityka. Centralizacya, która w łonie towarzystwa demokratycznego nie posiadała wyższych oficerów, mianowała zatem Mierosławskiego generałem i oddała mu naczelne dowództwo w zamierzonem powstaniu.[3])

Towarzyszem jego był Edward Dembowski. Syn kasztelana Leona Dembowskiego, człowiek młody „z twarzą i postawą młodzieńca piętnastoletniego“, majętny i nie bez zdolności, należał on do najgorliwszych i najbardziej zapalonych agitatorów ruchu. Niezmordowany, zręczny, śmiały aż do zuchwalstwa, uwijał się Dembowski po Galicyi i Księstwie pod rozmaitemi postaciami, „pokazywał się i znikał jak ognik w ciemnej nocy na bagnach,“ ku niemałemu utrapieniu poszukującej go bezustannie policyi. Przekonania miał skrajne, ufność w powodzenie ruchu niezachwianą. Bujna jego wyobraźnia nie znała przeszkód, o niczem nie wątpił, wszystkiego, czego pragnął, spo-

[1]) Moraczewski Jędrzej: Wypadki poznańskie z 1848 r. Poznań 1850; str. 14.

[2]) Tak ocenia, pomiędzy innymi, pracę Brzozowskiego generał Puzyrewski.

[3]) Sąd nasz o Mierosławskim polega na zdaniu i relacyach następujących autorów: 1) Jędrzej Moraczewski l. c.; 2) A. Guttry: Pan Ludwik Mierosławski jego dzieła i działanie. Liége. Drezno 1870; 3) Pamiętnik ks. Zygmunta Felińskiego, t. I.; 4) Szuman Henryk: Wspomnienia berlińskie i poznańskie z roku 1848. Warszawa 1900; wreszcie na własnych jego pismach.

dziewał się niemylnie, w obliczenia i rozmyślania się nie bawił i sądził, że byle ogień podłożyć, kraj cały zapłonie i wywalczy niepodległość.

We Lwowie zetknął się z Smolką, któremu ofiarował naczelny kierunek powstania w Galicyi. Trzeźwy polityk, znający stosunki miejscowe, zapytał marzyciela, na jakie liczy siły? a gdy Dembowski odpowiedział, że ma we Lwowie wprawdzie tylko 2000 sprzysiężonych, ale że na dane hasło przyjdzie 60.000 chłopów powstańcom na pomoc, odparł Smolka, że stanie się tak rzeczywiście z tą jednak różnicą, że chłopstwo spełni rozkazy rządu i w strumieniach krwi stłumi ruch niewczesny, poczem odmówił wszelkiego w powstaniu udziału. Naprożno groził Dembowski nieugiętemu patryocie szubienicą, Smolka odpowiedział spokojnie: „Ta groźba nie zmienia w niczem ani mego przekonania, ani postanowienia; być może, że będę wisiał, natomiast pewny jestem, że uratuję od niechybnej zagłady młodzież i tych, którzy nie umieją się liczyć z istotnymi czynnikami obopólnego położenia.“ [1]) W ten sposób przeszkodził Smolka właściwie powstaniu we Lwowie, i dziś zaprzeczyć się nie da, że uczynił dobrze. Ale niestety ludzi podobnych jemu, stanowczych i odważnych nie było wielu. W centralizacyi Malinowski i Jakubowski sprzeciwiali się powstaniu, musieli jednak ustąpić pod naciskiem Mierosławskiego, którego umysł próżny i ambitny widział w tem szalonem przedsięwzięciu łatwy sposób wyniesienia. Postanowiono tak rozpocząć powstanie i Mierosławski udał się do Poznania, gdzie stanął dnia 31. grudnia 1845 r. Tam w pierwszych dniach stycznia 1846 r. odbyło się zgromadzenie członków organizacyi w Księstwie, na którem wybrano do przyszłego rządu narodowego: Alcyatę, jako przedstawiciela emigracyi, a z miejscowych Władysława Kosińskiego i Libelta, naczelnikiem sił zbrojnych został Mierosławski. Na zjeździe w Krakowie dnia 18. stycznia został powołany z Galicyi zachodniej Jan Tyssowski; termin powstania oznaczono na 21. lutego. Załatwiwszy w ten sposób najważniejszą czynność, jak mniemał Mierosławski, zajął on się teraz mianowaniem dowódzców i ułożeniem planu działań wojennych. Na kierownika powstania żmudzkiego wyznaczył Magdzińskiego, dla Litwy Röhra, dla Prus zachodnich pułkownika Michała Biesiekierskiego, dla Królestwa Bronisława Dąbrowskiego, Poznańskie zostawił sobie; w Galicyi wschodniej mieli działać pułkownik Kamiński i major Falęcki, w zachodniej Wysocki i Babiński, na Rusi Różycki. Plan operacyj wojennych był gotowy; miano zdobyć Poznań i Dęblin, w oznaczonych miejscowościach gromadzić powstańców i massą ruszyć do Królestwa, w razie nieudania się tych ruchów prowadzić partyzantkę. Na papierze wyglądało to wszystko bardzo pięknie, ale do wykonania brakowało trzech rzeczy: broni, pieniędzy i ludzi. Fundusze wynosiły zaledwie kilka tysięcy talarów, broń składała się z kos i dubeltówek myśliwskich, wojska miał dostarczyć lud. Na tak kruchych podstawach budowano przedsięwzięcie olbrzymie, zamierzano wydać równocześnie wojnę trzem mocarstwom, z których każde mogło rzucić na linię bojową co najmniej 200.000 ludzi i odpowiednią ilość dział a dla stłumienia ruchu miało gotowe narzędzie w ciemnych i obałamuconych masach chłopskich. Kierownicy powstania nie zdawali sobie z tego

[1]) Widman Karol: Franciszek Smolka, str. 103.

sprawy. Dla nich wystarczało, że na chorągwiach swoich „wypisywali zasady, które we dwa lata później Europa za swoje przyjęła“, zresztą nie wątpili ani na chwilę, że lud, obietnicą zniesienia pańszczyzny i darowizną gruntów zachęcony, chwyci za broń, że zrozumie, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, obowiązki swoje względem ojczyzny i że wzniesie się od razu na ten stopień poświęcenia, który może być tylko skutkiem wyższej cywilizacyi, rozwoju uczuć szlachetnych albo nadzwyczajnego jakiegoś zapału. Fantaści w polityce, lekkomyślni w układaniu planów wojennych byli ci twórcy ruchu ówczesnego nadto najgorszymi psychologami; oceniali usposobienie tłumów według własnych swoich uczuć, sądzili, że olśniewający błysk frazesów i siła argumentacyi zrównoważy w umysłach grubych i nieoświeconych urok potęgi materyalnej. Zapatrzeni w przeszłość, jak żona Lota, ogłuszeni jednostajnem brzmieniem klubowych dyskussyj, biegli oni bezwiednie w przepaść, pociągając za sobą szlachetnych a równie jak oni łatwowiernych. Do apelu, na głos ojczyzny stawiła się przedewszystkiem szlachta, według Heltmana, „kosztem reszty narodu własne istnienie utrzymująca, bez względu na dzielące ją odcienia i różnice, przeciwna każdej reformie socyalnej,“ [1]) za nią garstka inteligencyi, zawsze do poświęceń dla sprawy narodowej gotowa. W całym kraju zapanował ruch, spisek przestał być tajemnicą. „Wszędzie — pisze Wiesiołowski w swoim pamiętniku — spotykaliśmy gotowość i pomocną rękę, pieniądze nawet, lubo jeszcze nie nader obficie, płynąć poczęły. Garnęli się do związku ludzie zimni, oddani do tej pory wyłącznie robieniu majątku lub zabawie, jednem słowem wszyscy bogatsi czy ubożsi, arystokraci i półpanki, szlachta i dorobkiewicze, w miarę jak zbliżał się wybuch powstania i powietrze niejako napełniało się elektrycznością, poczęli się ruszać i roić jakby pszczoły w ulu.“ W takiem usposobieniu gorączkowem czekano ostatków zapust, [2]) hucznych i świetnych w tym roku we Lwowie, gdy nagle jak grom spadła wiadomość o aresztowaniach w Księstwie.

Rządy zaborcze wiedziały już od dłuższego czasu o zamierzonem powstaniu. W Królestwie rozwinął jeszcze w r. 1844 r. ks. Ściegienny, ekspijar, administrator parafii Chodel w Lubelskiem, czynną propagandę pomiędzy ludnością wiejską w celu wzniecenia rewolucyi socyalno-politycznej. Zbierając chłopów po lasach, mówił im wiele o równości i wolności, o krzywdach, jakich doznali i doznają, zachęcał do powstania przeciw panom i rządowi, odczytywał, tak twierdzono przynajmniej, bullę papieską, zapewniającą piętnastoletnie odpuszczenie grzechów tym, co podniosą oręż w obronie wiary prześladowanej i uciskanego kościoła. Jakkolwiek przypuszczać się godzi, że ks. Ściegienny był dobrym patryotą i w najlepszej działał wierze, to nauki jego, zwłaszcza głoszone ludziom ciemnym i nieukształconym, mogły mieć skutek bardzo niebezpieczny i wywołać krwawą rewolucyą socyalną. Nie przyszło jednak do tego, bo chłop Janica zdradził owe schadzki leśne i ks. Ściegienny wraz z kilkoma zwolennikami swoimi został uwięziony. Zaczęło się śledztwo, coraz to nowe aresztowania w gubernii kieleckiej, gdzie była główna siedziba spisku,

[1]) Heltman Wiktor: Demokracya polska l. c., str. 129.

[2]) Popielec przypadał na 25 lutego.

liczba obwinionych rosła, sam Paskiewicz nie umiał powiedzieć, ilu będzie wmieszanych i kiedy wyrok zapadnie. Nareszcie w czerwcu 1845 r. skazano ks. Ściegiennego i 13-tu wspólników jego na zesłanie do ciężkich robót; Mikołajowi wydała się kara zanadto łagodną.[1]) Ale zaledwie rząd ochłonął cokolwiek po tych wrażeniach, kiedy z Poznania doniesiono Paskiewiczowi, że „utworzył się tam spisek, w celu podchwycenia fortec w Poznaniu, Toruniu, Grudziądzu i Dęblinie.“ Dla owładnięcia tej ostatniej twierdzy miano rzekomo zaprosić oficerów załogi na ucztę i otruć ich. Denuncyacya była wprawdzie niejasna, w wielu względach, jak co do owego otrucia, wprost zmyślona, ale w gruncie zgodna z prawdą. Ruch spiskowych w Księstwie, liczne zebrania obywatelskie, odbywane pod pozorem polowań, wyścigów i zabaw towarzyskich, obudziły widocznie czujność policyi, reszty dopełniła nieostrożność i gadatliwość polska. Rząd wziął się na dobre do śledzenia; Heltman, wysłannik Centralizacyi, musiał uciekać, Mierosławski zmieniał codziennie prawie miejsce swego pobytu, przybierał coraz to inne nazwiska i tem ratował się przez czas niejaki. Wreszcie dnia 12. lutego 1846 r., mając główne nici spisku w rękach, urządziła policya pruska ogólną obławę na podejrzanych. Mierosławskiego, który zaniedbał cokolwiek zwykłych ostrożności, aresztowano w Świniarach, w domu obywatela Rowińskiego,[2]) w ciągu następnych dwóch dni uwięziono 1100 osób a 253 z tego oddano pod sąd, jako obwinionych o zdradę stanu przez zamiar zbrojnego powstania przeciw rządowi pruskiemu, austryackiemu i rosyjskiemu dla przywrócenia niepodległego państwa polskiego. W ten sposób ruch w Księstwie stłumiono od razu; jeden tylko Trąmczyński, leśniczy hr. Działyńskiego, stosownie do planu ułożonego, zebrał 60-ciu ludzi i usiłował podchwycić twierdzę poznańską, ale w starciu z żołnierzami raniony, dostał się do niewoli.

Zupełnie inny a najmniej spodziewany przez spiskowców obrót wzięły rzeczy w Galicyi. Rząd austryacki znał także usposobienie i zamiary swoich galicyjskich poddanych nie tylko z raportów własnej policyi, ale i z wskazówek życzliwych sąsiadów. Z świeżo ogłoszonych urywków korespondencyi Paskiewicza[3]) wiemy, że z Warszawy co chwila szły do Wiednia i do Lwowa ostrzeżenia o spiskach i skargi na zbyt łagodne traktowanie Polaków, a wątpić chyba nie można, że i gabinet berliński podobnej trzymał się taktyki. Dyrektor policyi lwowskiej, Sacher Masoch, posiadał zresztą przez szpiegów dokładne o zamierzonym ruchu wiadomości i równocześnie z aresztowaniami poznańskiemi kazał uwięzić 36 spiskowych we Lwowie. Na tem jednak wyczerpała się energia rządu, bo tymczasem powstał w Wiedniu i w kołach biurokratycznych pomysł inny, prawdziwie szatański, krwawego stłumienia rewolucyi za pomocą chłopów. Kto tę myśl pierwszy podjął? próżnoby było dziś dociekać, prawdopodobnie atoli wypadnie rozdzielić winę w równych częściach pomiędzy Metternicha i Kriega. Jeżeli pierwszy z nich, jako Niemiec z rodu i przekonań,

[1]) Szczerbatów: Rządy etc., str. 275.

[2]) A. Guttry: Pan Ludwik Mierosławski, jego dzieła i działanie, rozebrał i wyjaśnił . . . Liége. Drezno 1870.

[3]) U Szczerbatowa.

jako reprezentant starego porządku w Europie, nienawidził Polaków dla ich rewolucyjnych dążności, to Krieg rozumiał, że działa w interesie państwa i monarchii. Jego zdaniem bowiem była Galicya prowincyą jak najlepiej administrowaną i rozwijającą się pomyślnie pod ojcowską opieką biurokracyi; ludność była z rządów zadowolniona, chłop, z wdzięczności, przejęty wiernopoddańczemi uczuciami, mieszczaństwo spokojne i przyswajające sobie zwolna wyższą kulturę niemiecką. Jedna tylko szlachta i garść inteligencyi, napojonej rewolucyjnemi zasadami, jest dla rządu wrogo usposobiona, kraj więc tak długo nie będzie spokojnym, dokąd się tych warstw społecznych nie upokorzy, nie złamie, lub, co lepsza, z gruntu nie wypleni. Na tem stanąwszy, sprzeciwiał się Krieg wszelkiej amnestyi dla politycznych przestępców, chociaż cesarz Ferdynand gotów był ją podpisać, i sądził przeciwnie, że system ucisku i prześladowań jest w Galicyi najodpowiedniejszym i jedynie skutecznym. Obecnie nadarzała się sposobność do zastosowania go w całej rozciągłości i Krieg postanowił z niej skorzystać, a że historya kilkudziesięciu lat ostatnich uczyła go, że dla zgnębienia narodowości polskiej każdy, chociażby najwstrętniejszy i najhaniebniejszy środek jest dozwolony, więc i w głębi sumienia swego był spokojnym, sądząc, że i państwu się zasłuży i dorówna owym sławionym mężom stanu, co bez zarumienienia a nawet z poklaskiem Europy na Polsce największe popełniali gwałty. Z dokumentów, ogłoszonych dotychczas, z relacyj naocznych i wiarogodnych świadków strasznej katastrofy r. 1846, z wymownego milczenia zresztą lub niezgrabnych tłumaczeń samego rządu wynika niezbicie, że rzeź galicyjska była z góry ułożoną.[1]) Sam Krieg, kiedy członkowie stanów, obradujący we wrześniu 1845 r. zwracali jego uwagę na pogłoski o jakimś ruchu, krążące po kraju, odpowiedział, że „niema w tem nic strasznego, a w najgorszym nawet razie zaburzenia nie potrwają więcej nad trzy dni, poczem będzie 50 lat spokoju“, a osławiony starosta tarnowski Breindl twierdził, że wykonywał tylko dobrze rozkazy wyższe i że gdyby był działał podobnie z własnego natchnienia, nie byłoby dla niego dość wysokiej szubienicy. Jeszcze bardziej obciążające rząd ówczesny są zeznania chłopów, złożone pod przysięgą przed sądem wojennym, ustanowionym przez dowódzcę oddziału polskiego Prackiego.[2]) Oto oświadczyli oni, że mordując szlachtę, działali z rozkazu starosty bocheńskiego Berndta, który na kilka tygodni przed 21. lutego zwołał wójtów swego obwodu i powiedział im, że panowie zamierzają wyrznąć chłopów i że rząd dlatego pozwala włościanom mordować szlachtę. Wykonanie piekielnego pomysłu było sprawą stosunkowo łatwą. Lud bowiem ciemny, łatwowierny względem urzędnika, systematycznie przez lat kilkadziesiąt podburzany przeciw dziedzicom, których nienawidził za wybieranie rekruta i podatków, narzucone szlachcie przez rząd, znęcony nadto nagrodą, jaką mu przyobiecano

[1]) Literatura tych wypadków dotycząca jest bardzo obfita; z ważniejszych dzieł wymieniamy: 1) Tessarczyk Antoni: Rzeź galicyjska w r. 1846. W Bochni 1849 (dwa wydania); 2) Fr. hr. Wiesiołowski: Pamiętnik z r. 1845 i 1846. Lwów 1868; 3) M. Sala: Geschichte des polnischen Aufstandes im Jahre 1846. Wien 1867; 4) Leonard Chodźko: Les massacres de Galicie et Krakovie confisquée par l'Autriche en 1846. Paris 1861; 5) X. Stefan Dembiński: Rok 1846. Kronika dworów szlacheckich, zebrana na 50letnią rocznicę. Jasło 1896.

[2]) Chodźko: Les massacres, p. 75.

i rzeczywiście płacono za dostawionych do cyrkułu żywych lub zabitych „powstańców“, dał się łatwo nakłonić do zbrodniczej na dwory napaści. Propaganda rewolucyjna, obiecująca darowanie pańszczyzny i gruntów i nawołująca do powstania, spotkała się bądź z obojętnością, bądź też z nieufnością mas chłopskich. Jakżeż zresztą mogli się oni buntować przeciw „cesarzowi“, kiedy urlopnicy i rozpuszczeni po wsiach agenci rządowi głosili, że cesarz darował już pańszczyznę, ale panowie sprzeciwiają się temu i zamierzają chłopów wyrznąć, aby „polskie“ rządy przywrócić. Kto zna podejrzliwość i zarazem łatwowierność naszego ludu, z jaką dziś jeszcze po latach 54, kiedy w oświacie znacznie postąpił, przyjmuje najdziwaczniejsze wieści, skoro one do jego złych instynktów przemawiają, ten dziwić się nie będzie, że w owym czasie uwierzył skwapliwie wieściom tak potwornym i dał się użyć za narzędzie nikczemnej polityki biurokratycznej.

Tak stały rzeczy na kilka dni przed rozpoczęciem powstania, które z powodu aresztowań poznańskich przyspieszono, przekładając termin z 21. na 18/19. lutego. W wigilią dnia tego zgłosili się do starosty tarnowskiego Breindla wysłannicy z 70 gmin okolicznych z doniesieniem o agitacyi, prowadzonej przez szlachtę i duchowieństwo, i z prośbą o pomoc wojskową dla chwytania powstańców. Breindl, jak twierdzi w urzędowym raporcie, pochwalił ich za wierność, obdarzył pieniądzmi, assystencyi wojskowej odmówił, ale polecił, aby buntowników dostawiali do urzędu, używając przemocy tylko w razie koniecznym. Jakie znaczenie mogła wywrzeć ta z pozoru lojalna przemowa na umysły wystraszone i podżegane równocześnie, łatwo się domyśleć. Chłopi nie rozumiejący się na subtelnościach stylistycznych, słyszeli w niej potwierdzenie tego, co agenci rządowi od dawna już po wsiach roznosili, i wzięli się po swojemu do dzieła. Tymczasem major Leon Czechowski, mianowany przez Mierosławskiego naczelnikiem sił zbrojnych w Tarnowskiem, ułożył wspólnie z kapitanem wojsk polskich Eisenbachem plan napadu na Tarnów w nocy z 18. na 19. lutego. Może być, że rzecz byłaby się udała, gdyby nie nadzwyczajne przeszkody: szalejąca w tym dniu w całej okolicy burza i zamieć śnieżna i wrogie usposobienie ludności wiejskiej. Pierwszy oddział Fr. Wiesiołowskiego, złożony z 40 ludzi uzbrojonych, spotkał się po drodze do Tarnowa, w Lisiej Górze z zgromadzonem przed karczmą chłopstwem, które podstępem skłoniło łatwowiernych i niczego złego nie spodziewających się powstańców do złożenia broni a następnie rzuciło się na bezbronnych, okładało ich cepami i drągami i zbitych i związanych wrzuciło do lochu karczemnego, aby wydać w ręce szwoleżerów, którzy nazajutrz z rana do Lisiej Góry przybyli. Ustawione w szeregu przed frontem ofiary bito bez miłosierdzia ponownie w przytomności oficerów, w czem i żołnierze udział brali, i popędzono lub powieziono skrwawione do Tarnowa, gdzie wśród naigrawań motłochu żydowskiego wszyscy traktowani kolbami i polanami przez żołnierzy zostali umieszczeni w więzieniu lub szpitalu. Miasto przedstawiało już wtedy okropny widok ; zewsząd bowiem toczyły się wozy i sanie napełnione zabitymi, ciężko rannymi lub dogorywającymi „powstańcami“, których pijana i rozbestwiona tłuszcza odstawiała do cyrkułu i nierzadko w oczach lub z naprawy urzędników przed gmachem

starostwa dobijała albo ponownym poddawała męczarniom. Smutno powiedzieć, że w gronie biurokracyi tarnowskiej znalazły się potwory o nazwiskach, lecz nie sercach polskich, jak Leśniewicz, Trojanowski i Żminkowski, co chłopów do mordowania zachęcały i z nieprzytomnych od bolu ofiar wyłudzały kompromitujące zeznania, że oficerowie Polacy obojętnie na męczeństwo braci patrzyli, a łagodniejszem cokolwiek obejściem i ludzkością odznaczali się Niemcy: baron Berlichingen i Bierfeldner, jakoteż pułkownik Moltke. Co prawda, wszelki objaw uczucia był uważany natenczas za rodzaj zbrodni stanu, jak tego doświadczył ks. Waleryan Serwatowski, który za upomnienia, udzielone chłopom, przechwalającym się publicznie z swoich zbrodni, utracił profesurę w seminaryum tarnowskiem i został, przeniesiony na wikarego do Lincu, skąd dopiero w r. 1848 powrócił. Tymczasem po wsiach działy się rzeczy niesłychane, dwór za dworem padał ofiarą rozszalałych tłumów, w straszliwych mękach ginęli najzacniejsi i najniewinniejsi ludzie: obywatele, ich oficyaliści, mandataryusze, księża, słowem wszyscy nie-chłopi czyli surdutowcy. Zjawili się też, jak zwykle w takich wypadkach bywa, naczelnicy tej nowej hajdamaczyzny: Jakób Szela w obwodzie tarnowskim, Janocha w sądeckim, Marcin Ryndach w jasielskim, Koryga w bocheńskim. Najgłośniejszym z nich był Szela, chłop ze Smarzowy, który twierdził, że od starosty Breindla ma upoważnienie robić, co mu się podoba w swej okolicy przez 24 godzin, i robił też rzeczywiście. Z zemsty osobistej kazał wymordować całą rodzinę Boguszów; we wsi Kamienicy, gdzie rej wodził syn Szeli Staszek, zabito dwóch braci Górskich, w Głobikowej dolnej zginął, klęcząc przed obrazem Chrystusa, Konstanty Słotwiński, były dyrektor zakładu Ossolińskich, więziony w r. 1834, człowiek oddany pracy literackiej, nie mieszający się do spraw politycznych i znany z dobroczynności swojej dla ludu. Mordom towarzyszyło zniszczenie i rabunek. Zabrane po dworach sprzęty, suknie, srebra i klejnoty zwożono do chaty Szeli, który łupem dzielił się z Breindlem a po rzezi nosił w gotówce przy sobie 15.000 złr. W nagrodę takich zasług nadał rząd ówczesny temu pospolitemu rozbójnikowi złoty medal z napisem *Bene merenti* i gospodarstwo dobrze zaopatrzone na Bukowinie, w dobrach kameralnych Sołki, dokąd Szela, okryty hańbą i przekleństwami, przeniósł się z Smarzowy, aby w r. 1854 zbrodniczego swego dokonać żywota. Jakie zaś wyobrażenia o tych wypadkach strasznych panowały pomiędzy biurokracyą, świadczy odpowiedź, którą dał wiceprezydent gubernialny hr. Lażansky generałowi Chłopickiemu na pytanie, co robi ten zbójca Szela? że mianowicie jest to człowiek niepospolity i zasłużony krajowi i że zatem nie może być ani uważany, ani karany jako zbrodniarz. I w istocie skarga zaniesiona na Szelę przez rodzinę Boguszów do stóp tronu nie odniosła najmniejszego skutku, bo jakkolwiek cesarz polecił wdrożyć śledztwo karne przeciw zbrodniarzowi, to władze galicyjskie zastosowały się do tego tylko pozornie a dalsze podania wprost odrzuciły.

Rzeź czyli t. zw. „rabacya“ nie ograniczyła się do obwodu tarnowskiego, lecz przeleciała jak huragan po całej zachodniej Galicyi. W Jasielskiem padł jej ofiarą pomiędzy innymi Wincenty Pol, który, zbity cepami i ciężko pokaleczony, dziwnym jakimś od śmierci ocalał sposobem; w Sanockiem oddział

Bułharyna, nie bawiąc się w niewczesny sentymentalizm, orężem utorował sobie drogę przez tłumy chłopstwa pod Baligrodem i szczęśliwie uszedł do Węgier. Za to w Haczowie zbito prawie na śmierć niezmordowanego agitatora ludowego Juljana Goslara i na wpół żywego odstawiono do Sanoka. W Bocheńskiem zginęli: Dominik Dąbski, Władysław hr. Dębicki, Kępińscy z Nieznanowic, w Grodkowicach żonę Marcyana Żeleńskiego wraz z czworgiem dzieci stratowało chłopstwo nogami na schodach domu. Wogóle zniszczono w ciągu dni trzech lub czterech, podług niedokładnych obliczeń, 149 dworów i zwieziono do jednego Tarnowa tylko 146 trupów; liczba zabitych i ranionych wynosiła około 2000. Ocalał prawie zupełnie obwód rzeszowski, dzięki energii i ludzkości dowodzącego tam generała Legeditsa, Węgra, który, rozesławszy huzarów, powstrzymywał obce bandy a rozpędzał miejscowe. Ten jeden przykład świadczy, że rząd z największą łatwością mógł stłumić ruch zamierzony bez rozlewu krwi i rozniecenia dzikich instynktów wśród ciemnych mas chłopskich.

Chwilowy tryumf odniosło powstanie tylko w okolicach podtatrzańskich, w Chochołowie, gdzie proboszcz tamtejszy ks. Kmietowicz i organista Andrusikiewicz, żołnierz z 1831 r., umieli tak wpłynąć na lud, że w ciągu jednej doby zebrali 500 chłopów uzbrojonych w kosy, opanowali koszary straży skarbowej i stoczyli zwycięską potyczkę z strażnikami i chłopstwem z Czarnego Dunajca. Później jednak, gdy nadciągnęły przeważne siły, musieli się poddać i zostali skazani na długoletnie więzienie w „Grajgórze“ (Spielberg) wraz z trzema góralami.

W wschodniej Galicyi skutkiem odpornego stanowiska komitetu lwowskiego i aresztowań, dokonanych w samym Lwowie, był ruch o wiele słabszym i mniej też pochłonął ofiar. Zaburzenia wydarzyły się tam właściwie tylko w dwóch miejscach: w obwodzie brzeżańskim, w okolicach Narajowa i w Horożanie, pod Drohowyżem. Wyprawa narajowska, w której brali udział: Teofil Wiśniowski, Henryk Szmitt, znany historyk, i Apolinary Stokowski, skończyła się nic nieznaczącą utarczką z huzarami pod miasteczkiem Narajowem. Powstańcy, widząc szczupłe siły swoje, zaniechali projektowanego napadu na Brzeżany i udali się do Pomorzan a stamtąd w rozmaite strony, nie uniknęli jednak więzienia. Wiśniowski znalazł schronienie w Złoczowskiem, w Manajowie, niedaleko Podkamienia, tu jednak ujęli go, ukrytego w pasiece, chłopi Iwan i Atanazy Budnik i odstawili do Złoczowa, gdzie poznany jako niebezpieczny emissaryusz, za którego schwytanie rząd 1000 złr. nagrody wyznaczył, został pod strażą odwieziony do Lwowa.

W Horożanie mandataryusz Ferdynand Czaplicki zwołał na dzień 21. lutego okoliczne gromady, aby im zapowiedzieć zniesienie pańszczyzny i wezwać do powstania, ale chłopi, podburzeni przez księdza gr.-kat. Horodyskiego i wójta Dudkę, stawili się uzbrojeni w kosy i cepy i uderzyli wprost na spiskowych, którzy po krótkiej obronie, gdy oblegający dom podpalili, zdołali się przedrzeć do sąsiedniego aresztu dominikalnego. I tu jednak otoczyło ich chłopstwo i, tak jak poprzednio, podłożywszy ogień pod budynek, zmusiło do wyjścia na drogę, gdzie padli pod cepami. Siedmiu zginęło na miejscu, po-

między nimi bracia Czapliccy, Ferdynand i Henryk, inni, pokaleczeni w okropny sposób, dostali się w ręce wojska, które ich odwiozło do Lwowa. Odmienny cokolwiek, chociaż nie mniej krwawy i burzliwy charakter, miał ruch w Krakowie. Nieszczęśliwa Rzeczpospospolita, uwolniona wprawdzie od okupacyi wojsk obcych, ale pozbawiona niepodległości swojej, była wydana w ciągu ostatnich lat dziesięciu swego istnienia na pastwę awanturników w rodzaju Gutha, którzy, używając najniegodziwszych środków, usiłowali dowieść światu, że Kraków jest ogniskiem knowań rewolucyjnych i gniazdem wszelkich zbrodni. Senzacyjne odkrycia policyjnych agentów miały oczywiście dostarczyć pozorów do wykonania zamachu, ułożonego na zjeździe cieplickim. Ale postępowanie niesumiennych narzędzi metternichowskiej polityki było tak gwałtowne, bezprawne i niedorzeczne, że skompromitowało nawet rząd austryacki i zmusiło go do przeniesienia Gutha, którego miejsce zajął Wolfarth z dodanym sobie na pomocnika osławionym Zajączkowskim. Widząc bezsilność swoją ówczesny prezes senatu Józef Haller, podał sie do dymissyi i otrzymał na następcę ks. Jana Schindlera, profesora uniwersytetu i kanonika. Schindler, który był, podług zgodnego świadectwa współczesnych, człowiekiem zdolnym i rozumnym, spostrzegł wnet, że polityczne znaczenie prezesa senatu skończyło się z rokiem 1836 i że nie pozostaje mu zatem nic innego, jak tylko zająć się wewnętrzną administracyą i podniesieniem zaniedbanego miasta. Pod tym względem uczynił też rzeczywiście wiele. Gdy projektowana wtedy kolej Ferdynanda miała ominąć Kraków, on udzielił koncessyą pruskiemu przedsiębiorstwu na budowę kolei, łączącej Kraków z Wrocławiem, Warszawą i Wiedniem, i ściągnął na siebie przez to nawet niechęć rządu austryackiego. Uporządkowawszy finanse tak, że w budżecie panowała równowaga a Rzeczpospolita żadnych nie miała długów, zajął się Schindler restauracyą pamiątek krakowskich, mianowicie bramy floryańskiej i kollegium jagiellońskiego, w którem mieści się teraz biblioteka uniwersytecka, rozszerzył gmach teatralny, poprawił bruki, zaczął budowę mostu podgórskiego i kanałów i nadał w ten sposób miastu pod względem zewnętrznym charakter więcej zgodny z wymaganiami postępu i cywilizacyi. Za jego czasów także powstały, dzięki hojności Floryana Straszewskiego, dzisiejsze plantacye, jedna z celniejszych ozdób nowego Krakowa. Działając w tym samym kierunku, powziął ostatni sejm Rzeczypospolitej w 1844 r. cały szereg uchwał wielce pożytecznych dla kraju i miasta, jak budowę dróg bitych, zaprowadzenie kas oszczędności, zniesienie loteryi liczbowej, uregulowanie czynszów wieczystych w dobrach narodowych i duchownych, praw o lichwie i wiele innych.

Były to niestety już tylko spóźnione objawy dobrej woli, bo tymczasem zbliżała się burza, która i to schronienie ducha polskiego zniszczyć i pochłonąć miała. Nagle bowiem na początku lutego 1846 r. oznajmili rezydenci trzech mocarstw opiekuńczych prezesowi senatu, że Rzeczypospolitej zagraża z zewnątrz zamach i że zatem dobrzeby było, gdyby senat zażądał od dworów sąsiednich przysłania załogi wojskowej. Senat, zwołany przez Schindlera, oświadczył się przeciw sprowadzeniu wojsk obcych i dodał, że nie wie nic o grożącem niebezpieczeństwie, zwłaszcza gdy Kraków jest otoczony posiadło-

ściami mocarstw opiekuńczych, które posiadają dostateczne siły do powstrzymania wszelkich z zewnątrz zamachów, do czego zresztą są nawet obowiązane. Odezwa rezydentów nie była niczem innem jak tylko niezgrabną insynuacyą, zmierzającą do upozorowania okupacyi Krakowa. Zrozumiał to Schindler i widząc, że wszelki opór byłby daremnym, a nie chcąc się narażać, opuścił swoje stanowisko i odpowiedzialność za dalsze wypadki zostawił zastępcy swemu Jackowi Księżarskiemu. Po usunięciu się prezesa senatu zawezwali rezydenci, nie oglądając się już na senat, z Podgórza wojsko austryackie, które pod dowództwem generała Collina wkroczyło do Krakowa dnia 18. lutego o godz. 8-ej z rana w sile 680 piechoty, 160 jazdy i jednej pieszej bateryi.[1]) Miasto było spokojne; przygotowania do ruchu zbrojnego istniały wprawdzie, ale tak niedołężne i dziecinne prawie, że o jakiemś poważnem niebezpieczeństwie mowy być nie mogło. Ani przeznaczony na kierownika powstania krakowskiego Tyssowski, prawnik z zawodu, ani dodany mu do boku Ludwik Gorżkowski, adjunkt przy katedrze fizyki w uniwersytecie, ani Alcyato, który zresztą natychmiast po wejściu Austryaków z miasta się wydalił, nie mieli wyobrażenia o wojskowości a i wezwani na dowódzców sił zbrojnych później: Erazm Skarżyński i Suchorzewski przy najlepszych nawet chęciach i zdolnościach z garstką niewyćwiczonej i licho uzbrojonej ruchawki wiele zdziałać nie mogli. Mimo to powstała pomiędzy spiskowymi myśl, aby na wojsko austryackie dnia 21. lutego uderzyć. Rzeczywiście padło w czasie oznaczonym kilka strzałów, poczem Collin z całym swoim oddziałem cofnął się do Podgórza a stamtąd do Wadowic. Czy go do tak pospiesznego odwrotu skłoniły przesadne a fałszywe wieści o znacznych posiłkach, nadciągających na pomoc powstańcom, czy zamiar otworzenia od strony Wieliczki drogi bandom chłopskim, czy wreszcie myśl, że zostawiając Kraków własnemu jego losowi, ułatwi później swemu rządowi zabór Rzeczypospolitej, trudno na pewne powiedzieć, to jednak nie ulega wątpliwości, że dopiero po ustąpieniu Austryaków, którzy uprowadzili ze sobą i milicyą i straż policyjną i rezydentów mocarstw i wszystkich dygnitarzy krakowskich wraz z X. biskupem Łętowskim i generałem Chłopickim, zaczęły się na dobre rozruchy i nieporządki. Wprawdzie obywatele gorliwi o dobro i spokój miasta utworzyli natychmiast straż bezpieczeństwa pod dowództwem Józefa hr. Wodzickiego, która zapobiegła wybrykom pospólstwa, ale równocześnie ogłosił się też dyktatorem Tyssowski i założywszy główną kwaterę swoją w Krzysztoforach a następnie w „Szarej“ kamienicy, ustanowił rząd, zamianował ministrów i zajął się pisaniem odezw patryotycznych i nieudolnem organizowaniem sił zbrojnych. Na odgłos powstania pojawiły się rzeczywiście z kraju i z Królestwa oddziały Krakusów; przyprowadzili je Mazaracki, Staszewski, Zygmunt Jordan i Erazm Skarzyński, którego Tyssowski naczelnym wodzem mianował. Korzystajac z odwrotu Collina, wyprawił się

[1]) Czy senat później zgodził się na powołanie obcego wojska, czy stało się to na skutek prośby, podpisanej przez trzech obywateli krakowskich, trudno dociec; odezwa senatu ogłoszona z podpisem Księżarskiego d. 18. lutego (D'Angeberg, str. 1020) jest bardzo niejasna; Metternich w depeszy do Apponyego (D'Angeberg, 1022) utrzymuje, że wojsko wkroczyło na żądanie senatu, co oczywiście nie koniecznie może być prawdą.

Suchorzewski w 500 ludzi do Wieliczki, zajął to miasto bez oporu, zabrał kasę salinarną, wzmocnił swój oddział ochotnikami, uzbrojonymi w kosy, i ruszył ku Gdowu. Tymczasem wysłany z nieograniczonem pełnomocnictwem w te okolice podpułkownik Ludwik Benedek, późniejszy bohater z pod Sadowy, mając cztery kompanie piechoty i szwadron szwoleżerów, ściągnął z dóbr rządowych niepołomickich tłumy chłopów i z tą czerniawą zastąpił drogę powstańcom. Dnia 26. lutego przyszło do spotkania, w którem niewyćwiczone i źle uzbrojone gromadki powstańców uległy oczywiście regularnemu wojsku i otoczone padły ofiarą rozjuszonego i rozpojonego chłopstwa. Niedobitki Suchorzewskiego przyniosły nazajutrz straszną wieść o rzezi gdowskiej do Krakowa i powiększyły jeszcze panujące tu zamieszanie. Nieudolne rządy Tyssowskiego bowiem i niesnaski, powstające co chwila w łonie improwizowanej władzy, wywołały w kołach umiarkowanych słuszny niepokój i obawy. Profesor Michał Wiszniewski, znany autor Historyi literatury, postanowił zatem położyć koniec dyktaturze, udał się na czele młodzieży akademickiej do Szarej kamienicy i zmusił Tyssowskiego do ustąpienia, nie poparty jednak należycie nie zdołał się utrzymać przy władzy. Tyssowski, objąwszy na nowo dyktaturę i otrzymawszy wiadomość o wypadkach gdowskich, poszedł za radą Dembowskiego i wyprawił dla powstrzymania band chłopskich i nawrócenia obłąkanych ku Wieliczce processyą, którą jednak na Podgórzu napadły i rozprószyły wojska wracającego z Wadowic Collina, przyczem zginął Dembowski postępujący z krzyżem na czele pochodu. Bohaterski generał, upojony tem zwycięstwem nad bezbronnymi, odprawił dumnie parlamentarzy Tyssowskiego, przyjął jednak poddanie się miasta od deputacyi, złożonej z Józefa Wodzickiego, Federowicza, Helcla i Wolfa, pod warunkiem, że powstańcy przed wkroczeniem wojska austryackiego opuszczą Kraków. Stosując się do tego polecenia wyszedł Tyssowski z oddziałem liczącym 1300 ludzi i 4. marca przekroczył granicę pruską. Aresztowany w Dreźnie, więziony w Königsteinie do grudnia, otrzymał on w tym czasie od rządu austryackiego pieniądze na podróż do Ameryki, gdzie niebawem życia dokonał.

Ale zanim wojska austryackie po zawarciu kapitulacyi przebyły Wisłę, zjawił się w Krakowie nie zupełnie pożądany dla nich sprzymierzeniec i przyjaciel — Moskale. Ruch rewolucyjny w Królestwie należał do najsłabszych. Dąbrowski, mianowany naczelnikiem sił zbrojnych na prawym brzegu Wisły, porozumiał się wprawdzie z spiskowymi w Warszawie i udał się potem do majątku swego Kuflewa, skąd miano przedsięwziąć skombinowaną wyprawę na Siedlce, porzuciwszy awanturniczy zamiar podchwycenia Dęblina, ale w ostatniej chwili, widząc brak sił i wszelkich przygotowań, ratował się ucieczką do Księstwa. Uczestnicy projektowanego napadu, nie uwiadomieni wcale o wyjeździe Dąbrowskiego, przybyli w nocy z 21. na 22. lutego pod dowództwem Pantaleona Potockiego pod Siedlce, uderzyli na miasto, dla słabych sił jednak — było ich zaledwie kilkunastu — nic zdziałać nie mogli i na drugi dzień, ujęci przez chłopów, dostali się w ręce władz rosyjskich. Sąd wojenny skazał Potockiego, Żarskiego i Kociszewskiego na śmierć; Stefana Dobrycza, Karola Ruprechta, Michała Mireckiego i Deskura, którzy także po-

pobny otrzymali wyrok, ułaskawiono do ciężkich robót. Potocki został powieszony w Siedlcach, Żarski i Kociszewski w Warszawie. Trzech emissaryuszów w Augustowskiem pojmali chłopi; na Litwie, po aresztowaniu Röhra, głęboki panował spokój. Mimo to rząd rosyjski nie miał spokoju. Z rozkazu Paskiewicza ogłoszono w Królestwie stan oblężenia i rozciągnięto go także na gubernie: wołyńską i podolską; policmajster warszawski, słynny Abramowicz,

Józef Ignacy Kraszewski.

wydał nakaz noszenia latarek po godzinie 9-ej wieczorem, wzbronił wyjeżdżania z miasta po godzinie 7-ej wieczór, rozciągnął ścisłą i uciążliwą kontrolę nad obcymi. Na prowincyi rozpoczęli dzieło swoje naczelnicy wojenni, najeżdżając dwory szlacheckie, więżąc i prześladując wszystkich, których za podejrzanych uważali. Każdy szlachcic, zasypiając wieczorem, bał się, że w nocy może

być wzięty pod klucz. „W ten sposób — mniemał Paskiewicz — trzeba ich przez kilka lat trzymać w ciągłej obawie i wtedy wezmą górę wojskowi, Rosyanie i wszyscy uczciwi ludzie, a szlachta, czując ciągłe niebezpieczeństwo, ukorzy się.“[1])

Największą obawę wzbudził jednak w Warszawie ruch krakowski. Nagły odwrót Collina tłumaczył sobie Paskiewicz przewagą sił polskich i natychmiast też rozkazał generał-lejtnantowi Paniutynowi skoncentrować w Kielcach 10 batalionów, 13 sotni Kozaków, 4 szwadrony jazdy i 20 dział a z tem co było pod ręką, bez zwłoki ruszyć na Michałowice do Krakowa. Tak zaś był pewnym, że zanosi się na poważną kampanią, iż dołączył do rozkazu instrukcyą szczegółową, w której polecał, w jaki szyk sprawiać piechotę, jak używać artyleryi i kiedy puszczać do ataku Czerkiesów, których 4 sotnie prowadził ks. Bebutów. Naglony rozkazami niecierpliwego Paskiewicza, podążył Paniutyn jak mógł najprędzej ku granicy, stoczył pod Michałowicami nieznaczną utarczkę z oddziałem Mazarackiego i Jordana i dnia 3. marca wkroczył do Krakowa, gdzie zastał, ku największemu swemu zdziwieniu, zupełny spokój i porządek. W dwie godziny później zjawili się Austryacy; przybyli wreszcie dowódzcy korpusów: austryacki generał hr. Wrbna, rosyjski generał Rydygier, i pruski hr. Brandenburg; okupacya była dokonana. Postanowiono na wspólnej konferencyi wojska rozłożyć w mieście i po wsiach i utrzymywać z kontrybucyi.[2]) Wskutek tego zajęli Prusacy Chrzanów, Rosyanie Krzeszowice i Mogiłę, w Krakowie zostali Austryacy, których dowódzca generał hr. Castiglione przewodniczył oraz cywilnej radzie administracyjnej, utworzonej d. 22. kwietnia 1846 r. Pierwszą czynnością dworów opiekuńczych było ustanowienie komissyi śledczej sądowej, w której ze strony austryackiej zasiadł Zajączkowski. Rozpoczęły się za tem gromadne aresztowania, procesy karne, prześladowanie najspokojniejszych obywateli, nawet tych, co podczas zaburzeń z poświęceniem pracowali nad utrzymaniem porządku, słowem nastąpiła straszna i bezwzględna reakcya, która do tego stopnia rozjątrzyła umysły, że najsroższego dręczyciela politycznych więźniów Zajączkowskiego, nieznani sprawcy zastrzelili wieczorną porą na plantacyach (w r. 1847). Nareszcie dnia 16. listopada 1846 r. ogłoszono wcielenie Rzeczypospolitej jako W. ks. Krakowskiego do Austryi i hr. Maurycy Deym, komissarz cesarski, objął władzę nad Krakowem.

Wrażenie wypadków galicyjskich. — Dyplomacya. — Kapuściński i Teofil Wiśniowski. Wypadki galicyjskie odbiły się głośnem echem nie tylko w społeczeństwie polskiem, ale i w całej Europie i wywarły szereg najrozmaitszych objawów. Pierwszym był powszechny i głęboki smutek, pokrywający całą Polskę, i łatwo zrozumiała do rządu austryackiego nienawiść, przytłumiająca chwilowo nawet antypatye rossyjskie, o czem świadczy wymownie uprzejmość, jaką okazywali Krakowianie wojskom Paniutyna i ów demonstracyjny pogrzeb młodego rosyjskiego podporucznika Czajkowskiego, prawda że Polaka — był bowiem katolikiem — urządzony przez duchowieństwo i inteligencyą w kościele

[1]) List do Mikołaja z dnia 1. marca 1846 r. u Szczerbatowa, str. 290.

[2]) Opowiadanie dowódzcy Kremeńczugskiego pułku strzelców u Berga w „Zapiskach“, t. I., str. 448.

N. P. Maryi. W kołach politycznych nastąpiło rozczarowanie i przygnębienie a wszystkie te uczucia wyraziły się na zewnątrz w dwojakim kierunku: pod wpływem wspaniałej muzyki Józefa Nikorowicza powstał w gościnnym dworze w Zboiskach, pod Lwowem, wstrząsający do głębi hymn Kornela Ujejskiego „Z dymem pożarów“, będący wstępem do „Skarg Jeremiego“, w Paryżu ukazał się „List szlachcica polskiego do Metternicha,“ [1]) zawierający, obok ostrej krytyki rządów austryackich w Galicyi, program polityczny autora, margrabiego Aleksandra Wielopolskiego. I wielkie musiało być zaprawdę zwątpienie i rozpacz serc polskich, kiedy na ten projekt zlania się zupełnego Polski z Rosyą i Słowiańszczyzną jeden właściwie tylko podniósł się protest,[2]) streszczony w słowach: „Znam wszystkie ofiary dla ludzi, dla ojczyzny; nie znam i znać nie chcę dla takiej Słowiańszczyzny, któraby ciemność, jarzmo, bezwstyd i cały szereg swych sromot ciągnęła za sobą. Znośmy naszą niedolę, ale nie nieśmy jej światu. Jeśli ma przyjść ostateczna zguba, niechże zwalą się na nas góry nieszczęścia; ale my sami przynajmniej nie przywołujmy ich na siebie.“ [3])

Wrażenie poza granicami Austryi było także silne. Chórem potępiły postępowanie biurokracyi metternichowskiej najpoważniejsze dzienniki francuskie a umiarkowany *Times* pisał: „Sceny, których teatrem była Galicya, są hańbą dla cywilizowanego państwa, ponieważ dowodzą, że rząd absolutny nie potrafi bronić życia swoich poddanych, ani też powstrzymać swawoli i ekscessów w kraju, nie posiadającym nawet cienia wolności.“ Emigracya polska wyraziła swoje oburzenia w medalu pamiątkowym, wybitym „na cześć Szeli i Metternicha.“ Dyplomacya traktawała o wiele chłodniej całą sprawę. Dla niej okropności rzezi, niedola szlachty polskiej, słowem etyczna strona tych wypadków była zupełnie obojętna; wzruszyć cokolwiek mogła ją chyba okupacya Krakowa, nie dlatego, jakoby to było zdarzenie, naruszające równowagę europejską, groźne w skutkach swoich dla tego lub owego państwa, ale że mogło wzniecić wielką wrzawę, posłużyć opozycyi parlamentarnej za broń skuteczną przeciw niemiłym ministrom, sprawić rządowi kłopot niepotrzebny. Ale i na to znalazł się środek; można było mianowicie powołać się na rok 1836, gdzie pod naciskiem Anglii i Francyi wojska obce opuściły terytoryum Rzeczypospolitej i Kraków odzyskał swoją niezależność. Z tem wszystkiem burza nie dała się powstrzymać ani zażegnać. Emigracya wystosowała dnia 12. marca do parlamentu adres, który wywołał w dniu następnym długą i dla rządu nieprzyjemną rozprawę. Zabierali głos kolejno La Rochejacquelain, Castellane, wreszcie przemówił Victor Hugo pomiędzy innemi w te słowa: „Dwa narody odgrywały przez 400 lat bezinteresownie wielką rolę w cywilizacyi europejskiej: Francya i Polska. Francya, pamiętajcie o tem, rozpraszała ciemności, Polska odpierała

[1]) Lettres d'un Gentilhomme Polonais sur les massacres de Galicie adressée au Prince de Metternich, à l'occasion de sa dépêche circulaire du 7 Mars 1846. Paris. W tłumaczeniu niemieckiem L. Alvenslebena wyszedł ten list w r. 1848 w Wiedniu.

[2]) Odpowiedź na list szlachcica polskiego do Metternicha z daty 15. kwietnia 1846. Paryż 1847. Autorem był generał Franciszek Morawski.

[3]) Tamże str. 30.

nawałę barbarzyństwa; Francya rozszerzała idee postępowe, Polska osłaniała granice cywilizacyi. Naród francuski był posłannikiem, polski rycerzem cywilizacyi. To są fakta, których niepodobna wygładzić z pamięci ludów. Jeżeli naród jakiś pracował dla innych, podobnym jest do człowieka, który pracował dla ludzkości. Zdobył on sobie wdzięczność i sympatyą u wszystkich. Okrywała go chwała, gdy był potężnym, ma szacunek w nieszczęściu. A jeżeli z biegiem czasu ten lud, idący zawsze za popędem uczuć szlachetnych, upadł, to nie przestał być mimo to wielkim narodem. Polska nie powinna się nigdy napróżno odwoływać do Francyi.“ W podobny sposób przemawiali w izbie panów: Montalembert i Villemain. Rząd przez usta generała Fabviera i ministra spraw zagranicznych Guizota usiłował bronić polityki metternichowskiej. Guizot twierdził, że Francya nie może i nie powinna się mieszać do spraw wewnętrznych obcego państwa. Odpowiedział mu na to trafnie Villemain, ale na tem urwała się dyskussya, bez realnej dla nas korzyści. Tymczasem gabinet wiedeński używał wszelkich sposobów, aby uspokoić opinią publiczną i podrażnione sumienia dyplomatów. Gdy zacny biskup tarnowski, ks. Wojtarowicz, wydał dnia 20. lutego list pasterski, w którym upominał lud wiejski do upamiętania i wystawiał mu całą okropność zbrodni popełnionych, powiodło się zabiegom rządowym wyjednać w Rzymie akt zupełnie odmiennej treści. Grzegorz XVI., polegając oczywiście na informacyach ambasadora austryackiego, wystosował dnia 27. lutego, a więc w chwili, gdy o wypadkach galicyjskich niedokładne tylko za granicą krążyły wiadomości, *breve* do ks. Wojtarowicza, potępiając rewolucyą i księży, udział w ruchu biorących a zalecając jak największą dla rządu uległość.[1]) Krok tak bolesny dla Polaków tłumaczy się zupełną nieznajomością stosunków galicyjskich. W dziesięć miesięcy później bowiem następca Grzegorza XVI., Pius IX., wyznał otwarcie X. Kajsiewiczowi, że o wypadkach w Galicyi wie mniej więcej tyle, co było w dziennikach.[2]) Podobnej taktyki trzymał się rząd austryacki także względem mocarstw zachodnich. Depesze[3]) posłów angielskich, którzy oczywiście czerpali wiadomości swoje z źródeł urzędowych, przedstawiają katastrofę galicyjską jako drobne, nic nie znaczące zaburzenie chwilowe. Lord Westmoreland donosi 2 marca o kilku zabitych w Krakowie i w okolicach Tarnowa, podczas starcia z wojskiem, a wszyscy na wyścigi zapewniają, że okupacya Krakowa nie zagraża wcale egzystencyi Rzeczypospolitej. Na potwierdzenie tych relacyj wysyła Metternich dnia 17. kwietnia obszerną notę do ambasadora austryackiego, hr. Dietrichsteina w Londynie, w której z rzadką nawet u dyplomatów czelnością zwala całą winę za wypadki tarnowskie na emigracyą i szlachtę polską i wyjaśnia, że chłopi dopiero wtedy, gdy kilku z nich zastrzelono, rzucili się na powstańców i zabijali tylko tych, którzy się bronili. Uspokojony tak przez godnego kolegę swego lord Aberdeen uważał za stosowne oświadczyć (d. 26 czerwca), że mocarstwa opiekuńcze miały nie tylko prawo, ale i obowiązek

[1]) Akta powyższe i dyskussya w parlamencie francuskim u Chodźki: Les massacres etc.

[2]) X. Smolikowski: Słowianofilstwo i Zmartwychwstańcy. Przegląd polski z roku 1896, str. 334.

[3]) Zebrane u D'Angeberga.

użyć w interesie własnego bezpieczeństwa środków takich, któreby na przyszłość zapobiegły zaburzeniom podobnego rodzaju, a konsul angielski w Warszawie, pułkownik Du Plat, donosił cokolwiek później, na podstawie prywatnych wiadomości o niesłychanym zapale, z jakim mieszkańcy Krakowa witali i żegnali wojska rosyjskie. Cóż za znaczenie mogły mieć wobec tak poważnych świadectw protesty i skargi narodu bezsilnego i ujarzmionego, z którym dyplomacya liczyć się nie potrzebowała? Kilka mów mniej lub więcej ozdobnych, kilka artykułów dziennikarskich, to były jedyne objawy współczucia i oburzenia, na jakie cywilizowana Europa zdobyła się wobec bezprzykładnego pogwałcenia praw boskich i ludzkich względem narodu, będącego przez tak długie wieki przedmurzem chrześcijaństwa i zachodniej kultury.

Uspiwszy tak czujność i drażliwość gabinetów w jednym kierunku, nie omieszkał dwór wiedeński wpływać na opinią publiczną, umieszczając kłamliwe sprawozdania o wypadkach galicyjskich w osławionej, a jednak dość rozpowszechnionej wtedy Gazecie augsburskiej (*Augsburger allgemeine Zeitung*) i ogłaszając pisma ulotne w Niemczech, polemicznej treści. Wrzawa wywołana tym sposobem, była dlań wielce pomocną, odwracała bowiem uwagę powszechną od ważniejszej dla międzynarodowej polityki sprawy krakowskiej. Dopiero kiedy układy o przyłączenie Krakowa do Austryi ukończono w Wiedniu, zmieniły gabinety mocarstw opiekuńczych nagle barwę i oświadczyły krótko ambasadorom państw zachodnich, że siódmy podział Polski jest faktem dokonanym. Podniósł się wprawdzie wielki hałas z tego powodu; Anglia i Francya, poróżnione jednak wtedy z powodu małżeństwa Izabelli hiszpańskiej, nie zdobyły się na żaden krok stanowczy; skończyło się na bezskutecznym proteście, który Rzeczypospolitej krakowskiej pomógł tyle co umarłemu kadzidło.

Tem śmielej i bezwzględniej zabrał się rząd wiedeński do „uspokojenia“ Galicyi. Posypały się więc najpierw nagrody i odszczególnienia dla bohaterów 1864 roku. Benedek, Breindl i starosta przemyski Czetsch de Lindenwald otrzymali krzyże oficerskie orderu Leopolda; Loserth, starosta wadowicki, bocheński, sądecki, przybylski, jasielski i Berndt w Bochni uzyskali szlachectwo austryackie; włościanom nakazano z ambon odczytać manifest cesarski, dziękujący chłopom za okazaną lojalność. Drobniejsze nagrody pieniężne i medale rozdzielono pomiędzy gminy i dobrze zasłużonych uczestników „rabacyi“. Magistrat lwowski, idąc w zawody z rządem, nadał prawo honorowego obywatelstwa miejskiego Benedekowi, dyrektorowi policyi Sacher-Masochowi i staroście Mülbacherowi.

Ale dowody uznania i łaski świadczone nie zdołały ani uspokoić sumienia ludu, ani uspić rozbudzonych namiętności a zasady socyalnej rewolucyi rzucone raz niebacznie pomiędzy ciemne masy chłopstwa, nie dały się tak łatwo wyplenić. Ludność wiejska, zasmakowawszy w rabunku i grabieży, bałamucona nadzieją zniesienia pańszczyzny i podziału gruntów dworskich, rozzuchwalona podziękowaniem cesarskiem, które odnosiła do rzezi panów, zaczęła odmawiać powinności poddańczych, burzyć się i stawiać ostro władzom rządowym. Trzeba było, gdy konferencye Breindla z Szelą żadnego nie odniosły skutku, użyć gwałtownych środków, sprowadzić wojsko i siłą przywrócić zagrożony na

prawdę porządek. Ta nagła i dla ludu, głaskanego dotąd, niezrozumiała zmiana w postępowaniu władz rządowych wywołała oburzenie i nieokreśloną jakąś trwogę przed zemstą „Polaków“. Chłop rozpojony zaczął się opuszczać w pracy, rola nieuprawiona zupełnie lub niedbale, zwłaszcza że rok nastąpił nieurodzajny, nie była w stanie dostarczyć pożywienia, głód zaglądał do chat wiejskich tak straszny, że w wielu okolicach stwierdzono urzędownie wypadki ludożerstwa, obok tego dziesiątkowały ludność choroby epidemiczne, tyfus i cholera. Przerażenie ogarnęło zatem biurokratyczne sfery wiedeńskie; arcyksiąże Ferdynand został odwołany a do Lwowa udał się w roli nadzwyczajnego komissarza rządowego Rudolf hr. Stadion, dotychczasowy namiestnik morawski. Postępowanie jego było cokolwiek odmienne: przyjmował skargi i zażalenia, rozczytywał się w memoryale Aleksandra hr. Fredry o położeniu opłakanem Galicyi, ale równocześnie wydawał także surowe rozporządzenia przeciw emigrantom polskim i nie wpłynął wcale na wstrzymanie lub złagodzenie monstrualnych procesów politycznych, których liczba urosła do olbrzymiej cyfry 434. Dla uspokojenia umysłów urządzono, jeszcze skutkiem starań arcyksięcia, missye pod kierunkiem Jezuitów. W obwodach zachodnich, dotkniętych najsrożej głodem i epidemią, wziął na siebie trudny obowiązek kaznodziejski ks. Karol Antoniewicz i spełnił go z wielkiem powodzeniem. Lud, przejęty żalem i skruchą, garnął się tłumnie do konfessyonałów, zwracał zagrabione i zrabowane przedmioty, gromadami całemi odbywał pielgrzymki do Częstochowy. Dzieło pojednania i ekspiacyi rozwijało się pomyślnie wprawdzie, ale do uspokojenia kraju było daleko. We Lwowie w przepełnionych i brudnych celach więziennych oczekiwały ofiary nieszczęsnego ruchu na wymiar karzącej sprawiedliwości. Śledztwo toczyło się jak zwyczajnie w ówczesnych sądach leniwie, z wielkiem utrapieniem więźniów, chociaż może nie z taką co dawniej srogością. Wyrok wydany w lipcu 1847 r. prześcignął wszelkie oczekiwania, skazał bowiem kilkudziesięciu obwinionych na ciężkie długoletnie więzienie, dwóch: Teofila Wiśniowskiego i Kapuścińskiego na śmierć przez powieszenie. Ostatniemu z nich zarzucano, że zamordował Kaspra Markla, burmistrza w Pilznie, jednego z agitatorów i pomocników Breindla; pierwszy był, jak wiadomo, najczynniejszym i najzręczniejszym emissaryuszem towarzystwa demokratycznego. Opinia publiczna wierzyła do ostatniej chwili w ułaskawienie skazanych. Nie przypuszczano bowiem, aby rząd, który nagradzał znanych powszechnie zbrodniarzy, miał karać tak surowo ludzi, co zawinili tylko nieograniczonem dla sprawy narodowej poświęceniem. Powszechnie też wyobrażano sobie, że nowo mianowany namiestnik Franciszek hr. Stadion ogłosi amnestyą. Ale ówczesny rząd wiedeński nie znał ani litości, ani pomiarkowania. Zaślepiony chwilowem powodzeniem w sprawie krakowskiej, ośmielony obojętnością gabinetów zachodnich, czuł on się obecnie zbyt silnym, aby szukać drogi do porozumienia z narodem zgnębionym i opuszczonym, był zaś zanadto małodusznym, aby łagodnością i przebaczeniem naprawić w części popełnione przez siebie winy. Los obu skazańców był więc rozstrzygnięty z góry i dnia 31. lipca 1847 r. odbyła się egzekucya, obok stracenia Konarskiego, najwstrętniejsza i najmniej usprawiedliwiona.

Rok 1848. Wypadki galicyjskie miały znaczenie ogólno europejskie, były tą kroplą wody, która w pełnem naczyniu wywołuje przelanie się płynu. Zasada monarchii absolutnej, opartej na podstawach chrześcijańskich, tak jak ją sobie wymarzył i postawił Aleksander I. w „świętem przymierzu“, okazała się złudzeniem podobnie jak wzniosłe hasła o wolności i braterstwie ludów z czasów wielkiej rewolucyi. Pozornie chrześcijański, w rzeczy samej całkiem materyalistyczny, był ten absolutyzm nowożytny uosobieniem egoizmu i udanej pobożności. Hipokryci w rodzaju Nowosilcowa, Metternicha lub Gentza, głosili z namaszczeniem zasady moralności, którą sami w życiu prywatnem i publicznem codziennie gwałcili, chrześcijanie z imienia, nie sromali się używać najniegodziwszych środków do dopięcia celów, wzniosłej nauce Zbawiciela w głowę przeciwnych; zwolennicy i pilni przestrzegacze porządku społecznego, psuli go bezustannie siejąc niezgodę, burząc jednych przeciw drugim. W ten sposób powstał system rządów, opartych na kłamstwie i wzajemnej nieufności pomiędzy poddanymi a władzą, system, którego głównym celem nie była pomyślność ludów i państw, lecz utrzymanie społeczeństwa w stanie takim, jaki dla rządzących wydawał się najlepszym. Raz postawiwszy podobną zasadę, uważano więc każdy świeży ruch naukowy czy społeczny za objaw rewolucyjnych knowań, każdą reformę, chociażby najzbawienniejszą, odtrącano ze wstrętem lub w najlepszym razie odkładano na czas nieograniczony, każdą myśl śmielszą tłumiono jak iskrę, która groźną wzniecić mogła pożogę. Była to polityka Sybarytów używających i żądnych spokojnego używania aż do śmierci, pod hasłem *aprés nous le déluge*. I potop przyszedł, ale wcześniej niż się spodziewano. Poprzedziły go wypadki, kompromitujące w najwyższym stopniu ideę monarchiczną i system absolutny; a więc wstrętna historya małżeństwa Izabelli hiszpańskiej z infantem Franciszkiem, skandaliczny stosunek sześćdziesięcioletniego króla bawarskiego Ludwika z tancerką Lolą Montez i ohydna sprawa rzezi galicyjskiej. Jeżeli dwa pierwsze wypadki miały charakter więcej prywatny, chociaż świadczyły zawsze o wielkiem zepsuciu w tych kołach, które z mocy stanowiska swego i powołania powinny były społeczeństwu przyświecać przykładem cnót i moralności, to zbrodnia, popełniona na szlachcie polskiej w Galicyi, odsłaniała przed światem całą ohydę policyjnych rządów Metternicha, budziła wstręt, udany czy rzeczywisty nawet w takim autokracie jak Mikołaj, w takim stupajce jak Paskiewicz, zapowiadała bankructwo absolutyzmu, strawionego od wewnętrznej zgnilizny. Tak a nie inaczej pojmowano też na zachodzie znaczenie rzezi galicyjskiej i przyjaciel Lamartina, Ronchaud miał słuszność gdy wołał:

Ludy! wolności waszej wybiła godzina.
Chyli się świat despotów i chwiać się poczyna.
Głuchy grom z brzegów Wisły nad brzegi Tybrowe;
Baczność króle! Słuchajcie! Nadchodzą dni nowe.

I nadchodziły krokiem raźnym. Wstrząsnęła się najpierw kolebka cywilizacyi Włochy. Nowy papież, Pius IX., rozpoczął swoje panowanie od udzielenia powszechnej amnestyi, po ulicach Rzymu zabrzmiał okrzyk: *Evviva Pio Nono!* i przejął nieopisaną trwogą Metternicha; papież, jego zdaniem, podkładał za-

rzewie pożaru pod gmach społecznej budowy, a stary Radecky pisał do przyjaciela swego, generała Wrangla: „Nie siła narodów, lecz słabość monarchów wywołuje rewolucye. Sławiony Pius jest może dobrym człowiekiem, ale zresztą słabym i próżnym księdzem.“ [1]) Ruch tymczasem szerzył się dalej; dnia 12. stycznia 1848 r. powiała z murów palermitańskich trójkolorowa chorągiew, Sycylia wypowiedziała posłuszeństwo neapolitańskim Burbonom; 8. lutego ogłosił król Karol Albert konstytucyą w Piemoncie. Wypadki te podziałały jak iskra elektryczna na umysły Lombardów. Naprożno zamknął rząd uniwersytety w Padwie i w Pawii, naprożno zakazał surowo śpiewać hymn, ułożony na cześć Piusa IX., nadaremnie tłumił drobne nawet rozruchy uliczne bagnetami, poczucie narodowości raz rozbudzone nie dało się już powstrzymać.

Nagle padł grom, który dnia 24. lutego 1848 obalił zachwiany już tron Ludwika Filipa; druga republika z Lamartinem na czele rozpoczęła krótkie swoje panowanie od powalenia radykalnych stronnictw w krwawej bratobójczej walce. Za przykładem Paryża poszedł Wiedeń, za Wiedniem Berlin, Ludwik, król bawarski, musiał abdykować na rzecz syna swojego Maksymiliana II.; prąd rewolucyjny przebiegł całą Europę wzdłuż i wszerz i zatrzymał się dopiero u granic carstwa. Nadzwyczaj wczesna i pogodna wiosna 1848 r. zdawała się zwiastować brzask prawdziwej wolności i braterstwa ludów. Poruszyły się więc wszędzie umysły, zadrżały serca dreszczem jakiejś nieokreślonej a błogiej nadziei, wyobraźnia snuła przed oczyma tłumów, upojonych radością, wspaniałe obrazy złotego wieku. Podniesienie mas do godności obywatelskiej, równość stanów, swoboda myśli i słowa, wymiar sprawiedliwości dla zgnębionych i pokrzywdzonych, oto były cele, których osiągnięcie, podług powszechnego mniemania, najmniejszej nie podlegało wątpliwości. A jeżeli takie były zamiary rewolucyi, jeżeli hasła, wypisane na jej sztandarach, nie były czczymi frazesami, lecz z głębokiego pochodziły przekonania, jeżeli na nich opierał się program polityczny, to w pierwszym rzędzie musiał on się odnosić do Polski, miał obowiązek naród ten podźwignąć, krzywdy jemu wyrządzone naprawić i od tego aktu sprawiedliwości rozpocząć powszechne dzieło odrodzenia. Nic naturalniejszego zatem, jak że Polacy, którzy od r. 1832 w ogólnem poruszeniu ludów pokładali nadzieję odzyskania swojej niepodległości, powitali rewolucyą z zapałem i przylgnęli do niej całem sercem. Entuzyazm ogarnął przedewszystkiem emigracyą, polegającą jak zawsze na sympatyach francuskich, które w przedrewolucyjnej dobie z niesłychaną objawiały się siłą. Ledru-Rollin na uczcie w Lille mówił pomiędzy innemi, że „bohaterska Polska nie mogąc już postawić wojsk w własnej obronie, poświęca codzień jakiego mężczynnika“, Ferdynand Flocon wołał przy podobnej sposobności: „Polsko, nie możesz już zginąć, bo połączyłaś sprawę twoją z sprawą wiecznej prawdy,“ a Lamartine, wyliczając winy rządu, pisał: „W Krakowie uczyniono zamach stanu przeciw Polsce a wy patrzycie jak ofiary giną i ściskacie dłoń katom.“ Nawet Bakunin na obchodzie listopadowym nazwał wojnę z r. 1831 zamachem Moskali na wolność braterską i zakończył swoje przemówienie okrzykiem: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

[1]) Treitschke: Deutsche Geschichte im XIX. Jahrhundert, V., 724.

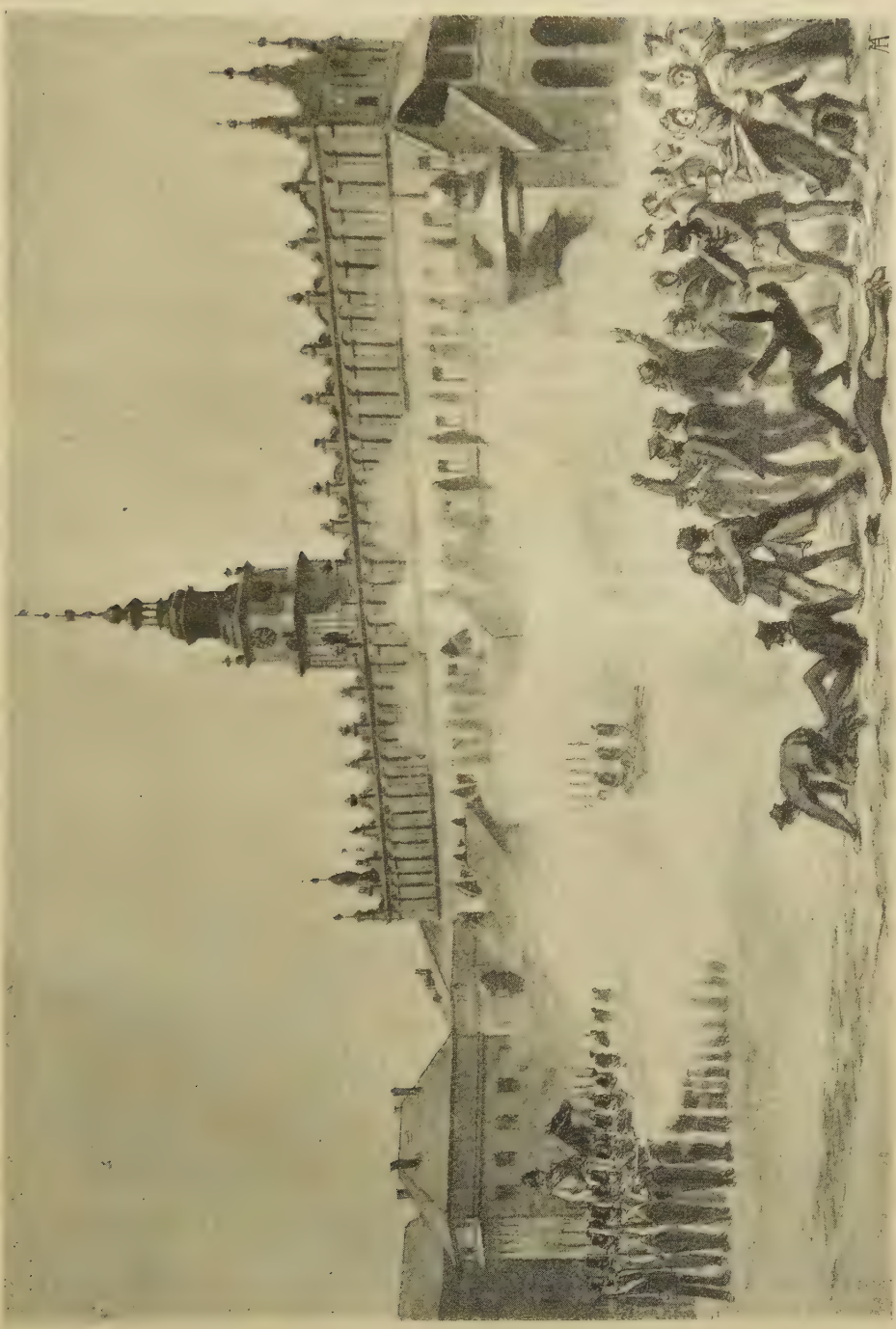

Bombardowanie Krakowa dnia 26. kwietnia 1848 r.

Takim głosem odzywała się o Polsce nie dwujęzyczna, nie szczera dyplomacya, lecz przedstawiciele ludu, obrońcy uciśnionych, nieubłagani mściciele krzywd wszelakich, szermierze wolności. Czyż podobnem było powątpiewać o szczerości ich uczuć, o sile przekonań, o uczciwości zamiarów? Rosły więc serca biednych tułaczy; zbiegali się rozprószeńcy z Anglii, z Algieru, z prowincyi do Paryża, bo zdawało im się, że ojczyzna ich woła. Powstała myśl trafna i zbawienna połączenia wszystkich stronnictw emigracyjnych, utworzenia władzy naczelnej, którąby się z rządem republikańskim mogła porozumiewać i sprawą polską kierować. Niestety, towarzystwo demokratyczne, idąc za zdaniem członka centralizacyi Darasza, odrzuciło ten projekt i na razie skończyło się tylko na wspólnym udziale Polaków w olbrzymim pogrzebie ofiar poległych w walce z wojskiem królewskiem. Sympatyczne przyjęcie, jakiego doznali emigranci podczas tej manifestacyi, zachęciło do podjęcia na nowo przerwanych usiłowań zjednoczenia. Wybrano w tym celu komissyą pod przewodnictwem generała Dwernickiego, Juljusz Słowacki doradzał zawiązać konfederacyą.[1]) Myśl przyjęła się. Młodzi wielbiciele poety, wobec których on poglądy swoje rozwijał, zajęli się wykonaniem zamiaru. Wybrani w tym celu Feliński i Andrzej Fredro pozyskali łatwo Dwernickiego; chodziło jeszcze o Mickiewicza. Adam, jakkolwiek w ostatnich czasach zerwał z Towiańskim, pracował dalej w wskazanym przez niego kierunku. Wypadki współczesne poruszyły żywo potężny umysł wieszcza. W polityce Piusa IX. widział on tak jak wielu innych, początek nowej epoki w dziejach świata. Kiedy Mazzini w liście, pisanym do papieża (d. 8. września 1847 r.), wołał: „Możesz stanąć między dwoma epokami i poprowadzić ludzi na zdobycie i realizacyą prawdy religijnej na gruzach nędznego materyalizmu i negacyi nic stworzyć niezdolnej. Ludy uwielbiają w Tobie najlepszego tłumacza boskich zamysłów; świadomość tego da Ci cudowną siłę. Rzuć słowo współczucia i niech publicznie będzie ono znanem pierwszemu Polakowi z Galicyi, który stanie przed Tobą;“ Mickiewicz rozwijał równocześnie w kółku najbliższych podobne zasady. „Objawienie ducha chrześcijańskiego w polityce — mówił — budowanie państwa Chrystusowego musi wziąć początek z Rzymu, który jest Kościołem i Państwem. To Państwo było duchem wyjednane na ziemi. Powołani, abyśmy duchowi Państwo na na ziemi zdobywali, z Rzymu, posady naszej, na ziemię iść musimy.“ Z tą myślą wybierał się do wiecznego miasta, w przededniu rewolucyi, w styczniu 1848 r., nie wątpiąc ani na chwilę o upadku Ludwika Filipa. „Jego panowanie — rzekł przy pożegnaniu do ekskróla Hieronima Bonapartego — kończy się. Wasza rodzina wraca do władzy; Guizot w oczach moich jest już niczem.“

W Rzymie wzięły jednak wypadki inny obrót. Pius IX. podczas posłuchania nie wspomniał wcale o sprawie Towiańskiego, którą Mickiewicz pragnął poddać pod sąd stolicy apostolskiej, a ks. Jełowicki równoczesnie ogłosił z kazalnicy, że Adam wyrzekł się błędów i nawrócił. Takie „publiczne nicowanie sumienia“ dotknęło mocno i rozżaliło poetę. Zawarłszy więc z księciem

[1]) Pamiętniki ks. Felińskiego, I., 343.

toskańskim umowę o utworzeniu polskiego legionu, powrócił do Paryża w wielkiem rozdraźnieniu. W tak niestosownej porze zjawiła się u niego wspomniana wyżej deputacya i usłyszała oczywiście odpowiedź odmowną. Wysoki nastrój umysłowy wieszcza nie był w stanie zniżyć się do pojęć pospolitych codziennej polityki. „Gdzie jest spójnia narodowa u was? — wołał — gdzie jest to zjednoczenie w duchu, co trwałość i potęgę zbiorowego ciała stanowi? Jakąż ideę wypisaliście na tym sztandarze, pod który tak śmiało nawołujecie polskich patryotów? Walka o niepodległość to nie idea, to czyn, i to czyn ciała raczej niż ducha; czyn, w którym rozstrzyga liczba, wyższość broni, zresztą uzdolnienie i doświadczenie wodzów. Wzywacież mnie, człowieka myśli i uczucia, abym stanął pod waszym sztandarem, jako walcząca jednostka, jako pionek, posuwany na szachownicy obcą i to najczęściej bezmyślną dłonią?“ A na uwagę Felińskiego, że konfederacya zamierzona stoi na gruncie narodowym i katolickim, wybuchnął gwałtownie przeciw „drzemiącym stróżom świątyni“ i „Faryzeuszom, którym gnuśność i pobłażanie pasterzy dogadza“. Był to objaw niesłychanego rozdraźnienia, przykry dla poety, szkodliwy dla sprawy narodowej, która traciła w nim jednego z najdzielniejszych obrońców.

Tymczasem wypadki w Austryi i w Prusiech, dotykające bezpośrednio dwóch dzielnic polskich, wymagały współdziałania ze strony emigracyi, postanowiono zatem udać się do rządu z prośbą o pozwolenie formowania i uzbrojenia legionu polskiego. Pochód wysłanników polskich do ratusza zamienił się w wspaniałą manifestacyą; tłumy ludu z chorągwiami, gwardya narodowa z muzyką otaczały garstkę tułaczy z Dwernickim na czele, zewsząd brzmiały okrzyki: „Niech żyje Polska.“ Odpowiedź Lamartina, rozpoczynająca się od słów: *On ne ressuscite pas les morts* uderzyła jak grom w deputacyą, wywołała oburzenie u Francuzów; w tłumie odezwały się wołania: Nikczemny! tchórz! (*lâche, poltron!*), ale to już nie zdołało ani zatrzeć wrażenia, ani osłabić znaczenia mowy. Rząd drugiej republiki wyparł się publicznie Polski i Polaków, bo jakkolwiek pod naciskiem opinii postanowił utworzyć legią polską i poruczył wykonanie formacyi ministrowi wojny, pod którego rozkazami legia miała zostawać, to nie dostarczył na ten cel ani broni, ani pieniędzy, tak że rozporządzenie najmniejszej Polakom nie przyniosło korzyści. Z prywatnych składek tylko, które od najuboższej płynęły ludności, zbierano szczupłe fundusze i wysyłano ochotników, jednych do legii włoskiej, pod dowództwem pułkownika Kamińskiego, innych do Austryi i do Prus, gdzie co chwila spodziewano się wojny z Rosyą.

Wielkie Księstwo Poznańskie i Galicya. Podobnie jak emigracya łudziła się pomocą republikańskiej Francyi, tak rodacy w zaborze austryackim i pruskim wierzyli niezachwianie w interwencyą rządów tamtejszych na korzyść Polski i Polaków. Nadzieje te polegały na objawach sympatyi, którą okazywały dla sprawy polskiej masy, powstające przeciw absolutnej władzy, i na chwilowem usposobieniu rządów, schlebiających do czasu wszechwładnej opinii tłumów. Łatwo zapalna wyobraźnia polska budowała na tych kruchych podstawach, na tem optycznem złudzeniu najśmielsze marzenia.

Rewolucya berlińska, późniejsza cokolwiek od wiedeńskiej, nadała rzeczywiście sprawie uwięzionych w r. 1846 Polaków niespodziewany obrót. Osadzeni najpierw w więzieniu Sonnenburg zwanem, a następnie w nowo zbudowanym domu kary, w Moabicie pod Berlinem, doczekali się oni zmiany ustawy (17. lipca 1846 r.) w tym kierunku, że proces miał się toczyć jawnie, jak gdyby przed sądem przysięgłych. Już ta sama nowość a jeszcze bardziej znaczenie doniosłe całej sprawy wywołały w kołach berlińskich wielkie zaciekawienie i nadały procesowi polskiemu cechę niezwykłą. W ten sposób stało się, że Mierosławski mógł wygłaszać swoją świetną obronę w języku francuskim, nie tylko przed trybunałem, ale i przed tłumnie zebraną publicznością, która, rozumiejąc przez połowę to co mówił, zachwycała się śmiałością i oratorskim talentem niefortunnego generała. W śledztwie, co prawda, działo się inaczej; Mierosławski, złudzony zapewnieniami dyrektora policyi Dunkera, że król wielkiej liczby obwinionych karać nie będzie, wyśpiewał wszystko, wymienił nazwiska spiskowych, nawet drobne szczegóły, i tem swojem lekkomyślnem postępowaniem skompromitował gruntownie współwięźniów. Powstało skutkiem tego pomiędzy obwinionymi słuszne oburzenie na tę wielomowność, uradzono zerwać z Mierosławskim wszelkie stosunki, unikano jego towarzystwa na wspólnych przechadzkach, nie chciano z nim razem w jednej siedzieć kaźni. Przerażony starał on się później „wykłamywać“ swoje ofiary przed sądem, ale była to już sprawa o wiele trudniejsza i bądź jak bądź osobiście go kompromitująca. Wyrok zapadł surowy: ośmiu oskarżonych, pomiędzy tem Mierosławskiego, skazano na śmierć, 109 na dłuższe lub krótsze więzienie; 116 uwolniono dla braku dowodów, 18 zupełnie, jako niewinnych. Wśród tego przyszło dnia 18. marca do rozruchów i do walki ludu z wojskiem na ulicach berlińskich, aż król czy to na prośby żony swojej, czy też z innych powodów kazał wojsko cofnąć i w odezwie serdecznej do Berlińczyków, wydanej w nocy z 18. na 19. marca zaklinał ich, aby się uspokoili i żądania swoje jemu przedstawili. Gdy tak rewolucya zwyciężyła, bez wielkiego nawet krwi rozlewu, Polacy znajdujący się natenczas w Berlinie, postanowili z tego skorzystać i bez zwłoki udali się do zamku z prośbą o amnestyą dla więźniów i skazańców moabickich. Fryderyk IV., łagodny z usposobienia i dla Polaków dość względny, przychylił się do prośby i nazajutrz dnia 20. marca kazał otworzyć przestępcom wrota Moabitu. Wieść o tem rozeszła się piorunem po mieście, tłumy ludu, zgromadzone przed więzieniem, otoczyły wypuszczonych; Libelta i Mierosławskiego, wyprzągłszy konie z powozu, wieziono własnemi rękami, wśród okrzyków: Niech żyje wolność! Niech żyje braterstwo! do zamku, aby królowi podziękować za amnestyą! a gdy obaj skazańcy przemówili do zgromadzonych w imię wolności i braterstwa ludów, nie było końca wiwatom i zdawało się, że zeszła rzeczywiście jutrzenka swobody, opromieniona miłością, rozpraszająca tumany niewoli, zwiastująca epokę odrodzenia ludzkości . . . Ale złudzenie to miało trwać bardzo krótko. Rewolucya berlińska stanęła od razu na gruncie narodowym; król ogłosił dnia 21. marca, że podzielając patryotyzm niemiecki całego narodu, uważa swoje państwo za rozwiązane i wnikłe do Rzeszy niemieckiej, nie wzbrania jednak pozostać oddzielnie tym prowincyom, któreby

do niej należeć nie chciały.[1]) Odnosiło się to oczywiście w pierwszym rzędzie do W. Ks .Poznańskiego i zalecało Polakom jak największą ostrożność. W Poznaniu, skoro tylko doszła wiadomość o wypadkach w Wiedniu i w Berlinie, utworzył się komitet narodowy, który bez zwłoki postanowił wysłać do króla petycyą, domagającą się administracyjnej i narodowej reorganizacyi Księstwa w myśl traktatu wiedeńskiego i uroczystych poręczeń Fryderyka Wilhelma III.[2]) Petycyą miała złożyć u stóp tronu deputacya, której przewodniczył arcybiskup ks. Przyłuski. Porozumiawszy się z Mierosławskim i Libeltem, którzy zgadzali się zupełnie na powyższe żądania, przedłożyli deputaci rzecz swoją królowi a ten w rozkazie gabinetowym z dnia 24. marca oświadczył: „Na przedstawione mi przez ministerstwo stanu życzenie chętnie się godzę na narodową reorganizacyą W. Ks. Poznańskiego w jak najkrótszym czasie. Zatwierdzam zatem utworzenie komissyi z obudwu narodowości, która razem z moim naczelnym prezesem obmyśli też reorganizacyą i według wypadku obrad uczyni potrzebne wnioski.“

Deputacya postąpiła sobie bardzo nieoględnie i niepolitycznie, gdy zadowolniła się rezolucyą tak niejasną i nic nieznaczącą. Zapewne, że o niepodległości Księstwa trudno było marzyć, bo żaden król pruski dobrowolnie i bez wynagrodzenia stosownego na to by się nie zgodził i nie zgodzi, ale że należało domagać się ustępstw wyraźnie określonych, a nie poprzestawać na ogólnikach, które musiały się stać źródłem nieporozumień i doprowadzić do katastrofy, to chyba najmniejszej nie ulega wątpliwości.

Rząd, jak każdy rząd, zwłaszcza w takiem położeniu, puścił się na temporyzacyą, aby zyskać tylko na czasie. Do przeprowadzenia reorganizacyi wydelegował więc generała Willisena, który niegdyś stał w Poznaniu i znanym był w kołach polskich jako autor dzieła strategicznego, poświęconego głównie roztrząsaniu wojny z r. 1831.[3]) Zapatrywania Willisena były tego rodzaju, że, jak sobie opowiadano, miały nawet zwrócić na siebie uwagę rosyjskich sfer wojskowych i wywołać interwencyą dyplomatyczną gabinetu petersburskiego w Berlinie. Obecnie należał on do tych, co przewidywali nieuniknione starcie z Rosyą i pragnęli pozyskać sobie Polaków, jako sprzymierzeńca dla Prus i Niemiec ogółem wielce pożądanego. Nawiasowo wspomnieć należy, że zdanie Willisena co do stosunku z Rosyą było wtedy dość rozpowszechnione w kołach wojskowych pruskich, że n. p. generał Brandenstein, dowodzący w Głogowie, mówił o tem dosyć wyraźnie Szumanowi, prowadzącemu legią akademicką polską z Berlina do Poznania, a major Schmidt w Wschowie, przyznając się do pochodzenia polskiego, twierdził na pewne, że wojna z Moskwą jest nieuchronna.[4]) Co więcej, Willisen zażądał sam od jednego z członków komitetu, aby zawezwał do Poznania generała Kruszewskiego, będącego w służbie

[1]) Moraczewski Jędrzej: Wypadki poznańskie z r. 1848; str. 18.

[2]) Tak według Szumana (Wspomnienia berlińskie i poznańskie, str. 35). Moraczewski mówi o oddzielnej egzystencyi Księstwa, co niezupełnie jest zrozumiałem i co nie oznacza niepodległości, jak on chce.

[3]) Theorie des grossen Krieges, angewendet auf den russisch-polnischen Feldzug von 1831.

[4]) Szuman: Wspomnienia etc., str. 42—45.

belgijskiej, zamierzał przywołać Skrzyneckiego, porozumiewał się z Mierosławskim a nawet z Chrzanowskim, gdy ten przybył do Berlina, układał plan przyszłej kampanii rosyjskiej. Ludność niemiecka w Księstwie zdawała się podzielać zupełnie usposobienie wojskowych, w odezwie Niemców poznańskich, ogłoszonej wtedy, czytamy bowiem słowa najwyższej dla Polaków sympatyi. „Więzienia rozwarły się — pisano tam — a wasi więzami skrępowani bracia, przez naszych braci uwolnionymi zostali. Wy to uznajecie i podajecie nam braterską prawicę. Bracia! my ją przyjmujemy, a za naszym przykładem pójdzie cały wolny lud niemiecki, który już zniweczył przymierza monarchów z barbarzyństwem azyatyckiem i teraz gotów jest stawić swoją chorągiew czerwoną i czarną ze złotem obok waszej w walce światła przeciw ciemnocie.“

Łatwo sobie wyobrazić, że te dobrowolne objawy uczuć braterskich ze strony Niemców i postępowanie wysokich dygnitarzy wojskowych pruskich żywo poruszyły umysły polskie i obudziły w nich najświetniejsze na przyszłość nadzieje. Nikt nie wątpił o bliskiej, nieuchronnej wojnie z Rosyą i chodziło tylko o to, aby do tego starcia jak najlepiej się przygotować. Komitet narodowy utworzył więc w najściślejszej tajemnicy na wniosek Moraczewskiego rząd tymczasowy Rzeczypospolitej polskiej, z trzech członków złożony, i wydział wojskowy, do którego powołano dawnych oficerów polskich. Zajęto się też natychmiast zbieraniem ludzi, tworzeniem jazdy i piechoty; na żywność dla ochotników i uzbrojenie popłynęły składki; ofiarność była wielka, oprócz gotówki dawano srebra, kosztowności. Przy tem wszystkiem brakowało jednak rzeczy najważniejszej: planu obmyślanego należycie. Wojskowy wydział proponował, aby zebrać dwie armie, jedną na Kujawach, która miała przez Płockie i Augustowskie dążyć na Żmudź i Litwę i tam wzniecić powstanie, drugą ściągnąć na południu i szybkim pochodem przez Szląsk dotrzeć do Krakowa. Prawdopodobnie wyobrażano sobie, że Austrya nic nie będzie miała pilniejszego do czynienia, jak całą potęgą swoją poprzeć także usiłowania Polaków, bo trudno przypuścić, aby zamierzano wydać wojnę równocześnie dwom mocarstwom rozbiorowym, z których jedno, t. j. Austryą, Polacy galicyjscy w adresie złożonym cesarzowi Ferdynandowi I. wzywali do udziału w odbudowaniu Polski. W tej chwili, 28. marca, przybył do Poznania Mierosławski, witany z zapałem przez ludność jako „wódz zmartwychwstały“. W komitecie przyjęto „generała“ niechętnie z powodu owych lekkomyślnych zeznań przed sądem śledczym, ale, ulegając opinii publicznej, która o tem, co się w berlińskiem więzieniu działo, nic nie wiedziała, mianowano go naczelnikiem wydziału wojskowego. Mierosławski nie wątpił także o bliskiej wojnie z Rosyą, inaczej jednak zapatrywał się na uzbrojenie, nie wierzył w kosy, sądził, że dopiero po dwóch miesiącach będzie można z ochotnikami cokolwiek przedsiębrać, tymczasem zajmował się budowaniem słynnych swoich wozów z kosami, które w r. 1863 pod Krzywosądzem okazały się zupełnie nieużyteczną zawadą, wreszcie robotą jakichś plecionek, co miały strzelców zasłaniać. Z tego wszystkiego powziął komitet przekonanie, że „wódz zmartwychwstały“ myśli tylko o wspólnem z Prusakami działaniu przeciw Rosyi, a po cichu mówiono,

[1]) Moraczewski: Wypadki etc., str. 31.

że rząd, chcąc się go pozbyć z Berlina, ofiarował mu przez Willisena naczelne dowództwo nad wojskiem polskiem w przyszłej wojnie rosyjskiej. Nie umiemy powiedzieć, ile w tem opowiadaniu było prawdy, ale to pewna, że łudzili się wszyscy, i Mierosławski i komitet narodowy i Polacy wogóle, jeżeli liczyli na pomoc Niemców lub Francuzów, którzy im mieli rzekomo do wojny z Rosyą udzielić posiłków. Myśl podobnej krucyaty europejskiej, podjętej w celu odbudowania Polski, była po prostu niedorzecznem marzeniem, a jednak poświęcono dla niej realne korzyści, które można było w ówczesnem położeniu uzyskać, nie kierując się uczuciem lub rozsądkiem.

Jakie znaczenie miały sympatye francuskie, o tem przekonali się emigranci polscy w Paryżu, czem było „braterstwo“ niemieckie, doświadczyli wnet Wielkopolanie. Zaledwie bowiem kilkanaście dni minęło od owej chwili, kiedy lud berliński w tryumfie wyprowadził więźniów polskich z Moabitu, a już nastąpiła widoczna zmiana w usposobieniu Niemców względem „braci“ Polaków. Nie był to zwrót niespodziewany dla tych, co pilniej śledzili stosunki niemieckie. W świeżej pamięci mieli oni jeszcze zjadliwe artykuły Henryka Wuttkego, pomieszczone w *Augsburger allgemeine Zeitung* i obszerną na nie odpowiedź Moraczewskiego,[1]) ale nikt może nie spodziewał się, aby ta część opinii niemieckiej wzięła tak prędko górę nad życzliwem dla Polaków usposobieniem całego narodu. A jednak stała się rzecz nieprawdopodobna. Szuman Henryk powróciwszy po czterech tygodniach do Berlina, spostrzegł z zdumieniem na ulicy „pod Lipami“ młodego człowieka, zbierającego składkę „na oddział ochotniczy przeciw Polakom“ *(für eine Freischaar gegen Polen)*. W Księstwie było jeszcze gorzej. Pod wpływem urzędników, obawiających się o swoje posady i przejętych duchem dawnego systemu, budziła się rasowa przeciw Polakom nienawiść, podnosiła coraz silniej głowę reakcya. Ten sam Szuman, idąc jako naczelnik legii akademickiej polskiej z urzędową wizytą do generała Willisena w Poznaniu, został napadnięty na ulicy przez żołnierzy pruskich i zawdzięczał ocalenie swoje tylko interwencyi przypadkowej majora v. Voigts-Reetz. Na prowincyi zdarzały się co chwila napady i morderstwa. Koloniści niemieccy i żołnierze, podburzani przez urzędników, popełniali gwałt za gwałtem. W Słupach zastrzelono obywatela Stanisława Sadowskiego w oczach matki i siostry, Wiktora Potockiego na publicznej drodze pod Żninem; pod Strzelnem zabito dzierżawcę Brodzkiego; pod Łabiszynem huzary zarąbały na śmierć trzech ochotników z Królestwa; w Lesznie i Bydgoszczy zdzierano polskie kokardy a komissarze rządowi zachęcali lud do wyrznięcia szlachty. W tem prześladowaniu narodowości polskiej dopomagali Niemcom wiernie Żydzi wielkopolscy, będący podług świadectwa Treitschkego „szumowinami społeczeństwa“, „zbiorowiskiem lichwiarzy, złodziei i oszustów“, „kupą wszelakiego śmiecia, nagromadzonego w historyi polskiej“.[2]) Nie brakło wprawdzie i w tem „śmietnisku“ ludzi zacnych i rozumnych, którzy poczuwali się do obywatelskich względem kraju obowiązków i stawali godnie pod sztandarem narodowym, masa żydostwa jednak, pragnąc zapewne pozyskać sobie rząd i osiągnąć

[1]) Sendschreiben an Herrn Heinrich Wuttke, die polnische Frage betreffend. Leipzig 1846.

[2]) Treitschke: Deutsche Geschichte, V., 630.

równouprawnienie, jakiego nie posiadała dotąd, stała się najwstrętniejszem narzędziem reakcyi i germańskiej zaciekłości.

Łatwo pojąć, że missya Willisena w takich warunkach powieść się nie mogła. Popierany przez Polaków szczerze, spotykał on się na każdym kroku z złą wolą i wyraźną niechęcią urzędników pruskich i wyższych władz wojskowych. Głównodowodzący generał Colomb i komendant Poznania generał Steinäcker nie troszczyli się wcale o rozporządzenia komissarza królewskiego, lecz działając samowolnie, wydawali rozkazy wręcz sprzeczne z tem co Willisen postanowił. Zgromadziwszy 30.000 wojska w Księstwie, czuli się oni panami położenia, zaprowadzili i utrzymali w Poznaniu stan wojenny, rozesłali po całym kraju kolumny ruchome, które miały nibyto utrzymywać porządek a w istocie tylko coraz większe wzniecały rozdrażnienie w ludności polskiej, równocześnie zaś starali się, zapewne w porozumieniu z władzami cywilnemi, wywoływać po miastach manifestacye niemieckie przeciw zamierzonej reorganizacyi kraju.

Gdy więc Willisen, przybywszy do Poznania, zapowiedział publicznie w odezwie, że Księstwo będzie miało administracyą i sądy polskie i gdy komitet narodowy wskutek tego oświadczenia wybrał komissyą reorganizacyjną, która miała znosić się z Niemcami dla zgodnego uregulowania stosunków, powstały wnet niespodziewane trudności. Twierdzono mianowicie, a i Willisen zgadzał się z tem, że niektóre powiaty pograniczne, jak międzyrzecki i babimoski, muszą być wyłączone od reorganizacyi, bo mają ludność przeważnie niemiecką. Wyłoniła się tak kwestya międzynarodowa, w kraju o mieszanej ludności najtrudniejsza do rozwikłania. A że z góry wiał już prąd dziełu reorganizacyi nieprzychylny, więc aspiracye niemieckie rozdymały się coraz bardziej i groziły podziałem Księstwa na część niemiecką i polską.

Najtrudniejszą jednak była kwestya wojskowa. Pomiędzy życzeniami Polaków znajdowało się także utworzenie w Księstwie odrębnej siły zbrojnej. Nie była to myśl nowa; podnoszono ją już w 1815 roku Generał Amilkar Kosiński przedłożył w tym względzie obszerny memoryał [1]) ówczesnemu namiestnikowi ks. Antoniemu Radziwiłłowi. Teraz, gdy wszędzie organizowano gwardye narodowe i gdy się zanosiło na wojnę z Rosyą, utworzenie korpusu polskiego w Księstwie zdawało się rzeczą nie tylko naturalną, ale i niezbędnie potrzebną. To też wnet po wypadkach berlińskich zaczęli się zbiegać do Wielkopolski ochotnicy miejscowi i zagraniczni; ruszyli się chłopi, bo sądzili, że nadszedł czas bić nie tylko Moskali, ale i Niemców, których serdecznie nienawidzili; przybywała liczna młodzież z Królestwa, dążyli z zachodu emigranci. W ten sposób zgromadziło się około 10.000 ludzi, uzbrojonych przeważnie w kosy. Oddani pod dowództwo dawnych oficerów polskich, żywieni przez obywateli, odbywali oni ćwiczenia wojskowe i czekali niecierpliwie hasła do boju. Dla rządu, który po ostygnięciu gorączki rewolucyjnej wracał zwolna do dawnego systemu politycznego i mając na karku kwestyą szlezwicko-holsztyńską i sprawę ogólno-niemiecką, nie myślał wcale prowadzić wojny z wypróbowanym sprzymierzeńcem swoim dla odbudowania

[1]) D'Angeberg, p. 702.

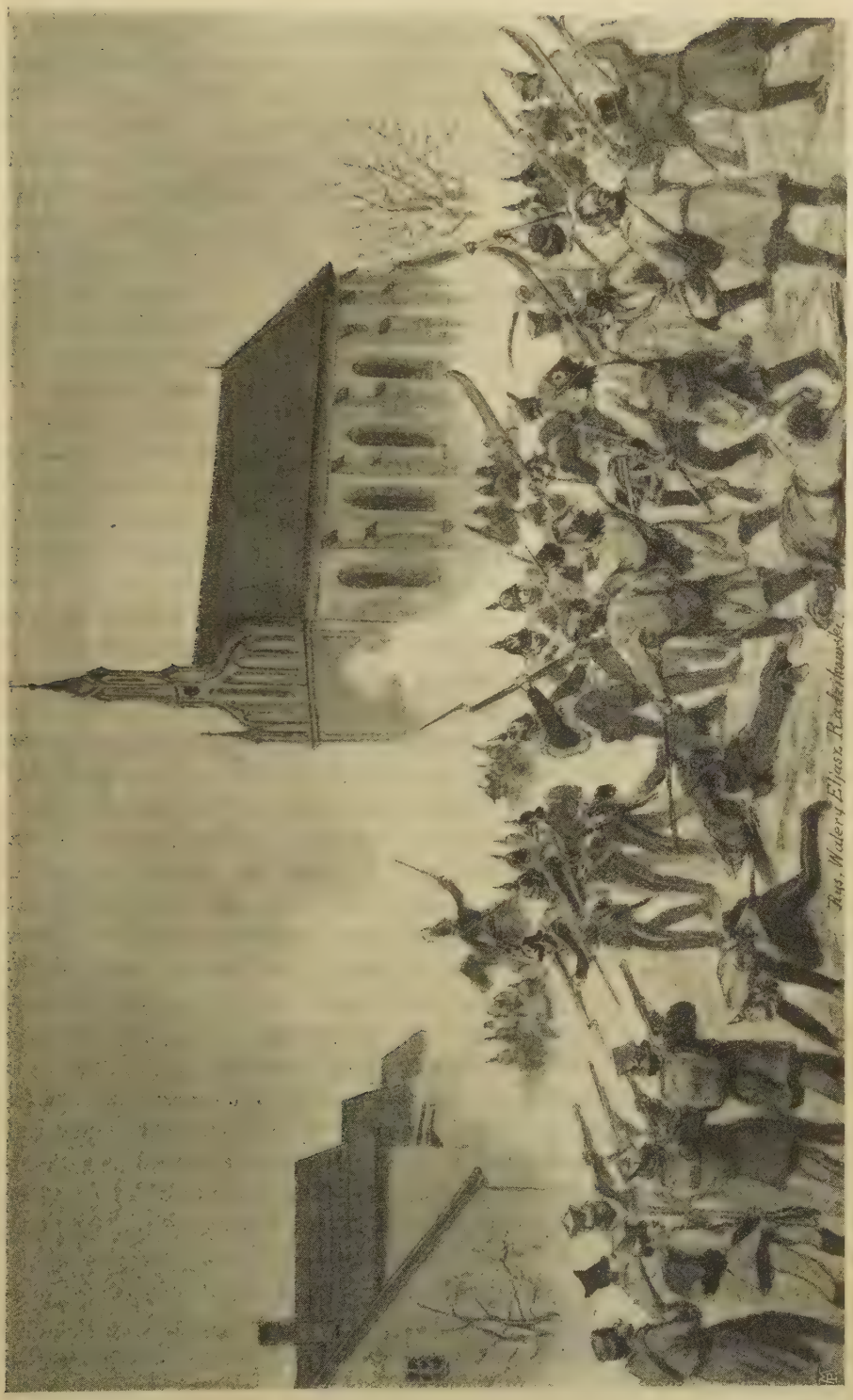

Bitwa pod Miłosławiem.

Polski, która prędzej lub później musiałaby się była upomnieć o prowincye pruskie i ujście Wisły, była ta ruchawka polska wielce niewygodna a nawet kompromitująca Prusy wobec Rosyi. Jednem z głównych zadań Willisena musiało być zatem rozprószenie ochotników polskich pod jakimkolwiekbądź pozorem. I tu nasuwa się pytanie, na które przy dzisiejszym stanie źródeł niepodobna odpowiedzieć, mianowicie czy Willisen działał w dobrej wierze? Z aktów ogłoszonych dotąd sądząc, zdaje się, że tak. W proklamacyi, wydanej dnia 6. kwietnia, zapowiada on, że Księstwo będzie miało administracyą i sądownictwo polskie, stara się uspokoić obawy Niemców, w kwestyi wojskowej tylko wyraża się niejasno. „Chcecie mieć — pisze — wojsko narodowe, będziecie je posiadać w landwerze.“ [1]) Zapaleńcy germańscy byli z tego niezadowoleni i uważali generała za zdrajcę. On szedł jednak drogą wytkniętą dalej, porozumiewał się z komissyą reorganizacyjną, mniemał, że naprzód należy władzę naczelną w Księstwie oddać Polakowi, i posłał do Berlina nazwiska kandydatów na ten urząd najodpowiedniejszych, landratom dodał do boku komissarzy polskich, generała Colomba powstrzymywał od kroków gwałtownych, wreszcie jął się sprawy najdraźliwszej, wojskowej. Zaczęto układy w Jarosławcu. Brał w nich udział poufny wysłannik Lamartina Charles Didier, oficerowie polscy z Mierosławskim i Białoskórskim na czele i członkowie komitetu narodowego: Libelt, Radoński, z komissyi reorganizacyjnej Stefański. Położenie Polaków było bardzo trudne, niemal rozpaczliwe. Otoczeni z jednej strony przez przeważające siły pruskie, mieli za sobą granice Królestwa obsadzone silnie wojskiem rosyjskiem; w obozach panowała niezgoda: jedni byli za Mierosławskim, jako szefem sztabu oczekiwanego generała Kruszewskiego, drudzy słyszeć o nim nie chcieli. „Wojsko polskie wyglądało słabo, nie przemagała w niem myśl wkraczania do Królestwa“; komitet narodowy trzymał się na uboczu. Nic dziwnego zatem, że doświadczeni wojskowi, tak dobrze Mierosławski jak Białoskórski, byli przeciwni krokom wojennym i doradzali układy. Stanęła tak d. 11. kwietnia konwencya w Jarosławcu, podpisana ze strony polskiej przez Libelta, Stefańskiego i Radońskiego. Stwierdzono tam na wstępie, odmiennie już od tego, co głosił w proklamacyi swojej Willisen, że wydziały administracyi cywilnej będą miały na czele swojem Polaków, a zresztą tak obsadzone zostaną, jak tego wymaga stosunek ludności narodowościowy, ażeby stało się możebnem, aby każdy we własnym języku był rządzony i prawo odbierał. Mimochodem wspomniano o wyłączeniu powiatów nadgranicznych. Co do uzbrojenia narodowego projektowano, że rekruci polscy nie mieli być wcielani do pułków szląskich lub niemieckich, lecz słuchać polskiej komendy i występywać pod znakami i barwami narodowemi. Cały ten ustęp ogólnikowy niejasny, pogmatwany, był wyrazem opinii osób prywatnych raczej, niż aktem urzędowym, i politycznego znaczenia nie posiadał wcale. Sama konwencya za to orzekała wyraźnie, że ochotnicy, zgromadzeni w obozach, dzielą się na 3 kategorye, z których pierwsza rozejdzie się natychmiast do domu, druga, z landwerzystów złożona, uda się do swoich kwater sztabowych, trzecia wreszcie pozostanie na miejscu w obozach w Wrześni, Miło-

[1]) D'Angeberg, 1096.

sławiu, Książu i Pleszewie i z niej ma być utworzona dywizya poznańska, w sile mniej więcej 2400 ludzi. Żaden ochotnik, czy to w służbie czynnej, czy w landwerze zostający, nie będzie pociągany do odpowiedzialności; obcokrajowców rząd nie wyda.

Konwencya nie zadowolniła i nie mogła zadowolnić nikogo. Nie chciał się zgodzić na zorganizowanie wojska polskiego minister Auerswald. Zagorzali Niemcy sarkali na zbyt wielkie ustępstwa poczynione Polakom, podczas gdy ci ostatni oprócz marnych, gołosłownych obietnic, najmniejszej nie odnieśli korzyści. To też w obozach polskich powstało niesłychane, a przyznajmy, i słuszne całkiem oburzenie. Objawiło się ono w Środzie, najpierw na posiedzeniu tamtejszego komitetu powiatowego a następnie na powszechnem zgromadzeniu, gdzie Libelta, wyjaśniającego przyczyny jarosławieckiej konwencyi omal nie rozniesiono na kosach. Zewsząd podniósł sie okrzyk: zdrada! i kto zna cokolwiek psychologią tłumów, ten dziwić się temu nie będzie. Przez kilka tygodni zwoływano ochotników pod sztandary narodowe, karmiono ich nadziejami, które się spełnić nie miały, a teraz nagle kazano im rozejść się do domów, na urągowisko gawiedzi niemiecko-żydowskiej. Takiej polityki nie mógł żadną miarą zrozumieć chłop, wzięty od pługa, albo rzemieślnik, co porzucił warsztat, aby bić Prusaków i Moskali; obaj oni nie znali trudności istniejących, bo ani się nad niemi nie zastanawiali, ani pojąć ich nie byli w stanie, widząc zaś, że sprawy poszły inaczej, niż z razu sądzono, a poszły nie dobrze, upatrywali w tem jakąś podstępną machinacyą, której winni byli oczywiście ludzie stojący u steru. W tym samym duchu, ale z odmiennych cokolwiek powodów, argumentowali przybyli z Królestwa, obawiając się, że ich Prusacy wydadzą Rosyi, i emigranci, emissaryusze towarzystwa demokratycznego, którzy tylko w orężnej walce widzieli możność wywalczenia niepodległości.

Wśród takich stosunków było i wykonanie jarosławieckiej konwencyi rzeczą niezmiernie trudną, niemal niepodobną, zwłaszcza że władze pruskie po odjeździe Willisena, któremu Niemcy i Żydzi w Poznaniu urządzili kocią muzykę i szyby w mieszkaniu powybijali, postępowały z złą wiarą, podstępnie napadając na ochotników rozpuszczonych, rąbiąc całe oddziały a landwerzystów pakując bez ceremonii do kozy. Willisen, zniechęcony, gdy spostrzegł, że z zapaleńcami niemieckimi w Księstwie rady sobie nie da, odjechał z raportem do Berlina a generał Colomb, uwolniwszy się w ten sposób od niewygodnego kontrolora, przystąpił do wykonania konwencyi według własnego rozumienia, czyli innemi słowy do rozpędzenia polskich obozów. Zachodziło pytanie, co mieli czynić w takim wypadku Polacy? Komitet narodowy wspólnie z klubem poznańskim oświadczył się po długiej, burzliwej naradzie większością jednego tylko głosu za złożeniem broni; Moraczewski, Stefański, i Libelt i kilku innych było za walką na śmierć lub życie. Ale w obozach, mianowicie w Miłosławiu, nikt nie chciał słyszeć o składaniu broni a równocześnie prawie padły pierwsze strzały. Pułkownik Brandt, niegdyś oficer w legii nadwiślańskiej, uderzył dnia 28. kwietnia trzema kolumnami na Książ i po bohaterskiej obronie, w której zginął śmiercią walecznych dowódzca od-

działu polskiego Floryan Dąbrowski, opanował miasteczko. Żołnierze pruscy splamili tu swój honor wojskowy barbarzyńskiemi prawdziwie czynami, mordowali bowiem rannych, znęcali się nad jeńcami, kłuli bagnetami kobiety, dzieci nawet wrzucali w płomienie. Po Książu przyszła kolej na Miłosław. Generał Blumen zebrawszy około 5000 ludzi, postanowił rozpędzić lub znieść tutejszy oddział polski, liczący 1880 ochotników i artyleryą, złożoną z jednej armaty sześciofuntowej, dwóch trzy- i jednej półfuntowej pukawki. Po bezskutecznej rozmowie z Mierosławskim, który oświadczył, że poddać się nie może, bo żołnierze wymordowaliby i jego i oficerów jako zdrajców, zaczęła się bitwa. Prusacy liczbą i artyleryą o wiele silniejsi, dotarli po uporczywym boju aż do pałacu, gdzie krótką, ale zapalczywą niezmiernie stoczono walkę. Mierosławski widząc, że wszystko już prawie stracone, nakazał odwrót ku Nowemu Miastu. Nagle z lasu, położonego przy drodze nowomiejskiej, wysunęli się polscy ułani. Był to oddział Białoskórskiego, który, omyliwszy czujność Brandta, przeprawił się niespodziewanie przez Wartę i w najkrytyczniejszej chwili przybył swoim na pomoc. Pojawienie się niespodziewane nowych sił polskich rzuciło taki postrach w szeregi pruskie, że kirassyerzy a za nimi huzary i ułani, słowem cała kawalerya pierzchnęła w nieładzie do Miłosławia, tratując po drodze własną piechotę. Polacy przeciwnie, na duchu pokrzepieni puścili się z okrzykiem hurra! za uciekającymi. Najuporczywsza walka wszczęła się na wzgórku koło kościoła, gdzie oddział pruskiej piechoty zasłał gęstym trupem pobojowisko i w odwrocie przez miasteczko dotkliwe poniósł straty. Ogołem legło Prusaków 300, Polaków 150.

Zwycięstwo pod Miłosławiem (30. kwietnia), acz chlubne dla oręża polskiego, nie zmieniło w niczem położenia powstańców. Zagrożeni zewsząd przeważającemi siłami Prusaków, nie mogli się oni utrzymać dłużej w okolicy, wyczerpanej już z wszystkich zasobów, i postanowili przedrzeć się do Kujaw. Po zwycięskiej utarczce pod Wrześnią, okazało się jednak, że i tego zamiaru wykonać niepodobna. Wprawdzie rozbiegli się emissaryusze z Poznania, głosząc wszędzie wojnę ludową, i poruszyli po wioskach włościaństwo, oburzone okrucieństwami Prusaków. Zaczęły się zbierać oddziały mniejsze i większe. Celiński, dawny oficer polski, urządził w okolicach Stęszewa zasadzkę na landwerę pruską i odniósł zupełne zwycięstwo; Wilczyński opanował Rogalin, ale te drobne powodzenia miały tylko znaczenie epizodyczne. Mierosławski widział, że dalsza walka najmniejszej nie rokuje nadziei i że trzeba się koniecznie układać, zwłaszcza gdy honor broni został ocalony. Trudne i przykre zadanie parlamentowania z nieprzyjacielem powierzono pułkownikowi Brzeżańskiemu. Stanęła ugoda z generałem Wedellem w Bardzie o złożenie broni, ale w dniu oznaczonym do tego (10. maja) zastali Prusacy zaledwie 35 ludzi po większej części chorych, reszta rozbiegła się zawczasu do domów albo do oddziałów Wilczyńskiego i Krotowskiego, które jeszcze prowadziły partyzantkę w okolicach Rogalina. Bezpośrednim skutkiem tego zakończenia ruchawki wielkopolskiej były gromadne aresztowania patryotów, którzy, osadzeni w kazamatach kistrzyńskich lub więzieniach poznańskich i, doświadczywszy srogich

prześladowań ze strony Niemców i gawiedzi żydowskiej, doczekali się wreszcie powszechnej amnestyi.

Sprawa polska pod zaborem pruskim weszła tymczasem w nowy okres, stała się przedmiotem dyskussyi parlamentarnej i nowych eksperymentów podziałowych. Generał Pfuel, mianowany na miejsce Willisena komissarzem królewskim w Księstwie i opatrzony nieograniczonem pełnomocnictwem, wykreślał coraz to inne linie demarkacyjne, tak że w końcu z całego obszaru W. Ks. Poznańskiego 413 mil kwadratowych i 1·5 miliona mieszkańców miały jako część niemiecka przypaść do Niemiec a tylko 117 mil kwadr. z 300.000 ludności miało pod nazwą „Księstwa Gnieznieńskiego“ uzyskać odrębną narodową administracyą polską, co także nigdy w życie nie weszło. Niemcom ówczesnym bowiem zawróciła głowę zupełnie myśl zjednoczenia całego narodu i obalenia niedołężnej rady związkowej, t. zw. „Bundestagu“. W tym celu zebrało się w Frankfurcie n. M. grono mężów zaufania niemieckich, jako parlament wstępny (Vorparlament) i uchwaliło w krótkiej drodze wcielenie do Rzeszy całych Prus zachodnich, gdzie żywioł polski, rozbudzony wypadkami poznańskiemi, właśnie żywiej ruszać się począł. Zaniepokojeni tem nasi Pomorzanie i Prusacy wysłali do Frankfurtu z protestem przeciw owej dorywczej uchwale Ignacego Łyskowskiego, Wielkopolanie zaś dla przeszkodzenia podobnym zamachom na odrębność Księstwa, Władysława Niegolewskiego. Obaj ci delegaci założyli protest przeciw wcieleniu prowincyj polskich do Niemiec, co miało ten skutek, że mężowie zaufania, po większej części Niemcy uczciwi, zawiesili powziętą uchwałę do zebrania się kompletnego sejmu a względem Polski orzekli, że „honor Niemiec stawia się w rękojmii, iż hańba, ciążąca na Niemczech przez rozbiory Polski, zmazaną być musi wskrzeszeniem niepodległej Polski.“ Podobnie i sejm powszechny pruski, zwołany dnia 2. kwietnia, zajął stanowisko dla Polaków przychylne, w adresie bowiem do tronu oświadczył, że „Niemcy, mając mocne postanowienie strzeżenia własnej narodowości, chcą sprawiedliwości dla wszystkich i dlatego z radością witają rozkaz JKMci, zapowiadający W. Ks. Poznańskiemu reorganizacyą narodową.“

Mimo tych głosów uczciwych i roztropnych brały sprawy dla Polaków coraz gorszy obrót. Minister Puttkamer, wróg narodowości polskiej, podburzał przez organa swoje opinią publiczną, dzienniki berlińskie nie chciały wcale przyjmować artykułów, pisanych w obronie Polaków; w Księstwie rozpisano wybory do parlamentu niemieckiego, tak jak gdyby ta prowincya już była wcielona do Rzeszy. Musieli więc i Polacy pomyśleć o obronie. Za staraniem Henryka Szumana a kosztem G. Potworowskiego założono w Berlinie „biuro korespondencyjne polskie“; na ujadania niemieckie odpowiadali trafnie: Juljan Klaczko, który rozpoczynał wtedy swój zawód publiczny, w broszurce *Die Hegemonen*, Roger hr. Raczyński (*Wer hat die Freiheit verrathen?*), Wojciech Lipski, Gustaw Senst, Löwenberg i Henryk Szuman. Od wyborów do parlamentu wstrzymali się wprawdzie Polacy, ale wysłano tam naprzód ks. Janiszewskiego, później Libelta, którzy zaprotestowali energicznie tak przeciw wcieleniu Księstwa do Rzeszy jak i przeciw rozdzieleniu jego na część polską

i niemiecką. Obok tego utworzono na wniosek Cieszkowskiego (28. czerwca 1848 r.) ligę narodową polską, mającą na celu skupienie w jedno ognisko sił moralnych i materyalnych, tak w kraju jak i za granicą, do jawnego i legalnego działania na korzyść narodowości polskiej. Ruch narodowy objął także i Szląsk: ks. Szafranek, poseł z Górnego Szląska, upomniał się w sejmie pruskim o prawa ojczystego języka w szkołach; zaciekły profesor Wuttke, urodzony z polskich rodziców na Szląsku, odpowiedział na to założeniem hakatystycznego stowarzyszenia ku szerzeniu niemczyzny na wschodzie (*Ostmarken-Verein*), które jednak nie miało powodzenia. Ale wśród tego nachylały się już rzeczy coraz bardziej ku reakcyi. Zaburzenia w Frankfurcie n. M., gdzie tłum, po części pijany, zamordował pruskiego generała pozasłużbowego Auerswalda i ks. Lichnowskyego, stłumiono siłą zbrojną; król pruski powierzył naczelną komendę w Marchii brandenburskiej staremu rębajle Wranglowi, który dowodził dotąd w wojnie z Duńczykami w Szlezwiku; prezydentem ministrów został generał Pfuel. Środki tego rodzaju zapowiadały zmianę systemu podobną jak w Austryi. I rzeczywiście przyszło wnet do poważnych zatargów pomiędzy rządem a sejmem, obradującym nad nową konstytucyą. Dnia 8. listopada powołał król do steru reakcyjne ministerstwo hr. Brandenburga a równocześnie wkroczył Wrangel na czele wojska do Berlina i rozpędził bagnetami sejmujące stany.

W Galicyi podobnie jak i w Poznańskiem wywołała wiadomość o wypadkach wiedeńskich żywy ruch w obozie narodowym. Kiedy wieczorem dnia 18. marca z rozkazu Stadiona ogłoszono we Lwowie patent cesarski, zwiastujący wolność druku, zniesienie cenzury i utworzenie gwardyi narodowej, zebrali się natychmiast patryoci i dawni spiskowcy: Smolka, Hefern i Ziemiałkowski, w celu ułożenia petycyi, zawierającej żądania ludności polskiej w Galicyi. W przeciągu kilku godzin była już rzecz gotowa; domagano się: zaprowadzenia języka polskiego w szkołach, sądach i urzędach politycznych; powszechnej amnestyi; szkół dla ludu; sądów przysięgłych; zupełnego zniesienia pańszczyzny i wszystkich poddańczych powinności, z czego galicyjscy właściciele dóbr chcą uczynić dar swoim dotychczasowym poddanym; obsadzenia urzędów krajowcami a wykluczenia od nich niekrajowców; wreszcie wojska narodowego, jako narodowej instytucyi. Petycyą tej treści, wyłożoną w redakcyi *Dziennika mód paryskich*, pokryły w ciągu dnia następnego tysiące podpisów i wieczorem 19. marca udała się deputacya, z 40 osób, pod przewodnictwem ks. Leona Sapiehy do namiestnika, aby mu wręczyć akt, będący pierwszym publicznym objawem życzeń i pragnień narodowych. Stadion przyjął delgatów uprzejmie i oświadczył, że zezwala natychmiast na utworzenie gwardyi narodowej i uwolnienie więźniów politycznych, za poręką obywateli wiejskich; co więcej usunął z urzędu burmistrza niepopularnego i nielubianego Festenburga, zastępując go radzcą gubernialnym Agenorem hr. Gołuchowskim, Joachima Chomińskiego zaś wysłał do Czerniowiec. Uradowana publiczność powitała dnia tego wieczorem w teatrze gubernatora oklaskami. Ale harmonia ta nie trwała długo, bo Stadion już dnia 21. marca rozwiązał utworzony przed chwilą komitet narodowy i zabronił wszelkich zbiegowisk i zebrań publicznych. W odpowiedzi

na to niejako powstała dnia 13. kwietnia Rada Narodowa, która miała za zadanie oświecać opinią o sprawach publicznych i zastępować sejm, którego Galicya nie posiadała.

Wszystko to, co dotychczas stało się we Lwowie, było dziełem dorywczem, objawem zewnętrznym chwilowego zapału a nie działaniem politycznem, ułożonem podług pewnego planu i zmierzającem do określonego celu. Petycya, doręczona Stadionowi, pomimo bardzo licznych podpisów, nie miała też charakteru ogólnego krajowego, lecz czysto lokalny i mogła być uważana za wyraz opinii lwowskiej. Zrozumieli to kierownicy ówcześni sprawy narodowej w Galicyi i postanowili w osobnym adresie przedłożyć żądania kraju samemu cesarzowi. Treść adresu pod względem życzeń nie różniła się wiele od petycyi lwowskiej, ale zawierała ustęp charakterystyczny i zasadniczy co do stanowiska Austryi w sprawie polskiej. „Wyznajemy z wdzięcznością — są słowa adresu — że na kongresie 1815 r. gabinet wiedeński domagał się naprawienia krzywdy nam wyrządzonej przez odbudowanie całej i niepodległej Polski. Co okoliczności utrudniały wtedy, mogą dziś okoliczności ułatwić. Nie taimy, że to jest ostatecznym kresem naszych życzeń, że dla tej nadziei gotowi jesteśmy przelewać krew, oddawać życie i majątki. Ta myśl tylko może wydobyć wszystkie siły narodowe, skłonić do największych poświęceń. Z całą tedy otwartością, z całą ufnością, do jakiej nas upoważnia patent WCKMci z 15 marca 1848 r., uznanie i poszanowanie każdej narodowości zapewniający, przedkładamy Ci Najj. P. sądem dziejów i głosem całej Europy utwierdzone przekonanie, że narodowość polska przez rozbiór Polski r. 1772 zgwałconą została, że przeto w oświadczeniu WCMci, iż narodowość naszą uznać i szanować chcesz, słusznie upatrujemy chęć uchylenia traktatów podziału Polski.“

W ustępie powyższym wypowiedziano nadzieję i życzenie odbudowania niepodległej Polski, jeżeli nie przez Austryą, to w każdym razie z jej pomocą, wypowiedziano nadto, w sposób niewyraźny wprawdzie, ale łatwy do zrozumienia, myśl oderwania Galicyi, bez czego odbudowanie całej Polski było niepodobnem. Powtarzały się więc tu, w akcie urzędowym, te same zasady, które kierowały działaniem Wielkopolan, te same złudzenia, którym ulegali wszyscy Polacy poza granicami Rosyi, i Czartoryski, oczekujący z Chrzanowskim w Berlinie wypowiedzenia wojny Moskalom, i członkowie towarzystwa demokratycznego, wierzący święcie w pomoc republikańskiej Francyi i ludu niemieckiego, i Mierosławski w Księstwie i świeżo od metternichowskiego systemu wyzwoleni Galicyanie. Najmniej uzasadnioną była ufność do Austryi, nie dlatego, jakoby ona miała się najbardziej sprzeciwiać odbudowaniu Polski, ale że zawikłane stosunki wewnętrzne tego państwa, słabość panującego i niepomyślny stan finansów, nie pozwalały na żadne przedsięwzięcie hazardowne w polityce zewnętrznej. Dopuścić zaś do tego, aby Polacy w Galicyi uzbroili się do wojny z Rosyą znaczyło tyle, co narazić się na niechybną utratę tej prowincyi bądź to przez okupacyą rosyjską, bądź przez przyłączenie do Polski. W chwili, gdy Lombardya odrywała się od Austryi a w Węgrzech zanosiło się na rewolucyą, niepodobna było dla rządu wiedeńskiego rozniecać nowy

pożar wojny u wschodnich granic i tak już skołatanej monarchii. Więc chociaż cesarz Ferdynand przyjął adres, odczytany przez ks. Jerzego Lubomirskiego, stojącego na czele deputacyi galicyjskiej, chociaż popularny arcyksiąże Jan miał oświadczyć delegatom, że podział Polski jest największem nieszczęściem dla Europy a odbudowanie jej rzeczą naturalną i konieczną, to były to okoliczności, nie mające najmniejszego znaczenia a co gorsza bałamucące do reszty opinią polską, skłonną do łatwowierności i optymizmu. Tymczasem w istocie miały się rzeczy inaczej; upadł wprawdzie Metternich i zachwiał się jego system polityczny, ale pozostała po większej części albo ta sama, albo też w szkole dawniejszej wychowana biurokracya, która niechętnie tylko i nieszczerze naginała się do nowych wyobrażeń, pozostała kamarylla dworska i starszyzna wojskowa, nienawidząca rewolucyi i tęskniąca do przywrócenia dawnych, absolutnych rządów, pozostała arystokracya czeska i niemiecka, gotowa do sojuszów z reakcyą a zupełnie obojętna na los Polski. Że te wszystkie czynniki potężne a rozstrzygające wtedy były wręcz przeciwne zamiarom Polaków, to rzecz bardzo zrozumiała. Skoro więc tylko patryoci galicyjscy porzucili pisanie petycyj i adresów a zabrali się do działania, doświadczyli natychmiast największych trudności ze strony władz, do niedawna jeszcze uprzejmych i powolnych. Stało się to najpierw w kwestyi pańszczyźnianej. Pomimo upośledzenia Galicyi w oświacie i postępie cywilizacyi, nie brakło w tym kraju ludzi, pojmujących potrzebę uregulowania sprawy włościańskiej. Od r. 1823 rozpoczynają się usiłowania w tym kierunku, a najgorliwiej krząta się i pracuje nad zniesieniem pańszyzny Tadeusz Wasilewski, wicemarszałek stanów galicyjskich i konsyliarz gubernialny. „Znieść w kraju naszym zgodnym sposobem pańszczyznę — pisze on w Planie poprawy stosunków włościańskich [1]) — jest to spokojność na wieki mu zapewnić, wszystkie socyalne wzburzenia niepodobnemi uczynić.“ Ale rząd, któremu zależało na utrzymaniu waśni społecznej, zachowywał się wobec wszelkich projektów tego rodzaju nie tylko obojętnie, lecz nawet niechętnie. Kiedy w r. 1843, na wniosek Wasilewskiego, sejm galicyjski chciał wybrać komissyą, która miała zastanowić się nad polepszeniem doli wieśniaków i nad ich uwłaszczeniem, pozwolenie na ten wybór nadeszło z Wiednia dopiero w marcu 1845 r., a więc w przededniu niemal smutnych wypadków tarnowskich, i nie miało żadnego skutku, gdyż rząd we wrześniu już wstrzymał wszelkie czynności wybranej komissyi. Z nastaniem ruchu konstytucyjnego weszła na porządek dzienny natychmiast i kwestya włościańska. W petycyi i adresie domagano się zgodnie zniesienia pańszczyzny; gdzieniegdzie, jak n. p. w obwodzie jasielskim, uczyniła szlachta dobrowolnie chłopom znaczne ulgi w odbywaniu powinności poddańczych już w marcu r. 1848; znalazło się wielu i takich, co na pierwsze wezwanie Rady Narodowej znieśli u siebie zupełnie pańszczyznę. Ale i rząd upamiętał się wnet i d. 5 kwietnia wydał okólnik, w którym postanowił, że tylko ci właściciele mogą darować pańszczyznę, których dobra nie są obdłużone, albo jeżeli się wykażą zezwoleniem swoich wierzycieli. Nowe to utrudnienie, równające się zakazowi,

[1]) Rękopis w bibliotece Ossolińskich przytoczony u Schnürr-Pepłowskiego: Z przeszłości Galicyi, str. 403.

powstrzymało ofiarność szlachty, a tymczasem ukazał się patent cesarski z d. 18. kwietnia, ogłoszony 22. t. m., znoszący pańszczyznę z d. 15. maja. W ten sposób odegrał rząd ówczesny względem ludu rolę wspaniałomyślnego dobroczyńcy, a, pozostawiając nieuregulowane sprawy służebności czyli tak zwanych serwitutów, miał możność dalszego skutecznego jątrzenia chłopów przeciw szlachcie.

Zapewniwszy sobie życzliwość mas ludowych, przystąpiły władze galicyjskie równocześnie do stłumienia ruchu narodowego w dwóch głównych jego ogniskach, w Krakowie i we Lwowie. W Krakowie rozwijały się wypadki podobnie jak w stolicy kraju. I tu wybrano komitet narodowy i tu ułożono adres zgodny z lwowskim, ale działając oględniej, zażądano w Wiedniu także zatwierdzenia komitetu, co się stało rzeczywiście d. 14. kwietnia. Starosta krakowski Krieg, syn znanego nam już prezydenta gubernialnego lwowskiego, musiał zatem, rad nie rad, uznać władzę komitetu. Tak, oparłszy się na prawnej podstawie, można było rozwinąć czynność dalszą, a że w Krakowie zbierali się licznie emigranci, których władze pruskie nie wpuszczały do Księstwa, więc wezwano ich także do udziału w komitecie, skutkiem czego działalność tej reprezentacyi przybrała kierunek więcej stanowczy i radykalny. Komitet wydał odezwę do obywateli w Galicyi i w ziemi krakowskiej, zalecając im bezzwłoczne zniesienie pańszczyzny i uwłaszczenie włościan i wyznaczył jako termin do tego pierwszy dzień Zmartwychwstania Pańskiego, 23. kwietnia. Równocześnie pracowano gorliwie nad utworzeniem gwardyi narodowej, którą dowodził z początku Piotr Moszyński, następnie Adam Potocki. Ale rząd, uprzedziwszy szlachtę w zniesieniu pańszczyzny, nie myślał o dalszych ustępstwach. Krieg, bratając się na święconem, które urządzono dla wychodźców, z Polakami, wysłał po cichu do Szczakowy rozkaz niewpuszczania emigrantów do kraju. Na wiadomość o tej perfidyi wpadł tłum do mieszkania starosty, zniszczył tam całe urządzenie, zmusił Kriega do cofnięcia zakazu i zażądał wydania broni dla gwardyi narodowej. Sprawa wzięła w ten sposób obrót groźny. Generał hr. Castiglione, dowodzący załogą krakowską, wysłał w pomoc uciśnionemu staroście generała Moltkego, który razem z członkami komitetu odprowadził Kriega na zamek. Co do broni zaręczał komenderujący słowem honoru, że jej wcale nie posiada. Nazajutrz dnia 26. kwietnia zaczęły się pojawiać w mieście oddziały wojska, zabierając groty do lanc, napastując przechodniów, strzelając i zabijając spokojnych obywateli, pomiędzy tem jakąś kobietę z dzieckiem. Ludność, oburzona tem barbarzyństwem, rzuciła się na żołnierzy, przyszło do krwawej bójki ulicznej i wojsko zostało wyparte z miasta, sam generał Castiglione otrzymał postrzał w twarz. Wtedy odezwały się działa z Wawelu, z ulicy Grodzkiej i Wiślnej; przez dwie godziny padał na bezbronny Kraków deszcz bomb i granatów; miasto zawdzięczało ocalenie swoje od pożaru mokrym dachom, które palić się nie chciały. Po dwugodzinnem bombardowaniu nastąpiła kapitulacya: wszyscy emigranci mieli w przeciągu trzech dni opuścić granice Austryi, gwardya narodowa złożyć broń, komitet narodowy został rozwiązany; rządy nad miastem objął generał Schlick. W tym samym dniu rozpędził Stadion bagnetami Radę Narodową we Lwowie i nie dopuścił

do nabożeństwa żałobnego, jakie zamierzono urządzić na miejscu stracenia za Wiśniowskiego i Kapuścińskiego. Jeżeli przypomnimy sobie, że równocześnie niemal padły pierwsze strzały na ochotników polskich w Księstwie, to nie trudno odgadnąć, że pomiędzy Berlinem a Wiedniem panowało w sprawie polskiej najzupełniejsze porozumienie. Reakcya pruska szła z austryacką w zawody. Stadion, chcąc zrównoważyć wpływ Rady Narodowej, która, mimo rozpędzenia swego, nie przestała istnieć jako prywatne zgromadzenie, utworzył z dygnitarzy duchownych i lojalnych obywateli ziemskich t. zw. radę przyboczną (*Beirath*) a za pośrednictwem Jachimowicza, biskupa grecko-katolickiego w Przemyślu radę świętojurską. Powstała w ten zposób nieznana dotąd w Galicyi kwestya ruska; Rusini, używający od czasu pierwszego rozbioru stale języka polskiego w piśmie i w mowie, żyjący w zgodzie i harmonii z Polakami, biorący udział w spiskach i w pracy nad odrodzeniem narodu polskiego, poczuli w sobie nagle patryotyzm odrębny i stanęli, pod opieką rządu, do walki z tymi, z którymi łączyły ich odwieczne związki i krew przelana wspólnie w obronie ojczyzny, zamieszkanej zarówno przez Polaków jak i przez Rusinów. Jedni zaślepieni nienawiścią, mającą źródło swoje w prywatnych stosunkach, drudzy niepohamowaną owładnięci ambicyą, nie wahali się w spółce z biurokracyą niemiecką wzniecić waśni, w skutkach swoich szkodliwą dla obu narodowości, ale wielce pożyteczną dla rządu. Napróżno protestowali przeciw działaniu rady świętojurskiej potomkowie dawnej szlachty ruskiej, nadaremnie utworzono za staraniem Rusinów: Kaspra Cięglewicza i Juljana Horoszkiewicza zbór ruski, radzie przeciwny, napróżno przedstawiał Rusin Antoni Dąbczański w piśmie ulotnem („Wyjaśnienie sprawy ruskiej“) właściwe powody niechęci kleru ruskiego ku Polakom, poruszone raz namiętności nie dały się już uspokoić a rząd, chwyciwszy sprawę tak ważną w swoje ręce, obsypując orderami i zaszczytami naczelników stronnictwa świętojurskiego, stał się nie tylko inicyatorem, ale i krzewicielem kierunku, który obok lojalności austryackiej miał wykształcić w łonie narodu ruskiego tendencye czysto moskalofilskie, wydać z siebie „reformatorów“ unii chełmskiej w rodzaju Kuziemskiego i tę falangę księży-renegatów, co dla korzyści materyalnych odrzucali wiarę ojców i schyzmatyckich zamachów na unią powolnem stawali się narzędziem.

Zdawałoby się, że wobec tych gwałtownych postępów reakcyi, stronnictwa polskie, zagrożone przez zewnętrznych i wewnętrznych nieprzyjaciół, skupią się pod sztandarem narodowym dla obrony słusznych praw swoich, że, odkładając na bok partyjne niechęci, będą dążyć wspólnemi siłami do zamierzonego celu. Niestety! jad zawiści wzajemnej, zatruwający nasze życie polityczne od czasu upadku Rzeczypospolitej, zaciemnił rozumy, napoił serca goryczą, przytłumił nawet święte uczucie miłości ojczyzny. W słowach patryoci, w czynach byliśmy zazwyczaj tylko członkami tej lub owej partyi, która w pognębieniu przeciwników swoich główne swoje upatrywała zadanie. Otoczeni zewsząd wrogami, zawiedzeni we wszystkich naszych nadziejach, nie byliśmy w stanie wytworzyć wśród siebie ani jednolitego kierunku w polityce, ani władzy naczelnej, ani tej karności, bez której każde przedsięwzięcie wielkie musi się kończyć klęską. Wybujały indywidualizm, co pogrążył Polskę w przepaść upadku a jak grzech pierworodny przeszedł na pokolenia porozbiorowe,

stał się przyczyną naszych zawodów, utrapień i tak częstych upadków. W Paryżu zarówno jak i w Wielkopolsce, w Krakowie i we Lwowie, wszędzie gdzie życie narodowe swobodniej objawiać się mogło, powstawała owa hydra niezgody i anarchii, aby najczystsze zamiary osłabić, najlepsze chęci zmarnować, najzdrowsze pomysły zwichnąć i zniweczyć.

W Galicyi, mniej przygotowanej do życia publicznego, powstało od początku już rozdwojenie. Gdy większość stronnictwa narodowego skupiła się około rady narodowej, inni weszli do „Beirathu“, utworzonego przez Stadiona, założył Gwalbert Pawlikowski z Medyki stowarzyszenie „ziemiańskie“, które „przy unikaniu ogólno-politycznych zadań, wszelkich sprzeczek i zwad, tudzież gorszącej polemiki, miało strzedz interesu wszystkich posiadaczy i praw własności, godzić je ze zdaniem i dążnością publiczną jako i z duchem czasu, zlewać w jedność z interesem ogółu.“ Organem stowarzyszenia był dziennik *Polska*, redagowany przez Hilarego Meciszewskiego. Pomimo zachowawczego swego programu nie przeszkadzało „ziemiaństwo“ działaniu Rady Narodowej, bo chociaż reprezentowało kierunek więcej umiarkowany, to stało na gruncie polskim i zaliczało do swego grona ludzi znanych z patryotyzmu i najlepszych chęci dla kraju. Mimo to rozpoczęła się natychmiast w dziennikach walka na noże pomiędzy radą a ziemiaństwem, powstała wstrętna polemika, w której zapaśnicy, obrzucając się błotem wzajemnie, przekroczyli granice wszelkiej przyzwoitości i spokojniejszą część społeczeństwa odstręczyli od udziału w sprawach publicznych. Wśród tego powstała myśl słuszna i rozumna, aby utworzyć naczelny komitet dla kierowania sprawą narodową. Podjęto ten zamiar jakoś w pierwszych dniach kwietnia i ułożono, na wniosek Antoniego Zygmunta Helcla, zjazd w Wrocławiu, ale że była trudność wielka w zebraniu dostatecznej liczby delegatów ze Lwowa, Krakowa i Poznania, bo z zaboru rosyjskiego nikt oczywiście przyjechać nie mógł, więc upłynęło kilka tygodni na czekaniu a tymczasem zaszły wypadki niespodziewane, jak bombardowanie Krakowa i upadek powstania wielkopolskiego, które sprawie rozpoczętej inny zupełnie nadały kierunek. Zjazd wrocławski więc, odbyty dnia 5. maja pod przewodnictwem generała Dembińskiego a rozerwany także walką stronnictw, spełzł na niczem.

Nie lepszy skutek wziął zamiar zjednoczenia Słowiańszczyzny pod hasłem wolności, równości i braterstwa. Miał on powstać w komitecie poznańskim z powodu projektowanego wcielenia niemieckich rzekomo powiatów Księstwa do Rzeszy. Ponieważ podobny los zagrażał także Czechom, więc stawali się oni naturalnymi sprzymierzeńcami Polaków i mogli wspólnie z nimi pociągnąć wszystkie narody słowiańskie do związku obronnego tak przeciw germanizacyi, jak i przeciw panslawistycznym zamachom ze strony rosyjskiej. Jeżeli myśl podobna przyświecała Polakom, to Czesi i Słowianie węgierscy dążyli do zupełnie odmiennych celów. Pierwsi pragnęli przez zjednoczenie Czech z Morawią i Szląskiem wznowić zapomniane prawa korony św. Wacława i, przekształciwszy monarchią habsburską w państwo o ustroju federacyjnym, zapewnić w niem sobie dominujące stanowisko, stać się główną podporą dynastyi, będącej, jak wiadomo, jedynym węzłem łączącym monarchią w jeden organizm

polityczny; drudzy domagali się ograniczenia wybujałej samowoli węgierskiej i równouprawnienia Słowian, podległych koronie św. Szczepana. Mimo tych różnic istniała jednak skłonność do wzajemnego porozumienia, a że i rząd wiedeński, wobec naprężonych stosunków z Węgrami, okazywał się dość przychylnym dla ruchu słowiańskiego, przeto bez wielkich trudności przyszedł zjazd do skutku w Pradze dnia 31. maja. Ze strony polskiej przybyli tam: z Galicyi ks. Jerzy Lubomirski, dr. Karol Malisz, Smolka, Lesław Łukasiewicz i pomiędzy innymi także młody Juljusz Kossak; z Księstwa: ks. Janiszewski, Libelt, Moraczewski i poeta Ryszard Berwiński. Królestwo i prowincye zabrane nie miały oczywiście reprezentantów; w imieniu narodu rosyjskiego przemawiał Michał Bakunin. Starostą zjazdu obrano Palackyego, zastępcami jego byli: Chorwat Stanko Vraz i Jerzy Lubomirski. Już przy pierwszych naradach, które odbywały się w trzech sekcyach, wyszły na jaw znaczne różnice zdań. Chorwaci i Serbowie występowali ostro przeciw Węgrom, Czesi, w myśl swego programu politycznego, pragnęli połączyć wszystkich Słowian austryackich w celu obrony monarchii i utworzenia federacyi, jedni i drudzy zaś byli skłonniejsi do sojuszu z Rosyą despotyczną, niż do porozumienia z Niemcami i Węgrami. Jedni Polacy tylko stali wiernie przy zasadach wolności, równości i braterstwa ludów. Rusini, którzy wysłali na zjazd księży Borysikiewicza, Zaklińskiego i Ginilewicza, przesadzali się w objawach lojalności dla rządu, wytaczali bezustannie skargi na Polaków i dawali się tak dalece unosić namiętnościom politycznym, że Zakliński nazwał miłość ojczyzny Polaków miłością do zgniłego trupa. Polacy, świeżo dotknięci wypadkami krakowskiemi i reakcyjnymi zamachami Stadiona, nie mogli przyłączyć się do programu czeskiego ani też wiązać się z Serbami i Chorwatami przeciw Węgrom, którzy najskuteczniej bronili systemu konstytucyjnego. W takich warunkach było porozumienie rzeczą niesłychanie trudną i tylko usiłowaniom Polaków i prawdziwych przyjaciół wolności pomiędzy Słowianami powiodło się w końcu przywieść do skutku manifest, ułożony według projektu Libelta a potępiający rozbiór Polski, germanizacyą w zaborze pruskim i domagający się równouprawnienia dla Słowian austryackich. Ale zanim jeszcze ta odezwa ujrzała światło dzienne, przyszło do starcia pomiędzy Czechami i wojskiem i po pięciudniowej, uporczywej walce uległa „złota Praga“ armatom i grenadyerom Windischgrätza; goście słowiańscy musieli opuścić stolicę czeską, kongres spełzł na niczem.

Pomimo tych zamachów w Galicyi i w Czechach, zapowiadających nieuchronną prawie reakcyą, łudzono się jeszcze przez jakiś czas nadzieją zwycięstwa konstytucyjnego systemu. Dnia 10. lipca zebrał się w Wiedniu pierwszy sejm austryacki, który miał być rodzajem konstytuanty. Galicya, połączona wtedy z Bukowiną, wysłała 108 posłów. Był pomiędzy nimi kwiat inteligencyi, ludzie niepospolicie zdolni, wypróbowani pod względem charakteru, pełni uczuć patryotycznych, imiona znane zaszczytnie później nie tylko w życiu publicznem kraju rodzinnego, ale i całej monarchii. A więc obok Ziemiałkowskiego i Smolki znajdował się Leszek Borkowski, Jerzy Lubomirski, Adam Potocki, Dylewski Maryan, Dzieduszycki Tytus, Helcel Antoni Zygmunt, Smarzewski Seweryn. Nie brakło jednak i zastępu chłopów, w liczbie 36,

wybranych pod naciskiem rządu a będących powolnem narzędziem reakcyi. Nawet gubernator Stadion otrzymał mandat z Rawy ruskiej; Rusinom przewodził Jachimowicz. Fizyognomia tego sejmu była dość dziwna; bo jakkolwiek Słowianie imponowali w nim liczbą,[1]) to nie tworzyli jednak zwartego zastępu, różniąc się pomiędzy sobą w zapatrywaniach na najważniejsze kwestye polityczne. Oddzielne stanowisko mianowicie zajmowali Polacy, którzy nie mogli się zgodzić na wniosek ruski, dążący do podziału Galicyi, ani przyjąć programu czeskiego, opartego na lojalności względem tego rządu, który gnębił narodowość polską. Więc jakkolwiek usiłowano zachować harmonią z posłami słowiańskimi, to nie przyszło nigdy do ścisłego z nimi porozumienia i do jednolitego w politycznym kierunku działania. Największą w tym względzie przeszkodą była ta okoliczność, że gdy sprawy każdego narodu słowiańskiego, zamieszkującego Austryą, zamykały się w granicach austryackich i były sprawami wewnętrznemi, kwestya polska miała charakter ogólno-europejski i, ogarniając szerokie horyzonty, nie dała się załatwić zupełnie w obrębie zakreślonym przez czarno-żółte słupy. A i rząd ówczesny, krótkowidzący i oglądający się na Rosyą, jako ostatnią kotwicę swego zbawienia, uważał każde ustępstwo na rzecz Polaków za sprzeniewierzenie się tradycyonalnej polityce austryackiej, za zerwanie węzłów, łączących Wiedeń z Berlinem i Petersburgiem. Wzajemne zaufanie, podkopane z jednej strony przez ohydny system biurokratyczny w Galicyi, z drugiej zachwiane przez spiski, w których skupiać się musiała praca narodowa w ciągu długich lat, zależało od dobrej wiary rządu i szczerości jego zamiarów. Tymczasem doświadczenia ostatnich miesięcy dowodziły, że rząd ten zachował względem Polaków dawniejsze uprzedzenia i dawniejszą podejrzliwość i że na tej błędnej podstawie opierał system rządzenia w Galicyi. Stadion utrzymywał, że w Galicyi trzeba albo zaprowadzić urządzenia autonomiczne, tak jak w Węgrzech, albo teroryzm; powołany na dwór cesarski jednak, złożył władzę namiestniczą właściwie w ręce generała Hammersteina i nominalnie tylko oddał ją Gołuchowskiemu. Ten stan utrzymał się nawet wtedy, gdy skutkiem starań polskich w Wiedniu został namiestnikiem galicyjskim (d. 30. lipca 1848 r.) Wacław Zaleski, znany zbieracz pieśni ludowych (Wacław z Oleska), Polak z przekonania i jak najlepiej usposobiony dla kraju. Jeżeli zatem Wielopolski marzył o zwycięstwie[2]) Słowian w Austryi, które „będzie także zwycięstwem porządku i prawdziwej wolności,“ i jeżeli zachęcał do udziału w niem Polaków, to dowodził tem samem, że albo stosunków austryackich zupełnie nie zna, czego przypuścić niepodobna, albo też, że jest niedoświadczonym politykiem, gdy wyobraża sobie, że naród, gnębiony srodze przez lat 80 blisko, zdoła nagle zapomnieć o wszystkich swoich krzywdach i stanąć po stronie tego rządu, który mu stale okazywał swoją niechęć i nieufność. Do takiej nagłej, niczem nieuzasadnionej zmiany frontu może się skłonić dojrzały polityk, ale nigdy masa, która z usposobienia swego kieruje się uczuciem a nie rozumem.

---

[1]) Wszystkich posłów było 383, słowiańskich 190.

[2]) List Wielopolskiego do Helcla u Lisickiego: Antoni Zygmunt Helcel, t. I., str. 353.

Stanowisko posłów polskich w Wiedniu było w ten sposób z góry określone. Nie zrywając przyjaznych stosunków z Słowianami, bronili oni interesów swojego kraju, zwalczali reakcyą i popierali usiłowania narodów (Włochów i Węgrów), zmierzające do odzyskania niepodległości. Każda inna polityka, niemożliwa nawet wobec usposobienia umysłów w kraju, nie zmieniłaby była biegu wypadków a imię polskie okryłaby niesławą.

Czynności sejmu wiedeńskiego postępowały bardzo powolnie. Była to pierwsza próba parlamentarnego życia w Austryi, podjęta wśród niezwykłych warunków, napotykająca na każdym kroku trudności formalnej i rzeczowej natury. Przez trzy tygodnie trwała praca nad sprawdzaniem wyborów i ukonstytuowaniem się izby; 22. lipca otworzył uroczyście arcyksiąże Jan sessyą, w zastępstwie cesarza przebywającego w Innsbrucku. Nastąpiło potem uchwalenie adresu, w którym sejm upraszał cesarza o powrót do stolicy. Stało się zadość temu życzeniu i przez chwilę można było mniemać, że zapanuje tyle pożądana harmonia pomiędzy rządem z jednej a parlamentem i ludnością wiedeńską z drugiej strony. Ale złudzenie to trwało krótko. Powietrze, przepełnione elektrycznością, trzęsło się od gromów, zwiastujących straszliwą katastrofę. Coraz częściej zdarzały się w Wiedniu z błahych powodów zaburzenia i starcia pomiędzy wojskiem a ludnością, burza jednak miała nadejść z tamtej strony Litawy, gdzie wrzała walka zawzięta Słowian z Węgrami. Na czele pierwszych, dążących do utworzenia odrębnego od Węgier „trójjedynego“ królestwa z Kroacyi, Slawonii i Dalmacyi, stał przebiegły ban chorwacki Jellačic, powolne narzędzie kamarylli dworskiej i stronnictwa reakcyjnego. Naprożno usiłowali Węgrzy pozyskać sobie rząd a raczej tych, co w imieniu cesarza Ferdynanda Austryą wtedy rządzili, naprożno odbywały się w Wiedniu konferencye wspólne ministrów, Jellačic, pewny swoich wpływów, nie słuchał rozkazów cesarskich i szedł widocznie przebojem. Rzeczy stanęły w końcu tak, że arcyksiąże Stefan złożył godność palatyna a rząd wiedeński zakazał wojsku węgierskiemu walczyć z Jellačicem i wysłał, jako nadzwyczajnego komissarza cesarskiego do Węgier, generała hr. Lamberga. Sejm węgierski, uważając te kroki rządu za pogwałcenie konstytucyi, oparł się stanowczo nominacyi Lamberga, którego też rozdrażnione pospólstwo dnia 28. września na moście, prowadzącym z Budy do Pesztu, zamordowało. Po takiem zajściu wojna była nieuchronna. Ogłoszono też natychmiast stan oblężenia w Węgrzech, sejm węgierski rozwiązano, urząd generalnego gubernatora poruczono Jellačicowi i co było wojska, pchnięto do Węgier dla wczesnego stłumienia przewidywanej rewolucyi. Dnia 6. października przyszła kolej na garnizon wiedeński, ale grenadyerzy włoscy z pułku Richtera wymówili posłuszeństwo, ludność wiedeńska stanęła po ich stronie, zaczęła się walka w ulicach, a gdy minister wojny Latour nie chciał cofnąć rozkazu o wysłaniu wojska do Węgier, skierowała się cała nienawiść tłumów przeciw niemu. Wydobyty z ukrycia w gmachu ministerstwa wojny, padł on, mimo pełnej poświęcenia obrony wiceprezydenta izby poselskiej, Smolki, pod razami rozjuszonego pospólstwa. Bezpośrednim skutkiem tego wypadku był wyjazd nagły cesarza do Ołomuńca i manifest (z d. 7. października), w którym Ferdynand I. oznajmia, że opuszcza stolicę, „aby przyjść w pomoc ujarzmionej

ludności wiedeńskiej i ratować wolność, zagrożoną oburzającemi bezprawiami.“ Obietnicę tę spełnił na razie Jellačic. Pobity i ścigany przez Węgrów, flankowemi marszami — jak się sam wyrażał — koncentrując swoje siły, szedł on ku Wiedniowi, gdzie go łatwe czekały wawrzyny. Nie jemu jednak miała przypaść w udziale sława pokonania krnąbrnej stolicy. Kamarylla, otaczająca cesarza w Ołomuńcu, poznała się, mimo kłamliwych raportów, na nieudolności przebiegłego bana i zleciła poskromienie zbuntowanych Wiedeńczyków Windischgrätzowi. Wyposażony nieograniczoną władzą, mianowany feldmarszałkiem, objął też książe naczelne dowództwo nad wojskiem, stojącem pod murami stolicy. Na wiadomość o tych postanowieniach powstało wśród ludności wiedeńskiej przerażenie i zamieszanie. Przywykli do spokojnego życia, zuchwali i hałaśliwi w ulicznych burdach, nie mieli Wiedeńczycy ani ducha wojennego, ani prawdziwej odwagi. Gwardya narodowa, złożona z mieszczaństwa i oddana pod dowództwo byłego oficera Messenhausera, nie posiadającego zdolności wojskowych, była dobrą zaledwie do utrzymania porządku w mieście, ale nie do boju z armią regularną. Obrona i bezpieczeństwo stolicy austryackiej polegały w ten sposób, dość dziwna, na Polakach. Jeden z nich, Smolka, piastujący godność prezydenta sejmu, umiał z rzadkim taktem utrzymać ład i porządek wśród tłumów, skłonnych do anarchii, drugi, Bem, uorganizował, o ile czas i środki na to pozwalały, siłę zbrojną i uchronił rewolucyą wiedeńską przynajmniej od haniebnej klęski. Wyjechawszy z Paryża po wypadkach lutowych, bawił on przez pewien czas w Niemczech, stamtąd udał się do Lwowa, i ofiarował, widząc, że na wojnę się zanosi, usługi swoje rządowi węgierskiemu. Kossuth, który wtedy już zajmował naczelne stanowisko w Węgrzech, przyjął ofiarę Bema z radością i tak znalazł się nasz generał d. 14. października niespodziewanie w bezradnym i wystraszonym Wiedniu. Zbadawszy stosunki i może namówiony przez Messenhausera, z którym znał się ze Lwowa jeszcze, postanowił on nie jechać dalej do Pesztu, jak był zamierzał, lecz zająć się obroną miasta, spodziewał się bowiem, że byle tylko Wiedeń wytrzymał pierwszy impet Windischgrätza, to Węgrzy w własnym interesie przyjdą uciśnionej stolicy na pomoc. Smolka nie zupełnie zgadzał się z Bemem. Znając dobrze usposobienie Wiedeńczyków, nie wierzył on, aby było rzeczą podobną utworzyć z nich poważną siłę zbrojną i dlatego uważał generała za fantastę, przedsięwzięcie jego za rodzaj szaleństwa. A jednak ten niepozorny z powierzchowności, utykający na nogę i po małomieszczańsku ubrany generał, w jakimś staroświeckim jedwabnym kapeluszu na głowie, robiący wrażenie pospolitego rękodzielnika, a nie wojskowego,[1]) umiał w krótkim czasie zjednać sobie taką powagę, zaprowadzić taką karność i wlać tyle ducha w tę nieporządną, lękliwą i rozluźnioną gwardyą narodową wiedeńską, że wojna natychmiast inny wzięła obrót. Niestety pomoc węgierska zawiodła. Wyparłszy Jellačica poza granice kraju, zatrzymał się generał Moga nad Litawą, oczekując dalszych rozkazów swego rządu. Ale „komitet obrony“, który teraz kierował polityką węgierską, nie uważał za stosowne wyzywać do walki wojska cesar-

[1]) Smets Moritz: Das Jahr 1848. Wien 1872. II. Bd., S. 610, i z opowiadań ś. p. prezydenta Smolki.

skie poza granicami kraju, gotów był jednak na żądanie sejmu austryackiego przysłać posiłki. Tymczasem ani sejm, ani rada miejska wiedeńska nie chciały uczynić tak hazardownego kroku i Windischgrätz mógł swobodnie otoczyć miasto i przygotować wszystko do szturmu. W dniu 28. października przyszło do stanowczej bitwy. Bem, objąwszy komendę na przedmieściu Leopoldstadt, dokąd nieprzyjaciel główny swój skierował atak, bronił się bo bohatersku. Otoczony dzielnym oddziałem kawaleryi, złożonej z Polaków, pod dowództwem Dąbrowieckiego, przebiegał on całą linią bojową, wszędzie podnosząc ducha i zagrzewając do walki, po południu zaś założył główną kwaterę swoją na ulicy *Jägerzeile*, gdzie znajdowała się najważniejsza i najlepiej obwarowana barykada. Tu, siedząc na krześle, wśród gradu kul, wydawał rozkazy i sam kierował ogniem artyleryi, a biada temu, ktoby się odważył okazać najmniejsze nieposłuszeństwo lub wahanie. Słabo władając językiem niemieckim, znał on przedewszystkiem dwa słowa, które wymawiał po swojemu *auf-änken* i *érschiessen* (powiesić, rozstrzelać), i których używał zwyczajnie przeciw tchórzom i opieszałym. To też pod jego okiem bili się Wiedeńczycy i gwardziści styryjscy jak lwy. Naprożno wysyłał nieprzyjaciel do szturmu najdzielniejsze swoje pułki; na rozkaz Bema milczały działa, lecz gdy piechota Windischgrätza zbliżyła się do barykady na jakie sto kroków, zionął na nią straszliwy deszcz kartaczów i zaścielał całą ulicę trupami. Dopiero kiedy powiodło się nieprzyjacielowi obejść ten piekielny szaniec i zagrozić odcięciem przetrzebionej załogi od miasta, opuścił Bem, lekko raniony, swoje stanowisko, udał się do ministerstwa wojny i przedstawił Messenhauserowi, że dalszą obronę uważa za zupełnie bezskuteczną, poczem, przebrany po cywilnemu, wymknął się szczęśliwie z miasta, za paszportem, który mu sekretarz stanu w węgierskiem ministerstwie, Pulszky, zawczasu w kancelaryi gabinetowej cesarskiej wyrobił.[1]) Po odjeździe Bema toczyła się walka jeszcze przez kilka dni, ale kiedy odsiecz węgierska dnia 30. października została pod Schwechat pobita, poddał się Wiedeń Windischgrätzowi. Tryumfująca reakcya rozpoczęła teraz dzieło zemsty straszliwej, bezwzględnej, nieszlachetnej. Rozstrzelano Jełowickiego, Roberta Bluma, który naprożno odwoływał się do swojej nietykalności poselskiej, był bowiem członkiem parlamentu frankfurckiego i bawił w Wiedniu w urzędowej missyi, jako delegat sejmowy, w końcu Messenhausera. Smolka, pozostawszy na miejscu w Wiedniu, toczył bezustanną wojnę z Windischgrätzem i co chwila odwoływał się do cesarza, zwyczajnie z najlepszym skutkiem. Wiadomość o niesprawiedliwym wyroku na Messenhausera obeszła go bardzo, natychmiast więc osobnym pociągiem wysłał do Ołomuńca księdza Prato z prośbą o unieważnienie i zniesienie tego aktu osobistej zemsty. Windischgrätz jednak, przewidując, że wdanie się Smolki odniesie skutek pomyślny, przyspieszył, z pogwałceniem form prawnych, wykonanie wyroku i kazał nieszczęśliwego i niewinnego Messenhausera dnia 16. listopada rozstrzelać.

Równocześnie srożyła się reakcya także w Galicyi. Powszechny zamęt, panujący we wszystkich krajach austryackich, doprowadził tę nieszczęśliwą

[1]) Smets l. c., S. 611. Obok tego krążyły najdziwaczniejsze wieści o ocaleniu Bema.

prowincyą do stanu niemal anarchicznego. Rujnowana i ubożona systematycznie, przechodziła ona w tym czasie groźne przesilenie ekonomiczne i finansowe. Gospodarstwo rolne, główne źródło produkcyi i bogactwa galicyjskiego, znajdowało się w najkrytyczniejszem położeniu. Skutkiem zniesienia pańszczyzny nastąpiła bowiem nagła zmiana, nie tyle w stosunkach społecznych, co w systemie gospodarczym; uprawa roli, nie wymagająca dotąd wielkich nakładów, stała się przedsiębiorstwem kosztownem, opartem na kapitałach, których szlachta, po większej części obdłużona i żyjąca nad stan, wcale nie posiadała. A że kredyt, wobec niepewnych stosunków politycznych i opłakanego stanu skarbu publicznego, był zachwiany, więc stopa procentowa w Galicyi podskoczyła od razu na 30 od stu i naraziła właścicieli ziemskich

Generał Henryk Dembiński.

majątków na nieobliczone szkody. Obarczeni długami lichwiarskiemi, które zaciągać trzeba było koniecznie dla utrzymania gospodarstwa, niemający po większej części wyobrażenia o umiejętnem rolnictwie, poważnieni przez biurokracyą z ludem wiejskim, obciążeni nieuregulowanemi, jakoby z umysłu, służebnościami, źródłem nieustannych sporów gromady z dworem, przedstawiają ci dawni dziedzice smutny obraz upadku, ubóstwa i przygnębienia, i co za tem idzie, pewnej obojętności na sprawy publiczne. Gdy we Lwowie i po większych miastach wre życie polityczne w całej pełni, gdy dziennikarstwo, uwolnione od cenzury, naśladując zagraniczne wzory, prowadzi zawziętą walkę o zasady i wolności konstytucyjne, oni, przyciśnięci troską życia codziennego,

organizują wśród siebie „Ziemiaństwo“, które ma być „pośredniczym organem właścicieli ziemskich z rządem“, zająć się „ułożeniem stosunków handlu krajowego i przemysłu z innymi zarodami życia narodowego.“ Ekonomiczny pierwiastek, z natury swojej konserwatywny, staje tak w sprzeczności z pragnieniami i dążeniem polityków, upatrujących szczęście i pomyślność kraju przedewszystkiem w osiągnięciu swobód konstytucyjnych i w obaleniu znienawidzonego systemu rządowego. Naturalnym i nieuniknionym skutkiem tego objawu musiało być rozdwojenie i osłabienie siły narodowej. Przeciw rządowi, opartemu na sile zbrojnej, na ciemnych masach ludowych, na zwartej falandze urzędników i na świętojurskiej agitacyi, obejmującej coraz szersze koła duchowieństwa ruskiego, występuje w Galicyi do walki garstka inteligencyi miejskiej, gorętsi i zamożniejsi obywatele wiejscy i młodzież, zawsze patryotyczna i skora do poświęceń. Rezultat nie mógł być wątpliwym. Rząd, z początku przestraszony, chwiejny i celów swoich nieświadomy, zbadawszy stosunki i ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, spostrzegł wnet, że ten ruch rewolucyjny, burzliwy, ale bądź co bądź chaotyczny, działający bez jasno określonego planu i sam w sobie rozerwany, groźnym dla niego nie jest ani w Wiedniu, ani też tem mniej we Lwowie. Utwierdziła go w tem przekonaniu łatwość, z jaką „uspokojono“ Kraków i Pragę, postanowił zatem „przywrócić“ w podobny sposób także „porządek“ w Wiedniu i we Lwowie, a współczesność jednej i drugiej katastrofy każe się domyślać, że działano według planu z góry ułożonego. We Lwowie sprawował, po odjeździe Stadiona, władzę namiestniczą generał Hammerstein. Zaleski, mianowany gubernatorem, rozpoczął czynność swoją od Krakowa. Bawiąc tu przez trzy miesiące blisko (od sierpnia do połowy października), przywrócił on dawną radę administracyjną, ustanowił radę miejską z wyborów, z uniwersytetu usunął profesorów Niemców, mianując na ich miejsce Polaków. Reorganizacya i uspokojenie tej części kraju, jako najbardziej dotkniętej i skołatanej wypadkami r. 1846, wydawało mu się rzeczą najpilniejszą. Przybywszy do Lwowa dnia 25. października, zastał Zaleski stosunki bardzo naprężone. Co chwila wydarzały się starcia pomiędzy publicznością a wojskiem; gwardya narodowa, ubrana na wzór wojska polskiego, z białymi orłami na kaskach, oddana pod naczelne dowództwo pułkownika Wybranowskiego, dawnego oficera polskiego, niepokoiła widocznie i drażniła wojskowość, wogóle konstytucyi nieprzychylną i systematycznie przeciw ruchowi z góry podburzaną. Wiadomości o zwycięskich postępach Windischgrätza i o tryumfach Radetzkiego nad Włochami podnosiły jeszcze bardziej butę żołnierską a w kołach patryotycznych wzniecały oburzenie i chęć zemsty. Położenie Zaleskiego było zatem niezmiernie trudne; przewidywał on katastrofę, nie mógł jej zapobiedz a nie miał w sobie tyle siły i energii, aby w chwili stanowczej zaprotestować przeciw gwałtom wyuzdanego żołdactwa.

Dnia 1. listopada wydarzyły się pierwsze rozruchy uliczne we Lwowie; artylerzyści napadli bez najmniejszego powodu na przechodzących dwóch gwardzistów i jednego z nich zranili śmiertelnie. Władze wojskowe przyjęły skargę, zaniesioną z tej przyczyny przez Wybranowskiego, obojętnie, niemal z lekce-

ważeniem, a Hammerstein utrzymywał, że w mieście gotuje się powstanie i kazał wieczorem zaalarmować załogę. Dziwna rzecz, że równocześnie zaczęły się pojawiać na ulicach bandy włóczęgów, pijane i uzbrojone, usiłując wywołać zamieszanie i nieporządek. Wobec tego zajęła gwardya także posterunki na oznaczonych miejscach, zachowała się jednak, mimo prowokacyj ze strony żołnierstwa, całkiem spokojnie. O 11-ej godzinie wieczorem padły nagle strzały z odwachu na placu Halickim i w tej chwili z okrzykiem do broni! rzuciła się ludność do stawiania barykad, czemu członkowie wydziału bezpieczeństwa naprożno usiłowali przeszkodzić. Hammerstein na żądanie cofnięcia wojska, poparte przez gubernatora Zaleskiego, odpowiedział odmownie i tak rosło rozdrażnienie, podniecane przez żołnierzy, którzy łżyli gwardzistów, przechodzących z osobna napadali i bili kolbami i wreszcie do tłumów, zebranych na placu św. Ducha, dali ognia. Na ponowne przedstawienia Wybranowskiego wyznaczył Hammerstein termin do rozebrania barykad do godziny 12-ej w południe. O dziesiątej jednak zagrzmiały nagle armaty, ustawione przed pałacem arcybiskupim, a z Wysokiego Zamku rozpoczęło się bombardowanie miasta racami kongrewskiemi i palnemi kulami. W jednej chwili stanął w płomieniach stary teatr, gdzie były biura Rady Narodowej, ratusz, akademia wraz z biblioteką uniwersytecką i kilkanaście domów położonych w pobliżu. W mieście po ulicach trwał przez ten czas bezustannie ogień karabinowy i armatni, rozbestwione i rozpojone żołdactwo zabijało przechodniów, mordowało bez litości gwardzistów, przeszkadzało ratowaniu palących się gmachów, plondrowało piwnice, rozbijało sklepy. Pół trzeciej godziny trwało takie „przywracanie porządku“, aż wreszcie dał się nakłonić Hammerstein do przyjęcia kapitulacyi pod nader upokarzającymi dla miasta warunkami i w tydzień potem otrzymał za usługi oddane reakcyi stopień generała jazdy, od niemieckiego mieszczaństwa lwowskiego adres dziękczynny.

Zdobycie Wiednia i bombardowanie Lwowa stanowią zwrot historyi tego pamiętnego roku. Reakcya, ośmielona powodzeniem, występuje odtąd z właściwą sobie brutalnością, rządzi teroryzmem, przyszłość państwa opiera na bagnetach i w zaślepieniu swojem prowadzi Austryą przez kaudyńskie jarzmo rosyjskiego aliansu przeciw Węgrom do zupełnego bankructwa pod względem politycznym i finansowym. Utrzymując na razie jeszcze pozory konstytucyonalizmu, postara się ona o przeniesienie sejmu z Wiednia do Kromieryża, aby go w najbliższym czasie rozpędzić i oktrojować konstytucyą, która właściwie nigdy w życie nie weszła. Dnia 7. marca 1849 r. został sejm, na wiadomość mylną, jak się później pokazało, o zwycięstwie Windischgrätza nad Węgrami pod Kapolną, bez żadnego słusznego powodu zamknięty; losy Austryi zawisły na ostrzu miecza, miały się rozstrzygnąć na równinach węgierskich, i tu też zwróciła się teraz uwaga Polaków.

Biorąc żywy udział w wypadkach współczesnych i wiążąc nadzieje swoje z rewolucyą, która pod republikańskim kroczyła sztandarem, walczyli oni na wszystkich pobojowiskach jako obrońcy wolności, z myślą zwróconą zawsze ku Polsce. Mierosławski, wyzwolony zaledwie z więzienia pruskiego, biegł nad Ren, aby przewodzić powstaniu badeńskiemu przeciw Prusakom, potem

do Sycylii; Chrzanowski i Kamieński z swoim legionem walczyli pod sztandarami włoskiemi. Imię polskie przebiegało znowu wzdłuż i wszerz Europę, zyskaliśmy poklask ludów, wzmiankę w historyi głośną wprawdzie, lecz mniej zaszczytną od owej dawniejszej, z czasów napoleońskich, ale sprawa polska nie odniosła stąd najmniejszej korzyści.

Teraz, gdy Węgrzy podnieśli broń przeciw Austryi, zdawało się, że nowe dla nas powstają nadzieje. Zgnębieni i sponiewierani przez reakcyą, nie mogli Polacy, tak jak to uczynili Czesi i inni Słowianie rakuscy, jak proponował Wielopolski, dopomagać do zwycięstwa „porządku i prawdziwej wolności“, skoro jeden i drugą tak nielitościwie na nich samych zgwałcono. W zwycięstwie Węgrów przeciwnie widzieli oni nie tylko tryumf wolności, ale zarazem i możność podniesienia sztandaru polskiego, rozniecenia powstania w Galicyi i przerzucenia ruchu w granice carstwa. Tą a nie inną myślą zapewne kierował się Bem, ofiarując usługi swoje Kossuthowi, i Dembiński, przyjmując naczelne dowództwo nad armią węgierską. Ale do wykonania tak rozległych zamiarów potrzebną była koniecznie jakaś władza, któraby z rządem węgierskim traktować mogła. Niestety, rozrzuceni po całej Europie, między sobą niezgodni, nie zdobyliśmy się ani na skupienie sił, ani na wzajemne porozumienie, z któregoby wyniknąć mogło wspólność działania. Robiono więc wszystko dorywczo, każdy chciał zbawiać na własną rękę ojczyznę. Gdy Bułharyn, z upoważnienia rządu węgierskiego, udawał się do Galicyi dla nawiązania tam stosunków z stronnictwem patryotycznem, deputacya młodzieży ze Lwowa zawierała z Kossuthem układ o utworzenie legionu polskiego w sile 1200 ludzi, a Józef Wysocki, opatrzony pełnomocnictwem ze Lwowa i z Krakowa, dążył do Pressburga w celu takiego porozumienia się z Węgrami, „któreby dla kraju największe mogło przynieść korzyści.“ [1]) Można sobie łatwo wyobrazić, jak bardzo byli zdziwieni Węgrzy, przywykli do porządnego traktowania ważnych spraw politycznych, kiedy z rozmaitych stron zaczęli się zgłaszać do nich Polacy, zgoła nieznani, z pełnomocnictwem do układów w imieniu całego narodu polskiego. Słusznie też oburzył się na to samozwańcze politykowanie Bem, powracający z Wiednia, i niezgoda polska jasnym znowu wybuchnęła płomieniem. Jakiś zapaleniec, Kołodziejski, naśladując Pasierbskiego, wykonał zamach na bohatera z pod Ostrołęki, ku wielkiemu oburzeniu i zgorszeniu tak Węgrów jak i Polaków.[2]) Czyn ten ohydny i nierozsądny skompromitował Polaków i wpłynął niepomyślnie na projekt utworzenia polskiego legionu. Zachodziły zresztą i inne jeszcze co do tego trudności. Rząd węgierski, rozpoczynając wojnę z Austryą, musiał się koniecznie oglądać na Rosyą, która, w groźnej postawie, śledziła pilnie ruch rewolucyjny, gotowa każdej chwili do stłumienia niebezpiecznego dla niej samej pożaru. Słynny manifest Mikołaja, ogłoszony dnia 3. kwietnia 1848 r., a zakończony słowami: „korzcie się narody, albowiem z nami Bóg,“ określał wyraźnie stanowisko caratu, jako obrońcy starego porządku rzeczy w Europie. Utworzenie polskiego legionu na Węgrzech, zegrażające bezpośrednio już tej carowi „od Boga powierzonej

[1]) Pamiętnik generała Wysockiego. Wydanie drugie. Kraków 1888.

[2]) Porównaj Władysława Ruckiego: Bem w Siedmiogrodzie.

Rosyi," mogło zatem stać stać się łatwo powodem interwencyi, przewidzianej w traktacie münchengrätzkim. Jeżeli bowiem, kiedy to teraz właśnie, skoro „bezrząd przeszedł do Niemiec i sprzymierzonych (z Moskwą) cesarstwa austryackiego i królestwa polskiego," należało Mikołajowi odegrać rolę paladyna reakcyi. Wiedział o tem dobrze rząd węgierski, a widząc zarazem rozdwojenie pomiędzy Polakami i upadek rewolucyi w Wiedniu i we Lwowie, wahał się słusznie z przyjęciem ofiarowanej sobie pomocy, która zresztą, jak przyszłość niedaleka okazała, do bardzo skromnych ograniczyła się rozmiarów. Zamiast 15- lub 20-tysięcznego legionu bowiem, jak z początku układano, zebrało się pod dowództwem Józefa Wysockiego zaledwie 844 ludzi, w tem 100 nowozaciężnych Słowaków, a liczba wszystkich Polaków, walczących pod sztandarami węgierskiemi, nie przenosiła 2000.[1]) Było to całkiem naturalnem skutkiem rozprószenia naszego po całej Europie, braku naczelnego kierownictwa i upadku ruchów narodowych w Wielkopolsce i w Galicyi. Rwąc się do czynu wszędzie, a zawsze prawie przedwcześnie, i działając bez planu, nie byliśmy w stanie skupić sił znaczniejszych na teatrze wojny dla nas najbliższym i najważniejszym. Pomimo tego przyznać trzeba, że i ta garstka Polaków utrzymała chwałę oręża polskiego i zaważyła znacznie na szali wypadków. Legion Wysockiego, jakkolwiek zarażony także niezgodą, zadziwiał Węgrów męstwem swojem i pogardą śmierci, a kampania Bema w Siedmiogrodzie stanowi najświetniejszą kartę w dziejach powstania węgierskiego. Objąwszy dowództwo nad wojskiem nielicznem i zdemoralizowanem zupełnie, zagrożony ruchawką wołoską pod Urbanem z jednej a korpusem Puchnera z drugiej strony, zdołał on tak podnieść ducha w żołnierzu i tak po mistrzowsku prowadzić wojnę, że nie tylko zdobył Koloszwar i nagromadzone tam zapasy wojenne, nie tylko pobił kilkakrotnie Puchnera, ale nawet, gdy ten generał powołał na pomoc korpus rosyjski Lüdersa z Wołoszczyzny, wyparł Austryaków razem z Moskalami z Siedmiogrodu i oczyścił całą prowincyą z wojsk nieprzyjacielskich. Mniej pomyślnie wiodło się Polakom w Węgrzech. Dembiński, powołany na naczelnego wodza armii powstańczej, znalazł się w bardzo trudnem położeniu. Jako cudzoziemiec budził on zawiść w generałach węgierskich, zwłaszcza w ambitnym Görgeyu, a z usposobienia szorstki i swarliwy, nie był w stanie pozyskać sobie umysłów. Bitwa pod Kapolną, która powinna się była skończyć klęską Windischgrätza, została nierozstrzygnięta głównie skutkiem nieposłuszeństwa Görgeya. Dembiński złożył dowództwo i, uproszony przez Kossutha, objął komendę w Górnych Węgrzech, myśląc zawsze o wkroczeniu do Galicyi, niestety napróżno, bo z garstką Wysockiego niepodobna było coś ważniejszego przedsiębrać, użycie zaś sił węgierskich uważano słusznie za rzecz niepolityczną. Zwycięskie postępy oręża węgierskiego sprowadziły w końcu przewidywaną już interwencyą rosyjską. W drugiej połowie czerwca 1849 r. wkroczyła stutysięczna armia moskiewska pod naczelnem dowództwem Paskiewicza przez przesmyk dukielski do Węgier a 13. sierpnia złożył Görgey z całym korpusem swoim broń przed Rydygierem pod Vilagos; garstka Polaków znalazła gościnne schronienie na ziemi tureckiej. Bem, zawsze w na-

[1]) Pamiętnik Wysockiego, str. 36.

dziei służenia sprawie narodowej, przyjął islam i jako Amurat-basza wysłany do Aleppo zmarł w tem mieście 9. grudnia 1850 r., nie doczekawszy się już nowej wojny z Rosyą.

Stan Galicyi po r. 1849. — Gołuchowski. — Dyplom październikowy. Smutno kończył się dla serc polskich okres złudzeń i niespełnionych nadziei. Podczas gdy nowa emigracya, głodem przymierająca, w obozie pod Widdyniem a potem pod Szumlą, krzepiła ducha modlitwą i, niezłamana świeżą klęską, marzyła o dalszych bojach za Polskę i dla Polski, panowała w kraju grobowa cisza, przerywana tylko egzekucyami sądów wojennych i tryumfalnymi okrzykami zwycięskiej reakcyi. Prześladowania dotknęły przedewszystkiem Galicyą, najwięcej w ostatnich wypadkach skompromitowaną. Stan oblężenia, trwający w tej prowincyi aż do dnia 1. maja 1854 r., oddał kraj cały w moc nieograniczoną władz wojskowych. Bezustannym śledztwom i rewizyom towarzyszyły surowe wyroki. Jednych, jak n. p. Jana Dobrzańskiego, skazywano, z pogwałceniem praw obowiązujących, na służbę wojskową w karnych kompaniach, innych karano za najlżejsze przewinienia więzieniem w kajdanach, za opór, stawiany przy rekrutacyi, rozstrzelano dwóch rzemieślników i nauczyciela ludowego w Krakowie. Na szubienicy zginął też Juljan Goslar w Wiedniu w r. 1852 za podburzanie ludności do buntu i wyrabianie kul szklanych [1]) do ręcznych granatów, Lesław Łukasiewicz zmarł jako więzień stanu w twierdzy Theresienstadt. Mniej niebezpiecznych a podejrzanych politycznie trzymano pod nadzorem policyjnym; w r. 1860 było ich jeszcze 411. Pod obuchem tych rządów repressyjnych, które sprawował do r. 1859 Aleksander Bach, do niedawna jeszcze liberał czystej wody, popadła Galicya w stan odrętwienia umysłowego i politycznego, z którego dopiero w epoce konstytucyjnej zwolna i z trudem dźwigać się poczęła. System centralizacyjny bowiem, nie lepszy od metternichowskiego, zasadzał się nie tylko na tłumieniu i gnębieniu narodowości polskiej, ale i na zaniedbaniu zupełnem kraju pod względem ekonomicznym. Gdy szlachta, zrujnowana materyalnie przez nagłe przejście z gospodarki pańszczyźnianej do folwarcznej, tonęła w długach, gdy ciemne i rozpojone masy ludu zażywały swobody w nędzy i ubóstwie, wyglądając nowych „dobrodziejstw“ ze strony łaskawego rządu, gdy przemysł i rękodzieła ograniczały się do wyrobu jarmarcznych towarów, obliczonych na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb miejscowej ludności, gdy handel cały spoczywał w rękach żydów lub nielicznego, zniemczonego po większej części mieszczaństwa, nie można było marzyć o podniesieniu kraju bez pomocy rządowej. Rząd ten tymczasem, sam zadłużony, obracał podatki nie na cele produkcyjne, ale na utrzymanie absolutnego systemu tworzył, z pobudek czysto politycznych, żandarmeryą, opłacał całe zastępy szpiegów i „konfidentów“, organizował kosztowną a w rzeczy samej nieudolną straż finansową, a zaniedbywał zupełnie obowiązki swoje względem kraju, od którego wymagał przecież wierności i ofiar. Wiedziano wprawdzie dobrze w Wiedniu, że ta polityka musi budzić niezadowolenie w Galicyi, ale liczono na Rusinów, oddanych szczerze centralistycznej klice. Dla nich też miał rząd rękę i serce otwarte. Szaszkiewicz, kanonik w Prze-

[1]) Schnürr-Papłowski: Z tajnego archiwum. Lwów 1896.

myślu, sławiony w pismach moskalofilskich ruskich z powodu swojej nienawiści do Polaków, został radcą w ministerstwie oświecenia i tu pod kierunkiem Helferta przeprowadzał reorganizacyą szkół galicyjskich. Wychodząc z zasady, że językiem wykładowym w szkołach aż po San powinien być język ruski, a ten, jako niewykształcony, jeszcze do tego się nie nadaje, zastąpił go niemieckim, znosząc równocześnie wykłady polskie w uniwersytecie lwowskim, bo, jak się wyrażano, „był dla uczucia narodowego Rusinów język niemiecki mniej wstrętnym niż polski.“ Nauka języka polskiego w gimnazyach wschodnich miała być odtąd traktowana jako przedmiot nieobowiązkowy. Podobnie wyrugowano język polski także z sądów galicyjskich. W Krakowie i w zachodniej części kraju było cokolwiek inaczej. W okręgu krakowskim okazały się urządzenia sądowe i administracyjne o wiele doskonalsze od austryackich, więc je zostawiono na razie, ale miasto Kraków zrujnowano do szczętu fiskalizmem ewaluacyą niesprawiedliwą monety, reszty dokonał straszny pożar, który dnia 18. lipca 1850 r. zniszczył 165 domów w rynku i celnych ulicach i cztery kościoły z trzema klasztorami.

Wśród takich stosunków objął władzę namiestniczą w Galicyi po śmierci Zaleskiego (24. lutego 1849 r.) Agenor hr. Gołuchowski (ur. w r. 1812). Położenie jego było bardzo trudne. W kraju nie posiadał sympatyj, nie uważano go bowiem za dobrego Polaka, zarzucano, że stworzył kwestyą ruską, utrzymywano, że jest szorstkim i arbitralnym. Mimo to zaprzeczyć się nie da, że po raz pierwszy na czele administracyi galicyjskiej stawał Polak (krótkich rządów Zaleskiego nie licząc), który dla kraju nie mógł być nieprzychylnie usposobionym. Skrępowany instrukcyami z Wiednia, oddany niejako pod nadzór wiceprezydenta gubernialnego Kalchberga i dyrektora policyi Chomińskiego, musiał Gołuchowski działać nadzwyczaj ostrożnie. Ograniczył się więc w pierwszym okresie swoich rządów do r. 1859 do tego, że krajowi nie szkodził, lecz starał się o ile możności pomagać, i tem swojem postępowaniem powściągnął wrogie dla nas działanie biurokracyi i przygotował społeczeństwo polskie do udziału w życiu publicznem. Główna jego zasługa przypada jednak na czas, kiedy cesarz Franciszek Józef, po wojnie włoskiej, oceniając trafnie zgubny system Bachowskiej polityki, na ministra spraw wewnętrznych powołał Gołuchowskiego. Tu stoczywszy zwycięską walkę z reakcyonistami, wydał on dnia 20. października 1860 r. t. zw. dyplom październikowy, od którego rozpoczęła się epoka konstytucyjna w Austryi, otwierająca wreszcie i Polakom rozległe pole do pracy w kierunku narodowym, społecznym i ekonomicznym.

Zabór rosyjski. — Wojna krymska. — Ostatnie lata panowania Mikołaja I. W Królestwie i w ziemiach zabranych panowała w tym czasie ogólnych wstrząśnień politycznych grobowa cisza. Społeczeństwo polskie, gniecione żelazną ręką Paskiewicza i Bibikowa, chwytało tylko dalekie echa burzy, srożącej się nad środkową Europą, czynnego udziału jednak w niej nie brało i brać nie mogło. Niezmordowana policya wynajdywała wprawdzie co chwila jakieś niebezpieczne spiski. Osławiony Storożeńko[1]) rozsyłał bowiem po różnych stronach kraju agentów, którzy zdradziecko wciągali młodzież niedoświad-

[1]) Skarbek, III., 134.

czoną w polityczne roboty i dostarczali władzom rosyjskim materyału do nowych śledztw i prześladowań, sposobności do zyskania chrestów i ponętniejszych jeszcze łapówek, wreszcie pozoru do dalszego gnębienia narodowości polskiej. Do kategoryi podobnych odkryć należał jakiś dziecinny spisek uczniów VII. klasy pierwszego gimnazyum warszawskiego, mający rzekomo na celu zamordowanie Paskiewicza, zlecone losem Antoniemu Rudzkiemu. Królestwo odpokutowało tę farsę zmyśloną czy zręcznie młodzieży podsuniętą zniesieniem trzech najwyższych klas we wszystkich szkołach gimnazyalnych.[1])

Smutne wypadki galicyjskie zwróciły uwagę rządu na sprawę włościańską. Był on zanadto rozumnym, aby pochwalać lub naśladować u siebie dzieło biurokracyi austryackiej. Przeciwnie wszelkie rozruchy podobnego rodzaju tłumił energicznie, bo, jak wyrażał się Mikołaj, „chłopi winni słuchać i nie można pozwolić, by pod pozorem gorliwości zakłócali porządek i wymawiali posłuszeństwo,“ ale z drugiej strony pragnął skorzystać z nadarzającej się sposobności i rzucić nowe ziarno niezgody pomiędzy szlachtę a lud. Wiadomo już, że w epoce Królestwa kongresowego zaniedbano u nas kwestyą włościańską zupełnie. Po zniesieniu poddaństwa przez konstytucyą Księstwa warszawskiego, szły rzeczy dalej dawnym trybem, chłop odbywał obowiązki pańszczyźniane, składał daniny i darmochy, słowem, oprócz wolności osobistej żadnego w swej doli nie doznał polepszenia. Doktrynerzy konstytucyjni toczyli z rządem zawziętą walkę o prawa polityczne a zapomnieli zupełnie o najważniejszej sprawie, o uregulowaniu kwestyi włościańskiej, nawet o oświeceniu ludu. Tak wrzód, pielęgnowany przez egoizm i chciwość na zdrowem ciele Polski, jątrzył się ciągle i rozrastał w miarę osłabienia organizmu narodowego, rażąc niemocą całe społeczeństwo. Najfatalniejszem było zaś w tej chorobie to, że naród polski, jakkolwiek przyszedł do świadomości złego, nie był już w stanie uleczyć się własnemi siłami, lecz musiał przyjmować pomoc obcych chirurgów, którym nie na uzdrowieniu, tylko na większem jeszcze ubezwładnieniu chorego ciała zależało. W tej myśli też wydał rząd rosyjski ukaz z dnia 7. czerwca 1846 r., w którym znosił wszelkie daremszczyzny i najmy przymusowe, nie oparte na tytułach prawnych, nie dozwalał właścicielom rugować z gruntu rolników lub uszczuplać ich posiadłości i nakazywał opróżnione osady w przeciągu dwóch lat oddawać innym włościanom. Jakkolwiek ukaz zawierał wiele postanowień słusznych, to wykonanie jego, zlecone największemu wrogowi szlachty polskiej, generałowi Storożeńce, dyrektorowi komissyi spraw wewnętrznych, stało się źródłem niezliczonych utrapień i prześladowań dla właścicieli, środkiem jątrzenia dwóch warstw społecznych i tak już między sobą poróżnionych. W ślad za tym ukazem poszły inne zmiany, mające na celu jak najściślejsze połączenie Królestwa z cesarstwem. Wprowadzono więc (w r. 1847) na miejsce dawnego nowy kodeks kar głównych i poprawczych, o wiele gorszy i nieudolniejszy, ale „zbliżony w zasadach do prawodawstwa rosyjskiego“; ukazem z dnia 10. listopada 1850 r. zniesiono linią graniczną pomiędzy Rosyą i Królestwem i usunięto zarazem wszystkich urzędników i strażników polskich na komorach celnych, zastępując ich Rosyanami;

[1]) Szczerbatów: Rządy etc., str. 299.

w roku następnym poddano odrębną dotąd dyrekcyą poczt w Królestwie pod zarząd ogólny w cesarstwie i zaprowadzono we wszystkich urzędach pocztowych manipulacyą i język rosyjski; miary i wagi polskie zastąpiono rosyjskiemi; ustanowiono gildy kupieckie i nałożono na wyjeżdżających za granicę wysokie (50—250 rubli) opłaty paszportowe.

Dalszą niwelacyjną pracę w tym kierunku przerwała wojna krymska, rozpoczęta w r. 1853. Przebieg jej był nad wszelkie spodziewanie dla Rosyi niepomyślnym. Po stronie słabej Turcyi stanęły w styczniu 1854 r. mocarstwa zachodnie, Anglia i Francya, gdzie po zamachu stanu, wykonanym 2. grudnia 1852 r., zasiadał na tronie Napoleon III., zaniosło się więc na wielką wojnę

Andrzej hr. Zamoyski.

europejską, która i w narodzie polskim obudziła pewne nadzieje. Naczelnym wodzem armii rosyjskiej został sławiony tyle i po wyprawie węgierskiej do najwyższych godności w państwie wyniesiony Paskiewicz, szefem sztabu ks. Gorczaków. Ale tu dopiero okazała się w całej pełni nieudolność „zakaukaskiego bohatera“ i jego pomocnika. Nie był on bowiem w stanie ani zwyciężyć Turków, ani zdobyć dzielnie bronionej Sylistryi i, w skutek kontuzyi rzekomej, która przypominała dziwnie ową ranę przy szturmie warszawskim otrzymaną, złożył dowództwo w ręce Gorczakowa a sam powrócił do Warszawy, aby spocząć na zwiędłych wawrzynach sztucznej swojej chwały. Główny teatr wojny przeniósł się niebawem do Krymu, zwycięstwo nad Almą otworzyło

wojskom koalicyi drogę pod mury warownego Sebastopola. Wśród tego powstał ruch na emigracyi. Ks. Adam Czartoryski miał od dawna już stosunki w Konstantynopolu. Bawił tam z jego ramienia generał Chrzanowski, od r. 1841 Michał Czaykowski. Przewodnią myślą przy tem działaniu było utrzymanie przyjaznych związków z Turcyą, jako naturalną nieprzyjaciółką Rosyi, i uzyskanie wpływu na Słowian południowych. Niejasne, fantastyczne marzenia słowiańskie zajmowały wtedy żywo i Czartoryskiego i całe jego otoczenie, wiodły ich, jak w owej głośnej sprawie „księcia Czarnogórskiego“ Wasowicza, na manowce awanturniczej polityki. Myślano o osiedlaniu się Polaków na wschodzie, pod opieką turecką, nawiązywano stosunki z Serbami i Bułgarami, w r. 1849 podjęto nawet zabiegi około pojednania Serbów z Węgrami, które szły tak pomyślnie, że pułkownik Bystrzonowski jeździł do obozu Kniczanina z najkorzystniejszymi od Węgrów warunkami, zastał tam jednak już oficerów austryackich, którzy do ugody nie dopuścili.[1])

Czaykowski, pełen kozackich fantazyj, zdolny i władający biegle językiem francuskim, nadawał się wybornie do missyi wschodniej, umiał sobie pozyskać względy Turków i wpływowych w Konstantynopolu Francuzów, zwłaszcza że przyjeżdżał także jako wysłannik Guizota, dla robienia studyów historyczno-etnograficznych pomiędzy Słowianami, nawiązał stosunki z Nekrasowcami i Zaporożcami w Dobrudży, a gdy Rosya, zaniepokojona tem wszystkiem, domagała się jego wydania, przyjął islam i jako Sadyk-effendi wystąpił podczas wojny krymskiej z projektem utworzenia Kozaków sułtańskich.[2]) Od ks. Adama z Paryża nadeszły także listy, zapowiadające nieokreśloną jeszcze akcyą polityczną, rozmaici oficerowie polscy, pomiędzy nimi Wysocki, Bystrzonowski, pułkownik Breański, Jagmin, Jordanowie wstąpili do wojska tureckiego; Czaykowskiemu polecił rząd organizacyą pułku kawaleryi, złożonego z Polaków i Słowian. Zabrawszy się żwawo do rzeczy, stanął on wkrótce z swoimi Kozakami, pod dawnym sztandarem Zaporożców w szeregach armii Omera baszy nad Dunajem i oddał w wojnie podjazdowej niemałe usługi Turkom. Ale równocześnie wystąpił na widownią pułkownik Władysław Zamoyski, mający wielu nieprzyjaciół wśród swoich. Wszczęła się też natychmiast niezgoda, kwasy i intrygi, współzawodnictwo między Zamoyskim a Czaykowskim; zawiązujące się legiony, nibyto polskie, rozerwały się na dwie części: jedną gromadził w obozie pod Burgas Czaykowski, drugą zbierał Zamoyski w porozumieniu z Anglikami. Wreszcie dnia 16. listopada 1855 r. postanowił rząd Wielkiej Brytanii utworzyć osobny korpus z Polaków złożony, pod nazwą „dywizyi Kozaków sułtańskich“, i powierzył naczelne jej dowództwo Zamoyskiemu, którego mianowano generałem.[3]) Pod tę porę przybył do Konstantynopola Mickiewicz w celach naukowych i politycznych. Mając sobie poruczone od ks. Adama zbadanie stosunków polskich, patrzył on z przykrością na ową waśń

[1]) Pamiętnik Wysockiego, str. 80.

[2]) Fr. Rawita-Gawroński: Michał Czaykowski, jego życie, działalność wojskowa i literacka. Petersburg 1900.

[3]) Jenerała Zamoyskiego raport do ks. Czartoryskiego i dwie przemowy, dotyczące formacyi dywizyi polskiej. Paryż 1856.

nieszczęsną, usiłował pogodzić Zamoyskiego z Czaykowskim, ale zabiegi jego nie odniosły skutku. Korpus Zamoyskiego, liczący około 2000 ludzi, organizował się za pieniądze angielskie; myślano o wyprawie do Georgii, o połączeniu się z Szamilem, z Czerkiesami. Wszystkie te plany były jednak spóźnione. Cesarz Mikołaj, złamany niepowodzeniem, zawiedziony w swoich nadziejach, zmarł nagle prawie dnia 2. marca 1855 r. a syn jego i następca, Aleksander II., zakończył uciążliwą dla Rosyi wojnę pokojem w r. 1856. Na dwóch przeciwległych krańcach Europy schodzili ze świata niemal jednocześnie dwaj wielcy mocarze. W nadnewskiej stolicy konał w mękach obrażonej dumy śmiertelny wróg Polski, otoczony krwawemi widmami pomordowanych ofiar, nad brzegami Bosforu zstępował do grobu wielki, potężny władca dusz i serc polskich, opromieniony aureolą męczeństwa i niewygasającej nigdy miłości ukochanego swego narodu. Życie ich było jednem, nieprzerwanem pasmem walk i trudów, poczętych u pierwszego z dumy i pychy, u drugiego z czystej miłości i silnej wiary. To też, gdy z śmiercią Mikołaja twierdza despotyzmu zachwiała się w swoich posadach, dzieła Mickiewicza nie przestały być drogowskazem dla myśli i ducha polskiego. Rosya mikołajowska zginęła niepowrotnie, Polska Mickiewicza żyje w serc milionach.

Aleksander II. — Nadzieje i zawody. — Kongres paryski. — Stronnictwa. — Towarzystwo rolnicze. — Kwestya włościańska. — Początek manifestacyj. Niespodziewana zupełnie wiadomość o śmierci Mikołaja obudziła w sercach polskich nie tyle uczucie radości, co jakichś nieokreślonych nadziei. Gdy nieubłagany wróg Polski i Polaków skończył swoje mściwe panowanie a wykonawca jego rozkazów, Paskiewicz, dogorywał w Warszawie, zdawało się, że po dniach smutku i żałoby jaśniejsze cokolwiek nastąpią chwile. Manifest nowego cesarza, obracający się w kole utartych ogólników, nie zapowiadał wprawdzie zmiany systemu, ale wiedziano, że Aleksander II. z usposobienia i skłonności różni się znacznie od swego „niezapomnianego“ ojca, że dla Polaków mianowicie nie żywi uczuć wrogich. Przypominano sobie, jak niegdyś, dzieckiem będąc, przejeżdżał po ulicach Warszawy w mundurze polskim, mówiono, że włada biegle językiem polskim, że czytywał z zapałem dzieła Mickiewicza, że jest zwolennikiem zasad liberalnych, i na tych, co prawda, kruchych podstawach budowano marzenia o lepszej przyszłości. Zresztą sprawa polska od początku wojny wschodniej nie schodziła z porządku dziennego. Publicznie i otwarcie nie mówiono wprawdzie o odbudowaniu Polski, ale z oświadczeń ministrów i z artykułów dziennikarskich można było wnosić, że tam, za kulisami, dyplomacya zajmuje się tym przedmiotem. Bo jeżeli angielski minister spraw zagranicznych, lord Clarendon, podniósł w izbie niższej (d. 27. lutego 1854 r.), że „należy raz skupić wszystkie siły Europy i, bez żadnych skrytych zamiarów lub osobistych interesów, zamknąć państwo rosyjskie w granicach, wykreślonych przez naturę i historyą,“ to mogło się to odnosić tylko do prowincyj polskich, do niezawisłości politycznej tych krajów, które ani z natury, ani z tradycyi historycznej swojej do Rosyi nie należały. Jakoż równocześnie z tą enuncyacyą Clarendona układał inny dylomata, poseł pruski w Londynie Bunsen, przyjaciel osobisty Fryderyka Wilhelma IV., me-

moryał, w którym dowodził, że Prusy powinny się połączyć z mocarstwami zachodniemi przeciw Rosyi, a to w celu zjednoczenia Niemiec i uregulowania najważniejszych kwestyj europejskich. Na ten wypadek przeznaczał on monarchii Hohenzollernów Saksonią, króla saskiego zaś radził wynagrodzić koroną polską, której Austrya miała oddać Galicyą, Prusy część Księstwa poznańskiego. Śmiało nakreślonemu projektowi Bunsena sprzeciwił się jednak Bismark, twierdząc, że niepodległa Polska stałaby się aliantką Austryi a zawsze groźną i niebezpieczną nieprzyjaciółką Prus, ze względu na ujścia Wisły i pretensye swoje do Szląska, i, poparty przez rusofilskie stronnictwo u dworu,[1]) pomimo opozycyi wszystkich prawie ministrów, skłonnych do koalicyi z Anglią i Francyą, zwyciężył. Mimo to sprawa polska nie zniknęła z porządku dziennego. W jesieni 1855 r. minister francuski spraw zagranicznych, Drouin de Lhuys, przedłożył z polecenia cesarza Clarendonowi projekt odbudowania Królestwa polskiego „na warunkach usankcyonowanych przez kongres wiedeński," ale otrzymał odmowną odpowiedź. Ta sama Anglia, która przyjmowała na żołd swój Polaków i organizowała z nich pod dowództwem Zamoyskiego „Kozaków sułtańskich", sprzeciwiła się podniesieniu kwestyi polskiej z obawy przed oburzeniem Europy. Nic zatem dziwnego, że kiedy już podczas kongresu paryskiego lord Clarendon oświadczył, iż gotów jest domagać się odbudowania Polski, Napoleon III. przyjął tę propozycyą chłodno, był bowiem przekonanym, że Anglia działa nieszczerze i pragnie tylko w ten sposób przeszkodzić ściślejszemu porozumieniu Francyi z Rosyą. Tak wśród „najlepszych przyjaciół" nie miała Polska nikogo, coby szczerze za nią przemówił. Zadowolono się poufnem, jak nazywają dyplomaci, półurzędowem, ale nikogo nie obowiązującem oświadczeniem posła rosyjskiego Orłowa, że „cesarz Aleksander Nikołajewicz zarówno troszczy się o szczęście Polaków, jak i innych swoich poddanych; że żywi względem nich jak najwspaniałomyślniejsze zamiary, ale że godność Rosyi nie pozwala, by ten przedmiot był rozpatrywany[2]) na kongresie." Jakże wyglądała w praktyce ta wspaniałomyślność Aleksandra II.? Po śmierci Paskiewicza, który w strasznych boleściach skonał dnia 1. lutego 1856 r. na zamku warszawskim i w chwili zgonu u łoża swego widział ducha przeklinającej go matki Artura Zawiszy, powierzono na krótki czas namiestnicze rządy generałowi Krasińskiemu, którego zastąpił wnet Michał ks. Gorczaków, obrońca Sebastopola i długoletni szef sztabu ks. Erywańskiego. Wiekiem pochylony, służbą wojenną styrany, potomek niezamożnej wcale rodziny arystokratycznej rosyjskiej, władający biegle językiem francuskim niż własnym, pilny czytelnik romansów francuskich, krótkowidz, głuchy, o charakterze słabym, był on na tem stanowisku, niezmiernie trudnem, tylko figurantem. Władza namiestnicza spoczywała

[1]) H. v. Sybel: Die Begründung des Deutschen Reiches durch Wilhelm I. München und Leipzig 1890, II., 182.

[2]) O kwestyi polskiej z tych czasów pisali pomiędzy innymi: 1) Klaczko Julian: Etude de diplomatie contemporaine. Les cabinets de l'Europe en 1863—1864. Paris 1856; i 2) Tatiszczew S. w *Ruskim Wiestniku* z r. 1888. Tłumaczenie polskie wyszło w Warszawie w r. 1901 pod tytułem: Dyplomacya rosyjska w kwestyi polskiej (1853—1863). Literaturę historyczną z tego okresu podaje zresztą wyczerpująco Z. L. S. w Historyi dwóch lat (1861—1862) W Krakowie 1892. T. I.

właściwie w rękach dyrektora komissyi spraw wewnętrznych i duchownych, Pawła Muchanowa, znanego z nienawiści swojej do Polski i Polaków. Jako kurator okręgu naukowego warszawskiego za Paskiewicza, pracował on usilnie nad obniżeniem poziomu oświaty i nad zdemoralizowaniem młodzieży, teraz zaś, wyniesiony na urząd tak wysoki, stał się oczywiście więcej jeszcze szkodliwym i groźnym, zwłaszcza że posiadał nieograniczone zaufanie drzemiącego na laurach sebastopolskich Gorczakowa. A jednak i ta zmiana wydała się przywykłym do brutalnego systemu Paskiewicza wielkim postępem, i kiedy łagodny i miękki z usposobienia namiestnik przemówił do witających go dygnitarzy i obywateli w tonie przychylniejszym, kiedy nadmienił, że cieszy się, iż jest znowu w Polsce, powitało go społeczeństwo polskie sympatycznie, niemal z radością. Po cichu zaś szeptano sobie o pewnych stypulacyach, korzystnych dla Polski, na kongresie pariskym — było to jeszcze przed interpelacyą lorda Lyndhursta w parlamencie angielskim w d. 11. lipca 1856 r. — a ambasador rosyjski w Berlinie, Brunnow, rozwodził się szeroko nad przychylnem dla Polaków usposobieniem Aleksandra II. i nad zamierzonemi przez niego reformami. Zapalna łatwo wyobraźnia polska chwytała się skwapliwie na tę ponętę i nawet taki patryota jak Tytus Działyński napisał przedmowę do „Dyaryusza sejmu unii lubelskiej“, w której wzywał „najpotężniejszego władcę ludów słowiańskich“ do krucyaty przeciw Niemcom. Kubek w kubek powtarzało się więc to, co widzieliśmy za czasów Aleksandra I., z tą jednak różnicą, że obecnie poza granicami kraju znajdowała się potęga, potępiająca ten sentymentalizm polski, i ona też, mianowicie Czartoryski i Zamoyski, odwiodła Działyńskiego od ogłoszenia drukiem owej wspomnianej apostrofy. Niestety! wypadki bardzo bliskie dowiodły, że ostrożność i nieufność emigracyi polskiej były zupełnie uzasadnione. Kiedy w maju 1856 r. Aleksander II. miał przyjechać po raz pierwszy do Warszawy i kiedy złudzenia, jakim się oddawało społeczeństwo polskie, rozwijały się swobodnie, powstała, pomiędzy szlachtą zwłaszcza, myśl skorzystania z tak ważnej chwili. Znany nam już z r. 1830 Jan Jezierski, koniuszy dworu i marszałek gubernii lubelskiej, zamierzał więc podać cesarzowi memoryał o stanie kraju, Aleksander Wielopolski ułożył adres, który miał być doręczony Aleksandrowi II. przez szlachtę podczas przedstawienia w pałacu Łazienkowskim. Oba te akta były ułożone w duchu wiernopoddańczym; adres stawiał żądania bardzo skromne: udoskonalenie organizacyi wewnętrznej i poprawę wychowania publicznego; w memoryale proszono o amnestyą, o powrót wygnańców z Syberyi, o język urzędowy polski i o wprowadzenie instytucyj, objętych statutem organicznym. A jednak mimo tej lojalności, posuniętej do ostatecznych granic, mimo serdecznego niemal usposobienia, z jakiem społeczeństwo polskie witało młodego monarchę, nie przyjął Aleksander II. ani adresu, ani memoryału, natomiast usłyszeli Polacy przy przedstawieniach w Belwederze i pałacu Łazienkowskim dwukrotnie, obok zapewnienia ogólnego, że cesarz zapomina o przeszłości i jest życzliwie dla kraju usposobiony, także pochwałę i zatwierdzenie mikołajowskiej polityki a wreszcie surowe upomnienie na przyszłość, streszczone w znanym powszechnie zwrocie: *point des réveries!* precz z marzeniami! Czy na układ i ducha tej mowy wpłynął

namiestnik Gorczakow, inspirowany przez Muchanowa, czy gabinet wiedeński, któremu wtedy zależało na tem, aby nie dopuścić do porozumienia Polaków z Rosyą, to rzecz dla historyi i dla narodu polskiego dość obojętna. Społeczeństwo polskie nie znało intryg zakulisowych, tak jak i my dziś ich dokładnie nie znamy, i oceniało politykę Aleksandra II. z słów jego i czynów. Słyszało ono więc z ust cesarza, że „wszystko, co ojciec jego dokonał, było dobrem, i że panowanie jego będzie tylko przydłużeniem panowania rodzica,“ słyszało, że „uważa za swój obowiązek nauczać ciągle Polaków, iż ich szczęście zamyka się tylko w zupełnem zlaniu się z Rosyą,“ i musiało wysnuć z tego wniosek całkiem naturalny, że nadzieje, które przywiązywano do osoby nowego cesarza, były prostem złudzeniem, i że naród polski niczego spodziewać się nie powinien, jak tylko dalszych usiłowań do zlania go z Rosyą. Polityk, wytrawny mąż stanu mógł oczywiście argumentować inaczej, mógł sądzić, że ten car, bądź co bądź wolnomyślniejszy od Mikołaja, wychowany wśród odmiennych warunków, zamyślający właśnie o rozwiązaniu doniosłej kwestyi włościańskiej, będzie zmuszony siłą wypadków zmienić tryb postępowania z Polakami, nadać im pewne swobody, powołać ich do udziału w życiu publicznem; mógł mniemać, że społeczeństwo polskie, odetchnąwszy cokolwiek, będzie w stanie i dalsze uzyskać ustępstwa, i zalecać zatem spokój, rozwagę i wyczekiwanie, ale masa narodu, myśląca sercem i kierująca się uczuciem, nie była zdolna tego ani zrozumieć, ani wykonać, ona słyszała i pojmowała tylko jedno: precz z marzeniami! a tego wrażenia nie mógł złagodzić ogłoszony (d. 27. maja) równocześnie akt amnestyi, ułożony najniezręczniej, nazywający powody emigracyi „chwilowem obłąkaniem“, obrażający zarówno uczucia emigrantów jak i całego narodu. Nic dziwnego zatem, że tak stronnictwo arystokratyczne, jak i demokratyczne w Paryżu zaprotestowało przeciw amnestyi, i że liczba emigrantów, pochodzących z Królestwa, którzy powrócili do kraju skutkiem owego majowego ukazu, wynosiła (w czasie od lipca 1856 do marca 1858) tylko 118.[1]) Z powodu koronacyi swojej (7. września 1856 r.) wydał car nowe rozporządzenia, zezwalające na powrót do kraju Dekabrystów, zesłanych na Sybir od r. 1826 do 1829, i Polaków, którzy skutkiem udziału w powstaniu 1831 r. skazani zostali na deportacyą, z tem jednak wyraźnem zastrzeżeniem, że ani jedni, ani drudzy nie mogą odzyskać majątków skonfiskowanych. Jeżeli akta powyższe świadczą o łagodnem i pojednawczem usposobieniu panującego, to są one zarazem i niesprawiedliwe i błędne politycznie dlatego, że, powracając wygnańcom wszystkie prawa, zostawiają ich w ubóstwie i bez środków utrzymania i zamiast wdzięczności dla rządu budzą w nich uczucie nienawiści i chęć zemsty. Co gorsza, w tymże samym r. 1856 ogłoszono w dziennikach cały szereg nowych konfiskat z powodu udziału w rewolucyi węgierskiej i pięć takichże wyroków za udział w powstaniu 1830 r., a więc wbrew postanowieniom amnestyjnym z d. 27. maja.[2]) Więcej znaczenia miały ukazy, znoszące stan wojenny w Królestwie i na Litwie, istniejący bez przerwy od 1831, i wstrzymanie poboru rekrutów; za to w sprawach

[1]) Lubliner: Des diverses amnisties, octroyées aux Polonais. Bruxelles 1859, p. 91.
[2]) Tamże str. 93.

religijnych żadnego nie było postępu. Rząd postanowił wprawdzie wprowadzić w życie konkordat, zawarty z Stolicą apostolską jeszcze w r. 1847 a dotąd będący martwą literą, ale wszechwładnym wpływom Muchanowa powiodło się zwichnąć i to pożyteczne dla kraju przedsięwzięcie. Zdołał on bowiem nie tylko przeszkodzić zastosowaniu nowych ustaw względem małżeństw mieszanych, lecz nie dopuścił także do obsadzenia biskupiej stolicy augustowskiej i unickiej w Chełmie. Skończyło się więc wszystko na nominacyi trzech biskupów: arcybiskupem warszawskim został sufragan płocki ks. Antoni Fijałkowski, osiemdziesięcioletni starzec, zacny i żarliwy patryota, lecz człowiek wiekiem złamany, na katedrze podlaskiej zasiadł ksiądz Benjamin Szymański, prowincyał Kapucynów, biskupstwo kujawskie otrzymał ks. Michał Marczewski, z Kaszubów pochodzący i dla sprawy narodowej zupełnie obojętny.

Jeżeli te reformy kościelne nie były w stanie ani zadowolnić katolików polskich, ani też poprawić opłakanych stosunków zaniedbanego i gnębionego tak długo kościoła, to postępowanie rządu z unitami, zgodne zupełnie z systemem mikołajowskim, musiało wywołać słuszne oburzenie i zachwiać do reszty zaufanie, jakie pokładano w sprawiedliwości i łagodności Aleksandra II. Wypadek w Dernowiczach, miasteczku położonem w gubernii Witebskiej, gdzie ludność, niegdyś unicka a w r. 1842 gwałtem przeprowadzona na prawosławie, zaniosła dwukrotnie prośbę do cesarza, aby jej wolno było powrócić do unii, i za to, z rozkazu zesłanych komissarzy, między tem senatora Szczerbinina, bita bez litości, zmuszona była w schyzmie pozostać; i drugi w Porowcewie, w gubernii Grodzieńskiej, gdzie z tej samej przyczyny kilku chłopów zginęło pod rózgami, rzucił jaskrawe światło na pojednawczą pozornie a w rzeczy samej okrutną i po dawnemu brutalną politykę rządu rosyjskiego. Cóż dziwnego zatem, że na wieść o podobnych prześladowaniach i gwałtach, rozpowszechnionych przez dzienniki zagraniczne,[1]) zawrzały na nowo uspione cokolwiek namiętności, że w sercach polskich powstało rozgoryczenie, że zajątrzone umysły zaczęły po dawnemu wątpić o możności jakiegokolwiek porozumienia, odpychać w końcu ze wstrętem wszelką myśl ugodową? Nie bez wpływu znacznego na to usposobienie był stan, w jakim wtedy społeczeństwo polskie się znajdowało. Pozbawieni możności kształcenia się w kraju, odcięci od związków z zagranicą, demoralizowani przez rząd, oddani na pastwę systemu policyjno-biurokratycznego w najgorszym rodzaju, karmieni przemycaną a po większej części niezdrową literaturą emigracyjną, popadli Polacy albo w obojętność i odrętwienie umysłowe, albo też w stan nienaturalnej egzaltacyi i nerwowego rozdrażnienia. Szlachta, opływająca w dostatki, za leniwa lub za wygodna, aby się zajmować nauką, po którą zresztą trzeba było jeździć daleko, trwoniła czas, mienie i zdrowie na hulankach, rozrywkach i hazardownej grze w karty, do czego pedagogia rosyjska zaprawiała ją za młodu; warstwy średnie, walczące często z niedostatkiem, po większej części niedouczone, bo nie miały na to ani środków, ani sposobności, zarabiały na chleb w służbie prywatnej, albo marnowały siły swoje na podrzędnych stanowiskach

[1]) Zdarzenie w Dernowiczach opisały pomiędzy innemi dokładnie *Wiadomości polskie* w Paryżu.

w dykasteryach rządowych, skąd wychodzili albo zakrzepli rutyniści albo malkontenci, niezadowoleni z całego świata a najbardziej z stosunków, w których żyli, lud w końcu stanowił ciemną, bezwładną masę, ciężko pracującą, rozpojoną i oczekującą lepszych czasów. Kiedy więc po śmierci Mikołaja nowy duch powiał po kraju, kiedy powstały nieokreślone jakieś nadzieje lepszych czasów i kiedy rozeszły się pogłoski, że Aleksander II. zamierza kwestyą włościańską uregulować, poruszyło to żywo umysły i wprawiło je w stan gorączkowego podniecenia. Mowa cesarza w Warszawie i następne zdarzenia wywołały zamiast otrzeźwienia jeszcze większe rozgoryczenie. Tymczasem powrócili wygnańcy syberyjscy, jedni wiekiem i cierpieniami złamani, jak Piotr Wysocki, aby na ojczystej ziemi skołatanego dokonać żywota, drudzy, jak n. p. Agaton Giller, pełni sił i gorących uczuć patryotycznych, gotowi do nowych spisków i do walki śmiertelnej z znienawidzonym rządem. Na te wszystkie, łatwo zapalne, nerwowo usposobione a mało rozważne i mało wykształcone żywioły wywierały wpływ potężny prądy emigracyjne, odezwy i mowy Mierosławskiego, wreszcie współczesne wypadki polityczne, o których w właściwem miejscu wspomnieć nam przyjdzie. Bez spisków i konspiracyj zatem, bo tych wtedy jeszcze nie było wcale, tworzyło się, zbiegiem nieszczęśliwych okoliczności, skutkiem błędów popełnionych przez rząd, słowem samą siłą wypadków, stronnictwo ruchu, które wobec martwoty panującej u góry, złej wiary i nieudolności władz rosyjskich, jakoteż wobec niezdecydowanej i kunktatorskiej polityki „białych“ musiało krajem zawładnąć i poprowadzić go na drogę nieuniknionych katastrof.

W kołach szlacheckich, w Królestwie, gniecionych najbardziej żelazną ręką Paskiewicza i podejrzywanych nieustannie o wrogie przeciw rządowi zamiary, powstało, w czasach mikołajowskich jeszcze, stronnictwo, stworzone przez Andrzeja Zamoyskiego, które za cel sobie położyło pracę organiczną nad podniesieniem kraju, w granicach najzupełniej legalnych. Wychodząc z zasady, że „ten bluźni przeciw sprawiedliwości Boskiej, kto sądzi, że żyje w epoce zbyt trudnej, zmuszającej go do nieczynności i do oczekiwania lepszych czasów,“ nie upadł Zamoyski na duchu, nie zamknął się i nie zasklepił w ciasnem kółku domowych obowiązków, lecz wytrwale i zręcznie jął się tego, na co stosunki ówczesne pozwalały, rzucił się na pole ekonomiczne, w spółce z Francuzem Guibertem zaprowadził żeglugę parową na Wiśle, założył w Warszawie warsztaty dla budowy statków, fabrykę narzędzi rolniczych a równocześnie u siebie, w Klemensowie, zbierał szlachtę, raz na rok w lipcu, obwoził ją po swojem wzorowem gospodarstwie a wieczorem przy stole, przy kieliszku wina wszczynał rozprawy o agronomii, o obowiązkach społecznych, o kwestyi włościańskiej, słowem o sprawach, które tym umysłom, zagrzęzłym w troskach lub przyjemnościach codziennego życia, otwierały szersze horyzonty. Tą drogą postępując skupił on powoli około siebie liczne grono ziemian, zwanych zwyczajnie „Klemensowczykami“, którzy, przyjąwszy program „Pana Andrzeja“, stali się, sami nie wiedząc jak, potężnem w kraju stronnictwem. Teraz, kiedy się na zmiany zanosiło, Zamoyski w adresy i memoryały się nie bawił, lecz do praktycznych zdążając celów, skorzystał z chwili i uzyskał, dzięki przy-

jaźnym stosunkom swoim z Gorczakowem, ukaz cesarski, zezwalający na założenie towarzystwa rolniczego w Królestwie (d. 24. listopada 1857 r.). Rzecz sama w sobie na pozór drobna i niewinna, urosła wkótce, pod przewodnictwem Zamoyskiego, do wielkiej w kraju potęgi. Towarzystwo liczące w r. 1858 członków 2538, rozporządzało znacznymi funduszami (wkładka wynosiła 100 złp.), siecią organizacyi swojej obejmowało całe Królestwo a przy rzadkiej u nas zgodzie i harmonii rozwijało działalność wszechstronną i wielce pożyteczną. Urządzano więc nie tylko wystawy rolnicze i konkursa, ale zakładano ochronki dla dziatwy wiejskiej, szkoły rzemieślnicze, obok „Roczników gospodarskich“ drukowano książki elementarne, wydawano dziełka dla ludu i tak skromnie,

Agaton Giller.

bez rozgłosu wielkiego, stworzono rodzaj reprezentacyi stałej dla kraju, pozbawionego dotąd i praw politycznych i możności do pracy publicznej.

Jeżeli założenie Towarzystwa rolniczego obudziło pewną otuchę w kołach „Klemensowczyków“, to zezwolenie rządu na wydanie zabronionych tak surowo dzieł Mickiewicza wywarło jak najlepsze w kraju wrażenie. Powiał także i w prowincyach zabranych wiatr cokolwiek pomyślniejszy. Z kijowskiego generał-gubernatorstwa musiał ustąpić osławiony Bibików, naraziwszy się osobiście Aleksandrowi II., gdy był jeszcze następcą tronu; miejsce jego zajął ks. Wasylczyków, który okazał się o wiele względniejszym i popierał nawet do pewnego stopnia zabiegi Polaków w zakresie reform ekonomicznych i spo-

łecznych. Litwa zostawała pod władzą Nazimowa. Był to sobie wprawdzie Rosyanin czystej krwi, niechętny Polakom, ale że lubił zabawy i wesołe życie, więc zezwolił na założenie klubu szlacheckiego w Wilnie i sam u siebie wyprawiał bale, gdzie obok mundurów oficerskich, błyszczały karmazynowe kontusze i pobrzękiwały karabele polskie. Ogółem Litwa, pomimo tylu srogich prześladowań, miała wtedy charakter kraju zupełnie polskiego, bo nie tylko była polską szlachta, ale i cały świat urzędniczy, rozrzucony gęsto nawet po Białej Rusi. Patrzył na to z oburzeniem znany renegat Józef Siemaszko, żyjący w Wilnie w pogardzie [1]) u swoich i obcych, i wysłał po cichu (d. 10. stycznia 1855 r.) na ręce generała hr. Protasowa, oberprokuratora synodu, memoryał, w którym zwracał uwagę rządu na niebezpieczeństwo, zagrażające ze strony Polaków, i nie wprost wprawdzie, ale w dość zrozumiały sposób, podawał w podejrzenie Nazimowa, jako łączącego się „ze stroną bogatą, potężną i wpływową.“ [2]) Na skutek takiego donosu nakazano z Petersburga wszystkie posady urzędowe powierzać „wyłącznie osobom pochodzenia rosyjskiego“. Ale Nazimów, obrażony przez Siemaszkę, zniósł się z generał-gubernatorem kijowskim i obaj wystosowali, po śmierci Mikołaja, przedstawienia przeciwne systemowi drażnienia i nienawiści, a gdy się pokazało nadto, że urzędnicy, z głębi Rosyi sprowadzeni, nie byli w stanie zastąpić Polaków, postanowiono zachowywać nadal ogólne przepisy, wydane dla wstępujących do służby wszystkich poddanych innych gubernij. Tak brzydka intryga Siemaszki nie odniosła na razie zamierzonego celu a Aleksander II, czy to lojalnością szlachty litewskiej ujęty, czy też czyniąc zadość obietnicom Orłowa na kongresie paryskim, zezwolił w r. 1858 na udzielanie nauki języka polskiego w szkołach litewskich i równocześnie przywrócił język urzędowy polski w urzędach pocztowych w Królestwie, oddając je pod zarząd namiestnika i Rady administracyjnej. Może być, że w ten sposób pragnął on także usposobić przychylnie szlachtę polską dla wielkiego i trudnego dzieła uwłaszczenia chłopów, które właśnie w tym czasie rozpoczynał. Za radą Nazimowa postanowił Aleksander pierwszą próbę w tym względzie uczynić na Litwie, gdzie, jak wiadomo, jeszcze przed 40-tu laty patryoci rozwiązaniem kwestyi włościańskiej żywo, acz bez skutku, się zajmowali. Obecnie położenie było o tyle łatwiejsze, że i rząd życzył sobie polepszenia doli chłopów i opinia publiczna polska jak najgoręcej tego się domagała. Jakoż nie omylił się Nazimow, bo jakkolwiek na komitetach szlacheckich objawiały się z początku gdzieniegdzie prądy reakcyjne, to w końcu jednak zwyciężyły zasady zdrowe i obywatele gubernii Wileńskiej postanowili pójść dalej, niż wymagał pierwotny projekt rządowy, t. j. uwłaszczyć zupełnie chłopów w drodze długoletniego (33 lat) wykupu nadanych im gruntów. Będzie to zawsze niepoślednim dla szlachty litewskiej zaszczytem, że ona pierwsza dała przykład uczciwego i rozumnego rozwiązania tak drażliwej

[1]) Chotkowski X. Dr.: Dzieje zniweczenia św. Unii na Białorusi i Litwie, w świetle pamiętników Siemaszki. W Krakowie 1898.

[2]) Memoryał ukazał się w *Kołokole* Hercenowskim w Londynie a następnie w *Zborniku historycznym rosyjskim* (z r. 1859) wydawanym tamże; tłumaczenie polskie umieściły *Wiadomości polskie* w 1859 r.

sprawy, a Nazimow oddał jej tylko sprawiedliwość, gdy przy uroczystem otwarciu komitetu gubernialnego wileńskiego (w d. 2. marca 1858 r.) powiedział: „z godnością i światłą wiedzą odgadując potrzeby rodzinnego kraju i stosując się do ducha czasu, wy panowie, pierwsi w całem państwie rosyjskiem, oświadczyliście się ze szlachetną dążnością ku polepszeniu bytu, zostających pod waszą opieką włościan.“ Uznanie to pochodzące z ust takiego „samobytnika“, przyjaciela Aksakowa, Samaryna i Sołowiewa, pozostanie w historyi jako chlubne świadectwo dla patryotyzmu i cywilizacyjnych dążności żywiołu polskiego na Litwie. Dłużej cokolwiek i zawzięciej toczyły się narady komitetów włościańskich na Wołyniu, Ukrainie i Podolu, ale i tu ostatecznie zapadła uchwała zniesienia poddaństwa i uwłaszczenia tak, że właściciele zapewnili sobie za każdą dziesięcinę, ocenioną po 102 rs., piąty procent rocznie, co równało się 80 dniom roboczym.[1])

Do Warszawy wysłał rząd generała Jxkulla, Szweda, człowieka wykształconego, rozważnego i uczciwego, który już w Estonii sprawą włościańską się zajmował, i polecił zarazem namiestnikowi utworzenie stosownego komitetu. Ale komitet, złożony z urzędników i Muchanowa, ograniczył się tylko do oczynszowania włościan a i to pozostawił dobrej woli właścicieli. Na tem utknęła rzecz cała, bo szlachta, obawiając się kosztownej zmiany dotychczasowego systemu gospodarskiego, nie spieszyła się wcale z oczynszowaniem.

Takie było położenie w r. 1859. Rząd przez swoją politykę chwiejną, niejasną, raz łagodną, to znów przypominającą system mikołajowski, zmarnował czas najlepszy i wywołał powszechne niezadowolenie, w którem utonęły bez śladu prawie koncessye, skąpo i dorywczo udzielane. Gdyby Aleksander II., zamiast drażnić niepotrzebnie uczucia narodowe, od razu był ogłosił ulgi, o których wyżej wspomniano, byłby zapewne nie pozyskał sobie zupełnie Polaków, ale stworzyłby był stronnictwo silne w kraju, które opierając się na uzyskanych już korzyściach, mogło nieunikniony bieg wypadków powstrzymać. On tymczasem mimo życzliwości i zapału, z jakim go Polacy witali, mimo łagodnego swego usposobienia, okazywał się, jak pogoda kwietniowa, zmiennym, ujmował uprzejmością, głaskał umysły tą lub ową koncessyjką a w innych razach bywał twardym, do pewnego stopnia nawet okrutnym, jak tego dowiódł wypadek w Dernowicach. Gdy na zjeździe w Sztutgardzie (1857 r.) Napoleon III., szukający wtedy ścisłego przymierza z Rosyą, w najlepszej wierze wspomniał mu o Polsce, objaśniając, że musi mieć wzgląd na opinią publiczną, która we Francyi jest stanowczo po stronie Polaków, Aleksander II., dotknięty widocznie, odpowiedział, że obca interwencya może tylko zaszkodzić narodowi polskiemu, a wyszedłszy rzekł do najbliższego swego otoczenia z oburzeniem: „Ośmielono się mówić mi o Polsce.“ Na Litwie zezwolił wprawdzie na nauczanie języka polskiego w szkołach, ale odrzucił adres szlachty białoruskiej, podany mu w Mińsku z prośbą o pomnożenie kościołów katolickich, o założenie uniwersytetu w Połocku i o wykład języka polskiego w szkołach, przyczem nadmienił, że w adresie „przebija się niejaka

[1]) Obszernie traktuje tę zawikłaną i trudną sprawę Bobrowski w II. tomie swoich pamiętników.

dążność do utrzymania mniemanej narodowości polskiej, bezzasadna i lekkomyślna.“ W dwa dni później witano go w Wilnie jako zbawcę ojczyzny łukami tryumfalnymi, wspaniałem oświetleniem miasta. W muzeum starożytności otrzymał przepyszne album a w niem złotemi literami wydrukowany wiersz Odyńca: „Przyjdź królestwo Boże“, pełen czołobitności i niesmacznych porównań, w którym niefortunny poeta wzywał „duchy Jagiellonów“, aby patrzyły „z wysokości na dziedzica swoich tronów, swoich myśli i miłości.“ A nie tylko Odyniec, ale i Syrokomla i Akielewicz i Wincenty Korotyński, wszystko ludzie zacni i dobrzy patryoci, składali w hołdzie „ojcu ludu“ mniej lub więcej udatne płody swojej muzy. Było to nie „odstępstwo“, jak mniemał w oburzeniu Juljan Klaczko, ale jakieś pomieszanie pojęć, chwilowe oszołomienie rozumów i zbłąkanie serc, bijących żywem tętnem ułudnych nadziei. W nagrodę za tę ciężką ofiarę z uczuć i godności narodowej odniosła szlachta podziękowanie za gościnność okazaną gwardyi w 1849 r., za udział w polepszeniu bytu włościan i zapewnienie, że cesarzowi miło jest w jej otoczeniu. Ten chłód, ta obojętność, graniczącą o miedzę z lekceważeniem, napełniła jednych smutkiem, oburzyła drugich. Życie społeczne, poruszone siłą wypadków politycznych, podniecone rozprawami o uwłaszczeniu włościan, zagrało na całym obszarze ziem polskich, skupiając się, jak zwyczajnie u nas, w kołach młodzieży gorącej i chciwej czynu. Poczęły się więc tworzyć nie spiski jeszcze, ale związki, najpierw w Petersburgu pod przewodem szlachetnego, nadzwyczaj uzdolnionego i wymownego Zygmunta Sierakowskiego i Jarosława Dąbrowskiego, w Kijowie pomiędzy młodzieżą, w $^{4}/_{5}$ polską, wreszcie w Warszawie. Tu, obok „Klemensowczyków“, którzy zamierzali drogą pracy organicznej podnosić kraj i zdobywać dla niego ustępstwa tak długo, aż naród polski uzyska rozległą autonomią i będzie mógł pomyśleć o niepodległości, obok stronnictwa Wielopolskiego i Jezierskiego, wyobrażających sobie przyszłą Polskę jako państwo, związane unią personalną z cesarstwem, a więc marzących o przywróceniu stosunków przedrewolucyjnych, skupiało się dość wcześnie już liczne grono, złożone z mieszczaństwa, rzemieślników i uczącaj się młodzieży około Edwarda Jurgensa. Był on tylko niższym urzędnikiem w komissyi spraw wewnętrznych, ale posiadał wykształcenie na owe czasy niepospolite, odwagę wielką, siłę argumentacyi niepokonaną i przy tem wszystkiem gorącą miłość ojczyzny. Celem jego było zbrojne powstanie, nie takie jednak, o jakiem zamyślał Mierosławski i partya czerwonych, lecz przygotowane rozumnie, i, co za tem idzie, skuteczne. Dlatego chciał korzystać ze wszystkiego, co rząd daje, drogą legalną upominać się o dalsze ulgi, w społeczeństwie budzić i utrzymywać nienawiść do władz rosyjskich, a gdy czas pomyślniejszy nadejdzie, gdy zwłaszcza stosunki europejskie ułożą się dla Polski korzystniej, chwycić za broń.

Stronnictwo ruchu nazywało zwolenników tego programu, jako odkładających odbudowanie niepodległej Polski na tysiąc lat, z francuska Milenerami. Z chwilą utworzenia w Warszawie medyko-chirurgicznej akademii (w 1857 r.) uległy te stosunki znacznej zmianie. Do nowej szkoły napłynęła młodzież gorąca, do porywów skłonna, zjawił się Jan Kurzyna, syn ubogiego

policyanta warszawskiego, rzutki i przedsiębiorczy, z Kijowa przyjechał były oficer rosyjski, Narcyz Jankowski, i wnet utworzyły się około tych dwóch ludzi koła, z akademików złożone, z wyraźnym już programem zbrojnego powstania. W tym samym kierunku, z wytrwałością, godną lepszej sprawy, pracował w Paryżu Mierosławski, w swoich przemowach listopadowych i w pismach ulotnych nawołując bezustannie do „rozgłośnego dzwonienia szablą“ i do „sygnałowych błyskawic szyszaka“. Gdy zawiodła dyplomacya i rewolucya 1848 r., pozostała Polakom, zdaniem jego, jeszcze „apelacya do samej ludzkości“, więc nie czekać nam, „leżąc krzyżem pod kopytami kongresów, w gawronim zachwycie fakiryzmu, Milenerów i towianizmu, lecz „szukać po omacku szczęku odnalezionego szczerbca o trójścian naszego grobowca.“[1]) Tym stylem, temi błyskotliwymi frazesami przemawiał do narodu „wódz zmartwychwstały“, taką lśniącą a beztreściową kaskadą słów dźwięcznie brzmiących zalewał rozognione serca i umysły, aby je rozgrzać do czerwoności i znieczulić na wszelkie wpływy trzeźwej refleksyi. Dziś czytając te popisy retoryczne, przeładowane twierdzeniami, którym dawno i niejednokrotnie historya zaprzeczyła, ubarwione nieprawdziwemi datami statystycznemi, trudno pojąć, jak mogły one budzić zapał w społeczeństwie i wpływać na jego działanie. A jednak tak było i nic nie pomogły odpowiedzi Klaczki i nawoływania ludzi roztropnych, młodzież poczciwa, bezgraniczną miłością ojczyzny i poświęceniem dla niej żyjąca, tęskniła do chwili, gdzie będzie mogła dosiąść „owdowiałego siodła“.[2]) Za młodzieżą szły kobiety i tak tworzyło się wielkie, potężne stronnictwo ruchu, wobec którego zblednąć musieli i „Klemensowczycy“ z swoją pracą organiczną, i czerwieńsi od nich Milenerzy z odległym programem powstania. Sprzyjały, co prawda, takiemu rozwojowi stosunków współczesne wypadki polityczne: wojna włoska i późniejsze cokolwiek wyprawy Garibaldego, uwieńczone zupełnem nad Burbonami neapolitańskimi zwycięstwem, odrodzeniem i niepodległością Włoch pod berłem dynastyi sabaudzkiej. Jeżeli bowiem „ten Włoch, jakieś Serby, jakieś Multany, jakichś Greków osypki, jakichś Czarnogórców banda krzykiem, frazesami, pieniactwem, zębami wdzierają się co dnia zuchwalej na ów przeznaczenia rydwan,“ to cóż dopiero mówić o dwudziestomilionowym narodzie polskim? tak wołał z nad brzegów Sekwany „wódz zmartwychwstały“ a logika jego wydawała się zawiedzionym w nadziejach, wykarmionym łzami niewoli, arcytrafną i niepokonaną. Trzeba jednak było przekonać się o usposobieniu ogółu, doświadczyć siły jego patryotyzmu a, w razie gdyby próba zawiodła, rozniecić ogień przytłumiony.

W tym celu rozpoczęły się manifestacye nabożeństwem żałobnem za dusze Adama, Juljusza i Zygmunta w d. 18. marca 1859 r. Władze, wcześnie uwiadomione, zabroniły wprawdzie obchodu, ale tłumy ludzi, jakie się zebrały w kościele

[1]) Przemowa na XXIX. rocznicę powstania listopadowego.

[2]) Jak na emigracyi oceniano Mierosławskiego i polemikę z nim, świadczy następujący wiersz Antoniego Góreckiego, umieszczony w *Demokracie polskim* z dnia 15. lipca 1859 r.:

Piszą z piekła, że djabli już w smole nie smażą:
Nową zmyślili mękę na dusze-biedaczki!
Każdej nic nie opuszczać i w głos czytać każą:
Mowę Mierosławskiego i odpowiedź Klaczki.

Pijarskim, dowiodły, że masy dadzą się poruszyć łatwo i że policya nie będzie w stanie przeszkodzić na przyszłość podobnym objawom. Przyszło z tego powodu jednak do zaburzeń w akademii medycznej, bo Muchanów, dowiedziawszy się, że zamierzona manifestacya była dziełem młodzieży, nakazał przyspieszyć egzamina, na co młodzież odpowiedziała gremialnem opuszczeniem zakładu. Staraniom profesorów powiodło się zażegnać burzę, mimo to zarządzono śledztwo, które wskazało jako winnych Kurzynę i Jaśniewskiego. Obaj zostali z rozkazu namiestnika wydaleni z Warszawy. Kurzyna uciekł potem do Paryża, aby się porozumieć z Mierosławskim, którego odtąd był sekretarzem. Wszystko to działo się w atmosferze dusznej, gorącej, wśród żwawych rozpraw nad najważniejszemi sprawami społecznemi, nad emancypacyą Żydów i uwłaszczeniem włościan, wśród głuchego grzmotu dział na polach Magenty i Solferina. Nic dziwnego zatem, że za granicą awanturze studenckiej w Warszawie usiłowano nadać znaczenie większe, niż miała rzeczywiście, i że sąsiedzi najbliżsi, mianowicie Prusacy, zaczęli bacznie śledzić ruch w Królestwie, który mógł się zakończyć ustępstwami dla Polaków, zwycięstwem najniebezpieczniejszego, zdaniem Bismarka, dla monarchii Hohenzollernów żywiołu. Głównem zadaniem rządu pruskiego było zatem jątrzyć zaognione i tak już stosunki, aby do porozumienia pomiędzy Rosyą a Polską nie dopuścić. W tym celu skorzystał naczelnik policyi w Poznaniu, Bärensprung, z lekkomyślnej odezwy, wydanej przez związek rewolucyjny w Londynie, z podpisem Popowskiego i H. Abichta, wzywającej Polaków do powstania przeciw Rosyi i, kazawszy ją przedrukować w najgłębszej tajemnicy, rozesłał egzemplarze pocztą do różnych osób w Księstwie. Poseł pleszewski Niegolewski wniósł z tego powodu dnia 2. kwietnia 1859 r. interpelacyą w sejmie pruskim, w której wykazał podstępne działanie policyi pruskiej i zarzucił Bärensprungowi wprost, że Abichta podejściem do wydania proklamacyi londyńskiej nakłonił. Jakkolwiek Niegolewski oddał interpelacyą swoją rzetelną usługę sprawie narodowej, to policya pruska ostatecznie celu swego dopięła, wznieciła bowiem w Petersburgu nieufność i niedowierzanie względem Polaków. Objawiło się ono też niebawem podczas bytności Aleksandra II. w Kamieńcu podolskim. Dowiedziawszy się bowiem, że szlachta podolska zamierza podać mu adres z prośbą o przywrócenie praw kościoła katolickiego i o wprowadzenie języka polskiego w sądach i w szkołach, odmówił on tak jak w Mińsku przyjęcia petycyi a do zgromadzonych marszałków rzekł w tonie groźnym: „Wiem, że macie zamiar podać mi adres, ale zasady wasze są nielegalne, to knowania! Nie zapominajcie, że to kraj rosyjski, a nie polski, a pamiętajcie, że mi stokroć przyjemniej chwalić i dziękować, niż dawać upomnienia.“

Tak na schyłku 1859 r., w chwili, kiedy rząd mógł jeszcze przez ulgi i koncessye, jakie później rzeczywiście nadał, ukoić rozjątrzone umysły, nastąpiło większe niż dotąd rozjątrzenie stosunków. W Warszawie miejsce Kurzyny wśród akademików zajął Karol Majewski. Niezdecydowany co do programu politycznego, ale otoczony gronem gorącej młodzieży, pomiędzy którą odznaczali się bracia Frankowscy, Stanisław i Leon, uczeń szkoły szkoły sztuk pięknych Karol Nowakowski i głośny później poeta Adam Asnyk, porozumiał

on się z Jankowskim i razem już utworzyli oni t. zw. „Kapitułę warszawską“, organ naczelny stronnictwa ruchu. Ścisłe stosunki „Kapituły“ z Mierosławskim nadały całej robocie kierunek wyraźnie określony, rewolucyjny.

Odtąd też poszły manifestacye podług planu ułożonego z góry, jedna za drugą, liczne, wielkie, porywające. Rozpoczęły się od pogrzebu wdowy po generale Sowińskim, dnia 11. czerwca 1860 r., powtórzyły w teatrze podczas zjazdu trzech monarchów, wreszcie wieczorem dnia 29. listopada 1860 r., a więc w trzydziestą rocznicę napadu na Belweder, zabrzmiał przed figurą Matki Boskiej na Lesznie stary, wspaniały hymn Alojzego Felińskiego, „Boże coś Polskę“, za nim tuż marsz Dąbrowskiego „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Projekt adresu. — Dalsze manifestacye. — Dzień 27. lutego 1861 r. — Pięć ofiar. — Delegacya. — Adres. — Wielopolski. — Koncessye. — Dzień 8. kwietnia. Manifestacye wywołały w kołach rządowych obawę, w konserwatywnej części społeczeństwa polskiego żywy niepokój. Stronnictwo Kotzebuego i Paniutyna, pełne jeszcze paskiewiczowskich tradycyj i wietrzące już rewolucyą, domagało się od Gorczakowa użycia jak najostrzejszych środków, on jednak nieskłonny do surowości, mając niejako oczy zamknięte na stan kraju i polegając na tem, co od Muchanowa słyszał, donosił do Petersburga, że Królestwo „z biegu rzeczy jest najzupełniej zadowolone, oprócz drobnej frakcyi szlachty, podbudzanej z zagranicy przez emigracyą, i że zatem nadanie jakiejś reprezentacyi uważa za niepotrzebne, bo „kraj tego sobie nie życzy“.

W kołach konserwatywnych znano lepiej usposobienie ludności i widziano w manifestacyach jak największe dla kraju niebezpieczeństwo, ale zaradzić złemu było trudno. W każdem innem społeczeństwie uspokojenie umysłów wzburzonych, powstrzymanie ruchów rewolucyjnych zależy od porozumienia się rządu z żywiołami zachowawczymi. U nas akcya tego rodzaju była niepodobna. Rząd i naród tworzyły w Królestwie dwa wrogie obozy, nienawidzące się i podejrzywające wzajemnie. Władze widziały w szlachcie najgroźniejszego swego nieprzyjaciela, szlachta w rządzie nieubłaganego prześladowcę całego narodu. Nie pozostawało zatem nic innego, jak układać się z stronnictwem ruchu. Stanęło na tem, że na walnem zebraniu Towarzystwa rolniczego w lutym 1861 r. miano ułożyć i podać adres do tronu. Czerwieńcy zaniechali pod tym warunkiem dalszych manifestacyj. Ale ta wstrzemięźliwość trwała krótko, bo i pomiędzy nimi nie było zgody i młodzież rozogniona okiełznać się już nie dała. Odbywały się więc znowu nabożeństwa, po ulicach przylepiano kartelusze z odgrzewanemi konceptami, jak n. p.: „Od św. Jana zamek do wynajęcia“, Gorczakow wpadał w gniew, łajał policyą, ta znów aresztowała Majewskiego, Narcyza Jankowskiego, ruchu atoli powstrzymać nie mogła.

Wśród tego zjeżdżali się członkowie Towarzystwa rolniczego na zjazd walny, na którym miano rozstrzygnąć sprawę włościańską. Czerwoni postanowili więc urządzić olbrzymią manifestacyą, aby wywrzeć nacisk na zgromadzenie w kierunku uwłaszczenia, a nie, jak chcieli „Klemensowczycy“, oczynszowania chłopów, i zmusić Towarzystwo do politycznego działania. Obrano na ten cel dzień 25. lutego, jako rocznicę grochowskiej bitwy. I rzeczywiście zgromadziły się w oznaczonym czasie tłumy ludu na Starem mieście, rozwinięto

sztandar z Orłem i Pogonią, zabrzmiała pieśń „Boże coś Polskę“, ale w tej chwili zjawił się policmajster Trepów z żandarmami, uderzył na śpiewających i po krótkiej, zawziętej walce, w której było kilku rannych i pobitych, rozpędził manifestantów. Wypuszczony z cytadeli Majewski i Władysław Gołemberski, kierujący całym tym ruchem, postanowili w d. 27. lutego manifestacyą powtórzyć. Przygotowano rzecz w wielkim stylu, zebrały się tysiące; z drugiej strony wojsko wystąpiło na ulice, starcie było nieuniknione, generał Żabołockij, nie mając do tego nawet polecenia, kazał dać ognia; padło pięć ofiar, tłum rozbiegł się z przerażeniem. Nie mniej przestraszył się i Gorczaków. Łagodny z usposobienia, wstydził on się i oburzał tem co zaszło a nadto, wiedząc, jak słabemi rozporządza siłami, i znając waleczność Polaków z r. 1831, obawiał się powstania. Kiedy więc natychmiast po owem fatalnem strzelaniu zjawiła się u niego wybrana na prędce delegacya miejska ze skargą na postępowanie wojska i policyi, Gorczaków usunął Trepowa i mianował naczelnikiem policyi popularnego Włocha, generała Paulucci, a na usilne przedstawienia deputacyi Towarzystwa rolniczego zgodził się na przyjęcie adresu do cesarza.

Towarzystwo rolnicze, uchwaliwszy ostatecznie wśród tych wstrząsających wypadków, projekt uwłaszczenia włościan, popierany gorąco przez hr. Tomasza Potockiego i uzyskawszy w skutek tego nie małą popularność w kołach miejskich, mogło i powinno było zająć się losem kraju i przedstawić życzenia jego rządowi. Myślał o tem już dawno Wielopolski i, w przewidywaniu tego, co nastąpić miało, ułożył projekt adresu, porozumiał się z Adamem Potockim, Jerzym Lubomirskim, Maurycym Mannem, redaktorem *Czasu*, z Lucyanem Siemieńskim i Szukiewiczem i, uzyskawszy od nich przyrzeczenie, że adres popierać będą i w tym celu zjadą do Warszawy podczas walnego zgromadzenia Towarzystwa rolniczego, wyruszył dnia 17. lutego z Chrobrza do stolicy. Tu jednak, jak to łatwo było przewidzieć, spotkał się projekt Wielopolskiego z stanowczą opozycyą. Niepopularny w wysokim stopniu margrabia miał zanadto wielu nieprzyjaciół, aby myśl jego, chociaż nawet rozumna, mogła trafić do ich przekonania. Zawiedziony przez swoich przyjaciół krakowskich, którzy do Warszawy nie przybyli wcale, popierany tylko przez szwagra swego Tomasza Potockiego, uległ on w nierównej walce. Projektowi jego zarzucano, że stoi na gruncie uchwał kongresu wiedeńskiego, że mówi tylko o Królestwie, a nie o Polsce całej w granicach 1772 r., że domaga się wprowadzenia w życie statutu organicznego lub w najlepszym razie konstytucyi z 1815 r. Zapewne, zaprzeczyć się nie da, że ze stanowiske ogólnopolskiego wymagania adresu były ograniczone, ale kto znał usposobienie rządu rosyjskiego i chciał działać politycznie, nie dla demonstracyi, lecz z zamiarem uzyskania czegoś dla kraju, ten musiał zacząć od tego, od czego zaczynał Wielopolski. Historya 1831 r. i znane nam oświadczenia Aleksandra II. uczyły, że Rosya na odbudowanie Polski z 1772 r., chociażby pod wspólnem berłem carów nigdy się nie zgodzi, rozsądek zaś mówił, że autonomiczne Królestwo prędzej lub później do złączenia wszystkich ziem polskich w jedno ciało doprowadzić musi. Stało się jednak inaczej, zamiast projektu Wielopolskiego przyjęto adres, napisany przez Edmunda

Stawiskiego, niejasny, gubiący się w ogólnikach, słowem pozbawiony myśli politycznej. Dnia 28. lutego, gdy Warszawa gotowała się do uroczystego pogrzebu ofiar pomordowanych, deputacya, z arcybiskupem Fijałkowskim i An-

drzejem Zamoyskim na czele, wręczyła adres, opatrzony tysiącami podpisów, namiestnikowi. Gorczakow, przeczytawszy tekst raz i drugi, rzekł: „Adresu przyjąć nie powinienem, ale go przyjmuję, biorę przez to na siebie wielką od-

powiedzialność i zapewniam, panów, że go dzisiaj jeszcze do Petersburga odeszlę i poprę ile możności.“ Jakoż w tej chwili wysłał telegram i wieczorem otrzymał od cesarza odpowiedź: „Adresu nie należało przyjmować, teraz nie czas na ustępstwa i ja nie dopuszczę żadnych.“

Tak zapatrywano się na sprawę polską w Petersburgu; Gorczakow, świadomy stosunków miejscowych, myślał inaczej. Wspaniały pogrzeb pięciu ofiar w dniu 2. marca zamienił się w olbrzymią manifestacyą. Wojsko i policya zniknęły z ulic, porządek wzorowy utrzymywała młodzież i delegacya miejska, nastały czasy t. zw. „polskie“ w Warszawie i była chwila, gdzie rząd rozumnem działaniem mógł burzę, jeżeli nie zażegnać zupełnie, to na długi przeciąg czasu odroczyć. Widział to Gorczakow, któremu dobrej woli odmówić nie podobna, i pod wpływem naczelnego prokuratora Enocha, bardzo zdolnego przechrzty lecz Polaka, wysłał do Petersburga sekretarza stanu przy Radzie administracyjnej Królestwa, Jana Karnickiego, aby objaśnił cesarza o stosunkach warszawskich i zażądał odpowiednich koncessyj. W zasadzie zgodzono się na to, ale równocześnie wystosował Aleksander II. do namiestnika list, ogłoszony z rozkazu samego cara w dziennikach, gdzie surowo potępiał ruch narodowy, i wyraził się z pewnem lekceważeniem o autorach adresu i podpisujących go. Oczywiście powstało na to wielkie oburzenie, nawet w kołach Klemensowczyków, a Gorczakow, zakłopotany niezmiernie, powołał, znowu za radą Enocha, Wielopolskiego, i ofiarował mu miejsce dyrektora w mającej się utworzyć komissyi wyznań i oświecenia publicznego, czyli inaczej ministerstwo tego wydziału. Margrabia, rozumiejąc dobrze położenie kraju i swoje własne, postawił za warunek przyjęcia urzędu ze swej strony program reform rozległych dla Królestwa, domagał się mianowicie zupełnej autonomii, bez wojska narodowego wprawdzie, ale nawet z mundurami w kolorach narodowych i z pieczęciami o herbie Królestwa. Wysłany z tym programem do Petersburga Włodzimierz Kretkowski przedstawił go ministrom, nie uzyskał jednak zatwierdzenia. Zgodzono się tylko na powołanie Wielopolskiego, na utworzenie uniwersytetu w Warszawie pod nazwą Szkoły Głównej i Rady Stanu z prawem czynienia wniosków, zanoszenia do tronu petycyj i rozbierania skarg. Dla uspokojenia rozdrażnionej opinii wreszcie poświęcono znienawidzonego Muchanowa. Nie były to oczywiście reformy w wielkim stylu, nie był to nawet program Wielopolskiego, ale w każdym razie początek dzieła i postęp znaczny. Miejsce Muchanowa, który chyłkiem z Warszawy uciekać musiał, zajął Polak Łaszczyński i ten usunął natychmiast z wpływowych posad karyerowicza Plewego i nieprzejednanego wroga Polski i Polaków Pawliszczewa, powołując natomiast znanego zaszczytnie w literaturze naszej tłumacza i krytyka Kazimierza Kaszewskiego. Nareszcie dnia 25. marca nadeszły z Petersburga oczekiwane tak długo koncessye i nazajutrz ukazało się w dziennikach urzędowe ogłoszenie o zniesieniu okręgu naukowego warszawskiego, o ustanowieniu komissyi wyznań i oświecenia i o nominacyi na jej dyrektora Wielopolskiego.

Tak stanął na czele rządów cywilnych człowiek, którego imię, związane z losami narodu, w najstraszniejszej dla niego chwili, zapisało się na kartach dziejów naszych niestartemi głoskami. Otacza je od początku do końca ponury

urok tragiczności. Potężny umysł i żelazny charakter szarpie się i łamie w beznadziejnej walce z przeciwnościami, postawiony wśród dwóch ścierających się ze sobą potęg, pada ofiarą rozhukanych namiętności i ustępuje z widowni politycznego życia, unosząc ze sobą przekleństwa swoich wrogów i współczucie tej garstki nielicznej, która miarę wartości prawdziwej człowieka stosuje nie według powodzenia, lecz podług wielkości przedsięwzięcia.

Sądy o Wielopolskim są tak rożne, że nie mogą być bezwzględnie prawdziwe. Gdy jedni wynoszą charakter, zdolności i działalność margrabiego pod niebiosa i potępiają współczesnych za to, że nie byli w stanie zrozumieć jego myśli politycznej i ocenić należycie zasług, jakie dla kraju położył, drudzy widzą w nim tylko butnego magnata i służalca rosyjskiego rządu. Na takich doraźnych werdyktach nie może opierać wyroków swoich historya. Ona przyznać musi, że w Wielopolskim był materyał na znakomitego męża stanu, że działanie jego, podjęte niewątpliwie w dobrej wierze, przypominające w ogólnych zarysach program Lubeckiego, mogło sprawie narodowej niepospolite przynieść korzyści, na politykę europejską wywrzeć wpływ potężny; ale z drugiej strony zaprzeczyć także nie może, że jedną z głównych przyczyn niepowodzenia i upadku margrabiego były błędy, wynikające z jego charakteru i stanowiska społecznego. Wyniosły, zamknięty w sobie, nieprzystępny, budził u jednych nienawiść, u drugich niechęć; zaufania i popularności zdobywać nie umiał czy nie chciał; siląc się nawet na uprzejmość, bywał niezręczny i obrażał mimowolnie tych, których pragnął sobie pozyskać. Wychowany w okresie najbezwzględniejszego absolutyzmu, z usposobienia autokrata, miał on rządzić narodem, którego mieszczaństwo i inteligencya były na wskroś demokratyczne; miał pogodzić obowiązki Polaka z obowiązkami urzędnika, którego rząd podejrzywał a „samobytnicy“ rosyjscy i karyerowicze nienawidzili. Niepodobna chyba wymyśleć sobie trudniejszego zadania, bardziej zawikłanych stosunków i tragiczniejszego położenia. Stojąc na gruncie, podminowanym przez najrozmaitsze prądy, otoczony żywiołami wrogiemi sobie, nie rozwinął margrabia jasnego programu politycznego, nie określił celu, do którego dążyć zamierzał, był od początku do końca „sfinksem“ politycznym, chociaż wymagał bezwzględnego zaufania i posłuszeństwa. To zamknięcie się w sobie, acz w warunkach podobnych zrozumiałe i uzasadnione, budziło w społeczeństwie polskiem obawy i podejrzenia. Skłonni do ostracyzmu, lekkomyślni w ocenianiu osób i wypadków, kamienujący zbyt skwapliwie własnych proroków, doprowadziliśmy w epoce porozbiorowej, skutkiem nienaturalnego rozgoryczenia serc i umysłów, drażliwość w sądach do ostatecznych granic bezwzględności. Wszyscy znakomici ludzie w tym okresie: Dąbrowski, ks. Józef Poniatowski, nawet Kościuszko, bywali przedmiotem podejrzeń i mniej lub więcej uzasadnionych napaści. Ale gdy tamci mogli się powołać na swoje chlubne czyny, na wytrwałą służbę narodową, na cały szereg poświęceń dla sprawy publicznej, to Wielopolski zasług tych nie miał a postępowaniem swojem w życiu prywatnem i politycznem wzniecał poważne przeciw sobie podejrzenia.

Obejmując rządy, miał on opinią zdeklarowanego przyjaciela Rosyi, za

granicą uchodził za panslawistę.[1]) W kraju pamiętano dobrze, że w słynnym liście swoim do Metternicha zalecał Polakom zlanie się z Rosyą, wiedziano, że podczas wojny sebastopolskiej oddał syna swego Zygmunta do wojska rosyjskiego; głośny proces z Świdzińskimi ugruntował — nie wchodzimy w to, czy słusznie czy niesłusznie — powszechne o Wielopolskim mniemanie, jako o człowieku nad miarę dumnym, do pieniactwa skłonnym, opinią publiczną lekceważącym. Zygmunt Krasiński, przeczytawszy mowę margrabiego, wypowiedzianą wtedy przed kratkami sądowemi, miał zawołać, że przypomina ona Nabuchodonozora „na trzy dni przedtem, niż poszedł na paszę.“ Jeżeli tak sądził o Wielopolskim człowiek zbliżony do niego wyobrażeniami i stosunkami towarzyskiemi, to cóż dopiero powiedzieć o szarym tłumie, nienawidzącym arystokracyi, skłonnym do uprzedzeń, kierującym się w ocenianiu ludzi nieokreślonemi zupełnie uczuciami osobistej niechęci lub sympatyi? Dla tej, najliczniejszej warstwy społeczeństwa polskiego przedstawiał się margrabia jako typ magnata, który z pychą, właściwą ludziom tego rodzaju, łączył pogardę dla niższych od siebie, lekceważenie ideałów narodowych z bezwzględnem oddaniem się na usługi obcego rządu. Obejście jego szorstkie lub chłodne, olbrzymia postać i twarz pochmurna, znaczenie, jakie miał w sferach rządowych, zdawały się potwierdzać ten sąd opinii publicznej. Nikomu zaś nie przyszło na myśl, że pod tą powierzchownością, niesympatyczną i odtrącającą niemal, kryje się rozum wielki, siła woli potężna, szczera chęć służenia krajowi z ambicyi czy z przekonania, że na dnie tego serca, nieprzystępnego dla uczuć tkliwych i rozmarzających, znajdować się może miłość dla kraju, miarkowana wprawdzie chłodnym rozsądkiem, ale nie mniej przeto gorąca i silna. Usposobienie społeczeństwa nie było tajemnicą dla Wielopolskiego, zamknął się więc w Chrobrzu, stronił od życia i od spraw publicznych i raz tylko, kiedy się zawiązywało Towarzystwo rolnicze, wysłał do Warszawy w zastępstwie swojem syna Zygmunta, którego jednak do grona założycieli nie przyjęto. Nie sądzimy, aby stąd poszła owa niechęć, jaką margrabia uczuwał do Andrzeja Zamoyskiego, ale to pewna chyba, że odrzucenie kandydatury Zygmunta nie mogło wpłynąć na zacieśnienie wzajemnych stosunków pomiędzy margrabią a prezesem Towarzystwa. Nieszczęście, ciążące na losach narodu polskiego, sprawiło, że tych dwóch ludzi właśnie, na których w znacznej części polegały sprawy publiczne, rozdzieliła nie tylko różnica w zapatrywaniach politycznych, ale i niechęć osobista. Tak nie mógł Wielopolski liczyć na poparcie z żadnej strony. Chłodny polityk, miał przeciw sobie społeczeństwo rozmarzone, wykarmione poezyą lub chorobliwymi utworami emigracyjnej literatury politycznej, miał rząd łagodniejszy wprawdzie, ale jak zwykle względem każdego Polaka podejrzliwy, miał wreszcie potężne wpływy berlińskie, które w utrzymaniu się i zwycięstwie margrabiego największe dla Prus upatrywały niebezpieczeństwo;[2]) za sobą nikogo, tylko rozum własny i silne postanowienie wykonania swego programu. A jednak, gdy ochłonęły cokolwiek namiętności i gdy powróciła równowaga umysłowa w społeczeństwie ciężko dotkniętem, przyznawali nawet przeciwnicy

[1]) v. Sybel: Die Begründung des Deutschen Reiches etc., II., 464.

[2]) Porównaj: v. Sybel l. c., str. 489.

Wielopolskiego, że w chwili, kiedy margrabia obejmował władzę, można było ruch rewolucyjny powstrzymać i kraj skierować na drogę pracy organicznej, „gdyby, jak się wyraża niepodejrzany w tej mierze świadek, Agaton Giller — agitacya stronnictwa demagogów zostawiła była więcej czasu do działania ludziom tego usposobienia (Rafał Krajewski, Roman Żuliński), a z drugiej strony gdyby Wielopolski a za nim Moskale nie byli używali zbyt gwałtownych środków dla stłumienia ruchu.“ [1]) W tych słowach jest wiele prawdy. Wielopolski przy niepospolitym rozumie swoim nie posiadał sztuki rządzenia. Charakter silny, umysł potężny, nie znał kompromisów, lecz szedł przebojem

na złamanie przeciwników. Spotkał się z społeczeństwem nerwowo chorem a chciał je leczyć środkami gwałtownymi, które w tym stanie patologicznym wręcz przeciwny musiały odnieść skutek. Jego szorstka przemowa do duchowieństwa katolickiego, streszczająca się w słowach: „rządów żadnych w rządzie nie uznam; z pod ustaw postanowionych nikomu samowolnie wyłamywać się nie dam,“ była anachronizmem politycznym. Bezpośrednio po śmierci Paskiewicza mógł się w podobny sposób odzywać naczelnik rządu do najpotężniej-

[1]) Agaton Giller: Polska w walce, zbiór wspomnień i pamiętników. Kraków 1875, str. 83.

szej w kraju korporacyi, ale nie po pięciu latach, spędzonych w gorączce nadziei i rozczarowań, nie po całym szeregu manifestacyj, które ruchowi narodowemu nadawały charakter religijny. Toż nic dziwnego, że obrażone duchowieństwo odpowiedziało na mowę margrabiego protestem, że stanęło „do dawnej wytrwałej, choć niemej i przemocą tłumionej walki w obronie wiary, sumienia, praw i wolności narodu.“ Całe stronnictwo ruchu przyklasnęło oczywiście temu oświadczeniu i sojusz pomiędzy duchowieństwem a czerwonymi był zawarty. Margrabia jednak nie wzruszony tem wcale i zawzięty w systemie łamania przeszkód, jakie mu w drodze stawały, poszedł o krok dalej i dnia 6. kwietnia 1861 r. rozwiązał Towarzystwo rolnicze. Jeżeli upomnienie, wystosowane do duchowieństwa, było błędem politycznym, to atak na Towarzystwo ściągał na Wielopolskiego nadto brzydkie podejrzenie, że kieruje się zemstą osobistą, że godzi nie tylko w samą instytucyą, ale także w jej prezesa, w Andrzeja Zamoyskiego. Więc nagle w oczach tłumów urosło Towarzystwo, Zamoyski stał się bohaterem, ofiarą, margrabia prześladowcą, powolnem narzędziem rządu, dla którego owa reprezentacya rolniczych interesów była wielce niewygodna; jednym tchem rozwiały się nadzieje, jakie umiarkowani do Wielopolskiego przywiązywali, przeszły niespostrzeżenie pożyteczne jego dla kraju rozporządzenia a w dniu 7. kwietnia ujrzała Warszawa wspaniałą manifestacyą na cześć Towarzystwa rolniczego. Nazajutrz miało się odbyć, podług programu czerwonych, uroczyste i publiczne zbratanie się z Żydami na cmentarzu Powązkowskim i na kierkucie. Tymczasem od rana już krążyli pomiędzy ludem agenci rządowi, namawiając do zebrania się przed zamkiem; puszczano w obieg najniedorzeczniejsze wieści, ściągano żebraków pod pozorem, że władze rządowe zamierzają rozdzielać pomiędzy ubogich pieniądze, zebrane na rannych w d. 27. lutego, i zwabiono w ten sposób tłumy, które nie wiedziały, po co przyszły i co mają robić. Był to, o ile się zdaje, plan obmyślany w kołach wojskowych dla stłumienia siłą ruchów manifestacyjnych, plan piekielny prawdziwie i niestety z powodzeniem wykonany. Po trzykrotnem odczytaniu nowego prawa o zbiegowiskach, gdy tłum ustąpić nie myślał wcale a szarża żandarmów konnych żadnego nie odniosła skutku, kazał generał Chrulew, sprowadzony niedawno z Petersburga, dać ognia. Padło ogółem 484 strzałów, które oczywiście w masach straszne zrządziły spustoszenie; podług wiarogodnych sprawozdań zginęło 108 osób, liczba rannych obliczyć się nie da. Była to formalna rzeź bezbronnych. Pióro wzdryga się przed opisaniem tych scen okropnych, jakie się na bruku warszawskim wtedy rozgrywały; żołnierze i oficerowie rosyjscy, zemstą pijani, pastwili się nad bezbronnymi, po ulicach leżały ciała zabitych, rozlegały się jęki rannych, płacz kobiet, a ponad tem wszystkiem płynął ku niebu z tysiąca piersi śpiew błagalny: „Święty Boże.“ [1]) Ucichły wreszcie strzały, ale na znak alarmowy spadły jak grom na wylęknione miasto zastępy jazdy, bijąc, tratując i rąbiąc w około, piechota z nabitą bronią zajęła wskazane z góry stanowiska, przy działach stanęli artylerzyści z zapalonymi lontami.

[1]) Zaintonował go kapucyn X. Wacław Nowakowski.

Tak skutkiem własnych błędów, podstępu i najnieszczęśliwszego zbiegu okoliczności stanął Wielopolski w dniu 8. kwietnia nad brzegiem przepaści, w której pogrążyć miał i siebie i kraj krwią zalany.

Śmierć Gorczakowa. — Suchozanet. — Zgon ks. Adama Czartoryskiego i Lelewela. — Lambert. — Zamknięcie kościołów. — Lüders. — Wielopolski w Petersburgu. Jeżeli Wielopolski w mowie, wypowiedzianej do urzędników komissyi sprawiedliwości, po 8. kwietnia, twierdził, że „porządek publiczny został w krwawem starciu ocalony“, to było to tylko złudzenie. Prawda, że w Warszawie, gdzie wojsko obozowało na ulicach i placach publicznych, panował spokój, że ludność powróciła do zwykłego trybu życia, ale poza tą pozorną rezygnacyą wrzało wszystko jak w kotle. Stolica a za stolicą kraj cały, Litwa i prowincye zabrane, Galicya i W. Ks. Poznańskie, słowem cała Polska jak szeroka i długa pokryła się żałobą, manifestacye kościelne zastąpiły nabożeństwa za poległych a na wspomnianą wyżej mowę margrabiego posypał się taki grad listów bezimiennych, przepełnionych wymyślaniami i groźbami, że rząd zamknął pocztę miejską „aż do dalszego rozporządzenia“.

Nie małą klęską dla Wielopolskiego była śmierć Gorczakowa, który, złamany wiekiem, zgryziony ostatniemi wypadkami, trapiony wyrzutami sumienia, widząc ciągle w chorobliwej wyobraźni swojej żałobne widma ofiar pomordowanych, zakończył życie dnia 27. maja 1861 r. Z jego śmiercią ustała harmonia pomiędzy władzą namiestniczą a cywilną. Suchozanet, minister wojny, mianowany następcą Gorczakowa, jakkolwiek pochodził z rodziny polskiej i umiał nawet po polsku, był typem żołnierza z czasów mikołajowskich i usiłował zaprowadzić w Królestwie rządy wojskowe. Wielopolski wtedy właśnie pracował, przy pomocy Józefa Korzeniowskiego i kilku innych zacnych pedagogów polskich, nad reformą szkół i edukacyi publicznej, uzyskał wreszcie zatwierdzenie Rady Stanu, do której powołano najznamienitszych obywateli w kraju, i starał się, jakkolwiek napróżno, bo o tem w Petersburgu słyszeć nie chciano, o zaprowadzenie mundurów w barwach narodowych. Kiedy więc Suchozanet, człowiek zresztą wielce ograniczony i ulegający kamarylli wojskowej, poddał całe Królestwo pod władzę naczelników wojennych a ci licznych dopuszczali się nadużyć, wystąpił energicznie Wielopolski i jako dyrektor komissyi sprawiedliwości zaprotestował przeciw aresztowaniu bezprawnemu i wysyłaniu porządkiem administracyjnym bez wyroku sądowego obywateli z Królestwa. O tych walkach margrabiego nie wiedziało oczywiście społeczeństwo, na reformy zaś mało zwracano uwagi. Wielopolski był zawsze celem powszechnej nienawiści, tak jak Suchozanet przedmiotem żartów i zasłużonego w końcu szyderstwa.

W tej chwili, dnia 15. lipca 1861 r., zakończył życie w Paryżu ks. Adam Czartoryski; kilka tygodni przed nim, 29. maja, umarł Joachim Lelewel. Śmierć ostatniego odczuło żywo całe społeczeństwo polskie. Słynny historyk, pomimo błędów politycznych był rzeczywiście wzorem patryotyzmu i poświęcenia; budził podziw stałością zasad swoich, żelazną pracą i życiem spartańskiem. Nie tylko dla manifestacyi więc, ale i dla uczczenia zasług zmarłego urządzono we wszystkich kościołach warszawskich żałobne nabożeństwa; za

przykładem chrześcijan poszli Żydzi, przyczem nie obeszło się oczywiście bez mów podniosłych, zapalnych, i śpiewów patryotycznych. Czartoryski był wprawdzie mniej znanym u współczesnych, pamięć jego obarczały nadto zarzuty rozmaitego rodzaju, miotane przez obóz przeciwny, ale mimo to należało się spodziewać, że i jego śmierć da powód do manifestacyi. Aby temu przeszkodzić, postąpił Wielopolski bardzo zręcznie, pozwolił bowiem na nabożeństwo żałobne. Odbyło się ono też spokojnie i poważnie, bez śpiewów patryotycznych; na ulicy tylko urządzono owacyą dla powracającego z kościoła arcybiskupa Fijałkowskiego i, wyprzęgnąwszy konie z jego powozu, zawieziono go wśród okrzyków: niech żyje nasz arcypasterz! do pałacu.

W kołach rosyjskich powstało z tego powodu wielkie na margrabiego oburzenie; Suchozanet przybrał względem niego ton ostry, nieprzyzwoity nawet. Wielopolski odpowiedział podaniem się do dymissyi (26. lipca). Cesarz dymissyi nie przyjął lecz zażądał, aby margrabia pozostał na swojem stanowisku aż do przybycia nowego namiestnika, hr. Lamberta. Francuz z pochodzenia, katolik, grzeczny, uprzejmy i łagodny, różnił się nowy władzca Królestwa korzystnie od swoich poprzedników i mógł rzeczywiście zdziałać wiele, gdyby nie to, że rząd rossyjski, trzymający się swego systemu politycznego, dodał Lambertowi na mentora generała Gerstenzweiga. Pochodził on, jak twierdzono, z polskiej rodziny Jęczmieniowskich, matką jego była córka kościuszkowskiego generała Madalińskiego, ale mimo to nowy gubernator warszawski, bo taki urząd piastował, nienawidził serdecznie Polaków i u boku Lamberta odegrał podobną rolę jak Kotzebue i jego klika przy Gorczakowie. W kraju odbywały się tymczasem dalej manifestacye; 12. sierpnia urządzono wszędzie obchody uroczyste na pamiątkę unii lubelskiej, jednym z najwspanialszych było połączenie procesyi litewskiej z polską, dokonane, pomimo przeszkód ze strony wojska, na moście na Niemnie. W październiku ukończyły się te uroczystości pamiętnem nabożeństwem w polu pod Horodłem. Kwestya polityczna stawała tak jasno: naród polski domagał się połączenia wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej, gdy rząd skłaniał się zaledwie do pewnych koncessyj w Królestwie. Położenie więc od 1831 r. nie uległo żadnej zmianie i kto na wypadki patrzył spokojnie, ten widział, że katastrofa jest nieunikniona. Wielopolski jednak łudził się ciągle nadzieją uspokojenia umysłów i domagał się w tym celu polskiego języka w administracyi, zaprowadzenia kolorów narodowych, zniesienia generał-gubernatorstwa w Warszawie, nazwania teatru wielkiego „teatrem narodowym“, a gdy te zmiany wpłyną korzystnie na usposobienie tłumów, radził zabrać się energicznie do podżegaczy, zarządzić pobór rekrutów i tym sposobem młodzież manifestującą z bruku miejskiego usunąć. Wszystkie te pomysły, w skutkach swoich zresztą wątpliwe, spotykały się z stanowczą opozycyą kamarylli, otaczającej Lamberta, który wśród rozmaitych prądów na nic nie mógł się zdecydować, w końcu gdy rozpoczął się nowy okres manifestacyj niezliczonemi nabożeństwami „za pomyślność ojczyzny“, gdy na prowincyi, już to z powodu nietaktownego zachowania się władz wojskowych, już to skutkiem powszechnego rozgorączkowania umysłów, coraz częściej zdarzały się zaburzenia, gdy w Warszawie pogrzeb olbrzymi arcybiskupa Fijałkowskiego († 5. października)

w ogromną zamienił się manifestacyą a zjazd horodelski donośnem echem odbił się w Petersburgu, uczynił namiestnik krok stanowczy i zaprowadził stan wojenny w Królestwie, tak jak poprzednio już Nazimów na Litwie. Mimo to zapowiedziane nabożeństwo w rocznicę śmierci Kościuszki (15. października) odbyło się we wszystkich kościołach warszawskich i wszędzie śpiewano pieśni patryotyczne. Namiestnik stosownie do przepisów, ogłoszonych przed dwoma dniami, kazał aresztować uczestników obchodu, a gdy lud, widząc wojsko zgromadzone na ulicach, z kościołów wychodzić nie chciał, wtargnęli żołnierze późno w nocy do wnętrza i wśród gwałtów, scen rozdzierających, przekleństw i bicia kolbami uprowadzili 1684 osób do cytadeli. Równocześnie Kozacy, rozpuszczeni po ulicach miasta, bili nahajkami przechodniów. Duchowieństwo

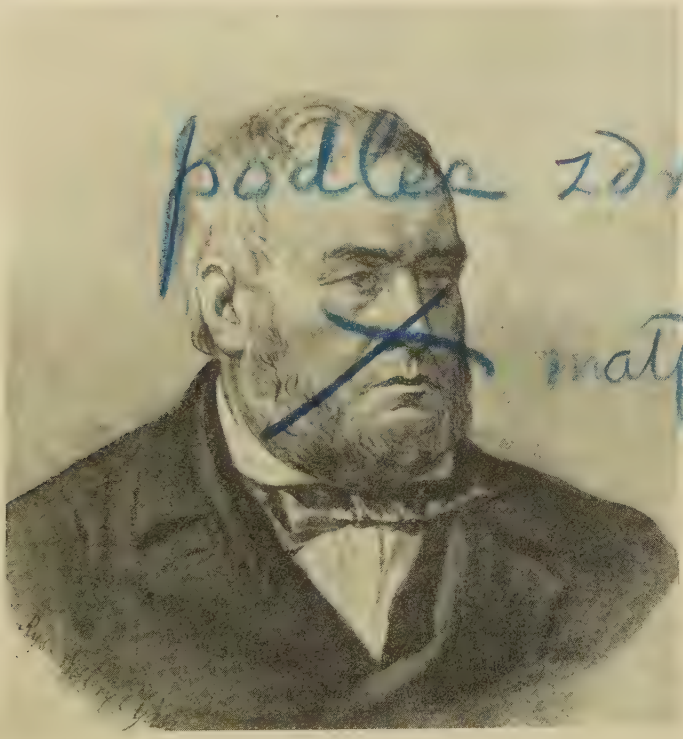

Margrabia Aleksander Wielopolski.

warszawskie, pod przewodnictwem administratora dyecezyi ks. Białobrzeskiego, odpowiedziało na ten gwałt zamknięciem wszystkich kościołów. Lambert, rozdrażniony i chory, wdał się w układy i chcąc ułagodzić umysły, kazał aresztowanych na wolność wypuścić. Wtedy Gerstenzweig w najwyższym gniewie wpadł do zamku i w obecności Chrulewa znieważył namiestnika. Nastąpił pojedynek amerykański, Gerstenzweig wyciągnął węzełek i dnia 17. października odebrał sobie życie. To wyczerpało do reszty siły Lamberta, prosił więc o uwolnienie a otrzymawszy je, wyjechał na Maderę, gdzie wkrótce potem na suchoty życie zakończył.

Na następcę jego, i to tylko w roli tymczasowej, upatrzył sobie Aleksander II. generała Lüdersa, który przez kilka miesięcy był naczelnym wodzem armii rosyjskiej w wojnie wschodniej i za okradanie skarbu został usunięty. Żołnierz, hulaka, lekkoduch, był on najmniej może zdolnym do tak ważnej posady, ale twierdzono, że innego niema. A i on nie mógł się wybrać rychło do Warszawy. Cesarz więc polecił Suchozanetowi, aby go zastąpił. Na wiadomość o tej zmianie podał się Wielopolski powtórnie do dymissyi. Nie zamierzał on wcale ustąpić z ważnego posterunku, lecz pragnął wywalczyć sobie zupełnie niezawisłe stanowisko. Tego wymagała przedewszystkiem jego ambicya osobista, wymagało i dobro kraju. Jak długo bowiem rząd cywilny był połączony z wojskowym a ten ostatni razem z władzą namiestniczą sprawowali nadsyłani z Petersburga generałowie, dla Polaków źle usposobieni i nie mający wyobrażenia o stosunkach miejscowych, tak długo reformy, chociażby najrozleglejsze, nie mogły odnieść najmniejszego skutku. Za krótkich rządów Lamberta powiodło się, mimo opozycyi czerwonych, przeprowadzić wybory do rad miejskich, powiatowych i gubernialnych; w październiku otworzono kurs przygotowawczy do Szkoły Głównej. Z wielkim trudem zaledwie pozyskał margrabia potrzebne siły naukowe. Kazimierzowi Kaszewskiemu powierzył katedrę logiki i psychologii, z Wielkopolski sprowadził Kazimierza Plebańskiego do wykładów historyi, na katedrę literatury polskiej wzywał Antoniego Małeckiego, a gdy ten odmówił, powołał młodego literata Edwarda Siwińskiego. Kierownictwo naczelne objął Augustyn Szmurło, profesor łaciny i zdolny pedagog. Ogółem okazał się przy tej sposobności brak nauczycieli, co przy wielkiem zaniedbaniu nauk w okresie mikołajowskim wcale dziwić nie może. Ostatecznie dnia 28. października nastąpiło uroczyste otwarcie tej pierwszej szkoły w Królestwie, która miała szerzyć oświatę w języku i w duchu narodowym, miała rozpraszać ciemności zalegające w umysłach, wdrażać młodzież do systematycznej, porządnej nauki, do pracy pożytecznej dla kraju.

W tydzień potem, d. 3. listopada, wyjechał Wielopolski do Petersburga.

Wśród tej rozpaczliwej walki w kraju panował także ruch żywy na emigracyi. Ks. Władysław Czartoryski, obejmując w puściznie po ojcu kierunek spraw politycznych, oświadczał, że uważa za swój obowiązek „odpowiadać i tłumaczyć czynności kraju, bronić praw narodowych przed opinią i rządami Europy a oraz zawiązywać i rozwijać z obcemi państwami stosunki, które Polsce dopomódz mogą do jej wydobycia się z niewoli i do jej niepodległego w przyszłości życia i działania“, zastrzegał się jednak, że nie zamierza wcale mieszać się do spraw wewnętrznych narodu. Z drugiej strony Mierosławski, mianowany przez Garibaldego w r. 1860 naczelnikiem legionu polskiego, przyprowadził do skutku założenie szkoły podchorążych polskich w Genui (później w Cuneo) za pozwoleniem i z pomocą pieniężną rządu włoskiego, który w ten sposób chciał wywrzeć nacisk na Rosyą, aby uznała nowy porządek rzeczy na półwyspie apenińskim. Ale „wódz zmartwychwstały“, pełen chorobliwej ambicyi i do intryg skłonny, stał się z organizatora destruktorem szkoły. Nie mogąc się pogodzić z nauczycielami tego rodzaju jak Zygmunt Padlewski i Maryan Langiewicz, którzy go i zdolnościami i czystością uczuć patryotycznych przewyż-

szali, rozpoczął z nimi spory a od uczniów zażądał, aby w imieniu kraju podpisali dla niego upoważnienie do reprezentowania i wyłącznego kierownictwa sprawą polską.[1]) Skutkiem tego młodzież, nieuznająca jego aspiracyj, wypowiedziała mu posłuszeństwo i zaprosiła Wysockiego do objęcia dowództwa nad szkołą. Mierosławski, oburzony, że go, jak twierdził, reakcya prewentywna „wywłaszczyła z jego wielkiego dzieła we Włoszech“, powrócił do Paryża i stąd zaczął swoje roboty konspiracyjne w kraju.[2]) W Warszawie powstał w tym czasie „komitet miejski“, utworzony przez Ignacego Chmieleńskiego, do którego wchodzili Juljan Wereszczyński i Anastazy Głowacki. Celem ich było owładnąć ruchem, przeprowadzić w całym kraju organizacyą rewolucyjną i przeszkadzać działaniu stronnictwa umiarkowanego czyli t. zw. „białych“, które miało także swoją „dyrekcyą“ i rozporządzało dość znacznymi funduszami.

W takiem położeniu zastał kraj Lüders, a jak to był żołnierz i nic więcej, więc, otoczony kreaturami wrogiemi Polakom, jak generał-gubernator warszawski Kryżanowski i senator Kruzenstern, zaczął rządzić po swojemu, kazał aresztować winnych i niewinnych, ks. Białobrzeskiego osadził w cytadeli i po dłuższem śledztwie skazał na śmierć. Aleksander II., hamując jednak zbytnią surowość namiestnika i sądu wojennego, złagodził karę na rok więzienia w Bobrujsku, dokąd też Białobrzeskiego wywieziono.

Tymczasem Wielopolski bawił w Petersburgu. Przybywszy tam w początkach listopada 1861 r., znalazł się w położeniu nadzwyczaj trudnem, wyjątkowo przykrem. Nieznany, nie mający stosunków, w tajnym raporcie Suchozaneta przedstawiony cesarzowi jako zdrajca stanu i siłą, mocą niemal wysłany w tę daleką podróż, zdołał on mimo to swoją postawą, swojem zachowaniem się, pełnem godności i tej dumy, co imponuje zawsze przywykłym do uległości i płaszczenia się dworakom, zająć wnet u dworu i w towarzystwie petersburskiem stanowisko poważne i znaczne. Powiodło się mianowicie margrabiemu pozyskać dla swoich zamiarów pannę Antoninę Błudów, córkę hr. Dymitra Błudowa, prezydenta w radzie państwa, kobietę oryginalną, mistycznie usposobioną, żarliwą słowianofilkę i wywierającą wielki wpływ u dworu; znalazł kolegę swego uniwersyteckiego z Getyngi, barona Meyendorfa; cesarzową ujął sobie wyborną znajomością literatury i języka niemieckiego; zainteresował planami swojemi W. księżnę Helenę Pawłównę, która pragnęła widzieć zięcia swego księcia Meklemburskiego namiestnikiem w Królestwie, i po tych drogach śliskich, co prawda, ale tu, nad Newą, jedynie używanych i praktycznych, kroczył powoli, lecz wytrwale do celu. Najważniejszą kwestyą, zajmującą żywo władze rosyjskie w tejchwili była sprawa otwarcia kościołów warszawskich i związana z tem ściśle nominacya nowego arcybiskupa. Za pośrednictwem ks. Konstantego Łubieńskiego, proboszcza z Rewla, wyszukał Wielopolski na miejsce Fijałkowskiego kandydata, odpowiadającego, jak się zdawało, trudnym warunkom. Był nim ks. Zygmunt Szczęsny Feliński, profesor w petersburskiej akademii duchownej. Syn znanej nam już Ewy Felińskiej, przyjaciel Juljusza Słowackiego, odbył on

[1]) Guttry: Pan Ludwik Mierosławski.

[2]) Co do Mierosławskiego porównaj zresztą broszurę Bakunina: Un dernier mot sur Mr. Louis Microsławski.

studya akademickie w Paryżu, walczył w powstaniu wielkopolskiem w oddziale Celińskiego,[1]) następnie rozmaitemi przeciwnościami złamany, wstąpił do seminaryum w Łucku, został wikaryuszem przy kościele św. Katarzyny, następnie profesorem. Tu poznał go Łubieński i polecił margrabiemu. Wybór okazał się trafnym. O ile ogółem w tych warunkach tak trudnych mógł ktoś spełnić posłannictwo wielkie bez narażenia godności narodu i własnej, to uczynił to niewątpliwie Feliński. Już pierwsze jego zetknięcie się z Aleksandrem II. świadczyło o niezawisłości zdania i stałości nowego arcybiskupa. Odrzuciwszy proponowanych sobie kandydatów rządowych, powołał na urząd oficyała zacnego ks. Rzewuskiego, kościoły sprofanowane otworzył po rekoncyliacyi, wobec stronnictwa ruchu zachował zupełną niezawisłość zdania i działania a mimo ostrych docinków, jakich mu nie szczędzono w tajnej prasie krajowej i dziennikach zakordonowych, mimo jawnej niechęci miejscowego duchowieństwa, które uważało go za „intruza“, nie zszedł z drogi raz obranej, lecz starał się słowem i czynem rozdraźnione umysły ułagodzić, demonstracyom po kościołach kres położyć. W Rzymie przyjęto wiadomość o nominacyi Felińskiego z największem zadowoleniem; prekonizacya nastąpiła z niezwykłą szybkością w ciągu dni siedmiu; papież oddawał się najlepszym nadziejom, wdrożono układy o wysłanie nuncyusza do Petersburga i przeznaczono na ten cel podsekretarza stanu ks. Berardi. Tyle ważna dla Polski sprawa kościelna wchodziła w ten sposób na drogę niepamiętnego od lat wielu porozumienia z rządem najprzeciwniejszym dla katolicyzmu, najskłonniejszym do religijnego prześladowania. Niestety, tak jak wszystko w tym fatalnem dwuleciu, tak i ten promień lepszej przyszłości miał okazać się zwodniczym.

Niedyskrecya własnych przyjaciół naraziła Felińskiego na zatarg z rządem, gwałty Kryżanowskiego, aresztowania kobiet po kościołach i brutalne z niemi postępowanie policyi wywołały protest energiczny ze strony arcybiskupa. Gdy próżny i lekkomyślny ks. Mikuszewski ogłaszał drukiem swój pamflet „Słowo narodu polskiego do JX. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego“, ten „pasterz-dyplomata“, jak go z przekąsem nazywał, stawał mężnie w obronie swojej owczarni i umiał w obec nietaktownego Lüdersa zachować godność należną księciu kościoła. Jakoż tej jego stałości przypisać trzeba, że ku wielkiemu zmartwieniu policyi i rosyjskich działaczy w maju 1862 r. ustało śpiewanie hymnów narodowych po kościołach warszawskich.

Zwycięstwo Wielopolskiego. — Reformy. — Wielki książe Konstanty namiestnikiem. — Działanie czerwonych. — Jarosław Dąbrowski. — Komitet centralny. — Zamach na Lüdersa. Gdy to działo się w w Warszawie, powracał Wielopolski jako tryumfator z Petersburga. Po długich i uporczywych walkach powiodło mu się wreszcie pokonać nieprzezwyciężone niemal trudności i dopiąć zamierzonego celu. Car zgodził się na rozdział władzy najwyższej w Królestwie, namiestnikiem mianował brata swego W. Ks. Konstantego, rząd cywilny powierzył margrabiemu i zatwierdził ukazem z d. 20. maja 1862 r.

[1]) Myli się autor, „Historyi dwóch lat“, gdy twierdzi (IV., 40), że Feliński był w bitwie pod Miłosławiem i odniósł tam ranę „od szabli dragona pruskiego“. W pamiętnikach arcybiskupa niema o tem najmniejszej wzmianki.

z małemi zmianami ułożoną przez Wielopolskiego ustawę o wychowaniu publicznem, projekt oczynszowania włościan i równouprawnienia Żydów. Królestwo polskie otrzymywało w ten sposób rozległą autonomią, możność urządzania i zakładania szkół z językiem wykładowym polskim, z nauką historyi polskiej, nawet z mundurami o barwach narodowych dla uczniów, miało sądy polskie, własną reprezentacyą w radach miejskich i powiatowych a na czele tego samorządu Polaka, który, cokolwiek o nim myśleć można, dowiódł czynem, że sprawa narodowa nie jest dla niego obojętną i że z pożytkiem dla kraju pracować potrafi. Najsłabszą stroną reform był sposób rozwiązania sprawy włościańskiej. Zamiast rozciąć jednym zamachem ten węzeł gordyjski, wiążący ręce narodu i ubezwładniający go w działaniu politycznem, ograniczył się margrabia do oczynszowania chłopów, pozostawiając niejako zupełne ich usamowolnienie zwolennikom powstania i radykalnym „diejatelom“ milutynowskiego pokroju. Mimo to zaprzeczyć nie podobna, że reformy, wywalczone przez Wielopolskiego, miały wielkie dla Polski i dla Polaków znaczenie, że rozwinięte należycie i pielęgnowane starannie, otwierały przed narodem przyszłość jaśniejszą, że mogły stać się rękojmią odrodzenia, że wiodły, jeżeli nie wprost do niepodległości, to w każdym razie do bytu mniej lub więcej samoistnego, którego kształty i następstwa przewidzieć się nie dały.

Ale Wielopolski, powracając z Petersburga do Warszawy, zastał tu już grunt przez spiski zupełnie podminowany. Za staraniem Jarosława Dąbrowskiego, który został przeniesiony do stolicy polskiej w randze adjutanta sztabu szóstej dywizyi pieszej i rozwinął tu gorączkową czynność, rozwiązało się t. zw. „Koło“, gdzie rej wodzili Frankowscy, a z komitetu miejskiego i akademickiego powstał jeden, nazwany (w czerwcu 1862 r.) komitetem centralnym narodowym. Pierwszymi jego członkami byli: Witold Marczewski, Agaton Giller, Jarosław Dąbrowski, Władysław Koskowski i Władysław Daniłowski. Na miejsce Koskowskiego wszedł wkrótce Bronisław Szwarce; Ignacego Chmieleńskiego usunięto zupełnie; naczelnikiem Warszawy został Dąbrowski i on też zawładnął całym ruchem. Młody (miał lat 25), rzutki, zdolny, drobnej postaci, stąd „Łokietkiem“ zwany, umiał on, czy to pod wpływem pięknych oczu swojej bogdanki, czy też wskutek żywości temperamentu i bujnej wyobraźni, wmówić w tę młodzież zapalną łatwo, iż powstanie jest rzeczą nieuniknioną i że udać się musi. Nadzieje swoje pokładał w spisku rzekomym oficerów rosyjskich, w propagandzie rewolucyjnej, jaką szerzono pomiędzy żołnierzami, powoływał się na *Kołokoł* Hercena, na tajne czasopisma rosyjskie *Ziemla i wola* i *Wielikorus*, na sympatye dla Polski, objawiające się w społeczeństwie rosyjskiem; twierdził, że spiskowi wydadzą powstańcom cytadelę warszawską i twierdzę Modlin i Dęblin, i temi argumentami, które, jak się pokazało rychło, żadnej albo bardzo kruchą tylko miały podstawę, skłonił komitet do wyznaczenia terminu powstania na dzień 14. lipca 1862 r. Wiadomość o tem postanowieniu zaniepokoiła i dyrekcyą „białych“ i mieszczaństwo; próbowano układów z Czerwieńcami a gdy to nie odniosło skutku, pocieszano się myślą, że stronnictwo ruchu, ogołocone z wszelkich funduszów, nie będzie w stanie zamiaru swego wykonać. Było to oczywiście złudzenie, któremu

ulegały żywioły umiarkowane z właściwego charakterowi polskiemu lenistwa, spuszczając się na utarte przysłowie narodowe „jakoś to będzie“. Tymczasem było źle, bardzo źle. Tajne pisma „*Strażnica*“ i „*Pobudka*“ głosiły bezustannie, że „z moskiewskim najazdem niema pojednania“, że „walka jest naszem zadaniem, walka nieuniknioną koniecznością“; dyrekcya „Białych“ w broszurce wyszłej z pod pióra Karola Ruprechta[1]) odpowiadało na to, że i ona dąży do wywalczenia niepodległości w granicach 1772 r., ale powstanie odkłada na czas nieokreślony, pragnie korzystać z reform udzielonych, aby z pomocą rządu niejako przygotować rewolucyą. Tak z dziwną i niewytłumaczoną lekkomyślnością ogłaszano drukiem *urbi et orbi* najtajniejsze swoje życzenia i zamiary, odkrywano, niepraktykowanym w polityce sposobem, przed okiem czujnego nieprzyjaciela cały program działania, w tem przypuszczeniu chyba, że Rosya w bezgranicznej swojej naiwności popełni samobójstwo i dopomoże Polakom do rozbicia caratu.

Tymczasem zdarzył się wypadek, który z jednej strony zaniepokoił bardzo władze rosyjskie, z drugiej zaś zachwiał cokolwiek wiarę w prawdziwość opowiadań Dąbrowskiego. Oto w maju wpadł generał Chrulew na ślad propagandy rewolucyjnej w wojsku. Pokazało się wprawdzie, że ów spisek pomiędzy oficerami nie istnieje wcale, ale że wielu z nich, i to w większej części Rosyanie, odczytuje żołnierzom pisma podburzające, wyjaśnia im potrzebę usamowolnienia włościan i występuje przeciw despotycznym rządom. Wskutek wytoczonego śledztwa skazał sąd wojenny oficerów Arnholda i Śliwickiego, Rosyan prawosławnych, jakoteż Polaka podoficera Rostkowskiego na śmierć, żołnierza Szczura na 600 pałek. Wyrok spełniono bezzwłocznie w Modlinie. W odpowiedzi na tę surową karę wykonał sztabskapitan pułku kostromskiego Andrzej Potebnia, także Rosyanin, zamach na Lüdersa w ogrodzie Saskim i zranił go dość ciężko wystrzałem z pistoletu (27. czerwca).[2])

Wielki książe Konstanty w Warszawie. — Zamachy. — Sprawa Andrzeja Zamoyskiego. W cztery dni po tym wypadku, który potępił Kenig w *Gazecie Warszawskiej*, wjechał do stolicy polskiej w ułańskim mundurze nowy namiestnik W. Ks. Konstanty Mikołajewicz. Młody stosunkowo (miał lat 35), zdolnościami przewyższający wszystkich braci swoich, starannie wykształcony, znający świat z licznych i dalekich podróży po Azyi i Europie, ukrywał on pod powierzchownością chłodną i na pozór obojętną wiele ambicyi i dumy niepośledniej. Mianowany admirałem, zreorganizował i podniósł flotę rosyjską, był znawcą sztuki, posiadał umysł bystry, sporo dowcipu i sarkazmu i wskutek tego usposobienia swego nie miał na dworze carskim sympatyj. Ofiarowane sobie przez brata namiestnictwo w Polsce przyjął zatem chętnie, nie bez pewnych nadziei i widoków na przyszłość, które podniecała w ambitnym jego umyśle równie ambitna żona, księżniczka Altenburska. Od Krzywickiego, który został niebawem dyrektorem komissyi oświecenia, uczył się po polsku i nabył w języku tym pewnej biegłości, w Warszawie otoczył się

[1]) Zadanie obecnej chwili, przez Stanisława Kazimierza Gromadę. Paryż 1862.

[2]) Potebnia uszedł szczęśliwie, wyjechał do Londynu i zginął następnie na czele kosynierów pod Pieskową Skałą.

dworem przeważnie polskim, kazał odnawiać wspaniale zamek królewski i w Belwederskim parku, marzył zapewne, jeżeli nie o koronie Jagiellonów, to o wicekrólestwie w nadwiślańskiej stolicy. Okoliczności składały się więc tak szczęśliwie, że korzystając z tych pragnień carewicza, można było osiągnąć wiele, uzyskać nie tylko autonomią zupełną dla Królestwa, ale pomyśleć także o powolnem przyłączeniu gubernij zabranych, jak to już działo się za czasów pierwszego Konstantego, Pawłowicza. Chwila była w naszych dziejach porozbiorowych niezmiernie ważna, nastręczająca rozległe i pomyślne dla narodu kombinacye, i zrozumieć łatwo, że w stronnictwie Czerwonych powstały z tego powodu właśnie wielkie obawy. Z drugiej strony margrabia przez Kronenberga starał się skłonić Karola Majewskiego do wydania całej organizacyi rewolucyjnej w ręce rządu, zaręczając, że spiskowców wyszle w głąb carstwa i przy najbliższej sposobności powróci do kraju. Zamiar heroiczny prawdziwie rozbił się w końcu o stałość Majewskiego, który żądał pisemnego zaręczenia i w dwa dni potem znalazł się w cytadeli.

Wszystkie te zabiegi jednak były, podobnie jak i przyjazd Konstantego, spóźnione, rozkiełznanie namiętności doszło bowiem już do tego stopnia, że musiały one przytłumić głos rozsądku i zimnej rozwagi. Ignacy Chmieleński, rozjątrzony usunięciem swojem z komitetu centralnego, i Jarosław Dąbrowski, marzący zawsze o zbrojnem powstaniu, postanowili przeszkodzić wszelkim kompromisom z partyą umiarkowaną i zniweczyć plany Wielopolskiego. W tym celu pierwszy z nich urządził na własną rękę cały szereg zamachów zbrodniczych; do wychodzącego z teatru Wielkiego księcia strzelił Jaroszyński, na życie Wielopolskiego targnął się Ludwik Ryll, po nim w aleach Ujazdowskich Rzońca. Wrażenie tych zamachów, zdziałanych poza plecyma komitetu centralnego, w sposób nikczemny i podstępny — Chmieleński pokazywał Jaroszyńskiemu sfałszowany rozkaz komitetu — było wielkie, przygnębiające, wywołało powszechne i słuszne oburzenie i nastręczało tak rządowi, jak i stronnictwu umiarkowanemu możność opanowania ruchu i uspokojenia kraju.

Nie tajną jest dziś rzeczą a wiedziano o tem zapewne i wtenczas, że partya, dążąca do powstania, opierała się głównie na młodzieży i żywiole miejskim, podczas gdy lud wiejski, zamożniejsze mieszczaństwo, część duchowieństwa i szlachta były ruchowi przeciwne. Skupić więc te umiarkowane warstwy w jedno stronnictwo i, korzystając z wrażenia, jakie zamach sprawił, skłonić je do jakiegoś działania przychylnego, nie dla rządu, ale dla kraju, było rzeczą stosunkowo łatwą. Niestety usiłowania, podjęte w tym kierunku przez Ludwika Górskiego, rozbiły się o szkopuł tak pospolity u nas, o współzawodnictwo i niechęć wzajemną dwóch ludzi, Andrzeja Zamoyskiego i Wielopolskiego. Nie przyszedł zatem do skutku adres projektowany do Wielkiego księcia z powodu zamachu, obałamuceni przez Chmieleńskiego skrytobójcy zginęli na szubienicach a chorobliwa wyobraźnia współczesnych otoczyła śmierć ich aureolą męczeństwa. Nienawiść powszechna skierowała się przeciw Wielopolskiemu. A jednak i dla niego nastręczała się raz jeszcze sposobność, jeżeli nie rehabilitacyi, to przynajmniej zyskania silnego ze strony „Białych“ poparcia. Kiedy W. Ks. Konstanty nazajutrz po straceniu Rylla i Rzońcy, dnia

27. sierpnia, wydał do narodu odezwę, zakończoną słowami: „Polacy! połóżcie we mnie zaufanie równe temu, jakie ja w was położyłem, połączcie się ze mną w jednem uczuciu; pracujmy wspólnie i zgodnie około dobra Polski, prosząc Boga, aby usiłowaniom naszym błogosławił, a nowa epoka dobrego bytu i szczęścia otworzy się dla tej ojczyzny, którą tak miłujecie;“ powstała pomiędzy szlachtą, mianowicie pomiędzy członkami byłego Towarzystwa rolniczego, myśl poparcia rządu przez jakiś akt publiczny i stłumienia rewolucyjnego ruchu. Po długich naradach w Dyrekcyi Białej postanowiono zatem żądać przywrócenia konstytucyi z 1815 r. i przyłączenia prowincyj zabranych albo nadania im podobnych reform, jakie otrzymało Królestwo, a przyrzekano w zamian za te ustępstwa popierać rząd. Ale wysłana do Wielopolskiego deputacya spotkała się z szorstką i wyniosłą odmową. Wysłuchawszy warunków, rzekł margrabia: „Waszego ani niczyjego poparcia nie żądam i nie potrzebuję. Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, ale z Polakami nigdy.“ Jeżeli z tej odpowiedzi wiała obrażona duma i gorycz, jaką napełniły to serce twarde szalone i nieusprawiedliwione zamachy, to na dnie duszy Wielopolskiego tkwiła niewątpliwie także nieufność ku stronnictwu, na którego czele stał Andrzej Zamoyski. Margrabia był zanadto doświadczonym mężem stanu, aby nie widzieć, że poparcie Białych może stworzyć dla jego działania silną w kraju podstawę. Więc jakkolwiek warunki, jakie mu przedstawiono, były trudne i w tej chwili niepodobne w całości do do spełnienia, to dyskussya nad niemi i swobodna wymiana myśli mogła i powinna była zakończyć się porozumieniem. Ale miłość własna i owa szalona ambicya, która margrabiemu szeptała, że on tylko kraj ten nieszczęśliwy z upadku podźwignie, nie mogła się pogodzić z myślą współdziałania żywiołów, skupionych około odmiennego programu politycznego. I jeżeli nie tak dawno, z okazyi adresu do Konstantego, pytał: „czy istotnie staje obóz przeciw mnie?“ to teraz widział już nie tylko stronnictwo, ale i widomą jego głowę, która chciała podzielić się z nim sławą a może i władzą.

A przypuszczenia te nie były znowu pozbawione wszelkiej podstawy, bo w otoczeniu W. księcia snuła się już intryga, mająca na celu obalenie Wielopolskiego. Wchodzili do niej marszałek dworu carewicza generał Chreptowicz, Franciszek Węgleński, obrażony lekceważeniem margrabiego, i Aleksander hr. Przeździecki, jeden z wykonawców testamentu Świdzińskiego. Oni to zaczęli przekładać namiestnikowi, że Wielopolski jest zanadto niepopularnym i znienawidzonym, aby zdołał kraj uspokoić, i że należy zatem usunąć go a na jego miejsce postawić człowieka, posiadającego powszechne zaufanie, którym może być Andrzej Zamoyski albo Węgleński. Skutkiem tych zabiegów wezwał W. książe do siebie p. Andrzeja. Ale Zamoyski, przy wielkiej zacności charakteru i niepospolitych dla kraju zasługach, nie posiadał na tyle zręczności politycznej, aby w tak drażliwem położeniu zachować należytą miarę w słowach i nie dać się unieść wezbranym uczuciom. Więc gdy, mówiąc o reformach i czasach obecnych, wołał: *il faut que cette comédie cesse* (trzeba, żeby się ta komedya skończyła), to wyrażał niewątpliwie swoje głębokie przekonanie o nieszczerości zamiarów rządowych, ale zarazem drażnił niepotrzebnie

namiestnika, zamiast zapytać go otwarcie, czy rząd wytrwa na drodze raz obranej i zażądać odpowiednich gwarancyj. Rozmowa zakończyła się tem, że p. Andrzej miał zasięgnąć rady swoich przyjaciół politycznych; ale właściwie sprawa cała była już w tej chwili pogrzebana, a co gorsza, skutkiem dziwnej niedyskrecyi, wiadomość o posłuchaniu Zamoyskiego w Łazienkach rozbiegła się w lot po całej Warszawie i wywołała oburzenie u jednych, źle tajoną radość u drugich. Jakoż tłumnie do stolicy zebrana szlachta nie umiała czy nie chciała nic innego uczynić, jak tylko przedłożyć W. księciu te same żądania, z jakiemi już zwracała się do Wielopolskiego, a gdy Konstanty oświadczył, że prośby takiej nie przyjmie, zadowolniła się adresem, wystosowanym do Zamoyskiego, w duchu wyżej wskazanym. I znowu adres ten, który miał być aktem poufnym, obiegł w niezliczonych odpisach całą Polskę i pociągnął za sobą wywiezienie Zamoyskiego do Petersburga a następnie wygnanie jego za granicę.

Reformy i błędy Wielopolskiego. — Ruch wzmaga się i obejmuje cały kraj. — Rząd narodowy. — Branka. — Powstanie. — Zakończenie. Wypadki co tylko opisane miały przynajmniej tę korzyść, że wyjaśniły zawikłane położenie polityczne. Zarysowały się bowiem wyraźnie trzy stronnictwa: pierwsze; najmniej liczne, grupujące się około Wielopolskiego, dążyło do wywalczenia autonomii zupełnej dla Królestwa; drugie, oparte o Andrzeja Zamoyskiego, wzięło sobie za cel połączenie wszystkich ziem polskich w caracie z Królestwem, trzecie wreszcie, t. zw. Czerwieńcy, odrzucało wszelki kompromis z Rosyą i stawiało natomiast program niepodległej Polski w granicach z r. 1772. Na gruncie realnej polityki stał tylko Wielopolski; dwa dalsze programy były marzeniem. Przeciw połączeniu prowincyj zabranych z Królestwem oświadczył się tak dobrze Aleksander I., jak i następca jego Mikołaj a teraz Aleksander II., oświadczyło się i społeczeństwo rosyjskie. Krwawa wojna z 1831 r. dowiodła, że porozumienie na tym punkcie jest niemożliwe, że da się to osiągnąć jedynie stopniowo, długą i wytrwałą pracą, powolnem i statecznem dźwiganiem żywiołu polskiego w prowincyach zabranych, albo też siłą oręża. Tej ostatniej nie posiadaliśmy w 1862 r. wcale, żądanie Białych zatem było krokiem niepolitycznym a nawet szkodliwym, bo budziło podejrzenia i nieufność nawet w tej części społeczeństwa rosyjskiego, która nam pewną okazywała przychylność. Jakie wyobrażenia panowały w tym względzie w kołach rewolucyjnych rosyjskich, świadczy list Komitetu Centralnego do Hercena (d. 20. września 1862 r.), gdzie wyraźnie powiedziano, że „Litwinom i Rusinom pozostawia się zupełną wolność pozostawania w związku z Polską lub też rozrządzenia sobą podług własnej woli.“ Widocznie więc i najlepsi nasi przyjaciele nad Newą nie byli skłonni zrzec się posiadania Litwy i Rusi, które uważali, co prawda, całkiem niesłusznie, za kraje należące od dawna do Rosyi. Program Czerwieńców wywalczenia niepodległości był zamiarem nie rokującym żadnego powodzenia. Polska, jak to wykazały dowodnie rozprawy w senacie francuskim i w parlamencie angielskim (w marcu 1862 r.) nie mogła liczyć wcale na pomoc mocarstw zachodnich, przeciwnie, podnosząc broń przeciw Rosyi, zacieśniała rozluźnione cokolwiek węzły przyjaźni pomiędzy Berlinem i Petersburgiem i niweczyła plany

Napoleona III., który dążył do przymierza z Rosyą. Dokonało tego niestety powstanie polskie a Sybel, namiętny przeciwnik Bismarka w r. 1863, przyznał w 27 lat później, że konwencya, zawarta w d. 8. lutego 1863 r. z Rosyą, utwierdzając przymierze prusko-rosyjskie, była fundamentem przyszłej wielkości państwa pruskiego.[1]) Nawet Mazzini, w rozmowie z Ćwierczakiewiczem, agentem Komitetu Centralnego, oświadczył stanowczo, że rewolucyoniści europejscy żadnego poparcia Polakom nie obiecują a powstanie na wiosnę uważają za największą klęskę nie tylko dla Polski, ale wogóle dla sprawy wolności w Europie.

I w Komitecie Centralnym w Warszawie panowały także podobne zapatrywania. Giller, używający wtedy największego wpływu, był stanowczo przeciwny przedwczesnym porywom. Za jego wpływem odroczono termin powstania, oznaczony przez Dąbrowskiego na 14. lipca, a gdy Dąbrowski został niebawem aresztowany i osadzony w cytadeli, zdawało się, że stronnictwo umiarkowane w komitecie zwycięży.

Ale ruch, raz wszczęty, rozwijał się z niepowstrzymaną siłą a przeciwnicy powstania, w dziwnej jakiejś niekonsekwencyi, do tego dopomagali. Giller mianowicie, zdolny spiskowiec, podjął myśl zorganizowania tajnego rządu i wykonał ją po mistrzowsku. Odezwą z dnia 1. września 1862 r. ogłosił się Komitet Centralny Rządem Narodowym, zaczął rozpisywać i wybierać podatki, które nawet Rosyanie płacili, urządził doskonałą policyą, władze administracyjne, komunikacyą pocztową, słowem, na podziw Europy całej, stał się władzą potężniejszą od rządu rosyjskiego. Cóż dziwnego zatem, że i w społeczeństwie polskiem, tak mocno podnieconem, ustaliło się przekonanie o wielkiej, nieprzepartej sile tej władzy tajemniczej, że duchowieństwo na zjazdach walnych w Świętomarzu i Kłoczewie uroczyście zgłosiło akces swój do Rządu Narodowego, że we wszystkich dykasteryach rządowych pilniej i ściślej wykonywano rozkazy komitetu niż polecenia Wielopolskiego i jego ministrów. Cóż znaczyło wobec tego otwarcie szkoły politechnicznej w Puławach (d. 12. października 1862 r.), uroczysta inauguracya Szkoły Głównej (d. 25. listopada) pod rektorstwem zacnego dra. Józefa Mianowskiego, usunięcie rozmaitych kacyków prowincyonalnych, jak osławionego Rożnowa i Oppermana, a zastąpienie ich gubernatorami Polakami, jakąż doniosłość mogło mieć gromadne rugowanie z kraju urzędników Rosyan,[2]) kiedy potężny i wszechwładny Rząd Narodowy obiecywał Polskę niepodległą, wolną od morza do morza? A jak gdyby wszystko sprzysięgło się na naszą zgubę, więc i ten Wielopolski, trzeźwy i rozumny, popełniał błąd jeden po drugim. Niebacznie skrępował surowymi przepisami cenzuralnemi dziennikarstwo krajowe, dla obrony własnej wydawał niesmaczne i niezręczne *Komunały* Miniszewskiego, syna swego Zygmunta mianował prezydentem stolicy, niedorzecznem rozporządzeniem o noszeniu cylindrów wystawił siebie i powagę rządu na śmieszność, a gdy to wszystko nie pomagało, chwycił się, za radą syna, rozpaczliwego środka, przeprowadzenia rekrutacyi z uchyleniem przepisów 1859 r., według barbarzyńskiego prawa z 1816 r. Był to oczywiście zamach stanu w celu wychwytania Czerwieńców i stłumienia

[1]) v. Sybel: Die Begründung des Deutschen Reiches etc., II., 502.

[2]) Z 15.000 zostało ich zaledwie 300.

całego ich stronnictwa. Nie wchodząc w ocenienie etycznej wartości projektu, przypuszczając nawet, że ze względu na dobro kraju i narodu użycie tak gwałtownego i bezprawnego środka mogło być usprawiedliwione, podnieść należy, że każdy zamach stanu wtedy tylko pomyślne przynosi skutki, jeżeli jest wykonany nagle i energicznie. Tymczasem margrabia, zapewne dlatego, aby pozyskać sobie szlachtę i włościan-rolników, ogłosił w *Dzienniku powszechnym* z dnia 6. listopada, że pobór dotknie tylko drobnych właścicieli wiejskich, dzierżawców, oficyalistów i ludność miejską, a w cyrkularzu tajnym, do władz rozesłanym, oświadczył wyraźnie, że „jednym z głównych celów tego poboru jest pozbycie się części ludności, która postępowaniem swojem przyczynia się do „zamieszania porządku publicznego“ i że zatem należy brać do wojska „osoby źle notowane w ostatnich wypadkach, bez względu na to, czy wypadnie wziąć z jednego miasta lub jednego wyznania więcej popisowych aniżeli z drugiego.“

Wiadomość o tym poufnym okólniku, który, jak wszystkie najtajniejsze nawet rozkazy i postanowienia rządu, został zdradzony i ogłoszony w krakowskim *Czasie*, wywołała wielkie oburzenie nawet w kołach umiarkowanych. Ale Wielopolski na uwagi przyjaciół swoich odpowiadał, że „wrzód zebrał i rozciąć go należy, że powstanie stłumi w ciągu tygodnia i potem będzie mógł rządzić“, a do niejakiego Horbowskiego, którego wysłali Czerwoni, mówił, że nie chodzi o zasadę prawną, ale o spokój; a gdyby zamieszanie stąd wynikło, w kilka godzin potrafi je uśmierzyć. „A gdy spokój mieć będę — dodawał — wtedy obaczą, co potrafię zrobić dla kraju.“

Rząd Narodowy był jak wiadomo, w większości swojej przeciwny powstaniu. Widział on bowiem jak na dłoni, że ani poparcia z nikąd, ani broni, ani pieniędzy, ani przygotowania najmniejszego nie posiada, że zatem ruch zbrojny jest prostem szaleństwem, które na kraj największe sprowadzić musi nieszczęścia. W tym duchu ostrzegał ks. Władysław Czartoryski z Paryża „przed walką bez nadziei i bez chwały“, w tym duchu pisał wiekiem pochylony arcybiskup gnieznieński ks. Przyłuski do ks. Felińskiego, w tym duchu oświadczyli się zresztą zwołani przez Rząd Narodowy do Warszawy (d. 20. grudnia 1862 r.) dowódzcy przyszłego powstania: Zygmunt Miłkowski, Zygmunt Sierakowski, Edmund Różycki, Tomasz Winnicki. Jakoż komitet uchwalił nie rozpoczynać teraz powstania, lecz odłożyć je na później, jak przypuszczano, do maja. Rząd tymczasem gotował się do stanowczego ciosu; udało mu się przypadkiem odkryć drukarnię tajną *Ruchu*, przyczem aresztowano Bronisława Szwarcego; Kraszewski za niewinny artykuł w *Gazecie Polskiej* otrzymał nakaz opuszczenia Warszawy; brankę postanowiono wykonać d. 15. stycznia 1863 r. Komitet centralny, uwiadomiony o tem, zarządził dyslokacyą spiskowych a od 10. stycznia zaczęła młodzież gromadnie opuszczać Warszawę, równocześnie zaś w niższych warstwach organizacyi rewolucyjnej powstał silny prąd w celu rozpoczęcia ruchu zbrojnego natychmiast, do czego szczerze dopomagał komitet centralny, założony przez Mierosławskiego i rywalizujący z Rządem Narodowym. Próżny był już teraz opór umiarkowańszych członków komitetu, szamocąc się w tej strasznej walce do połowy stycznia, ulegli oni wreszcie na

burzliwem posiedzeniu nocnem (z 16. na 17. stycznia) ogromnej większości, która postanowiła rozpocząć powstanie w nocy z 22. na 23. stycznia. Giller i Marczewski wystąpili z komitetu; zwycięzcy dla ukoronowania dokonanego dzieła, powołali na dyktatora Mierosławskiego. W ten sposób stanął naród polski do orężnej walki z uzbrojonym od stóp do głów caratem, bez sprzymierzeńców, bez przygotowania należytego, bez zasobów, bez broni, bez wodzów doświadczonych. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa musiał ten poryw niewczesny skończyć się w kilku dniach wychwytaniem nieuzbrojonych i wygłodzonych powstańców. Na to liczono też w zamku warszawskim. Ale stronnictwo wojskowe z głównodowodzącym generałem Ramsayem na czele,

X. arcybiskup Zygmunt Szczęsny Feliński.

nienawidzące Wielopolskiego i W. księcia, nadało inny obrót całej sprawie. Wysłani na wyłapanie „dzieci warszawskich“ do puszczy kampinoskiej i do lasów zegrzyńskich pułkownicy Bremsen i Riedenkin otrzymali od Ramsaya poufne polecenie wypuszczenia otoczonych zewsząd powstańców. Zygmunt Padlewski więc zdołał się przeprawić przez Wisłę pod Secyminem, inne oddziały przeszły Narew w okolicach Serocka; powstanie było uratowane, dla naczelników wojennych i karyerowiczów wszelkiego rodzaju otwierało się rozległe pole do pracy pacyficykacyjnej w Polsce, na krwawem niebie polskiem, oświeconem łuną pożarów, wschodziły ponure postacie Berga i Murawiewa.

Nie jest naszym zamiarem opisywać tę tragedyą okropną, te wypadki grozą przejmujące, te okrucieństwa iście neronowe, urągające cywilizacyi XIX. wieku, ani z drugiej strony opowiadać o tych czynach bohaterskich i poświęceniu, z jakiem inicyatorowie rozpaczliwego ruchu szli do walki beznadziejnej na śmierć niechybną i męczeństwo. Dzieje owych czasów smutnych, nie wyświetlone jeszcze należycie, łączą się już ściśle z okresem eksterminacyjnej polityki rządu rosyjskiego, trwającym aż do dni naszych. Dla nas wystarczało wskazać w ogólnych zarysach przyczyny, jakie naród polski do tak hazardownego i bezprzykładnego w historyi przedsięwzięcia popchnęły. Po latach 40-tu, gdy można ludzi i wypadki ówczesne cokolwiek chłodniej oceniać, przedstawia się powstanie z 1863 r. w świetle o wiele łagodniejszem.

Dwudziestopięciolecie ostatnie rządów Mikołaja I. było nacechowane straszną i nieubłaganą zemstą przeciw narodowi polskiemu. Odebrawszy Polakom wszelkie prawa, zniszczywszy ich materyalnie konfiskatami i grabieżą, wydawszy całe społeczeństwo na łup chciwej i niesumiennej zgrai czynowników, odsunąwszy od udziału w życiu publicznem wszystkie warstwy społeczne, pozbawił on nadto pokolenie dorastające możności kształcenia się, zniósł uniwersytety a do nielicznych szkół średnich wprowadził system policyjno-wojskowy, demoralizujący młodzież zamożniejszą, ogłupiający całość. Zwichniętą została tym sposobem w umysłach równowaga pomiędzy rozumem a sercem. Wśród ciemnej nocy niewoli wyrastało pokolenie, pojone łzami i goryczą, karmione uczuciem zemsty, kołysane do snu żądzą odwetu. Pozbawione zajęcia, bez gruntownego wykształcenia, żyło ono wyobraźnią, pochłaniało chciwie chorobliwą literaturę emigracyjną i w naiwności swojej wierzyło marzycielom, co w każdej ruchawce europejskiej widzieli jutrzenkę zmartwychwstania. Na ten grunt, wyjałowiany z myśli poważnych a spragniony wolności i swobody, padły po nagłej śmierci Mikołaja blade i niewyraźne promienie jakiejś nowej zorzy. Po olbrzymiem ciele carstwa przebiegły różne nieznane dotąd prądy, zwiastujące jakoby lepszą przyszłość. I wątpić nie podobna, że w tej chwili drobne nawet ustępstwa, ulgi nieznaczne, rozumnie i z taktem wprowadzone, byłyby ten naród zbolały mogły ukoić, kraj od katastrofy ocalić. Ale rząd rosyjski, jak zawsze pełen nieufności, przeciwnymi sobie prądami miotany i w systemie dotychczasowym zakrzepły, chwiał się długo niezdecydowany pomiędzy mikołajowską surowością a łagodniejszą względem polskich swoich poddanych polityką i dopiero kiedy na ulicach Warszawy krew popłynęła, skłonił się do reform, z razu skąpo i opornie udzielanych. Nasunęło to przypuszczenie, że władza, czy pod wpływem liberalniejszych poglądów w Petersburgu, czy pod wrażeniem wypadków politycznych, jakie się wtedy na zachodzie rozgrywały, ustąpi przed jednomyślnem żądaniem narodu i będzie musiała spokój wewnętrzny okupić rozległemi koncessyami. Równocześnie wypadki włoskie obudziły w umysłach gorących a nierozważnych i podniecanych z zewnątrz przez szalone i bezsensowne tyrady Mierosławskiego, zamiar wywalczenia niepodległości, do czego, tak jak w 1846 r., miał dopomódz lud uwłaszczony. Niepoprawni marzyciele, znający chłopa z książek, wierzyli na słowo frazesom „zmartwychwstałego wodza“, który lat 30 spędził na bruku

paryskim; domorośli politycy powołujący się na przykład ludów italskich, zapominali, że naród włoski był jednolity, od ostatniego lazzarona do pierwszego magnata jednakiem ożywiony uczuciem, że posiadał punkt oparcia w Piemoncie i pomoc bagnetów francuskich. I dziwnym zbiegiem wypadków otwierała się i dla nas przyszłość podobna. Wsród społeczeństwa podnieconego w najwyższym stopniu stanął człowiek, niewątpliwie rozumny, i wskazał mu drogę powolnego lecz, jak się zdawało, pewnego odrodzenia. Chłodny rozsądek margrabiego spotkał się oko w oko z rozbujałą wyobraźnią tłumów, kierowanych uczuciem i demagogicznemi aspiracyami, że użyjemy tu słów A. Gillera, zwolenników Mierosławskiego. Ciemna masa ludu zachowywała się obojętnie; szlachta, pociągana z jednej strony zasadami konserwatywnemi, z drugiej wrodzonym sobie patryotyzmem, zawisła pomiędzy niebem a ziemią i, obawiając się rewolucyi a nienawidząc w duszy Wielopolskiego, zajęła, zwykłym wszystkich dojutrków politycznych obyczajem, stanowisko wyczekujące, nadające się w sam raz do odegrania roli płaczki pogrzebowej na grobie zmarnowanych lekkomyślnie nadziei. Na boku stał zastęp lekceważonych przez margrabiego generałów rosyjskich, rzesza wydalonych z Królestwa czynowników, hufiec karyerowiczów, spoglądających głodnem okiem na polskie majątki, partya „samobytników“ rosyjskich, wroga imieniowi polskiemu, a z za czarnobiałych słupów spoglądał z niepokojem Bismark, drżący o całość monarchii Hohenzollernów.

Walka w takich warunkach była zbyt nierówna, aby mogła się skończyć zwycięstwem dobrej sprawy; błędy Wielopolskiego dokonały reszty i w strumieniach krwi utonęły marzenia zapaleńców wraz z pomysłami dumnego magnata. Tak skończyła się epoka niewczesnych, źle obmyślanych i jeszcze gorzej wykonanych zbrojnych porywów strasznym pogromem narodu. Niepożyta żywotność społeczeństwa polskiego wyszła i z tej katastrofy zwycięsko, ale jeżeli historya ma być życia mistrzynią, co niestety w praktyce bardzo rzadko się zdarza, to na tem drugiem już, od r. 1863, pokoleniu ciąży obowiązek skorzystania z doświadczeń dziejowych. Powinno ono pamiętać, że odrodzenie narodu, tak jak nasz w wyjątkowo trudnych postawionego warunkach, musi być dziełem długiej i wytrwałej pracy, polegać na rozwinięciu i stosownem użyciu sił własnych, na wyplenieniu wad, które żywy i silny niegdyś organizm Rzeczypospolitej przedwcześnie zaprowadziły do grobu. Z cnót, jakiemi odznaczał się naród polski, zachowaliśmy jedną, wielką i potężną: miłość kraju i gotowość do poświęceń dla niego. Ale ta miłość ojczyzny, jeżeli się objawia w słowach tylko a nie w rozumnem działaniu, bywa zazwyczaj jałową, niekiedy nawet szkodliwą. Przygłuszają ją i tłumią w nas nadto wady, charakterowi narodowemu polskiemu właściwe, które, odziedziczywszy w puściznie po przodkach, niebacznie pielęgnujemy i rozwijamy. Kwitnie więc po staremu przysłowiowa już polska niezgoda, utrzymuje się w całej pełni obrzydłe szlacheckie samolubstwo, żyje ów wybujały indywidualizm, który zawsze chciał rządzić Polską i zbawiać ją według własnej a nie innej metody, brzmi nieszczęsne *liberum veto* wszędzie, gdzie myśl polska swobodniej objawiać się może, rej w życiu społecznem wodzą po dawnemu epigonowie trybunów szla-

checkich, nieodrodni duchem potomkowie Rytwiańskich, Kmitów, Zborowskich i Zbaraskich, w literaturze politycznej stary pamflecista Bartosz Paprocki znajduje pojętnych naśladowców. Cóż dziwnego przeto, że trwając uporczywie w błędach przeszłości, win jej zmazać nie jesteśmy w stanie? Tajemnica bytu i odrodzenia spoczywa w łonie narodu, w wewnętrznem jego przeobrażeniu, w skupieniu sił rozprószonych i rozerwanych, w ukojeniu nieuciszonych nigdy sporów i waśni, w zrozumieniu należytem i gorliwem pełnieniu obowiązków obywatelskich, w zespoleniu wszystkich myśli i uczuć do jednego, wielkiego celu, w czynnem i rozumnem miłowaniu ojczyzny, bo Polska, jak słusznie przed laty pisał Mochnacki, może zginąć tylko teroryzmem nierozumu.

Nakładem **Maurycego Perlesa**, c. i k. księgarni nadwornej w **Wiedniu, I. Seilergasse 4** wyszły:

Pozostałe nieznane prace

ś. p.

ARTURA GROTTGERA

zebrane i wydane przez jego siostrę.

20 obrazów (heliograwury) dużego formatu (31×41 cm.) na papierze chińskim podług oryginalnych rysunków mistrza.

Treść: Włościanin ruski. — Przejście przez granicę. — Pożegnanie. — Powrót. — Szkoła szlachcica I—IV. — Ophelia. — Studyum. — Żeleński. — Mickiewicz. — Polowanie na sokoła. — Polska na krzyżu. — Muzykantka. — Portret Grottgera. — Studyum Wytrącona. — Błogosławieństwo ojcowskie. — Rusinka narzeczona. — Szkic.

Ze względu na wysoki nastrój patryotyczny przenikający te ostatnie arcydzieła mistrza, wychodzące dziś na widok publiczny w naszem wydawnictwie, żywimy nadzieję, że doznają najlepszego przyjęcia w społeczeństwie. Obrazy te Grottgera wyjdą w formacie 31×41 cm. w najwytworniejszej reprodukcyi, t. j. w heliograwurze.

Wykonania podjął się pierwszorzędny zakład artystyczny we Wiedniu (Die Gesellschaft für vervielfältigende Kunst in Wien).

Całe dzieło kosztuje 20 K. = 20 marek, w oryginalnej eleganckiej oprawie 25 K. = 25 marek.

Poczet królów polskich

zbiór 44 portretów historycznych

rysunku

Jana Matejki z tekstem objaśniającym Stanisława Smolki i Augusta Sokołowskiego.

Całe dzieło w 23 zeszytach (zeszyt po 2 K. = 2 marki) kosztuje 23 złr., w oryginalnej, eleganckiej oprawie podług rysunku artysty-malarza Tadeusza Rybkowskiego 52 K. w oprawie bogato złoconej 56 K.

Dla miłośników sztuki typograficznej istnieje osobne wydanie (China), którego zeszyt jeden kosztuje 3 K. 60 h., całość 23 zeszyty 82 K. 80 h. = 82 marek 80 fen., w ozdobnej oprawie 88 K. 80 h. = 88 marek 80 fen., w złoconej bogato oprawie 92 K. 80 h. = 92 marek 80 fen.

Przy końcu ośmielamy się prosić o rozpowszechnienie niniejszego prospektu między znajomymi, za co z góry uprzejme składamy podziękowanie.

Praktyczna

Gramatyka języka niemieckiego

dla Polaków

ułożył profesor Dr. Albert Zipper.

Cena tego obszernego dzieła w dużym formacie wynosi 5 K 60 h, w pięknej oprawie płóciennej 6 K 40 h.